REDAKCJA
ADAM GRYCZYŃSKI

NOWOHUCKIE CENTRUM KULTURY 2019

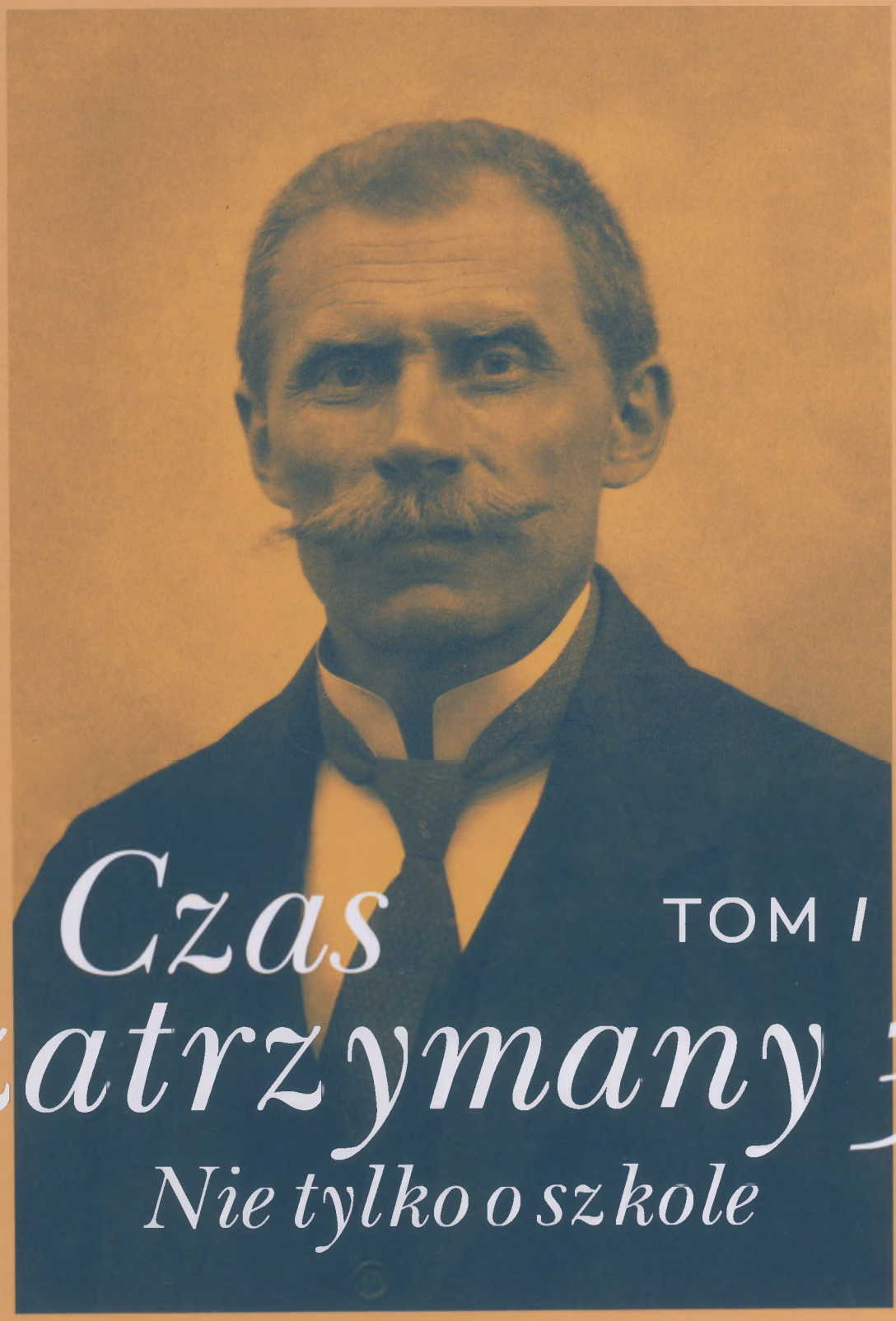

Czas zatrzymany 3

TOM I

Nie tylko o szkole

WYBÓR TEKSTÓW ORAZ FOTOGRAFIE
Z TERENÓW NOWEJ HUTY I OKOLIC

TOM I

Czas zatrzymany 3

Nie tylko o szkole…

WYBÓR TEKSTÓW ORAZ FOTOGRAFIE
Z TERENÓW NOWEJ HUTY I OKOLIC

Redakcja:
Adam Gryczyński

BIBLIOTEKA KRAKÓW
FILIA 43
CWOR
71670

NOWOHUCKIE CENTRUM KULTURY 2019

Akc. 1269/20

SPIS TREŚCI

PRZEDMOWA ... 6
Przedmowa do książki „Czas zatrzymany 2" ... 14
Przedmowa do książki „Czas zatrzymany 1" ... 20
ROZDZIAŁ I – MOGIŁA ... 26
Krzysztof Rosołek – Szkolnictwo wiejskie elementarne na terenach obecnej Nowej Huty w latach 1819-1825 ... 27
Krzysztof Rosołek – Funkcjonowanie Szkoły Początkowej w Mogile w latach 1819-1860 ... 29
Janina Satała – Mogiła mojej młodości ... 37
Stefan Tejkowski – Wspomnienia ... 38
Edward Wąsikowski – Wspomnienia z czasów II wojny światowej ... 45
Leo Bach – Wysiedleni z Mogiły ... 48
Aleksandra Erbert – Streszczenie na podstawie wspomnień „Leo Bach's Memoir" ... 58
Adam Gryczyński – Premiera filmu „Pamiętnik Leo" w Nowohuckim Centrum Kultury ... 59
o. Maciej Majdak (OCist) – Cysterskie duszpasterstwo. U początków Nowej Huty ... 60
ks. infułat Kazimierz Suder – Wspomnienia ... 62
dr Barbara Salwińska-Ciećkiewicz – Komentarz do wspomnień księdza infułata Kazimierza Sudera ... 65
Waldemar Cyganik – Rodzinny dom (epilog) ... 66
ROZDZIAŁ II – BIEŃCZYCE ... 94
Jan Kotyza – Moje Bieńczyce ... 95
Jan Kotyza – Oddali życie za Polskę: noty biograficzne osób pochodzących z Bieńczyc ... 130
Jan Kotyza – Maria Kotyzowa – nauczycielka z Bieńczyc ... 136
Jan Kotyza, pseudonim „Wiktor" ... 141
Wiesław Pyczek – Nauczycielska saga Rodziny Łowczowskich ... 142
Jan Kotyza – Wspomnienie o Kazimierzu Łowczowskim ... 145
Danuta Spaczyńska z d. Łowczowska – Moje wspomnienie rodzinne z Bieńczyc ... 145
Stanisław Gawęda – Józef Celiński: wychowawca, żołnierz, społecznik ... 146
Grażyna Kęska-Kasprzak – Wspomnienie o Oldze Marii Kęskiej ... 148
Halina Miłek – Wspomnienie o Oldze Kęskiej ... 149
Andrzej Świerczewski – Wspomnienia ... 150
Andrzej Świerczewski ... 159
Ostatnie pożegnanie Andrzeja Świerczewskiego ... 159
Andrzeju!... ... 159
ROZDZIAŁ III – RACIBOROWICE ... 192
Kronika szkoły w Raciborowicach (fragmenty) ... 193
Wakacje kleryckie ... 214
ks. Józef Fudali, raciborowicki wikary ... 215
dr Mateusz Wyżga – Ksiądz kanonik Stanisław Migas (1931-2010) ... 216
Maria Raźna – Moja Szkoła w Raciborowicach ... 217
Anna, Jadwiga i Maria z d. Raźny – Cała rodzina w służbie polskiej szkole ... 218
ROZDZIAŁ IV – CZYŻYNY ... 248
Kronika szkoły w Czyżynach ... 249
Mieczysław Marzec – Wspomnienia o szkolnictwie w Czyżynach ... 272
dr Barbara Salwińska-Ciećkiewicz – Działalność edukacyjna i kulturalno-oświatowa na podkrakowskich wsiach ... 275

Mieczysław Marzec – Wspomnienie o Franciszku Marszałku, kierowniku S. P. w Czyżynach w latach 1928-1960 ... 279
dr Barbara Salwińska-Ciećkiewicz – Wspomnienie o Franciszku Marszałku ... 280
Jerzy Jarosz – Oświata w Czyżynach ... 281
Wincenty Cieślewicz – Nauka w czyżyńskim dworze w czasie okupacji ... 282
Wincenty Cieślewicz – Kazimierz Hieronim Cieślewicz – nota biograficzna ... 283
ks. prałat Jan Bielański – Kazanie wygłoszone na pogrzebie Józefa Hajty ... 285
Wiesław Pyczek – Ostatnie pożegnanie śp. Józefa Hajty ... 286
Adam Gryczyński – O Józefie Hajto... ... 287
ROZDZIAŁ V – PLESZÓW ... 302
Katarzyna Gajoch-Witaszkowa – Dzieje szkoły w Pleszowie ... 303
Michał Cygan – Sylwetki kierowników szkoły ... 305
Katarzyna Gajoch-Witaszkowa – Wspomnienia o domu rodzinnym, życiu i działalności Jana Gajocha ... 306
Stanisław Gajoch – Pamiętnik ... 311
Jan Twaróg – W Pleszowie ... 314
Jan Twaróg ... 324
Genowefa Twarogowa z d. Wojnarowska ... 325
ks. prałat Jan Rosiewicz ... 326
Józef Rosiewicz ... 326
Kazimierz Stefan Rosiewicz ... 327
Katarzyna Gajoch-Witaszkowa ... 328
Stanisław i Feliksa Niżyńscy ... 330
dr Barbara Salwińska-Ciećkiewicz – Ostatnie pożegnanie Józefa Gajocha ... 331
Maria Paluchniak z d. Repeć – Wspomnienie z Pleszowa ... 332
ROZDZIAŁ VI – KRZESŁAWICE ... 344
Maciej Miezian – Obraz Krzesławic w dawnych pamiętnikach ... 345
Maciej Miezian – Dramat Pięknej Zośki ... 346
Zofia Paluch z Franczaków ... 348
Krzysztof Rosołek – Ludobójstwo w forcie w Krzesławicach w latach 1939-1941 ... 348
ROZDZIAŁ VII – LUBOCZA ... 362
Franciszek Twaróg – Lubocza ... 363
Kronika szkolna ... 369
Franciszek Twaróg – Moje życie, dążenie i praca ... 388
Adam Gryczyński – Wspomnienie o Marii Zderkowskiej ... 401
Jerzy Zderkowski – Wspomnienie ... 409
List ... 410
ROZDZIAŁ VIII – GRĘBAŁÓW ... 422
Franciszek Twaróg – Grębałów ... 423
Wspomnienia Franciszka Nowaka z Grębałowa ... 424
Adam Gryczyński – Franciszek Nowak, ostatni szopkarz z Grębałowa ... 428
PODZIĘKOWANIA ... 442

Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie.
Jan Zamoyski, cytat z aktu fundacyjnego Akademii Zamojskiej, 1600 r.

PRZEDMOWA

W Nowej Hucie jak w magicznej soczewce skupiają się blaski i cienie powojennej historii Polski. Z jednej strony mieliśmy odbudowę kraju ze zniszczeń wojennych, nowe mieszkania, fabryki, miejsca pracy, istniała darmowa edukacja i służba zdrowia, a z drugiej – ideologiczna indoktrynacja, prześladowania i fala wywłaszczeń. Dla jednych to miasto wraz z Kombinatem na zawsze pozostanie klątwą systemu komunistycznego, odpowiedzialnego za degradację Krakowa jako sanktuarium narodowego i katastrofę środowiska naturalnego, dla innych zaś szansą na lepszy awans społeczny i start życiowy. Nakładają się na to ówczesne realia geopolityczne i układ sił. Padają różne argumenty, ścierają się przeciwstawne emocje, poglądy i postawy. Dziś, kiedy uległ zmianie klimat polityczny Polski, która po półwieczu oddziaływań komunistycznego totalitaryzmu sowieckiego znalazła się w Unii Europejskiej, a od rozpoczęcia budowy Nowej Huty dzieli nas odpowiedni dystans czasowy, można ten splot okoliczności zobaczyć i ocenić z szerszej perspektywy. Tę propagandową budowę realizowano z wielkim rozmachem w ramach planu sześcioletniego w latach 1950-1955, który stawiał na industrializację według wzorów radzieckich, co obok rozwoju przemysłu ciężkiego spowodowało szereg reperkusji; w postaci wzrostu klasy robotniczej, migracji ludności wiejskiej do miasta i zakładania nowych osiedli, kosztem ojcowizn i wyrwanych „korzeni" pierwotnych mieszkańców. Wspominając budowniczych Nowej Huty: architektów, inżynierów, rzemieślników, robotników, junaków – w większości ludność napływową, nie można zapomnieć o rdzennych mieszkańcach kilkunastu wiosek wchłoniętych przez to miasto. Oni byli tu wcześniej, wielu z nich wciąż żyje, a odkłamanie stereotypów, krzywdzących mitów i przybliżenie ich zapomnianego świata jest naszym obowiązkiem. Z punktu widzenia rodzimej antropologii kultury, książka ta w sposób symboliczny przywraca relacjom Nowa Huta – wieś podkrakowska to, co zostało wcześniej przerwane, utracone i zamazane. Z uwagi na wybór tematu jest głównie świadectwem przemian w dziedzinie edukacji i wychowania, ale też w wielu innych sferach życia społecznego i jednym ze źródeł poznawania historii lokalnej.

Apel

W styczniu 2006 r. w prasie, ulotkach i w Internecie ukazał się mój apel dotyczący pomysłu gromadzenia archiwalnych fotografii, wspomnień i dokumentacji pochodzącej od ludzi z terenów, na których zbudowano Nową Hutę. Celem tego przedsięwzięcia było utrwalenie śladów przeszłości za pomocą skanera i aparatu fotograficznego, by w ten sposób zapisać pamięć o dawnych mieszkańcach podkrakowskich wsi: Mogiły, Bieńczyc, Czyżyn, Pleszowa i in. Była to także próba rekonstrukcji wizerunku świata za pomocą nośników cyfrowych, odzwierciedlających minioną rzeczywistość, którą bez ich pośrednictwa trudniej byłoby nam pojąć. Nastąpiło sukcesywne gromadzenie, opracowywanie i udostępnianie materiałów. Chciałem, po całej serii wcześniejszych publikacji i wystaw poświęconych Nowej Hucie, pokazać dla zachowania równowagi i ciągłości oblicze tych ziem sprzed „wielkiej budowy". Ów świat, który odszedł niemal w całkowite zapomnienie, tę jego utraconą cząstkę, jaka w okresie PRL rzadko gościła na kartach naszej historii, na domiar złego ukazującej ten obszar w krzywym zwierciadle, jako egzemplifikacja biedy galicyjskiej, zacofania, marnej oświaty, starych chałup i jałowych ugorów.

Rezonans społeczny

Takie ujęcie tematu wraz z hasłem „czas zatrzymany" spotkało się z narastającym zainteresowaniem. Okazało się, że potomkowie tutejszych gospodarzy, po pewnym okresie wahania i przełamaniu bariery nieufności, z ochotą podjęli inicjatywę wskrzeszenia wizerunku świata swoich przodków. Akcja otrzymała wsparcie Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Prezydenta i Urzędu Miasta Krakowa, Rady Miasta Krakowa, Porozumienia Dzielnic Nowohuckich, Komitetu Obchodów 60-lecia Nowej Huty oraz macierzystego

Nowohuckiego Centrum Kultury, co dało asumpt do podjęcia żmudnego poszukiwania archiwaliów. Proces ten nabrał większego tempa w kwietniu 2006 r. po zamieszczeniu artykułu „Podkrakowscy Indianie" pióra Katarzyny Kobylarczyk w „Dzienniku Polskim" oraz po szeregu innych publikacji o jego powstaniu, przebiegu i efektach. W następnych latach urządzono kilka wystaw, wydano broszurę „Franciszek Twaróg – nauczyciel z Luboczy" oraz dwie książki: „Czas zatrzymany 1" i trzytomowe opracowanie „Czas zatrzymany 2". W lipcu 2007 r. ukazał się album „Nowa Huta – najmłodsza siostra Krakowa" wraz z wystawą plenerową na placu Centralnym, którą obejrzały dziesiątki tysięcy osób, a w 2009 r. nakręcono paradokumentalny film „Pamiętnik Leo". Prócz tego w nowohuckich placówkach oświatowych, bibliotekach i klubach zorganizowano kilkadziesiąt spotkań i pokazów multimedialnych popularyzujących tematykę „przed-nowohucką", a na skwerze przed NCK wielokrotnie pokazano fragmenty wystawy o „najmłodszej siostrze Krakowa".

Plon

Zachowane obrazy i wspomnienia przenoszą odbiorcę w nostalgiczny klimat pokazując, że zanim nastała epoka betonu, stali i asfaltu, istniały tu całkiem odmienne realia i rytm życia. Ludzie nie byli ogarnięci gorączką spraw doczesnych w takim szalonym tempie jak dzisiaj. Pomimo trudnych warunków egzystencji jakże często na zdjęciach się uśmiechają. W ich jasnych spojrzeniach odmalowane są takie cechy jak serdeczność, duma, szczerość i skromność. Na zdjęciach widać zarówno znanych kmieci, działaczy ludowych, wójtów, księży i nauczycieli, jak również ludzi anonimowych; dzieci i dorosłych, których zachowany wizerunek pozostał jedynym po nich wspomnieniem. Widać, że istniał kult przyrody, ponieważ ona i zmienność pór roku wyznaczały rytm ich codziennych zajęć i obowiązków. A byli to ludzie bardzo pracowici i zdolni do wielkiego wysiłku i wyrzeczeń. Na zdjęciach widzimy ich podczas wykonywania prac polowych; przy żniwach i zbiorach płodów rolnych, w czasie koszenia łąk, pielęgnacji pasiek i ogrodów. Fotografie ukazują miejscową ludność w czasie dożynek, parad, festynów i zebrań, ale także podczas spotkań w urokliwych miejscach; przy jazach na Dłubni w Bieńczycach i Krzesławicach, nad Wisłą, na kopcu Wandy w Mogile czy podczas zabaw na Wielkiej Łące. Widać, że jeżdżono koleją, furmankami lub udawano się pieszo do Krakowa na Rynek i Wawel. Brano też udział w pielgrzymkach i wyprawach do odległych miejscowości: Częstochowy, Kalwarii Zebrzydowskiej, Zakopanego, Czernej, Racławic i Ojcowa. Organizowano wycieczki na kopce Wandy, Krakusa oraz do Lasu Wolskiego, gdzie w drugiej połowie lat 30. ubiegłego wieku gremialnie uczestniczono w sypaniu kopca Józefa Piłsudskiego na Sowińcu.

Ludzie honoru

Warto przypomnieć że w gminie Mogiła (na terenie obecnej Nowej Huty) zwłaszcza w okresie międzywojennym pojawiło się wiele postaci, które zasłużyły na miano tytanów myśli, pracy, ducha i odwagi. Utrata bądź rozproszenie archiwaliów, powojenne migracje ludności oraz dotkliwy brak poczucia ciągłości sprawiły, że tylko nielicznych udało się wydobyć z otchłani zapomnienia. Niestety, oni wciąż pozostają nieznani, nie są zauważeni w mediach, na ogół nie występują w piśmiennictwie, w szkole nikt o nich nie uczy, nawet nie wspomina. Jeszcze inni są wymienieni tylko na skromnych tablicach pamiątkowych umieszczonych zwykle gdzieś w kościele, na cmentarzu lub kaplicy. Na myśl przychodzą tu gorzkie słowa Prymasa Tysiąclecia, ks. kardynała Stefana Wyszyńskiego: *Naród bez dziejów, bez historii, bez przeszłości, staje się wkrótce narodem bez ziemi, narodem bezdomnym, bez przyszłości. Naród, który nie wierzy w wielkość i nie chce ludzi wielkich, kończy się.*

Ludzie ci, oprócz potencjału intelektualnego i mocnego charakteru, posiadali cenny dar, mianowicie wizję przyszłości Polski, co przekładało się na ich sumienną pracę, pełnione funkcje i obowiązki społeczne; przywództwo i członkostwo w organizacjach młodzieżowych, ludowych i stowarzyszeniach katolickich. Niektórzy z nich walczyli w czasie I i II wojny światowej na wielu frontach, działali w podziemiu i tajnym nauczaniu, zaś ci, którym udało się przeżyć, w okresie stalinowskim byli zwykle usuwani z życia publicznego, marginalizowani lub pozbawiani pracy. Wcześniej, po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w 1918 r., czyli po 123 latach zaborów i niewoli swoją działalnością dowiedli, że mimo ogromnych strat ludzkich i materialnych, przetrwał w niej duch narodowy, wytrzymując długą próbę czasu – aż pięć pokoleń. Lecz wówczas jedną z pierwszych rzeczy jakie podjęto była reforma edukacji, która ogólnie rzecz biorąc polegała na tym, aby szkoły służyły państwu, żeby uczyły miłości do Ojczyzny, a całą wiedzę, umiejętności i talenty można było potem przełożyć na dobro wspólne. Mieli w tym zasługę kierownicy szkół i nauczyciele, którzy nie tylko uczyli dzieci obowiązkowych przedmiotów, ale kreując ich charaktery byli w pełni tego słowa znaczeniu wychowawcami. To właśnie oni wraz z rodziną i księżmi wpajali im od małego zasady moralne, szacunek dla historii Polski i chrześcijańskiej tradycji. Tego rodzaju wartości były przekazywane uczniom w szkole i podczas zajęć pozalekcyjnych jak: wycieczki krajoznawcze, zwiedzanie Krakowa jego zabytków i muzeów, udział w przedstawieniach teatralnych, chórach i zespołach muzycznych, zajęciach sportowych, pracach społecznych, pielgrzymkach i uroczystościach religijnych. Tamci nauczyciele odeszli już z tego świata, ale wciąż są obecni w sercach i umysłach swoich wychowanków, jak również na kar-

tach tej książki. Do jej powstania przyczyniła się dobra wola i życzliwość wielu osób, które nie szczędząc swego czasu ofiarnie pomagały mi w różnych okolicznościach przy zbieraniu materiałów oraz w pracochłonnym przepisywaniu rękopisów, maszynopisów, dokumentów i archiwalnych kronik szkolnych.

Szkolnictwo w Galicji

W pierwszej połowie XIX w. szkolnictwo w zaborze austriackim było germanizowane, a języka polskiego używano tylko w szkółkach parafialnych. Jego organizacja i poziom nauczania pozostawiały wiele do życzenia. Sytuacja zmieniła się na lepsze, kiedy w okresie przekształcania monarchii austriackiej w Austro-Węgry poszczególne kraje uzyskiwały szerszą autonomię, własne samorządy terytorialne i sejmy, co sprzyjało możliwości rozwoju szkolnictwa. Szerzenie oświaty tamowało jednak zacofanie gospodarcze, obciążenia finansowe i konserwatyzm elit społecznych, czego przejawem było dzielenie szkół ludowych na dwa zróżnicowane typy: miejski i wiejski. Program i dobór materiału nauczania wyraźnie akcentował wiernopoddańczy charakter szkoły galicyjskiej, co było umiejętnie wzmacniane uroczystościami natury państwowej i kościelnej (np. uroczyste święta i nabożeństwa z okazji urodzin, imienin, rocznic wstąpienia na tron Najjaśniejszego Pana Cesarza Franciszka Józefa I oraz Najjaśniejszej Pani Cesarzowej Elżbiety, przystrajanie szkół, przemówienia, deklamacje, śpiewy). Do reorganizacji i repolonizacji szkolnictwa w Galicji przyczynił się Józef Dietl (1804-1878), lekarz, profesor i rektor UJ, prezydent Krakowa, powołując w 1866 r. Radę Szkolną Krajową – władzę oświatową nad szkołami ludowymi i średnimi. Do jej kompetencji należał nadzór pedagogiczny, mianowanie nauczycieli, układanie programów i zatwierdzanie podręczników. Powstają seminaria nauczycielskie; rozwijają się gimnazja klasyczne; są tworzone szkoły przemysłowe oraz rzemieślnicze. Podstawą prawną organizowania galicyjskich szkół ludowych była ustawa państwowa z 14 maja 1869 r., która co prawda zakładała powszechność i obowiązkowość nauczania dzieci w wieku od 6 do 14 lat, ale istniały ograniczenia i przeszkody w jej realizacji; nagminne uchylanie się od obowiązku, słaba frekwencja w ciągu roku czy brak wystarczającej ilości sal lekcyjnych i sił nauczycielskich. Potem Sejm Krajowy uchwalił projekt, który zatwierdzono 2 maja 1872 r. jako „Ustawę o zakładaniu i utrzymywaniu publicznych szkół ludowych i posyłaniu do nich dzieci". Jej przepisy określały naukę jako obowiązkową i bezpłatną dla dzieci obojga płci w wieku 6-12 lat. Ustanowiono jednakowy program nauczania dla szkół miejskich i wiejskich. Program ten obejmował naukę czytania i pisania w języku ojczystym, wiadomości z nauk przyrodniczych, historii, geografii i religii. Następnie w 1883 r. znowelizowano państwową ustawę szkolną, która różnicowała szkoły ludowe na wiejskie i małomiasteczkowe oraz miejskie. Kolejną reorganizację szkolnictwa ludowego w Galicji ujęto w ustawie z dnia 23 maja 1895 r. „O zakładaniu i urządzaniu szkół publicznych ludowych", która praktycznie obowiązywała do końca rządów zaborcy. Ustawa określała szkołę wiejską jako szkołę typu rolniczego, której głównym celem było zatrzymanie dziecka chłopskiego w zawodzie jego rodziców.

Ograniczony zakres treści programowych, realizowany w zmniejszonym wymiarze godzin lekcyjnych uniemożliwiał dzieciom możliwość dalszego kształcenia, bez pobierania dodatkowych korepetycji lub nauki w mieście i pobytu „na stancji". A to wiązało się z wysiłkiem finansowym rodziców bądź opiekunów, na który stać było niewielu i kierat niewolniczej pracy oraz zdeterminowanego w ten sposób losu wiejskich dzieci się domykał. Nakazywano aby nauczyciel prowadził nauczanie ściśle według programu, bez możliwości jego rozszerzania bądź uzupełniania wiedzy uczniów, której dany przedmiot lub podręcznik nie przewidywał. W ten sposób władze celowo utrwalały wyznaczony przez nie kierunek polityki i pracy oświatowej, zgodnie z założeniami rządzącej w Galicji partii konserwatywnej, lojalnej wobec monarchii austriackiej. Dopiero narastający chłopski ruch polityczny zorganizowany w Stronnictwie Ludowym podjął skuteczną walkę z tamowaniem oświaty na wsi, dzięki czemu chłopskie dzieci stawały się coraz częściej uczniami gimnazjów, co otwierało im drogę do uniwersytetu. Z końcem XIX w. w Galicji dużą rolę odegrało Towarzystwo Szkoły Ludowej, stopniowo zaczęły rozwijać się organizacje nauczycielskie, powstawały szkoły i ochronki, wydawano czasopisma pedagogiczne i młodzieżowe. Pojawiły się wybitne jednostki jak ks. Stanisław Stojałowski (1845-1911), zwany powszechnie „ojcem sprawy ludowej", który od 1875 r. redagował dla chłopów tygodniki „Wieniec" i „Pszczółka". Głównym ich celem była propaganda solidaryzmu społecznego, budzenie świadomości narodowej mieszkańców wsi galicyjskich, podniesienie poziomu oświaty i kultury oraz gospodarki chłopskiej. Zdobył dużą popularność organizując pielgrzymki i demonstracje, ale i wycieczki koleją celem poznania zabytków Krakowa, tworząc wiejskie kółka rolnicze i komitety wyborcze. Pobudził masy chłopskie w Galicji do samodzielnego myślenia i działania. Zaczął od tworzenia czytelni dla ludu. Założył Towarzystwo Ludowe Oświaty i Pracy. Był prześladowany przez władze kościelne i świeckie, wiele razy stawał przed sądem, dwa lata spędził w więzieniu. W 1896 r. został obłożony klątwą kościelną, którą zdjął z niego dopiero sam papież. Inną znaną postacią był Henryk Jordan (1842-1907), lekarz i profesor UJ, który założył w 1889 r. w Krakowie park sportu i zabaw, gdzie organizowano czas wolny dla dzieci i młodzieży. Prowadzono w nim zajęcia głównie dla pozbawionych opieki i odpowiednich warunków w domu rodzicielskim. Park Jordana zapoczątkował zakładanie tego typów ogrodów w całym kraju. Rozwojowi kulturalnemu, a zarazem i uczuć patriotycznych, służyło ustawienie wzdłuż głównej alei parku rzeźb-popiersi sławnych Polaków, przy których Henryk Jordan wygłaszał pogadanki, łącząc tym samym wychowanie fizyczne, estetyczne i moralne w jedną całość.

Nie brakowało też w Galicji głosów mocno krytykujących obowiązujący program i system szkolny. Znane jest przemówienie sejmowe Franciszka Ptaka (1859-1936) z Bieńczyc, działacza ruchu ludowego, posła do galicyjskiego Sejmu Krajowego i przyjaciela młodopolskich artystów, który grzmiał: *(...) Zabierając głos w tej sprawie jako poseł włościański – muszę z jednej strony zaznaczyć, że lud polski uświadomiony gotów jest do nawet jeszcze większych ofiar na szkoły. Z drugiej jednak strony muszę imieniem ludu podnieść i to z całym naciskiem, że obecna szkoła ludowa, system wychowania, system prowadzenia oświaty szkolnej nas nie zadowala (...). Mówiąc o systemie mam na myśli ducha, jaki panuje w naszych szkołach. Te szkoły nasze są wszystkim innym, tylko nie są szkołami polskimi. Wprawdzie tam mówi się do dziatwy po polsku, ale tam brak polskiego ducha i polskiej myśli. Nasze szkoły nie są szkołami narodowymi. Idźcie panowie na wieś do szkoły i posłuchajcie czego tam uczą – o wszystkim się mówi: o Chinach i o biegunie północnym, o rzekach i górach w Australii, Azji – ale bardzo mało się mówi o tym, co nam najdroższe; o naszych miastach i górach, o naszych rzekach, o naszej przeszłości. Bo jakkolwiek dużo w tej przeszłości działo się złego, to jednak są tam karty złote dziejów naszych i o wszystkim zapominać i milczeć nie wolno. Gdyby kto obcy wszedł do szkoły i nie słyszał języka wykładowego, to by nie wiedział jaka to szkoła, nikt by się nie domyślił, że to szkoła polska. (...) Z historii polskiej uczy się dzieci najdalej do Sobieskiego, o naszych walkach o wolność, o naszych wrogach, o prześladowaniu, o rozbiorach, o męczeństwie narodu mówić w szkole nie wolno. I na takie szkoły mamy łożyć dziesiątki milionów grosza z kieszeni ludu? Ja sam byłem świadkiem na egzaminie w Raciborowicach pod Krakowem, gdzie gdym zapytał chłopaka czy wie co to była Konstytucja 3 Maja, to delegat Rady Szkolnej mi przerwał wołając: – „To nie należy do szkoły, tego pytać nie wolno!" Tak panowie, to są fakty nie odosobnione, to jest system, który pokutuje w Radzie Szkolnej – to tendencja! Przecież znane są wypadki, że przeniesiono nauczyciela w drodze służbowej na inne posady, za to, że nauczał dzieci śpiewać „Jeszcze Polska nie zginęła"! I czy panowie będziecie się dziwić ludowi że on takich szkół nie chce i że na takie szkoły szkoda pieniędzy. Nauczyciel, choćby chciał być apostołem polskości, to mu nie wolno, bo go zaraz prześladują i dokuczają. I dawniej byli nauczyciele pełni zapału i patriotyzmu, ale dzisiaj już ich coraz mniej bo ich zgnębił system ludzi złej woli. Kierunek wychowania naszej dziatwy jest nienarodowy – jest żaden, ale i co do samej nauki, to wiele o tym można by mówić. Nasze dzieci coraz mniej ze szkoły korzystają. Niestety 90 procent dzieci opuszczając szkołę po 4 lub 6 latach nauki nie umie ani porządnie czytać ani uczciwie pisać. A przecież łożąc tyle pieniędzy na szkoły musimy i mamy prawo się domagać, aby nasze dzieci były wychowane w duchu narodowym, aby dziecko wiedziało, że jest Polakiem lub Polką, aby znało swoje dzieje, aby umiało śpiewać pieśni polskie. A drugie: musimy się domagać, aby dziecko po kilku latach nauki umiało dobrze czytać po polsku i bez błędu pisać po polsku i choć tyle rachować, aby je pierwszy lepszy łotr nie potrafił okpić i oszukać – to nasze skromne wymagania od których nie odstąpimy. (...) I dlatego imieniem ludu, który tyle łoży na szkoły – z całym naciskiem domagam się, aby tam gdzie już jest szkoła i nauka – aby tam wychowanie było polskie i narodowe, a następnie aby nauka była widoczną. Inaczej szkoda tych milionów, które co roku na szkołę dajemy.*

We wspomnieniu pośmiertnym o Franciszku Ptaku, które zamieszczono w prasie krakowskiej 30 lipca 1936 r., można m.in. przeczytać: *Jako syn chłopski, samouk, garnął się do świata, czytając wiele. Równocześnie związał się z ruchem ludowym, który na ówczesnym terenie Galicji wzmagał się z dnia na dzień. Jako syn chłopski przystąpił ś.p. Ptak do Stronnictwa Ludowego, które naówczas po ś.p. ks. Stojałowskim reprezentował Jan Stapiński, b. Prezes Koła Polskiego w parlamencie austriackim. Ś.p. Franciszek Ptak pracował przy jego boku, jako niezwykła indywidualność, był w 1908 r. wybrany na posła do sejmu galicyjskiego. W r. 1924 przystąpił ś.p. Ptak do P.S.L. „Piast".*

Gwałtowny i głęboki kryzys w oświacie, jak i we wszystkich innych dziedzinach, pojawił się wraz z I wojną światową. Nawet pobieżna lektura zamieszczonych w tej książce wspomnień i kronik szkolnych z tego okresu ukazuje katastrofalny stan ówczesnego szkolnictwa i poziom nauki, co w 1917 r. odzwierciedlił Franciszek Twaróg, kierownik szkoły w Luboczy, pisząc: *Poziom umysłowy i stan nauki u dzieci pozostawiał wiele do życzenia, a spowodowanym było to przez ewakuację i długie przerwy w nauce wskutek ruiny budynku szkolnego, braku sprzętów, opału, opieki domowej nad dziećmi. Nauczycielstwo było jedynym, które je mogło od zupełnego zdziczenia uratować i ratowało. I na tym miejscu musi się nadmienić, że ten najbiedniejszy z biednych, najbardziej pokrzywdzonych, żyjący w czasie, gdy zarobek chłopca sprzedającego gazety przenosił kilkakrotnie stukoronową pensję przedwojenną, która mu nie wystarczała nawet na najnędzniejsze wyżycie, szedł o głodzie nieść oświaty kaganiec z całym zaparciem samego siebie w zrozumieniu idei i tylko dla idei, której życie, zdrowie poświęcił i straszną nędzę cierpiał, co mu przed całym społeczeństwem polskim poczytanym wreszcie być musi.*

Szkolnictwo w Polsce w dwudziestoleciu międzywojennym

Wkrótce po odzyskaniu przez Polskę w 1918 r. niepodległości ujawnił się niesłychany entuzjazm i twórczy pęd pracy w wielu sferach życia państwowego. Energia ta zaznaczyła się również w dziedzinie nauczania. Szkoła z dawnego „kaganka oświaty" stawała się z wolna świątynią polskiej mocy i fundamentem narodowej świadomości. Miała ona bowiem wychować przyszłych, wartościowych obywateli Państwa. Zdawano sobie sprawę, że szkoła i życie w jednej linii leżą i tam, gdzie się kończy twórczość szkoły, zaczyna się twórczość całego narodu, a jakość pracy pedagogicznej przekłada się w perspektywie lat na rzecz pomyślności państwa. Krzewiono idee tak, aby stawały się wykładnią postępowania całego społeczeństwa. Hasło „oświata powszechna", wynikłe z potrzeby chwili i wskrzeszonego bytu państwowego, znalazło swój wyraz w ustawodawstwie. Już 7 lutego 1919 r. wychodzi bardzo ważny akt prawny, którego pierwszy artykuł mówi: *Wychowanie w zakresie szkoły powszechnej jest obowiązkowe dla wszystkich obywateli państwa.* Jest to „Dekret o obowiązku szkolnym", który 22 lipca 1919 r. zostaje przez Sejm Konstytucyjny zatwierdzony jako ustawa. Stosownie do postanowień Dekretu, Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego (MWRiOP) już w 1920 r. stworzyło szkołę siedmiooddziałową, tj. liczącą klasy od 1 do 7. W roku tym wprowadzać też zaczęto do szkoły powszechnej nowy program nauki szkoły siedmioklasowej. Jeszcze wcześniej, bo 1 października 1917 r. wyszły „Przepisy tymczasowe o szkołach elementarnych", których naczelnym zadaniem było ścisłe powiązanie szkoły ze społeczeństwem i zapewnienie tej szkole należytej opieki ze strony państwa.

Wreszcie hasło „oświaty powszechnej" znalazło swój odpowiednik w Konstytucji z 17 marca 1921 r., której artykuł 94 stanowił: *Obywatele mają obowiązek wychowywania swych dzieci na prawych obywateli Ojczyzny i zapewnienia im co najmniej początkowego wykształcenia*. Dalej zaś artykuł 118 Konstytucji głosił, że *w zakresie szkoły powszechnej nauka jest obowiązkowa dla wszystkich obywateli Państwa*. W związku z wymienionymi ustawami MWRiOP wydało szereg rozporządzeń i instrukcji dotyczących wykonywania obowiązku szkolnego, m.in. Rozporządzenie z 19 lipca 1922 r., które postanawiało: *wprowadzić z początkiem roku szkolnego 1923/24 bezwzględny obowiązek szkolny dla wszystkich dzieci urodzonych w roku szkolnym 1916 (tj. dzieci siedmioletnich) i tym samym zapoczątkować powszechne nauczanie. W następnych latach szkolnych będą stopniowo obejmowane bezwzględnym obowiązkiem szkolnym coraz młodsze roczniki dzieci tak, aby z początkiem roku 1929/30 wszystkie dzieci w wieku szkolnym znalazły się w szkole*[1]. Tak więc hasło powszechnego i obowiązkowego nauczania znalazło odpowiednie normy prawne i droga do oświaty na szczeblu podstawowym została otwarta, przygotowano również kadrę wykwalifikowanych nauczycieli. W wychowaniu kładziono nacisk na patriotyzm, wierność tradycji chrześcijańskiej i postawę moralną młodzieży. Palącym problemem pozostawała sprawa gmachów szkolnych. Kwestię ich utrzymywania i budowy uregulowano ustawami z 17 lutego 1922 r.: „Ustawą o zakładaniu i utrzymywaniu publicznych szkół powszechnych" i „Ustawą o budowie publicznych szkół powszechnych".

Dodajmy, że w okresie dwudziestolecia międzywojennego na terenie obecnej Nowej Huty powstały imponujące rozmachem i funkcjonalnością jak na tamte czasy szkoły w Mogile i Czyżynach, zaś w Pleszowie, staraniem tamtejszego kierownika szkoły, Jana Twaroga, nadbudowano piętro. Po przewrocie majowym w 1926 r., pod wpływem haseł uzdrowienia stosunków wewnętrznych i wzmocnienia roli państwa, kształtował się program i kierunek wychowania kładący nacisk na wiązanie pracy dydaktycznej z oddziaływaniem w duchu poczucia odpowiedzialności i poszanowania państwa. Na mocy ustawy z 1932 r., zwanej „jędrzejewiczowską reformą szkolnictwa", opracowanej przez ministra Janusza Jędrzejewicza, zachowano siedmioletni obowiązek szkolny w zakresie szkoły powszechnej, utrzymując zróżnicowanie organizacyjne i programowe (szkoły powszechne I, II i III stopnia, tj. cztero-, sześcio- i siedmioklasowe), sankcjonując tym różnice w poziomie wykształcenia. We wsiach działały zwykle szkoły I stopnia, co utrudniało dostęp dzieci wiejskich do szkół średnich i wyższych. W tym niełatwym okresie wychodzenia z przeszło stuletniej niewoli, którego bolączki pogłębiał wielki kryzys gospodarczy i widmo nadchodzącej wojny, mimo nie rozwiązanych niektórych problemów, w sprawie oświaty zrobiono wiele. Zdołano mianowicie zorganizować wewnętrzne życie szkoły, uprzednio zrujnowanej przez stacjonujące w niej wojska. Była ona potem stopniowo remontowana i zaopatrywana w odpowiednie pomoce naukowe, podręczniki, programy, zakładano w nich biblioteki, organizowano dodatkowe zajęcia dla dzieci, inicjowano kursy i odczyty dla dorosłych. Pracę w dziedzinie oświaty pozaszkolnej wspomagał też Kościół, organizacje społeczno-polityczne, domy ludowe i świetlice. Prowadzono dość szeroką działalność kulturalną, tworząc w większych wsiach amatorskie zespoły teatralne, orkiestrowe, śpiewacze i sportowe. Polecam uwadze opisany na tym polu imponujący dorobek Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży (Męskiej i Żeńskiej, a wcześniej Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej) w Mogile, Bieńczycach i Czyżynach, Związku Młodzieży Wiejskiej

1. *Dziennik Urzędowy Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego*, nr 26 z 1922 r., poz. 292.

„Wici" w Pleszowie, „Koła Młodych" w Luboczy i in. Niewątpliwie wzrosła ranga i etos pracy nauczycieli, szczególnie zaś autorytet kierowników szkół, co ukazują kroniki i wspomnienia byłych uczniów, podkreślające ich cechy; wiedzę, umiejętności, szlachetność, odpowiedzialność i powołanie do zawodu.

W okresie międzywojennym dobrze rozwijał się ruch nauczycielski, istniały związki i stowarzyszenia, a wśród nich największy, powstały 1930 r. – Związek Nauczycielstwa Polskiego. Organizowano Wyższy Kurs Nauczycielski i kursy specjalistyczne: uprawy roślin, hodowli, stolarskie i in. Wzrost poziomu oświaty i rozwój szkolnictwa był przedmiotem troski i zainteresowania wszystkich, którym naprawdę zależało na przyszłości i sile narodu. Wznoszono budynki szkolne i stwarzano odpowiednie warunki pracy i rozwoju, wiedząc, że każdy pieniądz wydany na oświatę stanowi kapitał, który przez całe lata będzie dawał ogromne i nie dające się policzyć efekty. Pamiętano, że szkoła wychowuje narodowi dobrych synów i córki, a państwu już za kilkanaście lat zapewni światłych obywateli.

W czasie okupacji hitlerowskiej

Pokładając nadzieje w edukacji w latach poprzedzających wojnę inwestowano w przyszłość. Stawiano tym samym strażnice myśli i polskiego ducha, starając się zapewnić Polsce w dalszej perspektywie spokój i dobrobyt, co we wrześniu 1939 r. zburzyła agresja wojenna hitlerowskich Niemiec i ZSRR, które odtąd prześcigały się wzajemnie w zbrodniach ludobójstwa i eksterminacji elit, nie mówiąc już o niszczeniu oświaty w procesie odczłowieczenia istoty ludzkiej. Na terenie Generalnego Gubernatorstwa pozostawiono jedynie szkoły powszechne i zawodowe z okrojonymi programami nauczania. Na porządku dziennym było zajmowanie budynków szkolnych na różne cele; kwatery dla żołnierzy, biura i magazyny. Przenoszono pedagogów na inne miejsca i stanowiska, uczące żony nauczycieli zwalniano, klasy rugowano do gorszych pomieszczeń, były przerwy w nauce i nieustanny lęk o życie. Nie można tu nie przytoczyć słów generała SS – Martina Bormanna: *Obowiązkiem Słowian jest pracować dla nas. Z chwilą kiedy ich nie potrzebujemy, mogą umrzeć. (...) Oświata jest niebezpieczna. Wystarczy, jeśli potrafią zliczyć do stu (...). My jesteśmy panami, my mamy pierwszeństwo*[2].

Odpowiedzią na likwidowanie szkolnictwa były jednak szybko powstające „tajne komplety", na których rozszerzano nauczanie zgodnie z dawniej obowiązującym programem: *W tej sytuacji nauczycielstwo polskie już w jesieni 1939 r. rozpoczęło tajne nauczanie organizowane samorzutnie w obronie oświaty, kultury i polskości. Tajne nauczanie objęło wszystkie środowiska, a szczególnie środowisko wiejskie, gdzie szczególną rolę odegrało Stronnictwo Ludowe, które w lecie 1942 r. podjęło ważną decyzję powołania przy szkołach podstawowych we wsiach pierwszych i drugich klas gimnazjalnych. Przeprowadzenie tej akcji, zwanej „Akcją gminną" Tajnej Organizacji Nauczycielskiej (TON), umożliwiło nauczycielstwo wysiedlone z terenów polskich włączonych do Rzeszy, w dużej ilości z miast ze szkół średnich, a nawet i wyższych, które osiadło na wszystkich terenach wiejskich Generalnej Guberni. Nauczyciele ci prowadzili w ciężkich warunkach konspiracji nauczanie zakazanych przedmiotów (historia, geografia Polski, literatura polska i śpiew) w budynkach szkół powszechnych, co jednak połączone było z dużym zagrożeniem. Musiano więc tajne komplety zbierać w prywatnych mieszkaniach, w stodołach, na wieżach kościelnych, w piwnicach, na polanach leśnych, aby tylko ukryć się przed żandarmami niemieckimi i donosicielami, tym bardziej że zarządzeniem generalnego gubernatora zabroniono od 1 V 1940 r. udzielania nauki poza szkołami, a dnia 11 XI 1941 r. na terenie Krakowa i innych miejscowości gestapo prowadziło w szkołach rewizję książek i rzeczy uczniów*[3]

Na tym terenie w szkołach powszechnych kierownikami w 1939 r. byli: Franciszek Romański (Mogiła), Józef Celiński (Bieńczyce), Franciszek Marszałek (Czyżyny), Tadeusz Krzywda (Krzesławice), Franciszek Twaróg (Lubocza), Jan Twaróg (Pleszów), Kazimierz Rumian (Raciborowice), Jadwiga Hauser (Ruszcza), Andrzej Rozowski (Branice). Miejscowa ludność miała szczęście, że pracowali tu nauczyciele z powołaniem i zasadami, obdarzeni elastycznością umysłu. Ludzie skromni i uczciwi, walczący nieraz z oportunizmem, którzy z poświęceniem uczyli tutejsze dzieci chłopskie w czasie wojny i pokoju, a one dzięki nim stawały się potem coraz częściej uczniami gimnazjów, co otwierało im drogę do uczelni Krakowa. Żyli też ludzie, którzy przywiązani do wiary, tradycji, rodziny, domu, pracy i ziemi ojczystej, wykuwali swój los w znoju codzienności. To oni w obliczu najwyższej próby – wojny, potrafili wznieść się na wyżyny heroizmu, poświęcając lub narażając swoje młode życie dla innych. Oprócz organizowania walki podziemnej budzili świadomość narodową, podtrzymywali ludzi na duchu, rozwijali zainteresowania historyczne, nieśli pomoc ludziom poszkodowanym przez okupanta. Roztaczali opiekę nad wysiedlonymi z innych dzielnic, ukrywali ludzi „spalonych" i Żydów, za co groziła śmierć.

Przesłanie

Naród dotknięty nadmiarem nieszczęść i dziejowych zawirowań, mimo zapłaconej daniny krwi, ziemi i wszelkich innych dóbr, musi się zdobyć na wysiłek ocalenia swojej prawdy historycznej i duchowości. Taki jest nakaz chwili. Kiedy nurt wydarzeń staje się wartki i zaczyna brakować ludzi pamiętających dawne czasy, trzeba

2. J. Heydecker, J. Leeb, *Trzecia Rzesza w świetle Norymbergii. Bilans tysiąca lat*, Warszawa 1979, s. 391.

3. S. Pater, *Nad ujściem Dłubni do Wisły*, Kraków – Nowa Huta 1989.

przebudzić się z letargu. Tu jest potrzebna mądrość oraz wiedza, konsolidacja, świadomość i zbiorowa energia psychiczna. Ale ważne są także spotkania, wykłady, książki, wystawy, filmy, a ze względu na łatwiejszą czynność – opisy zdarzeń i rejestracje wypowiedzi. Kiedy istnieją poważne kontrowersje i problemy ze zrozumieniem podważanego narodowego etosu oraz złożoności ludzkich charakterów, kiedy zaczyna brakować uczestników i naocznych świadków wydarzeń, naszym zadaniem jest popularyzowanie zebranych materiałów w dostępnej formie i poszukiwanie następnych. Powinnością jest uzmysłowienie młodszym pokoleniom, że wola przetrwania i najczęściej nieugięta postawa ukazanych tam ludzi, wobec zła uosabianego przez hitlerowskich, a wkrótce po nich ubeckich katów, kształtowała się pomimo wiekowych zagrożeń zewnętrznych i wewnętrznych. Że hartowała się w okresie zaborów, niewoli, powstań, wynaradawiania, deportacji, dwóch wojen światowych, ludobójstwa, kryzysów gospodarczych, bezrobocia i szalejącej w latach 1918-1920 grypy zwanej „hiszpanką".

Te wszystkie problemy jak głód, bieda, zaszczucie, upokorzenie, gorycz wszelkich porażek, a w okresie powojennym arsenał represji sowieckich; od wyroków śmierci poprzez więzienia, deportacje, zdradę, kłamstwa, indoktrynację po „bitwę o handel" oraz walkę z „kułakami" i „zaplutymi karłami reakcji"– wyrządziły niepowetowane straty. A jednak nie wykarczowały całkowicie ducha narodu. Walka ta nie potrafiła także zniszczyć jego dumy, godności i tysiącletnich korzeni. Czy warto zatem uczyć się jak czerpać z tych wszystkich prawd i postaw wcześniejszych pokoleń, które dojrzewały w naszej ojczyźnie, żeby nie zapomnieć kim się jest, kto był przed nami i ile wymagało to poświęcenia i przelanej krwi, abyśmy mogli się teraz nad tym zastanawiać? Słysząc i czytając, że nie warto „grzebać w przeszłości" bo to przeszkadza w osiąganiu celów wyznaczanych przez „postęp", wypada ten zniekształcony i zamazany kontekst historyczny odkrywać, przywracając mu należne miejsce w kulturze i edukacji. Historia może stać się nauczycielką życia i mądrości wtedy, gdy, rzetelnie potraktowana, zostanie wprowadzona do programów szkolnych i ogólnego modelu kształcenia. Myślenie o przyszłości nie może być całkiem oderwane od czasu minionego, gdyż stanowi jego konsekwencję. Przeszłość wyjaśnia teraźniejszość. Nawet bolesne, decydujące o losach kraju przeżycia, mogą stanowić impuls do budowania lepszej przyszłości. Przekonujmy się zatem o obowiązku zachowania dla potomnych naszej pięknej i bogatej, chociaż dramatycznej historii. A jeśli uda się w tym kierunku pobudzić aktywność i wyobraźnię społeczeństwa oraz decydentów, od których zależy wizerunek naszego regionu, miasta, wsi czy osiedla, to tym lepiej. Dlatego liczą się tu starania osób umiejących pomyśleć głęboko, zdolnych do analizy i uogólnień, posiadających rozeznanie jak wielka jest stawka i jak mało pozostało czasu, choćby tylko ze względu na pokolenie, które właśnie przemija. Wydaje się, że takie podejście jest nam potrzebne, bo uwzględniając aspekt historyczny, może spowodować realną zmianę na korzyść ludzi i miejsca w którym żyją.

Rozumna kontemplacja w oparciu o dokumentowanie tradycji i autentyzm wydarzeń może się przydać młodzieży, pragnącej dowiedzieć się o przeszłości czegoś więcej, niż może przeczytać w szkolnych podręcznikach. To wszystko razem stanowi ważną cząstkę naszej kultury i kapitału narodowego, której nie można powierzać ludziom cynicznym. Ona nie może podlegać grze wolnorynkowej ani być odkładana na bliżej nieokreśloną przyszłość. Gwałtowny rytm życia, chaos intelektualny, niepewność jutra oraz zachodzące w świecie przemiany sprawiają, że próbując się za wszelką cenę do nich dostosować, zwykle tracimy orientację. Czas jednak płynie nieubłaganie również dla tych, którzy starają się tego nie dostrzegać. Tymczasem intuicja i przywołane w tej książce refleksje uświadamiają, że człowiek nastawiony jedynie na nieustanny „postęp" i dobrobyt, ale za to pozbawiony własnych tradycji, naturalnego środowiska, społecznego zaplecza i rodzinnych więzi, staje się bezsilny wobec działań i manipulacji niszczących człowieczeństwo, wolność i samoidentyfikację. Każdy zatem, kto zechce i potrafi, powinien mieć niezbywalne prawo wypowiadać się w tej sprawie w duchu prawdy, według własnego sumienia i poglądów, bo tylko wówczas może powstać atmosfera zaufania, empatii i tworzenia przyjaznych relacji, które „wszystkim służą"...

Adam Gryczyński, kwiecień 2011 r.



Henryk Jordan (1842-1907) – polski lekarz, społecznik, pionier wychowania fizycznego w Polsce. Od 1895 r. profesor ginekologii i położnictwa na Uniwersytecie Jagiellońskim. Znany głównie z zakładania ogrodów zabaw dla dzieci, tzw. ogrodów jordanowskich.



Stanisław Stojałowski (1845-1911) – polski duchowny katolicki, polityk, poseł na sejm galicyjski i do parlamentu austriackiego, zwolennik panslawizmu i agraryzmu, wydawca pism ludowych: „Wieniec" i „Pszczółka".



Franciszek Ptak (1859-1936) – bogaty polski chłop, karczmarz, działacz ruchu ludowego, polityk PSL, wydawca, poseł na galicyjski Sejm Krajowy (1908-1913). Ptak aktywnie działał w ruchu ludowym już w latach 90. XIX w. Był członkiem Stronnictwa Ludowego: pełnił rozmaite funkcje w lokalnych strukturach ugrupowania oraz wydawał czasopisma, które następnie rozprowadzał w swojej karczmie. Kilkakrotnie kandydował na posła do Sejmu Krajowego Galicji. W 1908 r. uzyskał mandat z gmin wiejskich powiatu krakowskiego. Jego porażka kilka lat wcześniej w wyborach do austriackiej Rady Państwa znalazła odbicie w jednym z dialogów Wesela Stanisława Wyspiańskiego (w pierwszym akcie, gdy Gospodarz pyta: *Toście Ptaka wybierali?*). Przyjaźnił się z artystami, m.in. z Włodzimierzem Tetmajerem i Józefem Krasnowolskim. Angażował się społecznie, współfinansował inwestycje w obiekty użyteczności publicznej, takie jak Dom „Sokoła", szkoła w Bieńczycach czy krakowski Szpital Bonifratrów.



Franciszek Twaróg (1891-1968) – urodzony w Łuczanowicach, syn pochodzącego z Rabki parobka dworskiego Kaspra, członek Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół", absolwent Seminarium Nauczycielskiego, nauczyciel w Czulicach i Branicach. Był kierownikiem szkoły powszechnej w Luboczy, w której rozpoczął pracę w 1917 r. W 1934 r., dzięki jego staraniom, szkoła otrzymała sztandar, inicjował budowę Domu Ludowego w Luboczy oraz pracę Związku Nauczycielstwa Polskiego i Ochotniczej Straży Pożarnej. Był wielkim społecznikiem propagującym pszczelarstwo, sadownictwo i stolarstwo, świetnie grał na skrzypcach. Razem z żoną Teresą z domu Starkel, nauczycielką w lubockiej szkole, pracował nad kształtowaniem serc i umysłów mieszkańców. Czynił to także w czasie II wojny światowej, udostępniając swoje mieszkanie uczniom tajnych kompletów, sam na nich wykładając. Po wojnie nadal pracował w szkole, przewodniczył też komitetowi ds. elektryfikacji wsi. W 1954 r. Franciszek Twaróg został usunięty ze szkoły, ponieważ odmówił zdjęcia krzyża ze ściany szkolnej, lecz dzięki uporowi i protestom mieszkańców tej okolicy przywrócono go do pracy.



Stanisław Pater – urodził się 4 lutego 1907 r. w Starym Korczynie, woj. kieleckie, przepracował w zawodzie nauczycielskim 45 lat. Miał wykształcenie wyższe – ukończony Instytut Pedagogiczny w Warszawie. Pracę zawodową rozpoczął w 1927 r. w powiecie miechowskim. W miejscowościach Wilkowice i Podlesie budował szkoły i organizował proces wychowawczy i dydaktyczny. W okresie okupacji hitlerowskiej walczył w obronie Ojczyzny z bronią w ręku, wykazując się męstwem i odwagą. Należał do Batalionów Chłopskich i do organizacji „Młody Orzeł" – Miechowskie. Z narażeniem życia kolportował prasę podziemną, organizował i prowadził tajne nauczanie. Od 1953 r. zamieszkał w Nowej Hucie. W latach 1953-1956 pracował w Dziale Przygotowania i Szkolenia Kadr dla Huty im. Lenina. Był opiekunem praktyk uczniowskich. Pełnił też funkcję przewodniczącego Rady Oddziałowej przy Prezydium Dzielnicowej Rady Narodowej w Nowej Hucie. Od 1957 do 1972 r. był dyrektorem Szkoły Podstawowej nr 88 w Nowej Hucie.



Przedmowa do książki *Czas zatrzymany 2*

W książce „Czas zatrzymany 2" znalazły się teksty i fotografie w większości opublikowane po raz pierwszy. Są one plonem akcji gromadzenia zdjęć, opisów, opracowań, wywiadów terenowych i wspomnień, jakie napłynęły w odpowiedzi na apel skierowany w styczniu 2006 r. do dawnych i obecnych mieszkańców Nowej Huty. Projekt ten jest kontynuowany staraniem wielu osób i instytucji i wnosi wkład źródłowy w proces poznawania historii terenów wchłoniętych przez to miasto. Spotkania z udziałem jego uczestników, artykuły prasowe, audycje radiowe i telewizyjne, a zwłaszcza promocja pierwszego z tej serii wydawnictwa w Urzędzie Miasta Krakowa, po przyznaniu jej w marcu 2007 r. zaszczytnego tytułu „Krakowskiej Książki Miesiąca", wzbudziły spore zainteresowanie, motywując do dalszej pracy nad obecną edycją publikacji. Wystawy i pokazy zdjęć na terenie kraju (Warszawa, Kielce, Końskie, Kraków), łącznie z wielką plenerową ekspozycją pn. „Nowa Huta – najmłodsza siostra Krakowa" na placu Centralnym w Nowej Hucie, w ramach cyklu imprez z okazji 750-lecia lokacji Krakowa, były próbą odzyskiwania pamięci zbiorowej, godności i należnego miejsca w historii społeczności skazanej w okresie PRL na przemilczenie. Stereotypy, za pomocą których indoktrynowano przez całe dziesięciolecia, zostały poddane weryfikacji i konfrontacji z wersją wydarzeń opowiedzianych i zapisanych przez ludzi, których życiorysy splotły się z tą ziemią.

Potomkowie rodzin pochodzących z Mogiły, Bieńczyc, Czyżyn, Łęgu, Krzesławic, Grębałowa, Luboczy, Pleszowa, Ruszczy, Branic i Kościelnik podjęli inicjatywę wskrzeszenia własnej dumy, historii, barw lokalnej przeszłości i dlatego demonstrują solidarność, a zarazem ofiarność w rekonstruowaniu wizerunku świata swoich przodków. Dzięki zachowanym fotografiom i relacjom osób pamiętających jeszcze okres przedwojenny, okupację i lata 50. łatwiej można dostrzec fałsz i obłudę różnorodnych działań propagandowych, jakim poprzedni reżim polityczny poddał Nową Hutę i wszystko, co przed nią tu istniało. Dzięki wystawom i publikacjom w tutejszy proces dziejowy wpisani zostali ludzie zarówno znani: księża, wójtowie, działacze społeczni, sołtysi, bogaci kmiecie czy nauczyciele, jak i anonimowi, których utrwalony na zdjęciu wizerunek podczas Pierwszej Komunii Świętej, procesji lub odpustu pozostał jedynym zachowanym po nich wspomnieniem. Tylko nielicznym spośród osób ukazanych na zdjęciach dane było dożyć chwili obecnej, gdyż taka jest nieubłagana kolej rzeczy. Na fali powracającego zainteresowania egzystencją tamtych pokoleń rodzi się dość smutna refleksja o grzechu zaniechania i żal, że w minionych dziesięcioleciach nie poświęcono im wystarczającej uwagi. Ale upływ lat wcale nie oznacza, że ich życie okaleczone wojnami i przeorane kolejnymi eksperymentami społecznymi przestało nas interesować i że jest zbyt późno na gromadzenie po nich pamiątek. Ukazując indywidualne losy wpisane w dzieje narodu poznajemy inny, głębszy wymiar radości, sukcesów, porażek, tragedii. Syntezując wydarzenia z przeszłości widzimy znacznie więcej, co wpływa na zbiorową świadomość i wiedzę historyczną. Niech zatem doświadczenia pokoleń i wyciągnięte wnioski będą dla nas lekcją rozwagi i zadumy.

Historia to wrota do przyszłości, a współczesność jest konsekwencją dziejów, zarówno tych dalszych, jak i tych zapisanych w naszej pamięci. Dlatego warto zwrócić się ku tym dzielnym, a dziś nielicznym już ludziom, którzy w obronie ojcowizn, godności i wolności stawiali czoła przeciwności losu. Wielu z nich, będąc przykładem niesłychanej ofiarności, zapłaciło za podjęcie nierównej walki wysoką cenę. Jeszcze inni, przyjmując konformistyczną postawę wobec tych przemian i akceptując je, włączali się w ówczesny nurt życia, utrwalanie socjalistycznych zdobyczy i narzucanego porządku, który zresztą umiejętnie wykorzystywał zapał młodych – zwłaszcza przyjezdnych – którzy, odreagowując gehennę przeżyć wojennych i biedę zaznaną jeszcze w czasach sanacji, mieli teraz możliwość budowy ustabilizowanego życia. Ich korzyści i dążenia do realizacji naturalnych ludzkich potrzeb: szczęścia, miłości, bezpieczeństwa i akceptacji realizowały się właśnie tutaj – w Nowej Hucie. Jednak dla większości pierwotnych mieszkańców zniszczone poczucie ciągłości, osłabione więzi rodzinne, migracje, rozproszenie, gwałtowny napływ obcych dopełniały tylko czarę goryczy, a proponowane za wywłaszczenia zadośćuczynienie ze strony państwa było zwykłym szyderstwem. Honor miejscowych gospodarzy nie pozwalał im podjąć groszowych odszkodowań przekazywanych z reguły w depozyt. Trudno się temu dziwić, bowiem za trzymorgowe pole można było wtedy kupić zaledwie garnitur. Wielu z nich tracąc życiowy dorobek zupełnie się załamało; były przypadki samobójstw, nagłych chorób, rozpaczy, rozpicia i nędzy. Byli jednak i tacy, którzy znaleźli w sobie dość siły, aby w doświadczeniu płynącym z nieugiętej wiary i rozumu, pracy i miłości, dać podstawy egzystencji następnym pokoleniom. Łącząc tradycję wyniesioną z rodzinnego domu z nowoczesnością, jaką oferował ówczesny system, wtapiali się w nowe środowisko, podejmowali naukę, znajdowali pracę i mieszkania. Nie było to łatwe, gdyż komunistyczne władze awansem cywilizacyjnym przesłaniały w rzeczywistości daleko głębsze powody swoich kroków, obliczonych także na wzięcie odwetu wobec niepokornych. Dramatyczne dla miejscowej ludności zmiany były praktycznie kontynuacją okupacyjnej gehenny; od represji hitlerowskich nastąpiło płynne przejście do prześladowań okresu komunizmu. Zburzenie systemu dotychczas wyznawanych wartości i dynamika wydarzeń prowadziły do konfliktów ze światem zewnętrznym i problemów wewnętrznych. Ich przezwyciężenie wymagało postaw heroicznych, czego nie można było oczekiwać od wszystkich. Za wstrząsające zmagania z rzeczywistością trzeba było niekiedy zapłacić życiem, jeszcze częściej przesiedleniem lub emigracją.

Wielowymiarowe konsekwencje odkrywania minionego świata i ludzi zamieszkujących tu przed nami odczuwamy nieustannie. One mocno uświadamiają, jak wielkie są niezbadane obszary dziedzictwa kulturowego tego regionu, ile jest jeszcze do zrobienia oraz jak wiele z tego wszystkiego bezmyślnie (a może rozmyślnie?) i bezpowrotnie utracono. Złożyło się na to wiele różnych przyczyn, których wyjaśnianie pozostawmy czynnikom posiadającym w tym zakresie lepsze przygotowanie i kompetencje. Ale przecież każdy z nas może spróbować swych sił w podjęciu wysiłku dotarcia do źródeł wiedzy o tamtej rzeczywistości, którą trzeba odkrywać choćby ze względu na przemijające pokolenie i posiadaną przez nie bezpośrednią wiedzę o bogactwie odcieni życia społecznego, jakie posiadały wioski wchłonięte przez Nową Hutę. Nie chodzi tu bynajmniej o idealizację tamtego świata, który zresztą już dawno przestał istnieć, ani o epatowanie jego „martyrologią" (co jest niekiedy stawiane przez reprezentantów pewnej opcji jako zarzut współczesnym badaczom), ale o ukazanie – poprzez uchwycenie obiektywem aparatu i piórem – jego charakterystycznych fragmentów po to, aby wiedzieć skąd przychodzimy, jakie są nasze korzenie i abyśmy poznawali i chronili własną tożsamość. Zbyt wiele bowiem uczyniono aby ją zdyskredytować, zamazać, zdeformować lub zawłaszczyć, a w efekcie – zniszczyć. Stosowanie tych metod obliczone było przede wszystkim na młode pokolenie, które nie mając odpowiedniej wiedzy ani skali porównawczej, nie mogło się zorientować w dokonanej manipulacji użytej w celu zmiany znaczenia ideowego istotnych elementów naszej kultury narodowej. Przypominanie tych faktów nie ma na celu rozdrapywania ran, a jedynie okazanie, że nie padliśmy ofiarą powszechnej amnezji. Nowa Huta to miejsce, gdzie na stosunkowo niewielkim terenie – w sposób symboliczny, a zarazem bardzo realny – odbija się wyraźnie niczym w zwierciadle historia naszego powojennego kraju. To tutaj latem 1949 r. rozegrały się sceny niszczenia dojrzewających zbóż i innych płodów rolnych, gdzie przybysze „z czterech stron świata" wraz z narzuconą obcą ideologią zdominowali jej pierwotnych mieszkańców, tworząc od podstaw samodzielne miasto. Zbudowano tu domy mieszkalne i rozmaite instytucje; sklepy, szkoły, przedszkola, żłobki, a przede wszystkim ogromny kombinat przemysłowy – Hutę im. Lenina.

Nadejście „nowego" unicestwiło dawne sady, pola uprawne i chaty. Spowodowało zagładę ojcowizn, które choć biedne i skromne, były przecież czyimś dziedzictwem, żywo odzwierciedlającym ciągłość i harmonijne trwanie pokoleń. Na tym miejscu, pośród jego ocalałych resztek i zachowanych do dziś reliktów, wyrosło zupełnie nowe, socjalistyczne miasto. Tysiące przybyszów osiedliło się, założyło rodziny, zapuściło na dobre korzenie i po latach adaptacji do nowych warunków wydało następne pokolenia. To były wydarzenia, które z perspektywy kilkudziesięciu lat można odczytywać bez wielkich emocji, pomimo, że do dziś żyją jeszcze radykałowie, którzy chętnie wysłaliby Nową Hutę jej fundatorom cegła po cegle... Teren pod wielką budowę w pobliżu sanktuarium narodowego – Stołecznego Królewskiego Miasta Krakowa wybrano nieprzypadkowo. Napisano na ten temat już sporo, historia zawsze jednak pozostaje zagadką i fantomem. Widzimy bowiem jej skutki, zaś przyczyny i mechanizmy często pozostają przez lata w ukryciu. Zdobytą wiedzę może jednak wzbogacić intuicja i przekaz słowny. Może ją także rozszerzyć fotografia dokumentalna, która przybliża to, co wynika bezpośrednio z innych źródeł. Dotychczas nie poświęcano jej zbyt dużej uwagi, może zatem warto w ten sposób odkrywać rzeczywistość, z której wyrastamy?

Mówienie i pisanie o Ojczyźnie w czasie przeszłym i z wielkiej litery drażni dziś wielu Polaków. Ich alergia na przebrzmiały patos i gołosłowność jest w pewnym sensie uzasadniona. Zbyt wielu bowiem posługiwało się cynicznym kłamstwem (i robi to nadal), hasłami bez pokrycia, co spowodowało niską ocenę własnego

narodu i jego przeszłości – zwłaszcza u ludzi młodych. Trudno zresztą się temu dziwić, skoro w wielu dziedzinach, jak np. w polityce, między deklaracjami a czynami występuje przepaść i to żałosne zjawisko nie pozostaje niestety bez echa. Nieustanne odwoływanie się do przeszłości może powodować niechęć i zmęczenie, jednak obecna sytuacja świata „na rozdrożu" obliguje nas do tego, aby podejmować zagadnienia dotyczące polskiej tożsamości i powrotu do korzeni. Takim obszarem jest pamięć i tradycja narodowa. Jest rzeczą istotną, czy będą one obecne i wystarczająco żywotne w naszym życiu prywatnym i publicznym, czy będą twórczo kształtować osobowość Polaków lub też pozostaną tylko pusto brzmiącym frazesem skazanym na wyjałowienie z głębszych treści, traktowane z pogardą jak zaściankowy uraz, od którego powinni się w imię Postępu uwolnić ludzie nowocześni.

Pomoc w jej rozumieniu i poszukiwanie odniesień do rzeczywistości jest bardzo ważnym i trudnym zadaniem. Kiedy w 1979 r. papież Jan Paweł II żegnał się z nami po pierwszej historycznej pielgrzymce do naszej Ojczyzny, wołał na Błoniach krakowskich: *Zanim stąd odejdę... popatrzę jeszcze stąd na Kraków, na ten Kraków, w którym każdy kamień i każda cegła jest mi droga – i popatrzę stąd na Polskę... I dlatego – zanim stąd odejdę, proszę was, abyście całe to duchowe dziedzictwo, któremu na imię „Polska" raz jeszcze przyjęli z wiarą, nadzieją i miłością – taką, jaką zaszczepia w nas Chrystus na chrzcie świętym. Abyście nigdy nie zwątpili i nie znużyli się i nie zniechęcili. Abyście nie podcinali sami tych korzeni, z których wyrastamy. Proszę was: Abyście mieli ufność nawet wbrew każdej słabości, abyście szukali zawsze duchowej mocy u Tego, u którego tyle pokoleń ojców naszych i matek ją znajdowało. Abyście od Niego nigdy nie odstąpili. Abyście nigdy nie utracili tej wolności ducha, do której On „wyzwala" człowieka. Abyście nigdy nie wzgardzili tą Miłością, która jest „największa", która się wyraziła przez krzyż, a bez której życie ludzkie nie ma ani korzenia ani sensu*. Jak ważne to przesłanie nie trzeba nikogo przekonywać, kto tylko czuje owo „duchowe dziedzictwo, któremu na imię Polska".

Ludzie, o których jest ta książka, kilkadziesiąt lat temu dali głębokie świadectwo swej wiary, niezłomności i przywiązania do tradycji ojczystej. Lecz byli przez to niewygodni dla systemu. Starano się im odebrać Boga, przetrącić moralny kręgosłup i solidarność grupową. Odbierano majątki, „kułaków" więziono, niszczono plony, burzono domostwa, pozbawiano pracy, a mniej zaradnych lekceważono, wyśmiewając ich „zacofanie". Władza „ludowa" i siły Postępu, posiadając jedyny przepis na dobrobyt, określały co jest dla człowieka dobre, a co złe. Bezwzględna przemoc i kłamstwa propagandy prześcigały się wzajemnie w dążeniu – cudzym kosztem – do kolejnej utopii społecznej. *Ludność wsi tracąc ziemię, straciła zarazem podstawy swojego bytu. Powszechnie panujący stan przygnębienia nie sprzyjał kontynuowaniu tradycji i zwyczajów, które wraz z utratą ziemi straciły również swój sens. Władza robiła wszystko aby zniszczyć ich społeczną pozycję* – napisała w zamieszczonym w tej książce wywiadzie dr Barbara Salwińska-Ciećkiewicz z Czyżyn, naoczny świadek tamtych wydarzeń. Nadszedł czas, aby współczesnym uzmysłowić historię tragedii i krzywdy, o której totalnie wtedy milczano, a przynajmniej zaakcentować, że rachunek sumienia i zadośćuczynienie muszą nastąpić, bo dość było zakłamywania przeszłości i knebli kładzionych na ludzkich ustach!

Tymczasem były buldożery i demolowanie wszystkiego co wcześniej istniało. Był szok i przerażenie. Prześladowania trwały przez wiele lat. Gniazda rodzinne przestawały istnieć, a te, które pozostały w tzw. „strefie ochronnej" wokół nowohuckiego Kombinatu dogorywały powoli, a wraz z nimi ludzie i zwierzęta. Na ziemi pamiętającej „dymarki" sprzed stuleci wytapiano teraz miliony ton stali, kominy dymiły, wzbijając wysoko ponad miastem gęstą zasłonę, a gigantyczne hałdy odpadów przemysłowych i śmieci pokrywały coraz to nowe powierzchnie. Jedne z najpiękniejszych tutejszych uroczysk zasypano; naturalne wodopoje o krystalicznej wodzie i kwitnące łąki przestały istnieć, a stare drzewa wycięto. Smutne pozostałości tamtych wydarzeń można jeszcze do dziś spotkać na obrzeżach miasta. Tamtych ludzi już raczej nie. Pochodzący sprzed wielu lat obraz świata, który wyłania się z zebranych fotografii obieramy teraz za punkt wyjścia naszych dociekań. Nie wystygłe jeszcze wspomnienia wciąż zaprzątają nasz umysł i serce. Szczególnie zaś tych, co pochowali tu swoich krewnych. Prochy ich przodków upominają się o swą pamięć. Historia, która wraz z nadejściem socjalizmu nagle wyparowała, teraz powoli się skrapla. Czas zatrzymany w tysiącach małych cząsteczek – fotografii i wspomnień – odbija tamten zapomniany i odległy świat, gdzie „kraj lat dziecinnych" i słodycz życia przeplatały się z cierpieniem, bólem przemijania i śmiercią. Za pomocą naszej wyobraźni stare, zniszczone zdjęcia pozwalają odtwarzać zerwane wcześniej więzy rodzinne i przeszłość. Dzięki nim możliwe staje się pokonanie niepamięci, odżywają wspomnienia. Nostalgia splata się z radością, a łzy ze śmiechem. Można lepiej zrozumieć, że to, co jest dla nas cenne, co porusza sumienie, może stać się bliskie także innym ludziom. To wszystko ma głęboki sens w konfrontacji z nieubłaganym czasem. To wreszcie rodzaj kontaktu ze światem minionym i z ludźmi, których już nie ma, a których kochaliśmy i kochamy. Nie pozwólmy, aby pamięć o nich zaginęła.

Przeżycia, które towarzyszyły czytelnikom, widzom i uczestnikom akcji „Czas zatrzymany", a szczególnie dzieciom i młodzieży odkrywającym nieznane wcześniej dziedzictwo Nowej Huty, uświadomiły potrzebę jej kontynuowania dla celów poznawczych, dokumentacyjnych, emocjonalnych, dla odzwierciedlenia tego

wszystkiego, co gra w „słowiańskiej duszy". Spragnieni wiedzy i ciekawi życia naszych przodków byli także liczni widzowie nie tylko z Nowej Huty, ale nawet z innych rejonów Polski i z zagranicy: Anglii, Francji, Hiszpanii, Niemiec, Austrii, Włoch, USA, Australii... Świadczy o tym wiele wpisów do księgi pamiątkowej, listów, a nade wszystko bezpośrednich kontaktów latem 2007 r., w czasie trwania wystawy na placu Centralnym i wyrażanych przez nich opinii, a to z kolei może wskazywać na pewne uniwersalne przesłanie i wartości, jakie tam dostrzeżono. Okazało się, że tematyka związana z przeszłością tych ziem wzbudziła żywy rezonans nie tylko w lokalnej społeczności – co jest zrozumiałe – ale znalazła także oddźwięk w dialogu międzykulturowym. Wraz z bagażem historycznych realiów jesteśmy jego małą częścią, a biorąc w nim udział poszerzamy własne horyzonty intelektualne, uczymy się i nawiązujemy nowe znajomości. To jest „sprzężenie zwrotne" pomiędzy otwarciem na innych ludzi i świat, a lokalną społecznością i jej własnymi sprawami.

Aby lepiej zrozumieć innych, trzeba jednak rozumieć samego siebie. Jak zauważył Arystoteles, *aby być czyimś przyjacielem, trzeba najpierw umieć być przyjacielem samego siebie*. Dlatego musimy pojąć najpierw własną sytuację i historię, tym bardziej, że należymy do pokolenia Polaków pamiętających jeszcze tych, którzy oddali swe życie za Ojczyznę. Trzeba myśleć, mówić i działać w prawdzie, bo tylko wówczas zacznie się wytwarzać atmosfera, w której znalezienie słusznych rozwiązań dla dobra ogółu stanie się możliwe na przekór złu rodzącemu klimat ryzyka nowych tragedii. Wspomnijmy tu słowa Jana Pawła II wypowiedziane w 1991 r. w Olsztynie, a jakże wciąż aktualne: *Przez wiele lat doświadczaliśmy w wymiarze społecznym, że publicznie nie mówiono prawdy – i nie dopuszczano do jej mówienia. Istnieje przeto wielka potrzeba odkłamania naszego życia w różnych zakresach. Trzeba przywrócić niezastąpione niczym miejsce cnocie prawdomówności. Trzeba, by ona kształtowała życie rodzin, środowisk, społeczeństwa, środków przekazu, kultury, polityki i ekonomii*. To, czy tak się stanie, czy przeciwnie – będziemy ulegać indoktrynacji i zakłamaniu – zależy od nas. Wyciągajmy więc wnioski z tego co było, nie tracąc z pola widzenia aktualnych i obiektywnych przesłanek. Nie przejmujmy się tymi, którzy mówią „ Przeszłość należy do przeszłości" i „Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr" – bo oni prawdopodobnie nie uświadamiają sobie (lub nie chcą) nieszczęścia, jakie niesie w sobie tragedia zaniku pamięci, szczególnie w wymiarze społecznym. Zgłębiajmy rzetelną wiedzę, bądźmy otwarci na świat i jego problemy. Zachowujmy wobec dynamiki wydarzeń odpowiedni dystans, a zarazem reagujmy na nie, poszerzając nieustannie własne perspektywy tak, aby nie być wyizolowanym z wszechstronnego uczestnictwa w życiu społeczności, zwłaszcza w obszarze tzw. wyższej kultury. Trzeba dążyć do porozumienia między ludźmi bez względu na metrykę, narodowość czy kolor skóry, ale starać się jednocześnie lepiej zrozumieć skąd sami wyrastamy i kim jesteśmy. Nie wstydzić się swojego pochodzenia, wiary i tradycji. Warto także mieć własne przekonania wynikające z osobistych doświadczeń, aby podjąć wysiłek uzgodnienia swojego poglądu i oceny z rzeczywistością po to, by znaleźć w niej właściwe miejsce dla siebie. Wypada sobie wreszcie uświadomić, że z bezrozumnego sentymentalizmu nic dobrego dla narodu nie wynika i dlatego tym bardziej należy chronić i wspierać wszystko to, co jest oryginalne i cenne dla naszego dziedzictwa. *Nigdy Polacy* – pisał Tadeusz Kościuszko w roku 1814 do historyka angielskiego Jamesa Mackintosha – *nie poddadzą się z własnej woli jarzmu cudzoziemców, albowiem ich charakter zbyt się różni od charakteru ich sąsiadów*. Dodajmy, że w kwietniu 1794 r. odbył się przemarsz wojsk Tadeusza Kościuszki z Krakowa do Racławic, którego pierwszy etap prowadził przez Mogiłę, Pleszów, Wadów i Luborzycę do Kocmyrzowa, gdzie chłopi wstępowali w jego szeregi i gdzie kult naczelnika powstania w chłopskiej sukmanie utrzymuje się do dziś.

Żyjemy w świecie pełnym owoców chaosu, który stając się „globalną wioską", ukazuje pesymistyczną diagnozę rzeczywistości kulturowej w odniesieniu do kwestii ojczystych, co skutkuje tym, że w sferze poznawczej, w szeroko lansowanych wzorcach i postawach maleje stopniowo ranga spraw własnych i bliskich, za to zyskują na znaczeniu sprawy dalekie i obce. Przypomnijmy w tym miejscu, że papież Pius XI w encyklice „Caritate Christi Compulsi" z 1932 r., poświęconej kultowi Serca Jezusowego oraz sprawom społecznym, powiedział: *uporządkowana miłość chrześcijańska nie tylko nie potępia przywiązania do narodu, przeciwnie – zasadami swymi uświęca je i ożywia*. Czy słowa te mają większe znaczenie dla ludzi, których domem jest cały świat, a nie ojczyste gniazdo? Czy zastanawiają się nad tym przesłaniem ci, którzy dziś walczą tylko o to jak przeżyć? Warto zapoznać się z tą encykliką, ponieważ znajdziemy tam wiele wykładni dotyczących aktualnych problemów, które ostatnio znacznie się nasiliły. Wcześniej papież ten, jeszcze jako Achille Ratti, w kwietniu 1918 r. został mianowany przez papieża Benedykta XV wizytatorem apostolskim w Polsce i bywał wraz z księciem abp. Adamem Sapiehą w Mogile i okolicznych wsiach. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości został nuncjuszem apostolskim. Podczas bitwy warszawskiej w 1920 r. pozostał w Warszawie jako jeden z dwóch (obok reprezentanta Turcji) przedstawicieli dyplomatycznych obcego państwa. A oto co powiedział prymas Polski, Prymas Tysiąclecia, kardynał Stefan Wyszyński 12 maja 1974 r.: *Musimy po Bogu dochować wierności przede wszystkim naszej Ojczyźnie i narodowej kulturze polskiej. Będziemy kochali wszystkich ludzi na świecie, ale w porządku miłości. Po Bogu więc, po Jezusie Chrystusie i Matce Najświętszej, po całym ładzie Bożym, nasza miłość należy się przede wszystkim naszej Ojczyźnie, mowie, dziejom i kulturze, z której wyrastamy*.

BIBLIOTEKA PUBLICZNA
FILIA

na polskiej ziemi. I chociażby obwieszczono na transparentach najrozmaitsze wezwania do miłowania wszystkich ludów i narodów, nie będziemy temu przeciwni, ale będziemy żądali, abyśmy mogli żyć przede wszystkim duchem, dziejami, kulturą i mową naszej polskiej ziemi, wypracowanej przez wieki życiem naszych praojców. Stąd istnieje obowiązek obrony kultury rodzimej.

Można postawić pytanie czy szacunek i troska o pomyślność Ojczyzny są nam jeszcze potrzebne, skoro w zmienionych warunkach nie odczuwamy już takich zagrożeń jak wówczas, gdy wypowiedziano te słowa? Nie mamy również takich doświadczeń, jakie mieli wywłaszczani chłopi z Mogiły, Bieńczyc, Pleszowa i innych podkrakowskich wsi w latach 50. ubiegłego stulecia. Tradycyjny patriotyzm stanowił dla ówczesnej doktryny systemu pewien rodzaj zagrożenia, ponieważ Boga nie uznawano, a zamiast o narodzie i ojczyźnie mówiło się raczej o społeczeństwie i kraju. Wolno było propagować folklor, jednak ten autentyczny w latach 60. zamierał z powodu słabnącego zainteresowania wśród młodzieży. Dla dawnych mieszkańców był on jednak widocznym symbolem narodowej tradycji, chłopskiej dumy i odrębności. Strój ludowy przekazywano w rodzinach z pokolenia na pokolenie, o ile nie złożono w nim zmarłych do grobu. Obecny, niechętny stosunek niektórych gremiów do pojęcia patriotyzmu wyraża przed nim obawy, ale on wynika z wewnętrznej, indywidualnej potrzeby człowieka i należy do uniwersalnych wartości takich jak miłość, sprawiedliwość, szacunek czy lojalność. Wydaje się, że przemiany w obecnej sytuacji Polski, wynikające z integracji europejskiej, mocno relatywizują te pojęcia. Wobec nowych szans, a zarazem wyzwań z nimi związanych, potrzebne jest budowanie patriotyzmu aktywnego, odpowiedzialnego i bardziej rozumnego niż emocjonalnego, czerpiącego z dobrych wzorców przeszłości, ale i uważnie spoglądającego w przyszłość. Pozostaje mieć nadzieję, że dając dowody właściwie pojętej świadomości polskości pomożemy obronić własną tożsamość. Jest ona bowiem związana z określonym miejscem, czasem, kulturą i tradycją. To, czy zechcemy i zdołamy ją zachować, czy polskość będzie ulegała stopniowej erozji i rozmyciu – pozostaje sprawą otwartą. W powszechnym odczuciu i wymiarze społecznym jest to także kwestia wyboru pomiędzy stosunkiem do Ojczyzny jako fundamentu i punktu odniesienia, a zupełnie innym stylem życia, poglądami i systemem wartości. Obecnie nie można się domagać, aby podporządkowano się jednolitej formule, ponieważ ludzie chcą podmiotowości, chcą sami decydować o sposobach własnej identyfikacji. Ale dla pierwotnych mieszkańców z terenów obecnej Nowej Huty takimi punktami oparcia przed kilkudziesięciu laty była wiara katolicka, Kościół, ludzie cieszący się dużym autorytetem, a także najbliższe środowisko: rodzina, szkoła i wieś, gdzie przebiegało niemal całe ich życie. Wzajemne relacje i związki dotyczyły stosunkowo niewielkiego kręgu rodziny i najbliższych sąsiadów. Horyzonty wspólnoty jednak poszerzały się w miarę podejmowania nauki, pracy oraz rozwijania zainteresowań. Wiele osób działało w katolickich organizacjach młodzieżowych, klubach sportowych, a starsi uczestniczyli w ruchu ludowym. Społeczność ta miłowała Boga i Ziemię Ojczystą. Była nastawiona patriotycznie, o czym świadczą nie tylko dowody powszechnego udziału w obchodach świąt państwowych, kościelnych i ludowych, uroczystościach rocznicowych, manifestacjach, ale szczególnie jej postawa w czasie najwyższej próby – II wojny światowej. Pracowali bardzo ciężko – od świtu do wieczora – bo byli od pokoleń przywiązani do roli, którą kochali i uprawiali z ogromnym poświęceniem, potrafili także dostrzec piękno tkwiące w prastarych obyczajach i obrzędach, a niektórzy pisać dla potomnych wartościowe wspomnienia.

Tu w Nowej Hucie często cytowane są słowa Jana Pawła II odnoszące się do krzyża, pracy i godności ludzkiej, wypowiedziane przez Niego podczas homilii 7 czerwca 1979 r. na dziedzińcu przed klasztorem oo. Cystersów w Mogile, ale patrząc na ukazane w tej książce życie chłopów z dawnych wsi, zwróćmy także uwagę na homilię wygłoszoną w czasie mszy św. kanonizacyjnej bł. Jana z Dukli 10 czerwca 1997 r. w Krośnie, kiedy papież oddał hołd pracy rolnika: (...) *Pragnę oddać hołd miłości rolnika do ziemi, bo ta miłość zawsze stanowiła mocny filar, na którym opierała się narodowa tożsamość. W chwilach wielkich zagrożeń, w momentach najbardziej dramatycznych w dziejach narodu ta miłość i przywiązanie do ziemi okazywały się niezmiernie ważne w zmaganiu o przetrwanie. Dzisiaj, w czasach wielkich przemian, nie wolno o tym zapominać. Oddaję dzisiaj hołd spracowanym rękom polskiego rolnika. Tym rękom, które z trudnej, ciężkiej ziemi wydobywały chleb dla kraju, a w chwilach zagrożenia były gotowe tej ziemi strzec i bronić. Pozostańcie wierni tradycjom waszych praojców. Oni, podnosząc wzrok znad ziemi, ogarniali nim horyzont, gdzie niebo łączy się z ziemią, i do nieba zanosili modlitwę o urodzaj, o ziarno dla siewcy i ziarno dla chleba. Oni w imię Boże rozpoczynali każdy dzień i każdą swoją pracę i z Bogiem swoje rolnicze dzieło kończyli. Pozostańcie wierni tej prastarej tradycji! Ona wyraża najgłębszą prawdę o sensie i owocności waszej pracy. Tak bardzo jesteście podobni do ewangelicznego siewcy. Szanujcie każde ziarno zboża kryjące w sobie cudowną moc życia. Uszanujcie również ziarno słowa Bożego. Niech z ust polskiego rolnika nie znika to piękne pozdrowienie „Szczęść Boże!" i „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!" Pozdrawiajcie się tymi słowami, przekazując w ten sposób najlepsze życzenia. W nich zawarta jest nasza chrześcijańska godność. Nie dopuśćcie, aby ją wam odebrano – bo próbuje się to robić! Świat pełen jest zagrożeń. Docierają one poprzez środki przekazu także do polskiej wsi. Twórzcie kulturę wsi, w której obok nowych wymiarów, jakie niosą czasy, pozostanie – jak u dobrego gospodarza – miejsce na rzeczy dawne, uświęcone tradycją, potwierdzone przez prawdę wieków.* W dalszej

części tej homilii Ojciec Święty dziękował za trud budowania świątyń: *Często z waszego rolniczego mozołu umieliście wydobyć ów wdowi grosz, by Chrystus w tym zakątku Polski miał swoje miejsce. Bóg wam zapłać za te piękne kościoły – owoc pracy rąk waszych i owoc waszej wiary. Jakżeż głębokiej wiary!* Czy oglądając dziś zdjęcia z 1936 r., zrobione podczas uroczystości poświęcenia kamienia węgielnego przez ówczesnego ks. arcybiskupa Adama Sapiehę pod nowo zbudowany kościół pw. Judy Tadeusza w Czyżynach uświadamiamy sobie jak wielki, zbiorowy wysiłek podjęła wtedy tamta wiejska społeczność, obarczona prócz trudów zwykłego, codziennego życia konsekwencjami ogólnoświatowego wielkiego kryzysu? Ile trzeba było wtedy zebrać „wdowiego grosza", ile włożyć ofiarnej pracy, by powstało to dzieło?

Gotowość do poświęcenia, patriotyzm i obywatelska postawa należą jednak do kategorii, które ewoluują w czasie wraz z różnymi okolicznościami. I choć już Cyprian Kamil Norwid pisał, że nie trzeba im się kłaniać *(...) a Prawdom kazać, by za drzwiami stały* – jakże często zapominamy o tym. Proces rozwoju własnej osobowości i osiągania dojrzałości duchowej, umysłowej i moralnej niesie zmiany wywierające wpływ na odczuwanie i rozumienie tych pojęć, a ponadto media i polityka przenosząc dotychczasowe punkty odniesienia w zupełnie inne miejsca wskazują na to, że wokół dzieje się coś niepokojącego. Powszechny relatywizm etyczny negując normy i wartości absolutne pogłębia wątpliwości i chaos moralny dzisiejszego świata. Nakłada się na to – w wielu sferach życia publicznego – manipulacja, co stawia nas w obliczu sytuacji, w których trudno dokonać wyboru. Nie zwalnia to jednak z podejmowania odważnej odpowiedzialności za sprawy publiczne i troski o dobro Rzeczypospolitej – zwłaszcza dlatego, że pełno jest wobec niej obojętności, pogardy i zdrady. Trzeba pamiętać, że Polska miała piękną, ale i tragiczną historię. Niemal całkowita – realizowana według z góry określonych planów – zagłada przedwojennej inteligencji, do dziś nie rozpoznane w swym bezmiarze ludobójstwo ze strony Niemców i Sowietów, Gołgota Wschodu, działalność wrogów wewnętrznych, a na mocy ustaleń jałtańskich utrata terytoriów (zwłaszcza Kresów Wschodnich), skradzione i zniszczone w czasie wojny dobra kultury, przegrane powstanie warszawskie, zburzona stolica, zaś w okresie PRL konsekwencje wprowadzania nowego systemu; z katowniami, więzieniami i obozami dla niepokornych – wywarły kolosalne przeobrażenia kraju we wszystkich dziedzinach życia państwowego i prywatnego. Istnieje jednak księga niezliczonych kart zapisanych krwią Bohaterów – Patriotów walczących o wolność i pomyślność Ojczyzny, których doczesne szczątki skrywają mogiły, często bezimienne, rozsiane po całym kraju i poza jego granicami. Ludobójstwo odcisnęło swoje tragiczne piętno także w tutejszym regionie; w forcie w Krzesławicach i Grębałowie. To, co zostało w naszym narodzie tak głęboko okaleczone, na zawsze już pozostanie jego traumą i blizną, wywierając głębokie zmiany w świadomości społecznej, kładąc się mocnym cieniem na rzeczywistości. Lecz byli i są tacy, którzy swoim życiem, postawą, obyczajami, przekorą, buntem rozsadzają ramy wszelkich stereotypów i schematów, u których nawet po upływie wielu dziesięcioleci widać, że w ludzkich ambicjach wciąż trwają jakieś **niezniszczalne** idee podejmowane z determinacją przez następne pokolenia, a, jak głosił Jan Paweł II, *(...) pewne prawdy w życiu człowieka nigdy nie przemijają.*

Czasy się jednak zmieniają, a walka i odrzucenie Postępu i nowoczesności – innych jakościowo od tych sprzed półwiecza i osadzonych w odmiennych realiach ustrojowych i geopolitycznych – są nieracjonalne. Trzeba bowiem patrzeć w przyszłość, mieć własne cele, marzenia i umieć sensownie korzystać z różnorodnych dobrodziejstw dla własnego dobra. Realizując plany życiowe i spełniając się zawodowo dajemy także zabezpieczenie swojej rodzinie. W oparciu o rozmaite elementy dorobku cywilizacyjnego można osiągnąć większe możliwości na tak wielu płaszczyznach, że ich wymienianie byłoby wygłaszaniem truizmów. Te dylematy każdy człowiek, któremu nieobojętny jest własny los i rozwój samoświadomości, powinien wnikliwie rozważyć samemu. Być może zamieszczone tu archiwalne zdjęcia, opisy i wspomnienia okażą się w tym pomocne, bo przez takie magiczne „szkiełko powiększające" można lepiej dostrzec zatarte już nieco, lecz ważne ślady przeszłości.

Zapytajmy kim byli nasi przodkowie, jak żyli, w jakim duchu wychowali potomstwo? Pooddychajmy nieco innym światem, w którym mimo siermiężnych warunków wszystko miało jednak pewien swój ład i porządek. Niech stare pamiątki przeniosą *naszą duszę utęsknioną do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych (...)*. Są w nich bowiem treści wzniosłe i piękne, ale też bolesne chwile zapisane na postrzępionych, pożółkłych kartkach papieru i wyblakłych zdjęciach. Można je także odkryć w naszych sercach, duszy i umyśle. Razem wzięte potrafią mocno przemówić. Podchodząc ku nim z rozumnym uczuciem i wyobraźnią odnajdziemy w nich nie tylko opowieść o przeszłości, lecz realne odbicie w codzienności, odszukamy dawne obrazy i relacje, które kształtują percepcję teraźniejszości. Łącząc w sposób świadomy istniejące dokumenty epoki o historii i kulturze tutejszego regionu i społeczności uzyskamy frapujące, wielowarstwowe medium. Z pewnością czekają nas w tej dziedzinie jeszcze nowe odkrycia naukowe, jednak równie ważne są przytoczone tutaj wspomnienia naocznych świadków i pozostawione przez nich zapiski pozwalające lepiej poznać, zrozumieć i ocenić tamtą rzeczywistość.

Adam Gryczyński, listopad 2007 r.



Przedmowa do książki *Czas zatrzymany 1*

Album fotograficzny „Czas Zatrzymany – Fotografie z lat 1883-1963 z terenów Nowej Huty i okolic oraz wybór tekstów" zawiera ponad 400 zdjęć oraz kilkanaście wspomnień, artykułów i opracowań dotyczących Mogiły, Bieńczyc, Czyżyn, Pleszowa, Grębałowa, Luboczy i in. To książka dla tych, którzy żyli w tamtych czasach i dla młodszych pokoleń, które chcą się więcej dowiedzieć o swojej „małej ojczyźnie", a teraz szukają śladów zagubionej przeszłości świata ich dziadków i rodziców. Ale również dla tych, którzy doceniają walor dokumentalny i urok starej fotografii oraz wszelkich miłośników historii i tradycji. Zdjęcia te nie były wcześniej publikowane, a pochodzą z archiwów rodzinnych mieszkańców wsi, na terenie których powstała Nowa Huta i kombinat metalurgiczny. Książka „Czas zatrzymany" jest pionierską próbą przedstawienia społeczeństwa, które w wyniku wielkich migracji ludności po II wojnie światowej zostało rozproszone i za bezcen wywłaszczone z ojcowizn. Lektura publikacji przywołuje uniwersalne refleksje o drogich każdemu człowiekowi korzeniach, które określają jego własne miejsce na ziemi, dają poczucie bezpieczeństwa i sens istnienia, pokazują jak ważna jest ludzka pamięć i zaduma nad własną tożsamością.

Pierwszym powodem wydania tego albumu była chęć rozprawienia się z najbardziej absurdalnym mitem jaki kiedykolwiek wymyślono o Nowej Hucie. O tym, że powstała na terenach piaszczystych ugorów i nieużytków. Mitem o ubóstwie i zacofaniu mieszkańców podkrakowskich wsi leżących obecnie w obrębie Nowej Huty. W ten sposób usiłowano usprawiedliwiać falę wywłaszczeń na początku lat 50. ubiegłego wieku. Ludziom odbierano ziemię, a ówczesne władze państwowe i polityczne uparcie wmawiały, że były tu nieurodzajne zagony, galicyjska bieda i stare chłopskie chaty, które należało wyburzyć pod zabudowę nowych osiedli. Tych argumentów używała propaganda PRL, lecz na skutek długotrwałej indoktrynacji społeczeństwa jej echa odbijają się do dziś. Wioski spotkała zagłada, a rachunek krzywd, choćby symbolicznie – nigdy nie został spłacony. Ludzi, którym za ojcowizny i urodzajną ziemię płacono jak za garnitur czy zegarek na rękę, skrzywdzono nieprawdopodobnie. Bezlitosne decyzje Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Krakowie w sprawach wywłaszczeń były ostateczne, zaś odwołania od orzeczeń o odszkodowania rozpatrywano negatywnie. Sentencja Zbigniewa Herberta „Naród, który traci pamięć, traci sumienie" w tym kontekście nabiera szczególnego wyrazu i znaczenia.

Rzeka traumatycznych wspomnień jest głęboka. W pierwszych latach po zakończeniu wojny, gdy toczyła się w całym kraju walka o jego przyszłość z góry skazana na porażkę – co w tamtym czasie nie było wcale takie oczywiste – prześladowaniami dotknięto ludzi związanych z Batalionami Chłopskimi, Armią Krajową, działaczy opozycyjnego Polskiego Stronnictwa Ludowego i wielu innych. A kiedy zwykłym ludziom mogło się wydawać, że nareszcie nadszedł upragniony okres spokojnego życia, zadano kolejne ciosy. Tutejsza ludność wystawiona została na bolesną próbę w imię socjalistycznego eksperymentu. Album jest świadectwem tych właśnie przemian, jest wkładem w poznawanie okresu najnowszego i dorobku wsi wchłoniętych przez urbanistycznego molocha. Nie można zapomnieć, iż wielu zapłaciło za nadejście „nowego" wysoką cenę. Inni, pozbawieni swoich ojcowizn, musieli rozpocząć swoje życie od nowa. Byli przesiąknięci miłością do Boga i Ojczyzny, kultywowali tradycje narodowe, obywatelskie, ludowe i rodzinne. Stanowili kłopotliwą zaporę dla systemu i dlatego system ich niszczył. Dokonano na nich zamachu, ale nikt dotąd nie oddał im należnej sprawiedliwości. Chciałem pokazać, że zanim zbudowano Nową Hutę, kwitła tu gospodarka i kultura, żyli konkretni ludzie. Może dzięki temu damy im i ich rodzinom choć odrobinę satysfakcji, bo oni byli tu wcześniej – oto drugi powód przygotowania albumu.

Oglądając setki zdjęć i dokumentów sprzed 1939 r. powoli odkrywałem, że już wtedy mieszkańcy podkrakowskich wsi posiadali całkiem sporą wiedzę i kulturę, które pozwoliły im świadomie kształtować swoje życie. Poziom materialny był – jak wszędzie – zróżnicowany. Obok wielu zamożnych i zaradnych rodzin żyli także ludzie ubodzy, nieraz w skrajnej nędzy. Ale pomimo ciężkiej pracy, trudnych warunków i wyrzeczeń mieli plany i marzenia, które potrafili realizować. Chętnie włączano się w nurt życia zbiorowego zakładając różne stowarzyszenia, zespoły i komitety, co pogłębiało ich własną integrację. W tutejszych wsiach organizowano wiece i zgromadzenia wyborcze. Istniała lokalna solidarność, ale były też przeciwstawne „obozy", skupione najczęściej wokół miejscowych przywódców. Niektórzy z nich osiągali dość wysoką pozycję społeczną. Jedni sympatyzowali z ruchem ludowym, inni z obozem sanacyjnym, większość jednak zajęta była codzienną pracą i w życiu politycznym nie uczestniczyła. Z dzisiejszej perspektywy powinniśmy sprawiedliwie ocenić fakty i wydarzenia sprzed dziesięcioleci. A mówią one, że z Czyżyn, Bieńczyc czy Mogiły można było już sto lat temu wygodnie dojechać pociągiem do Krakowa, w dodatku znacznie szybciej niż dziś w godzinach szczytu. Popularna droga kocmyrzowska – tradycyjny szlak dostaw warzyw na rynek krakowski – miała poważny wpływ na aktywność gospodarczą i urbanizację terenów, przez które przebiegała. Rzeczą normalną było wysyłanie młodzieży do krakowskich gimnazjów i uczelni. Działały tu Katolickie Stowarzyszenia Młodzieży Męskiej i odrębne Katolickie Stowarzyszenia Młodzieży Żeńskiej oraz Koła Młodzieży Wiejskiej „Wici" i in., które dla uświetnienia lokalnych uroczystości zawiązywały zespoły taneczne i teatralne. Działały chóry i orkiestry. Młodzież chętnie uczestniczyła w kursach ogrodniczych, pszczelarskich, gotowania i szycia, stolarskich, wyprawiania skórek i in. W Bieńczycach jeszcze przed I wojną światową istniało Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół", które zbudowało tu specjalny budynek do ćwiczeń. Był tam również tzw. Dworek, gdzie kwitło życie religijne i kulturalne. Młodzież wystawiała nie tylko jasełka, ale grano nawet sztuki Aleksandra Fredry i Michała Bałuckiego. Uczono pieśni ludowych i tańca. Co zamożniejsi szyli bądź zamawiali tradycyjne stroje krakowskie, które długo potem przechowywano, a wkładano w czasie wesel, odpustów, procesji, dożynek i festynów. Strój dodawał odpowiedniego splendoru gdy nadeszły święta kościelne lub państwowe. Popularny był zwyczaj fotografowania członków rodziny, znajomych i najbliższego otoczenia, dzięki czemu możemy teraz odtwarzać minioną rzeczywistość. Przy jazie nad rzeką Dłubnią, na mostkach, łąkach i nieopodal kopca Wandy młodzież miała swe ulubione miejsca zabaw, zmagań sportowych i spotkań, przeradzających się niekiedy w późniejsze trwałe związki. Urządzano wycieczki do Ojcowa, Wieliczki, Zabierzowa i Zakopanego. Niektórzy jeździli nawet do Warszawy i nad morze. Pielgrzymowano do Mogiły, Czernej, Kalwarii Zebrzydowskiej i Częstochowy. Zbudowano kościół, szkoły, ochronki dla dzieci, domy ludowe. Były stacje kolejowe, poczty, składy towarów i warsztaty rzemieślnicze, funkcjonowały prywatne i spółdzielcze sklepy. Prowadzono liczne akcje charytatywne, organizowano zbiórki, działała tzw. Kasa Stefczyka, pomagająca chłopom w rozwiązywaniu problemów finansowych. Ze składek kupowano książki i zakładano w szkołach biblioteki. W Bieńczycach był Klub Sportowy „Tęcza", natomiast w Czyżynach – Amatorski Klub Sportowy. W 1918 r. zlokalizowano tam lotnisko, najpierw wojskowe, potem także cywilne, gdzie rankiem w pierwszym dniu niemieckiej agresji od bomb zginęło kilka osób. W niektórych wsiach przed 1939 r. działały koła Związku Nauczycielstwa Polskiego, kółka rolnicze i oddziały Ochotniczej Straży Pożarnej. W wielu domach znajdowały się radioodbiorniki, rowery i motocykle, było też kilka samochodów. W dworskich gospodarstwach używano lokomobili, młockarni i innych nowoczesnych maszyn rolniczych, były stawy rybne oraz szklarnie. Zakładano hodowle koni, które darzono tu ogromnym sentymentem, zwłaszcza w Mogile i Pleszowie. We dworze w Wadowie na początku dwudziestego wieku istniały korty tenisowe. Nie tylko do lokalnej historii przeszło kilka osób, które stąd pochodziły: Franciszek Ptak z Bieńczyc – rolnik oraz właściciel sklepu i karczmy był posłem do Sejmu Krajowego we Lwowie, zaś jego żona, Marcjanna z Szafrańskich, była ceniona przez Stanisława Wyspiańskiego za szczerą krytykę jego utworów. Oboje uczestniczyli w premierze „Wesela", byli przyjaciółmi młodopolskich artystów, a jednemu z nich po ożenku ofiarowali nawet chałupę. Kazimierz Cieślewicz i Jan Ciepiela – wójtowie gminy Mogiła – organizowali życie społeczne gminy, a major Jan Kotyza, nauczyciel i działacz Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Męskiej w czasie wojny był komendantem Batalionów Chłopskich na powiat krakowski. W Pleszowie i okolicach niezwykle żywa była tradycja kosynierów kościuszkowskich i ruchu ludowego, w którym zasłynęli członkowie rodziny Gajochów, a zwłaszcza Piotr i Jan. W okolicznych wsiach uczyli i wychowali całe pokolenia nauczyciele – patrioci: Franciszek i Jan Twarogowie, Kazimierz Łowczowski, Józef Celiński i Franciszek Marszałek. W Ruszczy u księdza dziekana Leona Katany przebywał kardynał Adam Sapieha i wizytator papieski Achilles Ratti, późniejszy papież Pius XI. Do Pleszowa i Mogiły przyjechał latem 1929 r. na gospodarską wizytację prezydent RP Ignacy Mościcki. Czy jest możliwe, aby te prominentne osoby wizytowały zacofane wioski? To raczej wątpliwe. W okresie międzywojennym w okolicznych wsiach było sporo domów murowanych i krytych dachówką, które coraz bardziej wypierały strzechy, a niemal przy każdym domu była studnia. Sąsiedztwo Krakowa pozytywnie oddziaływało także w sferze zatrudnienia: wiele osób pracowało w fabryce Zieleniewskiego na Grzegórzkach, w odlewni żeliwa Klimka i w zakładach

farmaceutycznych „Wandera" przy ulicy Mogilskiej, ponadto we młynach na Wieczystej i w warsztatach remontowych na lotnisku w Rakowicach. Wyjeżdżano do pracy w odległych fabrykach Centralnego Okręgu Przemysłowego. Praktykowano i zdobywano zawody: ślusarza, montera, blacharza, kowala, stolarza, cieśli, murarza, zduna-kaflarza, krawca i szewca. We wsiach byli młynarze, rymarze, dorożkarze, wozacy, piaskarze, rzeźnicy i masarze. Istniała zatem zwarta sieć usług i rzemiosła użytkowego skoncentrowanego na stosunkowo niewielkim obszarze. Z tutejszych mieszkańców wywodzili się również księża, adwokaci, lekarze, prokurator, inżynierowie rolnicy i nauczyciele. W instytucjach państwowych byli zatrudnieni wojskowi, policjanci, pocztowcy i strażacy.

Wysoka była też kultura rolna, której sprzyjała żyzna gleba, doceniona już w poprzednich tysiącleciach przez liczne plemiona osadników, np. Celtów. Od 1222 r., gdy biskup krakowski Iwo Odrowąż sprowadził do Mogiły cystersów, przeobrażane okolice zaczęły tętnić nowym życiem. Zakon, oprócz krzewienia wiary i oświaty, nieustannie unowocześniał swoje uprawy, obiekty gospodarcze i przemysłowe (młyny, tartaki, folusze, huty), co oddziaływało na okoliczne wsie, których „metryki" sięgają zresztą czasów sprzed lokacji Krakowa (1257 r.). W ostatnich dziesięcioleciach XIX w. i na początku XX w. chłopi nie bali się wprowadzania innowacji; osuszano podmokłe grunty, w tym łąki i błonia, powiększając areały. Idąc za przykładem wykształconych, zawodowych dzierżawców z rolniczym przygotowaniem, do jakich należał np. inż. Kazimierz Cieślewicz, syn Wincentego, ogrodnika u cystersów, zaczęto stopniowo przechodzić z dotychczasowej uprawy zbóż na warzywnictwo (kapusta, pomidory, rabarbar) i sadownictwo (jabłonie, grusze, nowe odmiany śliwek i czereśni). W Bieńczycach przed wojną istniały wielkie plantacje truskawek, gdzie dla osiągnięcia wyższej ceny skupu specjalizowano się w ich wczesnych odmianach. W Czyżynach zbudowano Zakład Uprawy i Fermentacji Tytoniu. Tytoń kontraktowano potem w całej okolicy, a wyspecjalizowani instruktorzy dbali o jego właściwą uprawę. Istniały też hodowle jedwabnika morwowego, a w Grębałowie majątek Kapituły dzierżawiła znana firma hodowli roślin „Freege". Dzisiaj, gdy narzekamy na rozdrobnienie polskiego rolnictwa, uznając za gospodarstwo rolne grunt o powierzchni 1 hektara, warto przypomnieć, że przed 1939 r. kilkuhektarowe gospodarstwo w Bieńczycach było kwalifikowane jako drobne. To wszystko nie pasuje do wizerunku ciemnej, zacofanej podkrakowskiej wsi.

Trzecim powodem powstania albumu jest to, że wsie położone na wschód od Krakowa miały znacznie mniej szczęścia do popularyzacji niż sąsiadujące z nim od zachodu Bronowice. „Ludomania" Włodzimierza Tetmajera, Lucjana Rydla, a szczególnie Stanisława Wyspiańskiego poprzez „Wesele" i jego późniejszą ekranizację dokonaną przez Andrzeja Wajdę mocno rozsławiła je w Polsce, a przecież po wschodniej stronie Krakowa w minionych wiekach też miały miejsce ciekawe wydarzenia i fakty. Nawiasem mówiąc, słynny cytat z „Wesela" – „Ptak ptakowi nie dorówna", rozpoczynający dyskusję polityczną, odnosi się właśnie do wspomnianego wcześniej Franciszka Ptaka z Bieńczyc. Każde polskie dziecko zna legendę o bohaterskiej Wandzie, „co nie chciała Niemca". Skacząc do Wisły utopiła się, a w miejscu gdzie wyłowiono jej ciało, usypano kopiec – mogiłę, od którego wzięła swą nazwę wieś Mogiła. Na szczycie kopca stanął później pomnik zaprojektowany przez Jana Matejkę. Warto jeszcze nadmienić, że w tutejszym zakonie cysterskim w okresie renesansu tworzył wybitny polski malarz, zakonnik Stanisław Samostrzelnik, później zaś zlecenia wykonywał Tomasz Dolabella, jeden z głównych twórców malarstwa barokowego w Polsce, nadworny artysta Zygmunta III Wazy. W Mogile rozgrywała się akcja śpiewogry „Cud mniemany czyli Krakowiacy i Górale" Wojciecha Bogusławskiego – twórcy polskiej sceny narodowej, a pobyt Cypriana Kamila Norwida na kopcu Wandy był inspiracją do napisania poświęconego jej poematu. W kwietniu 1794 r. odbył się przemarsz wojsk Tadeusza Kościuszki z Krakowa do Racławic, którego pierwszy etap prowadził przez Mogiłę, Pleszów, Wadów do Kocmyrzowa. W Pleszowie do dziś stoi kamienna ławka a ponad nią napis: *W tym miejscu w 1794 roku Tadeusz Kościuszko odpoczywał wraz ze swym wojskiem i był uroczyście witany przez ludność Pleszowa*. Wiedząc o tym przemarszu nie wzbudzą zdziwienia zdjęcia wykonane tam 140 lat później, podczas obchodów rocznicy bitwy pod Racławicami, świadczące o niezwykle żywej pamięci tamtego wydarzenia wśród mieszkańców, gremialnie przebierających się podczas parad i przedstawień w historyczne stroje. Poza rocznicami uroczyście obchodzono – koniecznie z banderią krakusów – święta ludowe i kościelne. W sąsiednich wsiach także pielęgnowano tradycje kosynierów racławickich, a zwłaszcza w Luborzycy, gdzie do dziś przechowuje się wspomnienie o tym, że Kościuszko nocował tam w chłopskiej chacie, choć dwór stał obok. W czasie powstań narodowych przewożono z tych okolic broń dla powstańców, pomagano także w przedostawaniu się przez pobliską granicę, a po ich upadku osiedlali się tutaj ludzie, którzy w obawie przed represjami musieli uchodzić z Królestwa Polskiego.

Pod koniec XVIII w. w Krzesławicach dzierżawił majątek ziemski Hugo Kołłątaj – współtwórca Konstytucji 3 maja, działacz polityczny i reformator ustroju Polski. W pobliskich Krzysztoforzycach tworzył Piotr Michałowski – najwybitniejszy malarz polskiego romantyzmu. Tam powstały jego dzieła: „Somosierra" i „Napoleon" (malował ponadto obrazy gloryfikujące dawne zwycięstwa i powstanie listopadowe). Artysta posiadał

spory majątek ziemski, a w nim konie, które też były jego ulubionym tematem obok postaci wiejskich parobków, chłopów i starców. Przypomnieć wypada, że w Igołomii w 1845 r. przyszedł na świat Adam Chmielowski, znany obecnie jako św. Brat Albert, który, zanim odkrył swe prawdziwe powołanie, był także obiecującym malarzem. Znajduje się tam nadal zabytkowa kuźnia, która stała się tłem słynnego cyklu rycin Artura Grottgera „Polonia – 1863". Jan Matejko w 1876 r. zakupił za pieniądze uzyskane ze sprzedaży obrazu „Batory pod Pskowem" wieś Krzesławice wraz z uroczym dworkiem nad Dłubnią. Dobudował tam pracownię i odtąd wykorzystywał go na letnią rezydencję. Mistrz namalował tam wiele dzieł, w tym znany obraz „Kościuszko pod Racławicami", do którego pozowali mu okoliczni chłopi. Ufundował też stojący do dziś niewielki budynek szkoły powszechnej. Sąsiednie Bieńczyce dzierżawił brat artysty, Zygmunt. Z Bieńczycami po ożenku z Salomeą Turbasówną mocno związał się także młodopolski malarz Józef Krasnowolski, malując tutejsze krajobrazy, chaty, kapliczki i ludowe obyczaje. Ich wesele odbyło się 5 listopada 1902 r. w chacie panny młodej i choć nie tak głośne jak bronowickie, zgromadziło krakowski świat artystyczny z Leonem Wyczółkowskim na czele i przeszło do rodzinnej legendy. Portretował również swoją piękną żonę i jej siostrę Wiktorię oraz wielu innych mieszkańców, których możemy teraz zobaczyć na obrazach i dziesiątkach zachowanych kart pocztowych, stanowiących reprodukcje jego prac.

Album ilustruje tylko pewien wycinek historii kilku wsi, od schyłku XIX w. po lata 50. ubiegłego wieku, kiedy to nieopodal prastarego opactwa cysterskiego wyrosły baraki i namioty junaków z Brygad SP, budujących tu nowe osiedla. Oglądając pierwsze nowohuckie panoramy Stanisława Senissona wykonane latem 1949 r. warto sobie w tym miejscu przypomnieć znamienne słowa Jana Pawła II, jakie wypowiedział 9 czerwca 1979 r. podczas homilii w czasie mszy św., odprawionej przed opactwem oo. Cystersów w Mogile: *Kiedy w pobliżu Krakowa powstawała Nowa Huta — olbrzymi kombinat przemysłowy oraz nowe wielkie miasto: nowy Kraków — może nie uświadamiano sobie, że powstaje ono przy tym Krzyżu. Przy tej relikwii, którą wraz z prastarym opactwem cysterskim odziedziczyliśmy po czasach piastowskich.*

Dziś, gdy Nowa Huta stała się modna, trzeba znacznie uważniej spojrzeć na jej przeszłość i depozyt poprzednich mieszkańców – to czwarty powód ukazania się niniejszej publikacji. Historia i zmarli upominają się o swą pamięć, która jest miarą kultury narodu. Sięgając do niej odsłaniamy korzenie, wyrażamy symbol wdzięczności dla tych, którzy swoim życiem tworzyli przedsionek wzrastania następnych pokoleń. Ich doświadczenie, praca i miłość tworzyły podstawy naszej egzystencji. To, czy pozostaniemy obojętni, czy będziemy się z nimi utożsamiać, zależeć będzie od naszej wiedzy, sumienia i wrażliwości. Te cechy zadecydują, czy zebrane tu fotografie okażą się tylko kolejnym zbiorem ciekawostek czy żywym świadectwem przeszłości budzącym głębsze emocje. Zdjęcia i dokumenty, jakie znalazły się na wystawie i w albumie, nie były wcześniej pokazywane. Przechowywano je do tej pory w prywatnych archiwach. Dzięki nim można będzie przywołać i odkryć intymną atmosferę towarzyszącą tamtej codzienności. Starsze pokolenia rdzennych mieszkańców odnajdą w nich odbicie swego dzieciństwa i młodości, nowe zaś dowiedzą się czegoś więcej o świecie swych ojców. Punktem zwrotnym w zainteresowaniu przeszłością Nowej Huty był obchodzony w 1999 r. jubileusz jej 50-lecia, wówczas jednak kwestię dawnych mieszkańców wsi zniszczonych pod zabudowę socjalistycznego miasta także potraktowano marginalnie. Dlatego właśnie w akcji „Czas zatrzymany" najważniejsza jest tamta odchodząca generacja. To ona nieustannie przypomina, że trzeba się spieszyć. Punktem wyjścia była próba przywołania nostalgicznego klimatu tamtych czasów i obrazu epoki, utożsamianej ze światem wartości tak bezwzględnie odrzuconych przez system. Pokazany wizerunek oznacza opowiedzenie się właśnie za owymi wartościami – to piąty powód podjęcia pracy nad albumem.

Szósty powód jest taki, że upływ kilkudziesięciu lat od wykonania fotografii mocno zaciera nie tylko ich stan, ale i pamięć o ludziach, którzy na nich występują. Dlatego trzeba te ślady starannie utrwalać i zapisywać. Dobrze jej służą zgromadzone w drugiej części artykuły, opracowania i wspomnienia wielu autorów. Korelacja tekstów z niektórymi zdjęciami pozwala lepiej przybliżyć historię tych ziem i związanych z nią ludzi. Mam jednak i tę świadomość, że ich wybór jest propozycją, która tematu w całości nie wyczerpuje. To ograniczenie może budzić pewien niedosyt, z którym jednak trzeba się pogodzić, bowiem w tej publikacji chodzi o przywołanie ogólnego klimatu tamtej epoki, a nie o „inwentaryzację świata" – co i tak byłoby skazane na porażkę. Może w przyszłości zadanie to wypełni monografia dotycząca terytorium „starej" Nowej Huty w oparciu o zebrany materiał wizualny, który starałem się pogrupować w taki sposób, aby fotografie wzmacniały się poprzez inspiracje, uzupełnienia i porównania. By dobrze ze sobą współbrzmiały tworząc poszczególne kategorie: portret w atelier, portret w plenerze, chrzty, dziecięce zabawy, ochronki i szkoły, młodość, śluby i wesela, moda, rozrywka, praca, pory roku, starość, ostatnie pożegnania, lata wojny, wydarzenia, krajobraz, obiekty zabytkowe. W przyjęciu tej ogólnej koncepcji kierowałem się bardziej wiedzą o fotografii jako medium oraz własną intuicją, niż ścisłą chronologią wydarzeń czy miejsc skąd pochodziły zdjęcia. Uzasadnieniem dla tego rodzaju zabiegów była chęć podkreślenia uniwersalności

tematów oraz moja fascynacja fenomenem ludzkiego życia wpisanego w historię społeczeństw. Poszukując analogii pewnych sytuacji, miejsc i zdarzeń ilustrujących miniony świat mieszkańców dawnych wsi, chciałem przez to mocniej zaakcentować wspólnotę ich losu, przeżyć i doświadczeń. Pokazać, że oni wszyscy są tym światem. Rozproszone, a często uszkodzone i zdziesiątkowane zbiory bardzo utrudniały tę realizację. Ocalone pamiątki, którym dane było przetrwać wojny, różne kataklizmy dziejowe lub niefrasobliwość poprzednich właścicieli, zasługiwały jednak na podjęty wysiłek. Fotografie odnalezione w domowych archiwach i zakamarkach ukazały w całej swej złożoności i masie ważne pierwiastki emocjonalno-poznawcze, tworząc z takich maleńkich skrawków przeszłości ciekawą, różnorodną mozaikę. Poruszając się dość intensywnie w świecie archiwaliów zauważyłem, że zaczęły one ponownie żyć własnym życiem. Zdjęcia, przenosząc magicznie ponad czasem aurę tamtych lat, zaczęły opowiadać o tajemniczych ludzkich sprawach: szczęściu, miłości, rozterkach i dramatach. Od narodzin aż po śmierć. Ukazały pojedyncze epizody, ale również wielowymiarowe sekwencje pozwalające prześledzić fragmenty niektórych życiorysów. Im dłużej śledzę ich losy, w miarę powiększania zbioru o kolejne zdjęcia pochodzące z różnych źródeł, tym więcej pojawia się związków pomiędzy pozornie oderwanymi zdarzeniami. To fascynujące! Rozpoznaję coraz więcej ludzi, których od dawna już nie ma, lecz żyją na ocalonych fotografiach, a te przecież nie odróżniają świata żywych od świata umarłych. Teraz można to lepiej zrozumieć. Subiektywne odczuwanie intymnych opowieści, jakie wyłaniają się ze zdjęć i dokumentów poszczególnych osób, klarowniej przemawia do wyobraźni, niż historie całych zbiorowości, które w swej masie wydają się przez to mniej realne.

Siódmy powód opracowania albumu „Czas zatrzymany" określiła funkcja „przypieczętowania" przyjaźni i międzyludzkich więzi, jakie towarzyszyły mojej pracy nad tym projektem. Chciałem mianowicie utrwalić choćby maleńki rąbek owej spontanicznej przestrzeni setek indywidualnych i grupowych spotkań, dla których pretekstem były stare fotografie – katalizatory ludzkiej pamięci. Przywołując ukryte w głębi duszy tęsknoty za światem dzieciństwa i młodości budowały pomosty między współczesnością a przeszłością. Często spotykały się przy nich nawet wielopokoleniowe rodziny, ponieważ ta akcja rozbudziła wśród młodszej generacji (co szczególnie cenne) zainteresowanie życiem ich przodków. Pochylając się nad zdjęciami i patrząc wstecz łatwiej im będzie ogarnąć przebyty dystans po to, by unikając zwodniczych ideologii, lepiej i mądrzej budować swą przyszłość. Być może pokonają bierność, ominą życiowe zasadzki i lęk przed pustką. W każdym razie otrzymują możliwość wyboru dodatkowych zainteresowań. Te dygresje pedagogiczne nieprzypadkowo pojawiają się w czasie, gdy toczy się ogólnonarodowy dyskurs o reformie szkolnictwa, szczególnie zaś o jego funkcjach wychowawczych. Jeśli budujące rezultaty tej akcji pozwolą komuś na niewielką modyfikację programu szkolnego i uwzględnienie w nim zbierania fotografii, utrwalania za ich pomocą własnego otoczenia i spisywania związanych z nim wiadomości – będę miał satysfakcję. Album „Czas zatrzymany" ukazuje bez fałszu i koloryzowania „małą ojczyznę" w bogactwie odcieni, jakie odmalowały jej historyczny fresk. Przeszłość dawnych włodarzy tych dóbr odnalazła w nim swą symboliczną kwintesencję. Pamiętajmy, że na ochronę resztek tego zabytkowego dziedzictwa i środowiska naturalnego nigdy nie jest za późno. Lecz nie chodzi tu o budowanie jakiegoś „skansenu" wartości duchowych i materialnych. Idzie o coś znacznie więcej: o naszą przyszłość i o to, kim naprawdę będziemy? Ale to zależy od tego, w jakie cechy zostaną wyposażeni przez rodzinę, szkołę, Kościół i środowisko nasi następcy. Czy górę u nich weźmie zainteresowanie światem i jego problemami czy nihilizm? Egoizm czy empatia? Młodzi powinni mieć autorytety, poznawać dogmaty i zobaczyć budujące przykłady, lecz cóż z tego, skoro w tej dziedzinie tak wiele bezmyślnie zniszczono, a proces destrukcji trwa nadal. Prócz tego brzydota budownictwa i chaos gospodarki przestrzennej zbyt często przysłaniają uznane przykłady odnowy zabytków i rewitalizacji terenu. Nie trzeba udowadniać, że wzrastanie w określonym środowisku determinuje przyszłe cechy jego mieszkańców. Nowa Huta dla wielu wciąż pozostaje niezabliźnioną raną na sercu i ziemi. Ale to już się stało. Nie odwrócimy zdarzeń sprzed półwiecza. Możemy natomiast utrwalić obraz wyłaniający się ze starych fotografii i opowieści sędziwych mieszkańców dawnych wsi. Wypada to zrobić głównie dla nich oraz przez pamięć o tych, którzy odeszli. Młodym ludziom trudno jest uświadomić sobie, jak ważne dla człowieka są jego korzenie. Gdy jednak przychodzi wiek dojrzały, pojawia się tęsknota za przeszłością i przykra świadomość, że coś zostało stracone bezpowrotnie. Akcja odtwarzania za pomocą fotografii i wspomnień historii Czyżyn, Bieńczyc, Mogiły, Grębałowa, Luboczy, Pleszowa i innych wsi nie jest skierowana przeciwko dzisiejszym mieszkańcom Nowej Huty. Wśród nich są przecież liczni potomkowie rdzennych mieszkańców tych okolic, którzy niekiedy z entuzjazmem – właściwym młodym ludziom po przeżyciu koszmaru okupacji – uczestniczyli w tworzeniu nowej rzeczywistości. Chciałbym, aby budowniczowie Nowej Huty, którzy przybyli tu kiedyś z całej Polski i ich potomkowie, oglądając ten album, nie traktowali ukazanej w nim historii jak przykrego wyrzutu sumienia, o którym najlepiej zapomnieć. Pragnę też, aby rdzenni mieszkańcy byli dumni ze swoich przodków, ich dorobku i przeszłości, aby odzyskali własną tożsamość i przestali być „nowohuckimi Indianami" – oto ósmy powód dla którego zrobiono ten album.

Trzeba też spojrzeć na teraźniejszość. Sprzężenie między szeroko pojętą tradycją a promocją miasta może przyczynić się do wzrostu atrakcyjności Nowej Huty. Może służyć partnerskim kontaktom oraz współpracy krajowej i zagranicznej. Liczę na to, że ciężar gatunkowy zebranych tu archiwaliów przechyli szalę we właściwą stronę i pozwoli kontynuować tę akcję dla dobra ogółu. Miałbym szczerą satysfakcję, gdyby pokazany tu fragment zapomnianego dziedzictwa najmłodszej siostry Krakowa – Nowej Huty miał wpływ na wzbogacenie jego oferty kulturalnej i turystycznej. Być może album zadanie to ułatwi – to był dziewiąty powód jego edycji.

Wszyscy, którzy brali udział w projekcie „Czas zatrzymany" pokazali, że warto było to zrobić dla innych ludzi a zarazem dla siebie – z potrzeby odkrywania prawdy, miłości, piękna i śladów zagubionej przeszłości oraz dlatego, że żyjemy w miejscu wyjątkowym – Nowej Hucie, gdzie można czerpać korzyści nie tylko z supermarketów i stali, lecz także z jego rodzimej tradycji i kultury – oto dziesiąty powód powstania tej książki.

Adam Gryczyński, listopad 2006 r.



Promocja książki „Czas zatrzymany 1" w Urzędzie Miasta Krakowa z udziałem prof. Jacka Majchrowskiego, Prezydenta Krakowa, 6 marca 2006 r.

Rozdział I

Mogiła

KRZYSZTOF ROSOŁEK – Szkolnictwo wiejskie elementarne na terenach obecnej Nowej Huty w latach 1819-1825

Ogólna sytuacja szkolnictwa wiejskiego w latach 1815-1827

W 1815 r., po zakończeniu wojen napoleońskich, z Krakowa i terenów sąsiadujących z miastem zaborcy utworzyli autonomiczne państwo polskie, Rzeczpospolitą Krakowską, z polskim rządem i językiem polskim jako urzędowym. W obrębie tego państwa znajdowały się wszystkie wioski podkrakowskie, które dziś znajdują się na terenie Nowej Huty. Po 1815 r. władze polskie rozpoczęły tworzenie sieci szkół elementarnych w miastach i we wsiach. Całe ówczesne szkolnictwo podporządkowano w zakresie dydaktycznym Uniwersytetowi Jagiellońskiemu, natomiast kierownictwo szkół podstawowych, czyli elementarnych, spoczywało w rękach Dozoru Głównego Szkół Początkowych. Przedstawicielem w terenie zarządu głównego szkół podstawowych były dozory miejscowe, ciała kolegialne, do których weszli przedstawiciele miejscowej elity, czyli właściciele wiosek, sołtysi, wójtowie gmin i proboszczowie parafii. Zwłaszcza duża rola w pracy tych lokalnych zarządów szkół podstawowych przypadła duchowieństwu parafialnemu i to na ogół księża z parafii pełnili funkcje prezesów owych dozorów miejscowych szkół. System zarządzania szkolnictwem podstawowym charakteryzowała pewna decentralizacja, gdyż część kompetencji w kierowaniu szkołą przeniesiono na owe lokalne zarządy kolegialne. Ten system był korzystny dla funkcjonowania szkół, ale wiele zależało od zaangażowania w pracę szkoły samych członków dozoru miejscowego.

Szkolnictwo podstawowe w państwie było bezpłatne i powszechne. Obowiązek nauki w szkole obejmował wszystkie dzieci obojga płci i każdego wyznania religijnego. Utworzono fundusz szkół początkowych, który był zasilany wpłatami z ofiar publicznych i ze składek obowiązkowych płaconych przez wszystkich mieszkańców, a wysokość tego podatku zależała od stopnia zamożności podatników. W 1823 r. ten podatek został zniesiony, a pieniądze na finansowanie szkolnictwa pochodziły z budżetu państwowego. Pracę szkół podstawowych regulowała ustawa szkolna. Określała ona m.in. jakie przedmioty są objęte obowiązkowym programem nauczania. Obowiązek nauki obejmował dzieci, które ukończyły 6 rok życia. Nauka trwała 3 lata. O przejściu do kolejnej klasy decydował egzamin realizowany pod koniec roku szkolnego, na początku czerwca lub w późniejszym terminie, najdalej do lipca. Rok szkolny rozpoczynał się 1 października. Dzieci uczyły się czytania i pisania w języku polskim, rachunków arytmetycznych, katechizmu rzymsko-katolickiego, przy czym dzieci innych wyznań niż rzymsko-katolickie były zwolnione z zajęć religii. Ponadto ustawa przewidywała naukę ogrodnictwa dla chłopców i robótek ręcznych dla dziewcząt. Wymóg ten jednak nie zawsze mógł być spełniony z braku warunków do prowadzenia zajęć z tych zagadnień. Szkoły podstawowe były co roku wizytowane przez przedstawiciela Dozoru Głównego, który badał postępy w nauce dzieci i kwalifikacje nauczyciela, dokumentację szkoły oraz warunki miejscowe pracy szkoły, a więc stan techniczny budynku i finansowanie szkoły. Nauczyciel i dozór miejscowy szkoły pod koniec roku szkolnego sporządzali roczny raport do Dozoru Głównego Szkół w Krakowie z przeprowadzonych egzaminów i pracy szkoły z opinią o nauczycielu. Nauczyciele uzyskiwali kwalifikacje do pracy w szkole na podstawie egzaminów przeprowadzanych przez Dozór Główny Szkół Początkowych w Krakowie z przedmiotów, które były objęte obowiązkowym programem nauczania. Przysługiwała im pensja w wysokości 300 zł rocznie oraz dwie morgi gruntu do uprawy rolnej i darmowe mieszkanie. Zazwyczaj mieszkanie znajdowało się w pobliżu szkoły wiejskiej. Na ogół mieli ukończone szkoły elementarne, jakieś dodatkowe kursy realizowane w późniejszym czasie, rzadko jednak mogli przedstawić zaświadczenia dokumentujące nabyte umiejętności i wiedzę. Ale brak takich zaświadczeń nie stanowił na ogół przeszkód w osiągnięciu kwalifikacji nauczycielskich. Braki w kadrze nauczycielskiej zarząd szkół starał się uzupełniać naborem kandydatów o niepełnych kwalifikacjach, które potem uzupełniano kursami z pedagogiki i dydaktyki w Krakowie. Czasem zdarzało się, że jeden nauczyciel pracował równocześnie w dwóch szkołach wobec braku chętnych do pracy w trudnych warunkach, jakie były wówczas na wsi podkrakowskiej. Praktyka pokazała, że jeśli nauczyciel posiadał jakieś dodatkowe kwalifikacje, czasem prowadził zajęcia dla dzieci z innych dziedzin wiedzy, na przykład z geografii, muzyki lub języka niemieckiego.

Zarys szkolnictwa na terenie Nowej Huty

Na terenach obecnej Nowej Huty w pierwszej połowie XIX w. szkoły elementarne znajdowały się w Bieńczycach, Mogile, Czulicach, Luboczy, Pleszowie, Branicach, Ruszczy, Górce Kościelnickiej i Dąbiu. Szkołom tym podlegały zakresy, czyli obwody szkolne, z których dzieci miały uczęszczać do danej szkoły. Przeważnie liczba chłopców uczęszczających do szkoły przewyższała liczbę dziewcząt. W latach 1819-1824 liczba chłopców w poszczególnych szkołach wahała się między 10 a 35, a dziewcząt między 10 a 29. Największa liczba dzieci uczęszczała do szkoły w Pleszowie, gdzie liczba chłopców wynosiła między 29 a 32 w poszczególnych latach szkolnych, a dziewcząt między 16 a 20. Do szkoły w Mogile uczęszczało przeważnie 32-40 dzieci, w tym liczba chłopców wynosiła 19-22, a dziewcząt 14-22. Najmniej dzieci uczęszczało do szkoły w Luboczy, liczba

chłopców w tej szkole nie przekroczyła w tych latach 18 osób, a dziewcząt 15 osób. Na przykład frekwencja dzieci obojga płci w szkole w Branicach za kolejne lata szkolne wygląda następująco:

- 1819/1820: chłopcy – 18, dziewczęta – 24;
- 1820/1821: chłopcy – 9, dziewczęta – 12;
- 1821/1822: chłopcy – 15, dziewczęta – 15;
- 1822/1823; chłopcy – 12, dziewczęta – 15;
- 1823/1824: chłopcy – 17, dziewczęta – 18.

Końcowe lata w badanym czasie charakteryzowały się tendencją wzrostową liczby uczniów, ale zwykle w innych szkołach występowały zmiany wzrostowe lub spadkowe liczby uczniów w kolejno następujących po sobie latach. W Bieńczycach liczba chłopców w szkole w dwóch latach szkolnych 1819/1820 i 1820/1821 wynosiła 20, dziewcząt 12, a w kolejnym roku szkolnym wzrosła do 17. W 1821/1822 zaznaczył się spadek liczby uczniów obojga płci: 17 chłopców i 10 dziewczynek. Tendencja wzrostowa uczniów zaznaczyła się w następnych latach i w roku szkolnym 1823/1824 liczba chłopców wyniosła 33, a dziewczynek 12. Warto zaznaczyć, że przeciętnie liczba kwalifikowanych uczniów z danego obwodu szkolnego znacznie przekraczała liczbę uczniów faktycznie uczęszczających w tym roku do szkoły. Po prostu nie wszystkie dzieci korzystały z lekcji szkolnych. Spory wpływ na to zjawisko mieli ich rodzice, gdyż wówczas na wsi nie doceniano pożytków płynących z oświaty, a dzieci już od wczesnego dzieciństwa pracowały z rodzicami w gospodarstwie domowym i rzadko miały czas na naukę.

Na szkoły przeznaczano głównie już istniejące drewniane budynki w kiepskim stanie technicznym. Obowiązek przygotowania takiego budynku spoczywał na właścicielu danej wsi. Władze oświatowe zalecały budowę nowych obiektów szkolnych, ale z braku pieniędzy nie realizowano tych zamierzeń. Poza szkołą w Czulicach, którą otwarto w październiku 1821 r., szkoły w pozostałych wioskach funkcjonowały przynajmniej od 1818 lub 1819 r. Nauczyciele wyznaczeni do tych szkół uzyskiwali kwalifikacje nauczycielskie na podstawie egzaminów przeprowadzanych przez Dozór Główny Szkół Elementarnych w Krakowie w latach 1820-1822. Władze oświatowe miały problem z doborem wykwalifikowanej pedagogicznie kadry nauczycielskiej, dlatego do egzaminów kwalifikacyjnych na nauczycieli dopuszczano kandydatów nawet bez jakichkolwiek świadectw ukończenia szkół, a o wyborze nauczyciela decydował egzamin ze znajomości przedmiotów objętych programem nauczania w szkole. Pozostałe umiejętności, jak umiejętności pedagogiczne i dydaktyczne, uzupełniały kursy dla nauczycieli w Krakowie. W sprawach nauczania przez wiele lat cała oświata podlegała Uniwersytetowi Jagiellońskiemu. W roku szkolnym 1820/1821 na omawianym terenie podkrakowskim uczyli następujący nauczyciele: w Górce Kościelnickiej – Piotr Stanisławski, w Ruszczy i w Branicach – Jan Biernacki, w Pleszowie i Luboczy – Jacek Opler, w Mogile – Boczarski a po nim Kazimierz Rogoziński, w Bieńczycach – Walenty Morawiecki, w Czulicach od 1821 r. – Stanisław Nieradzki.

Finansowanie szkolnictwa wiejskiego we wsiach podkrakowskich w latach 1820-1822

Szkolnictwo elementarne wiejskie było finansowane ze składek publicznych płaconych przez mieszkańców wsi podkrakowskich do kasy państwowej. Wydzielono specjalny fundusz na szkolnictwo wiejskie, do którego wpływały pieniądze z tych składek publicznych. Każda wieś miała ustaloną kwotę podatku szkolnego, rozłożoną między jej mieszkańców według ich stopnia zamożności. Obowiązek płacenia podatku szkolnego spoczywał na wszystkich mieszkańcach, niezależnie od tego czy mają dzieci lub nie, oraz bez względu na wyznanie religijne. Składki były wpłacane do kasy państwowej co roku przez wójtów gmin, którzy przeprowadzali zbiórki pieniędzy od mieszkańców wiosek. Na terenie obecnej Nowej Huty w latach 1819-1823 znajdowały się dwie gminy: Kościelniki i Mogiła. Nazwy gmin pochodzą od wiosek, które do gmin należały i w tych wioskach były siedziby wójtów. Wioski położone w obrębie Gminy Mogiła wpłacały za rok szkolny 1820-1821 następujące wartości podatku:

- Mogiła – 210 zł,
- Bieńczyce – 104 zł,
- Mistrzejowice – 32 zł,
- Zesławice – 28 zł,
- Kantorowice – 26 zł,
- Zastów – 51 zł,
- Batowice – 49 zł,
- Dąbie – 64 zł,
- Czyżyny – 97 zł,
- Łęg – 74 zł.

Wioski położone w gminie Kościelniki:

- Pleszów – 146 zł,
- Kujawy – 104 zł,
- Łuczanowice – 51 zł,
- Wadów – 64 zł,
- Dojazdów – 48 zł,
- Grębałów – 67 zł,
- Lubocza – 87 zł,
- Wyciąże – 70 zł,
- Ruszcza – 56 zł,
- Wola Rusiecka – 14 zł,
- Przylasek Rusiecki – 41 zł,
- Kościelniki – 39 zł,

- Górka Kościelnicka – 29 zł,
- Krzesławice – 83 zł,
- Branice – 92 zł,
- Chałupki – 74 zł,
- Wróżenice – 53 zł,
- Prusy – 43 zł.

Ze składek tych finansowane były między innymi pensje nauczycielskie. Roczna pensja nauczyciela wiejskiego wynosiła 300 zł. W latach 1821-1822 ogólna wartość wpłaconego podatku przez poszczególne gminy wyniosła: gmina Kościelniki – 1922 zł, gmina Mogiła – 1119 zł.

Zasięg obwodów szkolnych po 1837 r. na terenach obecnej Nowej Huty.

9 września 1837 r. Dozór Główny Szkół Początkowych, czyli zarząd szkolnictwa wiejskiego w Krakowie, opracował nowy projekt wyznaczenia obwodów szkolnych, czyli zakresów szkolnych, który określał jakie wioski podlegają danej szkole. Projekt został zatwierdzony na posiedzeniu Dozoru Głównego 23 września 1837 r., a Senat Rządzący, który pełnił funkcję rządu Rzeczpospolitej Krakowskiej, zatwierdził go 3 listopada tego samego roku. Na terenach dzisiejszej Nowej Huty w 1837 r. znajdowały się następujące zakresy szkolne (w nawiasach są podane liczby domów w poszczególnych wioskach):

- Szkoła w Górce Kościelnickiej: Górka Kościelnicka (22), Kościelniki (38), Stanisławice (43), Węgrzynowice (17). Razem liczba domów w zakresie – 120.
- Szkoła w Luboczy: Lubocza (44), Grębałów (32), Dojazdów (23), Krzysztoforzyce (28), Łuczanowice (21), Wadów (24). Razem liczba domów w zakresie – 172.
- Szkoła w Wyciążach: Wyciąże (60), Branice (60), Przylasek Rusiecki (40), Las Wyciąski (14), Las Kościelnicki (26), Zarogów (4), Wolica (11), Cło (8), Ruszcza (34). Razem liczba domów w zakresie – 257.
- Szkoła w Pleszowie: Pleszów (76), Kujawy (66), Chałupki (64), Stryjów (23), Kępka Rusiecka (5). Razem liczba domów w zakresie – 234.
- Szkoła w Czulicach: Czulice (32), Karniów (37), Głęboka (16), Kocmyrzów (27), Wróżenice (25). Razem liczba domów w zakresie – 137.
- Szkoła w Mogile: Mogiła z Kopańcem (136), Czyżyny (34), Łęg, domy od numeru 1 do 15. Razem liczba domów w zakresie – 185.
- Szkoła w Dąbiu: Dąbie (50), Beszcz (13), Piaski (21), Grzegórzki (22), Łęg (42 domy należące wówczas do parafii św. Mikołaja w Krakowie), Rakowice (36), Olsza (13). Razem liczba domów w zakresie – 197.
- Szkoła w Raciborowicach: Raciborowice (39), Batowice (24), Kantorowice (14), Zastów (26), Dziekanowice (23), Mistrzejowice (16), Sulechów (13), Prusy (17). Razem liczba domów w zakresie – 172.
- Szkoła w Bieńczycach: Bieńczyce (78), Krzesławice (46), Zesławice (22). Razem liczba domów w zakresie – 146.

KRZYSZTOF ROSOŁEK – Funkcjonowanie Szkoły Początkowej w Mogile w latach 1819-1860[1]

Obwód szkolny nr 6 w gminie Mogiła obejmował wioski Mogiłę z Kopańcem, Czyżyny i Łęg. W latach 20. XIX w. do dozoru miejscowego, który nadzorował szkołę w Mogile, należeli: prezes W. Skalski, zastępca wójta gminy Mogiła, ks. Wawrzyniec Chmielowski, przeor Cystersów w Mogile, ks. Placyd Pisarski z parafii i ks. Adam Paszkowicz, proboszcz z parafii św. Bartłomieja w Mogile, Stanisław Siwek, sołtys Czyżyn oraz Antoni Hima, sołtys Mogiły. System funkcjonowania dozorów miejscowych w obwodach szkolnych umożliwiał kontrolę szkoły przez miejscowe społeczeństwo. Dużą rolę w dozorach miejscowych na wsi odgrywało duchowieństwo parafialne, a w przypadku Mogiły też duchowieństwo zakonne. Szkoła parafialna w Mogile do 1839 r. znajdowała się w parterowym budynku ze strychem, po drugiej stronie ul. Klasztornej, naprzeciw obecnej bramy głównej na dziedziniec przed bazyliką Cystersów. Ten budynek cystersi jeszcze przed 1819 r. przystosowali na potrzeby szkolne. Znajdowały się tam dwie izby. Izba lekcyjna po prawej stronie od wejścia o wymiarach 8 na 9 łokci z dwoma niewielkimi oknami, z podłogą i piecem, i obok po lewej stronie mieszkanie nauczyciela tej szkoły. Wizytatorzy szkolni obliczyli, że salka lekcyjna mogła pomieścić do 50 dzieci. Liczba dzieci w wieku szkolnym w tym obwodzie wynosiła około 150 osób. W 1819 r. Dozór Główny zobowiązał cystersów, by prowadzili dwie księgi ewidencyjne w szkole. W jednej zapisywali uwagi Dozoru o szkole, a w drugiej prowadzili ewidencję uczniów: imię, nazwisko, wyznanie, miejscowość pochodzenia, data rozpoczęcia nauki, oraz ich oceny. Pensja nauczyciela w Mogile wynosiła 400 ówczesnych złotych i była finansowana przez cystersów (350 zł) i proboszcza w Mogile (50 zł). Pensja nauczycielki dla dziewcząt wynosiła 80 zł, ale była finansowana z rządowego funduszu szkół początkowych, do którego roczną składkę wpłacało każde gospodarstwo domowe i instytucje kościelne oraz dobrowolni ofiarodawcy. Na ogół wszystkie pensje nauczycielskie opłacane były z funduszu szkolnego, ale

1. Tekst został pierwotnie opublikowany w formie artykułów w „Mogilskim Krzyżu" i „Głosie-Tygodniku Nowohuckim".

w Mogile cystersi przyjęli na siebie koszt opłacania nauczyciela. Ustawowo nauczyciel miał jeszcze prawo do darmowego mieszkania i kawałka gruntu o powierzchni 2 mórg. Cystersi płacili rocznie 6 zł do funduszu szkolnego, ale ponieważ sami opłacali nauczyciela, na początku lat dwudziestych starali się o zwolnienie od tej składki szkolnej. Szkoły podstawowe miały swój własny budżet centralny, odrębny od budżetu państwowego. Statut szkolnictwa powszechnego określał, że rok szkolny na wsi zaczyna się 1 października i trwa do końca maja. Dzienny czas lekcji dla każdego dziecka obejmował 3 godziny. Dzieci obojga płci, bez względu na wyznanie religijne, rozpoczynały obowiązkową naukę po ukończeniu 6 roku życia. W szkole w Mogile program nauczania obejmował, zgodnie ze statutem szkół, naukę czytania i pisania w języku polskim oraz arytmetykę. Dziewcząt wiejskich uczono też robótek ręcznych, haftu, tkania i uprawy lnu oraz konopi. Zadanie nauczania tych umiejętności powierzano kobietom. Statut zalecał, aby zatrudniać do tych zajęć, jeśli jest taka możliwość, żony miejscowych nauczycieli, którzy pracowali w danej szkole. Po 1823 r. zajęcia dla dziewcząt w Mogile prowadziła żona miejscowego nauczyciela Kazimierza Rogozińskiego, Agnieszka Rogozińska z domu Biczówna. W listopadzie 1819 r. przeor Cystersów w Mogile rozważał możliwość zatrudnienia nauczyciela i prosił przedstawicieli Dozoru Głównego, aby nie wyznaczali nowego wychowawcy, dopóki on sam nie znajdzie kandydata, na przykład wśród zakonników swego klasztoru, zdatnego do prowadzenia zajęć z dziećmi. Od grudnia 1819 r. przez dwa lata nauczycielem w Mogile był Józef Boczarski. Wkrótce po odejściu Boczarskiego zatrudniono wspomnianego Kazimierza Rogozińskiego, który pracował w tym czasie w parafii jako organista w kościele św. Bartłomieja. Prawo wymagało, aby nowy kandydat na nauczyciela zaliczył egzamin kwalifikacyjny do tego zawodu. 28 sierpnia 1821 r. proboszcz tej parafii, ks. Paszkowicz, wystawił świadectwo dotychczasowej pracy w parafii mogilskiej swemu organiście. Rogoziński starał się wówczas o stałą posadę nauczyciela. Jego kandydatura została zgłoszona przez dozór miejscowy Dozorowi Głównemu i przed komisją egzaminacyjną Rogoziński zaliczył egzamin kwalifikujący go do pracy nauczycielskiej w szkole podstawowej. Fragment opinii wystawiony przez egzaminatora brzmiał następująco: *Kazimierz Rogoziński przedstawiony Dozorowi Głównemu przez Dozór Miejscowy Szkoły Mogilskiej na nauczyciela tejże szkoły parafialnej odprawił egzamin przed podpisanym w celu upoważnienia siebie przez Dozór Główny Szkół Początkowych nauczycielem w tejże szkole. Czyta i pisze po polsku dobrze, przykłady z arytmetyki rozwiązał wiernie, łatwo i dobrze. Moralności swej i dobrych obyczajów złożył świadectwo wiary godne od księdza kanonika plebana Mogilskiego oraz jako trudnił się nauczaniem małych dzieci z widocznym tak pożytkiem. Może, przeto otrzymać upoważnienie na nauczyciela szkoły parafialnej mogilskiej jako dobrze zdatny i moralny nauczyciel. Podpisał w dniu 10 października 1821 r. M. Dymidonicz, egzaminator*. 12 października 1821 r. Rogoziński uzyskał od władz ostateczną zgodę na objęcie stanowiska nauczyciela. Rogoziński zamieszkał na stałe w Mogile i przy skrzyżowaniu obecnych ulic Sieroszewskiego oraz Klasztornej koło parku wybudował dla siebie i rodziny dom. Obecny stylowy dworek, który stoi w tym miejscu, tak zwana Willa Rogozińskich, pochodzi z późniejszego czasu. Rodzina Rogozińskich z Mogiły spoczywa na cmentarzu parafialnym przy os. Wandy.

Problemem funkcjonowania szkoły w Mogile był kiepski stan techniczny budynku szkolnego. 5 października 1836 r. Budowniczy Okręgowy Wolnego Miasta Krakowa, Herzog, sprawdził stan budynku szkolnego i uznał, że grozi on zawaleniem, a koszty jego remontu są zbyt wysokie. Cystersi w ubiegłych latach zwracali się do władz w Krakowie w sprawie dostarczenia drewna na nową szkołę. Koszt wystawienia nowego budynku szkolnego szacowano na kilka tysięcy złotych, co w owym czasie było sporą sumą. Wójt Mogiły rozważał też możliwość postawienia murowanego budynku dla szkoły, choć z drewna był tańszy. Przeor chciał przenieść szkołę do pomieszczenia na piętrze w obrębie klasztoru, które pełniło funkcję spichlerza, ale uznano, że także wymaga remontu. Problem budowy nowej szkoły rozbił się o brak pieniędzy. Sprawa natrafiła na brak woli wielu stron. Na wsi zrozumienie potrzeb oświaty było w pierwszej połowie XIX w. bardzo małe. Jeśli już szkoła miała funkcjonować, to jak najmniejszym kosztem własnym. W końcu w 1839 r. lekcje przeniesiono do prywatnego domu wspomnianego nauczyciela, Kazimierza Rogozińskiego, za zgodą komisarza rządowego. Mieszkańcy wiosek pokrywali tylko koszt wynajmu tego pomieszczenia na pracę szkoły. Elity miejscowe widziały konieczność i pożytek w szerzeniu oświaty na wsi, ale zdawano sobie sprawę, że sama szkoła podstawowa nie wystarczy, bowiem po latach od jej ukończenia, przy braku kontaktu z literaturą w języku ojczystym, chłopi tracili umiejętność czytania i pisania. Znane było wówczas zjawisko wtórnego analfabetyzmu. Przeor Cystersów w Mogile, ks. Chmielewski, w piśmie do Dozoru Głównego Szkół Początkowych 14 października 1819 r. pisze, że efekty nauczania w szkole są trwalsze u dziewcząt niż u chłopców, ponieważ brak codziennego kontaktu z literaturą, długoletnia służba wojskowa w obcym wojsku i praca na roli wypełniająca cały dzień uniemożliwiały utrwalenie zdobytych umiejętności. W Mogile tylko niektórzy młynarze potrafili podpisać się imieniem i nazwiskiem.

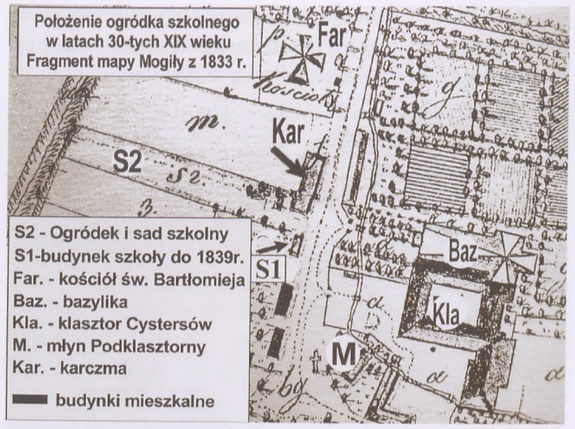

Mapa fragmentu Mogiły z 1833 r. z lokalizacją szkoły wiejskiej przy ul. Klasztornej

Szkoła parafialna w Mogile w latach 1819-1839 znajdowała się naprzeciwko wejścia do bazyliki przy ul. Klasztornej. Ustawa rządowa zobowiązywała właściciela wsi do wyznaczenia działki na postawienie nowego budynku szkoły. Jednak zazwyczaj szkoły wiejskie w pierwszej połowie XIX w. na terenie obecnej Nowej Huty umieszczano w już istniejących budynkach, w których niektóre pomieszczenia lub cały budynek adaptowano na szkołę. Cystersi za zgodą Dozoru Głównego Szkół Początkowych zaadaptowali tuż przed 1819 r. drewniany budynek, który stał naprzeciw bazyliki cysterskiej. W latach trzydziestych XIX w. stan techniczny tego budynku był tak kiepski, że zadecydowano o jego rozebraniu i budowie w jego miejscu nowej szkoły. Senat Rządzący w Krakowie w 1835 r. polecił, aby Budowniczy Okręgowy przygotował plan i kosztorys budowy. Plan i kosztorys tej inwestycji opracował 22 kwietnia 1837 r. Budowniczy Okręgowy Wolnego Miasta Krakowa, Herzog. Koszt budowy szkoły wynosił 9016 zł, z tej kwoty 5237 zł przeznaczono na zakup materiałów budowlanych, a pozostałe pieniądze na opłacenie majstrów i nadzór budowlany. Realizację tej inwestycji miał nadzorować Herzog przez 6 miesięcy. Koszt budowy nowej szkoły mieli ponieść mieszkańcy wiosek Mogiły, Czyżyn i części wsi Łęg. Rozkład kosztów i robocizny opracował wójt Gawroński w styczniu 1838 r., stosownie do polecenia Senatu Rządzącego z 16 czerwca 1837 r. Podpisał się też pod tym dokumentem prezes dozoru miejscowego szkoły, proboszcz mogilski, ks. Tomasz Szczepanowski. Mieszkańcy na realizację tej inwestycji mieli płacić dwa rodzaje podatku: w formie pieniężnej i w formie robocizny, czyli pracy fizycznej. Wysokość stawek podatku pieniężnego była określana według wielkości gruntu rolnego i wysokości dochodów w zawodach nierolniczych. W ramach robocizny rozróżniano tak zwane „dni ciągłe", w czasie, których należało się stawić do pracy z własnym wozem, aby przewieźć m.in. materiały budowlane. Ten rodzaj robocizny obowiązywał najbogatsze grupy chłopów na wsi, półrolników i kmieci. Natomiast biedniejsze gospodarstwa, czyli zagrodnicy i chałupnicy obowiązani byli do wykonania tak zwanych „dni pieszych", świadczonych w formie pracy na placu budowy jako pomoc zatrudnionym płatnie majstrom. Materiały potrzebne do budowy szkoły miały być sprowadzone do Mogiły Wisłą z Krakowa. Przeor cystersów przed przygotowaniem tego planu rozważał w 1836 r. przeniesienie lekcji szkolnych do lokalu na pierwszym piętrze jednego z budynków klasztornych, który pełnił wówczas funkcję spichlerza, ale to pomieszczenie wymagało remontu. Poza tym komisja, która przybyła z Krakowa z ramienia Dozoru Głównego Szkół Początkowych ustaliła, że na terenie klasztoru nie ma lokalu zdatnego na szkołę. Ustawa szkolna zalecała, aby budynki szkół wiejskich wystawiać z drewna, ponieważ były tańsze od murowanych. W Mogile przyjęto plan wystawienia szkoły murowanej ze względu na to, iż Kopaniec – część zachodnia wsi Mogiła, miał bardzo wilgotne grunty z powodu bogatszej sieci wodnej niż obecnie i drewniane budynki szybko niszczały na podmokłym gruncie.

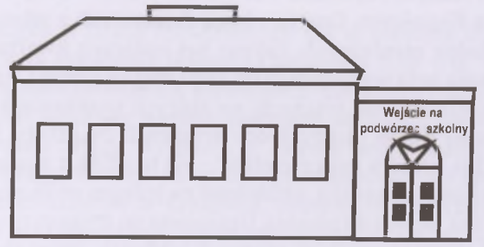

Projekt nowego budynku szkolnego w Mogile z 1837 r. Niezrealizowany. Autor – Herzog

Według projektu miał to być budynek parterowy, częściowo podpiwniczony, ze strychem, kryty dachem czterospadowym. Mieściłyby się w nim izba lekcyjna i pokój dla nauczyciela z kuchnią. Wejście do budynku znajdowałoby się nie od obecnej ul. Klasztornej, ale z drugiej strony, od podworca, na który wchodziłoby się przez bramę w ogrodzeniu po prawej stronie budynku. Jednak sprawa wystawienia nowego budynku szkolnego upadła przed 1839 r. z powodu niechęci mieszkańców do poniesienia kosztów tej inwestycji. Wójt nie mógł ściągnąć podatków od mieszkańców wiosek, a cystersi tłumaczyli, że nie mają pieniędzy na sfinansowanie tej inwestycji. Nowy lokal dla szkoły zaoferowali w 1838 r. Rogozińscy. Kazimierz Rogoziński, kiedy przybył do Mogiły w 1821 r., zamieszkał prawdopodobnie w izbie nauczycielskiej w szkole. Przed 1827 r. mógł przenieść się do jakiegoś innego lokalu, który otrzymał od cystersów. Mówi o tym mało konkretnie dokument z 1827 r. W 1823 r. Rogoziński ożenił się z Agnieszką Biczówną i oboje z dziećmi przenieśli się w 1838 r. do nowo wybudowanego dla siebie drewnianego budynku, który stał mniej więcej w miejscu obecnej Willi Rogozińskich. Dwie izby w swoim nowym domu Rogoziń-

scy wynajęli dla szkoły. Od 1 października 1839 r. lekcje odbywały się właśnie tam. Dom, w którym mieszkali Rogozińscy w Mogile w latach 40. XIX w. posiadał numer 54 i od 1 października 1839 r. mieściła się tutaj szkoła początkowa, przeniesiona w roku 1839 z budynku, który stał naprzeciw bazyliki Cystersów przy ul. Klasztornej. W domu Rogozińskich, za drzwiami wejściowymi znajdowała się sień, a salki lekcyjne położone były po stronie lewej od sieni. W izbie o wymiarach 8 na 7 łokci z trzema oknami uczyli się chłopcy, a obok w drugiej izbie o wymiarach 8 na 5 łokci z jednym oknem uczyły się dziewczynki. Obie salki miały podłogi i piece murowane z cegły. Po prawej stronie od sieni była izba mieszkalna Rogozińskich na planie kwadratu o wymiarach 7 na 7 łokci z małą garderobą, podłogą i piecem. Za nią znajdowała się kuchnia i przyległa do niej spiżarka. Cały budynek był zbudowany na planie prostokąta o wymiarach 24 na 12 łokci, dłuższym bokiem ustawiony równolegle do obecnej ul. Klasztornej. Nakryty był strychem, na który wchodziło się po schodach z sieni. Dwie izby Rogozińscy wynajęli dla szkoły za rocznym czynszem 180 zł, który mieszkańcy Mogiły z Kopańcem, Czyżyn i Łęgu finansowali z własnych składek pieniężnych. Czynsz był opłacany kwartalnie. Szkoła była wyposażona od 1841 r. w 14 ławek i 3 półki umocowane na ścianach, na których uczniowie kładli czapki i inne rzeczy, które przynosili do szkoły. Stała tu też katedra nauczycielska – był to stolik z szafką zamykaną i ławeczką, ustawione na jednym postumencie i duża tablica do pisania. Uczniowie do dyspozycji mieli 18 sztuk niewielkich czarnych tabliczek, które służyły im do nauki pisania i arytmetyki. Te rekwizyty szkolne szkoła nabyła dzięki składkom pieniężnym rodziców dzieci szkolnych. Szkoła otrzymywała regularnie, co roku, opał na zimę: 15 korców węgla i 1 sążeń drewna miękkiego, których koszt pokrywał budżet państwowy. Opał przywozili do Mogiły chłopi z tej wsi ze składów nadwiślańskich pod Krakowem. W 1832 r., kiedy we wsi Mogile przeprowadzano oczynszowanie, wydzielono dla szkoły niewielki ogródek naprzeciw bazyliki. Rogoziński założył tu szkółkę ogrodniczą dla uczniów płci męskiej, gdzie uczyli się od drugiej klasy umiejętności upraw rolnych. Była tu pasieka i uprawa drzew owocowych. Biblioteka szkolna obejmowała książki: Ewangelie na niedziele i święta, Biblię dla dzieci, „Nauka dla włościan", „Opowiadania ludowe", „Wybór przykładów dla ludu wiejskiego i miejskiego Pana Macieja z Jędrychowa", 9 książek katechizmu rzymskiego, 10 egzemplarzy myśli chrześcijańskich. Kazimierz Rogoziński prowadził zajęcia z dziećmi ze swoją żoną, Agnieszką, też kwalifikowaną nauczycielką. Po jej śmierci od 1840 r. nauczycielką w Mogile została najstarsza córka Rogozińskich, Eleonora. Wcześniej Eleonora Rogozińska przez kilka lat uczyła się robótek ręcznych i tkactwa w szkole prowadzonej przez siostry Szarytki w Krakowie, gdzie na czas nauki mieszkała i pozostawała pod opieką swego wuja. Po śmierci swojej matki, po 1840 r. uzyskała kwalifikacje nauczycielskie i przez następne lata razem z ojcem prowadziła szkołę parafialną w Mogile.



Pierwsza lokalizacja szkoły w latach 1819-1839, naprzeciw bramy głównej na dziedziniec przed bazyliką i druga lokalizacja szkoły od 1839 r., przy obecnym parku koło skrzyżowania ulic Sieroszewskiego i Klasztornej

Szkoła podstawowa w Mogile była w opisywanym okresie szkołą trzyletnią. Pierwsza zachowana ewidencja uczniów szkoły w Mogile pochodzi z 1817 r. Ten dokument zawiera wyszczególnienie uczniów i przedmiotów w programie nauczania, ale w obrębie dwóch klas: klasy elementarnej i klasy pierwszej. Dokumenty szkolne z lat 1825-1850 wyszczególniają trzy klasy, które Rogoziński nazwa Oddziałami. Obowiązkowi szkolnemu podlegały wszystkie dziewczynki i wszyscy chłopcy, którzy skończyli 6 rok życia, każdego wyznania religijnego. Ponieważ w szkołach ludowych nauczano religii wyznania rzymsko-katolickiego, dlatego ustawa szkolna zwalniała z udziału w lekcjach religii dzieci innych wyznań niż rzymsko-katolickie, na przykład wyznań protestanckiego i starozakonnego, czyli judaizmu, z wyjątkiem, gdyby rodzice wyrazili zgodę na udział ich dzieci w lekcjach religii. Na ogół do szkoły w Mogile, według zachowanych ewidencji uczniów, uczęszczały dzieci wyznania katolickiego, poza jednym przypadkiem. W latach trzydziestych odnotowany został tylko jeden uczeń wyznania starozakonnego, Żyd o imieniu Joel. Przy imieniu dopisano katechumen, prawdopodobnie wówczas przygotowywał się do przyjęcia chrztu.

Ustawa szkolna z 1817 r. wprowadziła obowiązek nauczania następujących przedmiotów: dla dziewczynek i dla chłopców czytania i pisania w języku polskim, arytmetyki oraz tylko dla chłopców zajęcia z ogrodnictwa i sadownictwa, a dla dziewczynek zajęcia z robótek ręcznych. W Mogile w 1817 r. w ramach klasy elementarnej dzieci uczyły się religii, początków arytmetyki, a w ramach języka polskiego: poznawania głosek, zgłoskowania, podstaw czytania i pisowni.

W klasie następnej program obejmował naukę religii, naukę o moralności, nauki obyczajowe, czytanie tekstu drukowanego, pisownię, czytanie rękopisów polskich i arytmetykę. W latach dwudziestych i trzydziestych poszerzył się zakres przedmiotów nauczania w szkole mogilskiej, w której lekcje trwały trzy lata. Przez trzy lata dzieci uczyły się następujących przedmiotów: nauka o zdrowiu, religia i nauka o moralności, język polski i arytmetyka. W ramach języka polskiego w pierwszej klasie program obejmował poznawanie głosek, czytanie tekstu drukowanego i pisownię polską. W klasach drugiej i trzeciej – czytanie tekstu drukowanego i rękopiśmiennego oraz pisownię. W ramach arytmetyki w klasie pierwszej: pisownię i czytanie liczb, liczenie w pamięci. W następnych klasach program obejmował działania arytmetyczne: dodawanie, odejmowanie (zwane też odciąganiem), dzielenie i mnożenie. Od drugiej klasy chłopcy uczyli się ogrodnictwa i sadownictwa, a dziewczynki – robótek ręcznych. W 1833 r. Rogoziński założył ogródek i sad szkolny na działce, którą szkoła otrzymała od cystersów po reformie rolnej w latach 1832-1833. Działka znajdowała się obok budynku szkolnego po jego północnej stronie i była położona dokładnie naprzeciw bazyliki Cystersów. Ciągnęła się długim wąskim pasem prostopadle do ul. Klasztornej. Obecnie na terenie tej działki stoi budynek mieszkalny nr 8. Obok działki stał budynek szkoły i w jego miejscu stoi obecnie budynek mieszkalny nr 10, naprzeciw głównej bramy wejściowej na dziedziniec przed bazyliką. Obok tej działki szkolnej od jej północnej strony stała karczma, która należała wówczas do klasztoru, był długi budynek położony równolegle do ulicy. Obecnie w miejscu gdzie w XIX w. była ta karczma stoi budynek mieszkalny nr 6, ustawiony naprzeciw kiosku przy bazylice. Znajdowały się na tych terenach dawne grunty dworskie, czyli klasztorne.

Szkoła w Mogile nie posiadała jednolitego elementarza dla wszystkich uczniów do nauki języka polskiego. Rogoziński zalecał wizytatorom z wydziału oświaty z Krakowa, aby wprowadzić jako obowiązujący w szkołach w kraju elementarz ks. Grzegorza Piramowicza, jezuity z XVIII w. i pracownika Komisji Edukacji Narodowej. Być może Rogoziński korzystał w nauczaniu z tego podręcznika. Z powodu braku jednolitego programu nauczania języka polskiego, dozór miejscowy w Mogile zadecydował, aby dzieci przynosiły do szkoły dowolne wybrane przez rodziców książki w języku polskim, które posiadali w domu. Powstał z powodu tej różnorodności książek problem w nauczaniu tego języka i konflikty między rodzicami a nauczycielem. Nauka religii obowiązywała przez trzy lata. Dzieci pobierały też nauki katechetyczne w kościele św. Bartłomieja, których udzielał im proboszcz w niedziele, tuż przed nieszporami. W pierwszej klasie szkoły podstaw religii uczył Rogoziński. Nauka polegała na zapamiętywaniu głównych prawd wiary. Z opisu, który Rogoziński pozostawił wynika, że nie zapuszczał się on wówczas w głębsze wyjaśnienia zagadnień religijnych. Uczył na przykład zagadnień: „Wiele jest Bogów?", „Kto Cię stworzył", „Przykazania Boże" oraz siedem grzechów głównych i „przeciwnych im cnót", „Siedem Sakramentów Świętych". Od drugiej klasy religii uczył proboszcz. Program nauczania religii obejmował: wyjaśnienie Modlitwy Pańskiej, Pozdrowienia Anielskiego, Skład Apostolski, Przykazania Boże. Rogoziński prawdopodobnie wymienił w raporcie tylko niektóre zagadnienia z katechezy. Umiejętności poznawania pisowni polskiej i rachunków arytmetycznych dzieci uczyły się, pisząc kredą na czarnych tabliczkach. W 1841 r. ze składek rodziców zakupiono do szkoły 18 takich tabliczek. Najwięcej trudności sprawiała uczniom arytmetyka. Łatwiej potrafiły opanować naukę pisania i czytania w języku polskim, ale miały trudności z poprawną wymową niektórych polskich głosek jak „sz" i „cz". Charakterystyczne dla ówczesnej wymowy na wsi było tak zwane „sykanie", jak określił je Rogoziński, czyli wymawianie „s" zamiast „sz".

W Mogile w latach dwudziestych XIX w. niektóre dzieci uczyła prywatnie Julianna Chwajonka z tej wsi. Nie miała nauczycielskich kwalifikacji państwowych. Widocznie władając typową ówczesną wymową wiejską utrwalała błędy wymowy u swoich wychowanków. Rogoziński zwrócił na to uwagę w raporcie do swoich przełożonych w Krakowie, prosząc władze rządowe o wydanie zakazu nauczania dzieci dla tej kobiety. W przypadku tej wiejskiej nauczycielki praktyka była taka, że uczyły się u niej głównie dzieci jej sąsiadów i kiedy dziatwa przyjęła już podstawy czytania i pisania, rodzice dopiero wówczas posyłali je do szkoły, ale już z błędami wymowy. Były przypadki, że niektórzy z rodziców wyśmiewali się, kiedy dzieci w domu opowiadały im, czego się nauczyły w szkole o właściwej wymowie wyrazów polskich. Szkoła miała duże trudności na wsi w pracy nad wprowadzeniem właściwej wymowy polskiej.

Każdy rok szkolny kończył się egzaminem z nauczanych przedmiotów. Obecni byli na tym egzaminie nauczyciel, członkowie dozoru miejscowego szkoły, czyli przeor Cystersów, proboszcz jako jego prezes, wójt gminy Mogiła. Dzieci, które wyróżniły się w nauce dobrymi ocenami, nagradzano książeczkami lub obrazkami. Zarządzenia władz oświaty zalecały przyznawanie nagród za wyniki w nauce jako zachętę. Po tym egzaminie nauczyciel sporządzał ewidencję uczniów, którzy w danym roku uczęszczali do szkoły, w której wyszczególniał ich imiona i nazwiska, wiek, wyznanie religijne, oceny z zachowania, status zawodowy rodziców, miesięczny rozkład obecności w szkole, dzień przyjścia do szkoły w nowym roku szkolnym i uczestnictwo w poszczególnych przedmiotach szkolnych. W pierwszej kolejności

wypisywał chłopców a następnie dziewczynki z podziałem na poszczególne Oddziały, czyli klasy. Natomiast Dozór Główny sporządzał ogólny raport ze stanu nauczania, ocenę ogólną osiągniętą przez uczniów podczas egzaminu rocznego i ocenę nauczyciela. Zazwyczaj była to krótka notka ujęta w kilku zdaniach. Podpisywał go zwykle proboszcz i przeor Cystersów, czasem wójt gminy. Oba dokumenty, ewidencję uczniów i raport przekazywano do wydziału oświaty w Krakowie. Czasami szkołę w Mogile wizytował z ramienia wydziału oświaty prorektor Liceum Krakowskiego im. św. Anny, Antoni Himowski. Przeprowadzał w czasie wizyty egzamin kilku wybranych uczniów i sprawdzał też kwalifikacje nauczyciela. Ponadto kontrolował dokumentację szkolną. Najczęściej wizyty w szkole składał przeor Cystersów jako przedstawiciel dozoru miejscowego szkoły. W latach 1821-1841 do szkoły w Mogile uczęszczało około 1256 dzieci. Chłopcy stanowili około 54 % wszystkich uczniów. Początki działalności tej szkoły były trudne, gdyż w 1817 r. do szkoły uczęszczało tylko 20 uczniów, w tym 15 chłopców i 5 dziewczynek. W następnych latach liczba uczniów wzrastała, a przyczyną tego wzrostu była lepsza integracja szkoły w trudnym do nauczania ówczesnym środowisku wiejskim. Zestawienie ogólnej liczby uczniów dla niektórych wybranych lat szkolnych przedstawia się następująco:

- 1821/1822 – 41 uczniów;
- 1825/1826 – 44 uczniów;
- 1828/1829 – 61 uczniów;
- 1832/1833 – 54 uczniów;
- 1834/1835 – 90 uczniów;
- 1836/1837 – 80 uczniów;
- 1840/1841 – 54 uczniów;
- 1841/1842 – 110 uczniów.

Charakterystyczny jest wzrost liczby uczniów w czwartym dziesięcioleciu XIX w. Jest to rezultat wzrostu dyscypliny w zakresie wypełniania określonych prawem obowiązków szkolnych dzieci przez ich rodziców. Rogoziński wspominał, że dzieci na ogół chętnie przychodzą do szkoły, jednak często ich rodzice zabraniali im tego z różnych powodów. W XIX w. chłopi na wsi nie dostrzegali korzyści płynących z edukacji, poza pewnymi wyjątkami. Uznawali, że podstawowa znajomość pisania i czytania jest potrzebna, zwłaszcza w sprawach urzędowych, ale nie byli zainteresowani pogłębianiem znajomości języka polskiego i matematyki. Nie należy się temu dziwić, taka postawa była rezultatem zaniedbania sprawy chłopskiej w dziedzinie ekonomicznej i społecznej przez kilka wieków dziejów niepodległej Rzeczpospolitej do czasów rozbiorów.

Dzieci uczące się w tej szkole pochodziły z trzech wiosek: Mogiły z Kopańcem, Czyżyn i części wsi Łęg – z domów o ówczesnych numerach od 1 do 39, dzieci z pozostałej części Łęgu chodziły do szkoły w Dąbiu w sąsiednim okręgu szkolnym. Należy się tu jednak pewne wyjaśnienie zagadnienia zasięgu terytorialnego okręgu szkolnego szkoły w Mogile. Otóż okręg ten pokrywał się mniej więcej z zasięgiem terytorialnym ówczesnej parafii św. Bartłomieja w Mogile. Czyżyny i Mogiła z Kopańcem należały w całości do tejże parafii. Natomiast wieś Łęg była do XIX w. podzielona między dwie parafie. Część zachodnia Łęgu należała do parafii św. Mikołaja w Krakowie, natomiast do parafii św. Bartłomieja w Mogile należała pozostała, wschodnia część Łęgu.

Nie wszystkie dzieci z okręgu szkolnego podległego tej szkole uczęszczały do szkoły w latach dwudziestych. Ogólną liczbę dzieci kwalifikowanych do szkoły z tego okręgu Rogoziński szacował w 1824 r. na około 100 osób. Przeciętnie tylko 48 % dzieci uczęszczało do szkoły w danym roku szkolnym. Pozostałe dzieci z różnych przyczyn nie przychodziły na lekcje. W latach dwudziestych XIX w. najwięcej uczniów pochodziło z Mogiły i z Kopańca, mniej uczniów pochodziło z Łęgu i Czyżyn i nie tylko był to wynik mniejszego zaludnienia w tych wioskach w stosunku do Mogiły. Stan dróg wiejskich w początkowych dekadach XIX w. był tak zły, że wiosną w czasie roztopów i po obfitych deszczach oraz zimą po dużych opadach śnieżnych drogi były nieprzejezdne. Pamiętniki podróżników z XIX w. wspominają, że czasem wozy chłopskie musiały wjeżdżać na sąsiednie pole, aby ominąć odcinek niedostępnej drogi zamienionej w grzęzawisko obfitego błota. Niektóre dzieci z powodu biedy nie posiadały odpowiedniego obuwia i ciepłej odzieży na słotną pogodę oraz mroźną zimę, dlatego w czasie trudnych warunków atmosferycznych i kiepskiego stanu dróg rodzice nie posyłali dzieci do odległej szkoły. W niektórych latach dzieci z Łęgu w ogóle nie przychodziły do szkoły. Były jednak lata, kiedy frekwencja w szkole uczniów z wiosek Łęg i Czyżyny była wysoka. W 1841/1842 r. z Mogiły uczęszczało do szkoły 39 chłopców i 19 dziewczynek; z Czyżyn – 24 chłopców i 19 dziewczynek; z Łęgu 4 chłopców i 5 dziewczynek. Wydaje się, że w tym roku chodziły do szkoły prawie wszystkie dzieci, które były obowiązane ustawą szkolną do nauki. Rogoziński zalecał władzom oświatowym, aby wybudowano drugą szkołę w Czyżynach, do której mogłyby uczęszczać dzieci z tej wsi i z sąsiedniego Łęgu.

Ustawa szkolna określała, że nauka w szkole trwa trzy lata, ale w Mogile dziewczynki uczęszczały tylko do pierwszych dwóch klas, natomiast chłopcy uczyli się też w klasie trzeciej. Trudno wyjaśnić, dlaczego tak skrócony był wymiar czasu nauki dla dziewcząt, Rogoziński nie pisze o tym w raportach, ale może mieć to związek z podobnym zjawiskiem u chłopców. O ile w klasach pierwszych i drugich liczba chłopców wynosiła około 20 a nawet 30, czyli osiągała normalny stan liczebny,

to w klasie trzeciej rzadko przekraczała 6 uczniów. Rogoziński wyjaśnił to zjawisko w raporcie szkolnym. Większość chłopców kończyła tylko jedną lub pierwsze dwie klasy. Do trzeciej klasy bardzo rzadko rodzice posyłali swoje dzieci. Rodzicom nie zależało, aby ich dzieci otrzymały świadectwa ukończenia szkoły, ponieważ nie były im potem do niczego potrzebne. Większość wychowanków tej szkoły pozostawała potem w pracy na roli, tylko nieliczni zatrudniali się w rzemiośle m.in. w Krakowie. Jeśli dzieci opanowały podstawy czytania i pisania rodzice uznawali, że dalsze pogłębianie wiedzy nie jest im potrzebne. Prawdopodobnie w przypadku dziewczynek przyjęło się nie posyłać ich w ogóle do trzeciej klasy. Zagadnienie to jednak wymaga dalszych badań. Nie była to reguła w szkolnictwie wiejskim podkrakowskim, np. szkole ludowej w Morawicy dziewczęta chodziły przez trzy lata do szkoły.

W XIX w. w Mogile mieszkały przeważnie rodziny wielodzietne, z pięcioma lub sześcioma dziećmi. Dzieci angażowane były przez rodziców przy drobnych pracach gospodarczych, wypasie bydła i opiece nad młodszym rodzeństwem i zwykle te zajęcia odbywały się kosztem zajęć w szkole. Bardzo dobrze to zjawisko widać w zestawieniu miesięcznej frekwencji uczniów. Jeśli spojrzymy na obecności uczniów w poszczególnych miesiącach roku szkolnego od października do maja, to najniższa frekwencja uczniów miała miejsce w październiku, kiedy jeszcze trwały prace gospodarcze. Od listopada frekwencja rosła do najwyższego poziomu w styczniu i lutym, o ile oczywiście zbyt ostre mrozy i opady śniegu nie spowodowały przerw w nauce. Od kwietnia dzieci przerywały naukę w szkole, kiedy rozpoczynały się prace na roli, a w maju niektóre z nich całkowicie przestały chodzić do szkoły i nie przystępowały do corocznego egzaminu w czerwcu. Charakterystyczne jest jeszcze inne zjawisko. Co prawda rok szkolny zaczynał się 1 października, ale w rzeczywistości tylko nieliczni uczniowie rozpoczynali nie tylko w tym dniu, ale w ogóle w ciągu października naukę. Dzieci przychodziły w danym roku szkolnym pierwszy raz do szkoły w różnych miesiącach, w listopadzie, grudniu, w styczniu, a nawet zdarzały się przypadki, że pierwszy raz do szkoły przychodziły w marcu, kiedy zaczynał się drugi semestr. Najbardziej pracą przy gospodarstwie były obciążone dziewczynki, obarczane też opieką nad młodszym rodzeństwem. Natomiast chłopcy więcej czasu na naukę mieli od jesieni do końca zimy, kiedy ustawały prace rolnicze.

Nie zachowała się w całości dokumentacja szkoły w Mogile. Wiele dokumentów z ewidencją uczniów zaginęło w niejasnych okolicznościach. Według wstępnych obliczeń zachowało się około 480 nazwisk uczniów z niektórych lat okresu od 1817 do 1843.

Poza Mogiłą na terenach obecnej Nowej Huty szkoły ludowe funkcjonowały w I połowie XIX w. w Bieńczycach, Pleszowie, Luboczy, Ruszczy, Górce Kościelnickiej, Dąbiu i w Branicach. Te szkoły były zorganizowane na podobnych zasadach jak szkoła w Mogile. Antoni Himowski, członek Dozoru Głównego Szkół Początkowych i rektor Liceum Krakowskiego św. Anny, który wizytował szkoły początkowe w latach 1817-1819, w raporcie zwrócił uwagę, że niektóre dzieci potrafią przeczytany tekst opowiedzieć własnymi słowami i czytają teksty płynnie, ale często nauczyciele uczą dzieci nauki pamięciowej, natomiast nie uczą ich logicznego myślenia i rozumienia tekstu. Na przykład działania arytmetyczne wykonywały prawidłowo ale mechanicznie i bez zrozumienia. Wizyty ówczesne z wydziału oświaty z Krakowa nie ograniczały się tylko do kontroli dokumentacji szkolnej i pracy szkoły. Wizytatorzy egzaminowali też niektóre dzieci według własnych reguł, aby sprawdzić postępy dzieci w nauce. Himowski wyjaśniał, że kiedy zadawał uczniom pytanie, nie potrafiły odpowiedzieć i nie dlatego, że nie znały odpowiedzi, ale nie rozumiały pytania. Kiedy to samo pytanie zadał miejscowy nauczyciel, ale formułował je inaczej, w sposób do jakiego były przyzwyczajone, wówczas odpowiadały prawidłowo. Na tej podstawie wysnuto wniosek, że nauczanie ograniczało się do pamięciowego opanowania materiału, ale nie do jego zrozumienia. Dzieci czytały teksty na ogół poprawnie, ale tylko nieliczne uwzględniały podczas czytania przecinki oraz poprawną wymowę polskich spółgłosek. Wspomniałem wcześniej, że wadą ówczesnej wymowy wiejskiej było błędne wymawianie niektórych spółgłosek, na przykład „sz". Himowski tak ujął ten problem wymowy: *Uważałem, że dobre wymawianie w czytaniu jest na wsiach najtrudniejsze gdyż i rodzice nawet wyśmiewają owe dzieci gdy oni chcą mówić jak się uczyli w szkole. Tam gdzie nauczyciele lepiej uformowali charakter, ich uczniowie lepiej też piszą wszakże w ogólności postępek w pisaniu nie okazuje się.* Opinie te Himowski odnosi do szkół wymienionych na początku artykułu.

Efekty nauczania w dużej mierze zależały od autorytetu nauczyciela w środowisku wiejskim. Im większy był jego autorytet i szacunek na wsi, tym efektywniej mógł on wpływać na zachowania rodziców i uczniów. Dlatego wizytatorzy szkolni z Krakowa zwracali uwagę na zachowanie samych nauczycieli. Kwalifikacje nauczycieli nie zawsze były wystarczające. Himowski krytycznie odniósł się do pracy nauczycieli w Ruszczy i Branicach i polecił ich usunąć ze szkół. Problemy z pracą nauczycieli w szkołach wiejskich były czasem bardzo duże. W przypadku naruszeń etyki zawodowej przez nauczyciela jego przełożeni z Dozoru Głównego reagowali natychmiast. Najpierw Dozór Główny wysyłał nakaz do dozoru miejscowego danej szkoły, aby upomniano nauczyciela, a jeśli to nie było skuteczne, usuwano go ze szkoły i pozbawiano kwalifikacji nauczycielskich. Był przypadek, kiedy nauczyciel w pewnej szkole nakazał dzieciom, aby ich rodzice przynosili mu ziarno zbóż

jako zapłatę. Taka forma zapłaty nie przysługiwała mu i prawo ściśle określało jego dochody. Nauczyciel ów naruszył zasady etyki zawodowej, korzystając z nielegalnego źródła zarobku. Sprawa ta dotarła do Dozoru Głównego Szkół w Krakowie i władze oświatowe zareagowały szybko i sprawnie. Rogoziński miał pozytywne opinie od swoich przełożonych i nie ma w dokumentach krytycznych uwag do jego pracy. Nie ma też żadnych wzmianek o negatywnym zachowaniu uczniów w szkole w Mogile i afer pedagogicznych. Oceny z zachowania uczniów w raportach są ogólnikowe, a poważniejsze problemy zapewne zostałyby odnotowane w raportach szkolnych, gdyby miały miejsce. Ale nie należy mieć złudzeń, że życie szkoły w Mogile było płynne i bez konfliktów. Prawdopodobnie jakieś konflikty między uczniami zdarzały się. Sprawy jednak takie nie trafiały do oficjalnych raportów szkolnych.

Problemem szkoły w Mogile była niska frekwencja uczniów na lekcjach. Problem ten odnosi się też do innych szkół wiejskich podkrakowskich. Na ówczesną szkołę nie należy patrzeć tylko przez doświadczenie współczesnej szkoły, choć jest w nas do tego naturalna skłonność. Rzeczywista praca szkoły w XIX w., jak ją nazwiemy szkoły ludowej, parafialnej czy początkowej, która była odpowiednikiem dzisiejszej szkoły podstawowej, była odmienna od obecnej. Uczniowie rozpoczynali naukę 1 października według ustawy, ale w rzeczywistości dzieci przychodziły pierwszy raz do szkoły w danym roku szkolnym w różnych terminach. W zestawieniu miesięcznym ten rozkład rozpoczęcia nauki przez dzieci daje wyobrażenie o pracy szkoły. Terminy, kiedy uczniowie faktycznie rozpoczynali naukę w szkole, mogą być dziś zdumiewające, ale wówczas w wiejskiej szkole było to zjawisko częste. Ilustruje je przykład pierwszego półrocza roku szkolnego 1841/1842. W pierwszym półroczu, które trwało od 1 października 1841 r. do 6 marca 1842 r., uczęszczało do szkoły w Mogile 73 chłopców i 52 dziewczynki. Razem 125 uczniów. W pierwszej klasie, czyli w I oddziale, liczba chłopców wynosiła 48, a dziewczynek – 42. W drugiej klasie – 20 chłopców i 10 dziewczynek, a w trzeciej klasie – tylko 5 chłopców. Wyższa liczebność uczniów w pierwszych klasach niż drugich i trzecich wynikała z tego, że wielu uczniów nie otrzymywało promocji do drugiej klasy i powtarzało rok szkolny. Zestawienie liczby uczniów, którzy rozpoczęli naukę w 1841 r., w poszczególnych miesiącach przedstawia się następująco: na 125 uczniów, którzy uczęszczali do szkoły w roku szkolnym 1841/1842, w październiku naukę w szkole rozpoczęło 6 chłopców i 4 dziewczynki (razem 10 uczniów). W listopadzie naukę w szkole rozpoczęło 19 chłopców i 9 dziewczynek (razem 28 uczniów). W grudniu naukę w szkole rozpoczęło 40 chłopców i 30 dziewczynek (razem 70 uczniów), a styczniu – 8 chłopców i 9 dziewczynek (razem 17 uczniów). Z tego rozkładu wynika, że najwięcej uczniów rozpoczynało naukę w grudniu. Do końca października 1841 r. tylko 8 % uczniów spośród tych, którzy chodzili w tym semestrze w ogóle do szkoły, uczęszczało na lekcje; do końca listopada 1841 r. – 30,4%; do końca grudnia 1841 r. – 86,4%, do końca stycznia 1842 r. – 100%. Bywały lata szkolne kiedy niektórzy uczniowie rozpoczynali naukę szkolną w lutym lub w marcu, ale były to rzadkie i nieliczne przypadki. Owych 125 uczniów, którzy chodzili do szkoły w roku szkolnym 1841/1842, stanowiło większą część dzieci kwalifikowanych z tego okręgu szkolnego. Niewielki i trudny do obliczenia odsetek dzieci z Mogiły, Czyżyn i Łęgu nie uczęszczał do szkoły w ogóle w tym roku szkolnym. Ustawa przewidywała kary dla rodziców, którzy nie dopilnowali wypełnienia obowiązku szkolnego swoich dzieci. Jednak Antoni Himowski w czasie swoich wizyt w szkołach wiejskich zalecał władzom państwowym podejście elastyczne wobec rodziców, bez korzystania z kar. Rozumiał, że praca oświatowa wśród chłopów wymaga wielu lat ich przekonywania o korzyściach z nauki. Tak pisał w 1817 r. po zakończeniu wizyt szkolnych: *Z rozmów osobistych wyrozumiałem, że wyjąwszy małą liczbę członkowie Dozoru Szkół swoich nie dosyć okazywali przekonanie i chęci do rozpierania (czyli popularyzowania) zbawiennych usiłowań Rządu i Dozoru Głównego na oświecenie dzieci ludu wiejskiego łożonych i że włościanie (czyli chłopi) prostacy niewiele są usposobieni do zrozumienia dobroczynnych skutków z cnoty nauki i wiadomości, i że niektórzy z nich niechętnie posyłali dzieci do szkoły. Tę tedy obojętność w jednych a nie pojmowanie własnego pożytku w drugich należało w prawdzie nakazem ustaw, wolą Rządu i wymiarem kary stanowczo ostrzyć (czyli wymierzać surowo), zważywszy jednak po ludzku, że każda nowość a jeszcze źle wnioskowana uderza i razi, postanowiłem trzymać się drogi umiarkowania i bardziej pobłażania jako skuteczniejszej częstokroć do dopięcia (osiągnięcia) celu nad surowość prawa i drażliwą zwierzchnika przewagę.*

Autor winą za niską frekwencję i niewielki postęp w nauczaniu dzieci obarcza dozory miejscowe szkół początkowych, czasem mało aktywnie angażujące się w pracę szkoły. Himowski zwraca uwagę, że rodzice niechętnie posyłali dziatwę na lekcje. Ale odmawia stosowania kar, zdając sobie sprawę, że raczej należy przekonywać niż karać. W ówczesnej sytuacji politycznej, w czasie rozbiorów Polski, Kraków i niewielki obszar koło tego miasta otrzymały ograniczoną niezależność polityczną od zaborców. Działanie władz polskich z pozycji siły i korzystanie z surowego prawa mogły tylko zrazić polskich chłopów do instytucji państwowych w Krakowie. Chłopi we wioskach podkrakowskich nie przykładali dużego znaczenia do wszystkich umiejętności, które szkoła oferowała ich dzieciom. Dla niektórych rodziców wystarczyło, aby ich dzieci opanowały tylko podstawy czytania i pisania. Dzieci ustawowo miały rozpoczynać naukę w szkole po ukończeniu 6 roku

życia, ale bywały przypadki, że pierwszy raz do szkoły przychodziły w późniejszym wieku. W Mogile przedział wiekowy uczniów w latach trzydziestych XIX w. rozciągał się między 6 a 13 rokiem życia, gdy nauka trwała trzy lata. Jeszcze przed ukończeniem całego trzyletniego cyklu nauki niektóre dzieci przerywały naukę. Problem takiego stosunku do wykształcenia na wsi był jednak głębszy i nie wynikał tylko z niechęci do nauki. Powszechnym zjawiskiem, które dotykało wiele rodzin chłopskich, była nędza materialna na wsi. Raporty Dozoru Miejscowego w Mogile do ich szkolnych przełożonych w Krakowie wyjaśniają, że z powodu biedy na wsi, zimą dzieci nie miały ciepłych ubrań, więc ich rodzice woleli nie posyłać ich do szkoły.

Na przykład w roku szkolnym 1833/1834 promocję z klasy pierwszej do drugiej wśród 22 chłopców uzyskało 11 i wśród 19 dziewczynek – 10. Prawie połowa nie zaliczyła egzaminów kwalifikacyjnych z powodu opuszczania godzin lekcyjnych i późnego rozpoczęcia roku szkolnego. Nie potrafiły nadrobić zaległości w programie nauczania. Było niemal regułą, że dzieci pochodzące z rodzin zamożnych osiągały zadowalające wyniki w szkole, ponieważ mając lepsze warunki materialne w domu przychodziły systematycznie na zajęcia. U dzieci z biedniejszych rodzin przeszkodą były wspomniane warunki materialne i częste angażowanie dzieci, zwłaszcza dziewczynek, do pracy przy gospodarstwie domowym kosztem szkoły: opieka nad młodszym rodzeństwem, wypas zwierząt hodowlanych itp.

Ustawa o szkolnictwie zalecała, aby szkoły budować mniej więcej w środku Zakresu Szkolnego, ale nie zawsze udało się to zrealizować. Program w każdym kolejnym roku podnosił wymagania intelektualne uczniom. Najmniej problemów dziatwa miała z nauką katechizmu i nauką o moralności i obyczajach. Nie zachowały się informacje odnośnie zachowania uczniów w szkole, oceny w zachowanych spisach uczniów są ogólnie pozytywne i nauczyciel nie odnotował poważniejszych problemów w zachowaniu wychowanków. Rogoziński uczył dzieci też śpiewu, ale muzyki jako przedmiotu w programie nie było. Należy zwrócić uwagę na jeszcze inne zjawisko związane z frekwencją uczniów. Liczbę uczniów kwalifikowanych z trzech wiosek; Mogiły, Czyżyn i Łęgu szacowano na 150-200 dzieci, gdy w rzeczywistości z nauk korzystało ledwie od 30% od 40% dzieci, a i ten odsetek uczęszczał bardzo nieregularnie.

Powyższy artykuł jest zaledwie dotknięciem problemu szkolnictwa wiejskiego w pierwszej połowie XIX w. w okolicach Krakowa, ale problemy opisane tutaj odnosiły się też do innych szkół wiejskich położonych na terenie obecnej Nowej Huty.

JANINA SATAŁA – Mogiła mojej młodości



Janina Wolkówna (Satała) z lewej, z Marylką Romańską, córką Franciszka, kierownika szkoły. 1942 lub 1943 r.

Z nostalgią wspominam Mogiłę, wieś podkrakowską, miejsce mojego urodzenia i młodości, wieś z pięknymi tradycjami, z zacnymi mieszkańcami, ambitną piękną młodzieżą oraz miejscem przyjemnych zabaw i rozrywek. W centrum wsi mieścił się urząd gminny, posterunek policji oraz siedmioklasowa szkoła powszechna Nieopodal zdobiły wieś piękne opactwo ojców Cystersów z gimnazjum i biblioteką oraz drewniany zabytkowy kościół św. Bartłomieja. Nad wsią górował kopiec Wandy, skąd roztaczał się widok na stawy rybne, należące do opactwa. Kąpały się w nich dzieci, a i dorośli po pracy w polu obmywali spocone czoła. Wieś posiadała 3 sklepy, trafikę, 3 młyny, 2 kuźnie. Buty reperowało się u szewca, pana Makuły, a garnki naprawiał pan Jasiński. Życie towarzyskie koncentrowało się przy sklepie i restauracji rodziny Staszyszynów. Tu można było zrobić zakupy spożywcze, łącznie z prawdziwą kawą mieloną na miejscu, wypić także piwo, zjeść obiad oraz rozegrać partię bilardu. Do Krakowa jeżdżono pociągiem, autobusem lub dorożką pana Szeląga, który codziennie kursował tam i z powrotem. Przez wieś przepływały Dłubnia i Młynówka, których wody wpadały do Wisły nieopodal Lasku Mogilskiego. Na dwóch krańcach wsi

były błonia i tereny zielone, gdzie latem wypasały się krowy. Czasem ktoś w letnie popołudnie grał na akordeonie. Trawnik był najlepszym parkietem do tańca również na festynach i dożynkach. Miejscem zabaw było też otoczenie szkoły. Tu rozgrywały się mecze siatkówki, grano w klasy, zośkę i skakano przez gumę. Wieczorem, gdy wschodził księżyc zza kopca, żaby, które wzięły stawy w swoje posiadanie, rozpoczynały swój koncert rechotania. Cała wieś pachniała na wiosnę bzem, który okalał domostwa pomalowane na niebiesko. W pełni ciepłego lata unosił się zapach kwitnących lip i siana.

W tej atmosferze dorastałam w domu, usytuowanym pomiędzy szkołą i domem żydowskiej rodziny Rosnerów. W 1942 r., mając 13 lat, ukończyłam szkołę powszechną. Ze szczególną czułością wspominam moją pierwszą wychowawczynię, panią Stanisławę Najdecką-Feret i kierownika szkoły, pana Franciszka Romańskiego. Pamiętam zapach perfum mojej pani i jej wzruszenie, gdy czytała wiersz Juliusza Słowackiego „Ojciec Zadżumionych". Jej łagodność i dobroć rozbudziły we mnie zapał do jej naśladownictwa i chyba to sprawiło, że zostałam nauczycielką. Mogile zawdzięczam radosne dzieciństwo, pierwsze przyjaźnie, pierwsze sympatie i pierwsze randki. Gdy w Mogile poznałam swojego przyszłego męża, los zmienił moje dalsze życie i przeniosłam się do Krakowa. Pejzaż wsi Mogiła stopniowo się zmieniał. W 1944 r. Niemcy, szykując się do obrony Krakowa, zmusili ludność do budowy umocnień i rowów strzeleckich. Okopy powstały w pobliżu kopca Wandy i nad Wisłą. Rozkopano teren, pozostały zwały ziemi. W 1949 r. w Mogile rozpoczęła się budowa Nowej Huty, a wkrótce potem Kombinatu Metalurgicznego. Po kilkudziesięciu latach wróciłam do Nowej Huty, na teren zupełnie innej Mogiły.

STEFAN TEJKOWSKI – Wspomnienia

Wspomnienia, którym zachęcony do ich napisania mógłbym dać tytuł: „Mogiła mojego dzieciństwa" lub „Moje dzieciństwo w Mogile" mają pewną specyfikę, bo dotyczą Mogiły w okresie wojny widzianej oczyma dorastającego i dojrzewającego dziecka. A więc z jednej strony wojna, która wprowadziła zasadnicze zmiany w strukturze społecznej i w codziennym życiu, z drugiej ogląd tej sytuacji oczyma dziecka w wieku 10-15 lat, oczyma bardziej spostrzegawczymi i umysłem bardziej wrażliwym, łatwiej utrwalającym spostrzeżenia i przeżycia. A poza tym jest to ogląd z zewnątrz, nie pochodzę bowiem z Mogiły, nie mam tu swoich korzeni. Do Mogiły przyjechali moi rodzice – Roman i Zofia Tejkowscy z pięciorgiem dzieci (Henryka, Stefan, Bernard, Barbara i Jerzy w wieku od 1 roku do 13 lat) jako wysiedleni przez Niemców z Kruszwicy nad Gopłem.



Stefan Tejkowski

W Mogile i przed nami i po nas znalazło się kilka takich rodzin, w tym dwóch polskich policjantów: Cichy z Poznania z dwoma synami i Podsiadło z Dąbrowy Górniczej z dwiema córkami. Już na wstępie chcę powiedzieć, że wszyscy nowo przybyli mieszkańcy spotkali się tu z gościnnością i życzliwością, co łagodziło ich ciężki los. Przyjeżdżało się tylko z osobistym bagażem, bez żadnego dobytku, trzeba się było urządzać od nowa. Nie było trudności z wynajęciem pokoi czy mieszkań w chatach i domach mogilskich. Dość szybko wszyscy się zaadaptowali w nowych warunkach, z biegiem czasu powstały kręgi towarzyskie w różnych układach. Szczególnie łatwo poszło nam, młodzieży, gdzie i w szkole, i poza nią zyskaliśmy szybko kolegów i przyjaciół, powstały grupy koleżeńskie, towarzysko-zabawowe. Po początkowym okresie tęsknoty za swoimi stronami i adaptacji, poczuliśmy się dosłownie jak u siebie w domu. Była ciągła fluktuacja mieszkańców, bo do tych przybyszów dojeżdżali krewni i znajomi, doraźnie lub na stałe, uciekinierzy i wysiedleńcy z Wielkopolski, Pomorza i Śląska. Jedni drugim udzielali pomocy i wsparcia w miarę swoich możliwości i było w tym ogromne piękno w tamtych czasach. Dotyczyło to zresztą całego Generalnego Gubernatorstwa, gdzie nie było miasta czy nawet małej wsi, w których nagle nie zjawiliby się „obcy" bez znalezienia mieszkania, pracy i ogólnej życzliwości.

W 1942 r. na zarządzenie władz niemieckich opuścili Mogiłę Żydzi (było ich kilka rodzin), przenosząc się w rejon Wieliczki, gdzie była koncentracja i stamtąd byli rozsyłani do miejsc zagłady, aby dokonać swego tragicznego losu. Po wojnie odnalazł się tylko jeden z rodziny Finkelsteinów – właścicieli młyna, który paradoksalnie ocalał na terenie Niemiec, dokąd pojechał zaraz na po-

czątku okupacji, zgłaszając się jako Polak na roboty. Tak więc zmieniła się dotychczasowa struktura społeczna, a nowi mieszkańcy poznawali się nawzajem z miejscowymi także od strony obyczajowej i językowej, bo były pewne różnice. Dla nas było to zupełne novum, bo znaleźliśmy się w nieznanym sobie dotąd środowisku wiejskim z całą jego specyfiką, różnorodnością i pięknem. Jeśli do tego dodać specyficzne mogilskie wydarzenia, jak odpust i uroczystości kościelne, które postaram się opisać, to były to dla nas młodych zjawiska fascynujące, pobudzające wyobraźnię, kształtujące charaktery i postawy, co skutkowało później powstaniem silnych, trwałych przyjaźni i postaw życiowych.

Do Mogiły przybyliśmy we wrześniu 1940 r., na kilka dni przed odpustem (wysiedlenie odbyło się 2 września 1940 r.). Był więc klasztor i odpust pierwszym fascynującym przeżyciem. Wkrótce zacząłem chodzić do szkoły. Kierownik szkoły, pan Franciszek Romański, okazał wielkie zrozumienie dla naszej sytuacji i przyjął mnie do 4 klasy, mimo, że miałem ukończone przed wojną 2 klasy szkoły powszechnej, a w czasie wojny w trzecim roku nauczania uczęszczałem do niemieckiej szkoły, w której dla dzieci polskich był tylko język niemiecki i arytmetyka – czyli miałem rok stracony. Następny piękny gest to zgoda na to, abym zakończył naukę w szkole po 6 klasie, abym mógł zacząć naukę w Krakowie na tajnych kompletach w 1 klasie gimnazjum. Prowadził mnie jednak nadal w dzienniku w 7 klasie, osłaniając mnie w ten sposób, bo istniał obowiązek ukończenia szkoły siedmioklasowej. Pewne zaległości, jakie miałem w 4 klasie, uzupełniłem na prywatnych lekcjach u pani Poli Marcinkówny, która w szkole była katechetką. Siostra jej, Zofia, była nauczycielką w klasach starszych, a wychowawczynią w mojej 4 klasie była pani Maria Knapik, przyjeżdżająca z Czyżyn. Nauka w szkole była wtedy ograniczona do języka polskiego, matematyki i przyrody. Była jednak religia, której uczył ksiądz Józef Zastawniak i pani Pola. Lekarzem w Mogile, zatrudnionym przez ubezpieczalnię, był dr Józef Gawłowski, który pełnił swoje funkcje do końca okupacji. Także u niego w domu mieszkały 3 osoby spoza Mogiły – siostra i dwóch braci małżonki doktora, z których najmłodszy Kazik, kolega szkolny i towarzysz zabaw, to późniejszy znany dyrygent Kazimierz Kord.

Kościołem parafialnym był drewniany, zabytkowy kościół pod wezwaniem św. Bartłomieja, w którym proboszczem był ksiądz Józef Zastawniak. Rolę wikarych pełnili początkowo ojcowie cystersi, kolejno: o. Robert, o. Gerard Matuła, a w ostatnim roku został przysłany już na stałe wikary z duchowieństwa diecezjalnego, ksiądz Jan Hojdys, który był także artystą malarzem. Ksiądz Zastawniak na przemian z aktualnym wikarym odprawiali co drugą niedzielę nabożeństwa w Czyżynach. Sprawy te są znane już z opisów w pierwszym albumie „Czas zatrzymany".

Od siebie dodam tylko, że ksiądz Zastawniak był bardzo otwarty na kontakty z ludźmi, prowadził w pewnym zakresie życie towarzyskie goszcząc w niektórych domach (także u moich rodziców) lub przyjmując gości u siebie. No i może jeszcze to, że głosił piękne kazania i śpiewał naprawdę pięknym, szkolonym głosem, a prefacja śpiewana na szczególnie uroczystych mszach była prawdziwym arcydziełem. W miesiącach wakacyjnych pojawiał się w Mogile w domu rodzinnym kleryk Kazimierz Suder, syn organisty, student seminarium krakowskiego (dużo później dowiedziano się, że także kolega seminaryjny Karola Wojtyły) i uczestniczył w różnych nabożeństwach. Przychodzili też w czasie wakacji dwaj klerycy z Czyżyn; Tyrka i Anatol Boczek, także uczestnicząc w różnych uroczystościach. Opiekowali się kółkiem ministrantów, któremu nadali formy organizacyjne, mianując mnie jego prezesem. W klasztorze w chwili mojego przyjazdu do Mogiły było 8 księży. Byli to ojcowie Robert Kuchar – przeor, Teodor Starzyk, Celestyn Grzesiak (obaj już seniorzy nie pełniący żadnych funkcji), Augustyn Ciesielski, Gerard Matuła, Bernard Wąsowicz, Robert Cisek (Ciszek?) i Alfons Pławecki – podprzeor. Byli klerycy Eugeniusz Bednarski, Placyk Pestka, Teobald Wojciechowski, Franciszek Różana, Józef Kapusta, Alberyk Siwek, Benedykt Matejkiewicz i Wincenty Ślęzak. Później przybyło jeszcze paru. Byli także bracia zakonni ubrani w brązowe habity, którzy pełnili funkcje rzemieślnicze i usługowe jak: furtian, ogrodnik (Stanisław) zakrystian (Paschalis), stolarz, krawiec (Leon Zogata), Wojciech, Krystian i Ludwik. Klasztor pełnił bardzo ważne funkcje w zakresie udzielania pomocy osobom przyjezdnym. Ukrywali się w nim ludzie zagrożeni z konspiracji, co o. przeor przypłacił własną wolnością wraz z innymi osobami. Ale był też nurt pomocy jawnej, oficjalnej. Kuria biskupia przysyłała tam na pobyt kleryków z ziem przyłączonych do Rzeszy, którzy kształcili się nadal w Krakowie i byli nawet stopniowo w Krakowie wyświęcani na księży. Przewinęli się wtedy przez klasztor klerycy z Wielkopolski: Stanisław Radziejewski, Włodzimierz Borhardt, Wincenty Grotkiewicz i Kądziołka.

Sytuacja tych kleryków była szczególnie ciężka ze względu na to, że byli oddzieleni od swoich rodzin pozostałych w Rzeszy. Szybko znaleźli oni drogę do naszego domu, dowiedziawszy się, że pochodzimy także z Wielkopolski, byli otoczeni przyjaźnią gościną i pomocą i wszyscy po święceniach mieli urządzone przyjęcia prymicyjne. Klerycy Pestka i Wojciechowski, pochodzący z okolic Inowrocławia w pobliżu Kruszwicy, złożyli nam kruszwiczanom wizytę już w miesiąc po naszym przyjeździe – byliśmy dla nich jakby rodziną, gościliśmy, wspieraliśmy i także mieli urządzone prymicje. To jest właśnie przykład, jak ludzie wtedy się szukali, lgnęli do siebie i wzajemnie wspierali. Postawa ta wobec księży dotyczy także kilku innych rodzin.

Po przyjeździe do Mogiły zwiedzaliśmy wszystkie jej zakątki, często bywając na kopcu Wandy, który był przyjemnym miejscem spacerów. Wkrótce uświadomiliśmy sobie, że przydarzyło nam się dziwnym trafem coś zastanawiającego. Otóż z Kruszwicy, uważanej za legendarną kolebkę Polski, gdzie żyliśmy legendą o Kołodzieju Piaście, przepędzono nas tam, gdzie była mogiła Wandy – legendarnej królewny, co nie chciała Niemca. A więc znów pradzieje polskiego państwa. A państwo to prawdziwe właśnie straciliśmy, co powodowało ogromny żal i sprzeciw. Tak myślała wtedy cała młodzież, rychło angażując się w różnoraką konspiracyjną działalność, co dotyczyło także moich starszych kolegów. To temat osobny wart opracowania. Jakąś rolę kierowniczą odgrywał w tym o. Teobald Wojciechowski oraz Włodzimierz Lelito, brat właściciela młyna, Franciszka Lelity, ale na ten temat się tylko coś słyszało, no bo konspiracja, więc nie zabieram głosu.

Chciałbym tylko sprostować nieścisłości zawarte w jednej z relacji w pierwszym albumie i uzupełnić informacje. W Mogile były 4 młyny. Dwa zostały szeroko opisane. To młyny pp. Klęków i Chwastków. Obydwa były napędzane wodą i każdy posiadał olbrzymie koło drewniane, na które z wysoka padał wielki strumień wody, wprowadzając je w ruch, który za pomocą transmisji był przenoszony na maszyny młyńskie. Następne młyny były też napędzane wodą, ale miały już nowocześniejszy napęd za pomocą turbin wodnych. Dla napędu tych czterech młynów wykopano jeszcze w XIX w. dwa koryta rzeczne z Krzesławic do Mogiły, do których skierowano część wody z rzeki Dłubni, płynącej z północy przez Krzesławice i Mogiłę do Wisły. Stworzono w ten sposób dwie rzeki – młynówki. Zaczynało się to na jazie w Krzesławicach, który rozdzielał wodę do obu koryt. Jedna młynówka płynęła po zachodniej stronie Dłubni, wzdłuż drogi będącej obecnie ulicą Klasztorną, w miejscu, gdzie teraz znajduje się lewy chodnik idąc w kierunku klasztoru tak, że domy po tej stronie były za rzeką. Wpływała dalej na teren ogrodu klasztornego tuż za murem i płynęła wprost do młyna Chwastka. Stamtąd skręcała na drugi dziedziniec klasztorny i płynąc zabudowana pod nim i pałacem opackim wypływała za pałacem i znów wzdłuż drogi, lewą stroną, płynęła do młyna Lelity i stamtąd już kierowała się w stronę końcowego odcinka Dłubni. Druga młynówka płynęła po wschodniej stronie Dłubni napędzając młyn Klęków przy drodze wylotowej z Mogiły do Pleszowa (po pracach niwelacyjnych związanych z budową linii tramwajowej nie ma już nawet tego miejsca, gdzie był młyn) i stamtąd płynęła dalej na południe do młyna stojącego na terenie starej Mogiły, nazywanego popularnie Gwoździarnią, bo była tam podobno przedtem fabryka gwoździ. Dalej płynęła już w kierunku Dłubni, gdzie w pobliżu Wisły do niej wpływała. Tak Dłubnia odzyskiwała wodę, którą toczyła dalej do Wisły.

Jak w wielu domach, o czym była już mowa, w domu przy młynie Franciszka Lelity znaleźli gościnę na czas wojny członkowie jego rodziny, a więc wspomniany już Włodzimierz Lelito i trzy siostry z mężami, którzy nie mieszkali tam stale, zajmując się różnymi sprawami, w tym także konspiracyjnymi. Jeden z nich to Józef Siemek – działacz PPS, a po wojnie znany działacz partyjny. Drugi (mąż Zofii) to major Witalis Marczyński, oficer Zbrojnego Pogotowia Narodu podporządkowanego Armii Krajowej – pseudonim „Gustaw", który stale przebywał w Warszawie i czasowo w Mogile, odwiedzając żonę. Pewnego razu w 1943 r. pojechał do Warszawy i wszelki ślad po nim zaginął. Dopiero znacznie później wiadomo było, że został aresztowany i w śledztwie zamęczony na śmierć przez Gestapo (wiadomość tę zaczerpnąłem z książki „Cena wolności" Tadeusza Fedorowicza, współtowarzysza walki Marczyńskiego, który to szczegółowo opisał).

Młyn wodno-parowy zwany Gwoździarnią był największy, trzykondygnacyjny. Przed wojną stanowił własność żydowską, zaraz na początku został przejęty pod zarząd niemiecki. Odbywały się w nim przemiały zboża, które chłopi przywozili jako obowiązkowe dostawy, ale młyn także pracował dla administracji niemieckiej i wojska. Administracyjno-techniczne kierowanie młynem należało do Polaków, którzy w miarę możliwości wspierali potrzebujących spośród polskiej ludności mąką i grysikiem, które były wtedy niedostępnym rarytasem. Pomoc dotyczyła przede wszystkim nauczycieli, urzędników, polskich policjantów, którzy w zakresie zarobków i zaopatrzenia dzielili los całego społeczeństwa. Korzystali z niej także Żydzi, dopóki mieszkali w Mogile, a szczególnie byli właściciele, z których jeden parokrotnie przybywał nawet z krakowskiego getta dość bezpiecznie, bo w asyście przekupionego uzbrojonego funkcjonariusza policji niemieckiej. Załatwiali tam też oczywiście nielegalnie swoje sprawy chłopi, którzy zmuszani do drakońskich kontyngentów, czyli odstawiania zboża i mięsa, musieli w ten sposób „kombinować", aby samemu jakoś wyżyć. A było bardzo ciężko, żyło się tylko z przydziałów na kartki na zakup czarnego, okropnego chleba, realizując je w piekarni w Bieńczycach.

Młodzież chodziła do szkoły, a po ukończeniu siedmiu klas na ogół nie miała nic do roboty poza pracą w gospodarstwie lub jakimś zatrudnieniem płatnym. Niektórzy starsi pracowali na przykład w zakładach tytoniowych, czyli jak popularnie mówiono w monopolu w Czyżynach. Nieliczni jeździli do Krakowa do szkół zawodowych – były takie dwie popularnie nazywane handlówką i przemysłówką. W szkole w Mogile funkcjonowała szkoła rolnicza. Jeszcze mniej liczni uczestniczyli kompletach tajnego nauczania. W tych celach jeździło się pociągiem, tak zwaną „mogiłką" z Mogiły lub „kocmyrzówką", do której trzeba było iść do Czyżyn.

Była to linia kolejowa Kraków – Kocmyrzów przez Czyżyny, Bieńczyce, Grębałów. W drugiej połowie okupacji jeździła tylko ze stacji Kraków Grzegórzki w pobliżu ulicy Starowiślnej przy Wiśle. Z Czyżyn biegła odnoga toru do Mogiły. Było to wielkie udogodnienie pozwalające łatwo jeździć do Krakowa młodzieży uczącej się i pracującej, licznym kobietom jeżdżącym do Krakowa z mlekiem i nabiałem, z charakterystycznymi białymi tobołami na plecach, innym wreszcie ludziom docierającym do pociągu z Pleszowa i z dalsza. Pociągi na obydwu liniach były zawsze pełne pasażerów. Poza nauką czy pracą młodzież zajmowała się grami sportowymi. Popularna była siatkówka i piłka nożna, jazda na rowerach, kąpiele w stawach rybnych lub w Wiśle, ale też spacery, zabawa i gra na instrumentach. W kręgu, w którym ja się znajdowałem, były także spotkania towarzysko-zabawowe, znane potem jako tzw. prywatki.

Nie można pominąć w opisie szopki bożonarodzeniowej, z którą zetknąłem się tu z zachwytem. W święta chodzili chłopcy z szopkami w stylu krakowskim, oświetlonymi, które pokazywali z zewnątrz przez okno śpiewając kolędy. Ale była też szopka budowana przez Jurka Lelitę z młyna – co roku inna, nowa, wykonana artystycznie, bo był Jurek duszą artystyczną. Grał pięknie na akordeonie, malował obrazy, a po wojnie ukończył w Krakowie Akademię Sztuk Pięknych i został artystą malarzem. W wojennej rzeczywistości Mogiły był naturalnym przywódcą grupy koleżeńskiej, w której i ja uczestniczyłem. Stworzył wtedy szopkę na wzór tradycyjnych szopek krakowskich, z ruchomymi lalkami, których był animatorem i z zespołem jasełkowym. Zespół chodził po tzw. znaczniejszych domach, wcześniej umówiony i dawał przedstawienie jasełek opartych na tekstach z „Betlejem Polskiego" Lucjana Rydla. Część scen odgrywały pięknie wykonane lalki, część wykonywał zespół. Towarzyszyła temu muzyka grana na akordeonie i skrzypcach. Szopka dawała dużo radości oglądającym ją, dawała nie tylko rozrywkę, której w tamtym czasie bardzo brakowało, ale kultywowała także tradycje żywe w społeczeństwie polskim, co miało duże znaczenie. Chcę więc utrwalić tu pamięć o tych dzielnych chłopcach przez ich wymienienie. Byli to: Jerzy Lelito, Kazimierz Cebula, Alojzy Tesarz, Bernard Cichy (poznaniak), Jan Radoszek, Władysław Rudzki – tyle aktualnie pamiętam. Z tej grupy czterech już odeszło. Wszystkie opisane zdarzenia wpisywały się żywo w wyobraźnię i pamięć, stanowiły dla mnie, młodego mieszczucha, zespół nowych doświadczeń płynących z innych niż dotąd warunków – warunków wiejskich. Były to często sprawy fascynujące dla młodego umysłu. Wszystko to składało się na codzienne bieżące życie w jego różnych barwach. Były też różne smutki i lęki związane z rozmaitymi sytuacjami, które się widziało, lub o których się słyszało. Ginęli ludzie. Różnobarwne życie toczyło się w atmosferze ustawicznego zagrożenia. A Mogiła była nieustannie gościnna. Przyjęła serdecznie dużą grupę ludności warszawskiej, która przybyła tu jesienią 1944 r. po powstaniu warszawskim. To jeszcze jeden obraz codziennego życia Mogiły.

A życie religijne? Mimo powszechnie stosowanego przez Niemców terroru i działań eksterminacyjnych w stosunku do całego narodu polskiego, głównie przedstawicieli inteligencji i księży, którzy nie mieli żadnych szczególnych względów, życie religijne, w tym praktyki religijne, toczyły się we względnie swobodny sposób. Mowa o Generalnym Gubernatorstwie, gdzie na początku uregulowano pewne sprawy poprzez zniesienie niektórych świąt, zakaz śpiewania pieśni „Boże coś Polskę", ale także „Serdeczna Matko" śpiewanej na tę samą melodię, zakaz śpiewania w litanii do Matki Boskiej ostatniego wezwania „Królowo Korony Polskiej" i zakaz jakichś innych stosunkowo drobnych rzeczy. Nie odprawiało się pasterek, bo obowiązywała godzina policyjna, nie odbywały się procesje Bożego Ciała na ulicach czy też jakieś szczególnie ważne nabożeństwa. Zapewne w różnych miejscowościach istniały jakieś specjalne przepisy regulujące te sprawy, wydawane przez miejscowe władze. Ale mowa o Mogile. Tu w obydwu kościołach odbywały się codzienne i niedzielne msze święte i inne nabożeństwa według podziału ról. Dwa kościoły ściśle współpracowały ze sobą, dzieląc między siebie obowiązki i dając w ten sposób mieszkańcom możliwość wyboru co do czasu i miejsca uczestniczenia w nabożeństwach. A potrzeby były duże, bo do kościołów mogilskich przychodzili wierni z Bieńczyc, Krzesławic, Łęgu i okolicznościowo także z Czyżyn, mimo że był tam kościół ale niejako filialny, więc nie był czynny w pełnym zakresie. Pogrzeby z Czyżyn odbywały się na cmentarzu w Mogile.

Podział czynności obu kościołów polegał na tym, że w kościele parafialnym odbywały się w niedzielę dwie msze święte, tzw. ranna o godz. 8.00 i suma o 11.00, a po południu nieszpory lub w okresie postu Gorzkie Żale. W maju nabożeństwa majowe pełne ogromnego uroku, gdzie litanię śpiewano na cztery różne melodie zmieniane w jednym roku co dzień, w innym co tydzień. Kościół wypełniony był całkowicie, ze szczególnym udziałem dzieci i młodzieży. W czerwcu odbywały się nabożeństwa czerwcowe. Poza tym do parafii z urzędu należały chrzty, śluby i pogrzeby. W kościele klasztornym w niedziele odprawiano trzy msze święte – ranną, czyli prymarię, wotywę (msza wotywna odprawiana w kaplicy cudownego wizerunku Pana Jezusa) o godz. 9.30 lub 10.00 i sumę o godz. 11.00. Suma w tamtych czasach była bardziej uroczysta – główna msza niedzielna. Dziś ten podział już nie istnieje, a szkoda. Ponadto w kościele klasztornym odbywały się według podziału nabożeństwa różańcowe w październiku i w Wielkim Poście w piątki Droga Krzyżowa. Wszystkie te nabożeństwa cieszyły się dużą frekwencją.

W 1942 r. Mogiła była świadkiem dwóch ważnych i pięknych wydarzeń, jakich nie oglądała dawno, a w takim wymiarze być może nigdy. W niedzielę 28 czerwca 1942 r. odbyła się w kościele klasztornym uroczystość święceń kapłańskich. Święcenia kapłańskie przyjęło wtedy pięciu kleryków, dwóch ze Szczyrzyca i trzech z Mogiły. Z Mogiły byli to klerycy, którzy do nowicjatu wstąpili jeszcze przed wojną, w 1936 r. – Eugeniusz Bednarski, Placyd Pestka i Teobald Wojciechowski. Oprócz nich kilku kleryków otrzymało niższe święcenia, pośród nich Stanisław Radziejewski z Krotoszyna, wojenny mieszkaniec klasztoru w Mogile, przygotowujący się tu i w Krakowie do stanu kapłańskiego. Święceń udzielał ksiądz biskup Stanisław Rospond, sufragan kurii krakowskiej w asyście licznego duchowieństwa; miejscowego, przyjezdnego i przy udziale licznej rzeszy wiernych, wypełniającej szczelnie duży kościół klasztorny. Kandydaci do święceń zostali procesjonalnie przyprowadzeni do kościoła z budynku dawnego opactwa, poprzedzani przez duchowieństwo i ministrantów. W tydzień później 5 lipca – następna piękna uroczystość – prymicje wyświęconych księży mogilskich. I znowu uroczyste wprowadzenie księży do kościoła, gdzie odprawili oni równocześnie trzy msze święte. Przy ołtarzu głównym celebrował uroczystą mszę świętą śpiewaną ojciec Placyd, ojcowie Eugeniusz i Teobald odprawiali jednocześnie msze św. ciche (był wtedy taki podział) przy ołtarzach bocznych, jeden przed cudownym wizerunkiem, drugi z prawej strony przed ołtarzem dziś już nieistniejącym, który znajdował się w prawym transepcie oparty o ścianę dzieląca kaplice bliźnie, wówczas zamknięte drewnianymi ścianami i nieużywane dla celów kultu. W obydwu uroczystościach uczestniczyłem jako ministrant, obserwując je z bliska. Obydwie były fotografowane przez pana Józefa Walę i brata Leona Zogatę, którzy uwieczniali wtedy także inne uroczystości i zdarzenia. W jednej z cel klasztornych mieli urządzoną pracownię, gdzie sami wywoływali filmy i zdjęcia i gdzie ja przy nich, w wieku 12 lat, nauczyłem się tej sztuki, bo sam już wówczas fotografowałem. Warto dodać, że brat Leon posiadał najnowocześniejszy wówczas aparat małoobrazkowy Leica, którym wykonał dosłownie setki zdjęć w różnych okolicznościach. Po zakończeniu wywoływania zdjęć z tych uroczystości na potrzeby różnych chętnych osób dał mi dwa filmy leicowskie, jemu już nie potrzebne. W ten sposób mogłem po latach wywołać z nich zdjęcia, a na nich różne sceny z obu uroczystości, a także piękne dziewczęta mogilskie w krakowskich strojach, które w uroczystościach uczestniczyły i potem pozowały do zdjęć. Filmy istnieją do dzisiaj, a zdjęcia warto by jeszcze komuś pokazać...

W rok później następna piękna i doniosła uroczystość. W niedzielę 20 czerwca 1943 r. nawiedził parafię w Mogile arcybiskup krakowski książę Adam Stefan Sapieha. Taki nosił tytuł, przy czym warto może przypomnieć, że wtedy tytuł „książę" przysługiwał każdemu arcybiskupowi krakowskiemu w znaczeniu „książę Kościoła", ale arcybiskup Sapieha był też arystokratą, księciem rodowym. Książę arcybiskup udzielił wtedy młodzieży z parafii mogilskiej sakramentu bierzmowania. Przyjąłem i ja wtedy ten sakrament, jednocześnie uczestnicząc w uroczystości jako ministrant. W uroczystości uczestniczył ksiądz Leon Katana z Ruszczy, który pełnił wtedy funkcję dziekana mogilskiego oraz księża i klerycy z klasztoru. Bierzmowanie odbyło się przy pięknej pogodzie na dziedzińcu przed kościołem parafialnym, przy licznym udziale wiernych. Także z tej uroczystości zachowało się u mnie kilka zdjęć.

Kolejna ważna uroczystość związana była z obchodem przez księdza Józefa Zastawniaka 25-lecia kapłaństwa. Rocznica przypadała na dzień 29 czerwca 1944 r., w święto śś. Piotra i Pawła. Był to jednak dzień powszedni, bo święto to wraz z kilkoma innymi było przez okupantów zniesione, więc uroczystość odbyła się w niedzielę albo poprzedzającą – 25 czerwca, albo następującą – 2 lipca, czego już nie pamiętam. Oprócz uroczystej mszy świętej było na dziedzińcu przed kościołem spotkanie z licznie zebranymi parafianami, których przedstawiciele złożyli księdzu życzenia i w darze wręczyli kielich i mszał. Jest to zobrazowane na jednym zdjęciu, które posiadam. Warto jeszcze przypomnieć może inne wydarzenie o innym charakterze, ale także związane z obrządkami religijnymi, jakże różnymi od powszechnie znanych i kultywowanych. W kwietniu 1944 r. odbył się w Mogile pogrzeb mieszkańca Krakowa, Mirosława Hrehorowicza, spowinowaconego przez małżeństwo z rodziną Marcinków i dlatego chowanego w ich grobowcu rodzinnym. Zmarły był wyznania greckokatolickiego, więc mszę św. w tym obrządku odprawił w kościele parafialnym ksiądz greckokatolicki z Krakowa, a potem kondukt pogrzebowy z kościoła na cmentarz prowadzili wspólnie tenże ksiądz i ksiądz Józef Zastawniak, śpiewając na przemian stosowne pieśni w języku łacińskim i chyba starocerkiewnosłowiańskim. Dla licznie zebranych uczestników było to coś nowego, w pewnym sensie poznawczego, mającego charakter ekumeniczny. Pogrzeby, chrzty i śluby odbywały się normalnie jak zawsze, tym ostatnim towarzyszyły uczty i obrzędy weselne z orkiestrą, śpiewami i wesołością. Ludzie próbowali żyć normalnie w tym nienormalnym czasie. Przybywało małżeństw, rodziły się dzieci. Powszechna była wiara w to, że Niemcy wojnę przegrają i odrodzi się Polska.

Nie sposób nie wyrazić przeświadczenia, że opisane tutaj wielkie zgromadzenia ludzi mające charakter religijny z udziałem cieszących się autorytetem księży, a zwłaszcza biskupów, miały jednocześnie charakter patriotyczny, polski, mocno integrujący społeczeństwo pozbawione jawnego kierownictwa. Był to czas, kiedy

istniał zakaz jakichkolwiek zgromadzeń, stąd tak wielka ich rola. Tę samą rolę odgrywały uroczystości odpustowe w Mogile, w których ze względu na czas trwania przez 8 dni i zasięg terytorialny (przybywali nań pielgrzymi daleko spoza Mogiły i Krakowa), uczestniczyły tysiące ludzi. Przez cały tydzień, ze szczególnym nasileniem na niedzielę w środku oktawy (a czasem były to dwie niedziele września wchodzące w oktawę), przybywały liczne, kilkudziesięcioosobowe pielgrzymki ze śpiewem na ustach, ciągnąc dzisiejszą ulicą Klasztorną do kościoła na nabożeństwa odbywające się jak i obecnie przez cały dzień. Razem z ludnością miejscową i z najbliższych miejscowości tworzyli gęsty tłum na ulicy i w pobliżu kościoła, rozmodlony i rozśpiewany, a potem wracając rozbawiony i wesoły, zatrzymujący się przy licznych, po obu stronach drogi rozstawionych kramach, w których znajdowało się wszystko, jak w piosence o kolorowych jarmarkach, pierzastych kogucikach i balonikach na druciku. Były stoiska, przy których można się było posilić, gry zręcznościowe, gry w trzy karty lub trzy kostki, oszukańcze, nielegalne, przeganiane przez policjantów polskich z pobliskiego posterunku. Odpust to uroczystość kościelna, ale zawsze i wszędzie towarzyszy jej ta część świecka, uliczna, także odpustem nazywana.

W Mogile, ze względu na czas trwania i masy ludzkie w niej uczestniczące, przybierała charakter ludyczny, zabawowy, była czymś w rodzaju festynu ludowego. Czekano na odpust. Zabawowego charakteru przydawały jej 4 karuzele. Dwie to „koniki", jedną napędzał koń biegający wewnątrz jak w kieracie, drugą popychali chłopcy. Dwie były huśtawkowe, jedna też pchana, a druga motorowa, napędzana głośnym i dymiącym silnikiem samochodowym. Ta była główną atrakcją młodzieży starszej, która wyprawiała na niej różne harce, wprowadzając siedzenia w dodatkowy ruch huśtawkowy. Towarzyszyły temu piski dziewcząt, śmiech i wesołość. Karuzela ta była czynna co dzień do późnego wieczora, gdy było już ciemno. A przy każdej z nich 2-3 osobowy zespół grający, taka typowa kapela oparta na rytmie bębna i różnych instrumentach, jak harmonia trąbka, klarnet czy skrzypce. Na jednej z karuzel grała piękne wiedeńskie walce katarynka wielkości małej szafy, którą napędzało się kręcąc oburącz duże koło z korbą. Może trochę przydługi ten opis, ale jak zrozumieć tę specyficzność ówczesnego mogilskiego odpustu w porównaniu z obecnym, gdzie niby jest tak samo, ale jakże inaczej. Odpust mogilski zarówno w kościelnej, jak i świeckiej warstwie pełnił w ogromnym stopniu rolę integrującą społeczeństwo.

Czas wojny był to czas, w którym ludzie przemieszczali się, często szukając dogodniejszych czy bezpieczniejszych warunków bytowania, bądź ukrywali się zagrożeni aresztowaniem. Był więc pewien ruch i pewne zmiany wśród mieszkańców różnych miejscowości. Dotyczyło to także Mogiły, która dla wielu stała się azylem – o czym wspomniałem wyżej. Jedni przybywali, drudzy odchodzili. Odejścia były różne. Były przeprowadzki do innych miejscowości, były uliczne łapanki w celu wywiezienia do Niemiec do niewolniczej pracy, były aresztowania niosące w sobie możliwość śmierci w gestapowskim śledztwie czy w publicznej egzekucji lub umieszczenie w obozie koncentracyjnym, gdzie także można było zginąć lub przeżyć, teoretycznie z możliwością powrotu. Były odejścia do oddziałów partyzanckich, popularnie mówiło się „do lasu". Tu także istniała możliwość śmierci lub przeżycia i powrotu. Wiele niewiadomych w atmosferze ustawicznego zagrożenia. Były także odejścia z Mogiły. 1 lipca 1943 r. zostali w klasztorze aresztowani przeor o. Robert Kuchar, kleryk Wincenty Ślęzak i brat Wojciech. Ten ostatni, schorowany i słaby po przebytej niedawno operacji brzusznej, zmarł wkrótce w Auschwitz. O. Robert Kuchar i Wincenty Ślęzak po pobycie w obozach w Auschwitz i w Dachau szczęśliwie wrócili do Mogiły akurat w czasie odpustu – 21 września 1945 r. Po aresztowaniu o. przeora kilku księży, którzy czuli się zagrożeni, wyjechało z Mogiły. Wyjechał wtedy członek i kapelan AK, o. Teobald Wojciechowski, który zamieszkał w Krakowie, gdzie nadal działał w konspiracji, a oficjalnie pracował w jakiejś szkole. Wkrótce został aresztowany i po kilkumiesięcznym pobycie na Montelupich i ciężkim śledztwie został wysłany do obozu w Gross-Rosen. Przeżył, po oswobodzeniu pojechał do Włoch, do armii gen. Andersa, z którą potem przeszedł do Anglii. Po rozwiązaniu w Anglii polskiego wojska wyjechał do USA, gdzie pracował w kilku polskich parafiach, ostatnio w Teksasie (informacja z osobistej korespondencji jaką prowadziłem z o. Teobaldem po wojnie). Zmarł w połowie lat 80. ubiegłego wieku.

W lecie 1944 r. aresztowano w Mogile pana Józefa Staszyszyna. Niedługo potem, 17 lipca 1944 r. został rozstrzelany w jednej z publicznych egzekucji. 6 października 1943 r. kleryk Franciszek Różana, członek AK, podczas pobytu w domu rodzinnym w okolicy Szczyrzyca został zastrzelony przez Niemców. Jesienią 1944 r. wyjechali z Mogiły skierowani do oddziału partyzanckiego dwaj 22-letni członkowie AK: Henryk Mars ze znanej rodziny mogilskiej i Bolesław Wala, syn komendanta posterunku polskiej policji w Mogile. 23 listopada 1944 r. w Rajbrocie koło Bochni zginęli obaj wraz z kilkoma kolegami po krótkiej walce, kiedy Niemcy w nocy otoczyli dom, w którym grupa kwaterowała. Pochowano wszystkich w dole koło drogi. W Mogile nic o tym nie wiedziano i kiedy skończyła się wojna rodziny oczekiwały ich powrotu do domu. Kiedy powrót nie nastąpił zaczęto poszukiwania, które po dłuższym czasie doprowadziły do ustalenia prawdy. W styczniu 1946 r. dokonano ekshumacji i ciała obu partyzantów przewieziono do Mogiły. W pogodny, mroźny dzień 19

stycznia, który przypadał w sobotę, odbył się uroczysty pogrzeb. Trumny z ciałami zostały wystawione w domach mieszkalnych każdego nich, skąd dwa kondukty przeprowadziły ich do kościoła. Po mszy świętej ruszył kondukt z dwiema trumnami na cmentarz. Spoczęli we wspólnej mogile. Uczestniczyłem w pogrzebie, przyjeżdżając z Krakowa, dokąd rodzina moja przeprowadziła się wkrótce po przepędzeniu Niemców i gdzie zacząłem naukę w 2 klasie I Gimnazjum i Liceum im. Bartłomieja Nowodworskiego.

Pogrzeb ten był dla mnie ostatnim wydarzeniem związanym z Mogiłą okresu wojennego. Ale nie był moim ostatnim z Mogiłą kontaktem. Po wojnie rozwinęły się nowe kontakty z Mogiłą, w której się głęboko zakorzeniłem i sentymentalnie związałem. Wszak tu rosłem i kształtowałem się osobowościowo w najważniejszym dla rozwoju psychicznego wieku 10-15 lat. Tu się ukształtowałem religijnie i patriotycznie, a wszystkie doświadczenia zapisały się głęboko, mocno i trwale w mojej pamięci. A czas wojny i te specyficzne warunki, jakie wówczas istniały, sprawiał, że dojrzewało się szybciej i intensywniej. Wspomnienia wszystkiego, co przeżyłem w Mogile, a co oceniam jako przyjemne, wartościowe i ważne dopełniają obrazu. I rzecz dziwna – zapuściłem tu korzenie, bez których tu przyjechałem. I okazało się, że w tym sensie nigdy z Mogiły nie wyjechałem, a fizycznie bywam w niej nadal. Zacząłem do Mogiły wracać. Pierwszy raz w Wielką Sobotę 31 marca 1945 r., kiedy to poszedłem pieszo z Krakowa do Mogiły (komunikacja kolejowa nie była jeszcze unormowana) do „swojego" kościoła, aby jako ministrant uczestniczyć w uroczystościach wielkosobotnich, które według dawnego obrządku odbywały się rano. Pamiętam podziw, a może tylko zdziwienie księdza Zastawniaka, gdy mnie zobaczył – „jaki gorliwy ministrant". Potem przyjechałem na odpust we wrześniu 1945 r. i odtąd bywałem tu co roku na odpuście, nie opuszczając dotąd ani jednego. Początkowo przyjeżdżałem sam, spotykając się przygodnie z kolegami i znajomymi. Przyjeżdżałem z Krakowa, z Gdańska, gdzie studiowałem i z innych miejscowości, gdzie później pracowałem. W 1968 r. zainicjowałem spotkania koleżeńskie na odpuście w Mogile, które odbywają się rokrocznie w odpustową niedzielę. Powstał pewien schemat tych spotkań. Zbiórka o godz. 10.00 na cmentarzu przy grobie Henryka Marsa i Bolesława Wali, modlitwa, kwiaty i znicze, stamtąd spacer na odpust i do klasztoru, a potem posiedzenie koleżeńskie w domu uczestników spotkania z terenu Mogiły czy szerzej Nowej Huty, bo były też Krzesławice i Grębałów. Spotkania początkowo kilkuosobowe, dotyczące ścisłego kręgu koleżeńskiego lat wojny, w miarę upływu lat rozrastały się liczebnie o nowych uczestników, którzy nas „odkrywali" lub których my po latach odnajdywaliśmy. W szczególności dotyczy to rodziny Marsów, którzy zauważyli, że coś się dzieje koło „ich" grobu i się tym zainteresowali. W 1972 r. pojawili się senior Jan Mars i 4 siostry z współmałżonkami, dziećmi i wnukami. Ci ostatni powiedzieli potem, że bardzo lubili te spotkania, w czasie których z zainteresowaniem słuchali naszych opowiadań i wspomnień dla nich będących już tylko historią.

Na niedzielę 24 listopada 1974 r. wyznaczyliśmy sobie spotkanie w Rajbrocie, w miejscu śmierci naszych kolegów – Marsa i Wali. Pojechaliśmy tam dużą grupą wynajętym autokarem, uczestniczyliśmy we wcześniej zamówionej mszy św., ksiądz wygłosił okolicznościowe kazanie przypominające zarazem miejscowej ludności wydarzenia sprzed 30 lat (23 listopada 1944 r.). Potem udaliśmy się długim spacerem w górę, gdzie obejrzeliśmy miejsce tragedii, dom stojący w miejscu spalonego przez Niemców po akcji. Rozmawialiśmy z członkami rodziny dawnych gospodarzy, którzy opowiedzieli nam o tym zdarzeniu. Panowało wielkie skupienie i powaga. Coroczne spotkania mogilskie odbywają się nadal, coraz mniej liczne, ale zawsze około 10-osobowe. Wiele osób już odeszło na zawsze, inne powyjeżdżały.

Ja bywałem i bywam w Mogile częściej – kilka razy w roku. Zapytany, co spowodowało tak wielkie moje przywiązanie do Mogiły, nie umiem odpowiedzieć ściśle. To cały splot przyczynowo skutkowy. To ciąg pięknych i ważnych zdarzeń oraz przeżyć, to życie pod urokiem legendy Wandy i Piasta, pod wpływem Krzyża Mogilskiego, to zaistniałe przyjaźnie lat młodzieńczych, mocne i trwałe, na które można było i można teraz liczyć, co zostało sprawdzone w licznych sytuacjach, kiedy była potrzebna jakaś pomoc, jakaś forma życzliwości. To patriotyzm, który się wtedy w nas rozwinął. Cenimy sobie tę wartość naszej koleżeńskiej grupy. W ten sposób Mogiła stała się jakby drugą moją rodzinną miejscowością. Zlały się w jedno; 10 lat Kruszwicy i 5 lat Mogiły. Jestem stamtąd. Dlatego spotkania mogilskie będą trwały nadal. Jak długo?

Kwiecień 2008 r.

EDWARD WĄSIKOWSKI – Wspomnienia z czasów II wojny światowej



Edward Wąsikowski

Niedaleko Krakowa znajduje się wioska o nazwie Mogiła. Nazwa tej wioski pochodzi od kopca księżniczki Wandy, usypanego na jej cześć, która to za męża nie chciała Niemca. Wieś Mogiła na swoim terenie posiadała urząd gminny, siedmioklasową szkołę im. Królewny Wandy, posterunek policji, stację kolejową z końcowym przystankiem i bocznicą. Na jej terenie znajdują się dwa zabytkowe kościoły: klasztor ojców Cystersów z XII w. i kościół drewniany z XIII w. W Mogile tak przed wojną, jak i podczas okupacji czynne były cztery młyny napędzane wodą przez rzekę Dłubnię. Jeden z tych czterech młynów należał do pana Franciszka Lelity i charakteryzował się słabą wydajnością przemiałową ziarna. Młynem pana Lelity zainteresował się Oskar Schindler, który dzięki posiadanym środkom finansowym wyremontował młyn. Podłączono prąd elektryczny, zakupiono małą lokomotywę parową i dlatego przemiał ziarna znacznie się zwiększył. Zboże do przemiału było dostarczane wagonami do stacji kolejowej w Mogile, a następnie przewożone do młyna. Mąkę z tego ziarna odbierał osobiście Oskar Schindler samochodem ciężarowym w towarzystwie kobiety, która pełniła rolę tłumacza. W młynie pana Franciszka Lelity w Mogile pracowałem od 1941 r. o różnych porach jako 16-letni pomocnik młynarza. Z chwilą przyjazdu pana Oskara Schindlera samochodem po mąkę zawsze byłem proszony o załadunek samochodu. Po kilku takich załadunkach samochodu mąką zostałem poproszony do biura w młynie na rozmowę, w której to rozmowie uczestniczył pan Oskar Schindler, pani która tłumaczyła i właściciel młyna, pan Franciszek Lelito. Pan Oskar Schindler zaproponował mi, abym kupił ślepego konia i żeby, jak przyjdzie następnym razem po mąkę, koń był już kupiony. Ślepego konia kupiłem. Pan Oskar Schindler z chwilą następnego przyjazdu po mąkę podał mi adres niemieckiego weterynarza, mającego gabinet w Krakowie przy placu na Stawach, który to weterynarz po przebadaniu konia wydał zaświadczenie w języku niemieckim o ślepocie zwierzęcia. Podczas badania konia zauważyłem wielką przychylność weterynarza i zaświadczenie otrzymałem. Przy następnym załadunku samochodu mąką pan Oskar Schindler przeczytał posiadane przeze mnie zaświadczenie i powiedział: *To teraz należy działać.* Przy pomocy tłumaczki oświadczył, ze w getcie w Krakowie umierają ludzie z głodu i ten ślepy koń będzie pomocny w dostarczaniu mąki pszenno-razowej do getta. Koniem tym należy w porze późnowieczornej dostarczać mąkę dla furmanów pracujących w getcie przy wywozie i przywozie śmieci, piasku i innych materiałów budowlanych. Furmani ci w małych ilościach codziennie będą tę mąkę dostarczać do getta, a w razie kontroli furmanek jedynym tłumaczeniem będzie to, że mąka stanowi popas dla ich koni. Założenia pana Oskara Schindlera były słuszne i kilkanaście razy w nocy zawoziłem mąkę w ilości ok. 800 kg każdorazowo. Woźniców posiadających parokonne furmanki, pracujących w getcie było kilku. Adresy tych woźniców otrzymywałem od właściciela młyna, Franciszka Lelity. Mąki, którą Żydzi otrzymywali przez woźniców, było zbyt mało w stosunku do ich potrzeb, ale jak mawiał pan Oskar Schindler, niejednego Żyda w getcie uratowała ona od śmierci głodowej.

Po kilkunastu takich przewozach mąki w porze nocnej zdarzył się wypadek – byłem kontrolowany przez patrol niemieckiej policji drogowej. Na furmance miałem wtedy ok. 1000 kg mąki. Otrzymałem pytanie od dowódcy patrolu w języku polskim co wiozę i dokąd jadę. Oświadczyłem, że przewożę mąkę i wracam z młyna w Bieńczycach, a ponieważ koń jest ślepy to zabłądziłem. Dowódca patrolu kazał zaświecić latarką w oczy konia i zbadać jego ślepotę. Po stwierdzeniu, że koń jest ślepy, kazał jechać do domu wskazując jednocześnie drogę. Krytycznej nocy nie zawiozłem mąki do domu, lecz złożyłem w stodole woźnicy, który pracował w getcie. O kontroli w nocy przez patrol niemiecki zawiadomiłem pana Oskara Schindlera przy załadunku mąki w młynie. Pan Oskar Schindler kontrolę przez patrol nazwał zdradą i kategorycznie zabronił dalszych przewozów mąki ślepym koniem. Do decyzji tej zastosowałem się i już nie przewoziłem mąki, ponieważ pan Schindler kilkakrotnie powtórzył: *To była zdrada, to była zasadzka.*

Pracując w młynie zostałem jednocześnie wyznaczony przez urząd gminy na zakładnika. Dołączyło do mnie jeszcze trzech gospodarzy, a dyżury pełniliśmy w porze nocnej według instruktażu wydanego przez granatową policję. Do obowiązków zakładników między innymi

należała kontrola pojazdów samochodowych zbliżających się w pobliże urzędu gminy. Wykonując zadania policji granatowej pewnego razu zatrzymałem trzy samochody osobowe, które jechały w nocy z Krakowa. We wnętrzu tych samochodów znajdowali się gestapowcy. Po sprawdzeniu moich dokumentów jako zakładnika polecono mi wsiąść do jednego z samochodów. Gestapo podjechało pod posterunek policji, który znajdował się na pierwszym piętrze budynku. Wchodząc do wnętrza posterunku jeden z gestapowców w języku polskim zapytał się granatowych policjantów, wskazując na mnie, czy jestem znany policji. Padła odpowiedź, że tak, że jestem zakładnikiem i pracuję w młynie pana Franciszka Lelity w Mogile. Gestapowiec po zorientowaniu się kim jestem nakazał wejść do pokoju i zaczął przesłuchanie. Gestapowcowi chodziło głównie o uzyskanie informacji kto z młyna, w którym ja pracuję, wywozi mąkę samochodem ciężarowym. Na to pytanie z mojej strony padała odpowiedź, że młyn prowadzi wymianę ziarna na mąkę dla rolników, którzy oddali kontyngenty zbożowe i posiadają zaświadczenie z urzędu gminy, że wywiązali się z dostawy zboża. W czasie przesłuchania kategorycznie stwierdziłem, że nikt po mąkę samochodem ciężarowym nie przyjeżdża. Wtedy gestapowiec ubrał skórzane rękawice i bił mnie i kopał niemal do nieprzytomności. Po tych torturach leżałem na podłodze, a gestapowiec złapał mnie za ucho wykręcając je i oświadczył, że do tej sprawy jeszcze wrócimy. Następnie wyszedł z pokoju. Powoli wstałem i trzymając się ściany otworzyłem drzwi na korytarz i stwierdziłem, że panuje cisza. Wzdłuż ściany, korytarzem, doszedłem do drzwi innego pokoju. Otworzyłem je i zauważyłem siedzącego granatowego policjanta. Gestapo wraz z innymi granatowymi policjantami udali się na akcję – obławę. Poprosiłem dyżurującego policjanta, aby mnie uwolnił, lecz ten oświadczył, że jestem aresztowany do dyspozycji gestapowca, który wcześniej mnie przesłuchiwał. Nie mając już wyboru powiedziałem mu, że jego syn należy do AK i wiem przed kim składał przysięgę, dodając przy tym, że mogę już nie wytrzymać dalszych katuszy przez gestapowca i wspomnieć mu o przynależności syna do Armii Krajowej. Policjant rozważył moją prośbę i wyszedł do sąsiedniego pokoju, a ja wykorzystałem to i zbiegłem z posterunku skacząc przez balkon z pierwszego piętra. Po ucieczce z posterunku ukrywałem się.

Po kilku dniach do mojego ojca przyszedł właściciel młyna, pan Franciszek Lelito i poprosił go, abym zgłosił się do pracy w młynie, ponieważ jest bardzo ważna sprawa. Zapewnił mojego ojca, że już nic mi nie grozi. Następnego dnia podjąłem pracę. Po kilku godzinach przyjechał po mąkę samochodem ciężarowym pan Oskar Schindler. Po załadunku mąką zostałem poproszony przez właściciela młyna do biura na rozmowę z panem Schindlerem w obecności pana Lelity i tłumaczki. Pan Oskar Schindler powiedział, że wie o moim przesłuchaniu przez gestapowca na posterunku policji i o mojej ucieczce. Zapytał jakie informacje chciał uzyskać podczas przesłuchania gestapowiec. Oświadczyłem, że Gestapo interesuje się tym, kto wywozi mąkę z młyna pana Lelity samochodem ciężarowym i to w dużych ilościach. Powiedziałem, że wyjaśniłem kategorycznie Gestapo, że młyn pana Lelity świadczy usługi dla rolników. Takie odpowiedzi zdenerwowały gestapowca i zostałem przez niego dotkliwie pobity, a wykorzystując późniejszą nieobecność Gestapo zbiegłem z posterunku policji. Pan Oskar Schindler oświadczył mi, że go nie zdradziłem. Wyciągnął do mnie rękę, uścisnął i bardzo serdecznie podziękował. Dodał przy tym, że to już koniec z wywozem mąki z młyna. Powiedział także: *Jesteś bardzo dzielny chłopcze. Zapamiętaj to, że gdy w twoim życiu pojawią się ciężkie chwile, to poproś Żydów w moim imieniu o pomoc, a z pewnością tę pomoc otrzymasz. Żydzi to dobrzy i szlachetni ludzie.* Nadal pracowałem w młynie pana Franciszka Lelity, ale pan Oskar Schindler już nie przyjeżdżał po mąkę, bowiem młynem interesowało się krakowskie Gestapo.

Pan Oskar Schindler swoją inteligencją przewyższał Gestapo i dlatego w rewizji młyna (został do niej skierowany jako oficer Abwehry) nie wziął bezpośredniego udziału, lecz dosiadł konia i cały czas znajdował się na zewnątrz młyna. Gdyby przebywał na jego dziedzińcu, mógłby zostać rozpoznany przez służbę pracującą w młynie jako ten, który pobiera mąkę samochodem ciężarowym. Uczestnictwo pana Schindlera w rewizji w młynie pana Franciszka Lelity było jeszcze jedną prowokacją ze strony Gestapo, ale pan Oskar Schindler z tej prowokacji wyszedł zwycięsko. Ja podczas rewizji w młynie przez Gestapo, jak wielu innych ludzi, znajdowałem się w jednoizbowym pomieszczeniu pod nadzorem żandarma SS. Młynarz obsługujący pracę w młynie podczas rewizji, znając język niemiecki, usłyszał, iż oficer Gestapo powiedział żandarmowi, by mnie pilnował, gdyż jestem na liście i będę aresztowany. Młynarz, wykorzystując zmianę żandarmów, udał się do żandarma pilnującego zatrzymanych. Był to pan Tyka, liczący około 55 lat. Uświadomił żandarmowi, że ma awarię młyna i że za chwilę zostanie on zalany wodą, prosząc o zwolnienie młynarczyka, wskazując ręką na mnie. Żandarm po chwili zastanowienia wyraził zgodę, bym udał się z młynarzem na usunięcie awarii. Po wyprowadzeniu mnie z pomieszczenia pan Tyka oświadczył, że nie było żadnej awarii, ale ja jestem na liście Gestapo i żebym się ratował. Postanowiłem uciekać przez basen wody przy kole zamachowym napędzającym turbinę. Była ostra zima. Mróz dochodził do -25 stopni Celsjusza. Po zanurzeniu się w wodzie o głębokości około dwóch metrów należało jeszcze przeskoczyć mur o wysokości około trzech metrów. Te przeszkody pokonałem i znalazłem się na zewnątrz młyna.

Pokonując mur zauważyłem siedzącego na koniu pana Oskara Schindlera na zewnątrz młyna, w pobliżu bramy wyjazdowej. Pan Schindler, widząc mnie uciekającego, spowodował, że koń, którego dosiadał, nie mógł ruszyć z miejsca. Była to zasługa pana Oskara Schindlera, bo mnie nie ścigał i nie strzelał, czyli umożliwił mi ucieczkę. Ja po przebraniu się w suchą odzież w domu rodzinnym zaraz opuściłem dom i z ukrycia obserwowałem zachowanie pana Oskara Schindlera. Pan Oskar Schindler przejeżdżając drogą wiodącą do młyna zachowaniem swoim robił wrażenie, że poszukuje uciekiniera z młyna. Pan Oskar Schindler, widząc uciekającego z młyna, nie wiedział kto ucieka, czy Żyd, czy pracownik młyna, ale zachował się jak dobry, szlachetny człowiek. W tym czasie Gestapo nadal prowadziło rewizję w młynie. W młynie pana Lelity ukrywających się Żydów nie było. Młyn stanowił jak gdyby oazę dla głodujących Żydów i Polaków. Główną pomoc w zdobywaniu ziarna dla młyna okazywał pan Oskar Schindler, przysyłając wagonami zboże do stacji kolejowej w Mogile. Te czynności odbywały się w ścisłej tajemnicy przed Gestapo. Niestety Gestapo wprowadziło swojego agenta. Był to robotnik budowlany, który wykonywał pracę sezonowo przy rozbudowie budynków gospodarczych młyna. Agent ten był bardzo groźny zarówno dla pana Schindlera jak i dla mnie, jako odbiorców mąki niosących pomoc Żydom. Podczas rewizji młyna żadnych ukrywających się Żydów nie znaleziono (w młynie Żydów nie było), ale Gestapo aresztowało właściciela młyna, pana Franciszka Lelitę i jego szwagra, Józefa Siemka, których zabrano do aresztu w Krakowie na ulicę Pomorską, gdzie znajdowała się siedziba Gestapo. Gdyby nie ostrzeżenie przysłane przez pana Schindlera przed mającą się odbyć rewizją, w młynie byłoby znacznie więcej osób, gdyż rodzina pana Lelity była liczna i dobrze wykształcona. Brat pana Lelity był sędzią. W rodzinie byli też inżynierowie, ale po ostrzeżeniu przez pana Oskara Schindlera pozostali z rodziny rozjechali się po znajomych i przez to uniknęli aresztowania przez Gestapo, które tak wnikliwie prowadziło rewizję w młynie.

Pan Oskar Schindler, mimo, że już nie odbierał mąki z młyna pana Lelity, nadal załatwiał sprawy dostawy zboża wagonami do stacji kolejowej w Mogile. Zboże to było przewożone do pomieszczeń młyna. Gdy już pomieszczenia były wypełnione, to poproszono przeora z klasztoru Cystersów w Mogile, by udostępnili w klasztorze pomieszczenia na przechowywanie zboża. Przeor zgodził się na to i znaczne ilości zboża były tam składowane. Za umożliwienie składowania zboża dla pana Oskara Schindlera, Gestapo po przyjeździe do klasztoru aresztowało przeora i jego zastępcę, a byli to o. Robert Kuchar i o. Wincenty Ślęzak (miało to miejsce 1 lipca 1943 r.[2]). Księża ci w czasie przesłuchania na Gestapo, oświadczyli, że zboże to stanowi ich własność, bo klasztor posiadał własny majątek ziemski, który liczył 800 hektarów i po odstawieniu kontyngentów zbożowych nadwyżki stanowią ich własność. Aresztowani księża nie zdradzili pana Oskara Schindlera. Mimo to zostali wywiezieni do obozu w Auschwitz, ponieważ Gestapo nie dało wiary ich wyjaśnieniom. Spowodowane to było tym, że Gestapo i wśród duchownych miało swojego agenta. Po wyzwoleniu więźniów obozu w Auschwitz w 1945 r. księża wrócili do Mogiły.

Interesujące były dalsze losy aresztowanych pana Franciszka Lelity i pana Józefa Siemka, przebywających w areszcie Gestapo w Krakowie przy ul. Pomorskiej. Żony wyżej wymienionych czyniły starania, by Gestapo zwolniło ich mężów z aresztu. W tych trudnych sprawach wielką rolę odegrał pan Oskar Schindler, który podjął się uwolnienia aresztowanych. Nawiązał kontakt z szefem Gestapo, który to w rozmowie z nim żądał za uwolnienie aresztowanych 100 000 zł. W spotkaniu żon aresztowanych z panem Oskarem Schindlerem uczestniczyłem jako woźnica powozu, który zawiózł panią Katarzynę Lelito i panią Katarzynę Siemek. Pan Oskar Schindler znając mnie, nie obawiał się rozmowy z żonami aresztowanych w mojej obecności. Obawiał się natomiast tego, że mogła to być kolejna prowokacja ze strony Gestapo.

Ponieważ nie było wyboru, żony aresztowanych przyjęły ofertę złożenia kwoty żądanej przez Gestapo. Pan Oskar Schindler oświadczył, że ta gotówka musi być przywieziona jeszcze tego samego dnia. Ruszyliśmy powozem po rodzinie i znajomych aresztowanych. Po kilku godzinach uzbierano osiemdziesiąt tysięcy złotych. Z tą gotówką ruszyliśmy w umówione miejsce, w pobliże siedziby Gestapo na ul. Pomorskiej. Następnie zjawił się pan Oskar Schindler. W teczce było jedynie 80 000 zł, a mimo to pan Schindler zabrał teczkę z gotówką i udał się do budynku Gestapo. Po upływie około godziny wrócił z teczką oświadczając, że szef Gestapo nie godzi się na kwotę 80 000 zł i daje dwie godziny na przybycie z całą wymaganą sumą zaznaczając, że jutro będzie już za późno.

Żony aresztowanych, mimo swej dzielności, zaczęły rozpaczać, ponieważ wiedziały o trudnościach, na jakie napotykały przy zdobywaniu pieniędzy. Pan Oskar Schindler widząc tę rozpacz zaczął uspokajać kobiety, a ponieważ powóz miał postawioną budę, z okien budynku nie było widoczne jego zachowanie. Następnie pan Oskar Schindler pochylił się w powozie i kazał zanotować dwa adresy i tam natychmiast udać się po brakujące 20 000 zł. Pojechaliśmy powozem pod wskazane adresy i zdobyliśmy pieniądze. Następnie podjechaliśmy pod budynek Gestapo. Zjawił się pan Oskar Schindler i zabrał teczkę, zapytawszy uprzednio, czy w środku jest 100 000 zł. Panie odpowiedziały twierdząco. Następnie pan Oskar Schindler wszedł do budynku Gestapo. Zaczęły upływać minuty i godziny. Po

2. T. Wroński, *Kronika okupowanego Krakowa*, 1973.

około trzech godzinach pan Schindler wyszedł z budynku z panami Franciszkiem Lelito i Józefem Siemkiem. W oczach pojawiły się łzy radości. Aresztowani i ich żony podziękowali panu Oskarowi Schindlerowi za pomoc. Pan Schindler uśmiechnął się i powiedział, że na szczęście to nie była prowokacja. Ja do pana Oskara Schindlera zwróciłem się z prośbą o przepustkę, ponieważ była to pora nocna – godzina policyjna. Pan Oskar Schindlera na to oświadczył, że przepustki dać nie może i dodał: *ty chłopcze masz tak jechać, byś bezpiecznie dojechał do domu*. Na szczęście dojechaliśmy bezpiecznie do młyna w Mogile. Było to moje ostatnie spotkanie z panem Oskarem Schindlerem.

Suma, którą zażądał szef Gestapo, jak na tamte czasy była sumą ogromną. Dla porównania dodam, że ja za 8 godzin ciężkiej pracy w młynie otrzymywałem 5 zł. Była to równowartość 1,5 kg mąki żytniej. Pan Oskar Schindler, pomimo nadsyłania zboża wagonami do stacji kolejowej w Mogile z przeznaczeniem docelowym do młyna pana Lelity, nie pojawiał się już w młynie. Dostawa zboża dla pana Franciszka Lelity podyktowana była tym, że pan Oskar Schindler do końca nie był pewny, czy ewakuacja fabryki na Morawy się uda, gdyż obawiał się aresztowania. Pierścień wokół jego osoby zacieśniał się coraz bardziej. Pan Oskar Schindler nie mógł już pojawiać się po odbiór mąki osobiście w młynie, a ja również nie mogłem przewozić jej ślepym koniem. Niebezpieczeństwo ciągle wzrastało. Składowane w młynie i pomieszczeniach klasztoru Cystersów zboże było rezerwą, by nie dopuścić do śmierci głodowej załogi fabryki pana Oskara Schindlera na wypadek niepowodzenia przy załatwianiu zgody władz na ewakuację zakładu. To były dalekosiężne przewidywania pana Oskara Schindlera. Pan Schindler był osaczony przez Gestapo i przez informatorów, którzy donosili o jego ruchach, dlatego gdy udał się z okupem 100 000 zł nie był pewien, jakie dowody posiadają Niemcy. Wypowiedź pana Oskara Schindlera, iż obawia się, że sprawa okupu to prowokacja, była adekwatna do sytuacji. Po moim przesłuchaniu na posterunku policji granatowej przez gestapowca, który zastrzegł, że do sprawy jeszcze wróci, była bardzo groźna zarówno dla mnie, jak i dla pana Oskara Schindlera. Był to czynnik mobilizujący do ucieczki z posterunku policji, ponieważ ja nie straciłem kontaktu z panem Oskarem Schindlerem i tak szybko, jak tylko mogłem, poinformowałem go o tym wydarzeniu. Sieci, jakie zaczęły się tworzyć wokół pana Schindlera, zostawały przez niego od razu przecinane, co miało wpływ na przyspieszenie ewakuacji fabryki do Brünnlitz na Morawach. Byłem pewien, że po powrocie Gestapo z obławy zostanę zabrany na ul. Pomorską w Krakowie w celu dalszych przesłuchań, ponieważ o tym również wspomniał dyżurujący granatowy policjant na posterunku. Jedyną drogą uniknięcia katorg na Gestapo i dalszego utrzymania kontaktu z panem Oskarem Schindlerem była moja niezwłoczna ucieczka z posterunku policji. W tej dramatycznej sytuacji olbrzymią rolę odgrywały minuty, bo jak się później dowiedziałem od znajomego policjanta, Gestapo przybyło parę minut po mej ucieczce na posterunek, wszczynając awanturę z powodu mojej nieobecności. Policjant umożliwiający mi ucieczkę nie miał wyboru, bo nie chciał narażać swojej rodziny. Zdawał sobie sprawę, że jeżeli pozwoli zabrać mnie na Gestapo, mogę na skutek cierpień wspomnieć o przynależności jego syna do AK. Trudno teraz osądzić jak potoczyłyby się losy moje i tego przyzwoitego policjanta. Po zakończeniu wojny, gdy odbywały się weryfikacje granatowych policjantów, byłem pomocny temu policjantowi, ponieważ był tego godny.

Pan Oskar Schindler był człowiekiem bardzo opiekuńczym, wrażliwym, inteligentnym, przewidującym. Dlatego posiadając takie cechy mógł pomagać ludziom w ich nieszczęściu. W przedsięwzięciach pana Oskara Schindlera pomagali mu ludzie dobrej woli. Można tu wspomnieć o księżach klasztoru Cystersów, którzy na przesłuchaniach na Gestapo, mimo tortur, nie obciążyli pana Oskara Schindlera. Wywóz księży do obozu w Auschwitz równał się karze śmierci. Byli też inni wspaniali ludzie wymienieni przeze mnie w tym dokumencie. Ja dotąd pamiętam słowa pana Oskara Schindlera wypowiedziane do mnie: *Jesteś dzielny chłopcze. Zapamiętaj to, że gdy w twoim życiu pojawią się ciężkie chwile, to poproś Żydów w moim imieniu o pomoc, a z pewnością tę pomoc otrzymasz. Żydzi to dobrzy i szlachetni ludzie.* Słowa te pan Oskar Schindler kazał przetłumaczyć tłumaczce, która zawsze mu asystowała przy odbiorze mąki, a były wypowiedziane również w obecności właściciela młyna – pana Franciszka Lelity.

LEO BACH – Wysiedleni z Mogiły[3]

Wśród Żydów w naszej wiosce panował duży niepokój. Doniesienia o masowych wysiedleniach, które docierały do nas z różnych miejsc, wskazywały, że nas to też czeka. Jedyną naszą nadzieją było to, że być może naziści wezmą pod uwagę fakt, że wielu z nas pracuje na lotnisku. Ogólnie rzecz biorąc, sytuacja Żydów wyglądała źle. Było lato 1942 r., prawie 3 lata okupacji niemieckiej w Polsce. Takie potęgi militarne jak Wielka Brytania, Stany Zjednoczone, Związek Radziecki walczyły z Niemcami, ale końca nie było widać. Wiele rodzin żydowskich żyło na skraju nędzy. Ojcu kończyły się wszystkie rezerwy finansowe i wyprzedawał nasze ostatnie rzeczy, które nadawały się jeszcze do sprzedania, aby tylko przeżyć. Jedyną rzeczą, która mogła nas uratować była klęska Niemiec, ale na to się nie zanosiło.

3. Fragment wspomnień „Leo Bach,s Memoir" w tłumaczeniu Aleksandry Erbert



Leo Bach

Ta straszna chwila w końcu nadeszła. Była połowa sierpnia 1942 r. Nasz Judenrat poinformowano tylko z pięciodniowym wyprzedzeniem, że wszyscy Żydzi muszą opuścić ten teren w najbliższą sobotę. Wszędzie rozwieszono plakaty informujące, że każdy Żyd, który tutaj zostanie, będzie rozstrzelany, a każdemu Polakowi, który udzieli Żydowi schronienia, będzie groziła kara śmierci. Zarządzenie to dotyczyło wszystkich okolicznych wsi. Kazano się nam zgromadzić przed posterunkiem policji w sobotę rano, skąd pod eskortą Einsatzgruppen oraz polskiej policji mieliśmy się udać do małego miasteczka Wieliczki, oddalonej od nas o jakieś 30 km. O nazistowskim rozkazie, że teren ten ma być wolny od Żydów, informowano na plakacie wielkimi literami. Informowano również, że osoby nie mogące się poruszać będą musiały sobie zorganizować własny transport. Ten ostatni rozkaz rozwiewał nasze nadzieje na przetrwanie. Wszystkich nas przytłaczało uczucie, że to już koniec i nic nie możemy zrobić.

Następnego dnia po ogłoszeniu tego rozkazu niektórzy mężczyźni poszli do pracy na lotnisku, ale głównie po to, by poinformować o nim niemieckie firmy, licząc na to, że będą próbowały ocalić nas sprzed deportacją. Już więcej nie poszedłem do pracy. Ja oraz inni Żydzi, zgromadziliśmy się przed Judenratem, żeby dowiedzieć się jak rozwija się sytuacja. Wewnątrz biura przewodniczący Judenratu, pan Gold, zawzięcie pisał odwołanie do departamentu pracy, podając nazwiska wszystkich osób pracujących na lotnisku. Pisał również listy do firm na lotnisku, prosząc o wstawiennictwo. Do czwartku stało się jasne, że nie będzie żadnej zmiany rozkazu i będziemy musieli jechać. Zaczęliśmy się również zastanawiać dlaczego Niemcy chcą nas zgromadzić w Wieliczce. Gdyby chcieli, żebyśmy zamieszkali w getcie, to przecież krakowskie getto było dużo bliżej. Było jasne, że Niemcy szykują coś niedobrego.

Wieliczka była oddalona około 20 km na południowy zachód od Krakowa. To było małe, stare miasteczko, słynące z kopalni soli. Z naszej wioski do Krakowa było ok. 10 km, zatem mieliśmy łącznie 30 km do pokonania pieszo. Było dla wszystkich oczywiste, że starsi mężczyźni i kobiety nie przejdą takiego dystansu. My oraz wielu innych zaczęliśmy szukać miejscowych gospodarzy, którzy zgodziliby się zawieźć nas do Wieliczki swoimi wozami. Bogaci chłopi się bali, ale biedni potrzebowali pieniędzy, więc zgadzali się zawieźć każdego, kto był skłonny zapłacić. Mój ojciec z jeszcze inną rodziną, wspólnie wynajęli jeden wóz.

Następną ważną w takiej sytuacji decyzją było, co zabrać ze sobą. Nikt nie wiedział czego spodziewać się w Wieliczce. Rodzice zdecydowali się zabrać tylko rzeczy osobiste. Bardzo ciężko było sprzedać to, czego nie zabieraliśmy ze sobą, ponieważ miejscowi chłopi zorientowali się, że Żydzi będą musieli wyprzedać część swoich rzeczy i mieli ochotę otrzymać je za darmo. Ojciec zdołał sprzedać rower i krzesła, ale tylko za połowę ich wartości. Nasze pikowane okrycia powierzyliśmy chłopu z sąsiedztwa, którego żona obiecała nam je zwrócić, jeżeli tylko kiedyś się pojawimy. Małą kozetkę, łóżko i parę przedmiotów kuchennych ojcu nie udało się sprzedać, więc je zostawił. Moja mama z siostrą przygotowały dla każdego z nas mały płócienny worek przewiązany sznurkiem ze słomy, do którego zapakowaliśmy nasze skromne rzeczy osobiste. Ojciec dał każdemu z nas trochę pieniędzy, tak żebyśmy mogli kupić sobie trochę jedzenia na wypadek, gdybyśmy zostali rozdzieleni. Podczas pakowania ojciec zauważył swój kosztowny kapelusz, który nosił tylko na specjalne okazje. Zdecydował, że powinienem zabrać go do Krakowa, do pana Pałki i poprosić, żeby sprzedał na pchlim targu. Ojciec powiedział również, żebym poinformował pana Pałkę o naszym przesiedleniu do Wieliczki i że skontaktujemy się z nim, kiedy tylko będziemy mogli.

W piątek, około ósmej rano, włożyłem kapelusz ojca do papierowej torby i rozpocząłem podróż do Krakowa. Odkąd dostałem przepustkę postanowiłem jeździć tam legalnie, z opaską na ramieniu. Rozsądek mi mówił, że gdybym był zatrzymany przez policjanta, pokażę przepustkę i powiem, że jestem w drodze do pracy. Gdy tylko pojawiłem się na głównej drodze, zauważyłem dwóch polskich policjantów idących w przeciwnym kierunku do mojego, więc wiedziałem, że będziemy musieli się minąć. Od razu wyczułem, że zaraz mnie zatrzymają i zaczną wypytywać. Gdybym zawrócił w stronę wioski, wtedy najprawdopodobniej poszliby za mną, więc postanowiłem iść dalej, co też uczyniłem, nie patrząc na nich. W momencie, kiedy się mijaliśmy, jeden z nich odezwał się – *Ty Żydzie, gdzie idziesz?* Popatrzyłem na niego i powiedziałem, że do pracy. – *Co masz w tej pa-*

pierowej torbie?!, krzyknął do mnie. – *Kapelusz*, odpowiedziałem. Podszedł do mnie i wyrwał torebkę z dłoni, otworzył ją, spojrzał na kapelusz i rozwścieczony wrzasnął – *Pieprzony Żydzie, chcesz mi powiedzieć, że idziesz do pracy z tym kapeluszem?! – Tak, idę do pracy z tym kapeluszem. Oddaj mi go, proszę*, odpowiedziałem. Upuścił torbę na ziemię, wyjął karabin, który miał przewieszony przez ramię i wycelował nim prosto w moją twarz – *Pieprzony Żydzie, chcesz mi powiedzieć, że idziesz do pracy z tym kapeluszem?! Zaraz dam ci nauczkę!* Spojrzałem prosto w lufę karabinu wycelowanego we mnie, potem popatrzyłem na niego i może to zabrzmi dziwnie, ale się nie bałem, byłem zupełnie spokojny. Byłem pewny, że nie tego się po mnie spodziewał. Czułem, że oczekiwał iż spanikuję, porzucę kapelusz i ucieknę. Powtórzyłem – *Proszę mi to oddać. – Mogę dać ci tylko kulkę w łeb, pieprzony Żydzie!*, odpowiedział. On i ja patrzyliśmy sobie prosto w oczy przez kilka sekund, czekając na następny ruch. Miło się jednak zdziwiłem, kiedy nagle zabrał lufę sprzed mojej twarzy, podniósł torbę z kapeluszem i wręczył mi ją, mamrocząc coś do siebie, po czym obaj odeszli. W pierwszej chwili nie rozumiałem co się stało, dlaczego nagle ten policjant zmienił swoje zachowanie, ale gdy odchodziłem, wkrótce to się stało jasne. Mianowicie, kiedy policjant trzymał wycelowany we mnie karabin, w tym momencie, szczęśliwym zbiegiem okoliczności, jeden z synów Finkelsteina przechodził tamtędy i zauważył to. Rodzina Finkelsteinów była najbardziej znaczącą rodziną żydowską na wsi. Od wielu lat mieli tutaj młyn. Kiedy pan Finkelstein zobaczył, co wyprawia ze mną ten policjant, stanął jakieś 5 metrów za mną i patrzył, jakby chciał być świadkiem tego co się wydarzy. W tym momencie policjant się wycofał i obydwaj odeszli. Podziękowałem mu za interwencję i udałem się w dalszą podróż do Krakowa.

W czasie podróży do miasta zauważyłem wzmożone patrole policyjne na głównej drodze. Najprawdopodobniej były tam żeby kontrolować, czy Żydzi nie próbują uciekać przed jutrzejszą deportacją. Zdecydowałem się zejść z głównej drogi i iść bocznymi ścieżkami bliżej Wisły, którymi chodziłem już wielokrotnie wcześniej. Zdjąłem opaskę i postanowiłem odbyć ostatnią nielegalną podróż do Krakowa. Jak zawsze zjawiłem się w budynku od strony pól, wchodząc tylnym wejściem, żeby nikt mnie nie widział. Dochodziła 10.30, kiedy pani Pałka otworzyła mi drzwi i wpuściła do domu. Podałem jej kapelusz ojca. Była zdziwiona moim widokiem i miałem wrażenie, że chyba trochę boi się, że tutaj jestem. Powiedziałem jej, że ojciec chce to sprzedać oraz poinformowałem o jutrzejszej wywózce oraz że skontaktujemy się z nimi jak tylko to będzie możliwe. Pani Pałka zmartwiła się informacją o deportacji, ale była tak samo bezsilna jak my. Będąc tam nie dłużej jak 5 minut poczułem, że czas się zbierać. Kiedy się żegnałem, pani Pałka przekazała mi szokujące wiadomości. Antysemicki sprzedawca „Pan N." oraz kilku innych mężczyzn z mieszkań komunalnych zostało aresztowanych przez Gestapo jakieś 3 tygodnie wcześniej i wysłanych do Auschwitz. Pewnie jakiś agent Gestapo doniósł, że stanowią zagrożenie dla niemieckiego bezpieczeństwa. Były pracownik ojca, Stanisław, również został aresztowany, ale jego sytuacja była trochę inna i nie wiadomo było gdzie przebywa. Pani Pałka uważała, że to ta młoda kobieta, która z nim mieszkała przyczyniła się do jego aresztowania. Prawie rok wcześniej Stanisław spotkał tę młodą bezdomną kobietę z dzieckiem. Zaproponował, żeby z nim zamieszkała. Kobieta była typem buntowniczki. Ojcem dziecka był niemiecki żołnierz, który ją porzucił. Przez jakiś czas Stanisławowi i tej kobiecie dobrze się układało, ale w końcu ona zaczęła ponownie flirtować z niemieckimi żołnierzami. Stanisławowi bardzo się to nie podobało i kazał się jej wyprowadzić z mieszkania, ale odmówiła. Były głośne awantury i sprzeczki i pewnego dnia przyszła niemiecka służba bezpieczeństwa, żeby go aresztować. Kiedy Stanisław zobaczył niemieckich policjantów próbował uciekać, ale go złapali i zabrali. Pani Pałka była przekonana, że to ta kobieta przyczyniła się do jego aresztowania. Ona nadal mieszka w tym mieszkaniu Stanisława znajdującym się bezpośrednio nad państwem Pałką. Pani Pałka powiedziała, że jej nie ufają i że nie wiadomo, co jeszcze może zrobić. Teraz już wiedziałem, dlaczego wyglądała na przestraszoną, kiedy mnie zobaczyła.

Była już prawie 13.30 kiedy wróciłem do wioski. Zobaczyłem około 20 osób czekających przed biurem Judenratu. Zostałem tam przez chwilę, żeby zorientować się, po co tam stoją. Dowiedziałem się, że ciągle mają nadzieję na jakieś dobre wiadomości z ostatniej chwili, które uratują nas przed jutrzejszą deportacją. Niestety, pan Gold kilkakrotnie ogłaszał, że sytuacja jest beznadziejna i żeby się rozeszli. Martwiliśmy się wszyscy i snuliśmy domysły, co naziści mogą nam zrobić. Opuściłem biuro Judenratu i poszedłem prosto do domu. Rodzice trwali w nerwowym oczekiwaniu aż przyjdę, ponieważ pan Finkelstein poinformował mojego ojca o mojej porannej konfrontacji z policją. Opowiedziałem rodzicom, czego się dowiedziałem od pani Pałki. Ojciec bardzo się zmartwił wiadomościami o Stanisławie, ponieważ był on dobrym człowiekiem i ojciec bardzo go lubił.

W piątek późnym wieczorem wszyscy byliśmy spakowani i przygotowani do deportacji. Tragizm całej sytuacji polegał na tym, że musieliśmy jechać tam, dokąd kazali naziści, nie było dla nas innej opcji. Nie było gdzie się schować, ani gdzie uciekać. Pod koniec dnia udało się ojcu kupić na podróż około 10 kg ziemniaków. Uważał, że w razie potrzeby można je ugotować albo upiec. Kupił również dwa bochenki chleba i słoik marmolady licząc, że nas tym wyżywi przez dwa dni. Ojciec zawsze zamartwiał się tym, jak zdobyć dla nas pożywienie, więc

tym razem wyszykował nas najlepiej jak potrafił. O zachodzie słońca mama zapaliła dwie świece szabasowe, wypowiedziała błogosławieństwo na początek szabatu i płacząc zapytała – *Boże, dlaczego pozwalasz, żeby nas to spotykało?* Wszyscy milczeliśmy przez chwilę. Nikt z nas nie wiedział, czy to już ostatni raz świętowaliśmy razem, jako rodzina, rozpoczęcie szabatu (to faktycznie był ostatni raz). Normalnie, w piątek wieczorem, spotykaliśmy się w domu rodzinnym Fleischfarba na modlitwy szabasowe, ale w ten piątek nie było spotkania. Sami modliliśmy się w naszym pokoju.

Po nerwowej i bezsennej nocy wstaliśmy i ubraliśmy się wcześnie rano. Przed siódmą wóz z woźnicą czekał przed naszym domem. Załadowaliśmy nasz skromny dobytek, pożegnaliśmy się z naszym gospodarzem, panem Makułą i jego żoną. Patrzyliśmy na siebie ze łzami w oczach, ponieważ bardzo się polubiliśmy. Wujek Dawid z żoną mieli jechać wozem razem z nami, ale zdecydowali się pojechać z jakąś inną rodziną i nigdy nie dowiedziałem się dlaczego zmienili zdanie. Miejsce wujka Dawida zajął ktoś z rodziny Finkelsteinów. Był to jeden z dorosłych synów, który nie był jeszcze żonaty. Załadował na furmankę jedną dużą walizkę i dwa składane krzesła. Moja mama była jedyną osobą, która siedziała na wozie, ponieważ wiedzieliśmy, że nie zajdzie daleko. Reszta z nas, łącznie z woźnicą, szła obok. To była sobota, dla Żydów – dzień szabatu. Nie wolno wtedy jeździć żadnym pojazdem ani pracować. To ma być dzień poświęcony jedynie na modlitwę i odpoczynek, a ortodoksyjni Żydzi byli w tym bardzo restrykcyjni. To było dosyć oczywiste, że Niemcy specjalnie wybrali ten dzień na deportację, żeby zmusić Żydów do nieprzestrzegania szabatu. Gdy pojawiliśmy się na głównej drodze, dołączyliśmy do innych wozów wiozących Żydów, wszyscy kierując się w stronę posterunku policji, gdzie mieliśmy rozkaz zgromadzić się przed ósmą.

Z naszej wioski było łącznie 10 wozów. Polska policja oraz członkowie Einsatzgruppen czekali na nas przed posterunkiem, gdzie zatrzymaliśmy się na około 30 minut. Było 8 polskich policjantów i 5 członków Einsatzgruppen, wszyscy uzbrojeni w karabiny. Był również jeden oficer SS, który był odpowiedzialny za przeprowadzenie całej akcji. W czasie trzydziestominutowego postoju miałem okazję rzucić okiem na inne wozy, żeby zobaczyć, kto tam jest. Na jednym z wozów dostrzegłem państwa Horowitzów, którzy musieli mieć około osiemdziesiątki. Znaliśmy ich jako ortodoksyjnych Żydów. Pan Horowitz patrzył w niebo i pytał Boga w jidysz, dlaczego nas to spotyka. Prawdopodobnie pierwszy raz w życiu musieli złamać szabat podróżując. Zauważyłem również, że niektórych Żydów, których znałem, nie było tutaj. Nie było na przykład Romka, z którym chodziłem rano do pracy oraz jego żony. Być może udało im się zdobyć fałszywe aryjskie papiery i uciekli z wioski kilka dni wcześniej. Nie było całej rodziny Finkelsteinów, z wyjątkiem syna, który dzielił z nami wóz. Myślę, że dzięki różnym znajomościom udało im się przenieść do krakowskiego getta. Nie było także rodziny Rosenwaldów. Pan Gold, nasz przewodniczący Judenratu, był razem z żoną i dwójką dzieci.

Dziesięć minut po ósmej oficer SS dał rozkaz do wymarszu. Członkowie Einsatzgruppen oraz oficer SS jechali na rowerach, eskortując nas. Polscy policjanci nie mieli rowerów, więc musieli iść. Jakieś 4 km dalej było rozwidlenie drogi do innych wiosek. Zatrzymaliśmy się tam, żeby wozy z innych miejscowości mogły do nas dołączyć. Teraz nasza grupa składała się z 25 wozów i większej liczby policjantów do eskorty. Znowu zaczęliśmy wędrówkę, mijając po drodze bramę lotniska, przez którą wielu z nas codziennie przechodziło, udając się do pracy i łudząc, że to uchroni nas przed deportacją. Jakąś godzinę później dotarliśmy do głównej arterii komunikacyjnej w tej części miasta, ul. Grzegórzeckiej. Widzieliśmy nasz dom z odległości około kilometra i mama zaczęła płakać. Niektórzy Polacy z sąsiedztwa, którzy nas znali, stali na chodniku i kiedy nas zobaczyli, pomachali do nas ręką. Mijaliśmy również od frontu dom Halpernów. Spojrzałem na ten dom, drzwi wejściowe, balkon. Spędziłem tam wiele godzin bawiąc się z moimi kuzynami i byłem ciekawy, kto tam teraz mieszka. Zmierzaliśmy w kierunku południowym, w stronę mostu na Wiśle. Przeszliśmy most i kilka minut później przechodziliśmy koło getta. Kazano nam się zatrzymać koło ogrodzenia z drutu kolczastego otaczającego getto, blisko jego wschodniej granicy, którą wyznaczała ul. Straszewskiego. Wszyscy odpoczywali tam przez godzinę i w tym czasie pan Finkelstein poinformował mojego ojca, że zabiera swoje rzeczy, ponieważ idzie do getta i tam zostaje. Wtedy stało się dla mnie jasne, że cała jego rodzina musiała już tam być. Pan Finkelstein zabrał swój bagaż z wozu i kiedy zmierzał w kierunku bramy wejściowej, został zatrzymany przez jednego z naszych strażników. Pokazał jakiś dokument i pozwolono mu iść. Akurat młodsza siostra ojca, ciocia Gusta, przechodziła obok ogrodzenia wewnątrz getta i zauważyła nas. Zawołała ojca po imieniu i wtedy ją dostrzegliśmy. Rozmawialiśmy z nią przez jakieś 10 minut z odległości około 4 metrów poprzez rozdzielający nas drut kolczasty. Obok płotu, na terenie getta, stało wielu innych ludzi, którzy machali i wołali swoich znajomych i krewnych z transportu. Podczas naszego postoju koło getta pojawił się inny oficer SS, który dokładnie przeglądał nasz transport, jakby czegoś szukał. Kiedy przechodził koło naszego wozu dobrze mu się przyjrzałem. Był wysokim, silnie zbudowanym mężczyzną w wieku około 35 lat. Ubrany był w mundur SS ze wszystkimi insygniami, a na jego twarzy malował się taki cyniczny uśmiech, jak gdyby chciał nam w ten sposób pokazać, że coś specjalnego czeka nas w Wieliczce. Kiedy odszedł, wróciliśmy do rozmowy z ciocią Gustą. Powiedziała

nam, że ten oficer jest głównym administratorem krakowskiego getta i nazywa się Kunde[4]

Około 12.30 znowu ruszyliśmy w drogę. Mieliśmy przed sobą jeszcze około 20 km podróży. Naszym wozem jechała tylko mama i siostra. Ojciec, brat, ja i nasz woźnica szliśmy obok. Po drodze żuliśmy chleb, piliśmy wodę i to było całe nasze jedzenie tego dnia. Od czasu do czasu, gdy ja z bratem odczuwaliśmy zmęczenie, siadaliśmy na chwilę na wozie. Było widać, że nasi strażnicy z Einsatzgruppen lubili swoją pracę. Głośno opowiadali sobie żarty albo jadąc na rowerze albo go prowadząc. Rozmawiali po niemiecku, ale było oczywiste, że ich znajomość tego języka jest bardzo ograniczona. Mieli rodziców Polaków, którzy przyjęli niemieckie obywatelstwo, ponieważ albo matka albo ojciec mogli udowodnić swoje niemieckie pochodzenie. Mówiono na nich „Volksdeutsche". Synowie Volksdeutschów byli kierowani do oddziałów Einsatzgruppen i nosili niemieckie mundury. Ich zadaniem było wyłapywanie Żydów i odstawianie ich do obozów śmierci. W czasie podróży zrobiliśmy jeszcze jeden 30-minutowy przystanek, aby napoić konie oraz dać im odpocząć i przed godziną 17.00 byliśmy w Wieliczce.

Wieliczka jest starym, historycznym miasteczkiem, słynącym ze starych kopalni soli. Kiedy dotarliśmy na miejsce, czekali na nas uzbrojeni polscy policjanci i skierowali nas na duży plac w centrum miasteczka. Był to rynek, pokryty równo kostką brukową. Nie prowadzono tutaj żadnej działalności handlowej, ponieważ naziści zarezerwowali to miejsce na ten dzień dla tysięcy przybywających Żydów. Wkrótce po przyjeździe dowiedzieliśmy się, że kazano tu przybyć wszystkim Żydom z wiosek i miasteczek na południe i zachód od Krakowa. Rozładowaliśmy nasz skromny dobytek, ojciec zapłacił woźnicy i pozwolił mu wracać do domu. My oraz kilka tysięcy innych Żydów usadowiliśmy się wprost na bruku, nie wiedząc gdzie iść i co robić. Wkrótce potem kazano nam się ustawić w kolejkach po przydział zakwaterowania. Zająłem miejsce w kolejce dla naszej rodziny, podczas gdy rodzice siedzieli na naszych rzeczach i odpoczywali. Kolejki uformowały się przed kilkoma stołami przy których siedzieli żydowscy przedstawiciele przydzielający każdemu jakieś lokum. Zauważyłem, że przy stoliku, do którego ustawiła się moja kolejka, siedzi pan Gold, jak zwykle w majestacie urzędu, jak gdyby nadal był przewodniczącym Judenratu. Kiedy podszedłem do niego, powiedział – *rodzina Silberbacha*. Przytaknąłem. Zapisał nasze nazwisko w zeszycie i powiedział – *budynek szkolny*. Zapytałem go – *Gdzie jest ten szkolny budynek?* Odpowiedział, że ulicę dalej po lewej stronie.

Musiałem wrócić do rodziców, żeby poinformować ich gdzie zostaliśmy zakwaterowani. Wszędzie były tysiące ludzi i trzeba było manewrować między stojącymi i siedzącymi we wszystkie strony. Po kilku minutach przedzierania się znalazłem rodziców i zauważyłem, że rozmawiają z jakimiś ludźmi. Na odległość nie widziałem kim są, ale kiedy podszedłem bliżej poznałem ich. To była starsza siostra mojej mamy, ciocia Ester Berkowicz z dwoma córkami i synem. Nie widzieliśmy ich od 20 marca 1941 r., około 17 miesięcy. Objąłem i ucałowałem ich wszystkich, a moje serce waliło z radości, że znowu ich widzę. Mąż cioci Ester, wujek Adolf Berkowicz, został zamordowany przez nazistów jakieś 5 miesięcy wcześniej, ponieważ był zamieszany w ukrywanie futer, kiedy naziści odbierali je Żydom. Ciocia Ester bardzo się postarzała. Łatwo można było dostrzec pewien wyraz melancholii na jej twarzy oraz na twarzach jej dzieci. Czułem przez jakie traumatyczne przeżycia musieli przejść. Jej dwie córki, w wieku 21 i 19 lat, były pięknymi młodymi kobietami. Syn, Jakob Berkowicz, miał tylko 17 lat. Był wysoki, silny i wyglądał na dużo starszego. Chcieli wszystko o nas wiedzieć, tak samo jak my o nich. Potwierdzili nam to, co słyszeliśmy na wsi, dlaczego wujek Berkowicz został rozstrzelany przez nazistów.

Dzień miał się ku końcowi i powoli zapadał zmrok. Powiedziałem rodzicom, że przydzielono nas do budynku szkolnego. Ciocia Ester jeszcze nie znała swojego miejsca zakwaterowania. Zapytaliśmy ich o brata mamy, wujka Salomona, ponieważ on mieszkał w Bochni, niedaleko od nich. Ciocia Berkowicz odpowiedziała, że najprawdopodobniej są tutaj gdzieś w Wieliczce, tam gdzie my, ale ich nie widzieli. Mieliśmy nadzieję, że znajdziemy ich następnego dnia. Kiedy już się ściemniało, postanowiliśmy zabrać rzeczy i iść do tej szkoły.

Gmach szkolny był niedaleko od rynku. Od razu go zauważyliśmy, ponieważ był duży, dwupiętrowy, z czerwonej cegły. Zostaliśmy tam powitani przez dwóch żydowskich porządkowych, którzy pokazali nam pokój, gdzie mogliśmy się ulokować. Pokój miał jakieś 5 metrów na 5 i było już w nim 6 osób. Umieściliśmy nasze rzeczy na środku pokoju, ponieważ było to jedyne dostępne dla nas miejsce. Usiedliśmy na naszych rzeczach i popatrzyliśmy na siebie, próbując zrozumieć zaistniałą sytuację oraz zastanawiając się, co jeszcze nas czeka. Ktoś ogłosił, że można dostać kawę w publicznej stołówce, jakieś dwie ulice dalej, koło rynku. Ale to była tylko jakaś namiastka kawy, zrobiona z prażonych ziaren jęczmienia, znana jako „Ersatz" i wcale nie smakowała jak kawa. Spędziliśmy noc śpiąc na podłodze, w naszych ubraniach. Zdjęliśmy tylko buty z nóg.

Obudziliśmy się nad ranem, kiedy już świtało. Założyłem buty i wyszedłem z pokoju, żeby zobaczyć co się dzieje. Zauważyłem, że budynek szkolny pełen jest ludzi. Byli we wszystkich pomieszczeniach na górze

4. Kunde miał stopień sierżanta w SS. Dziesięć lat po wojnie (sic!), w 1965 r. wytoczono jemu oraz kilku innym nazistom proces w Niemczech Zachodnich za zbrodnie wojenne.

i na dole. Kilka minut później ojciec wyszedł z pokoju i powiedział, żebym z nim poszedł na rynek, licząc na jakieś nowe wiadomości dotyczące rozwoju wydarzeń. Były tam grupki ludzi, którzy stali i rozmawiali. Zatrzymaliśmy się, żeby porozmawiać z kilkoma osobami z naszej wioski. Ojciec zapytał ich, czy słyszeli coś ciekawego. Jeden mężczyzna powiedział, że sytuacja nie wygląda dobrze. Inny z kolei powiedział, że całe miasto zostało otoczone przez policję polską, niemiecką oraz specjalne oddziały Einsatzgruppen. Na dworcu kolejowym polska policja patrzyła na każdego, kto wsiadał do pociągu, żeby się upewnić, czy żaden Żyd nie ucieka z Wieliczki. Ktoś oszacował, że Niemcy zgromadzili w miasteczku od pięciu do ośmiu tysięcy Żydów. Pytanie tylko było, co dalej z nami będzie. Były pogłoski, że Niemcy chcą utworzyć getto w miasteczku, ale były również doniesienia, że puste wagony towarowe stoją na bocznicy poza miastem i najprawdopodobniej zostaniemy przetransportowani tymi wagonami do jakiegoś obozu zagłady.

Ojciec powiedział, że ten worek ziemniaków, który zabraliśmy ze sobą z Mogiły, do niczego się nam nie przyda, ponieważ nie ma gdzie ich ugotować. Ojciec postanowił zabrać ten worek ze sobą do publicznej stołówki licząc na to, że być może uda mu się go wymienić na bochenek chleba. Stołówkę obsługiwała rada żydowska, Judenrat, żeby wyżywić biednych miejscowych Żydów, mieszkańców Wieliczki. Z pomocy tej korzystało nie więcej niż pięćdziesiąt rodzin, więc to nie było trudne zadanie. Teraz było ponad pięć tysięcy osób. Ojciec zastanawiał się, jak oni mogą przygotować cokolwiek w tak małej kuchni dla takiej liczby ludzi. Pracownicy kuchni byli zajęci przygotowywaniem dużych kotłów zupy. Ojciec oszacował ich możliwości jedynie na 200 osób. Ojciec rozmawiał z kierownikiem w sprawie wymiany kartofli na chleb, ale dostał odpowiedź, że w ogóle nie ma chleba, ale że mógłby kupić te ziemniaki. Wróciliśmy do szkoły po nasze ziemniaki i zanieśliśmy je do kuchni. Kierownik zaoferował nam 50 zł, ale nie miał pieniędzy, ponieważ miał je dostać dopiero następnego dnia z Judenratu. Za 50 zł można było kupić na czarnym rynku 2 bochenki chleba, więc ojciec przyjął tę propozycję. Kierownik wypisał pokwitowanie i podpisał, że kuchnia jest winna mojemu ojcu 50 zł i ma je wypłacić natychmiast po otrzymaniu pieniędzy.

W drodze powrotnej do budynku szkolnego usłyszeliśmy kolejną plotkę od znajomych. Powiedzieli nam, że firmy, które zatrudniały Żydów na lotnisku, przyjadą po swoich pracowników i ich rodziny i że umieszczą ich u siebie w obozie. Ojciec stwierdził, że to pewnie czyjś okrutny żart albo czyjś sen na jawie. Kontynuowaliśmy naszą podróż do szkoły. Była godzina 13.00, a my nadal nic nie zjedliśmy i nie mieliśmy nic do jedzenia. Wszystkie sklepy w pobliżu były pozamykane, ponieważ to była niedziela, ale nawet gdyby były pootwierane, trzeba było mieć kartki żywnościowe, a my ich nie mieliśmy. Z takim zagęszczeniem ludności znalezienie pożywienia graniczyło z cudem. O dziwo jednak nie widzieliśmy nikogo gorączkowo szukającego jedzenia lub żebrzącego. Myślę, że było to spowodowane ogromnym stresem i wielkim uczuciem niepewności, które zaprzątały wszystkim głowy. Jednak w szkole widziałem małe dzieci płaczące z głodu, ponieważ rodzice nie mieli ich czym nakarmić. Jedyną dostępna rzeczą była woda. Wszyscy ją pili, aby wypełnić pusty żołądek.

Kiedy z ojcem wróciliśmy do naszego pokoju, zobaczyliśmy, że moja mama, siostra oraz brat siedzą na naszych rzeczach i czekają na nas. Mama zapytała, czy mamy jakieś dobre wiadomości. Ojciec odpowiedział, że to co usłyszał nie warte jest powtarzania. Mama chciała wiedzieć, czy przypadkiem nie widzieliśmy jej siostry lub brata, ale niestety nie. Nie wiedzieliśmy także, gdzie są zakwaterowani. Usiadłem obok mamy ponieważ byłem zmęczony chodzeniem. Spojrzałem na wszystkich w pokoju i miałem wrażenie, że wszyscy są zmęczeni życiem i zrezygnowani, bez względu na to, co ich czekało.

Nie później niż 20 minut po naszym powrocie usłyszeliśmy, jak jakiś żydowski porządkowy woła donośnym głosem, żeby wszystkie osoby, które były zatrudnione na lotnisku, zabrały swoje rzeczy i przyszły na rynek, ponieważ czekają na nas dwie ciężarówki, aby zabrać nas z powrotem na lotnisko. Byliśmy w szoku i nie wiedzieliśmy, czy to dzieje się naprawdę, czy to może jakiś sadystyczny nazistowski żart. Ojciec powiedział: – *Nie wiem już w co wierzyć, a w co nie wierzyć, ale zabierajmy nasze rzeczy i chodźmy tam.* Jak tylko przybyliśmy na rynek zobaczyliśmy, że po drugiej stronie, zaraz przy wejściu na plac od strony ulicy, stoi duża ciężarówka. Widzieliśmy tylko jedną ciężarówkę, a nie dwie, jak ogłaszał ten porządkowy w budynku szkolnym. Ruszyliśmy przez rynek w jej kierunku, a kiedy podeszliśmy bliżej, byłem mile zdziwiony widząc, że to rzeczywiście jest ciężarówka z lotniska i to z firmy, dla której ja pracowałem. Firma wysłała tylko jedną ciężarówkę, ale z przyczepą takiej wielkości jak ciężarówka. Kierowcą był Polak. Rozmawiałem już z nim kilka razy wcześniej, kiedy zostałem umieszczony w obozie pracy na lotnisku. Woził on Żydów z obozu pracy na plac budowy w Krakowie. Kiedy mnie zauważył, powiedział, żebym wskakiwał na ciężarówkę. Był jeszcze inny przedstawiciel z lotniska, który przyjechał ciężarówką razem z polskim kierowcą i kiedy zobaczył, że wszyscy pięcioro chcemy wejść na ciężarówkę, zatrzymał nas. Powiedział, że musi powiedzieć coś wszystkim osobom zanim wejdą. Wiem kim on był, nazywał się Kurdziel (spotkałem go kilka tygodni wcześniej w biurze firmy na lotnisku, kiedy przyszedłem poprosić dyrektora o zwolnienie z obozu. Kurdziel mówił płynnie po polsku i niemiecku i przetłumaczył moja prośbę dyrektorowi,

grubemu niemieckiemu osobnikowi, który nazywał się „Herr Mertin").

W krótkim czasie około 300 osób (mężczyzn, kobiet i dzieci) zgromadziło się koło ciężarówki. Kurdziel ogłosił, że tylko ci zatrudnieni na lotnisku mogą na nią wejść. Tym razem weźmie tylko mężczyzn, a jutro przyjedzie ponownie, żeby zabrać żony i dzieci. Byliśmy tym zmartwieni i wahaliśmy się, czy wejść na ciężarówkę bez naszych rodzin. Pytanie było – czy możemy wierzyć w to co mówi? Jeżeli teraz z nim pojedziemy, a jutro nie przyjedzie po naszych bliskich, to prawdopodobnie nigdy się nie dowiemy, co się z nimi stało. Po długiej i ciężkiej naradzie między sobą, mężczyźni zdecydowali się wejść na ciężarówkę. Musieliśmy zaakceptować to, co powiedział Kurdziel i wierzyć w to, co mówił. To była jedyna droga ucieczki z Wieliczki. Było słychać płacz i zawodzenie, kiedy mężczyźni tulili i całowali swoje żony i dzieci. Po przytuleniu mojej mamy i siostry, razem z ojcem wsiedliśmy na ciężarówkę. Mój brat również próbował na nią wejść, ale Kurdziel go powstrzymał i powiedział, że zostanie zabrany jutro z innymi dziećmi. Mój brat miał tylko 13 lat i 9 miesięcy, był niski i chudy i wyglądał zaledwie na 11 lat. Być może, gdyby wyglądał na trochę starszego, Kurdziel by go nie zatrzymał. Mężczyźni weszli na ciężarówkę oraz dołączoną przyczepę, w sumie około 150 osób. Kurdziel nie żądał od nikogo przedstawienia kenkarty z lotniska i każdy, kto nie wyglądał na dziecko, mógł się tutaj dostać. Kobiety i dzieci zostały na chodniku, wpatrując się w nas, jak gdyby chciały zapamiętać nasze twarze. Wszyscy z nas oglądali się za siebie patrząc na pozostawione w tyle kobiety, dzieci, żony, matki, córki, synów i wszyscy z nas krzyczeli: – *Bądźcie tutaj jutro i wsiądźcie na ciężarówkę, kiedy przyjedzie was zabrać.* Szojchet Imerglick stał obok mnie, a łzy płynęły mu z oczu, kiedy patrzył na swoją żonę i dwie małe córeczki. Wszyscy mężczyźni, którzy pracowali na lotnisku, bez względu na to dla której firmy, zdołali dostać się na ciężarówkę lub przyczepę. Wśród pasażerów było kilka osób, które nie pracowały na lotnisku, ale nikt z tego powodu nie narzekał i pozwolono im do nas dołączyć. Jednym z takich pasażerów był pan Gold, nasz były przewodniczący Judenratu. Pan Gold przytulił i ucałował żonę oraz dwoje małych dzieci, następnie wsiadł na ciężarówkę. Mój ojciec, jego brat (wujek Dawid) i ja byliśmy tutaj jedynymi przedstawicielami naszej rodziny.

Musiało już być dawno po 15.00, kiedy Kurdziel dał kierowcy znak do odjazdu w drogę powrotną do Krakowa. Ciężarówka toczyła się wolno wąskimi ulicami, aż dotarła do głównej drogi. Na trasie wylotowej z miasteczka stali policjanci z karabinami i psami, więc to było jasne, że miasto otoczone jest przez policję. Rozpoznałem kilku polskich policjantów, którzy eskortowali nas wczoraj z Mogiły do Wieliczki i byłem zdziwiony, widząc ich nadal w miasteczku. Widocznie naziści potrzebowali ich pomocy i dlatego tutaj trzymali. Dostrzegliśmy także zgromadzone wagony stojące na bocznicy poza miasteczkiem. Kurdziel nigdy nie ogłosił dokąd nas zabiera i, z niewiadomych przyczyn, nikt go o to nie pytał. Po około godzinie dotarliśmy do Krakowa i wtedy zauważyliśmy, że jedziemy do getta. Ciężarówka zatrzymała się przy bramie południowej. Kurdziel wysiadł z kabiny i przemówił do nas zanim się rozeszliśmy. Powiedział, że od tej pory będziemy mieszkać w getcie i że będziemy dowożeni codziennie do pracy ciężarówką zaraz spod południowej bramy. Niektórzy mężczyźni od razu powiedzieli Kurdzielowi, żeby pamiętał o przywiezieniu ich żon oraz dzieci. Odpowiedział, że to zrobi.

Zaraz po opuszczeniu ciężarówki poszliśmy razem z ojcem do budynku, gdzie mieszkała siostra ojca, przy ul. Józefińskiej 11, a było to zaraz naprzeciwko bramy południowej. W zasadzie mieszkanie znajdowało się w drugim budynku (z tyłu), jego wejście usytuowane było na północnej granicy getta i miało inny adres. Jednak naziści pozamykali i zabarykadowali wszystkie takie wejścia, żeby mieć pewność, iż żaden Żyd stąd nie ucieknie. Zatem musieliśmy się tam dostać od strony ul. Józefińskiej 11 (będącej na terenie getta) i następnie przejść korytarzem z pierwszego budynku do drugiego, gdzie znajdowało się mieszkanie. Wujek Dawid nie poszedł z nami. Poszedł do innej siostry, Mani Feiner, która również mieszkała na terenie getta razem z rodziną.

Musiała dochodzić godzina 18, kiedy dotarliśmy do mieszkania. Było to małe mieszkanie dwupokojowe. Każdy pokój miał po około 2,5 m na 4 m i wydawało się, że wszyscy są na miejscu, w sumie 10 osób (5 osób na pokój). Siostry ojca, ciocia Gusta z mężem, ciocia Regina z mężem i ich ojciec (mój dziadek) zajmowali drugi pokój (z tyłu). Pierwszy pokój był jasny, ponieważ miał okno wychodzące na podwórze, ale do drugiego nie docierało światło, więc był bardzo ciemny i trzeba było używać świeczek, żeby go rozświetlić. Było tutaj wprawdzie okno, ale budynek znajdował się dokładnie na granicy getta, a widok z okna wychodził poza jego obszar, więc rok wcześniej naziści kazali wszystkie takie okna zamurować (to było właśnie to okno, przez które dostarczałem paczki z koszernym mięsem). Ciocia Gusta i ciocia Regina bardzo się dziwiły naszym widokiem. Chciały wiedzieć jak i dlaczego się tutaj znaleźliśmy, na terenie getta. Dziadek nie wykazywał żadnego zainteresowania naszym nagłym pojawieniem się i nic nie powiedział. Siedział na krześle, trzymał w ręce Siddur (żydowski modlitewnik) i czytał. O ile wiem, dziadek miał wtedy 92 lata i najprawdopodobniej nas nie rozpoznał, a może nawet nie wiedział, co się wokół niego dzieje. W zasadzie to ja też go nie poznałem, ponieważ zawsze widywałem go jako brodatego, ortodoksyjnego Żyda. Teraz nie miał brody i nie wiedziałem kim jest, dopóki mój ojciec nie odezwał się do niego. Wtedy podeszliśmy

do niego i ucałowaliśmy go (widocznie dziadkowi doradzono, żeby zgolił brodę, aby go naziści nie rozpoznali).

Kiedy ojciec wyjaśnił już cel naszej wizyty, ciocia Gusta i ciocia Regina powiedziały, żebyśmy się u nich zatrzymali, dopóki nie otrzymamy nowych dowodów tożsamości z getta oraz nie dostaniemy przydziału na mieszkanie. Ojciec wysłał mnie do sklepu po chleb i marmoladę bez kartki żywnościowej, ponieważ jeszcze jej nie otrzymaliśmy. Łatwo można było tutaj dostać żywność bez wymaganej kartki, ale trzeba było zapłacić cenę czarnorynkową, która była dosyć wysoka. Przyniosłem chleb oraz marmoladę i to było jedyne jedzenie, które spożyliśmy tego dnia. Ojciec spał w drugim pokoju, ja spałem w pierwszym. W każdym z nich były dwa łóżka i w każdym z nich spały dwie osoby, piąta spała na podłodze. Razem z ojcem byliśmy szóstą osobą na każdy z pokojów, więc musieliśmy spać na podłodze. Po zachodzie słońca ktoś w pierwszym pokoju zapalał świeczkę, żeby było trochę światła. Wtedy zdałem sobie sprawę, że naziści wyłączyli światło w całym getcie i każde mieszkanie bazowało na świeczkach lub innych źródłach światła.

Był poniedziałek rano, kiedy wszyscy w mieszkaniu obudzili się o 6 i zaczęli przygotowywać do pracy. Ktoś rozpalił w piecu, żeby przygotować kawę „ersatz", podczas gdy inni przeżuwali chleb, stanowiący rodzaj śniadania przed wyjściem do pracy. Trudno mi było dalej spać, ponieważ panował zbyt duży ruch, więc założyłem buty i wyszedłem na zewnątrz. Usiadłem na stopniu na podwórzu, a w głowie mi wirowało z powodu tych wszystkich wydarzeń, które miały miejsce od czasu naszego wyjazdu z Mogiły zaledwie dwa dni temu. Po chwili ojciec również wyszedł i powiedział, że jak już wszyscy pójdą do pracy, wrócimy do mieszkania i zjemy resztkę chleba, który kupiliśmy. Przed 6.45 wróciliśmy do mieszkania. Dziadek był jedyną osobą, która tutaj została. Siedział na krześle z otwartym modlitewnikiem w ręce. Przez otwarte drzwi wpadało trochę światła z pierwszego pokoju do drugiego. Ojciec wyjął z szafki resztę chleba oraz marmolady, podzielił na 3 części i tak zjedliśmy śniadanie. Przed 9 ojciec zaproponował, żebyśmy poszli pod południową bramę i czekali na przyjazd ciężarówki, która miała przywieźć żony i dzieci z Wieliczki. Wszyscy mężczyźni, którzy czekali na swoich bliskich tam byli, stojąc w małych grupkach i rozmawiając. Nikt nie znał godziny przyjazdu ciężarówki, ale byliśmy pewni, że o ile tylko przyjedzie, to będzie to miało miejsce właśnie tutaj. Kiedy tak staliśmy przez blisko godzinę i słuchaliśmy różnych plotek, podeszło do nas dwóch żydowskich policjantów, którzy kazali nam się rozejść, ponieważ naziści nie pozwalają na duże zgrupowania Żydów. Jeden nawet nas ostrzegł, że gdyby jakiś złośliwy Niemiec wszedł do getta, mógłby oddać w naszą stronę kilka strzałów. Wszyscy się rozproszyliśmy. Niektórzy odeszli dalej, inni weszli na korytarze pobliskich budynków. I tak czekaliśmy.

Około południa usłyszeliśmy odgłos silnika nadjeżdżającej ciężarówki. Wszyscy wyszli z budynków z powrotem na ulicę. Ciężarówka zatrzymała się przy bramie. Była to ciężarówka z dołączoną przyczepą, która miała być wypełniona kobietami i dziećmi. Kurdziel wysiadł z kabiny i rozmawiał z polskim policjantem pełniącym wartę po drugiej stronie. Policjant otworzył bramę i ciężarówka wjechała na teren getta. Otoczyliśmy ją, starając się dostrzec naszych bliskich, którzy mieli tu przyjechać. Było dużo krzyków i nawoływań. Mężczyźni nerwowo chodzili wokół ciężarówki pomagając zejść kobietom i dzieciom, pytali o swoich bliskich. Kiedy wszyscy już zeszli, stało się oczywiste, że wiele żon i dzieci pracowników lotniska nie przyjechało i zostało w Wieliczce. Wielu mężczyzn natychmiast podeszło do Kurdziela i powiedziało mu o tym, ale on odpowiedział, że nie może wrócić po więcej osób i kazał kierowcy wyjechać z getta.

Moja mama, siostra i brat nie przyjechali. Również żona wujka Dawida się nie pojawiła. Rozmawialiśmy z kilkoma kobietami, które tutaj dotarły, pytając co się stało. Powiedziały, że od dwóch dni nie dostawali nic do jedzenia i że naziści razem z polską policją zabierali setki ludzi do wagonów towarowych, aby ich wywieźć do obozu zagłady. Byliśmy zszokowani słysząc, że w Wieliczce zapanowało całkowite szaleństwo podczas wchodzenia na ciężarówkę. Zjawiło się bowiem kilkaset kobiet z dziećmi i wszystkie chciały się na nią dostać, ponieważ była to jedyna droga ucieczki. Kurdziel z kierowcą nie mieli jak odróżnić żony i dzieci pracowników. Wejście na ciężarówkę stało się walką o przetrwanie. Zaczęła się szarpanina, ciągnięcie za włosy, wrzaski. Tylko najsilniejsi byli w stanie się na nią przedostać. Rodziny pracowników lotniska stanowiły niewiele ponad połowę pasażerów. Wszyscy mężczyźni, których żony i dzieci nie przyjechały, zaczęli się zastanawiać co teraz zrobić, jak ich ratować, ale szybko zrozumieliśmy, że jesteśmy tak samo bezsilni jak ci, którzy zostali w miasteczku.

Komentarz:

Nie wiem, kim był ten niemiecki przedstawiciel, który wysłał ciężarówkę z lotniska do Wieliczki, żeby ratować tę garstkę żydowskich mężczyzn, kobiet i dzieci. Nie mam żadnych wątpliwości, że podzieliłbym los tysięcy Żydów z Wieliczki, gdyby nie zabrała mnie stamtąd ciężarówka. Osobiście uważam, że niemiecki zarząd firmy na lotnisku wiedział o masowej eksterminacji Żydów i to było celowe działanie tego człowieka, żeby ich ratować. Jestem tego tym bardziej pewien, kiedy biorę pod uwagę fakt, że wysłano ciężarówkę także po żony i dzieci, których firma nie potrzebowała do pracy na lotnisku.

W tym miejscu chciałbym zwrócić uwagę na następujące fakty. Kiedy zgromadzono nas w Wieliczce w celu deportacji do obozów śmierci był koniec sierpnia 1942 r. W tym czasie Niemcy ponosili ciężkie straty na froncie wschodnim. Synowie wielu Niemców zostali albo zabici albo wzięci do niewoli albo ciężko ranni na polu walki i zaczęto sobie uświadamiać, że Hitler i jego nazistowscy poplecznicy prowadzą kraj do strasznej klęski. Dwa miesiące później, w listopadzie, duże amerykańskie siły wojskowe wylądowały w północnej Afryce. Cztery miesiące później, w styczniu 1943 r., niemiecki generał von Paulus poddał się Sowietom pod Stalingradem razem z 400-tysięczną armią. Pomimo ciężkich strat oraz widma nadchodzącej klęski, nazistowski departament odpowiedzialny za mordowanie Żydów („ostateczne rozwiązanie") kontynuował pełna parą niszczenie społeczności żydowskiej na terenie całej okupowanej Europy. Nie było nikogo, kto byłby dość silny i wpływowy, żeby powstrzymać to szaleństwo, powstrzymać tę straszliwą zbrodnię dokonywaną na narodzie żydowskim.

Wróciliśmy do mieszkania smutni i rozczarowani. Ojciec stwierdził, że najprawdopodobniej nigdy ich już nie zobaczymy (mojej mamy, siostry i brata). Wiedziałem, że ojciec znosi straszne katusze i nic nie może na to poradzić, dlatego nic nie odpowiedziałem. W mieszkaniu dziadek siedział przy stoliku czytając modlitewnik. Nie popatrzył na nas ani się nie odezwał, kiedy weszliśmy do pokoju. Widocznie nawet nie był świadom tego, że tu jesteśmy. Wszyscy w trójkę siedzieliśmy milcząc. Po chwili zdecydowałem się wyjść. Nie mogłem znieść tej wszechogarniającej ciszy w tym małym, ciasnym i mrocznym pokoju. Wyszedłem na główną ulicę, Józefińską. To była dosyć ruchliwa droga. Było na niej dużo ludzi zmierzających w różnych kierunkach, więc wszedłem w ten tłum. W zasadzie nie miałem ani dokąd iść ani co robić, więc chodziłem i rozglądałem się po getcie. Musiała być godzina 15, kiedy dotarłem na duży plac, znany jako plac Zgody. Normalnie było tutaj targowisko, gdzie chłopi oraz kupcy ustawiali swoje kramy z towarem. Teraz była to część getta, gdzie nie prowadzono żadnej działalności handlowej, tylko przechodzili tędy Żydzi. Na końcu tego placu, w kierunku północnym, była północna brama getta. Na terenie getta, przy bramie, stało dwóch żydowskich policjantów, a na zewnątrz dwóch polskich policjantów z karabinami. Widziałem jak paru Żydów wchodziło i wychodziło przez bramę, ale musieli się zatrzymywać i pokazywać przepustki policjantom. Kiedy wracałem z powrotem na ul. Józefińską, zauważyłem moich dwóch szkolnych kolegów, których nie widziałem od prawie 3 lat. Od razu się rozpoznaliśmy i zaczęliśmy wspominać szkolne dni. Moi przyjaciele mieszkali w getcie od pierwszych dni jego istnienia, czyli od 21 marca 1941 r. Chcieli wszystko o mnie wiedzieć, a ja chciałem wiedzieć wszystko o nich, ale najważniejsze pytanie brzmiało gdzie powinienem się udać, żeby otrzymać moją kartkę żywnościową, ponieważ byłem dosyć głodny. Powiedzieli, żebym się udał do biura położonego obok żydowskiego posterunku policji na ul. Józefińskiej. Jeden z moich przyjaciół pracował w stołówce. Powiedział mi, gdzie ona się znajduje i zaproponował, żebym zajrzał do niego jak tylko dostanę kartkę żywnościową, to otrzymam dobry posiłek.

W biurze mężczyzna odpowiedzialny za wydawanie kartek żywnościowych chciał wiedzieć jak znalazłem się w getcie. Opowiedziałem mu o podróży, którą odbyłem w ciągu ostatnich 3 dni. Wręczył mi kartkę żywnościową oraz podanie o wydanie nowej kenkarty dla legalnego mieszkańca krakowskiego getta. Natychmiast udałem się do stołówki po jedzenie. Była tam czysta jadalnia z długimi stołami i ławkami. Usiadłem przy jednym ze stolików. Pracownik pełniący funkcję kelnera podszedł do mnie i poprosił o kartkę żywnościową. Zapytał mnie, czy chcę zupę czy drugie danie, składające się z ubitych ziemniaków polanych sosem oraz małego klopsa. Wziąłem jedno i drugie. Pracownik odciął dwa kupony z mojej kartki i wtedy przyniósł mi jedzenie. To był pierwszy porządny posiłek od 3 dni. Zauważyłem, że stołówka była otwarta przez 6 dni w tygodniu od 12 do 18. Dostrzegłem też, że taka kartka zapewniała mi obiady przez cały miesiąc, ale nie zostawiała dodatkowych odcinków na jedzenie: śniadanie lub kolację. Będzie dobrze jeżeli uda mi się wyżyć z tego jednego posiłku dziennie. Dodatkowe jedzenie będę musiał sobie dokupić na czarnym rynku.

Po obiedzie wróciłem na ul. Józefińską. Szedłem nią aż do końca dopóki nie dotarłem do ul. Straszewskiego. Dokładnie w tym miejscu dwa dni temu, kiedy podróżowaliśmy do Wieliczki, zatrzymał się nasz wóz i rozmawialiśmy z ciocią Gustą przez ogrodzenie z drutu kolczastego. Tylko że tym razem ja również byłem w getcie, za płotem, tak jak i ona. W tej chwili różne myśli zaczęły przychodzić mi do głowy. Kto by przypuszczał dwa dni temu, że będę tutaj bez mojej mamy i rodzeństwa, których najprawdopodobniej nigdy w życiu nie zobaczę? Zadawałem sobie różne pytania – Dokąd zmierza ten świat? Czy to koniec człowieka cywilizowanego?

Było po 18, kiedy zdecydowałem się wracać do mieszkania. Kiedy skręciłem na Straszewskiego w ul. Józefińską dostrzegłem na dole ogrodzenia rozwidlenie pomiędzy dwoma drutami i przypomniało mi to płot w obozie pracy na lotnisku. Zatrzymałem się i przyglądałem się temu z pewnej odległości. Poza gettem, oddalone około 10 m od ogrodzenia, były szyny, którymi tramwaje kursowały w równych odstępach czasu. Miejsce to nadawało się bardzo dobrze do przechodzenia na oraz poza teren getta właśnie przez ten odstęp między drutami. Stojąc tam od kilku minut postanowiłem iść dalej, ale gdy spojrzałem jeszcze raz w tamtym kierunku, dostrzegłem trzech chłopców przedostających się

na teren getta właśnie w tym miejscu. Ci chłopcy zrobili to bardzo szybko i już po kilku sekundach szli tym samym chodnikiem co ja. Znowu na nich spojrzałem i tym razem o mało nie padłem z wrażenia, ponieważ jednym z nich okazał się mój brat.

Mój brat był tak samo zaskoczony moim widokiem jak ja, widząc go w getcie. Nie wiedział, że razem z ojcem jesteśmy tutaj. Myślał, że jesteśmy w obozie pracy na lotnisku. Chciałem wiedzieć jak udało mu się wydostać z Wieliczki i gdzie jest nasza mama i siostra Hanka. Mój brat był bardzo zmęczony i głodny. Zdawał być się jeszcze chudszy niż dwa dni temu. Zaproponował, żebyśmy poszli do ojca i porozmawiali, to wtedy dowiem się, co ma do powiedzenia. W mieszkaniu wszyscy już wrócili z pracy i przygotowywali coś do jedzenia. Na piecu ktoś gotował cały garnek ziemniaków, ktoś inny robił jajecznicę i pachniało tak ładnie, ze mój głodny brat był gotów poprosić o coś do jedzenia. Poszliśmy prosto do drugiego pokoju, gdzie siedział ojciec obok dziadka, patrzył przed siebie na ciemną ścianę i nie oczekiwał niczego niezwykłego. Kiedy tylko mój brat wyłonił się zza moich pleców, ojciec poderwał się z miejsca i ogromnie podekscytowany wydusił z siebie – *Jak się tutaj dostałeś? Gdzie jest mama i Hanka?* Mój brat zaczął się trząść i wyglądał jakby nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Był bardzo słaby. Zaproponowałem, żeby najpierw posadzić go na łóżku i nakarmić. Powiedział, że wczoraj publiczna stołówka wydawała zupę, ale tylko dzieciom i to wszystko co jadł przez ostatnie dwa dni. Pożyczyliśmy trochę chleba i marmolady od cioci Gusty i kiedy mój brat się posilił, miał trochę więcej siły, żeby mówić. Oto co nam powiedział: Wieliczka była pełna policji polskiej, niemieckiej, członków SS oraz Einsatzgruppen. Zabierali Żydów z budynków i eskortowali do wagonów kolejowych. Kiedy przyjechała ciężarówka z lotniska, mama też tam była, ale kiedy zobaczyła tę panikę, to pchanie, ciągnięcie za włosy, tę walkę między kobietami – odeszła, a moja siostra razem z nią. Naziści zastrzelili jednego mężczyznę, położyli jego ciało na rynku z napisem „To samo czeka każdego, kto będzie próbował uciekać". Mama, siostra i mój brat wrócili do budynku szkolnego. Mama całkowicie się załamała, wpadła w stan depresji i straciła ochotę do życia. W szkole, w tym samym pokoju co my, była rodzina z synem w tym samym wieku, co mój brat. Ojciec tego chłopca namawiał mojego brata, siostrę i swojego syna, żeby poszli na dworzec kolejowy i próbowali przedostać się do pociągu jadącego do Krakowa. Kiedy dotrą do miasta, będzie im łatwo przedostać się na teren getta. Ojciec chłopca tłumaczył, że to jedyna szansa dla nich, żeby wydostać się stąd i przeżyć. Mama również namawiała brata i siostrę, żeby jechali. Nie mieli żadnych cech semickich, więc najprawdopodobniej nikt w pociągu nie poznałby, że są Żydami. Moja siostra nie chciała zostawiać matki samej, więc zostały razem. Mój brat z tym drugim chłopcem poszli na dworzec i przedostali się do pociągu jadącego do Krakowa. Kiedy przyjechali do miasta, oboje udali się do krakowskiego getta. Po drodze spotkali chłopca, mieszkańca getta, który wiedział w którym miejscu można się przedostać do środka. Brat powiedział mi, że polska policja na dworcu kolejowym w Wieliczce wypytywała i legitymowała każdego, kogo podejrzewała o bycie Żydem. To samo działo się w pociągu. Polska policja patrzyła na twarze. Każdy, kto wyglądał na śpiącego i miał twarz przykrytą szalikiem lub czapką, tego twarz odsłaniała. Brat przyniósł nam również list napisany przez moją siostrę, z dołączoną do niego obrączką, którą mama zwracała mojemu ojcu[5]. Siostra opisała w skrócie co się tam dzieje i że spodziewają się, że ich wkrótce stamtąd zabiorą. Na koniec wyrażała nadzieję, że może kiedyś przy odrobinie szczęścia uda nam się wszystkim razem zobaczyć. To była ostatnia wiadomość, którą otrzymaliśmy od mojej mamy i siostry.

Ojciec wydawał się mieć lepsze samopoczucie, kiedy zobaczył przy sobie swojego najmłodszego syna, ale ta poprawa nastroju trwała tylko chwilę. Wiadomości o żonie i córce wprawiły go znowu w stan głębokiej apatii. Bardzo cierpiał. Schylił głowę i zakrył twarz rękami mówiąc coś niezrozumiale, co brzmiało jak „Boże gdzie jesteś?" Mój brat i ja wyszliśmy na podwórze ze łzami w oczach. Brat zapytał mnie, czy kiedykolwiek zobaczymy jeszcze mamę i Hankę. Odpowiedziałem mu, że niestety nie znam odpowiedzi, ale że mam nadzieję, że tak się stanie. Dwa dni później otrzymaliśmy wiadomości z podziemia, że Wieliczka stała się „Judenrein", czyli „wolna od Żydów". Wszyscy Żydzi z miasteczka zostali przetransportowani wagonami towarowymi do obozów zagłady Bełżca i Treblinki, gdzie ich zamordowano. Moja mama z siostrą, ciocia Berkowicz z dwoma córkami i synem, wujek Salomon z żoną i dwójką dzieci oraz tysiące innych Żydów zniknęło bez śladu i nigdy już ich nie zobaczyliśmy.

Komentarz:

Chciałbym zaznaczyć po raz kolejny ważny fakt, że polska policja brała czynny udział w dostarczaniu Żydów do obozów śmierci. Naziści potrzebowali ich pomocy do identyfikowania polskich Żydów, ponieważ polska policja była w stanie ich rozpoznać na pierwszy rzut oka, a Niemcy tego nie potrafili. Czasami bardziej obawiałem się polskiej policji niż niemieckiej.

5. Po wojnie ojciec dał mi tę obrączkę na przechowanie i mam ją po dzień dzisiejszy.

ALEKSANDRA ERBERT – Streszczenie na podstawie wspomnień „Leo Bach's Memoir"

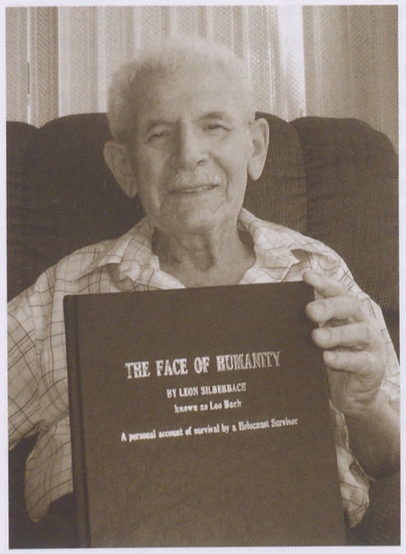

Leo Bach

Na wspomnienia Leo Silberbacha, żydowskiego nastolatka z Krakowa, natknęłam się przez przypadek, kiedy w Internecie szukałam informacji o rodzinnej miejscowości mojej babci – Mogile. Leo mieszkał w dzielnicy Grzegórzki i wiele wycierpiał ze strony swoich sąsiadów, którzy ciągle piętnowali jego żydowskie pochodzenie. Jednak o Mogile zachował wyjątkowo ciepłe wspomnienia. To właśnie tutaj znalazł schronienie w okresie okupacji, gdzie przebywał razem z rodzicami oraz rodzeństwem: bratem i siostrą. Leo pracował na pobliskim lotnisku w Czyżynach oraz przy budowie szpitala dla pracowników Luftwaffe w Krakowie. Sądził, że bycie „użytecznym" dla Niemców pozwoli mu uniknąć wysyłki do obozu zagłady. Niestety bardzo się rozczarował. Latem 1942 r. deportowano wszystkich Żydów z Mogiły, Czyżyn oraz okolicznych wsi do Wieliczki, skąd zostali przetransportowani do obozów śmierci i tam zgładzeni. Leo też miał podzielić ich los, kiedy w ostatniej chwili przybył z pomocą niemiecki pracownik czyżyńskiego lotniska, niejaki Kurdziel. Zabrał wszystkich mężczyzn, którzy zdołali zmieścić się na ciężarówce z przyczepą (m.in. Leo z ojcem) i wywiózł do krakowskiego getta, gdzie mieli jeszcze szansę się uratować. Nie zapomniał o kobietach i dzieciach. Wrócił po nie tą samą ciężarówką następnego dnia, ale czekał już na niego ogromny tłum, bo przecież każdy chciał żyć. Matka i siostra Leo zostały i tego samego dnia trafiły do obozu zagłady. Tylko bratu udało się przedostać na dworzec kolejowy w Wieliczce i stamtąd pociągiem do Krakowa, gdzie przekazał ojcu obrączkę mamy oraz jej pożegnalny list. Leo z ojcem i bratem przebywał w krakowskim getcie od sierpnia 1942 r. do lipca 1943 r. Stamtąd codziennie rano zabierała go ciężarówka do pracy na lotnisku. Firma, dla której pracowali przy budowie lotniska robiła wszystko, żeby ratować swoich żydowskich pracowników. Czasami nawet pozwalano zostać im na noc, kiedy było wiadomo, że będą organizowane kolejne wywózki z getta.

Niestety to wszystko sprawdzało się, ale tylko do czasu. W końcu Leo został rozdzielony z bratem i ojcem i wysłany do obozu w Płaszowie, który słynął z okrucieństwa swojego komendanta, Amona Goetha. Natomiast brat z ojcem trafili do obozu Bauhoff, skąd uciekli, kiedy mieli zostać przetransportowani do obozu w Płaszowie. Niestety brat Leo został wydany w ręce Niemców po tym, jak dozorca doniósł, że ukrywa się on na strychu ich przedwojennego budynku. Trafił do Płaszowa, gdzie został zamordowany. Następnie Leo przebywał w obozie w Starachowicach, gdzie nie ma już takiego terroru, ale warunki życia są bardzo ciężkie. Spędził tam zimę i wiosnę 1943-1944. W lipcu 1944 r. został przetransportowany do obozu śmierci Auschwitz-Birkenau. Otrzymał numer A-19723. Trafił do tzw. obozu cygańskiego, gdzie był świadkiem jego likwidacji. Wielokrotnie przechodził selekcję do momentu, kiedy został przydzielony jako pomocnik elektryka i w ten sposób zapewnił sobie bezpieczniejszy pobyt w obozie.

Nadszedł styczeń 1945 r. Zbliżał się front. Zaczęto ewakuować więźniów w głąb Rzeszy, z dala od linii frontu. W ten sposób Leo znalazł się w Buchenwaldzie. Do wszechobecnego terroru doszły jeszcze stale pogarszające się warunki życia. Ciągle docierały kolejne transporty więźniów. Ze względu na wielki ścisk, wszystkich Żydów i nie-Żydów umieszczano razem. Pewnego dnia wszyscy pozostali przy życiu Żydzi mieli zostać straceni, dlatego Leo postanowił usunąć wszystkie insygnia świadczące o jego pochodzeniu. Jakiś Polak dał mu znaczek w kształcie trójkąta świadczący o tym, że jest Polakiem i nie-Żydem. Jednak któryś z Polaków powiedział esesmanowi, że on jest Żydem. Skończyłoby się to tragicznie, gdyby wszyscy pozostali współwięźniowie zgodnie nie zaświadczyli, że to nieprawda. Leo mógł zostać w baraku. Apogeum bezsensownego okrucieństwa przypadło na maj 1945 r. Wszystkich więźniów wysłano w dwudziestodniową podróż bez jedzenia i picia. Wszystko po to, żeby nie trafili w ręce aliantów. Zdecydowana większość z nich zmarła z wycieńczenia. Jeszcze wtedy przyszedł strażnik i dobijał konających. Leo udał, że nie żyje. Trafił do Dachau, gdzie wkrótce został uwolniony przez aliantów. Kiedy wrócił do domu zastał tylko ojca. W Polsce znowu wzrosły nastroje antyżydowskie, dochodziło do pogromów. Na fali tych krwawych zamieszek, Leo wraz ojcem i kilkoma krewnymi postanowili wyjechać z kraju. Leo wyemigrował do USA, gdzie poślubił Evelyn Wexler. Para osiedliła się w Południowej Kalifornii, gdzie doczekała dwójki dzieci, Glorii i Juliana.

W czerwcu 2009 r. Gloria przyjechała do Krakowa razem z ciotką, żeby szukać śladów swojego ojca.

PS.

O losach mojego pradziadka, Jakuba Radoszka z Mogiły, dowiedziałam się, dokładnie w 60 lat po zakończeniu II wojny światowej, dzięki pomocy PCK oraz Archiwum w Bad Arolsen. Mój pradziadek także był więźniem Buchenwaldu. Zmarł 15 maja 1945 r. koło Monachium na tyfus plamisty. Prawdopodobnie brał udział w tym samym marszu śmierci co Leo. Może jechał nawet tym samym transportem z Buchenwaldu do Dachau?

ADAM GRYCZYŃSKI – Premiera filmu „Pamiętnik Leo" w Nowohuckim Centrum Kultury



Przedstawiliśmy Państwu na ekranie historię analogiczną do znanej całemu światu z pamiętnika Anny Frank, z tą różnicą, iż Leo Bach, pomimo przejścia wielu obozów koncentracyjnych, wojnę przeżył. Postać Anny Frank pokazywaliśmy w 1994 r. wspólnie z Fundacją im. Anny Frank z Amsterdamu na dużej wystawie fotograficznej w NCK, a obecnie uczestniczymy w premierze filmu „Pamiętnik Leo". Podobnych jak te, dramatycznych życiorysów wpisanych w okres hitlerowskiego totalitaryzmu i pogardy dla człowieka były miliony, a wiele z nich udało się wydobyć z czeluści zapomnienia i ku przestrodze dla ludzkości – utrwalić. Jest to istotne również dla zachowania w naszej społecznej świadomości głębokich ludzkich uczuć: empatii i altruizmu, które miały miejsce w sytuacji, gdy za udzielenie pomocy i schronienia drugiemu człowiekowi groziła bezwarunkowa śmierć, a nawet utrata najbliższych. Film powstał za wiedzą i zgodą rodziny Leo Bacha, żyjącej obecnie w USA i Australii, za co pragniemy jej członkom wyrazić serdeczne podziękowanie, jak również wdzięczność za okazane nam zaufanie.

Nasz paradokument powstał w ramach obchodów 60-lecia Nowej Huty, organizowanych przez Urząd Miasta Krakowa i przedstawia historię Leona Silberbacha, czternastoletniego Żyda, ukrywającego się wraz z rodziną przed deportacją do getta we wsi Mogiła pod Krakowem w latach 1941-1942. Wydarzenia i sytuacje zostały zainscenizowane na podstawie jego wspomnień, spisanych na emigracji pięćdziesiąt lat po zakończeniu II wojny światowej. Matkę i siostrę Leo zamordowano w Auschwitz, a brata stracono w obozie w Płaszowie. Leon po okresie pracy na lotnisku w Czyżynach trafiał do różnych obozów koncentracyjnych, m.in. w Płaszowie, Starachowicach, Auschwitz-Birkenau, Buchenwaldzie, cudem unikając śmierci. Po wyzwoleniu przez aliantów obozu w Dachau Leon wrócił na krótko do Polski, skąd w 1948 r. wyemigrował na stałe do USA, gdzie zmienił imię oraz nazwisko na Leo Bach. W Kalifornii ożenił się i miał dwoje dzieci. Zmarł w 2006 r. Na przekór opowieściom o mrokach czasu wojny, film w swoim ogólnym, uniwersalnym przesłaniu jest afirmacją życia, ukazuje bowiem młodego bohatera i jego niezwykle silną wolę przetrwania w czasie Holocaustu. W scenach dokumentalnych filmu „Pamiętnik Leo" pojawia się Gloria Bach-Koch, córka Leo, która wraz z Mary Wexler, swoją ciotką, przyleciała specjalnie z USA na zaproszenie Nowohuckiego Centrum Kultury, aby szukać śladów po ojcu w Krakowie i Mogile. Ważny jest w nim także zapis wizyty, którą złożyła Gloria w Mogile w domu i gospodarstwie, gdzie przed sześćdziesięciu laty ukrywał się jej ojciec wraz z najbliższą rodziną, a także pobyt w domu i mieszkaniu jej dziadków w Krakowie na Grzegórzkach oraz na grobach swych przodków na cmentarzu żydowskim przy ul. Miodowej w Krakowie.

Reżyserem, scenarzystą, operatorem i montażystą filmu jest Marek Norek. Współpraca: Adam Gryczyński. Muzykę skomponował i wykonał Jan Oberbek. Nagranie: Andrzej Rehman. Dźwięk: Kazimierz J. Bihun. Scenografia: Małgorzata Hula. Asystent operatora: Maciej Siudmak. Fotosy: Grzegorz Boniowski. Tłumacz wspomnień Leo Bacha: Aleksandra Erbert. Tłumacz na planie: Justyna Krzywicka. Kierownik produkcji: Anna Bubula. Produkcja: Nowohuckie Centrum Kultury. Dyrektor NCK: Ferdynand Nawratil. W filmie „Pamiętnik Leo" w roli głównej wystąpił Krzysztof Kwiatkowski, student PWST. Narrator: Krzysztof Globisz, aktor Narodowego Starego Teatru. W pozostałych rolach wystąpili: Anna Bubula (pani Imerglick), Adam Gryczyński (pan Imerglick), Bartosz Bulanda (policjant), Małgorzata Hyla (pani Pałka), Edward Norek (Stanisław), Karolina Kłós (siostra Zygmunta), Maciej Siudmak (Finkelstein), Michał Sabaj (kierowca) oraz Janina Chwaja i Antoni Cyganik – mieszkańcy Mogiły. Film ma długość 39 minut 20 sekund. Przed premierą wyświetlono etiudę filmową „Remuh", zrealizowaną w 1988 r. w Amatorskim Klubie Filmowym „Nowa Huta" przez Adama Gryczyńskiego, a w Galerii NCK eksponowana była jego wystawa z 1986 r., współcześnie opracowana komputerowo, pod tym samym tytułem.

o. MACIEJ MAJDAK (OCist) – Cysterskie duszpasterstwo. U początków Nowej Huty[6]



Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Męskiej w Mogile, 1950 r.

Działalność duszpasterska w budującym się nowym mieście od samego początku zmagała się z wieloma problemami. Wypada w tym miejscu wspomnieć fakt szybkiego wzrostu liczby ludności. W krótkim czasie w okolice Mogiły przybyło 12 tysięcy ludzi, którym starano się zapewnić opiekę duchową. Kościołów było niewiele: w Mogile, Czyżynach, Ruszczy i Pleszowie. Pracujący w nich kapłani często sami do końca nie wiedzieli, jaka jest dokładna liczba ich parafian. W marcu 1951 r., na mocy dekretu kard. Sapiehy, parafia mogilska przeszła pod opiekę cystersów. Na tej decyzji zaważyła w dużej mierze duża liczba mieszkających w klasztorze kapłanów, którzy mogliby w pełni odpowiedzieć na zapotrzebowania duszpasterskie w Nowej Hucie.

Ciekawych informacji na temat duszpasterstwa w parafii mogilskiej dostarcza dokument z wizytacji przeprowadzonej 5 września 1954 r. przez biskupa Franciszka Jopa. Czytamy w nim m.in.: *Liczby parafian nie da się ustalić, jest to jednak bardzo liczna placówka duszpasterska*. Fakt ten potwierdza sakrament bierzmowania, który bp Jop udzielił podczas wizytacji aż 916 osobom. *Stan religijny parafii na ogół jest dobry. Ludność miejscowa jest bardzo religijna, napływowa zaś często religijnie obojętna* – pisał w dokumencie biskup Jop. Cystersi mogilscy pracę duszpasterską prowadzili w dwóch kościołach (klasztornym i parafialnym pw. św. Bartłomieja Apostoła). Szczególną troską otaczano ludzi chorych i ubogich, którym udzielano nie tylko pomocy duchowej, ale również i materialnej. Cystersi duszpasterzowali w sąsiednich parafiach. Szczególnym miejscem tej działalności była powstająca parafia w Bieńczycach. W innej pobliskiej parafii, pod wezwaniem św. Wincentego w Pleszowie, w dniach od 22 do 27 marca 1956 r. misje święte prowadził opat mogilski – o. Augustyn Ciesielski.

O różnych formach działalności duszpasterskiej mogilskich Cystersów dowiedzieć się można z miesięcznych sprawozdań funkcjonariuszy krakowskiej bezpieki. W sprawozdaniu za luty 1953 r. czytamy: *(...) ks. zakonny OO Cystersów Kolasa Andrzej z Mogiły przy pomocy innych zakonników przeprowadził agitację kobiet, by te uczęszczały na kurs gospodarstwa domowego do klasztoru. Ks. Kolasę UBP N. Huta wezwał i przeprowadził z nim rozmowę profilaktyczną i tym samym Cystersi zaniechali prowadzenia tego kursu. (...)* (o. Benedykt Matejkiewicz, proboszcz mogilski – dop. aut.) *aktywizuje ostatnio swoją pracę wśród młodzieży, grupując wokół siebie członków b. organizacji KSMM. Część członków tej organizacji zorganizował w chórze kościelnym. Ostatnio np. urządził on wycieczkę do Szczyrzyca, gdzie mieści się drugi klasztor OO Cystersów.*

Przy mogilskim klasztorze rozwijało się duszpasterstwo również wśród młodzieży. Najbardziej charakterystyczną formą takiego duszpasterstwa było Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży, silnie wspierane przez biskupa krakowskiego, kard. Sapiehę. W roku 1951 do mogilskiego koła KSM należało aż 360 członków. Niestety, działalność UB sprawiła, że w roku następnym ta liczba spadła do 19 osób.

Na wielu płaszczyznach życia społecznego dało się odczuć, z jak wielką nienawiścią atakowane są wszelkie działania duszpasterskie prowadzone nie tylko przez cystersów. Z wpływem zakonników na mieszkańców Nowej Huty walczono na łamach prasy. Redaktor Natalia Rolleczek w swoim artykule pt.: „Bądźmy dwudziestowieczni", zamieszczonym w „Dzienniku Polskim" z 22 września 1957 r. stwierdza: *Trzecia szkoła otwarta w Nowej Hucie walczy z trudnościami pod przewodnictwem ob. Morawskiego, kierownika szkoły, ambitnego zespołu nauczycieli, ażeby wytrwać pod obstrzałem propagandowym, który z dwóch stron prowadzą dwie ambony w Mogile i Bieńczycach. Kartacze szwedzkie pękające niegdyś nad Jasną Górą mniej chyba czyniły huku, niż te argumenty z dwóch ambon.*

Jedną z form duszpasterstwa podejmowanego przez mogilskich Cystersów była katechizacja. Tuż przed rozpoczęciem nowego roku szkolnego zakonnicy zachęcali, aby dzieci i młodzież zaczynały go z Bogiem. W nowo powstających nowohuckich szkołach nie było jednak miejsca na lekcje religii. Uczono jej jedynie w starych placówkach na terenach wiejskich. Nowe szkoły podstawowe działały pod szyldem Towarzystwa Przyjaciół Dzieci. Domeną tychże placówek była szeroko zakrojona ateizacja wśród młodego pokolenia. Dla zakonników było to zupełnie nowe wyzwanie. Jednak w szkołach pozostających pod opieką Kościoła uczono religii. Zmiany nastąpiły, gdy w nowym roku szkolnym 1957/1958 wprowadzono naukę religii we wszystkich nowohuckich szkołach. Do nauczania dzieci i młodzieży wyznaczeni byli katecheci: przede wszystkim byli to księża, ale w tym gronie znalazły się również dwie siostry zakonne, dwie osoby świeckie oraz kleryk z klasztoru w Mogile. Cystersi uczyli w następujących szkołach: w Szkole Podstawowej nr 37 (Mogiła) – o. Niward Karsznia, w Szkole Podstawowej nr 80 (Mogiła) – o. Ryszard Motak i o. Hugo Leszczyński, w Szkole Podstawowej nr 83 (Mogiła) – o. Hieronim Pasternak i o. Rafał Zając, w Szkole Podstawowej nr 84 (Bieńczyce) – o. Kazimierz Szafraniec, w Szkole Podstawowej nr 85 (Mogiła) – o. Zygmunt Gajda i kleryk Hubert Kasztelan, w Szkole Podstawowej nr 86 (Bieńczyce) – o. Marek Chwastek, w technikach i szkołach zawodowych uczyli: w Technikum Hutniczym – o. Bernard Wąsowicz, w Zasadniczej Szkole Zawodowej – o. Benedykt Matejkiewicz, w Zasadniczej Szkole Zawodowej (przy ul. Bulwarowej) – o. Kazimierz Szafraniec.

Diametralna zmiana dotychczasowej polityki władz w stosunku do nauczania religii w szkołach państwowych ujawniła się, gdy 4 sierpnia 1958 r. opublikowano okólnik dotyczący świeckości szkoły. W dokumencie jednoznacznie podkreślono zakazy m.in. umieszczania w szkołach oznak religijnych oraz rozpoczynania nauki od modlitwy. Przypomniano również, że nauczanie religii może odbywać się dopiero po wszystkich przedmiotach obowiązkowych. Najbardziej rygorystycznym okazało się jednak zarządzenie ministra oświaty o zakazie zatrudniania w szkołach członków zgromadzeń zakonnych. W konsekwencji wszyscy zakonnice i zakonnicy (habitowi i bezhabitowi) otrzymali pisemne zwolnienia z pracy z zachowaniem trzymiesięcznego okresu wypowiedzenia.

W celu przywrócenia możliwości uczenia religii w szkołach przez mogilskich Cystersów ówczesny administrator parafii w Mogile, o. Gerard Matuła, wysłał pismo z prośbą do Ministerstwa Oświaty. Władze ostatecznie nie wydały pozwolenia na nauczanie religii przez cystersów. W konsekwencji zakonnicy sami postarali się o zorganizowanie w opactwie aż dziesięciu prowizorycznych salek katechetycznych wyposażonych w krzesła, pulpity i tablice, aby tam, w miarę możliwości, nauczać ponad ośmiotysięczną grupę dzieci i młodzieży (w 1960 r. na katechezę uczęszczało 7200 dzieci i 1200 młodzieży ze szkół ponadpodstawowych; w 1964 r. liczby te wzrosły do 8500 dzieci i 1500 młodzieży). Tak wspomina te wydarzenia o. Norbert Paciora: *Dzisiaj opisuje się jubileusze wielu szkół. Przeważnie tych pięćdziesięcioletnich. Ale mało kto wie, że w latach 1959-1990 (kiedy nie było religii w szkole), w czasie najwyższego wyżu populacyjnego w Nowej Hucie istniał kombinat formacji religijnej w klasztorze cystersów w Mogile. W tym czasie siedmiu mnichów i trzy siostry katechetki (józefitki) musieli znaleźć sposób, który pozwoliłby organizować spotkania z dziećmi i młodzieżą. A do naszej mogilskiej parafii tygodniowo na katechezę przychodziło wtedy 9 tysięcy 600 dzieci i młodzieży. A działo się to wszystko w prastarych murach opactwa, które czekały 700 lat na młodzież.*

Praca duszpasterska prowadzona przez mogilskich Cystersów opierała się również na pomocy ze strony osób świeckich. Tak było w przypadku pomocy duszpasterskiej w szpitalach znajdujących się na terenie Nowej Huty. W aktach krakowskiego IPN znajduje się notatka służbowa, która obrazuje ową współpracę. Dotyczy ona pielęgniarki, Teresy Krupy, która przed każdą operacją stwarzała pacjentowi możliwość do skorzystania z posługi sakramentalnej: *Z chwilą wyrażenia zgody przez chorego porozumiewała się z księdzem z Mogiły, który w niedługim czasie zjawia się, bez względu na porę dnia czy nocy, aby wyspowiadać osobę, do której był proszony.*

Już w 1954 r. na temat działalności mogilskich Cystersów pojawiały się „pochlebne" opinie umieszczane w notatkach informacyjnych krakowskiej bezpieki: *Placówka ta* (opactwo w Mogile – dop. aut.) *przejawia aktywną działalność duszpasterską w Nowej Hucie*. W sprawozdaniach sporządzanych przez funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa przedstawione są ciekawe incydenty z udziałem mogilskich Cystersów. Zakonnicy z początkiem lat 60. prowadzili duszpasterstwo na różnych płaszczyznach. Organizowali rekolekcje, misje i pielgrzymki. W jednym ze sprawozdań donoszono, że w roku 1964 cystersi, występując po cywilnemu, wynajęli trzy autokary z rzekomą wycieczką celem zwiedzenia Huty Częstochowa, a tak naprawdę była to pielgrzymka na Jasną Górę.

Z inicjatywy o. Jacka Stożka w 1966 r. zainaugurowało swoją działalność Duszpasterstwo Akademickie. Jego początek poprzedziła akcja prowadzona przez mogilskich Cystersów, którzy podczas wizyty duszpasterskiej (tzw. kolędy) rozprowadzali wśród studentów ulotki informujące o powstającym duszpasterstwie. Młodzież spotykała się w każdą niedzielę o godz. 11.00, najpierw na spotkaniu dyskusyjnym, a po jego zakończeniu (o godz. 12.00) na mszy św. w kościele pw. św. Bartłomieja Apostoła.

Z powodu żywego zaangażowania duszpasterskiego i gospodarczego mogilskich Cystersów władze podejmowały różne przedsięwzięcia, m.in. prowadzono śledztwo o zakup skradzionych taboretów, kierowano wnioski przeciw zakonnikom do Kolegium Karno-Administracyjnego oraz nakładano grzywny. W celu sparaliżowania działalności niektórych spośród zakonników opracowywane były plany operacyjnych środków, jakie należy przedsięwziąć. Inwigilacji poddano m.in. o. Jacka Stożka i o. Michała (Ryszarda) Motaka. Już na początku lat 50. przysłowiową „solą w oku" stał się dla

6. Tekst pierwotnie ukazał się w „Mogilskim Krzyżu", gazecie parafii św. Bartłomieja Apostoła, nr 9 (132)/2010, s. 12-13, 10 (133)/2010, s. 12-13, 1 (134)/2011, s. 12-13.

władz komunistycznych doroczny odpust mogilski: *Szczególnie obecnie w związku z budową N. Huty na tym terenie jest ta tradycyjna impreza niepożądana. W ubiegłym roku ograniczenie ram tego odpustu uzyskaliśmy, z braku innych możliwości – środkami administracyjnymi – oczywiście bez bezpośredniej ingerencji w sprawy religijne tej uroczystości.* Owe środki administracyjne, którymi posługiwały się władze, polegały m.in. na braku pisemnej zgody na zorganizowanie pielgrzymki z Krakowa do mogilskiego sanktuarium. Stało się tak na przykład w roku 1951. Wówczas Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Krakowie nie wydało zgody na organizację pielgrzymki z kościoła św. Floriana do Mogiły.

W takiej sytuacji mogilscy Cystersi podjęli decyzję, aby coroczny odpust był celebrowany między innymi przez nowohuckie parafie. O. Jacek Stożek już w roku 1964 ustalił szczegółowy harmonogram, wedle którego msze św. popołudniowe podczas oktawy odpustowej mieli sprawować nowohuccy kapłani wraz z parafiami: Bieńczyce, Czyżyny oraz Pleszów. Takie rozłożenie napływu wiernych na całą oktawę spowodowało ożywienie kultu Ukrzyżowanego wśród przybywających do Nowej Huty mieszkańców.

W połowie lat 60. w Mogile trwały przygotowania do uroczystości 700-lecia konsekracji kościoła Cystersów. Sprawa ta była przedmiotem rozmów przeprowadzonych 26 sierpnia 1964 r. w Wydziale ds. Wyznań przez Leona Króla z o. Jackiem Stożkiem – przeorem klasztoru w Mogile. Ze sporządzonej przez Króla notatki wynika, że uroczystości będą miały charakter „czysto wewnętrzny kościelny" i będą trwać od 4 do 6 września. Dalej wspomina również o odpuście w dniach od 14 do 21 września, na który *przychodzi tradycyjnie dużo ludzi z sąsiednich parafii powiatu krakowskiego, [a] niektóre parafie idą w sposób zorganizowany ze sztandarami i feretronami.* Najciekawszy pozostaje ostatni dopisek: *zorganizować imprezy masowe dla młodzieży i społeczeństwa nowohuckiego celem odciągnięcia od tych uroczystości.* Powyższe fragmenty jasno pokazują, w jaki sposób działał aparat władzy w celu zmniejszenia liczebności wiernych w różnego rodzaju uroczystościach, nie tylko rocznicowych, ale i tych tradycyjnych, jak doroczny odpust mogilski. O dużym udziale wiernych w tradycyjnym odpuście mogilskim wspominają raporty Urzędu Bezpieczeństwa: *Ogólna obserwacja działalności Cystersów na terenie Nowej Huty wskazuje, że promowana przez nich działalność idzie w kierunku fanatyzowania tamtejszej ludności. Przybiera on na sile, a rezultat [jest] taki, że frekwencja mieszkańców w nabożeństwach niedzielnych poważnie wzrosła. Potwierdza to również udział w dorocznym odpuście, który miał większe rozmiary niż w latach ubiegłych.*

Funkcjonariusze UB śledzili każdą działalność duszpasterską cystersów. 30 kwietnia 1967 r. o godz. 16.30 odbyło się w Mogile nabożeństwo z poświęceniem prywatnych samochodów i motocykli. Informacje o tym wydarzeniu zgromadzili funkcjonariusze bezpieki. W jednej z notatek opisujących tamto wydarzenie dowiadujemy się, że w trakcie poświęcenia zakonnicy rozdawali kierowcom pamiątkowe medale. Samochodów było około 100, osób ponad 2000. W celu ustalenia danych osobowych osób biorących udział w nabożeństwie funkcjonariusze spisali numery rejestracyjne pojazdów...

ks. infułat KAZIMIERZ SUDER – Wspomnienia[7]



Ks. Kazimierz Suder z Janem Pawłem II w Zakopanem w domu „Księżówka", fot. ks. Stefan Misiniec

Urodziłem się w Mogile 23 lipca 1922 r. jako syn Jana Sudera i Anieli Pietrasz Suderowej. W tym czasie mój ojciec otrzymał posadę organisty przy kościele parafialnym pw. św. Bartłomieja. Ojcowie cystersi użyczyli dla organisty dwa pomieszczenia w budynku dla służby folwarcznej i do użytkowania 1 hektar ziemi uprawnej. W 1929 r. zmarła moja matka, pozostawiając trójkę małych dzieci. Ojciec, chcąc zapewnić opiekę nad osieroconymi dziećmi, ożenił się wkrótce z córką mogilskiego gospodarza, Małgorzatą Sawicką. Z tego małżeństwa urodziło się jeszcze czworo dzieci. Druga żona naszego ojca była dobrą, serdeczną matką dla nas wszystkich. Dochody ojca jako organisty były niewielkie. Dlatego prowadzone gospodarstwo rolne na oddanej do naszej dyspozycji ziemi było główną podstawą bytu naszej licznej rodziny. Dziećmi zajmowała się głównie nasza dobra matka, bardzo dbając o ich wychowanie z przestrzeganiem zasad religijnych. W naszym domu, podobnie jak w innych domach w Mogile, wychodzące do szkoły czy do kościoła dzieci całowały matkę i ojca w rękę i mówiły „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus".

Do szkoły powszechnej chodziłem początkowo jeszcze w starym budynku; potem została wybudowana już nowa szkoła. W III klasie przystąpiłem do pierwszej spowiedzi i Komunii Św. Uroczystość ta odbyła się w dzień powszedni o godzinie 7 rano. Przez następne lata byłem ministrantem, lubiłem służyć do mszy świętej. Jeszcze w szkole powszechnej ojciec uczył mnie grać na fisharmonii, a potem na organach – co okazało się bardzo użyteczne. Po wybudowaniu kościoła w Czyżynach jeździłem tam jako organista, bo na zmianę z ojcem pełniliśmy funkcję organisty w Mogile i Czyżynach aż do jesieni 1940 r. Kończąc VI klasę szkoły powszechnej wyznałem rodzicom, że pragnę zostać kapłanem i proszę o posłanie mnie do gimnazjum w Krakowie. Rodzice, po długim zastanawianiu się, wyrazili w końcu zgodę, ale pod warunkiem, że nie będę powtarzał żadnej klasy. Ojciec powiedział, że gdyby się tak zdarzyło, to wypiszą mnie ze szkoły i poślą do pracy fizycznej.

Po szczęśliwie zdanym egzaminie zostałem zapisany od września 1934 r. do I klasy IX Gimnazjum i Liceum im. Hoene-Wrońskiego przy ul. Piotra Michałowskiego. Byłem raczej przeciętnym uczniem, ale pamiętając o przestrodze ojca, starałem się, aby bez większych kłopotów przechodzić do następnej klasy. Moja druga matka, aby zdobyć pieniądze na zapłacenie czesnego, podjęła pracę przy sprzątaniu w prywatnej szkole w Krakowie, na Groblach. W zimie pomagałem tam matce wynosić po 40 wiader węgla z piwnicy na I i II piętro. Do szkoły w Krakowie dojeżdżałem „mogilską ciuchcią" do Czyżyn, tam przesiadając się do pociągu z Kocmyrzowa. Dwa razy w tygodniu, kiedy dłużej byłem w szkole, musiałem z Czyżyn wracać pieszo, bo pociąg do Mogiły jeździł tylko dwa razy dziennie. W okresie wakacji razem z rodzicami pracowałem w gospodarstwie, bo ono było podstawą naszego rodzinnego bytu.

Po ukończeniu IV klasy gimnazjum typu ogólnokształcącego, w 1938 r., myśląc już o wstąpieniu do Seminarium Duchownego, zapisałem się do II Liceum Klasycznego (z łaciną i greką) im. św. Jacka przy ul. Siennej. W tym liceum katechetą był niezwykle wykształcony ks. prof. dr hab. Franciszek Madeja, wielki przyjaciel młodzieży, który po każdej konferencji podchodził do mających trudności uczniów, upominając ich, żeby się solidnie zabrali do nauki, „bo musiał o nich toczyć batalię". Po ukończeniu I klasy licealnej wraz z kolegami z innych liceów wyjechaliśmy specjalnym pociągiem do obozu wojskowego koło Starego Sącza na trzytygodniowe ćwiczenia przysposobienia wojskowego. Po powrocie już był czas niespokojny i nadszedł tragiczny dzień 1 września 1939 r. Z końcem września dowiedziałem się, że profesorowie szkół średnich otworzyli gimnazjum i liceum im. Hoene-Wrońskiego w budynku przy ul. Michałowskiego (miejsce to wybrano na uboczu, żeby nie rzucało się w oczy okupantowi). Rozpocząłem naukę w II klasie liceum; zajęcia odbywały się normalnie do 6 listopada. W tym dniu przyszedł do klasy dyrektor Goetel i oświadczył nam, że nauka zostaje zawieszona aż do odwołania. Nakazał nam pojedynczo wracać do domu. Jak się później okazało był to ten straszny dzień aresztowania przez Gestapo profesorów, podstępnie zgromadzonych na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Wraz z kolegą z klasy, Stanisławem Zacharą, zwróciliśmy się do naszego profesora z Liceum im. św. Jacka, Teodora Birczyńskiego, prosząc go o pomoc w ukończeniu drugiej klasy licealnej i zdaniu matury. Dzięki wielkiej życzliwości profesorów, uczęszczając na spotkania w ich prywatnych mieszkaniach, mogliśmy zdać maturę w maju 1940 r. Prof. Teodor Birczyński oświadczył nam, że świadectwo otrzymamy po zakończeniu wojny. I tak już mi się wydawało, że jestem o krok od mojego wymarzonego Seminarium Duchownego, tylko że we wrześniu 1939 r. wszystko się zmieniło. Niemcy zarekwirowali budynek seminaryjny przy ul. Podzamcze 8 dla oddziałów SS, które miały zapewnić bezpieczeństwo generalnemu gubernatorowi Hansowi Frankowi, mającemu swoją rezydencję na Wawelu. Część wysiedlonych kleryków umieszczono wtedy w Domu Katolickim (obecnie gmach Filharmonii Krakowskiej), pozostali, wraz z przełożonymi Seminarium, zamieszkali w Pałacu Arcybiskupim. Wykłady odbywały się w pomieszczeniach kurii metropolitarnej, a kaplicą seminaryjną stała się kaplica księcia metropolity Adama Stefana Sapiehy. Z końcem maja 1940 r. wyznałem ks. Józefowi Zastawniakowi, że pragnę zostać kapłanem. On uścisnął mnie serdecznie i polecił napisać prośbę, do której dołączyliśmy wymagane dokumenty i udaliśmy się do ks. rektora Jana Piwowarczyka na ul. Franciszkańską 3, gdzie zostałem przyjęty życzliwie, uzyskując wkrótce zaświadczenie dwujęzyczne, że jestem alumnem Krakowskiego Seminarium Duchownego.

Wkrótce, bo już we wrześniu, otrzymałem od ks. rektora zawiadomienie o odroczeniu zjazdu na pierwszy rok. W sierpniu 1941 r. nadeszła już oficjalna odpowiedź negatywna, że nie będzie pierwszego roku studiów teologicznych. Gubernator Frank zakazał przyjmowania nowych kandydatów do seminarium; pozwolił jedynie

7. Na podstawie oryginalnego tekstu wspomnienia opracowała dr Barbara Salwińska-Ciećkiewicz

ukończyć studia alumnom od II do V roku. Stanąłem na rozdrożu. Pełen niepokoju modliłem się: „Boże wskaż mi drogę mojego życia" i z ufnością cierpliwie czekałem. Pod koniec września 1941 r. przybył do mnie do domu w Mogile kleryk z listem od księdza rektora, wzywającym do stawienia się u niego w ważnej sprawie. Na początku rozmowy ks. rektor zobowiązał mnie do całkowitej tajemnicy na temat tego, o czym będzie mówił. Oświadczył, że książę metropolita postanowił nie czekać na łaskę władz niemieckich, ale uruchamia tajne studium teologii. Ja zostaję skierowany do ks. prepozyta Stanisława Czartoryskiego w Makowie Podhalańskim. Tam dostanę mieszkanie, utrzymanie i będę pracował w kancelarii parafialnej, a po pracy mam prowadzić życie według regulaminu seminaryjnego, uzgodnionego z ks. prepozytem. W sprawie życia wewnętrznego odesłał mnie do ks. Józefa Roztworowskiego – ojca duchownego, a następnie o studiach rozmawiałem z ks. prefektem Kazimierzem Kłósowskim. Od tych księży dostałem odpowiednie książki i skrypty oraz nazwiska księży profesorów, u których powinienem składać egzaminy. Na pożegnanie ksiądz rektor wręczył mi list polecający do ks. prepozyta Czartoryskiego, z którym pojechałem do Makowa Podhalańskiego. Tam ks. prepozyt nakreślił mi ramowy program życia kleryckiego z uwzględnieniem moich obowiązków w kancelarii parafialnej. Po przygotowaniu się z każdego wyznaczonego przedmiotu jechałem pociągiem do Krakowa aby zdawać egzamin.

W ciągu 3 lat pobytu w Makowie Podhalańskim udało mi się ukończyć I i II rok filozofii i teologii katolickiej. W tym czasie uczestniczyłem też w grupie w trzydniowych rekolekcjach w Pałacu Arcybiskupim. Dzięki interwencji burmistrza Makowa udało mi się uniknąć wcielenia do Baudienstu, natomiast w maju 1944 r. musiałem pracować przy kopaniu rowów przeciwczołgowych. Pracę tę z początkiem sierpnia 1944 r. przerwało telefoniczne wezwanie mnie przez księcia metropolitę do natychmiastowego przyjazdu do Krakowa na ul. Franciszkańską 3. Spędzony w Makowie czas, gdzie spotkałem wielu wybitnych duchownych, ściąganych tam przez ks. prefekta, jak i zwykłych, miejscowych ludzi, był dla mnie dużym doświadczeniem i ubogaceniem mojego życia duchowego. Tak więc wewnętrznie pogłębiony jechałem do Krakowa, by dalej kontynuować przygotowanie do życia kapłańskiego. Dla bezpieczeństwa wysiadłem na stacji w Bonarce i jadąc tramwajem ul. Starowiślną wpadłem w łapankę. Zgromadzono nas w jedno miejsce, pomyślałem koniec ze mną i westchnąłem „Chryste ratuj!" Urzędnik niemiecki po przejrzeniu moich dokumentów zakrzyknął do mnie krótko: „Raus!" Dziękując Bogu za ocalenie z trudnością dotarłem na ul. Franciszkańską 3. W pałacu zastałem siedmiu innych kolegów z naszego roku, nieznanych mi dotąd, a wśród nich Karola Wojtyłę, którego wtedy zobaczyłem po raz pierwszy. Wszystkich nas umieszczono tam na I i II piętrze oficyny. Na drugi dzień otrzymaliśmy sutanny, ofiarowane dla nas przez księży krakowskich. Ja otrzymałem sutannę ofiarowaną przez ks. Jana Pietraszkę. Mieliśmy ustalony porządek dnia od godziny 5.30. Mszę św. o godzinie 7 odprawiał z nami książę metropolita Sapieha, potem były wykłady i różne zajęcia. Ze względu na bezpieczeństwo spacery mogliśmy odbywać tylko wewnątrz dziedzińca, bez możliwości wychodzenia na ulicę.

1 grudnia 1944 r. zmarł mój ojciec i książę metropolita pozwolił mi wziąć udział w pogrzebie w Mogile, dokąd udałem się w sutannie. Po oddaniu listu ks. kanonikowi Józefowi Zastawniakowi, zgodnie z zaleceniem, zaraz wróciłem na ul. Franciszkańską. Przeżyliśmy tam noc z 17 na 18 stycznia 1945 r. Rankiem ulice już były puste, wolne od okupanta. Po południu pojawili się żołnierze radzieccy. Za oknami był silny mróz. Wieczorem 18 stycznia, w czasie nabożeństwa w kaplicy nastąpił potężny huk, detonacja spowodowała straszliwy podmuch powietrza i w pałacu wyleciały wszystkie szyby, a w kaplicy witraże. Książę metropolita wstał z klęczek i spokojnie powiedział – *Proszę schować Najświętszy Sakrament*. Później dowiedzieliśmy się, że to wysadzono most Dębnicki.

Do księcia metropolity przychodziły z wizytą różne osoby: profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego, przedstawiciele społeczeństwa krakowskiego, a także wojskowi. Między innymi, w otoczeniu wyższych oficerów sowieckich, przybył marszałek Koniew, a w innym dniu generał Rola-Żymierski. Zaraz po wyzwoleniu zaczęliśmy się interesować gmachem seminarium przy ul. Podzamcze 8, który pospiesznie opuściły oddziały SS. Budynek zastaliśmy zupełnie zdewastowany. Wojsko usunęło z niego sprzęt wojenny, a resztę prac porządkowych wykonywaliśmy w wolnym czasie. Równocześnie odbywały się wykłady, przygotowywanie się do egzaminów z dogmatyki, teologii moralnej, liturgiki – na których był obecny książę metropolita. Po zakończeniu prac remontowych nowy rok akademicki 1945/1946 rozpoczęliśmy już w budynku seminarium na ul. Podzamcze 8, z równoczesnym przybyciem na I rok kilkunastu nowych kleryków, a wśród nich późniejszych kardynałów Franciszka Macharskiego i Andrzeja Deskura. Organizowało się życie na Uniwersytecie. Na prośbę prof. Stanisława Pigonia wiceprezesem „Bratniaka" został Karol Wojtyła.

18 lutego 1946 r. papież Pius XII powołał do kolegium kardynalskiego 32 nowych kardynałów, a wśród nich naszego księcia metropolitę Adama Stefana Sapiehę, który z rąk papieża 22 lutego otrzymał biret kardynalski. Jego powrót do Krakowa to była wielka radosna manifestacja z odśpiewaniem „Te Deum" w kościele Mariackim. Od ulicy Grodzkiej do pałacu studenci nieśli na rękach kardynała w jego samochodzie. Na

czwartym roku otrzymaliśmy w kaplicy seminaryjnej dwa pierwsze niższe święcenia. Duże znaczenie dla nas miał przykład nie tylko naszych przełożonych, ale również naszych kolegów, wśród których niedoścignionym wzorem był Karol Wojtyła: w realizowaniu życia z Bogiem, kultury osobistej i w poważnym traktowaniu obowiązków kleryckich. Karol Wojtyła uzyskał wcześniej święcenia kapłańskie ze względu na skierowanie go na studia doktoranckie do Rzymu. My, pozostali trzej klerycy z V roku, otrzymaliśmy święcenia kapłańskie w Wielką Sobotę 5 kwietnia 1947 r., a 6 kwietnia odprawiłem mszę świętą prymicyjną w katedrze na Wawelu, przed konfesją św. Stanisława biskupa i męczennika. W kolejnych dniach odprawiałem msze święte prymicyjne: w kościele parafialnym pw. św. Bartłomieja w Mogile, w klasztorze Cystersów, w kościele św. Judy Tadeusza w Czyżynach, dla kolegów z liceum w kościele Dominikanów i w kościele parafialnym w Makowie Podhalańskim.

Po świętach Wielkanocy do końca czerwca uczęszczaliśmy na wykłady w Uniwersytecie i po złożeniu ostatnich egzaminów otrzymaliśmy absolutorium i pożegnaliśmy się z kolegami i przełożonymi. Jeszcze raz przeczytałem napis na wewnętrznej ścianie absydy w kaplicy seminaryjnej: „Nie wyście mnie wybrali, ale Ja was wybrałem i przeznaczyłem was na to, abyście szli i owoc przynieśli i by owoc wasz trwał" (J 15,16). Z tymi słowami wyruszyłem do pracy na parafie do rożnych miejscowości, między innymi do Łapanowa, Żywca, Chrzanowa. Od 1972 r. byłem w parafii św. Anny w Krakowie. W trudnych czasach stanu wojennego i tam, po uzgodnieniu z ks. biskupem Janem Pietraszką i prof. Zbigniewem Chłapem z Akademii Medycznej, zorganizowano w pomieszczeniach parafii lekarski punkt konsultacyjny dla osób represjonowanych i chorych. Był on obsługiwany przez pracowników i studentów Akademii Medycznej. W późniejszym okresie przychodzenia darów zorganizowany był tam też punkt wydawania leków i odżywek dla dzieci. I tak minęły lata do roku 1987, kiedy to z woli Ojca Świętego Jana Pawła II zostałem skierowany, jako proboszcz, do jego rodzinnej parafii w Wadowicach, gdzie dotrwałem do swojego wieku emerytalnego. Potem znowu wróciłem do Krakowa, gdzie jako spowiednik, rezydent przy parafii Mariackiej, staram się zgodnie z Wolą Bożą wykonywać swoją posługę kapłańską.

dr BARBARA SALWIŃSKA-CIEĆKIEWICZ – Komentarz do wspomnień księdza infułata Kazimierza Sudera

Pamiętam dobrze z mojego dzieciństwa tę kwietniowa niedzielę 1947 r., ładny pogodny dzień, w którym ksiądz Kazimierz Suder przyjechał z Mogiły do kościoła św. Judy Tadeusza w Czyżynach, by tu odprawić prymicyjną mszę świętą. Tłumnie przybyli na nią parafianie z Czyżyn ciesząc się, że syn ich lubianego i szanowanego organisty Jana Sudera odprawi ją dla nich. Ksiądz Kazimierz w otoczeniu ubranych po krakowsku dziewcząt, niosących długi wieniec z jedliny, wprowadzony został pod wejście do kościoła, gdzie w imieniu mieszkańców powitał go nasz ojciec, Józef Salwiński. Po odprawionej uroczystej prymicyjnej mszy św. w kościele, którego patron jest opiekunem od rzeczy trudnych, ksiądz kanonik Józef Zastawniak oddał go w jego opiekę i przekazał prymicjantowi od nas wszystkich serdeczne życzenia na jego nową drogę życia.

Po latach spotkałam księdza Sudera w parafii św. Anny w Krakowie, kiedy to w roku 1982 zgłosiłam się po odbiór leków z „darów" przeznaczonych dla Kliniki Chorób Zawodowych przy Kombinacie. Ksiądz nie tylko wydał mi przeznaczone dla naszych pacjentów leki, ale i pomógł mi je załadować do samochodu. Wtedy to podszedł do nas jakiś potrzebujący, widzący księdza przy „darach", prosząc go o wsparcie. Kiedy ksiądz dał mu paczkę z makaronem, którą miał pod ręką, to usłyszał od niego „a to konserwy ksiądz nie ma?" Widocznie wcześniej dostawał coś, co lepiej mu odpowiadało.

Tak dowiedziałam się o działalności księdza, który od 1972 r. był w parafii św. Anny, gdzie pracował razem z księdzem biskupem Janem Pietraszką. Tam też w okresie stanu wojennego napotkało go niecodzienne zadanie. W tym wszystkim dobrze znanym i bardzo trudnym okresie, w wyniku porozumienia ks. bp. Jana Pietraszko z prof. Zbigniewem Chłapem z Akademii Medycznej, w kolegiacie św. Anny został powołany lekarski punkt konsultacyjny dla osób chorych i represjonowanych, obsługiwany przez związanych z „Solidarnością" pracowników Akademii Medycznej i studentów z NZS. Obowiązek zorganizowania zaplecza dla tej działalności przypadł księdzu Kazimierzowi Suderowi. Lekarze Akademii Medycznej, w wyznaczonych godzinach, od 28 grudnia 1981 r. nieodpłatnie udzielali tam porad, a kiedy było trzeba kierowali do szpitali. Już od stycznia 1982 r. zgłaszały się o wsparcie rodziny internowanych, a także zwalniani z aresztu. Od stycznia też zaczęły przychodzić z Zachodu „dary", co stworzyło nowy problem. Poza przyjmowaniem pacjentów zorganizowano wydawanie leków na recepty i przychodzących w dość dużej ilości odżywek dla dzieci. Zgodnie z opinią pracujących w tym zespole, bez księdza Kazi-

mierza Sudera, zawsze gotowego do pomocy, udostępniającego nie tylko piwnice i pomieszczenia parafii ale i swoje mieszkanie, trudno sobie wyobrazić tę działalność. Pracujących często troskliwie wspierał, poił kawą, nierzadko dożywiał. W trakcie dyżuru przewijało się około 300 osób, wśród których załatwiano też tych, którzy „nie powinni być widziani"; pod tym „parasolem ochronnym" odbywali tam też spotkania działacze podziemnej „Solidarności". Nad tym wszystkim czuwał zawsze cichy, a obecny ksiądz Kazimierz Suder. Nocował także i opiekował się zacnymi osobami, które o różnych porach dnia i nocy dostarczały ciężarówkami transporty z Niemiec. Organizował szybkie ich rozładowywanie i magazynowanie.

Po odejściu księdza biskupa Jana Pietraszki na emeryturę, a księdza Kazimierza Sudera na parafię do Wadowic, działalność zespołu przy parafii św. Anny została w 1984 r. zakończona. Ze względu na wciąż aktualną jego potrzebę, zespół nadal kontynuował swoją pracę, ale już włączając się w działalność przy kościele w Mistrzejowicach, prowadzoną pod opieką kapelana „Solidarności", księdza Kazimierza Jancarza.

WALDEMAR CYGANIK – Rodzinny dom (epilog)

W połowie listopada 2007 r. na spotkaniu w EC Łęg my, mieszkańcy dawnej wsi Mogiła, dowiedzieliśmy się, że kształt oraz przebieg trasy S7, a także dróg dojazdowych do węzła został zatwierdzony i przyjęty do realizacji. Pokazano nam dokładne mapy naszych posesji i naniesione na nie nowe inwestycje. Ponieważ protestowaliśmy, że nie było w tej sprawie żadnych rozmów oraz konsultacji z mieszkańcami, więc jeszcze w tym samym roku, bodajże 13 grudnia, zorganizowane zostało spotkanie w siedzibie rady dzielnicy, na które przybyli zainteresowani mieszkańcy oraz przedstawiciele inwestora, czyli GDDKiA. Żeby załagodzić sytuację przedstawicielki inwestora zaczęły roztaczać przed nami wizję raju, do którego wkrótce zostaniemy przeniesieni. Takich spotkań odbyło się kilka, a ostatnie latem 2009 r., kiedy to po wycenach nieruchomości, na prośbę mieszkańców, poproszono władze dzielnicy o pilną interwencję.

Przybyłe na to spotkanie te same przedstawicielki inwestora wyparły się publicznie swoich wcześniejszych obietnic, wmawiając jednocześnie całej grupie zainteresowanych osób problemy z pamięcią. Co więcej, dowiedzieliśmy się, że inwestor nie ma wpływu na wyceny, ponieważ wyceniają rzeczoznawcy. Jak się później okazało, jedni i drudzy pracowali nad sprawą i ustaleniami wspólnie. List ówczesnego wojewody do zebranych zawierał informację, że rzeczoznawcy pracujący przy wycenach to najlepsi fachowcy i w związku z tym obecność przedstawicieli wojewody (jako organu przeprowadzającego wywłaszczenia) na rzeczonym spotkaniu jest zbędna.



Waldemar Cyganik przed swoim domem w Mogile – 5 października 2011 r.



Rozbiórka domu Waldemara Cyganika, Mogiła, 31 maja 2012 r.

Nieco wcześniej, bo jesienią 2008 r. otrzymaliśmy z urzędu wojewódzkiego pisemne decyzje, że nasze nieruchomości przeszły na własność skarbu państwa. Natomiast latem 2009 r. odbywały się wyceny nie naszych już nieruchomości oraz rozprawy administracyjne. W moim przypadku pan rzeczoznawca przedstawiał się prawie jak dobroczyńca, który pozwoli mi na wyprowadzkę z beznadziejnej okolicy. Nic więc dziwnego, że w operacie szacunkowym oprócz wielu błędów znalazła się też informacja, że działka jest na terenie zalewowym, mimo tego, że była to posesja położona najwyżej w okolicy – 18 metrów powyżej poziomu Wisły w Mogile. Dodatkowo, rzeczoznawca podzielił w sposób wirtualny działkę pionowo, na dwie części i każdą z nich wycenił inną metodą. Jest to podstawowy błąd, na który zwracałem uwagę pisemnie do urzędu prowadzącego postępowanie. Nie dawało to żadnego efektu. Być może nikt tych pism wówczas nie czytał lub nie chciał czytać, ponieważ petent mający przeciwko sobie urzędników uzbrojonych w specustawę drogową jest pozbawiony praw do obrony. Ponadto inwestor wynajmujący nam już nie nasze nieruchomości dostarczył aneks umowy użyczenia ważny tylko do wiosny 2010 r.

W roku 2003 uzyskałem wszystkie stosowne zezwolenia, począwszy od Wydziału Architektury a na konserwatorze zabytków kończąc, na budowę piętrowego budynku usługowego o kubaturze ponad 500 m^3. Rozpocząłem budowę i wszelkie jej etapy zgłaszałem do urzędu. Wykonałem także mapy powykonawcze, które zostały złożone w Wydziale Geodezji UMK. Moja konsternacja na spotkaniu w EC Łęg jesienią 2007 r. była ogromna, ponieważ pierwszy raz zobaczyłem, że przez moją działkę przechodzą dwie jezdnie dojazdowe do węzła S7. Jedna jezdnia przez stary dom, druga przez nowy budynek usługowy. Dlatego też zwróciłem się do władz Krakowa z prośbą o wyjaśnienie sytuacji, w której ktoś zaprojektował drogę przez budynek wybudowany na podstawie prawomocnych zezwoleń co dopiero wydanych. Spotkanie odbyło się w kwietniu 2008 r. w gabinecie jednego z wiceprezydentów Krakowa. Zebrani przedstawiciele Wydziału Architektury UMK oraz GDDKiA nie doszli do porozumienia co do wskazania winnego popełnionego błędu. Dowiedziałem się też, że tzw. korytarz drogi miał przebiegać około 100 metrów na wschód, lecz na szczeblu centralnym podjęto taką decyzję. Konkluzja spotkania była następująca: wszystkim jest ogromnie przykro, że będą burzyć coś, co dopiero wybudowałem. Nie dowiedziałem się, dlaczego nie wstrzymano na czas budowy, narażając mnie na koszty, których, jak pokazało życie, nikt nie zwrócił.

Wiosną 2010 r. okazało się, że informacja o rychłym rozpoczęciu inwestycji była zabiegiem psychologicznym i mogliśmy mieszkać nadal w nie swoich domach. Wysłałem także do ministerstwa operat szacunkowy, na podstawie którego szacowano moją nieruchomość. Po jakimś czasie dostałem informację, że wobec rzeczoznawcy wszczęto postępowanie wyjaśniające.

W lutym 2011 r. odszedł na zawsze mój Ojciec – Antoni Cyganik, a w dwa miesiące po nim jego druga żona, Maria. Chwała Bogu, że do ostatnich chwil życia mogli być razem w miejscu im znanym. Moja biologiczna Mama zmarła gdy miałem niespełna siedem lat. Kolejne miesiące przyniosły próby zainteresowania konserwatora moim prawie stuletnim domem oraz znajdującym się w nim warsztatem stolarskim. Jednak mimo interwencji wielu osób, służby konserwatorskie nie były zainteresowane pozyskaniem budynku do skansenu, tylko Muzeum Etnograficzne wyraziło chęć pozyskania starych narzędzi z początku XX w. Ale nie skorzystałem z tej propozycji.

W maju 2012 r. nastąpiło wyburzanie posesji zabranych pod inwestycję. Ponieważ dokonująca ich firma urządziła sobie bazę na mojej byłej nieruchomości, więc mogłem być świadkiem kolejnych wyburzeń. Aż przyszedł 29 maja 2012 r. kiedy wyburzono dopiero co wybudowany przeze mnie budynek usługowy, natomiast dwa dni później widziałem koniec naszego domu rodzinnego i usłyszałem jęk upadających ścian.

W 2013 r., po odwołaniach rzeczoznawcy, zakończono w ministerstwie postępowanie dyscyplinarne, na skutek którego autor operatu z 2009 r. został czasowo pozbawiony uprawnień do wykonywania zawodu. W urzędzie wznowiono postępowanie o ustalenie odszkodowania. Nowa wycena, robiona już tylko wirtualnie, opierała się na pomiarach z 2009 r. i została wykonana prawidłowymi metodami, bez pionowego dzielenia działki. Jednak nie wiadomo dlaczego pojawił się w niej nowy element znacznego, bo 20-procentowego zużycia nowego budynku, tak jakby miał on około 30 lat, a przecież był zupełnie nowy. Sprawa wyszła dla mnie na „lekki plus", lecz nie na tyle, aby uchylić wcześniejsze decyzje, więc trafiła do ministerstwa, gdzie leżała dość długo, bo referenci zajęci byli wówczas zmianami personalnymi w resorcie, a nie moją kwestią. W końcu sprawa trafia do WSA w Warszawie. Sąd w składzie trzyosobowym uchylił wcześniejsze decyzje ministerstwa oraz urzędu wojewódzkiego. W uzasadnieniu wyroku na 12 stronach możemy przeczytać także o ignorowaniu petenta i dostarczanych do urzędu dokumentów. Sprawa wróciła do punktu wyjścia i na początku nic nie wskazywało, że cokolwiek się zmieni. Po kilku tygodniach nagle odnalazł się w urzędzie dokument z 2009 r., w którym było napisane, że budynek usługowy był w 2009 r. ukończony i jego zużycie było wówczas na poziomie 0%.

Dokument ten leżał w urzędzie nieprzerwanie od 2009 r. Był tam także i w 2013 r. Nowe przeliczenia dały bardzo dużą różnicę i spowodowały, że urząd wydał kolejną decyzję, stwierdzającą, że w 2009 r. popełniono błąd, wydając decyzję z naruszeniem prawa. Niestety, to pozorne zwycięstwo nic mi nie dało, ponieważ sprawa się przedawniła... Panie Cyganik, wygrał Pan!..., ale czas minął... Tak kończy się opowieść o mojej walce z opieszałością i błędnymi decyzjami urzędów.

czerwiec 2019 r.

PS.

Bardzo chciałbym podziękować panu Adamowi Gryczyńskiemu za epizody w filmie „Pamiętnik Leo", gdzie widać mojego Ojca oraz nasz dom, za zamieszczenie materiałów w „Czasie Zatrzymanym 2" oraz za szereg okazjonalnych fotografii i spotkań.

Najwyższy punkt na łuku nowej, przebudowanej ulicy Ptaszyckiego to miejsce, gdzie była moja posesja („teren zalewowy").



Karta pocztowa, pocz. XX w.



Rodzina ks. Leopolda Siemińskiego (1847-1895), proboszcza w Mogile w latach 1878-1895. Ks. Leopold Siemiński siedzi w środku podczas własnych imienin. Te najczęściej obchodzone są 15 listopada, ale Leopold mógł świętować również 30 lipca i najprawdopodobniej wtedy, w latach 90. XIX wieku (!) wykonano to zdjęcie. Ks. Siemiński urodził się 12 września 1847 r. w Krakowie, w parafii św. Anny. Ukończył Gimnazjum św. Anny i otrzymał świadectwo dojrzałości „z celującym postępem" w 1869 r. W swoim życiorysie napisał: „chcąc być wiernym powołaniu, jakie od młodości w sobie czułem, poddałem się Studiom Teologicznym". 4 października 1869 r. wstąpił do Seminarium Diecezjalnego. Studiował na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego.



Wieniec w Mogile. W środku ks. Robert Kuchar, przeor tamtejszego klasztoru oo. Cystersów. 15 czerwca 1927 r.



Wieniec w Mogile: Władek Kimia, Janek Kumik, Mędracka, Szewc, Dobranowska, Karb, Okarmus, brat Jacek, Potocnik, Józef Siemiński, Jesińska, Jędrek Rybka, Walek Węglarz, Skibówna, ? 15.08.1927 r. (oryginalny opis na odwrocie zdjęcia).



Mogiła, schyłek XIX w. Rodzina Kazimierza Tomasza Rogozińskiego (juniora). Kazimierz Rogoziński (senior) urodził się w 1802 r., pochodził z Przegini. Do Mogiły przybył ok. 1820 r. Początkowo pracował tu jako nauczyciel i organista. W 1822 r. ożenił się z Agnieszką Biczówną. Świadkami na ślubie byli: Józef Targowski – posiadacz, dzierżawca młyna przyklasztornego i Franciszek Lisicki – pisarz. Ślubu udzielił ks. Franciszek Gołębiowski (ocist.). Kazimierz i Agnieszka Rogozińscy mieli siedmioro dzieci, z których troje zmarło we wczesnym wieku. Jeden z synów, urodzony 10 lipca 1836 r. miał na imię Kazimierz Tomasz. Agnieszka Rogozińska zmarła w 1840 r. w wieku 42 lat, Kazimierz Rogoziński zmarł w 1862 r. Mieszkali w nieistniejącym już budynku, stojącym na działce, gdzie obecnie stoi willa Rogozińskich. Do jej budowy rodzina Rogozińskich przystąpiła w 1890 r. W 1921 r. jej właścicielami zostali Jan, Ignacy i Katarzyna z Kołodziejczyków Lelitowie, a w 1933 r. Władysław Pobóg-Krasnodębski i Anna Maria Krasnodębska. Lelitowie i Krasnodębscy zmodernizowali i rozbudowali budynek (opis wg informacji z tekstów Krzysztofa Rosołka, zamieszczonych w gazecie parafialnej „Mogilski Krzyż").



Od lewej: J. Ziomek, osoba nierozpoznana (wiadomo, że zginęła w tragicznych okolicznościach), Katarzyna Adamczyk i nieznana z imienia Tyrka. Lata I wojny światowej.



Maria Staszyszynówna (później wyszła za mąż za Jana Nowaka), Mogiła, 1910 r.



Małgorzata Sawicka z domu Podkulek z Mogiły, lata 20.





Kazimierz Makuła z Mogiły, ok. 1910 r.



Nauczyciele ze szkoły ludowej w Mogile, lata 20. Pierwszy z lewej Jan Twaróg, późniejszy wieloletni kierownik szkoły w Pleszowie.



W dniu I Komunii Św. Niestety nie rozpoznano tutaj z imienia ani nazwiska żadnej spośród sportretowanych dziewczynek. Mogiła, pocz. XX w.



Dzieci szkolne z nauczycielką, Mogiła, ok. 1920 r.



Dzieci szkolne z nauczycielem i katechetą, Mogiła, ok. 1920 r.



Dzieci szkolne z nauczycielką i katechetą, w drugim rzędzie czwarty od lewej stoi Tadeusz Staszyszyn, Mogiła, ok. 1920 r.



Salomea Żabińska (1866-1932), właścicielka młyna wodnego podklasztornego w Mogile. Fotografia wykonana w Zakładzie Artystyczno-Fotograficznym M.A. Olmy w Krakowie, ul. Podwale 14, pocz. XX w.



Salomea Żabińska (1866-1932), wówczas wdowa po Karolu Żabińskim (1857-1911), właścicielka młyna wodnego, podklasztornego w Mogile, stoi przed jego bramą między parą swych wnucząt. Po jej prawej stronie stoi Bolesław Moryc (1908-1996), a po lewej – Władysław Moryc (1907-1993). Pierwsza od lewej to Zofia Żabińska (1903-1993) – córka Salomei. Mogiła, ok. 1917 r.



Maria z Żabińskich Morycowa (1886-1963), córka Karola i Salomei Żabińskich, właścicieli młyna wodnego podklasztornego w Mogile, ok. 1915 r.



Władysława Morycówna (1907-1993). Jej matka, Maria z Żabińskich Morycowa była córką właścicieli młyna wodnego podklasztornego w Mogile. Władysława ukończyła seminarium nauczycielskie i w tym zawodzie pracowała do emerytury. W dzieciństwie i na emeryturze mieszkała w Mogile. Jej mąż, Jan Styczeń (1908-1988) też był nauczycielem i kierownikiem szkół podstawowych w powiecie bocheńskim.

Fotografia została wykonana 30 maja 1927 r. w Zakładzie Fotograficznym R. Wiśniewski, Kraków, Karmelicka 15.



Most na Wiśle w Mogile, 1914 r.



Budowa stajni dla koni w folwarku oo. Cystersów, Mogiła, 1928 r.





Mieszkańcy Mogiły, w środku stoi ks. Robert Kuchar, przeor oo. Cystersów, w tle widoczny klasztor i zabudowania folwarczne od strony Wisły, Mogiła, ok. 1930 r.



Kurs sadowniczy Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży, Mogiła lata 20. lub 30.



Żniwa w majątku klasztornym oo. Cystersów, pierwszy z lewej Wojciech Żelichowski, Mogiła, ok. 1938 r.



Wojciech Żelichowski i Katarzyna Żelichowska z domu Wojtaszek, ok. 1938 r.



Stefan Żelichowski, I Komunia Św., Mogiła, 1941 r.



Rodzina Wojciecha Żelichowskiego. Dom przy ul. Odmętowej 16 w Mogile, 1954 r.



Od lewej z przodu: Izabela Dynia-Kusiak, Maria Dynia-Feret, na ręku Jadwiga Skiba, Adam Skiba. Z tyłu: ?, Janina Dynia -Kapińska, Aniela Dynia-Skibowa.
Na odpuście w Mogile, lata 30.



Franciszek Dynia (1863-1942), Mogiła, lata 20.



Krakowskie Towarzystwo Śpiewacze „Echo" w 1925 r. podczas wycieczki do Mogiły. W tle kopiec Wandy zbudowany prawdopodobnie ok. VII – VIII wieku. Wedle legendy jest mogiłą Wandy, córki księcia Kraka, której ciało miano wyłowić z nurtów nieopodal przepływającej Wisły. Wciąż oczekuje na gruntowne zbadanie.



Kopiec Wandy zwieńczony jest marmurowym pomnikiem projektu Jana Matejki, ozdobionym kądzielą skrzyżowaną z mieczem oraz napisem „Wanda".
Z prawej strony stoi się Janina Satała, Mogiła, lata 40.



Siostry Klęczanki, Mogiła, ok. 1932 r.



Rodzina Klęków z Mogiły, 1936 r.
I rząd od lewej: Apolonia, Elżbieta, Jadwiga
II rząd: Józefa, Elżbieta, Józef



Przed domem (i młynem) w Mogile, ok. 1940 r.

Z przodu od lewej: Ela i Iga Klęczanki, z tyłu: Józefa Klęczanka, p. Aleksander, Anna Kubicowa i Elżbieta Klękowa.



Przed domem (i młynem) w Mogile, ok. 1943 r.

Od lewej: Ludwik Kubica, Ela Klęczanka, Maria Kubicówna, ks. Józef Zastawniak, Elżbieta Klękowa, Pola Klęczanka, Ala Kubicówna, Ziuta Klęczanka, Władysław Żak.



Od lewej: Władysław Żak. Elżbieta Klęka, Jadwiga Bieroń, Jadwiga Książyńska, Marek (lub Józef) Żak, Lidia Żak, Mogiła, ogród u pani Bieroń, ok. 1946 r.



Przed domem p. Rudzkich, w głębi dom p. Staszyszynów, Mogiła, ok. 1938 r.

Od lewej: Heniu Wieczorek, Władysław Masier, Stefan Rudzki, Aniela Rudzka, Kazimierz Pitra, Józef Tesarz, Władek Rudzki.



Józef Staszyszyn z Mogiły, 9 marca 1926 r.



Jadwiga Staszyszyn, w tle dom Końskich, Mogiła, lata 40.



Adaś Staszyszyn (syn Józefa i Jadwigi z d. Żuwała), w tle dom p. Końskich, Mogiła, przed 1939 r.



Stanisława Makułowa z d. Broś i Franciszka Rosołek z d. Broś, Mogiła, ok. 1946 r.



Budynek Urzędu Gminy
(dawniej szkoły) w Mogile, 1949 r.



Dorożka p. Szelągów, Mogiła, lata 40.



Stoją od lewej: Jadwiga Staszyszyn (z d. Żuwała, mama Zofii i Adama), Irena Staszyszyn (z d. Kliszczyńska), Tadeusz Staszyszyn, Helena Szewioł (I) Witkowska (II), Zofia Kusiakowa. Fotografia wykonana podczas powrotu z pogrzebu Heleny Staszyszyn na stacji kolejowej w Mogile, 30 maja 1942 r.



Fotografia wykonana w latach 30. XX wieku w Mogile, w miejscu, gdzie obecnie znajduje się most na Wiśle. Pośród kąpiących się jest Zofia Zybura (pierwsza z prawej), a w tle widać parowiec pasażersko-handlowy „Światowid". Został on zbudowany w 1895 r. w Schiffswerft Dresden-Neustadt w Niemczech. Miał wyporność 70 ton i wymiary 37,7 x 4,0 x 7,6 m. Był użytkowany przez kilku właścicieli, a w okresie I wojny światowej został zarekwirowany przez Rosjan a następnie Austriaków. W listopadzie 1918 r. został przekazany Ministerstwu Komunikacji w Warszawie, a w 1922 r. posiadło go Towarzystwo „Żegluga Polska" S.A. w Krakowie.

8 maja 1925 r. poświęcił go na Wiśle abp Adam Sapieha. Rodzicami chrzestnymi byli prezydent Stanisław Wojciechowski i Maria Dąbrowska. Statek kursował na trasie Kraków – Korczyn (rejsy pasażerskie) oraz Oświęcim – Sandomierz (rejsy holownicze). Rozwijał prędkość 18 km/h, miał dwa duże pomieszczenia pasażerskie I klasy na 60 osób i II klasy na 100 osób. W 1935 r. został przebudowany w stoczni Zieleniewskiego w Krakowie. W czasie II wojny światowej przemianowany na „Hans Frank". Później pływał w P.P. „Krakowska Żegluga" na Wiśle. Złomowany w stoczni w Dąbiu w 1963 r.

Czasem takie na pozór banalne zdjęcie może mieć dla pasjonatów, zajmujących się historią techniki, ogromne znaczenie dokumentalne, o czym niejednokrotnie można było się przekonać. Natomiast dla innych posiada ono zapewne wartość poznawczo-estetyczną lub po prostu sentymentalną. Zresztą nie najważniejsza jest tu orientacja wartościująca, lecz to, że dzięki takim pamiątkowym zdjęciom, przechowanym w rodzinnych albumach, można – a najlepiej robić to z udziałem osób pamiętających tamtą minioną rzeczywistość – snuć godzinami różne, ciekawe opowieści. O radosnych latach młodości, meandrach egzystencji, zmienności i przypadkach losu oraz smutku odchodzenia w ludzką niepamięć...



Mieszkańcy Mogiły w rejsie do Niepołomic statkiem „Hans Frank", lata okupacji.

I rząd od lewej: Stefan Tejkowski, Kazimierz Sawicki

II rząd: Basia Tejkowska, Zosia Staszyszyn, Adam Staszyszyn, Teresa Sawicka, Benek Tejkowski, Marysia Sawicka

III rząd: Henryka Tejkowska, pan Kozdroń, Zofia Staszyszyn-Kusiak, Jadwiga Staszyszyn, Janina Sawicka, fot. Józef Staszyszyn



Stoją od lewej: Janka Lelito-Kolaczkowa, Zosia Romańska, Władek Kostecki, Zosia Staszyszyn-Kusiakowa, Józef Lelito, Tosia Kostecka
Siedzą: p. Słabowa, Helena Staszyszyn (babcia), na trawie: Jadwiga Staszyszyn z Żuwałów, Krysia Kostecka, Zosia Lelito-Marczyńska
Mogiła, ok.1945 r.



I Komunia Święta w parafii mogilskiej, 1946 r.
Pierwszy rząd od lewej: Wachówna, Chytrzyńska, ?, ?, Józef Suder, Kazimierz Nowak, Stanisław Nowicki, Hanna Szeląg, ?,?
Drugi rząd: ?, Ewa Góra, Broda, Zofia Staszyszyn, Ks. Jozef Zastawniak, ks. Benedykt Matejkiewicz, proboszcz mogilski, Rusinkówna, Szewczykówna, Wolkówna, ?,?
Trzeci rząd: Stefan Kot, Wolko, Rusinek, ?, ?, ?, Antoni Kołodziejczyk, ?, ?, ?, ?, ?, Jędrszczyk, ?, Andrzej Piecuch ?, ?, ?, ?, Rosołek



Uroczystość Bożego Ciała, Mogiła, lata 30.



Imieniny Zosi Staszyszyn w ogrodzie domu rodzinnego p. Staszyszynów.
Stoją od lewej: Adaś Staszyszyn, Tereska Sawicka, Maciek Lelito, Zosia Staszyszyn, Marysia Sawicka, Krysia Kostecka, Irenka Walówna, z tyłu: Ewa Góra, Basia Tejkowska, Mogiła, lata 40.



Z prawej trójka rodzeństwa Szelągów, z lewej NN, Mogiła, lata okupacji



Synowie Hanny z d. Sawickiej i Antoniego Wąsikowskich.
Od przodu: Andrzej, Antoni, Kazimierz, Mogiła, lata 40.



Od lewej: Antonina Kostecka, Krysia Kostecka (córka), Jadwiga Staszyszyn (z d. Żuwała), Mogiła po 1935 r.



Rodzina Sawickich z Mogiły, 1945 r.
Stoją od lewej: Hanna Wąsikowska z d. Sawicka (matka chłopców: Kazimierza, Antoniego i Andrzeja, z których dwóch widnieje na zdjęciu u dołu, jej mężem był Antoni, była świetną kucharką i przygotowywała niejedno mogilskie wesele), pani Stefańska (z domu), Małgorzata Suder z d. Sawicka (matka ks. Kazimierza Sudera), Józef Sawicki (zmarł w wieku 18 lat na zapalenie płuc, na które zapadł po skoszeniu trawy w czasie deszczu), Franciszek Sawicki (mąż Małgorzaty, ojciec Tomasza, Władysława, Kazimierza i Józefa), Kazimierz Sawicki (syn Franciszka).





Fotografia ze spektaklu Aleksandra Fredry „Damy i huzary". Opis na odwrocie zdjęcia: Mogiła 23 V 1937; KSMM i Ż (czyli Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Męskiej i Żeńskiej – dop. red.). Osoby siedzące z prawej strony to: Katarzyna Sawicka, za nią Apolonia Marcinek, ze strzelbą Władysław Stelmachowski.

Od lewej: Anna Sawicka, Katarzyna z d. Sawicka Stelmachowska, Władysław Stelmachowski (jej mąż), w środku Małgorzata Sawicka (babcia, zm. 1950 r.) oraz dzieci: Zosia i Hania Stelmachowskie, Mogiła, ok. 1945 r.

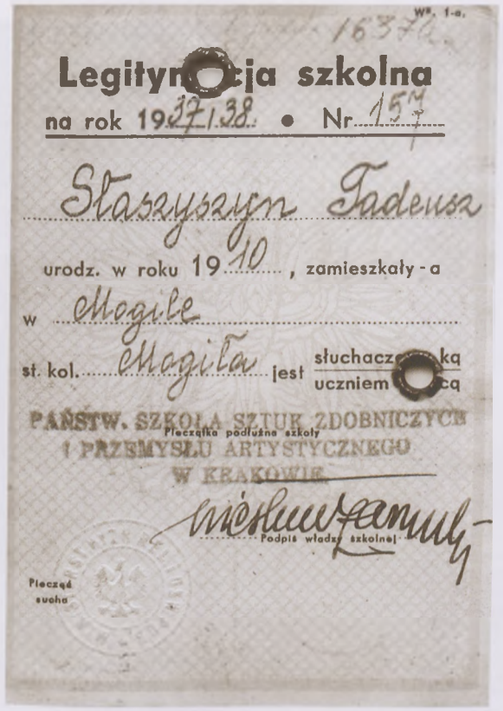
Legitymacja szkolna
na rok 1937/38 • Nr 157
Staszyszyn Tadeusz
urodz. w roku 1910, zamieszkały-a
w Mogile
st. kol. Mogiła jest słuchaczem-ką
uczniem-cą
PAŃSTW. SZKOŁA SZTUK ZDOBNICZYCH
I PRZEMYSŁU ARTYSTYCZNEGO
W KRAKOWIE
Pieczęć podłużna szkoły
Podpis władzy szkolnej
Pieczęć suche


Uprawnia do ulgowych przejazdów kolejami państwowymi według ulg taryfowych dla młodzieży szkolnej
Tadeusz Staszyszyn
Podpis właściciela legitymacji
Ważna do dnia 31 stycznia 1938 r.
Ważna do dnia 30 września 1938 r.
Pieczęć szkoły
Pieczęć szkoły
Min. W. R. i O. P. — Nr 1/Og.
Drukarnia Państwowa.

Tadeusz Staszyszyn (1910-1952). Urodził się w Mogile jako siódme dziecko Jana i Heleny Staszyszynów. W młodości chętnie brał udział w lokalnym życiu kulturalnym, m.in. grywał w lokalnym teatrze amatorskim, występował w jasełkach, grał na gitarze i śpiewał. Maturę zdał w 1929 r. u oo. Pijarów w Krakowie i rozpoczął studia na Wydziale Prawa UJ, które przerwał z powodu choroby. W latach 1937-1938 studiował w Państwowej Szkole Sztuk Zdobniczych i Przemysłu Artystycznego w Krakowie. Zaprojektował wówczas, na zamówienie ks. Józefa Zastawniaka, witraż do nowego kościoła parafialnego w Czyżynach. Witraż ten znajduje się w bocznej nawie, w kaplicy Matki Boskiej Nieustającej Pomocy.



Na pierwszym planie Władysław Sawicki z bratową Janiną, żoną Kazimierza, Mogiła, lata 40.



Dziewczyna z Mogiły, lata 40.



I Komunia św. w Mogile, lata 30.

W środku od lewej: Stanisława Najdecka-Feretowa, nauczycielka, ks. Józef Zastawniak, budowniczy kościoła parafialnego w Czyżynach, ks. Józef Vracko (ocist.) (Jugosłowianin, dobrze mówił po polsku, wcześniej uczył w szkole w Czyżynach), Franciszek Romański, kierownik szkoły w Mogile.



II klasa Szkoły Powszechnej im. Królewny Wandy w Mogile, rok szkolny 1934/1935 r.

I rząd od lewej: Ludwika Gwóźdź, ?, ? (z Kępy), Anna Bochenek, Zofia Sadowska, Anna Mars, ?, Janina Baranik, Romańska (w mundurku), córka kierownika szkoły, Julia Malina, Zofia Kasznik, Zofia Mars, Helena Masier, Maria Buła, Józefa Kwiecień, Janina Wolko

II rząd: Jakub Wójcik, Olek Mikołajczyk, ? (z Kępy), ?, Wąsikowski, Kazimierz Jarosz, ?, Bartłomiej Marcinek, nauczycielka – „Bera" Figberg, Golonek, Kazimierz Zemła, Szabelski, Kazimierz Makuła, ?, Zofia Zamojska,

III rząd: Tadeusz Kołodziejczyk, ?, ?, ?, Jakub Gwóźdź, Stanisław Rusinek, Jan Mikołajczyk, Dudziak, Nowak, Marian Michalski, ?, Rosołek, Stelmachowski, ?, Stanisław Szubert



Zofia Marcinek-Wala, nauczycielka ze szkoły w Mogile, lata okupacji



Franciszek Romański w ogrodach cysterskich, Mogiła, lata 50.



Ośmioklasowa Szkoła Powszechna Publiczna im. Królewny Wandy w Mogile, 1949 r.

W 1924 r. po raz pierwszy w dokumentach pojawia się nazwa: Szkoła Powszechna im. Królewny Wandy w Mogile, zaś 9 listopada 1930 r. nastąpiło uroczyste oddanie do użytku nowego budynku szkolnego, który znajduje się przy ul. Ptaszyckiego – obecnie SSP nr 6.



Nauka w stodole po zajęciu szkoły przez Niemców, lata okupacji



Członkowie Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Męskiej (po rozwiązaniu KSMM w 1953 r.) w Lasku Mogilskim, ok. 1955 r.

Stoją od lewej: Stefan Żelichowski, ?, Ryszard Sadowski, Ferdynand Sadowski

Siedzą: Jakub Mars, ?, Andrzej Samiec, Władysław Cereda, Stanisław Broda, Adam Tabak



Członkowie Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży na dziedzińcu klasztornym, ok. 1955 r.

Stoją od lewej: Józef Marczyk, ?, Adam Tabak, Marian Wach, Jan Gibek, Stefan Żelichowski, Karol Nowak, kucają: Ignac Cudek (kucharz klasztorny), za nim Józef Kawula



Od lewej: Stefan Żelichowski, Józefa Sadowska, Teresa Piecuch, Stanisława Hyczyńska



Przedstawienie na zakończenie roku szkolnego VII klasy w sali gimnastycznej Szkoły Podstawowej nr 37 w Krakowie (dawniej Szkoły Powszechnej im. Królewny Wandy w Mogile, obecnie SSP nr 6), ok. 1961 r.

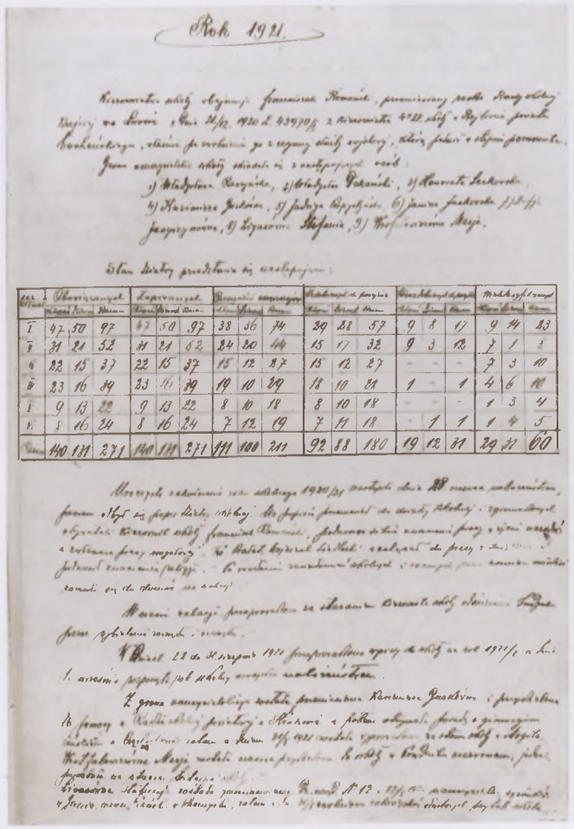

Rok 1921.

Kierownictwo szkoły objęła Franciszka Romańska, przeniesiona służbowo Rady Szkolnej Okręgowej we Lwowie z dniem 1/IX. 1920 r. L. 6397/IX z Krzemieńca 4-klasowej szkoły w Rybitwach powiatu Borszczowskiego, również po ewakuacji po 2 letniej służbie wojskowej, która pełniła w Ukrainie generalnej.

Grono nauczycielskie szkoły składało się z następujących osób:

1) Władysław Banasiak, 2) Władysław Bukowski, 3) Konstanty Bukowski, 4) Kazimierz Jabłoński, 5) Jadwiga Kapuścińska, 6) Janina Romańska, 7) Franciszka Romańska, 8) Stefania Stefanowa, 9) Wincentyna Stefanowa.

Stan liczby przedstawia się następująco:

Klasa	Obowiązanych			Zapisanych			Powtarzających			Przybyłych w ciągu roku			Ubyłych w ciągu roku			Według spisu końcowego		
	Chłopcy	Dziewczęta	Razem	Chłopcy	Dziewczęta	Razem	Chłopcy	Dziewczęta	Razem	Chłopcy	Dziewczęta	Razem	Chłopcy	Dziewczęta	Razem	Chłopcy	Dziewczęta	Razem
I.	47	50	97	47	50	97	38	36	74	29	28	57	9	8	17	9	14	23
II.	31	21	52	31	21	52	24	20	44	15	17	32	9	3	12	1	1	2
III.	22	15	37	22	15	37	15	12	27	15	12	27	–	–	–	2	3	10
IV.	23	16	39	23	16	39	19	10	29	18	10	28	1	–	1	4	6	10
V.	9	13	22	9	13	22	8	10	18	8	10	18	–	–	–	1	3	4
VI.	8	16	24	8	16	24	7	12	19	7	11	18	–	1	1	1	4	5
Razem	140	131	271	140	131	271	111	100	211	92	88	180	19	12	31	29	31	60

Mianowicie ustanowiono na początku 1920/21 roku zastępcę stanu 88 uczniów zakwalifikowanych, pozostałych 52 nie zapisano ponieważ do końca szkolnego z ogólnej liczby 140 uczniów zapisanych w spisie ogólnym 1920/21 roku, pozostało 88 uczniów, a 52 uczniów przez wojnę zaniedbało naukę. W ostatnim roku szkolnym 1920/21 ukończyło 60 uczniów.

Z grona nauczycielskiego szkoły pozostawiono Kierownika Jabłońskiego z przydziałem do pomocy w Szkole szkoły powszechnej w Krakowie, a Bukowskiego Konstantego w Krzemieńcu.

Nowo mianowani nauczyciele przybyli do szkoły w Mogile w następującym składzie:

1) Romańska Franciszka kierownik szkoły, 2) Banasiak Bolesław, 3) Bukowski Konstanty, 4) Jabłoński Kazimierz, 5) Kapuścińska Jadwiga, 6) Romańska Janina, 7) Stefanowa Stefania, 8) Stefanowa Wincentyna.

Rok szkolny 1921/2

Grono nauczycielskie szkoły składa się z:

1) Romańskiej Franciszki kierownik szkoły, 2) Banasiaka Bolesława, 3) Bukowskiego Konstantego, 4) Kapuścińskiej Jadwigi, 5) Romańskiej Janiny, 6) Stefanowej Stefanii, 7) Stefanowej Wincentyny.

W roku szkolnym 1921/2 uczęszczało 322 uczniów, w tym 169 chłopców i 153 dziewczęta.

Kierownik szkoły Franciszka Romańska otrzymała z Rady Szkolnej Okręgowej we Lwowie, z dniem 1/IX. 1921 r. L. 7918/IX przydział do swojej macierzystej szkoły w Mogile.

Stan liczby przedstawia się następująco:

Klasa	Obowiązanych			Zapisanych			Powtarzających			Przybyłych w ciągu roku			Ubyłych w ciągu roku			Według spisu końcowego		
	Chłopcy	Dziewczęta	Razem	Chłopcy	Dziewczęta	Razem	Chłopcy	Dziewczęta	Razem	Chłopcy	Dziewczęta	Razem	Chłopcy	Dziewczęta	Razem	Chłopcy	Dziewczęta	Razem
I.	35	45	80	35	45	80	27	21	48	18	16	34	9	5	14	8	24	32
II.	48	33	81	48	33	81	34	31	65	26	23	49	8	8	16	14	2	16
III.	26	20	43	23	20	43	18	16	34	18	16	34	–	–	–	5	4	9
IV.	21	20	41	21	20	41	15	12	27	15	12	27	–	–	–	6	8	14
V.	24	13	34	21	13	34	15	7	22	13	7	20	2	–	2	6	6	12
VI.	14	14	28	14	14	28	9	8	17	8	2	10	1	–	1	5	6	11
VII.	7	12	19	7	12	19	3	7	10	3	7	10	–	–	–	4	5	9
Razem	169	157	326	169	157	326	121	102	223	101	89	190	20	13	33	48	55	103

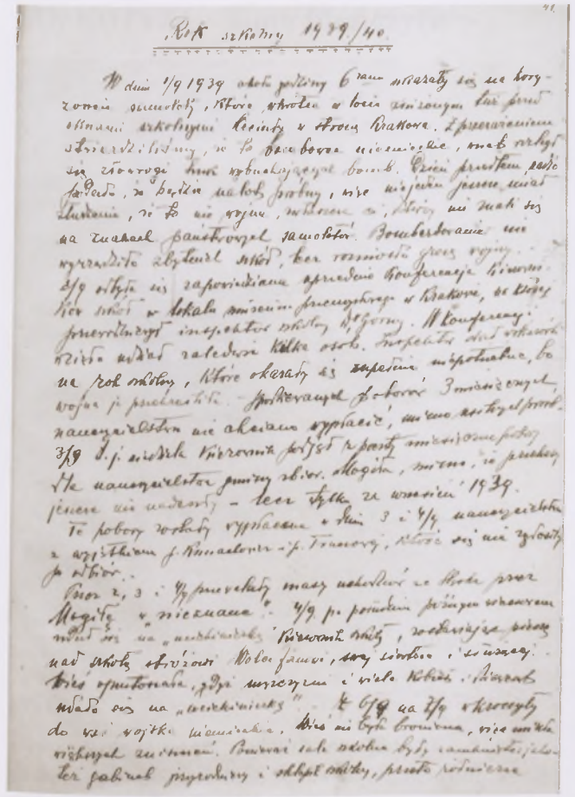

Rok szkolny 1939/40

W dniu 1/9 1939 około godziny 6 rano wiadomość o wybuchu wojny, która otrzymałem z Inspektoratu Szkolnego w Krakowie, zastała mnie w Krzemieńcu, gdzie byłem na wakacjach. Wiadomość ta była dla mnie zaskoczeniem, gdyż nie spodziewałem się, że wojna wybuchnie tak prędko. Wiedziałem, że sytuacja polityczna jest napięta, ale nie przypuszczałem, że wojna wybuchnie tak prędko. Wiedziałem, że sytuacja polityczna jest napięta, ale nie przypuszczałem, że wojna wybuchnie tak prędko.

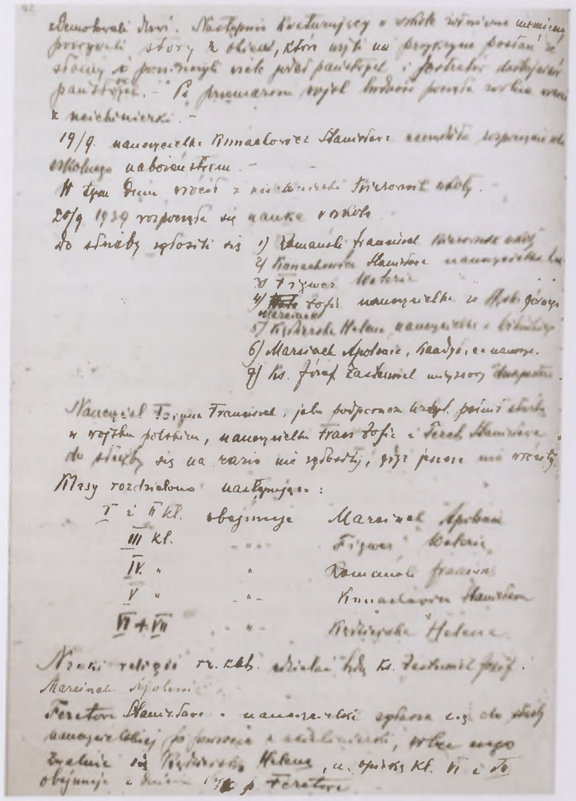

Nauczyciele Franciszka Romańska, Bolesław Banasiak, Konstanty Bukowski, Kazimierz Jabłoński, Janina Romańska, Stefania Stefanowa, Wincentyna Stefanowa.

Fragment Kroniki Szkoły Powszechnej, prowadzonej od 1 stycznia 1921 r. przez Franciszka Romańskiego, kierownika szkoły w Mogile.

Rozdział II

Bieńczyce

JAN KOTYZA – Moje Bieńczyce[1]



Jan Kotyza

Wstęp

Tu się urodziłem i tu spędziłem swoje życie, jako dziecko biegałem po ogrodach i polach, ukończyłem szkołę podstawową, stąd dojeżdżałem do gimnazjum i na studia, tu stawiałem pierwsze kroki w pracy społecznej w Katolickim Stowarzyszeniu Młodzieży Męskiej, spędziłem lata okupacji, znalazłem swoją towarzyszkę życia i tu wreszcie urodziły się wszystkie moje dzieci. Rodzinną wieś kochałem i obiecywałem sobie, że nigdy jej nie opuszczę. Tak się też stało. Poza kilkoma wyjazdami nie przekraczającymi jednego roku nigdy wsi nie opuściłem. Z tego miejsca, gdzie dziś stoi nasz wspaniały kościół pod wezwaniem Matki Bożej Królowej Korony Polskiej, o którego budowę polała się krew mieszkańców Nowej Huty, z tego miejsca 1 września 1939 r. obserwowaliśmy niemieckie samoloty z czarnymi krzyżami, jak lecąc tuż nad ziemią bezkarnie zrzucały bomby na lotnisko wojskowe w Rakowicach... Ale to był dopiero początek... W czasie okupacji miejscowi chłopi byli gnębieni przez okupanta; zabijani, wywożeni na roboty do Niemiec, odstawiali kontyngenty zboża i zwierząt dla Niemców, dostarczali podwód do wywożenia drzewa z Puszczy Niepołomickiej itd. Wielu mieszkańców było maltretowanych i bitych przez policję w związku z nie wywiązywaniem się z tych ciężkich, nakładanych przez Niemców obowiązków. Lecz mimo bezpośredniej bliskości Krakowa, siedziby Generalnego Gubernatora, a tym samym gęsto naszpikowanego terenu różnego rodzaju policją i wojskiem, we wsi trwała praca konspiracyjna, czynna była trójka polityczna Ruchu Oporu Chłopskiego, istniała sekcja Ludowej Straży Bezpieczeństwa oraz pluton Batalionów Chłopskich, działał Ośrodek Tajnego Nauczania oraz Zielony Krzyż, Młody Las i Ludowy Związek Kobiet.

Dziś moje Bieńczyce znikają powoli z powierzchni ziemi. Wieś, w której żyli nasi dziadowie i ojcowie, w której myśmy się urodzili i wychowali, gdzieśmy w naszej szkole zdobywali pierwsze wiadomości o świecie, gdzie w okresie międzywojennym rozwijało się życie; polityczne, gospodarcze, społeczne i kulturalne – niebawem zniknie z mapy. Pozostanie po niej tylko nazwa, zresztą i to wątpliwe, gdyż żadne z osiedli nie otrzymało jej do tej chwili, zaś rozbudowująca się dzielnica wchłania coraz to nowe jej tereny. W miejscach, gdzie kiedyś wiosną bieliły się od kwiatów czereśni i jabłoni ogrody i sady, stoją dziś wielopiętrowe bloki. Przestał istnieć nasz dworek wraz z kaplicą, znikła salka, gdzie urządzaliśmy przedstawienia, nie wiadomo gdzie szukać dawnej drogi do Mogiły, którą chadzaliśmy na odpust. Zostanie chyba nasza rzeka Dłubnia, która choć niewielka nie da się jednak ujarzmić i dokąd Wisła toczyć będzie swoje wody do Bałtyku – nasza Dłubnia jej nie zdradzi i zasilać ją będzie swoją jeszcze ciągle czystą wodą.

W okresie międzywojennym wieś była dobrze znana m.in. z uprawy warzyw, truskawek i tytoniu. Do Bieńczyc przyjeżdżali przedstawiciele różnych organizacji politycznych i kulturalnych, a miejscowa młodzież, dzięki istniejącej linii kolejowej, dojeżdżała do krakowskich szkół średnich i wyższych, wiele młodzieży zdobywało zawody w krakowskich zakładach pracy. Tysiące hektarów urodzajnej ziemi stracone zostały na zawsze. Ta część powiatu krakowskiego, leżąca na północny wschód od miasta, miała najlepszą ziemię. Aby zmienić strukturę społeczną miasta, zbudowano olbrzymi kombinat metalurgiczny, zniszczono i zatruto naturalne środowisko – tysiące hektarów pól i lasów położonych na wschód od Krakowa. Niszczeją nie tylko zabytki starego Krakowa. Prehistoryczny kopiec Wandy, z którego roztaczał się wspaniały widok na żyzne pola Luboczy, Pleszowa, Ruszczy i Wadowa, zasłonięty został fabrycznymi halami i dymiącymi kominami. Unosząca się stale nad miastem chmura dymu zasłania nawet w pogodny dzień Beskidy i widoczne dawniej przy ładnej pogodzie Tatry, a gdy zawieje wiatr od strony wschodniej, na osiedlach Nowej Huty trudno jest oddychać. Pleszów, zamożna niegdyś i kulturalna wieś, dusi się otoczona coraz to nowymi inwestycjami i jest zasnuta dymami, pyłami cementowni, koksowni i aglomerowni. Wegetują inne wsie: Lubocza, Mogiła, Grębałów, Wadów i Ruszcza. Większa część osiedli nowej dzielnicy zbudowana została na polach Bieńczyc, ale ta wieś skazana została na całkowitą zagładę. Aby

1. Zredagowane na podstawie wybranych fragmentów tekstów Jana Kotyzy: *Moje Bieńczyce*, *Od stycznia do września: 1909-1939*, *Od września do września: 1939-1945*. Zachowano pisownię oryginalną.

zerwać z tradycją i historią, nowym osiedlom nadano na siłę wymyślone nazwy, które nie mają nic wspólnego z dawną wsią. Od dawna używane nazwy Anielówka, Popielów, Budzyń, Zagościniec w oficjalnych wykazach ulic nie istnieją, za to uszczęśliwiono nas nazwami Cienista, Kasztanowa, Szybka czy wreszcie Adama Polewki. Spisuję swoje wspomnienia o Bieńczycach po to, by choć na papierze zostały po nich jakieś ślady. Może kiedyś znajdzie się lepszy ode mnie bard i napisze historię tych wsi, gdzie dawniej bujnie rozwijało się życie, a którą pochłonął moloch wielkiego miasta i przemysłu.

Położenie

Bieńczyce leżą w pobliżu Krakowa, ich odległość od granic miasta w czasie, kiedy rozpoczynano budowę Nowej Huty, wynosiła 4,5 km w kierunku północno-wschodnim. Wieś rozciągała się obok szosy prowadzącej z Krakowa do Kocmyrzowa, gdzie w czasach zaborów była granica austriacko-rosyjska, a na „Baranie" komora celna. Kraków był twierdzą, wieś leżała na jej przedpolu, ale kiedy zbudowano pod koniec XIX w. najbardziej zewnętrzny pierścień fortów, znalazła się w obrębie twierdzy krakowskiej. Najdawniejsze granice miasta od strony wschodniej to Planty Krakowskie w pobliżu dworca kolejowego, potem granice miasta przesunięto w okolice pierwszego pierścienia fortów. Na drodze prowadzącej do Mogiły i Bieńczyc leżał tzw. „piąty bastion" przy końcu ul. Lubicz, koło niego znajdowała się rogatka miejska zwana „mogilską". W miejscu tego fortu znajduje się dzisiaj rondo Mogilskie. Następnie granice Krakowa przesunięto w okolice młynów na Wieczystej, w czasie II wojny światowej Niemcy włączyli do Krakowa wsie Łęg i Czyżyny. Nową granicę miasta ustalono na granicy katastralnej wsi Czyżyny z Mogiłą i Bieńczycami. Powstanie Kombinatu im. Lenina i Nowej Huty, projektowanej początkowo jako odrębne miasto, a potem dzielnicy Krakowa, spowodowało rozszerzenie Krakowa aż po wsie Branice, Ruszcza, Wadów, Lubocza, Grębałów, Kantorowice i Zesławice. W ten sposób wieś Bieńczyce, wraz z sąsiednią Mogiłą i Krzesławicami, znalazła się w latach pięćdziesiątych w obszarze Krakowa.

Do Bieńczyc dojeżdżało się kiedyś z Krakowa drogą przez Wieczystą i Czyżyny. W Czyżynach droga się rozgałęziała, jedna jej odnoga biegła prosto przez Mogiłę i Pleszów do Cła, gdzie w czasie zaborów także znajdowała się komora celna, a druga prowadziła przez Bieńczyce do Kocmyrzowa. Prawie dwukilometrowy prosty odcinek drogi z Czyżyn do Bieńczyc był wysadzany po bokach starymi klonami i jesionami i stanowił ładną alejkę, obok której zbudowano w roku 1899 tor kolejowy do Kocmyrzowa. Bieńczyce leżały w dolinie rzeki Dłubni, która bierze swój początek we wsi Trzyciąż w gminie Jangrot, w dawnym powiecie olkuskim, a do Wisły wpada w Mogile. Wykorzystując jej dość duży spadek, na całej jej długości zbudowano liczne młyny. Najbliższe z nich są w Kończycach, Raciborowicach, Bieńczycach, Krzesławicach i Mogile. Dłubnia płynie w niektórych miejscach dość głębokim korytem o stromych brzegach. Wody jej, zwłaszcza na wiosnę i po letnich deszczach, niosą wiele mułu zmywanego z urodzajnych pól i wtedy rzeka ma kolor brunatny. W Bieńczycach zbudowano na Dłubni jaz, który część wody kieruje w nowe koryto tzw. „młynówki". Nad nim znajdują się dwa młyny. Duży, murowany, w samych Bieńczycach, to młyn wodno parowy, kiedyś własność żydowskiej spółki. Drugi, drewniany, na „Anielówce", leży w pewnej odległości od Bieńczyc w kierunku na Krzesławice. Był własnością Kirchmajerów, a potem Kaczorowskiego. Na północny zachód od wsi, między Mistrzejowicami a Zesławicami, Dłubnia przecina wzgórza tworząc malowniczy przełom. Nad rzeką prawie na całej jej długości leżą rozległe łąki zalewane niekiedy w czasie powodzi. Rozległe pola wsi Bieńczyce graniczą od południowego zachodu z Prądnikiem i Rakowicami oraz Mistrzejowicami, od północy zaś z wsiami Dłubnia i Krzesławice, od wschodu z Mogiłą.

Domy w Bieńczycach położone były wzdłuż szosy biegnącej z Czyżyn do Krzesławic oraz przy kilku bocznych drogach, odbiegających prostopadle od szosy w lewo i w prawo. Jedna z nich to droga odchodząca od szosy koło budynku „Sokoła" w kierunku zachodnim i biegnąca prawie równolegle do koryta „młynówki" w odległości od 100 do 200 m. W odległości około 1 km od szosy droga skręca pod kątem prostym w prawo i biegnie następnie prawie dokładnie na północ do wsi Mistrzejowice i Dłubnia oraz dalej do Batowic i Raciborowic. Poszczególne części wsi noszą różne nazwy. Najważniejsza część, położona wzdłuż drogi od szosy do zakrętu, to po prostu „wieś". Dalsza część za zakrętem do Mistrzejowic to „Budzyń". Równolegle do wspomnianej już drogi przez „wieś", przebiegała inna droga zwana „Zagościńcem". Od strony szosy zaczynała się dwiema wąskimi dróżkami, które następnie łączyły się koło szkoły i dalej dochodziły do drogi biegnącej przez „wieś". Wzdłuż rzeki, po jej lewym brzegu, przebiega dróżka, a raczej ścieżka, zwana „szewską". W prawo (na wschód od szosy), tuż przed pierwszymi domami wsi, droga ta odchodzi pod kątem prostym do Mogiły. Zwana była drogą „kościelną", prowadziła bowiem do klasztoru Cystersów w Mogile. O jakieś trzysta metrów dalej, w tym samym kierunku wschodnim, odchodziła od szosy droga, o której mówiono, że „prowadzi za Wielgusem", na „Popielów" lub na „Anielówkę". Ginęła wśród pól, można było dojść nią do Krzesławic i do Mogiły. Inna droga, zaczynająca się za mostem na „młynówce" na wprost młyna, w prawo od szosy, prowadziła do stacji kolejowej w Bieńczycach. Przedłużeniem drogi prowadzącej przez „wieś" od zakrętu na „Budzyń" była droga na zachód, która ok. 400 m za wsią rozgałęziała się. Jedno z rozgałęzień prowadziło w prawo

do pól i dalej do Rakowic i Prądnika, zaś droga w lewo była „starą", alternatywną drogą do Krakowa. Łączyła się z szosą kocmyrzowską na Wieczystej. Na skutek rozbudowy lotniska w latach 30. została częściowo zlikwidowana. W miejscu, gdzie kiedyś ta droga przecinała granicę Bieńczyc, stał niewysoki kopiec, na nim wysoki drewniany krzyż, a obok rosła jedyna w tym miejscu duża, stara lipa. Pola położone w pobliżu nazywano „pod krzyżykiem" lub „pod lipą". Różne były wersje historii krzyża i kopca. Chodziły wieści, że w tym miejscu są pochowani powstańcy, ale nikt nie umiał powiedzieć, z jakiego powstania. Osobiście przypuszczam, że kopiec i krzyż miały oznaczać granicę wsi, podobnie jak krzyż przy drodze „kościelnej", który zrekonstruowany po uszkodzeniu go w latach pięćdziesiątych stoi do dziś za blokiem „szwedzkim" na os. Szklane Domy. Resztki krzyża widziałem kiedyś poniewierające się pod stodołą Feliksa Zamojskiego. Kopiec został zniwelowany w czasie budowy lotniska. Niedaleko za wsią koło „starej" drogi do Krakowa, gdzie stykały się pola dworskie z chłopskimi, znajdował się cmentarz epidemiczny, na którym grzebano w latach dziewięćdziesiątych XIX w. zmarłych na cholerę. Na zachód od wsi rozciągały się pola dworskie, a dopiero za nimi chłopskie. Nad rzeką od strony zachodniej, blisko Mistrzejowic i Dłubni, leżały łąki dworskie, a od strony wschodniej chłopskie. Poszczególne pola nosiły różne nazwy i tak pola wzdłuż starej drogi do Krakowa określało się jako leżące „na błoniu" i „na chorach", a wzdłuż drogi do Rakowic „na górach". Za Budzyniem leżały pola zwane „na glinkach". Pomiędzy rzeką a łąkami leżały "niwy" (tak samo nazywano też pola leżące koło stacji kolejowej). Pola koło drogi do Mogiły nazywano „za kościelną". Młyn Kaczorowskiego oraz najbliżej położone pola znajdowały się na „Anielówce", inne leżące w tej stronie określano jako leżące za „Wielgusem" albo „Przymiarki". Koło młyna w Krzesławicach miała być kiedyś budowana cukrownia i na ten cel wykupiono już nawet pola. Kiedy budowa nie doszła do skutku, pola sprzedano chłopom i nazwano je „na cukrowni". Pola położone od strony Czyżyn i Mogiły były kiedyś mocno podmokłe. Znajdowało się tam niewielkie jeziorko, po przeprowadzeniu przed pierwszą wojną melioracji i drenowania pól teren został osuszony i jeziorko zniknęło, ale nazwa pól „nad jeziorkiem" została. Podobnie na polach określanych jako leżące „na górach", opodal drogi do Rakowic, było do niedawna małe jezioro, które zostało zasypane w czasie budowy nowego osiedla Mistrzejowice. Część domów w Krzesławicach leżących przy szosie kocmyrzowskiej nazywano „Buciorami" od karczmy żydowskiej o tej nazwie, również leżące w pobliżu domy określano ta nazwą. Kilka domów położonych za dworem w stronę rzeki, właściwie między dwoma korytami Dłubni poniżej jazu, nazywano „Kępą".

Przedszkole

Jeszcze przed wojną, około 1935 r., powstało w Bieńczycach przedszkole dla dzieci. Zorganizował je i finansował Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet (Z.P.O.K.), którego przewodniczącą była Anna Łowczowska, nauczycielka pracująca w szkole podstawowej w Bieńczycach, żona lekarza Kazimierza Łowczowskiego. Prowadziła to przedszkole absolwentka Seminarium Nauczycielskiego, Maria Halikówna. Mieściło się ono w jednej izbie domu Wojciecha Włodka na Zagościńcu, nieopodal szkoły. Przedszkole było wielkim dobrodziejstwem dla dzieci, zwłaszcza pochodzących z biedniejszych rodzin, których matki zmuszone były pracować zarobkowo poza domem, lecz chodziły do przedszkola także dzieci rolników, których żony zajęte przy gospodarstwie również nie miały zbyt wiele czasu, by go poświęcać małym dzieciom.

Dzieci znajdowały w przedszkolu nie tylko troskliwą opiekę, ale także posiłki. Na ogół przedszkoli po wsiach nie bywało, a nieliczne, które istniały, prowadzone były przez siostry zakonne. Z chwilą wybuchu wojny przedszkole straciło materialną podstawę egzystencji, a w tym także i Z.P.O.K., który finansował przedszkole opłacając jego kierowniczkę i drugą siłę pomocniczą. W czasie wojny zamieszkały w Dworku zakonnice z Łagiewnik, popularnie zwane „magdalenkami", a których właściwa nazwa brzmi: Siostry Matki Bożej Miłosierdzia. Prowadziły one w Łagiewnikach dom wychowawczy dla dziewcząt, ale w czasie wojny, po jego zlikwidowaniu, pozostawały bez zajęcia. Poprzez p. Cieślewiczową, której siostra była tam zakonnicą, zaproszono do Bieńczyc kilka sióstr i te zamieszkały w Dworku. Jedna z nich, Zdzisława, grała na fisharmonii, była organistką, a wtedy jeden z księży wikarych raciborowickich przebywał stale w Bieńczycach i codziennie odprawiał mszę św. Inna siostra zajmowała się chorymi, chodziła po domach, odwiedzała chorych, robiła opatrunki i niosła im pomoc i poradę. Trzecia siostra, Alina, zaczęła prowadzić przedszkole i znowu kilkadziesiąt dzieci wiejskich znalazło opiekę wychowawczą. Czwarta wreszcie siostra była kucharką, gotowała posiłki nie tylko dla sióstr, lecz także dla dzieci z przedszkola.

Podstawą materialną prowadzenia przedszkola były składki rodziców dzieci oraz dary w naturze otrzymywane z Rady Głównej Opiekuńczej (R.G.O.) Istniała na miejscu założona w 1942 r. placówka R.G.O., którą kierował Józef Celiński z pomocą Jana Kotyzy i sióstr zakonnych. Dary w naturze, jak artykuły żywnościowe i odzież, otrzymywano z Zarządu Powiatowego R.G.O. przy ul. św. Jana w Krakowie. Dary te rozdzielano między miejscowe osoby potrzebujące pomocy, zaś żywność w dużej części przekazywano na dożywiane dzieci w przedszkolu. Kiedy po powstaniu warszawskim przybyło do wsi kilkadziesiąt osób, oni także otrzymywali posiłki i pomoc z tego źródła. Siostry Matki Bożej

Miłosierdzia prowadziły przedszkole do końca okupacji, następnie wyjechały z Bieńczyc do swego klasztoru w Łagiewnikach. Po wojnie do Dworku przybyły siostry służebniczki dębickie, które prowadziły dalej przedszkole, tym razem w oparciu o kościelną instytucję „Caritas".

Szkoła podstawowa

Historia szkoły w Bieńczycach sięga swym początkiem lat pięćdziesiątych XIX stulecia. Najpierw – jak opowiadali starsi ludzie – uczono się w domach prywatnych. Potem powstał budynek szkolny. Był to drewniany, parterowy dom, który istniał do roku 1913, w którym ukończono budowę nowego budynku szkolnego – murowanego, piętrowego. Na owe czasy był to najokazalszy budynek szkolny na całą okolicę. Posiadał pięć dużych sal do nauki, z wielkimi oknami, kancelarię i mieszkanie dla kierownika szkoły. Szkoła stała przy drodze bocznej zwanej „Zagościńcem". Do naszej bieńczyckiej szkoły chodziły także dzieci z Mistrzejowic i Dłubni. Obok szkoły znajdował się ogród, niewielki podworzec dla dzieci i zabudowania gospodarskie kierownika szkoły. Od początku stulecia do roku 1932 kierownikiem szkoły był Kazimierz Łowczowski. Odszedł na emeryturę w podeszłym wieku. Przez długi pobyt we wsi związał się z nią mocno. Był powszechnie lubiany i szanowany za swoją uczciwość i gotowość do pomocy miejscowej ludności. Wychował całe pokolenia młodzieży. Wiele młodzieży skierował do szkół średnich do Krakowa. Nie ograniczał się tylko do nauki w szkole, z młodzieżą starszą organizował przedstawienia i zajęcia świetlicowe. Brał udział w pracy społecznej wsi. Miał dwóch synów i trzy córki, które po ukończeniu Seminarium Nauczycielskiego w Krakowie były nauczycielkami. Najstarsza z nich, Zofia, wyszła za mąż za mieszkańca Bieńczyc, Jakuba Walczaka, który w wojsku dosłużył się stopnia majora, a po opuszczeniu wojska był w Krakowie adwokatem. Syn Kazimierz był lekarzem, również związał się z Bieńczycami i jako lekarz oddawał wsi nieocenione usługi. Kierownik szkoły, przeszedłszy na emeryturę, zamieszkał w Krakowie, jednak z wsią utrzymywał stały kontakt.

Za czasu zaborów szkoła była czteroklasowa i nosiła nazwę szkoły ludowej. Dla młodzieży, która kończyła klasę czwartą, była jeszcze nauka uzupełniająca, zwana także „niedzielną" z tego powodu, że początkowo odbywała się tylko w niedzielę. Jeszcze w czasie I wojny światowej uczono w klasach starszych języka niemieckiego. Po uzyskaniu niepodległości naukę języka niemieckiego zniesiono. Obok kierownika szkoły pracowały za Łoczowskiego co najmniej cztery inne siły nauczycielskie. Uczyły wtedy panie Maria Zielińska, Władysława Cholewa, Maria Kozerówna oraz dwie córki kierownika szkoły, Zofia i Maria. Następcą Łowczowskiego na stanowisku kierownika szkoły był Józef Celiński. Przyszedł do Bieńczyc w 1932 r. z powiatu pińczowskiego. Był kierownikiem szkoły aż do jej likwidacji w roku 1967 i równocześnie z likwidacją szkoły został przeniesiony na emeryturę. Również i on, pochodzący sam ze wsi pińczowskiej, związał się z Bieńczycami, pracował w różnych organizacjach społecznych i politycznych, jednak za swoje główne zadanie uważał zawsze pracę w szkole i wychowanie młodzieży. Za jego czasów szkoła uzyskała prawa pełnej szkoły siedmioklasowej. Również za jego kierownictwa dużo młodzieży szło do szkół średnich w Krakowie.

Długie lata uczyły w szkole w Bieńczycach panie: Olga Kęskowa, Zofia Chrzanowa, Stachnikowa, Starochowiczówna (po mężu Łowczowska), z nauczycieli Józef Buzała i Zygmunt Druciak. Po wojnie uczyły: Maria Kotyzowa, Wolnikowa. Religii uczyli księża wikariusze z Raciborowic: ks. Gancarczyk, ks. Kozub, ks. Lućkowski. Ks. Kozub przygotowywał nas do pierwszej Komunii św. Spowiedź odbyła się w kaplicy w Bieńczycach, zaś do Komunii św. pojechaliśmy na drugi dzień furmankami do kościoła parafialnego w Raciborowicach. Po Komunii św. odbyło się wspólne zdjęcie z ks. katechetą. Nie przypominam sobie, by urządził nam ktoś jakieś śniadanie, jak to dzisiaj bywa. Również stroje nasze były bardzo różne. W czasie wojny nauka w szkole była prowadzona, mimo różnych trudności, bez przerwy. Nauczyciele, choć tego nie było wolno robić, uczyli historii i geografii Polski. Przez krótki czas szkoła była zajęta na kwatery dla wojska niemieckiego, lecz i to nie przerwało nauki szkolnej. Nauka odbywała się wtedy we Dworku. Na potrzeby szkoły (opał, pomoce szkolne oraz uzupełnienia wynagrodzenia dla nauczycieli) ludność wsi składała datki. Szkoła była nie tylko przybytkiem nauki dla dzieci i młodzieży, ale była także ośrodkiem pracy społecznej, w salach szkolnych odbywały się zebrania organizacji społecznych i młodzieżowych, urządzano przedstawienia.

W czasie okupacji istniał przy szkole ośrodek tajnego nauczania, którym kierował kierownik szkoły, Józef Celiński. Istniało kilka zespołów tajnego nauczania. Nauka tych zespołów odbywała się częściowo w szkole, a częściowo w prywatnych domach. Między innymi odbywały się lekcje tajnych kompletów w domu Osiadłego, Englischa w Mistrzejowicach, w mieszkaniu Kotyzów oraz we dworze. Młodzież, która miała rozpoczętą szkołę średnią przed wojną, zdawała maturę, jeszcze inni ukończyli pierwszą lub drugą klasę gimnazjum i kontynuowali naukę po odzyskaniu wolności w szkołach państwowych. W kompletach tajnego nauczania uczyli Józef Celiński, Wincenty Choma, Maria Dziedzic, Jan i Maria Kotyzowie, Jan Rasak i kilka osób, które dojeżdżały z Krakowa. Już przed wojną szkoła była siedmioklasowa, poziom nauki w szkole był całkiem zadowalający, wielu uczniów szło bez trudności do szkół średnich w Krakowie, wielu tak przed wojną, jak i po wojnie uzyskało wyższe wykształcenie. Dużą rolę do

spełnienia miała szkoła w Bieńczycach w pierwszych latach budowy Nowej Huty, kiedy powstały już w pobliżu wsi nowe bloki mieszkalne i zamieszkali w nich przybysze z różnych stron Polski, a nie było jeszcze na nowych osiedlach szkoły. Wówczas dzieci z tych osiedli uczęszczały do szkoły w Bieńczycach. Wtedy nauka w szkole odbywała się na trzy zmiany, kształcąc około sześciuset dzieci. Po zlikwidowaniu szkoły budynek szkolny przebudowano i umieszczono w nim dom dziecka. Budynek, przebudowany wielkim kosztem, niedługo służył nowym zadaniom. Na skutek mankamentów popełnionych przy jego przebudowie władze oświatowe były zmuszone przenieść dom dziecka do innych pomieszczeń, a przebudowany dwupiętrowy budynek przeznaczono na biura i magazyny.

Gimnazjum

Większość młodzieży dojeżdżającej z naszych stron do szkoły średniej szła do Gimnazjum św. Jacka w Krakowie przy ul. Siennej. Tak poszło o trzy lata wcześniej czterech chłopców z Bieńczyc: Staszek Kaszowski, Franek Ciepiela, Franek Nawara i Poldek Sawka, a o rok wcześniej Jasiek Krawczyk. Mnie – nie pamiętam już z jakiej racji – zapisali do Gimnazjum Sobieskiego. Do egzaminu wstępnego przygotowywał nas wszystkich kierownik szkoły w Bieńczycach – Kazimierz Łowczowski, do którego chodziliśmy przez ostatnie półrocze na lekcje rachunków i języka polskiego. W dzień egzaminu wystrojono nas w niebieskie kabatki, czarne spodnie, butki z cholewami. Czuliśmy się w tych strojach dość niewyraźnie, a i pozostali kandydaci patrzyli na nas z zaciekawieniem. Przylgnęła do nas na długie lata nazwa „synowie Witosa". Egzamin wstępny zdaliśmy wszyscy czterej, a po wakacjach sprawiono nam już odpowiednie ubrania, nie różniące się od ogólnie przyjętych. Nie obowiązywały już dawne austriackie mundurki z paskami na kołnierzu oznaczającymi klasy oraz czapki, popularnie zwane „dekle". Nie było też przepisów jak miały wyglądać nowe polskie mundurki. Noszono więc długie lub krótkie spodnie i przeważnie bluzki zapięte pod szyją. Jako nakrycie głowy noszono już rogatywki czarne lub granatowe z literą „G" na przedzie. Kiedy nasza czwórka szła do gimnazjum, najstarsi z Bieńczyc: Kazek Łowczowski, Józef Walczak i Leon Wohlfeiler byli już w VII klasie.

Bieńczyce były w tym szczęśliwym położeniu, że miały pociąg i na miejscu stację kolejową, co ułatwiało nam i wszystkim mieszkańcom dojazd do Krakowa i w ogóle umożliwiało chodzenie do szkoły w mieście. Dlatego z takich wsi jak Bieńczyce, Czyżyny, Mogiła, Kocmyrzów najwcześniej zaczęła się młodzież kształcić. W przypadku wsi położonych dalej od linii kolejowej było to możliwe tylko wtedy, gdy rodzice byli na tyle zamożni, że mogli syna lub córkę umieścić na stancji w mieście, lub jeśli chłopaka stać było na wysiłek wstawania wcześnie rano i wędrowania codziennie po kilka kilometrów w jedną i drugą stronę do stacji kolejowej. Kiedy zaczęliśmy jeździć pociągiem do szkoły, dojeżdżało już tyle młodzieży, że dyrekcja kolei dała już osobny wagon dla młodzieży szkolnej. Jeden przedział był dla dziewcząt, drugi dla chłopców. Jeździło nas już tyle, że my z Bieńczyc i Czyżyn musieliśmy już stać, gdyż ci jadący od Kocmyrzowa zwykle już siedzące miejsca zajęli. Tercjan w szkole w zimie miał polecenie, aby nas przyjezdnych wpuszczać do szkoły wcześniej. Była do tego celu wyznaczona jedna z sal szkolnych, gdzie wszyscy przyjezdni zbierali się w oczekiwaniu na lekcje. Z kilku kierunków dojeżdżała młodzież do naszego gimnazjum, my od Kocmyrzowa, inni od Skawiny, inni od Wieliczki i Bieżanowa, jeszcze inni od Kłaja i Niepołomic, a jeszcze inni od Rudawy i Krzeszowic. (...) Klasę III rozpoczynaliśmy w roku 1923, a był to rok, w którym przez Polskę przechodziła fala strajków. Strajkowali kolejarze, nie chodziły pociągi, utrudniony był dojazd do szkoły. Przez pewien czas chodziliśmy z Bieńczyc pieszo. 6 listopada doszło na ul. Dunajewskiego do starcia między policją i wojskiem a robotnikami, w wyniku czego śmierć poniosło kilkunastu ułanów (w tym rotmistrz Lucjan Bochenek) oraz kilkunastu robotników. (...)

W Gimnazjum Sobieskiego uczyło wielu wybitnych profesorów. Wypada tu wymienić późniejszych profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, jak filologa Stanisława Skiminę, polonistę prof. Klemensiewicza, biologa prof. Jana Zaćwilichowskiego, logika, malarza i filozofa prof. Leona Chwistka oraz takich jak dr Antoni Wilk, matematyk i astronom, odkrywca komet, dr Franciszek Fuks, geograf, wspaniały dydaktyk, autor podręcznika. (...) Kiedy byłem w V klasie, w Warszawie miał miejsce przewrót majowy, jakiego dokonał marszałek Józef Piłsudski.

Wykształcenie młodzieży

Bliskie sąsiedztwo Krakowa i coraz większe ułatwienia komunikacyjne spowodowały, że młodzież z Bieńczyc zaczęła się kształcić w szkołach średnich i wyższych. Początkowo były to jednostki, lecz z czasem tendencja ta przybrała większe rozmiary. Jeszcze przed pierwszą wojną Wojciech Ptak, syn Franciszka, ukończył szkołę średnią i politechnikę i był inżynierem w Dyrekcji Kolei w Krakowie. Jakub Walczak ukończył szkołę średnią, rozpoczął na Uniwersytecie Jagiellońskim studia prawnicze przerwane przez wojnę, w wojsku dosłużył się stopnia majora, po przejściu na emeryturę (po przewrocie majowym) dokończył studia, uzyskał stopień doktora i został adwokatem. Tuż przed pierwszą wojną i w czasie wojny rozpoczęli naukę w szkołach średnich synowie i córki kierownika szkoły, Kazimierza Łowczowskiego – Włodzimierz, Kazimierz, Zofia i Maria – oraz ich rówieśnicy: Jan Pyczek, Leon Wohlfeiler, Władysław Ptak i Józef Ciepiela. Włodzimierz Łowczowski szkoły nie ukończył. Pracował jako urzędnik pocztowy

w Krakowie. Kazimierz Łowczowski ukończył gimnazjum oraz studia medyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim, był lekarzem w Bieńczycach, a następnie w Nowej Hucie, potem wyjechał i pracował jako lekarz w Żabnie i w Szczyrku. Zofia Łowczowska ukończyła seminarium nauczycielskie, uczyła w szkole podstawowej w Bieńczycach, wyszła za mąż za Jakuba Walczaka. Maria Łowczowska-Bogaczowa ukończyła seminarium nauczycielskie, była nauczycielką w Bieńczycach, a potem w Bieżanowie.

Jan Pyczek gimnazjum nie ukończył, pracował jako urzędnik na poczcie w Krakowie. Leon Wohlfeiler ukończył Gimnazjum Sobieskiego i medycynę na Uniwersytecie Jagiellońskim, był lekarzem w Bieńczycach, w czasie drugiej wojny służył w II Korpusie gen. Władysława Andersa, po jej zakończeniu wyjechał do Izraela. Władysław Ptak gimnazjum nie ukończył, służył jako ochotnik w wojsku polskim, brał udział w obronie Lwowa, potem gospodarował w Bieńczycach na gospodarstwie rolnym, aż do wywłaszczenia ziemi pod budującą się Nową Hutę. Józef Ciepiela gimnazjum nie ukończył, był na I wojnie światowej, po wojnie służył w Straży Granicznej, po przejściu na emeryturę pracował w Bieńczycach w Kasie Stefczyka, a następnie jako urzędnik w Zarządzie Gminnym w Mogile.

W roku 1918 poszli do szkoły średniej: Franciszek Ciepiela, Franciszek Nawara, Stanisław Kaszowski i Leopold Sawka. Franciszek Ciepiela ukończył Gimnazjum św. Jacka, wstąpił do podchorążówki zawodowej, po jej ukończeniu jako oficer służył w wojsku polskim, brał udział w stopniu kapitana w kampanii wrześniowej, przebywał w obozie jenieckim, po wojnie pracował w Wojewódzkim Zarządzie Młynów. Franciszek Nawara ukończył Gimnazjum św. Jacka w Krakowie, służył w podchorążówce rezerwy, ukończył studia rolnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim. Pracował w Izbie Rolnej w Krakowie, a następnie w Puławach. W czasie wojny znalazł się we Francji, po wojnie wyjechał do Stanów Zjednoczonych, gdzie pracował na jednym z uniwersytetów. Specjalizował się w hodowli owiec. Stanisław Kaszowski chodził do szkoły średniej, lecz jej nie ukończył, pracował jako urzędnik w Zarządzie Miejskim w Krakowie. Leopold Sawka (syn policjanta) chodził do gimnazjum, potem do Szkoły Przemysłowej w Krakowie, z Bieńczyc wyjechał jeszcze jako uczeń szkoły średniej.

W roku 1920 poszedł do Gimnazjum Św. Jacka Jan Krawczyk, przez pewien czas był w konwikcie jezuitów w Krakowie, ukończył gimnazjum, służył w podchorążówce, ukończył studia rolnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim. Zginął w czasie II wojny w 1940 r.

W roku 1921 poszli do Gimnazjum Sobieskiego Franciszek Ciepiela (Gacek), Franciszek Ciepiela (Gruchac), Józef Salwiński i Jan Kotyza. Franciszek Ciepiela (Gacek) ukończył gimnazjum, wstąpił do Seminarium Duchownego w Krakowie, ukończył wydział teologiczny na Uniwersytecie Jagiellońskim, został księdzem, był katechetą w Babicach, a następnie proboszczem w Balinie, zmarł w 1963 r. Franciszek Ciepiela (Gruchac) gimnazjum nie ukończył. Był dorożkarzem, następnie prowadził własne gospodarstwo, a potem pracował w Hucie im. Lenina. Józef Salwiński ukończył gimnazjum, służył w podchorążówce, ukończył prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim. Był adwokatem w Krakowie. Jan Kotyza ukończył Gimnazjum im. Nowodworskiego w Krakowie, służył w podchorążówce rezerwy, ukończył Studium Wychowania Fizycznego przy Uniwersytecie Jagiellońskim. Pracował jako nauczyciel i instruktor, a następnie jako urzędnik w kurii metropolitalnej w Krakowie.

W następnych latach poszli do szkół średnich: Józef Krawczyk, Franciszek Ciepiela (Pisarz), Idzi Jędrszczyk, Roman Paszyński, Józef Stachnik, Józef Rojek, Józef Nawara, Franciszek Siudek, Jan Przeniosło, Józef Nawrocki i Henryk Wrzesiński. Józef Krawczyk ukończył Wydział Chemii w Państwowej Szkole Przemysłowej, służył w wojsku, pracował w hucie metali kolorowych w Trzebini. Franciszek Ciepiela (Pisarz) ukończył Wydział Melioracyjny Państwowej Szkoły Przemysłowej, służył w wojsku, pracował w różnych instytucjach w swoim zawodzie. Idzi Jędrszczyk ukończył szkołę handlową, służył w podchorążówce, pracował jako księgowy, służył w Straży Granicznej, brał udział w kampanii wrześniowej, służył po wojnie w Ludowym Wojsku Polskim, następnie był urzędnikiem. Roman Paszyński (syn policjanta) ukończył Gimnazjum Sobieskiego, wstąpił do podchorążówki zawodowej, służył jako oficer w wojsku polskim, brał udział w kampanii wrześniowej, służył w Ludowym Wojsku Polskim. Dosłużył się stopnia majora, potem pracował jako pracownik umysłowy. Józef Stachnik (syn nauczycielki) ukończył Gimnazjum św. Jacka, studiował na Politechnice. Józef Rojek ukończył Wydział Mechaniczny w Państwowej Szkole Przemysłowej, służył w podchorążówce, pracował w warsztatach lotniczych w Rakowicach, jako pilot latał w Aeroklubie Krakowskim, zginął w czasie wojny we Francji. Józef Nawara ukończył Gimnazjum św. Jacka, był w seminarium księży jezuitów w Krakowie, w czasie okupacji przebywał w obozie koncentracyjnym w Auschwitz, po wojnie wyjechał do Belgii, gdzie ukończył studia handlowe, pracował w Kongo. Franciszek Siudek ukończył szkołę handlową, pracował jako telegrafista w wojskowej radiostacji w Krzesławicach, a po wojnie w Hucie im. Lenina. Jan Przeniosło ukończył seminarium nauczycielskie, służył w podchorążówce rezerwy, pracował w różnych szkołach, następnie był kierownikiem szkoły w Żegocinie. Józef Nawrocki uczęszczał do seminarium nauczycielskiego w Krakowie. Zmarł jako słuchacz III roku.

Spośród innych osób kształcących się w okresie międzywojennym: Maria Sawka ukończyła seminarium nauczycielskie i pracowała jako nauczycielka. Maria Halikówna (Kotyzowa) ukończyła seminarium nauczycielskie i pracowała jako nauczycielka w Bieńczycach i Raciborowicach. Maria Turbasa (Jaroszowa) ukończyła Państwową Szkołę Przemysłową Żeńską w Krakowie, pracowała jako nauczycielka, a następnie jako intendentka. Ludmira Ptaszyńska (Plinkiewiczowa) ukończyła Państwową Szkołę Przemysłową Żeńską, pracowała jako krawcowa. Maria Paszyńska ukończyła seminarium nauczycielskie i pracowała jako urzędniczka w Domu Książki. Katarzyna Nawrocka (Czekajowa) ukończyła szkołę handlową, pracowała jako urzędniczka w gminie Mogiła. Zofia Dziwiszówna ukończyła szkołę handlową i pracowała jako urzędniczka na poczcie. Katarzyna Przeniosłówna ukończyła seminarium nauczycielskie, zawodowo nie pracowała, wyszła za mąż za Adamskiego. Jadwiga Łowczowska (Druciakowa) ukończyła seminarium nauczycielskie i pracowała jako nauczycielka. Wszystkie dzieci młynarza Kaczorowskiego – Stanisław, Julian, Jan, Zofia, Aniela, Władysława i Bronisława – i policjanta Wrzesińskiego – Henryk, Helena, Bolesława, Celina i Kazimierz – przed wojną ukończyły szkoły średnie.

W latach kryzysu gospodarczego zmniejszył się, a właściwie całkowicie ustał napływ młodzieży wiejskiej do szkół średnich w Krakowie. Jednak kilka lat przed wojną młodzież wiejska i robotnicza znowu zaczęła zgłaszać się do szkół średnich. Tuż przed wojną rozpoczęli naukę w szkołach średnich: Jan Bochenek, Józef Bochenek, Eugeniusz Hajto, Karol Hajto, Julian Osiadły, Józef Osiadły, Andrzej Świerczewski, Aleksandra Świerczewska, Maria Trznadlówna, Janina Ciepielanka, Elżbieta Krawczykówna. Prawie wszyscy z wymienionych uczyli się w czasie wojny w kompletach tajnego nauczania w Bieńczycach, prowadzonych przez kierownika szkoły, Józefa Celińskiego (...).

Stowarzyszenia katolickie

Najbliżej mnie mieszkał Henek Wrzesiński, który chodził do Seminarium Nauczycielskiego w Krakowie. Często rozmawialiśmy na temat powołania do życia jakiejś organizacji młodzieży. Czuliśmy potrzebę zbierania się, urządzania przedstawień, wycieczek, grania w piłkę. Kierownik szkoły, Kazimierz Łowczowski, w okresie Bożego Narodzenia zbierał młodzież w szkole i urządzał z nią jasełka, ale to tylko raz w roku. Także ks. proboszcz Antoni Siuda urządzał we Dworku jakieś przedstawienia, najpierw w jednym z pokoi, a potem nawet w dawnej stajni, gdzie zbudowano scenę, odbył się spektakl pt. „Święta Genowefa". Chyba w 1925 r. Henek nawiązał znajomość z drużyną harcerską przy Seminarium Nauczycielskim, postanowiliśmy zorganizować we wsi taką drużynę, lecz nikt z nas na harcerstwie się nie znał. Przyjechał z nim kiedyś drużynowy o nazwisku Sosna, mówił na temat harcerstwa, ustalono, ze powstanie na razie zastęp. Nie pamiętam już, kogo wybraliśmy zastępowym, Henek w każdym razie nim być nie chciał, on chciał zostać od razu harcmistrzem, to mu imponowało. Odbyło się kilka zbiórek, przychodziło nas 7-10 chłopaków, Sosna przyjeżdżać na każdą zbiórkę nie mógł, myśmy o tej pracy nie mieli pojęcia i sprawa harcerstwa niedługo upadła.

Henek jednak dalej „niuchał" i dowiedział się, że przy pl. Mariackim 5 jest sekretariat zajmujący się stowarzyszeniami. Co to były za stowarzyszenia nie wiedzieliśmy, ale udaliśmy się tam. Spotkaliśmy tam księdza, któremu przedstawiliśmy naszą sprawę, a on się żywo naszym projektem zainteresował; ilu nas jest, czy będziemy mieć salę na zebrania itd. To była jesień 1926 r., byłem w klasie VI, a Henek na II kursie Seminarium. Mogliśmy jeszcze liczyć na kilku naszych rówieśników ze szkoły, jak Franek Ciepiela, Józek Salwiński, Franek Nawara, Poldek Sawka, no i na dawnych kolegów ze szkoły w Bieńczycach, którzy pozostali we wsi. Na miejsce zebrań umyśliliśmy jeden pokój w Dworku, obok kaplicy, który służył jako zakrystia. Dwa inne pokoje zajmował wtedy na mieszkanie przodownik policji Sawka. Po porozumieniu się z Salcią Ciepielanką, która jako prezeska założonego kiedyś przez ks. Płonkę Stowarzyszenia Dzieci Maryi, opiekowała się Dworkiem, uzyskaliśmy jej zgodę na używanie przez nas zakrystii na zebrania. Z ks. Józefem Tomerą (bo tak się nazywał ten ksiądz spotkany w sekretariacie przy pl. Mariackim) ustaliliśmy termin pierwszego organizacyjnego zebrania na niedzielę 21 listopada. Przyszło wówczas około 20 chłopaków, ks. Tomera przyjechał pociągiem, wyszliśmy po niego na stację i przyprowadzili do Dworku. Ksiądz, po moim zagajeniu, przedstawił cele i zadania stowarzyszenia oraz formy jego pracy. Wszyscy obecni do stowarzyszenia się zapisali. Jego pełna nazwa brzmiała: „Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej". Mnie wybrano na prezesa. Pierwsza imprezą, jaką postanowiliśmy urządzić, było przygotowanie „jasełek", oraz jeszcze innego przedstawienia. Franek Nawara wystarał się o sztukę A. Fredry „Consilium facultatis" i rozpoczęły się próby. Oba przedstawienia odbyły się jak zwykle w szkole, gdzie w sali mieściło się najwyżej około setki osób.

Marzyliśmy ciągle o własnej sali, by móc urządzać przedstawienia częściej, a nie tylko w czasie ferii. Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej było organizacją katolicką, ksiądz pełnił w nim rolę patrona. Bieńczyce należały do parafii w Raciborowicach, skąd przyjeżdżał do nas na naukę religii w szkole ks. wikary Władysław Gorączko. Przyjeżdżał na nasze zebrania czasem w niedzielę po południu, uczył nas wtedy śpiewać przygrywając na skrzypcach, ale nie bardzo potrafił nawiązać z nami kontakt. Właściwie prace prowadziliśmy sami. Na wiosnę 1927 r. była w Krakowie wielka uroczystość

sprowadzenia prochów Juliusza Słowackiego z Paryża na Wawel. Kilku z nas w strojach krakowskich jako delegacja Stowarzyszenia wzięło w niej udział. Na wicepatrona uprosiliśmy p. Mieczysława Świerczewskiego, dzierżawcę dworu i w lecie tego roku odbył się pod jego opieką festyn na dziedzińcu dworskim, który przyniósł nam pierwszy poważniejszy dochód na cele Stowarzyszenia. Nasza centrala w Poznaniu organizowała w tym roku w Poczerninie na Pomorzu koło Wielkiej Wsi (dziś Władysławowo) obóz, na który zostałem przyjęty, i który związał mnie z pracą w Stowarzyszeniu na wiele lat, jeśli nie powiedzieć na całe życie.

W listopadzie po uroczystości św. Stanisława Kostki, który jest patronem młodzieży, odbywało się co roku „Święto Młodzieży", które miało charakter religijny. Najpierw były rekolekcje, organizowało się zbiórki pieniędzy do puszek na cele Stowarzyszenia, w niedzielę po mszy św. była akademia z referatem, śpiewami i deklamacjami, a na zakończenie grano przedstawienie. Po odejściu z parafii ks. Wł. Gorączki, wikarym był przez dwa lata ks. Skwarczewski, a po nim ks. E. Wcisło. Proboszczem w Raciborowicach po śmierci bardzo popularnego ks. Ludwika Płonki był ks. Antoni Siuda. Na wiosnę i w lecie odbywały się zloty okręgowe Stowarzyszeń. Okręg pokrywał się z dekanatem. Nasze Stowarzyszenie należało do okręgu mogilskiego, w skład którego wchodziły: Bieńczyce, Czyżyny, Mogiła, Łęg, Luborzyca, Ruszcza, Raciborowice, Igołomia, Wawrzeńczyce, Szarbie, Biórków, Wronin, Więcławice i Kościelniki, krótko istniały także stowarzyszenia w Grębałowie, Krzesławicach i Pleszowie. To ostatnie przekształciło się w Koło Młodzieży przy Małopolskim Towarzystwie Rolniczym, a potem w Koło Młodzieży Wiejskiej „Znicz". Wszędzie tam, gdzie działały Stowarzyszenia Młodzieży Męskiej, powstawały też osobne Stowarzyszenia Młodzieży Żeńskiej, nawet w Pleszowie, gdzie nie było widoków na powstanie stowarzyszenia męskiego.

Doroczną prezentacją dorobku oddziałów były zloty okręgowe Stowarzyszeń, które odbywały się w różnych wsiach. Na zlot przybywał obok sekretarza generalnego delegat ks. metropolity i przedstawiciel starosty powiatowego. Zawsze był także policjant, który siedział i notował, kto przemawiał i co mówił. Rano była msza św., potem akademia, a po południu zawody sportowe w lekkoatletyce (biegi, skoki, rzuty), gra w siatkówkę i koszykówkę. Największe jednak zainteresowanie, tak u nas, jak i gdzie indziej, budziła piłka nożna. Próbowaliśmy lansować także inne sporty. W 1929 r. zorganizowaliśmy np. bieg na drodze z Bieńczyc do Czyżyn, w obie strony odległość wynosiła 3 km. Do biegu stanęło kilkunastu zawodników, którzy wcześniej trenowali na tej trasie, mierząc sobie czas przyniesionym z domu budzikiem – takie to były nasze pionierskie poczynania. W Bieńczycach na polu sportowym inicjatywę dawała młodzież szkolna dojeżdżająca do krakowskich szkół średnich. W Stowarzyszeniu funkcję prezesa sprawowałem do czasu mojego wyjazdu do wojska w 1930 r. W tym czasie funkcję prezesa pełnili Romek Paszyński i Józek Ciepiela (Kandaus). Po wyprowadzeniu się z Dworku lokatora, p. Sawki, uzyskaliśmy dwa dość duże pokoje, jeden wielkości 6x6 m i drugi 6x4 m Na przełomie 1931 i 1932 r. uzyskaliśmy zgodę Zarządu Stowarzyszenia Dzieci Maryi na połączenie obu pokoi w jedną salkę. Po odejściu ks. Wcisły przyszedł do naszej parafii na wikarego neoprezbiter, ks. Zbigniew Przeworski, który był w parafii od 1932 do 1936 r. Przypadliśmy sobie do serca, a nasze późniejsze stosunki przerodziły się w przyjaźń.

W roku 1932 powstało w Bieńczycach także Stowarzyszenie Młodzieży Żeńskiej, któremu początek dała grupa dziewcząt, które także dojeżdżały do szkół średnich Krakowa: Marysia Halikówna, Ludka i Marysia Paszyńskie, Marysia Turbasówna, Kasia Nawrocka oraz dziewczęta, które pozostawały na gospodarstwach rodziców, takie jak: Aniela Ciepielanka, Lonka Krupianka, Wiśka Salwińska, a z młodszych Zofia Nawarzanka, Zosia Zyburzanka i in. Katolickie zasady wychowawcze nie uznawały koedukacji i stąd istniały osobne stowarzyszenia młodzieży męskiej i żeńskiej. Nam młodym to się nie podobało. Teraz, kiedy mieliśmy już własną salkę i scenę do przedstawień, mogliśmy częściej urządzać różne imprezy. Oczywiście nie tylko – jak zalecały nasze władze organizacyjne – na role męskie lub tylko na role żeńskie, lecz graliśmy normalne sztuki, gdzie występowały role jedne i drugie. Wystawialiśmy znane powszechnie i często po wsiach grywane przedstawienia jak: „Błażek opętany", „Chłopi arystokraci", „Sobkowa zagroda", „Bursztyny Kasi" itp. Z biegiem czasu przeszliśmy na poważniejszą literaturę: „Kłopoty Pana Złotopolskiego", „Zemstę", „Damy i huzary", „Klub Kawalerów" i in. Korzystaliśmy także później z większej niż nasza sali domu zbudowanego przez właściciela młyna, p. Lelitę, a później będącą własnością piekarza, p. Władysława Motyki. Przedstawienia graliśmy także w Raciborowicach, Czyżynach i Mogile.

W sali p. Motyki przez szereg lat odbywały się „Opłatki". Były to spotkania starszych gospodarzy i gospodyń, przeważnie rodziców naszych druhen i druhów oraz poważniejszych osób ze wsi, w okresie Bożego Narodzenia. Takie spotkania były połączone nie tylko z konsumowaniem świątecznych „babek" i placków, ale śpiewano kolędy, przyśpiewki, była szopka z lalkami, „żywy dziennik", a na koniec zabawa taneczna, w której brali udział młodzi i starzy. Na początku lat 30. przyszedł do Bieńczyc młody nauczyciel, Józef Buzała, który zapoczątkował prowadzenie chóru, potem chór męski prowadził dr Czesław Swięch, urzędnik kuratorium, zamieszkały w Bieńczycach. Chór ten śpiewał na różnych uroczystościach, na akademiach, na nabożeństwach w kościele, występował nawet na uroczystościach w Krakowie.

Był kiedyś taki piękny zwyczaj, że w okresie Bożego Narodzenia chodzili po domach kolędnicy z szopką i kolędowali pod oknami, gospodarze albo wynosili im jakąś kwotę, albo zapraszali ich do domu, by się ogrzali i pokolędowali. W każdej wsi chodziło po kilku takich kolędników od najmłodszych, prawie dzieci, aż do starszych parobczaków, nieraz nawet trzydziestoletnich. Młodzi mieli zwykle tylko samą szopkę, mniej lub bardziej udanie skonstruowaną, starsi miewali także „lalki", czyli kukiełki wyobrażające Heroda, diabła, śmierć, Żyda i różne pary regionalne, jak krakowiaków, górali, żołnierzy itp. Takich kolędników wpuszczano chętnie do domów, gdyż kolędowali wszystkim po kolei i robili całe przedstawienie w szopce przy pomocy lalek. Operujący lalkami wygłaszał monologi, śpiewał, lalki tańczyły i wykonywały najprostsze ruchy. Chodzący z szopką otrzymane pieniądze albo przepijali, albo się nimi dzielili. Po pewnym czasie szopka stała się własnością Stowarzyszenia i przez parę lat, aż do wybuchu wojny, z szopką chodzili po wsi druhowie.

Właściciel młyna, p. Lelito, a potem jego córka Elżbieta zapragnęli także zająć się pracą społeczną w Bieńczycach. Lelito zafundował w tym celu wspomniany już dom, a namówiony przez sołtysa, Jana Ciepielę, zakupił także instrumenty dla orkiestry dętej. Lelito zmarł w 1933 r. i orkiestra się rozpadła. Powołano ją do życia na nowo, ale już przy Stowarzyszeniu, sołtys w imieniu gromady wypożyczył nam instrumenty, zaangażowaliśmy kapelmistrza z Mogiły i zaczęliśmy występować na uroczystościach. Tak było do wybuchu wojny. W czasie okupacji zdeponowane w domu gromadzkim instrumenty zostały skradzione.

W 1933 r. odbyło się w Krakowie pamiętne „Święto Kawalerii". Była to 250 rocznica zwycięstwa pod Wiedniem, gdzie król Jan III Sobieski w 1683 r. na czele wojsk polskich, złożonych głównie z polskiej konnicy, rozgromił na zawsze potęgę turecką, która odtąd przestała zagrażać Europie. Zjechało do Krakowa 12 pułków polskiej kawalerii. Na krakowskich błoniach odbyła się wspaniała rewia. Pułki zakwaterowane były w podkrakowskich wsiach, także w Bieńczycach jeden z nich kwaterował. Po mszy św. dla upamiętnienia tej rocznicy posadzono koło ścieżki prowadzącej do Dworku młode drzewka owocowe, które ofiarował Wojciech Halik. W tym samym dniu odbyło się poświęcenie przydrożnej kapliczki na Budzyniu, zbudowanej kiedyś, a obecnie wyremontowanej przez rodzinę Turbasów. Kapliczkę poświęcił ks. Przeworski, a ja przemawiałem. Po poświęceniu Katarzyna Biernacikowa z d. Turbasa, z której inicjatywy kapliczkę odremontowano, zaprosiła nas na obiad do swojego domu.

Od początku powstania Stowarzyszenia myślano o utworzeniu własnej biblioteki. Pierwsze egzemplarze książek to były ofiary poszczególnych osób. Wykupiliśmy abonament na wychodzące co miesiąc książki z „Biblioteki Domu Polskiego". Kiedy o. Maksymilian Kolbe zaczął wydawać w Niepokalanowie „Mały dziennik", podjęliśmy kolportaż tego pisma. Codziennie koleją przychodziła paczka zawierająca 100 egz. dziennika, a jeden z druhów, Józek Zybura, odbierał tę paczkę i roznosił do stałych odbiorców. Abonowaliśmy także 50 egz. „Przewodnika Katolickiego" i tyle samo „Dzwonu Niedzielnego", tygodnika wydawanego przez kurię metropolitarną w Krakowie. Kolportażem tych dwóch tygodników zajmowały się dziewczęta z KSMZ.

Pierwsze „Dożynki" zorganizowały w 1933 r. same dziewczęta ze stowarzyszenia żeńskiego, następne organizowaliśmy już wspólnie. Program „Dożynek" był zwykle taki: przygotowany wieniec dożynkowy był w niedzielę zanoszony w pochodzie do kaplicy, gdzie bywał poświęcony w czasie mszy św. Po południu odbywały się pokazy na boisku sportowym lub nad rzeką Dłubnią, naprzeciw jazu, gdzie była mała kotlinka, wspaniale nadająca się na ten cel. Program „Dożynek" był oparty na starych zwyczajach ludowych z tańcami i przyśpiewkami, jakie w postaci broszury zebrał i wydał krakowski działacz kulturalny Marian Mikuta. Broszura ta służyła nam jako podręcznik przy urządzaniu „Dożynek". Coroczne organizowanie tego obrzędu weszło na stałe w nasz program pracy. Przygotowanie wieńca oraz pokazów i tańców zabierało wiele czasu. Z biegiem lat wykształcił się stały zespół, który się tym zajmował. Tańce i śpiewy przygotowywała Marysia Halikówna, potem pomagała jej w tym młodsza druhna, którą wysłano na kurs tańców ludowych, Zosia Zyburzanka. „Dożynkami" interesowała się i brała w nich udział jako widownia cała wieś. Ze starszych gospodarzy wybieraliśmy gospodarza i gospodynię „Dożynek", którym ofiarowywano wieniec dożynkowy. Na zakończenie „Dożynek" odbywała się ogólna zabawa.

Kiedy w dekanacie powiększyła się ilość oddziałów KSMM i Ż i powstały kierownictwa okręgowe, urządzaliśmy także „Dożynki" okręgowe, na które każdy oddział przywoził swój wieniec dożynkowy i dawał swój punkt do ogólnego programu. Takie „Dożynki" – jak pamiętam – odbyły się w Bieńczycach, Mogile, Pleszowie. Urządzenie „Dożynek" okręgowych w Pleszowie uważaliśmy za nasz duży sukces, który wykazał naszą prężność organizacyjną, m.in. dlatego, że nie istniało tam w tym czasie już Stowarzyszenie Młodzieży Męskiej, a działało tylko KSMŻ i wieś uważana była za centrum ruchu ludowego w powiecie. Dożynki nasze mimo to wypadły bardzo dobrze, był na nich nawet ówczesny starosta powiatowy, dr Wnęk. Ostatnie „Dożynki" w Bieńczycach odbyły się w niedzielę 20 sierpnia 1939 r., na niespełna dwa tygodnie przed napadem Niemców na Polskę. De-

legacja naszych Stowarzyszeń była przed „Dożynkami" u ks. metropolity Adama Sapiehy, zapraszając go na tę uroczystość.

O zainteresowaniu sportem, zwłaszcza piłką nożną, już wspomniałem. Poważną trudnością w tym względzie był brak stałego boiska. Dzierżawcą dworu w Bieńczycach i Czyżynach, które stanowiły własność kurii metropolitarnej, był inż. Kazimierz Cieślewicz. Jego siostra Helena, mieszkając w Bieńczycach, administrowała majątkiem bieńczyckim i współpracowała z miejscowym KSMŻ. Cieslewicz odnosił się do naszej pracy bardzo życzliwie. Kiedyś w rozmowie z nim poruszyłem sprawę naszych trudności, a szczególnie brak boiska sportowego. Już przedtem korzystaliśmy przejściowo z dworskiej łąki oraz z pola położonego w pobliżu Dworku. Zawsze jednak był problem, że kibice zadeptywali prócz boiska jeszcze sąsiednie pole uprawne lub łąkę. Wtedy inż. Cieślewicz powiedział do mnie, że jeśli znajdziemy gdzieś taki kawałek pola, który będzie tak usytuowany, że nikt nie będzie robić szkody w polu, to nam go da. Podzieliłem się tą wiadomością z chłopami i zaczęliśmy kombinować. Był kawałek dworskiego pola łączący się z zabudowaniami dworskimi, mający około dwóch morgów, wchodzący między posiadłości chłopskie. Ten kawałek pola z jednej strony dochodził do drogi na Budzyniu (część wsi łącząca się z Mistrzejowicami), po bokach zaś graniczył z jednej strony z ogrodem Nowaka, a z drugiej z ogrodem Tyrki. Miejsce jakby wymarzone na boisko. Przy najbliższym spotkaniu z inżynierem powiedziałem: *–Panie inżynierze, słowo się rzekło, kobyłka u płotu. – Co takiego?* – odezwał się Cieślewicz. – *Pamięta pan naszą rozmowę na temat boiska? Znaleźliśmy taki kawałek pola, który odpowiada warunkom postawionym przez pana*. Kiedy mu powiedziałem o jaką to parcelę chodzi, odrzekł: – *No trudno, słowo się rzekło, bierzcie!* I tak weszliśmy w posiadanie wymarzonego boiska.

W 1935 r. w Bieńczycach odbył się pierwszy zlot okręgowy KSMM okręgu mogilskiego. Na boisku stanął wysoki maszt ze sztandarem, wokoło masztu była zbiórka przybyłych oddziałów, raport i wymarsz do kaplicy na mszę św. Kazanie miał ks. B. Boguszewski, był także na zlocie ks. Pankiewicz i jako delegat ks. metropolity ks. prałat Kulig. Akademia odbyła się w ogrodzie koło Dworku. Co znaczniejsi goście byli na obiedzie we dworze. Dla chłopaków przygotowaliśmy posiłek w ogrodzie, nasze dziewczęta do późna w nocy smażyły sznycle. Po południu zawody sportowe odbyły się na naszym boisku. Zlotem naszym żyła w tym dniu nie tylko młodzież, ale cała wieś. Obecnych na zlocie było ponad trzystu druhów z dekanatu mogilskiego. Mając boisko mogliśmy teraz częściej zapraszać różne drużyny na mecze piłki nożnej. Za pieniądze uzyskane z przedstawień, zabaw i festynów zdobyliśmy się na pierwsze jednolite kostiumy dla całej drużyny piłki nożnej. Były to koszulki czerwono-białe i białe z lampasami spodenki, odkupione (używane) od Pocztowego Klubu Sportowego w Krakowie. Buty do piłki nożnej początkowo chłopaki mieli własne, z czasem zdobyliśmy się także na kupno kompletu butów futbolowych.

Rok 1935 obfitował w wydarzenia. 12 maja zmarł marszałek Józef Piłsudski. Stowarzyszenie zorganizowało w swoim „ognisku" akademię żałobną poświęconą zmarłemu. Referat na temat życia i zasług Piłsudskiego wygłosił kierownik szkoły, Józef Celiński, młodzież deklamowała wiersze. W tym też roku nasz druh i mój szkolny kolega, Franek Ciepiela, kończył Seminarium Duchowne i otrzymał święcenia kapłańskie. Był to pierwszy bieńczycanin, który wybrał stan duchowny. Cała wieś się tym interesowała i żyła przygotowaniami do uroczystości prymicyjnych, które miały się odbyć w parafii raciborowickiej. Parafia była również mocno zainteresowana tym wydarzeniem, zwłaszcza, że ks. Przeworski związany był już od 3 lat z Bieńczycami. Chłopaki z wielkim trudem szukali w okolicznych wsiach sukman krakowskich i siodeł na konie, gdyż przygotowywano banderię krakusów złożoną z około 30 koni, dziewczęta przygotowały z jedliny długi, zielony, ustrojony kwiatami wieniec, którym miał być otoczony prymicjant wychodzący z plebani do kościoła, a chór nasz pod kierunkiem dr Święcha przygotowywał się do wykonania pieśni w czasie mszy św. W dniu uroczystości posuwał się z Bieńczyc przez Mistrzejowice i Batowice do Raciborowic długi pochód. Ks. prymicjant jechał powozem w towarzystwie swych rodziców otoczony banderią krakusów, towarzyszyli im liczni mieszkańcy naszej wsi, a pod kościołem zebrał się wielki tłum ludzi. Manduktorem, czyli takim, który miał czuwać nad poprawnym wykonywaniem czynności liturgicznych był o. Robert Kuchar, przeor Cystersów z Mogiły. Po mszy św. powrót do Bieńczyc, w domu prymicjanta odbyło się przyjęcie, było to jakby wesele.

W 1936 r. przypadła 10 rocznica istnienia naszego Stowarzyszenia. Obchodziliśmy tę uroczystość w listopadzie, w dniu Święta Młodzieży, na którą przybył m.in. ks. proboszcz Józef Jamróz i inż. Kazimierz Cieślewicz, który świadczył nam wiele dobrodziejstw. Wieczorem odbyło się przedstawienie, którego treścią był żywot św. Stanisława Kostki.

W 1937 r. odbyła się uroczystość poświęcenia sztandaru, połączona z „Dożynkami". Sztandar wykonały zakonnice w Krakowie, a drzewce zakończone odznaką wykonał stolarz Pazdalski z Bieńczyc. Dworek i nasze ognisko zostały udekorowane, w kilku miejscach w poprzek drogi umieściliśmy transparenty z napisami „My chcemy Boga", „Hej do apelu stańmy wraz" itp. Poświęcenia sztandaru przed kaplicą dokonał ks. prof. Rychlicki, katecheta krakowskich szkół średnich. Chorążym do noszenia sztandaru wybrano Franka Krawczyka. W 1938 r. podobny przebieg miała uroczystość

poświęcenia sztandaru Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Żeńskiej, a więc była msza św. w Dworku, potem akademia i po południu dożynki.

W 1939 r. w kursie przodowników KSMM w Prusach brał udział druh Piotr Zamojski, a w kursach wychowania fizycznego w lecie brali udział druhowie: Franek Bochenek, Roman Doniec, Władysław Świder, a w kursie świetlicowym Zofia Zyburzanka.

Od czasów I wojny światowej istniało we wsi Stowarzyszenie Dzieci Maryi, które założył ks. proboszcz Ludwik Płonka. Dworek kupiony od zakonnic przez tego księdza był własnością Stowarzyszenia Dzieci Maryi. Prezeską Stowarzyszenia była już starsza pani Salomea Ciepielanka, a po jej ustąpieniu Frania Ciepielanka. One dbały o Dworek i o kaplicę, dokonywały drobnych napraw i remontów. Kiedy w latach trzydziestych powstało jeszcze Katolickie Stowarzyszenie Mężów, którego prezesem został Józef Walczak, dla sprawniejszej opieki nad budynkiem, z którego korzystały wszystkie cztery Stowarzyszenia, utworzono komitet, który miał dbać o utrzymanie Dworku w dobrym stanie.

Lata trzydzieste były okresem bardzo ożywionej pracy wszystkich stowarzyszeń, prócz wymienionych wcześniej prac i poczynań organizowano w Dworku np. wykłady dostępne dla ogółu mieszkańców wsi (zwykle w zimie). Prelekcje mieli ks. Przeworski, dr Łowczowski, kier. szkoły Józef Celiński. Zapraszano także prelegentów z Krakowa, odbył się np. prowadzony przez prof. Ludwika Sikorę trzydniowy kurs ogrodniczy, na którym uczono szczepienia i oczkowania drzewek. Radzono jakie odmiany drzew owocowych i jarzyn w miejscowych warunkach należy uprawiać.

Na wiosnę 1939 r. dekanat mogilski urządził w Mogile dekanalny kongres eucharystyczny. Głównym punktem uroczystości, na który przybyły wszystkie parafie dekanatu, była msza św. na błoniach w Mogile. Saperzy budujący w tym czasie most na Wiśle w Mogile zbudowali z pontonów ołtarz polowy i tu znowu młodzież zorganizowana w katolickich stowarzyszeniach brała liczny udział. Wiosną 1939 r., kiedy sytuacja międzynarodowa coraz więcej się zaogniała i czuło się zbliżającą wojnę, urządziliśmy w Bieńczycach, z inicjatywy stowarzyszeń manifestację antyniemiecką, w której wzięła udział licznie zgromadzona młodzież, starsi, KSMM i Ż, Koło Stronnictwa Ludowego, Związek Rezerwistów i orkiestra. Po mszy św. uformował się pochód, który przeszedł drogą przez wieś, następnie główną szosą i wrócił przez Zagościniec pod kaplicę. Niesiono przygotowane transparenty z napisami oraz nasze organizacyjne sztandary, grała orkiestra, śpiewano patriotyczne pieśni.

6 sierpnia 1939 r. odbywał się na Błoniach w Krakowie ostatni przed wojną Zjazd Legionistów, na którym marszałek Śmigły-Rydz przemawiał o tym, że „nie oddamy nie tylko sukmany, ale nawet guzika od niej". W czasie tego zjazdu zrobiłem zdjęcia ostatnim weteranom powstania styczniowego, którzy jechali w dorożkach, trzymając w swych pomarszczonych dłoniach bojowe sztandary. Równy miesiąc później w Krakowie byli już Niemcy. Wtedy nie gasła jednak nadzieja, że może do wojny nie dojdzie, że Hitler tylko blefuje. We wsi życie toczyło się normalnym trybem. Chłopi orali i siali na wiosnę, potem w lecie kosili dojrzałe zboże i zwozili do stodół. Stowarzyszenia nasze czyniły przygotowanie do dożynek, odbywały się próby pokazów, przygotowywano wieniec. Udaliśmy się z delegacją do ks. kardynała metropolity Adama Sapiehy by zaprosić go na dożynki. Nie obeszło się przy tej okazji bez rozmowy na temat aktualnej sytuacji i ewentualnej wojny. Metropolita pocieszał nas, że Żydzi mówią, iż wojny nie będzie. Jeszcze wieczorem ostatniego sierpnia mimo, że widzieliśmy ciągnące przez wieś wozy taborowe, załadowane pociskami artyleryjskimi, łudziliśmy się...

Sport i zabawy

Na terenie wsi istniało przed I wojną światową Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół". Miało ono salę gimnastyczną w swoim budynku, gdzie odbywały się ćwiczenia. Sala była wyposażona w przybory do gimnastyki (skrzynie, kozły, konie, lance i maczugi). Ćwiczenia odbywały się tam lub na wolnym powietrzu. Członkowie „Sokoła" brali udział w różnych imprezach, jak np. w wielkim zlocie sokolim, zorganizowanym w Krakowie w 1910 r. z okazji 500 rocznicy zwycięstwa pod Grunwaldem. W ramach uroczystości odbyły się wielkie pokazy gimnastyczne na Błoniach krakowskich i został odsłonięty pomnik Grunwaldzki na placu Matejki w Krakowie. Stworzony został także oddział przysposobienia wojskowego „Drużyny Bartoszowe" i jego członkowie odbywali ćwiczenia wojskowe na drodze i łąkach położonych nad Dłubnią. I wojna światowa przerwała wszelką pracę społeczną. Wielu młodych ludzi wcielonych zostało do armii austriackiej, służyli oni głównie w 13 pp. „Dzieci Krakowskich". Kilku poległo w walkach i nie wróciło do domów, byli też ranni.

Miejscowa młodzież i dzieci uprawiały różnego rodzaju gry i zabawy. Ulubioną i często uprawianą grą był „krąg". Gracze rozstawiali się na drodze w odległości kilkudziesięciu metrów od siebie, uzbrojeni byli w grube kije (często sztachety wyrwane z płotu) lub krótkie kawałki desek. Głównym przyborem do gry w „krąg" było kółko wycięte z deski lub ucięte piłką do drzewa z okrąglaka, czasem kółko metalowe. Jeśli „krąg" był drewniany, bywał okuty obręczą. Średnica „kręgu" wynosiła 15 cm, grubość do 2 cm. Jeden z drużyny rozpoczynającej grę wypuszczał „krąg" zamachem ręki w kierunku przeciwnika tak, by ten toczył się po drodze. Zadaniem gracza drużyny przeciwnej było zatrzymanie „kręgu" trzymanymi w ręku kijami lub deską. Jeśli krąg zdołał się przemknąć miedzy broniącymi, wówczas cała dru-

żyna przesuwała się do tyłu do miejsca, gdzie „krąg" się zatrzymał. Teraz „krąg" był wypuszczany w kierunku przeciwnej drużyny i historia się powtarzała. Wygrywała ta drużyna, która potrafiła przepędzić przeciwnika jak najdalej. Pomagano sobie przy tym różnymi okrzykami. Ponieważ gra toczyła się zwykle na głównej ulicy wsi, gdzie na jednym końcu stała karczma, a na drugim był dwór, darzono się okrzykami np. „A do karczmy na piwo" przeciwnicy znów wołali „Do dworu na mleko". Młodsi bawili się w znane ogólnie zabawy – w „gonionego", popularnego „berka", w „pliszkę" (klipę), w „mydło", zbójów i żandarmów. Zabawa w „mydło" polegała na tym, że każdy z bawiących się stawał koło drzewa lub innego przedmiotu do oparcia, jeden wylosowany lub taki, któremu brakło drzewa lub innego przedmiotu do oparcia chodził od jednego do drugiego pytając: „gdzie jest mydło?" Zapytany odpowiadał „tam jest mydło", wskazując na współtowarzyszy, którzy w tym czasie dokonywali zmiany miejsc. Jeśli pytający zdążył w tym czasie podbiec i stanąć na zwolnionym miejscu, był wybawiony. Następnie chodził i pytał „gdzie jest mydło?" ten, któremu miejsca zabrakło.

Za czasów austriackich w szkołach ludowych gimnastyki ani żadnych gier i zabaw program nauczania nie przewidywał. Dopiero po wojnie zaczęto wprowadzać w szkołach lekcję gimnastyki. W Bieńczycach nie było jednak sali gimnastycznej, boiska i nauczyciela do wychowania fizycznego. Młodzież dojeżdżająca do szkół średnich do Krakowa przenosiła na wieś poznane w mieście gry i zabawy. Największą popularnością zaczęła cieszyć się piłka nożna, grano z początku w popularną „szmaciankę". Potem jeden z miejscowych chłopców, „majster od wszystkiego", Staszek Biernacik „spod młyna", zaczął szyć piłki skórzane ze starych cholew od butów. Była to wielka atrakcja. Z braku dętki gumowej piłkę napełniano powietrzem. stosując zamiast dętki pęcherz zwierzęcy. Wśród młodzieży dojeżdżającej pociągiem kocmyrzowskim do szkoły do Krakowa zaczęły powstawać „dzikie drużyny" piłki nożnej. Rozgrywano mecze między drużynami złożonymi z uczniów rekrutujących się z Mogiły i Bieńczyc przeciwko drużynie z Kocmyrzowa. Czasem tworzono reprezentacje całego pociągu i ściągano drużynę z Krakowa. Rozgrywano te mecze na błoniach w Mogile, Czyżynach lub Kocmyrzowie. W Bieńczycach błoń nie było, dlatego grywano głownie jesienią na skoszonych łąkach. Nie było z początku ani butów futbolowych, ani kostiumów. Młodzież wiejska grała boso. Od takiej gry bolały stopy i palce u nóg, ale piłka pociągała. Na takiego, który miał własne buty futbolowe patrzono z respektem. Dobry gracz w piłkę nożną cieszył się wielkim autorytetem i sympatią. Z uczniów gimnazjalnych dobrze grał Franek Ciepiela (później był kapitanem w wojsku). Własne buty futbolowe miał Staszek Kaszowski, który dobrze grał zwłaszcza w obronie (mówiło się wtedy: „na beku"). Wśród najlepszych byli wówczas także Bolek Raźny z Krzesławic, z Mogiły Janek Staszyczyn, z Kocmyrzowa Romek i Zygmunt Gajdowie oraz Staszek Garlicki. Drużynę Kocmyrzowa zasilał często urzędnik kolejowy Prich, chłop chyba dwumetrowej wysokości. Żartowaliśmy, że małego wzrostu Bolek Raźny przemyka mu między nogami. Niebawem założono stałą drużynę, która pieczętowała się herbem „Wanda", jako że w całej okolicy najbardziej znanym zabytkiem był kopiec Wandy w Mogile. Grupa piłkarzy była na tyle liczna, że można było skompletować dwie, a czasami nawet trzy drużyny. W Bieńczycach, niezależnie od drużyn klubowych, grała miejscowa młodzież. Dzielono się zwykle na dwie drużyny i w niedzielę po południu odbywały się miejscowe „derby": „Góra" kontra „Dół", jako że w jednej drużynie grali mieszkańcy górnej części wsi, a w drugiej dolnej.

Powstałe w roku 1926 Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej próbowało przejąć we wsi kierowniczą rolę w szerzeniu sportu w ogóle, a piłki nożnej w szczególności. Za dochody uzyskane z przedstawień, festynów i zabaw kupowano przede wszystkim piłki. Pierwsze (używane) kostiumy do gry dla całej drużyny (czerwono-białe) odkupiono od Pocztowego Klubu Sportowego w Krakowie. Z upływem lat sport zyskiwał sympatyków i kibiców wśród starszych, którzy czasem dorzucali parę złotych na piłkę i kostiumy. Zakupiono niebawem nowe kostiumy i buty futbolowe dla całej drużyny. Ponieważ Bieńczyce nie posiadały pastwiska ani błoń, które zwykle służyły jako boisko, nie było gdzie grać. Kiedy już powstało Stowarzyszenie, zabiegano o stałe boisko u dzierżawcy dworu, Świerczewskiego, a potem u Cieślewicza. Odstępowali nam oni na boisko kawałek łąki, to znowu jakiś ugór lub pole po skoszonej koniczynie, lecz stałego boiska nie było. Wywoływało to nieporozumienia z właścicielami pól, bo piłka często wypadała poza granice boiska na nieskoszone jeszcze łąki. Pewnego razu w rozmowie z dzierżawcą dworu inż. Kazimierzem Cieślewiczem, który rozumiał potrzeby młodzieży i życzliwie odnosił się do poczynań Stowarzyszenia, poruszyliśmy sprawę boiska. Poradził nam, abyśmy znaleźli taki kawałek pola lub łąki, który będzie w jakiś sposób oddzielony od otoczenia i nie będzie groził deptaniem upraw. Wreszcie znaleźliśmy. Obok dworskich stodół był kawałek pola, wielkości około hektara, wchodzący między chłopskie zabudowania, z jednej strony Nowaka, z drugiej Tyrki. Cieślewicz wyraził zgodę na tę propozycję. Radości było wiele. Zbudowaliśmy staraniem stowarzyszenia bramki do piłki nożnej, z boku zaś kosze do piłki koszykowej, słupki do siatkówki oraz skocznię i zostało jeszcze miejsce na rzutnię i bieżnię. Teraz już prawie co niedzielę odbywały się mecze w piłkę nożną oraz rozgrywki w piłkę koszykową i siatkową. Te ostatnie dyscypliny stowarzyszenie propagowało, urządzając co roku rozgrywki między okolicznymi stowarzyszeniami, których na terenie dekanatu mogilskiego było kilkanaście. Odbywały się co roku także zawody lekkoatletyczne, zwykle w ramach zlotów okręgowych stowarzyszeń. Zawody te odbywały się na zmianę w różnych okolicznych wsiach i propagowały sport tam, gdzie jeszcze nie cieszył się większym zainteresowaniem. Ponieważ jednak do piłki nożnej był ciągle największy zapał, postanowiono sekcji sportowej przy stowarzyszeniu nadać nazwę, nie zrywając jednak związku z organizacją młodzieży katolickiej. Powstał Klub Sportowy Tęcza. Nazwę „Wanda" po różnych zmianach organizacyjnych przyjął klub sportowy w Mogile, który przez pewien czas był związany z krakowską Wisłą. Klub posiadał własne stroje piłkarskie, buty futbolowe, kostiumy lekkoatletyczne, piłki i inne przybory sportowe.

Wybuch wojny przerwał działanie tak stowarzyszenia jak i klubu, nie zatrzymał jednak działalności sportowej. Wzorem klubów krakowskich organizujących „dzikie" drużyny i rozgrywających mecze, w Bieńczycach, mimo okupacji hitlerowskiej i zakazu tworzenia jakichkolwiek organizacji, odbywały się często mecze piłki nożnej z drużynami z okolicznych wsi oraz z Krakowa. Po zakończeniu II wojny światowej w Bieńczycach powstał znowu klub sportowy należący do Zrzeszenia Ludowych Zespołów Sportowych. Miał swoje boisko na dawnych łąkach dworskich, wybudowano nawet barak na szatnie, zakupiono kostiumy i buty futbolowe, uruchomiono inne sekcje, organizowano zawody. Z chwilą rozpoczęcia budowy miasta i Kombinatu klub połączył się ze Zrzeszeniem „Budowlani", tam przeszli co lepsi zawodnicy i ruch sportowy na terenie wsi praktycznie przestał się rozwijać.

Obrzędy i zwyczaje

Najbardziej chyba w różne zwyczaje obfitował okres Bożego Narodzenia. Na długo przed świętami chłopcy zbierali się po domach przygotowując się, by móc w czasie świąt pójść po kolędzie. Uczyli się kolęd, wykonywali mniej lub więcej udane szopki, z którymi wędrowali przez cały okres świąt Bożego Narodzenia od domu do domu. Chodziło zwykle po kolędzie kilka grup chłopców od najmłodszych do najstarszych. Ci najstarsi mieli szopkę okazałą i lalki (kukiełki), które w szopce tańczyły. Chętnie zapraszano ich do domów, gdzie kolędowali i śpiewali – przede wszystkim gospodarzowi, następnie wszystkim domownikom po kolei, a potem „puszczali" lalki. Grupy najstarszych chłopców miały ze sobą mniej lub więcej liczną orkiestrę (choć czasem tylko harmonię), więc na końcu odbywała się zabawa. W sąsiednich wsiach chodzili chłopcy z gwiazdą, turoniem lub tzw. „przebieranką", czyli po prostu odgrywali jasełka. Niezależnie od tego organizował „jasełka" z udziałem młodzieży kierownik szkoły, Łowczowski.

Na święta wypiekały gospodynie różnego rodzaju ciasta i kołacze. Wilia była dniem ścisłego postu. Dopiero wieczerza wigilijna – złożona jednak wyłącznie z postnych potraw – umożliwiała zaspokojenie apetytu. Czekano z nią na ukazanie się pierwszej gwiazdki. Wieczerza składała się z wielu potraw, a były to przede wszystkim paluszki z olejem, kluski z makiem, kapusta, barszcz na grzybach, placek z olejem. Ryby w domach wiejskich na wilię nie bywało, może ze względu na trudności z jej zdobyciem w naszych stronach. Ryby to był rarytas żydowski, tam zawsze na szabas musiała być ryba. Resztki wieczerzy wigilijnej dawano zwierzętom. Przed wieczerzą łamano się opłatkiem. Opłatki roznosił przed świętami organista, to był jego przywilej, dostawał za to ofiary w gotówce. W wilię przytwierdzano do powały oraz do tragarzy zrobione ze słomy „kopy" i „gwiazdy", które w święto Trzech Króli wczas rano zdejmowano i wynoszono na obsiane pola. Miały one chronić pola przed klęskami żywiołowymi, jak deszcze i gradobicia, czy inne zniszczenia płodów rolnych. W noc wigilijną szło się do kościoła na pasterkę. My z Bieńczyc chodziliśmy na pasterkę do Mogiły, bo było bliżej niż do kościoła parafialnego w Raciborowicach. Wyrządzano w tę noc różne psoty, np. malowano wapnem szyby w oknach domów, gdzie były panny na wydaniu, do kropielnicy w kościele wlewano atrament lub inną farbę, by żegnający się krzyżem pobrudził sobie czoło. Po świętach rozpoczynał kolędę, czyli jak dziś nazywamy – wizytę duszpasterską – ksiądz proboszcz lub wikary. Chodził nie sam, poprzedzali go ministranci oraz organista i kościelny. Każdemu dawało się jakąś ofiarę. Organista kreślił na drzwiach litery K+M+B (Kacper, Melchior, Baltazar) i wypisywał rok. Ksiądz po odmówieniu modlitwy i pokropieniu mieszkania siadał na krześle i rozmawiał z domownikami. Po jego wyjściu dziewczęta pilnowały, by usiąść na jego miejscu, gdyż panowało przekonanie, że ta, która pierwsza po księdzu usiądzie, wyjdzie niebawem za mąż. W drugi dzień świąt Bożego Narodzenia, czyli w dzień świętego Szczepana, kawalerowie idąc do kościoła napełniali swoje kieszenie owsem, którym obrzucali po twarzy dziewczęta. Miała to być pamiątka ukamienowania pierwszego męczennika.

Od świąt rozpoczynał się karnawał, na wsi okres ślubów i wesel. W drugi dzień świąt lub w najbliższą niedzielę kawalerowie, którzy zamierzali się żenić i mieli już upatrzoną dziewczynę, szli ze swatami na „sprawiny", potem jechali do notariusza do „zapisu", czyli hipotecznego przekazania młodym jakiegoś majątku czyli posagu, następnie zawozili do parafii zapowiedzi. Jeżeli zapowiedzi zdążyły wyjść przed ostatkami, to ślub i wesele odbywały się jeszcze w karnawale, jeżeli nie, to dopiero po Świętach Wielkanocnych. W ostatki, czyli na zakończenie karnawału, odbywały się w zamożniejszych domach przyjęcia lub zabawy. Jeśli był jeszcze

śnieg, urządzano kuligi, a po domach chodzili różni przebierańcy. W „gromniczną", czyli w święto Matki Bożej 2 lutego kobiety (najczęściej) niosły do kościoła świece (gromnice) dla poświęcenia. Po powrocie do domu z zapaloną gromnicą wypalano na powale i na drzwiach znak krzyża. Gromnica miała chronić przed nieszczęściami, zapalano ją w czasie burzy, by uchronić dom przed uderzeniem pioruna. Zapaloną gromnicę dawno do ręki umierającemu.

Od ostatków zaczynał się Wielki Post, trwający do Wielkanocy. W tym czasie, poza niedzielą, nie jedzono mięsa, a w piątki nie używano żadnych tłuszczów. Jeszcze dawniej przez cały Wielki Post, poza niedzielą, nie jedzono mięsa i nie używano tłuszczów. W Niedzielę Palmową chodzili po domach „pucherniki" (pucheroki). Młodzi chłopcy smarowali sobie twarz sadzami, na głowę wsadzali wysoką, zrobioną z papieru czapkę, ustrojoną kolorowymi papierkami, w ręku trzymali na długim patyku drewniany młotek, w drugiej ręce koszyk na dary, jakie po domach otrzymywali. „Puchernik", przyszedłszy do izby, stukał stołkiem po różnych przedmiotach i meblach, wygłaszając przy tym wierszową przemowę. Pamiętam przynajmniej początek takiej oracji:

Jo, mały pastuska,
Sukołem Jezuska,
Znalozłem go pod dębem,
Mioł piscołkę i bęben,
Na bębenku puku, puku,
Na piscołce fitu, fitu.
Zasadem do baby,
Baba krowę doi,
Dała mi się mlika napić,
az mnie głowa boli...

Jeśli gospodyni ociągała się z ofiarą w postaci jajek lub innych darów, „puchernik" coraz mocniej uderzał młotkiem po glinianych garnkach, a gospodyni w obawie, by jej garnków nie rozbijał, dawała jakąś ofiarę i „puchernik" szedł dalej, do następnego domu.

W Niedzielę Palmową kobiety niosły do kościoła palmy, które ksiądz święcił przed mszą świętą. Przed Świętami Wielkanocnymi w zamożniejszych domach zabijano świnię, by mieć na święta własną wędlinę. Po skończonym poście pozwalano sobie na obfitsze jedzenie, które w Wielką Sobotę przyjeżdżający z parafii ksiądz święcił w kaplicy lub na dziedzińcu w szkole. Tak w święta Bożego Narodzenia, jak i Wielkanocy nie było we wsi człowieka, który nie byłby w tych dniach w kościele na mszy. Pierwszy dzień spędzano zwykle w domu. W drugi dzień Wielkanocy był śmigus, już od rana oblewano się w domach wodą, na drodze kawalerowie i młodsi chłopcy „polowali" na dziewczęta, by je oblać wodą. Zabawa ta trwała cały dzień. Nieraz przyłapaną dziewczynę zaciągano pod studnię i oblewano całymi wiadrami wody, było wiele krzyku i pisku. Dziewczęta psioczyły na chłopaków, ale te, które nie były oblane wodą, uważały, że nie mają u nich powodzenia. Na Zielone Święta był zwyczaj majenia domów zielenią, obcinano gałęzie kasztanowców i innych drzew i przybijano gałęzie do drzwi. Przez obydwa dni świąt palono wieczorem sobótki. Sobótki przygotowywano ze słomy. Wiązkę długiej słomy wiązano powrósłami, dla lepszego trzymania wtykano w nią kij, za który płoną-cą sobótkę trzymano w rękach. Biegano z sobótkami i wymachiwano nimi. Obok sobótek przynoszono inne materiały do spalenia: stare brzozowe miotły, czasem beczki po smarach, które dawały duży ogień i jeszcze większy dym. Palono u nas sobótki w trzech miejscach. Jedni palili je na drodze prowadzącej do Mogiły, inni na drodze do Rakowic, zaraz za „dworkiem", a jeszcze inni za ostatnimi domami Budzynia na drodze do Mistrzejowic. Tradycyjną potrawą, którą spożywano w Zielone Święta, była jajecznica.

W maju przypadał dzień świętego Izydora, patrona rolników. W dniu tym świętowano tylko do południa, po południu rolnicy pracowali normalnie. W czerwcu na świętego Jana puszczano na naszej rzece Dłubni wianki. Dziewczęta na kawałkach deseczek lub tektury przygotowywały z kwiatów wianki. W środku wianka umieszczano świeczkę i zapaliwszy ją puszczano na wodę. Płynęły takie świecące wianki wodą, dopóki nie namokły i nie zatonęły. Czasem chłopcy stojący na brzegu złośliwie rzucali kamieniami i zatapiali płynące wianki.

W lipcu, w dniu świętej Małgorzaty, był odpust w parafii w Raciborowicach. Była to jedna z okazji odwiedzenia kościoła parafialnego, gdyż jak już wspominałem normalnie chodzili bieńczycanie do kościoła klasztornego do Mogiły, bo tam było o wiele bliżej niż do kościoła parafialnego.

O wiele atrakcyjniejszy był odpust w Mogile, jaki odbywał się przy klasztorze Cystersów we wrześniu. Odpust ten, który trwał cały tydzień, rozpoczynał się 13 września na Podwyższenie Krzyża Świętego. Najwięcej pątników gromadziło się w niedzielę przypadająca po 13 września. Przybywały pielgrzymki nie tylko z najbliższych parafii, ale także z dalszych okolic. Przybywało wielu ludzi z Krakowa, jedni pieszo, inni koleją, jeszcze inni furmankami, które czekały na nich koło rogatki mogilskiej, położonej obok fortu przy ul. Lubicz. Przez cały tydzień odbywały się msze i nabożeństwa, zaproszeni kaznodzieje głosili kazania, księża siedzieli w konfesjonałach, słuchając spowiedzi. Zjeżdżali na odpust różnego rodzaju kramarze, którzy ustawiali swe kramy już od szosy na całej długości drogi do klasztoru. Zjeżdżały także atrakcyjne dla młodzieży karuzele, huśtawki, koniki, strzelnice, które miały dostarczać rozrywki i zabawy. Organizowano jadłodajnie i wyszynk

piwa. Zjawiała się, zwłaszcza na niedzielę, cała gromada różnego rodzaju dziadów i żebraków, którzy zajmowali miejsca wzdłuż drogi do klasztoru i różnymi sposobami pokazując swoje kalectwo, głośnym śpiewem lub modlitwą zwracali na siebie uwagę przechodniów, domagając się ofiary.

W sierpniu na Matkę Boską Zielną święciło się w kościele ziele. Dziewczęta z każdego prawie domu niosły do kościoła często bardzo duże wiązanki kwiatów, traw i innego ziela. Z dworów i większych gospodarstw przywożono do kościoła wieńce dożynkowe do poświęcenia. W tym dniu też urządzano we dworach i większych gospodarstwach dożynki połączone z zabawą. Później dożynki organizowały różne organizacje młodzieżowe. Obchody te połączone były z pokazami, tańcami ludowymi i kończyły się zabawą. W dniu Wszystkich Świętych, 1 listopada, ludzie tłumnie wędrowali do Raciborowic, by tam na parafialnym cmentarzu odwiedzić swoich zmarłych bliskich i krewnych.

Zajęcia ludności

Jakkolwiek Bieńczyce położone były blisko miasta, a zbudowanie kolei tę odległość jeszcze zmniejszyło, to jednak do I wojny światowej ludzie zajmowali się prawie wyłącznie rolnictwem. Tradycyjnie obsiewano pola czterema głównymi rodzajami zbóż: pszenicą, żytem, jęczmieniem i owsem. Sadzono ziemniaki, buraki i kapustę, dla bydła i koni siano koniczynę. Kiedyś były we wsi wielkie, czterdziestomorgowe gospodarstwa (tzw. „łany"), jednak z biegiem czasu gospodarstwa te przez podziały uległy rozdrobnieniu. Przybywało ludzi, przybywało domów i zabudowań gospodarczych, ziemi jednak nie przybywało, dlatego gospodarstwa były coraz mniejsze. W okresie międzywojennym największe gospodarstwo miał we wsi Franciszek Ptak, który jednak gospodarstwa nie odziedziczył po swoich przodkach, lecz skupował ziemię od miejscowych chłopów (...).

Wielu dawniej zamożnych gospodarzy przez rozdzielanie gruntów między dzieci oraz sprzedaż ziemi zupełnie zbiedniała i niektórzy z nich zmuszeni byli jąć się pracy wyrobniczej u bogatszych lub pracy we młynie. Zamożniejsi chłopi posiadali po dwa, a czasem trzy konie, mniej zamożni mieli tylko po jednym. Byli tacy, którzy na dwóch lub trzech morgach konia nie utrzymali. Ci zmuszeni byli korzystać z pomocy sąsiadów. Za zaoranie i obsianie pola lub wykopanie ziemniaków albo płacili gotówką, albo częściej usługę odpracowywali przy żniwach lub wykopkach. Nawet u zamożniejszych gospodarzy przy pracochłonnych robotach nie najmowano ludzi, lecz raczej wzajemnie sobie pomagano. Było we wsi kilka rodzin wyrobników, którzy stale najmowali się do pracy u gospodarzy.

Zamożniejsi gospodarze zatrudniali służących – tak chłopaków, jak i dziewczęta. Zmawiano ich do służby w Krakowie pod pomnikiem Mickiewicza, gdzie tradycyjnie w określone dni gromadziły się biedniejsze dziewczęta i chłopcy, pochodzący głównie z okolic podgórskich, a gospodarze z okolic Krakowa przyjeżdżali i dobierali sobie pomoc do gospodarstwa. Służący uważani byli za coś niższego społecznie. W gospodarstwach, w których pracowali, dostawali według umowy wyżywienie, ubranie i mieszkanie. Bardzo często służący spędzali noce wraz z bydłem w stajni, gdzie mieli swoje „wyrki". Nie było to zbyt poniżające, gdyż w liczniejszych rodzinach często sypiano w stajni z końmi lub krowami.

Domy we wsi były przeważnie drewniane, murowanych było zaledwie kilka. Stare domy drewniane bez podmurówek zapadały się w ziemię, tak, że okna niektórych chałup znajdowały się tuż nad ziemią. Domy kryte były przeważnie strzechą ze słomy. W okresie międzywojennym oraz po drugiej wojnie powstało wiele domów murowanych i pokrytych dachówką. Jak już wspomniałem w innym miejscu, wodę czerpano z rzeki, jednak z czasem powstawało we wsi coraz więcej studni. Stodoła była zwykle budowana w pewnej odległości od domu, natomiast stajnie i chlewy w bezpośrednim jego sąsiedztwie, dlatego i gnojownia znajdowała się w jego pobliżu. Tak bliskie sąsiedztwo obory powodowało w lecie plagę much w mieszkaniach. Posiłki, zwłaszcza obiady, cała rodzina spożywała wspólnie z jednej miski. W okresie międzywojennym, pod wpływem poznawanych zwyczajów miejskich, zaczęły co świetlejsze gospodynie wprowadzać talerze, z początku tylko na ważniejsze uroczystości, jak wesela i chrzciny. Potem już coraz powszechniej zaczęto jadać osobno.

Sąsiedztwo Krakowa zaczęło znacząco oddziaływać na życie wsi. Po I wojnie światowej co śmielsi chłopcy zaczęli szukać pracy w Krakowie. Szli na praktykę do fabryki Zieleniewskiego, Klimka, inni do mniejszych warsztatów lub prywatnych majstrów. Zdobywali zawód ślusarza, montera, kowala, stolarza, krawca. Zawód szewca nie cieszył się we wsi zbytnim poważaniem, może dlatego, że nie było we wsi porządnego szewca. Po wojnie coraz liczniejsi gospodarze zaczęli swe gospodarstwa przekształcać i przechodzili z dotychczasowej uprawy zbóż na sadownictwo. Bardzo popularna stała się w latach dwudziestych uprawa truskawek. Nie było we wsi gospodarza, który nie sadził truskawek, niektórzy uprawiali tych roślin nawet morgę i więcej. Dawało to niezłe dochody. Zwłaszcza wczesne truskawki, sprzedawane po wysokiej cenie, przysparzały chłopom dochodu. Truskawki wywożono do miasta, lecz i do Bieńczyc zjeżdżali kupcy i wykupywali owoce, by następnie przewieźć je pociągiem lub autami do Zakopanego lub na Śląsk. Uprawa truskawek podupadła, kiedy we wsiach położonych na północ od Bieńczyc, w okolicy Kocmyrzowa, chłopi jęli się ich uprawy. Tam truskawki dojrzewały wcześniej. Kiedy w naszej wsi truskawki dopiero zaczynały dojrzewać, tam już

było ich dużo i cena spadała. Co sprytniejsi gospodarze zaczęli się wtedy przestawiać na uprawę innych roślin. W pewnym czasie bardzo popularne stały się rabarbar i pomidory. Niezależnie od warzyw wielu gospodarzy zabrało się do sadownictwa. Sadzono popularne jabłonie, grusze i nowe odmiany śliw, dużo zaczęto sadzić czereśni. Wielu gospodarzom przyniosło to całkiem niezłe zyski.

Kiedy w Czyżynach zbudowano Zakład Upraw i Fermentacji Tytoniu, zaczęto propagować uprawę tytoniu. Ziemia w całej okolicy była bardzo dobra i tytoń udawał się wspaniale, zwłaszcza jego odmiana „Kentucky". We wszystkich gospodarstwach we wsi sadzono tę roślinę. Tytoń kontraktowano, specjalni instruktorzy dbali o jego właściwą uprawę. Instruktorzy z Monopolu chodzili po poletkach, na których uprawiano tytoń i uczyli chłopów, jak należy dbać o uprawy. W okresie okupacji kontraktowany tytoń stał się dodatkowym źródłem dochodu. Za odstawiony tytoń Niemcy dawali plantatorom cukier i wódkę. Część tytoniu trafiała na czarny rynek i stanowiła dodatkowe źródło dochodu w ciężkich czasach okupacyjnych. Ze zwierząt hodowano konie, krowy, świnie, z ptactwa głównie kury, gęsi, rzadziej kaczki.

Rozdrabniające się coraz bardziej gospodarstwa rolne zmuszały coraz większą liczbę mieszkańców wsi do szukania pracy poza rolnictwem. Miejsca pracy dostarczał głównie Kraków z jego rozbudowującymi się fabrykami. Pracowali bieńczycanie w fabryce Zieleniewskiego na Grzegórzkach, w odlewni żeliwa u Klimka na Mogilskiej, w fabryce sygnałów kolejowych przy ul. Cystersów, w młynach w Bieńczycach i na Wieczystej, w warsztatach remontowych na lotnisku w Rakowicach, w V Dywizjonie Samochodowym w Dąbiu, w Zakładach Uprawy i Fermentacji Tytoniu w Czyżynach. Sporo osób zajmowało się rzemiosłem na terenie wsi. Byli kowale, najpierw Sawicki, potem dwaj bracia Piotr i Norbert Rojkowie, Franciszek Krawczyk, Jan Dziwisz i Wojciech Kaczmarczyk. Głównym ich zajęciem było podkuwanie koni oraz kucie i naprawa wozów i sprzętu rolniczego (pługi, brony itp.). Byli też szewcy: Grzegorz Dziwisz, który robił dla kobiet buty z karbami, nieodzowne do krakowskiego stroju, byli dwaj inni mniej cenieni, zajmujący się głownie naprawą starych butów: Salwiński (Pagórek) i Nowak (Racia), ten ostatni był także muzykantem, grał na klarnecie po weselach, był Jan Ciepiela (Połowiak), który robił głównie buty z cholewami dla starszych parobczaków, byli potem dwaj szewcy z prawdziwego zdarzenia: Franciszek Kaczmarski i Franciszek Łoboda, którzy z Górki Kościelnickiej przywędrowali do Bieńczyc, naprawą starych butów zajmował się także Jan Cebula, który pracował równocześnie jako bagażowy na dworcu kolejowym w Krakowie.

Miała wieś również krawców. Był Jan Jędrszczyk (Łata), który szył chłopom stroje krakowskie – sukmany i kaftany, potem Wojciech Turbasa, lecz ten już krakowskich sukman szyć nie umiał. Były kobiety, które trudniły się szyciem – szyły koszule haftowane do strojów krakowskich i same stroje krakowskie (kaftany, gorsety oraz spódnice i zapaski), choć trzeba powiedzieć, że te stroje kobiece lepiej szyły szwaczki spoza Bieńczyc, jak np. Wyżgowa z Krzesławic. We wsi rolniczej, gdzie potrzebna była uprząż dla koni, nie mogło obejść się bez rymarza. Była cała rodzina Pszczołów, w której ojciec nauczył wszystkich synów tego zawodu. Robili chomąta dla koni gospodarskich w całej okolicy, nie tylko na potrzeby gospodarstw bieńczyckich.

W latach 30. Władysław Motyka, który wcześniej był młynarzem w młynie Lelity, otworzył w Bieńczycach piekarnię. Do tego czasu chleb wypiekały same gospodynie. I jakże czasem wspaniały i smaczny, wszak każda miała swoja tajemnicę wypieku. Dyshonorem było dla gospodyni kupować chleb w sklepie. „Co to za gospodyni, co nie potrafi, albo się jej nie chce chleba upiec?" – mawiano. Na święta wypiekały gospodynie kołacze i ciasta. W każdym domu istniał piec chlebowy. Taki piec mieścił od sześciu do ośmiu wielkich bochnów chleba. W większych gospodarstwach wypiekano za jednym zamachem dwa razy czyli dwanaście do szesnastu bochenków. Oczywiście, że chleb po tygodniu był już czerstwy, ale za to „nie leciał" tak szybko.

O rzeźnikach mówiłem już gdzie indziej. Nie tylko bili krowy i świnie, a potem sprzedawali mięso i wędliny, ale bili także świnie u gospodarzy. W każdym szanującym się gospodarstwie przynajmniej dwa razy w roku bito świnie (na Wielkanoc i na Boże Narodzenie). Dokonywali tego uboju miejscowi masarze, za co otrzymywali zapłatę w gotówce i w naturze. W dniu uboju tradycją już było spożywanie gotowanego, świeżego podgardla, zakrapianego ćwiartką czystej. Także do dobrego gospodarskiego tonu należało posiadanie w domu pochodzących z własnego uboju solonego mięsa i słoniny, która dobrze wysłoniała lub wymarynowana dawała się jeść na surowo i często stanowiła zakąskę przy wódce.

Żydzi

Prawie w każdej wsi mieszkała rodzina żydowska, czasem nawet nie tylko jedna. W Bieńczycach jeszcze pod koniec XIX w. mieszkał Żyd nazwiskiem Lewek, który prowadził karczmę i dzierżawił rogatkę (myto). Młyn był własnością żydowskiej spółki „Wasserberg i S-ka". We młynie oprócz Wasserberga, który miał kilkoro dzieci, mieszkało kilka rodzin żydowskich. Pracujący w młynie magazynier Selman mieszkał w swoim domu w Krzesławicach. W młynie jako młynarze, furmani oraz robotnicy pracowali miejscowi chłopi.

Od dawna mieszkał też we wsi Salomon Wohfeiler, rzeźnik. Miał swój dom oraz jatkę koło szosy, w ogrodzie Wincentego Salwińskiego, gdzie sprzedawał mięso własnego uboju. Bydło skupował w okolicznych wsiach, uboju dokonywał w Mogile, w rzeźni znajdującej się naprzeciwko cmentarza. Jatka była czynna głównie w niedzielę, gdyż na ten dzień chłopi najczęściej kupowali mięso. W sobotę jatka nie była czynna, rzeźnik świętował. Bardzo przestrzegał przepisów swej religii, już w piątek wieczorem zasiadał do szabasu i w sobotę nie imał się żadnej pracy. W każdą sobotę wraz z synami udawał się do Mogiły, gdzie w domu jednego z tamtejszych Żydów, naprzeciwko klasztoru, była bożnica i tam w każda sobotę, bez względu na porę roku i pogodę udawali się wszyscy Żydzi z okolicznych wsi i odprawiali swoje modły. Już w piątek po zachodzie słońca ojciec rodziny, Salomon, zasiadał przy stole przy zapalonych świecach, tuż przy oknach wychodzących na drogę i nakrywszy się odpowiednią szatą w białe i czarne pasy i przytwierdziwszy do czoła paskiem pudełeczka z jakimiś świętościami, kiwając się odprawiał modły. Okna miały drewniane okiennice, które wieczorem zamykano, jednak przez wycięcia w nich i szpary widać było kiwającego się Żyda. My, dzieci, robiliśmy Żydom różne młodzieńcze psoty, a to pukaliśmy w okiennice, a to w szpary wtykaliśmy papiery i słomę. Nieraz modlący się Żyd przerywał swą modlitwę, wypadał z mieszkania i krzycząc gonił nas.

Żydzi obchodzili bardzo gorliwie i uroczyście swoje święta: Paschę, kuczki czyli Święto Namiotów oraz Sądny Dzień. Wtedy pościli bardzo ściśle, zwłaszcza w Sądny Dzień. Na Święto Namiotów budowali na podworcu namiot, czyli kuczkę i tam spożywali posiłki. Na Paschę mieli osobne naczynia, których nie używano kiedy indziej i w nich gotowano w tych dniach jedzenie. Nawet na mleko, jeżeli nie mieli swojej krowy, przynosiła Żydówka swój garnek do gospodarza, od którego brali mleko i do tego garnka dojono mleko wprost od krowy. Ta „nasza" rodzina żydowska była bardzo liczna. Salomon miał już za mojej pamięci drugą żonę, która była rówieśniczką mojej matki i bardzo się obie przyjaźniły. Z pierwszego małżeństwa Salomon miał dwie córki: Salcię i Różę oraz trzech synów o imionach: Jakub (Kubek), Herman i Ignac. Dzieci z drugiego małżeństwa było też pięcioro: Fela, Szymek, Leon, Moniek i Samul. Byli moimi i mojego rodzeństwa rówieśnikami. Szkołę średnią i wyższe studia ukończył tylko Leon, został lekarzem. Obie córki z pierwszego małżeństwa, a potem i Fela wyszły za mąż i zamieszkały w Krakowie. Herman i Szymek pomagali ojcu w rzeźni oraz w jatce. Kubek miał sklep w Krakowie przy ul. Mogilskiej. Ignac pracował jako ajent w fabryce czekolady Suchard, Moniek i Samul pracowali gdzieś w Krakowie. Na kilka lat przed wojną wyjechali wszyscy do Krakowa. Jatkę i handel mięsem prowadził po nich inny Żyd – Schreber z Mogiły. Okupację niemiecką przeżyli: Herman, który wraz z dwoma synami przebywał w obozie w Auschwitz, Samul, który ukrywał się w okolicy i Leon, który znalazł się w II korpusie gen. Andersa. Wszyscy oni po wojnie wyjechali do Palestyny. Tragicznie skończyli inni Żydzi z okolicznych wsi. Z Krzesławic: Kanarek, Goldman i Reiter – przez dłuższy czas ukrywali się w młynie w Krzesławicach, wykryli ich jednak Niemcy, z Czyżyn właściciel młyna Gut, z Łęgu Mendel, z Mogiły Moryc – wszyscy zostali wywiezieni i zamordowani. Po zlikwidowaniu getta Niemcy z pomocą granatowej policji wyłapywali Żydów na drogach i rozstrzeliwali. Dwie Żydówki zostały rozstrzelane w Bieńczycach nad rzeką Młynówką, w pobliżu młyna Kaczorowskiego.

Tuż przed wojną

Od wiosny 1939 r. stan podniecenia, jaki panował w całym kraju, nie pozostawał bez wpływu i na naszą wieś. Wpływały na to różne okoliczności, jak położenie tuż pod Krakowem, ciągły z nim kontakt poprzez handel, dojazdy do pracy w mieście, do szkół krakowskich, prasa, która we wsi była czytana (tylko „Małego Dziennika" rozchodziło się we wsi 100 egz., które przychodziły codziennie pociągiem), czy wreszcie kilkanaście posiadanych we wsi aparatów radiowych dostarczały na tyle wiadomości, by mieszkańcy Bieńczyc byli dostatecznie zorientowani w tym, co się na świecie i w kraju dzieje. Podobnie zresztą jak w całej Polsce i u nas nie byli ludzie pewni, jak się potoczą dalsze ich losy. Nie gasła jednak nadzieja, że może do wojny nie dojdzie, że Hitler tylko blefuje. Konferencje międzynarodowe w Moskwie z udziałem przedstawicieli rządu Anglii i Francji dodawały otuchy, że Niemcy nie odważą się zaatakować Polski. Istniejące we wsi organizacje młodzieżowe, społeczne i polityczne budziły wśród miejscowego społeczeństwa ducha patriotycznego oraz zainteresowanie sprawami państwa i narodu. Z inicjatywy tych organizacji odbyła się wiosną manifestacja antyniemiecka, w której wzięła udział ludność naszej i sąsiednich wsi. Odbyła się w kaplicy msza św. z patriotycznym kazaniem, a po niej pochód członków tych organizacji. W pochodzie wzięło udział Katolickie Stowarzyszenia Młodzieży Męskiej i Żeńskiej, Koło Stronnictwa Ludowego, Związek Rezerwistów, Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet i cała młodzież szkolna, jak również niezorganizowana ludność. W pochodzie niesiono sztandary tych organizacji oraz przygotowane transparenty z napisami; „Pamiętaj Szwabie Grunwald, Płowce, Psie Pole", „Nie damy ziemi, skąd nasz ród", „Cały Naród z Armią" itd. Słowa ministra Becka wypowiedziane na posiedzeniu Sejmu w maju tego roku; „Nie znamy pokoju za wszelką cenę" – społeczeństwo przyjęło z determinacją. Już wiosną na tzw. cichą mobilizację poszło do wojska kilkunastu młodych rezerwistów ze wsi. Chłopi jednak nie opuszczali rąk, jak co roku jechali w pole; orali, siali, sadzili ziemniaki i warzywa, a potem w cza-

sie żniw skrzętnie gromadzili do stodół skoszone zboże, bo jeść będzie trzeba. Większość ludzi pamiętała jeszcze lata I wojny światowej i ciężkie warunki bytu, więc gromadzili, to co zebrali w polu, a niektórzy nawet gromadzili dodatkowo zapasy takich towarów, o których pamiętano, że ich brakowało w czasie wojny.

W sierpniu, jak co roku, odbyły się we wsi dożynki, plac w pobliżu jazu na Dłubni, gdzie tradycyjnie odbywały się co roku te obrzędy, zapełnił się młodzieżą i starszymi. Po mszy św. w kaplicy, gdzie poświęcono wieniec dożynkowy, w pochodzie przez całą wieś szli młodzi w krakowskich strojach, by na placu pośród zgromadzonej już ludności (nie tylko z naszej wsi, ale także całej okolicy) być świadkami dorocznych obrzędów dożynkowych z pokazami tańców ludowych, a na zakończenie wziąć udział w ogólnej zabawie. Zbliżająca się jednak szybkimi krokami wojna wzywała coraz to nowych ludzi ze wsi, odrywając ich od codziennej pracy. Bez ociągania stawiali się oni na wezwanie mobilizacyjne i wcielani byli do organizujących się oddziałów wojskowych. Z miejscowych oficerów rezerwy zostali zmobilizowani: dopiero co po studiach rolniczych ppor. Jan Krawczyk, pracownik warsztatów lotniczych i równocześnie znany pilot sportowy ppor. Józef Rojek, inż. rolnik ppor. Franciszek Nawara, radiotelegrafista ppor. Julian Kaczorowski. Z szeregowych zostali zmobilizowani i brali następnie udział w kampanii wrześniowej: Władysław Ptak, Andrzej Ciepiela „Pisarz", Andrzej Ciepiela „Dziedzic", Karol Żylski, Franciszek Krawczyk, Józef Salwiński, Stanisław Salwiński, Jan Zamojski, Jan Nawrocki, Józef Nawrocki, Stanisław Nawrocki, Stanisław Siudek, Władysław Ciepiela, Władysław Broś, Wojciech Halik, Władysław Wścisło, Franciszek Antkiewicz, Feliks Zamojski. Z pełniących zawodową służbę wojskową wzięli udział w kampanii wrześniowej pochodzący z Bieńczyc: kpt. Franciszek Ciepiela, por. Roman Paszyński (obaj w 11 p. p.), ppor. Idzi Jędrszczyk (Straż Graniczna), plut. zawod. Piotr Kotyza (12 p. p.). Losy zmobilizowanych różnie się potoczyły, byli wśród nich zabici i ranni, jednym udało się uniknąć niewoli niemieckiej i wrócić do domu, inni przebywali przez całą okupację w niemieckich obozach jenieckich, jeszcze inni zostali internowani w obozach w Rumunii i na Węgrzech, kilku udało się przedostać na Zachód do wojska polskiego we Francji i w Anglii. Przez cały okres okupacji przebywali w niemieckich obozach dla jeńców lub później na robotach u niemieckich bauerów: Franciszek Krawczyk, Jan Nawrocki, Karol Żylski i Feliks Zamojski. W oflagu przebywał kpt. Franciszek Ciepiela. W niewoli radzieckiej znaleźli się: ppor. Jan Krawczyk, ppor. Julian Kaczorowski, st. post. Stanisław Kotyza, Władysław Ptak, Piotr Włodek i dr Leon Wohlfeiler. W obozach internowanych w Rumunii przebywali Władysław Wcisło i Wojciech Halik, w obozie na Węgrzech przebywał st. post. Józef Kotyza. Do wojska polskiego na Zachodzie dostali się: Władysław Broś, Stanisław Siudek i Stanisław Nawrocki. W II Korpusie Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie znaleźli się i walczyli we Włoszech dr Leon Wohlfeiler i Piotr Włodek.

Wrzesień

1 września 1939 r. zbudził mnie niebywały huk. Zerwawszy się z łóżka wybiegłem na ganek, skąd zauważyłem krążące na bardzo dużej wysokości samoloty. Nie wiedziałem jakie, sądziłem, że to chyba polskie myśliwce. Pobiegłem na szosę a następnie w kierunku Czyżyn. Kiedy znalazłem się na wysokości kuźni i domu Rojka usłyszałem ogłuszający szum i warkot samolotów nadlatujących od wschodu na bardzo małej wysokości. Przystanąłem pod wierzbami. Przelatujące na niewielkiej wysokości samoloty miały na skrzydłach czarne krzyże. Nie było już żadnej wątpliwości – wojna! Pobiegłem jeszcze „zagościńcem" koło szkoły w kierunku Dworku (kaplicy). Stąd z ogrodu rozlegał się widok na Czyżyny i lotnisko w kierunku Rakowic, gdzie na bardzo małej wysokości podlatywały samoloty, a za nimi wykwitały wybuchy bomb, jakie tam rzucały. Spotkane w ciągu dnia osoby nie mogły się pogodzić z myślą, że to naprawdę wojna. Wieczorem znalazłem się u Cieślewiczów we dworze. Słuchaliśmy radia. Wójtem w gminie w Mogile był p. inż. Kazimierz Cieślewicz, dzierżawca majątku kurialnego w Czyżynach, jego zastępcą był p. Stanisław Rosiewicz z Pleszowa. Dowiedziałem się tam, że nazajutrz będzie się odbywał w Bieńczycach we dworze skup owsa dla wojska, prowadzony przez urzędników gminnych. Przyrzekłem swą pomoc. Skupem kierował p. Cieślewicz. Przyjeżdżały furmanki chłopskie z okolicy, z workami zboża, które ważono i składano w dworskim spichlerzu. W powietrzu przelatywały samoloty. Słychać było wybuchy bomb. We wsi wzrastał niepokój. Na szosie coraz więcej ludzi z tobołkami na plecach wędruje od Krakowa w kierunku na Mogiłę i Kocmyrzów. Niektórzy mieszkańcy Bieńczyc z początku nieśmiało zaczynają ładować swój dobytek na wozy i też wyjeżdżają. Kierują się i zatrzymują u znajomych w okolicy Kocmyrzowa i Luborzycy, inni wędrują dalej do Proszowic, Kazimierzy, Skalbmierza...

My z ojcem pozostajemy w domu. Rano w niedzielę udajemy się do kościoła do Mogiły. W piątek na skutek zamieszania spowodowanego nalotami przerwałem moje pierwszopiątkowe komunie św., poszedłem więc na mszę św. do spowiedzi i komunii św. Po powrocie z kościoła wszędzie widać zamieszanie i dezorganizację. Na drodze coraz więcej ludzi wędrujących ze swoim dobytkiem na wschód. Pokazują się pierwsi rozbitkowie z wojska polskiego. Domy w Bieńczycach pozostały w większości bez jakiejkolwiek opieki i dozoru. Wieczorem w niedzielę i my z ojcem wywędrowaliśmy do Kocmyrzowa, korzystając z gościnności rodziny Kozików. Następnego dnia rano rozeszła się wiadomość, że Niemcy są już na Baranie, czyli na szosie biegnącej

przez Kocmyrzów do Proszowic. Dla mnie rozpoczęła się miesięczna wędrówka wraz z ludnością cywilną w kierunku na północny wschód, na Lublin. Początkowo wędrowałem sam, później zebrało nas się (w różnym wieku) w sumie trzynastu z Bieńczyc. Pamiętam, że był najstarszy wiekiem Sadzikowski – robotnik ze młyna z Bieńczyc, jego szwagier Staszek Zamojski, Józef Cebula, Staszek Ciepiela (syn sołtysa), nazwiska innych uleciały mi z pamięci. Wędrowaliśmy bocznymi drogami, omijając większe skupiska ludzkie. Noclegi spędzaliśmy zwykle w stodołach. Żywiliśmy się kupując u chłopów chleb, mleko i inne produkty. W jakiejś wsi Staszek Ciepiela, który był z zawodu masarzem, kupił małe prosię, zabił je, oprawił i ugotował całe w zupie, czym smakowicie zajadaliśmy się. Byliśmy już na terenie województwa lubelskiego. Zauważyliśmy coraz więcej ludzi podążających w przeciwnym niż my kierunku. Następne dni pokazały, że Niemcy już nas wyprzedzili – nie było sensu wędrować dalej. Niemcy zajęli Polskę, nasza armia została pobita. Najbardziej przejęty sytuacją był najstarszy z nas – Sadzikowski. Ze łzami w oczach zapytał mnie – *Jak będzie wyglądać nasze dalsze życie, kto będzie rządził, gdzie nasze wojsko?*. Wiedziałem, że zadawane przez niego pytania są pytaniami nas wszystkich, że jesteśmy w szoku, bo zdaliśmy sobie sprawę, że coś się skończyło i czeka nas niewiadome. Nikt z nas nie przewidywał, że czasy, jakie idą będą aż tak straszne, że okupacja hitlerowska przejdzie wszystko, co mogliśmy sobie wyobrazić. Rozpoczęliśmy powrót do domu. Po drodze napotykaliśmy zbombardowane i spalone wsie i miasteczka, olbrzymie wyrwy i leje po bombach, pozrywane przewody telefoniczne, połamane słupy i drzewa przydrożne...

Po klęsce wrześniowej

Pierwsze odczucie po zakończeniu kampanii wrześniowej było dla wszystkich Polaków bardzo przygnębiające. Przez lata byliśmy wszak karmieni hasłami „Silni, zwarci, gotowi", długo wmawiano nam i zapewniano o mocarstwowości Polski, o sile naszej armii, o tym, „że nie damy nie tylko sukmany, ale nawet guzika od niej". Rozgromienie naszej armii w ciągu kilkunastu dni było dla wszystkich Polaków wielkim szokiem. Nie wszyscy wtedy wiedzieli o wspaniałej i bohaterskiej obronie Westerplatte i o walkach gen. Franciszka Kleeberga do 6 października 1939 r. pod Kockiem. Propaganda niemiecka dobijała nas jeszcze bardziej głosząc, że polscy generałowie i oficerowie opuszczali walczące oddziały i uciekając chronili się wraz z rządem polskim i wodzem naczelnym w Rumunii i na Węgrzech. A przecież, jak się później okazało, w walkach poległo pięciu polskich generałów i wielu wyższych oficerów. Z wielką goryczą przeżyliśmy fakt, że prawie pół Polski zajął „wkraczając" w jej granice w dniu 17 września, a więc wtedy, gdy wojsko polskie jeszcze się biło z Niemcami – Związek Radziecki. Zaczęliśmy dopiero otrząsać się z tego przybicia, gdy zaczęły dochodzić wiadomości o tym, że powstał we Francji nowy rząd emigracyjny polski pod kierownictwem gen. Władysława Sikorskiego, że powstaje we Francji na nowo wojsko polskie, do którego przedostają się z Rumunii i z Węgier polscy żołnierze, by dalej bić się o Polskę. Zaczęła powoli odżywać nadzieja, że państwa zachodnie, zwłaszcza Francja, która była zwycięską w I wojnie światowej, posiadając wielką, dobrze uzbrojoną i zaopatrzoną armię i głośną Linię Maginota, nie tylko stawi opór Hitlerowi, ale go pokona. Liczyliśmy, że najbliższa wiosna pokaże dopiero Niemcom prawdziwą wojnę. Pocieszaliśmy się wiadomościami o tworzeniu się armii polskiej. Krążyły różne przepowiednie i powiedzenia w rodzaju takich jak „Im słoneczko wyżej, tym Sikorski bliżej". Wprawdzie Niemcy wydali rozkaz oddania wszystkich aparatów radiowych, a słuchanie radia, poza niemieckimi szczekaczkami umieszczonymi w miejscach publicznych, było zakazane. Byli jednak ludzie, którzy aparatów nie oddali, a umieściwszy je w ukrytych miejscach, po kryjomu, nocą z narażeniem życia, słuchali wiadomości nadawanych w języku polskim przez zachodnie rozgłośnie i z ust do ust rozchodziły się pocieszające wieści. Niebawem zaczęły się ukazywać pierwsze podziemne gazetki, na razie pisane na maszynie, które zawierały głównie wysłuchane w radio komunikaty. Ale coraz częstsze były także wiadomości a nawet publiczne ogłoszenia o rozstrzeliwaniu ludności polskiej, „polskich bandytów". Zaczęto mówić o tym, że w forcie krzesławickim Niemcy rozstrzeliwują Polaków przywożonych autami z więzień krakowskich. Nawet nieraz we wczesnych godzinach rannych słychać było od strony fortu serie karabinów maszynowych. Te i podobne wiadomości znowu działały na ludzi deprymująco. Potem zaczęły napływać wieści o „chłopcach z lasu", o „Jędrusiach", którzy zaczynali niepokoić Niemców. Zaczynała się walka podziemna, która w latach następnych miała przybrać na terenach Polski tak wielkie rozmiary, których tragicznym, ale jakże doniosłym zakończeniem było powstanie warszawskie.

Lata wojny: Wehrmacht, Luftwaffe i Armia Czerwona

Ludzie, którzy opuścili wieś, zaczynali wracać do swoich domostw. Pierwsze oddziały niemieckiego wojska zjawiły się we wsi 6 września. Kolumny samochodowe zatrzymywały się na szosie biegnącej przez wieś. Żołnierze niemieccy, w przeciwieństwie do naszych piechurów, którzy dziesiątkami kilometrów wędrowali pieszo, niewyspani, często głodni i zmęczeni – wyglądali świetnie, wypoczęci jechali na autach, ostentacyjnie zajadali czekoladę i palili papierosy. Niebawem przybył do wsi oddział Wehrmachtu i zakwaterował się głównie we dworze i we młynie. Tam także obrał sobie kwaterę dowódca tego oddziału, major Wehrmachtu, który później często konno przejeżdżał przez wieś. Pierwsze

oddziały niemieckie przybywające do wsi miały trudności z porozumiewaniem się z miejscową ludnością. Wykorzystywano wówczas jako tłumacza mieszkańca wsi, Saternusa, który przybył tu kiedyś, ożenił się i znał język niemiecki, gdyż pochodził ze Śląska. Wojsko zajęło też na pewien czas szkołę. Wówczas zapobiegliwy kierownik szkoły, p. Józef Celiński, by nie przerwać rozpoczętej już nauki, przeniósł zajęcia szkolne do Dworku, gdzie były prócz kaplicy trzy duże pokoje i tam odbywały się lekcje. Nie wszyscy nauczyciele zgłosili się do pracy, kierownik szkoły zebrał jednak grono nauczycielskie uzupełniając je o nowe siły. Zatrudnił między innymi miejscową nauczycielkę, Marię Halikównę, a potem także kilka innych osób, które przybyły do Bieńczyc z terenów zachodnich.

Dla zapewnienia sobie bezpieczeństwa Niemcy stosowali różne metody. Przede wszystkim istniało kilka rodzajów policji i straży. Była żandarmeria, policja, służba specjalna, tajna policja, była straż kolejowa, leśna, pocztowa i różne straże przemysłowe w zakładach pracy. Niemcy powołali także polską policję, do której wciągali głównie przedwojennych policjantów, ale rekrutowali także ludzi nowych i szkolili ich na różnego rodzaju kursach, była także policja kryminalna, w której też służyło trochę Polaków. Polska policja była nie mniej znienawidzona jak policja niemiecka. Innym sposobem zapewnienia sobie bezpieczeństwa byli zakładnicy. Wkrótce po wkroczeniu na ziemie polskie Niemcy zaczęli stosować odpowiedzialność zbiorową. Zastrzelenie lub zamach na Niemca skutkował rozstrzeliwaniem kilkudziesięciu osób, których listy ogłaszano na specjalnych afiszach. Na listach tych znajdowały się nazwiska osób już aresztowanych albo zakładników. W każdym mieście i każdej wsi wyznaczane były co kilka tygodni listy zakładników, którzy w wypadku zamachu na Niemców byli aresztowani i rozstrzeliwani. 440 zakładników zginęło w forcie krzesławickim w latach 1939-1941. Zginęli tam m.in. zakładnicy z Myślenic, aresztowani po zamachu bombowym na pocztę w tym mieście. W Bieńczycach zakładnicy wyznaczani byli co dwa tygodnie. Ich listę wywieszano w miejscach publicznych. Każdy z umieszczonych na liście drżał na samą myśl, żeby w tym czasie, gdy figurował na liście, nie zaszedł jakiś wypadek i po cichu prosił Boga, by ten okres minął spokojnie. Wiadomości o aresztowaniach i rozstrzeliwaniach w Krakowie rozchodziły się lotem błyskawicy, tak w mieście, jak i po wsiach, a wszyscy to bardzo przeżywali. Prócz rozstrzeliwań, jakich dokonywali Niemcy w najbliższym sąsiedztwie w Bieńczycach, Krzesławicach, Grębałowie, Łęgu czy w forcie krzesławickim, ogromną traumę w społeczeństwie powodowały także pacyfikacje dokonywane w Liszkach, na Woli Justowskiej, Płaszowie czy w samym Krakowie.

Wiosną 1941 r. kwaterował we wsi batalion niemiecki, złożony ze świeżo zmobilizowanych rezerwistów, którym dowodził starszy wiekiem kapitan. Żołnierze przez cały czas pobytu we wsi odbywali intensywne ćwiczenia, zaprawiając się do oczekującej ich wojny ze Związkiem Radzieckim. Z początkiem lipca, już po napadzie Niemców na Związek Radziecki, batalion ten odszedł na front. Tuż przed wojną Niemców ze Związkiem Radzieckim mieszkańcy wsi położonej w bezpośrednim sąsiedztwie lotniska byli świadkami ciągłego lądowania całych eskadr niemieckich samolotów, odlatujących następnie w kierunku wschodnim. Czuło się wówczas, iż na coś się zanosi. Podany przez Oberkommando der Wehrmacht 22 czerwca komunikat o uderzeniu na Związek Radziecki był tylko potwierdzeniem tego, o czym po cichu mówiono od dawna. W następnych latach panował na lotnisku względny spokój, kiedy jednak Niemcy zaczęli ponosić na wschodnim froncie coraz to nowe klęski i zaczęli „wyrównywać front", na polach w trójkącie między Czyżynami, Mogiłą i Bieńczycami umieszczona została jedna z wielu otaczających miasto baterii artylerii przeciwlotniczej (F.L.A.K.). Bateria ta stała na tym miejscu do stycznia 1945 r. W jej obsłudze byli nie tylko Niemcy, ale także Ślązacy i Ukraińcy, którzy przychodzili do wsi i handlowali z miejscową ludnością, sprzedając zimową bieliznę i inne części garderoby. Kiedy front zaczął się coraz bardziej przybliżać, przystąpiono do rozbudowy lotniska. Wcześniej już zbudowano na nim betonowy pas startowy, obecnie budowano promieniście odchodzące od tego pasa drogi betonowe, biegnące na odległość nawet do dwóch kilometrów, a obok tych dróg budowano w różnych miejscach wały ziemne, między którymi rozmieszczano samoloty, by w ten sposób chronić je od zniszczenia na wypadek nieprzyjacielskiego nalotu. Przy rozbudowie lotniska zatrudniona była młodzież polska zorganizowana w tzw. „Polnische Baudienst", czyli Polska Służba Budowlana. Cała ta „służba", złożona z kilkuset młodych osób, rozbiegła się w jednym dniu, gdy na skutek postępu ofensywy radzieckiej, w lipcu 1944 r. władze niemieckie w Krakowie potraciły głowy, a Niemcy w ogólnym zamieszaniu zaczęli się z Krakowa ewakuować.

W tym czasie Niemcy odczuwali już bardzo poważnie brak benzyny, samoloty myśliwskie rozmieszczono po polach, między owymi wałami, gdzie dociągano je na miejsce startu przy pomocy koni, by w ten sposób oszczędzać cenne paliwo. Pod nadzorem żołnierzy Wehrmachtu odbywało się latem i jesienią tego roku kopanie rowów strzeleckich i fortyfikacji na przedpolu Krakowa. Umocnienia te kopano począwszy od Wisły na północ, na polach wsi Mogiła, Krzesławice, Luborcza, Grębałów, Kantorowice i Zesławice. Do pracy przy kopaniu umocnień zapędzano ludność miejscową oraz dowożono pracowników z różnych zakładów pracy z Krakowa. Od kopca Wandy w kierunku północnym do fortu w Grębałowie wykopano szeroki na kilka metrów i głęboki na cztery metry rów przeciwczołgowy.

W rowach strzeleckich co kilkadziesiąt metrów przygotowano stanowiska dla broni maszynowej. Na nic się jednak zdały te zabiegi i na marne poszedł trud i wysiłek (na całe szczęście) ludności polskiej, gdyż Kraków został zdobyty słynnym manewrem marszałka Koniewa od północy i od zachodu. Kiedy do Krakowa wkroczyły z tamtej strony oddziały Armii Czerwonej już we czwartek 17 stycznia 1945 r., do Bieńczyc pierwszy oddział radziecki wkroczył dopiero w piątek wieczorem, a do Mogiły w sobotę 19 stycznia 1945 r.

Ruch oporu

Pierwszymi odznakami rodzącego się w społeczeństwie podziemnego ruchu oporu były przekazywane z ust do ust wiadomości zaczerpnięte z audycji radia zagranicznego. Wiadomości te zaczęto następnie przepisywać przez kalkę na maszynie i tak powstały pierwsze podziemne, konspiracyjne gazetki. Pod koniec września w broniącej się jeszcze Warszawie powołano do życia podziemną organizację wojskową pod nazwą Służba Zwycięstwu Polski, na jej czele stanął gen. Karaszewicz-Tokarzewski, a celem organizacji była walka z Niemcami.

Niezależnie od wymienionej organizacji na terenie całej Polski zaczęły powstawać samorzutnie różne ośrodki oporu. Inicjatywa ich tworzenia wychodziła albo od wojskowych, którym udało się uniknąć niewoli, albo od działaczy politycznych różnych ugrupowań, czy wreszcie od działaczy społecznych i patriotycznych, którzy nie mogli się pogodzić z utratą niepodległości. Służba Zwycięstwu Polski niebawem zmieniła nazwę na Związek Walki Zbrojnej (ZWZ), aby w latach następnych przekształcić się w Armię Krajową (AK). Równocześnie zaczęły powstawać komórki konspiracyjne różnych organizacji i stronnictw politycznych, które działały w Polsce przed wojną. Cztery główne ugrupowania polityczne, pozostające w opozycji do rządów Piłsudskiego i jego następców, porozumiały się ze sobą i utworzyły Polski Komitet Porozumiewawczy, były to Stronnictwo Ludowe, Stronnictwo Pracy, Stronnictwo Narodowe i Polska Partia Socjalistyczna.

Na terenie naszej wsi od wiosny 1940 r. zaczęły działać niezależnie od siebie trzy ośrodki konspiracyjne: wojskowy, polityczny i tajnego nauczania. Konspiracją wojskową kierował Jan Kotyza, ppor. rez. WP. Pierwszym zadaniem, jakie otrzymał od powiatowego komendanta ZWZ, inż. Józefa Rosiewicza ps. „Rodak" z Pleszowa, było zorganizowanie na terenie trzech sąsiednich wsi: Bieńczyc, Krzesławic i Mistrzejowic plutonu ZWZ. Do plutonu tego weszli jako dowódcy drużyn: podchorąży Władysław Bochenek z Krzesławic, podchorąży Władysław Chwastek z Mistrzejowic i kapral zawodowy Piotr Kotyza z Bieńczyc. W dalszym rozwoju tej pracy zostali zaprzysiężeni do ZWZ starsi podoficerowie i wysłużeni żołnierze: Wojciech Krawczyk, Józef Ciepiela, Stanisław Krawczyk, Andrzej Ciepiela, Józef Salwiński, a z młodszych, przeważnie uczniów szkół średnich i członków Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Męskiej, Eugeniusz Hajto, Jan Bochenek, Józef i Juliusz Osiadły, Andrzej Świerczewski, Andrzej Łaszczyński, Władysław Krawczyk, Edward i Stanisław Zybura. W 1942 r. cała ta grupa przeszła do organizujących się na terenie powiatu krakowskiego Batalionów Chłopskich. Na terenie trzech sąsiadujących z sobą gmin: Mogiły, Ruszczy i Zielonek powstał najpierw rejon, a potem batalion BCh „Pająk", którego dowódcą był Jan Kotyza. W Bieńczycach utworzono pluton BCh, którego dowódcą był kapral Piotr Kotyza, a dowódcami drużyn: Wojciech Krawczyk, Józef Ciepiela, Stanisław Krawczyk i Józef Salwiński. Wymienieni wyżej młodzi żołnierze wchodzili w skład patrolu bojowego pod dowództwem E. Hajty ps. „Gruszka" i wykonywali wiele różnych zadań na rozkaz dowódcy batalionu, brali udział w szkoleniu wojskowym, przenosili prasę konspiracyjną, dokonywali sabotaży i napadów na Niemców.

Z inicjatywy powiatowego kierownictwa Ruchu Ludowego na bazie istniejącego we wsi przed wojną Koła Stronnictwa Ludowego powstała Gromadzka Trójka Polityczna, do której weszli: Andrzej Ciepiela, Andrzej Biernacik i Stanisław Zięba. Gromadzkim komendantem Ludowej Straży Bezpieczeństwa (LSB) był Jakub Pszczoła. Powstał także Ludowy Związek Kobiet i w jego ramach Zielony Krzyż. Do jego kierownictwa należały: Zofia Zybura, Zofia Celińska, Maria Jędrszczyk. Członkinie Zielonego Krzyża miały pełnić pomocniczą służbę w BCh jako sanitariuszki, łączniczki itp. Dla nich zorganizowane były w Bieńczycach kursy gotowania w domu J. i M. Kotyzów oraz kurs sanitarny w szkole w Bieńczycach.

Dla ogółu mieszkańców sama świadomość istnienia we wsi podziemnego ruchu oporu była często dla słabych moralnie jednostek wystarczającym hamulcem powstrzymania się od współpracy i przyjaźni z Niemcami. W wypadkach drastycznych interweniowały patrole i oddziały specjalne BCh i LSB, pouczając nieświadomych jak należy postępować, winnych karano chłostą, a dziewczęta zbytnio sprzyjające Niemcom strzyżono. W okolicy wykonano kilka egzekucji na skazanych przez Kierownictwo Walki Cywilnej na karę śmierci złodziei i konfidentów.

Bataliony Chłopskie

Po przejściu do Ruchu Ludowego na polecenie Jana Gajocha i Walentego Adamczyka objąłem z ramienia powiatowej komendy Batalionów Chłopskich dowództwo nad tworzącymi się oddziałami BCh na terenie trzech gmin leżących na północny wschód od Krakowa. Były to gminy: Ruszcza, Mogiła i Zielonki, a więc teren graniczący bezpośrednio z miastem. Poza Gajochem i Adamczykiem zacząłem się kontaktować z innymi ludźmi

z „Rocha" działającymi na tym terenie. Jan Gajoch ps. „Krzemień" był przewodniczącym Trójki Powiatowej „Rocha", był prezesem Zarządu Powiatowego Stronnictwa Ludowego jeszcze przed wojną. Był jednym z młodszych działaczy tego Stronnictwa, do którego przeszedł dość wcześnie z Kół Młodzieży Wiejskiej „Znicz", znał chłopów w powiecie, organizował w 1937 r. strajk chłopski na terenie powiatu, był żonaty, miał dwie córki, gospodarował w Pleszowie na kilku hektarach ziemi.

Walenty Adamczyk ps. „Topola" pochodził z Luborzycy, znany mi był jako kolega z pociągu, kiedy dojeżdżaliśmy razem do gimnazjum i na studia do Krakowa. Adamczyk studiował prawo i pracował w Sądzie Wojewódzkim jako sekretarz. Miał kontakty z grupami lewicowymi działającymi na terenie uniwersyteckim, sam jednak działał raczej w organizacjach sanacyjnych. Bliskie mu były Legion Młodych, Związek Strzelecki, był prelegentem Ligi Obrony Powietrznej. Ranny w kampanii wrześniowej przebywał dłuższy czas w szpitalu. Po powrocie z niego osiadł w Pleszowie i prowadził pożydowską gospodę, zwerbowany przez Gajocha do Ruchu Ludowego poświęcił się organizowaniu BCh.

Stanisław Mars ps. „Dąb" z Krzesławic czynny był przed wojną w Związku Młodzieży Wiejskiej „Znicz", młodszy od Gajocha o kilka lat, podobnie jak on przeszedł wcześnie do roboty w Stronnictwie Ludowym. Był kawalerem, miał kilkuhektarowe gospodarstwo w Krzesławicach, które prowadził wraz z matką i siostrą. Był po aresztowanym Dudzie z Bieżanowa powiatowym komendantem „Chłostry", a potem Ludowej Straży Bezpieczeństwa.

Teodor Cygan ps. „Czarny" pochodził z przysiółka Pleszowa – Kujaw nad Wisłą, także przedwojenny działacz ZMW „Znicz", a potem członek Stronnictwa Ludowego. W konspiracji był szefem łączności Zarządu Powiatowego („Roch"), w zakresie jego obowiązków było m.in. dostarczanie prasy konspiracyjnej.

Józef Gajoch ps. „Kajak", brat Jana, mieszkał w Pleszowie, na Kujawach, miał kilkuhektarowe gospodarstwo nad Wisłą. Przed wojną członek ZMW „Znicz" i Stronnictwa Ludowego. W czasie wojny komendant gminny „Chłostry" a potem Ludowej Straży Bezpieczeństwa.

Antoni Baranik mieszkał w Mogile, pochodził z Rybnej, na skutek czego część okolicznych chłopów odnosiła się do niego nieufnie. Przed wojną działał w Stronnictwie Ludowym. W czasie okupacji był przewodniczącym Trójki Politycznej na gminę Mogiła.

Wojciech Ziomek pochodził z Wadowa, gdzie miał kilkuhektarowe gospodarstwo rolne, przed wojną członek Stronnictwa Ludowego, w czasie okupacji przewodniczący Trójki Politycznej na gminę Zielonki.

W chwili mojego przejścia do BCh organizacja „Rocha" dokonała już pewnych zmian organizacyjnych. „Chłostra" została rozdzielona na Bataliony Chłopskie i Ludową Straż Bezpieczeństwa. Kierownictwo powiatowe „Rocha" składało się z czynnika politycznego, jaką była Powiatowa Trójka Polityczna pod kierownictwem Jana Gajocha, w skład niej wchodzili prócz Gajocha: Antoni Baranik z Mogiły, Wojciech Ziomek z Wadowa, Andrzej Bińczycki z Zielonek, Domoń z Przebieczan, Nazim ze Skawiny, Piętak z Rusocic i Walerian Naturski z Nawojowej Góry, komendantem powiatowym Ludowej Straży Bezpieczeństwa był Stanisław Marc, a komendantem BCh Walenty Adamczyk.

Po objęciu dowództwa nad powierzonym mi terenem i po nawiązaniu kontaktów z ludźmi przekazanych mi przez Adamczyka, rozpocząłem jego organizację pod względem wojskowym. Kontakty moje z komendą obwodu AK urwały się prawie całkowicie. Równocześnie jednak szły rozmowy na temat scalenia oddziałów Batalionów Chłopskich z Armią Krajową, prowadzone przez kierownictwo polityczne i komendę BCh. Należało się spieszyć z organizacją, by przy ostatecznym scaleniu wykazać się już zorganizowanymi oddziałami. Jak się w trakcie tej pracy zorientowałem, nie było na terenie tych trzech gmin poważniejszej organizacji, która by miała większe wpływy w terenie lub zorganizowane placówki. Utrzymała się jedynie w rejonie Kocmyrzowa i sąsiednich wsi jak Czulice, Głęboka, Kościelniki placówka AK pod dowództwem Kordiana Wollena ps. „Boryna", syna właściciela majątku w Czulicach. Placówka ta po scaleniu została podporządkowana z rozkazu komendanta obwodu tutejszemu batalionowi, który otrzymał kryptonim „Pająk". Sam „Boryna" pod koniec okupacji deklarował się wobec mnie jako żołnierz BCh. Żołnierzami w tej placówce byli przeważnie okoliczni chłopi – ludowcy.

W okolicy Raciborowic istniała niewielka grupa pozostająca pod wpływem Tadeusza Rumiana. Ta, po dłuższych rozmowach, podporządkowała się komendzie BCh. O połączeniu się tej grupy zadecydowały więcej kontakty i znajomości osobiste niż ideowe. Przez ludzi z tej grupy miałem kontakty z sąsiednimi oddziałami AK z terenu powiatu miechowskiego.

W Mogile działała najpierw grupa pod kierownictwem cystersa, o. Teobalda Wojciechowskiego. Pozostawała ona w kontakcie ze Stronnictwem Pracy, względnie z „Unią". Na skutek „wsypy" spowodowanej zbyt „harcerskimi" metodami prowadzonej pracy i wyjazdu o. Teobalda, grupa ta dostała się pod wpływy rodziny Lelitów (Józef, Franciszek i Włodzimierz) oraz Józefa Siemka (szwagier Lelitów) i pozostała przez pewien czas pod wpływami PPS. W końcu uformował się tam pluton BCh pod dowództwem Józefa Marcinka. Gromady Czyżyny i Łęg należące do 1941 r. do gminy Mogiła pozostawały pod wpływem politycznym „Rocha" i były tam Trójki Polityczne, którymi kierowali Andrzej Malinowski w Czyżynach i Józef Socha w Łęgu. Pod względem wojskowym należały do miasta i działała tam AK. Miałem tam kontakty z Ziębą (niebawem aresztowanym i zesłanym do obozu koncentracyjnego) oraz Góreckim i Bochenkiem, nie licząc Józefa Salwińskiego, który także politycznie związał się z „Rochem", choć pod względem wojskowym pozostał związany z AK

W Mistrzejowicach działali Eugeniusz Wcisło i Turzański, syn dzierżawcy dworu, i mieli powiązania z AK. W Kantorowicach był Wysocki, który miał powiązania z KB. W Krzesławicach był Józef Wójcik, który od przed wojny był związany z PPS, większej aktywności nie wykazywał. W Kocmyrzowie, obok Wollena, byli Sendek i jego szwagier Dubiel, którzy byli związani z Partyłą ps. „Kosa", a przez to z AK. Aresztowani przez Niemców – zginęli.

Większych jednak grup politycznych, jak i wojskowych na całym terenie wchodzącym w skład batalionu „Pająk" nie było. Cały teren opanowany był przez „Rocha". Analogicznie jak w powiecie, tak w gminach jak i w gromadach działały trójki polityczne „Rocha" oraz komendy LSB. Przewodniczącymi trójek gminnych byli: w Mogile Antoni Baranik, w Ruszczy Wojciech Ziomek, w Zielonkach Andrzej Bińczycki. Trójki gromadzkie stanowili w Pleszowie: Jan Cygan, Jan Gębala, Wawrzyniec Sikora i Wincenty Gajoch, w Kujawach: Wincenty Kardas, Wojciech Dzieja i Antoni Malinka, w Mogile: Antoni Kasznik, Andrzej Majcher, Józef Kawula i Tadeusz Hybała, w Krzesławicach: Józef Jędrszczyk, Wojciech Waśko, Antoni Czernek, Antoni Walerian, w Bieńczycach: Andrzej Biernacik, Andrzej Ciepiela, Stanisław Zięba i Jakub Pszczoła, w Luboczy: Piotr Raźny, Józef Pietruszka, Stanisław Jędras i Jan Partyła, w Grębałowie: Walenty Florkowski, Jan Cygan, Władysław Woźniak, w Łęgu: Józef Socha, Jakub Tyrka, Jakub Malik i Stanisław Kucharczyk, w Czyżynach: Andrzej Malinowski, Sosin i Czernek.

Z chwilą utworzenia odrębnych oddziałów wojskowych Batalionów Chłopskich i przekazania mi komendy nad nimi na wymienionym terenie, ludzie, którzy posiadali broń i byli już jakoś zorganizowani, pozostali w LSB, tworząc oddziały specjalne podległe komendantowi powiatowemu LSB. Na naszym terenie był oddział specjalny pod dowództwem Franciszka Gawła ps. „Kotek" oraz Józefa Bębna ps. „Orkan". Zza Wisły od Wieliczki zachodził oddział Ludwika Sanoka ps. „Olek". Mnie jako komendantowi BCh pozostawiono ludzi względnie związki oddziałów – lecz przeważnie bez broni. Grupa mi najbliższa z terenu gromad: Bieńczyce, Krzesławice i Mistrzejowice to byli oficerowie i podchorążowie rezerwy oraz uczniowie szkół średnich jak: ppor. Józef Walczak z Bieńczyc, ppor. Bolesław Raźny, podchorążowie artylerii: Władysław Bochenek z Krzesławic i Władysław Chwastek z Mistrzejowic, podoficerowie zawodowi: Nakielski z Dłubni i Piotr Kotyza z Bieńczyc, prawnik Antoni Bochenek z Krzesławic i Stanisław Turak z Mistrzejowic, było kilku podoficerów rezerwy jak: Stanisław Krawczyk, Józef Salwiński, Józef Ciepiela, Wojciech Krawczyk, Andrzej Ciepiela wszyscy z Bieńczyc i Andrzej Harnik z Krzesławic. Była grupa młodych chłopców – przed wojną uczniów szkół średnich, którzy teraz uzupełniali naukę w kompletach tajnego nauczania jak: Eugeniusz Hajto, Józef Osiadły, Julian Osiadły, Jan Bochenek, Andrzej Świerczewski, Andrzej Łaszczyński, Edward Zybura, Stanisław Zybura, Antoni Turek, Antoni Cygan, Władysław Walerian, Władysław Krawczyk. W oparciu o takich ludzi zacząłem nawiązywać kontakty z przekazanymi przez Adamczyka ludźmi już należącymi do BCh, ludźmi takimi jak: ppor. rez. Józef Bętkowski z Luboczy, Antoni Radziszewski z Luboczy, Józef Perlik z Pleszowa, Józef Ruśniak z Wyciąż, Karol Koński z Mogiły, Jakub Kwater z Łuczanowic. Pod koniec 1943 r. uformował się ostatecznie skład batalionu.

Mordowanie Żydów

Niedługo po wkroczeniu Niemców do Krakowa władze okupacyjne wydały zarządzenie zobowiązujące wszystkich Żydów do noszenia gwiazdy syjońskiej jako znaku rozpoznawczego, że noszący ten znak nie jest aryjczykiem. Do noszenia gwiazdy zobowiązani byli nie tylko Żydzi właściwi, lecz także te osoby, które przeszły na chrystianizm i ich potomkowie aż do trzeciego pokolenia. Te osoby na ogół gwiazd nie nosiły, żyły one jednak pod ciągłym strachem, by ktoś ich nie zdradził przed Niemcami, wypadków takiej zdrady jednak nie było. W Bieńczycach i okolicy mieliśmy kilka takich osób, nikomu jednak nie przychodziło nawet do głowy, by na ten temat nawet mówić. Była w Bieńczycach autentyczna Żydówka Krajewska, żona piekarza, która przebywała we wsi, służyła nawet Niemcom jako tłumaczka, gdyż pochodząc z Bielska znała bardzo dobrze język niemiecki.

Niemcy używali początkowo Żydów jako siły roboczej, nie zważając na ich zawód i wykształcenie, wszystkich pędzono do pracy fizycznej, a byli wśród nich żydowscy adwokaci, lekarze i inne wolne zawody. W następnym etapie utworzono w Krakowie na Podgórzu getto żydowskie i tam spędzono wszystkich Żydów z Krakowa. Opróżniano całe dzielnice i ulice zamieszkałe przez Żydów jak słynny Kazimierz, Stradom i wiele ulic. Zagęszczenie na terenie getta było bardzo duże. Niektórzy Żydzi nie chcąc iść do getta zamieszkali w podkrakowskich wsiach. Opłacając się sowicie wójtowi (...) uzyskali na pewien czas zezwolenie na zameldowanie po wsiach.

Żydzi z getta byli wyprowadzani na roboty do miasta, przy tej okazji mogli byli przynieść sobie i rodzinom coś do jedzenia. Getto było otoczone murem i strzeżone przez policję niemiecką. Wewnątrz mieli swój samorząd i własną policję żydowską. Wszystko to jednak było tylko po to, by przy pomocy samych Żydów tym bardziej ich wykorzystać i gnębić. Potem getto zaczęto likwidować, wywożąc Żydów do obozu w Auschwitz, by

tam truć gazami i palić w krematoriach. Wywożono także Żydów z getta w okolice Wieliczki oraz Niepołomic i rozstrzeliwano. Przyszła także kolej na tych Żydów, którzy w pierwszych miesiącach okupacji schronili się na wieś. Tych spędzono także na jedno miejsce i wywieziono w okolice Niepołomic i tam rozstrzelano. Egzekucji dokonywała policja niemiecka, uczestniczyła w tym także policja polska.

Po zlikwidowaniu getta i większości Żydów tylko pojedyncze osoby pokazywały się czasem w okolicach. Jeden Żyd, dawny mieszkaniec Bieńczyc – Samuel Wohlfeiler ukrywał się przez pewien czas u swych znajomych na wsi, potem jednak w obawie, by go nie wykryto, przeniósł się do innej miejscowości i szczęśliwie przeżył okupację. Zmienił nazwisko i nazywał się po wojnie Kowalski. Jego starszy brat Herman wraz z dwoma synami znalazł się w obozie oświęcimskim, przeżył obóz, wrócił, zamieszkał w Czyżynach, a potem wyjechał do Izraela. Przechowywał w Bieńczycach Żydów Jan Biernacik. W Krzesławicach we młynie przechowywała się żydowska rodzina Kanarków, ktoś jednak zdradził, Niemcy otoczyli młyn i zabrali całą rodzinę. W pożydowskiej karczmie w Krzesławicach na „Buciorach" powstała spółdzielnia spożywców.

Niestety polscy policjanci z posterunków w Mogile i w Bieńczycach zapisali się i tu niechlubnie. Wyłapywali oni Żydów i Żydówki na szosie do Kocmyrzowa i obrabowawszy ich z posiadanego dobytku albo oddawali ich w ręce niemieckie, albo rozstrzeliwali na miejscu. Tak rozstrzelano dwie Żydówki w Bieńczycach nad rzeką Dłubnią w pobliżu młyna Kaczorowskiego. Z bieńczyckiego posterunku zyskali pod tym względem niechlubną sławę policjanci Roczniak, Gwóźdź, Kowalik i Resmer. Ten ostatni był sądzony po wojnie w krakowskim sądzie, oczywiście sam do strzelania Żydów się nie przyznał ani mu tego nie udowodniono, jednak za swoje postępowanie niezgodne z etyką i godnością Polaka otrzymał karę kilku lat więzienia.

Sprawy gospodarcze i egzystencjalne

Ważną kwestię dla Niemców w czasie wojny stanowiła żywność, przy czym nie chodziło tu wcale o żywność dla ludności polskiej, lecz o wyciągnięcie od Polaków jak największej ilości zboża, mięsa i innych artykułów na potrzeby wojska i ludności niemieckiej. Dostawcą żywności była zawsze wieś; tak duże gospodarstwa rolne czyli dwory, jak i indywidualni chłopi. Władze niemieckie wyznaczały kontyngenty, czyli obowiązkową sprzedaż, głównie zboża i mięsa. Na każdą gminę wyznaczano pewną ich ilość, a wójt dzielił te wyznaczone ilości na poszczególne gromady, zaś sołtys na chłopów w zależności od posiadanego obszaru ziemi. Na dwory władze powiatowe wyznaczały kontyngenty osobno. Poza tym nakłaniano rolników do kontraktowania upraw roślin przemysłowych jak tytoń i buraki cukrowe. W tym wypadku nawiązywano do przedwojennych stosunków, gdyż buraki cukrowe kontraktowano od dawna, zaś tytoń z naszej okolicy zaczęto uprawiać, kiedy w Czyżynach wybudowano Zakład Uprawy i Fermentacji Tytoniu. W podobny sposób wyznaczano kontyngenty mięsa, też w zależności od posiadanego obszaru pola. Przy urzędach gminnych zostały utworzone osobne biura, które prowadziły rejestry zwierząt posiadanych przez chłopów, głównie koni, bydła i trzody chlewnej. Wszystkie zwierzęta były zapisane i kolczykowane, nie wolno ich było sprzedawać na rynku lub zabić na własny użytek. Odpowiedzialnego za prowadzenie rejestru tych zwierząt urzędnika zwano targownikiem. Ceny za odstawione artykuły były niskie. Niemcy wyrównywali je częściowo w ten sposób, że jako premie za odstawione kontyngenty oraz za część należnej za towar gotówki wydawano chłopom cukier i artykuły tekstylne, a szczególnie wódkę, co oczywiście lepiej się sprzedającym opłacało, lecz równocześnie wyrządzano w ten zaplanowany sposób wielką szkodę społeczną rozpijając ludzi.

Z obejściem kolczykowania krów i świń radzono sobie w dość prosty sposób, nauczono się bowiem odpinania i przekładania kolczyków na inne zwierzę, a po zabiciu dorosłego zwierzęcia przekładano kolczyk na młodą świnię lub jałówkę i ilość posiadanych sztuk się zgadzała. Było to jednak zajęcie bardzo ryzykowne i niebezpieczne, gdyż za tego rodzaju manipulacje lub za posiadanie sztuki zwierzęcia bez kolczyka groziły bardzo surowe kary więzienia a nawet śmierci, ludzie jednak w czasie okupacji niemieckiej byli zmuszeni ryzykować. Ludność miejska masowo udawała się na wieś, gdzie zaopatrywano się w mąkę, kaszę, mięso, słoninę i wędliny, a następnie przywożono te artykuły do miasta. Liczne łapanki i rewizje urządzane przez Niemców w pociągach, na stacjach kolejowych i na drogach pozbawiały częstokroć ludzi za ostatnie złotówki nabytych artykułów, ale te szykany nie powstrzymywały ich od ryzyka i nowych wypraw na wieś, gdyż tego wymagało od nich życie. Prawie wszystkie artykuły pierwszej potrzeby, jak chleb, mięso, tłuszcze, mydło i materiały tekstylne były reglamentowane i można je było nabyć tylko na kartki. Tak było w mieście, na wsi natomiast tylko ludność biedniejsza, nie posiadająca ziemi dostawała kartki. Ilości otrzymanych na kartki artykułów były bardzo małe, nie wystarczały na wyżywienie, stąd wynikała konieczność nabywania ich na „czarnym rynku" po bardzo wysokich cenach. Taki „czarny rynek" był oczywiście tępiony przez Niemców, a ludzie przyłapani na nielegalnym handlu tracili nie tylko swój własny towar, ale często także wolność, a w niektórych przypadkach nawet życie.

Młyny przemielające zboże na mąkę były pod kontrolą Niemców, w większych młynach byli tzw. „treuhendlerzy", którymi byli zwykle volksdeutsche. Mniejsze

młyny były kontrolowane w mniejszym stopniu i tam – zwłaszcza chłopi – przemielano zboże na mąkę, tak na użytek własny, jak i na sprzedaż. Do takich, który oddawał chłopom duże usługi, należał niewielki, drewniany, wodny młyn Kaczorowskiego w Bieńczycach, w czasie okupacji prowadzony przez matkę i syna. Z większych młynów wywożono niekiedy mąkę nawet za wiedzą Niemców, gdyż i oni musieli z czegoś żyć, a z upływem czasu nauczyli się ostre przepisy swoich władz z powodzeniem omijać. We wsi była piekarnia Władysława Motyki, który otrzymywał przydział mąki i z niej wypiekał chleb, sprzedawany potem na kartki. Najwidoczniej nabywał jednak mąkę także poza normalnym przydziałem, gdyż można było od niego dostać także chleb bez kartek, co było wielkim dobrodziejstwem dla biedniejszej ludności, nie posiadającej własnego zboża i mąki. Od dawien dawna w wielu gospodarstwach chłopskich znajdowały się żarna, w których ręcznie przemielano zboże na mąkę przeznaczoną do wypieku chleba oraz na tzw. ospę dla zwierząt domowych. Kilku gospodarzy we wsi, jak Kazimierz Zybura czy Jan Biernacik, posiadało młynki poruszane kieratem, a później nawet elektryczne, służące do tego samego celu. Niemcy zarządzili oddanie wszystkich młynków i żaren. Jeżeli ktoś zachował młynek lub żarna i chciał z nich korzystać, narażał się na wielkie niebezpieczeństwo w razie przyłapania go na przemielaniu. Duży młyn Lelity przemielał zboże tylko dla Niemców, w czasie okupacji nie przyjeżdżały już do młyna sznury chłopskich furmanek wiozących zboże do zamiany na mąkę. Wielu ludzi z okolicy, jak p.p. Kozik z Bieńczyc, Nowak z Krzesławic, Partyła z Luboczy, zajmowało się prawie zawodowo nielegalnym skupem, przemiałem i handlem mąką. Było to wielce intratne, ale i niebezpieczne przedsięwzięcie. Jakkolwiek dla tych osób zarobek stał na pierwszym miejscu, niemniej spełniali oni bardzo ważne ze społecznego punktu widzenia zadanie.

Podobnie rzecz się miała z takimi artykułami jak mięso, słonina i wędliny. Przez cały okres okupacji dwaj miejscowi masarze: Stanisław Krawczyk i Władysław Nawrocki po kryjomu kupowali od chłopów głównie świnie i dokonywali na miejscu uboju, zaopatrując potem ludzi w mięso, słoninę i wędliny. Poza tym we wsi co jakiś czas ktoś spośród gospodarzy zabijał świnię i po cichu sprzedawał sąsiadom mięso i wędliny, co zwykle wcześniej zapowiadano poufnie bliskim i znajomym, że w określonym dniu będzie u danego chłopa do nabycia mięso. Mleko przed wojną z naszej i sąsiednich wsi dowożono do Krakowa końmi, koleją lub pieszo i sprzedawano je na targowiskach. Niemcy przeprowadzili najpierw wiosną 1940 r. na rogatkach miejskich spis mleka dowożonego przez chłopów do miasta, a następnie w każdej wsi utworzono zlewnię mleka, dokąd cała wieś je znosiła. Mleko następnie było odwożone furmanką do mleczarni w Krakowie. Dbano o czystość mleka i zawartość tłuszczu, co miało wpływ na wysokość należności za dostarczone mleko. Zlewnię w Bieńczycach prowadziła początkowo wysiedlona z poznańskiego p. Jankowska, a po niej nauczycielka, p. Maria Wędziszanka z Kantorowic.

Wywóz na roboty do Niemiec

Dla prowadzenia działań wojennych Niemcy zmobilizowali we własnym kraju niemal wszystkich obywateli zdolnych do noszenia broni. W celu wyrównania braków siły roboczej w przemyśle, górnictwie, a zwłaszcza na roli, wykorzystywano masowo ludność krajów okupowanych oraz jeńców wojennych. Wprawdzie konwencje międzynarodowe zabraniały wykorzystywania jeńców do pracy, jednak Niemcy wcale nie liczyli się z tego rodzaju zakazami. Wielu jeńców, głównie szeregowych, na skutek złych warunków panujących w obozach, na propozycję opuszczenia obozu i przejścia na status robotnika – żeby poprawić swój byt – zgłaszało się do robót w fabrykach i na roli u niemieckich bauerów. Do ciężkich i niebezpiecznych robót w różnych zakładach pracy, zwłaszcza przemysłu zbrojeniowego i chemicznego, wykorzystywano więźniów obozów koncentracyjnych. Ci, z chwilą rozpoczęcia przez aliantów bombardowania niemieckich fabryk broni, byli najbardziej narażeni na śmierć. Z czasem, kiedy i ich nie starczało, Niemcy apelowali w okupowanych krajach o dobrowolny wyjazd na roboty do Rzeszy. Ochotników nie było jednak wielu albo wręcz wcale. Nakładano więc kontyngenty na gminy. Każda gmina musiała wyznaczyć określoną liczbę osób na wywóz do Niemiec. Różnie sobie z tym radzono. Niekiedy pomagały namowy, innym razem zastraszanie. Jeśli osoba wyznaczona na roboty do Niemiec nie stawiała się na wyznaczone miejsce, była ścigana przez policję i zwykle musiała opuścić swoje miejsce stałego zamieszkania i ukrywać się. Takim przejściowym obozem, gdzie gromadzono kandydatów na wyjazd, był budynek dawnej szkoły przy ul. Wąskiej w Krakowie. Gdy nie starczało ochotników i tych wyznaczonych przez wójtów kandydatów na wyjazd, Niemcy dokonywali łapanek ulicznych. Z tych łapanek można się było dostać do więzienia, a jeśli Niemcy stwierdzili, że mają na złapanego jakieś powody, to następnie do obozu koncentracyjnego, innych wywożono na roboty do Niemiec. Z naszej wsi też kilka osób było wywiezionych na te roboty. Byli to przeważnie chłopcy z biedniejszych rodzin, którzy nie mieli stałego zajęcia. Jednym z nich był Emil Włodek, wyznaczony przez wójta w Mogile, został zabrany i wywieziony. Nie wiadomo co się z nim stało, nie napisał z Niemiec żadnej kartki ni listu. Czynione po wojnie poszukiwania za pośrednictwem Czerwonego Krzyża nie dały żadnego rezultatu. Spośród jeńców wojennych, którzy przebywali w stalagach, także kilku mieszkańców wsi po opuszczeniu obozów pracowało na roli u niemieckich bauerów i w zakładach przemysłowych.

Podwody do lasu

Jedną z bardzo przykrych i dotkliwych spraw dla gospodarzy posiadających konie był obowiązek dostarczania podwód do Puszczy Niepołomickiej, skąd Niemcy, wyrębując całe połacie lasu, wywozili drewno do Niemiec. Podwody wyznaczała gmina, na każdą gromadę obowiązek ten przypadał co kilka tygodni, zarówno w lecie, jak i w zimie. Wyznaczaniem kolejności podwód w gromadzie zajmował się sołtys. U nas w Bieńczycach był to Wojciech Biernacik i on miał obowiązek dopilnowania, by w oznaczonym terminie określona ilość furmanek wyruszyła do lasu. Obowiązek ten był o tyle uciążliwym, że trzeba było mieć odpowiednio mocny wóz, któryby pod załadowanymi pniami wytrzymał i nie załamał się. Furmanki musiały być dwukonne. Niektórzy gospodarze posiadali tylko jednego konia i w takim razie musiało sprzęgać konie dwóch gospodarzy. Do lasu wyjeżdżali na cały tydzień, więc trzeba było zabrać ze sobą i obrok dla koni, i jedzenie dla woźnicy. Jeśli podwoda wypadała w zimie, trzeba było zabrać odpowiednie, ciepłe ubranie.

Chłopi próbowali na różne sposoby sabotować zarządzenia niemieckie. Jednym ze sposobów unikania wyjazdu do lasu było uzyskanie od powiatowego weterynarza zaświadczenia stwierdzającego, że koń jest chory i nie jest zdolny do ciężkiej pracy. Jeśli to była klacz, to weterynarz wystawiał zaświadczenie, że jest zaźrebiona i wówczas była wolna od pracy w lesie. Zaświadczenia takie za odpowiednią zapłatą wystawiał dr Tesarz, który w tym czasie pełnił funkcję powiatowego weterynarza. W wyznaczonym dniu, kiedy podwody miały wyjechać do lasu, zjawiała się we wsi straż leśna, tzw. Forstschutz, która miała dopilnować punktualnego wyjazdu do lasu. Były wypadki pobicia gospodarzy, którzy albo próbowali sabotować zarządzenia niemieckie, albo zbyt opieszale wykonywali ten narzucony obowiązek. Szczególnie dotkliwie został pobity starszy już wiekiem gospodarz – Piotr Salwiński, którego syn Józef nie wyjechał w porę do lasu. Asystującemu strażnikom leśnym sołtysowi kazali Niemcy trzymać rozłożonego na ławie gospodarza, a oni okładali go pałkami. Pobity Piotr Salwiński odchorowywał ten wypadek przez kilka tygodni.

Tajne nauczanie

Na skutek działań wojennych nie rozpoczęła się w dniu 1 września nauka w żadnej szkole. Po przejściu frontu i zajęciu ziem polskich przez okupanta, dyrektorzy i kierownicy szkół prawie we wszystkich szkołach Krakowa rozpoczęli normalną naukę. W szkołach podstawowych nauka odbywała się przez cały okres okupacji z tym, że usunięto z programu takie przedmioty jak historia, geografia oraz historia literatury. Jako podręcznik do nauki języka polskiego zaczęto wydawać czasopismo „Ster", które zawierało czytanki w tonie bardzo życzliwym dla Niemców. Żadnych innych podręczników nie wydawano, więc siłą rzeczy nauczyciele posługiwali się dotychczasowymi. Co śmielsi nauczyciele uczyli według dotychczasowego programu. Dawne inspektoraty szkolne pozostały, lecz dano im niemieckiego „scholrata", który wydawał zarządzenia czego i jak uczyć w szkole. Nauczyciele na ogół na różne sposoby przemycali naukę historii, geografii oraz historii literatury. Dla chętnych zaczęto urządzać po lekcjach obowiązkowych dodatkowe lekcje zakazanych przedmiotów, co było początkiem tajnego nauczania. Wszystkie szkoły średnie ogólnokształcące i zawodowe były zamknięte. Niemcy zakładali, że polską młodzież wystarczy nauczyć czytać, pisać i rachować. Dla roli, jaką wyznaczono Polakom, to miało wystarczyć. Nie pozwolono także na otwarcie żadnych uczelni wyższych.

Na dzień 6 listopada 1939 r. władze niemieckie zarządziły zebranie w Collegium Novum UJ wszystkich profesorów wyższych uczelni Krakowa. Na zebraniu tym miały być przedstawione podstawy i zasady dalszej pracy w tych uczelniach. Wszystkich profesorów i innych pracowników naukowych zgromadzonych w budynku otoczyła niemiecka policja, a wysoki rangą gestapowiec zakomunikował im, że za rozpoczęcie pracy na uczelniach bez zgody władz niemieckich zostają wszyscy aresztowani. Ponad setkę profesorów osadzono w więzieniu przy ul. Montelupich, a następnie wywieziono do obozów koncentracyjnych. Aresztowano także wielu profesorów i nauczycieli szkół średnich i wywieziono do więzienia w Wiśniczu. Pozwolono później na otwarcie niektórych szkół zawodowych. Przez cały czas okupacji czynna była szkoła zawodowa w budynkach AGH w Podgórzu. Uczyli w niej profesorowie AGH i poziom nauki w tej szkole był bardzo wysoki. Wokół pozostałych na wolności nauczycieli i profesorów szkół średnich i wyższych zaczęły gromadzić się grupy młodzieży chętnej do nauki i zaczęły powstawać komplety tajnego nauczania. Niebawem uformowane już polskie władze podziemne powołały do życia w każdym powiecie komisje oświaty i kultury, które ujęły te z początku samorzutnie powstające ogniska nauki w zorganizowane tajne nauczanie. Na terenie dawnego kuratorium krakowskiego kierował tajnym nauczaniem Jan Smoleń. Organem wykonawczym było okręgowe biuro szkolne, prowadzone przez Bronisława Chrzana i Ignacego Jakubca. Powstawały komplety tajnego nauczania w miastach, gdzie były przed wojną szkoły średnie i gdzie pozostało wielu uczących w tych szkołach nauczycieli. Powstały jednak także ośrodki tajnego nauczania we wsiach, gdzie w czasie okupacji znalazło schronienie wielu profesorów i nauczycieli, którzy ścigani przez Niemców opuścili dotychczasowe miejsca zamieszkania. Byli wśród nich także profesorowie wyższych uczelni i inni nauczyciele z przyłączonych do Niemiec i Związku Radzieckiego dawnych ziem polskich na zachodzie i wschodzie.

W wielu wsiach powstały bardzo prężne ośrodki tajnego nauczania, liczące po kilkadziesiąt osób zdobywających wiedzę w tych ciężkich warunkach okupacji. Wśród uczących było wielu księży, którzy z natury rzeczy, jako posiadający przygotowanie pedagogiczne, angażowali się do tej pracy. Przed komisjami odbywały się egzaminy w zakresie tzw. małej matury po gimnazjum i matury licealne. W wielu miejscowościach ośrodki tajnego nauczania dały po wojnie początek szkołom średnim. W Krakowie działał także podziemny, tajny Uniwersytet Jagielloński. Pozostali na wolności profesorowie i inni pracownicy nauki gromadzili koło siebie studentów, którzy na skutek wojny zmuszeni byli przerwać naukę. Studenci ci zdawali egzaminy oraz przygotowali prace dyplomowe. Wielu z nich po wojnie zdawało egzaminy magisterskie i doktoraty. Pracą podziemnego uniwersytetu kierował profesor Małecki. Na tajnym uniwersytecie studiowali także maturzyści, którzy zdawali maturę na tajnych kompletach i przystępowali do nauki na pierwszych latach studiów. Gdy skończyła się wojna, kontynuowali naukę na otwartych znów uczelniach. Na terenie powiatu krakowskiego istniało w czasie okupacji sześć ośrodków tajnego nauczania. Ich pracą kierował początkowo Walerian Naturski z Krzeszowic, a po jego aresztowaniu Stanisław Gawęda z Wieliczki. Jeden z ośrodków tajnego nauczania w powiecie krakowskim działał w Bieńczycach i był kierowany przez Józefa Celińskiego – kierownika tutejszej szkoły, a pod koniec okupacji przez Wincentego Chomę. Czynnych tu było siedem kompletów tajnego nauczania na poziomie gimnazjalnym i licealnym. Nauka odbywała się w szkole po południu lub w domach prywatnych Osiadłego, Chomy i Kotyzy w Bieńczycach oraz Englisza w Mistrzejowicach.

Nauczycielami byli: ks. Adam Biela, Józef Celiński, Wincenty Choma, Maria Dziedzic, Ignacy Jakubiec, Jan Kotyza, Maria Kotyza, Jan Rasak i Adam Tęcza. W kompletach tych uczyli się:

- w I komplecie licealnym: Jan Bochenek, Janina Ciepiela, Henryk Górecki, Eugeniusz Hajto i Andrzej Świerczewski,
- w II komplecie licealnym: Józef Osiadły, Julian Osiadły, Mieczysław Ptak, Władysław Walerian,
- w komplecie liceum pedagogicznego: Zofia Ciepiela, Krystyna Kozłowska, Elżbieta Krawczyk, Anna Pilzneńska, Maria Trznadel, Aleksandra Świerczewska, Kazimierz Zamojski i Zofia Zybura,
- w komplecie I-II klasy gimnazjalnej: Jerzy Bednarski, Jan Cebula, Kazimierz Królikowski i Jan Pyczek,
- w komplecie I-III klasy gimnazjalnej: Danuta Celińska, Franciszek Ciepiela, Leszek Jakubowski, Henryk Krawczyk, Franciszek Pyrlik, Zenon Węgrzynowicz i Józef Zybura,
- w komplecie I klasy gimnazjalnej: Maria Biedroń, Władysław Bochenek, Ryszard Dudlej, Edward Englisz, Wanda Jędrszczyk, Aleksandra Kotyza, Helena Osiadły, Wiesław Pyczek, Władysława Raźny, Katarzyna Walerian, Zofia Waśko, Eugeniusz Wróbel,
- w komplecie I klasy gimnazjalnej: Zofia Ciepiela, Zofia Nawara, Maria Osiadły, Helena Papierz, Zbigniew Pyczek, Maria Śmigaj i Zofia Sobiech.

Wszyscy oni po wojnie kontynuowali naukę w szkołach średnich, a niektórzy z nich ukończyli studia wyższe. Żona Marysia ukończyła Seminarium Nauczycielskie w Krakowie w roku 1932, ale pracy w szkolnictwie nie zdołała znaleźć. W latach 1934-1939 prowadziła w Bieńczycach przedszkole, zorganizowane przez Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet. W roku 1939 Józef Celiński, uruchamiając po kampanii wrześniowej szkołę podstawową w Bieńczycach, zaangażował ją do pracy, gdyż wakowało miejsce na skutek nie zgłoszenia się do pracy jednej z dotychczasowych nauczycielek. Uczyła cały rok szkolny 1939/1940. Z końcem tego roku, jako mężatka, została zwolniona z pracy, gdyż Niemcy nie pozwalali na zatrudnianie w szkolnictwie mężatek. W ciągu tego roku, w obawie, by Niemcy nie zabrali lub nie zniszczyli patriotycznych książek znajdujących się w bibliotece szkolnej, kierownik usunął z biblioteki poważną ilość tego rodzaju książek, a znając moją żonę z jej dotychczasowej pracy społecznej na terenie wsi i bezkompromisowej postawy w stosunku do Niemców, przekazał jej książki do przechowania. Podobnie postąpił z obrazami i ilustracjami o treści patriotycznej, służącymi jako pomoce naukowe do nauki historii. Z książek korzystały później komplety tajnego nauczania. Tak książki jak i obrazy po odzyskaniu wolności wróciły do szkoły.

W roku 1942, kiedy mieszkaliśmy już w domu teścia, Wojciecha Halika, zgłosili się do nas pewnego razu dwaj chłopcy z Bieńczyc, uczniowie III klasy podstawowej i oświadczyli, że chcą się uczyć historii i geografii Polski. Byli to Wiesław Pyczek i Janek Jędrszczyk, potem dołączyli do nich jeszcze inni i tak powstał komplet tajnego nauczania. Ja w tym czasie już nie pracowałem w Zarządzie Miejskim, gdyż zostałem dyscyplinarnie zwolniony za fałszowanie kart meldunkowych. Żona uczyła tych chłopców historii, a ja geografii. W naszym mieszkaniu przez jeden rok uczył się komplet gimnazjalny złożony z Marii Bieroń, Ryszarda Dudleja, Edwarda Englisza, Władysławy Raźny, Katarzyny Walerian i Zofii Waśko. W następnym roku komplet ten zbierał się w domu Englisza w Mistrzejowicach.

W roku 1969 zorganizowaliśmy w oddziale ZBOWiD w Nowej Hucie seminarium poświęcone tajnemu nauczaniu w gminach Mogiła i Ruszcza, wchodzących obecnie w skład Nowej Huty. Przybyło na nie kilkudziesięciu nauczycieli uczących w kompletach oraz

kilkudziesięciu byłych uczniów. Referat na temat szkolnictwa polskiego w czasie okupacji i tajnego nauczania wygłosił kierownik ośrodka tajnego nauczania w Bieńczycach, Józef Celiński. W dyskusji zabierali głos uczący w kompletach oraz byli uczniowie, wspominając z wielką wdzięcznością tamte czasy i warunki, w jakich przyszło im się uczyć w czasach hitlerowskiej okupacji. Po przejściu Armii Czerwonej rozpoczęło się organizowanie w Mogile filii Gimnazjum Spółdzielczego, jakie powstało w Krakowie przy ul. św. Jana, a którego dyrektorem był znany działacz ludowy, przewodniczący Trójki Wojewódzkiej „Roch", mgr Józef Marcinkowski ps. „Tracz". Główną orędowniczką utworzenia filii gimnazjum w Mogile była Helena Mierzwina (żona Stanisława Mierzwy ps. „Słomka", członka Delegatury Rządu Londyńskiego, niebawem wywiezionego do Moskwy i tam więzionego). Mierzwina była działaczką przedwojennych „Wici", a w czasach okupacji Ludowego Związku Kobiet. Mieszkała wtedy w Mogile, a pochodziła z naszego terenu, z Kościelnik. Za punkt honoru wzięła sobie zorganizowanie w Mogile szkoły średniej, na wzór wielu szkół powstających w tym czasie w ośrodkach wiejskich. Najprościej było oprzeć ją o istniejące już w Krakowie Gimnazjum Spółdzielcze. Grono nauczycielskie skompletowano przede wszystkim z osób uczących w czasie okupacji w Bieńczycach w Ośrodku Tajnego Nauczania, którym kierował kierownik szkoły, Józef Celiński. Kierownikiem został pan Przygodzki, absolwent Wydziału Filozoficznego UJ. Jakkolwiek jego specjalnością były języki starożytne, uczył innych przedmiotów, między innymi matematyki. Uczył na początku Józef Siemek (w czasie okupacji w Mogile ożenił się z córką młynarza Lelity, Kazimierą), polonista, później znany działacz partyjny. Zaangażowano także i mnie. Jako kierownikowi spółdzielni zlecono mi między innymi prowadzenie zajęć z zakresu spółdzielczości. Szkoła mieściła się w budynkach klasztornych. Były trzy klasy mieszane, dziewczęta i chłopcy po szkole podstawowej, część z najbliższych wsi Mogiła, Bieńczyce, Krzesławice i Pleszów, część z Kościelnik i Rusocic. Dla nich w pomieszczeniach klasztornych zorganizowano internat. W ten sposób zaczęła działać filia krakowskiego gimnazjum kupieckiego (później Technikum Handlowego). W szkole tej przez kilka lat jej istnienia uczyło się około stu okolicznych dziewcząt i chłopców.

Rada Główna Opiekuńcza

Po napaści i zajęciu Polski były różne próby powołania do życia jakiejś instytucji lub organizacji, która by współpracowała z władzami niemieckimi, jednak Niemcy nie znaleźli chętnych do tego rodzaju współpracy. Metropolita krakowski ks. Adam Stefan Sapieha, który cieszył się wielkim autorytetem w społeczeństwie, był do tego rodzaju współpracy ustosunkowany zdecydowanie negatywnie, takie stanowisko reprezentowali zresztą przez cały okres okupacji i inni wybitni ludzie Krakowa, zwłaszcza po haniebnym aresztowaniu w dniu 6 listopada 1939 r. kilkudziesięciu profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego. Pozostali nie kwapili się do jakiejkolwiek współpracy z Niemcami. Takie stanowisko tych wybitnych osób było bardzo uznawane i cenione przez ogół społeczeństwa polskiego i było dla niego budującym przykładem. Powstały zaraz po wkroczeniu Niemców do Krakowa Obywatelski Komitet Pomocy nie miał możności działania, gdyż Niemcy wkrótce aresztowali i osadzili w więzieniu a potem w obozie prezydenta miasta, dra Stanisława Klimeckiego[2].

Jedyną akcją, jaka znalazła poparcie zarówno ks. metropolity, jak i wielu liczących się w Krakowie ludzi, była akcja charytatywna na rzecz ludności aresztowanej i wysiedlonej z polskich ziem zachodnich. Działała tu z ramienia ks. metropolity pod kierownictwem ks. Edwarda Lubowieckiego kościelna organizacja „Caritas", a opiekę nad więźniami sprawowała znana z pracy społecznej i charytatywnej z okresu przedwojennego Róża Łubieńska. Przy pomocy całego zespołu osób przygotowywała i dostarczała osadzonym w więzieniu przy ul. Montelupich i św. Michała paczki żywnościowe i bieliznę w ciągu całej okupacji. Działał także Polski Czerwony Krzyż, niosąc pomoc ludności polskiej w zakresie lekarstw, poszukiwania zaginionych i opieki nad polskimi żołnierzami przebywającymi w szpitalach. Za zgodą władz Generalnego Gubernatorstwa działała Rada Główna Opiekuńcza pod kierownictwem prezesa hr. Adama Ronikiera. (W czasie okupacji w Polsce funkcjonowały trzy ośrodki polskiej aktywności; Armia Krajowa utworzona po konsolidacji różnych ugrupowań wojskowych, Delegatura Rządu Londyńskiego i Rada Główna Opiekuńcza, zwana w skrócie RGO, która odegrała olbrzymią rolę w biologicznym przetrwaniu Narodu. Ta ostania placówka działała oficjalnie i skupiała ok. 10.000 pracowników i wolontariuszy. Jej misją była opieka społeczna nad potrzebującymi, tak aby zmniejszyć polskie cierpienia. Centrala RGO mieściła się w Krakowie. – dop. red.). Niemcy chcieli nadać Radzie charakter polityczny, nie udało im się jednak tego uczynić i organ ten zachował charakter działalności charytatywnej. W Krakowie istniały władze naczelne tej organizacji, w miastach powiatowych działały komitety powiatowe, a po gminach i wsiach czynne były delegatury tej organizacji.

2. Dr Klimecki, który z odwagą i godnością bronił interesów mieszkańców Krakowa, 20 września opuścił więzienie przy ul. Montelupich. Po 10 dniach, 30 września 1939 r., ponownie aresztowany wraz z profesorami UJ i AGH 6 listopada 1939 w ramach tzw. „Sonderaktion Krakau" trafił do obozu Sachsenhausen. Zwolniony powrócił do Krakowa w styczniu 1940 r. i przez dwa lata pracował jako adwokat. Aresztowany ponownie po raz trzeci przez Gestapo w nocy z 28 na 29 listopada 1942 r., został rozstrzelany 11 grudnia 1942 r. w Puszczy Niepołomickiej.

Latem w 1942 r. przyjechał do Bieńczyc przedstawiciel RGO, przedwojenny wizytator szkolny p. Ogrodziński, który powołał do życia delegaturę RGO, na czele której stanęli dwaj miejscowi ludzie; prezesem został Józef Celiński, a sekretarzem Jan Kotyza. Ten ostatni wziął na swoje barki całość pracy delegatury. Dzielnie pomagały mu w tej pracy miejscowe zakonnice – ss. Matki Bożej Miłosierdzia. Główny Zarząd RGO mieścił się w Krakowie przy ul. Krowoderskiej, a wśród pracowników tej instytucji był jeden z mieszkańców Bieńczyc – Zygmunt Starachowicz. Tu został niebawem aresztowany przez Gestapo, podejrzany o przynależność do AK został zesłany do obozu koncentracyjnego w Auschwitz, skąd już nie powrócił. Zarząd Powiatowy RGO mieścił się przy ul. św. Jana w Krakowie, w dawnym zakładzie biologii UJ, prowadzonym kiedyś przez prof. Emila Godlewskiego. Przewodniczącym Zarządu był znany działacz społeczny, dyrektor gimnazjum im. B. Nowodworskiego – Jakub Zachemski. Pracował tam także Stanisław Sułko i kilka innych osób. Zarząd ten rozdzielał posiadane środki żywnościowe i odzież na delegatury, a te według posiadanych spisów rozdzielały otrzymane środki najbardziej potrzebującym, ubogim mieszkańcom wsi. Część środków żywności delegatura przydzielała miejscowemu przedszkolu, prowadzonemu przez zakonnice, które także zajmowały się dożywianiem dzieci uczęszczającym do przedszkola. Placówki RGO, znajdujące się na terenie miasta, zatrudniały w swych biurach dużo osób czynnych w konspiracji, stąd też nierzadkie były wypadki aresztowania przez Niemców pracowników RGO i zsyłanie ich do obozów koncentracyjnych. Tak znalazł się w obozie koncentracyjnym mieszkaniec Bieńczyc, Zygmunt Starachowicz. Stanisław Sułko, członek „Roch" pracował w biurze RGO przy ul św. Jana, gdzie prowadził skrzynkę konspiracyjną, skąd pobierano prasę konspiracyjną „Roch-BCh" na cały powiat krakowski.

Wysiedleni z Warszawy

Wybuch powstania w Warszawie 1 sierpnia 1944 r. zaskoczył nas – mieszkańców podkrakowskich wsi. Z dnia na dzień śledziliśmy przebieg walk powstańczych, słuchając radia i czytając niemieckie gadzinówki, jak „Goniec Krakowski", które podawały w komunikatach wojennych wiadomości z walczącej Warszawy. Kilkakrotnie byliśmy świadkami lecących na dużych wysokościach eskadr samolotów alianckich, niosących pomoc walczącej Warszawie. Pierwsze radosne uczucia przemieniły się szybko w niepewność i troskę, co stanie się z powstańcami i ludnością bohaterskiej stolicy, gdyż z żadnej strony nie nadchodziła zdecydowana pomoc[3].

Kiedy zaś okrzepł niemiecki front na Wiśle i zatrzymała się fala uciekających w ostatnich dniach lipca Niemców, było już prawie pewne, że pozostawione samemu sobie powstanie musi upaść. W czasie chłodnych już i deszczowych dni października rozeszła się wieść, że mają nadejść do Krakowa pociągi z wysiedlonymi z Warszawy. Z dworca krakowskiego skierowano jeden pociąg na linię Kraków – Kocmyrzów. Złożony z kilkudziesięciu wagonów pociąg miał w swym składzie wyłącznie wagony towarowe, częściowo kryte i częściowo otwarte. Na stacji kolejowej w Bieńczycach „wyładowano" kilkaset osób. Byli to przeważnie starsi mężczyźni, kobiety i dzieci. Wszyscy byli bardzo zmęczeni. Wiele osób było kontuzjowanych i rannych. Zostali oni przyjęci wprost z transportu, gdzie zajął się nimi powołany w tym celu komitet, którego trzon stanowili żołnierze Batalionów Chłopskich oraz członkinie Ludowego Związku Kobiet i Zielonego Krzyża. Na stację przyniesiono kotły i garnki z gorącą zupą, by nakarmić przybyłych, którzy od kilku dni nie mieli w ustach gorącej strawy. Nasze dziewczęta rozdzielały zupę i roznosiły ją wśród zziębniętych kobiet i mężczyzn, zaś chłopcy pomagali osłabionym ludziom wysiadać z pociągu i zajmować miejsca na chłopskich furmankach. Do naszej gromady zostało przydzielonych około setki osób. Po ich pierwszym, doraźnym nakarmieniu na stacji kolejowej zabierano furmankami grupy ludzi i rozwożono a następnie rozmieszczono ich w przygotowanych mieszkaniach u poszczególnych gospodarzy, którzy mieli także obowiązek dostarczyć im pożywienia. Dla osób, które nie mogły we własnym zakresie przygotowywać sobie posiłków, obiady z artykułów dostarczanych przez miejscowych gospodarzy i RGO robiły zakonnice z przedszkola.

Wieś Bieńczyce liczyła niespełna dwieście domów i około tysiąca stałych mieszkańców. Była to ludność rolnicza i robotnicza. Osoby samotne przydzielano po jednej do poszczególnych rodzin, zaś rodziny przydzielano razem do wolnych izb, zadeklarowanych wcześniej przez gospodarzy. Osobom chorym i kontuzjowanym udzielał pierwszej pomocy miejscowy lekarz –Kazimierz Łowczowski oraz członkinie Zielonego Krzyża. W pierwszych kilku dniach po rozmieszczeniu przybyłych trzeba było ich zaopatrzyć w jedzenie. W tym celu wyznaczono gospodarzy, którzy mieli dostarczyć jedzenie. Czynili to albo ci, u których wysiedleni zostali umieszczeni na kwaterze lub gdy właściciel nie był w stanie tego czynić, jedzenie dostarczał kto inny. Po pewnym czasie wysiedleńcy zaczęli sami jakoś się urządzać. Ci, którzy mogli sami sobie gotować i mieli po temu warunki, otrzymywali suchy prowiant od gospodarzy. Członkowie komitetu kontrolowali rozmieszczenie i zaopatrzenie w żywność przybyłych. Udzielała też pomocy miejscowa delegatura RGO, przydzielając potrzebującym różne części garderoby oraz prowiant. Z dużą pomocą przychodziła wysiedlonym dzierżawczyni miejscowego dworu, p. Helena Cieślewicz. Ta nie

3. O wybuchu Powstania Warszawskiego Prezes R.G.O. Adam Ronikier napisał: *Dnia 1 sierpnia o godz. 5-tej po południu, czyli najmniej po temu właściwej, wybuchło ono w Warszawie, ku przerażeniu ludzi jeszcze mających cośkolwiek rozumu w głowie, ku radości zaś Bolszewików i tych Niemców, którzy szukali w nim dowodu na to, że mieli rację Polaków tak traktować, jak ich w ciągu całego panowania traktowali.* Por. Adam Ronikier, *Pamiętniki 1939-1945*. Kraków 2001. s.353 i 354.

tylko przyjęła do dworskich zabudowań większą grupę osób, ale także żywiła ją przez cały prawie okres pobytu we wsi. Także poszczególni gospodarze chętnie nieśli pomoc wysiedlonym. W okresie Bożego Narodzenia, celem uprzyjemnienia pobytu i podniesienia na duchu wysiedlonych, zorganizowano w przedszkolu prowadzonym przez ss. M.B. Miłosierdzia wspólny opłatek z kolędami. Były tam przemówienia, deklamacje, był skromny poczęstunek i słowa wzajemnej otuchy, że wojna z pewnością wnet się skończy i każdy będzie mógł powrócić do swoich bliskich. Łzy wzruszenia niejednemu popłynęły wówczas z oczu, a kiedy Kraków 18 stycznia 1945 r. został oswobodzony od Niemców i Warszawa też już była od nich wolna, wielu wysiedlonych czym prędzej pakowało swój skromny bagaż i wracało do ukochanej Warszawy, gdzie spodziewali się odszukać swoich krewnych i znajomych oraz mieli nadzieję odzyskać coś ze swego dobytku.

Wśród przybyłych do Bieńczyc dużo było inteligentów. Z nazwisk, jakie mi utkwiły w pamięci, mogę wymienić kilka. Niedźwiecki, ekonomista mieszkający w Warszawie przy ul. Koszykowej, przybył do nas wraz z żoną i dzieckiem. Ci bardzo zaprzyjaźnili się z gospodarzami, u których przebywali, a nawet po kilku latach się odwiedzali. Osobiście odwiedziłem pp. Niedźwieckich w kwietniu 1945 r., kiedy zostałem zmobilizowany do Ludowego Wojska Polskiego i przebywałem w Warszawie. Ich syn służył wtedy w wojsku. U mnie w mieszkaniu we wspólnej izbie przebywała przez kilka tygodni p. Lasocka, której dwie córki, jako żołnierze AK, przebywały w tym czasie w niewoli niemieckiej. Ta, jak tylko nadeszła wiadomość w styczniu 1945 r., że Warszawa jest wolna, natychmiast wyjechała do stolicy, by szukać swoich krewnych i znajomych. Nawiasem mówiąc, tośmy się bardzo zaprzyjaźnili. Przychodził do mnie często starszy inżynier, z którym prowadziliśmy długie rozmowy. Ten zbierał chętnych do wyjazdu na Zachód i wkrótce po ich oswobodzeniu tam wyjechał. Wiele osób włączało się do pracy w gospodarstwach. Była też starsza już p. Sokołowska, nauczycielka gry na fortepianie i języków obcych. Mimo swego podeszłego wieku włączyła się także do pracy, udzielając lekcji gry na fortepianie oraz nauki języków, francuskiego i angielskiego. Ja także korzystałem z tych lekcji. Kiedy 11 kwietnia zostałem zmobilizowany do wojska, p. Sokołowską przygarnęła do naszego mieszkania moja żona. Nawet po moim powrocie we wrześniu 1945 r. pozostawała dalej u nas udzielając lekcji gry na fortepianie i języków różnym osobom, a zwłaszcza młodzieży we wsi. Wyjechała dopiero w 1948 r., kiedy zabrała ją do Warszawy jej siostrzenica.

W miesiącach wiosennych, kiedy oswobadzane były coraz to nowe tereny zachodnie, prowadziliśmy długie rozmowy na temat wyjazdu na Ziemie Zachodnie. Wielu warszawiaków, nie mając po co wracać do zburzonej stolicy, wyjeżdżało potem na zachód Polski. Wszystkie okoliczne wsie naszej gminy przyjęły do siebie mniejsze lub większe grupy osób wysiedlonych. Szczególną rolę odegrał tu klasztor oo. Cystersów w Mogile, który w swoich zabudowaniach dał schronienie dużej liczbie osób, zapewniając im mieszkania, żywność i opiekę. Wieś polska i jej mieszkańcy w czasie okupacji nie tylko stworzyli silny Ruch Oporu Chłopskiego, ale także nieśli pomoc swemu najbliższemu miastu, ratując go od głodu i okazali wiele serca w nieszczęściu wysiedlonym mieszkańcom stolicy.

Pierwszy dzień wolności

Zimowa ofensywa radziecka rozpoczęła się w poniedziałek 15 stycznia. Odczuliśmy to, zanim dowiedzieliśmy się z prasy. Tego dnia w godzinach przedpołudniowych udałem się do domu Hajty, by z Gienkiem omówić niektóre sprawy organizacyjne. Gdyśmy tak rozmawiali w pokoju na piętrze, tuż nad domem usłyszeliśmy ostry warkot samolotu i prawie natychmiast detonację. Zbiegliśmy czym prędzej po schodach do piwnicy. Bomba – jak się potem okazało – spadła obok szkoły, powodując wybicie szyb. Kolejne bomby spadły już na lotnisko. Zaczęło się wyczekiwanie, kiedy i skąd przyjdą wojska radzieckie. We czwartek udałem się do Raciborowic, by z Tadkiem Rumianem omówić ostatecznie ich podporządkowanie się dowództwu batalionu „Pająk". W czasie rozmowy prowadzonej na miedzy koło cmentarza obserwowaliśmy przeloty samolotów, a z oddali dochodziły odgłosy ostrzału artyleryjskiego. Kiedy wracałem do Bieńczyc polną drogą prowadzącą z Raciborowic do Zesławic, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu zauważyłem, że w okolicy Dziekanowic, a więc jak wnioskowałem nad szosą warszawską, pikują samoloty i ostrzeliwują teren. Kiedy zajęty byłem tą obserwacją, zauważyłem w kierunku północnym, w dolinie rzeki Dłubni w okolicy Młodziejowic i Michałowic, pękające w powietrzu pociski artyleryjskie. Uświadomiłem sobie, że na szosie warszawskiej toczy się bój sądząc, że z tamtej strony wojska radzieckie atakują Kraków. Wróciwszy do Bieńczyc podszedłem na ogród koło kaplicy, skąd roztaczał się widok na lotnisko w Rakowicach i dalej na Kraków, by zorientować się co się tam dzieje. Nic jednak ciekawego nie zauważyłem. Pod wieczór ktoś zaalarmował ludność we wsi, że na szosie prowadzącej do Kocmyrzowa są Ukraińcy. Zrobił się popłoch. My wszyscy z domu; z żoną, dzieckiem i rodzicami zbiegliśmy do piwnicy znajdującej się na podwórzu. Kiedy jednak okazało się, że alarm jest fałszywy, wyszliśmy stamtąd. Noc przeszła spokojnie. Cały dzień w piątek nie było żadnych wiadomości o Niemcach ani o Armii Czerwonej. Do Krakowa nikomu nie przyszło do głowy się wybierać. Pod wieczór, gdy już zmierzch zapadał, znalazłem się koło szosy w pobliżu sklepu Ptaka. Po chwili koło mnie pojawiło się kilku miejscowych mężczyzn, zaczęła się rozmowa na temat czy Niemcy już

się wycofali, czy też są gdzieś jeszcze w okolicy. Wkrótce zauważyliśmy w mroku sylwetki żołnierzy idących dwójkami szosą od strony młyna. Sądziliśmy, że to jakiś oddział niemiecki wycofuje się przed napierającymi oddziałami radzieckimi. Jakież było nasze zaskoczenie i zarazem radość, gdy usłyszeliśmy mowę rosyjską. Kiedy się do nas zbliżyli zauważyliśmy, że są ubrani w szare szynele radzieckie. Po stwierdzeniu, że droga prowadzi prosto na Kraków, pomaszerowali dalej. (...)

W dzień, a była to już sobota, pojawiło się już więcej żołnierzy radzieckich. Wraz z bratem postanowiliśmy udać się do Krakowa, by zobaczyć co się tam dzieje i jak wygląda po odejściu Niemców. Wybraliśmy się tam pieszo, bo żadnej komunikacji nie było. Na placu Matejki, w miejscu, gdzie kiedyś stał pomnik Grunwaldzki, odbywał się wiec. Zebrał się tam tłum ludzi, a przemawiał – jak nas poinformowano – przybyły z Lublina minister Piotrowski. W Rynku Głównym zebrał się tłum ludzi koło ustawionych tam dział przeciwlotniczych. Na Plantach dietlowskich świeży grób żołnierza radzieckiego o polsko brzmiącym nazwisku, na co wskazywał napis na wbitym w ziemię krzyżu – doszedł z dalekich stron aż tutaj, by oddać swe młode życie. Na ul. Bernardyńskiej przy wejściu do Seminarium Duchownego leżał trup żołnierza niemieckiego. Na Wawelu powiewała polska flaga.

Tuż po wojnie

Wyzwolenie wsi spod okupacji niemieckiej nastąpiło w piątek 18 stycznia 1945 r. W najbliższą niedzielę, kiedy w naszej kaplicy zebrała się prawie cała wieś, a mszę odprawiał ks. Adam Biela, po raz pierwszy od wielu lat wszyscy zebrani śpiewali głośno hymn „Boże coś Polskę", szczególnie fragment refrenu „Ojczyznę wolną pobłogosław Panie", a nie jak w czasie okupacji „...racz nam wrócić Panie". Zaczynało się we wsi nowe życie, każdy to wyraźnie czuł. Czuliśmy się wolni, zniknął wraz z odejściem Niemców strach i obawa o życie własne i bliskich. Nie wiedzieliśmy, jak ułoży się nasze dalsze życie. To, co wraz z przybyciem do nas Armii Czerwonej i nowej polskiej władzy wszystkich niepokoiło, to były nowe stosunki polityczne, społeczne i gospodarcze. Wójtem w gminie mogilskiej, zgodnie z przyjętymi jeszcze w czasie okupacji w ruch ludowym założeniami, został przewodniczący gminnej Trójki „Rocha", Antoni Baranik z Mogiły, sołtysem w Bieńczycach Andrzej Biernacik (Wielgus), również wytypowany na to stanowisko członek „Rocha". Po wszystkich wsiach zaczęły się organizować, w oparciu o konspiracyjne trójki polityczne, Koła Polskiego Stronnictwa Ludowego. Zaczęły powstawać także inne ugrupowania polityczne, przede wszystkim Polska Partia Socjalistyczna. PPR nie miała w okolicy żadnego oparcia, z czasem zaczęli ujawniać się pojedynczy członkowie tej partii.

We wsi powstał posterunek Milicji Obywatelskiej, złożony głownie z miejscowych chłopaków, żołnierzy Batalionów Chłopskich. Posterunek mieścił się we młynie, w dawnej willi Lelity. Z młyna zniknęli wszyscy volksdeutsche; Spanihel i Banert zmarli w szpitalu, Krill uciekł z Niemcami, Tromke powiesił się, a Lelitowa znalazła się w obozie w Jaworznie. Młyn objął w posiadanie Związek Spółdzielni Spożywców „Społem". Kontynuowała swoją działalność handlowa Spółdzielnia Spożywców „Bieńczycanka", ale istniały także dwa sklepy prywatne, Stanisława Ptaka i Heleny Rojek. Dwór, jako własność kurii metropolitalnej, czyli tzw. „dobro martwej ręki", nie podlegał na razie parcelacji, dzierżawiła go nadal Helena Cieślewicz. Po jej rezygnacji dwór przejął w dzierżawę Kusiak, dawny rządca cysterskiego majątku w Mogile. Gospodarował w nim do roku 1948, w którym wszystkie majątki kościelne zostały upaństwowione. Dwór w Bieńczycach zaczął działać jako PGR. Kierował nim dawny karbowy, Ciszewski. Zaczęli prowadzić sklepy mięsno-masarskie dwaj przedwojenni masarze: Stanisław Krawczyk i Władysław Nawrocki. Powrócili z niewoli niemieckiej mieszkańcy Bieńczyc, którzy całą okupację spędzili w stalagach, względnie później na robotach u niemieckich bauerów: Franciszek Krawczyk, Karol Żylski, Feliks Zamojski i inni. Nie wrócił natomiast nikt z wywiezionych do obozów koncentracyjnych. Mieszkający w czasie okupacji w Bieńczycach ks. Adam Biela wrócił do parafii w Raciborowicach. Ludzie przyzwyczaili się do tego, że przez całą okupację w każdą niedzielę, a nawet w dni powszednie w Dworku była odprawiana msza św., zabiegali zatem o to, by tak pozostało i teraz. Przeor klasztoru w Mogile, ojciec Robert Kuchar (wrócił z obozu koncentracyjnego), spełnił tę prośbę i delegował do Bieńczyc jednego z ojców. Przez kilka lat, aż do utworzenia w Bieńczycach parafii w roku 1952, te czynności duszpasterskie sprawował ojciec Andrzej Kolasa.

Szkoła podstawowa pod kierownictwem Józefa Celińskiego, która mimo ciężkich warunków nie przerwała nauki, z chwilą zakończenia wojny prowadziła dalej swoją pracę. Zmieniło się częściowo grono nauczycielskie, odszedł na stanowisko kierownika szkoły w Mogile Wincenty Choma, w Bieńczycach pozostały jako nauczycielki Kęskowa, Dziedzic, Łowczowska, zaczęła uczyć Kotyzowa i kilka młodszych nauczycielek (Małek, Wolnik i inne). Młodzież związana w czasie okupacji z ruchem ludowym i Batalionami Chłopskimi utworzyła Koło Młodzieży Wiejskiej „Wici". Odżyło Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Męskiej. Jako kontynuacja KSMŻ zaczął działać „Żywy Różaniec Dziewcząt". Organizacje te, wzorując się na bogatej tradycji pracy młodzieżowej przed wojną, zaczęły organizować przedstawienia, zabawy, dożynki i inne imprezy na wsi. W oparciu o przedwojenne tradycje i organizowane w czasie okupacji rozgrywki sportowe, a zwłaszcza

piłki nożnej, powstał klub sportowy „Tęcza", rozwijający głównie drużynę piłki nożnej. Klub przystąpił do zrzeszenia „Ludowe Zespoły Sportowe" i przez kilka lat rozwijał ożywioną działalność sportową, korzystając z boiska sportowego wydzielonego z dworskich łąk nad rzeką Dłubnią.

Bieńczyccy chłopi na parcelacji nic nie skorzystali, gdyż dwór został upaństwowiony i zamieniony na PGR. Chłopi gospodarzyli na swoich niewielkich poletkach dobrej ziemi, kontynuując uprawę zboża, a zwłaszcza warzyw, uprawiali sady, nie tylko zasadzone przed wojną, lecz i nowe. Wielu robotników dojeżdżało do pracy w Krakowie, coraz więcej młodzieży rozpoczynało naukę w szkołach średnich i zawodowych. Cała wieś, otrząsnąwszy się z ciężkich przeżyć okupacyjnych, brała się do pracy. Nie były to lata lekkie, odczuwało się brak wielu artykułów potrzebnych do gospodarstwa, odradzała się jednak wyniszczona przez okupanta hodowla inwentarza, niektórzy zaczęli budować nowe domy i zabudowania gospodarskie i wtedy przyszła wiadomość o budowie w naszej okolicy wielkiej huty, przyjęta najpierw z niedowierzaniem, a potem wręcz z wrogością. W nowych blokach wybudowanych w pobliżu wsi zamieszkali robotnicy ze swoimi rodzinami. Zanim na osiedlu wybudowano szkołę, dzieci z tych bloków uczęszczały do szkoły w Bieńczycach. Szkoła zbudowana kiedyś dla potrzeb Bieńczyc oraz sąsiednich Mistrzejowic i Dłubni, ucząca w normalnych warunkach około dwustu dzieci, musiała przyjąć ich trzykrotnie więcej. Powiększono liczbę personelu uczącego, nauka odbywała się na trzy zmiany. Powstałe w następnych latach w pobliżu wsi dwie nowe szkoły podstawowe i liceum nadal z trudnością mieściły młodzież, gdyż ciągle rosła ilość nowych bloków oraz ich lokatorów. Działający w pierwszych latach po wojnie Zarząd Gminy w Mogile, mieszczący się w starej szkole na skrzyżowaniu szosy Igołomskiej i ul. Klasztornej, został przeniesiony do jednego z nowych bloków na os. Na Skarpie.

Nowa Huta

W 1948 r. zaczęły krążyć po okolicznych wsiach wieści, że w najbliższym czasie w naszej okolicy, gdzieś na polach Pleszowa, Mogiły ma powstać wielka fabryka, zakład przemysłowy, kombinat. Ludzie w to nie wierzyli, a poza tym mówiono, że to jakiś pomylony pomysł, bo tu na najlepszych, najurodzajniejszych ziemiach krakowskiego powiatu budować fabrykę eliminując z uprawy te wspaniałe ziemie, sady owocowe, olbrzymie połacie upraw warzywnych. Pogłoski te jednak uporczywie krążyły. Niebawem zaczęły przyjeżdżać różne grupy osób, chodziły po polach, geodeci zaczęli robić pomiary. Na kopcu Wandy zjawili się jacyś ludzie, obserwujący wielką równinę obsianych i zagospodarowanych między Mogiłą, Pleszowem, Ruszczą, Wadowem i Luboczą, pól. Zwoływano w gromadach zebrania chłopów, mówiono, że powstanie tu wielki kombinat metalurgiczny, który będzie produkował żelazo, stal i inne potrzebne krajowi wyroby przemysłowe. Ludzie w dalszym ciągu nie wierzyli, by tu na tych polach, które dawały chleb, gdzie rosła pszenica, żyto, buraki cukrowe, ziemniaki, gdzie uprawiano truskawki i tytoń, tu na tych ziemiach, miano budować wielki kombinat.

A jednak latem 1949 r. na klasztornych polach w pobliżu mogilskiego cmentarza przystąpiono do koszenia zielonej jeszcze pszenicy. Tu miały powstać pierwsze budynki mieszkalne nowego miasta. Nie było wtedy koparek, spychaczy i innych maszyn budowlanych. Łopatami kopano głębokie wykopy pod fundamenty przyszłych bloków. Wspaniała podkrakowska ziemia po deszczu lepiła się do butów. Robotnicy w gumowych butach brodzili po błocie. Wozy konne a potem auta grzęzły w rozmokłej glinie, ale robota postępowała naprzód. W krótkim czasie wyrosły pierwsze domy, jeszcze niewysokie, tylko jedno i dwupiętrowe, w których zamieszkali robotnicy, powstały pierwsze hotele robotnicze. Po okolicy jeździły ekipy werbujące ludzi do pracy. Miejscowi chłopi, przywykli do pracy na roli, nie kwapili się do roboty przy budowie. Wiedzieli, że utracą swój od setek lat uprawiany warsztat pracy, jaki stanowiło gospodarstwo rolne, niektórzy wręcz wrogo odnosili się do budowy. Napływali jednak ludzie z dalszych okolic, powiatów i województw. Na razie nie ruszano jeszcze samych zabudowań wsi, groziła jednak utrata pól, które dawały chleb i utrzymanie kilkunastu tysiącom ludności wiejskiej oraz warzywa miastu.

W następnym roku zaczęto mierzyć i wytyczać za kopcem Wandy miejsce pod budowę pierwszych obiektów Kombinatu. Gospodarze posiadający konie zaczynali pracować przy wywózce ziemi. Nieźle zarabiali, niejeden mógłby za zarobione pieniądze wznieść nowe zabudowania gospodarcze czy dom, na to jednak nie zezwalano. Co więc mieli robić chłopi z zarobionymi pieniędzmi? Pili wódkę! Tracili zdrowie, a zarobione pieniądze szybko wracały do skarbu państwa. Podobnie zresztą robili robotnicy. Żeby przyspieszyć budowę ściągnięto w okolicę kilka brygad „Służby Polsce". Młodzi chłopcy, głównie ze wsi, zamieszkali w namiotach na polach Mogiły. Ubrani w drelichy, zachęcani różnymi konkursami i współzawodnictwem, pracowali ciężko, zarabiali nieźle, szkolili się przy tym na murarzy, cieśli i też, jak inni robotnicy, pili. Wybuchały niejednokrotnie nieporozumienia i awantury, nawet bójki między miejscową młodzieżą a junakami SP. Tych ostatnich posądzono, że zniszczyli wizerunek Chrystusa na krzyżu stojącym opodal namiotów, przy drodze wiodącej z Bieńczyc do Mogiły.

Jedyną drogę prowadzącą z Krakowa do Cła i Kocmyrzowa, na której teraz wzmógł się ruch wszelkiego rodzaju pojazdów, zaczęto przebudowywać, dając jej brukowaną nawierzchnię. Niewielkie na razie ilości robotników, głównie budowlanych, przywożono z Krakowa istniejącym od dawna pociągiem, który kilka razy na dzień jeździł z Krakowa do Kocmyrzowa i do Mogiły oraz autobusami PKS. Do Luboczy zaczął kursować autobus miejski, dowożący robotników do pierwszych, głównie ziemnych robót kombinatu. W Bieńczycach przystąpiono do uregulowania starego koryta Dłubni, przy którym pracowali przeważnie pracownicy umysłowi, dorabiając po godzinach pracy w biurze. Łopatami kopano i taczkami wywożono ziemię z regulowanego koryta rzeki.

Pierwsze bloki mieszkalne powstały na polach klasztornych w Mogile. Przystąpiono do wywłaszczenia chłopów z ziemi, na której z dziada pradziada pracowali. Marne pieniądze, jakie płacono chłopom za to, nie pozostawały w żadnym stosunku do rzeczywistej wartości ziemi. Średnio płacono za mórg pola około tysiąca złotych. Wielu wywłaszczonych nie chciało brać tych pieniędzy, bo mórg pola na podmiejskich terenach przedstawiał w tym czasie wartość około stu tysięcy złotych, gdyż nie mówiąc o wspaniałej glebie były to tereny budowlane. Nawiasem mówiąc, kiedy w latach trzydziestych wywłaszczano pola, głównie czyżyńskie pod budowę lotniska, rząd sanacyjny płacił za mórg pola siedemnaście tysięcy przedwojennych złotych. Teraz za wywłaszczony mórg pola otrzymywał chłop około tysiąca złotych w nowej, socjalistycznej walucie. Rzeczą zrozumiałą jest zatem, ze wywłaszczony chłop patrzył na budowę miasta i Kombinatu z nienawiścią.

W 1950 r. przystąpiono do budowy bloków mieszkalnych w najbliższym sąsiedztwie Bieńczyc i zaszła potrzeba wyburzenia stojących tam domów i zabudowań gospodarczych. I tak poszły „pod nóż" leżące przy drodze z Bieńczyc do Mogiły i torze kolejowym zabudowania Stanisława Zięby, Franciszka Zięby, Franciszka Sawickiego, Andrzeja Ciepieli, Jakuba Pszczoły, Bazińskiego i Wróbla. Mieszkańcom tych domów proponowano przeniesienie się do nowych bloków. Niektórzy z nich, żyjący z pracy zarobkowej, przenieśli się, lecz chłopi, którzy mieli jeszcze nie wywłaszczone pola i żywy inwentarz do bloków iść nie chcieli, bo ich ziemia stanowiła wciąż ich warsztat pracy. Hodowali krowy, konie, świnie, kury, co dawało im utrzymanie, a zwierząt do bloków zabrać nie mogli. Tym kilku gospodarzom przydzielono mieszkania w zabudowaniach dworskich. Bardzo drastyczny był wypadek z rodziną Bazińskich, którą siłą przy użyciu milicji i junaków SP wysiedlono z jej domu do bloków.

Początkowo Nowa Huta miała być osobnym miastem, tak w każdym razie głosił napis na transparencie rozpiętym na drogą wiodącą z Krakowa, koło stacji kolejowej w Czyżynach. W następnych latach utworzono z Nowej Huty dzielnicę Krakowa, a rządy objęła Dzielnicowa Rada Narodowa. Na wzór miejski dawni sołtysi w gromadach stali się „blokowymi" na etacie DRN. Rosło nie tylko miasto, ale i Kombinat. Powstał pierwszy wielki piec, uroczyście dokonano pierwszego spustu surówki. Uruchomiono stałą komunikację autobusową, zbudowano nową linię kolejową ze stacji w Batowicach do Nowej Huty, którą później przez Ruszczę połączono przez most na Wiśle z Podłężem. Wszystkie pola Mogiły, Czyżyn i Bieńczyc, leżące w trójkącie dróg z Czyżyn do Mogiły i z Czyżyn do Bieńczyc zostały wywłaszczone. Na tej pięknej równinie, pokrytej sadami, których widok zwłaszcza na wiosnę, gdy drzewa okryły się białym kwiatem, radował oko, powstał jeden olbrzymi plac budowy.

Bieńczyckie łąki leżące nad rzeką Dłubnią, między Krzesławicami a Mistrzejowicami, zaczęto zabudowywać różnymi magazynami i składami, doprowadzono tam bocznicę kolejową, powstała wielka zajezdnia autobusów MPK, a tuż koło rzeki założono ogródki działkowe. Przy samej rzece istniały ciągle skrawki pól chłopskich, które też chciano wywłaszczyć, lecz chłopi z widłami i kosami stanęli w ich obronie i na razie je zatrzymali. Kiedy od Czyżyn do Bieńczyc poszerzano drogę, budując jej drugą jezdnię, uległy zburzeniu piękne domy Norberta Rojka wraz z kuźnią, Jana Ciepieli – dom i zabudowania gospodarcze, Władysława Ptaka – największe piękne murowane domy i pozostałe zabudowania, oraz przepadły całe gospodarstwa Mikołaja Nawrockiego, Jakuba Ordy, Karola Hajty, a także Bieli i dom gromadzki. Ostały się w tym miejscu piekarnia Władysława Motyki i dawny budynek „Sokoła". We wsi w dalszym ciągu nie pozwalano budować nowych domów, w wyniku tego powstało kilka właściwie całkiem nowych domów jak Piotra Zybury, Jana Bieronia, Jana Krawczyka, Józefa Witka, Pawła Zamojskiego, Franciszka Salwińskiego, Władysława Bochenka oraz na Budzyniu Franciszka Salwińskiego, Piotra Nawrockiego, Józefa Ciepieli, Kozika i Popiołka.

W następnych latach zlikwidowano tor kolejowy od Krakowa do Grębałowa, a wybudowano nową linię tramwajową, najpierw z Krakowa do kombinatu, a potem wzdłuż ulicy Kocmyrzowskiej przez Bieńczyce na Wzgórza Krzesławickie. Nowe miasto – jak głosiła prasa i inne środki masowego przekazu – miało być miastem socjalistycznym, nie miało być w nim miejsca na kościoły i kaplice. Jedynym istniejącym obiektem sakralnym na terenie rosnącej ciągle dzielnicy był położony na jej skraju klasztor i kościół oo. Cystersów w Mogile, który zapełniał się tłumami wiernych. Wybudowany w Czyżynach w latach trzydziestych kościół początkowo nie pełnił tak wielkiej roli, gdyż w pobliżu Czyżyn nie budowano nowych bloków, lecz i tam kuria biskupia powołała do życia nową parafię. Na trzecim wierzchołku trójkąta, w obrębie którego miało powstać pierwotnie miasto, była kaplica w Bieńczycach, poszerzona w czasie okupacji zaczęła teraz gromadzić tysiące wiernych. I tu w roku 1952 arcybiskup Eugeniusz Baziak powołał do życia nową parafię. Po październiku 1956 r. powstał

komitet budowy kościoła, odbył się konkurs na jego budowę, uzyskano lokalizację i plac pod budowę na os. Teatralnym, koło teatru i rozpoczęto budowę. Zaostrzające się jednak stosunki polityczne w latach następnych budowę przerwały, a walka o krzyż postawiony na tym miejscu wywołała w kwietniu 1960 r. rozruchy w mieście, czego następstwem było m.in. usunięcie z parafii bieńczyckiej ks. proboszcza Mieczysława Satory. Dopiero w 1965 r., po wyrażeniu zgody przez władze państwowe na obsadzenie stanowiska proboszcza, nowy proboszcz, ks. Józef Gorzelany, przystąpił do budowy nowego kościoła, ale na miejscu innym niż poprzednio zamierzano. W latach 60., po zabudowaniu terenu przewidzianego pod miejską zabudowę, przystąpiono do budowy bloków mieszkalnych po zachodniej stronie szosy kocmyrzowskiej, na polach Bieńczyc, Czyżyn i Mistrzejowic. Powstało tam kilka nowych osiedli. Władze miejskie po zmianie na stanowisku proboszcza parafii w Bieńczycach były skłonne wyrazić zgodę na budowę kościoła, lecz robiły trudności z jego lokalizacją. Wobec rozbudowujących się nowych osiedli miejsce, na którym stała kaplica, okazało się dogodnym na budowę świątyni i tam po kilku latach stanął nowy, pierwszy w socjalistycznym mieście kościół, który w 1975 r. został poświęcony przez kardynała Karola Wojtyłę.

Dla zaopatrzenia miasta w wodę pobudowano w Nowej Hucie wodociągi. Początkowo czerpano wodę ze studni głębinowych w okolicy kopca Wandy i koło fortu batowickiego, potem przeprowadzono rurociąg od rzeki Dłubni w Raciborowicach i koło fortu krzesławickiego zbudowano zbiorniki i oczyszczalnię wody. Zbudowanie jednak studni głębinowych wpłynęło na obniżenie poziomu wód gruntowych i wszystkie istniejące w okolicznych wsiach (łącznie z Bieńczycami) studnie zostały pozbawione wody. Potem dla zaopatrzenia tych wsi w wodę pitną, doprowadzono wodociągi do wszystkich wsi w obrębie dzielnicy. Przeprowadzono także rurociąg gazowy i niektóre domy korzystają z gazu. Światło elektryczne Bieńczyce własnym kosztem doprowadziły do wsi jeszcze w czasie okupacji, potem podłączone zostały do ogólnej sieci miejskiej. W latach 70. wyburzono na zakręcie ul. Polewki kilkanaście domów mieszkalnych wraz zabudowaniami gospodarczymi i na tym miejscu postawiono kilkanaście długich, czteropiętrowych bloków mieszkalnych. W ten sposób znikły znów z powierzchni ziemi domy: Wojciecha Halika, Stanisława Krawczyka (Turbasy), Stanisława Pyczka, Piotra Ciepieli, Pawła Zamojskiego, Wojciecha Biernacika, Katarzyny Biernacikowej, Jakuba Salwińskiego, Zwierzyńskiego, Franciszka Salwińskiego, Grzegorza Krawczyka, Stanisława Ciepieli, Pawła Krupy, Żylskiego, Józefa Ciepieli i Pyrlika. W tej okolicy, na tzw. Glinikach, jeszcze wcześniej wyburzono domy Szabelskiego, Malika i Biernacika, a na ich miejscu oraz na terenach ogrodów położonych po zachodniej stronie ul. Polewki powstały bloki mieszkalne, w których mieszczą się także hotele robotnicze, wielka stołówka i Zakładowy Dom Kultury „Budostalu". Na Zagościńcu, w pobliżu nowego kościoła, wyburzono domy Andrzeja Ciepieli, Antoniego Kaszowskiego, Pyczkowej, Mleczkowej i Fudały. Na tym terenie stoją częściowo budynki Technikum Gastronomicznego i plac sportowy. Leżące między uregulowanym starym korytem Dłubni a dawnym gościńcem do Krzesławic domy Jana Kotyzy, Bochenkowej i Jana Włodka, w związku z regulacją rzeki, też zostały wyburzone. W ten sposób na istniejących we wsi około 200 domów znikło bezpowrotnie kilkadziesiąt, a byt pozostałych jest ciągle niepewny, gdyż władze nie odkrywają do końca swych planów.

Jeśli chodzi o pola uprawne, to poza niewielkimi skrawkami nad rzeką i w bezpośrednim sąsiedztwie zabudowań, wszystkie zostały wywłaszczone. W całej wsi jest jednak kilku gospodarzy, którzy hodują kilkanaście krów i koni, którymi pracują zarobkowo lub uprawiają kawałki pola dzierżawione w sąsiednich wsiach. Kiedyś w początkach budowy Nowej Huty kilku mieszkańców, którym poburzono domy, otrzymało parcele budowlane na polach dworskich w Grębałowie, gdzie się pobudowali, należeli do nich Józef Krawczyk, Stefański i Jan Pazdalski. Na wolnych terenach i ogrodach chłopskich oraz na ogrodzie dworskim zostały wyznaczone działki budowlane o powierzchni 400 m^2, które Rada Dzielnicowa po wywłaszczeniu ich właścicieli przydzieliła w wieczystą dzierżawę za wysoką opłatą (200 zł za 1 m^2), głównie mieszkańcom Bieńczyc. Obecnie – i trzeba to stwierdzić – trzy czwarte istniejących osiedli dzielnicy jest zbudowana na polach wsi Bieńczyce. Jest to wieś, która złożyła na rzecz Nowej Huty największą ofiarę. Piszę świadomie ofiarę, gdyż odszkodowanie za wywłaszczone pola, których obszar wynosił ponad trzysta hektarów i zabudowania, nie pozostawało w żadnym stosunku do ich faktycznej wartości. Starzy ludzie, którzy od samego początku odnosili się do budowy miasta i kombinatu niechętnie, wymierają, młodzi dawnych czasów nie pamiętają, odchodzą ze wsi do pracy tak w kombinacie, jak i do Krakowa. Tylko dla niektórych starczy nowo wydzielonych działek budowlanych, więc z konieczności, choć niechętnie, opuszczają swoją rodzinną wieś. Wiele młodzieży, już wykształconej po wojnie, rozjechało się po całej Polsce.

Decydujące momenty w moim życiu

Za pierwszy z nich uważam decyzję moich rodziców o posłaniu mnie do gimnazjum. Gdyby jej nie podjęli, byłbym zapewne mniej lub więcej dobrym rzemieślnikiem, może policjantem, a gdybym poszedł śladami mych starszych braci, może tylko niewykwalifikowanym robotnikiem, jak wielu moich rówieśników z mojej wsi i okolicy. Ze względu na dogodną komunikację z miastem do szkół średnich szło stosunkowo dużo młodzieży, lecz niebagatelną rolę odgrywała tu sytuacja

materialna rodziców, która ograniczała te możliwości. W 1921 r. wybierało się do gimnazjum trzech moich kolegów. Osobą, która uważała, iż powinienem iść do gimnazjum, była moja nauczycielka i wychowawczyni, Stanisława Damaszkówna. Wezwanie mojej matki i nakłonienie jej, by rodzice posłali mnie na dalszą naukę oraz podjęcie przez nich niełatwej decyzji sprawiło, że wyszedłem poza opłotki wsi. Był to niewątpliwie start, który mocno wpłynął na moją przyszłość.

Drugim momentem, który zadecydował o moim życiu, a zwłaszcza światopoglądzie, było powstanie we wsi w roku 1926 Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej, późniejszego Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Męskiej. Założyliśmy stowarzyszenie wspólnie z innymi kolegami uczęszczającymi do gimnazjum. Właściwie było czystym przypadkiem, że założyliśmy stowarzyszenie pozostające pod kierownictwem i wpływem księży. Na miejscu nie było kościoła, jedynym objawem życia katolickiego większości mieszkańców naszej wsi było uczestnictwo w niedzielnej mszy św., stąd i ja nie miałem nawyku brania udziału w nabożeństwach innych niż msza św. W pracy stowarzyszenia pociągała nas wszystkich głównie działalność czysto świecka. Jednak czytanie prasy organizacyjnej, udział w odprawach, zjazdach i innych imprezach, na których zawsze był podkreślany ideowy, katolicki i religijny charakter stowarzyszenia musiało dać rezultaty. Będąc stale albo prezesem, albo co najmniej członkiem kierownictwa oddziału, musiałem w tej działalności nie tylko brać udział, ale także organizować przejawy życia katolickiego: rekolekcje, kwartalną spowiedź, uroczystość święta młodzieży. Ta praca mnie wciągała, musiałem wiele czytać i pogłębiać swoje wiadomości religijne. A kiedy zacząłem pracować w Stowarzyszeniu Diecezjalnym jako instruktor wychowania fizycznego, byłem zmuszony do hierarchizowania zajęć i traktowania swej pracy jako środka do kształcenia charakteru młodzieży. Związanie się na długie lata z tą pracą i ideologią na pewno uchroniło mnie od wielu niespodzianek, błędów i wypaczeń.

Wiosną 1940 r. zostałem wciągnięty do pracy konspiracyjnej w wojsku podziemnym, jakim był Związek Walki Zbrojnej. Zaprzysięgał mnie ówczesny komendant powiatowy ZWZ, inż. Józef Rosiewicz ps. „Rodak" z Pleszowa. Później powziąłem decyzję, że jeśli już mam się wiązać prócz wojska z jakimś kierunkiem politycznym, to mnie jako synowi chłopskiemu bliższa jest polityka ruchu ludowego niż przedwojennej sanacji, które to stanowisko reprezentowała Armia Krajowa, w związku z czym wraz ze swoim plutonem przeszedłem do Batalionów Chłopskich. Nie obeszło się przy tym bez różnych pogróżek do zagrożenia śmiercią niektórym działaczom ludowym włącznie.

W styczniu 1945 r., gdy zarządzono rejestrację oficerów, uczyniłem zadość temu obowiązkowi i 11 kwietnia zostałem powołany do Ludowego Wojska Polskiego. Po krótkim pobycie w Warszawie na Bielanach, 3 maja nastąpił wyjazd na front toczącej się jeszcze wojny z Niemcami. Po zakończeniu działań wojennych, pod koniec maja, 9 Dywizja Piechoty, do której dostałem przydział, przerzucona została do województwa rzeszowskiego, gdzie jej zadaniem była pacyfikacja terenu i walki z bandami UPA. W sierpniu 1945 r., gdy otrzymałem dwutygodniowy urlop, przyjechałem do Bieńczyc, gdzie spotkał mnie Toboła – komendant miejscowego posterunku Milicji Obywatelskiej, który oświadczył mi, że wypytywano o mnie; gdzie przebywam. Kiedy dowiedziałem się, że w czasie mojego pobytu w LWP został aresztowany przez Urząd Bezpieczeństwa Jan Gajoch i wielu innych moich znajomych z Ruchu Oporu Chłopskiego, nie miałem już żadnej wątpliwości, dlaczego i o mnie pytano. Stało się dla mnie jasne, że tylko mój pobyt w wojsku uratował mnie przed niechybnym aresztowaniem. W tym czasie został uwięziony przez NKWD, wraz z wielu innymi członkami „Roch", mój brat Józef, który mieszkał w Korzennej w powiecie nowosądeckim. Wywieziony następnie do Związku Radzieckiego zmarł w szpitalu więziennym w Samborze, co tym bardziej ugruntowało mnie w przekonaniu, że tylko przez mój pobyt w wojsku nie dostałem się w łapy NKWD czy Urzędu Bezpieczeństwa.

Po moim powrocie z wojska jesienią 1945 r. zacząłem się uaktywniać w PSL i w „Wiciach", jeździłem po zebraniach, przemawiałem, byłem także aktywny w KSMM. Pracowałem także w spółdzielni, lecz wkrótce zwolniono mnie stamtąd, a zarząd gminny PSL z Antonim Baranikiem na czele wyrzucił mnie z PSL, zaś żonę przeniesiono do szkoły w Raciborowicach za to, że nie chciała współpracować z „Wiciami". Lecz jak mówi przysłowie „nie ma złego, co by na dobre nie wyszło" i tak nasza krzywda, a zwłaszcza żony, która przez 6 lat była zmuszona dzień w dzień przemierzać pięciokilometrową drogę z Bieńczyc do Raciborowic, wyszła nam poniekąd na dobre, kiedy bowiem pod koniec 1946 r. rozpoczęły się przygotowania do wyborów, jakie odbyły się w styczniu 1947 r., a partia i UB ordynarnie rozbijała PSL aresztując i mordując jego członków, ja byłem już wcześniej usunięty z jego szeregów.

W 1952 r. nastąpiły aresztowania w kurii metropolitarnej, internowani zostali obaj księża biskupi; Edward Baziak i Stanisław Rospond, a na wikariusza kapitulnego przyszedł do Krakowa ks. biskup Franciszek Jop. Dojrzała też sprawa rozwiązania KSMM, o czym zadecydował ks. biskup F. Jop 7 lutego 1953 r. Odbył się głośny proces pokazowy, w wyniku którego na karę śmierci skazano ks. Lelitę. Działalność KSMM likwidowaliśmy do końca czerwca. Padła propozycja podjęcia pracy w PAX-ie, lecz odparłem, że się namyślę. Wyniosłem bowiem opinię o PAX-ie z paroletniej pracy w KSMM i sfer kościelnych, dopiero jednak po październiku 1956 r.

w tygodniku „Świat" napisał prawdę o PAX-ie Leopold Tyrmand, a w ostatnich latach Micewski, który już bez osłonek napisał, że Bolesław Piasecki, skazany przez NKWD na karę śmierci, podjął się dywersyjnej roboty w stosunku do Kościoła, ratując się w ten sposób. Moje bezpośrednie opory przed wstąpieniem do PAX-u były także osobistej natury. Z pewnością PAX chciałby mnie wykorzystać do pracy w terenie, do rozmów i kaptowania do niego księży, lecz ja nie miałbym odwagi, by jeździć po plebaniach i namawiać księży do tej pracy. Przecież pierwszy lepszy ksiądz, gdybym do niego w takiej roli przyjechał, naplułby mi w twarz. Dalsza moja praca i związany z nią byt rodzinny pozostawały pod wielkim znakiem zapytania. Ks. prałat Stanisław Czartoryski, asystent kościelny stowarzyszenia a zarazem szef Wydziału Duszpasterstwa wprost mi oświadczył, bym szukał sobie pracy. Sondowałem opinię o Nowej Hucie, lecz znajomi po zasięgnięciu informacji oświadczyli mi, że z moją przeszłością nie mam czego tam szukać. Pozostałem zatem w kurii metropolitarnej w Krakowie, kierując jednoosobowym biurem przepisywania kazań i komunikatów kościelnych. Przepisywania dokonywały panie dochodzące, których było kilkanaście.

Moja ostatnia decyzja. Po odejściu z biura Wydziału Duszpasterstwa w 1976 r. ks. prałata Czesława Obtułowicza, wobec starzejącego się ks. prałata Stanisława Czartoryskiego coraz większą rolę zaczął tu odgrywać ks. Stanisław Małysiak, który przy tym coraz częściej zaczął omijać moją osobę jako kierownika biura, a wysługiwać się młodą zakonnicą, której dał wolną rękę w załatwianiu różnych spraw leżących dotąd w zakresie moich kompetencji. W czasie przygotowań do wizyty papieża Jana Pawła II zostałem zupełnie wyłączony z wszelkiej pracy. Bilet na Błonia krakowskie, gdzie odbywała się główna uroczystość, dostałem gdzieś w odległym sektorze. Jedyną rzeczą, którą mi umożliwiono, było przyjęcie komunii św. z rąk Ojca Świętego w katedrze na Wawelu, po zebraniu Synodu. Potem jeszcze kilka razy upominałem się o swoją pozycję w biurze, ale podczas jego reorganizacji okazało się, że po mojej niemal 50-letniej pracy w Katolickim Stowarzyszeniu Młodzieży Męskiej i w kurii miejsca dla mnie już nie ma. 15 czerwca 1980 r., bez jednego choćby słowa podziękowania, zakończyłem pracę, której poświęciłem niemal całe moje życie.

JAN KOTYZA – Oddali życie za Polskę: noty biograficzne osób pochodzących z Bieńczyc



Jan Kotyza

FRANCISZEK ANTKIEWICZ

Urodził się w Pleszowie w roku 1902. Jego ojciec Wojciech był robotnikiem rolnym i pracował w miejscowym dworze. Oprócz Franciszka miał jeszcze jednego syna i dwie córki. Franciszek ukończył szkołę ludową w Pleszowie. W latach trzydziestych cała rodzina przeniosła się do Bieńczyc, gdzie ojciec pracował również we dworze. Franciszek, już jako małoletni, musiał pracować, by pomagać w utrzymaniu młodszego rodzeństwa. Służbę wojskową odbył w 20 Pułku Piechoty Ziemi Krakowskiej. Po powrocie z wojska pracował jako robotnik fizyczny w różnych zakładach pracy. Ożenił się z wdową, która miała jednego syna. Z tego małżeństwa urodziła się córka Barbara. Kiedy we wsi powstał Związek Rezerwistów, Franciszek należał do jego zarządu i brał w jego pracy bardzo aktywny udział. W sierpniu 1939 r. został zmobilizowany, brał udział w walkach w obronie Śląska i tam poległ. Wiadomość o jego śmierci przekazał jego szwagier, Florkiewicz.

STANISŁAWA BIERNACIK

Urodziła się w Bieńczycach w roku 1921. Była córką Stanisława i Marii Zyburów. Jej matka wcześnie zmarła, wychowywała się przy ojcu, który był kolejarzem i pracował w Krakowie. Potem ojciec ożenił się po raz drugi z siostrą zmarłej żony i miał z nią jeszcze dwóch synów. Prowadzili w Bieńczycach niewielkie gospodarstwo rolne. Stasia po ukończeniu siedmiu klas szkoły podstawowej w Bieńczycach (uczyła się bardzo dobrze) pozostała w domu przy rodzinie, pracując na gospodarstwie. Przed wojną należała do Stowarzyszenia Młodzieży Żeńskiej. Była w tę pracę bardzo zaangażowana. W czasie wojny brała udział w pracy miejscowego chóru, prowadzonego przez zakonnice. Podczas ofensywy Armii Czerwonej na Kraków 18 stycznia 1945 r. była w domu. Nieszczęście chciało, że w czasie ostrzału artyleryjskiego wyszła z domu na drogę. Upadający w pobliżu pocisk artyleryjski ciężko ją zranił, zmarła tego samego dnia.

WŁADYSŁAW BROŚ

Urodził się w Sulechowie w powiecie krakowskim 25 listopada 1913 r. Jego rodzicami byli pochodzący z Bieńczyc Jan i Maria z Biernacików. Jego ojciec wcześnie zmarł i Władysław od najmłodszych lat wychowywał się w Bieńczycach u swego wujka, Wojciecha Biernacika. Po ukończeniu szkoły podstawowej w Bieńczycach odbywał praktykę w warsztatach remontowych na lotnisku wojskowym w Rakowicach, gdzie zdobył zawód mechanika samolotowego. W roku 1934 zawarł związek małżeński z Marią Widomską z Mistrzejowic. W latach 1935-1937 odbywał obowiązkową służbę wojskowa w 2 Pułku Lotniczym w Rakowicach. Po odbyciu służby wojskowej wrócił do pracy w warsztatach remontowych na lotnisku. W roku 1939 został zmobilizowany do 2 Pułku Lotniczego, z którym został ewakuowany najpierw na lotnisko polowe w Pobiedniku, a potem dalej na wschód. Po zakończeniu kampanii wrześniowej znalazł się najpierw na Węgrzech, skąd przeniósł się do Francji, a po klęsce Francji został ewakuowany do Anglii. Tam wszedł w skład 304 Dywizjonu Bombowego jako mechanik samolotowy w stopniu plutonowego. 18 grudnia 1940 r. wraz z kolegą opuszczał bombardowane przez Niemców lotnisko. Przy dużej szybkości ich motocykl wpadł na nadjeżdżający z przeciwnej strony samochód. Zginęli obaj na miejscu. Pochowany został w dniu 21 grudnia 1940 r. na cmentarzu Newark-Notts. Na karcie zgonu podpisany jest ks. kapelan Sasinowski, obecny biskup ordynariusz łomżyński. Wdowa po nim wyszła za mąż za Franciszka Ciepielę.

JULIAN KACZOROWSKI

Urodził się w Bieńczycach w roku 1912. Jego ojciec Stanisław był właścicielem wodnego młyna w Bieńczycach na „Anielówce". Był to nieduży, drewniany młyn gospodarczy. Po śmierci męża młyn prowadziła żona. W czasie wojny i okupacji młyn służył okolicznym chłopom, przemielając zboże poza kontrolą niemiecką i zaopatrując tym sposobem ludność w mąkę. Rodzina Kaczorowskich była wielodzietna. Prócz Julka mieli jeszcze dwóch synów i sześć córek. Wszystkie dzieci się kształciły i ukończyły co najmniej szkołę średnią. Julek uczęszczał do gimnazjum w Krakowie. Po zdaniu matury ukończył szkołę podchorążych rezerwy piechoty i niebawem uzyskał stopień podporucznika rezerwy. Od 1936 r. pracował jako telegrafista w wojskowej stacji podsłuchowej w forcie w Krzesławicach. Tuż przed wojną został skierowany do pracy w tym samym charakterze na lotnisko wojskowe w Rakowicach. W sierpniu 1939 r. został zmobilizowany do 2 Pułku Lotniczego. Po wybuchu wojny cała obsługa lotniska została ewakuowana na wschód. We wrześniu wraz z wojskiem znalazł się w okolicy Lwowa, gdzie po wkroczeniu w granice Rzeczpospolitej Armii Czerwonej został wzięty do niewoli sowieckiej. Wywieziony do obozu zginął prawdopodobnie w Katyniu lub innym obozie sowieckim.

KUNEGUNDA KASZOWSKA

Urodziła się w Bieńczycach w roku 1881, była matką czworga dzieci: dwóch córek i dwóch synów. Mieszkała stale w Bieńczycach, prowadząc gospodarstwo domowe i wychowując dzieci. Wcześnie owdowiała, poza częścią domu rodzinnego nie posiadała żadnego majątku. By wychować czwórkę dzieci musiała ciężko pracować, również jej małoletnie dzieci musiały zarabiać na kawałek chleba. Jak i inni mieszkańcy Bieńczyc, tak przed wojną jak i w czasie okupacji, wyjeżdżała często do Krakowa pociągiem. W czasie okupacji Niemcy urządzali na stacjach kolejowych łapanki. Ujęte w nich osoby wywożono na roboty do Niemiec, osadzano w więzieniach lub wysyłano wprost do obozów koncentracyjnych, zależnie od winy, względnie od „przestępstw", jakie złapanym przypisywano. Kaszowska dostała się w ręce granatowej policji w czasie łapanki na stacji kolejowej Kraków Grzegórzki w styczniu 1944 r. Umieszczona najpierw w więzieniu w Krakowie, została potem wywieziona do obozu koncentracyjnego Auschwitz. Miała wtedy ponad 60 lat i nie przetrzymała ciężkich warunków obozowych. Wiosną tego samego roku rodzina otrzymała urzędowe zawiadomienie z komendy obozu o jej śmierci.

IDZI KOTYZA

Urodził się w Bieńczycach w roku 1914, z rodziców Jana i Marii Jędrszczyk. Pochodził z wielodzietnej rodziny, miał trzech braci i siedem sióstr. Po ukończeniu szkoły podstawowej w Bieńczycach odbył praktykę w fabryce Zieleniewskiego w Krakowie. Pracował tam jako ślusarz do wybuchu wojny w roku 1939. Ożenił się w Bieńczycach z Władysławą Dończówną. W czasie wojny pracował w wojskowych warsztatach samochodowych, mieszczących się w dawnych koszarach 5 Dywizjonu Samochodowego w Dąbiu. Był bardzo poważny, spokojny i zrównoważony. W sierpniu 1942 r. miał miejsce w Bieńczycach wypadek postrzelenia komendanta posterunku polskiej policji granatowej. Jak wykazało późniejsze dochodzenie, policjanci postrzelili się wzajemnie, upozorowano jednak zamach. Do wsi przyjechała policja niemiecka i na posterunku przeprowadzono śledztwo. Posterunek policji mieścił się w domu Julii Możejkowej, siostry Idziego. Sprowadzono prawie

całą rodzinę Możejkowej, wśród nich także zabranego wprost z pracy Idziego. W czasie śledztwa na posterunku dokonano ohydnego morderstwa: oprócz Idziego zastrzelono jeszcze dwie inne osoby a mianowicie: Antoniego Waleriana i Filipa Kowalskiego z Krzesławic. Wszystkich trzech rodziny pogrzebały na cmentarzu parafialnym w Mogile.

JÓZEF KOTYZA

Urodził się w Bieńczycach w 1901 r. Był synem Kacpra i Katarzyny Wach. Miał trzech braci i jedną siostrę. Jego ojciec był robotnikiem w młynie w Bieńczycach, a potem dróżnikiem na drodze Kraków – Kocmyrzów. Szkołę ludową ukończył w Bieńczycach. W młodym wieku pracował na stacji kolejowej w Bieńczycach jako zwrotniczy. Po odzyskaniu niepodległości został w 1919 r., mimo braku pełnoletniości, zmobilizowany. Wcielony do wojska odbył kurs sanitarny, przydzielony do 6 Pułku Strzelców Konnych brał udział w kampanii w 1920 r. Po kampanii został z wojska zwolniony i znowu pracował na kolei. Po osiągnięciu pełnoletniości został ponownie zmobilizowany. Służbę wojskową pełnił tym razem w 1 Pułku Wojsk Kolejowych w Krakowie. Z wojska został zwolniony w listopadzie 1923 r. Nie wrócił jednak do pracy na kolei. Idąc w ślady starszego brata Stanisława wstąpił do służby w Policji Państwowej. Początkowo pełnił służbę w Krakowie w I Komisariacie. W 1927 r. zawarł związek małżeński. Z powodu choroby żony przeniósł się wraz z nią do powiatu nowosądeckiego. Służył na posterunku Policji Państwowej w Łącku, a od 1937 r. w Korzennej, gdzie był komendantem posterunku. Po śmierci pierwszej żony ożenił się ponownie z wdową Józefą Rolną w Łącku. Miała ona trzy córki z pierwszego małżeństwa, on jednego syna. Z tego małżeństwa urodził się im jeszcze jeden syn. We wrześniu ewakuował się wraz z policją na wschód, przekroczył granicę węgierską i tam przebywał do roku 1941. W tym też roku wrócił do kraju, do Korzennej. Rozpoczął pracę w spółdzielni rolniczo-hodowlanej. Potem, do końca okupacji, był wójtem gminy Korzenna. Brał udział w Ruchu Oporu Chłopskiego i z jego ramienia został także wójtem po odzyskaniu wolności. W marcu 1945 r. został wraz z wieloma innymi działaczami konspiracyjnymi aresztowany przez NKWD i wywieziony do Związku Sowieckiego. Zmarł w szpitalu więziennym w czerwcu 1945 r.

STANISŁAW KOTYZA

Urodził się w Bieńczycach w 1900 r., był synem Kaspra i Katarzyny z Wachów, miał trzech braci i jedną siostrę. Ojciec jako robotnik pracował w młynie w Bieńczycach, a potem był dróżnikiem na drodze Kraków – Kocmyrzów. Stanisław szkołę ludową ukończył w Bieńczycach. Gdy w czasie I wojny światowej ojca zmobilizowano, zastępował go w pracy dróżnika. Po odzyskaniu niepodległości, jeszcze niepełnoletni, został zmobilizowany do formującego się wojska polskiego. Pełnił służbę w 5 Dywizjonie Żandarmerii Wojskowej. Na przełomie lat 1921-1922, po odsłużeniu służby wojskowej, został zwolniony z wojska. Nabyte przeszkolenie i zainteresowanie służbą w żandarmerii skierowały jego dalsze kroki do służby w Policji Państwowej, do której został przyjęty w zimie 1922 r. Po odbyciu półrocznego przeszkolenia rozpoczął służbę Krakowie, najpierw w IV Komisariacie dla dzielnicy Kazimierz, potem w I Komisariacie dla dzielnicy Śródmieście. Odkomenderowany do prowadzenia stołówki dał się poznać jako dobry i zapobiegliwy gospodarz. Prowadził stołówkę dla posterunkowych: najpierw w komisariacie przy ul. Starowiślnej, potem przy ul. Grodzkiej, a w końcu przy ul. Siemiradzkiego. W kwietniu 1938 r. zawarł związek małżeński z Franciszką Puzia. Zamieszkali razem przy ul. Kanoniczej 22. W roku 1939 urodził się im syn Marian. Z chwilą wybuchu wojny wraz z całą policją krakowską odszedł na wschód. Znajomi i koledzy widzieli go w Równem i Włodzimierzu Wołyńskim. Nie wiadomo co się z nim stało. Należy przypuszczać, że albo jak wielu innych został zamordowany przez Ukraińców, albo po dostaniu się do niewoli znalazł się w którymś z obozów jenieckich i podzielił los wielu innych polskich żołnierzy i oficerów.

JAN KRAWCZYK (s. Wincentego)

Urodził się w Bieńczycach w 1908 r. Był synem Wincentego i Marii z Salwińskich, miał dwóch braci i jedną siostrę. Rodzice prowadzili niewielkie gospodarstwo rolne. Po ukończeniu szkoły podstawowej w Bieńczycach zdał egzamin do Gimnazjum św. Jacka w Krakowie. Maturę uzyskał w roku 1929. Przez rok pracował jako urzędnik na poczcie. W latach 1930-1931 odbył służbę wojskową w Szkole Podchorążych Rezerwy Piechoty w Cieszynie, z której wyszedł w stopniu plutonowego podchorążego. W 1923 r. został mianowany podporucznikiem rezerwy. Trzykrotnie brał udział w wojskowych ćwiczeniach oficerskich. Od czasu gimnazjum darzył wielka sympatią i miłością córkę kierownika szkoły, Jadzię Łowczowską. Po powrocie z wojska okazało się, że ta zakochała się w młodym nauczycielu i niebawem wyszła za niego za mąż. Przeżył tę osobistą tragedię bardzo dotkliwie, był bliski samobójstwa, przez kilka lat nie mógł przyjść do siebie. Siedział w domu i hodował indyki. Opamiętał się dopiero w 1935 r. i w tym roku zapisał się na Wydział Rolniczy Uniwersytetu Jagiellońskiego, który ukończył w roku 1936. Uzyskał stopień inżyniera rolnika. W sierpniu tego roku został zmobilizowany do wojska. Po kampanii wrześniowej znalazł się na Wołyniu w okolicy Równego. Przebywał tam, ukrywając się prawdopodobnie u jakiejś polskiej rodziny. Napisał do ojca tylko jeden list. Został prawdopodobnie zamordowany przez Ukraińców albo dostał się do jednego z obozów jenieckich i podzielił los wielu polskich oficerów. Był to bardzo wartościowy i inteligentny człowiek, wielki patriota, głęboko wierzący katolik. Miał zamiłowanie do pracy społecznej. Przez szereg lat pracował bardzo czynnie w Katolickim Stowarzyszeniu Młodzieży Męskiej w Bieńczycach.

JAN KRAWCZYK (s. Jana)

Urodził się w Bieńczycach w 1903 r. jako syn Jana i Teresy z domu Lenda. Miał sześciu braci i dwie siostry. Ukończył szkołę ludową w Bieńczycach, pomagał ojcu w gospodarstwie. Zmobilizowany do armii austriackiej brał udział w pierwszej wojnie światowej. W czasie służby wojskowej poznał swoją późniejszą żonę i po wojnie ożenił się we wsi Strzałkowice koło Sambora w Małopolsce Wschodniej i tam zamieszkał. Podobnie jak wiele miejscowości w tych stronach, wieś Strzałkowice była zamieszkana przez Polaków i Ukraińców. Jan był światłym obywatelem, patriotą, wiele czytał, abonował czasopisma. W tamtych czasach i w środowisku narodowo mieszanym miało to wielkie znaczenie. Ożeniony w rodzinie polskiej miał z tego małżeństwa trzy córki i jednego syna. Jedna z córek wyszła za mąż za Ukraińca. W czasie rozpętanej przez nacjonalistów ukraińskich krwawej masakry ludności polskiej została przez własnego męża Ukraińca w okrutny sposób zamordowana. Jan, zdradzony przez Ukraińców, że przechowuje w swoim domu przywiezione przez żonę żydowskie dziecko z Sambora, został aresztowany przez Gestapo i osadzony w obozie koncentracyjnym w Majdanku. Z obozu nie wrócił, został tam przez hitlerowców zamordowany.

KATARZYNA KRAWCZYKOWA z d. DOMAGALSKA

Urodziła się w Bieńczycach 29 grudnia 1909 r., szkołę ludową ukończyła w Bieńczycach. Wyszła za mąż za miejscowego gospodarza Wojciecha Krawczyka, urodziła troje dzieci: dwie córki i jednego syna. W momencie śmierci była w ciąży z czwartym dzieckiem. W tym stanie wyjechała z mlekiem i innymi towarami do Krakowa, sama powożąc koniem, gdyż mąż był wtedy chory. Po odstawieniu do swoich klientek mleka i załatwieniu kilku innych spraw miała już wracać do domu. Zatrzymała się jeszcze, gdyż prosiła ją o zabranie znajoma kobieta z Grębałowa. Było to 28 grudnia 1944 r. Siedząc już na wozie na ul. Grzegórzeckiej czekała na ową kobietę. W tym czasie nadleciały nad miasto radzieckie samoloty, w powietrzu wywiązała się walka między niemieckimi i radzieckimi lotnikami. Na ulicę padły pociski karabinów maszynowych i działek lotniczych. Jeden z pocisków działka lotniczego upadł na kolana siedzącej na wozie Krawczykowej i eksplodował, raniąc ja dotkliwie w ręce, nogi i brzuch. Zaczęła krzyczeć, nadbiegli ludzie, nie wiedząc co się stało, gdyż Krawczykowa była dość grubo opatulona (była zima) i nie było widać krwi płynącej z ran. Kiedy ją zdjęto z wozu, broczyła krwią. Odwieziono ją do szpitala. Drobne odłamki pocisku pokaleczyły nie tylko ręce i nogi, ale i wnętrzności oraz kilkumiesięczny płód. Dziecka nie udało się uratować, ratowano matkę. Kilka dni walczyła ze śmiercią. Bezowocne okazały się jednak wszelkie zabiegi lekarzy. Zmarła w szpitalu dnia 2 stycznia 1945 r. Pochowano ją na cmentarzu parafialnym w Raciborowicach.

JAN NOWAK

Urodził się w Bieńczycach w roku 1918. Był synem Ludwika i Jadwigi Ślusarczyk. Miał starszego brata Józefa. Ich matka zmarła przedwcześnie. Przebywali w domu wraz z ojcem. Kiedy ojciec ożenił się po raz drugi, nie znaleźli dla siebie miejsca w domu. Starszy brat Józef ukończył praktykę masarską i pracował w rzeźni miejskiej. Janek jako młody chłopiec służył u różnych gospodarzy. W czasie wojny pracował w Czyżynach u rzeźnika Zamojskiego. Na położonej po drugiej stronie drogi stacji kolejowej często przebywali niemieccy strażnicy kolejowi („Bahnschutz"). Kiedy pewnego razu strażnicy na stacji zatrzymywali pasażerów i znajdujących się w pobliżu ludzi, on znalazł się tam przypadkowo i też został aresztowany. Wywieziony do obozu koncentracyjnego więcej do domu nie powrócił.

JÓZEF ROJEK

Urodził się w Bieńczycach w 1913 r. Ojciec Norbert był kowalem i wraz ze swoim bratem Piotrem prowadził kuźnię w Bieńczycach. Miał dwóch braci i dwie siostry. Do szkoły podstawowej uczęszczał w Bieńczycach, a potem w Krakowie. Po ukończeniu klasy ósmej zapisał się do Państwowej Szkoły Przemysłowej w Krakowie, na wydział mechaniczny. Była to bardzo znana i ceniona szkoła. Poziom nauki w szkole był bardzo wysoki, wielu jej wychowanków otrzymało w Polsce Ludowej tytuł inżynierów. Po ukończeniu szkoły jako technik rozpoczął pracę w warsztatach remontowych na lotnisku w Rakowicach. Mając na co dzień do czynienia z samolotami zaczął interesować się lataniem. Ukończył kurs szybowcowy. Szybowisko znajdowało się w Kostrzu k. Krakowa, tam pracował i pod kierunkiem wytrawnych instruktorów zgłębiał tajniki lotów szybowcowych. To mu jednak nie wystarczało, rozpoczął także naukę pilotażu na samolotach. Doszedł do dużej wprawy i dokładności w lataniu na samolotach sportowych. Przez szereg lat brał udział w różnych zawodach lotniczych. Osiągał bardzo dobre wyniki, zdobywał nagrody i wyróżnienia. Pracował stale na lotnisku w warsztatach remontowych. Z wybuchem wojny wraz z całym personelem technicznym został ewakuowany na lotnisko polowe. Po kampanii wrześniowej znalazł się za granicą. Najpierw przebywał w Rumunii, a następnie przedostał się do Francji. Przebywając w Grenoble postanowił czas pobytu w tym mieście wykorzystać na uzupełnienie studiów. Zapisał się na wyższą uczelnię techniczną, którą ukończył w 1944 r. We Francji działała partyzant-

ka. W okolicy miasta został przez partyzantów francuskich wykolejony pociąg. Niemcy zabrali zakładników, znalazł się wśród nich i Józef Rojek. Na kilkanaście dni przed przybyciem oddziałów partyzanckich, które przyniosły miastu wolność, Niemcy rozstrzelali zakładników i wśród nich także Józefa Rojka. Przez Polski Czerwony Krzyż rodzice otrzymali jego dokumenty wraz z dyplomem inżyniera, a koledzy przywieźli jego pas wojskowy i inne drobiazgi wraz z dowodem osobistym. Był to bardzo inteligentny i pracowity człowiek. W Bieńczycach udzielał się społecznie, był bardzo aktywny w Stowarzyszeniu Młodzieży Męskiej. Tuż przed wojną ożenił się z Zofia Salwińską z Bieńczyc.

STANISŁAW SALWIŃSKI (s. Sebastiana)

Urodził się w 1902 r. Szkołę ludową ukończył w Bieńczycach i tu mieszkał do chwili powołania do wojska. W roku 1922 zgłosił się ochotniczo do tworzącej się polskiej marynarki wojennej, tam odbył czynną służbę, zdobywając specjalność telegrafisty. Nabyte umiejętności umożliwiły mu uzyskanie stałej pracy w wojskowej radiostacji podsłuchowej na Rozewiu. Tam pełnił służbę do roku 1939. Z chwilą wybuchu wojny stacja wraz z pracownikami została ewakuowana w głąb Polski. Po kampanii wrześniowej znalazł się w Krakowie. Przebywając na Wybrzeżu ożenił się w Starogardzie. Żona wraz z dziećmi, uciekając także ze swego miejsca zamieszkania, znalazła się po zajęciu wschodnich terenów Polski przez Armię Czerwoną w Brześciu nad Bugiem. Uzyskawszy wiadomość, że jego rodzina znajduje się w tym mieście, Stanisław nielegalnie przekroczył granicę i znalazł się także w Brześciu. Został zatrzymany przez żołnierzy sowieckich, jednak po stwierdzeniu, że celem jego przybycia było rzeczywiście poszukiwanie rodziny, został zwolniony i przebywał przez pewien czas na tamtym terenie. Próbował także poszukiwać swego siostrzeńca, Jana Krawczyka, oficera polskiego, o którym miał wiadomości, że przebywa gdzieś na Wołyniu. Mimo poszukiwań nie udało mu się go odnaleźć. Jeszcze przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej wrócił wraz z żoną i dziećmi do Krakowa. Próbował różnych prac zarobkowych, między innymi pracował w Czyżynach u swego krewnego, Piotra Salwińskiego. Żona wraz z dzieckiem (drugie zmarło w Brześciu) przebywała w Wieliczce, gdzie jej brat (wtedy już „volksdeutsch") pełnił służbę w niemieckiej żandarmerii. Załatwił swojemu szwagrowi pracę w urzędzie gminnym w Wieliczce. Stanisław objął funkcję poborcy podatkowego. Zawód telegrafisty, tak potrzebny w pracy podziemnej, skierował go do pracy konspiracyjnej. Przy pomocy swojego siostrzeńca Romana Krawczyka przewiózł z Krakowa do Wieliczki radiostację i rozpoczął regularny nasłuch radiowy. W roku 1942, prawdopodobnie na skutek donosu, został aresztowany. Niemcy zabrali także aparat radiowy. Został osadzony w obozie koncentracyjnym Auschwitz. Po kilku miesiącach pobytu w obozie żona otrzymała wiadomość o śmierci męża. Stanisław, urodzony w niewoli, od najmłodszych lat wykazywał wielki patriotyzm. Miłość do odzyskanej, wolnej Polski skłoniła go do twardej służby na morzu, a potem do odpowiedzialnej pracy radiotelegrafisty. Ta sama miłość do Ojczyzny nie pozwoliła mu w czasie okupacji niemieckiej stać na uboczu. Oddał życie za Polskę.

STANISŁAW SALWIŃSKI (s. Piotra)

Urodził się w Bieńczycach w 1912 r. Był synem Piotra i Julii z Jędrszczyków. Miał sześciu braci. Ojciec prowadził gospodarstwo rolne. Staszek od lat najmłodszych, jak każde dziecko wiejskie, pomagał rodzicom w gospodarstwie. Szkołę podstawową ukończył w Bieńczycach. Podjął praktykę krawiecką, kończąc równocześnie wieczorową szkołę zawodową. Odbył służbę wojskową, przeszedł dobrą szkołę w Korpusie Ochrony Pogranicza, uzyskując stopień starszego strzelca. Po powrocie z wojska pracował w swoim zawodzie. Nie był żonaty. W sierpniu 1939 r. został zmobilizowany, brał udział w kampanii wrześniowej, walczył w obronie Warszawy. Poległ w walce z Niemcami we wrześniu 1939 r.

WIKTORIA SALWIŃSKA

Urodziła się w Bieńczycach w 1913 r. Była córką Józefa i Magdaleny Zięby. Rodzice mieli gospodarstwo rolne w Bieńczycach. Miała czterech braci i trzy siostry. Po ukończeniu siedmiu klas szkoły podstawowej w Bieńczycach pracowała w gospodarstwie rodziców. Odbyła praktykę krawiecką w Krakowie. Od młodych lat należała do Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Żeńskiej w Bieńczycach i była członkinią zarządu tegoż stowarzyszenia. Była bardzo czynna w pracy społecznej we wsi. Okupację spędziła u rodziców. Często wyjeżdżała pociągiem do Krakowa. Niemcy urządzali na stacjach łapanki. W jednej z takich łapanek została zatrzymana przez Niemców. Umieszczono ją najpierw w więzieniu w Krakowie, a następnie wywieziono do obozu koncentracyjnego Auschwitz. Po kilku miesiącach pobytu w obozie, latem 1943 r., komenda obozu powiadomiła rodzinę o jej śmierci.

ZYGMUNT STARACHOWICZ

Urodził się w 1914 w Starym Samborze w Małopolsce Wschodniej, gdzie jego ojciec był lekarzem. Siostra Anna była żoną miejscowego lekarza, Kazimierza Łowczowskiego. W latach trzydziestych Zygmunt mieszkał w Bieńczycach. Studiował prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim. Studia ukończył w 1939 r., ożenił się z lekarką i oboje mieszkali w Bieńczycach. 6 listopada 1939 r. w czasie przeprowadzania przez Niemców słynnej „Sonderaktion Krakau", w której aresztowano zebranych na uniwersytecie profesorów wszystkich uczelni Krakowa, znalazł się także na terenie uniwersytetu dla odebrania dyplomu. Został wraz z profesorami aresztowany i wywieziony do obozu koncentracyjnego. Po paru miesiącach został z obozu zwolniony. Rozpoczął wtedy pracę w RGO przy ul. Krowoderskiej. Zaangażował się w pracę konspiracyjną, był żołnierzem Armii Krajowej. Współpracował z komendą obwodu AK na powiat krakowski. Współredagował „Placówkę", organ komendy obwodu. W roku 1944, w czasie przeprowadzania przez Niemców rewizji w RGO, znaleziono w jego biurku prasę konspiracyjną, został aresztowany i ponownie umieszczony w obozie koncentracyjnym. Przebywał między innymi w obozie w Buchenwaldzie. Powszechnie było wiadomo, że kto znalazł się w obozie po raz drugi, już nie wracał. Z obozu nie wrócił. Nie było jednak zawiadomienia o jego śmierci. Wszczęte po wojnie poszukiwania nie dały żadnego rezultatu. Pozostawił żonę lekarkę-laryngolog i dwoje dzieci.

JAN ŚWIDER

Był synem Józefa i Marii z Raźnych. Urodził się w 1926 r., mieszkał w Bieńczycach. Ojciec był laborantem przy Katedrze Chemii na Uniwersytecie Jagiellońskim. Jan miał starszego brata i siostrę. Szkołę podstawową ukończył w Bieńczycach. W czasie okupacji prawie jedynym źródłem zaopatrzenia w węgiel, zwłaszcza biedniejszej ludności, była kolej. Maszyniści kolejowi zrzucali w czasie jazdy węgiel z lokomotywy, a umówieni ludzie go zbierali. Ojciec Janka miał dobre stosunki z kolejarzami i często tym sposobem zdobywał węgiel i zboże. Niemieccy strażnicy kolejowi („Bahnschutz") często jeździli pociągiem pilnując, by kolejarze nie zrzucali węgla z pociągu. Ktoś doniósł Niemcom, że jednym z ludzi, którzy korzystają z nielegalnego zdobywania węgla, jest Józef Świder. Strażnicy kolejowi przybyli do Świdra, a nie zastawszy w domu ojca, zabrali nieletniego jeszcze syna. Umieszczono go w piwnicy wartowni kolejowej na dworcu w Krakowie przy ul. Lubicz. Po paru godzinach pobytu w piwnicy wypuścili go rzekomo na wolność i pozornie uciekającego zranili kilkoma pociskami z karabinu. Ciężko rannego Jana przewieziono do szpitala przy ul. Kopernika, gdzie mimo troskliwej opieki lekarzy po kilku dniach zmarł. Ciało jego, wydane rodzinie, pogrzebane zostało na cmentarzu parafialnym w Mogile. Aresztowano jeszcze po tym jego starszego brata, lecz zwolniono jako pracującego w firmie niemieckiej. Ojciec, ukrywając się, uniknął aresztowania i pewnie też niechybnej śmierci.

ZOFIA TURBASOWA z d. BIERNACIK

Urodzona w Bieńczycach w 1897 r., wyszła za mąż za Jana Turbasę, razem prowadzili gospodarstwo rolne. Dom ich znajdował się w pobliżu stacji kolejowej w Bieńczycach. Mieli trzech synów. Wszyscy trzej synowie żyją: jeden w Kralowie, a dwóch w Bieńczycach. Zginęła od strzałów niemieckich strażników kolejowych „Bahnschutz". 12 listopada 1943 r., kiedy na stację kolejową w Bieńczycach nadjechał pociąg z Kocmyrzowa, wywiązała się strzelanina. Strzelali pijani strażnicy. Twierdzili potem, że to oni zostali ostrzelani. Na odgłos strzałów Turbasowa podeszła do jaśniejącego w ciemnościach okna. Padły strzały, które dosięgły stojącą przy nim Zofię, obok której znajdował się sześcioletni syn. Została trafiona dwukrotnie w pierś i upadła na ziemię. Wezwany lekarz, dr Kazimierz Łowczowski, udzielił jej pierwszej pomocy. Był także u niej ksiądz Franciszek Ciepiela, który udzielił jej ostatniego namaszczenia. Następnego dnia odwieziono ranną do szpitala w Krakowie, gdzie mimo przeprowadzonej operacji nie udało się jej uratować. Została pochowana na cmentarzu parafialnym w Raciborowicach. Następnego dnia Niemcy przeprowadzili śledztwo, rozpytując kto strzelał do strażników. Tego samego dnia przywieziono z więzienia dziesięciu Polaków, których rozstrzelano w Krzesławicach obok toru kolejowego, a ciała pomordowanych zabrano do Krakowa

EMIL WŁODEK

Urodził się w Bieńczycach w 1925 r. Był synem Franciszka i Marii z Szabelskich. Szkołę podstawową ukończył w Bieńczycach w roku 1939. Lata młodzieńcze spędzał w domu rodziców. Zarabiał na życie pracując dorywczo u różnych gospodarzy. Jednym z nieszczęść, jakie spadły na Polaków w czasie niemieckiej okupacji, był wywóz młodych ludzi na roboty do Niemiec. Emil został wyznaczony przez wójta w Mogile na wyjazd. Nie udało się, mimo starań rodziców, przed tym ochronić. Od chwili wyjazdu z domu w 1942 r. wszelki słuch o nim zaginął. Nie napisał też żadnego listu z Niemiec. Po wojnie rodzina wszczęła starania, mające na celu odnalezienie zaginionego. Poszukiwania prowadzone za pośrednictwem Polskiego Czerwonego Krzyża nie dały żadnego rezultatu.

JAN ZAMOJSKI

Urodził się w Bieńczycach w 1913 r. Był synem miejscowego gospodarza Feliksa, działacza chłopskiego i byłego wójta. Była to zamożna, lecz wielodzietna rodzina. Prócz Janka było w niej siedem córek i czterech synów. Po ukończeniu szkoły podstawowej w Bieńczycach Jan pracował w gospodarstwie rolnym ojca. Był członkiem Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Męskiej. Nie był żonaty. Służbę wojskową odbył w 20 Pułku Piechoty Ziemi Krakowskiej. W roku 1939 został zmobilizowany. Brał udział w kampanii wrześniowej. Zginął w walce z Niemcami w czasie działań wojennych. Ani miejsce śmierci ani pochówku nie są znane.

JAN KOTYZA – Maria Kotyzowa – nauczycielka z Bieńczyc[4]



Maria Kotyzowa

Wstęp

Dzięki istniejącej kolei już przed pierwszą wojną światową i w czasie jej trwania zaczęła się kształcić w krakowskich szkołach średnich młodzież z naszej wsi. Początkowo były to dzieci kierownika szkoły Łowczowskiego, zawiadowcy stacji o nazwisku Franta, młynarza Kaczorowskiego oraz niektórych gospodarzy ze wsi: Ptaka, Walczaka, Ciepieli i Żyda Wohlfeilera. Była to głównie młodzież męska, ale były także – choć nieliczne jeszcze – dziewczęta. Seminarium nauczycielskie ukończyły dwie córki Łowczowskiego: Zofia i Maria, córki Kaczorowskiego i Franty oraz Ptaka. Po wojnie zaczęły chodzić w większej liczbie do szkół średnich także dziewczęta, głównie do seminarium nauczycielskiego, szkół handlowych i zawodowych. W okresie międzywojennym szkoły średnie ukończyły córki miejscowych gospodarzy i innych mieszkańców wsi: Maria Sawkówna, Zofia, Aniela, Maria i Bronisława Kaczorowskie, Ludomira i Maria Paszyńskie, Jadwiga Łowczowska, Katarzyna Przeniosłówna, Maria Turbanowa, Katarzyna Nawrocka, Zofia Dziwiszówna, Helena, Celina i Bolesława Wrzesińskie, Maria Halikówna, Maria Naparzanka oraz Elżbieta Lelitówna. Niektóre, jak Maria Trznadlówna, Janina Ciepielanka, Aleksandra Świerczewska i Maria Jędrszczykówna, zaczęły naukę w szkole średniej przed wojną, a skończyły ją na kompletach tajnego nauczania w czasie okupacji lub tuż po wojnie (uczestniczyło w nich kilkadziesiąt młodych osób z Bieńczyc).

Moja żona, Maria Halikówna, była jedną z tych dziewcząt bieńczyckich, które pokonując wielkie trudności, w tym kłopoty materialne i opory środowiska wiejskiego, wytrwale dążyły do celu. Po ukończeniu nauki w miejscowej szkole powszechnej poszła do Krakowa do szkoły ośmioklasowej, a potem do seminarium nauczycielskiego, które pomyślnie ukończyła. Oboje wychowaliśmy się w podobnych warunkach w środowisku wiejskim, oboje z uporem właściwym chłopskim dzieciom zdobywaliśmy wiedzę, oboje mieliśmy podobne zainteresowania i poglądy społeczne. Praca społeczna w rodzinnej wsi zbliżyła nas do siebie. Nasze małżeństwo, lata wspólnego pożycia i nasze dzieci złączyły nas jeszcze bardziej. Jej odejście z tego świata tak ja, jak i moje dzieci przeżyliśmy bardzo boleśnie.

Lata dziecięce i szkoła

Marysia Halikówna urodziła się w Bieńczycach 7 czerwca 1912 r. z ojca Wojciecha Halika i matki Marii z Krawczyków. Aż do zamążpójścia mieszkała w domu rodzinnym w Bieńczycach pod numerem 120. Dom ten zbudował jej ojciec na parceli zakupionej od swojego szwagra, Wojciecha Turbasy. Pierwszą żoną Wojciecha Halika była Franciszka Ptakówna z Bieńczyc, córka Franciszka Ptaka. Dwie córki z tego małżeństwa, Zofia i Halina, po śmierci matki wychowywały się u swojego dziadka, Franciszka Ptaka. Marysia była najstarszym dzieckiem z drugiego małżeństwa Wojciecha Halika. Miała dwóch braci: Wojciecha, urodzonego w roku 1914 i Józefa – w 1926 r. Już jako mała dziewczynka musiała pracować w gospodarstwie domowym. Po ukończeniu szóstego roku życia zaczęła chodzić do szkoły powszechnej w Bieńczycach. Kierownikiem tej szkoły był Kazimierz Łowczowski[5], on też był jej wychowawcą przez pierwszych pięć lat nauki. Maria, podobnie jak wszyscy wychowankowie Kazimierza Łowczowskiego, wyrażała się o nim, jako o nauczycielu i wychowawcy, zawsze z bardzo wielką sympatią i uznaniem. Chodziła do jednej klasy z córką kierownika szkoły, Jadwigą, i razem, wraz z innymi dziewczętami (m.in. Marią Turbasówną i Katarzyną Przeniosłówną) poszły po ukończeniu pięciu lat w szkole w Bieńczycach, w roku 1923, do szkoły powszechnej ośmioklasowej im. Zbigniewa Oleśnickiego w Krakowie, której dyrektorkami były w tym czasie panie J. Barańska i Maria Lilling, wychowawczynią klasy Maria Strobachowa, a nauczycielami religii księża J. Piechnik i L. Wrana. Szkołę tę ukończyła w roku 1927. We wrześniu tego samego roku rozpoczęła naukę w prywatnym Żeńskim Seminarium Nauczycielskim im. Mikołaja Reya w Krakowie przy ul. Grodzkiej. Tam w roku 1932 zdała egzamin dojrzałości i uzyskała dyplom nauczycielski.

4. Zredagowane na podstawie tekstu źródłowego Jana Kotyzy „Maria Kotyzowa – moja ukochana żona", Bieńczyce, 1982

5. Nauczycielami religii w Bieńczycach byli w tym czasie księża wikariusze z Raciborowic: Jan Kozub i Józef Ludkowski.

Stowarzyszenia Młodzieży

Uzyskanie posady nauczycielki nie było rzeczą łatwą. Były to lata kryzysu gospodarczego i najczęściej młodzi ludzie, którzy ukończyli szkołę średnią, nie mieli warunków materialnych, by iść na wyższą uczelnię i raczej szukali pracy. Dziewczęta szły do pracy biurowej, na poczcie, w urzędach gminnych, spółdzielniach i innych instytucjach. Młodzi mężczyźni wstępowali do zawodowych szkół oficerskich oraz służby w policji.

Ponieważ nieźle rozwijające się w tym czasie gospodarstwo ojca potrzebowało rąk do pracy, Marysia pozostała w domu. Ojciec w sezonie letnim zatrudniał w swym gospodarstwie sadowniczo-ogrodniczym kilka osób. Ludziom tym trzeba było przygotowywać posiłki i Marysia tym się zajęła. Zaopatrywała dom, gotowała wspólnie z matką, dbała o inwentarz domowy. Ta praca była bardzo potrzebna, ale zabierała dużo czasu i nie zaspokajała jej ambicji. Ujście dla swych zainteresowań i aspiracji znajdowała w pracy społecznej. Od kilku lat istniało we wsi i prowadziło ożywioną działalność Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Męskiej. Grupa dziewcząt, wśród których było kilka z ukończoną szkołą średnią i w której przewodnią rolę grała Marysia, naśladując chłopców zapragnęła utworzyć podobną organizację młodzieży żeńskiej. Jesienią 1932 r. powstało we wsi Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Żeńskiej, a jego prezesem została Marysia Halikówna. Stowarzyszenia miały patronat, w którego skład wchodził ks. asystent i starsze osoby. O pełnienie roli dyrektorki Stowarzyszenia poproszono siostrę dzierżawcy dworu w Bieńczycach, inż. Kazimierza Cieślewicza, panią Helenę Cieślewicz. Asystentem, podobnie jak dla Stowarzyszenia Męskiego, był w tym czasie niedawno przybyły do parafii w Raciborowicach młody, lecz pełen zapału do pracy społecznej ks. Zbigniew Przeworski. Ponieważ dwa wschodnie pokoje we Dworku zajmowało już Stowarzyszenie Męskie, a dwa zachodnie kaplica i zakrystia, nowe stowarzyszenie zajęło położoną w środku budynku kuchnię i tam odbywały się jego zebrania.

Marysia, jako prezes, wzięła się z zapałem do pracy. Korzystając z salki teatralnej organizowano przedstawienia, najpierw tylko z rolami żeńskimi. Ponieważ jednak w Stowarzyszeniu Młodzieży Męskiej było duże zainteresowanie przedstawieniami teatralnymi, zaczęto urządzać przedstawienia wspólne z rolami mieszanymi. Uczestniczyła w nich także Marysia. Z początku grano sztuki w rodzaju „Błażka opętanego" czy „Chłopców arystokratów". Z biegiem czasu zaczęliśmy przestawiać sztuki poważniejsze: „Zemstę", „Damy i huzary" Aleksandra Fredry, „Klub kawalerów" Bałuckiego, czy „Kłopoty Złotopolskiego". Tradycyjnie przedstawiano na święta Bożego Narodzenia „Jasełka".

We wszystkich poczynaniach teatralnych Marysia grała rolę inspiratorki, reżyserowała sztuki, ćwiczyła śpiew, malowała dekoracje. Dzielnie sekundowały jej w tej pracy koleżanki szkolne: Ludka i Marysia Paszyńskie, Kasia Nawrocka, Marysia Turbasówna, Aniela Ciepielanka, Weronika Krupianka, Wiśka Salwińska, a później młodsze koleżanki: Zosia Nawarzanka, Zosia Zyburzanka i inne. Wiosną 1933 r. oba Stowarzyszenia urządziły obchody 250. rocznicy bitwy pod Wiedniem i z tej okazji posadzono koło Dworku młode drzewka, które Marysia otrzymała ze szkółki swojego ojca. Po żniwach tego roku dziewczęta same urządziły pierwsze we wsi dożynki. Tańce ludowe, śpiewy i obrzędy dożynkowe dziewczęta przygotowały pod kierownictwem Marysi.

W Bieńczycach powstało także katolickie Stowarzyszenie Mężów, którego prezesem został mgr Józef Walczak. Z przedstawicieli wszystkich Stowarzyszeń powstał komitet międzyorganizacyjny, który miał za zadanie koordynację prac Stowarzyszeń, a w szczególności opiekę nad Dworkiem. KSMŻ reprezentowała Marysia, ja reprezentowałem Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Męskiej, Józef Walczak – Stowarzyszenie Mężów, a Katarzyna Biernacikowa i Katarzyna Nawrocka – „Dzieci Maryji", których własnością był Dworek. Ciągłe kontakty w tej pracy, wspólne narady, zebrania i przedstawienia tworzyły więzy sympatii i koleżeństwa. Koledzy zaczęli podejrzewać, że Marysię i mnie łączy coś więcej, niż tylko wspólna praca. Marysia była jednak w tym czasie bardzo poważna. Nasze rozmowy, rzeczywiście częste, dotyczyły zawsze spraw organizacyjnych, społecznych i wzajemnej współpracy. Moi koledzy – Janek Krawczyk, Józek Walczak i Franek Nawara mimo to coraz częściej powtarzali, że za tymi rozmowami kryje się nie tylko sympatia, ale większe uczucie.

Nieco później pani Anna Łowczowska, żona lekarza i nauczycielka w szkole w Bieńczycach, zaczęła organizować Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet. Zapisały się do niego przede wszystkim żony i matki miejscowych robotników i wyrobników (kobiety z rodzin rolników w znacznie mniejszej liczbie). Związek postanowił zorganizować we wsi przedszkole. Funkcję kierowniczki przedszkola zaproponowano Marysi. Chętnie się tego zajęcia podjęła, gdyż zawsze marzyła o pracy nauczycielskiej. Prowadzenie przedszkola to wprawdzie nie była praca w szkole, do której była przygotowana, ale że było to zajęcie na miejscu, a innej pracy uzyskać nie mogła, zgodziła się na tę propozycję. Wynagrodzenie nie było wysokie, lecz w oczach rodziców, którzy kiedyś opłacili jej naukę w prywatnym seminarium nauczycielskim, było widomym znakiem, że jej nauka poszła na marne.

Przedszkole trzeba było najpierw zorganizować. Pomieszczenie wynajęto w domu Wojciecha Włodka („Krusca") na Zagościńcu, niedaleko szkoły. ZPOK sfinansował kupno najniezbędniejszych dla przedszkola sprzętów, zaangażował kobietę do sprzątania, zakupił koce i przedszkole rozpoczęło działalność. Marysia

nie była już bezrobotną nauczycielką. To poprawiło jej samopoczucie i pozycję społeczną. W czasie wakacji przez kilka kolejnych lat angażowano ją do prowadzenia półkolonii letnich dla dzieci, prowadziła je w Bieżanowie, Czarnochowicach i Radziszowie. Nie przerywała jednak pracy w Katolickim Stowarzyszeniu Młodzieży Żeńskiej, urządzała dla dziewcząt kursy gotowania i szycia, dla przeprowadzenia których instruktorkę zapewniał Sekretariat Generalny KSMŻ w Krakowie. Chcąc przygotować wiejskie dziewczęta do prowadzenia pracy w stowarzyszeniu, kierownictwo zaczęło wysyłać je na kursy oświatowe i wychowania fizycznego. Jedną z nich była Zosia Zyburzanka, która była później bardzo aktywna, zwłaszcza przy organizowaniu tańców i pokazów na dożynkach. W roku 1936 Marysia wniosła podanie do kuratorium o posadę nauczycielską. Propozycji pracy w powiecie koneckim nie przyjęła. Związana z pracą społeczną w swej rodzinnej wsi nie chciała jej opuszczać, ale niewątpliwie były też inne motywy. W tym samym roku zdecydowałem się na wyznanie, że nie jest mi obojętna, że mi się podoba i w ogóle... że ją kocham. Ten moment nie był zapewne bez znaczenia dla jej rezygnacji z proponowanej posady nauczycielki w powiecie koneckim. Została w Bieńczycach.

Okupacja

Wiosną 1940 r. rozpoczęła się moja praca konspiracyjna. Zorganizowałem na terenie gromad Bieńczyce, Mistrzejowice i Krzesławice pluton ZWZ. Kontakty z ZWZ były jednak dość luźne, otrzymywałem niewiele zadań konspiracyjnych (najpierw za pośrednictwem Władka Bochenka, później przez Gienka Hajto). Wiosną 1942 r. odszukał mnie Walek Adamczyk i zaczął namawiać do przejścia do Batalionów Chłopskich. Po dość długich rozmowach, jesienią 1942 r., wraz ze wszystkimi moimi podkomendnymi przeszedłem do BCh i moja działalność konspiracyjna ożywiła się. Ponieważ wtedy nie byłem nigdzie zatrudniony, mogłem sprawom konspiracji poświęcać więcej czasu. Zaczęliśmy też wspólnie z Marysią pracować w kompletach tajnego nauczania. Nasza sytuacja materialna była bardzo ciężka, bywało tak, że przez kilka dni jedliśmy na obiad na zmianę zupę ziemniaczaną i grochową z olejem lub ziemniaki przysmażane na oleju. Otrzymana od ciotki Zosi osełka masła, gdy moja żona leżała w domu po porodzie, była wydarzeniem. Po przejściu do BCh zacząłem otrzymywać co tydzień kilogram masła od Ciepielewskiego z Kocmyrzowa, który pracował w mleczarni w Łuczanowicach. Jeszcze później otrzymywałem od Ruchu Ludowego 500 zł miesięcznego zasiłku. Jesienią 1943 r., kiedy już Wiesiek Paszyński, pracujący w urzędzie pracy, nie mógł mnie dłużej chronić przed pracą, zatrudniłem się w Monopolu Tytoniowym w Czyżynach. Wtedy nasze warunki materialne trochę się poprawiły. Wynagrodzenie wprawdzie nie było wysokie, lecz otrzymywałem deputaty w postaci papierosów i wódki. Gdy było bardzo ciężko, sprzedałem swoje czarne ślubne ubranie, by mieć jakąś gotówkę na zakup żywności.

Moją żonę, prawdziwą towarzyszkę życia, ceniłem między innymi z tego powodu, że nigdy nie narzekała na nasze ciężkie warunki materialne, nigdy nie czyniła mi żadnych wymówek. Moją pracę w konspiracji aprobowała, drżała o moje życie, gdy mnie nie było w domu, ale nigdy mnie od tej pracy nie odwodziła. Znosiła wszystkie trudy i niewygody. Gdy w obawie o aresztowanie, a był taki okres, nie przebywałem w domu, dziecko zanosiła do moich rodziców, a sama nocowała ze mną u różnych znajomych na strychu lub w stodole.

W Monopolu Tytoniowym pracowałem do lipca 1944 r., kiedy zaczęło się wywożenie pracowników różnych przedsiębiorstw do pracy przy kopaniu umocnień i okopów w związku ze zbliżającym się frontem. Nasze mieszkanie z osobnym wejściem było bardzo wygodne wobec częstych odwiedzin różnych osób z konspiracji, ja też często przebywałem poza domem. Z konieczności Marysia musiała być wtajemniczona w różne sprawy, dzielnie mi pomagała. Bardzo dotkliwie przeżyła moje aresztowanie w 1942 r., gdy przyłapano mnie na fałszowaniu kart meldunkowych, a następnie zwolniono z pracy. Zawiadomiona przez znajomych o aresztowaniu, dostała się do komisariatu Polskiej Policji, gdzie mnie zatrzymano. Wpuszczona przez znajomego policjanta do celi pocieszała mnie ze łzami w oczach, potem bardzo się starała o zwolnienie mnie z aresztu, między innymi nawiązując kontakt z komendantem Polskiej Policji, Maruniakiem. Niemiec, który prowadził naszą (bo oprócz mnie zatrzymano jeszcze dwie osoby) sprawę, okazał się na tyle ludzki, że uniknęliśmy przekazania naszej sprawy do Gestapo. Sporo było dramatycznych zdarzeń, które Marysia musiała znieść – zaraz po ślubie rewizja w domu moich rodziców, gdzie mieszkaliśmy, w następnym roku moje zatrzymanie przez Gestapo, w roku 1942 moje aresztowanie, niedługo po tym rozstrzelanie na posterunku policji trzech osób, wśród których był mój kuzyn, Idzi Kotyza, jesienią 1943 r. zastrzelenie przez Bahnschutza mieszkanki Bieńczyc, Zofii Turbasowej, rozstrzelanie dziesięciu polskich więźniów w Krzesławicach, a w styczniu 1944 r. w Grębałowie osiemdziesięciu osób z krakowskich więzień, wreszcie w maju tego samego roku akcja partyzancka w Łęgu, podczas której kilku partyzantów zginęło i spalono trzy domy. Marysia, wraz z innymi dziewczętami i kobietami ze wsi, brała bardzo żywy udział w niesieniu pomocy uchodźcom z Warszawy, przybyłym do Bieńczyc po powstaniu warszawskim. Do naszego skromnego mieszkania przyjęła jedną z wysiedlonych, panią Lisocką, a potem, gdy ja byłem w wojsku, do swojego mieszkania w domu Karola Hajty inną warszawiankę, panią Sokołowską, która mieszkała u nas aż do roku 1948, kiedy zabrała ją do Warszawy jej siostrzenica. Okres okupacji nie pozostał bez wpływu

na zdrowie mojej żony. W maju 1948 r., mając zaledwie 36 lat, zachorowała na serce i choroba ta gnębiła ją do końca życia.

Szkoła w Raciborowicach

Po wakacjach, od 1 września 1946 r., moja żona została przeniesiona do odległych o 5 km Raciborowic, do tamtejszej szkoły powszechnej i uczyła tam przez cztery kolejne lata. Do pracy, bez względu na porę roku i panujące warunki atmosferyczne, chodziła pieszo, w ten sam sposób musiała wracać do domu. Znalazła w tamtejszej szkole miłe grono nauczycielskie, w tym kierownika szkoły Franciszka Rumiana, a później Stefana Raźnego i jego żonę Janinę. Uczyły tam także koleżanki Marysi z krakowskiego seminarium: Marysia Wędzieszanka-Kruczkowa i Rózia Zbrojanka-Lejczakowa. Po czterech latach pracy w Raciborowicach Marysia wróciła w 1950 r. do szkoły w Bieńczycach, w której zwiększyła się bardzo liczba uczniów, ponieważ uczęszczały do niej dzieci z osiedli Krakowiaków i Sportowego, na których nie było jeszcze wówczas szkół. W 1948 r. Marysia zaczęła bardzo narzekać na bóle serca. Choroba serca okazała się bardzo poważna i, mimo leczenia, przewlekła. Do roku 1948 mieszkaliśmy w domu Karola Hajty. Tam urodziło się dwoje naszych dzieci: w 1946 r. w grudniu córka Basia, a w 1948 r. w marcu syn Marek. Jesienią 1947 r. zmarł mój ojciec, a moja matka, obawiając się, że do wolnej izby w ich domu może zostać dokwaterowany jakiś lokator, zaproponowała nam przeniesienie się do rodzinnego domu. Skorzystaliśmy na tej przeprowadzce w tym sensie, że moja matka i siostra mogły się zająć naszymi dziećmi, gdy żona i ja wychodziliśmy do pracy.

W Bieńczycach

Od 1947 r. chodziła do szkoły w Bieńczycach nasza najstarsza córka, Marysia, w roku 1953 zaczęła naukę Basia, a w następnym roku Marek. Żona całą trójkę miała teraz na oku w szkole. Nasze warunki mieszkaniowe w domu matki, gdzie mieściliśmy się w pokoju i kuchni o powierzchni 30 m^2 były trudne. Żona, za namową kuzynki, która dostała mieszkanie w nowym bloku na terenie Nowej Huty, złożyła podanie do Dzielnicowej Rady Narodowej o przydzielenie jej mieszkania w nowych blokach. Podanie poparł inspektor szkolny i, ponieważ była pewna pula mieszkań dla nauczycieli, po kilku miesiącach przyznano nam mieszkanie na os. Ogrodowym w pobliżu Mogiły. Życzliwy człowiek w Dzielnicowej Radzie, Piotr Gajek, poradził żonie, by poczekała jeszcze miesiąc lub dwa, bo wtedy będą oddawane do użytku bloki w pobliżu Bieńczyc, skąd będzie miała bliżej do szkoły. Po jakimś czasie żona dostała zawiadomienie o przydziale mieszkania na os. B-2 (dzisiaj os. Sportowe) w bloku nr 15. Otoczenie bloków było jeszcze nieuporządkowane, nie było chodników, do mieszkań nie był doprowadzony gaz, ale było trzypokojowe mieszkanie o powierzchni 70 m^2 na piętrze małego jednopiętrowego bloku. Zwlekaliśmy trochę z przeniesieniem na nowe mieszkanie. Kiedy jednak 6 grudnia w biurze stowarzyszenia został aresztowany mój najbliższy przyjaciel i współpracownik, ks. Mieczysław Noworyta, obawiając się, że i mnie może to grozić, zaraz następnego dnia zaczęliśmy przenosić nasz dobytek do nowego mieszkania. Wraz z nami zamieszkała także moja ciotka Magdalena Wach, licząca wówczas 68 lat, mieszkająca dotąd w starej, walącej się chacie w Bieńczycach. W maju 1953 r. urodził się nasz najmłodszy syn, Andrzej.

Grono nauczycielskie w szkole w Bieńczycach składało się, poza kierownikiem, wyłącznie z pań. Uczyły w niej wtedy panie Łowczowska, Kęskowa, Piotrowska i Chrzanowa. Po odejściu tych dwóch ostatnich przyszły młode nauczycielki, Wolnikowa i Małek. Żona żyła ze wszystkimi koleżankami w przyjaźni. Mimo trwającej od lat choroby serca uczyła stale w szkole, pozostawała jednak pod ciągłą kontrolą lekarską. Kilka razy wyjeżdżała do sanatorium, między innymi do Świeradowa i do Jastrzębia-Zdroju. Marysia uczyła w swojej rodzinnej wsi. Ludzie odnosili się do niej życzliwie, wśród wszystkich nauczycieli ona jedna była miejscowa. Mówi się, że nikt nie jest prorokiem we własnym kraju, ona jednak wyrobiła sobie autorytet i rodzice dzieci ją szanowali. Nie bez znaczenia była kilkuletnia praca społeczna oraz pochodzenie z poważanej na wsi rodziny. W stosunku do dzieci była wymagająca. W okresie międzywojennym nauczyciele ogólnie cieszyli się wielkim szacunkiem, a na wsi w szczególności. Po wojnie z różnych przyczyn pozycja społeczna nauczyciela poważnie się obniżyła. Marysia w nowych warunkach swój autorytet potrafiła utrzymać. Były wiejskie kobiety, które uważały, że nauczycielkę można przekupić jakimś podarunkiem czy prezentem. Pewnego razu jakaś matka, której dziecku groziło pozostanie w tej samej klasie na następny rok, przyszła do naszego mieszkania przynosząc kurę. Żona wyprosiła ją z domu. Przez pewien czas żona z dziećmi jadała (odpłatnie) obiady w świetlicy szkolnej. Przynosiła z niej także obiady dla mnie. Były bardzo skromne, ale i nasze warunki egzystencji były wtedy spartańskie, gdyż wynagrodzenie nauczycieli było, w porównaniu z robotnikami pracującymi w przemyśle, bardzo niskie. W latach pięćdziesiątych zlikwidowano szkołę w Krzesławicach, pozostawiając tam tylko klasy niższe, natomiast dzieci klas wyższych zaczęły się uczyć w Bieńczycach. Kierownikiem obydwu szkół miał być Józef Celiński. Podzielił szkolny ogród w Krzesławicach na kilka części i oddał je w użytkowanie nauczycielkom, w tym mojej żonie. Żona uprawiała ten kawałek ziemi z wielką przyjemnością i zamiłowaniem wyniesionym z domu rodzinnego. Użytkowaliśmy tę działkę kilka lat, a zbierane z niej ziemniaki i inne warzywa bardzo się przydawały.

Jak już wspomniałem, żona miała duże zdolności do rysunków i malowania i uczyła tego przedmiotu w szkole. Dobrze także śpiewała i w kilku klasach uczyła śpiewu. Nie licząc się zbytnio z programem, uczyła dzieci wielu starych, przedwojennych piosenek patriotycznych i wojskowych, z czego dzieci były bardzo zadowolone. Uczyła także, między innymi, biologii w klasie VII i miała w pewnym momencie kłopoty z chłopakami, którzy w prowokujący sposób otwierali podręczniki na tych stronach, gdzie były rysunki narządów rodnych człowieka. Poradziła sobie w ten sposób, że najbardziej dokuczliwym uczniom powydzierała z podręcznika te właśnie kartki i miała potem względny spokój. W domu przygotowywała się do lekcji sadzając koło stołu, przy którym pracowała, trójkę najstarszych dzieci. Pracując pilnowała jednocześnie, żeby odrabiali lekcje. W niedzielę i święta chodziliśmy na mszę św. do kaplicy w Bieńczycach. Kiedy dzieci już podrosły, szliśmy tam całą gromadą. Wprawdzie katecheci apelowali, by dzieci chodziły na msze dla nich przeznaczone, my jednak zabieraliśmy nasze dzieci ze sobą. Pacierz, zwłaszcza wieczorny, też odmawialiśmy wspólnie. Był taki okres, że czytałem dzieciom wieczorem głośno książki, między innymi całą trylogię Henryka Sienkiewicza. Słuchały bardzo chętnie. Kiedy czytałem im opis pogrzebu Wołodyjowskiego, zwłaszcza kazanie ks. Kamińskiego, „zatkało mnie" ze wzruszenia i zrobiłem przerwę. Dzieci natychmiast zaczęły wołać: „Tata, czytaj dalej – czemu nie czytasz?".

Kalendarium

To co piszę o mojej niezapomnianej i kochanej żonie Marysi oparte jest na moich wspomnieniach oraz dokumentach zachowanych w rodzinnym archiwum. Żona skończyła seminarium nauczycielskie w roku 1932. Nie podjęła pracy na skutek braku etatów w szkołach, nie była też formalnie mianowaną nauczycielką. Z chwilą oswobodzenia naszego kraju spod okupacji niemieckiej kierownik szkoły, Józef Celiński, zatrudnił żonę w szkole podstawowej w Bieńczycach jako nauczycielkę. Zrobił to dlatego, że już w pierwszych dniach po opuszczeniu Krakowa przez wojska niemieckie grono nauczycielskie w szkole w Bieńczycach zostało zdekompletowane na skutek odejścia osób pochodzących z innych terenów. Z czasem sytuacja kadrowa poprawiła się, kiedy zaczęły wracać nauczycielki uczące w szkole w Bieńczycach przed wojną. Inspektorat Szkolny w Krakowie przydzielił żonę *(...) z dniem 1 czerwca 1945 r. do pełnienia obowiązków nauczycielskich do publicznej szkoły powszechnej w Raciborowicach w powiecie krakowskim*. 3 czerwca 1945 r. żona zgłosiła się do kierownika szkoły w Raciborowicach, Kazimierza Rumiana. Za zgodą i w porozumieniu obu kierowników szkół oraz inspektora, do końca roku szkolnego pozostała jednak w szkole w Bieńczycach. Od 1 września 1946 r. Marysia miała rozpocząć pracę w szkole w Raciborowicach, była jednak w tym czasie w szóstym miesiącu ciąży i na podstawie świadectwa lekarskiego Inspektorat Szkolny udzielił jej urlopu płatnego dla podratowania zdrowia. Dwa ostatnie miesiące roku szkolnego 1946/1947 żona przepracowała w Raciborowicach. Po wakacjach żona kontynuowała pracę w tej szkole, jednak jesienne szarugi dawały się jej mocno we znaki, zwłaszcza, że ponownie była w ciąży. Od stycznia 1948 r. uzyskała urlop. Po odejściu na emeryturę Kazimierza Rumiana kierownikiem szkoły w Raciborowicach został Jan Stadnicki. W latach szkolnych 1948/1949 i 1949/1950 żona uczyła bez przerwy w szkole powszechnej w Raciborowicach. Po odejściu na emeryturę Jana Stadnickiego, kierownikiem tamtejszej szkoły został pracujący w niej nauczyciel Stefan Raźny, pochodzący z Batowic.

Mimo sympatycznej atmosfery w gronie nauczycielskim nie przestaliśmy zabiegać o przeniesienie żony do szkoły w Bieńczycach, głównie ze względu na odległość szkoły od naszego miejsca zamieszkania i fatalnej drogi. Wreszcie w listopadzie 1950 r. nasze starania zostały uwieńczone sukcesem i żona została przeniesiona na własną prośbę na stanowisko nauczycielki do publicznej szkoły podstawowej w Bieńczycach. W 1955 r. Wydział Oświaty w Krakowie zatwierdził jej udokumentowane okresy pracy w przedszkolu, w szkole w Bieńczycach w czasie okupacji oraz w tajnym nauczaniu i cały powojenny staż. W ten sposób zakończona została kilkuletnia walka żony o zaliczenie wszystkich okresów pracy i ustabilizowanie jej pozycji jako nauczycielki szkoły podstawowej. Stan zdrowia żony nie poprawiał się, bóle serca nie ustępowały. Wiosną 1961 r. zaczęła narzekać na krtań. Objawiało się to w ten sposób, że sprawiało jej trudność przy śpiewie. Za poradą znajomych udaliśmy się do dra Jedlińskiego. To co mi powiedział, było dla mnie jak uderzenie obuchem (...). 1 września 1962 r. żona rozpoczęła nowy rok szkolny, jednak na skutek postępującej choroby i związanych z nią trudności w mówieniu, po dwóch tygodniach musiała przerwać pracę. Żona umarła po ciężkiej chorobie 11 października 1963 r.

Ostatnie pożegnanie

Postanowiliśmy pochować żonę, by mieć blisko do jej grobu, na cmentarzu w Mogile (cmentarz w Grębałowie jeszcze nie był czynny, mieszkańców Nowej Huty grzebano na cmentarzu parafialnym w Mogile, a nasz parafialny cmentarz znajduje się w Raciborowicach). Zarządzający cmentarzem oo. Cystersi (znajomi mi i życzliwi) zgodzili się bardzo chętnie. Załatwiłem też sprawę pogrzebu w parafii w Bieńczycach, termin pogrzebu ustaliliśmy na niedzielę 13 października 1963 r. Powiadomiłem moje biuro oraz kolegów ze studiów i przyjaciół z KSMM. We wsi i w Nowej Hucie rozlepialiśmy przygotowane we własnym zakresie klepsydry. Trumna z ciałem żony do dnia pogrzebu znajdowała się w domu. W sobotę i w niedzielę przed pogrzebem gromadzili się przy niej znajomi z Bieńczyc i z Nowej Huty. Uroczystości pogrzebowe w kaplicy w Bieńczycach ustalono na godzinę 15. Przed pogrzebem wielu ludzi zgromadziło się w domu i koło bloku. Na dróżce koło szkoły na naszym osiedlu czekał karawan. Trumnę z trudem zniesiono po schodach w dół. Mietek Sobiech zorganizował chłopaków do niesienia trumny. Mieli ją złożyć na czekający koło szkoły autokarawan, lecz niosący nie chcieli tego zrobić, bo postanowili nieść trumnę na ramionach aż do kaplicy. Chętnych do niesienia było wielu, wśród nich nasi przedwojenni członkowie KSMM, moi koledzy z BCh oraz uczniowie Marysi ze szkoły w Bieńczycach. Kondukt poszedł ulicą, a następnie chodnikiem między blokami osiedla Krakowiaków do ul. Kocmyrzowskiej i Zagościńcem pod szkołę. Tam niosący zatrzymali się i trzykrotnie opuszczeniem i podniesieniem trumny pożegnali szkołę, w której moja żona kiedyś sama się uczyła, a potem aż do roku 1961 uczyła młodzież.

Po mszy i modłach w kaplicy kondukt ruszył ścieżką (nie było jeszcze ul. Majakowskiego) do ul. Kocmyrzowskiej. Trumna aż do tej ulicy była niesiona. Dopiero na ul. Kocmyrzowskiej umieszczono ją na karawanie i kondukt poszedł do cmentarza w Mogile. Przed karawanem szły dzieci z kwiatami i kilkudziesięciu księży i kleryków, za karawanem ja z dziećmi, potem reszta rodziny, dalej duża liczba ludzi z Bieńczyc i okolicznych wsi. Byli wśród nich nasi przedwojenni wychowankowie z KSMM i KSMŻ, uczniowie Marysi ze szkoły w Bieńczycach i Raciborowicach, nauczyciele z Bieńczyc i sąsiednich szkół, moi koledzy i koleżanki ze studiów. Łącznie szło za trumną około tysiąca osób. Z domu do kościoła prowadził pogrzeb dziekan i proboszcz z Raciborowic, ks. Józef Jamróz, od kaplicy do ul. Kocmyrzowskiej ks. infułat Bogdan Remczewski, Oficjał Sądu Metropolitalnego (kiedyś mój katecheta w gimnazjum), od Kocmyrzowskiej do cmentarza w Mogile ks. Mieczysław Noworyta, proboszcz i dziekan w Mszanie Dolnej, przedtem Sekretarz Generalny KSMM, mój najbliższy przyjaciel i współpracownik w tym stowarzyszeniu. Byli poza tym księża z Bieńczyc i Czyżyn, Cystersi z Mogiły oraz wielu znajomych księży z Krakowa. Ze Śląskiego Seminarium Duchownego, gdzie wówczas uczyłem, był rektor ks. Jerominek, prefekt ks. Żebrek i kilkunastu kleryków. Był benedyktyn z Tyńca, o. Michał Bigosz, który wraz z Andrzejem Stachnikiem przewodził w czasie przemarszu konduktu w śpiewach. Nie było żadnego z księży biskupów tylko dlatego, że wszyscy przebywali na soborze w Rzymie. Na cmentarzu, po odprawieniu przewidzianych modlitw, przemówił nad grobem kierownik szkoły z Bieńczyc, Józef Celiński, żegnając długoletnią nauczycielkę szkoły w Bieńczycach. Pogrzeb żony był ostatnim, który przeszedł ulicami Nowej Huty. Niedługo potem władze zakazały prowadzenia konduktów pogrzebowych z kościoła na cmentarz. Wkrótce też został zamknięty cmentarz w Mogile, gdyż otwarto nowy cmentarz na polach krzesławickich pod fortem grębałowskim.

Jan Kotyza, pseudonim „Wiktor"



Jan Kotyza

Jan Kotyza urodził się w Bieńczycach 7 stycznia 1909 r. Swoją wieś pokochał i nigdy jej nie opuścił. Tu ukończył szkołę podstawową, stąd dojeżdżał do gimnazjum i na studia na UJ w Krakowie. W latach międzywojennych był komendantem Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży. Towarzyszyła mu w tej pracy Maria Halik, później jego żona. Ich ślub odbył się 11 kwietnia 1940 r. w kościele parafialnym w Raciborowicach. Jan Kotyza w 1940 r. wstąpił do Związku Walki Zbrojnej organizując pluton, którego został dowódcą. W 1942 r., po nawiązaniu kontaktu z działaczami Ruchu Oporu Chłopskiego, przeszedł z całym plutonem do Batalionów Chłopskich. Na terenie gmin Mogiła, Ruszcza i Zielonki zorganizował batalion złożony z czterech kompanii, który po scaleniu z Armią Krajową otrzymał kryptonim „Pająk". Do końca okupacji był jego dowódcą. W maju 1944 r. został mianowany komendantem Batalionów Chłopskich obwodu krakowskiego. Był równocześnie drugim zastępcą komendanta obwodu krakowskiego AK. Odegrał poważną rolę w organizowaniu i prowadzeniu tajnego nauczania zainicjowanego przez Józefa Celińskiego, kierownika szkoły w Bieńczycach (i w tej pracy towarzyszyła mu żona Maria). Wiosną 1945 r. został powołany do Wojska Polskiego i jako dowódca plutonu oraz adiutant batalionu walczył pod Dreznem i w Bieszczadach. Po zdemobilizowaniu działał w Polskim Stronnictwie Ludowym Stanisława Mikołajczyka, a następnie pracował zawodowo w szkolnictwie, spółdzielczości oraz kurii metropolitalnej w Krakowie. Kotyzowie wraz z innymi tworzyli w Bieńczycach atmosferę zainteresowania oświatą, kulturą i życiem społecznym, skąd wynikało tak duże zaufanie towarzyszące Janowi i jego żonie Marii w ciągu całego ich życia. Jan Kotyza został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi z Mieczami i Orderem Pro Ecclesia et Pontificio. Zakończył życie w okolicznościach symbolicznych. Zasłabł w czasie pogrzebu jednego ze swoich podkomendnych wygłaszając mowę pożegnalną. Zmarł w drodze do szpitala 30 kwietnia 1991 r.

WIESŁAW PYCZEK – Nauczycielska saga Rodziny Łowczowskich[6]



Ludwika z domu Biskup i Kazimierz Łowczowscy

Wcześniejsze opracowania „Czasu zatrzymanego" pokazały dziedzictwo kulturowe i gospodarcze terenów zajętych pod budowę Nowej Huty. Bogactwo społecznego współżycia splecione było dawniej miłością do Boga i ziemi ojczystej, etosem pracy na roli, odwiecznym kultem przyrody i wzajemnym szacunkiem. Ale wraz z postępującą budową osiedli mieszkaniowych systematycznie ginęła podkrakowska wieś. Dzisiaj trudno już szukać ludzi oraz ich dzieł zapisanych jeszcze w mej pamięci, jak również sielankowego obrazu ze złocistymi łanami zbóż i upraw rolnych, z wiejską zabudową, z kwitnącymi wiosną sadami, łąkami i niezapomnianym zapachem bzu. Cały ten urok i dorobek Bieńczyc, drogiej memu sercu wsi, odszedł w zapomnienie. Celem tego wywodu nie jest rozdrapywanie ran, czasem jeszcze nie zabliźnionych, ani wskazanie winnych, bo gdzież ich teraz szukać? Przyjmując, iż rzeczywistość Nowej Huty wyrosła nie tylko z napływowej, ale także na bazie zastanej kultury, wypada napisać co było czynnikiem sprawczym wcześniejszych, wiejskich osiągnięć. Nasuwa się odpowiedź; że była nim oświata. Zatem warto przypomnieć tych, którzy ją tworzyli.

Czas płynie nieubłaganie, ale wciąż żywa jest tu pamięć o Kazimierzu Łowczowskim, kierowniku szkoły w Bieńczycach. Z pokolenia na pokolenie przekazywana jest saga jego nauczycielskiej Rodziny, której Bieńczyce zawdzięczają autentyczny sukces społeczny. Kazimierz Łowczowski swoją pedagogiczną działalność w Bieńczycach rozpoczął z końcem XIX w. Ambitne plany, które sobie wyznaczył jako kierownik szkoły, zakładały osiągnięcie wyższego poziomu nauczania dzieci i młodzieży. Przywiózł ze sobą skrzypce, na których grywając zjednywał sobie dodatkową sympatię nowego środowiska.

Wkrótce okazało się, że jest nie tylko świetnym nauczycielem, ale i organizatorem. Stary, drewniany budynek czteroklasowej szkoły zamienił na budynek murowany, dwukondygnacyjny, z pięcioma przestrzennymi salami lekcyjnymi, z zapleczem socjalnym dla nauczycieli. W tym budynku szkolnym można już było realizować program siedmioklasowej szkoły podstawowej nie tylko dla dzieci i młodzieży z Bieńczyc, ale i z sąsiednich wsi; Mistrzejowic, Dłubni i Krzesławic.

W okresie pracy pedagogicznej Kazimierza Łowczowskiego w Bieńczycach organizował on jasełka i inne przedstawienia – na miarę warunków i umiejętności bohaterów, uprzyjemniając je swoją grą na skrzypcach, czym mobilizował dzieci i młodzież do występów. Siedzący na „widowni" w jednej z sal szkolnych rodzice, po odsłonięciu kurtyny, byli olśnieni samą atmosferą tego wydarzenia, ale głównie grą swoich pociech, zwłaszcza, że była ona urozmaicona grą na skrzypcach. Można przyjąć, że były to ważne kroki ku integracji wiejskiej społeczności, w atmosferze całkowicie odmiennej od tej, jaką dawniej przeżywali w karczmie. Ze skrzypcami Rodzina Łowczowskich chodziła do zaprzyjaźnionych gospodarstw, aby uczestniczyć w różnych okolicznościowych spotkaniach. Znam przypadki, w których córki państwa Łowczowskich trzymały do chrztu dzieci sąsiadów (Maria z Łowczowskich Bogaczowa trzymała do chrztu córkę sąsiadów, Marię z Jędrszczyków Osiadłową). Wystawianie sztuk teatralnych było także zasługą p. Ludwiki – żony Kazimierza Łowczowskiego. To właśnie ona wyreżyserowała z tymi „bieńczyckimi pastuszkami" ambitną sztukę Aleksandra Fredry „Damy i huzary" oraz doprowadziła drogą uczestnictwa w eliminacjach amatorskich zespołów teatralnych z udziałem młodych bieńczyckich aktorów do wystawienia „Błażka opętanego" na deskach Teatru im. Juliusza Słowackiego w Krakowie. Chlubną kartą w historii Bieńczyc był wyjazd młodzieżowego zespołu ze sztuką „Krakowskie wesele" na salony samego „cysorza Franciszka Józefa" w Wiedniu. Sam wyjazd z pewnością był zasługą posła Sejmu Galicyjskiego – Franciszka Ptaka, ale reżyserskie przygotowanie tego występu przed najwyższym dostojnikiem zapewniła p. Ludwika Łowczowska. Ileż to razy przy rodzinnym stole, jeszcze jako dziecko, a później młodzian, słuchałem wspomnień mojej cioci, Marii z Pyczków Mólowej, która grając rolę panny młodej w tamtym pamiętnym spektaklu szczyciła się, że siedziała po prawicy samego „cysorza", co było oczywiście ogromnym wyróżnieniem. Ale reżyseria nie była jedyną pracą społeczną p. Ludwiki. To ona bezinteresownie, w stylu doktora Judyma, chodząc z podręczną apteczką udzielała pomocy chorym, zwłaszcza kobietom leżącym w połogu.

W nawiązaniu do ogólnej oceny pracy Kazimierza Łowczowskiego i jego małżonki trzeba stwierdzić, że była to praca nad wyraz efektywna. Z uzyskanych najczęściej

6. Autor wspomnienia te dedykuje Rodzinie Łowczowskich, aby w ten sposób wyrazić swoją wdzięczności, za Ich nauczycielski trud i poświęcenie, a także serdeczną, wieloletnią znajomość.

ustnych wiadomości wynika, że poziom szkolnictwa we wsi Bieńczyce na przełomie XIX i XX w. nie był zbyt wysoki. Zaborca nie troszczył się zbytnio o zabezpieczenie środków na rozwój tej działalności. Pan Kazimierz Łowczowski jednak nie bał się przeszkód w realizacji swoich zamierzeń pedagogicznych i pomógł osiągnąć taki stan miejscowej oświaty, który w późniejszych latach zweryfikowała lista osób ze średnim oraz wyższym wykształceniem, ale również samo życie i twórczy w nim udział jego licznych wychowanków. Dla uwiarygodnienia tych sukcesów podaję zawarte w I części „Czasu zatrzymanego" dane statystyczne, z których wynika, że Bieńczyce, wchodząc administracyjnie w skład miasta Krakowa, mogły się poszczycić uzyskaniem 42 dyplomów uniwersyteckich, w tym 3 księży, jednego z trzema doktoratami, innego noszącego biskupią tiarę, opata oo. Cystersów w Mogile, 3 lekarzy, 6 inżynierów rolników, 8 absolwentów Wydziału Prawa, Chemii oraz Geografii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Pozostali to absolwenci wyższych szkół technicznych i ekonomicznych. Wymienioną statystykę wzbogaca liczna grupa młodych ludzi, którzy ukończyli szkoły średnie.

Kazimierz Łowczowski zapoczątkował nauczycielską sagę Rodziny, która nieprzerwanie trwa od ponad stu lat, bowiem prócz niego już od początku XX w. uczyły profesjonalnie przygotowane do nauczycielskiego zawodu jego córki: Zofia Walczakowa, Maria Bogaczowa, Jadwiga Druciakowa i synowa Anna Łowczowska ze Starachowiczów, żona Kazimierza juniora, znakomitego tutejszego lekarza. Kierownik Kazimierz Łowczowski dokładnie przyglądał się swoim uczniom analizując wyniki pracy pedagogicznej, a ojców tych, którzy szczególnie wyróżniali się w nauce, wzywał na rozmowę. Padały wówczas z jego ust te i podobne słowa: *Gospodarzu, sprzedajcie krowę, morgę pola i ślijcie swego syna do szkół w Krakowie, a on uświetni koronę waszej rodziny.*

Argumenty wiejskiego autorytetu trafiały zwykle do rozsądku nie tylko tych bogatszych, ale i biedniejszych rolników, między innymi do Pawła Pyczka, dziadka piszącego te wspomnienia. Tych, którzy zdecydowali się na podjęcie dalszej nauki w Krakowie, bezinteresownie przygotowywały do wstępnego egzaminu córki pana kierownika, czyli (jak do dziś w Bieńczycach się mówi dla lepszej rozpoznawalności trzech Kazimierzy Łowczowskich) – „starego" Łowczowskiego. A „stary", po dodatkowych korepetycjach, jak ojciec z własnymi dziećmi, jechał potem ze swoimi uczniami na egzaminy wstępne do Krakowa. W tamtym czasie do pierwszej klasy gimnazjalnej można było wstąpić po czwartej klasie szkoły podstawowej, a zatem były to dzieci 11-, 12-letnie, dla których wielkomiejskie realia stanowiły poważny stres, tak samo jak ataki niektórych agresywnych rówieśników z miasta, wyszydzających chłopaków ze wsi. A zdarzało się, iż obelżywe uwagi pod ich adresem, padały także ze strony siedzących za katedrą, co zapamiętano z opowiadań byłego ucznia Gimnazjum im. Jana Sobieskiego w Krakowie, późniejszego adwokata krakowskiego, bieńczycanina Józefa Salwińskiego.

W tym miejscu na pamięć zasługuje postać Jana Krawczyka, z przezwiska „Wąsali", którego rodzice słowa kierownika Łowczowskiego zamienili w czyn. Sprzedali mianowicie parę mórg pola i posłali Jaśka do gimnazjum w Krakowie, a następnie na studia agronomiczne, na Wydziale Rolnym UJ. Koszt tej nauki niestety spauperyzował rodzinę Krawczyków, ale na ścianie kościoła „Arka Pana" w Nowej Hucie, na tablicy upamiętniającej bieńczycan poległych w czasie II wojny światowej figuruje nazwisko Jana Krawczyka, zamordowanego prawdopodobnie gdzieś na Wschodzie. Swoją indywidualnością i postawą uświetnił koronę Bieńczyc.



Anna Łowczowska-Starachowicz – nauczycielka w Bieńczycach

Wzorem kierownika Łowczowskiego o losy swoich wychowanków troszczyli się także nauczyciele następnego pedagogicznego pokolenia. Wspomina to Aleksandra z Mleczków Tapetowa: *Gdy w 1946 r. kończyłam szóstą klasę szkoły podstawowej w Bieńczycach, domową decyzją byłam przewidziana do pracy w Monopolu Tytoniowym w Czyżynach. – Nie Monopol, tylko dalsza nauka!* – tak zdecydowała o wyborze drogi życiowej wychowawczyni Oli pani Olga Kęska, która przygotowała ją do egzaminu wstępnego. W dniu tego egzaminu w Gimnazjum i Liceum Joteyki w Krakowie kandydatka do tej szkoły zgłosiła się wczesnym rankiem na ul. Pędzichów 8/18 w prywatnym mieszkaniu pani Kęski, gdzie odbył się ostatni sprawdzian wiadomości, a po śniadaniu Aleksandra Mleczko w towarzystwie Danuty, córki p. Kęski, odpowiednio nastawiona psychicznie udała się na egzamin. Szczęśliwie zaliczony egzamin otworzył jej drogę do zawodu ambitniejszego od pracy fizycznej. Dziś o swojej dawnej protektorce wypowiada się z nieukrywanym rozrzewnieniem.



Maria i Jadwiga Łowczowskie, córki Kazmierza i Ludwiki Łowczowskich. Obie były nauczycielkami.

Nie można tu pominąć także Zygmunta Starachowicza, brata Anny Łowczowskiej. Zatrzymany w związku z aresztowaniem profesorów UJ został wywieziony do Dachau. Zwolniony z tego więzienia wrócił do Bieńczyc, aby w konspiracyjnym nauczaniu poszerzać nam jakże ubogi, narzucony przez okupanta program nauczania. Uczył nas historii Polski, języka polskiego i innych przedmiotów wchodzących w program, jaki obowiązywał do dnia 1 września 1939 r. Za przynależność do Armii Krajowej został ponownie aresztowany i stracony w Auschwitz.

Przyjmując, że zdobycze w zakresie oświaty wsi Bieńczyce były m.in. pokłosiem pracy kierownika Łowczowskiego i członków jego Rodziny, którzy niezaprzeczalnie stworzyli podwaliny tego sukcesu, nie można w tej ocenie pominąć Józefa Celińskiego, który w 1932 r. przejął kierownictwo szkoły po Kazimierzu Łowczowskim i kontynuował podobny kierunek edukacji młodzieży, rozwiązując częściowo problem współżycia z miejscową ludnością. Józef Celiński w okresie okupacji z narażeniem własnego życia i rodziny brał udział w konspiracyjnym nauczaniu w zakresie szkoły średniej, czego wynikiem była, pomimo hitlerowskiego terroru, ciągłość edukacji młodzieży, nie tylko tej z Bieńczyc, ale i tych z sąsiednich wsi. Dzięki jego ofiarnej pracy młodzież ta w 1945 r. mogła pójść do gimnazjalnych klas, adekwatnych do ich wieku. Z inicjatywy członków Związku Nauczycielstwa Polskiego, na frontowej ścianie szkolnego budynku w Bieńczycach wmurowano pamiątkową tablicę następującej treści: „W tym budynku w latach 1939-1945 działał Ośrodek Tajnego Nauczania, którym kierował Józef Celiński i Wincenty Homa".

Niniejszym wspomnieniom nadano tytuł „Nauczycielska Saga Rodziny Łowczowskich", gdyż misja tej Rodziny trwa już ponad sto lat. Ostatnim nauczycielem z tej Rodziny, pracującym w bieńczyckiej szkole, była Anna Łowczowska, synowa Kazimierza Łowczowskiego seniora. Kiedy w Nowej Hucie zaczęto oddawać do użytku nowe obiekty szkolne, Anna Łowczowska, wykorzystując swoje bogate pedagogiczne i wychowawcze doświadczenie, do 1967 r. uczyła potem w szkole podstawowej na Wzgórzach Krzesławickich. Trzecie pokolenie tej wrośniętej w zawód nauczycielski „sagi" szkołę w Bieńczycach odwiedza już tylko przez sentyment, ucząc w różnych szkołach, w tym również w Nowej Hucie. Córka Anny Łowczowskiej, Renata Wiśniewska, nie tylko uczyła w Szkole Podstawowej nr 102, ale była jej dyrektorką do przedwczesnej śmierci. Syn Anny Łowczowskiej, umownie nazwijmy go w „sadze" Kazimierzem III, wraz ze swoją żoną nauczycielką podjęli się nauczania poznaniaków.

Warto wspomnieć jeszcze o Stanisławie Walczaku, wnuku Kazimierza Łowczowskiego seniora, synu Zofii z Łowczowskich Walczakowej. Średnie już dziś pokolenie Nowej Huty z szacunkiem i sympatią wspomina „profesora" Walczaka. Wrodzony talent nauczycielski w zakresie nauk ścisłych, głównie matematyki, z pewnością ułatwił zdobycie wielu jego wychowankom indeksów, w krakowskich wyższych uczelniach technicznych. Dzisiaj czynnymi w nauczycielskim zawodzie są członkowie IV pokolenia „sagi" – wnuczki i wnukowie Anny i Kazimierza Łowczowskich. Czworo dzieci Kazimierza III – Barbara, Katarzyna, Jan i Piotr osiedliło się i pracuje w Wielkopolsce. Małgorzata – córka Danuty z Łowczowskich Spaczyńskiej uczyła w szkołach nr 92, 102 i 106 w Nowej Hucie, a obecnie jako emerytka uczy w szkole w Zielonkach. Córka Anny z Łowczowskich Arciszewskiej jako anglistka uczy w Gimnazjum i Liceum nr 42 w Nowej Hucie, a córka Ewa jest bibliotekarką w Gimnazjum i Liceum w Dobczycach.

JAN KOTYZA – Wspomnienie o Kazimierzu Łowczowskim



Kazimierz Łowczowski

Pierwszym lekarzem, który mieszkał w Bieńczycach i przyjmował u siebie chorych oraz chodził z wizytami był dr Kazimierz Łowczowski, syn miejscowego kierownika szkoły. Mieszkał też krótko we wsi dr Leon Wohlfeiler (przeniósł się potem do Czyżyn), syn miejscowego rzeźnika, Salomona. Obaj ukończyli Wydział Lekarski Uniwersytetu Jagiellońskiego z początkiem lat 30. XX w. W Mogile był dr Białek, po nim dr Gawłowski, w Czyżynach dr Ottenbreit. Wszyscy oni byli lekarzami ubezpieczalni społecznej, ale wykonywali także prywatną praktykę. Mówiło się głośno, że niektórzy lekarze dobrze zarabiali na dokonywaniu przerywania ciąży. Lekarza wzywano tylko w nadzwyczajnych wypadkach i to wzywali ludzie zamożni, których było stać na jego przywiezienie i opłacenie. Pod koniec XIX w. w całej okolicy panowała cholera, pod koniec pierwszej wojny światowej wiele ofiar pochłonęła czerwonka, a tuż po wojnie grypa, którą nazywano „hiszpanką". Wiele osób w całym okresie, często młodych, zabierała gruźlica, a wśród dzieci panował koklusz i ospa (krosty). W Bieńczycach i najbliższej okolicy nie było znachorów. Owszem, był w Kantorowicach chłop, który bardzo dobrze składał złamane kończyny, podobnie jak organista z Raciborowic. Do porodów wzywano kiedyś „babki". W Bieńczycach już na przełomie wieków była fachowa akuszerka, przechrzcianka, żona miejscowego robotnika, Urbana Ciepieli. Potem były także położne w Czyżynach – Czopkowa, w Mogile – Węsikowska, w Krzesławicach – Cybruchowa. Po śmierci Ciepielowej osiedliła się w Bieńczycach Katarzyna Dończowa, która odpowiedzialną funkcję położnej pełniła przez trzydzieści lat.

W czasach zaborów istniały Kasy Chorych, ale ubezpieczenia nie były obowiązkowe, w latach 30. wprowadzono Ubezpieczalnię Społeczną dla pracowników instytucji państwowych i większych zakładów prywatnych, jednak chłopi i robotnicy sezonowi z ubezpieczalni nie korzystali. Dr Łowczowski był znany i ceniony w całej okolicy, cieszył się powszechnym szacunkiem i zaufaniem Udzielał pomocy w różnych wypadkach, operował, uczestniczył przy cięższych porodach, leczył choroby wewnętrzne, leczył oczy i uszy, z każdą słabością ludzie szli do niego. Pracował w Bieńczycach przed wojną oraz w czasie okupacji i po wojnie. Gdy powstała Nowa Huta, kierował ośrodkiem zdrowia na os. Górali, potem przebywał w Żabnie, a następnie w Szczyrzycu, gdzie zmarł.

DANUTA SPACZYŃSKA z d. ŁOWCZOWSKA – Moje wspomnienie rodzinne z Bieńczyc



Trzy pokolenia rodziny Łowczowskich. Lata 50.

Jestem córką Anny i Kazimierza Łowczowskich. Moja mama była nauczycielką, a ojciec doktorem medycyny. Mój dziadek Kazimierz Łowczowski (1870-1953) był kierownikiem szkoły w Bieńczycach od końca lat 90. XIX w. aż do 1932 r. i zapisał się chlubnie w historii Bieńczyc jako mądry nauczyciel, dobry gospodarz i wielki społecznik. Za jego czasów wybudowano piękną szkołę w miejscu małej i drewnianej. Oprócz nauki prowadzonej z dziećmi, dziadek organizował we wsi życie kulturalne dla mieszkańców: przedstawienia, wycieczki, konkursy, loterie, założył też zespół skrzypcowy. To wszystko pozostawiało wśród uczestników, jak i publiczności zgromadzonej na występach niezapomniane przeżycia i poczucie wspólnoty. Bardzo dbał o zdolnych uczniów, dla których organizował kursy dokształcające i zachęcał ich do kontynuowania nauki w szkołach średnich Krakowa, a ich rodziców prze-

konywał do ponoszenia kosztów. Jego żona Ludwika Łowczowska z domu Biskup również była nauczycielką, ale całkowicie poświęciła się rodzinie i wychowaniu pięciorga dzieci. Dzięki jej pracowitości i gospodarności cała piątka dzieci zdobyła wyższe wykształcenie. Dziadkowie żyli w wielkiej przyjaźni z mieszkańcami wsi, dzieląc się w wielu sprawach radą i swoim doświadczeniem, a nawet kiedy już przeszli na emeryturę i zamieszkali w Krakowie, to nadal utrzymywali z nimi kontakt, a z wieloma łączyły ich serdeczne więzi. Dziadzio zmarł w 1953 r. i jest pochowany na Cmentarzu Rakowickim.

Moja mama, Anna Emilia Łowczowska z domu Starachowicz, urodziła się 9 września 1902 r. w Tuchowie, pow. Tarnów. Była jedną z najdłużej pracujących nauczycielek w szkole w Bieńczycach. W 1923 r. zdała egzamin dojrzałości Państwowego Seminarium Nauczycielskiego w Krakowie, zaś egzamin praktyczny w 1927 r. Początkowo pracowała jako stała nauczycielka siedmioklasowej szkoły powszechnej w Polance Wielkiej w powiecie oświęcimskim, ale na własną prośbę przeszła 1 grudnia 1928 r. na równorzędną posadę nauczycielki czteroklasowej publicznej szkoły powszechnej w Bieńczycach, gdzie została zaangażowana przez Kuratorium Okręgu Szkolnego Krakowskiego. Była mądrą i dobrą nauczycielką, a swoją wiedzę i umiejętności podnosiła na różnych kursach dokształcających. Pracowała społecznie m.in. pełniąc na wniosek Józefa Celińskiego, kierownika szkoły w Bieńczycach, funkcję Komisarza Miejscowego Koła Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej w Bieńczycach. W 1935 r. została odznaczona Medalem Dziesięciolecia Odzyskanej Niepodległości. Była organizatorką kursów szycia i gotowania dla dziewcząt, opiekowała się także ochronką dla dzieci, w której wychowawczynią była wówczas Maria Halik. Ogromnym powodzeniem cieszyły się przygotowywane przez moją mamę przedstawienia teatralne. Pamiętam, że nasz dom pełen był dzieci, bo choć nas było sześcioro, to zawsze znajdowało się w nim miejsce dla uczniów, którzy często przychodzili do niej z różnymi problemami i mogli liczyć na zrozumienie, pomoc i dobre słowo. Swoje ostatnie lata życia mama poświęciła szkole na os. Na Stoku, gdzie przeniosła się w 1959 r., w związku ze zmianą miejsca zamieszkania. Zmarła mając 64 lat w 1966 r. Mam nadzieję, że wszyscy jej uczniowie oraz ci, którzy ją znali, wspominają Annę Łowczowską z szacunkiem i wdzięcznością.

styczeń 2010 r.

STANISŁAW GAWĘDA – Józef Celiński: wychowawca, żołnierz, społecznik[7]



Józef Celiński

Józef Celiński należał do tej grupy starszej generacji nauczycieli, która w ogromnej większości traktowała swój zawód jako posłannictwo. W swej długoletniej pracy zawodowej nie ograniczał się tylko do kształcenia i wychowywania młodzieży w duchu obywatelskim i patriotycznym, ale prowadził równocześnie szeroko pojętą działalność społeczną i polityczną. Wszystkie te prace wykonywał w rozumieniu, że wynikają one z powołania zawodowego. Urodził się 2 stycznia 1900 r. we wsi Koniecmosty, w dawnym powiecie pińczowskim, w rodzinie chłopskiej. Po ukończeniu czterech klas Szkoły Ludowej w Wiślicy w 1910 r. rozpoczął naukę w gimnazjum w Pińczowie W szkole zaborczej doznawał wielu szykan i upokorzeń ze strony rosyjskich nauczycieli, stosujących w nauczaniu metody bezwzględnej rusyfikacji. Dyskryminacja uczniów Polaków w rosyjskiej szkole kształtowała jego charakter i osobowość, uświadamiała mu potrzebę podejmowania walki o zachowanie godności narodowej i poszanowanie wolności jednostki ludzkiej.

Po dłuższej przerwie, spowodowanej wybuchem I wojny światowej, podjął kontynuowanie nauki w gimnazjum w Olkuszu. Tam jeszcze przed maturą, pochłonięty ideą walki o niepodległość Polski, wstąpił 1 maja 1917 r. do tajnej Polskiej Organizacji Wojskowej. Prace konspiracyjne prowadził w VI Okręgu Kieleckim, pod pseudonimem „Szczeklik". Po aresztowaniu Józefa Piłsudskiego w połowie lipca 1917 r. przetrwał trudny okres, jaki przeżywała organizacja po kryzysie przysięgowym aż do drugiej połowy 1918 r. Na początku drugiej dekady listopada tego roku, po powrocie Komendanta z twierdzy magdeburskiej, wstąpił ochotniczo do wojska polskiego i brał do końca udział w walkach o utrwalenie niepodległości Polski. Dopiero po zakończeniu działań wojennych powrócił do gimnazjum w Olkuszu, gdzie złożył egzamin dojrzałości w 1922 r. Za długoletnią pracę niepodległościową i udział w walkach o wytyczenie granic Polski 19 marca 1939 r. został awansowany do stopnia porucznika rezerwy.

Po zdemobilizowaniu i zdaniu matury rozpoczął pracę zawodową, nauczycielską, pracując kolejno w szkołach powszechnych w Kaczycach, Wiślicy i Stradlicach. Aby uzyskać pełne kwalifikacje zawodowe ukończył Państwowy Instytut Nauczycielski w Warszawie w 1928 r. Nominację na kierownika Szkoły Powszechnej w Bieńczycach otrzymał w 1933 r. i na tym stanowisku pozostał aż do przejścia na emeryturę w 1968 r. Jako pracownik działu oświaty nie ograniczał się tylko do pracy dydaktyczno-wychowawczej, ale prowadził równocześnie w swym środowisku działalność społeczno-polityczną. Od 1919 r. związał się z Ruchem Ludowym i był inspiratorem wielu inicjatyw podniesienia kulturalnego i społecznego wsi. Pod koniec okresu międzywojennego pełnił funkcję prezesa Oddziału Powiatowego Związku Nauczycielstwa Polskiego w Krakowie, występując w obronie praw nauczycieli oraz równego startu do nauki młodzieży wiejskiej, pokrzywdzonej przez ustawę szkolną z dnia 11 marca 1923 r.

Bardzo intensywny okres pracy w jego życiu przypada na lata II wojny światowej i okupacji. Szczęśliwie złożyło się, że okupant, który w ramach ruchu służbowego przenosił masowo kierowników szkół, a nawet nauczycieli z miejsca na miejsce, aby zerwać ich kontakty z ludnością miejscową, pozostawił J. Celińskiego na dawnym stanowisku kierownika szkoły w Bieńczycach. Pełen inicjatywy oraz rozwagi, mając szerokie i przyjazne stosunki z różnymi ludźmi i grupami swego środowiska, zwielokrotnił swą aktywność, podejmując na różnych odcinkach działalność konspiracyjną. Jako oficer rezerwy od 1940 r. pracował w oddziałach Batalionów Chłopskich i w gminnych instancjach Ruchu Ludowego, kierował Tajną Organizacją Nauczycielską w powiecie krakowskim, ale najwięcej troski i inwencji poświęcił tajnemu nauczaniu. W 1941 r. kierownik Okręgowego Biura Szkolnego w Krakowie powołał go na członka Powiatowej Komisji Oświaty i Kultury Delegatury Rządu na Kraj. Okupacyjny powiat krakowski był rozległy, sięgał od granicy Rzeszy Niemieckiej po granice powiatu bocheńskiego i od doliny Raby po granice powiatu miechowskiego. W konspiracji oświatowej występował pod pseudonimem „Sadowski" i objął funkcję referenta oświaty pozaszkolnej i opieki społecznej, ale niezależnie od tego w północno-wschodniej części powiatu, dla przyspieszenia prac związanych z nową strukturą szkolnictwa podziemnego, organizował komplety i ośrodki tajnego nauczania na wszystkich szczeblach. Niezależnie od funkcji pełnionych w powiecie wystąpił jako główny organizator tajnego nauczania w gminach Mogiła i Ruszcza, w których niemal do końca okupacji pełnił obowiązki przewodniczącego Gminnych Komisji Oświaty i Kultury. Miał zdolność pozyskiwania nowych ludzi do współpracy, którą do końca okupacji pogłębiał i poszerzał.

Chociaż pracami kierował rozważnie, ryzyko było wielkie. Okolica ta, położona obok stolicy GG i rozbudowującego się lotniska wojskowego w Czyżynach, była nasycona wojskiem i policją oraz różnymi służbami, stanowiącymi stałe zagrożenie. Dekonspiracja groziła uwięzieniem lub śmiercią. Jako członek powiatowego kierownictwa tajnej oświaty nie tylko organizował i kierował tajnymi kompletami i ośrodkami, ale równocześnie uczył w nich przedmiotów humanistycznych w zakresie gimnazjum i liceum ogólnokształcącego, a także przedmiotów pedagogicznych w zakresie liceum pedagogicznego, funkcjonującego w Bieńczycach w latach 1940-1945. Kierował również kompletami szkolnictwa powszechnego, uzupełniając naukę do pełnego programu szkół siedmioletnich. Na terenie gminy Mogiła zorganizował dwa komplety liceum ogólnokształcącego, cztery gimnazjalne i jeden komplet liceum pedagogicznego. Ponadto zajął się zorganizowaniem kompletów w Ruszczy, Pleszowie, Luboczy i Wyciążach. Dzięki jego staraniom na terenie gminy Mogiła wystąpiło największe zmasowanie tajnego nauczania w różnych formach i na różnych stopniach nauczania.

Po wyzwoleniu pozostał na swym dotychczasowym stanowisku, prowadząc nadal różnoraką działalność, rozpoczętą w okresach poprzednich. Kontynuował te prace nawet po przejściu na emeryturę, dopóki mu sił starczyło. Pamięć o nim zapisała się na trwałe nie tylko w dokumentach Zespołu Badawczego Dziejów Tajnej Oświaty, którego był członkiem i współpracownikiem, ale również wśród uczniów i przyjaciół. Zmarł 22 marca 1991 r. w Nowej Hucie, pogrzeb odbył się na cmentarzu w Mogile 3 kwietnia tego samego roku.

7. Wspomnienie pierwotnie zamieszczono w *Roczniku Komisji Nauk Pedagogicznych*, t. XLVI (1992)

GRAŻYNA KĘSKA-KASPRZAK – Wspomnienie o Oldze Marii Kęskiej[8]



Olga Kęska

Olga Kęska urodziła się dnia 21 listopada 1903 r. w Wiedniu. W roku 1905 wraz z rodziną zamieszkała w Krakowie, gdzie rozpoczęła swoją edukację. Od roku 1919 uczęszczała do Państwowego Seminarium Nauczycielskiego Żeńskiego w Krakowie. W 1923 r. otrzymała świadectwo dojrzałości uprawniające do pełnienia obowiązków „tymczasowego nauczyciela w szkołach powszechnych". W latach 1923-1932 pracowała jako nauczycielka w szkołach w Konarach, Kopance, Liszkach, Wołowicach i w Krakowie. W międzyczasie, w roku 1927, Olga Kęska zdaje egzamin uznający ją za „zdolną do samodzielnego sprawowania urzędu nauczycielskiego" oraz zastępowania nauczyciela religii, do udzielania lekcji śpiewu, prowadzenia gier i zabaw w szkołach powszechnych. Następnie poszerza swoje kwalifikacje, uczęszczając na Wyższy Kurs Nauczycielski w Poznaniu, zdając przed Państwową Komisją Egzaminacyjną dla Nauczycieli egzaminy z zakresu przedmiotów takich jak: matematyka, przyroda i roboty kobiece.

Wyposażona w wiedzę praktyczną i teoretyczną oraz uprawnienia do sprawowania urzędu nauczycielskiego, Olga Kęska staje przed życiową decyzją – czy kontynuować pracę w Krakowie, w szkole powszechnej w pobliżu miejsca zamieszkania, czy w Bieńczycach, podkrakowskiej wsi, w siedmioklasowej szkole powszechnej oddalonej o kilkanaście kilometrów od domu. Żyzne uprawne pola, bogate w owoce sady, ludzie pracowici, rzetelni, niejednokrotnie nieprzeciętni, którzy przyciągali społeczników, polityków, ludzi sztuki, jak Henryk Uziębło, Wojciech Kossak, Stanisław Wyspiański czy Kazimierz Tetmajer – może to wszystko zadecydowało o wyborze pracy w siedmioklasowej szkole powszechnej w Bieńczycach, a także o wyborze drogi życiowej „na dobre i na złe".

1 września 1932 r. Olga Kęska podejmuje prace „stałego nauczyciela" w szkole powszechnej w Bieńczycach. Uczy i wychowuje dzieci i młodzież, prowadzi zajęcia szkolne według ustalonego programu, a także zajęcia praktyczne, które miały uczyć, jak prowadzić gospodarstwo domowe i jak zachować się w społeczności, w której przyszło im żyć. Udziela podopiecznym rad i wskazówek, tworząc w ten sposób specyficzną więź między nauczycielem i uczniem. Pomagała tym najzdolniejszym w podjęciu decyzji o dalszej edukacji, interesowała się ich sukcesami po ich odejściu ze szkoły powszechnej. Ta więź przetrwała, byli uczniowie odwiedzali Olgę Kęską, chcąc podzielić się swoimi sukcesami.

W roku 1932 kierownictwo szkoły powszechnej w Bieńczycach obejmuje Józef Celiński. Praca nauczycieli i nauka dzieci i młodzieży przebiega zgodnie z programem aż do 1 września 1939 r., to jest do wybuchu II wojny światowej. Minęły tygodnie zanim do szkoły powrócili nauczyciele oraz dzieci i młodzież. Nauka zaczęła się w innych, trudnych do zaakceptowania warunkach, dotychczasowy program nauczania mocą zakazów i nakazów okupanta stał się nieaktualny. Od tej pory dzieci miały posiąść tylko umiejętność czytania, pisania i rachunków. Wiadomo, że wszelkie zakazy i nakazy wywołują reakcję przeciwną. Józef Celiński, pełniący wówczas funkcję kierownika szkoły, mimo pełnej świadomości swojej odpowiedzialności podjął decyzję o zorganizowaniu tajnego nauczania. Potrafił pozyskiwać ludzi do współpracy na tym polu. Kierował tajnymi kompletami na różnych stopniach nauczania oraz nauką uzupełniającą do pełnego programu siedmioletniej szkoły powszechnej. Tej pożytecznej, ale bardzo niebezpiecznej pracy pedagogicznej, prowadzonej w konspiracji, podjęła się Olga Kęska. Znane są warunki, w których odbywały się lekcje w tajnych kompletach. Ryzykowali nauczyciele, młodzież oraz ci, którzy wynajmowali pomieszczenia. Okres czynnego tajnego nauczania przez Olgę Kęską to lata 1943-1945, do dnia wyzwolenia spod okupacji hitlerowskiej.

Nauka w trudnych warunkach, w atmosferze ciągłego lęku i obawy o bezpieczeństwo dzieci i młodzieży zlikwidowała dystans, jaki bardzo często dzieli ucznia od nauczyciela. Tajne nauczanie dawało Oldze Kęskiej wiele satysfakcji. Zapewniało bowiem młodzieży już po wojnie podjęcie nauki w szkole średniej, a później na wyższych uczelniach. Należy tu również wspomnieć o warunkach, w jakich pracowała Olga Kęska. Mieszkając w Krakowie dojeżdżała codziennie do szkoły

8. Opracowano na podstawie posiadanych dokumentów oraz bezpośrednich relacji, przekazanych przez moją matkę.

w Bieńczycach. W latach okupacji niemieckiej czynna linia kolejowa prowadziła z Krakowa przez Czyżyny do Mogiły, odcinek między Czyżynami a Bieńczycami był zamknięty. W związku z tym drogę pomiędzy Czyżynami a Bieńczycami (ponad 2 kilometry) pokonywała pieszo. Było to niebezpieczne i czasochłonne. Dlatego też podjęła decyzję o przeprowadzce do Bieńczyc, gdzie na pewien czas zamieszkała w domu państwa Przeniosłów. Po zakończeniu działań wojennych w styczniu 1945 r. Olga Kęska wraca do obowiązków nauczyciela.

Siedmioklasowa szkoła powszechna w Bieńczycach otrzymuje nazwę Szkoły Podstawowej nr 71 w Krakowie-Nowej Hucie, nowej dzielnicy Krakowa, powstałej na ziemi kilku podkrakowskich wsi. Po likwidacji tej szkoły w 1966 r. Olga Kęska przechodzi do Szkoły Podstawowej nr 80 w Krakowie-Nowej Hucie. Czasy powojenne nie należą do łatwych, Olga Kęska podejmuje pracę z klasami, w których była prowadzona nauka dla ówczesnych budowniczych Nowej Huty. W szkole nr 80 pracuje do roku 1971, kiedy przechodzi na zasłużoną emeryturę.

Przez cały okres w nowych powojennych warunkach pracuje aktywnie. W roku 1953 otrzymuje nagrodę przyznaną przez Wydział Oświaty Prezydium Rady Narodowej w Krakowie za pracę w szkole nr 71. W roku 1959 kończy kurs zorganizowany przez Towarzystwo Miłośników Języka Polskiego w Krakowie. Po przejściu na emeryturę zostaje odznaczona przez Ministra Edukacji Narodowej za zasługi dla oświaty i wychowania Medalem Komisji Edukacji Narodowej. Służbie nauczycielskiej poświęciła 48 lat swojego życia, zmarła 12 sierpnia 1991 r. w Krakowie.

HALINA MIŁEK – Wspomnienie o Oldze Kęskiej

Po ukończeniu dobrego, żeńskiego liceum pedagogicznego przy ul. Skałecznej, gdzie edukowali nas nauczyciele przedwojenni, także z tytułem doktora, otrzymałam nakaz pracy do Szkoły Podstawowej nr 71 w Bieńczycach, gdzie pracowałam od 15 sierpnia 1954 r. do 16 września 1959 r. (do urodzenia syna) i od 1 września 1961 r. do 31 stycznia 1962 r. Szkoła była stara, przedwojenna, bez komfortu, usytuowana we wsi Bieńczyce. Uczęszczały do niej dzieci z Mistrzejowic, Zesławic, Krzesławic, a nawet z Grębałowa. Po drugiej stronie drogi kocmyrzowskiej wyrastały bloki, z których także mieliśmy uczniów. Były to pierwsze lata budującej się szybko Nowej Huty. Napływowa ludność z różnych, często małych miejscowości, wolała czasem posyłać dzieci do mniejszej szkoły, gdzie była inna atmosfera i inni, głównie starsi nauczyciele, niż w nowych, wielkich molochach. Właśnie nauczyciele i kierownik szkoły, p. Józef Celiński, oraz jego „prawa ręka", p. Olga Kęska, stanowili o tym, że dziś, po ponad pół wieku, wspominam pracę w tej szkole z łezką w oku...

Według badań w zawodzie nauczycielskim pierwsza praca rzutuje na przyszłe lata kariery zawodowej i kształtuje osobowość twórczą, w tym zapał i chęć doskonalenia się, co w moim przypadku sprawdziło się. Jako bardzo młoda osoba miałam szczęście pracować z dobrymi nauczycielami, ze „starej szkoły", którzy byli pełni życzliwości zarówno dla uczniów, jak i dla młodych adeptów tego zawodu. Praca nasza była słabo wynagradzana, mimo to kochali ten zawód i pracowali z poświęceniem. Wśród tych wspaniałych ludzi ze szczególnym sentymentem wspominam p. Olgę Kęską, cudownego człowieka, życzliwego wszystkim. Była wspaniałym matematykiem, który z wielką cierpliwością, ale także i talentem pomagał uczniom opanować wymagania programowe. W klasach, w których uczyła, była wzorowa dyscyplina, którą osiągała sposobem bycia – wysoką kulturą, taktem i opanowaniem. Nigdy nie krzyczała – spokojnym głosem i perswazją osiągała zamierzone cele. Nie liczyła godzin pracy „od-do" – była w szkole zawsze i dla każdego. Umiała też wspaniale współpracować z rodzicami – nikt nigdy się na p. Olgę nie skarżył. Otaczała opieką młodych nauczycieli, a mnie traktowała prawie jak córkę. Wiele zawdzięczam p. Oldze i wiele się od niej nauczyłam, choć nie jestem matematykiem. Pani Olga była osobą szanowaną w środowisku uczniów i rodziców, bo też na ten szacunek zapracowała.

Mimo trudnych warunków lokalowych w szkole działała świetlica i stołówka, a kierownikiem tej agendy była p. Olga. Sporo dzieci było biednych – rodziców pozbawiono ziemi i źródła utrzymania. Mimo to młodzież chciała się uczyć i w tym upatrywała możliwość awansu. Lata były trudne, ale w tej szkole nie czułam żadnej indoktrynacji ideologicznej – nie było komórki partyjnej jak w innych szkołach. Działał tylko ZNP, nauczyciele nie ukrywali światopoglądu, a związki z kaplicą w Bieńczycach były dość ścisłe.

Z perspektywy czasu trzeba docenić pokonywanie trudów codziennego dojazdu do szkoły (p. Olga z ul. Pędzichów, ja z os. Oficerskiego). Komunikacja wówczas była „w powijakach". Z ul. Mogilskiej tramwaj nr 5 (zazwyczaj zatłoczony) do Czyżyn i pieszo ok. 2 km w jedną stronę. W późniejszych latach komunikację rozbudowano, ale dla osoby nie bardzo młodej takie podróżowania było zapewne uciążliwe i pochłaniało sporo czasu... Pani Olga zapewne mogła pracować bliżej domu, ale widać zżyła się z tą szkołą i z tym środowiskiem, gdzie była powszechnie szanowana i nie chciała niczego zmieniać. Po wielu latach z sentymentem wspominam moją pierwszą pracę i ludzi, z którymi się zetknęłam, w tym p. Olgę. Sądzę, że miało to ogromny wpływ na dalsze moje zawodowe losy.



Grono nauczycielskie i uczniowie, Halina Miłek pierwsza z prawej, 1958 r.

ANDRZEJ ŚWIERCZEWSKI – Wspomnienia



Andrzej Świerczewski

Mój dziadzio, Józef Cieślewicz (senior), początkowo gospodarzył w majątku w Wadowie. Były to ostatnie lata XIX w. (dokładnych dat niestety nie znam). Z tego okresu mam kilka zdjęć, niektóre z nich zostały umieszczone w książce „Czas zatrzymany". Dwór w Wadowie stoi do dzisiaj w dość dobrym stanie, prawdopodobnie dzięki temu, że mieściła się w nim szkoła, a następnie przedszkole. Będąc kilka lat temu w Wadowie widziałem, że pałac jest zamieszkały. Na frontonie domu widnieje jeszcze, choć słabo widoczny na zdjęciu napis „Z darów Bożych". Śp. Józef Cieślewicz był bardzo dobrym i postępowym gospodarzem, czego dowodem było „wspomnienie pośmiertne" zamieszczone w jednej z nielicznych gazet krakowskich tamtego okresu. Osoba, która wycięła ten nekrolog z gazety, nie podaje z jakiej gazety pochodzi, autor nie podaje też daty śmierci, która nastąpiła w dniu 27 stycznia 1919 r. w Bieńczycach.

Niestety nie mam daty określającej kiedy J. Cieślewicz przeniósł się do Bieńczyc, prawdopodobnie było to między 1915 a 1917 r,. w którym to czasie wziął w dzierżawę dwa majątki: Grębałów, w którym gospodarzył do roku 1936 jego syn Władysław (senior) i Bieńczyce, do którego przenosi się z Wadowa z pozostałą rodziną, to znaczy z żoną Marią, córką Jadwigą i młodszym synem Kazimierzem. Pogarszający się stan zdrowia nie pozwolił mu na długie gospodarowanie i w dniu 27 stycznia 1919 r. Józef Cieślewicz (senior) umiera. Gospodarstwo przejmuje jego córka, Jadwiga. Po dwóch latach gospodarowania Jadwiga Cieślewicz wychodzi za mąż za Mieczysława Świerczewskiego (byłego oficera kawalerii wojsk austriackich). Z tego małżeństwa urodziło się dwoje dzieci: Andrzej w 1923 r. i Oleńka (Aleksandra) w 1926 r. Imiona otrzymaliśmy na pamiątkę bohaterów „Potopu" Sienkiewicza – tak zadecydowała nasza mama jeszcze przed naszym urodzeniem. Życie pokazało, że i cechy charakterów obojga rodzeństwa były zbliżone do bohaterów „Potopu". Tymczasem sprawy rodzinne zaczynają się komplikować z powodu ciężkiej choroby naszej mamy, w wyniku której umiera 1 września 1928 r., zostawiając nas i swoją mamę, a naszą babcię na opiece ojca, który z niewiadomych mi przyczyn, w niedługim czasie po śmierci mamy, wyjeżdża z Bieńczyc i wszelki słuch po nim ginie. W tej sytuacji babcia moja zadecydowała, że dopóki sprawy rodzinne się nie uregulują, przeniesiemy się do wujostwa w Grębałowie.

W wyniku porozumień rodzinnych ostatecznie zadecydowano, że majątek Bieńczyce bierze w dzierżawę nasz drugi wujo, inż. Kazimierz Cieślewicz, gospodarujący w tym czasie w majątku w Czyżynach i jednocześnie bierze pod swoją opiekę nas dwoje i naszą babcię, Marię Cieślewicz. Wychowanie nas powierza swojej siostrze Helenie, która wraz ze swoją matką, Izabellą Cieślewicz (starszą), przenosi się z Czyżyn do Bieńczyc. Chcąc mówić o historii dworu w Bieńczycach, nie sposób nie poświęcić więcej uwagi osobie inż. Kazimierza Cieślewicza, który był głównym gospodarzem na obydwóch gospodarstwach, był doskonałym organizatorem wszelkich prac i bardzo dobrym ekonomistą, myślał o wszystkim i o wszystkich. Inż. Kazimierz Cieślewicz należał do jednych z najbardziej postępowych rolników w okolicy. Orientując się w zapotrzebowaniach ówczesnego rynku, zmienił szybko kierunek produkcji z tradycyjnej uprawy zbóż na produkcję kwiatów w nowo wybudowanej szklarni oraz warzyw – początkowo w inspektach, w których prowadzono produkcję arbuzów, melonów, ogórków oraz nowalijek wczesno-wiosennych jak rzodkiewka, sałata, szczypior itp. Po dwóch latach produkcja kwiatów szklarniowych okazała się mało rentowna i szklarnie zlikwidowano, powiększając produkcję w inspektach (do około 1500 okien), co spowodowało z kolei duże zapotrzebowanie na wodę. W tym celu została zbudowana „mała wieża ciśnień", czyli metalowy zbiornik na drewnianym rusztowaniu, do którego pompowano wodę ze znajdującego się opodal stawu. Następnie woda była rozprowadzana rurami między rzędy inspektów. Dodatkowo, co kilkanaście metrów były wkopane w ziemię duże beczki, w których woda nagrzewała się promieniami słonecznymi i służyła głównie do podlewania delikatnych, młodych roślin (rozsady). Niezależnie od produkcji inspektowej, rozpoczęto uprawę warzyw na większą skalę w uprawie polowej. Głównie kapusty, kalafiorów, selerów i pomidorów. Warzywa były transportowane do Krakowa małym półciężarowym samochodem marki Ford lub transportem konnym. Produkcja zbóż w gospodarstwie Czyżyny została zredukowana do minimum z dwóch powodów – część areału gruntów uprawowych została w 1936 r sprzedana pod budowę zakładów monopolu tytoniowego, a dodatkowo cały inwentarz żywy, głównie bydło, został przeniesiony do gospodarstwa w Bieńczycach. Ze zbóż uprawiano głównie owies, tak ze względu na „lekkość" gleb, jak i na zapewniony zbyt w jednostkach wojskowych kawalerii i artylerii – głównie zaopatrywano w owies i siano 8 Pułk Ułanów im. Księcia Józefa Poniatowskiego.

Gospodarstwo w Bieńczycach

Gospodarstwo to również zostało zmodernizowane z chwilą przejęcia przez inż. Kazimierza Cieślewicza. Ze względu na to, że posiadało dużo lepsze lessowe gleby, zastosowano wielokierunkowość w produkcji rolnej. Głównym kierunkiem była produkcja mleka, dzięki bardzo dobrej, wysokoprodukcyjnej oborze bydła holenderskiego oraz produkcja warzyw w uprawie polowej, głównie kapusty odmiany „omagier", które odsyłano wagonami na Śląsk lub do Zakopanego i Krynicy. W mniejszych ilościach uprawiano kalafiory, selery, marchew i buraki ćwikłowe – te warzywa były głównie odstawiane do Krakowa. W produkcji zbóż przeważały wysokokwalifikowane odmiany pszenicy ozimej „wysokolitewka" (hodowli Kleszczyńskich), owsa odmiany „biały orzeł", jęczmienia browarnego. Z okopowych roślin uprawiano bardzo dobre odmiany ziemniaków jadalnych – „hetman" i „marszałek".

Mleko było codziennie odwożone do mleczarni w Krakowie oraz do pałacu biskupiego przy ul. Franciszkańskiej, a także do niewielu odbiorców prywatnych transportem konnym lub samochodem z Czyżyn. Ponadto mleko otrzymywali wszyscy stali pracownicy po 2 litry dziennie na rodzinę w ramach deputatu, zagwarantowanego umową zbiorową. W skład deputatu wchodziło jeszcze zboże w ilości 12-16 kwintali rocznie oraz opał w postaci węgla i drewna, przysługiwała także działka pod ziemniaki, bezpłatne mieszkanie i pensja miesięczna w zależności od pełnionej funkcji. Deputat zbożowy oraz działka pod ziemniaki pozwalały pracownikowi na chów świń i drobiu dla własnych potrzeb, co było w pewnym sensie ekwiwalentem za stosunkowo niskie płace. Uruchomiono również hodowlę ryb w trzech stawach, które przez szereg lat nie były eksploatowane. Jeden ze stawów – najmniejszy – był przeznaczony na wylęg i chów narybku, który następnie przenoszono do większych stawów, w których dokarmiany po roku dorastał do wielkości tzw. ryby handlowej. Głównymi gatunkami były karp, karaś, lin oraz nierzadko bardzo okazałe szczupaki. Odłowy ryb odbywały się głównie przed świętami Bożego Narodzenia. W każdym gospodarstwie był sad owocowy

dla własnych potrzeb, a w gospodarstwie Bieńczyce prowadzono również chów trzody chlewnej i drobiu na niewielką skalę. Nad całością gospodarki w obydwu majątkach czuwał i organizował nasz wujo, Kazimierz Cieślewicz. Natomiast w majątku Bieńczyce bezpośrednim kierownikiem gospodarstwa była Helena Cieślewicz, rodzona siostra Kazimierza, która nas wychowywała i była naszą drugą mamą.

Rodzeństwo Kazimierz i Helena było znane w swoich środowiskach jako społecznicy. Wujo Kazimierz był członkiem komitetu budowy szkoły powszechnej w Czyżynach w roku 1930. W roku 1936 był z kolei członkiem komitetu budowy kościoła pod wezwaniem św. Judy Tadeusza w Czyżynach. Z końcem lat trzydziestych był prezesem Rolniczej Spółdzielni „Jedność" w Krakowie. Również w latach trzydziestych był członkiem zarządu Banku Komunalnej Kasy Oszczędności (KKO).

Będąc absolwentem Wydziału Rolnego UJ wspierał czynnie działalność Bratniej Pomocy Studentów UJ, znanego „Bratniaka", za co został uhonorowany specjalnym dyplomem. Popierając sport na wsi, wydzielił z areału gospodarstwa Bieńczyce 1,5 hektara pola pod budowę boiska sportowego dla nowo powstałego klubu sportowego „Tęcza". Był również łowczym w okręgu łowieckim obejmującym gromady Czyżyny, Łęg, Bieńczyce i częściowo Krzesławice. W 1939 r., w przeddzień wybuchu II wojny światowej, został mianowany pełnomocnikiem do spraw zaopatrzenia wojska na terenie gminy Mogiła. Pełnił – z wyboru – obowiązki podwójciego, a następnie wójta gminy Mogiła. W 1938 r. otrzymał Złoty Krzyż Zasługi. Helena Cieślewicz w okresie przedwojennym czynnie popierała działalność Katolickich Stowarzyszeń Młodzieży Męskiej i Żeńskiej na terenie Bieńczyc, a w czasie wojny brała udział w pracach konspiracyjnych, z narażeniem życia własnego i swojej rodziny.

Inwestycje

Jako dobry gospodarz Kazimierz Cieślewicz modernizował stary park maszynowy do upraw polowych, począwszy od nowych typów pługów konnych, wypielaczy konnych, tzw. „oszczędności", które stały się bardzo pomocne w uprawach polowych warzyw i buraków pastewnych, odchwaszczając międzyrzędzia. Bardzo poważną inwestycją było kupno lokomobili parowej, służącej do uruchamiania dużej wydajnej młocarni szerokomłotnej firmy Clayton Shutleworth. Zestaw tych maszyn bardzo usprawnił omłoty zbóż w obu gospodarstwach. Kupno siewnika typu Westfalia do nawozów sztucznych wyeliminowało wysiew ręczny azotniaku, szkodliwego dla zdrowia pracowników, ale bardzo dobrego dla wzrostu i plonu roślin. W roku 1938 wybudowano w gospodarstwie Bieńczyce nową i bardzo dużą stodołę, głownie z myślą o składowaniu bardzo cennych plonów zbóż kwalifikowanych. Na wiosnę 1939 r. rozpoczęto remont budynków mieszkalnych. Zaczęto od starych oficyn, dla których remont był już koniecznością. W następnej kolejności był przewidziany remont głównego budynku z doprowadzeniem wodociągu oraz wykonaniem kanalizacji; w dalszej kolejności miał być budowany nowy dom dla pracowników stałych oraz przeróbka starego domu („czworaków" stojących do dziś) dla ewentualnych pracowników sezonowych. Wszystkie planowane prace budowlane zostały zatrzymane z chwilą wybuchu wojny. Nie dokończono również rozpoczętego remontu oficyn dworskich, które w tym stanie przetrwały do dnia dzisiejszego i swoim wyglądem straszą okolicznych mieszkańców. Opisana przeze mnie gospodarka w majątkach Bieńczyce i Czyżyny dotrwała w tym stanie do wybuchu wojny 1 września 1939 r.

Oceniając społeczeństwo przedwojenne w naszych podkrakowskich warunkach z perspektywy dzisiejszych czasów nie mogę wyjść z podziwu dla tych wszystkich ludzi, których miałem możność poznać, z którymi przyszło mi żyć i których mogłem obserwować w różnych okolicznościach życiowych. Byłem i jestem z wielkim uznaniem dla ich ogromnej ofiarności, nie tylko dla własnej rodziny, ale i dla całego Państwa, a może lepiej użyć słowa OJCZYZNA, bo dla wielu z nich, zwłaszcza dla pokolenia, które przeżyło pierwszą wojnę światową i pamiętało lata niewoli, słowo OJCZYZNA miało wielką wartość. O tę OJCZYZNĘ ówczesne pokolenia modliły się, a po jej odzyskaniu w 1918 r. pracowały dla jej odbudowy z całych sił i z wielkim entuzjazmem, patrząc jak z ich pracy powstawały nowe rzeczy, inwestycje, nowe drogi, nowe szkoły powszechne, techniczne, zawodowe, reaktywowane uniwersytety, teatry, filharmonie, budowane nowe szpitale (np. im. G. Narutowicza) i remontowane stare (np. św. Łazarza), nowa klinika położnicza. Zbudowano nowoczesny port morski w Gdyni, powstawał nowy przemysł ciężki, zbrojeniowy (COP – Centralny Okręg Przemysłowy – Mielec, Dębica, Rzeszów), nowy przemysł przetwórczy – między innymi Tymbark i wreszcie nowa armia wyposażona w nowoczesną, jak na ówczesne czasy, broń, choć ciągle jeszcze w niewystarczającej ilości. Zwłaszcza w lotnictwie, co zdecydowanie odbiło się na naszej klęsce wrześniowej w 1939 r. Powracając jeszcze myślą do „wielkiej armii" ludzi tworzących nową Polskę, począwszy od pracowników fizycznych, poprzez młodzież gimnazjalną i akademicką, średnią warstwę techniczną, a na nauczycielach i inżynierach wysokiej klasy fachowości kończąc, łączyły ich wspólne cechy: uczciwość, solidność w wykonywaniu powierzonej im pracy i wzajemnym szacunku. Nie należy zapominać, że ludzie ci pracowali w ciężkich warunkach ekonomiczno-gospodarczych i niekiedy przy niskich zarobkach, w związku z czym dochodziło do protestów strajkowych robotników przemysłowych np. w Krakowie i na Śląsku, ale władze potrafiły te spory rozwiązywać pozytywnie dla obu stron. To społeczeństwo wychowane w surowych warunkach życia codziennego zdało egzamin dojrzałości ze swojego patriotyzmu w ciężkich latach okupacji, zyskując uznanie w oczach całego świata. Dzisiaj społeczeństwo polskie stoi przed ponownym – być może najcięższym – egzaminem, który nam wyznacza bieżąca historia naszego narodu, będzie to egzamin naszego sumienia.

Wybuch II wojny światowej

Już w połowie 1939 r. wyczuwało się napiętą sytuację na arenie międzynarodowej, wskazującą na możliwość wybuchu II wojny światowej, a podpisanie traktatu o nieagresji między Niemcami a ZSRR w dniu 23 sierpnia 1939 r. ostatecznie dało do zrozumienia stronie polskiej, że agresja ze strony Niemiec jest nieunikniona. Dość osobliwy był to traktat, zawarty pomiędzy dwoma państwami nie posiadającymi wspólnej granicy. W sierpniu 1939 r. inż. Kazimierz Cieślewicz został mianowany pełnomocnikiem do spraw zaopatrzenia wojska na terenie gminy Mogiła. W związku z tym oddał do dyspozycji wojska swoje magazyny zbożowe w gospodarstwie Bieńczyce, oddał również dla wojska 3 pary koni z wozami i zaopatrzeniem paszy dla koni (z furażem) na 3 dni. Zaprzęgi te pochodziły z gospodarstwa w Czyżynach. Natomiast z Bieńczyc przekazał armii 15 krów i dużego buhaja, który na czele stada został przepędzony do rzeźni na Grzegórzkach w Krakowie. O ile mnie pamięć nie myli wycofujące się wojsko nie zdążyło już zabrać dla swoich potrzeb tych krów, które prawdopodobnie zostały rozkradzione.

Wybuch wojny nastąpił, jak wiadomo, 1 września 1939 r. Pierwsze bombardowanie lotniska wojskowego w Rakowicach nastąpiło tego samego dnia o godzinie 4.30 rano. Pomimo tego, że byliśmy wszyscy duchowo przygotowani, to pierwsze bombardowanie zrobiło na nas duże wrażenie. Najbardziej przeżył to nasz wujo Kazimierz, który w ostatnich tygodniach sierpnia całymi dniami był zajęty transportami – przychodzącymi i odchodzącymi – z żywnością dla wojska, a wieczorami i do późnych godzin nocnych wypełniał jakieś raporty i chyba różne szczególnie ważne pisma, bo najczęściej wypełniał je sam. Przez ostatnie dni sierpnia i pierwsze dwa dni września wujo pozostawał w Bieńczycach. Widzieliśmy, że był bardzo zmęczony fizycznie i psychicznie, był coraz bardziej nerwowy. Połowę naszego domu zajął sztab 2 Pułku Lotniczego z Rakowic. Wieczorem 2 września 1939 r. sztab ewakuował się. 3 września wujo Kazimierz Cieślewicz zdecydował się również na opuszczenie naszego domu i późnym wieczorem – po odmówieniu ostatniej modlitwy, na którą wujo zaproponował „Pod Twoją obronę..." – wyszliśmy we trójkę – to znaczy wujo, ciocia Helena i ja – na piechotę (ja na rowerze) do Pleszowa. Pozostawiliśmy dom na opiece bożej prosząc najbliższych sąsiadów, Fimów i Biernacików oraz pracowników majątku o dozór nad tym co zostało. W Pleszowie mieliśmy się spotkać u przyjaciela wuja, pana Rosiewicza, z ciocią Zosią, żoną wuja, która miała tam przyjechać z Czyżyn z dziećmi: Izabellą, Marysią i Wickiem oraz moją siostrą Oleńką. Po drodze wujo wstąpił do urzędu gminy w Mogile, zabrał jakieś ważne dokumenty, wziął mój rower chcąc być jak najszybciej w Pleszowie. W Pleszowie u pana Rosiewicza wujo dostał silnego ataku nerwowego – w okolicy nie było żadnego lekarza, więc ja pojechałem jednokonnym wózkiem po pana doktora Łowczowskiego do Bieńczyc. Doktora nie zastałem, a na dodatek wojsko zarekwirowało mojego konia z wózkiem i mnie jako woźnicę. W międzyczasie ciocia Zosia, w poniedziałek 4 września, postanowiła zawieźć wuja powozem z furmanem do szpitala w Krakowie. Była to bardzo trudna podróż, główna droga do Krakowa była zatłoczona cofającym się wojskiem i tłumem cywilów uciekających w niewiadomym kierunku na wschód. Jechali bocznymi drogami przez łąki mogilskie, polami, obok kościoła św. Kazimierza przy ul. Grzegórzeckiej, koło fortu u wylotu ul. Kopernika, gdzie doszło do tragicznego w skutkach nieporozumienia z oddziałem obrony terytorialnej, w wyniku którego wujostwo zostali ranni. Po przewiezieniu do szpitala, tak zwanej czerwonej chirurgii, w godzinach wieczornych Kazimierz Cieślewicz zmarł. Ciocia Zosia, niespokojna o los dzieci, po dwóch dniach wypisała się ze szpitala i dotarła do Pleszowa. Tam spotkała resztę rodziny, która wróciła z „uciekinierki" – z perspektywy lat bezsensownej powszechnej ucieczki na wschód. Śmierć wuja Kazimierza przeżyliśmy wszyscy bardzo głęboko. Żałoba, która zaciążyła na całej rodzinie, pozostawała smutnym wspomnieniem przez wiele lat.

Następował nowy etap w historii narodu polskiego i również nowy etap w życiu naszej rodziny – życie pod okupacją niemiecką. Wybuch II wojny światowej zmienił diametralnie warunki życia, jak również spowodował załamanie się gospodarki w obydwu majątkach: Bieńczycach i Czyżynach. Zaważyła na tym w poważny sposób tragiczna śmierć mojego wuja w czwartym dniu wojny. Restrykcje prawne i gospodarcze wprowadzone przez okupanta natychmiast po zajęciu ziem II Rzeczypospolitej były zbyt trudne do zniesienia przez większość społeczeństwa. Gospodarstwa rolne były zmuszone oddawać tak zwane kontyngenty, to znaczy zboże, ziemniaki, mięso, mleko, w zależności od posiadanego areału ziemi, za co dostawały oprócz tak zwanej „ceny maksymalnej" dodatki w postaci „kartek" przydziałowych na żelazo dla potrzeb gospodarskich, wódkę (planowa akcja rozpijania społeczeństwa polskiego), skórę niezbędną do napraw uprzęży koni a także na zelówki do butów, naftę do lamp lub ropę do motorów spalinowych używanych np. do omłotów zboża.

Były też kartki na buty i ubrania robocze. Wszystkie te produkty były wydawane w Krakowie w wyznaczonych terminach i zwykle w niewystarczających dla potrzeb gospodarstwa ilościach.

W tych warunkach przyszło gospodarować dwóm kobietom na dwóch gospodarstwach – Helena Cieślewicz w Bieńczycach i Zofia Cieślewicz w Czyżynach. Obie odznaczały się wyjątkowymi cechami charakteru: wielkim patriotyzmem, chęcią niesienia pomocy osobom, które znalazły się w ciężkich warunkach materialnych, zagrożonym ze strony okupanta – tym wszystkim starały się obie ciocie pomagać w miarę swych sił i możliwości materialnych. Obydwie były uosobieniem dobroci i odwagi, choć każda na swój sposób. Ciocia Zosia, pomimo braku przygotowania teoretycznego do prowadzenia gospodarstwa, była raczej dystyngowaną damą z widocznym w każdym calu wpływie życia stolicy, gdzie się wychowała. Bardzo szybko potrafiła się przystosować do nowej dla niej sytuacji i z całą energią wzięła się za prowadzenia gospodarstwa w zupełnie nowych, narzuconych przez okupanta warunkach. Według mnie – 16-letniego chłopaka, być może nie we wszystkim zorientowanego – ciocia Hela wydawała się być bardziej załamana wszystkimi nieszczęściami, jakie dotknęły naszą rodzinę. W pierwszych miesiącach wojny ciocia Hela pomogła cioci Zosi we wdrażaniu się w prowadzenie gospodarstwa w Czyżynach. Wkrótce okazało się, że ciocia Zosia bardzo szybko opanowała organizację pracy i pomimo tego, że miała na głowie wychowanie trójki dzieci, pod względem organizacji i wydajności ekonomicznej przegoniła Bieńczyce. Wynikało to również z innego kierunku gospodarczego Czyżyn, nastawionych na produkcję ogrodniczą przy rolniczej specjalizacji Bieńczyc. W Bieńczycach skończyła się produkcja warzyw na większą skalę w uprawie polowej. To co można było zebrać jesienią 1939 r. to się z wielka biedą zebrało. W kraju panował głód i dlatego rozpowszechniło się złodziejstwo warzyw z pola. Co prawda Niemcy bardzo tępili złodziejstwo, ale nikt z Polaków nie poszedłby na policję niemiecką zgłosić, że głodni Polacy kradną. Bardzo dobra przed wybuchem wojny bieńczycka obora, po dostawach dla wojska polskiego zmniejszona ilościowo do połowy, była mniej wydajna. Na produkcję zbóż miały również wpływ wysokie ceny nawozów sztucznych w stosunku do ceny odstawianych zbóż. Należy też otwarcie powiedzieć o sabotowaniu przez zaniżanie produkcji aby okupantowi nie dostarczać zbyt wiele zboża. Wiadomo było, że dla prowadzenia wojny Niemcy potrzebowali dużej ilości żywności. Na ile ta polityka niskich plonów była słuszna trudno powiedzieć, bo kontyngenty i tak musiały być oddawane, a nadprodukcję można było nielegalnie przeznaczyć dla głodnych ludzi. W praktyce nie było to łatwe, bo Niemcy bardzo szybko zorientowali się w czym rzecz.

Ogólnie rzecz biorąc produkcja rolna w obydwu gospodarstwach zaczęła spadać, za wyjątkiem ogrodnictwa w Czyżynach, które dzięki dobrej organizacji pracy prowadzonej przez ciocię Zosię i rynkowi zbytu w Krakowie utrzymywało się na względnie dobrym poziomie. Należy jednak pamiętać, że każda rzecz czy transakcja handlowa musiała być drobiazgowo przemyślana bo każda „wpadka" była zagrożona jeśli nie śmiercią, to konfiskatą majątku. W drugim roku wojny połowa pól uprawnych w Bieńczycach, to jest około 60 ha, została zabrana pod lotnisko wojskowe. Pola zostały poprzecinane pasami betonowymi służącymi do kołowania samolotów – głównie myśliwskich Messerschmittów 109 i 109 F, a w późniejszych latach także Focke-Wulf Fw-190 A z silnikami BMW 801. W miarę postępów armii niemieckiej na wschodzie w 1941 r., dowództwo lotniska zapowiedziało możliwość zabierania dalszych hektarów uprawnej ziemi. I tak się stało – w latach 1942-1944 zabrano dalszych 40 ha, co w zasadzie przekreślało możliwość działania gospodarstwa. Niemcy co prawda pozwalali na uprawę zbóż między stanowiskami samolotów – bardziej chyba dla maskowania samego lotniska niż plonów, ale prace agrotechniczne wśród takiej szachownicy pól i dróg nastręczały wiele trudności technicznych przy stosowaniu narzędzi i maszyn rolniczych. Bardzo utrudniony był siew zbóż, ale najgorsze były żniwa ze względu na nierównomierne dojrzewanie zbóż. Żniwa się przedłużały a i jakość ziarna była marna. W tej sytuacji ciocia Hela zdawała sobie sprawę, że gospodarstwo Bieńczyce skazane jest na upadek. Pomimo tego starała się produkcję upadającego gospodarstwa utrzymać na poziomie zapewniającym dotychczasowej liczbie pracowników fizycznych zatrudnienie do obsługi inwentarza, krów, koni i trochę nieformalnie chowu trzody chlewnej. Konieczność wyżywienia stale rozrastającej się ilości domowników powodowała potrzebę chowu – oprócz oficjalnie dozwolonej kontyngentowej liczby zawsze kilka, co najmniej 2-3 sztuki więcej. Ilość domowników w zależności od sytuacji w kraju rzeczywiście stale się zmieniała, z tendencją wzrostową, bo niektórzy przebywali przez określony czas. Tak np. było z rodziną wujostwa Larków z trójką dorastających dzieci: Heleną, Marylą i Tadeuszem, wysiedlonych ze Śmigla w województwie poznańskim. Wujostwo, zwłaszcza bardzo aktywna Ciocia Juta, dzięki biegłej znajomości języka niemieckiego, wystarało się o mieszkanie w Krakowie, do którego przeniosło się po kilku miesiącach. Nigdy nie było wiadomo ile osób zasiądzie do stołu, bo wiele osób znajomych z Krakowa i okolic często odwiedzało nasz dom, po prostu szukając źródła zaopatrzenia w żywność. Trudno mi dziś ustalić liczbę domowników, ale prawie nigdy ilość ich nie spadała poniżej 10-12 osób do roku 1941.

W roku 1942 lub z początkiem 1943 r., dokładnie nie pamiętam, ciocia Helena została zapytana przez, jak

sądzę, władze konspiracyjne AK, czy podjęłaby się przechowania przez okres okupacji pewnej rodziny, którą należałoby fikcyjnie zatrudnić w majątku, z zachowaniem możliwie daleko posuniętej dyskrecji ze względu na ich pochodzenie. Po krótkim namyśle i poleceniu modlitwom sióstr z klasztoru Miłosierdzia Bożego w Łagiewnikach, które rezydowały wówczas w kaplicy w tak zwanym Dworku w Bieńczycach, zgodziła się na przyjęcie rodziny państwa Kellerów wraz z córką Jadzią. Mąż został zatrudniony jako księgowy, chociaż księgowość prowadziła wówczas początkowo ciocia Juta i wujo Symforian Larkowie, a następnie do końca wojny pani Marysia Trznadel z Bieńczyc. Pan Keller mnie przedstawił się jako lekarz stomatolog, ja domyślając się, kto zacz, nigdy więcej nie dopytywałem się, a rozmawialiśmy coraz częściej, jeżeli tylko byłem w domu, na tematy aktualne, to znaczy co się dzieje na frontach całego świata. Nigdy jednak nie informowałem go o nasłuchu radiowym, jaki prowadziłem z rozkazu komendanta AK, pana Jana Kotyzy. Odbywało się to w sytuacji, kiedy połowę naszego domu mieszkalnego zajmowali Niemcy. Na szczęście były to tabory Wehrmachtu i to obsługiwane przez konie, dla których musieliśmy opróżnić nasze stajnie końskie. Nasze już tylko 3 pary koni przenieśliśmy do obory. Z czasem trzeba się było jeszcze bardziej ścieśniać i oddać wojsku niemieckiemu połowę obory. Na podwórzu dzień i noc był wartownik, któremu się meldowało gdzie się idzie. Miało to dobre i złe strony. Dobre, bo jak mówi przysłowie, najciemniej jest pod latarnią, a złe, bo każdy kto do nas przychodził musiał się wartownikowi opowiadać. Te zwyczaje na szczęście nie były stale stosowane i sądzę, że zależały albo od jakichś wydarzeń na terenie województwa krakowskiego, albo nadgorliwości szefa jednostki, którym był najczęściej plutonowy lub sierżant, z reguły nie grzeszący inteligencją, co było nam również na rękę. Państwo Kellerowie w czasie pobytu w Bieńczycach dwukrotnie zmieniali nazwisko, co osobiście uważałem za konspiracyjny błąd, ale na szczęście Niemcy tolerowali majątki ziemskie ze względu na produkcję żywności i jeżeli nie okazywało się wyraźnej arogancji czy ostentacyjnej niechęci, nie starali się być dokuczliwi i na szczęście dociekliwi. Sam doświadczyłem tego, wdając się z żołnierzami w pogawędki, najczęściej na tematy gospodarcze, które ich bardzo interesowały, a ja przy okazji szlifowałem swoją znajomość języka niemieckiego, wyniesioną z gimnazjum. Często w rozmowach prosiłem żołnierzy, aby mnie uczyli prawidłowego wymawiania, co im się bardzo podobało i mnie też. Zyskałem sobie nawet sympatię u niektórych, mówili do mnie per Junge Chef czyli „młody szef" i jak wieczorem wychodziłem z domu oddawaliśmy sobie nawzajem honory przez salutowanie. Kilkakrotnie udało mi się rozmawiać z wachmanem udając, że się wybieram z dziewczyną na wycieczkę, a w plecaku miałem aparat radiowy i baterie, który przenosiłem w inne miejsce, gdzie była lepsza słyszalność BBC z Londynu. Treść komunikatu starałem się najdokładniej notować i przekazywać Cioci Heli, która o odpowiedniej porze dnia, zwykle przed południem, kiedy żołnierze byli zajęci porządkami w stajniach i na podwórzu, bądź też byli gdzieś na rozjazdach, przepisywała to na maszynie, druga osoba ubezpieczała siedząc przy oknie. Komunikaty te dostarczane były komendantowi placówki AK, a następnie BCh, panu Janowi Kotyzie. Za posiadanie maszyny do pisania lub radia groziła kara śmierci, a w najlepszym przypadku obóz koncentracyjny plus straszne przesłuchanie, którego większość przesłuchiwanych nie przetrzymywała.

Powracając do państwa Kellerów, należy z uznaniem przyznać, że jeżeli chodziło o praktyki religijne zachowywali się bezbłędnie, co niedzielę chodzili z nami do Dworku na mszę świętą i przyjmowali komunię świętą. Ja nie widziałem ich przystępujących do spowiedzi, ale byli tacy, którzy to widzieli. Trochę gorzej szło im ze śpiewaniem pieśni kościelnych. Prawdopodobnie większość społeczności Bieńczyc zdawała sobie sprawę, że to jest rodzina żydowska, na co wskazywały charakterystyczne rysy twarzy, zwłaszcza pani Kellerowej, która zresztą wyraźnie unikała spotykania się z ludźmi. Nikt jednak nie zdradził. Sądzę, że zadziałało katolickie poczucie obowiązku ratowania człowieka, któremu grozi śmierć. Nie bez znaczenia było zaufanie, jakie wieś miała do dworu, a ściślej do Cioci Heli, nazywanej na co dzień Panienką. Ludzie uważali, że jeśli Panienka podjęła takie ryzyko, to widocznie tak ma być. Potwierdzeniem były stałe kontakty Cioci z zakonnicami z Łagiewnik oraz fakt, że księża wikariusze z parafii Raciborowice, sprawujący posługę dla Bieńczyc, w Dworku mieszkali i stołowali się u nas. Po trzecie wreszcie wielu musiało sobie zdawać sprawę, że w wyniku takiej zdrady, śmierć spotkałaby zadenuncjowanych, ale i bardzo prawdopodobne, że również donosiciela. Jeżeliby nawet Niemcy okazali tyle łaskawości dla donosiciela, że nie zabiliby go, a zaproponowali mu współpracę, to czekała go niechybna śmierć z rąk oddziałów specjalnych AK do likwidacji zdrajców. Tak czy inaczej, społeczność Bieńczyc in gremio zasłużyła sobie na uznanie ich jako „Sprawiedliwych wśród Narodów Świata". A jak podziękowali za to państwo Kellerowie? Po prostu wyjechali i ślad po nich zaginął.

Ciocia Helena, nie mając własnych dzieci, stale miała jakieś dzieci „na wychowaniu". Począwszy od mojej skromnej osoby i mojej siostry Aleksandry (Oleńki), a skończywszy na dwóch dziewczynkach uważanych za sieroty. Jedną z nich była Jasia Rutowicz lub Rutkowska. Dziecko to zostało podrzucone pod furtę Klasztoru Sióstr Miłosierdzia Bożego w Warszawie, o ile pamiętam przed wybuchem powstania w getcie warszawskim. Chyba dla lepszego bezpieczeństwa dziecko zostało przewiezione z Warszawy do Krakowa-Łagiew-

nik, skąd zakonnice przywiozły ją do Bieńczyc i powierzyły jej wychowanie Cioci Heli. Jasia była bardzo miłą i słodką dziewczynką o długich blond włosach. Była bardzo kochana przez Ciocię Helę i moją siostrę Oleńkę. Ja miałem z nią mniej styczności, bo w tym czasie rzadko bywałem w domu. Wiem, że Ciocia i Oleńka przy pomocy wikariusza naszej parafii w Raciborowicach, księdza Franciszka Szymonka, który w tym czasie na zmianę z księdzem Adamem Bielą mieszkał u nas, bardzo solidnie przygotowali ją do przyjęcia I Komunii Świętej, którą przyjęła wraz z innymi bieńczyckimi dziećmi w 1944 r. w Dworku. Zaraz po wojnie odnalazła się jej matka, która również w szczęśliwy sposób przeżyła zawieruchę wojenną. Przyjechała do Bieńczyc, przedstawiła się kim jest i zabrała swoja córeczkę, prawdopodobnie do Francji. Ciocia Hela oczywiście oddała dziecko i, o ile ją znam, nie wzięła jakiegokolwiek pisemnego oświadczenia. Jedyna nagroda o jaką Ciocia prosiła, to wychowanie Jasi w wierze katolickiej, na co mamusia Jasi zgodziła się. Ciocia Hela, mając na uwadze dobro psychiczne dziecka, nie chciała utrzymywać kontaktów ani korespondencji, która i tak z uwagi na niepewne czasy powojenne byłaby utrudniona.

Jesienią 1944 r., po upadku powstania warszawskiego, tysiące warszawiaków musiało opuścić zniszczoną stolicę i szukać schronienia poza Warszawą. Wielu z nich trafiło do Krakowa i okolic, między innymi do Czyżyn i Bieńczyc. Do naszego domu została przydzielona rodzina państwa Wrońskich z córką Danusią, sanitariuszką z powstania i synem Zbyszkiem w moim wieku. Mam wiele wspomnień o tych bardzo sympatycznych ludziach, którzy zgodzili się mieszkać w dość prymitywnych warunkach, w oficynach, bo w połowie naszego domu mieszkalnego po prostu nie było miejsca. Z osobą córki państwa Wrońskich, Danusią, wiąże się niecodzienny wypadek z udziałem mojego kolegi z konspiracji, Eugeniusza Hajty. Danusia Wrońska w tym czasie znalazła sobie pracę jako pielęgniarka u miejscowego lekarza, pana Łowczowskiego. W naszym domu w lutym 1945 r. mieliśmy codziennie zmieniające się kwatery żołnierzy radzieckich. Pewnego dnia przyjechało trzech oficerów i zakwaterowali się w moim kawalerskim pokoju na piętrze w oficynach, bo połowę naszego domu mieszkalnego zajmowali szeregowi żołnierze. Na drugi dzień wojsko odjechało, ale ci trzej oficerowie zostali w moim pokoju. Złożyło się tak pechowo, że jednym z oficerów był NKWD-zista, a jeszcze większym nieszczęściem był fakt, że do mojego pokoju, który w czasie okupacji niemieckiej był punktem kontaktowym dla żołnierzy AK i BCh, przyszli koledzy z konspiracji – Eugeniusz Hajto i Jan Bochenek. Nie sprawdziwszy czy jestem i jaka jest sytuacja we dworze zapukali, Gienek Hajto wszedł do mojego pokoju i ku swemu całkowitemu zaskoczeniu został momentalnie sterroryzowany bronią i z rękami do góry szczegółowo zrewidowany. Mój kolega miał przy sobie pistolet i poufne pisma z dowództwa AK, w tym instrukcję jak Armia Krajowa ma zachować się w stosunku do Armii Czerwonej. Hajtę po rewizji oficerowie uznali za szpiega i porucznik z NKWD postanowił natychmiast wyprowadzić go za stodołę i rozstrzelać. Doszło do sprzeczki pomiędzy oficerami, bo kapitan, który umiał czytać po polsku i zrozumiał treść pisma, spojrzał na Gienka i według jego późniejszej relacji powiedział jedno słowo, „durak" czyli głupiec. Wyraźnie postanowił Gienka bronić i nie chciał oddać papierów NKWD-ziście mówiąc, że są zupełnie mało ważne. Ale pomimo, że był starszy rangą, musiał ulec młodszemu przedstawicielowi NKWD. W międzyczasie wiadomość o wpadce i planowanej egzekucji dotarła do mieszkańców dworu. Babcia Izabella Cieślewicz zarządziła natychmiast modlitwę do świętego Tadeusza Judy, patrona spraw beznadziejnych, o sprawie dowiedzieli się również mieszkający na dole w oficynach państwo Wrońscy wysiedleni z Warszawy. Na tę wiadomość ich córka, bardzo energiczna osoba, kazała sobie powiedzieć jak wygląda kolega, którego mają rozstrzelać i oświadczyła, że ona powie, że jest jego narzeczoną. Ja byłem zdecydowany bronić kolegi za wszelką cenę, wziąłem swój doskonały pistolet i krzakami nad stawem przedostałem się za budynek czworaków, by tam schowany czekać na idących na egzekucję, aby z zasadzki zastrzelić prowadzących Gienka żołnierzy i próbować ratować kolegę bez względu na następstwa. Tymczasem na podwórzu, według relacji Cioci i Babci, rozegrała się scena jakby żywcem wzięta z sienkiewiczowskich Krzyżaków, kiedy to Danuśka Jurandówna nakryła nałęczką czyli chustą prowadzonego na szafot Zbyszka z Bogdańca i z okrzykiem „Mój ci jest!" uratowała go od ścięcia katowskim toporem. Takie bowiem wtedy obowiązywało prawo zwyczajowe. Nasza Danusia Wrońska rzuciła się na szyję Gienka, prosząc oficerów radzieckich o ułaskawienie narzeczonego. Zapobiegliwy ojciec Danusi, pan Wroński, zaproponował załagodzić sprawę alkoholem, co zyskało aprobatę i Gienek został zwolniony. Ja nie od razu wróciłem do domu. Zarówno ja, Gienek Hajto, jak i wszyscy uczestnicy zdarzenia byliśmy pewni, że dzięki Opatrzności Bożej i wstawiennictwu świętego Tadeusza udało się uniknąć niechybnej tragedii. Zdarzenie to przypominam jako jedno z licznych podobnych zdarzeń, które miały miejsce w Bieńczycach, Krakowie i okolicy, ale nie czas tu ani miejsce na te wspomnienia.

Wypadki wojenne nie ominęły również drugiej mojej Cioci, Zofii Cieślewiczowej, wdowy po świętej pamięci Kazimierzu Cieślewiczu. Ciocia Zosia, jak już wspominałem, gospodarzyła w Czyżynach, organizując prace w polu i ogrodzie warzywnym oraz wychowując trójkę dzieci. Nie miała wykształcenia rolniczego i musiała szybko nauczyć się wielu spraw związanych z prowadzeniem gospodarstwa. Pomocni byli starzy

przedwojenni pracownicy, jak na przykład furman Tadeusz Jarosz, kowal Ignacy Janecki, którzy dobrze pamiętali pracę pod kierunkiem śp. Kazimierza Cieślewicza. Życie pod okupacją niemiecką nie szczędziło Cioci wielu przykrych, ale i niebezpiecznych przeżyć, które na szczęście zakończyły się pomyślnie. Ze względu na bliskość lotniska w Rakowicach połowa domu mieszkalnego, podobnie jak w Bieńczycach, była okresowo zajęta przez wojsko niemieckie z obsługi naziemnej Luftwaffe, tabory konne lub inne jednostki. Szczególnie dokuczliwa była obecność na kwaterze oficera Wehrmachtu odpowiedzialnego za odstawianie kontyngentów. Mówiący dość dobrze po polsku Herr Herzig był agresywny w stosunku do okolicznych gospodarzy, a kulturalny sposób bycia mieszkańców dworu doprowadzał go do wściekłości szczególnie gdy był pijany, co mu się prawie codziennie zdarzało. Był bardzo groźnym organizatorem wywozów ludzi na przymusowe roboty do Niemiec. Dbał też o rodzinę w Niemczech, wysyłając im paczki z żywnością, futrami i innymi zdobywanymi drogą łapówek przedmiotami. Był powszechnie znienawidzonym, butnym, prymitywnym przedstawicielem rasy panów, wychowanym na propagandzie rasizmu. W przypadkach pijackiej agresji wzywano na pomoc sąsiada, sołtysa Andrzeja Malinowskiego, który z racji piastowanego urzędu miał kontakty i pewien wpływ na agresora. Spokojnym głosem tłumaczył: *to nie szlachcianka, to porządna kobita*, a wzmacniając argumenty alkoholem uspokajał agresora. Najlepiej jednak działał na Herziga stróż nocny, Górnikiewicz, od lat pracujący w Czyżynach, lubiany i szanowany za punktualność, spokój i solidność. W zasadzie obowiązki pilnowania w nocy pełniły wielkie wilczury, które wypuszczał po godzinie 22 i wtedy nawet domownicy musieli czekać, aż stróż zamknie psy. Kiedy Herzig w swoich pijackich wyczynach, szukając towarzystwa, usiłował zmuszać go do picia wódki, ten wymyślił sprytny sposób – pytał się pijanego Niemca czy też widział ducha świętej pamięci Inżyniera (inż. Kazimierza Cieślewicza), który stał na tarasie i, jak miał w zwyczaju, wzywał stróża nocnego, aby mu przypomnieć o konieczności napompowania ręczną pompą wody do wodociągu domowego i do podlewania inspektów? Kiedy Niemiec próbował wątpić – Górnikiewicz powoływał się na świadectwo psów, które na widok ducha kuliły się ze zjeżoną sierścią. Na dodatek stróż mówił, że duch inżyniera przypominał o obowiązku pilnowania rodziny Cieślewiczów i aby ostrzegł Niemca, że jeśli będzie chciał zrobić jakąś krzywdę domownikom, to sam najpierw zginie. Herzig niby wyśmiał starego człowieka, ale kiedyś w pijanym widzie wypadł w nocy na taras krzycząc, że nieboszczyk przesuwa mu meble w pokoju. Górnikiewicz spokojnie wyjaśnił, że to nic dziwnego, bo mieszka w dawnym pokoju Inżyniera.

Normalne kwatery żołnierzy, szczególnie z taborów, były dla mieszkańców dość znośne, a dla najmłodszej latorośli, kilkuletniego Wicka Cieślewicza i jego niewiele starszego kolegi, Jurka Jarosza, wręcz atrakcyjne. Chłopcy przynosili żołnierzom jabłka i pomidory, a uzyskawszy ich zaufanie mogli zobaczyć jak wygląda na przykład pistolet Parabellum 9 mm i usłyszeć od Niemców, że jest „prima". Kiedy zapytał się mnie co to znaczy „prima" odpowiedziałem, że bardzo dobry. Chłopcy oglądali również karabiny Mauzer i amunicje do nich. Chłopcom oczywiście bardzo się to podobało. Często byłem zaskakiwany pytaniami mojego kuzynka Wicka, np. jakie pistolety i karabiny są najlepsze, nie podejrzewając nic złego dawałem szczere i prawdziwe odpowiedzi, że najlepszym karabinem używanym w wielu armiach, między innymi i w armii polskiej, był Mauzer, a najlepszym pistoletem w armii polskiej był VIS 9 mm, zaś w niemieckiej Parabellum 9 mm. Na pytanie dlaczego o to pyta, Wicek wyjaśnił, że ich znajomy żołnierz pokazywał im pistolet Parabellum. Te krótkie rozmowy kończyły się zwykle bez komentarza – do pewnego czasu. Moje wizyty w Czyżynach stawały się coraz częstsze. Byłem dumny, że po ukończeniu Szkoły Rolniczej w Czernichowie mogę Cioci doradzać w sprawach prac polowych. Chłopcy, a zwłaszcza Wicek, zasypywali mnie różnymi aktualnymi pytaniami, głównie dotyczącymi wojny. Na przykład dlaczego Polska przegrała kampanię wrześniową, czy Niemcy są silniejsi od Rosjan, jakie typy samolotów latają nad Czyżynami i Krakowem, jakie są na lotnisku w Rakowicach itd. itp. Na te wszystkie pytania starałem się dawać rzeczowe, ale nie za bardzo szczegółowe odpowiedzi. Rok 1944 to był już rok niepowodzeń „niezwyciężonej" armii niemieckiej, tak na froncie wschodnim jak i na Zachodzie, gdzie alianci mieli absolutną przewagę w powietrzu. Porażki doznał także osławiony „Afrika Korps" – korpus afrykański. Niepowodzenia te spowodowały złagodzenie stosunków butnej dotychczas administracji niemieckiej w stosunku do ludności polskiej. Ale równocześnie docierały wieści o tym, że Niemcy na ulicy w Krakowie zrobili obławę i wywieźli ludzi do obozów śmierci lub że odbyła się „łapanka" i wywózka na roboty do Niemiec. A to szła wieść, że Niemcy znowu rozstrzelali zakładników na forcie w Krzesławicach. Te wszystkie fakty dawały chłopcom dużo do myślenia, do tego dochodził patriotyzm rodzinny wpajany dzieciom, czy to z okazji świąt i rocznic patriotycznych, czy także przez wspólną wieczorną, rodzinną modlitwę w intencji członków rodziny, którzy poszli na wojnę, ale przede wszystkim modlono się o Wolną Polskę. Na skutek represji okupanta wytworzyła się coraz silniejsza solidarność społeczna, objawiająca się miedzy innymi ostrzeganiem przed zbliżającym się niebezpieczeństwem. Wystarczyło, że we wsi pojawiła się grupa żołnierzy, którzy zaczęli chodzić po domach, a momentalnie rodzice wysyłali chłopaków do sąsiadów z informacją,

nik, skąd zakonnice przywiozły ją do Bieńczyc i powierzyły jej wychowanie Cioci Heli. Jasia była bardzo miłą i słodką dziewczynką o długich blond włosach. Była bardzo kochana przez Ciocię Helę i moją siostrę Oleńkę. Ja miałem z nią mniej styczności, bo w tym czasie rzadko bywałem w domu. Wiem, że Ciocia i Oleńka przy pomocy wikariusza naszej parafii w Raciborowicach, księdza Franciszka Szymonka, który w tym czasie na zmianę z księdzem Adamem Bielą mieszkał u nas, bardzo solidnie przygotowali ją do przyjęcia I Komunii Świętej, którą przyjęła wraz z innymi bieńczyckimi dziećmi w 1944 r. w Dworku. Zaraz po wojnie odnalazła się jej matka, która również w szczęśliwy sposób przeżyła zawieruchę wojenną. Przyjechała do Bieńczyc, przedstawiła się kim jest i zabrała swoja córeczkę, prawdopodobnie do Francji. Ciocia Hela oczywiście oddała dziecko i, o ile ją znam, nie wzięła jakiegokolwiek pisemnego oświadczenia. Jedyna nagroda o jaką Ciocia prosiła, to wychowanie Jasi w wierze katolickiej, na co mamusia Jasi zgodziła się. Ciocia Hela, mając na uwadze dobro psychiczne dziecka, nie chciała utrzymywać kontaktów ani korespondencji, która i tak z uwagi na niepewne czasy powojenne byłaby utrudniona.

Jesienią 1944 r., po upadku powstania warszawskiego, tysiące warszawiaków musiało opuścić zniszczoną stolicę i szukać schronienia poza Warszawą. Wielu z nich trafiło do Krakowa i okolic, między innymi do Czyżyn i Bieńczyc. Do naszego domu została przydzielona rodzina państwa Wrońskich z córką Danusią, sanitariuszką z powstania i synem Zbyszkiem w moim wieku. Mam wiele wspomnień o tych bardzo sympatycznych ludziach, którzy zgodzili się mieszkać w dość prymitywnych warunkach, w oficynach, bo w połowie naszego domu mieszkalnego po prostu nie było miejsca. Z osobą córki państwa Wrońskich, Danusią, wiąże się niecodzienny wypadek z udziałem mojego kolegi z konspiracji, Eugeniusza Hajty. Danusia Wrońska w tym czasie znalazła sobie pracę jako pielęgniarka u miejscowego lekarza, pana Łowczowskiego. W naszym domu w lutym 1945 r. mieliśmy codziennie zmieniające się kwatery żołnierzy radzieckich. Pewnego dnia przyjechało trzech oficerów i zakwaterowali się w moim kawalerskim pokoju na piętrze w oficynach, bo połowę naszego domu mieszkalnego zajmowali szeregowi żołnierze. Na drugi dzień wojsko odjechało, ale ci trzej oficerowie zostali w moim pokoju. Złożyło się tak pechowo, że jednym z oficerów był NKWD-zista, a jeszcze większym nieszczęściem był fakt, że do mojego pokoju, który w czasie okupacji niemieckiej był punktem kontaktowym dla żołnierzy AK i BCh, przyszli koledzy z konspiracji – Eugeniusz Hajto i Jan Bochenek. Nie sprawdziwszy czy jestem i jaka jest sytuacja we dworze zapukali, Gienek Hajto wszedł do mojego pokoju i ku swemu całkowitemu zaskoczeniu został momentalnie sterroryzowany bronią i z rękami do góry szczegółowo zrewidowany. Mój kolega miał przy sobie pistolet i poufne pisma z dowództwa AK, w tym instrukcję jak Armia Krajowa ma zachować się w stosunku do Armii Czerwonej. Hajtę po rewizji oficerowie uznali za szpiega i porucznik z NKWD postanowił natychmiast wyprowadzić go za stodołę i rozstrzelać. Doszło do sprzeczki pomiędzy oficerami, bo kapitan, który umiał czytać po polsku i zrozumiał treść pisma, spojrzał na Gienka i według jego późniejszej relacji powiedział jedno słowo, „durak" czyli głupiec. Wyraźnie postanowił Gienka bronić i nie chciał oddać papierów NKWD-ziście mówiąc, że są zupełnie mało ważne. Ale pomimo, że był starszy rangą, musiał ulec młodszemu przedstawicielowi NKWD. W międzyczasie wiadomość o wpadce i planowanej egzekucji dotarła do mieszkańców dworu. Babcia Izabella Cieślewicz zarządziła natychmiast modlitwę do świętego Tadeusza Judy, patrona spraw beznadziejnych, o sprawie dowiedzieli się również mieszkający na dole w oficynach państwo Wrońscy wysiedleni z Warszawy. Na tę wiadomość ich córka, bardzo energiczna osoba, kazała sobie powiedzieć jak wygląda kolega, którego mają rozstrzelać i oświadczyła, że ona powie, że jest jego narzeczoną. Ja byłem zdecydowany bronić kolegi za wszelką cenę, wziąłem swój doskonały pistolet i krzakami nad stawem przedostałem się za budynek czworaków, by tam schowany czekać na idących na egzekucję, aby z zasadzki zastrzelić prowadzących Gienka żołnierzy i próbować ratować kolegę bez względu na następstwa. Tymczasem na podwórzu, według relacji Cioci i Babci, rozegrała się scena jakby żywcem wzięta z sienkiewiczowskich Krzyżaków, kiedy to Danuśka Jurandówna nakryła nałęczką czyli chustą prowadzonego na szafot Zbyszka z Bogdańca i z okrzykiem „Mój ci jest!" uratowała go od ścięcia katowskim toporem. Takie bowiem wtedy obowiązywało prawo zwyczajowe. Nasza Danusia Wrońska rzuciła się na szyję Gienka, prosząc oficerów radzieckich o ułaskawienie narzeczonego. Zapobiegliwy ojciec Danusi, pan Wroński, zaproponował załagodzić sprawę alkoholem, co zyskało aprobatę i Gienek został zwolniony. Ja nie od razu wróciłem do domu. Zarówno ja, Gienek Hajto, jak i wszyscy uczestnicy zdarzenia byliśmy pewni, że dzięki Opatrzności Bożej i wstawiennictwu świętego Tadeusza udało się uniknąć niechybnej tragedii. Zdarzenie to przypominam jako jedno z licznych podobnych zdarzeń, które miały miejsce w Bieńczycach, Krakowie i okolicy, ale nie czas tu ani miejsce na te wspomnienia.

Wypadki wojenne nie ominęły również drugiej mojej Cioci, Zofii Cieślewiczowej, wdowy po świętej pamięci Kazimierzu Cieślewiczu. Ciocia Zosia, jak już wspominałem, gospodarzyła w Czyżynach, organizując prace w polu i ogrodzie warzywnym oraz wychowując trójkę dzieci. Nie miała wykształcenia rolniczego i musiała szybko nauczyć się wielu spraw związanych z prowadzeniem gospodarstwa. Pomocni byli starzy

przedwojenni pracownicy, jak na przykład furman Tadeusz Jarosz, kowal Ignacy Janecki, którzy dobrze pamiętali pracę pod kierunkiem śp. Kazimierza Cieślewicza. Życie pod okupacją niemiecką nie szczędziło Cioci wielu przykrych, ale i niebezpiecznych przeżyć, które na szczęście zakończyły się pomyślnie. Ze względu na bliskość lotniska w Rakowicach połowa domu mieszkalnego, podobnie jak w Bieńczycach, była okresowo zajęta przez wojsko niemieckie z obsługi naziemnej Luftwaffe, tabory konne lub inne jednostki. Szczególnie dokuczliwa była obecność na kwaterze oficera Wehrmachtu odpowiedzialnego za odstawianie kontyngentów. Mówiący dość dobrze po polsku Herr Herzig był agresywny w stosunku do okolicznych gospodarzy, a kulturalny sposób bycia mieszkańców dworu doprowadzał go do wściekłości szczególnie gdy był pijany, co mu się prawie codziennie zdarzało. Był bardzo groźnym organizatorem wywozów ludzi na przymusowe roboty do Niemiec. Dbał też o rodzinę w Niemczech, wysyłając im paczki z żywnością, futrami i innymi zdobywanymi drogą łapówek przedmiotami. Był powszechnie znienawidzonym, butnym, prymitywnym przedstawicielem rasy panów, wychowanym na propagandzie rasizmu. W przypadkach pijackiej agresji wzywano na pomoc sąsiada, sołtysa Andrzeja Malinowskiego, który z racji piastowanego urzędu miał kontakty i pewien wpływ na agresora. Spokojnym głosem tłumaczył: *to nie szlachcianka, to porządna kobita*, a wzmacniając argumenty alkoholem uspokajał agresora. Najlepiej jednak działał na Herziga stróż nocny, Górnikiewicz, od lat pracujący w Czyżynach, lubiany i szanowany za punktualność, spokój i solidność. W zasadzie obowiązki pilnowania w nocy pełniły wielkie wilczury, które wypuszczał po godzinie 22 i wtedy nawet domownicy musieli czekać, aż stróż zamknie psy. Kiedy Herzig w swoich pijackich wyczynach, szukając towarzystwa, usiłował zmuszać go do picia wódki, ten wymyślił sprytny sposób – pytał się pijanego Niemca czy też widział ducha świętej pamięci Inżyniera (inż. Kazimierza Cieślewicza), który stał na tarasie i, jak miał w zwyczaju, wzywał stróża nocnego, aby mu przypomnieć o konieczności napompowania ręczną pompą wody do wodociągu domowego i do podlewania inspektów? Kiedy Niemiec próbował wątpić – Górnikiewicz powoływał się na świadectwo psów, które na widok ducha kuliły się ze zjeżoną sierścią. Na dodatek stróż mówił, że duch inżyniera przypominał o obowiązku pilnowania rodziny Cieślewiczów i aby ostrzegł Niemca, że jeśli będzie chciał zrobić jakąś krzywdę domownikom, to sam najpierw zginie. Herzig niby wyśmiał starego człowieka, ale kiedyś w pijanym widzie wypadł w nocy na taras krzycząc, że nieboszczyk przesuwa mu meble w pokoju. Górnikiewicz spokojnie wyjaśnił, że to nic dziwnego, bo mieszka w dawnym pokoju Inżyniera.

Normalne kwatery żołnierzy, szczególnie z taborów, były dla mieszkańców dość znośne, a dla najmłodszej latorośli, kilkuletniego Wicka Cieślewicza i jego niewiele starszego kolegi, Jurka Jarosza, wręcz atrakcyjne. Chłopcy przynosili żołnierzom jabłka i pomidory, a uzyskawszy ich zaufanie mogli zobaczyć jak wygląda na przykład pistolet Parabellum 9 mm i usłyszeć od Niemców, że jest „prima". Kiedy zapytał się mnie co to znaczy „prima" odpowiedziałem, że bardzo dobry. Chłopcy oglądali również karabiny Mauzer i amunicje do nich. Chłopcom oczywiście bardzo się to podobało. Często byłem zaskakiwany pytaniami mojego kuzynka Wicka, np. jakie pistolety i karabiny są najlepsze, nie podejrzewając nic złego dawałem szczere i prawdziwe odpowiedzi, że najlepszym karabinem używanym w wielu armiach, między innymi i w armii polskiej, był Mauzer, a najlepszym pistoletem w armii polskiej był VIS 9 mm, zaś w niemieckiej Parabellum 9 mm. Na pytanie dlaczego o to pyta, Wicek wyjaśnił, że ich znajomy żołnierz pokazywał im pistolet Parabellum. Te krótkie rozmowy kończyły się zwykle bez komentarza – do pewnego czasu. Moje wizyty w Czyżynach stawały się coraz częstsze. Byłem dumny, że po ukończeniu Szkoły Rolniczej w Czernichowie mogę Cioci doradzać w sprawach prac polowych. Chłopcy, a zwłaszcza Wicek, zasypywali mnie różnymi aktualnymi pytaniami, głównie dotyczącymi wojny. Na przykład dlaczego Polska przegrała kampanię wrześniową, czy Niemcy są silniejsi od Rosjan, jakie typy samolotów latają nad Czyżynami i Krakowem, jakie są na lotnisku w Rakowicach itd. itp. Na te wszystkie pytania starałem się dawać rzeczowe, ale nie za bardzo szczegółowe odpowiedzi. Rok 1944 to był już rok niepowodzeń „niezwyciężonej" armii niemieckiej, tak na froncie wschodnim jak i na Zachodzie, gdzie alianci mieli absolutną przewagę w powietrzu. Porażki doznał także osławiony „Afrika Korps" – korpus afrykański. Niepowodzenia te spowodowały złagodzenie stosunków butnej dotychczas administracji niemieckiej w stosunku do ludności polskiej. Ale równocześnie docierały wieści o tym, że Niemcy na ulicy w Krakowie zrobili obławę i wywieźli ludzi do obozów śmierci lub że odbyła się „łapanka" i wywózka na roboty do Niemiec. A to szła wieść, że Niemcy znowu rozstrzelali zakładników na forcie w Krzesławicach. Te wszystkie fakty dawały chłopcom dużo do myślenia, do tego dochodził patriotyzm rodzinny wpajany dzieciom, czy to z okazji świąt i rocznic patriotycznych, czy także przez wspólną wieczorną, rodzinną modlitwę w intencji członków rodziny, którzy poszli na wojnę, ale przede wszystkim modlono się o Wolną Polskę. Na skutek represji okupanta wytworzyła się coraz silniejsza solidarność społeczna, objawiająca się miedzy innymi ostrzeganiem przed zbliżającym się niebezpieczeństwem. Wystarczyło, że we wsi pojawiła się grupa żołnierzy, którzy zaczęli chodzić po domach, a momentalnie rodzice wysyłali chłopaków do sąsiadów z informacją,

że Niemcy są we wsi i czegoś szukają. To był sygnał, by w ciągu kilkudziesięciu minut wieś była w pogotowiu, a to co trzeba było ukryć zostało ukryte.

Powracając do naszych chłopców w Czyżynach, Wicka i Jurka, należy podkreślić, że wszystkie wydarzenia życia codziennego sprawiły, że nasi mali – jak się okaże – bohaterowie zaczęli baczniej przyglądać się swoim wojskowym znajomym. Wśród miejscowego społeczeństwa rozchodziły się wiadomości o polskich partyzantach, których działalność nasilała się z dnia na dzień i obrastała niekiedy w legendy. 24 kwietnia 1943 r. Czyżyny były świadkiem przemarszu małego oddziału partyzanckiego, który miał zlikwidować obergruppenfuhrera Friedricha Wilhelma Krugera – zamach się nie udał, a w operacji tej zginął syn kierownika szkoły w Czyżynach, Zbyszek Marszałek. Niechlubnie w tej akcji zapisał się jeden z polskich policjantów w służbie niemieckiej. Ten i wiele innych wypadków natury wojskowej pobudzały wyobraźnię chłopców, którzy chcąc w jakiś sposób pomagać polskim partyzantom, zaczęli podkradać amunicję z podręcznego magazynku, który Niemcy urządzili w niedokończonym garażu pod tarasem, przed wejściem do domu mieszkalnego. W tym garażu najczęściej były prowadzone przyjacielskie rozmowy chłopców z żołnierzami. Na gwoździach wbitych w ściany wisiały pasy z ładownicami, karabiny na pasach, jak również pasy z kaburami i pistoletami Parabellum, wymarzona broń krótka partyzantów. Nasi chłopcy rozpoczęli swoją działalność „zaopatrzeniowców" od wypatrzenia, że w czasie mycia wozu taborowego w stawie zsunęły się do wody źle zabezpieczone kartony z amunicją do Mauzera. Dwa kartony żołnierze wyciągnęli z wody, a dwa rozleciały się i żołnierzom nie chciało się ich wydobywać. Natomiast chłopcy skrupulatnie wszystkie, zakonserwowane smarem, wyciągnęli. Następne podkradali z magazynu. Każdy magazynek, tak zwana łódka, miała 5 naboi w gwarze partyzanckiej zwanych „pestkami". Odbiorcą byłem z konieczności ja, bo chłopcy podejrzewali mnie o jakieś konszachty z partyzantami, chociaż nigdy, o ile pamiętam, nic im na ten temat nie mówiłem.

Stare przysłowie mówi, że apetyt rośnie w miarę jedzenia – w myśl tej zasady nasi bohaterowie pomyśleli, że jest już czas najwyższy, aby zmienić zakres zainteresowań na bardziej praktyczne przedmioty, za jakie uważali pistolety Parabellum. Od pomysłu do realizacji czas był krótki, tym bardziej, że zaczęły chodzić słuchy o odjeździe wojska z majątku. Kiedy pewnego dnia przyszedłem do Czyżyn i siedziałem w tzw. małym pokoju, Wicek z tajemniczą, ale rozradowaną i dumna miną przyniósł mi piękny pistolet. Byłem zaskoczony – najpierw radość, a potem szybkie pytania o to skąd to ma? Wicek spokojnie wyjaśnił, że na ganku wisi pas z kaburą i zaraz może przynieść ten pas, tylko musi podstawić stołek, bo pas wisi wysoko i nie mógł dosięgnąć. Szybka analiza sytuacji i polecenie: *Natychmiast odnieś na miejsce!* Zdziwienie, ale i opór w oczach chłopca, więc szybko dodaję: *To jest rozkaz!* W tej sytuacji posłuszny, ale nie przekonany Wicek odniósł pistolet pozostawiony przez Niemca po drodze – ja wiedziałem, że brak broni musiał być szybko zauważony (być może brak w magazynie nie byłby tak szybko wykryty i dlatego pytałem skąd był ten pistolet) i podejrzenie musiało paść na mieszkańców domu lub na mnie, gdyż nikt obcy w tym czasie do domu nie wchodził. Znałem z sąsiednich wsi przykłady represji w stosunku do mieszkańców w przypadku utraty broni żołnierzy niemieckich.

Nie znam wielu szczegółów w jaki sposób Wicek z Jurkiem organizowali swoją konspiracyjną działalność, nie mieli przecież żadnego przeszkolenia w tym kierunku i musieli zawierzyć własnej pomysłowości i inteligencji. Dlatego starałem nie wciągać ich w działalność konspiracyjną i możliwie chronić tych najmłodszych partyzantów w batalionie „Pająk" 6 Dywizji Piechoty AK, w którym do końca wojny działałem jako sierżant podchorąży. Nietrudno się domyślić, że działalność „partyzancka" chłopców nie była zauważona przez mamę Wicka i przez ojca Jurka, którzy nie byli zorientowani co chłopcy robią. Tym bardziej, że w czyżyńskim dworze odbywało się tajne nauczanie, okresowo przechowywano ukrywające się osoby, był punkt kolportażu „bibuły" czyli tajnych „gazetek". Opatrzności Bożej należy dziękować, że w czasie jednej z ostrych rewizji w domu Niemcy przegapili nie tylko gazetki w szafce nocnej (zdenerwowani zamkniętą na kluczyk szufladą nie zauważyli leżących w otwartej części gazetek), mapy przedwojennej Polski i Europy za szafą ale także nie dostrzegli 30 naboi w 6 „łódkach", które Wicek tylko na chwilę schował w kartonowym pudełku za nogą szafy.

Wielopole, marzec 2008 r.

Andrzej Świerczewski



Andrzej Świerczewski

Porucznik Armii Krajowej pseudonim „AS-4". Odznaczony Orderem Odrodzenia Polski, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Partyzanckim i Złotym Krzyżem Zasługi; mgr inż. rolnictwa, absolwent UJ, miłośnik jeździectwa i lotnictwa, założyciel i długoletni dyrektor Stacji Hodowli Roślin w Wielopolu. Był członkiem założycielem Polskiego Towarzystwa Genetycznego oraz kierownikiem zespołu pracującego nad hodowlą owsa dla terenów górskich w krajach RWPG, Jego zasługą było wyhodowanie m.in. cenionej przez górali odmiany owsa o nazwie „Lach".

Wspaniały i wyjątkowy człowiek, przyjaciel, kochany Tato i Dziadzio.

Zmarł 28 marca 2011 r. w wieku 87 lat. Msza św. żałobna odbyła się 31 marca 2011 r. w kościele pw. Matki Boskiej Częstochowskiej w Nowym Sączu – Zabełczu, a uroczystości pogrzebowe z udziałem ponad 200 osób na cmentarzu komunalnym przy ul. Śniadeckich w Nowym Sączu. Żegnała go m.in. delegacja byłych żołnierzy Armii Krajowej ze sztandarem. Wiesław Pyczek pożegnał go w imieniu dawnych mieszkańców Bieńczyc, a w imieniu rodziny Zmarłego – wnuczka Małgorzata Lewczuk-Kot.

Ostatnie pożegnanie Andrzeja Świerczewskiego[9]

(...) Dziadziuś był człowiekiem o wielkim sercu i niesamowitej charyzmie, oryginałem niemożliwym do zapomnienia. Niezwykłym połączeniem cech żołnierza, dowódcy, działacza i patrioty, szarmanckiego i zawsze eleganckiego dżentelmena z cechami człowieka wrażliwego i rozkochanego w opisach z Mickiewicza, otwartego na drugiego i jego problemy, człowieka współczującego, wyrozumiałego i życzliwego. Był niepowtarzalnym przykładem dla nas wszystkich. Jak każdy z nas, sam błądząc w życiu starał się przekazać nam – młodszemu pokoleniu swoją wiedzę i doświadczenia mówiąc, jakie wartości są ważne, jak żyć godnie, jak ważna jest tradycja, czas dla rodziny i rozmowy z drugim człowiekiem. Jakie miejsce w tej hierarchii powinna zajmować kultura, historia i honor i jak zawsze należy mieć w pamięci dobro człowieka, naszego kraju i świata.

Nic i nikt nie będzie w stanie nam go zastąpić – jego fantastycznego poczucia humoru, którym rozbawiał nas do łez, niekończących się opowieści przy rodzinnym stole, których był nieopisanym mistrzem. Tego będzie brak i to nie wróci. Jednak co pozostaje nam już na zawsze, to wieczna pamięć, wdzięczne wspomnienia, których nikt nie zabierze. W naszym przeświadczeniu Dziadzio był człowiekiem niezniszczalnym, człowiekiem który miał żyć wiecznie – teraz najwspanialszy i niepowtarzalny Dziadziuś pozostaje w nas, wnukach – Janosikach: Tomku i Marku, Kasi i mojej.

Nowy Sącz, 31 marca 2011 r.

Andrzeju!...[10]

Ziemia sądecka przyjmuje Cię dzisiaj na wieczny, zasłużony odpoczynek, po długoletnim wykonywaniu pracy zawodowej, związanej z uprawą tak drogiej Ci polskiej ziemi. Pracując przez całe swoje zawodowe życie w doświadczalnictwie i hodowli roślin chciałeś unowocześniać i uszlachetniać uprawy tej ziemi. Robiłeś to z perfekcyjną znajomością teoretyczno-praktyczną, zaangażowaniem, odpowiedzialnością i dobrą wolą służenia innym.

Po ukończeniu studiów na Wydziale Rolnym Uniwersytetu Jagiellońskiego, mgr inż. Andrzej Świerczewski rozpoczyna pracę w doświadczalnych gospodarstwach rolnych na terenach odzyskanych po II wojnie światowej, we wsi Dąbrówka i Uszyce, a potem udaje się w rejon proszowickich czarnoziemów, do gospodar-

9. Pożegnanie wygłoszone przez wnuczkę Małgorzatę Lewczuk-Kot.
10. Ostatnie pożegnanie wygłoszone 31 marca 2011 r. w Nowym Sączu przez Wiesława Pyczka

stwa w Czulicach. Ostatnim etapem tej zawodowej podróży są gospodarstwa hodowli roślin w Aleksandrówce i Wielopolu, w których, jako dyrektor tych jednostek, pracuje intensywnie nad tworzeniem nowych, wydajnych w uprawie odmian zbóż, wykazując jednocześnie inicjatywę rozbudowy obiektów, w tym zaplecza mieszkaniowego dla pracowników. Oprócz działalności zawodowej mobilizował i organizował miejscową młodzież do uprawiania sportu, w tym niezbyt popularnej jazdy konnej, hippiki i szybownictwa. Podczas okupacji niemieckiej aktywnie działał w podziemiu, w szeregach Armii Krajowej, a w okresie PRL za brak lojalności kilka miesięcy odsiedział w więzieniu. Jego barwnych opowiadań przeplatanych niekiedy swoistym humorem słuchaliśmy z wielką uwagą i szacunkiem.

Andrzeju!

Dziś w głębokiej zadumie i żalu żegna Cię serdecznie nowosądecka społeczność; zarówno ci z którymi przez tak wiele lat współpracowałeś, ale i mieszkańcy podkrakowskich Bieńczyc, dziś już niestety nieistniejących, zabudowanych blokowiskiem. Wsi Twojego dzieciństwa i młodości, do której zawsze powracałeś tak, jak powraca się do rodzinnego domu. W wielu dziedzinach byłeś dla nas przykładem godnym naśladowania. Jeśli ta wieś szczyciła się kultywowaniem bogatych tradycji, folkloru i staropolską gościnnością, prostą i naturalną kulturą – w znacznym stopniu była w tym Twoja zasługa i Twojej Rodziny – dzierżawców majątku ziemskiego, stanowiącego własność kurii biskupiej w Krakowie. Szczególnie miło wspominam czasy naszej działalności w Katolickim Stowarzyszeniu Młodzieży Męskiej, gdzie rolę przywódczą pełnił druh Andrzej. Hasłem powitalnym i pożegnalnym w tym Stowarzyszeniu było słowo „Gotów".

Druhu Andrzeju!

I ja Ciebie dziś żegnam tym hasłem – GOTÓW!

Z mojej strony, niech będzie ono deklaracją dalszej gotowości przestrzegania przekazanych nam przez Ciebie prawd i zasad życia. Do grobu, w którym za chwilę spoczną Twoje zwłoki, pozwolę sobie wrzucić garść ziemi, którą przywiozłem z Twoich ukochanych Bieńczyc, wioski Twojego dzieciństwa i młodości. Niech Ci ona lekka będzie! Cześć Twojej Pamięci!

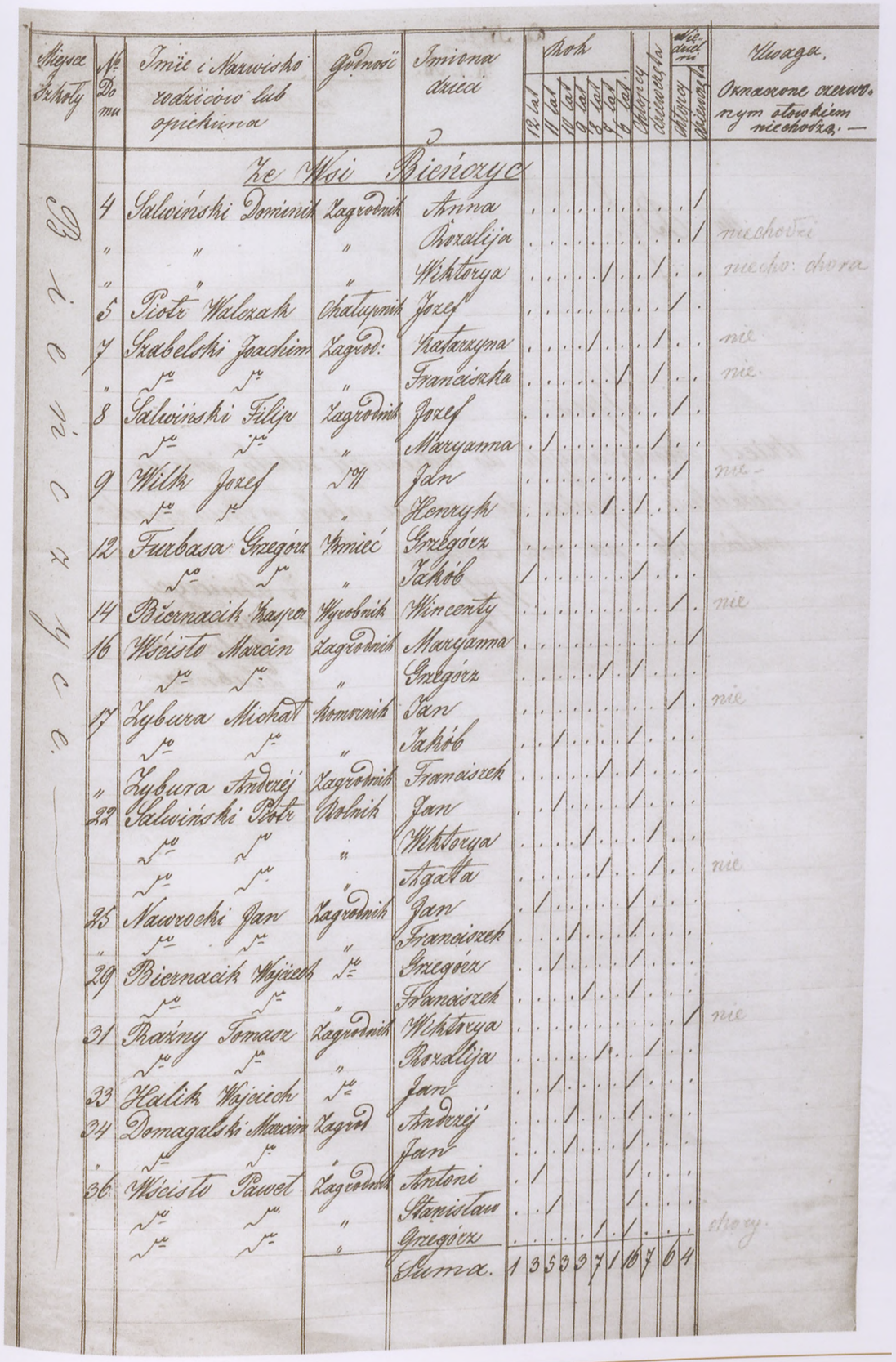

Miejsce szkoły	№ Domu	Imię i Nazwisko rodziców lub opiekuna	Godność	Imiona dzieci	Wiek: 12 lat	11 lat	10 lat	9 lat	8 lat	7 lat	Objętych obowiązkiem szkolnym	Uczęszczających	Nieobecności: usprawiedliwionych	Nieobecności: nieusprawiedliwionych	Uwaga. Oznaczone czerwonym ołówkiem niechodzą. —
		Ze Wsi Bieńczyce													
Bieńczyce	4	Salwiński Dominik	Zagrodnik	Anna										1	
	"	"	"	Rozalija										1	niechodzi
	"	"	"	Wiktorya						1		1			niechodz: chora
	5	Piotr Walczak	Chałupnik	Józef										1	
	7	Szabelski Joachim	Zagrod:	Katarzyna					1			1			nie
	"	"	"	Franciszka						1		1			nie
	8	Salwiński Filip	Zagrodnik	Józef										1	
	"	"	"	Maryanna		1						1			
	9	Wilk Józef	"	Jan										1	nie
	"	"	"	Henryk						1		1			
	12	Furbasa Grzegorz	Rzemieś	Grzegorz										1	
	"	"	"	Jakób	1							1			
	14	Biernacik Kacper	Wyrobnik	Wincenty										1	nie
	16	Wścisło Marcin	Zagrodnik	Maryanna										1	
	"	"	"	Grzegorz						1		1			
	17	Zybura Michał	Komornik	Jan										1	nie
	"	"	"	Jakób		1						1			
	"	Zybura Andrzej	Zagrodnik	Franciszek						1		1			
	22	Salwiński Piotr	Rolnik	Jan		1						1			
	"	"	"	Wiktorya						1		1			
	"	"	"	Agata						1		1			nie
	25	Nawrocki Jan	Zagrodnik	Jan					1			1			
	"	"	"	Franciszek					1			1			
	29	Biernacik Wojciech	"	Grzegorz					1			1			
	"	"	"	Franciszek					1			1			
	31	Ruźny Tomasz	Zagrodnik	Wiktorya						1		1			nie
	"	"	"	Rozalija						1		1			
	33	Halik Wojciech	"	Jan					1			1			
	34	Domagalski Marcin	Zagrod	Andrzej					1			1			
	"	"	"	Jan					1			1			
	36	Wścisło Paweł	Zagrodnik	Antoni		1						1			
	"	"	"	Stanisław		1						1			
	"	"	"	Grzegorz						1		1			chory
				Suma.	1	3	5	3	3	7	1	6	7	6	4

Miejsce Szkoły	No Domu	Imię Nazwisko rodziców lub opiekuna	Godność	Imiona dzieci	12 Lat	11 Lat	10 Lat	9 Lat	8 Lat	7 Lat	obecnych dzisiaj	Nieobecni dzisiaj: nieobecnych	nieobecnych	Uwaga.
	38	Lenda Błazij	Kmieć	Błazej			1				1			
		〃 〃		Wiktorya				1			1			
	39	Wrawczyk Jan	Zagrodnik	Jan		1					1			
		〃	〃	Andrzej					1		1			
	40	Madejski Jakób	Zagrodn.	Łucya									1	
		〃 〃	〃	Wojciech									1	
		〃 〃	〃	Franciszek				1			1			
	43	Zięba Franciszek	Zagrodn.	Jan				1			1			
		〃 〃	〃	Franciszek					1		1			
	45	Salwiński Andrzej	Zagrod	Grzegórz		1					1			
		〃 〃	〃	Jan				1			1			chory.
		〃 〃	〃	Katarzyna					1		1			
	47	Wdowa po Janie Biernacika	Zagrodnik	Salomeja									1	
		〃 〃		Jan		1					1			
	57	Szamajski Feliks	Rolnik	Jakob									1	
		〃 〃	〃	Feliks		1					1			
	52	Nawara Jan	Kmieć	Jan Franc.									1	nie.
		〃 〃	〃	Salomeja									1	
		〃 〃	〃	Maryanna				1			1			
	53	Ptak Antoni	Rolnik	Franciszek									1	
		〃 〃	〃	Paweł			1				1			
		〃 〃	〃	Salomeja			1				1			
		〃 〃	〃	Maryanna			1				1			
		〃 〃	〃	Wiktorya				1			1			
	54	Pyzarek Stanisław	Rolnik	Tomasz			1				1			chory.
		〃 〃	〃	Paweł				1			1			
		〃 〃	〃	Katarzyna					1		1			nie
	55	Ciepiela Jan	Zagrod	Agnieszka									1	
		〃 〃	〃	Jan		1					1			
		〃 〃	〃	Barbara				1			1			
	56	Durlicc Piotr	Zagrod.	Wiktorya									1	
		〃 〃	〃	Katarzyna				1			1			
	58	Ciepiela Wojciech	Zagrod	Wojciech					1		1			
	62	Wdowa po Macieju	Ptaku	Tomasz									1	
		〃 〃	Zagrod.	Jakób									1	
					1	4	3	9	4	3	15	9	6	5

Miejsce Szkoły	No Domu	Imię i Nazwisko rodziców lub opiekuna	Godność	Imiona dzieci	12 Lat	11 Lat	10 Lat	9 Lat	8 Lat	7 Lat	obecnych dzisiaj	nieobecnych dzisiaj: nieobecnych	nieobecnych	Uwaga.
	65	Ciepiela Jakób	Kmieć	Urban									1	
	67	Ciepiela Andrzej	Kmieć	Stanisław									1	chory
		〃 〃	〃	Franciszka				1			1			
	69	Salwiński Franciszk	Zagrod	Franciszek				1			1			
	71	Biernacik Mateusz	〃	Jakób	1						1			
		〃 〃	Stolarz.	Franciszek				1			1			
		〃 〃	〃	Wojciech					1		1			
	74	Wrawczyk Karol	Zagrod	Grzegórz									1	nie
	76	Kotlyza Maciej	Zagrod	Jan									1	nie
		〃 〃 ojciec		Katarzyna		1					1			nie kulawa chodzi
		Kotlyza Maciej Syn	Zagrod	Piotr					1		1			
	77	Włodek Kasper	〃	Marcin									1	nie
		〃 〃	〃	Franciszka									1	nie
		〃 〃	〃	Franciszek		1					1			nie
		〃 〃	〃	Grzegórz				1			1			nie
		〃 〃	〃	Jan					1		1			nie
	21	Włodek Wincenty	Zagrod	Stanisław						1	1			
	64	Berner Izaak	Krawiec	Michał	1									
				Julijanna		1								
				Suma	1	2	1	3	1	2	1	9	2	5	1
				1 Suma	1	3	5	3	3	7	1	16	4	6	4
				2 Suma		1	4	3	9	4	3	15	9	6	5
		W Bieńczycach	ogółem		2	6	10	9	13	13	5	40	13	17	10
												58		27	

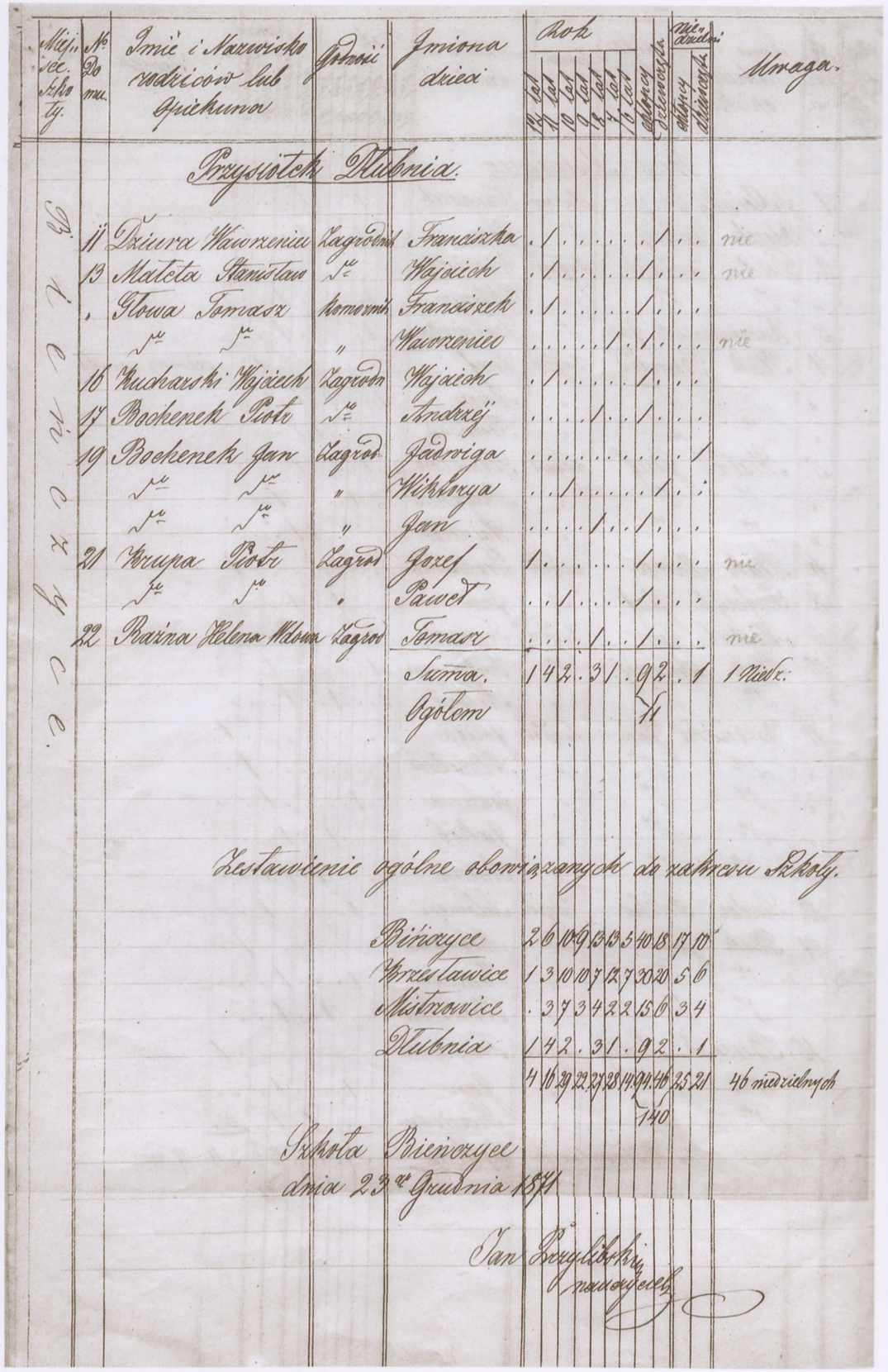

Miejsce szkoły	No domu	Imię i Nazwisko rodziców lub opiekuna	Godność	Imiona dzieci	Rok 12 lat	11 lat	10 lat	9 lat	8 lat	7 lat	obecnych	nieobecnych	Uwaga
		Przysiołek Dłubnica											
Dłubnica	11	Dziura Wawrzeniec	Zagrodnik	Franciszka	.	1	.	.	.	.	1	.	nie
	13	Mateta Stanisław	"	Wojciech	.	1	.	.	.	.	1	.	nie
		Głowa Tomasz	komornik	Franciszek	.	1	.	.	.	.	1	.	
		" "	"	Wawrzeniec	.	.	.	.	1	.	1	.	nie
	16	Kucharski Wojciech	Zagrodn	Wojciech	.	1	.	.	.	.	1	.	
	17	Bochenek Piotr	"	Andrzej	.	.	.	.	1	.	1	.	
	19	Bochenek Jan	Zagrod	Jadwiga	.	.	.	.	.	.	.	1	
		" "	"	Wiktorya	.	.	1	.	.	.	1	.	
		" "	"	Jan	.	.	.	.	1	.	1	.	
	21	Krupa Piotr	Zagrod	Józef	1	.	.	.	.	.	1	.	nie
		" "	"	Paweł	.	.	1	.	.	.	1	.	
	22	Raźna Helena Wdowa	Zagrod	Tomasz	.	.	.	1	.	.	1	.	nie
				Suma.	1	4	2	.	3	1	.	9	2	.	1	1 Niedz.
				Ogółem								14				

Zestawienie ogólne obowiązanych do zakresu Szkoły.

Bieńczyce	26	10	9	15	13	5	10	8	17	10		
Krzesławice	1	3	10	10	7	12	7	3	20	5	6	
Mistrzowice	.	3	7	3	4	2	2	1	5	6	3	4
Dłubnia	1	4	2	.	3	1	.	9	2	.	1	
	4	16	29	22	27	20	14	9	1	46	25	21
									140			

46 niedzielnych

Szkoła Bieńczyce dnia 23ci Grudnia 1871

Jan Szczepański nauczyciel

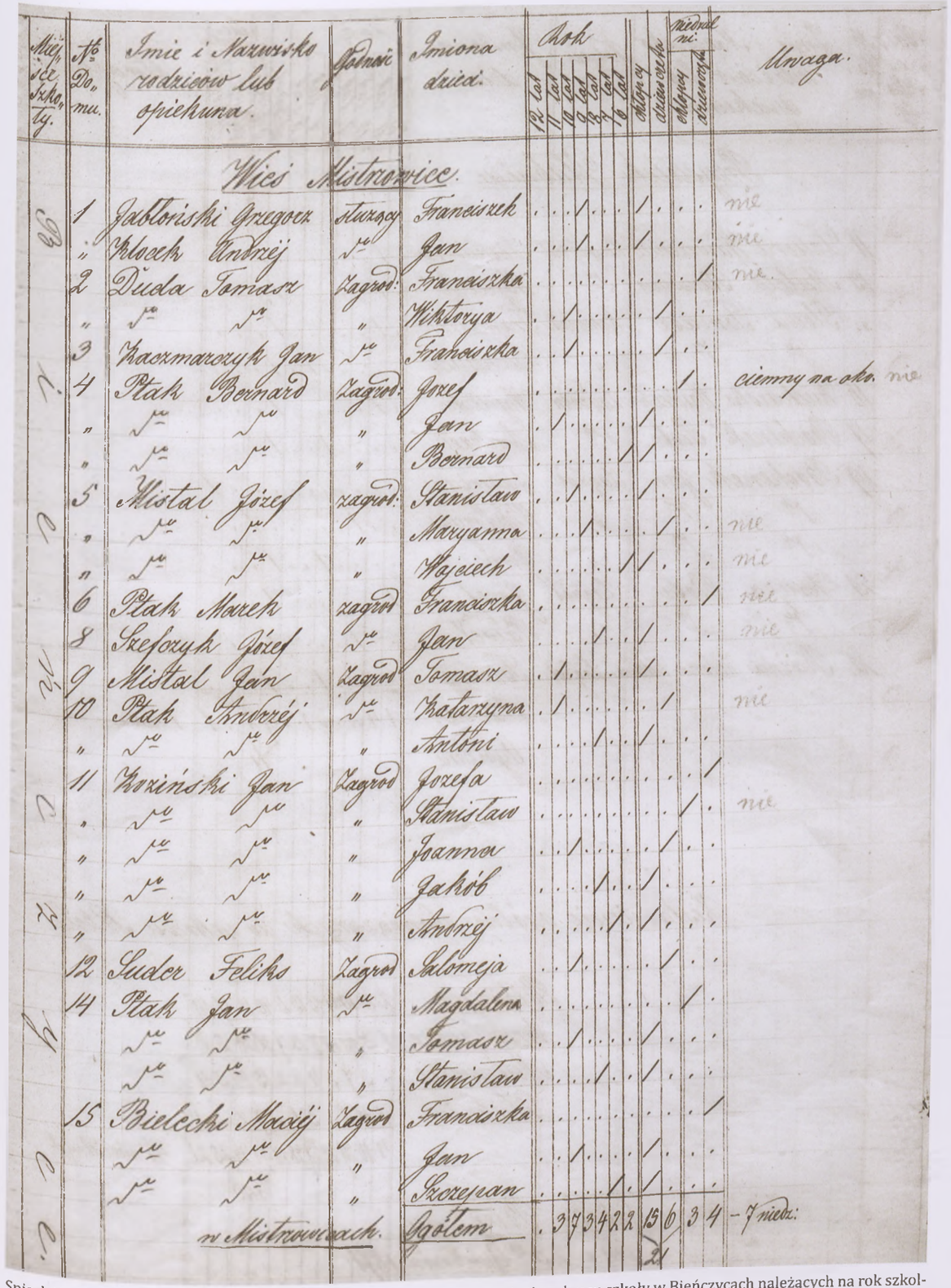

Miejsce szkoły	No domu	Imię i Nazwisko rodziców lub opiekuna	Godność	Imiona dzieci	Rok 12 lat	11 lat	10 lat	9 lat	8 lat	7 lat	obecnych	nieobecnych	Uwaga
		Wieś Mistrzowice											
Bieńczyce	1	Jabłoński Grzegorz	starszy	Franciszek	.	.	1	.	.	.	1	.	nie
	"	Kłoczek Andrzej	"	Jan	.	.	1	.	.	.	1	.	nie
	2	Duda Tomasz	Zagrod	Franciszka	.	.	.	.	.	.	.	1	nie
	"	" "	"	Wiktorya	.	.	1	.	.	.	1	.	
	3	Kaczmarczyk Jan	"	Franciszka	.	.	1	.	.	.	1	.	
Krzesławice	4	Ptak Bernard	Zagrod	Józef	.	.	.	.	.	.	.	1	ciemny na oko nie
	"	" "	"	Jan	.	1	.	.	.	.	1	.	
	"	" "	"	Bernard	.	.	.	.	.	1	1	.	
	5	Mistal Józef	zagrod	Stanisław	.	.	1	.	.	.	1	.	
	"	" "	"	Maryanna	.	.	1	.	.	.	1	.	nie
	"	" "	"	Wojciech	.	.	.	.	.	1	1	.	nie
	6	Ptak Marek	zagrod	Franciszka	.	.	.	.	.	.	.	1	nie
	8	Skrzeczyk Józef	"	Jan	.	.	1	.	.	.	1	.	nie
Mistrzowice	9	Mistal Jan	Zagrod	Tomasz	.	1	.	.	.	.	1	.	
	10	Ptak Andrzej	"	Katarzyna	.	1	.	.	.	.	.	1	nie
	"	" "	"	Antoni	.	.	.	1	.	.	1	.	
	11	Wiśniski Jan	Zagrod	Józefa	.	.	.	.	.	.	.	1	
	"	" "	"	Stanisław	.	.	.	.	.	.	.	1	nie
	"	" "	"	Joanna	.	.	1	.	.	.	1	.	
	"	" "	"	Jakób	.	.	.	1	.	.	1	.	
	"	" "	"	Andrzej	.	.	.	1	.	.	1	.	
	12	Suder Feliks	Zagrod	Salomeja	.	1	.	.	.	.	1	.	
	14	Ptak Jan	"	Magdalena	.	.	.	.	.	.	.	1	
	"	" "	"	Tomasz	.	1	.	.	.	.	1	.	
	"	" "	"	Stanisław	.	.	.	1	.	.	1	.	
	15	Bielecki Maciej	Zagrod	Franciszka	.	.	.	.	.	.	.	1	
	"	" "	"	Jan	.	1	.	.	.	.	1	.	
	"	" "	"	Szczepan	.	.	.	.	1	.	1	.	
		w Mistrzowicach.		Ogółem	.	3	7	3	4	2	2	15	6	3	4	7 niedz.
											21					

Spis dzieci obowiązanych do codziennej szkoły, jako też Niedzielnej z gmin do zakresu szkoły w Bieńczycach należących na rok szkolny 1871/72 z Bińczyc, z Krzesławic, z Mistrzowic, z Dłubnia (pisownia oryginalna).

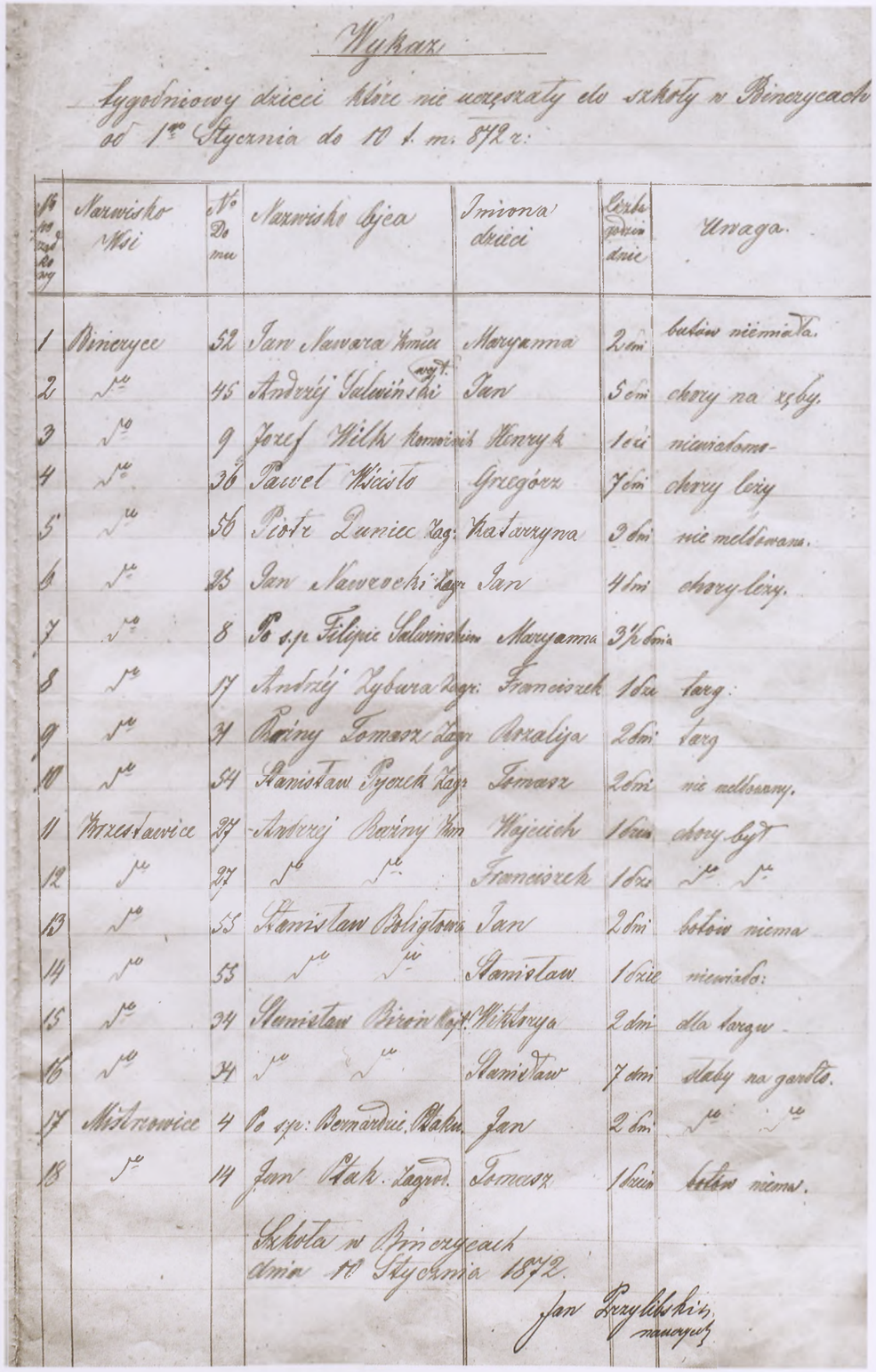

Wykaz

tygodniowy dzieci które nie uczęszczały do szkoły w Bieńczycach od 1go Stycznia do 10 t. m. 1872 r.

Nro porządkowy	Nazwisko Ojca	Nro Domu	Nazwisko Ojca	Imiona dzieci	Liczba godzin dzie	Uwaga.
1	Bieńczyce	32	Jan Sawara Kmieć	Maryanna	2 dni	bolów niema.
2	"	45	Andrzéj Salwiński wyt.	Jan	5 dni	chory na zęby.
3	"	9	Jozef Wilk komornik	Henryk	1 dzi	niewiadomo.
4	"	36	Paweł Wcisło	Grzegórz	7 dni	chory leży
5	"	56	Piotr Dunicz Zag:	Katarzyna	3 dni	nie mieszkamy.
6	"	25	Jan Nawrocki Zagr.	Jan	4 dni	chory leży.
7	"	8	Po śp. Felipie Salwińskim	Maryanna	3½ dnia	
8	"	17	Andrzéj Zybura Zagr.	Franciszek	16u	targ.
9	"	31	Bańny Tomasz Zagr.	Rozalija	2 dni	targ
10	"	54	Stanisław Pyzorek Zagr.	Tomasz	2 dni	nie odbrany.
11	Brzestawice	27	Andrzéj Bańny Km	Wojciech	1 dzień	chory był
12	"	27	" "	Franciszek	16u	" "
13	"	55	Stanisław Boligłowa	Jan	2 dni	bolów niema
14	"	55	" "	Stanisław	16zie	niewiadomo:
15	"	34	Stanisław Bieńczyk wyt.	Wiktoryya	2 dni	dla targu.
16	"	34	" "	Stanisław	7 dni	słaby na gardło.
17	Mistrowice	4	Po śp: Bernardzi Baku	Jan	2 dni	" "
18	"	14	Jan Ptak Zagrod.	Tomasz	1 dzień	bolów niema.

Szkoła w Bieńczycach
dnia 10 Stycznia 1872.

Jan Przylibski, nauczyciel

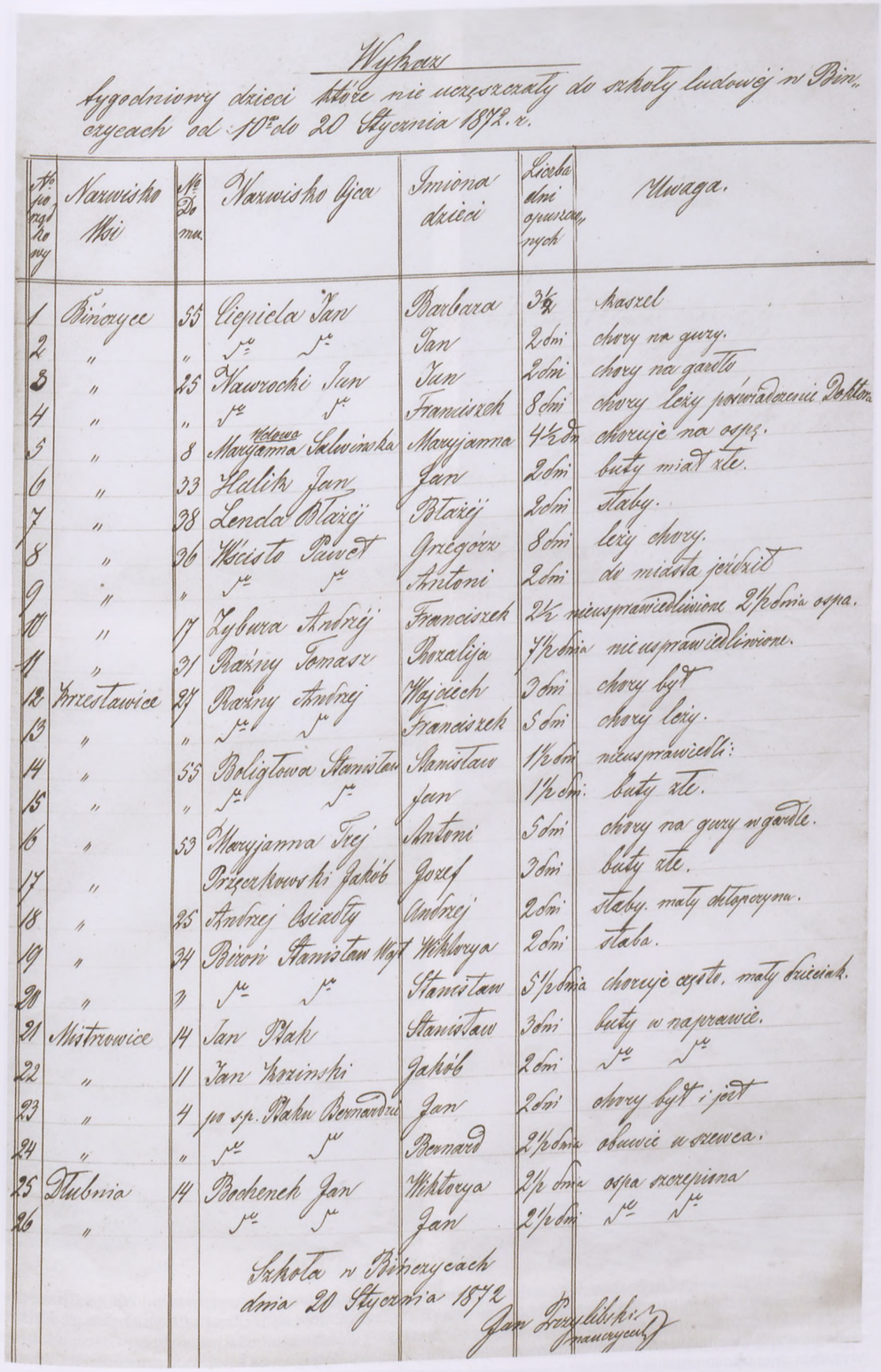

Wykaz

tygodniowy dzieci które nie uczęszczały do szkoły ludowej w Bieńczycach od 10go do 20 Stycznia 1872. r.

Nro porządkowy	Nazwisko Ojca	Nro Domu	Nazwisko Ojca	Imiona dzieci	Liczba dni opuszczonych	Uwaga.
1	Bieńczyce	35	Cieplela Jan	Barbara	3½	kaszel
2	"	"	" "	Jan	2 dni	chory na guzy.
3	"	25	Nawrocki Jan	Jan	2 dni	chory na gardło
4	"	"	" "	Franciszek	8 dni	chory leży potwierdzenie Doktora
5	"	8	Marzyanna Salwińska wdowa	Maryjanna	4½ dn	chorują na ospę.
6	"	33	Halik Jan	Jan	2 dni	buty złe.
7	"	38	Lenda Błażéj	Błażéj	2 dni	słaby.
8	"	36	Wcisło Paweł	Grzegórz	8 dni	leży chory.
9	"	"	" "	Antoni	2 dni	do miasta jeździł
10	"	17	Zybura Andrzéj	Franciszek	2½	nieusprawiedliwione 2½ dnia ospa.
11	"	31	Bańny Tomasz	Rozalija	2½ dnia	nieusprawiedliwione.
12	Brzestawice	27	Bańny ćwirzej	Wojciech	2 dni	chory był
13	"	"	" "	Franciszek	5 dni	chory leży.
14	"	55	Boliglowa Stanisław	Stanisław	1½ dni	nieusprawiedli:
15	"	"	" "	Jan	1½ dni	buty złe.
16	"	53	Marzyjanna Trzej	Antoni	5 dni	chory na guzy w gardle.
17	"		Brzezkowski Jakób	Józef	3 dni	buty złe.
18	"	25	Andrzéj Osiałły	Andrzéj	2 dni	słaby. mały dziecinny.
19	"	34	Bieńczyk Stanisław wyt.	Wiktoryya	2 dni	słaba.
20	"	"	" "	Stanisław	5½ dnia	chorują często, mały dzieciak.
21	Mistrowice	14	Jan Ptak	Stanisław	3 dni	buty w naprawie.
22	"	11	Jan Wrzesiński	Jakób	2 dni	" "
23	"	4	po śp. Baku Bernardzi	Jan	2 dni	chory był i jest
24	"	"	" "	Bernard	2½ dnia	obawie w dziecka.
25	Dubnica	14	Bochenek Jan	Wiktoryya	2½ dnia	ospa szczepiona
26	"		" "	Jan	2½ dni	" "

Szkoła w Bieńczycach
dnia 20 Stycznia 1872

Jan Przylibski, nauczyciel

Szanowna Rado Szkolna Miejscowa w Raciborowicach!

Podpisany ma zaszczyt przedłożyć Szanownej Radzie Szkolnej miejscowej – Wykaz tygodniowy dzieci nie uczęszczających do szkoły ludowej w Bińczycach a to od 1-go Stycznia do 10 t.m. 1872 roku. Szkoła ludowa w Bińczycach, dnia 10-go Stycznia 1872 r.

Jan Przylibski, nauczyciel (pisownia oryginalna).


J. KRASNOWOLSKI.


P. Stachiewicz mal. „PANNA MŁODA" (Krakowianka)




H. Uziembło Pan młody — Le fiancé

Pani Elżbieta Dzikowska z d. Bochenek mieszka w Bieńczycach i zbiera stare karty pocztowe od 2007 r. Gromadzenie zbioru, który dziś jest imponujący, nastąpiło niemal równolegle z moją akcją „Czas zatrzymany". Pani Elżbieta uważa, że kolekcjonowanie przez nią pocztówek, wybór tematyki i głębsze zainteresowanie przeszłością własnego regionu, wypływa z inspiracji jakich dostarczył wymieniony projekt. Wypływa on z pomysłu gromadzenia, opracowywania oraz udostępniania fotografii i wspomnień z terenów na których powstała Nowa Huta, co przekłada się na wystawy, serię wydawniczą książek i spotkania. Kartki pocztowe z Jej kolekcji pochodzą w większości sprzed około stu lat, a dotyczą głównie krakowskiego folkloru i tradycji. Są to reprodukcje dzieł rysunkowych, malarskich i fotograficznych, na których ukazane są święta, obrzędy religijne, wesela, a także widać ludzi ubranych w stroje


Krakowiak




Krakowianka

ludowe, ponadto występują scenki rodzajowe i wiejska architektura. Pośród nazwisk autorów pojawiają się: W. Wodzinowski, Juliusz Kossak, Ludwik Stasiak, Jacek Malczewski, Józef Mehoffer, Piotr Stachiewicz, Adam Setkowicz, Henryk Uziębło, Władysław Tetmajer, J. Bielicz, St. Bielić, Teodor Axentowicz, Julian Fałat, A. Nowakowski, Józef Krasnowolski, Wlastimil Hofman, St. Tondos, St. Fabiański, Wojciech Kossak, Leon Wyczółkowski, K. Żelechowski, K. Kostecki, Sylweriusz Saski, Władysław Świerzyński, Jan Januszewski i in. Dawniej kartki pocztowe były ważnym środkiem komunikacji społecznej, a dziś są kolekcjonowane i cenione dla urokliwego, sentymentalnego wyglądu oraz wartości historycznej.





Dziewczyny z Bieńczyc, pocz. XX w.



Na fotografii wykonanej ok. 1910 roku obok domu Biernacików „Kubusiów" przy skręcie na Budzyń znajdują się dawni mieszkańcy Bieńczyc. W jej opisie zachowano oryginalną pisownię z przydomkami niektórych osób. Zdjęcie skopiował przed laty Władysław

Bochenek i opisał według informacji pochodzących od śp. Franciszki Turbasowej, Józefa Salwińskiego oraz innych mieszkańców „starych" Bieńczyc. Dzięki ich trosce i wrażliwości możemy dziś zidentyfikować ludzi, z których nikogo nie ma już pośród żywych – ale zostali utrwaleni na fotografii.

Opis zdjęcia:

1. Józef Walczak „Pyrsiok" z Budzynia przy figurze 2.Władysław Nawrocki ojciec Władysława i Pazdalskiej
3. Jan Wścisło „Wach" zam. obok szkoły, ojciec Zofii Chodźko, Jana i Władysława
4. Katarzyna Ciepiela, siostra Franciszki Turbasowej z Ciepielów
5. Lendowa, matka Błażeja i Wiktorii, żony Wojciecha Waśko
6. Dziwiszowa, matka Jana, Józefa i Anny, żony Franciszka Ciepieli
7. Marcjanna Bochenek, matka Rozalii Merc i Katarzyny Krawczyk żony Józefa
8. Framciszka Turbasowa z d. Ciepiela, siostra Jana i Franciszka
9. Maria Sawicka, matka Jana Franciszka i Julii – później żony Zientary
10. Kotyzowa ze wsi, matka Marii, Piotra i Jana
11. Julia Salwińska z d.Jędrszczyk, matka Józefa Salwińskiego
12. Krupowa, żona Grzegorza, mówiło się o nim: „do Flajtra na Zagościńcu"
13. Ciepielowa, dawna akuszerka, matka Józefa Ciepieli, sekretarza gminy w Mogile
14. Magdalena Salwińska, żona Józefa, matka Franciszka, mówiło się : „do Chmielowskiego"
15. Maria Wilkówna, później żona Walentego Fimy
16. Katarzyna Kaszowska, matka pana Janka
17. Krawczykowa, żona dróżnika spod szkoły, matka Wincentego i Anieli
18. Ciepielowa – matka Stanisława, mówiło się „do Polowioka",
19. Franciszek Ciepiela „Landaus" – sobowtór cesarza Franciszka Józefa I
20. Jakub Krawczyk z Kąta, ojciec Andrzeja Krawczyka „Garusa"
21. Biernacikowa „spod Młyna", babcia Zofii Rojek
22. Feliks Zamojski – ówczesny wójt Bieńczyc, ojciec Józefa, Piotra, Julii i Bronisławy
23. Franciszek Bieżanowski, ojciec Franciszka i Salomei – żony Józefa Bochenka
24. Józefa Pszczoła „Rymarka", matka Józefa, Wincentego i Błażeja
25. Tomasz Marzec, ojciec Wiktorii Pszczoły i Błażeja
26. Jan Kotyza z Budzynia, ojciec Cebulowej, Możejkowej i Sławeńskiej
27. Jan Raźny „przy gościńcu", ojciec Jana, mówiło się "do Jacka"
28. Salwiński „Pagórek", ojciec Piotra, Andrzeja, Jana, Marii, Anieli i Katarzyny
29. Jakub Orda, ojciec Jana i Andrzeja
30. Barbara Biernacik „Wielguska z Popilowa", matka Franciszka i Barbary – żony Krawczyka
31. Biernacikowa z Budzynia, babcia Władysława i Mariana Biernacików
32. Maria Turbasowa „ze wsi", matka Józefa, Jakuba i Jana
33. Żylska z Budzynia z córką Marysią na rękach, później żona Siudka z Krzesławic
35. Jan Jędrszczyk, ojciec Józefa i Jana. Dziadek Jasia Jędrszczyka
37. Grzegorz Turbasa z Budzynia, ojciec żony Jana Bochenka
38. Maria Biernacikowa
39. Andrzej Zybura „obok Ulińskiego", ojciec Piotra
40. Jan Zięba „przy kaplicy" ojciec Jana, Franciszka i Fornalczykowej (Pyrlik)
41. Feliks Zamojski, ojciec Pawła i Feliksa
42. Biernacik „Mateusek przy Kubusiu od Batożnika"
43. Raźny „przy kaplicy" czyli „Dworku".

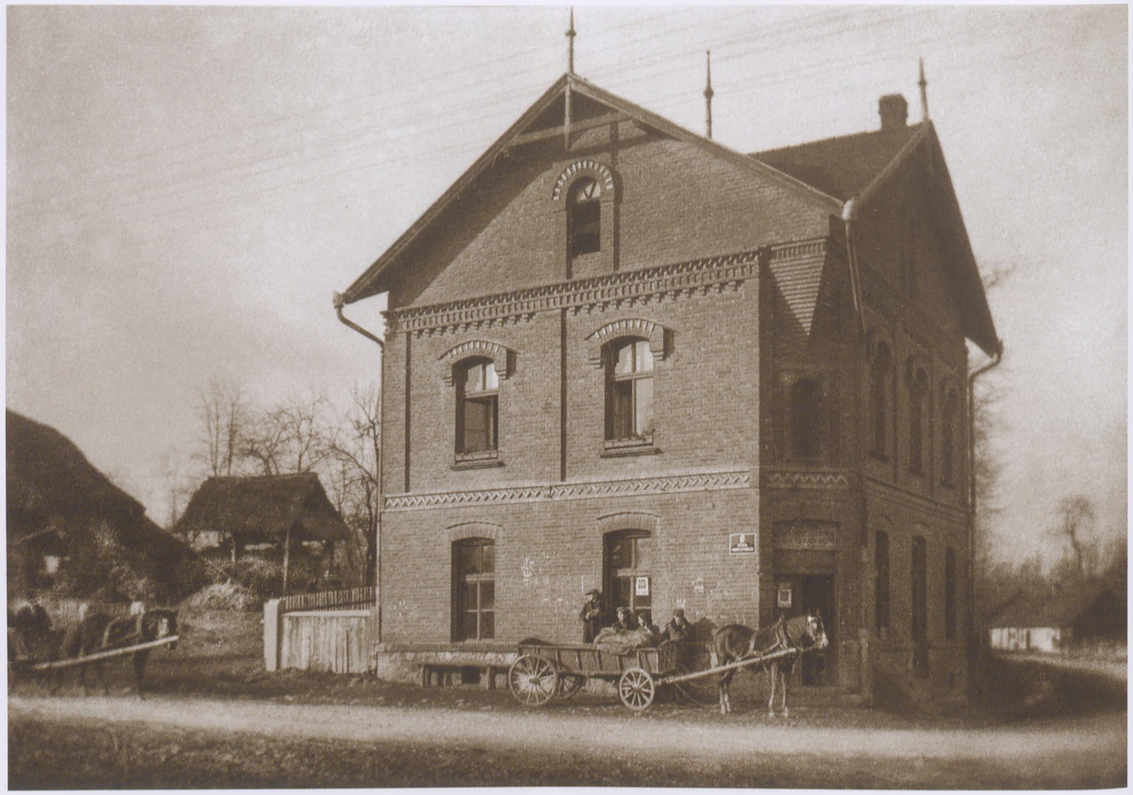

Budynek Polskiego Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół", Bieńczyce, lata 20.



Marcjanna z Szafrańskich (1864-1947) i Franciszek (1859-1936) Ptakowie w otoczeniu rodziny, Bieńczyce ok. 1917 r. Siedzą od lewej: córka Zofia Norkowa, Marcjanna, Franciszek, Wiktoria Jędrszczykowa (siostra Franciszka) i syn Wojciech. Stoją: córka Salomea, córka Maria (później Zawadowa), syn Władysław, córka Stefania (później Bieroniowa), syn Stanisław. Dziewczynki to córki Franciszki (z Ptaków) Halikowej – Zofia i Janina.





1. Józef Osiadły (1893-1976). Z zawodu tokarz metalowy precyzyjny, szlify zdobywał m.in. w Wiedniu. Swoją przyszłą żoną, młodszą od niego o 7 lat Kasią Salwińską zauroczył się w Bieńczycach gdy miała 12 lat i od razu zadeklarował jej rodzicom chęć poślubienia Kasi. Panna młoda zwyczajowo otrzymywała w posagu ziemię. Kiedy nadszedł czas ślubu, Józef odmówił przyjęcia w posagu ziemi, wyjaśniając zdumionym rodzicom, że pragnie pojąć tylko Kasieńkę. Zdjęcie wykonano w 1915 r.
2. Z lewej Katarzyna Salwińska (1900-1969) z kuzynką Marią Salwińską, 1915 r.
3. Katarzyna Osiadły z domu Salwińska z mężem Józefem Osiadłym, ok. 1919 r.
4. Katarzyna i Józef Osiadłowie ze swoimi dziećmi: Rysią (zdrobnienie imienia Maria), Józiem i Juleczkiem, 1927 r.



Jan Pyczek (1902-1938) z siostrą Katarzyna z Pyczków Zawadową, ok. 1917 r.

Był uczniem Gimnazjum św. Jacka w Krakowie, uczestnik obrony Lwowa 1918-1919, pracował na Poczcie Dworcowej.



Porucznik Piotr Salwiński (1897-1994), syn Jana i Wiktorii, pochodził z Bieńczyc. Uczestnik pierwszej i drugiej wojny światowej oraz wojny z bolszewikami, odznaczony krzyżem „Za udział w wojnie 1918-1921" oraz medalem „Za udział w wojnie obronnej 1939". Fotografia z ok. 1920 r.



Bieńczycanie na Wawelu w 1928 r. Od lewej: NN, NN, Jan Ciepiela, NN, Władysław Lelito, właściciel młyna w Bieńczycach, NN, Jan Biernacik, p. Bieżanowski. Być może chodzi tutaj o datę 28.07.1929 r., kiedy na Wawelu w imieniu chłopów ziemi krakowskiej delegacje z różnych wiosek witały Ignacego Mościckiego, prezydenta RP, np. wiązankę kwiatów prezydentowi wówczas wręczali: Maria Partylanka i Józef Gajoch z Pleszowa.



Od lewej Jan Raźny, Franciszek Raźny w mundurze policjanta, poniżej Wiktoria Raźna (w stroju krakowskim) z domu Zamojska, żona Jana. W środku Katarzyna Raźna z domu Kozik, primo voto Ptak, żona Franciszka. Jej ojciec Józef Kozik, jak i ojciec Jana Raźnego byli powstańcami styczniowym. Kozikowie też byli rodem kniaziów ruskich. Pierwsza wzmianka w herbarzu 1445 r. Przez wieki posłowali do Sejmu Polskiego. Stracili majątki w wojnach z Moskwą, bo opowiedzieli się po stronie polskiej. Po powstaniu zatrudnieni we młynach Starego Kirchmajera, który wspomagał powstanie. Z prawej w środku żona Franciszka Raźnego. U dołu z lewej nieznany blondynek, Elżbieta Trznadel (Stefańska) i Adolf Trznadel.

Jan i Franciszek którzy stoją na zdjęciu, to bracia. Matką ich była kobieta stojąca w środku: Katarzyna Raźna. Katarzyna Raźna i Jan Raźny mieli dzieci: Jana, Franciszka, Katarzynę i Annę. Bieńczyce, ok. 1929 r.



Anna z domu Raźna i Mikołaj Trznadlowie

„Mojej babci Annie Trznadlowej, z domu Raźnej też wywłaszczano po kawałku wszystko co miała. Chcieli wydrzeć ostatni kawałeczek za bezcen i się nie udało. Dzięki jej córce, mojej mamie, Marylce Czarneckiej. Była notariuszem i dowiodła, że babcia już nic więcej nie ma i zgodnie z prawem muszą zapłacić za tę reszteczkę. Mama robiła wiele kontraktów znajomym z Bieńczyc. U Pana Turbasy szyła sobie płaszcz. Pamiętam przymiarki w jego zakładzie. Zabierała mnie ze sobą. Byłam małą dziewczynką i robiło to na mnie duże wrażenie. Wspominała też panią Cieślewiczową i jej dwie córki, z którymi przyjaźniła się jeszcze przed wojną. Pani Cieślewiczowa dzierżawiła majątek w Bieńczycach. W tym majątku znalazło „zatrudnienie" wiele osób, dzięki temu uniknęły zsyłki. Mama prowadziła tam księgowość, chociaż była jeszcze b. młodziutka (1924). Nie było łatwo, bo Niemcy wszystko kontrolowali, a trzeba było uzasadnić tak liczne zatrudnienie. Dzięki temu było w domu trochę więcej jedzenia. Zapłatę otrzymywała w naturze. W tym majątku ukrywał się nauczyciel szkoły w Bieńczycach, z rodziną. Cała wieś wiedziała, że jest Żydem i nikt go nie zdradził!!! Chodził co niedzielę do kościoła. Uczył zdaje się matematyki, więc mógł nie być lubiany przez uczniów. Po wojnie wyjechał z żoną i córką do Izraela. Pani Cieślewiczowa i jej córki odwiedzały się z mamą przez wiele lat. Mąż pani Cieślewiczowej zginął tragicznie na samym początku wojny i to z rąk Polaka, ale nie znam szczegółów. Dziadek znalazł się w Bieńczycach w 1919 r., przeżył jako żołnierz armii austriackiej całą I wojnę światową. Powrócił do rodzinnej Nakwaszy koło Podkamienia i okazało się, że nie ma już ani wsi, ani żony, ani synów. Znalazł się w Krakowie i ożenił się po raz trzeci z moją babcią. Jego pierwsza żona zmarła prawdopodobnie przy porodzie, zostawiając go z synkiem".

opis: Aleksandra Mroczkowska



Anna Trznadel z domu Raźna ze swoimi dziećmi.
Od lewej u góry: Kazek, Anna Trznadel, Ela. Siedzą: Adolf i Marylka, Bieńczyce, ok. 1929 r.



Rodzina Kotyzów, z lewej Katarzyna, NN, Kacper, Piotr, Bieńczyce, ok. 1930 r.



Katarzyna Kotyzowa z domu Wach, ok. 1930 r.



Rodzina Krawczyków: Stanisław (mistrz masarski) z żoną Anielą i dziećmi, od lewej: Zofia, Henryk, Elżbieta i Stasia, ok. 1930 r. Jedna z rdzennych rodzin bieńczyckich, która w trudnych latach okupacji zasłużyła się społeczną aktywnością niesienia pomocy żywnościowej dla przymierających głodem rodzin nauczycielskich, osób ukrywających się oraz potrzebujących pomocy. Wysyłali też paczki żywnościowe polskim oficerom przebywającym w niemieckich obozach. Córka – Ela Krawczykówna działała w konspiracji, była łączniczką AK i zdobywała wiedzę na tajnych kompletach nauczania. Sklep mięsny (stoi do dziś) prowadzony przez mistrza masarskiego Stanisława Krawczyka i jego żonę Anielę był ośrodkiem rozdziału żywności dla potrzebujących pomocy. Państwo Krawczykowie działali w Polskim Stronnictwie Ludowym, byli w 1937 r. współfundatorami sztandaru PSL w Bieńczycach. Po wojnie Aniela Krawczyk weszła w skład małopolskiej delegacji na wielką patriotyczną manifestację w Szczecinie, popierającą mikołajczykowskie Polskie Stronnictwo Ludowe.



Wiktoria Waśko z dziećmi: Marią, Zofią i Eugeniuszem, na odpuście w Mogile, ok. 1933 r.



Stanisław Krawczyk, mistrz masarski i właściciel sklepu w Bieńczycach z synem Henrykiem na odpuście w Mogile, ok. 1934 r.



Festyn szkolny w Bieńczycach, 17.05.1936 r.



Drużyna piłkarska Klubu Sportowego „Tęcza" z Bieńczyc na meczu wyjazdowym, lata 30. Stoją od lewej: Eugeniusz Hajto, Władysław Krawczyk, NN, Władysław Ciepiela, Piotr Wawrocki, NN, Józef Antkiewicz, NN, kucają: Edward Zybura, Rosjanin NN – bramkarz, Jan Pyrlik.



Dziewczyny z Bieńczyc, lata 30. Od lewej: Zofia Pyczek, Janina Kaczmarczyk (później żona Andrzeja Ptaka), Władysława Pyczek, Bronisława Żylska, Helena (?) Krawczyk, NN



Dworek, czyli miejsce, w którym rozwijało się i kwitło życie religijne i kulturalne Bieńczyc. Do I wojny światowej był w posiadaniu ss. Szarytek. Budynek miał cztery duże izby, kuchnię oraz sień, a na poddaszu były dwa pokoiki. W jednej sali na parterze była urządzona kaplica. Potem Dworek został zakupiony przez ks. Ludwika Płonkę, proboszcza w Raciborowicach i przeszedł na własność Stowarzyszenia Dzieci Maryi. Od 1926 r. był użytkowany także przez Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej i inne stowarzyszenia katolickie. W czasie okupacji zamieszkały w nim zakonnice ze zgromadzenia ss. Matki Bożej Miłosierdzia (Magdalenki) z Borku Fałęckiego i prowadziły przedszkole, współpracowały z Radą Główną Opiekuńczą zajmując się biednymi, a po powstaniu warszawskim przybyłą ze stolicy ludnością. Po wojnie dobudowano prezbiterium oraz zakrystię i powstała kaplica, która dotrwała do 1969 r., kiedy została zburzona w związku z budową nowego kościoła pw. Matki Bożej Królowej Polski (Arka Pana). Bieńczyce, lata 20.



Przed piekarnią Władysława Motyki w Bieńczycach, lata 40.
Od lewej: Władysław Biernacik, sołtys, Jan Ciepiela, wójt gminy Mogiła i jego syn Władysław.



Fragment murowanej, piętrowej szkoły z 1913 r. Był to wówczas najokazalszy budynek na całą okolicę. Posiadał pięć dużych sal do nauki z wielkimi oknami, kancelarię i mieszkanie dla kierownika szkoły. Do 1932 r. był nim Kazimierz Łowczowski. Pracowały wówczas nauczycielki: Maria Zielińska, Władysława Cholewowa, Maria Kozerówna oraz dwie jego córki: Zofia i Maria. Następcą Łowczowskiego został Józef Celiński, aż do jej likwidacji w 1967 r. Przez długie lata uczyli w tej szkole: Olga Kęskowa, Zofia Chrzanowa, Stachnikowa, Starachowiczówna (p.m. Łowczowska), Józef Buzała i Zygmunt Druciak, a po wojnie Maria Kotyzowa i Wolnikowa. W pierwszych latach budowy Nowej Huty, kiedy na nowych osiedlach nie było jeszcze szkół, wówczas dzieci z tych osiedli uczęszczały do Bieńczyc gdzie nauka odbywała się na dwie zmiany, a szkoła liczyła około sześćset uczniów.

Po zlikwidowaniu szkoły jej obiekt przebudowano i umieszczono w nim „Dom Dziecka".

Na skutek błędów popełnionych przy jego modernizacji władze oświatowe musiały przenieść „Dom Dziecka" do innych pomieszczeń, a w dawnej szkole zrobiono biura i magazyny.



Kazimierz Łowczowski, kierownik szkoły w Bieńczycach, lata 20.

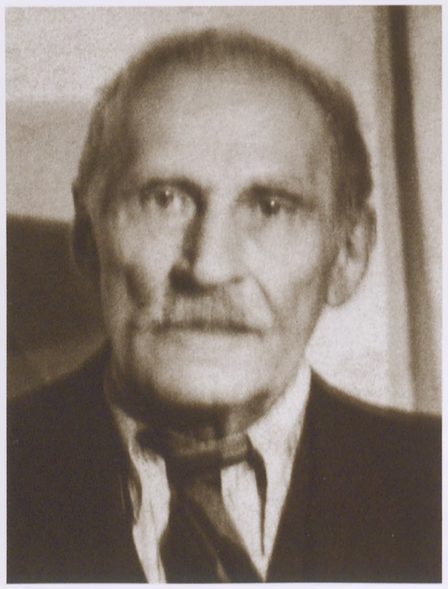

Kazimierz Łowczowski na emeryturze, lata 60.



Od lewej: Zofia i Helena Celińskie (córka i żona Józefa, kierownika szkoły w Bieńczycach), Olga Kęska (nauczycielka) z córką Danutą, ok. 1934 r.



Manifestacja patriotyczna, Bieńczyce, 23.04.1939 r.

Co nam piszą

BIEŃCZYCE i P. O. P.

Z inicjatywy niedawno powstałego Koła Związku Rezerwistów przy współudziale wszystkich miejscowych organizacyj jak: Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Męskiej, Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży żeńskiej, Stronnictwo Ludowe, Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet, Obóz Zjednoczenia Narodowego i szkoły, odbyła się w niedzielę dnia 23 kwietnia br. manifestacja za podpisywaniem Pożyczki Obrony Przeciwlotniczej. O godzinie 8.30 odbyła się w miejscowej kaplicy Msza św. odprawiona przez O. Roberta Cystersa z Mogiły. Po Mszy św. mimo deszczu uformował się pochód, w którym poza organizacjami wzięła udział cała ludność miejscowa. Pochód przeszedł przez całą wieś głośno manifestując swoje uczucia patriotyczne. W pochodzie niesiono transparenty z napisami: „Pamiętaj Niemcze, Grunwald, Plowce, Psie Pole!", „Nie damy ziemi skąd nasz ród" i t. p. Z powodu deszczu odbył się wiec zamiast na wolnym powietrzu, w szkole. Korytarze, sale i klatkę schodową szczelnie wypełnili zebrani. Na wiecu przemawiali przedstawiciele wszystkich organizacyj deklarując gotowość służenia Ojczyźnie, oddania wszystkiego nawet krwi, gdy tego zajdzie potrzeba. Wszystkie organizacje deklarowały odpowiednie kwoty na FON i POP. — K. S. M. M. i Ż. odegrało na FON przedstawienie. Zakończono wiec uchwaleniem rezolucji i odśpiewaniem „Jeszcze Polska".

K. J.

Wycinek prasowy opisujący manifestację w Bieńczycach, „Dzwon Niedzielny" nr 19 z 1939 r.



Maria Kotyzowa z domu Halik (1912-1963) z dziećmi nad Dłubnią, Bieńczyce, maj 1939 r.



Przedstawienie w Bieńczycach, w szkole lub w Dworku, 1943 r.
W pierwszym rzędzie od lewej: Janina Pazdalska, Zofia Raźna, Zofia Kapelan, NN
W drugim rzędzie: Maria Osiadły, NN, Maria Zięba, Stanisława Fuss, Żylska – w cylindrze, Zofia Pyrlik, NN
W trzecim rzędzie: Kazimiera Lenda, Maria Ciepiela, Władysława Pyczek, NN, Kazimiera Ciepiela – anioł.



Z lewej Józef Celiński z dzieckiem i nauczycielkami; NN, NN, Olga Kęskowa, z prawej Helena Celińska, Bieńczyce, maj 1942 r.



Z lewej Józef Celiński (1900-1991), kierownik szkoły w Bieńczycach (jej budynek znajduje się w tle) z żoną Heleną (1896-1963), także nauczycielką i córkami, NN., 08.1938 r.



Po omłotach przy stodole w Bieńczycach, 1944 r.
Z lewej Marysia oraz Józia Ciepiela.



Przy studni, Bieńczyce, lata okupacji
Od lewej: Franek Ciepiela i Franek Pyrlik (kuzyni)



Rodzina Biernacików
Od lewej: Wiktoria, Stanisław, Jan, Franciszka, Katarzyna.
W środku siedzi Maria Biernacik, dzieci: Krystyna, Zofia (p.m. Rojek), Stanisław, Bieńczyce, 1942 r.



Przedstawienie w szkole w Bieńczycach, 19.02.1946 r.
Z tyłu drugi od lewej Józef Celiński, kierownik szkoły, czwarta od lewej Maria Kotyzowa.



Józef Celiński na emeryturze, 1970 r.



Koledzy z Bieńczyc.
Od lewej: Józef Osiadły, Józef Turbasa, Jan Bochenek i Władysław Walerjan (pochodził z Krzesławic), Bieńczyce, styczeń 1945 r.



Droga z Czyżyn do Bieńczyc, styczeń 1945 r.
Drugi z prawej: Jan Bochenek.



Na pierwszym planie z lewej: Władysław Walerjan z Krzesławic, Zofia Ciepielówna (p.m. Turbasa) i jej młodszy brat Franciszek.
Na stacji w Bieńczycach, ok. 1948 r.



Mieszkańcy Bieńczyc w oczekiwaniu na niedzielny mecz piłki nożnej, który rozgrywano na łąkach nad Dłubnią, tam, gdzie obecnie nieopodal jazu znajdują się ogródki działkowe. Prowizoryczne boisko wybudowano pierwotnie na terenie, który w latach 20. i 30. XX w. dzierżawił od kurii biskupiej w Krakowie Kazimierz Cieślewicz, ówczesny wójt gminy Mogiła.
Pierwsza z lewej Zofia Ciepielówna (p. m. Turbasa). Bieńczyce, ok. 1948 r.



Niedzielne popołudnie na łąkach w Bieńczycach, 1946 r.
Od lewej: Wanda Jędrszczyk, Helena Osiadły, Jan Pyczek, Jan Jędrszczyk (z tyłu), Maria Osiadły, Anna Zybura.



Z lewej Elżbieta Krawczyk, córka Anieli i Stanisława, mistrza masarskiego oraz Zofia Ciepiela, córka Katarzyny i Jana, Bieńczyce nad młynówką, lata 40. lub 50.



Piwiarnia u Banerta, Bieńczyce, ok. 1953 r.
Od lewej: Jan Turbasa, Władysław Rojek, Marian Jędrszczyk



Katarzyna i Józef Osiadłowie z córkami: Marią (z lewej) i Heleną, Bieńczyce, 1948 r.



Uroczystości prymicyjne o. Bogumiła Salwińskiego w klasztorze oo. Cystersów w Mogile, 1953 r.
Na zdjęciu powozi Władysław Salwiński ze swoim synem, Stefanem. Krakowianki, a zarazem druhny prymicjanta, to (od lewej): NN, Janina Salwińska, Władysława Salwińska, Helena Osiadły, Maria Osiadły (p. m. Nowak).



Od lewej: Tadeusz Krawczyk, Józef Krawczyk i Andrzej Ptak ze sztandarem Polskiego Stronnictwa Ludowego z 1937 r., ukrywanym w czasie wojny w bieńczyckim mieszkaniu Ptaków przy ul. Cienistej w formie obrazu na ścianie, gdzie z drugiej strony sztandaru widoczny był wizerunek Matki Bożej Częstochowskiej, Bieńczyce lata 60. lub 70.



Zajęcia szkolne prowadzi Olga Kęska, nauczycielka, Bieńczyce, początek lat 50.

Na jednej z plansz widnieje napis: „Realizujemy rok Planu 6 letniego".





Od lewej: Zofia Bochenek (z domu Zybura) z synkiem Andrzejem, Franciszek Łoboda, Katarzyna Łoboda, Franciszek Bochenek, Wiktoria Zybura, Kazimierz Zybura (ojciec), Kazimierz Zybura (syn).

Dzieci od lewej: Adaś Kotyza (syn Piotra), Halinka Łoboda, Boguś Bochenek i (prawdopodobnie) Hania Łoboda.

Bieńczyce, ok. 1955 r.







Dożynki w Bieńczycach

Fotografie te zostały wykonane zostały w 1946 lub 1947 roku i przedstawiają uroczystości odbywające się podczas wiejskich dożynek w Bieńczycach. Dożynki (Święto Plonów) były ludowym świętem połączonym z obrzędami dziękczynnymi za ukończenie żniw i prac polowych, stanowiły relikt dawnych zwyczajów o charakterze magicznym, mających zapewnić urodzaj na przyszły rok. Dziękowano za bieżące plony i proszono o jeszcze lepsze w roku następnym. Wróżono przyszłość, a po modlitwach i rytualnych obrzędach organizowano biesiady i występy artystyczne, następowała ogólna zabawa przy muzyce. Dożynki były świętem rolniczego stanu, połączonym z festynem i występami zespołów ludowych. W tamtych czasach zaspokajały one część duchowych potrzeb mieszkańców, ale stanowiły także manifestacją chłopskiej odrębności i dumy. Były organizowane po zakończeniu wszystkich najważniejszych prac polowych i zebraniu plonów, a głównie plonu zbóż. W Bieńczycach urządzano je 15 sierpnia, w święto Matki Boskiej Zielnej. Obchodzono je każdego roku, przerwane były tylko w okresie okupacji. Pierwsze dożynki po wojnie zorganizowano już w 1945 r. Zakończenie żniw miało najpierw swą uroczystą oprawę w świątyni. W każdym kościele parafialnym święcono obrzędowe pieczywo oraz wieńce dożynkowe wykonywane głównie z kłosów zbóż przez wytypowane wcześniej okoliczne wsie. Wieńce miewały różnorodne kształty, ale zazwyczaj były zakończone w formie wielkiej korony, hostii, krzyża lub koła. Korowodowi z wieńcami idącemu zwykle przez całą wieś towarzyszyły przekazywane z pokolenia na pokolenie przyśpiewki, którym corocznie dodawano zwrotki nawiązujące do aktualnych wydarzeń. Wieńce dożynkowe utożsamiały wszystkie zebrane plony i urodzaj oraz uświetniały ceremoniał. Niosły go najlepsze gospodynie, a za nimi postępował orszak chłopów i chłopek ubranych w odświętnie w stroje krakowskie. Po złożeniu wieńców gospodarzowi dożynek, rozpoczynała się gwarna biesiada, na której spożywano ciasta i wspaniałe, wielkie kołacze, upieczone wcześniej przez gospodynie. Ceremoniom dożynkowym przewodniczyli wybierani corocznie Starosta i Starościna. Przed wojną gospodarzem w Bieńczycach był zwykle wójt Jan Ciepiela. Organizowała je wówczas młodzież zrzeszona w Katolickim Stowarzyszeniu Młodzieży Żeńskiej i Męskiej, a np. w Pleszowie Koło Młodzieży Wiejskiej WICI. Takim miejscem w Bieńczycach gdzie zbierała się cała wieś by świętować dożynki były łąki nieopodal jazu na Dłubni przy







obecnej ulicy Kaczeńcowej. Tam, za stawem dworskim, nieopodal domu dla fornali budowano drewnianą estradę z desek. Po biesiadzie odbywały się występy artystyczne: młodzież deklamowała, wykonywała skecze, śpiewała, tańczyła i grała na ludowo. Pierwszym tańcem był Krakowiak potem Mazur Kujawiak i Polonez. Par było nawet 16. Na fotografiach z tej serii występują: Janka Biernacik, Janina Kaczmarczyk, Aleksandra Kotyza, Helena Krawczyk, Zofia Nawara, Zofia Zybura z d. Bochenek, Maria Żylska, Jan Bochenek (ojciec Elżbiety Dzikowskiej, kolekcjonerki krakowskich kart pocztowych), Bronisław Dżuła, Andrzej Ptak, Zbyszek Pyczek (student medycyny), Karol Żylski i in. No i oczywiście mieszkańcy ówczesnych Bieńczyc i okolicznych wiosek. Cały układ taneczny przygotowywała Zofia Bochenek, która wraz ze Zbyszkiem Pyczkiem była wysyłana na kursy tańca do Krakowa. Pani Zofia ukończyła także kursy tańca ludowego w Gaciach i Milówce. Występy przygotowywano około miesiąca. Młodzież bardzo chętnie spotykała się w tym celu codziennie, mimo prac polowych. Była to dla nich wspaniała przygoda i zabawa, którą z radością ale i nutą nostalgii wspominają do dzisiaj...

Adam Gryczyński – na podstawie wspomnień z 2006 r. Zofii Zybury, Janiny Kaczmarczyk, Andrzeja Ptaka i Wiesława Pyczka, niestety wszyscy Oni już odeszli...







Rozdział III

Raciborowice

Kronika szkoły w Raciborowicach (fragmenty)[1]

Założenie szkoły

Przed rokiem 1819 jak się z akt szkolnych widzieć daje, nie było jeszcze zaprowadzonej szkoły we wsi Raciborowice. Ówczesny ksiądz proboszcz Chwastkiewicz wspomina w raporcie do Dozoru Głównego szkół pod dniem 9 listopada 1818 r., że żadnej szkoły przed tym rokiem w miejscu nie było. Dnia 14 sierpnia 1819 r. podały wsi: Raciborowice, Zastów i Węgrzce do Dozoru Głównego Szkół początkowych prośbę o otworzenie szkoły początkowej we wsi Raciborowice. Dozór Główny szkół początkowych w okręgu krakowskim wiedząc, jakie korzyści z zaprowadzenia szkół dla kraju wynikną, polecił pismem datowanym powyższym dniem wójtowi gminnemu panu Skalskiemu, aby natychmiast komisyję zrobił na gruncie, aby jak najspieszniej mogła być szkółka w Raciborowicach stworzoną. Dnia 29 sierpnia 1819 r. przybył ówczesny wójt gminy p. Skalski do Raciborowic aby wszelkie okoliczności do stworzenia szkółki parafialnej sięgające zbadać, i przekonał się, że z powodu zaniedbanych przyzwoitych kroków przez Dozór miejscowy, otwarcie szkółki nie nastąpiło. Zwiedziwszy ówczesny wójt gminny p. Skalski miejsca sposobne na umieszczenie szkółki, między innymi wynalazł w starym browarze izbę próżno stojącą, która potrzebuje reperacji, a szkółka dogodnie w tym browarze stworzoną być może. Ponieważ tenże browar należał do Ks. Dubieckiego, kanclerza, kanonika katedralnego, więc wójt gminny w tym że samym dniu uczynił zapytanie do Ks. Dubieckiego w tej myśli, co też tenże przez swego ekonoma przychylną dał odpowiedź z tym warunkiem, aby mu czynszu rocznego z tejże izby, 30 Złotych polskich płacono, który to czynsz wsi zakresu szkolnego do kasy akademickiej składały. Co się tyczy sporządzenia ławek, tablicy, doradził p. Skalski, aby gromady supli-kujące uczyniły tymczasową składkę i z tejże potrzeby szkolne sprawiły, aby później wydatki poczynione na cały zakres szkolny rozłożyć. Gromada Raciborowice złożyła zaraz 40 Złot. pol. i zrobiono 5 ławek do siedzenia, 3 do pisania i okna sporządzono. Powziąwszy Dozór Główny szkół wiadomość z raportu p. Skalskiego wójta z odbytej komisyi szkolnej w Raciborowicach, przysłał pod dniem 28 września 1819 r. do L.382. pochwałę wójtowi gminy Mogiła p. Skalskiemu za gorliwe zajęcie się szkołą w Raciborowicach, oczekując raportu o rozpoczęciu nauki szkolnej – równocześnie nominuje pana Dominika Palmowskiego na zastępcę nauczyciela z roczną pensyją 300 Złotych polskich.

1. Autorem większości wpisów jest Kazimierz Rumian. Zachowano pisownię oryginalną



Janina Rumian prowadzi zajęcia kroju i szycia, lata 20.



Janina i Kazimierz Rumianowie, lata 30.

Przygotowania potrzebne i reparacyje wynajętej izby na szkołę spiesznie postępowały, albowiem już dnia 1 października 1819 r. otworzono szkołę i rozpoczęto naukę dzieciom udzielać, jak raport do dozoru miejscowego przez ks. Chwastkiewicza plebana, pana Bartkiewicza zastępcę wójta i Michała Zbroję podpisany do Dozoru Głównego szkół przesłany świadczy. Rozpoczęto naukę w szkółce dzieciom udzielać pierwszy raz dnia 1 października 1819 r. za wolnego ściśle neutralnego miasta Krakowa i jego okręgu i Senatu rządzącego, pod ten czas rządzącego Wodzickiego – prezesa Senatu. W dniu tym zgromadziło się 61 dzieci, z których już 10-go czytały. Na zapytanie ks. Chwastkiewicza od kogo mają początki? Nauczyciel Dominik Palmowski odpowiedział: „że będąc w roku zeszłym nominowany, po wyegzaminowaniu co do zdolności na nauczyciela szkół początkowych, na nauczyciela zastępcę, aczkolwiek niepłatny, we wsi Zastów zgromadził niektóre dzieci i w początkach czytania usposabiał". Dozór miejscowy zatem postanowił przedstawić staranie jego do Dozoru Głównego, aby przez wzgląd na od dawna bezpłatne udzielanie dzieciom nauki mógł być z pensyją całkowitą 600 Złot. pols. i innemi dodatkami wynagrodzony. Szkółka w Raciborowicach zaledwie do roku 1829 trwała, a to z braku odpowiedniego mieszkania. Izba szkolna jako bardzo zdezelowana, wilgotna, zimna, że śnieg i deszcz dokuczał dzieciom, nie mogła służyć na udzielanie nauki. Nauczyciel Jan Bicz douczywszy do ostatniego dnia maja 1829 r. przeniósł się do Krakowa.

Z przytoczonego powodu od ostatniego maja 1829 r. aż do 1833 r. żadnej szkoły w Raciborowicach nie było. W roku 1832 przybywszy, Pan Ignacy Radzikowski na organistę do Raciborowic za ówczesnego proboszcza ks. Chwastkiewicza zaczął z własnej chęci wykładać nauki dzieciom od 1 lutego 1833 r. w domu organisty za dozwoleniem ks. plebana. Pan Ignacy Radzikowski przy objęciu posady nauczycielskiej w 1833 r. żadnych rekwizytów szkolnych nie odebrał, widząc zaś brak takowych kazał 15 sztuk ławek do siedzenia i pisania sprawić, które znów w roku 1841 nowemi zastąpiono.

Od roku 1833 trwała nauka w szkole ciągle w domu organaryi w jednej izbie 8 łokci długiej a 6 szerokiej, gdzie się dzieci do 80 na naukę zgromadzało. W roku zaś 1844 pan Radzikowski zakupiwszy na własność dom razem do niego przynależnym gruntem, odstąpił izbę jedną na szkołę za rocznym 180 zł polskich wynoszącym czynszem, który od gmin zakresu szkolnego pobierał. Od tego więc roku naukę dzieciom udzielano w domu wynajętym od Radzikowskiego. W roku 1860 został pan Ignacy Radzikowski z posady nauczyciela na stan spoczynku przeniesiony, a na miejsce jego nominowany Tomasz Klimonda, który objąwszy szkołę dnia 1 września 1860 r. w domu Radzikowskiego wynajętą dosyć obszerną, ale bardzo zdezelowaną odebrał od poprzednika swego 16 ławek jeszcze dosyć nowych, dalej stół, dwa stołki i szafę na składanie czapek i chustek dzieci szkolnych oraz dwie chorągiewki, które umieszczono w kościele. Natomiast nie odebrał ani księgi wizyt, ani szkółki drzew owocowych, ani nawet dzikich drzew, których kilka miało być w gruncie szkolnym posadzonych, aby go od strony południowej w czasie stapiania śniegu na wiosnę lub ulewnych deszczów od uszkodzenia zabezpieczyć. Wszystkie te drzewa pan Radzikowski ustępując z posady wyrąbał. Następny nauczyciel Tomasz Klimonda na nowo młodemi drzewkami poobsadzał, aby tym sposobem zabezpieczyć grunt szkolny. Gminy zakresu szkolnego widząc, że czynsz za wynajęcie lokalu na izbę szkolną i na mieszkanie dla nauczyciela za drogim będzie uchwaliły zakupić dom razem z gruntem w ilości 7 morgów pod nr. 18 położonej na własność szkoły za cenę 1030 zł r. Dom ten wyrestaurowano tak, że naukę w nowym domu szkolnym z dniem 1 grudnia 1862 r. rozpoczęto. Grunt zaś wydzierżawiono na lat 10. Z pieniędzy odebranych za wydzierżawienie pokryto koszta restauracji wynoszące 200 Złr. w.a.

Ponieważ dom ten położony był przy rzece (przykopie młyńskiej) na miejscu bagnistem, na wiosnę i w jesieni nieprzystępnem, a przez to na szkołę niestosowny, z tej więc przyczyny gminy zakresu szkolnego za zezwoleniem C.K. Władzy Obwodowej dom razem z gruntem w roku 1865 sprzedały za cenę 1125 zł r Za część tych pieniędzy zakupiły gminy zakresu szkolnego kawałek gruntu przy wsi położony 1357 (dalej znak nieczytelny, być może chodziło o m kw. – dop. red.) wynoszący od Ignacego Radzikowskiego za cenę 375 Zł r. I na tym placu obrawszy budowniczego Jana Romanowskiego gospodarza z Prądnika Białego, który za umówioną cenę 2975 Zł r. zobowiązał się postawić dom szkolny, budynki gospodarskie, wybić studnię na podworcu, wymurować piwnicę i ogród parkanem z desek ogrodzić. W tym nowym domu rozpoczęto naukę dzieciom udzielać dnia 11 grudnia 1865 r. Za tak spieszne wystawienie domu szkolnego jako też budynków gospodarskich należy się pochwała Wiel. Panu Steuer c.k. naczelnikowi powiatu Mogilskiego, który szczerze i gorliwie zajmował się szkołami w tym powiecie, jako też i wójtom, mianowicie: Maciejowi Nowakowi z Raciborowic, Pawłowi Wiatrowi z Zastowa, Piotrowi Czekanowi z Prus, Markowi Wędzisz z Kantorowic, Kazimierzowi Zgołczyńskiemu z Zesławic, Janowi Królowi z Batowic i Ignacemu Rożkowi z Dziekanowic, niemniej i pojedynczym członkom, którzy chętnie bez pomocy dworów wszelkie koszta budowy w jednym roku uskutecznili.

1870 r.

Dnia 2 września p. Tomasz Klimonda mianowany został nauczycielem przy szkole ludowej w Krakowie na Kleparzu a szkółka w Raciborowicach była bez nauczyciela do 10 listopada 1870 r. W tym dniu przybył Franciszek Ks. Maciejowski jako prowizoryczny nauczyciel do Raciborowic. Sam otworzywszy szkołę zastał podłogę w niej na pół zgniłą, jak również i podłogę w kuchni.

1871 r.

W tym roku ukonstytuowała się Rada Szkolna Miejscowa (RSM).

1872 r.

W tym roku nadała Rada Szkolna Krajowa (RSK) na mocy dekretu z dn. 4 września 1872 r. posadę rzeczywistego nauczyciela w Raciborowicach p. Józefowi Sierosławskiemu, który w początku października przybywszy do Raciborowic zaraz rok szkolny rozpoczął.

1873 r.

W tym roku zwrócono szczególną uwagę na uczęszczanie dzieci do szkoły. Na niedbałych rodziców w posyłaniu dzieci do szkoły zaczęto nakładać pieniężne kary. Nauka w porze letniej odbywała się dwa razy na dzień a nie w południe jak poprzednio. Dzieci od początku roku szkolnego 1872/73 zaczęły uczęszczać do kościoła w niedziele i święto – oznaczono im dogodne miejsca w kościele i od tego czasu pod kierunkiem nauczyciela dzieci szkolne śpiewają podczas nabożeństwa. Porą letnią i w dnie powszednie uczęszczały dzieci do kościoła. Panowała w tym roku cholera – na którą jedno z dzieci szkolnych zmarło.

1874 r.

Ten rok zaokrąglił niejako i ugruntował egzystencję szkoły. Rada Szkolna Krajowa orzeczeniem z dn. 16 lipca b.r. uznała szkołę w Raciborowicach za etatową. Odcięto gminy Prusy i Kantorowice ze związku szkolnego i zwolniono je od wszelkich ofiar na rzecz szkoły raciborowickiej.

1875 r.

W pierwszych dniach stycznia poleciła Rada Szkolna Okręgowa (RSO) Radzie szkolnej miejscowej (RSM) dobudowanie drugiej izby szkolnej celem przekształcenia szkoły na dwuklasową z powodu wielkiej liczby uczęszczających dzieci do szkoły.

1876 r.

W tym roku RSO mianowała Stanisława Szarka zastępcą nauczyciela szkoły pospolitej w Raciborowicach. Ten przybywszy rozpoczął rok szkolny z dniem 1 września. Grunt został zupełnie wyniszczony i wyjałowiony, a nawet wypuszczony w dzierżawę kmieciowi p. Prażmowskiemu z Raciborowic i dopiero drogą polubowną przyszedł do odzyskania takowego, kontrakt bowiem dzierżawy rozciągał się i na rok 1877. Szkoła została przy wprowadzeniu się wzmiankowanego nauczyciela wybieloną i podłoga w Sali szkolnej zanadto zabrudzona wymyta. W ciągu roku zwracano uwagę osobliwie na porządek i czystość w sali szkolnej, jak nie mniej na karność szkolną, gdyż dziatwa zanadto była rozpasaną i tylko do kija przywykła.

1876/7

Dziatwy zapisało się do szkoły na 132 obowiązanych

z gminy	
Batowice	13 chłopców, 11 dziewcząt rel. rz. kat.
Dziekanowice	13 chłopców, 10 dziewcząt rel. rz. kat., 1 dz. izrael.
Raciborowice	18 chłopców, 10 dziewcząt rel. rz. kat., 1 dz. izrael.
Zastów	19 chłopców, 16 dziewcząt rel. rz. kat.
Zesławice	8 chłopców, 3 dziewcząt rel. rz. kat., 1 chł. izrael
Ogółem zapisanych było 71 chłopców rel. rz. kat. 50 dziewcząt rel. rz. kat., 1 chł. izr., 2 dz. izrael.	

1877 r.

Na dniu 25 stycznia został dokonany wybór przewodniczącego i wybrano Macieja Raźnego – gospodarza z Dziekanowic. Od 23 marca aż do końca sierpnia włącznie była szkoła zamkniętą z powodu słabości nauczyciela p. Szarka (zapalenie płuc). Od 1 października do końca listopada włącznie, szkolny ogród cały zasadzono drzewkami szlachetnymi, owocowymi oraz krzewami agrestu i malin, przy czym zwracano szczególniej uwagę dziatwy na sposób przesadzania drzewek oraz dokładne postępowanie przy tej czynności. W tych miesiącach założono szkółki siewków oraz szkółkę dziczków i szkółkę drzewek uszlachetnionych. W ogrodzie warzywnym siano pietruszkę oraz marchew na zimę, zwracając uwagę dziatwy na korzyści stąd wynikające. Wszelkie czynności tak w ogrodzie (sadzie) jakoż w szkółce szczepów i w ogrodzie warzywnym wykonywała młodzież, a szczególniej chłopcy praktycznie pod okiem i kierownictwem nauczyciela.

1878/9

W skutek polecenia Rady Szkolnej Krajowej (RSK) obchodzono w dniu 24 kwietnia b.r. uroczystość 25 letniej rocznicy zaślubin Najjaśniejszych Państwa. Licznie zgromadzona dziatwa tak szkoły codziennej jak i niedzielnej płci obojga udała się do kościoła parafialnego, gdzie miejscowy Proboszcz W.X. Jędrzej Przybyś odprawił solenne nabożeństwo. Po „Te Deum" odśpiewała dziatwa hymn ludowy. Po nabożeństwie udała się dziatwa do klasy gdzie jej nauczyciel korzystając ze sposobności wytłumaczył znaczenie tej uroczystości oraz skreślił w krótkich słowach wychowanie Najjaśniejszego Pana od pierwszej chwili życia aż do wstąpienia na tron tudzież podał młodzieży Jego życiorys do dnia dzisiejszego. Wspomniał także, że o urodzinach arcyksiążąt i arcyksiężniczek dają wiadomość mieszkańcom Wiednia i innych większych miast monarchii salwy działowe; 101 strzałów zgłasza urodzenie arcyksięcia, 21 zaś arcyksiężniczki. Podniósł tu także tę okoliczność, ta sama Austria, która przed 25 laty przy wstąpieniu na tron młodego cesarza groziła upadkiem stoi obecnie silniejsza i zdrowsza, niż kiedykolwiek; że mnogie ludy Austrii przyszły do przekonania, że pomyślność pojedynczych krajów zawisła od trwałości całego państwa, że przez to wszystkimi wspólnymi siłami do osiągnięcia tego celu dążyć należy. Wspomniał także dalej o dobrodziejstwach jakich obecnie z łaski najmiłościwiej nam panującego Monarchy używamy, a mianowicie: że mamy autonomię, że wszyscy są wobec prawa zrównani, że postępowanie sądowe jest jawne, a w sprawach karnych o winie obżałowanego orzekają sędziowie przysięgli, że kara cielesna jest zupełnie usunięta, że dziś prawo karze, ale się nie znęca nad winnym, lecz przeciwnie, stara się go moralnie podźwignąć przez naukę i pracę, że dziś do wojska powołują tak samo szlachcica, mieszczanina, kupca, Żyda, Cygana, jak i chłopka od pługa i każdy ma otwarte saldo zaszczytów i godności, byle posiadał naukę i starał się czynić zadość przepisom, że służba czynna w wojsku trwa tylko lat 3 a resztę służy się w domu. Jako zaś największe dobro podniesiono to, że namnożyło się dużo szkół w kraju, nie tylko ludowych ale i średnich jak: szkoły realne, przemysłowe tudzież seminaria nauczycielskie, że język wykładowy w tych szkołach jest ojczysty, że cała nauka zdąża do rozwoju w duchu narodowym. Dziś wolno nam nutą narodową śpiewać pieśni w szkole i na każdym miejscu. Droga do urzędów i najwyższych godności jest każdemu bez różnicy stanu drogą otwartą. W końcu wspomniał nauczyciel, iż położenie nasze jest o wiele pomyślniejsze w porównaniu z losem naszych ojców, a ponieważ to wszystko zawdzięczamy łasce i dobrym chęciom Najjaśniejszego Pana, przeto wezwał dziatwę do okazania mu winnego hołdu i wdzięczności wołając: „Niech żyje Cesarz! Niech żyje Cesarzowa! Niech żyje następca tronu!" – co też dziatwa z nim trzykrotnie powtórzyła.

1879/80

Rok szkolny rozpoczęto wezwaniem Ducha Św. Dnia 1 września na 147 obowiązanej młodzieży było zgromadzonej zaledwie 22 płci obojga. Ponieważ do 6 września zaledwie 60 dzieci się wpisało przeto nauczyciel zmuszony był przeszło 80 obowiązanych a nie zapisanych wykazać RSO celem ukarania opieszałych rodziców. Z początkiem wiosny 1880 r. założył i urządził ogród szkolny według wymagań władz szkolnych Stanisław Szarek – miejscowy nauczyciel.

1880/81

Wpisy do szkoły odbyły się w dniach 29, 30 i 31 sierpnia, naukę zaś rozpoczęto dopiero w dniu 4 września b.r. z powodu przybycia Najjaśniejszego Pana do Krakowa. Dziatwa szkolna na czele z nauczycielem wzięła w dniu przyjazdu Najjaśniejszego Pana czynny udział w powitaniu, wyszedłszy na jego spotkanie na Prądnik Czerwony ku kolei. Młodzież przez czas pobytu Najjaśniejszego Pana w Krakowie była od uczęszczania do szkoły zwolnioną. Wiele zapisanej dziatwy nie uczęszczało w pierwszych dniach września do szkoły z powodu panującej biegunki krwawej, wskutek której kilkoro umarło.

1881 r.

W dniu 10 maja odbyły się zaślubiny Najdostojniejszego Następcy tronu Arcyksięcia Rudolfa z najdostojniejszą królewną belgijską Stefanią. Dziatwa obchodząc dzień ten uroczyście była na solennym nabożeństwie z tej okoliczności odprawionym oraz była zwolniona od nauki szkolnej w tym dniu.

1881/82

Z powodu bezczynności dotychczasowej Rady szkolnej miejscowej Rada Szkolna okręgowa takową rozwiązała, natomiast zarządziła nowe wybory. W skład nowej Rady weszli: W.X. Jędrzej Przybyś proboszcz miejscowy, p. Stanisław Szarek nauczyciel kierujący, jako członkowie stali; jako reprezentant dworów W. Pan Zygmunt Dziewólski dzierżawca dóbr Raciborowice; zaś jako reprezentanci gmin Maciej Raźny gospodarz z Dziekanowic, Józef Raźny młynarz z Raciborowic; Paweł Wiatr gospodarz z Zastowa. Przewodniczącym wybrano W. Pana Zygmunta Dziewólskiego. Mianowanym został dla oddziału równorzędnego przy tutejszej szkole zastępcą młodszego nauczyciela Feliks Gallik rodem z Jasienicy w Galicyi. Zachowanie się jego było nie osobliwsze, gdyż za nadto często przybywali do niego podejrzani o socjalizm koledzy, z którymi robił wycieczki do gmin okresowych do niektórych członków, z tymi pił, grał w karty, buntował ich przeciw kierownikowi swemu a nawet sam im pisał skargę na tegoż do c.k. Rady Szkolnej Okręgowej przytaczając liczne zarzuty, z których jednakże żaden nie mógł być oskarżonemu udowodniony. Zraziwszy sobie takim postępowaniem jako też i zachowaniem władze został z tej posady z dniem 31 sierpnia 1882 r. usunięty.

1883 r.

Okólnikiem Rady Szkolnej Okręgowej został Zarząd szkoły zawiadomiony, że w dniu 12 września 1883 r. przypada uroczystość 200 letniego jubileuszu odsieczy Wiednia przez sprzymierzone wojska pod naczelnym dowództwem króla Jana Sobieskiego – przy czym RSO zezwoliła, by dzień ten był wolny od nauki, celem godnego uczczenia pamięci wiekopomnego zdarzenia. Uroczystość rozpoczęła się solennym nabożeństwem, które odprawił miejscowy proboszcz X. Jędrzej Przybyś. Zgromadzona dziatwa odśpiewała Haidena „Do Ciebie odwieczny Panie" oraz „Hymn Jubileuszowy na cześć króla Jana III Sobieskiego" ułożony przez Władysława Bełzę z muzyką Karola Mikulego. Następnie udała się dziatwa w towarzystwie ks. proboszcza oraz Zygmunta Dziewólskiego, przewodniczącego w Radzie szkolnej miejscowej, do przystrojonej zielenią klasy. Tu po ukazaniu dziatwie portretu wielkiego króla, skreślił Stanisław Szarek, kierownik tutejszej szkoły życie oraz czyny króla Jana Sobieskiego, poczym ks. proboszcz rozdał przeszło 100 obrazków przedstawiających wielkiego bohatera oraz 50 książeczek „Na pamiątkę 200 letniej rocznicy zwycięstwa Jana III Sobieskiego nad Turkami pod Wiedniem" napisanych przez Stanisława hr. Tarnowskiego profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego.

1884 r.

W dniu 24 grudnia 1884 r. rozstała się z tym światem o godzinie 10 wieczór Tosia Szarek córka nauczyciela Stanisława Szarka, w 10 wiośnie swego życia, uczennica szkoły sześcioklasowej u św. Tomasza w Krakowie. Przyczyną śmierci była płonica, którą śp. Tosia zaziębiła jeszcze w Krakowie, skutkiem czego nastąpiła puchlina i zapalenie nerek. Przytomność miała do ostatniej chwili tak, że łamiąc się opłatkiem z ojcem życzyła mu zdrowia, długiego życia i doczekania się z niej i reszty rodzeństwa pociechy. Na kwadrans przed zgonem śpiewała jeszcze kolędy i wybierała się koniecznie na pasterkę. Zaledwie ona swe powieki zamknęła rozłożyła się na tę samą chorobę Wanda licząca lat 7, siostra zmarłej. W dniu 4 stycznia rozchorowała się znowu Emilia licząca lat 8 także na płonicę. Z powodu zatem groźnie występującej epidemii płonicy w budynku szkolnym zarządziła Starostwo ze względów zdrowotnych na wniosek lekarza powiatowego zamknięcie tutejszej szkoły aż do chwili zupełnego wyzdrowienia chorych. Choroba przeciągła się aż do 20 marca 1985 r. bowiem Wanda dostała (słowo nieczytelne – dop. red.), zaś Milcia zapalenia nerek a potem zapalenia płuc. Szkoła została otwarta po wybieleniu całego budynku w dniu 3 marca 1885 r.

1885 r.

Ponieważ rodzice byli opieszali w posyłaniu dzieci do szkoły musiał Zarząd szkoły wystąpić energicznie z przedkładaniem wykazów prześwietnej Radzie szkolnej okręgowej. W dniu 15 września 1886 r. przejeżdżał Najjaśniejszy Pan przez Kraków wracając z manewrów pod Przemyślem.

1886/7

Rok szkolny zakończono wcześniej z polecenia Rady szkolnej okręgowej, a to z przyczyny przybycia Najdostojniejszej Pary Następcy tronu Arcyksięcia Rudolfa z najdostojniejszą swą małżonką Stefanią do Krakowa w dniu 29 czerwca, gdzie przez 3 dni bawili. W uroczystym przyjęciu Najdostojniejszych gości wzięła udział młodzież szkół w sąsiedztwie Krakowa i wokół położonych a pomiędzy tymi i młodzież szkoły raciborowickiej oraz parafianie tutejszej parafii. Młodzież na czele z panem Stanisławem Szarkiem miejscowym nauczycielem, a parafianie na czele z ks. Walentym Jasicą wikariuszem miejscowym ze sztandarami, świątecznie ubrani udali się na kilku wozach dla powitania Najdostojniejszej Pary pod Kraków na wały kolejowe, gdzie się ustawili przy przejeździe z Zielonek do Krowodrzy. Na paręset kroków od orszaku pociąg zwolnił i przejeżdżał bardzo powoli około ustawionej długim szeregiem wzdłuż drogi kolejowej młodzieży szkolnej kilkunastu szkół i parafian sąsiednich. W przejeździe Najdostojniejsza Para Arcyksiążęca za oddawane jej hołdy dziękowała i wzajemnie się niezliczone razy kłaniała. Na prawym skrzydle orszaku stanął Stanisław Szarek nauczyciel z Raciborowic, ubrany po krakowsku na dzielnym koniu, a gdy go już pociąg mijał wyciągniętym galopem jechał paręset kroków około pociągu z wzniesioną krakuską w górę, co się Najdonioślejszej Parze tak spodobało, że Następca tronu, wzniósł nawet swój kapelusz w górę mówiąc: „Brawo krakus!". Najdostojniejsza zaś jego małżonka oprócz ukłonów głową wyraziła swe zadowolenie gestykulacją rąk. Po przejechaniu pociągu z Najdostojniejszymi gośćmi zawiózł nauczyciel dziatwę do Krakowa i oprowadzał ją po mieście celem pokazania jej przybranego miasta. Rada Szkolna Krajowa zezwoliła na użycie sal szkolnych w tutejszym budynku szkolnym dla zebrań kółek rolniczych i na czytelnię krakowskiego towarzystwa „Oświaty ludowej" pod warunkiem by się te zebrania odbywały w dniach wolnych od nauki a urządzenie czytelni nie przeszkadzało w niczym regularnemu odbywaniu się nauki szkolnej. W tym roku były częste zawieje śniegu i zbyt wielkie mrozy, w skutek czego dziatwa bardzo nieregularnie a nawet wcale nie uczęszczała do szkoły.

1888 r.

W miesiącu czerwcu był szkoła zamknięta z powodu nagminnie panującej odry pomiędzy dziatwą szkolną. W dniu 28 sierpnia 1888 r. spaliła się stodoła szkolna wraz z plonami zgromadzonymi z niewiadomej przyczyny. Spaliła się również krowa nauczyciela, magiel i 16 ławek szkolnych. Asekurowanym był tylko sam budynek za który Towarzystwo Wzajemnego Bezpieczeństwa w Krakowie wypłaciło 320 zł r.

1889 r.

W dniu 1 września rozpoczęto rok szkolny solennym nabożeństwem, które odprawił ks. Walenty Jasica wikary i katecheta miejscowy. Dzieci zapisało się płci obojga 165. W dniu 30 stycznia 1889 r. w Meyerling pod Wiedniem rozstał się z tym światem Najdostojniejszy Arcyksiążę Rudolf, następca tronu.

1892 r.

Reskryptem Rady szkolnej krajowej został przeniesiony z posady w Raciborowicach tutejszy nauczyciel p. Stanisław Szarek (na marginesie widnieje data 29/6 – dop. red.) na posadę kierującego nauczyciela przy 2 kl. Szkole w Dąbiu pod Krakowem, a w jego miejsce Władza szkolna zamianowała stałym nauczycielem przy tutejszej szkole Wojciecha Międka.

1893 r.

Wznowiono powtórnie przy tutejszej szkole klasę nadetatową, przy czym nadmienia się, że przez 2 lata uczono tylko w jednej klasie w ten sposób, że starsze dzieci pobierały naukę przed, a młodsze po południu.

1895 r.

Dobudowano do starego budynku drugą salę szkolną i mieszkanie dla młodszego nauczyciela składające się z jednego pokoiku i kuchenki.

1896 r.

CK. Rada Szkolna Krajowa we Lwowie przekształciła tutejszą szkołę na 2 klasową tj. o 2 siłach nauczycielskich. W tymże roku zatwierdziła Rada Szkolna Okręgowa zamiejska w Krakowie, wybór tutejszego proboszcza Walentego Dziatkowca, który po śmierci proboszcza Andrzeja Przybysia objął parafię i został miejscowym katechetą, na przewodniczącego miejscowej Rady szkolnej, a na tegoż zastępcę Józefa Raźnego.

1898 r.

W roku bieżącym dnia 11/9 1898 r. spotkał straszny cios Najjaśniejszego Pana Cesarza i Króla Franciszka Józefa I, a mianowicie w mieście Genewie w Szwajcarii została zamordowaną w sposób skrytobójczy Pani Cesarzowa Elżbieta, przez zwyrodniałego mordercę Lucchaniego. Śmierć ta straszna okryła ciężką żałobą nie tylko dostojny dom Najjaśniejszego Pana, lecz także podległe Jego hasłu ludy, a które w roku tym chciały uczcić wspaniałym obchodem 50 letnią rocznicę wstąpienia na tron i panowania swego Najjaśniejszego Pana i Cesarza Franciszka Józefa I. w dniu 2 grudnia br. Jednakże wobec tak wielkiego i strasznego wypadku obchód ten został zaniechany, a tylko gorące modły wiernych ludów płynęły po kościołach przed tron Najwyższego z prośbą by raczył błogosławić i zachować nadal ukochanego i dobrotliwego nam Monarchę. Dziatwa tutejszej szkoły wzięła udział tak w jednym, jak i też w drugim nabożeństwie. W czerwcu bieżącego roku odbył się w tutejszej szkole uroczysty obchód z powodu 100 rocznicy urodzin największego naszego poety i wieszcza – Adama Mickiewicza.

1899/1900

W dniu 6 czerwca 1900 r. odbył się w tutejszej szkole uroczysty obchód z powodu 500 rocznicy odnowienia i uposażenia Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie przez króla Władysława Jagiełłę i Jadwigę. Uroczystość tę poprzedziło nabożeństwo odprawione w tutejszym kościele parafialnym przez miejscowego wikarego Franciszka Karpia, po czym dziatwa szkół: Raciborowic, Bieńczyc, Węgrzec i Prus pod przewodnictwem swych pp. Nauczycieli zgromadziła się w tutejszej szkole. Oprócz nich wzięła także udział licznie zgromadzona okoliczna Inteligencja tudzież gospodarze. Poranek ten rozpoczął się odczytem okolicznościowym, wypowiedzianym przez miejscowego kierownika szkoły Karola Kozłowskiego, a dziatwa szkoły Kazimierza Łowczowskiego odśpiewała kilka pieśni patriotycznych, po czym nastąpiły deklamacje wygłoszone przez uczennice szkół w Raciborowicach i Bieńczycach. Na zakończenie wypowiedział parę słów ks. wikary Franciszek Faryś, zachęcając tak dziatwę jak i też rodziców do ukochania oświaty bo przez nią możemy tylko dojść do ogólnego dobrobytu.

1900/1901

Dnia 4/10 1900 r. odbyło się w dniu imienin Najjaśniejszego Pana Cesarza i Króla Franciszka Józefa I uroczyste nabożeństwo w miejscowym kościele parafialnym, w którym dziatwa szkolna wzięła udział, poczym nastąpił uroczysty obchód w szkole, a to z powodu 70 letniej rocznicy urodzenia Najjaśniejszego Pana, na którym to kierownik szkoły zgromadzonym uczniom i uczennicom krótko opowiedział przebieg życia Najdostojniejszego Jubilata podając przy tym ważniejsze historyczne momenty. W szczególności wykazał ile to dobrodziejstwa otrzymywał naród polski od Najjaśniejszego Pana. Na zakończenie odśpiewała dziatwa „Hymn ludu". W dniu 23 czerwca 1901 r. na zakończenie bieżącego roku szkolnego po odprawieniu uroczystego nabożeństwa w miejscowym parafialnym kościele – na podziękowanie Panu Bogu – za szczęśliwie przebiegły rok szkolny i za wszystkie otrzymane dobrodziejstwa i za błogosławieństwo pracy – odbył się egzamin z młodzieżą szkolną wszystkich 4 stopni nauki pod przewodnictwem tutejszego ks. proboszcza i kanonika Walentego Dziatkowca – jako Delegata RSO Zamiejscowej i w obecności Delegata Rady Powiatowej Jana Jarzyny – włościanina z Bosutowa.

1901/1902

W roku tym tj. w czasie od 1/9 do 8/9 odbyły się w tutejszej parafii 8 dniowe rekolekcje podczas których dziatwa szkolna była wolna od nauki i brała w nich czynny udział. Z inicjatywy miejscowego ks. proboszcza odnowiono dwie chorągiewki szkolne, do czego dziatwa szkolna przyczyniła się składkę w kwocie 25 zł a. w.

1902/1903

W dniu 25 czerwca na zakończenie roku szkolnego odbył się jak zwykle popis uczniów i nauczycieli tutejszej szkoły w obecności p. delegata Rady powiatowej krakowskiej Franciszka Ptaka, włościanina z gminy Bieńczyce.

1903/1904

Wkrótce po rozpoczęciu roku szkolnego zwiedzał tutejszą szkołę J. E. Ks. Kardynał. J. Puzyna przy sposobności wizytacji diecezjalnej. W czasie tej wizytacji odprawiały się w kościele tutejszym nabożeństwa przez 3 dni, w których uczniowie całej szkoły brali udział. W tym czasie też przystąpili do Św. Sakramentów: Pokuty i Bierzmowania. Nauka w szkole na skutek tego rozpoczęła się dopiero dnia 7 września 1903 r. i trwała nieprzerwanie do dnia 21 czerwca 1904 roku w którym to dniu odbył się popis uczniów tutejszej szkoły pod przewodnictwem Ks. Kanonika Walentego Dziatkowca, w obecności delegata Rady Powiatowej krakowskiej – Franciszka Ptaka i wielu zgromadzonych gości.

1904/1905

W tym roku nie było żadnego wydarzenia nadzwyczajnego, któreby mogło zasługiwać na zanotowanie. Rok szkolny rozpoczął się jak zwykle 1 września nabożeństwem w kościele parafialnym, w którym dziatwa szkolna brała udział pod nadzorem kierownika szkoły Józefa Głuca.

1905/1906

W tymże roku zapisało się do szkoły 203 dzieci obojga płci na naukę codzienną, a na naukę dopełniającą 59 dzieci. W maju wybuchła epidemicznie odra, tak, że prawie wszystkie dzieci chorowały, jednak przerwy w nauce nie było.

1906/1907

W tym roku zapisało się do szkoły 211 dzieci obojga płci, a na naukę dopełniającą 63 również obojga płci. Przy szkole pracowały trzy siły: Józef Głuc kierownik szkoły, Zofia Dąbrowska i Józefa Wojewodzianka.

1907/1908

Szkołę wizytował w tym roku Wielmożny Pan Inspektor Józef Spis 23 maja, zaś Ks. Dziekan, Szambelan Papieski Wojciech Siedlecki w dniu 18 marca 1908 r. Zresztą więcej ważnego nic się w tym roku nie przydarzyło prócz tego, że ciągle deszcz padał.

1908/1909

Przerwy w nauce nie było żadnej. Wizytacji w tym roku także nie było żadnej. Dalej w tym roku wybudowano nową studnię betonową kosztem 671 K. i „weszła w życie" droga z północnej strony szkoły do przysiółka Prawda.

1909/1910

Rok szkolny zakończył się nabożeństwem i popisem szkolnym w dniu 23 czerwca 1910 r. Popisowi przewodniczył jako delegat Rady szkolnej okręgowej Ks. Kanonik. i Proboszcz tutejszej parafii Walenty Dziatkowiec.

1914 r.

Rok ten pamiętny w historii świata a szczególniej całej Europy. Rok szkolny 1914/15 rozpoczął się jak zwykle nabożeństwem w tutejszym kościele parafialnym dnia 1 września i nauka trwała zwykłym trybem do dnia 10 listopada pomimo przeszkód ze strony wojskowości. Ale od dnia 10 listopada nastała chwila krytyczna tutejszej raciborskiej parafii, w której wiele ucierpiała szkoła i wiele straty poniosła w zabudowaniu i w nauce, której nie można było odbywać żadną miarą, gdyż armaty „grały" ze wszystkich fortów, a patrole nieprzyjacielskie zachodziły do Raciborowic. Nauczycielstwo w okręgu krakowskim otrzymało urlop na tę krytyczna chwilę. Ludność niektórych gmin schroniła się do twierdzy krakowskiej, a nauczyciele zmuszeni byli opuścić swoją miejscowość. Ci, którzy mieli pozwolenie pozostania w twierdzy pozostali w tejże, inni zaś musieli się udać w okolice dalsze, do innych powiatów wolnych od zawieruchy wojennej; inni zaś musieli wyjechać za granice Galicji do Śląska i na Morawy. Podobny los spotkał tutejszego kierownika szkoły Józefa Głuca, który z rodziną wyjechał zmuszony wypadkami wojennymi do Śląska austriackiego i mieszkał w Opawie 4 miesiące, a w szkole tymczasem i w zagrodach wiejskich gospodarowało wojsko. W grudniu tego samego roku odparło szczęśliwie nawałę nieprzyjacielską od powiatu krakowskiego i innych zajętych powiatów, ale jeszcze ludność i nauczycielstwo nie powracało. Nieprzyjaciel odparty na całej linii objął obronne stanowisko po lewym brzegu Wisły nad Nidą, a po prawym nad Dunajcem. Chwila ta trwałą od końca kwietnia 1915 r. jednak, gdy się wiosna zbliżyła, ludność zaczęła powracać do swoich domostw i uskuteczniać zasiewy wiosenne, ażeby później nie zaznała głodu. Wtenczas nauczycielstwo zaczęło powracać na swoje stałe miejsca, aby rozpocząć „zasiewy" nauki nad dziatwą szkolną.

Dnia 23 marca 1915 r. powrócił z tułaczki tutejszy kierownik szkoły Józef Głuc i rozpoczął powtórnie rok szkolny 1914/15 z początkiem kwietnia. Wiosna była w całem znaczeniu przyjemna, ale przejechał przez twierdzę Kraków i przyjechał do Batowic, skąd widok rozległy przedstawiał się na całą parafię raciborowicką, z góry batowickiej. Gdy spojrzał na gminę Raciborowice, kościół, dwór, przedstawił się jego oczom widok bardzo przykry, zobaczył kościół ogołocony ze wspaniałych i wysokopiennych lip, które go otaczały; te zo-

stały wycięte, również, gdy sięgnął okiem na dwór tak samo jak kościół był ogołocony. Wspaniały ogród, otaczający dwór i dworskie zabudowania gospodarskie, został doszczętnie wycięty. Cmentarz, miejsce wiecznego spoczynku, wyglądający przedtem, jak wspaniały park, tam także drzewa wycięto. Inne gminy, jak Dziekanowice, Zesławice zostały doszczętnie zdemolowane. W gminie Kantorowicach pozostały domy, ale drzewa, jakiekolwiek były i sady okalające domostwa, doszczętnie wycięto. W gminie Raciborowice prócz drzew koło kościoła, ogrodu dworskiego powycinano w niektórych miejscach wierzby, lipy i akacje. Gdy kierownik szkoły przyjechał przed budynek szkolny, ten stał, ale bardzo ujemny widok się przedstawiał; drzwi pootwierane, szyby w oknach powybijane, wewnątrz pełno śmiecia, a w ścianach gwoździ, jeden koło drugiego we wszystkich ubikacjach. Trzeba było starania wielkiego, ażeby to wszystko do porządku doprowadzić. Ławki powyrzucane ze sal szkolnych, poroznoszone były po ogrodzie, dwie spalono, zaś szafy z książkami pozamykane, były teraz pootwierane, w niektórych były drzwi powybijane, a to co miało swoją wartość, jak n.p. niektóre książki i mapy pozabierano. Tak wyglądała szkoła. Zaś zabudowania gospodarskie wyglądały następująco: w stodole drzwi wywalone, słoma wyniesiona, w stajni drzwi także wywalone. W węglarni tak samo; węgle wyniesiono, piwnica otwarta – tam mieściły się zachowane niektóre rzeczy, których nie można było wywieść. Ale piwnica była otwarta i wszystko skrupulatnie przeszukane, co miało wartość, także zabrano. Pozostały jedynie dziurawe garnki, rozbite talerze, łóżko żelazne i niektóre akta szkolne. Co było przykryte burakami, to zostało. Trzy ule w ogrodzie zastał kierownik szkoły leżące puste, miód wyjedzony, zamki porozrzucane, tylko ogród szkolny w całości ocalał. Drzewa zostały nietknięte. Ale ogrodzenie zostało spalone, a po części połamane.

Od 23 marca do 1 kwietnia 1915 r. pracowano około porządków w szkole i udało się doprowadzić dwie sale szkolne do porządku, w których się nauka rozpoczęła i trwała przez kwiecień, maj, czerwiec i lipiec. 26 lipca 1915 zakończył się rok szkolny 1914/15. Śpiewamy w kościele wspaniałe, wzniosłe suplikacje: „od głodu, moru, ognia i wojny, zachowaj nas Panie!" Wszystko jak głód, mór działa ujemnie na ludzkość, tak samo i wojna. Przez wojnę lud dziczeje, staje się chytrym, zapomina o siódmym przykazaniu Boskim, cudza własność dla niego nie jest święta, wszystko co widzi jego. Ale wojna działa ujemnie nie tylko na ludzi starszych, ale i na dziatwę i ta była zdziczałą. Dało się to widzieć, gdy dziatwa zaczęła uczęszczać do szkoły, już nie była tym, czym za normalnych czasów. Dawniejsze uobyczajnienie i grzeczność zniknęły. Trzeba było na nowo pracować i wpajać to co już dawniej było ich własnością. Trzeba było tak pierwszaków, jak i starsze dzieci uczyć i przypominać, żeby Pana Boga chwaliły, starszych szanowały, przełożonych słuchały, w kościele modliły się i przyzwoicie zachowywały się, w szkole były grzeczne i uprzejme jedno dla drugiego; to wszystko trzeba było na nowo w nich wpajać.

1920 r.

Dnia 21 stycznia 1920 zjechałem (Kazimierz Rumian – dop. red.) wraz z rodziną i rzeczami do tutejszej szkoły, zamianowany przez Radę szkolną krajową tymczasowym stałym kierownikiem tejże od dnia 1 listopada 1919 r., w miejsce wysłużonego już, bo 72 lat życia liczącego kierownika p. Józefa Głuca, który jako niezdolny do dalszego pełnienia obowiązków otrzymał urlop. Z dniem 25 stycznia 1920 r. objąłem zarząd tutejszej szkoły od poprzedniego kierownika. Ciężkie brzemię brałem na swoje barki, lecz ufny w pomoc Boską i dobrych ludzi – oraz swoje własne siły, jakkolwiek już nadwątlone przeszło 4-ro letnią służbą wojenną na froncie rosyjskim i włoskim – zabrałem się do pracy. W opłakanym stanie znajdowała się w całym znaczeniu tego słowa szkoła tutejsza. Nie wchodząc w przyczyny, ani szukając winnych, wspomnę tylko, że sam budynek robił wrażenie jakiegoś starego, opuszczonego karczmiska. Dach w wielu miejscach świecił z daleka widnymi dziurami – rynna poobrywana – ściany poobdrapywane – w oknach brak wielu szyb – ani jedne drzwi nie zamknęły się należycie, podobnie okna – wrota od stodółki wywalone kto wie od jakiego już czasu – kominy grożące zawaleniem się – z ogrodzenia zaledwie ślady gdzieniegdzie itd. – a tu w kasie Rady szkolnej miejscowej ani halerza. Zaraz w pierwszych dniach swego pobytu tutaj spowodowałem jej posiedzenie, by ta przecież coś zaradziła temu stanowi. Uchwalono naturalnie, że „ trzeba by ponaprawiać", a na koszta tego pobrać te kwoty, które były złożone jeszcze przed wojną na budowę nowego budynku szkolnego tj. około 4.000 K czyli 2.800 Mkp. Prócz tego postanowiono zwrócić się z prośbą o subwencje do ekspozytury Urzędu Odbudowy Kraju w Krakowie. Tak też uczyniono.

Tymczasem nadszedł węgiel (30q) zamówiony jeszcze w jesieni i dnia 11 lutego, po przeszło 3 miesięcznej przerwie, rozpocząłem naukę. W skład grona wchodzili: Kazimierz Rumian, jako kierownik, Janina Rumianowa oraz Stefanja i Jadwiga Ortyńskie, jako nauczycielki. Rozpoczęła się więc w całym tego znaczeniu „harówka", bo stan nauki odpowiadał znowu stanowi całej szkoły. Pracowałem więc prawie bez wytchnienia – rano w klasie, o południu i wieczorem około naprawy drzwi i odświeżenia mieszkania, co musiałem własnymi rękami i prawie własnym nakładem uskutecznić, nie mogąc się doczekać pomocy od r. sz. m. Zaledwie uporałem się jako-tako z tymi pracami, nadeszła wiosna (bardzo wczesna i ciepła w tym roku) więc każdą wolniejszą chwilkę poza godzinami pochłaniała mi praca około uporządkowania obejścia i ogrodu szkolnego. Trzeba było podwórze i ogród niwelować, karczować pozostałe pniaki

drzew – wodę ściekającą po przyciesie budynku i do sali szkolnej, odprowadzać – nowe drzewka owocowe w miejsce powycinanych nasadzać itd., a wszystko własnymi rękami, bo o najemniku z powodu drogości tegoż i z braku funduszów – nie było mowy. Wśród tej pracy szybko zleciały miesiące wiosenne i rok szkolny. Nadeszły wakacje, ale o wypoczynku mowy nie było, bo właśnie z końcem czerwca przyznała Ekspozytura Urzędu Odbudowy Kraju kwotę 20. 000 Mkp (marek polskich) na reperacje tutejszego budynku szkolnego, więc trzeba było to chodzić, to jeździć do Krakowa, bądź w poszukiwaniu za materiałem, bądź za furmankami, lub też wreszcie jeździć i sprowadzać tenże materiał, co trwało prawie całe wakacje. Dopiero przy końcu sierpnia udało się znaleźć jakichkolwiek „majstrów" i rozpocząć reperacje dachu, naprawianie kominów, przestawiania pieców, robienia ogrodzenia, lepienia i bielenia budynku zewnątrz itd. Na szczęście Rada Szkolna Krajowa przedłużyła w tym roku wakacje do 15 września, co dla tutejszej szkoły było wręcz konieczne, bo do tego czasu trwały roboty ciesielskie i murarskie. Z dniem 15 września rozpoczęto rok szkolny 1920/21 w budynku już na tyle zrestaurowanym, wylepionym i wybielonym, że podobnym był do skromnej wiejskiej szkółki.

Pozostawiwszy na razie na uboczu sprawy budynku i szkoły tutejszej przystąpię do krótkiej bodaj wzmianki innych spraw bardzo ważnych tak dla samej szkoły, jak też i całego narodu polskiego, o czym poprzednio i w swoim czasie nie wspomniano w niniejszej kronice. Historyczne to sprawy – zdarzenia epokowe, godne piór najtęższych pisarzy i historyków, lecz nie od rzeczy będzie wspomnieć o nich króciutko bodaj i w niniejszej kronice. O wybuchu wojny światowej, o tym, że i tutejsza miejscowość i szkoła „zakosztowały" jej smaków, co już wspomniał mój poprzednik. Trwała ona przeszło cztery lata, poruszyła prawie cały świat, który się ugrupował w dwa obozy. Jeden to państwa centralne a mianowicie Niemcy, Austro-Węgry, Turcja i Bułgaria – drugi obóz to Francja, Anglia, Rosja, Włochy, Belgja, Rumunja, Serbia, Czarnogóra, Japonia i wiele innych, a wreszcie mamy Stany Zjednoczone Ameryki. Wojska niemieckie i austriackie wyparły Moskali z ziem polskich. Jarzmo moskiewskie prysło, a nałożono Polsce jarzmo niemieckie i austriackie, bo choć to niby głoszono Polakom, że sztandary ich niosą wolność Polsce, a nawet wydawano manifesty w tym rodzaju jak n.p. dnia 5 listopada 1916 r. to jednak wolność jaką przyrzekali nowi zaborcy, w gęstej mgle majaczyła. Legiony polskie utworzone zaraz po wybuchu wojny przez Józefa Piłsudskiego i innych, walczyły po stronie państw centralnych w nadziei, że państwa te zwyciężywszy nieprzyjaciół, zwłaszcza Rosję, tym szczerzej zajmą się odbudowaniem niepodległej Polski. Cudów waleczności dokazywały – to w Królestwie – to w Galicji – to na przełęczach karpackich i na Węgrzech. Dziejowej sławy aureola – szarża pod Rokitną, będzie się zawsze nad nimi unosiła. Ale wiara na dobre chęci Prus i Austrii wnet zawiodła. Smutny koniec czekał bohaterów i cały naród Polski. Ale Pan Bóg w swoich wyrokach postanowił inaczej. On Polaków nie opuścił. Przekreślił plany buty pruskiej, bo oto te niezwyciężone dotychczas armie, rozpoczęły odwrót. Prysły fronty, runęły trony, które niegdyś tak bezczelnie krajały Polską – a Orzeł Biały rozwinął skrzydła i wzleciał śmiało ponad krwią przesiąkniętymi i kilkakrotnie przekopanymi wszerz i wzdłuż rowami strzeleckimi – łanami polskimi. Polska powstaje!!! Polska już wolna!!! Dnia 31 października 1918 r. Kraków zrzuca jarzmo austriackie. Spadają czarne dwugłowe orły z gmachów budynków – rozwijają się biało-czerwone flagi – białe orły zajmują miejsce swoje! Niech żyje wolna niepodległa zjednoczona Polska!!! Stało się co Bóg zechciał – o co przez blisko pięć ćwierci wieku błagaliśmy Stwórcę.

1921 r.

Nim przystąpię do zanotowania wydarzeń w tym roku, cofnę się nieco wstecz do ubiegłego roku 1920. W grudniu 1920 odbyło się w tutejszej szkole kilka przedstawień obrazka religijnego pod tytułem „Bernadetto" za staraniem i pod kierownictwem tutejszego nauczyciela kierującego. Przedstawienie to urządzono siłami dzieci szkolnych i młodzieży miejscowej. Podobało się ono ogólnie. Szkoda tylko, że szczupłość i niskość sali szkolnej nie pozwoliła na wywołanie jeszcze lepszych efektów i na większy dochód z tych przedstawień, który został przeznaczony częścią dla sierót wojennych, częścią dla biednej dziatwy na kresach polskich. Zaraz na początku 1921 r., bo w miesiącu styczniu, odegrano znów siłami dzieci szkolnych i starszej młodzieży miejscowej 4 razy „Jasełka", które tak treścią – jak też kostiumami i dekoracjami wzbudziły podziw i uznanie ludności. Czysty dochód z tych przedstawień przeznaczono na plebiscyt na Górnym Śląsku. Z wiosną tegoż roku otrzymała tutejsza szkoła 5 drzewek z Rady szkolnej powiatowej, a to 3 jabłonie i 2 grusze. Jednak z powodu późnej pory sadzenia (drzewka bowiem były już całkiem rozwinięte) tylko jabłonki się przyjęły, a grusze uschły. Prócz wyżej wymienionych drzewek, posadzono jeszcze tej wiosny kilka innych szczepów, bądź zakupionych przez kierownika szkoły z własnych jego funduszów, bądź też przez niego wyszlachetnionych i wyhodowanych. Około budynku szkolnego nie robiono nic w tym roku z braku funduszów na to, i z powodu wielkiej drożyzny materiałów. Przybyła tutejszej szkole 5-ta siła nauczycielska p. Marja Ślósarzówna, nauczycielka z Kaszowa, która objęła niniejszą posadę 1 grudnia, wobec czego wprowadzono plan nauki pięcioklasowej.

1922 r.

W styczniu w tutejszej sali szkolnej, pod kierunkiem naucz. kieruj. siłami miejscowej młodzieży wystawiono

4 razy piękną 3 aktową sztukę ludową pod tytułem „Ojcowizna". Czysty dochód z tych przedstawień przeznaczono na zakup książek do miejscowej biblioteki szkolnej. Istniejąca bowiem przed wojną „Czytelnia T.O.L." ogromnie zubożała. Książeczki zostały zniszczone częścią przez wojsko, częścią przez czytających tak, że zostały tylko resztki tej biblioteki. Z powodu braku opału i wielkich mrozów, bo przeszło 20º C – wreszcie później z powodu roztopów i wylewu Dłubni – nauka odbywała się bardzo nieregularnie i z przerwami. To jest pierwsze półrocze zakończono dopiero 11 lutego. Drugie półrocze zakończono w tym roku 28 czerwca, przy czym najpilniejszym i najlepszym uczniom i uczennicom rozdano nagrody, na które złożyło się kilkanaście książeczek do nabożeństwa i kilka do czytania (powiastek). Książeczki te zakupiono z funduszów Rady szk. miejsc. Dla podniesienia i upamiętnienia uroczystości tego dnia – odegrano w tym dniu siłami dzieci szkolnych przedstawienie pięknej, znanej bajki scenicznej w 7 obrazkach p.t. „Kopciuszek". Na przedstawieniu były wszystkie dzieci szkolne, oraz zaproszeni goście bezpłatnie. Przedstawienie to powtórzono później dla starszych.

1922/1923

W lecie tego roku zbudował kierownik szkoły własnym kosztem i własnymi rękami skromną drewniana werandę w przedłużeniu sieni od strony południowej budynku, by ułatwić dostęp z mieszkania do ogrodu. W jesieni tego roku kierownik wykopał własnym kosztem, od wschodniej strony budynku w ogrodzie, głęboki dół w ziemi i urządził tam piwnicę („dół" z drzwiami i wejściem nakrytym deskami) na buraki i warzywa, gdyż istniejąca pod stodołą murowana piwnica okazała się za szczupła na ziemniaki i inne produkty. Wprawdzie istnieją w brzegach ogrodu podobne „doły" ale są zajęte przez niektórych gospodarzy, a dla szkoły są zbyt oddalone, a więc niewygodne no i najważniejsze – niepewne przed złodziejami.

1923/1924

I oddział objęła Marja Ślósarzówna, II – Janina Rumianowa, III – Jadwiga Ortyńska, IV – Stefanja Ortyńska, V – Kazimierz Rumian. Zaraz z początkiem roku szkolnego zaprosił kier. szk. Członków Rady szk. Miej. na posiedzenie w sprawie reperacji dachu, bo niemożliwym było dłużej tak zostawić budynku. Wszędzie bowiem kapało i lało się na powałę, tak przez niedawno naprawioną gontami część dachu, jak też i przez starą gdzie już same gonty wylatywały masami. Członkowie widząc ten stan dachu postanowili bezzwłocznie zabrać się do jego reperacji jeszcze bieżącej jesieni, by na zimę już zabezpieczyć budynek. Dopóki nie było silniejszych mrozów, przepalało się starymi gontami w salach i nauka odbywała się aż do 15 grudnia. Od tego dnia z powodu silniejszych mrozów i szybko wyczerpującego się zapasu tych gontów, naukę przerwano z powodu braku opału. By jednak „szkoła" nie próżnowała, kierownik szkoły zorganizował na czas poświąteczny (po Bożym Narodzeniu) przedstawienie teatralne sztuczek ludowych, a mianowicie najprzód sztuczki H. Mrozowickiej w trzech obrazach „Bez ten święty opłatek", którą odegrano trzy razy, a następnie dwie sztuczki jednoaktowe „Flisacy" W. Anczyca i „Zrękowiny u Drzyzgały" Pobratymca. Obydwie te sztuczki odegrano po trzy razy, zawsze przy wypełnionej sali. Udział w przedstawieniach brała młodzież miejscowa oraz kilku starszych gospodarzy. Dochód niewielki (z powodu taniości biletów wstępu) przeznaczono na rekwizyty teatralne.

1924/1925

Ważnym wypadkiem dla tutejszej szkoły w tym roku, była reorganizacja jej na 4-ro klasową z ważnością od 1 stycznia 1925. Następnym ważnym wypadkiem dla tutejszej szkoły było nadanie jej nazwy „imienia ks. Jana Długosza".

1925/1926

Wpisy przeprowadzono przed wakacjami. Zgłosiła się jednak podczas tego tylko 1/3 dzieci obowiązanych wobec tego po wakacjach trzeba było urządzić wpisy dodatkowe. Ale i wtedy nie wszystkie dzieci się wpisały i trzeba było dopiero wzywać resztę do szkoły. W okresie Bożego Narodzenia odegrano w tym roku za staraniem i pod kierunkiem tutejszego kierownika szkoły 2 sztuczki teatralne, a mianowicie „Wigilia Bożego Narodzenia w roku 1863" i „Chłopi arystokraci" Władysława Anczyca. Przedstawienie powtarzano 3 razy przy wypełnionej sali.

1926/1927

Przy końcu ubiegłego roku szkolnego, a mianowicie dnia 12 maja 1926 r. zaszedł w Polsce ważny, historyczny wypadek, który może pociągnąć cały szereg innych wypadków ważnych nie tylko w życiu politycznym Polski, ale i w szkolnictwie. Zdarzeniem tym było objecie siłą zbrojną (przy pomocy niektórych oddziałów wojska, organizacji: „Strzelca" i Polskiej Partii Socjalistycznej) naczelnej władzy w państwie przez byłego Naczelnika państwa marszałka Józefa Piłsudskiego. Legalny dotychczasowy prezydent Stanisław Wojciechowski oraz prezydent Rady Ministrów Wincenty Witos wraz z całym gabinetem początkowo bronili się (polało się sporo bratniej krwi żołnierskiej) lecz zmuszeni położeniem ustąpili.

Podaję krótko tylko fakt, boć trudno go pominąć nawet i w kronice szkolnej. Sąd o tym wypadku może dopiero wydać historia z odległości jakiegoś czasu. W okresie ferii Bożego Narodzenia urządzono w sali szkolnej przedstawienie sztuki ludowej (wierszem) p.t. „Wiejskie małżeństwa" miejscowego autora X. A. Siudy. Koniec roku szkolnego w tym roku zarządziły władze nieco wcześniej w naszym powiecie, bo na 25 czerwca, a to z powodu sprowadzenia do Ojczyzny zwłok śp. Juliusza Słowackiego i złożenia ich na Wawelu w dniu 28 czerwca 1927 r.

1927/1928

Z dniem 1.X rozpoczął urlop tut. kier. szk. p. K. Rumian z powodu choroby płuc. Na jego miejsce nie przyszła żadna siłą, chociaż urlop jego trwała 5 miesięcy. Nauka odbywała się więc o 3-ech siłach przez całe 1/2 roku. Dopiero po objęciu przez tegoż nauczyciela obowiązków z dniem 1 marca, nauka zaczęła się normalnie w tutejszej szkole. Dla parafii ważną rzeczą była zmiana proboszcza. Z dniem 1 września 1927 r. ustąpił dotychczasowy proboszcz ks. Antoni Siuda, a objął probostwo ks. Józef Jamróz.

1928/1929

W miesiącach zimowych odegrano w tut. szkole siłami młodzieży szkolnej piękne Jasełka w 3 aktach z prologiem, czysty dochód przeznaczając na książeczki do biblioteki szkolnej dziecięcej. W tychże także miesiącach odegrało Kółko amatorskie sztuczkę 1-no aktową „Błażek opętany" W. Anczyca. Godna zanotowania była zima tegoroczna. Prawie za połowę lutego (t.j. na „ostatki") przyszły mrozy dochodzące do 40° C. – przedtem zaś nieco zawieruchy i zawieje śnieżne. Mrozy te trwały kilka dni i wyrządziły ogromne szkody w ogrodach. Niemało dokuczyła ta zima i ludziom. Kolej (pociągi) bowiem bądź grzęzły w śniegu, bądź stawały w ruchu z powodu marznięcia torów. Wyczerpały się też zapasy węgla w składach, a dowóz nowego opału z powyższych powodów był bardzo utrudniony.

1929/1930

Zima tegoroczna była nadspodziewanie łagodna i mało śnieżysta. Z początkiem marca w „Ostatki", kiedy w szkole było zaledwie kilkoro dzieci (z powodu 40-tu godzin nabożeństw) zjechał na wizytację szkoły p. wizytator szkół w Okręgu p. Kulański z Dr. Górnym, zast. Insp. Wobec braku dzieci poprzestał na oglądnięciu budynku szkolnego, obiecując zjechać w niedługim czasie z fizykiem powiatowym i „zamknąć" budynek ze względów higienicznych i bezpieczeństwa, a wyrażając zdziwienie, że obecny kierownik szkoły mógł wytrzymać tu przez 10 lat. Zbadał też p. wizytator własnymi nogami odległość do wsi Kończyc i Kantorowic od tutejszej szkoły. Wynikiem tego było przyłączenie wsi Kończyce oraz gminy Kantorowice do obwodu tutejszej szkoły. Tak więc powiększono obwód tutejszej szkoły o 2 nowe wsi. Wobec tego sprawa budowy nowego budynku szkolnego stałą się jeszcze bardziej piekąca. Z innych zdarzeń jedynie godzi się zanotować to, że w tym roku szkolnym w okresie ferii Bożego Narodzenia odegrała młodzież szkolna w sali tutejszej szkoły Jasełka. Wystawienie ich i gra oraz kostiumy i dekoracje budziły zachwyt u ludu, a pełne uznanie u inteligencji, która również licznie uczęszczała na przedstawienia. Czysty dochód przeznaczono na bibliotekę szkolną. Z końcem roku urządzono też wycieczkę dzieci szkolnych do Krakowa na Wawel i salin wielickich.

1930/1931

Do zeszłorocznego grona przybyły 2 nowe siły, a mianowicie Marja Zielińska z Kantorowic i p. Janina Skoczyńska z Nowej Wsi Szlacheckiej, obydwie w charakterze nauczycielek stałych. Wobec znacznej liczby dzieci na roczniku I-szym i II-gim roczniki te podzielono na I a i I b oraz II a i II b, VI i VII rocznik połączono w jeden oddział. Tak więc naukę rozpoczęto w 8-miu oddziałach, a o 5-ciu siłach nauczycielskich. Wobec tego wymiary godzin na poszczególne oddziały i roczniki musiały ulec redukcji. Musiano tez wynająć 4-ta większą salę naukową, która znalazła się na szczęście za drogą – za ogrodem szkolnym w domu Pawła Rusinka. Z początkiem roku szkolnego, bieżącego, szkoła tutejsza została reorganizowaną na 7-mio klasową, a to rozporządzeniem Kuratorium Okręgu szkolnego Krakowskiego, które brzmi dosłownie: *Rada Szkolna Powiatowa w Krakowie L. 3802/30 w Krakowie dnia 26 września 1930 r. Orzeczenie. Rada Szkolna Powiatowa w Krakowie zawiadamia Kierownictwo Publicznej Szkoły Powszechnej w Raciborowicach, iż Pan Kurator Okręgu Szkolnego Krakowskiego rozporządzeniem z dnia 18 września 1930 L.I.P. 33682/30 wyznaczył dla Publicznej Szkoły Powszechnej w Raciborowicach stopień organizacyjny jako siedmioklasowej z ważnością od dnia 1go września 1930 r.* Sprawa budowy nowej szkoły prawie, że na martwym punkcie. O dalszym kroku w tej sprawie, na razie nie można nawet myśleć wobec kryzysu finansowego jaki trapi i rolnictwo (wieś) i całe nasze państwo.

1931/32

Dzieci razem zapisano 336. Sił nauczycielskich było z początkiem roku 6. Do poprzednich bowiem przybyła jeszcze jedna, mianowicie Stanisława Kunachowiczówna, przeniesiona tu z Branic. Sprawa nowego budynku stoi nadal na martwym punkcie. Na posiedzeniu Rady szk. Miejsc. przy uchwalaniu preliminarza członkowie wszyscy prawie starali się pozycje preliminarza zredukować do minimum, a nawet poniżej minimum. O jakiejś kwocie na budowę nie było mowy. Ledwie po wielkich pertraktacjach i przedstawieniach stanu rzeczy przez kierownika szkoły wstawiono 500 zł na doraźną reperację budynku. Z drugiej strony trudno się temu dziwić, bo do takiego stanu finansowego jaki teraz zapanował na wsi nie pamiętają ludzie. Chleba, co prawda w tej okolicy nie brak, ale grosza trudno dopatrzeć się nawet i u zamożniejszych gospodarzy, a to wszystko z powodu śmiesznie niskiej ceny produktów wiejskich, zwłaszcza trzody i bydła. W takich warunkach trudno nawet komuś wspomnieć coś na serio o budowie szko-

ły, zwłaszcza, że pomoc ze skarbu państwa już teraz jest wykluczona.

1932/33

6 czerwca szkołę tutejszą zaszczycił swoją obecnością książę metropolita krakowski ks. Adam Sapieha odwiedziwszy dzieci w sali szkolnej, gdzie był przez nie odpowiednio powitany. W przemówieniu do dzieci książę metropolita zachęcał je do nauki i do zachowywania przykazań boskich, by wyrosły Bogu na chwałę, Ojczyźnie na pożytek, a dla rodziców swoich na pociechę.

1933/34

Ten rok szkolny rozpoczął się już 20 sierpnia stosownie do nowych rozporządzeń i reformy wprowadzonej w szkolnictwie. O reformie tej nie wspominam szerzej, bo jest to rzecz historyczna, dotycząca całego państwa. Sił nauczycielskich jest obecnie 6 t.j. Kazimierz Rumian (kier.), Aniela Dębicka, Stanisława Kunachowicz, Maria Ligęza, Janina Skoczyńska oraz Maria Zielińska. Maria Ligęza ukończyła Wyższy Kurs Naucz. w Krakowie (humanistyczny) Janina Skoczyńska w Poznaniu W.K.N (śpiew i ćwiczenia cielesne) zaś Aniela Dębicka W.K.N. (rysunki) w Warszawie nie ukończyła z powodu choroby. Tak więc rok ten, co do sił, zapowiadał się pomyślnie, bo nareszcie grono w pełnym składzie i do tego po kursach, a więc i nauka powinna w tym roku dać lepsze wyniki niż w latach poprzednich. Sal szkolnych pozostało nadal 5, tj. 4 w budynku szkolnym, jak i poprzedniego roku i 1 wynajęta (u p. Rusinka).

W miesiącu styczniu odegrała dziatwa szkolna „Jasełka" w 4 obrazach, które się ogromnie podobały. Dochód jednak z powodu kosztownej wystawy był bardzo mały. Zakupiono za to znowu kilka książeczek do biblioteki szkolnej. Z wiosną tego roku rozpoczęto budowę „Domu katolickiego" w najbliższym sąsiedztwie szkoły (na rogu ogrodu plebańskiego), który będzie mieścił w sobie świetlicę dla młodzieży męskiej i żeńskiej (Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej) oraz obszerna piękną salę ze sceną na przedstawienia, której brak dał się ogromnie odczuwać w tutejszej miejscowości. Jest nadzieja, że przykładem tym pójdą i gminy i sprawa budowy szkoły ruszy wreszcie z martwego punktu. O budowie „Domu katolickiego" wspominam, bo może on zaważyć dużo na sprawę oświaty w gminie i życia społecznego.

1934/35

24 listopada 1934 r. odbyło się poświęcenie i otwarcie nowej linii kolejowej „Kraków-Miechów", przechodzącej przez najbliższą okolicę. Uroczystość tę zaszczycił Pan Prezydent Rzeczypospolitej Prof. Ignacy Mościcki. Z powodu zapóźnionego powiadomienia szkoły o uczestnictwie tak dostojnego gościa w naszych stronach, szkoła nie mogła wziąć czynniejszego udziału w powitaniu, jedynie starsza dziatwa szkolna w odświętnych, krakowskich strojach utworzyła mu szpaler na przystanku Batowice (gdzie p. Prezydent wysiadł z pociągu i był witany przez ludność starszą i młodzież). Warto też wspomnieć, że tutejsze Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Męskiej stanęło również w ordunku na powitanie p. Prezydenta i gdy tenże zbliżył się do zastępu, prezes tegoż K.S.M. w krótkich, ale dobitnych i jędrnych słowach wyraził mu cześć, hołd i synowskie przywiązanie. Piękna treść i silny, a serdeczny ton tego przemówienia widocznie wzruszyły i rozczuliły p. Prezydenta, bo na głowach tak mówcy, jak i dwóch asystentów „druhów" złożył ojcowski pocałunek. Reszta dziatwy tutejszej szkoły stanęła na gruntach raciborowickich wzdłuż toru, trzymając stosowne transparenty oraz wznosząc okrzyki na cześć p. Prezydenta w chwili Jego przejazdu pociągiem, który bardzo powoli się przesuwał.

Pierwsze wytyczanie trasy tej kolei rozpoczęło się już w roku 1931 i trwało blisko 2 lata. Budowę zaś nasypów rozpoczęto w kwietniu 1933 r. Cała linia była podzielona na kilka odcinków, a budowa jej była oddana kilku przedsiębiorstwom. Odcinek raciborowicki (od Prądnika aż po Zastów) objęła firma krakowska „Zarzycki i Kurkiewicz". Budowę na tutejszym odcinku rozpoczęto od robienia wkopu na gruntach batowickich po prawym brzegu Dłubni i wysypywaniu nasypu poprzez łąki. Wykonywało tę pracę kilkuset robotników wraz z dwoma małymi (wąskotorowymi) lokomotywami. Praca trwała całą wiosnę, lato i jesień (na długim dniu od godz. 4-tej rano do godz. 8-mej wieczorem). Po przerwie zimowej rozpoczęto pracę w dalszym ciągu z wiosną 1934 r. Równocześnie z robotami ziemnymi kontynuowano i roboty betonowe (mosty i przepusty). W zimie (w lutym) 1934 r. zmontowano żelazne części mostu na Dłubni, a w dniu 20 lipca 1934 roboty postąpiły tak daleko, że pierwszy pociąg wraz z lokomotywą normalnotorową doszedł już z materiałem (progami i szynami) na grunta raciborowickie na wprost szkoły. Od dnia 1 grudnia 1934 r. zaczęły regularnie kursować pociągi na tej linii z Warszawy i Kielc do Krakowa i na odwrót. Niestety, jak dotąd, z tej kolei niewielki jest pożytek dla Raciborowic, bo przystanek Batowice jeszcze dość odległy, a rozkład jazdy też niedogodny dla nauczycielstwa, aby można było z tej linii częściej korzystać. Starania zaś o przystanek na terenie Raciborowic dotychczas nie przyniosły skutku. A szkoda, bo to wpłynęłoby niewątpliwie na rozwój tej miejscowości.

W dniu 12 maja b.r. okryła się żałobą cała Polska z powodu śmierci Jej pierwszego Marszałka i budowniczego Józefa Piłsudskiego. Wielkości i znaczenia tej straty nie opisuję, bo uczynili to już tężsi w piórze i słowie w całej Polsce. Pociąg wiozący zwłoki śp. Marszałka z Warszawy do Krakowa na Wawel przejeżdżał właśnie tą linią kolejową i ludność tutejsza oraz znaczna część

dziatwy szkolnej miała możność zobaczyć i oddać cześć szczątkom tego Wielkiego Męża.

Z wiosna ubiegłego roku (1934 r.) rozpoczęto w Raciborowicach, w najbliższym sąsiedztwie szkoły (bo zaledwie jakieś 30 m od niej), budowę „Domu Katolickiego". Myśl tej budowy powstała już przed kilku laty, lecz z braku odpowiednich funduszów nie można było jej rozpocząć. Dopiero w tym roku, dzięki finansowej pomocy obecnego ks. wikarego Zbigniewa Przeworskiego, oraz jego gorliwego zajęcia się ta sprawą (przez zbiórki datków w parafii) zrealizowano tę myśl na tyle, że budynek drewniany stanął pod dachem na jesieni, a w 1935 r. kontynuuje się dalej roboty około niego. Wspominam o tej budowie, bo jest ona związana nieco ze szkołą, ma bowiem służyć nie tylko religijnym, ale i oświatowym celom. W początku też roku (1935 r.) wprowadzono zmiany administracyjne w tej części kraju (w byłym zaborze austriackim). Potworzono bowiem gminy zbiorowe, a dotychczasowe jednostkowe zdegradowano na „gromady". Raciborowice przydzielono do gminy „Prądnik Czerwony". Jak to wpłynie na szkołę, czy dodatnio, czy ujemnie (na sprawy finansowe), przyszłość okaże.

1935/36

W sprawie budowy szkoły zrobiono tylko nieznaczny krok naprzód, choć zdawało się, że gmina zbiorowa wpłynie bardzo dodatnio na tę sprawę. Kilka zebrań i konferencji z przedstawicielami gminy (Prądnik Czerwony) oraz Inspektoratu szkolnego wydało jedynie taki owoc, że architekt wykonał 3 projekty (alternatywy), z których żaden w 100% nie nadawał się do naszych warunków. Na zebraniu Komitetu ludowego wraz z sołtysami uchwalono potworzyć w każdej gromadzie podkomitety, które by wzięły się za zbiórkę datków na tę budowę (po 2 zł od morga), lecz uchwała pozostała znów uchwałą.

1936/37

Rada gromadzka Raciborowic postanowiła posunąć naprzód sprawę budowy szkoły uchwalając sprzedaż pastwiska gromadzkiego dla uzyskania funduszów na budowę.

1937/38

Konferencja Komitetu Sołtysów w Inspektoracie Szkolnym w styczniu przy udziale Inspektorów (szkolnego i samorządowego), która miała popchnąć naprzód tę samą sprawę, pozostałą bez owoców, bo nawet obiecanego zwiezienia szutru z Wisły nie uskuteczniono.

1939/40

Rok ten, to rok historyczny nie tylko dla tutejszej szkoły ale dla całego kraju, Europy, a nawet świata. Koniec sierpnia już był pod znakiem nadciągającej burzy wojennej. Toteż rozpoczęcie roku szkolnego odłożono do 15 września, zwłaszcza, że budynek szkolny już od kilku dni przed wrześniem był zajęty przez wojska polskie w celach mobilizacyjnych. Zaledwie co rozpoczęto mundurowanie powołanych pod broń, gdy niespodziewanie 1 września koło godziny 5-tej rano doleciały nas huki eksplozji z niedalekiego lotniska, a kilka eskadr bombowców lotem zniżonym przeleciało tuż ponad dachami Raciborowic. Stało się to tak niespodziewanie, że wielu ludzi uważało to tylko za ćwiczenia, a nieobeznani ludzie wzięli te samoloty za angielskie. Dla lepiej obserwujących te aparaty, oznaczone krzyżami niemieckimi (Hackenkreuzami) stało się jasne, że to nie żaden rajd ani ćwiczenia, ale straszna rzeczywistość; napad niemiecki, wojna z Niemcami. Uczucie jakie opanowało ludzi; konsternacja, chaos – nie daje się opisać. Setki tysięcy ludzi rzuciło się do ucieczki, opuszczając domy, gospodarstwa, rozdzielając się z rodzinami. Rzeki całe ludzi popłynęły na wschód bez wytkniętego celu. „Byle dalej, byle prędzej od Niemców!" Zdawało się bowiem, że ten najazd hordy niemieckiej zatrzyma się przecież i runie z powrotem. Niestety, nadzieje zawiodły. Niemcy dzień za dniem zajmowali coraz to więcej obszarów polskich.

Kilka dni jednak upłynęło, bo 6 września, przeciągnęły pierwsze oddziały niemieckie przez tutejszą wioskę. Krótko popasali, dążąc pospiesznie na wschód. Życie normalne i praca, przerwane chwilowo, zaczęły się toczyć dalej w strachu i niepewności, co to będzie, jak to będzie. Po kilku dniach i po zasięgnięciu języka to tu, to tam, uruchomiono naukę w tutejszej szkole dnia 19 września. Grono nauczycielskie, rozproszone nieco, zebrało się, choć nie w komplecie i naukę rozpoczęto w tak dusznej atmosferze. Część budynku szkolnego zajęły oddziały niemieckie pozafrontowe i ze zmianami siedziały tu prawie całą zimę. Już pierwsze oddziały, które przemaszerowały tędy, poniszczyły w salach szkolnych mapy, godła polskie i obrazy, sklepik szkolny, a później i bibliotekę. Zaczęło się tez powolne niszczenie ławek, ot po prostu na podpałkę do kuchni wojskowej, gdy nie było pod ręką suchego drzewa. Zniszczono też cały zbiór podręczników szkolnych, które z rozkazu władz niemieckich musiano zebrać od dzieci i nauczycielstwa. Nauka zaczęła się toczyć kulawo z braku podręczników. Nauka historii i geografii była zakazana, a natomiast wprowadzono początkowo naukę języka niemieckiego, co jednak później odwołano. Co się zaś tyczy nauczycielstwa, to, otrzymawszy jakoś szczęśliwie jeszcze pobory na wrzesień 1939 r., pozostało bez wynagrodzenia aż coś do połowy stycznia 1940 r. „Pchano biedę" zbierając od dzieci składki po 1-2 zł miesięcznie, tak, że dla poszczególnych sił wypadało po 30-50 zł miesięcznie. Dopiero z wiosną 1940 r. zaczęto wypłacać pobory.

Nauczycielstwo pracowało w nadziei, że Niemcy nie będą tu przecież wiekowali i panoszyli, że Polska wróci i dla Niej trzeba dalej pracować, a przede wszystkim nie pozostawiać młodzieży bez szkoły, bez nauki. Następ-

ne lata przeszły już nieco normalniej, bo tylko wiosną 1941 r. na krótki czas zajmowało wojsko niemieckie 1 salę szkolną. Dopiero w lecie 1944 r. wprowadziły się znów oddziały i to wojska węgierskiego do jednej sali szkolnej. Te pod względem zachowania się były bardzo poprawne, a nawet przyjacielskie i niby szkód nie robiły. Jednostki z nich były nawet serdeczne i uczynne, rozumiejące położenie i uczucia Polaków. „Ciury obozowe" jednak były nie lepsze od Niemców, bo po ich odjeździe w końcu sierpnia wyszły na jaw rożne szkody, jak brak jednej katedry, brak rur do pieców, straszne zanieczyszczenie jednej sali szkolnej oraz znów brak kilku ławek szkolnych itp. Na dopełnienie złego, po wyjeździe Węgrów zajęła cały budynek szkolny organizacja „Todt" na kwatery dla ludzi sprowadzonych z olkuskiego i miechowskiego powiatu do kopania rowów. Te oddziały, kwaterujące tu przez kilka miesięcy, bo aż do grudnia, początkowo w całej szkole, potem w dwóch salach, doprowadziły budynek do strasznego wyglądu i całe otoczenie szkoły. Po ich odejściu zostały drzwi bez zamków, okna bez szyb itd.

Oczyszczono nieco 2 sale i w nich prowadzono naukę przy marnym ogrzaniu, bo gmina opału nie dostarczyła zupełnie, a tylko dzieci szkolne składały się na opał i obsługę jako-taką. Tak było do 17 stycznia 1945 r., tj. do chwili, kiedy nastąpiło pierwsze bombardowanie przez samoloty radzieckie. Najbliższe bomby, które spadły w odległości jakich 100 do 150 m od budynku, nie wyrządziły mu żadnej szkody. Podczas tego nie było nawet dzieci w szkole, gdyż nalot nastąpił całkiem niespodziewanie. Tak samo i następne operacje tj. główny atak wojsk radzieckich na pozycje niemieckie, przypuszczony od strony Kończyc i Książniczek, nie sprowadził żadnej szkody budynkowi szkolnemu, ani wsi, gdyż był skierowany poza wieś Dziekanowice w kierunku na Sudoł i Prądnik Czerwony, omijając Raciborowice, Batowice, a nawet i Dziekanowice. Tak więc tutejsze wioski, sądząc z przygotowań niemieckich, które miały się znaleźć w centrum ognia, wyszły zupełnie bez szwanku, a całą szkodą było jedynie kilka szyb, które wyleciały w domach od detonacji bombowych. Dopiero znów kwaterowanie kuchni i koni rosyjskich przez kilka dni w salach szkolnych zmieniło budynek w jakąś opuszczoną ruderę. Przy pomocy jednak zebranych składek od dzieci, a później i pomocy z strony Gminy, oczyszczono trochę sale no i opalono (bo gmina przysłała nieco węgla) i rozpoczęto naukę, gdy tylko odgłosy armat oddaliły się.

Nauka odbywała się najprzód w dwóch, a później w trzech salach, bo dla czwartej sali brakło ławek. Tak więc doprowadzono szczęśliwie rok szkolny już bez niemieckiego stryczka na szyi do końca tj. do 30 czerwca. Co zaś tyczy się grona nauczycielskiego, to i tu zachodziły różne zmiany. Liczyło ono to 4, to 6 osób, a nawet i 7. Bez zmiany tylko przez cały czas wojny pozostał kierownik szkoły. Mimo że były pewne usiłowania i to nawet czynników miejscowych, by go „wysadzić" stąd, jakoś szczęśliwie przetrwał na miejscu, choć wielu jego kolegów kierowników zostało poprzenoszonych, a nawet zdegradowanych bez jakiegokolwiek powodu. Na dokończenie tego rozdziału kroniki szkoły muszę jeszcze zaznaczyć, że Gmina zbiorowa Prądnik Czerwony, a później Węgrzce kompletnie nie dbała o tutejszą szkołę. o jej potrzeby rzeczowe najkonieczniejsze. To zaś nic dziwnego, że w takich warunkach musiał budynek dojść do tego katastrofalnego stanu, w jakim się obecnie znajduje.

1945/46

Siły nauczycielskie tak jak w roku poprzednim 5, a nawet 6-ta (Maria Kotyza) przydzielona wprawdzie, ale tylko figurowała na papierze, bo faktycznie cały rok przepracowała w Bieńczycach. Tak przeszedł czas do wiosny 1946 r. bez godnych uwagi zajść. Dopiero wiosną zaszło coś, co dla historii szkoły tutejszej otwarło nową kartę. Oto dnia 26 maja po starannym i gruntownym rozpatrzeniu sprawy, tutejszy ks. dziekan mgr Józef Jamroz, wraz z Kazimierzem Rumianem, kierownikiem szkoły, zwołali walne zebranie wszystkich mieszkańców tutejszego obwodu szkolnego, na którym, po szerokiej dyskusji, postanowiono przystąpić do budowy nowego budynku szkolnego. Nareszcie – nareszcie przebito tę skorupę obojętności co do losów tutejszej szkoły! Wybrano Komitet z przedstawicielami wszystkich wiosek należących do obwodu szkolnego wraz z przedstawicielami Zarządu gminnego w Węgrzcach (w osobie wójta p. Pietrzyka). Przewodniczącym został x. dziekan Józef Jamroz, zastępcą Jakub Raźny z Zesławic, sekretarzem Stefan Raźny, tut. naucz., a skarbnikiem Kazimierz Rumian. Uchwalono na tym zebraniu rozpocząć zbiórkę pieniężną, której wysokość miały uchwalić zebrania gromadzkie. Na tych zebraniach uchwalono po 200 zł od numeru domu i po 200 zł od morga. Miało to być na początek, by za to sporządzić przede wszystkim plany budynku i zakupić wapno. Pierwsza zbiórka pieniężna przyniosła 200.000 zł. Gmina dołożyła początkowo 50.000, potem 150.000 i z tymi funduszami rozpoczęto dzieło. Sprowadzono częściami 40 ton wapna i zgaszono je, potem sprowadzono 80 ton kamienia do fundamentów. Plany budynku do sporządzenia oddała Gmina inż. arch. Zbigniewowi Kupcowi z Krakowa. Ten jednak przetrzymał nas prawie cały rok, a nim później przeszły one wszystkie instancje i formalności, zeszedł rok 1947.

Nie mogę też pominąć wzmianki, jakie koleje przechodziły te plany budynku. Bardzo dobre plany, gotowe, dostosowane do tutejszych warunków i zatwierdzone już, a przechowywane w Zarządzie Gminnym w Węgrzcach, spaliły się wraz z budynkiem gminnym przy odwrocie Niemców z Krakowa w styczniu 1945 r. Przy omawianiu nowych planów kierownik tutejszej szkoły musiał

przeprowadzić ciężką batalię z miejscowymi przedstawicielami gromad i jeszcze cięższą z Gminną Komisją Oświatową. Chodziło bowiem o to, że aby pomniejszyć niby koszty budynku, zaprojektował architekt mieszkanie dla kierownika i sił na poddaszu. Projektowi temu sprzeciwił się stanowczo kierownik szkoły, a to z następujących względów. Sam on nie potrzebował mieszkania w szkole, mając swoje własne tuż koło szkoły, ale chodziło mu o następców. Jak sobie bowiem wyobrazić kierownika żonatego, obarczonego rodziną i prowadzącego choćby najmniejsze gospodarstwo, goniącego z wiaderkami, cebrzykami i tym podobnymi naczyniami tyle razy dziennie na drugie piętro? Wszak Raciborowice to wieś i o wodociągach i kanalizacji można jedynie marzyć obecnie. Każdy mieszkaniec wsi wie, co to znaczy, toteż zgodzono się na projekt kierownika szkoły, by jednak mieszkanie kierownika umieścić na parterze. Nie chciało tej racji uznać kilku członków Komisji Oświatowej i rady Gminnej, a w ich liczbie znalazł się i kolega, reprezentujący tam nauczycielstwo. Ale dzięki rozwadze innych członków Komitetu i Gminy zwyciężył projekt tutejszego kierownika szkoły!

Plany, jak już poprzednio wspomniałem, wygotował inż. arch. Zbigniew Kupiec. Nie były one w 100% zadowalające, bo niektóre szczegóły w rozkładzie mieszkania były niepraktyczne i nieco kosztowne, ale coś niecoś obiecano zmienić w trakcie budowy. Całość jednak robiła dodatnie wrażenie i dostosowana była do stylu kościoła i otoczenia. Przyjęto je więc, a Władze zatwierdziły. Można więc było wreszcie przystąpić do wytyczenia miejsca i rozpoczęcia budowy, zwłaszcza, że w ciągu wiosny i lata 1947 r. przywieziono ponad 46 tysięcy cegły starej, ale bardzo dobrej, pochodzącej z rozbiórki fortyfikacji poaustriackiej (przy ul. Mogilskiej w Krakowie). Cegłę tę otrzymał Komitet od Magistratu Krakowskiego i miał otrzymać 300.000, ale z powodu niedbałości o dobro społeczne pewnego członka Komitetu, ledwo powyższą ilość zdołano uzyskać. Poza tym sprowadzono jeszcze 40.000 nowej ze Śląska, oraz kilkadziesiąt m^3 spóły wiślanej. Do rozpoczęcia budowy nagliły też okoliczności, które groziły odwlekaniem budowy znów na kilka lat. Ofertę na budowę przyjęto od firmy architektonicznej Wyspiańskiego z Krakowa, a kierownictwo i nadzór powierzono inż. powiat. p. Słabemu-Sieniawskiemu z Krakowa. Miejsce pod nowy budynek, projektowane przez kier. szkoły na nowym placu (polu szkolnym) nieco za wsią odpadło, gdyż Komisja uznał je za mało dostępne. Pozostał więc stary plac. Ale tu był twardy orzech do zgryzienia. Najodpowiedniejsze miejsce było to, gdzie stał stary budynek. Posunięcie się dalej na południe było bardzo ograniczone ze względu na wysokie szkarpy od dróg. Najlepszym rozwiązaniem tego było postawić najprzód część budynku południową (w ogrodzie) obejmującą 4 sale, wykończyć ją na tyle, by mogły się w niej uczyć dzieci, a następnie dopiero zburzyć stary budynek i stawiać dalszą część budynku. Przemawiały za tym projektem i względy finansowe, by tę część wykończyć jak najprędzej, a nie obciążać mieszkańców nadmiernymi ciężarami w jednym roku. Zgodzono się wreszcie i uchwalono ten wniosek na posiedzeniu Komitetu w dniu 2 mają 1948 r. Wszystko więc było gotowe do rozpoczęcia robót. Dla pewności jednak prezydium Komitetu poddało jeszcze tę sprawę wyznaczenia dokładnego miejsca inżynierowi powiatowemu. Też zaaprobował na miejscu ten projekt, a tym samym i ostatnie wątpliwości zostały usunięte. Czas naglił, bo pogoda dopisywała do robót ziemnych, konie i ludzie w tym czasie nie obciążeni robotami, więc do dzieła!

Dnia 10 mają 1948 r. w godzinie rannej x. Dziekan w obecności zebranych dzieci szkolnych, części grona nauczycielskiego i kilkunastu osób tutejszych mieszkańców oraz robotników, poświęcił miejsce, na którym miała stanąć szkoła. Sam on wyrzucił kilka łopat ziemi, za nim tutejszy kierownik szkoły, grono nauczycielskie, dzieci szkolne i inni obecni przy tym. Tak więc rozpoczęto to ważne dzieło! Wykop poszedł sprawnie i szybko i już po upływie niecałego tygodnia można było założyć kamień węgielny na początku fundamentów. I znów podobnie jak pierwsze prace wyżej wymienione osoby założyły pierwsze kamienie i pierwsze kielnie betonu do fundamentów. Niedługo jednak szła spokojnie ta budowa, bo zaledwie kilka dni. Oto Rada Gminna powzięła inny plan. Postanowiła mianowicie budować właśnie część północną, a nie południową. Ale temu na przeszkodzie stał stary budynek i brak odpowiedniego tymczasowego pomieszczenia dla nauki. Zjechała więc Komisja złożona z przedstawicieli Gminy, Starostwa i Inspektoratu Szkolnego i usunęła tę największą przeszkodę, której Komitet, mając na uwadze warunki miejscowe (brak odpowiednich lokali) oraz wyraźne polecenie Inspektora szkolnego (że musi być zabezpieczone normalne kontynuowanie nauki), usunąć nie mógł. Komisja ta rozwiązała tę sprawę tj. pomieszczenia w ten sposób, że salę teatralną (przedtem nieodpowiednią) oraz małą izbinę w Domu Katolickim, uznano za możliwe dla nauki, zwłaszcza, że trwać ona tam miała tylko do zimy, gdyż Gmina przyrzekła solennie, że na zimę będą 3 sale gotowe dla nauki w nowym budynku. Wstrzymano więc częściowo rozpoczętą budowę, a przystąpiono do burzenia starego budynku. Przy tej sposobności, ponieważ „komuś" nie na rękę były czynniki miejscowe tj. Komitet (a szczególnie ksiądz i kierownik), więc odsunięto Komitet od wpływu na tok budowy, a całą akcje objął Zarząd Gminny w swe ręce. Z początkiem czerwca opróżniono więc stary budynek i rozpoczęła się jego rozbiórka, która trwała do trzech tygodni. Nim zaś dokonano wykopu i założono fundamenty, zeszedł lipiec. Materiału zaczęło brakować i nastąpiły przerwy w budowie. Dla oszczędności niby zaczęto redukować

i przekształcać pierwotne plany, przez co i zewnętrzny wygląd całości stracił na stylu. Toteż jeśli w przyszłości będą zarzuty w tej materii, nie może być obwiniany o to Komitet.

Wrzesień 1948 r.

Kończę ten rozdział kroniki tutejszej szkoły. Po prawie 29 latach pracy w Raciborowicach, w starym budynku w warunkach nieraz fatalnych, zwłaszcza od 1939 roku, zapadłem na chorobę płucną z wiosną tego roku i musiałem przestać uczyć. Skorzystano z tego skwapliwie, by mnie usunąć z zajmowanego stanowiska, zwłaszcza, że „komuś" pilno było je zająć. Urobiono mi też opinię „szkodnika szkoły". I choć zwykłym porządkiem rzeczy, po 44 latach służby bez urlopów i bez przerw, należałby mi się bodaj kilkumiesięczny urlop, spensjonowano mię pospiesznie z dniem 1 października 1948 r., nie czekając aż nadejdzie spodziewana w krótkim czasie poprawa płuc, a więc i emerytur, by mi umożliwić egzystencję na ostatnie dni życia. Rozpisałem się może zbyt szeroko i szczegółowo o tym okresie dziejów szkoły tutejszej. Pewnie mi następcy wezmą to za złe, może zarzucą egoizm, ale dla mnie, któremu ta sprawa tyle lat leżała na sercu, który tyle przemyśliwał, jakby to przedsięwzięcie urzeczywistnić bez większych obciążeń i bez uszczerbku dla nauki, była to rzecz niezmiernej wagi. Nic więc dziwnego, że gdy doczekałem się wreszcie rozpoczęcia budowy, było to uczucie, jakiego doznaje żeglarz na widok upragnionego lądu. I nic też dziwnego, że nie danie mi możliwości wprowadzenia dzieci do nowego budynku, jest dla mnie ciosem bardzo bolesnym[2].

Nauczyciele – fragment zapisków z kroniki szkolnej

- Dominik Palmowski, urodzony w Raciborowicach, rozpoczął służbę 1 października 1819 r.
- Józef Tokarski, dla złej konduity do domu obłąkanych oddany, niewiadomo odkąd zaczął służyć.
- Jan Bicz, nie wiadomo kiedy rozpoczął pełnić obowiązki.
- Ignacy Radzikowski, urodzony w Koniuszy, rozpoczął obowiązki od 1 marca 1833 r.
- Tomasz Klimonda, urodzony w Czarnym Dunajcu, rozpoczął pełnić obowiązki od dnia 10 września 1860 r.
- Franciszek Ksawery Maciejowski, urodzony w Krakowie rozpoczął pełnić obowiązki od 10 listopada 1870 r.
- Józef Sierosławski, urodzony w Tarnowie w 1847 r. rozpoczął pełnić obowiązki rzeczywistego nauczyciela w początku października 1872 r.
- Stanisław Szarek, rodem z Kwiczały W. Ks. Krak., urodzony 12 maja 1849, przybył z Kwiczały, gdzie był zastępcą nauczyciela przez 2 lata na mocy rozp. c.k. Rady Szkolnej Okręgowej z dnia 4 sierpnia 1876 r. do L. 2723 jako zastępca nauczyciela tejże szkoły i objął tę posadę w dniu 1 września 1876 r. W 1877 r. został mianowany wyżej przytoczony tymczasowy nauczyciel, rzeczywistym nauczycielem szkoły w Raciborowicach rozporządzeniem Wysokiej c.k. Rady Szkolnej Krajowej z dnia 24 października 1877 r. i pozostawał na niniejszej posadzie do 1892 r., w którym to c. k. RSK przeniosła go na posadę tymczasowego kierownika 2 klasowej szkoły w Dąbiu w powiecie krakowskim (na marginesie znajduje się dopisek: Zmarł 20 XII 1938 r. w Krakowie – dop. red.).

Kierownicy – dyrektorzy Szkoły Podstawowej im. ks. Jana Długosza w Raciborowicach (fragment listy)

Stanisław Szarek	1876/1877 – 1891/1892
Wojciech Miełka	1892/1893 – 1897/1898
Karol Kozłowski	1898/1899 – 1902/1903
Franciszek Cieślik	1903/1904
Józef Głuc	1904/1905 – 25.1.1920
Kazimierz Rumian	25.1.1920 – 1.10.1948
Jan Stadnicki	1.10.1948 – 31.8.1952
Stefan Raźny	1951/1952 – 1971/1972

2. 1949 r. – Karol Wojtyła uczestniczy w pogrzebie Kazimierza Rumiana – byłego kierownika szkoły w Raciborowicach, z którym spotykał się podczas wakacji 1945-1946. O jego śmierci – jak powiedział dzieciom zmarłego – dowiedział się z nekrologu w gazecie... Za: *Kalendarium życia Karola Wojtyły*, ks. Adam Boniecki.

Byli nauczyciele w tutejszej placówce szkolnej (fragment listy)

imię i nazwisko	data rozpoczęcia pracy
Dominik Palmowski	1819/1820
Józef Skalski	brak daty
Jan Bicz	brak daty
Ignacy Radzikowski	1833/1834
Tomasz Klimonda	1860/1861
Franciszek Ksan. Maciejewski	1870/1871
Józef Sierosławski	1872/1873
Stanisław Szarek	1876/1877
Feliks Gawlik	1881/1882
Łucja Strzelecka	1882/1883
Daniela Pazdańska	1883/1884
Wojciech Miełka	1892/1893
Aniela Majewska	1883/1884
Kazimierz Tarkowski	1898/1899
Karol Kozłowski	1898/1899
Zofia Dąbrowska	1901/1902
Franciszek Cieślik	1903/1904
Wanda Cieślik	1903/1904
Józef Głuc	1904/1905
Stefania Głucówna	1904/1905
Józefa Wojewodzianka	1906/1907
Zofia Polakiewiczówna	1907/1908
Emma Potmesił	1909/1910
Bronisława Wrońska	1909/1910
Stefania Ortyńska	1910/1911
Jadwiga Ortyńska	1913/1914
Karol Janowski	1913/1914
Bronisława Ryzińska	1915/1916
Julian Paluch	1915/1916
Stefania Tarkowska	1917/1918
Kazimierz Rumian	1919/1920
Janina ze Ślusarzów Rumianowa	1919/1920
Maria Ślusarzówna	1921/1922
Leoncja Hucułóna	1923/1924
Maria Burczykówna	1926/1927
Helena Schneidrówna	1927/1928
Maria Zielińska	1928/1929
Aniela z d. Dębicka Konarska	1928/1929
Wanda Boroniówna	1929/1929
Maria Ligięzianka	1929/1930
Janina z d. Skoczyńska Raźny	1930/1931
Stanisława Kunachowicz	1931/1932
Zofia Myslówna	1931/1932
Irena Kosecka	1932/1933
Ignacy Lejczak	1932/1933
Eugenia Nowak	1934/1935
Władysława Habelanka	1935/1936
Maria Kieres	1936/1937
Józefa Małusecka	1937/1938
Franciszek Faryna	1938/1939
Maciej Nawara	1939/1940
Stefan Raźny	1940/1941
Jan Stadnicki	1940/1941
Gertruda Biernat	1940/1941
Henryka Kleiber	1940/1941
Irena Ślósarz	1941/1942
Rozalia z d. Zbroja Lejczak	1944/1945

Metryka szkolna założona w roku 1899. Raciborowice

Okręg szkolny krakowski. Rada szkolna miejscowa w Raciborowicach.

Zakres szkoły ludowej 2 klasowej mieszanej w Raciborowicach – Gmina Raciborowice.

Metryka szkolna założona w myśl rozporządzenia c.k. Rady szkolnej krajowej z dnia 12 kwietnia 1899 do L. 32.611.

Wykaz dzieci będących w wieku obowiązanym do uczęszczania na naukę dopełniającą (fragment listy).

Lp.	Imię i nazwisko dziecka	Data urodzenia	Imiona i nazwisko rodziców tudzież opiekunów
		Chłopcy	
1.	Franciszek Paluch	30.12.1883 r.	Piotr, Lucyna Paluch
2.	Józef Kuśnierz	19.03.1884 r.	Szczepan, Franciszka Kuśnierz
3.	Józef Rusinek	19.03.1884 r.	Stanisław, Maryanna Rusinek
4.	Wojciech Chytry	14.04.1884 r.	Franciszek, Anna Chytry
5.	Stanisław Luty	11.05.1884 r.	Stanisław, Agata Luty
6.	Franciszek Raźny	04.09.1884 r.	Franciszek, Teofila Raźny
7.	Jan Kuśnierz	02.02.1885 r.	Szczepan, Franciszka Kuśnierz
8.	Paweł Wójcik	27.03.1885 r.	Maryanna Wójcik
9.	Franciszek Ciepiela	05.08.1885 r.	Paweł Wiatr (ojczym), Maryanna
10.	Franciszek Jan Chytry	29.09.1885 r.	Wincenty, Maryanna Chytry
11.	Andrzej Wiatr	17.06.1887 r.	Józef Wiatr
12.	Stanisław Nowak	25.04.1888 r.	Antoni Nowak
13.	Józef Wiatr	09.02.1888 r.	Bartłomiej Wiatr
14.	Stefan Adamski	04.04.1890 r.	Paweł Adamski
15.	Franciszek Madej	26.03.1890 r.	Błażej Wójcik
16.	Jan Rokita	04.01.1889 r.	Jan Rokita
17.	Jakób Ciepiela	09.07.1891 r.	Józef Ciepiela
18.	Piotr Domagała	19.09.1891 r.	Józef Domagała
19.	Jakób Koziński	05.01.1891 r.	Jan Koziński
20.	Wojciech Pardała	08.11.1891 r.	Pardała
21.	Franciszek Ciepiela	16.03.1891 r.	Jan Ciepiela
22.	Jan Prażmowski	22.12.1892 r.	Wincenty Prażmowski
23.	Franciszek Rojek	11.05.1891 r.	Jacenty Rojek
24.	Józef Sikorski	16,12.1891 r.	Michał Sikorski
25.	Karol Wójcik	09.06.1893 r.	Franciszek, Marya Wójcik
26.	Wojciech Wiatr	18.09.1893 r.	Bartłomiej, Regina Wiatr
27.	Grzegorz Pardała	06.07.1893 r.	Józef, Marya Pardała
28.	Franciszek Rusinek	13.11.1893 r.	Stanisław, Marya Rusinek
29.	Jan Zawrzykraj	29.11.1893 r.	Michał, Marya Zawrzykraj
30.	Wilhelm Ciepiela	02.10.1894 r.	Wojciech Ciepiela
31.	Jan Wróbel	22/12.1894 r.	Wojciech Wróbel
32.	Józef Nowak	27.05.1893 r.	Antoni Marya
33.	Jan Koziński	23.12.1893 r.	Jan Marya
34.	Stanisław Witek	02.05.1895 r.	Józef Julia
35.	Stanisław Waśko	28.10.1895 r.	Stanisław
36.	Mikołaj Chytry	06.07.1896 r.	Franciszek
37.	Stanisław Kruk	01.09.1896 r.	Jan
38.	Józef Paździera	15.03.1896 r.	Paweł
39.	Mateusz Pardała	29.05.1896 r.	Marya
40.	Tomasz Sikora	01.09.1896 r.	Tomasz
41.	Paweł Bukowski	04.08.1898 r.	Jan Bukowski
42.	Wojciech Koziński	08.04.1898 r.	Jan Koziński
43.	Antoni Poznański	14.05.1898 r.	Mateusz Poznański
44.	Józef Wiatr	14.07.1897 r.	Paweł Wiatr
45.	Franciszek Witek	01.09.1897 r.	Józef Witek
46.	Antoni Klimas	13.06.1898 r.	Jan Klimas
47.	Stanisław Sikorski	03.05.1898 r.	Michał Sikorski
48.	Franciszek Wróbel	15.10.1898 r.	Wojciech Wróbel
49.	Jan Wojtowicz	21.01.1898 r.	Tekla Wojtowicz
50.	Jan Adamski	13.06.1899 r.	Paweł
51.	Piotr Prażmowski	23.07.1899 r.	Franciszek
52.	Wojciech Zawrzykraj	24,02,1900 r.	Michał
53.	Jan Luty	21.06.1901 r.	Franciszek
		Dziewczęta	
1.	Marya Rożek	16.09.1893 r.	Antoni Rożek
2.	Jadwiga Sikorska	21.09.1893 r.	Michał Sikorski
3.	Marya Ciepiela	25.12.1893 r.	Franciszek Ciepiela
4.	Emilia Skalda	22.08.1894 r.	Jan Skalda
5.	Marya Wrońska	18.07.1894 r.	Franciszek Wroński
6.	Franciszka Adamska	22.12.1894 r.	Paweł Adamski
7.	Katarzyna Paluch	21.10.1894 r.	Piotr Paluch
8.	Marya Wojtowicz	16.12.1894 r.	Kazimierz Wojtowicz
9.	Teresa Chytra	27.03.1895 r.	Wincenty Chytry
10.	Franciszka Wójcik	18.07.1895 r.	Franciszek Wójcik
11.	Zofia Rokita	01.04.1895 r.	Jan
12.	Marya Chytra	01.09.1897 r.	Wincenty
13.	Zofia Prażmowska	09.07.1896 r.	Franciszek
14.	Genowefa Raźna	01.04.1897 r.	Józef
15.	Krystyna Wiatr	30.08.1896 r.	Paweł
16.	Wiktorya Wiatr	01.09.1896 r.	Józef
17.	Katarzyna Wróbel	23.01.1897 r.	Wojciech
18.	Janina Wrońska	01.10.1897 r.	Franciszek
19.	Katarzyna Domagała	25.03.1898 r.	Jan Domagała
20.	Stefania Sikorska	29.12.1898 r.	Michał Sikorski
21.	Teresa Wójcik	25.06.1898 r.	Franciszek Wójcik
22.	Zofia Nowak	29.09.1898 r.	Antoni Nowak
23.	Marya Rojek	08.08.1899 r.	Jacenty Rojek
24.	Jadwiga Sikora	14.04.1898 r.	Tomasz Sikora
25.	Bronisława Kruk	21.05.1899 r.	Jan
26.	Marya Bukowska	26.01.1900 r.	Jan
27.	Katarzyna Gurbiel	28.08.1900 r.	Wojciech
28.	Marya Wójcik	11.09.1900 r.	Franciszek
29.	Marya Wróbel	22.10.1900 r.	Wojciech
30.	Magdalena Sikorska	13.03.1901 r.	Michał
31.	Helena Wrońska	03.11.1900 r.	Franciszek
32.	Jadwiga Poznańska	31.12.1900 r.	Mateusz
33.	Marya Wójcik	11.05.1901 r.	Maciej
34.	Marya Paluch	18.05.1901 r.	Paweł
35.	Franciszka Paluch	15.07.1901 r.	Piotr

Reskrypty szkolne pism z Konsystorza Generalnego Diecezji Krakowskiej (fragmenty)

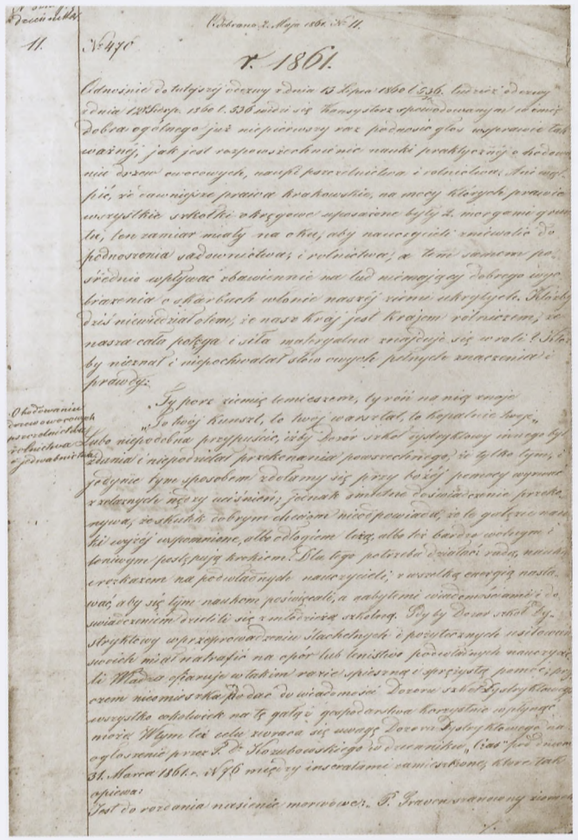

2 maja 1861 r.

Konsystorz w imię dobra ogólnego już nie pierwszy raz podnosi głos w sprawie tak ważnej, jak rozpowszechnienie nauki praktycznej o hodowaniu drzew owocowych, nauki pszczelnictwa i rolnictwa. Ani wątpić, że dawniejsze prawa krakowskie, na mocy których prawie wszystkie szkółki okręgowe uposażone były 2. morgami gruntu, ten zamiar miały na oku, aby nauczycieli zniewolić do podnoszenia sadownictwa, a tym samem pośrednio wpływać zbawiennie na lud nie mający dobrego wyobrażenia o skarbach w łonie naszej ziemi ukrytych. Któżby dziś nie wiedział o tym, że nasz Kraj jest Krajem rolniczym, że nasza cała potęga i siła materialna znajduje się w roli? Któżby nie znał i nie pochwalał słów owych pełnych znaczenia i prawdy:

Ty porz ziemię lemieszem, ty róń na nią znoje
To twój kunszt, to twój warsztat, to kopalnie twoje

Lubo niepodobna przypuścić, iżby Dozór szkół dystryktowy innego był zrozumienia i nie podzielał przekonania powszechnego, że tylko tym, i jedynie tym sposobem zdołamy się przy Bożej pomocy wyrwać z żelaznych nędzy uciśnień; jednak smutne doświadczenie przekonywa, że skutek dobrym chęciom nie odpowiada, że te gałęzie nauki wyżej wspomniane, albo odłogiem leżą, albo też bardzo wolnym i leniwym postępują krokiem. Dlatego potrzeba działać: radą, nauką i rozkazem na podwładnych nauczycieli, z wszelką energią nastawać, aby się tym naukom poświęcali, a nabytymi wiadomościami i doświadczeniem dzielili się z młodzieżą szkolną.

24 lipca 1861 r.

Stanowisko nauczyciela w społeczeństwie ludzkim, jest tak wzniosłe i zaszczytne, że w pewnym względzie kapłańskiemu wyrównywa. Wzniosłość tego stanowiska szczupła i nieznaczna dotacja nauczycieli nie odpowiada. Dobry, pracowity, gorliwy nauczyciel płacą roczną 200 złr. często i mniejszą nie jest wynagrodzony ani opłacony. Zapłatą jego jest wdzięczność pokoleń i bogate z nauk udzielone plony. Gdy stan nauczycielski w społeczeństwie tak znakomite zajmuje miejsce, a przy tym częstokroć z niedostatkiem łamać się (potykać) musi i odmówić sobie nie rzadko pierwszych niezbędnych potrzeb życia, obowiązkiem jest każdego sumiennego, a o dobro powszechne troskliwego człowieka, przy każdej wydarzonej sposobności, godność i powagę nauczyciela podnosić, dodawać otuchy i osładzać smutny los jego. Najprzykrzejsze bez wątpienia jest położenie nauczyciela wtedy, gdy pobiera jaką część dotacji z funduszu gminnego, a należytości w swoim czasie doprosić się nie może, i zmuszony jest poszukiwać takowej drogą egzekucji. Nienawiść, gniewy, swary, jakie stąd się rodzą, powadze nauczyciela niemały przynoszą uszczerbek. Powaga nauczyciela już tem samem cierpi, gdy po pensyą swoją sam osobiście do wójta lub sołtysa gminy udawać się musi.

15 lipca 1861 r.

Już kilkakrotnie, a szczególniej Odezwą z dnia 13 go Lipca r. ż. wzywał Konsystorz Szanowne Duchowieństwo, aby nauką, radą i rozkazem nauczycieli sobie podwładnych wpływało, iżby się starali wszyscy bez wyjątku z nowszą a poprawną metodą zapoznać, starą a zużytą porzucić, ulepszenia wszelkie w nauczaniu dzieci w życie wprowadzić. Do ulepszeń takowych należy najprzód alfabet ruchomy. (...) C. K. Urzędy Powiatowe otrzymały przeto od W. C. K. Namiestnictwa Lwowskiego polecenie, aby z funduszu gminnego lub z pieniędzy szkolnych za karę wypływających tak ruchomy alfabet jak dziełko: „Nauka poglądu" Kempskiego niezwłocznie dla głównych, trywialnych i parafialnych szkółek zakupić się starały.

31 sierpnia 1861 r.

Po przekonaniu się, że książeczka pod tytułem „Prawdy gospodarskie i nauka hodowania drzew owocowych" zawiera w sobie wiele nader praktycznych i zdrowych uwag, tudzież, że w hodowaniu drzew owocowych, a udzieleniu nauki sadownictwa za dobrą wskazówkę posłużyć może.

16 czerwca 1862 r.

Ministerstwo Stanu poleciło „Śpiewnik dla szkół ludowych galicyjskich" przez dyrektora szkoły głównej ul. Św. Barbary w języku polskim złożony, do użytku w tychże szkołach. Konsystorz ze swej strony dobór piosenek, dźwięczność melodii i taniość pisemka, jak niemniej pożytek, jaki z rozpowszechnienia moralnych i pouczających śpiewów dla dobra ludu niewątpliwie się okaże, uwzględniając, widzi się spowodowanym nadmienić, iż życzeniem jest władzy, aby każdy nauczyciel śpiewnik w mowie będący posiadał, i z niego właściwy czynił użytek.

22 lutego 1863 r.

Doświadczenie stwierdziło niejednokrotnie, iż rozprężenie karności szkolnej, zbyteczne pobłażanie młodzieży i brak należytego rygoru na moralność w ogólności najniekorzystniejszy wpływ wywierało. Zło w zarodzie nie umorzone, rozlewa się następnie szerokim strumieniem, i albo się wcale zatamować nie da, albo tylko z niesłychanym sił wytężeniem. Nie więcej wszakże zyskuje moralność na tym jeśli się karność szkolną nieodpowiednimi podtrzymuje środkami. Do takich środków chybionych należy bez wątpienia wszelkie terroryzowanie szkolnej młodzieży, jako to: karcenie wyrazami grubymi i trywialnymi, zamykanie w miejscach samotnych podczas godzin od nauki wolnych czyli aresztowanie i okładanie karami cielesnemi. Nie zapuszczając się w szczegółowy wykład wszystkich przez pedagogią zalecanych środków, których każdy nauczyciel dobrze i sumiennie dzieci prowadzący niezliczoną ilość ma na zawołanie; Konsystorz spowodowany nadużyciami w tej mierze dosyć często się pojawiającymi uważa za obowiązek przypomnieć P.P. nauczycielom, iż największą ozdobę dobrego nauczyciela stanowi cnota cierpliwości i łagodności, połączona z szlachetną a ojcowską cierpliwością, iż nauczyciel nie pierwej na ukaranie ucznia cielesną karą zdecydować się powinien, aż wszystkie inne środki łagodniejsze wyczerpie i gdy wszystkie przez ucznia udaremnione zostały, iż nauczyciel tym potężniejszym jest, im mniej spotrzebował upomnień, gróźb i kar, im więcej mu takowych zostaje w zapasie.

29 października 1863 r.

Ponieważ konferencje piętno charakteru kościelnego na sobie noszą, niezbędną rzeczą jest to, aby konferencje rozpoczynały i kończyły się modlitwą, wzniosą pieśnią lub jakim hymnem chóralnym, ba nawet gdzie to możebną jest rzeczą życzyć by sobie wypadało, aby poprzedzała Msza Św., śród której mogłyby być odśpiewane harmonijnie pieśni nabożne. Konsystorz komunikując powyższe postanowienia W.J.X. Dozorcy Dystryktowemu poleca Mu, aby nad wykonaniem takowych ściśle czuwał, a gdzieżby przeciw nim uchybiano lub konferencji wcale nie odbywano, aby niezwłocznie o tym raportował.

3 czerwca 1865 r.

Pan Stanisław Żarański Dyrektor Archiwum przy c.k. Sądzie Wyższym w Krakowie i członek CK. Towarzystwa Naukowego wydał tymi dniami zeszyt I tomu „Z dziejów powszechnych" ułożonych na wzór roczników kronik i właściwej historii. Pan Stanisław Żarański niezmordowany, sumienny, ścisły a katolicki autor napisał tę książkę w duchu przywiązania do religii i Kościoła opisując wszystko z największą ścisłością i dokładnością szczególniejszą poświęcał uwagę wypadkom potrącającym o życie Kościoła Chrystusowego, które największym i najważniejszym jest dziełem Boga na ziemi. Język czysty, styl gładki, druk piękny, dodane obrazy ujmujące oko. Dzieło to nadaje się na podręczną książkę dla wszystkich.

23 marca 1866 r.

W Krakowie zawiązało się Towarzystwo pszczelno-jedwabnicze i sadownicze. Celem tego Towarzystwa jest podnieść podupadłe w Kraju sadownictwo i zaniedbane pszczelnictwo, jako też obznajomić ludność z jedwabnictwem. Pszczoły, jedwabniki i drzewa owocowe są ważnemi i bardzo pożytecznymi gałęziami gospodarstwa krajowego, a do rozwiązania dobrego bytu w Kraju wiele mogą się przyczynić; słuszna zatem, żeby jak najwięcej rozpowszechnione były.

13 października 1866 r.

Wysoka CK. Komisya Namiestnicza w Krakowie zarządziła aby w szkołach ludowych w Mieście Krakowie istniejących młodzież każdej przepełnionej klasy na dwie równe połowy podzielona i na przemian jedna część młodzieży z rana a druga po południu naukę pobierała.

Gdy młodzież do szkół ludowych wiejskich uczęszczających nie równie w niekorzystniejszym znajduje się położeniu od młodzieży miejskiej, bowiem dzieci włościańskie zazwyczaj lichą strawą się żywią a w jedzeniu (nie mając nad sobą rozumnej kontroli) łatwo przebierają miarę, i gdy prócz tego dzieci włościańskie często z daleka po bezdrożach i ścieżkach błotnistych w lada jakiem ubraniu do szkoły przedzierać się muszą, gdy na koniec izby szkolne po wsiach nie mają ani na obszerność, ani na wysokość tych rozmiarów ażeby w nich 100, 150 lub 200 dzieci (a ta liczba nie należy do wyjątków) bez narażenia się na wszystkie niebezpieczeństwa cholery mieścić się mogło – przeto Konsystorz musi sobie życzyć, aby środki ostrożności w szkołach Miasta Krakowa zaprowadzone, bez zwłoki także i w szkołach wiejskich zastosowanie znalazły.

5 listopada 1868 r.

Ponieważ zdarza się, że pisma urzędowe do Rady Szkolnej Krajowej od władz podrzędnych nie w jednym nad-

chodzą języku, przeto aby uchylić niejednostajność w urzędowaniu, Rada Szkolna Krajowa oznajmia, że jej językiem urzędowym jest język polski i że tego języka powinny używać w urzędowych stycznościach z Radą Szkolną Krajową wszystkie jej podległe władze, urzędy i instytucje szkolne. Językiem urzędowym Rady Szkolnej Krajowej jest język polski (dopisek na marginesie).

9 stycznia 1870 r.

Pojawiające się w ostatnich czasach coraz częściej choroby zaraźliwe, przybierając poniekąd charakter epidemiczny, zniewoliły w niektórych miejscach władze szkolne do użycia środków zaradczych, celem uchronienia młodzieży szkolnej od grożącego niebezpieczeństwa. W razie więc, gdyby choroby epidemiczne występowały groźnie i niszcząco, należy bez wszelkiej zwłoki zamknąć szkoły, i w ten sposób położyć tamę dalszemu szerzeniu się złego. Orzeczenie lekarza wydelegowanego przez Władzę polityczną do zbadania epidemii stanowi podstawę do rozstrzygnięcia czy należy szkołę zamknąć lub też ograniczyć się tylko do wykluczenia na czas oznaczony uczniów zarażonych od uczęszczania do szkoły. Rada Szkolna nie wątpi, że władze szkolne zastosują się sumiennie do udzielonych im powyżej wskazówek i pomne swej odpowiedzialności z wszelką gorliwością czuwać będą nad dobrem powierzonych ich pieczy młodego pokolenia.

15 stycznia 1875 r.

CK. Rada Szkolna Okręgowa zrobiła spostrzeżenie, że w niektórych szkołach ferie z powodu świąt uroczystych bezprawnie przedłużone bywają. Z tej przyczyny oznajmia p.p. nauczycielom, iż oprócz niedziel i świąt uroczystych, które ogólnie są znane i w kalendarzu odmiennym drukiem oznaczone bywają, dniami ferialnymi są:

- Dzień 4-ty października, jako dzień imienin Najjaśniejszego Pana
- Poniedziałek i wtorek zapustny niemniej dzień Popielcowy
- Środa, Czwartek, Piątek i Sobota Wielkiego Tygodnia
- Dni Krzyżowe, w których jednak po południu szkołę odbywać należy
- Dzień wigilii Bożego Narodzenia
- Dnie w których młodzież do spowiedzi i komunii świętej przystępuje.

4 października 1877 r.

Wys. CK. Ministerstwo zwróciło uwagę władz szkolnych na potrzebę pielęgnowania muzyki i śpiewu kościelnego chóralnego. Na podstawie tego rozporządzenia poleca CK. R.S.O. wszystkim nauczycielom, aby oznajmiali młodzież przy nauce śpiewu z pieśniami kościelnymi i ich melodią. P.P. nauczyciele dołożą także wszelkich starań, aby młodzież w śpiewie chóralnym pieśni kościelnych nabyła należytej wprawy, i aby mogła podczas nabożeństwa szkolnego i przy innych sposobnościach pieśni te należycie odśpiewać, co także wpłynie na uszlachetnienie umysłów nie tylko u młodzieży, ale i u ludu naszego.

3 lipca 1891 r.

Książęco-Biskupi Konsystorz ma zaszczyt podać do wiadomości Świetnej c. k. Rady Szkolnej Okręgowej, że Patronem młodzieży szkolnej męskiej w całej diecezji jest obranym Św. Jan Kanty, którego uroczystość obchodzi się w 4. niedzielę października. Patronką zaś młodzieży szkolnej żeńskiej jest Św. Jadwiga, której uroczystość przypada 15. października.

Wakacje kleryckie[3]

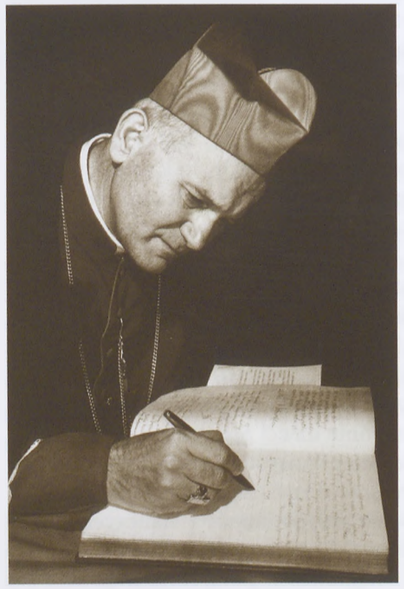

Kardynał Karol Wojtyła, fot. Leszek Dziedzic, 1975 r.

Od czasu kiedy nawiązałem kontakt z Seminarium otwarła się nowa możliwość spędzania wakacji. Zostałem skierowany przez Księdza Arcybiskupa do podkrakowskiej parafii w Raciborowicach. Nie mogę nie wyrazić głębokiej wdzięczności dla proboszcza raciborowickiego, ks. Józefa Jamroza, i dla księży wikarych, którzy byli towarzyszami życia młodego tajnego seminarzysty. Wspominam zwłaszcza ks. Franciszka Szymonka, który potem w czasach terroru stalinowskiego był oskarżony w procesie pokazowym kurii krakowskiej i skazany na śmierć. Na szczęście po pewnym czasie został ułaskawiony. Wspominam także ks. Adama Bielę, mojego starszego kolegę z gimnazjum wadowickiego.

3. Fragment z autobiograficznej książki *Dar i tajemnica w pięćdziesiątą rocznicę moich święceń kapłańskich*, Jan Paweł II, Kraków 1996.

Dzięki tym młodym kapłanom mogłem się zapoznać z życiem religijnym całej parafii. Niedługo potem na terenie wsi Bieńczyce, która należała do parafii w Raciborowicach, wyrosło olbrzymie osiedle związane z Nową Hutą. Przebywałem tam wiele dni w czasie wakacji, zarówno w roku 1944, jak też w roku 1945, po zakończeniu wojny. Wiele czasu spędzałem w starym raciborowickim kościele, pochodzącym jeszcze z czasów Jana Długosza. Wiele godzin przemedytowałem, spacerując po cmentarzu. Przywoziłem do Raciborowic także swój warsztat studiów – tomy dzieł św. Tomasza z komentarzami. Uczyłem się teologii niejako w samym „centrum" wielkiej teologicznej tradycji. Pisałem już wówczas pracę o św. Janie od Krzyża. Kierownictwo tej pracy w Krakowie, już po otwarciu Uniwersytetu, przyjął ks. prof. Ignacy Różycki. Skończyłem ją natomiast na Angelicum, pod kierownictwem o. prof. Garrigou-Lagrange'a.

ks. Józef Fudali, raciborowicki wikary[4]



Ks. Józef Fudali, 1941 r

W okresie okupacji niemieckiej pracował w parafii raciborowickiej jako wikary ks. Józef Fudali. Była to pierwsza parafia na jego kapłańskiej drodze. Już wtedy żywo interesował się problemami parafian. Pomagał ukrywać się młodzieży, której groziło wywiezienie na roboty do Niemiec, współpracował z Heleną Cieślewicz – właścicielką dworu w Bieńczycach, gdzie ukrywała się i gromadziła młodzież na tajnym nauczaniu. W następnych latach ks. Józef pracował w parafiach w Wieliczce i w Liszkach.

4. Na podstawie: dr M. Jarosławski, *Wspomnienie o księdzu Józefie Fudalim* [w:] „Echa spod Giewontu", nr 6 (355) 2003. Zob. też: *Naddłubniańskie Pejzaże. Kwartalnik Społeczno-Kulturalny*, Nr 1-2 (25-26), 2010.

Omawiając prześladowania Kościoła katolickiego i duchowieństwa w Krakowie nie sposób nie wspomnieć o osobie ks. Józefa Fudalego. Kiedy za sprawą ks. Józefa zatrzymała się u jego matki w Rabce Helena Budziaszek, osoba aktywnie zaangażowana w pracę parafii w Liszkach (gdzie wikarym był wówczas ks. Józef), której zarzucono współpracę z wywiadem amerykańskim – została tam aresztowana, a funkcjonariusze UB zorganizowali w mieszkaniu „kocioł". (...) Zaniepokojony sytuacją ks. Fudali przyjechał do matki, a w drodze powrotnej do Krakowa został aresztowany. W listopadzie 1952 r. aresztowano kapłanów krakowskiej kurii – ks. Jana Pochopienia, ks. Wita Brzyckiego (notariuszy), kanclerza – ks. Bolesława Przybyszewskiego, ks. Józefa Lelitę i ks. Franciszka Szymonka oraz Stefanię Rozpond, u której rodziców w Liszkach mieszkał ks. Fudali. W śledztwie ks. Józef był nieludzko torturowany, katowany i męczony. Doprowadzono go do takiego stanu, że nie można go było postawić przed sądem. Stefania Rozpond (...), doprowadzana z więzienia jako świadek, tak wspomina: *To było straszne. To był jeszcze dość młody człowiek, rocznik 1919. Przed sądem zeznawał trzęsąc się, ledwie stojąc na nogach, mówił niewyraźnie, bo wybili mu zęby. Nagle zaczął odwoływać swoje zeznania. Sędzia zwrócił mu uwagę, że przecież podczas śledztwa przyznał się do winy. Wtedy on zaczął krzyczeć, że go w śledztwie bili żelaznym drągiem. Rozprawę przerwano. Dlatego nie został włączony do procesu kurii krakowskiej.* Później wytoczono mu proces o „przywództwo bandzie szpiegowskiej", działającej na szkodę PRL i skazano na 7 lat więzienia, a po rewizji procesu wyrok zwiększono do 13 lat. Na rozprawie była obecna matka księdza i brat Michał – również ksiądz (proboszcz w Nowej Górze).

Mimo wyroku przetrzymywano go nadal i bezlitośnie szykanowano w więzieniu na Montelupich w Krakowie. Można przypuszczać, że zamierzano go zgładzić. Stan jego zdrowia pogarszał się. Na prośbę brata w sierpniu 1953 r. Wikariusz Kapitulny Archidiecezji Krakowskiej, ks. biskup Franciszek Jop, wystosował pismo do Rady Państwa, do Dyrektora Urzędu do Spraw Wyznań – Jana Izydorczyka z prośbą o darowanie kary ks. Józefowi Fudali. Prośba została odrzucona. W stanie skrajnego wyniszczenia, wyczerpania wykonano mu w szpitalu więziennym operację pęcherzyka żółciowego. Kilka tygodni przed operacją mówił (...), że bardzo się jej boi, że jej nie przetrzyma. (...) Przeczuwał, że chcą go wykończyć... (...) 28 stycznia 1955 r. przywieziony został z więzienia Montelupich do Szpitala Św. Łazarza, na oddział czerwonej chirurgii, wraz ze strażnikiem więziennym, który ani na chwilę go nie opuszczał. (...) Chory był już ósmy dzień po operacji woreczka żółciowego, był bardzo wyniszczony, z gorączką, rana pooperacyjna duża, z ropą i krwią. (...) Miał założoną kroplówkę, był przytomny, ale bardzo słaby. Na pytanie, czy dać o nim znać bratu, ks. Michałowi, odpowiedział, że trzeba mu

oszczędzić tego cierpienia. W ciągu dnia chwilami zapadał w sen, to znów modlił się i łączył z Drogą Krzyżową Pana Jezusa. (...) To znów mówił: *Chryste, ofiarowuję Ci krew moją kapłańską z Twoją, Ty miałeś bok przebity, lała się krew i woda, i z mojej rany z boku leje się krew i ropa*. Do wieczora nie było oznak poprawy w zdrowiu.

30 stycznia 1955 r. rano rysy twarzy i cały stan zdradzały pogorszenie. (...) Przyjechał ks. Michał (przebrany za lekarza – dla zmylenia strażnika, który wciąż nie odstępował ks. Józefa). Przywitali się bardzo serdecznie, modlili się mówiąc różaniec o zdrowie, trwało to do dwóch godzin. Ostatnie słowa ks. Józefa to: *Jak błogo umierać, gdy się z Chrystusem żyło* i po tych słowach odszedł do Pana. Pogrzeb ks. Józefa Fudali odbył się w Rabce. Był wspaniałą manifestacją. Uroczystościom przewodniczył ks. bp Franciszek Jop. Po roku 1990 rodzina ks. Józefa próbowała szukać śladów po jego procesie, ale akta zostały zniszczone. Tylko w IPN zachowało się świadectwo zgonu.

Ks. Józef Fudali był jedynym kapłanem z grupy aresztowań związanych z procesem kurii krakowskiej, który zapłacił życiem. Jego postać zasługuje ze wszech miar na przypomnienie, po upływie pół wieku od tamtych wydarzeń. Przez dłuższy czas niesłusznie pomijany prawie we wszystkich opracowaniach poświęconych procesowi kurii krakowskiej, został nareszcie wpisany na listę „męczenników komunizmu".

dr MATEUSZ WYŻGA – Ksiądz kanonik Stanisław Migas (1931-2010)

Kiedy wchodzimy do kościoła parafialnego w Raciborowicach, na południowej ścianie, przy ołtarzu św. Małgorzaty, patronki parafii, widnieje wmurowana tablica pamiątkowa. Kamień, ufundowany przez „wdzięcznych parafian", jest poświęcony pamięci ks. kanonika Stanisława Migasa, tutejszego proboszcza w latach 1971-2004.

Raciborowice to jedna z najstarszych parafii podkrakowskich. Kościół tutejszy został wzniesiony przez ks. Pawła z Zatora i ks. Jana Długosza, wielkiego polskiego kronikarza i wychowawcę synów Kazimierza Jagiellończyka. Długosz zwieńczył budowlę w roku 1476. Dziś określa się ją mianem perły gotyku nadwiślańskiego, gdyż przetrwała do czasów obecnych w zasadzie bez większych zmian[5].



Ksiądz kanonik Stanisław Migas

Ksiądz Stanisław Migas przyszedł na świat 4 kwietnia 1931 r., w 137 rocznicę bitwy pod Racławicami. Urodził się w rodzinie chłopskiej, żyjącej w podkrakowskiej osadzie Koźlica koło Igołomii. Nazwisko Migas jest zasiedziałe w okolicy. Przykładowo Jan Migas w roku 1789 został wymieniony w gronie chałupników graniczącej z Igołomią wsi Tropiszów[6]. Stanisław Migas był czwartym dzieckiem Stanisława i Władysławy z Zielińskich. W sumie Migasowie mieli 4 synów i 4 córki. Wiadomo, że jako dziecko pasał krowę u szewca Stanisława Palucha, za co płacono mu 1 zł tygodniowo i każdego dnia dawano „kromkę chleba z bryndzą". Ukończył szkołę podstawową w Igołomii. Na te lata przypadł wybuch II wojny światowej. Dostrzegając zdolności chłopca, kierownik szkoły, Wacław Górecki, zapisał go na tajne nauczanie. Edukację kontynuował w gimnazjum w Niepołomicach, na zamku królewskim. Jesienią 1945 r. Migas przeniósł się do IV Liceum i Gimnazjum im. Henryka Sienkiewicza w Krakowie, zamieszkując w mieście, u swego starszego brata Tadeusza przy ul. Krupniczej.

Po tzw. małej maturze w 1948 r. uczęszczał do małego seminarium arcybiskupiego w Krakowie na Wawelu i Liceum im. B. Nowodworskiego. Po maturze w 1951 r. Stanisław Migas rozpoczął pracę na stanowisku brakarza w Nowej Hucie. Jednocześnie został przyjęty na Wydział Teologiczny UJ, choć jak sam pisze w swych wspomnieniach, interesował się również studiami historycznymi[7]. Stanisław Migas przyjął święcenia kapłańskie z rąk bpa Franciszka Jopa 24 czerwca 1956 r. Jako wikary został skierowany do parafii Chocznia koło Wadowic, gdzie pracował przez półtora roku. Kolejną parafią był nadwiślański Czernichów. W tym czasie prowadził nauczanie w szkołach podstawowych w Wołowicach, Przegini i Kłokoczynie, a także w jednym z techników rolniczych. W tym czasie, 7 stycznia 1961 r., zmarł jego ojciec, Stanisław.

5. F. Papee, *Długosz Jan* oraz K. Piotrowicz, *Długosz Jan młodszy* [w:] *Polski Słownik Biograficzny*, t. V, s. 176-180; M. Bobrzyński, S. Smolka, *Jan Długosz. Jego życie i stanowisko w piśmiennictwie*, Kraków 1893, passim; J. Długosz, *Liber beneficiorum dioecesis Cracoviensis* [w:] *Opera omnia*, t. 2, Kraków 1873, s. 58. W 2010 r. obroniona została rozprawa doktorska: M. Wyżga, *Parafia Raciborowice od XVI do końca XVIII wieku. Studium o społeczności lokalnej*, [w druku].

6. Archiwum Krakowskiej Kapituły Katedralnej, sygnatura Rev.V.925, s. 29-31.

7. S. Migas, *Kościół w Raciborowicach,* Kraków 1993, s. 123.

Kolejną parafią dla ks. Stanisława Migasa były Wilkowice koło Bielska-Białej. Pożegnanie z dotychczasową placówką było dla młodego kapłana wzruszające. Jak sam pisze: *Urządzono trzy bramy pożegnalne udekorowane kwiatami. W imieniu wsi żegnali mnie sołtysi, dzieci mówiły wierszyki, starsi płakali...*[8]. Pobyt w Wilkowicach, parafii ludnej, liczącej około 8 000 dusz, trwał 6 lat. W tym czasie proboszcz parafii Wilkowice, ks. kanonik Zbigniew Przeworski, został sparaliżowany, przez co było więcej pracy. W 1967 r. ks. Stanisław Migas został przeniesiony do niewielkiej parafii Łękawica koło Wadowic, gdzie został proboszczem. Przebywał tam 4 lata. Wiadomo, że wykonał tam m.in. ogrodzenie kościoła[9].

20 czerwca 1971 r. ks. Migas, wolą kardynała Karola Wojtyły, późniejszego papieża Jana Pawła II, został skierowany do Raciborowic, gdzie sprawował funkcję proboszcza przez 33 lata. W tym czasie parafia liczyła około 6 000 wiernych. Warto dodać, że Raciborowice były „matką" kilku okolicznych parafii: Bieńczyc, Mistrzejowic, Węgrzc, Kantorowic i Prus. Posadę objął po ks. Józefie Jamrozie, który przebywał tam od roku 1927. Na nowej parafii ks. Migas dał się poznać jako zdolny gospodarz i pasjonat dziedzictwa kulturowego wsi krakowskiej. Zapuszczone zabudowania parafialne przywrócił do ładu bądź zbudował od podstaw, jak np. kaplicę cmentarną i ogrodzenie cmentarza czy dom parafialny. Wyremontował również plebanię. Wszystkich kierowanych przez niego inwestycji nie sposób tu wymienić. Środki na renowacje łożyli parafianie i darczyńcy. Wiadomo również, że sam proboszcz szukał finansów (praca w charakterze wikarego i osoby sprzątającej w USA). Przede wszystkim zaś został odnowiony stary, długoszowy kościół w Raciborowicach i dzwonnica. Najpierw wyremontowano wnętrze, a w następnych latach elewację i dach.

W 1993 r. została opublikowana przez ks. Stanisława Migasa książka pt. „Kościół w Raciborowicach". Jak czytamy we wstępie część historyczną opracował do niej *Ojciec Paweł, którego benedyktyńska cierpliwość i erudycja okazała się nieodzowna*[10]. Współczesność została opisana przez ks. Stanisława Migasa, jak sam zaznaczył, *być może w sposób subiektywny*[11]. Książka przybliżyła nieznane dotąd szczegóły z historii lokalnej, gdyż ostatnia publikacja o Raciborowicach pojawiła się 87 lat wcześniej. Była to monografia pióra Stanisława Tomkowicza[12].

W 1994 r. proboszcz założył parafialną orkiestrę dętą, która z czasem stała się jedną z najlepszych w Małopolsce. Swą nazwę zespół wziął od herbu „Wieniawa", należącego do ks. kanonika Jana Długosza, posesora Raciborowic[13]. Nie przetrwał natomiast próby czasu powołany do istnienia zespół folklorystyczny „Raciborowianka". W 2004 r. ks. Stanisław Migas przeszedł na emeryturę i zamieszkał w swej rodzinnej Koźlicy. Zmarł w wieku 79 lat 5 sierpnia 2010 r. Nabożeństwo żałobne odprawiono w kościele w rodzinnej Igołomii, a następnie w Raciborowicach odbyła się msza pogrzebowa. Ciało zostało złożone w grobowcu pod nową kaplicą cmentarną w Raciborowicach. W tej bowiem parafii, jak głosi tablica pamiątkowa wmurowana w ścianę kościoła, wiele lat służył Bogu i ludowi bożemu.

MARIA RAŹNA – Moja Szkoła w Raciborowicach

Szkoła Podstawowa im. ks. Jana Długosza w Raciborowicach to pierwsza i ostatnia szkoła w moim życiu. Tutaj uzyskałam wykształcenie podstawowe i tutaj wróciłam po ukończeniu liceum i studiów wyższych, aby od 1 września 1963 r. podjąć pracę jako nauczyciel matematyki, fizyki i chemii, zaś od 1982 r. jako nauczyciel klas początkowych. Tę właśnie wiejską szkołę, nie zaś krakowską, wybrałam jako miejsce mojej pracy, gdyż była ona dla mnie czymś więcej niż zwykłym budynkiem szkolnym, wypełnionym dziećmi. Była dla mnie drogim miejscem i drugim domem. Uczyli w niej bowiem od lat moi rodzice, którzy dzieciom raciborowickiej szkoły poświęcili swoje życie. Od wczesnego dzieciństwa przebywałam wraz z nimi w szkole, wraz z nimi przeżywałam jej radości i smutki.

Od wczesnego dzieciństwa uczyłam się w niej uczciwości, patriotyzmu, szacunku dla tradycji i chrześcijańskiego dziedzictwa kulturowego Polski. Te wartości były zawsze w raciborowickiej szkole przekazywane uczniom z pokolenia na pokolenie, nawet wówczas, gdy – jak to miało miejsce w okresie PRL – były one skazywane na zapomnienie. Szkoła ta miała bowiem zawsze szczęście do nauczycieli z powołaniem, ludzi skromnych i uczciwych, którzy z oddaniem uczyli i wychowywali tutejszą młodzież, starając się ze wszystkich sił otworzyć jej drzwi do średnich i wyższych szkół Krakowa. Dlatego wielu pośród jej wychowanków to świetni fachowcy, ludzie z wyższym wykształceniem, działacze społeczni. Szczyci się nimi raciborowicka szkoła obecnie, szczyciła się również wcześniej.

Zachowany w kronice dawniejszy jej obraz łączę w swej pamięci ze wspomnieniami moich rodziców. Mama moja, Janina Raźna, została zatrudniona w Raciborowicach jako nauczycielka w 1930 r. i uczyła języka polskie-

8. Tamże, s. 126.

9. http://www.splekawica.iap.pl/malaojczyzna/proboszczowie.htm, odczyt: 28 marca 2011.

10. S. Migas, *Raciborowice...*, s. 4.

11. Tamże.

12. S. Tomkowicz, *Raciborowice,* Kraków 1906.

13. www.wieniawa.eu; odczyt: 13 marca 2011.

go, historii i śpiewu do czerwca 1940 r., kiedy została zwolniona przez Niemców. Nie mogąc uczyć oficjalnie ulubionych przedmiotów, prowadziła w domu tajne nauczanie aż do 1945 r. Wówczas bowiem dopiero mogła wrócić do szkoły i kontynuować w niej pracę na pełnym etacie do 1969 r., a następnie na półetacie do 1973 r. Od wojny drogę z Batowic z naszego rodzinnego domu do raciborowickiej szkoły pokonywała mama wraz z moim ojcem, Stefanem Raźnym, który został tu zatrudniony na jej miejscu jako nauczyciel w 1940 r. i uczył matematyki, fizyki, chemii, prac ręcznych. W 1951 r. otrzymał nominację na kierownika szkoły w Raciborowicach, obejmując to stanowisko po Janie Stadnickim. Szkołą kierował do 1972 r., kiedy z powodu ciężkiej choroby przeszedł na emeryturę.

Dzięki wspaniałym nauczycielom, którzy z nimi współpracowali, raciborowicka szkoła zachowała swoją patriotyczną tradycję i wysoki poziom nauczania. Te jej wartości zostały przekazane następcom ojca i nowemu pokoleniu nauczycieli, którzy je z dużym powodzeniem nadal podtrzymują. Gdy dzisiaj myślę o tej szkole, moim drugim domu, wspominam nie tylko moich rodziców, ojca z kredą w ręku przy tablicy z wzorami matematycznymi – ale również uczących wraz z nimi religii, choć nie zawsze w szkole, księży katechetów, nauczycieli historii, biologii, geografii i tylu innych przedmiotów. Myślę o dawnych pokoleniach nauczycieli, o moich nauczycielach i o moich obecnych kolegach. Łączy nas wszystkich jedno: umiłowanie zawodu i troska o dobro naszych uczniów.

ANNA, JADWIGA I MARIA z d. RAŹNY – Cała rodzina w służbie polskiej szkole





Stefan Raźny, Janina Skoczyńska-Raźna

Nasi rodzice, Janina i Stefan Raźni, poświęcili swe życie Szkole Podstawowej im. ks. Jana Długosza w Raciborowicach. Mama służbę tę rozpoczęła we wrześniu 1930 r., przychodząc do raciborowickiej szkoły w charakterze „nauczycielki stałej" ze Szkoły Podstawowej w Nowej Wsi Szlacheckiej. Ojciec – do wybuchu II wojny światowej oficer Stacji Radiotelegraficznej Nr 3 Okręgu Korpusu Nr V w Krakowie – podjął pracę nauczyciela w Raciborowicach, swej rodzinnej miejscowości, 1 czerwca 1940 r. W roku szkolnym 1963/1964



1962 rok. Klasa VI Szkoły Podstawowej w Raciborowicach i nauczyciele (od lewej): Krystyna Mikulska, Zofia Mikunda, Janina Raźna, Stefan Raźny (kierownik Szkoły), Maria Ptak, Janina Biesiada, Maria Kruczkowa, Wanda Turczynowska.

dołączyła do nich po rocznej pracy w Szkole Podstawowej w Bieżanowie najstarsza córka, Maria Raźna, absolwentka fizyki na Studium Nauczycielskim w Krakowie, którą kontynuowała w Instytucie Kształcenia Nauczycieli w Warszawie – Filia w Nowym Sączu, gdzie uzyskała wykształcenie wyższe zawodowe.

Średnia córka, obecnie profesor doktor habilitowany, kulturoznawca i rosjoznawca na Uniwersytecie Jagiellońskim – więzy z raciborowicką szkołą podtrzymywała od początku swej pracy akademickiej na Uniwersytecie Jagiellońskim, organizując z jej nauczycielami i uczniami działalność kulturalną, a także wspierając jej najzdolniejszych absolwentów w staraniach o przyjęcie na studia na najstarszej polskiej uczelni. Również najmłodsza córka, Jadwiga – absolwentka filologii romańskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim oraz kursów języka francuskiego i włoskiego we Francji, Włoszech i Szwajcarii – podjąwszy pracę romanisty w X Liceum Ogólnokształcącym im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie, nawiązała współpracę z raciborowicką szkołą, organizując w niej z rodzicami i siostrami różne imprezy kulturalne oraz promując X Liceum w tutejszym środowisku.

Janina Raźna rozpoczęła pracę w Raciborowicach jako Janina Skoczyńska, młoda nauczycielka, która po ukończeniu Seminarium Nauczycielskiego im. św. Rodziny w Krakowie i uzyskaniu, na podstawie egzaminu złożonego przed Państwową Komisją Egzaminacyjną „patentu na nauczyciela szkół powszechnych", podjęła pracę na wsi z zamiłowania. Pochodziła z dosyć zamożnego rodu, który w krakowskim Podgórzu miał od dawna wysoką pozycję (Skoczyńscy zasłużyli się m.in. przy budowie podgórskiego kościoła pod wezwaniem św. Józefa), a w dziejach rodzinnych tradycję powstańczą (przodkowie ze strony matki, pochodzącej z rodziny Drozdowskich, walczyli w powstaniu styczniowym).

Zamiłowanie do pracy nauczycielskiej połączyła Mama z zamiłowaniem do gry na skrzypcach, której uczyła się nie tylko w seminarium, ale również ponad dwa lata w Konserwatorium Towarzystwa Muzycznego w Krakowie, gdzie jej nauczycielem gry na tym instrumencie był J. Muzika. Ta właśnie umiejętność i talent muzyczny stały się wraz z predylekcją do przedmiotów humanistycznych największym atutem w jej powołaniu nauczycielskim. Dały o sobie znać już na pierwszej posadzie nauczycielskiej, którą otrzymała w 1925 r. w Nowej Wsi Szlacheckiej, gdzie prowadziła, oprócz języka polskiego i historii, lekcje śpiewu, organizowała z dużym powodzeniem przedstawienia szkolne oraz akademie. Piękne zdjęcie z tamtego okresu pokazuje Janinę Skoczyńską siedzącą ze skrzypcami w ręku, wśród bosych uczniów trzymających w rękach śpiewniki z nutowym zapisem nauczanych pieśni. Przybycie do raciborowickiej szkoły w 1930 r. rozpoczęło najważniejszy okres w jej życiu i jednocześnie w pracy nauczycielskiej, której ideałem było doskonalenie posiadanego wykształcenia i zdobytych umiejętności w służbie polskiej szkole. Kierując się tym ideałem, została czynnym członkiem Polskiego Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół" (1932 r.), uczestniczyła w kilku organizowanych przez Związek Nauczycielstwa Polskiego wakacyjnych kursach metodyczno-pedagogicznych, kursie harcerskim dla nauczycielek w Wilnie, a następnie w Kupie nad Naroczą (1934 r.), państwowym kursie wakacyjnym wychowania fizycznego w Kutach na terenie Okręgu Szkolnego Lwowskiego (1935 r.). Wyjątkowe znaczenie miało dla Mamy ukończenie rocznego Wyższego Kursu Nauczycielskiego WKN (śpiew i ćwiczenia cielesne) w Poznaniu w 1933 r. Taki kurs, niezależnie od specjalizacji, oznaczał podwyższenie kwalifikacji zawodowych i zaliczenie do elity nauczycielskiej, nie tylko ze względu na sam otrzymany dyplom, ale również wcześniejszą wysoką konkurencyjność na etapie kwalifikowania do grona przyjętych poprzez konkursowy egzamin wstępny, a następnie egzamin końcowy.

Praca nauczycielska Janiny Skoczyńskiej była wysoko oceniana nie tylko przez kierownika szkoły, Kazimierza Rumiana, ale również przez władze Kuratorium Okręgu Szkolnego Krakowskiego, które odznaczyły ją w 1938 r. Brązowym Medalem za Długoletnią Służbę. Równie wysoko było oceniane jej zaangażowanie na niwie społecznej, m.in. honorowa praca w charakterze okręgowego komisarza spisowego w Drugim Powszechnym Spisie Ludności Rzeczypospolitej Polskiej, za którą otrzymała w 1931 r. od generalnego komisarza spisowego odznakę „Za ofiarną pracę."

We wspomnieniach naszej Mamy, obejmujących lata trzydzieste w raciborowickiej szkole, dominowała nuta spełnienia zawodowego, satysfakcji i szczęścia, które zawdzięczała nade wszystko spotkanym tutaj nauczycielom, uczniom i miejscowym ludziom. Wdzięcznością swą obejmowała zawsze rodzinę kierownika raciborowickiej szkoły, którego przedstawiała nam jako niezwykle kompetentnego i utalentowanego nauczyciela, organizatora i społecznika, obdarzonego talentem artystycznym. Ten ostatni znajdował ujście w organizowanych przez niego zarówno z dziećmi, jak i z dorosłymi przedstawieniach teatralnych dla miejscowej ludności. Dla Mamy, rozmiłowanej w literaturze, muzyce i śpiewie stanowiły one wspaniałą przygodę, gdyż nie tylko w nich uczestniczyła, ale także pomagała kierownikowi Rumianowi w ich przygotowaniu. Ważnym przedłużeniem tej działalności na niwie kulturalnej było zorganizowanie przez nich chóru kościelnego, nie tylko uświetniającego uroczystości religijne, ale również odgrywającego rolę instytucji integrującej osoby utalentowane, aspirujące do miana tutejszej elity. Elitę te kształtowały cztery ośrodki: szkoła, kościół, dwór oraz znajdująca się w sąsiednich Batowicach ekskluzywna Lecznica dla Nerwowo Chorych, założona przez profe-

sora Tadeusza Rogalskiego na terenie posiadłości należącej wcześniej do syna Jana Matejki, Jerzego.

Mama, podobnie jak pozostałe raciborowickie nauczycielki, mieszkała w wynajmowanym przez gminę mieszkaniu w domu państwa Rusinków w Raciborowicach, bardzo sympatycznych i gościnnych gospodarzy. Dopóki nie było kolei, kontakt nauczycielstwa z Krakowem był utrudniony i odbywał się zawsze za pośrednictwem wynajmowanych furmanek. Mama dzięki swej działalności kulturalnej stała się znana w batowickim pensjonacie, który często zapraszał ją do korzystania z samochodu, jakim jeździł do Krakowa personel lekarski. Nauczycielki przyjaźniły się, wspólnie chodziły na spacery, zapraszały się nawzajem na imieniny, majówki, jubileusze. Przyjaźnie zawarte w tym okresie przetrwały próbę czasu. Jej przykładem była przyjaźń mamy z Marią Ligęzianką, trwająca do 24 września 1986 r. – dnia śmierci mamy. Świętem dla szkoły były zawsze imieniny kierownika Rumiana, przypadające na św. Kazimierza. Mama była wtedy głównym organizatorem tej uroczystości, obejmującej obowiązkowo jakieś przedstawienie następujące po złożeniu życzeń solenizantowi. Równie ważnym wydarzeniem były organizowane wycieczki do Krakowa oraz pielgrzymki do Częstochowy (pociągiem z Krakowa) oraz do sanktuarium Podwyższenia św. Krzyża w Mogile, dokąd nauczycielstwo i uczniowie raciborowickiej szkoły udawali się pieszo, przez Mistrzejowice i Bieńczyce.

Okres dwudziestolecia międzywojennego zwieńczyło w życiu Mamy małżeństwo z pochodzącym ze starej młynarskiej rodziny w Raciborowicach Stefanem Raźnym, dobrze sytuowanym wówczas oficerem radiotelegrafistą, pracującym w centrali Stacji Radiotelegraficznej nr 3 w Krakowie, a mieszczącej się w krzesławickim forcie. Po ślubie zawartym 3 września 1938 r. w kościele parafialnym w Raciborowicach, rodzice zamieszkali w części dużego, należącego niegdyś do rządcy Jerzego Matejki, nowoczesnego jak na owe czasy domu (zbudowany na początku lat 90. XIX w. na wzór dworku szlacheckiego, murowany, z dębowymi podłogami, drzwiami i oknami, kryty dachówką, z przestronnymi pokojami o powierzchni 25 m^2), jaki nasza babka, matka Stefana Raźnego, kupiła już jako wdowa po Macieju Raźnym, który zmarł w czasie I wojny światowej w Insbrucku. To były najszczęśliwsze dni w życiu naszych rodziców, które opromieniło im dodatkowo przyjście na świat ukochanego synka Stasia. Mając pomoc domową, Bronię Turczyńską (która nade wszystko świetnie gotowała), Mama mogła w kilka miesięcy po jego urodzeniu podjąć pracę w raciborowickiej szkole na nowo i łączyć poświęcenie dla Stasia z poświęceniem dla jej uczniów. Niestety, gdy pojawiła się w szkole epidemia dyfterytu, rodzice nie byli w stanie uchronić go przed tą zbierającą wówczas śmiertelne żniwo chorobą i, pomimo leczenia w krakowskiej klinice chorób dziecięcych, musieli pogodzić się z jego odejściem w grudniu 1940 r.

Śmierć Stasia wpisała się w pasmo innych nieszczęść, związanych z wybuchem II wojny światowej. Ojciec, jako radiotelegrafista i specjalista od szyfrów, włączony w system służb specjalnych, już w sierpniu 1939 r. został wcielony w operacje wojska polskiego, a następnie jego walkę z hitlerowskim najeźdźcą. W wyniku działań wojennych znalazł się w krótkim czasie na wschodzie Polski, gdzie jego dywizja usiłowała stawić opór Niemcom. Gdy 17 września 1939 r. Armia Czerwona uderzyła z tyłu na Polskę, dywizja ojca znajdowała się w Tarnopolu. Walka z wrogiem na dwa fronty była niemożliwa; jednostka uległa rozsypce, wielu żołnierzy poległo, reszta dostała się do niewoli radzieckiej. Ojciec wspominał ten moment jako jeden z najtragiczniejszych w jego życiu. W polskich mundurach, ale rozbrojeni, popędzani przez radzieckich sołdatów, posuwali się śmiertelnie zmęczeni, głodni i wycieńczeni w bezładnym szyku na Wschód. Wcześniej, przewidując możliwość wzięcia do niewoli, ojciec z paroma kolegami zaplanowali ucieczkę: mieli uciekać pojedynczo, zatrzymując się dłużej przy studniach z wodą, unikać zabudowań, kryć się po rowach i stogach siana, jak najszybciej pozbyć się munduru wojskowego, szukając wieczorami na jego miejsce jakiegokolwiek okrycia cywilnego w miejscowych szkołach, gdzie – o czym ojciec jako mąż nauczycielki dobrze wiedział – zatrudnieni byli Polacy. Ojciec szybko znalazł u polskich nauczycieli ubranie dla siebie, zostawiając im w podziękowaniu pamiątkową złotą dewizkę. Uciekło ich sześciu, przeżyło dwóch. Reszta zginęła z rąk Niemców i Ukraińców. Uciekając wciąż na Zachód, Ojciec dostał się w ręce Niemców, gdy przepływał Bug. Przetrzymali go parę dni w areszcie w Zamościu, poddając szczegółowemu przesłuchaniu, z którym ojciec poradził sobie nieźle, gdyż znał język niemiecki. Wypuścili go pod warunkiem, że będzie się co miesiąc meldował władzom niemieckim w miejscu swojego zamieszkania. Korzystając z furmanek wiejskich i licząc na własne nogi, dotarł do domu w Batowicach na Wszystkich Świętych 1939 r. To był koniec jego kariery w V Korpusie w Krakowie.

Podobnie jak milionom Polaków, również naszym rodzicom wojna zrujnowała życiowe plany, zburzyła spokój i skazała na wegetację w fatalnych warunkach. Mama została przez Niemców zwolniona z pracy nauczycielskiej w 1940 r., ojciec nie miał żadnej pracy. Zanim ją otrzymał – dzięki wsparciu kierownika Kazimierza Rumiana oraz miejscowych księży – w czerwcu 1940 r. w charakterze nauczyciela tymczasowego w raciborowickiej szkole, mógł liczyć tylko na wsparcie rodziny. Dla tego zatrudnienia decydujące znaczenie miał nie tylko dyplom ukończenia Seminarium Nauczycielskiego dla Mężczyzn, jaki zdobył ojciec przed ukończeniem szkoły podoficerskiej, ale również dobra opinia i zaufanie, jakim się cieszył u miejscowej ludności. Znany był z odwagi i patriotycznej postawy, której świadectwem były nowe, wojenne dowody – obrona Polski przed hitlerowskim najeźdźcą, a następnie przed Armią Czerwoną, ucieczka z niewoli radzieckiej, a po powrocie do domu udział w randze oficera w organizowaniu na terenie Batowic Związku Walki Zbrojnej. Z ZWZ przeszedł do Straży Chłopskiej „Chłostry", zwanej od wiosny 1942 r. Batalionami Chłopskimi, które na terenie powiatu krakowskiego zjednoczyły się z oddziałami Armii Krajowej w sierpniu 1944 r. Z tego okresu wywodziła się przyjaźń ojca z Janem Kotyzą, również członkiem ZWZ, organizatorem Batalionów Chłopskich, a następnie Armii Krajowej na terenie Bieńczyc, komendantem BCh obwodu krakowskiego, zastępcą komendanta obwodu AK Kraków. Przyjaźń ta przetrwała wojnę i uległa umocnieniu gdy żona Kotyzy, Maria, zaczęła pracować w raciborowickiej szkole jako nauczycielka.

Więzy moich rodziców z Kotyzami były wielorakie. Obejmowały działalność w wymienionych formacjach polskiego ruchu oporu z czasów wojny, pracę zawodową (nie tylko żony, ale również mężowie byli nauczycielami – Jan Kotyza był bowiem wykładowcą akademickim, biorącym udział w tajnym nauczaniu na terenie Bieńczyc), działalność społeczną, przywiązanie do tradycji i Kościoła katolickiego. Pamiętamy z dzieciństwa składane w naszym domu przez państwa Kotyzów i ich dzieci – naszych rówieśników – wizyty. Pojawiali się u nas zazwyczaj w niedzielne letnie bądź jesienne popołudnia nieco utrudzeni, gdyż szli do Batowic z Bieńczyc pieszo. Gdy starsi rozprawiali w oddzielnym pokoju przy herbacie i domowym cieście (mama piekła przeważnie kruche z powidłem bądź szarlotkę), my z młodymi Kotyzami (dwie dziewczyny i trzech chłopców, z których jeden – Andrzej – był chrześniakiem naszego ojca) dzieliliśmy się opowieściami o naszych szkolnych przygodach bądź organizowaliśmy wspólne zabawy. Nasze rewizyty zawsze u nich były dla nas zawsze sporym przeżyciem, gdyż były zderzeniem z Nową Hutą, która na naszych oczach pożerała tę typowo podkrakowską wieś, jaką były rodzinne dla Kotyzów Bieńczyce. Razem z nimi przeżywaliśmy przeniesienie z wiejskiego domu do bloku i próby przystosowania do nowych warunków życia.

W przyjacielskich więzach tych dwóch rodzin na uwagę zasługuje wielka nauczycielska próba, przez jaką przeszli nasza Mama i Jan Kotyza. Był to udział w tajnym nauczaniu. To był akt nie tylko wolnej woli i specyficznego bohaterstwa, ale również najwyższe świadectwo służby polskiej szkole. Ze strony Mamy był to podwójny akt odwagi – prowadziła bowiem nauczanie z historii i języka polskiego w zakresie szkoły powszechnej i gimnazjum w naszym batowickim domu, w czym wspierał ją ojciec zaangażowany w działalność podziemną. Była to praca honorowa, społeczna, choć trzeba przyznać, że rodzice nauczanych dzieci starali się odwdzięczyć Mamie, posyłając jej mąkę, jajka, czasem kurę, słoninę. Na pochwałę zasługuje w tym miejscu miejscowa społeczność – solidarna, lojalna, nieskora do zdrady i niezdolna do współpracy z Niemcami, którzy nigdy nie dowiedzieli się o zakazanej przez nich działalności raciborowickich nauczycieli (oprócz Mamy w tajnym nauczaniu brało udział czterech nauczycieli tej szkoły: Kazimierz Rumian, Gertruda Biernat, Józefa Małusecka, Irena Ślusarz). Ludzie z podkrakowskich wsi: Batowic, Dziekanowic, Kończyc, Zastowa, Kantorowic, Zesławic zdali egzamin z lojalności i patriotyzmu również wtedy, gdy po wojnie rządy w Polsce objęli komuniści wrogo nastawieni do takich postaw. W rozmowach z nimi wszyscy milczeli na temat wojennych dziejów raciborowickich nauczycieli. W szczególnie trudnej sytuacji znalazł się ojciec ze swą przedwojenną przeszłością i podziemną działalnością. Dzięki wsparciu miejscowej społeczności nie tylko utrzymał się po 1945 r. na posadzie nauczyciela w raciborowickiej szkole, ale nawet został spośród jej grona w specyficzny sposób wyróżniony. Został bowiem skarbnikiem komitetu budowy nowej szkoły, która powstała na miejscu starej, zdewastowanej przez okupanta najpierw niemieckiego, a pod koniec wojny radzieckiego. Mama natomiast – po okresie „przymusowej bezczynności", trwającym od 1 czerwca 1940 r. – została przywrócona na stanowisko nauczycielki w szkole w Raciborowicach z dniem 1 lutego 1945 r.

Skończył się jeden koszmar, zaczął się drugi, choć nie tak okropny jak wojna. Zaczęły się szkolenia ideologiczne nauczycieli w duchu marksizmu i komunizmu oraz indoktrynacja społeczeństwa polskiego, poddanego przymusowej transformacji ustrojowej, społecznej, kulturowej. Od najmłodszych lat pamiętamy zdenerwowanie rodziców przed i po każdym takim szkoleniu, narady z miejscowymi księżmi, jakie odbywali w naszym domu, w pokoju zamkniętym przed nami. Zastanawiali się, jak chronić młodzież przed zgubnymi skutkami wrogiej ideologii, jak zachować wiarę i tradycję. Trzeba było dużego uporu i odwagi, aby dochować wierności wartościom przedwojennej szkoły, a jednocześnie dużej ostrożności, aby nie dać się zniszczyć. Rodzice przetrwali wiele prób powiązanych z różnego rodzaju groźbami ze strony przedstawicieli PZPR, namawiających ich do wstąpienia w szeregi tej partii. Pozostali nieugięci. Bojąc się represji, ojciec nie zdecydował się nigdy na zamieszkanie w wygodnym, dużym służbowym mieszkaniu w nowej szkole, gdy 1 września 1951 r. objął obowiązki jej tymczasowego kierownika. Codziennie aż do przejścia na emeryturę (ojciec w 1972 r., mama w 1974 r.) chodzili więc pieszo do raciborowickiej szkoły, w której służbowe mieszkanie kierownika zajmowały wciąż zmieniające się młode nauczycielki, pochodzące z Krakowa. Walka z wrogą

ideologią komunistyczną polegała na wierności tradycji i prawdzie, które – umiejętnie przekazywane głównie na lekcjach historii i języka polskiego – obnażały jej fałsz i nicość. Gdy przed powrotem Gomułki do polityki przyszedł od władz oświatowych powiatu krakowskiego rozkaz zdjęcia krzyży ze ścian sal szkolnych, nie znalazł się nikt ani wśród grona nauczycielskiego, ani wśród rodziców uczniów, kto wypełniłby ten rozkaz. Skończyło się na tym, że dla wykonania tego zadania musiała przyjechać do raciborowickiej szkoły specjalna ekipa z powiatu, która bez skrupułów zdjęła bez żadnego poszanowania krzyże i wywiozła je. Moim rodzicom udało się uratować jeden z krzyży, srebrno-czarny krucyfiks, który wisi do dnia dzisiejszego w pokoju naszego batowickiego domu.

Dużym ciosem nie tylko dla grona nauczycielskiego, uczniów i ich rodziców, ale także dla całej tutejszej społeczności było usunięcie przez powiatowe władze oświatowe z nazwy szkoły skrótu odnoszącego się do stanu kapłańskiego jej patrona. W miejsce starej nazwy „Szkoła Podstawowa im. ks. Jana Długosza w Raciborowicach", władze narzuciły nazwę „Szkoła Podstawowa im. Jana Długosza w Raciborowicach". Była to bezpośrednia reakcja na donos, złożony w 1965 r. na naszą mamę w powiatowym wydziale oświaty przez osobę spoza miejscowej społeczności. Donos dotyczył akademii, jaką mama zorganizowała w domu parafialnym z okazji rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 maja. Była w nim mowa o tym, że dzieci szkolne śpiewały na akademii religijne pieśni. Tak była zrozumiana przez donosiciela słynna pieśń zaczynająca się od słów: „Patrz Kościuszko na nas z nieba...". Mama została wezwana w trybie pilnym do powiatu na rozmowę, w której dostała służbowe upomnienie, zaś ojciec rozkaz zawieszenia tablicy z nową nazwą szkoły. Mama zlekceważyła złożony na nią donos i z uporem organizowała nadal w domu parafialnym akademie w rocznicę Konstytucji 3 maja, od 1963 r. już przy pomocy swej córki Marii, która podjęła w raciborowickiej szkole pracę nauczycielki. Wyrzucenie tego niewielkiego skrótu „ks." oddaje wrogie nastawienie ówczesnych władz nie tylko do Kościoła katolickiego w Polsce, ale również do każdej tradycji, która zawierała katolickie elementy. Trzeba było długich lat kultywowania pamięci o niej, aby przy wielkim powiewie wolności, jaki zrodziła Solidarność, podjąć starania o przywrócenie raciborowickiej szkole pierwotnej nazwy, co nastąpiło dopiero po roku 1989. Rodzice żyli nadzieją na wolną i suwerenną Polskę, ale nie doczekali jej. Ojciec zmarł w 1974 r., przesunięty w bezwzględny sposób przez komunistyczne władze oświatowe na emeryturę w stanie ciężkiej choroby, bez jakichkolwiek możliwości wykorzystania należnego mu urlopu dla poratowania zdrowia. Mama doczekała wprawdzie Solidarności, ale przeżyła wraz z nią tragiczne lata stanu wojennego i odeszła przed pierwszymi wolnymi wyborami w Polsce.

Ważną rolę w kształtowaniu dobrej atmosfery szkolnej odgrywały kontakty, jakie utrzymywali nauczyciele z duchowieństwem raciborowickiej parafii. Ich ton nadawał ojciec, który jako kierownik szkoły dbał o to, aby nie poddawać wpływom ideologii komunistycznej wychowania młodzieży i w tym względzie kształtować je razem z każdym wikarym, który musiał uczyć religii poza budynkiem szkolnym – w domu parafialnym i na plebanii. Starał się zawsze układać podział godzin w porozumieniu z księżmi tak, aby uczniowie danej klasy po zakończeniu lekcji szli bezpośrednio – bez zbędnego oczekiwania i wałęsania się – na religię. Często omawiano z księżmi u nas w domu lub na plebanii różne problemy wychowawcze (wagary, lenistwo, wulgarne słownictwo uczniów, aspołeczne postawy, cwaniactwo). Na uroczystościach pierwszokomunijnych obecność wychowawcy (przeważnie były to nauczycielki) i reszty grona nauczycielskiego uważana była niemal za obowiązek, podobnie jak pamiątkowe zdjęcie z tej uroczystości. Udawało się nawet organizować, zazwyczaj w niedziele, pielgrzymki do Częstochowy z udziałem nauczycieli. Dla naszych rodziców każdy nowy wikary był nie tylko kapłanem, ale również nauczycielem, który szybko stawał się dobrym znajomym, chętnie widzianym w naszym domu. Zapamiętałyśmy dobrze zwłaszcza tych, którzy byli naszymi nauczycielami religii w szkole podstawowej, a następnie w krakowskim liceum, kiedy pobierałyśmy jej lekcje na raciborowickiej plebanii. Byli to: ks. Stanisław Wójciak, ks. Jan Sala, ks. Czesław Rogowiec, ks. Marcin Kuliga. Najmocniej wbiły się w naszą pamięć osoby zaprzyjaźnionych z sobą dwóch kapłanów: ks. Stanisława Jałochy i ks. Józefa Kurzei. Pierwszy przybył do naszej parafii na początku lat 60. ks. Jałocha, który szybko dał się poznać jako wspaniały nie tylko kapłan, ale również człowiek. Był wesołym, otwartym na ludzi i ich potrzeby księdzem, który jednocześnie stanowił w kontaktach z parafianami mocne wsparcie dla schorowanego księdza kanonika Józefa Jamroza, pozostającego – mimo bardzo podeszłego wieku – nadal na stanowisku proboszcza. Ważnym atutem księdza Jałochy w relacjach z tutejszą społecznością była umiejętność rozeznania sytuacji materialnej rodzin biednych i wielodzietnych, którym dyskretnie, ale systematycznie spieszył z hojną pomocą. Na jego pobyt w Raciborowicach wypadła rocznica tysiąclecia chrztu Polski. Przygotował ją z wielkim rozmachem, angażując do jej zorganizowania wszystkich aktywnych parafian, a także raciborowickie nauczycielki. Centralne uroczystości, które odbyły się w kościele i na przykościelnym terenie miały piękny scenariusz, obejmujący mszę św., cykl śpiewów, recytacje i inscenizację literacką. Ksiądz Jałocha połączył w nim wymiar religijno-historyczny z patriotycznym,

podejmując kulturotwórczą rolę naszego parafialnego kościoła, kontynuowaną w późniejszych latach. Za jego namową, kto tylko mógł, wyjął z szafy krakowski strój, będący od dłuższego czasu w pogardzie – jako przejaw staroświecczyzny. W tym zgromadzeniu religijno-patriotycznym dominowały kobiety w kolorowych gorsetach, białych haftowanych bluzkach, kwiecistych spódnicach i koronkowych fartuchach. Te, które były bogate, sprawiły sobie na tę uroczystość nowy strój, do którego gorsety szyła, a nade wszystko wyszywała kolorowymi nićmi i koralami oraz drobnymi cekinami pani Głowina z Zastowa. My, będąc wówczas studentkami Uniwersytetu Jagiellońskiego, które nie chciały obciążać dodatkowo domowego budżetu, wystąpiłyśmy w pożyczanych strojach. Pamiątkowe zdjęcia z tych uroczystości zajmują ważne miejsce w naszych rodzinnych albumach, stanowiąc świadectwo powrotu do bajecznie kolorowej tradycji w szarym świecie PRL. Ksiądz Jałocha sprawił, że od tej pory krakowski strój był nieodzownym elementem uroczystości kościelnych, a jego posiadanie powodem do dumy.

Inny wymiar miała działalność ks. Józefa Kurzei, wikarego pełniącego w Raciborowicach swą posługę niecałe dwa lata (1968-1970) – charyzmatycznego kapłana i społecznika, obdarzonego zmysłem gospodarskiej zapobiegliwości i troskliwości nie tylko o sam kościół, plebanię i dom parafialny, ale również o potrzeby Raciborowic. W pełnieniu misji kapłańskiej i społecznej pomagały mu dynamiczne usposobienie oraz umiejętność nawiązywania bezpośrednich kontaktów z ludźmi. Już w pierwszych tygodniach swego pobytu w Raciborowicach skupił ich spore grono wokół siebie i zaproponował budowę ogrodzenia dla kościoła. W kilka miesięcy potem powstało wokół naszej zabytkowej świątyni piękne, stylowe ogrodzenie z jasnego kamienia, uzgodnione z instytucjami chroniącymi zabytki. Dodatkowo ułożono wokół kościoła piękny chodnik z mieszanego kamienia dla uroczystych procesji. Ksiądz Kurzeja zaimponował bez wyjątku wszystkim. W czasach PRL zdobycie dobrych materiałów budowlanych, podobnie jak załatwienie ekipy fachowców, graniczyło niekiedy z cudem. Podziw dla tego młodego wikarego i szacunek został ugruntowany, gdy wraz z tutejszymi działaczami społecznymi w krótkim czasie zbudował na miejscu błotnistej ścieżki chodnik, który prowadził do przystanku kolejowego Zesławice. Chodnik liczył ponad pół kilometra i radykalnie zmienił warunki dojazdu do Krakowa wielu mieszkańców Raciborowic, Zastowa, Kończyc i Książniczek. Od księdza Kurzei wyszła również inicjatywa remontu kościoła i domu parafialnego. Omawiał ją kilka razy z naszymi rodzicami, zyskując ich poparcie i żywe zainteresowanie wiążącymi się z nią problemami. Zawsze wpadał do nas nieoczekiwanie i na krótko, jakby dla zaczerpnięcia tchu. Pamiętamy gdy w czasie jednej z takich wizyt, w maju 1970 r., oznajmił nam, że zyskał poparcie ks. kardynała Karola Wojtyły dla koncepcji wybudowania punktu katechetycznego na obrzeżach budowanego wówczas mistrzejowickiego osiedla. Przyszły papież doskonale rozpoznał wielkie możliwości duchowe i organizacyjne raciborowickiego wikarego i zaplanował jego osadzenie pośród rodzącej się społeczności nowego osiedla. Wiadomość ta spadła na nas jak grom z jasnego nieba. Oznaczała bowiem nie tylko odejście z naszej parafii wspaniałego kapłana, ale również odłączenie od niej Mistrzejowic, które od wieków były jej żywą częścią. Ksiądz Kurzeja tłumaczył z zapałem, że tego wymaga dobro mieszkańców dwudziestotysięcznego osiedla, dla którego nie zaplanowano kościoła. Zrozumieliśmy go, ale jednak czuliśmy żal, że dziać się to będzie z jakąś naszą krzywdą. Wszyscy bowiem potrzebowaliśmy wtedy wyjątkowych kapłanów. Natomiast samą Nową Hutę kolejny raz odebraliśmy – zwłaszcza nasi rodzice i ich rówieśnicy – jako zagrożenie dla podkrakowskich wsi. Ta najmłodsza dzielnica starego Krakowa jawiła się nam jako bezwzględny moloch niszczący żyzne pola, dewastujący urodzajne sady i zielone ogrody, rozbijający na drzazgi niebieskie drewniane domy. Moloch niszczył nie tylko bogactwo ziemi i krajobrazu, ale również żywy organizm podkrakowskich gmin, dzieląc go i okrawając. Włączanie do obszaru Nowej Huty całych wsi bądź ich części oznaczało zawsze często dramatyczne w skutkach rozrywanie tradycyjnych więzów. Wcielonym na siłę do komunistycznej dzielnicy Krakowa chłopskim rodzinom nie zaoferowano nic na miejsce zniszczonego poczucia wspólnoty. Wiedzieliśmy o tym od naszych znajomych, kolegów i rówieśników z Kantorowic i Zesławic, których odcięto od nas i od raciborowickiej szkoły, gdy w połowie lat 60. wcielono ich wsie do Nowej Huty. Po latach zrozumieliśmy, że im bardziej potrzebny był ks. Józef Kurzeja. Teraz chlubimy się tym, że było nam dane zetknąć się z kapłanem, który otrzymał od przyszłego papieża wyjątkową misję: zorganizowania nowej parafii w komunistycznej dzielnicy Krakowa i wprowadzenia do jej architektury elementu sakralnego. Stał się nim – wbrew zamysłom ideologów ówczesnej władzy – budynek kościoła pw. św. Maksymiliana Kolbe, którego budowę rozpoczął przed swoją przedwczesną śmiercią ks. Kurzeja. W sierpniu 1970 r., zanim opuścił Raciborowice, zdążył przy pomocy tutejszych parafian przygotować w ciągu paru dni drewnianą konstrukcję obiecanego ks. kardynałowi Karolowi Wojtyle punktu katechetycznego – drewnianego niewielkiego baraku, który pod osłoną nocy przewieziono i zmontowano na obrzeżu nowego osiedla. Barak został pomalowany na zielono (aby nie rzucał się w oczy) i od tej pory zaczął funkcjonować pod nazwą „zielonej budki" nie tylko jako punkt katechetyczny i ośrodek organizowanej parafii, ale również miejsce niedzielnej mszy i religijnych uroczystości. Parafianie raciborowiccy do końca wspierali księdza Kurzeję w jego nowych zada-

niach i towarzyszących im zmaganiach z komunistyczną władzą. Tak bowiem rozumieliśmy wierność nie tylko ludziom, ale również ich ideałom.

Raciborowiccy nauczyciele wierność tradycji i patriotyzm manifestowali m.in. poprzez obecność każdej niedzieli i w każde święta na mszy, różnych uroczystościach i nabożeństwach, a także w życiu parafii. Do kościoła szłyśmy zawsze razem z rodzicami, którym zależało na tym, aby nie tylko nam dać dobry przykład, ale również miejscowym ludziom i zachęcać ich, aby się nie bali dawać świadectwo swym przekonaniom religijnym. Miejsce ojca było zawsze na chórze, gdzie wspierał organistę w intonowaniu przeznaczonych na dany okres liturgiczny pieśni. Mama siadywała zwykle w bocznej ławce przy głównym ołtarzu, skąd obserwowała zachowanie dzieci szkolnych. Gdy było ono nieodpowiednie, uczniowie byli za nie upominani w szkole. Ważna była także obecność na niedzielnych Gorzkich żalach, a nade wszystko na procesji Bożego Ciała, która w czasach stalinowskich i za Gomułki odbywała się wokół kościoła. Otwarcie każdego nowego roku szkolnego i jego zakończenie rozpoczynało się mszą św. w kościele, skąd grono nauczycielskie i uczniowie szli gremialnie do szkoły na oficjalne uroczystości. Nikt z nauczycieli nie wyłamywał się z tej tradycji, która przetrwała do 1989 r. Nauczycielki (tradycyjnie panie miały w gronie nauczycielskim przewagę nad panami) mieszkające w Krakowie przyjeżdżały wtedy wcześniejszym pociągiem, który pod koniec lat 70. zamieniły ochoczo na autobus PKS, dzięki otwarciu jego linii z Krakowa do Raciborowic, a następnie do Zastowa. Uczestnictwo w życiu tutejszej parafii miało także podkreślać więź grona nauczycielskiego z jej społecznością. Uwidoczniała się ona również we wspólnym organizowaniu z miejscowymi działaczami społecznymi uroczystości okolicznościowych w domu parafialnym, co było nawiązaniem do przedwojennej tradycji raciborowickiej szkoły. W połowie lat 60. w komitecie rodzicielskim zrodziła się idea organizowania tzw. „choinek", nie tylko dla rodziców tutejszych uczniów i absolwentów szkoły, ale również wszystkich, którzy chcieli w jej życiu uczestniczyć, a nade wszystko ją wspierać. Pomysłodawcom chodziło bowiem o towarzyszące takiej imprezie zbiórki pieniężne, konieczne na wyposażenie dodatkowych, pozalekcyjnych pomieszczeń w nowej szkole, które naukę w niej czyniły atrakcyjną. Pamiętamy, że w roku szkolnym 1955/1956 raciborowicka szkoła posiadała oprócz sześciu dużych sal lekcyjnych, sali gimnastycznej, kancelarii i pokoju nauczycielskiego – gabinet fizyczny, szatnię, kuchnię, salę do prac ręcznych i dodatkowe pomieszczenia, takie jak świetlica czy salka dla drużyny harcerskiej, tzw. harcówka. Dzięki takim imprezom jak „choinka" całe to zaplecze, ważne dla funkcjonowania szkoły, było świetnie jak na owe czasy wyposażone. Dzięki nim ogrodzono również teren szkoły metalową siatką.

„Choinka", która stała się wkrótce tradycją szkoły i jako taka przetrwała do dziś, miała dodatkowe znaczenie: integrowała wiejskie środowisko wokół szkoły. Taką miała nazwę, bo nie mogła mieć innej. W rzeczywistości była spotkaniem opłatkowym. W każdej z trzech sal lekcyjnych na parterze, zamienionych na sale przyjęć, siedzieli przy suto zastawionych stołach miejscowi ludzie, których łączyło nie tylko pochodzenie, ale również tradycja kulturowa przeniknięta obrzędowością, związaną z Bożym Narodzeniem. Na rozpoczęcie uroczystości do każdej z sal wchodził miejscowy ksiądz proboszcz lub reprezentujący go ksiądz wikary wraz z moim ojcem jako kierownikiem szkoły w roli gospodarza oraz przewodniczącym komitetu rodzicielskiego. Ojciec witał zebranych, składając im życzenia z okazji świąt Bożego Narodzenia i oddawał głos – najpierw księdzu, który dołączał się do życzeń gospodarza i błogosławił przygotowane opłatki, a następnie przewodniczącemu, który występował w imieniu rodziców uczniów, prezentując program ich działalności szkolnej. W tym czasie z dwóch innych sal dochodził już śpiew kolęd. Dopóki zebrani nie podeszli do siebie z opłatkiem i życzeniami, nikt niczego ze stołów nie dotknął, a było czym częstować się: wędliny domowego wyrobu, sałatki, żurki i barszczyki z pasztecikami i jajkami, wyśmienite ciasta, pieczone tradycyjnie w piecach węglowych przez znane miejscowe kucharki, organizujące przyjęcia weselne. „Choinka" w szkole była dla nich czymś ważniejszym od największego wesela. Każdej z nich dawała bowiem dodatkową sławę znawczyni kuchni. Poczęstunek tylko w symbolicznej kwocie był finansowany przez komitet rodzicielski. Lwią część kosztów ponosili rodzice, którzy podejmowali je nie tylko jako swój obowiązek, ale poczytywali go sobie za zaszczyt. Sala gimnastyczna, odpowiednio przyozdobiona, była miejscem do tańca oraz zabaw towarzyskich, prowadzonych przez wodzireja. Po północy odbywał się wybór królowej balu, uzależniony od ilości zebranych przez nią kotylionów, przygotowanych przez uczniów. Pieniądze na cele szkolne zbierane były przez przedstawicieli komitetu rodzicielskiego od początku spotkania do samego końca i zawsze stanowiły bardzo duża sumę w jego budżecie. Nikt nie skąpił datków, a bogatsi gospodarze dawali wręcz pokaz swej hojności. Nasza rodzina przygotowywała się do „choinki" odpowiednio wcześniej. Trzeba było przygotować odpowiednią garderobę, sprawdzić buty do tańca, zaplanować wizytę u fryzjera, co było szczególnie istotne dla żeńskiej części naszej rodziny. Buty były ważne, gdyż młodzież męska obecna na zabawie choinkowej przyjmowała jako swe zadanie obtańczenie każdej z córek kierownika szkoły. W ferworze przygotowań najważniejsze było jednak zawsze to, jak wypadnie ojciec. Mama mogła na nas polegać; wiedziała, że zawsze przygotujemy dla niego najlepszą koszulę i dobierzemy najładniejszy krawat, który ojciec po oficjalnym rozpoczęciu spotkania rozluźniał przy lada

okazji, po czym szybko zdejmował, nie chcąc za bardzo różnić się od miejscowych mężczyzn, którzy uwielbiali chodzić w rozpiętych pod szyją koszulach, naśladując Witosa.

Oddzielne miejsce zajmowały uroczystości dożynkowe, przygotowywane w okresie wakacyjnym w budynku szkolnym. Pamiętamy nade wszystko te, w których braliśmy udział wraz z siostrą Marią, pracującą od dłuższego czasu wraz z rodzicami w raciborowickiej szkole, lubianą przez rodziców i uczniów, którzy, mając do czynienia z dwiema nauczycielkami o nazwisku Raźna, mówili o niej „pani Maria", a często zdrobniale „pani Marysia". Nasza siostra nie musiała zapuszczać korzeni w tym środowisku, gdyż je tutaj od urodzenia posiadała. Umocniła natomiast swój autorytet i pozycję, gdy się dała poznać nie tylko jako dobra i wymagająca nauczycielka fizyki, a następnie – po ukończeniu odpowiednich kursów – jako wykwalifikowany pedagog w zakresie nauczania początkowego, ale również organizator drużyny harcerskiej. Wiele sympatii i wdzięczności zyskała dodatkowo, gdy jako przedstawiciel Towarzystwa Przyjaciół Dzieci odwiedzała domy biednych uczniów i sierot, organizując dla nich pomoc tej instytucji.

Miejscowa społeczność była bardzo skonsolidowana. Łączyła ją nie tylko tradycja, religia i wspólnie wyznawane wartości, ale również jednakowy styl życia, w którym było miejsce nie tylko na ciężką pracę, ale również na godziwą rozrywkę. Do pracy przyzwyczajany był każdy od małego dziecka. Stosownie do możliwości i sił wyznaczano dzieciom domowe obowiązki i pomoc w pracach polowych, zwłaszcza przy zbiorze truskawek czy też w żniwach. Nikt się nie obijał, a to, że dzieci pomagały rodzicom, było czymś normalnym i stanowiło nawet powód usprawiedliwionej nieobecności ucznia w szkole, jeśli rodzice potrzebowali jego pomocy i prosili o jego zwolnienie. Twarde, niekiedy trudne warunki życia wyzwalały wolę walki z przeciwnościami, rywalizacji z kolegami w szkole, chęć osiągnięcia sukcesu w dalszej nauce. Młodzież była wesoła i niezmanierowana, pełna pomysłów i energii. Gry, zabawy po nauce – tzw. zośka, cymbergaj, państwa-miasta, klasy, skakanki, piłka nożna i dwa ognie – to była wspaniała codzienność, która budowała bycie razem, bycie w grupie. Zapewniała jednocześnie sprawność i zręczność. Nie było mowy o nadwadze, ociężałości, otyłości. Dzieci nie były rozpieszczane, a jednak mniej chorowały i rzadko opuszczały lekcje. Umiały się cieszyć i dziękować, z radością chodziły na popołudniowe i wieczorne nabożeństwa (majówki, czerwcówki, różaniec), po których wspólne powroty do domów stanowiły okazję do pogłębienia koleżeńskich i przyjacielskich więzi, a niekiedy narodzin młodzieńczych uczuć. Wszyscy się znali, nikt się nikogo nie bał, wieś była bowiem spokojna i bezpieczna.

Wielu uczniów kontynuowało naukę w najlepszych krakowskich liceach, a następnie na uczelniach wyższych. W latach 60., 70. i 80. ilość młodzieży uczącej się i studiującej w Krakowie była – jak na tamte trudne dla wsi czasy – imponująca. Przez wiele lat około 80 procent absolwentów raciborowickiej szkoły kontynuowało swoją naukę w Krakowie. Ówczesny trud jej nauczycieli nie poszedł na marne. Rodzice doceniali go na swój sposób. Pamiętamy dużo serdeczności i wdzięczności okazywanej siostrze i naszym rodzicom przez miejscowych ludzi. Serdeczność ta obejmowała także nas, gdy całą rodziną byliśmy zapraszani przez tutejszych gospodarzy i ich żony na owoce (głównie czereśnie i jabłka), czy tez rodzinne uroczystości. Obdarzali nas koszami jarzyn, a na każde święta Bożego Narodzenia i Wielkanocy pachnącą kiełbasą i szynką, jajami, bochnami pieczonego w domu chleba. Dzielili się po prostu darami ziemi i owocami swej ciężkiej pracy z tymi, których kochali i poważali. My także dużo zawdzięczamy raciborowickim nauczycielom. Zachowałyśmy we wdzięcznej pamięci nie tylko ich nazwiska, ale również ich jakże różne osobowości, pomysłowość, inwencję i cały duchowy swój świat, który przekładali na swój codzienny szkolny trud. Takimi wszyscy oni byli: Maria Kruczkowa, Helena Aliśkiewicz, Janina Góra, Stefania Gładki, Janina Biesiada, Wanda Turczynowska, Maria Ptak, Zdzisława Wojciechowska, Krystyna Mikulska, Adolf Korzec. Nurtuje nas pytanie: czy im dorównujemy?



Dom Katolicki w Raciborowicach. W głębi gotycka dzwonnica, ceglana z drewnianą nadbudową, stojąca przy kościele pw. św. Małgorzaty. Lata 30.



Przed starą szkołą w Raciborowicach, lata 20. lub 30.



Przedstawienia w Domu Katolickim, lata 20. lub 30.







Przedstawienia w Domu Katolickim, lata 20. lub 30.











Zdjęcia komunijne przed starą szkołą oraz przed grotą u Rumianów, Raciborowice, 22.06.1932 r.



Stara szkoła w Raciborowicach, lata 20.



Janina i Kazimierz Rumianowie z córką Zosią, ok. 1920 r.



Janina i Kazimierz Rumianowie z dziećmi przed starą szkołą, Raciborowice, lata 20.



Przed Domem Katolickim, Raciborowice, lata 30.



Przed wieżowym zbiornikiem na wodę, Raciborowice, lata 30. Opis na odwrocie zdjęcia: Helena Ślusarz, Janina Rumianowa, Stefania Ostrówczyna, imię nieczyt. Ślusarz, Irena, Zdzisław i Jadzia Ślusarz, drabina: Anna Ślusarz, Teresa, Janina, Zdzisław, Eugenia, Kazimierz, Zofia, Rumianowie, Stanisław Zbroja



Przed kościołem św. Małgorzaty, Raciborowice, ok. 1930 r.



Przed Domem Katolickim, w środku Janina i Kazimierz Rumianowie, Raciborowice, lata 30.



Janina Rumian, nauczycielka, w ogrodzie przed starą szkołą, Raciborowice, lata 20. lub 30.



Ludzie idący starą drogą wiodącą z Bieńczyc do kościoła św. Małgorzaty w Raciborowicach, lata 20. lub 30.



Młodzież z Raciborowic zdążająca do Bieńczyc na pociąg do Krakowa, lata 30.



Nauczyciele i dzieci ze szkoły w Raciborowicach podczas wycieczki przed pomnikiem Grunwaldzkim w Krakowie, lata 30.



Przed starą szkołą w Raciborowicach, ok. 1940 r.

Opis na odwrocie zdjęcia (niepełny, dotyczy głównie nauczycieli): c. Irena Ślósarz, Baśka Pawlik, x. Józef Fudali (ofiara procesu stalinowskiego, zmarł w więziennym szpitalu 30.01.1955 r.), Kazimierz Rumian, Józefa Matuszek, Maria Ligęza, Stefan Raźny



Uroczystości prymicyjne, Raciborowice, lata 30.



Procesja Bożego Ciała, Raciborowice, lata 30.



Procesja do kościoła św. Małgorzaty podczas ceremonii pogrzebowej, Raciborowice, lata 30.



W środku stoi ks. Józef Fudali, Raciborowice, ok. 1940 r.



Ks. Józef Fudali z wizytą u Janiny i Kazimierza Rumianów, Raciborowice, lata 40.



Dzieci z Prus po Pierwszej Komunii Św. Za nimi z lewej Katarzyna Witek i Hanna Polak, Raciborowice, 25.06.1941 r.



Katarzyna Witek z Sulechowa na cmentarzu w Raciborowicach, czerwiec 1936 r.



Dzieci z Prus po Pierwszej Komunii Św. Na wozie w głębi Katarzyna Witek z Sulechowa i Hanna Polak, powozi Józef Witek z Sulechowa, obok stoi ks. Józef Fudali, Raciborowice, 25.06.1941 r., (środa).



Dzieci z Prus po Pierwszej Komunii Św. Na wozie w środku Katarzyna Witek i Hanna Polak (z gołąbkiem w dłoniach), powozi Józef Witek z Sulechowa, Raciborowice, 25.06.1941 r.



Młodzież z Raciborowic przed stawem w Bieńczycach, lata 30.



Dziewczyna w ogrodzie przed domem Janiny i Kazimierza Rumianów, Raciborowice, lata 30.



Dziewczyna na tarasie domu Rumianów, Raciborowice, lata 30.



Dziewczyny z Raciborowic nad młynówką w Bieńczycach, lata 30.



Montaż rynny, Raciborowice, lata 30.



Dziewczyny z Raciborowic, lata 30.



W gospodarstwie, Raciborowice, lata 30.



Przed zwózką siana lub zboża, Raciborowice, lata 30.



W ogrodzie u państwa Rumianów, lata 40.



W przydomowej pasiece, Raciborowice, lata 30.



Janina i Kazimierz Rumianowie, lata 40.



Janina Skoczyńska z uczennicami podczas próby przed jakąś uroczystością, Raciborowice, ok. 1931 r.



Żniwa, okolice Raciborowic, lata 30.



Żniwa, okolice Raciborowic, lata 30.



Stefan Raźny, 1933 r.



Janina Skoczyńska, nauczycielka Publicznej Szkoły Powszechnej w Raciborowicach, 1930 r.



Janina Skoczyńska, nauczycielka (pierwsza z lewej) z uczniami klasy piątej, w pierwszym roku pobytu w Raciborowicach, 1931 r.



Janina Skoczyńska i jej zamiłowania teatralne; inscenizacja bajki „O krasnoludkach i sierotce Marysi", 1933 r.



Grupa teatralna i nauczyciele, od lewej Kazimierz Rumian, Janina Skoczyńska, Irena Ślósarz, Maria Ligęza. 1935 r.



Dzień św. Kazimierza – imieniny kierownika szkoły, p. Rumiana. Jak co roku duże święto całej dziatwy i czcigodnego solenizanta. Na zdjęciu wśród dzieci Kazimierz Rumian i Janina Skoczyńska, 1933 r.



W ogrodzie u Państwa Rumianów. W strojach krakowskich dwie najmłodsze córki, Janina i Teresa. Siedzą: Janina Rumian (od lewej) i Irena Ślusarz. Stoją od lewej: Maria Ligęza, Kazimierz Rumian i Janina Skoczyńska, Raciborowice, 1934 r.



Dzień świętego Kazimierza i imieniny kierownika szkoły, pana Rumiana. Jak co roku duże święto całej dziatwy i solenizanta.



Uczniowie Szkoły Powszechnej w Raciborowicach. Siedzą w środku: ks. Józef Fudali, Gertruda Biernat i Stefan Raźny, 1942 r.



Rok 1941, uczniowie Szkoły Powszechnej w Raciborowicach oraz ks. Józef Fudali, Kazimierz Rumian, Józefa Małusecka, Stefan Raźny, 1941 r.



Chłopcy z klasy siódmej z wychowawcą Stefanem Raźnym i ks. katechetą Władysławem Maćkowskim, 1953 r.



Rok 1960. Śniadanie po Pierwszej Komunii Świętej na plebani parafialnej. W śniadaniu oprócz dzieci uczestniczą: Janina Raźna, ks. Jan Sala, Stefan Raźny, Maria Nowak i Józef Raźny, 1960 r.



Pielgrzymka szkolna do Częstochowy, jej organizatorami byli: ks. Stanisław Wójciak i Stefan Raźny, 1956 r.



Tradycyjne zdjęcie grupowe po Pierwszej Komunii Świętej; dzieci oraz ks. kanonik Józef Jamróz, Janina Raźna i Stefan Raźny, 1953 r.



Klasa VI z nauczycielami (od lewej) Janina Góra, Janina Biesiada, Maria Kruczkowa, Stefan Raźny, Janina Raźna, Krystyna Rojowska, Ewa Janowska, 1960 r.



Stefan Raźny i jego wychowankowie z klasy VI, 1966 r.



Janina Raźna i jej wychowankowie z klasy trzeciej, 1967 r.

Rozdział IV

Czyżyny

Kronika szkoły w Czyżynach[1]

Rok 1876

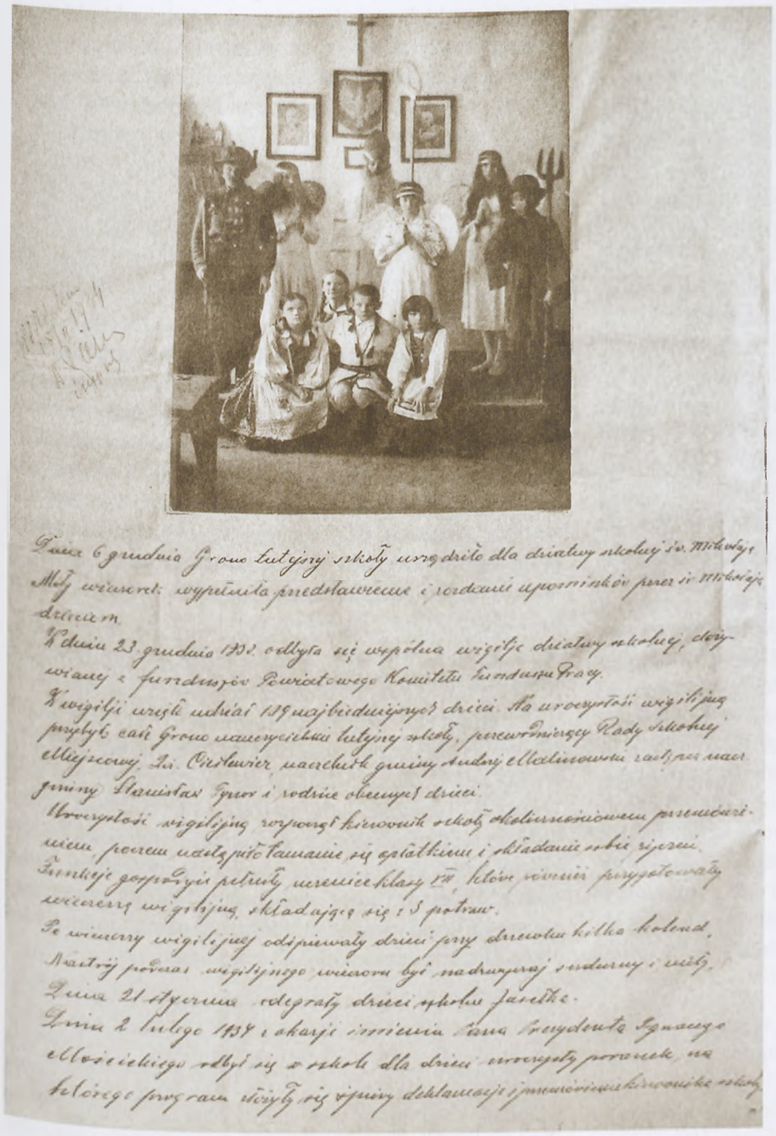

Szkoła jednoklasowa etatowa w Czyżynach utworzoną została na mocy orzeczenia Wysokiej CK Rady Szkolnej Krajowej z dnia 2 maja 1877 r. Do tejże szkoły należą dzieci z Czyżyn i przysiółka Łęgu. Na utrzymanie nauczyciela płacą strony konkurencyjne a mianowicie gmina Czyżyny z przysiółkiem Łęg, obszar dworski w Czyżynach i fundusz szkolny okręgowy. Początkowo szkoła mieści się w budynku wynajętym od tutejszego włościanina Franciszka Basia za roczną kwotę 25 zł waluty austriackiej. Jest to chata leżąca prawie w środku Czyżyn, pokryta słomą, bez komina. Izba szkolna urządzona naprędce ze stajenki długości 3½ szerokości 1½ wysokości 1⅛ – o dwu małych wiejskich oknach, z których jedno na południe, drugie na północy jest umieszczone. Od mieszkania nauczyciela odgranicza ją sień.

Dnia 1 grudnia 1876 roku mianowała CK Rada Szkolna Okręgu Zamiejscowego w Krakowie pierwszym nauczycielem szkoły Tadeusza Holcera. Tenże przybył dnia 4 grudnia br. i objął wzmieniony budynek szkolny. Do dnia 13 grudnia wpisało się li tylko z Czyżyn 28 chłopców i 22 dziewcząt. Tegoż dnia udał się nauczyciel z wpisaną dziatwą rano o godzinie 7 do kościoła parafialnego w Mogile na mszę św., którą odprawił ks. kanonik Pietrzykowski, a potem miał piękną przemowę do dziatwy i nauczyciela zakończywszy staropolskiemi słowy „Szczęść Boże". Obecny nabożeństwu był Pan Przewodniczący Rady szkolnej miejscowej Paweł Henisz. Po skończonym nabożeństwie udał się nauczyciel z dziatwą nazad do szkoły, dokąd przybył Przewodniczący Rady Szkolnej miejscowej, Wojciech Malinowski wójt, Marek Adamczyk radny gminy i syn jego Wojciech Adamczyk słuchacz prawa i P. Karol Lubczyński nauczyciel z Mogiły. Po odmówieniu modlitwy P. Przewodniczący miał przemowę do dzieci i rozdał tymże obrazki św. ofiarowane przez Wojciecha Adamczyka z wyrażoną na nich datą 13 grudnia 1876 r. z napisem „Pamiątka otworzenia szkoły w Czyżynach". Po ponownie odmówionej modlitwie udały się dzieci do domu. W obecności osób przytomnych otwarciu szkoły spisano protokół oddawczy i inwentarz szkolny i oddano szkołę wraz znajdującymi się w niej sprzętami szkolnymi tymczasowemu nauczycielowi Tadeuszowi Holcerowi. W dniu 14 grudnia br. rozpoczęła się nauka w nowo otwartej szkole podług normalnego planu nauk. Początkowo był oddział I grupa I.

Rok 1877

Dnia 20 stycznia tego roku. zwiedził szkołę Przewodniczący Rady Szkolnej miejscowej. Przejrzał Akta szkolne i przysłuchiwał się nauce dziatwy. Dnia 1 lutego odczytano klasyfikację uczniów i uczennic, z wpisanych 22 chłopców i 22 dziewcząt. Klasyfikowano dojrzałymi z odznaczeniami 12 chłopców, 5 dziewcząt, dojrzałymi 13 chłopców, 10 dziewcząt. Tym wszystkim dał P.

1. Zachowano pisownię oryginalną

Przewodniczący obecny temu obrazki św. i wizerunki królów polskich. Dnia 2 lutego rozpoczęto II półrocze. Wpisanych było 28 chłopców i 22 dziewcząt.

Dnia 26 maja tego roku zwiedził szkołę Pan CK inspektor Szkół Okręgu Krakowskiego Zamiejscowego Apolinary Ulinger zastawszy prawie wszystkie dzieci, które się do szkoły wpisały. Tegoż samego roku Rada Szkolna Miejscowa ogłosiła licytację na budynek szkolny murowany mający się stawiać na granicy pomiędzy Czyżynami a Łęgiem na gruncie zakupionym od tutejszego włościanina Jakuba Tyrki. Ponieważ gmina na wzmiankowany grunt pieniędzy niezłożyła, ck Rada Szkolna nie potwierdziła go z powodu wyprowadzonej komisji i stawianych przeszkód przez przysiółek Łęg, przeto stawianie budynku szkolnego nie przyszło do skutku. W tymże roku Rada szkolna okręgowa zamiejscowa zaopatrzyła szkołę w liczydło nowe, mapę ścienną uzmysławiającą nowe miary i wagi metryczne Franc. Villiensa w Wiedniu i darowała także 19 książek szkolnych do biblioteki szkolnej dla biednych uczniów. Rada szkolna miejscowa zakupiła zegar ścienny z kwoty preliminarzowej do szkoły, niemniej kilka książek zakupionych do tutejszej biblioteki

Gmina Czyżyny zakupiła z kwoty preliminarzowej szafę szkolną na bibliotekę szkolną i przybory naukowe. Dnia 25 czerwca tego roku zgromadziły się wszystkie z Czyżyn zapisane do szkoły dzieci na popis publiczny. Z przysiółka Łęgu niebyło dzieci gdyż dotąd mimo nakładanych kar na niedbałych rodziców do szkoły nie wpisały się. Dojrzałych z odznaczeniem było 6 chłopców i 3 dziewczęta, którym rozdano 8 sztuk nagród w książkach. Dojrzałym zaś 12 uczniom i 11 dziewczętom rozdano 23 sztuk obrazków św. i wizerunków królów polskich. Obecni popisowi byli ks. kanonik Pietrzykowski, Przewodniczący Rady szkolnej i wójt gminy Wojciech Malinowski.

Dnia 1 września rozpoczęto naukę szkolną nabożeństwem w kościele parafialnym w Mogile. Tegoż samego roku i miesiąca wpisały się dzieci z Czyżyn i Łęgu. Chłopców 41, dziewcząt 42, wskutek czego dla braku miejsca zaprowadzono naukę pół-dzienną. W miesiącu wrześniu, październiku i listopadzie chorowało wiele dzieci na febry, odrę i różne dziecinne słabości, wskutek czego wiele dzieci w czasie choroby nie mogło odwiedzać szkoły, ogólnie jednak frekwencja była dobra. Od dnia 1 września powierzyła Rada Szk. Miejscowa za przychyleniem się ck Rady Szkolnej okręgowej posadę tymczasowej nauczycielki kobiecych robót ręcznych Paulinie Holcerowej z rocznym wynagrodzeniem 25 złr au.

Rok 1878

W kwietniu zaopatrzoną została szkoła w obraz Pana Jezusa zakupiony przez Radę szkolną miejscową. Dnia 1 lipca br. od godziny 4 ¼ do godziny 7 popołudniu odbywał się popis publiczny tutejszej młodzieży szkolnej na któren zgromadziły się wszystkie dzieci szkolne. Klasyfikowanych było 33 chłopców i 30 dziewcząt. Pytano wszystkich przedmiotów planem nauki objętych w tym roku. Po popisie odczytano klasyfikację i rozdano 4 książki nagrody w oddziale II, reszta otrzymała obrazki św. Przytomni popisowi byli Przewodniczący Rady szkoły Paweł Henisz, x. Prodziekan Stępiński; P. Siedlecki, właściciel realności w Czyżynach, x. Benedykt cysters z Mogiły, Wojciech Malinowski wójt, Piotr Dąbrowski zastępca wójta z Łęgu, x. Andrzej Kronenberg jako katecheta, Ignacy Dąbrowski młodszy nauczyciel z Bieńczyc i kierownik miejscowej szkoły Tadeusz Holcer.

W dniu 2 lipca udał się nauczyciel z wszystkimi dziećmi do kościoła parafialnego w Mogile na podziękowanie Panu Bogu za rok ubiegły. Poczem powrócił nazad do szkoły gdzie po odmówionej modlitwie przemówił do dziatwy a rozdawszy tymże z całego roku ich wypracowania pisemne, roboty kobiece ręczne i świadectwa szkolne wypuścił dziatwę do domu na czas wakacji upomniawszy by wszyscy w czasie przepisanym powrócili na wezwanie rodziców po wakacjach do szkoły.

Dnia 9 sierpnia przybył Przewodniczący Rady szkolnej miejscowej Paweł Henisz z Karolem Lubczyńskim sekretarzem Rady szkolnej miejscowej i nauczycielem do tutejszej szkoły i w przytomności wójta Wojciecha Malinowskiego zawezwał Jakuba i Katarzyną Tyczków a wypłaciwszy tymże 150 złr au. Za zakupiony plac pod szkołę 57 objętości całej parceli 358 i z części parceli 359 obejmujący obszar 277 sążni odebrał od tychże zeznania poczem wszyscy wraz z nauczycielem Tadeuszem Holcerem udali się na wzmieniony plac który przewodniczący odebrał w fizyczne posiadanie i oddał temuż ostatniemu na użytek szkolny.

Dnia 20 grudnia br. przybył lekarz powiatowy W. Kralczyński do tutejszej szkoły celem zbadania czy niema epidemii chorych na koklusz. Ponieważ na kilka dni przed jego przybyciem okazało się, że 8 dzieci ma tę słabość, chorych przeto nauczyciel za wiedzą Rady szkolnej miejscowej natychmiast ze szkoły na czas słabości uwolnił, by choroba się nie szerzyła. Dr Kralczyński udał się do domów, a po zbadaniu zapisał lekarstwa i wzbronił takowym podczas choroby odwiedzać szkołę. Ponieważ więcej wypadków nie zdarzyło się orzekł, iż epidemii nie ma.

Rok 1879

W dniu 31 stycznia odczytano klasyfikację uczniów i uczennic tutejszej szkoły. Na zapisanych 51 uczniów i 50 uczennic w pierwszym półroczu uznano dojrzałymi 42 chłopców, 39 dziewcząt. Dnia 27 marca przybył tenże P Przewodniczący na plac szkolny i przywołał Tadeusza Holcera nauczyciela tamże celem oznaczenia miejsca gdzie ma stanąć budynek szkolny, co też uczyniono a gmina przyjęła propozycję Przewodniczącego by izbę szkolną postawić po lewej strony wejścia od szkoły. Dnia 29 marca br. wyszli radni gminy zaprosiwszy i nauczyciela i rozpoczęto wykop ziemi i założono pierwszy fundament, a każdy z obecnych przyniósł jeden kamień i położył w wykopie. Odtąd budowa fundamentu z kamienia postępuje ciągle.

Dnia 30 czerwca br. odbył się popis publiczny dziatwy szkolnej pod przewodnictwem ks. proboszcza Siemieńskiego z Mogiły, który przemówił do młodzieży i wyraził swe zadowolenie pod względem nauki. Klasyfikowanych było 46 chłopców i 46 dziewcząt. Tegoż roku dnia 23 czerwca do końca lipca br. CK Rada szkolna Okręgowa ogłosiła pierwszy raz konkurs na posadę nauczyciela przy tejże szkole. Dnia 1 września br. rozpoczęła się nauka w szkole tutejszej i o godzinie 7-mej rano udał się nauczyciel z dziatwą szkolną do kościoła parafialnego w Mogile na mszę św. Powróciwszy stamtąd o godzinie 11 do szkoły w Czyżynach, po odmówieniu modlitwy i odśpiewaniu hymnu ludowego sprawdził obecność dziatwy, przeczytał tejże przepisy szkolne, a podzieliwszy na oddział ranny i popołudniowy (z powodu iż nauka odbywać się jeszcze będzie jakiś czas w obecnym budynku nim budynek szkolny ukończony zostanie), odmówił z dziatwą szkolną modlitwę i rozpuścił do domu by z następnym dniem naukę formalnie rozpocząć. Obowiązanych do szkoły codziennej i niedzielnej było 124 wpisało się 97, obecnych w tym dniu było 70, niewpisanych 27 którym rada szkolna miejscowa przesłała upomnienia.

Dnia 4 listopada br. przeniesiona została szkoła do nowego budynku szkolnego świeżo ukończonego i nie wysuszonego. Budynku jednak nie oddano protokolarnie nauczycielowi, tylko na ustne porozumienie się tegoż z p. przewodniczącym nauczyciel wprowadził się i z dniem następnym rozpoczął z dziećmi naukę całodniową. Oddanie budynku szkolnego pisemnie nastąpi dopiero później. Dnia 26 listopada br. przybył do tutejszej szkoły Wielmożny Ksiądz proboszcz z Mogiły Leopold Siemieński na naukę religii i pozostawił 20 złr au. jako dobrowolny dar z własnej szkatuły dla gminy Czyżyny z Łęgiem parafii Mogilskiej na budowę tutejszej szkoły, polecając by gmina zakupiła dzwonek do szkoły, by ten wraz z budynkiem szkolnym był poświęcony.

Dnia 7 grudnia br. o godzinie popołudniu przybyła prawie cała Rada szkolna miejscowa zwierzchność gminna, nauczyciele okolicznych szkół i bardzo wiele włościan obu wiosek do tutejszej szkoły, gdzie zastali licznie zgromadzoną dziatwę szkolną. Po odmówionej modlitwie Wielmożny ksiądz proboszcz z Mogiły Leopold Siemieński przemówił w pięknych wyrazach do rodziców, dziatwy szkolnej, miejscowego nauczyciela, wyjaśniwszy cel i pożytek szkoły, zachęcał dziatwę do pracy i pilności rodziców do chętnego i regularnego posyłania dzieci do szkoły, również dziękował Wysokim Władzom za opiekę nad szkołami dbającymi o oświatę ludu i rozwój tychże szkół, poczym poświęcił budynek szkolny. Pan Przewodniczący Rady szkolnej miejscowej miał także przemowę i dziękował włościanom iż nie szczędzili grosza na budowę szkoły. Potem dziatwa szkolna dziękowała kolejno Wielmożnemu ks. Proboszczowi, Wielmożnemu Księdzu Andrzejowi Kronenbergowi za poświęcenie budynku szkolnego, za udzielenie nauki i rady przyrzekając, iż według nich będzie postępować. Dalej podziękowała Panu Przewodniczącemu, iż za jego staraniem stanął nowy budynek szkolny, niemniej dziękowała zgromadzonym licznie gościom za przybycie. Po każdej przemowie dziatwa podnosiła okrzyk na cześć wyżej wymienionych „Niech Żyje!". Miejscowy nauczyciel ponowił podziękowania a podniósł okrzyk na cześć Najjaśniejszego Pana, który szczególną łaską zaszczycił tutejszą szkołę udzielając gminie 200 złr na budowę tejże szkoły tytułem zapomogi z własnej szkatuły, zaśpiewał z dziatwą hymn ludowy i pieśń do Matki Bożej by tę szkołę miała w swej opiece. Po odmówionej modlitwie udała się dziatwa do domu. Nauczyciel zaś ugaszczał gości u siebie. Rada szkolna miejscowa i Wielmożni księża udali się wieczorem do domu. Nauczyciele pozostali na wieczerzy, przy której gospodarz wraz z gośćmi wychylił zdrowie nieobecnego W. Pana CK inspektora szkół okręgowych zamiejscowych Apolinarego Ulingera podniósłszy okrzyk „Niech żyje!". Na końcu wychylono zdrowie kolegów i zakończono szczerym „Kochajmy się i wspierajmy się słowem i czynem", poczym wszyscy się rozjechali.

Rok 1880

Dnia 3 stycznia przybył o godzinie 2-giej popołudniu konny posłaniec z Łęgu Mikołajskiego z wieścią, iż Wisła wylewa, wskutek czego rozpuszczono dzieci z Łęgu, by mogły jeszcze dostać się do domów. Nadwieczorem woda z wielkim szumem zaczęła zalewać błonia, a około godziny 11-tej w nocy zalała nie tylko błonia ale nawet drogę wiodącą do obydwóch wiosek przed szkołą i otoczyła dokoła budynek szkolny, przy czym towarzyszyła burza z ulewą. O północy woda zaczęła opadać a rano już pozostała w niskich miejscach i niektórych rowach. Droga jednak do szkoły była nieprzystępną. Dlatego uczniowie niedzielni nie przybyli. Dnia 5 stycznia przybyły tylko dzieci z Czyżyn, z Łęgu nie ma jeszcze przystępu.

Na mocy rozporządzenia CK Rady szkolnej okręgowej z powodu pobytu Najjaśniejszego Pana w Galicji rok szkolny 1880/81 rozpoczął się dopiero w dniu 4 września. Ogólnej liczby dzieci obowiązanych uczęszczać 140 zapisanych było 114. W dniu rozpoczęcia szkoły zgromadziła się dziatwa do tutejszej szkoły w liczbie 54 skąd udała się z nauczycielami do kościoła parafialnego w Mogile na solenne nabożeństwo odprawione przez ks. Proboszcza Leopolda Siemieńskiego. Po nabożeństwie odśpiewały dzieci szkoły Mogilskiej i tutej-

szej hymn narodowy. Przybywszy na powrót do szkoły rozśpiewały „Dawno światła" i ponownie hymn poczym nauczyciel odczytał katalog codzienny i przepisy szkolne i rozpuścił dziatwę do domu.

Rok 1881

Dnia 7 marca zachorowało 26 dzieci na gruczoły w gardle zwane tu gałwankami. Dnia 9 marca br dano znać o godzinie 1 popołudniu iż wskutek przerwania wału w Łęgu od strony wschodnio-południowej za chałupą Wincentego Gągóla Wisła wylała i zalała dookoła domy tej części Łęgu. Puszczono przeto dzieci z Łęgu do domu które dnia 10 marca br. podobnie do szkoły nie przybyły, gdyż woda wzmocniona silnym deszczem rozlała szerzej.

Rok 1882

Dnia 20 czerwca odbyć się miał popis publiczny, ponieważ jednak nauczyciel na tydzień przed popisem ciężko zachorował i musiał pójść do szpitala przeto popisu niebyło. Przybywszy dnia 19 usiłował odbyć w następnym dniu popis, lecz był tak osłabionym że Pan przewodniczący z księdzem katechetą nie dozwolili mu narażać się na większą chorobę i zmusili go do położenia się do łóżka. Dzieci zgromadziły się prawie wszystkie tak ze szkoły codziennej jak i niedzielnej. Wszystkich przepytano z religii poczym ksiądz katecheta odczytał klasyfikację a Pan Przewodniczący rozdał 10 książek na nagrodę i około 50 obrazków zaś ksiądz katecheta imieniem Wielmożnego księdza Przeora rozdał 3 książki do nabożeństwa znacznej wartości najpilniejszym z religii poczym dziatwę rozpuszczono do domów.

Rok 1883

Dnia 25 kwietnia wybuchła pomiędzy dziećmi szkolnymi epidemicznie odra. Wskutek doniesienia Rady szkolnej miejscowej i wójta z Łęgu przybył lekarz powiatowy Pan Ponikło i sprawdził iż 24 dzieci jest chorych. Po wyjeździe lekarza zachorowało jeszcze 15 dzieci a choroba z każdym dniem się rozszerzała nawet między dziećmi mniejszymi. Na doniesienie wójta gminy Czyżyny, iż jeden z chorych uczniów Józef Matysiński umarł, przybył lekarz dnia 5 maja później dnia 12 i dnia 22 maja i polecił nauczycielowi by ten dla przerwania odry jak nie mnie, że u dzieci ponownie przybyłych okazało się zapalenie błonicy, szkołę do dnia 28 maja zamknąć oczekując dalszych zarządzeń od Władz politycznych. Dnia 28 maja otwarto szkołę lecz dzieci w nielicznej liczbie do szkoły uczęszczały gdyż następstwem po odrze były jeszcze gorszymi przy tejże samej chorobie, a nauka z wielkim trudem odbywała się przez dni 15-cie. Dzieci okazywały wielką ospałość, zniechęcenie było ogólne. Aby dzieci do jakiegoś życia takowego wzbudzić nauczyciel na ile mógł zarządził w dniu 31 czerwca po nauce szkolnej, by się dzieci zgromadziły na nabożeństwo popołudniowe w oktawę Bożego Ciała i udał się do kościoła parafialnego. Na drugi dzień dzieci były o wiele ożywione. Dnia 3 czerwca zarządził nauczyciel zabawę dla dzieci tak zwaną „Majówkę". Dopołudnia o godzinie 4 zgromadziły się dzieci i udały w miejsce na ten cel corocznie wybrane gdzie się zabawiły aż do późnej godziny odprowadziwszy nauczycieli do domu o godzinie 9 wieczór. Od tego dnia dzieci odczuwały pomimo gnębiącej je choroby większą ochotę do życia.

Dnia 12 września br zgromadziły się dzieci do szkoły odświętnie ubrane na uroczystość szkolną w myśl szacownego okólnika Prześwietnej CK Rady szkolnej okręgowej z dnia 4 września br dla godnego uczczenia pamięci dwóchsetnego jubileuszu odsieczy Wiednia przez sprzymierzone wojska pod naczelnym dowództwem króla Jana Sobieskiego. Po odśpiewaniu pieśni do Ducha św. przez dziatwę szkolną, jedna z uczennic opowiedziała w krótkości historię o królu Janie Sobieskim, nauczyciel zaś odczytał obszerniej z III książki do czytania ustęp 112, Odsiecz Wiednia przez Króla Jana III, poczem odśpiewano hymn ludu i po odmówionej modlitwie rozpuszczono dziatwę do domu.

Rok 1884

Dnia 21 czerwca br nie przybyły dzieci z Łęgu, gdyż woda z Wisły zaczęła występować. O godzinie 12 w południe rozpuścił nauczyciel dzieci z Czyżyn do domu z powodu że woda zalewała Łęg a w rowach do Czyżyn tamowała powrót dzieciom czyżyńskim. O godzinie 7 wieczór Łęg został cały zalany. Woda sięgała po drogę przed szkołą. O godzinie 8 rano 22 bm. ustały wszelka komunikacja do Czyżyn, zatamowana woda oblała szkołę dookoła i była jak pierwszym razem w marcu 1881 r. Podobny stan trwał aż do godziny 6 wieczorem 22 czerwca br. a woda sięgała do samych korzeni wszystkich drzew ze strony południowej i zachodniej przy szkole stojących. Poczym woda wolno opadała. Z tego powodu popis młodzieży szkolnej mający odbyć się w dniu 24 czerwca odbył się rano dnia 2 lipca br.

Rok 1885

W dniu 19 lutego br. kilkoro dzieci z Łęgu mieszkających pod lasem nie przybyło do szkoły, gdyż woda z jezior wylała i przerwała komunikację ze szkołą zalawszy drogę. Dnia 27 marca dano znać z Łęgu, że od Tynorki i od Szafrańcowego jeziora Wisła poczęła wylewać z powodu zatoru lodowego pod Beszczem i pod Kopaniem, przeto dzieci z Łęgu nie przybyły na naukę. Wiadomość otrzymano o godzinie 7 ¾ rano. Po godzinie 1-szej popołudniu woda już tak wylała że cały Łęg Mogilski aż po drogę szkolną zalała i zaczęła występować na drogę od szkoły do Czyżyn wiodącą przeto z obawy by komunikacja przerwaną nie była rozpuszczono dzieci z Czyżyn do domu o godzinie 1 ¼. Pięcioro dzieci zalanych domów przybyło dopiero 4 kwietnia woda bowiem od tych domów ustąpiła dopiero 4 kwietnia br.

Rok 1888

Dnia 10 marca 1888 rano przybyło tylko 5 dzieci z Łęgu gdyż woda śniegowa zasiliwszy jeziora wylała na drogi i błonia. Popołudniu przybyło tylko 2 dzieci bliżej szkoły mieszkających gdyż stan wody znacznie się podniósł. Ponieważ lód na Wiśle dotąd nie ruszył przeto spodziewany jest wylew. Dnia 11 marca 1888 o godzinie 7 rano woda na błoniach i pod szkoła coraz się zwiększała aż do godziny 4-tej popołudniu zalawszy drogę od Czyżyn ku Łęgowi i woda zalewała zwolna ogród szkolny. Już rano o godzinie 7 spostrzeżono u szkoły iż woda na Wiśle szła wyżej brzegów i piętrzył się lód, gdy o godzinie 5 popołudniu były już wszystkie pola i ogród szkolny i cały Łęg pod wodą, naraz stał się szum i huk gdyż pod Dąbiem około cegielni zrobił się zapór lodowy, a woda poniżej przerwawszy wał z całą gwałtownością pędziła przed sobą ogromną masę lodu i pokryła całą przestrzeń wodą zalaną, dokąd okiem z okienka strychowego stajni było morzem bryłami lodowymi, zakryła cały płot do wierzchu pod ogrodem szkolnym. Najgrubsze i największe kry lodowe oparły się o płot szkolny. Tak woda przybywała do godziny 7 wieczorem. Gdy rozstrzelano zapór lodowy pod Lisakiem w Łęgu woda ubywała do godziny 4 ½ dnia 12 marca br. o tyle ustąpiła, że droga przed szkoła była wolną od wody. Okropny jednak widok przedstawiają pola i droga założona kupami lodu, a jazda dla wozów zupełnie wstrzymana, niemniej woda przez drogę płynie i rowy pozalewane. Dnia 12 bm. nie przybyło żadne dziecko ani z Czyżyn ani z Łęgu. Łęg bowiem pozalewała woda aż do Czyżyn. Przystęp dla dzieci wstrzymany. Ludzie wiekowi nie pamiętają nigdy podobnej powodzi, woda bowiem była pod domem Franciszka Basia w Czyżynach. Lada chwila spodziewany tutaj drugi gwałtowny jeszcze wylew. Dnia 13 marca przybyło z Czyżyn tylko 21 dzieci, gdyż droga do szkoły zawalona krami lodowymi, a rowy do wierzchu napełnione wodą. Z Łęgu niebyło żadnych dzieci, gdyż woda jeszcze nie ustąpiła.

Dnia 1 grudnia 1888 r. młodzież szkolna 3 oddziałów szkoły codziennej i dopełniającej z nauczycielem udała się na 5 podwodach do kościoła parafialnego w Mogile celem brania udziału w nabożeństwie na pamiątkę 40 rocznicy wstąpienia na tron Jego Cesarskiej Królewskiej Apostolskiej Mości Najjaśniejszego Pana Franciszka Józefa I. Dzień ten był wolny od nauki szkolnej.

Rok 1890

Dnia 17 stycznia br. szalała burza z zawieją śniegową przyczym padał obfity śnieg od godziny 12 w nocy i przez cały dzień tak iż wszystkie drogi były zatamowane przez zaspy śniegowe.

Dnia 9 marca br. rano nie przybyły dzieci z Łęgu Mikołajskiego jak niemniej od strony winkla od strony zachodnio południowej gdyż woda z jeziora wylała zalawszy drogi. Woda na Wiśle równo z brzegami. Woda na wale od Antoniego Basia przebiera okop. Dopiero dnia 14 marca po opadnięciu wody przybyły dzieci te do szkoły.

Dnia 3 maja 1890 szkoła została zamknięta wskutek epidemii odry, która zajęła wszystkie dzieci szkolne małe w Czyżynach, po której umarło 7 dzieci szkolnych.

Rok 1891

Dnia 24 września 1891 nauczyciel miejscowy obchodził 30-letni jubileusz zawodu nauczycielskiego i pożycia małżeńskiego. W tym celu odbyło się uroczyste nabożeństwo w kościele parafialnym w Mogile które odprawił ks. Józef Szatyński katecheta. Oprócz dzieci szkolnych był obecny Profesor Franciszek Uryga, wójci gmin Józef Tynor i Kasper Broda i wielu włościan wraz z żonami i rodzina nauczyciela. Po nabożeństwie zaproszono nauczyciela z żoną na probostwo na śniadanie wraz z rodziną i paniami przybyłymi z Krakowa na tę uroczystość poczym pito zdrowie nauczyciela. Poczym udano się do mieszkania nauczyciela i ochoczo do wieczora zabawiano.

Rok 1893

Dnia 25 lutego 1893 były dzieci szkoły codziennej i dopełniającej na solennym nabożeństwie w kościele parafialnym w Mogile które odbyło się na pamiątkę pięćdziesięcioletniego jubileuszu Biskupiego Ojca Świętego Leona XIII. Nauczyciel złożył zebrane od dzieci szkolnych datki na Świętopietrze na ręce ks. Proboszcza w Mogile Leopolda Siemińskiego.

Dnia17 czerwca zaczęła woda z Wisły przez przerwany wał od Dąbia rozlewać się i podeszła dolinami między Łęgiem aż przed szkołę o godzinie 8 ¼ wieczór. Od tego czasu rosła aż do godziny 11 w południe. Dnia 18 bm o godzinie 11 ¼ zaczął padać deszcz i stan wody podniósł się do 1½ m. O godzinie 1 ¾ dosięgała woda 1½ m i zalała drogę powyżej baszty na prawo od szkoły i mostek pod Gawłem Piotrem na lewo od szkoły podobnież cały pokryła, a żandarmi w liczbie trzech dostawali się do Łęgu konno. Jeden z nich udał się do Czyżyn i uzyskawszy dziesięć ludzi pospieszył na pomoc do pracujących tamże z Łęgu 30 ludzi, którzy wał pod Białkowskim ratowali. Rano o godzinie 3 przy ciągłym ulewnym deszczu i grzmotach wszyscy opuścili robotę bo wał został przerwanym. Cały Łęg, pola i łąki, jak niemniej Beszcz, Dąbie stoi pod wodą. O godzinie 7 rano woda zalewa drogę przed szkołą. Dzieci z Łęgu żadnych, z Czyżyn 6 chłopców i 5 dziewcząt. I te nauczyciel rozpuścił bo woda zalała Przedwiśle pod Kolnickiego Wojciecha i Gać pod Antoniego Fioła. Dnia 18 woda przed szkołą zakryła płot na przeciwnej stronie i wdarła się do pól ogrodu szkolnego. Dnia 19 o godzinie 9 rano woda poczęła opadać do dnia 20 opadła tak że droga od Przedwioski do szkoły była otwarta. Dzieci z Czyżyn w liczbie około 15 przybyły do szkoły. Dnia 21 przybyły dzieci z Czyżyn z Łęgu nieprzyszły gdyż woda

bardzo wolno ustępuję i niema znikąd przystępu. Dopiero dnia 23 bm. woda opadła. Dzieci z Łęgu przyszły do szkoły brakowało tylko z Łęgu Mikołajskiego 7 dzieci, które dla zalanej drogi nie mogły się dostać i zwolna przybywały.

Dnia 17 maja br. nieprzybyły dzieci z Łęgu, tylko te które w bliskości mieszkają gdyż kilkudniowy deszcz sprawił, że jeziora w Łęgu pozalewały drogi, mostki a woda z Wisły w niektórych miejscach niższych rozlała się i przystęp do szkoły utrudniła. Dnia 18 rano woda opadać zaczęła lecz komunikacja z Łęgiem Mikołajskim jest zatamowana i dzieci do szkoły nie mogą się dostać. W szkole jest dzieci 44 brakuje 31. Dnia 19 przyszło z Łęgu 14 dzieci ogółem w II oddziale było dzieci 51 brakowało 24. Woda porozlewana nie ustąpiła jeszcze z pól Błonia i drogi od Wikła i z Łęgiem parafii św. Mikołaja. Dnia 20 maja przybyły wszystkie dzieci z Łęgu gdyż przystęp do szkoły był wolny.

Dnia 28 maja br. rozpoczęto przebudowę drugiej szkoły, a ponieważ wyburzono ściany w mieszkaniu nauczyciela, przeto tenże przeniósł się do sali szkolnej, a młodzież rozpuszczona została na 2 tygodnie poczym rozpoczęto przerwaną naukę dnia 10 czerwca, aby naukę powtórzyć. Nauka odbywała się w dużym pokoju nauczyciela, którą w dniu 23 czerwca o godzinie 11 rano zakończono i dziatwę na roczne ferie rozpuszczono. Budowa postępuje raźno. Rozszerzenie budynku szkolnego jak wyżej rozpoczęte nastąpiło na mocy orzeczenia powiatowej Prześwietnej CK Rady Szkolnej Okręgowej z dnia 23 marca. Zatwierdzono uchwałę stron konkurencyjnych według planu i kosztorysu zatwierdzonego na kwotę 2.220 złr przez przedsiębiorcę i budowniczego p. Władysława Anderszewskiego w Krakowie. Przybudowane skrzydło starego budynku szkolnego drewnianego jest murowane z cegły na fundamencie z kamienia w ziemię osadzonego na cemencie. Fundament nad ziemią murowany podobnież z tego samego kamienia zalanego zewnątrz cementem, a nakryty papą. Cały budynek kryty jest dachówka cementową i składa się z jednej sali szkolnej długości 7,16 m, szerokości 7 m, wysokości 3,75 m do którego wchodzi się od południa po schodkach cementowych najpierw przez sionkę długą 2,98 m szeroką 2,43 m do sali szkolnej leżącej w stronie północno wschodniej o pięciu oknach, dwóch od północy i 3 od wschodu. Z sionki prowadzą na prawo drzwi jednoskrzydłowe do pokoju nauczyciela długości 4,43 m, szerokości 2,50 m i wysokości 3,75 m. o jednym oknie w stronie wschodnio południowej.

Rok 1897

Dnia 10 lipca 1897 o godzinie 9 rano odbyła się kolaudacyja budynku domurowanego. Przebudowę zaczęto za istniejącej zaledwo kilkumiesięcznej Rady Szkolnej miejscowej zbiorowej w Mogile, której przewodniczącym był Władysław Kołodziejczyk, a skończono za Rady Szkolnej miejscowej ponownie otworzonej w Czyżynach, która też takowy od przedsiębiorcy odebrała. Przewodniczącym Rady był Jan Zbroja włościanin z Czyżyn, Jan Socha z Łęgu zastępca, Ksiądz Kanonik Wojciech Siedlecki Proboszcz w Mogile reprezentantem Kościoła. Właścicielem obszarów dworskich Maurus Holba, Katechetą Ksiądz o. Paweł Trelek, kierownikiem szkoły, oraz sekretarzem Rady Szkolnej miejscowej w Czyżynach Tadeusz Holcer. Nowomianowany nauczyciel szkoły nadetatowej p. Jan Łubowiecki, który po ukończeniu seminarium nauczycielskiego objął pierwszą posadę w Czyzynach, kierownik szkoły jest pierwszym nauczycielem w szkole w Czyżynach, który przy nowo kreowanej jednoklasowej szkole objął dnia 1 grudnia 1876 obowiązki nauczycielskie i takowe dotychczas spełnia, wójtem gminy jest Stanisław Tyrka, a wójtem gminy Łęg Kasper Broda. Dnia 29 sierpnia 1897 o godzinie 5-tej popołudniu odbyło się poświęcenie budynku murowanego przy licznie zgromadzonej publiczności obu gmin, dziatwy szkolnej wielebnego duchowieństwa. Poświecenia dokonał Wielmożny Ksiądz kanonik i proboszcz w Mogile Wojciech Siedlecki. Aktowi poświecenia przytomni byli jak w powyższym opisie podano.

Rok 1899

Od dnia 26 czerwca br. padał deszcz do dnia 10 lipca z małymi przerwami. Od dnia 6 lipca do dnia 18 lipca padał deszcz ulewny z chwilowymi przerwami w dzień i w nocy. Już dnia 9 lipca o godzinie 3 ½ łąki pod szkołą od strony południowej zalane były wodą występującą z jeziora, o godzinie 9 woda zaczęła się zlewać ze starego Wiśliska pod Szafranem Florianem, będąc przepełnione z nowej Wisły do godziny 9 rano do dnia 10 lipca tak aż całe błonia w Łęgu, Kępa i Łęg Mikołajski i Mogilski były pod wodą. Godzina 9 ½ rano woda zalała rów przy drodze przed szkołą od południa, zachodu zalała mostek, tak iż z trudnością można się przedrzeć do Czyżyn. O godzinie 3 ½ popołudniu woda bezustannie przybywa. Godzina 9 wieczór woda dosięgła schodków przed szkołą. O godzinie 1-szej w nocy woda zalała ogród szkolny do wysokości 37 ½ cm. Przedwioska aż po Kotulskiego stoi pod wodą. Woda ciągle przybywa. Dnia 11 bm rano godzina 3-cia cała przestrzeń wokoło budynku szkolnego stoi w wodzie. Droga przed szkołą i łąka Dawida Kornbluma zalana na metr wysokości.

Na Kępie dosięga woda ponad 1 ¾ m wysokości, zboże stoi pod wodą. Pogoda utrwala się. Ponieważ rodzinie nauczyciela zabrakło żywności, przeto żona nauczyciela wybrała się przez wodę do miasta, lecz przelazłszy przez płot i widząc, że woda dosięga do pasa, a im dalej, tym głębsza – zawróciła do domu. Prócz żandarma który przypłynął na łodzi nikt się dotychczas nie pokazuje. Jesteśmy odcięci przez wodę od wszystkich mieszkań. Szkoła wygląda jak wyspa dookoła wodą oblana. Godzina 9 ½, woda ciągle przybywa. Dnia 12 bm. woda

zaczęła opadać pomimo tego na rządowej łodzi z dwunastoma pionierami przybył ck porucznik Józef Tanzl do samych drzwi szkolnych wchodowych przywiózłszy ze sobą dzieci i kobiety pytając się gdzie można wylądować, aby kobiety z dziećmi i pościelą mogły bezpiecznie dojść do Czyżyn. Nauczyciel wskazał miejsce na łąkach za szkołą poza pierwszy rów dokąd łódź dopłynąć mogła. Przybył także ck żandarm Grzegorz Wiwrzak z Mogiły który przywoził po kilka razy z zatopionych chałup kobiety z dziećmi wysadzając takowe po za pierwszy rów do Czyżyn. Niemniej krążył Franciszek Dynia ck żandarm z Mogiły. Wszystkie te łodzie 3 pionierów, 2 żandarmów przewoziły ludzi z Łęgu. Ponieważ ck porucznik Wiedeńczyk nie mógł się z nikim rozmówić po polsku przeto nauczyciel udał się z nim na zalane woda miejsca aż pod Mogiłę, a zmierzywszy wodę pod szkołą wynosił stan wody za płotem na południe 1,2 m wysokości, na lewo od szkoły pod płotem Gawła 1, 45 m, na Kępie gdzie była droga gruntu mierzonego nauczyciela 1,80 m, na błoniu od strony figury Matki Boskiej 2,35 m wysokości. Od godziny 4 popołudniu dnia 12 bm. woda zaczęła wolno opadać, lecz na Kępie na błoniu stoi dotychczas, a nauczyciel z wójtem z Łęgu i ck żandarmem puścili się na zlustrowanie stanu wody, doszli wałem tu i ówdzie porozrywanym aż do Jana Sochy, lecz dalej nie można było postąpić, gdyż woda wokoło stała na metr głęboko. Dziwić się należy że Rada powiatowa Krakowska wysłała swego sekretarza pana Bociańskiego drogomistrza, który faetronikiem jadąc przed szkoła wskazał ręką na ogród szkolny i łąki gminne oświadczył, że tu wody niebyło bo siano i trawa obmulone szlamem wiślanym są jeszcze zielone. Ciekawe dlaczego nie zrobił sobie tej przyjemności, a nie pofatygował się do ogrodu i na łąki gdzie by był wpadł w wodę na grządkach i grząską rzadką ziemię po sam swój potężny brzuszek. Było tu więcej jak 50 świadków przez 4 dni, którzy widzieli co tu woda zdziałała i nie ustąpi może aż za 3 dni. Jarzyny, jęczmionka, owsy, łąki pastwisko doszczętnie zniszczone, a Łęg czeka ostatnia nędza i głód tak u ludzi jak i zwierząt i ptactwa domowego. Ponieważ woda wolno opada, przeto kończę tych słów kilka o wylewie tegorocznym.

Rok 1900

Dnia 7 stycznia br. około godziny 8 ½ rano powstał w Mogile na przewozie pod Rawickiem zapór lodowy na Wiśle, woda przeto cofnęła się zalewając Łęg. Z Łęgu od strony wschodnio południowej dzieci nie przybyły do szkoły przez 3 dni będąc zalane wodą. Dnia 24 bm. zaczęła woda zwolna oblewać powtórnie. Powstały zapór lodowy pod Dąbiem spowodował ponowny wylew.

Rok 1901

Reskryptem z dnia 15 lipca 1901 przekształciła CK Rada szkolna Krajowa szkołę w Czyżynach na dwuklasową z dniem 1 września 1901 roku. Pierwszym młodszym nauczycielem był Jan Lubowiecki do dnia 9 sierpnia 1898. Od tego czasu była Wanda Szarkówna młodszy nauczyciel do dnia 21 lipca 1900 r. Mianowana na jej miejsce Marya Winnicka z Białki Szlacheckiej nieobjęła posady. W jej miejsce objęła Zofia Przybylska posadę młod. nauczycielki od dnia 1 wrzesnia 1900 do dnia 31 grudnia 1901. Do tego czasu objęła miejsce Wanda Laiterowna tj. od 1 stycznia do 1 kwietnia 1902. W dniu 1 kwietnia 1902 mianowano Jana Sokolińskiego młod. naucz. a nauczycielkę nadetatową Janinę Sporownę od dnia 1 listopada 1901. W jej miejsce mianowano od dnia 1 kwietnia 1902 Franciszkę Banikówne. Dnia 15 lipca 1901 Wys. C.k. Rada szkolna Krajowa przekształciła szkołę jednoklasową na II klas. Tadeusz Holcer został mianowany nauczycielem kierownikiem tejże szkoły początkowo tymczasowym, dnia zaś 19 lipca 1902 dekretem Wysokiej Rady Szkolnej Krajowej stał się nauczycielem kierującym, a Maria Zbijewska stała się młodszą nauczycielką tejże szkoły.

Rok 1902

Grono nauczycielskie szkoły dwuklasowej w Czyżynach składało się z następujących osób:

Tadeusz Holcer – nauczyciel kierujący, Maria Zbijewska – stała nauczycielka, Janina Zanikówna tymczasowa nauczycielka. Od półrocza tj od lutego nastąpiła zmiana i tak Tadeusz Holcer otrzymał urlop na pół roku tj do końca roku szkolnego 1902/3 a w miejsce jego została zamianowana nauczycielka z Luboczy Felicja Rochnakiewiczówna. Również nauczycielka Marya Zbijewska otrzymała trzymiesięczny urlop a na jej miejsce przydzielono z dniem 1 marca Albinę Reymanównę.

Rok 1904/1905

Budynek szkolny bardzo porządnie oczyszczony bo obecny przewodniczący Rady miejscowej nie żałuje trudów i kosztów by ten przybytek wiedzy dobre czynił wrażenie. Grono nauczycielskie nie zmienione lecz niedługo posada kierownika będzie stale obsadzoną. Obecnie trzy nauczycielki ciężką pracą starają się odpowiedzieć zadaniu swojemu.

Rok 1905/1906

Skład tutejszego grona nauczycielskiego był następujący: stały kierujący nauczyciel Karol Kozłowski, stała nauczycielka Marya Zbijewska, nadetatowa nauczycielka Aniela Kozłowska, a obowiązki katechety pełnił ks. Franciszek Jeż.

W bieżącym roku szkolnym zakupiła Rada Szkolna miejscowa za inicjatywą kierownika wiele przyborów naukowych ponieważ szkoła tutejsza pod tym względem jest bardzo upośledzona. W roku tym nauka doznała przerwy 4 tygodniowej ponieważ wybuchła nagminnie odra, a to najpierw między dziećmi kierownika szkoły, a następnie pomiędzy dziećmi szkolnymi. Kierownik szkoły zakupił zasadził przy tutejsze szkole 14

drzewek owocowych a to z pieniędzy funduszu szkolnego miejscowego.

Parafialne duchowieństwo w osobie Przewielebnego Księdza Prałata i Dziekana Wojciecha Siedleckiego i księdza Wikarego a zarazem katechety tutejszej szkoły Franciszka Jeża pracuje przez cały rok nadzwyczaj gorliwie nad umoralnieniem dziatwy szkolnej tak w szkole – jak też w kościele, kilkakrotnie w czasie roku szkolnego odbyła się spowiedź i Komunie św. Również należy zaznaczyć że wyżej wymienieni księża otaczają szacunkiem i poważaniem grono tutejszej szkoły i na każdym kroku popierają Je czynnie. Praca grona nauczycielskiego była wytężającą i to pod każdym względem, bo na prace te złożyły się lata ubiegłe, które śmiało nazwać można klęską dla tutejszej szkoły.

Rok szkolny 1906/1907

W roku tym została wynajęta na lat 3 trzecia izba na 3 salę szkolną i to w domu Józefa Tynora pod nr 2 w Czyżynach. W izbie tej pobierała naukę przez cały rok szkolny dziatwa Igo i IIgo stopnia nauki. Rada Szkolna miejscowa wynajęła od wyżej wymienionego Józefa Tenora za roczny czynsz 240 k. nie tylko izbę na salę szkolną, lecz także izbę na mieszkanie dla nauczyciela. Również Rada szkolna miejsc. zakupiła do tej izby odpowiednie i potrzebne sprzęty szkolne tak iż już w II połowie miesiąca września rozpoczęła się nauka a której udzielała p. Marya Zbijewska.

W dn. 24 września zmarł naczelnik tutejszej gminy p. Stanisław Adamczyk – w pogrzebie i w nabożeństwie za jego duszę wzięła udział dziatwa szkolna i grono nauczycielskie. W miejsce zmarłego obrała Rada gminna naczelnikiem gminy Czyżyny gospodarza Andrzeja Malinowskiego.

Zima w roku bieżącym była długa i ciężka. W styczniu i lutym były mrozy dochodzące do 20 stopni C. a przy tym spadły wielkie śniegi wskutek czego kilka razy dziatwa nie przybyła do szkoły.

W czasie wakacji Rada szkolna miejscowa uskuteczniła w budynku szkolnym zwłaszcza w starym drewnianym większe naprawy. W mieszkaniu kierownika szkoły dano w dużym pokoju nową podłogę i w kuchni postawiono nowy piec kuchenny i piec piekarski, w sieni dano betonową posadzkę. Naprawy te kosztowały kilkadziesiąt koron i mimo jak najlepszych chęci Rady szkolnej miejscowej budynki marnieją i niszczeją, ponieważ zbudowano je nieopatrznie na bagnie – tak że pieniądze wydawane na naprawy są wrzucane do błota. Zaś zdrowie kierownika i jego rodziny narażone jest bardzo z powodu wilgoci która niszczy wszystko straszliwie.

W czerwcu, po nabożeństwie w kościele parafialnym z okazji zakończenia roku odbył się popis dla uczniów tutejszej szkoły pod przewodnictwem Ks Wojciecha Siedleckiego – jako delegata c.k. Rady szkolnej okręgowej. Egzamin odbył się z wszystkich przedmiotów nauki ze wszystkimi dziećmi wszystkich stopni nauki. W końcu rozdano nagrody pilnym uczniom i uczennicom na czym też rok szkolny zakończono. Nadmienię, że mieszkańcy tak gminy Czyżyn jak i Łęgu okazują bardzo małe zainteresowanie szkołą, mało troszczą się o postępy w naukach swych dzieci – jak i też o ich zachowanie. Dlatego też praca nauczyciela w tutejszej szkole jest ciężką i trudną, a wydającą małe owoce.

Rok szkolny 1907/1908

Nauka odbywała się w 2 izbach szkolnych bez przerwy przez cały rok szkolny. Grono nauczycielskie składało się z 3 osób: kierownika szkoły p. Karola Kozłowskiego, stałej nauczycielki p. Marii Zbijewskiej i tymczasowej nauczycielki Anieli Kozłowskiej. 27/10 1907 r. została przemianowana w drodze urzędowej tutejsza stała nauczycielka Maria Zbijewska na posadę stałej nauczycielki do szkoły 2 kl. w Raciborowicach. Zaś nadetatową nauczycielką zamianowała Rada Szkolna okręgu szkolnego zamiejscowego w Krakowie przy tutejszej szkole p. Helenę Schrottównę. Również i skład Rady szkolnej miejscowej w bieżącym roku szkolnym się zmienił. Nastąpił wybór przewodniczącego, którym ponownie wybrano Stanisława Kawulę reprezentanta gminy Czyżyny. Reprezentantem zaś gminy Łęg – Jan Sroka po sześcioletnim urzędowaniu ustąpił, a w jego miejsce obrano Jakuba Miziaka. Nauka w bieżącym roku szkolnym jak już nadmieniono odbywała się zupełnie prawidłowo, jedynie przedstawia jeszcze wiele do życzenia frekwencja dziatwy, przeto wyniki postępów w nauce nie są takimi jakby sobie grono życzyło.

Rok szkolny 1907/08 zakończył się w dniu 24 czerwca 1908 uroczystym nabożeństwem odprawionym w kościele parafialnym w Mogile, w którym wzięła udział dziatwa szkolna i grono nauczycielskie poczym odbył się egzamin roczny ze wszystkich przedmiotów naukowych ze wszystkimi stopniami, a to pod przewodnictwem Przewielebnego księdza Prałata – Dziekana Kanonika i Proboszcza w Mogile Wojciecha Siedleckiego. Miło przy tym zaznaczyć, że przybyli naczelnicy obu gmin i członkowie Rady szkolnej miejscowej. Ksiądz Prałat podziękował w serdecznych słowach gronu nauczycielskiemu za prace ciężką i gorliwą i zarazem podziękował księdzu katechecie Franciszkowi Jeżowi za jego 4 letnia pracę w tutejszej parafii i zarazem pożegna go, bowiem opuszcza już posadę ową w Mogile. W zakończeniu trzeba koniecznie przenieść jeszcze okoliczność, że wielkim opiekunem i dobrodziejem tak dziatwy – jak i grona nauczycielskiego jest Ks. Prałat Wojciech Siedlecki, co też na każdym kroku okazuje.

Rok szkolny 1908/1909

Zakończył się bardzo smutnie gdyż przed ukończeniem roku szkolnego dnia 21 czerwca zmarł kierownik szkoły, jeden z najgorliwszych i najzdolniejszych pracowników na niwie oświaty, a rokujący na przyszłość wielkie nadzieje bo żył krótko mając zaledwie 38 lat życia a 18 pracy. Przy szkole tutejszej pracował niespełna lat cztery, a przez ten krótki czas dużo ulepszył i poprawił, a jak inwentarz szkolny wskazuje, to tak ubożuchna w przyrządy naukowe szkoła przez jego staranie dziś posiada ich bardzo wiele. Cześć jego pamięci! Z powodu pogrzebu byłego kierownika szkoły śp. Karola Kozłowskiego dnia 23 czerwca nie było nabożeństwa na zakończenie roku szkolnego, gdyż dziatwa szkolna i nauczycielstwo z okręgu wzięło udział w pogrzebie. W sam zaś dzień popisu tj. 24 także nie odbył się popis, ponieważ stała nauczycielka p. Aniela Kozłowska żona zmarłego załamana tak strasznym ciosem po stracie ukochanego męża nie zdolna była zajmować się niczym. Toteż młodsza nauczycielka p. Helena Schrottówna zajęła się zakupieniem i rozdaniem nagród dziatwie i odczytaniem klasyfikacji i rozdaniem zawiadomień szkolnych. I tak strasznie smutno zakończył się ten rok.

Rok 1909/1910

Po tak smutnym i bolesnym wypadku, który odebrał tutejszej szkole bardzo gorliwego pracownika na niwie oświaty w osobie p. Karola Kozłowskiego – raczyła następnie Rada szkolna zamianować tymczasowym kierownikiem przy tutejszej szkole Józefa Madeja nauczyciela w Węgrzcach. Na wyraźne polecenie ze strony Rady szkolnej Okręgowej w sierpniu przybył tutejszy kierownik szkoły i przeprowadził powtórną dezynfekcję budynku szkolnego po której odbyły się wpisy.

Rok 1910/1911

Rok ten rozpoczął się 1 września uroczystym nabożeństwem w kościele parafialnym w Mogile przez tamt. Wikariusza a zarazem tutejszego katechetę ks Antoniego Sznajdrowicza na którem dziatwa szkolna wraz z tutejszy gronem nauczycielskim była obecną. Dnia 2 września rozpoczęto udzielać nauk w szkole. Na I i II stopniu jest gospodynią klasy p. Wanda Peksy na II stopniu nauki p. Helena Schrottówna, a na IV p. Jan Dziubek tutejszy kierownik szkoły który został tu zamianowany stałym nauczycielem kierującym od 1 sierpnia 1910.

Dnia 7 lutego 1911 zaprzestała udzielać nauk tut. dziatwie szkolnej p. Helena Schrottówna z powodu swej słabości, przeto kierownik szkoły objął za nią II-gi stopień nauki i uczył w jednym dniu stopień II-gi a w drugim dniu stopień IV-ty. Nauka w ten sposób prowadzona trwała tak blisko 2 miesiące. Dopiero 1 kwietnia zamianowała Rada szkolna okręgowa w zastępstwie chorej nauczycielki Stefanię z Sowińskich Przegwarową, która z dniem 3 kwietnia obowiązki służbowe przy tutejszej szkole objęła i uczy dziatwę III stopnia nauki.

Na rok ten szkolny zapisano:

- Na I stopień chłopców – 20 dziewcząt – 24 Razem – 44.
- Na stopień II – chłopców 15 dziewcząt – 18 Razem – 33.
- Na III stopień chłopców – 26 dziewcząt – 22Razem – 48
- Na IV stopień chłopców – 26 dziewcząt – 25 Razem – 51. Razem 176.

Naukę dopełniającą odbyło zaś chłopców 26 dziewcząt 33 razem 59.

Rok 1911/1912

Na I i II stopniu gospodynią klasy jest p. Wanda Peksyna, na III Helena Schrottówna, a na IV Jan Dziubek kierownik szkoły. Dnia 22 czerwca odbył kierownik szkoły Jan Dziubek wycieczkę z dziatwą szkolną do Krakowa celem zwiedzenia pamiątek.

Rok 1912/1913

Reskryptem CK Rady Krajowej z dn. 28 października 1912 r. udzieliła WP. Spisowi, CK. Inspektorowi szkolnemu okręg. urlopu, a powierzyła zastępczo nadzór oraz wizytacje szkół CK. Inspekt. Szkol. Okręg. z Podgórza WP. Sewerynowi Udzieli. C.K. Rada szk. Krajowa reskryptem z dnia 14 stycznia 1913 r. zamianowała dla okręgu szkolnego miejskiego w Krakowie WP. Józefa Lorenza CK Inspektorem szkol. Okręgowym, który od 16 lutego br. Objął obowiązki służbowe. Dnia 13 marca 1913 zwiedził CK inspektor okręgu szkol. Józef Lorenz tutejszą szkołę, hospitował dziatwę III-go stopnia, a zarazem interweniował na posiedzeniu Rady gminnej w sprawie budowy nowej szkoły w Czyżynach.

Rok szkolny 1913/1914

Od 1 stycznia 1914 otrzymał tut. nauczyciel Jan Dziubek z powodu swej choroby celem podratowania zdrowia urlop, a w miejsce jego zamianowała CK. R. O. S. Zofię Dziubkównę. Dnia 1 lipca po 6 miesięcznym urlopie objął swe obowiązki tutejszy kierownik p. J. Dziubek.

Rok szkolny 1914/1915

Na I i II stopniu nauki gospodynią klasy jest Paulina Januszkiewicz, na III Helena Schrottówna, a na IV Jan Dziubek kierownik tut. szkoły. Od 22 września do 24 marca zaprzestano udzielać nauk tutejszej dziatwie z powodu przejęcia budynku szkolnego przez wojsko. Rok szkolny 1914/15 jest rokiem wojny światowej. Wobec mobilizacji wojsk naszych gminy tutejsze, a mianowicie Czyżyny i Łęg do zakresu tutejszej szkoły należący, przeznaczone były do koncentracji wojsk jako w obrębie fortecznym się znajdujące, wobec czego wszystkie domy osób prywatnych zajęte były przez wojska. Pomimo bardzo dużej liczby nagromadzonego wojska w obu naszych wioskach, nauka w szkole tutejszej rozpoczęła się dnia 1 września i trwała do 22 wrze-

śnia 1914 roku. Od 22 września liczba wojsk została więcej jeszcze powiększona tak w celu obrony twierdzy, jak również przemarszami różnych wojsk naszych, z braku zatem miejsca i tutejszy budynek szkolny został przez wojsko zajęty. Nauka zatem musiała być przerwaną aż do 24 czerwca 1915 roku. Ponieważ znaczne liczby wojsk naszych nie mogły się w gminach naszych pomieścić, zarząd wojskowy wystawił baraki dla wojsk, w których kilka tysięcy żołnierzy pomieścić się może. I rzeczywiście baraki te do czasu obecnego zajęte są wojskiem naszym. Wskutek przemieszczenia się wojsk do baraków został nam budynek szkolny od wojsk wypróżniony, rozpoczęto dnia 24 marca ponownie naukę z dziećmi. Pracowały tylko 2 siły nauczycielskie tj. kierownik Jan Dziubek i Helena Schrottówna nauczycielka. Tak z gminy Łęg, jak i z gminy Czyżyny z powodu wojny powołanych zostało pod broń kilkadziesiąt mężczyzn, wobec czego dziatwa szkolna musiała w miejsce powołanych pomagać w pracy rolnej. Z tego powodu frekwencja szkolna nie była tak regularną, jak w innych latach, szczególnie na III i IV stopniu nauki. O ile doszły tu wiadomości, to z powołanych pod broń jedni już polegli w polu walki, inni zostali rannymi, inni dostali się do niewoli rosyjskiej.

Rok 1915/1916

Dzień 4 października jako dzień imienin Najjaśniejszego Pana był w bieżącym roku szczególniej uroczyście obchodzony. Dziatwa szkolna wraz z gronem wzięła udział w nabożeństwie, a prócz tego przedstawiono jej w formie przystępnej życie i cnoty Wielkodusznego Monarchy oraz bohaterskie czyny Jego Armii. Sale szkolne i portret Najjaśniejszego Pana były w tym dniu zielenią przystrojone. Uroczystość szkolna zakończyła się odśpiewaniem przez dziatwę szkolną „Hymnu ludu"

Dnia 24 lutego 1916 r. Inspektor szkolny okręgowy Józef Lorenz przeprowadził dla ludności gminy Czyżyny w sali szkolnej wykład o oszczędzaniu środków żywności w czasach wojennych. Wykład ów wywołał na słuchaczach nader dodatnie wrażenie i z pewnością podane przez Prelegenta bardzo trafne rady i wskazówki będą drogowskazem do naśladownictwa, a więc do powiększenia dobrobytu gminy. Od dnia 1 maja 1916 do końca września 1916 r. wprowadzony został tak zwany „czas letni" przesunięty o 1 godzinę naprzód.

Rok szkolny 1916/1917

Proklamacja państwa polskiego. Dnia 5 lutego 1916 r. mocarstwa centralne tj. Austro-Węgry i Niemcy ogłosiły wskrzeszenie państwa polskiego, ale tylko w kraju odbitym Moskalom, Galicja zaś ma otrzymać z rąk Austro-Węgier wyodrębnienie. Dnia 8 lutego 1916 odbyła się w Krakowie uroczystość wskrzeszenia Polski, w której wzięła udział również i tutejsza młodzież szkolna z rodzicami i gronem nauczycielskim.

Dnia 21 listopada 1916 ukończył życie Najjaśniejszy Pan Cesarz Franciszek Józef I. Dnia 30 listopada odbył się pogrzeb w Wiedniu tegoż Najjaśniejszego Pana i dzień ten był wolny w szkołach od nauki. Dnia 2 grudnia odbyło się w Mogile nabożeństwo żałobne za duszę śp. Cesarza Franciszka Józefa na którym tutejsza dziatwa szkolna wraz z całym gronem nauczycielskim była obecną. Po nabożeństwie zgromadzonej dziatwie w budynku szkolnym opowiedziano o życiu i zasługach śp. Cesarza Franciszka Józefa I.

Rok szkolny 1917/1918

Dnia 14/10 odbył się uroczyście obchód narodowy w Krakowie jako w 100 letnią rocznicę zgonu Tadeusza Kościuszki sławnego bohatera spod Racławic. W uroczystości tej ludność tutejsza i dziatwa szkolna w strojach narodowych wzięła udział, w pochodzie na Wawel i Rynek, na miejsce przysięgi Kościuszki.

Dnia 15/10 uczciła pamięć sławnego bohatera tutejsza dziatwa szkolna osobnym porankiem, obejmującym nabożeństwo, odczyt i śpiewy. Przy tej sposobności złożyła dziatwa wraz z gronem nauczycielskim na fundusz Kościuszki kwotę 50 K. którą Zarząd szkoły przesłał Komitetowi Kościuszkowskiemu, Lwów, Akademicka 13. Dzień ten był wolny od nauki szkolnej.

Rok szkolny 1918/1919

I stopień uczy Zofia Dziubkówna, II Kazimiera Maciaszkówna, III i IV objął kierownik Jan Dziubek.

Rok szkolny 1919/1920

Z powodu opóźnienia żniw, w ogóle robót polnych nauka rozpoczęła się tu jak i we wszystkich innych szkołach dnia 15 września.

Rok szkolny 1920/1921

Dnia 30 sierpnia 1920 r. skutkiem wybuchu prochowni w Czyżynach w tutejszym budynku szkolnym 83 szyb zupełnie wytłuczonych. W czasie wystrzeliwania nabojów w czasie od 6 do 14 października zostało jeszcze 16 szyb wytłuczonych. Liczba wszystkich szyb wytłuczonych w oknach w budynku szkolnym wynosi 99. Z braku więc szyb w oknach szkolnych nauka zamiast 15 września rozpoczęła się dopiero 13 października, i to w 2 salach, gdyż w trzeciej nie można uczyć z braku prawie wszystkich szyb w oknach. W 2 salach prowizorycznie pozamykano dziury w oknach tekturami lub zakładano kawałkami szyb, aby przynajmniej dziatwa mogła pobierać naukę, zanim Zarząd wojskowy wytłuczonych szyb szkole na wniesioną prośbę nie wstawił. Dnia 17/2 z braku szyb i opału przerwano naukę do dnia 5/4 1921 r.

Dnia 9/4 1921 odbył się wybór nowego przewodniczącego i jego zastępcy do Rady Szkolnej miejscowej. W miejsce ustępującego Stanisława Kawuli, który przez 18 lat pełnił funkcję przewodniczącego obrano

przewodniczącym Stanisława Tynora z Czyżyn, a na zastępcę przewodniczącego Franciszka Rożka z Łęgu. Pozostały skład nowej Rady jest następujący: Wielebny ksiądz Benedykt Welc jako reprezentant obszaru dworskiego Czyżyny i Łęg, Antoni Boś jako reprezentant gminy Czyżyny, Jan Dziubek kierownik niniejszej szkoły jako członek. Od 1 listopada 1921 zamianowaną została Józefa Czerkowska. Gospodarzem V i VI oddziału jest Jan Dziubek, gospodynią IV – Józefa Czechowska, III – Helena Rybkowa, II – Kazimiera Maciaszkówna, I – Zofia Dziubkówna. Dziatwa III-VI oddziału pobiera naukę przed południem, a dziatwa I i II po południu.

Rok szkolny 1922/1923

Dnia 8 listopada 1922 odwiedził tutejszą szkołę w zastępstwie inspektora szkolnego P. Lubaczewski i był obecny na wszystkich oddziałach nauki.

Rok szkolny 1923/1924

Dnia 2 czerwca 1924 zwiedził ksiądz biskup sufragan Nowak parafię Mogiłę. Dziatwa tutejszej szkoły witała go przed bramą triumfalną w Czyżynach, dnia tego odbyła się w Mogile spowiedź i bierzmowanie.

Rok szkolny 1924/1925

Od dnia 1 stycznia 1925 r. Kuratorium okręgu szkolnego krakowskiego reorganizowało dotychczasową 2 klasową szkołę powszechną mieszaną w Czyżynach na 5 klasową Publiczną Szkołę Powszechną mieszaną, do której obwodu należy gmina Czyżyny i Łęg.

Rok szkolny 1925/1926

I i II oddział pobiera naukę po południu od godziny 1 szej, a III, IV,V,VI,VII oddział przed południem od godziny 8 rano. Razem w szkole 108 chłopców, dziewcząt 104, w całej szkole 202. Dnia 1 lutego 1926 Kuratorium Okręgu Szkolnego Krakowskiego zamianowało stałym kierownikiem tutejszej 5 klasowej szkoły powszechnej p. Jana Dziubka.

Dnia 1/5 urządzono poranek w szkole tutejszej na uroczystość Konstytucji 3 Maja. Dnia 7 marca przy współudziale dziatwy tutejszej szkoły i grona nauczycielskiego odbył się odczyt o spółdzielczości. Dnia 28 czerwca zakończono rok szkolny 1925/26 nabożeństwem w kościele parafialnym w Mogile. Po powrocie z kościoła odczytano wiersze, dzieci odśpiewały pieśni nabożne i patriotyczne, a po rozdaniu zawiadomień i odczytaniu klasyfikacji opuściły szkołę mając wolne 2 miesiące jako wakacje.

Dnia 20 listopada 1925 r. zmarł wielki pisarz polski Stefan Żeromski. Dnia 5 grudnia zmarł wielki pisarz polski Władysław Reymont. 1 sierpnia 1926 r. zmarł pod Zakopanem w Poroninie skutkiem udaru serca przeżywszy 66 lat Jan Kasprowicz. Ich śmierć okrywa Polskę żałobą.

Rok szkolny 1926/1927

Dnia 30 listopada urządzono poranek listopadowy w tutejszej szkole. Po wygłoszeniu referatu przez Helenę Rybkową, młodzież odśpiewała pieśni patriotyczne, a uczniowie poszczególnych klas wygłosili szereg odpowiednich deklamacji. Odśpiewaniem „Roty" Konopnickiej uroczystość zakończono.

1 września 1926 Kuratorium Okręgu Szkolnego Krakowskiego zorganizowało tutejszą 5 klasową szkołę na 4 klasową, z braku sali szkolnych.

2 maja odbył się w tutejszej szkole uroczysty poranek ku uczczeniu rocznicy Konstytucji 3-go Maja. Referat wygłosiła Kazimiera Marcinkówna, młodzież odśpiewała pieśni patriotyczne, a uczniowie poszczególnych klas wygłosili szereg deklamacji. Na zakończenie odśpiewano „Rotę" Marii Konopnickiej i na tym uroczystość zakończono.

Dnia 18 czerwca 1927 r. odbyło się poświęcenie obrazu Serca Pana Jezusa ofiarowanego dla tutejszej szkoły przez mieszkankę gminy Czyżyny Julię Mieckowiczową (? – dop. red.), w celu polecenia szczególnej opiece Serca Pana Jezusa tutejszej szkoły i dziatwy do niej uczęszczającej. Poświęcenia dokonał ks. Katecheta Józef Vrecko w obecności gości przybyłych ze wsi, grona nauczycielskiego i dziatwy szkolnej.

W dniu (? – dop. red.) czerwca o godzinie 10-tej 30 rano nastąpił wybuch prochowni w Witkowicach. Skutek był straszny, mnóstwo rannych w naszej okolicy. A także i straty materialne wielkie. W gminie Czyżyny i w Łęgu nie było na szczęście większych szkód jak wybicie kilkudziesięciu szyb. Przyczyna wybuchu na razie niezbadana.

14 czerwca był uroczysty poranek ku czci Juliusza Słowackiego w tutejszej szkole. P. Leon Wanat wygłosił piękny referat o życiu i twórczości naszego wieszcza J. Słowackiego, a dzieci poszczególnych klas deklamowały kilka jego utworów. Odśpiewano potem pieśni patriotyczne. Dzień ten był od nauki wolnym. Wyjątkowo w bieżącym roku szkolnym zakończono naukę dnia 25 czerwca z powodu uroczystości pogrzebowych Juliusza Słowackiego. 27 czerwca odbyła się podniosła uroczystość w Krakowie, sprowadzenie zwłok Juliusza Słowackiego po blisko wiekowym spoczynku w obcej ziemi, we Francji. Cały naród polski staraniem swym sprowadził drogie szczątki „Króla Ducha" do Ojczyzny. Przez noc spoczywały zwłoki w Barbakanie, gdzie można je było je odwiedzać przez całą noc. Następnego dnia tj. 28 czerwca rano w uroczystym pochodzie prowadzono drogie szczątki na Wawel, gdzie pośród królów Polskich spoczął on „Król Duch".

Rok szkolny 1927/1928

30 września Kraków witał trzeciego prezydenta zmartwychwstałej i niepodległej Rzeczypospolitej. Zamek

Królewski na Wawelu, dźwignięty ku nowej chwale i świetności gościł w swych murach prawowitego Włodarza. Przedstawiciel majestatu Rzeczypospolitej Prezydent Ignacy Mościcki zamieszkał w przesławnym tradycją dziejową uświetnionym dworzyszczu i w jego wspaniałych królewskich komnatach. Dostojnego gościa witał Kraków odświętnie przybrany, gorąco i serdecznie. Po trzech dniach pobytu z Krakowa udał się Prezydent w dalszą podróż.

11 listopada 1927 świętujemy 9 letnią rocznicę Zmartwychwstania naszej Ojczyzny. 29 listopada jako w rocznicę powstania listopadowego odbył się w tutejszej szkole uroczysty poranek. Referat wygłosił p. Julian Danek, którego dziatwa, grono nauczycielskie i goście wysłuchali ze skupieniem. Następnie uczniowie poszczególnych klas wygłosili kilka okolicznościowych deklamacji. Po odśpiewaniu pieśni patriotycznych udali się wszyscy do domów.

Dzień 3-go Maja obchodzony był uroczystym porankiem jako rocznica Konstytucji 3-go Maja. Po wygłoszeniu referatu przez Heleną Rybkową, uczniowie i uczennice odśpiewali szereg patriotycznych pieśni i wygłosili deklamacje okolicznościowe. W dniu 17 czerwca odbyło się Święto Pieśni Polskiej u stóp kopca „Wandy" w Mogile. Udział w uroczystości wzięła dziatwa wszystkich szkół tutejszego rejonu.

Rok szkolny 1928/1929

Z dniem 1 sierpnia 1928 objął obowiązki kierownika tutejszej szkoły p. Franciszek Marszałek zamianowany w drodze konkursu przez Kuratorium Okręgu Szkolnego Krakowskiego. Skład grona nauczycielskiego na rok szkolny 1928/29: Franciszek Marszałek, Helena Rybkowa, Józefa Czechowska, Kazimiera Maciaszkówna, Zofia Dzubkówna.

Budynek szkolny przedstawia się w bardzo opłakanym stanie. Do nauki brak najprymitywniejszych środków, bo oprócz globusa i mapy Polski nie ma nic. Akta szkolne zastałem zrujnowane i pogryzione przez myszy. Po bliższym zbadaniu sytuacji doszedłem do wniosku, iż budowa nowej szkoły musi nastąpić wkrótce, gdyż dotychczasowe 4 sale nie są w stanie pomieścić wszystkich dzieci. Z inicjatywy kierownika szkoły odbyła się dnia 20 września pierwsza konferencja na którą przybyli: Pan Jan Malinowski, naczelnik gminy Czyżyny, Kazimierz Malik naczelnik gminy Łęg, Kazimierz Cieślewicz dzierżawca dóbr Kurii Metropolitalnej oraz kierownik szkoły. Na posiedzeniu sprawę budowy nowej szkoły referował kierownik szkoły. W dyskusji uzgodniono wytyczne, które mają być brane pod obrady Rad Gminnych tj. Czyżyn i Łęgu. Uchwalono przedłożyć projekt pod obrady Rad gminnych budowy 7 klasowej szkoły na gruncie dworskim ewentualnie na gminnym w środku Czyżyn. W dniu 26 września odbyło się posiedzenie Rady Gminnej w Czyżynach w sprawie budowy nowej szkoły. Obecnych było 15 radnych. Po dłuższej dyskusji rada gminna jednogłośnie zgodziła się na budowę nowej szkoły na gruntach dworskich, ofiarując na ten cel 150.000 własnej cegły, zwieźć bezpłatnie wszystek materiał budowlany, a potrzebną gotówkę ściągnąć w drodze konkurencji. Uchwalono zarazem sprzedać 10 morgów pastwiska gminnego, a uzyskane stąd fundusze przeznaczyć na budowę szkoły. Budowę szkoły uchwalono rozpocząć wiosną 1929 roku. Do komitetu budowlanego wybrano: Jana Malinowskiego, nacz. Gminy, Kazimierza Cieślewicza, Antoniego Brosia i Franciszka Marszałka. W końcu uchwalono wspólne zebranie w dniu 30 września celem uzgodnienia miejsca pod budowę szkoły i planu sfinansowania.

Dnia 30 września1928 r. odbyło się posiedzenie obydwu Rad gminnych. Radni gminy Łęg kategorycznie zażądali budowy nowej szkoły na miejscu gdzie stoi stara szkoła, na co nie zgodzili się radni z Czyżyn. Dłuższa dyskusja wyłoniła delegację do p. inspektora, gdzie miano uzgodnić punkty sporne. Posiedzenie w dniu 4 października mimo wyraźnej odpowiedzi p. inspektora, że władze szkolne nie mogą dopuścić do budowy szkoły na gruncie wilgotnym, nie doprowadziło do zgody. Radni gminy Łęg oświadczyli, że przystąpią do budowy szkoły na swoim terenie, a nigdy nie zgodzą się na budowę szkoły w Czyżynach, dokąd dzieci z Łęgu miałyby zbyt daleko. Posiedzenie to nie doprowadziło do pożądanego celu z powodu demagogicznego wystąpienia radnych z Łęgu.

Dnia 10 listopada w 10-lecie odzyskania niepodległości państwa polskiego odbył się w tutejszej szkole uroczysty poranek. W dniu tym dziatwa szkolna wzięła udział w nabożeństwie odprawionym w kościele parafialnym w Mogile, poczym wróciła do szkoły gdzie zebrała się znaczna ilość miejscowych obywateli. Młodzież szkolna odśpiewała kilka okolicznościowych pieśni i wygłosiła kilka wierszy okolicznościowych, potem kierownik szkoły wygłosił dłuższe przemówienie na temat Dziesięciolecia odzyskania niepodległości. Po uroczystości szkolnej zebrały się Rady gminne Czyżyn i Łęgu aby uchwalić budowę wiecznego pomnika ku uczczeniu tak doniosłej chwili. Trzygodzinne obrady nie doprowadziły do pozytywnego rezultatu jedynie z powodu różnicy zdań co do terenu na którym miał stanąć budynek szkolny. W godzinę później odbyło się posiedzenie Rady gminnej Czyżyn na którym uchwalono jednogłośnie przystąpić z wiosną do budowy 7 kl. Szkoły powszechnej nie licząc się zupełnie z opinią Rady gminnej Łęgu.

W sprawie budowy zarządzono jeszcze kilka posiedzeń a wreszcie zwrócono się do Rady szkolnej powiatowej w Krakowie o zbadanie terenu pod budowę szkoły. Dnia 12 grudnia przybyła komisja pod przewodnictwem p. Tomaszkiewicza zast. Inspektora szkolnego z p. inżynierem, która zbadała ogółem 4 parcele, a mianowicie I na pastwisku gminnym w Łęgu, II przy starej szkole, III na placu gminnym w Czyżynach, IV na gruntach dworskich. Po komisyjnym badaniu terenu odbyła się wizytacja szkoły przez p. Tomaszkiewicza.

Dnia 19 marca z okazji imienin marszałka Józefa Piłsudskiego odbył się w tutejszej szkole uroczysty poranek, w którym oprócz dziatwy szkolnej wzięła udział ludność okoliczna. Dnia 3 maja z okazji święta narodowego odbył się w szkole uroczysty poranek dla dziatwy szkolnej, a wieczorem wieczorek dla starszych.

Sprawa budowy nie postąpiła nic naprzód. Wśród mieszkańców gminy daje się zauważyć ferment, zmierzający odwlec budowę szkoły na czas nieograniczony. Władze nadzorcze gminy tj. Rada powiatowa, a szczególnie jej sekretarz p. Zborowski, niedwuznacznie występowały przeciwko temu przedsięwzięciu. Pierwotny zapał ostygł zupełnie nie było człowieka, któryby ciągłość rozpoczętej pracy kontynuował. (...) Wszelkie dotychczasowe zebrania Komitetu i Rady gminnej nie przyniosły nic pozytywnego i trzeba było obmyślać coś nowego co by mogło poruszyć te twarde głowy. Podczas zebrania Komitetu w marcu zaproponowałem likwidację Komitetu. Postanowiłem zarazem wniosek aby oddać protektorat nad budową szkoły Jaśnie Wielmożnemu Ks. Metropolicie Sapiesze, a do komitetu (dokooptować) ks. Prałata Wojciecha Siedleckiego i ks. Przeora Roberta Kuchara z Mogiły.

W dniu 3 marca 1929 r. udałem się z delegacją do Ks. Metropolity, który proponowany mu protektorat przyjął, ofiarowując zarazem na budowę szkoły 10 000 zł. Ofiarowana kwota wzbudziła znowu do pewnego stopnia zapał do budowy, a niemniej i przystąpienie Łęgu do budowy wspólnej szkoły. Mimo tylu przeciwieństw gromadziłem powoli potrzebne akta do budowy szkoły, jako to plany, których opracowanie powierzyłem p. inżynierowi Morawieckiemu, kosztorysy, uchwały Rad gminnych itp. w tej nadziei, że wkrótce uda mi się budowę rozpocząć. Rozpoczęcie budowy przyspieszył przyjazd pana Orłowskiego, który wprost polecił rozpocząć prace około budowy, wobec czego cała akcja przybrała zupełnie inny obrót. Zapomoga ze strony Kuratorium w wysokości 10.000 zł i pożyczka 15.000 zł również z Kuratorium przyczyniły się w dużym stopniu do realizacji moich postanowień. Dnia 19 marca 1929 r. oddał Komitet budowę w drodze publicznego przetargu p. Józefowi Karwałowi za kwotę 43.014 zł 10 gr z dostarczonego przez Komitet materiału. Dnia 2 lipca 1929 rozpoczęła się budowa szkoły.

Zakończenie roku szkolnego odbyło się 28 czerwca uroczystym nabożeństwem i popisem dziatwy szkolnej. W uroczystości tej wzięły udział obie Rady gminne, Rada Szkolna miejscowa i wiele starszych osób. Dnia 28 lipca dziatwa szkolna złożyła hołd przejeżdżającemu do Pleszowa Prezydentowi Ignacemu Mościckiemu. Przy bramie triumfalnej zebrała się dziatwa szkolna i okoliczna ludność, a kiedy do bramy zbliżył się P. Prezydent, 3 dziewczynki wręczyły mu kwiaty, z których jedna Ania Tyrkówna, uczennica VIII oddziału wygłosiła okolicznościowe przemówienie.

Rok 1929/1930

Skład grona nauczycielskiego z początkiem roku szkolnego jest następujący: Franciszek Marszałek, kierownik szkoły, Kazimiera Marszałkowa, Kazimiera Maciaszkówna, Zofia Dziubkówna, Edward Pawłowski. Nauki religii udzielał ks. O. Innocenty (Andrzej Zięba)

W dniu 11.XI.1929 r. z okazji 11 rocznicy Odzyskania niepodległości Państwa Polskiego odbył się w tutejszej szkole uroczysty poranek, który poprzedziła msza św. w Mogile. W uroczystości tej wzięła również udział miejscowa ludność. Dzień 3-go maja obchodzono w tutejszej szkole bardzo uroczyście. Po nabożeństwie w kościele parafialnym w Mogile zebrała się młodzież wszystkich oddziałów w sali szkolnej oraz rodzice młodzieży na uroczysty poranek. Deklamacje i śpiewy młodzieży szkolnej oraz okolicznościowe przemówienie kierownika stanowiły program tego dnia.

Budynek szkolny w ciągu roku okazał się w dużej mierze niewystarczającym zarówno z powodu szczupłości sal szkolnych, jak również ich liczby. Kierownictwo szkoły wytężyło wszystkie siły, aby z rokiem szkolnym 1929/30 objąć w posiadanie nowy budynek. Starania te zostały wieńczone pozytywnym skutkiem, a przezwyciężenie wszystkich trudności w pierwszych dniach kwietnia przystąpiono do dalszej roboty. Obojętność dla budowy szkoły zarówno ze strony Komitetu jak również gminy – to największe przeszkody, z którymi należało walczyć bezustannie. Mimo tych przeciwieństw budowa postępowała stale naprzód, chociaż chroniczny brak gotówki paraliżował moje przedsięwzięcia, jednak nie przerywałem pracy w tej myśli, że dla tego rodzaju pracy musi kiedyś przyjść zrozumienie. Roboty konieczne do wykonania musiałem na kilku z rzędu posiedzeniach egzekwować, aż w końcu je komitet uchwalił i kazał wykonać. Miesiąc lipiec i sierpień roku 1929 były okresem największego wysiłku jako ostatnie przed rozpoczęciem roku szkolnego. Zarówno moim, jak i Komitetu życzeniem było, ażeby naukę rozpocząć w nowym budynku, ale na przeszkodzie stanęła niepunktualność przedsiębiorcy. Sam budynek szkolny został wykończony dopiero w pierwszych dniach września, a 8 września odbyła się kolaudacja przez p. radcę inż. Poleckiego, wydelegowanego do tej czynności przez Dyrekcję Robót Publicznych w Krakowie. Czas między kolaudacją a poświęceniem przeznaczono na uporządkowanie podwórza, ułożenie chodników i oparkanienie budynku szkolnego. Termin poświęcenia musiał być przesunięty i z tej również przyczyny, że Jego Eminencja Ks. Metropolita, który miał tego aktu dokonać bawił wówczas za granicą. Nauka odbywała się

na razie w starym budynku szkolnym w bardzo prymitywnych warunkach. Sale szkolne które jeszcze w roku szkolnym 1929/30 były wystarczające, teraz okazały się niewystarczające z powodu znacznego przybytku dzieci szkolnych. Ostatnie dni września były ogromnym wysiłkiem ze strony Komitetu zwróconym w kierunku ukończenia pozostałych robót, gdyż Książę Metropolita naznaczył poświęcenie na dzień 22 września. Celem uświetnienia tej chwili poproszono na uroczystość przedstawicieli władz szkolnych i administracyjnych, a nadto członków Rady szkolnej powiatowej i okoliczne nauczycielstwo. Poświęcenie naznaczono na godzinę 3 popołudniu. Kilka minut przed godziną 3 poczęła gromadzić się miejscowa ludność oraz zaproszeni goście. Budynek szkolny udekorowany wewnątrz i od strony zewnętrznej przedstawiał się okazale. Dziesięć minut po godzinie trzeciej przybył Książę Metropolita Sapieha, a po przywitaniu z przedstawicielami władz przystąpił do aktu poświęcenia, poczym nastąpiła wspólna fotografia. Działo się to roku pańskiego 1930, 22 września, w jedenastym roku niepodległości Państwa, kiedy rządy Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej sprawował jako prezydent Ignacy Mościcki, zaś mądrą radą, czujnym pogotowiem i tętnem miłującego serca służył odrodzonej Ojczyźnie Wielki Wódz Narodu, Wskrzesiciel Państwa Polskiego i Pierwszy Marszałek Polski Józef Piłsudski. W dzień on pamiętny nowy budynek szkolny został poświęcony.

Kronika krakowska „Piękny pomnik niepodległości w Czyżynach" (Bp)

W poniedziałek odbyło się uroczyste poświęcenie 7 klasowej szkoły powszechnej w Czyżynach pod Krakowem. Szkołę tę wzniesiono staraniem gminy Czyżyny i Łęg, jako pomnik niepodległości. W krótkim przeciągu czasu dzięki ofiarnemu wysiłkowi włościan, przy wydatnej pomocy rządu oraz ks. Metropolity Sapiehy i klasztoru oo. Cystersów w Mogile stanął wielki budynek o 8-miu wielkich izbach szkolnych ze wszystkimi urządzeniami, według najnowszych wymogów, wzniesiony pod kierownictwem architekta Morawskiego. W uroczystości wzięli udział: Ks. Metropolita Sapieha, woj. Kwaśniewski, kurator dr Kupczyński, nacz. Wydziału Trepka, insp. Orszulski, i Górny oraz ludność wiejska zebrana z nacz. Gminy p. Malinowskim na czele. Aktu poświęcenia dokonał ks. Metropolita Sapieha, poczem w gorących słowach zwracając uwagę na znaczenie szkoły w Polsce, złożył życzenia nauczycielom i duchowieństwu. Następnie przemawiali prezes miejscowej Rady szkolnej Cieślewicz, kierownik szkoły p. Marszałek oraz kurator dr Kupczyński i starosta Orłowski. Deklamacje i śpiewy młodzieży szkolnej uprzyjemniły te piękną i budującą uroczystość. Nadmienić należy, że czyn patriotyczny gminy Czyżyny znajduje naśladowców w najbliższej okolicy we wsi Mogile, gdzie właśnie jest na ukończeniu nowy i również wielki gmach szkoły 7- klasowej. Nauka w nowym budynku szkolnym rozpoczęła się od dnia 24 IX.



Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży – zdjęcie przed szkołą w Czyżynach w 1932 r.

W nowym budynku mieściło się 7 oddziałów, a w budynku starej szkoły umieszczono 2 pierwsze oddziały dzieci z Łęgu. Grono nauczycielskie składało się z 6 sił nauczycielskich, a mianowicie: P. Franciszek Marszałek Kierownik szkoły, Zofja Dziubkówna, Kazimiera Maciaszkówna. Kazimiera Marszałkowa, Jadwiga Wojewodzianka, Leon Kosecki. Nauki religii udziela o. Innocenty (Andrzej Zięba cysters z Mogiły). Zapisanych dzieci do szkoły było 358. Oddział IA uczy p. Marszałkowa, IB p. Kosecki, IIA p. Maciaszkówna, IIB p. Kosecki, III p. Dziubkówna, IV p. Marszałek, p. Wojewodzianka, a VI i VII z braku siły nauczycielskiej uczą wszystkie siły rozebrawszy pomiędzy siebie poszczególne przedmioty.

Na mocy reskryptu Kuratorium Okręgu Szkolnego Krakowskiego z dnia 18 września 1930 Nr I P – 34365/30 została dotychczasowa 5 klasowa szkoła przeorganizowaną na 7 klasową z ważnością od 1 września 1930 miejsce ustaw z dnia 17 lutego 1922. (...)

100 letnią rocznicę powstania listopadowego obchodzono w tutejszej gminie bardzo uroczyście – w dniu 29 listopada. Uroczystość odbyła się w szkole staraniem całego grona nauczycielskiego.

Z okazji imienin Marszałka Piłsudskiego odbył się uroczysty poranek w dniu 19 marca dla dziatwy szkolnej, oraz wieczorek w dniu 22 marca. W wieczorku udział wzięły oprócz starszych roczników dziatwy szkolnej także oddziały Strzelca z Czyżyn, Łęgu i Grębałowa oraz licznie zebrana miejscowa ludność. Na program uroczystości złożyły się śpiewy, deklamacje, obrazek sceniczny i przemówienia okolicznościowe. Wykonawcami programu były dzieci szkolne i grono nauczycielskie. Wykonawców obdarzyła ludność rzęsistymi oklaskami. W uroczystości tej wziął udział p. kapitan Górak, jako oficer W. P. oraz porucznik Patykowski, jako delegat Por. Zarządu Strzelca. Uroczystość zakończyła defilada oddziałów Strzelca, którą przyjął kapitan Górak.

Rok szkolny 1931/1932

W dniu 17 stycznia 1931 młodzież tutejszego zakładu odegrała obrazek sceniczny „Noc wigilijna". Licznie zebrani rodzice w serdecznych słowach dziękowali Gronu nauczycielskiemu za podjęty w tym kierunku trud. Dnia 19 marca odbył się uroczysty poranek w tutejszej szkole z okazji imienin Marszałka Józefa Piłsudskiego dla dziatwy szkolnej. W uroczystości brała udział organizacja miejscowego Strzelca i rodzice młodzieży.

Rok szkolny 1932/1933

Skład grona nauczycielskiego był następujący: kierownik szkoły Franciszek Marszałek, Zofja Dziubkówna, Kazimiera Maciaszkówna, Kazimiera Marszałkowa, Jadwiga Wojewodzianka, Maria Tustanowska i Stanisław Dudek. Nauki religii udzielał ks. Józef Vracko.

Dnia 11 listopada z okazji 14 rocznicy odzyskania niepodległości odbył się po nabożeństwie uroczysty poranek którego program wypełniły śpiewy, deklamacje, okolicznościowe przemówienie, a nadto dziatwa szkolna odegrała obrazek sceniczny pod tytułem „Zmartwychwstanie Polski". W poranku liczny udział wzięła miejscowa ludność.

Celem utrwalenia w duszach młodzieży pojęcia i poczucia wartości własnego Państwa, jak również kultu wielkich przodujących w tworzeniu wartości kulturalnych duchów naszego Narodu, odbył się dnia 25 listopada 1932 r. uroczysty poranek z okazji 25 rocznicy zgonu Stanisława Wyspiańskiego, genialnego twórcy, wielkiego Piewcy naszego państwowego wyzwolenia.

Dnia 29 stycznia 1933 r. został założony Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet w tutejszej gminie staraniem pań nauczycielek tutejszej szkoły, którego przewodnictwo objęła p. Maciaszkówna.

Dnia 4 kwietnia 1933 podczas konferencji kierowników szkół powiatu krakowskiego p. starosta Wielmożny Wnęk udekorował srebrnym Krzyżem Zasługi p. Franciszka Marszałka, kierownika tutejszej szkoły za zasługi położone na polu pracy społeczno-oświatowej.

W nocy 28 na 29 czerwca 1933r. niewyśledzeni sprawcy dostali się po rynnie, a następnie przez rozbicie szyb w oknie kancelarii szkolnej, gdzie po rozbiciu biurka zabrali gotówkę w kwocie ponad 100 zł uzyskaną przy wpisach, a nadto inne przedmioty będące własnością Związku Strzeleckiego i kierownika szkoły. Szkoda wyrządzona przekracza kwotę 300 zł.

W marcu br. został naczelnik gminy Jan Malinowski zawieszony w urzędowaniu, za różne niedokładności i lekceważenie sobie obowiązków. Jego miejsce zajął z nominacji Andrzej Malinowski. Bezpośrednio po jego nominacji utworzyło się Stowarzyszenie Katolickiej Młodzieży z Władysławem Zbroją na czele, które dobrawszy sobie jako opiekunów Jana Zbroję, młodego Kalinowskiego i p. Hajtę starszego, a nadto p. Salwińskiego i p. Rumiana, rozpoczęło walkę z nowym wójtem przez wyrządzanie mu różnych przeszkód, jak na przykład bezprawne zabranie sali w domu gminnym, choć zostali przemocą usunięci. Wskutek tego powstały liczne skargi do władz, a ponieważ za Stowarzyszeniem stanęło w obronie duchowieństwo z ks. O. Józefem Vracko na czele i garstka zwolenników starego wójta, sprawa stawała się dość nieprzyjemną. Znaczna większość mieszkańców gminy stanęła po stronie nowego wójta, który dość energicznie wziął się do uporządkowania stosunków w gminie. Na czas sporu kancelaria mieściła się w budynku szkolnym. Do szczęśliwych pociągnięć nowego wójta było ściągnięcie zaległych od 4 lat podatków państwowych, zawarcie kontraktów z nabywcami parcel na pastwisku gminnym, płacenie zaległych rat pożyczki zaciągniętej przez gminę na budowę szkoły, odnowienie budynku szkolnego i wiele innych spraw, które dotychczas leżały odłogiem. Stosunek no-

wego wójta do szkoły był życzliwy, a wszelkie dotacje na rzecz szkoły wypłacał regularnie.

Rok szkolny 1933/1934

Do szkoły zapisanych było 402 uczniów to jest 207 dziewcząt i 195 chłopców.

Z okazji „Święta kawalerii" przybył do tutejszej gminy na kwaterę 20 pułk ułanów im. Króla Jana III Sobieskiego w dniu 1 X 1933 r. i pozostał na kwaterze do dnia 8 X. Stosunek ludności do wojska był bardzo serdeczny. Przed przybyciem wojska na kwatery utworzył się lokalny komitet z p. Franciszkiem Marszałkiem kierownikiem szkoły na czele, którego zadaniem było powitanie przybywającego wojska. W dniu 1 X 1933 r. przybył pułk do tutejszej gminy, powitany przez Komitet, organizację Strzelca i liczne tłumy publiczności. Podczas pobytu wojska Związek Strzelecki urządził dla żołnierzy bezpłatne przedstawienie oraz na zakończenie zabawę taneczną. Dowódca pułku ppłk Godlewski w serdecznych słowach podziękował przewodniczącemu Komitetu za tak serdeczne przyjęcie w dniu wjazdu.

Dnia 20 X 1933 r. z okazji patrona młodzieży szkolnej odbył się uroczysty poranek.

Dnia 11 listopada 1933 r. z okazji 15 rocznicy odzyskania niepodległości urządziło Grono nauczycielskie wraz z młodzieżą poranek, podczas którego młodzież odegrała obrazek sceniczny „Dzwonie hejnały Polsce graj". W uroczystości wzięła udział miejscowa ludność.

Dnia 6 grudnia Grono tutejszej szkoły urządziło dla dziatwy szkolnej św. Mikołaja. Miły wieczorek wypełniło przedstawienie i rozdanie upominków przez św. Mikołaja dzieciom.

W dniu 23 grudnia 1933 dobyła się wspólna wigilia dziatwy szkolnej, dożywianej z funduszu Powiatowego Komitetu Funduszu Pracy. W wigilii wzięło udział 109 najbiedniejszych dzieci. Na uroczystość wigilijną przybyło całe grono nauczycielskie tutejszej szkoły, przewodniczący rady Szkolnej miejscowej inż. Kazimierz Cieślewicz, naczelnik gminy Andrzej Malinowski, zastępca naczelnika gminy Stanisław Tynor i rodzice obecnych dzieci. Uroczystość wigilijną rozpoczął kierownik szkoły okolicznościowym przemówieniem, poczym nastąpiło łamanie się opłatkiem i składanie sobie życzeń. Funkcje gospodyni pełniły uczennice klasy VII, które również przygotowały wieczerzę wigilijna składającą się z 3 potraw. Po wieczerzy wigilijnej odśpiewały dzieci przy drzewku kilka kolęd. Nastrój podczas wigilijnego wieczoru był nadzwyczaj radosny i miły. Dnia 21 stycznia odegrały dzieci jasełka.

Dnia 26 stycznia 1934 r. Starościna Maria Wnękowa z ramienia Powiatowego Komitetu Funduszu Pracy obdzieliła 100 najbiedniejszych dzieci odzieżą, jako to obuwiem, sukienkami, trykotami itp. Z inicjatywy Czytelni Towarzystwa Szkół Ludowych kierownictwo szkoły rozdało ponad 100 zaproszeń do różnych osób zamieszkałych w Czyżynach, a nadto zaproszono miejscowe organizacje kulturalno-oświatowe. Zarówno w tej uroczystości jako też i innych brakowało członków Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej. Organizacja ta, jak również i jej kierownicy z p. Salwińskim na czele stale bojkotują wszystkie uroczystości patriotyczne. Z pośród organizacji starszej młodzieży jawili się i stale jawią się w uroczystościach członkowie miejscowego oddziału Związku Strzeleckiego.

Dnia 15 lipca nawiedziła niemal całą Małopolskę wielka powódź. Tysiące domów woda zabrała, bądź też poważnie uszkodziła. W nurtach wody znalazło śmierć kilkadziesiąt ludzi, pozostali zaś znaleźli się wobec widma głodu. Z inicjatywy czynników rządowych powstał Komitet ogólny mający nieść pomoc dotkniętym powodzią. Ofiary na ten cel popłynęły ze wszystkich stron kraju a także z zagranicy. Z inicjatywy p. Marszałka kierownika szkoły utworzono na terenie Czyżyn Komitet lokalny który przeprowadził zbiórkę na powodzian. Doraźna składka przyniosła około 450 zł w gotówce, a nadto wszyscy rolnicy zobowiązali się dać na ten cel po 15 kg ziemniaków i 5 kg żyta z morga, co tez uskutecznili w miesiącu październiku.

Rok szkolny 1934/1935

Od 1 II 1935 wprowadzone zostały na terenie Małopolski gminy zbiorowe. Wieś Czyżyny przydzielono do gminy Mogiła z siedzibą gminy zbiorowej. Do tej gminy przydzielone zostały następujące gromady: Bieńczyce, Czyżyny, Lubocza, Krzesławice, Łęg, Mogiła, Pleszów, Kantorowice, Zesławice, Grębałów i Prusy. W dniu 28 II 1935 r. wybrano wójtem gminy zbiorowej p. inżyniera Kazimierza Cieślewicza dzierżawcę dóbr z Czyżyn, zastępcą wójta p. Rosiewicza z Pleszowa, ławnikami p. Halika z Bieńczyc i p. Malika z Łęgu. Rada gminna składała się z 16 radnych wybranych przez Rady gromadzkie, które poprzednio zostały zorganizowane. Zarówno Rady gromadzkie jak i Rady gminne rozpoczęły urzędowanie z dniem 1 IV 1935 r. Od chwili wprowadzenia gmin zbiorowych obowiązek utrzymywania szkół przeszedł na gminy. Przedstawicielami szkolnictwa w Radzie gminnej w Mogile byli: Franciszek Romański kier. szkoły w Mogile i Franciszek Marszałek kier. szkoły z Czyżyn, ten ostatni był zarazem delegatem do sejmiku oświatowego w Krakowie.

Dnia 27 kwietnia 1935 r. zmarł ks. Prałat Wojciech Siedlecki proboszcz w Mogile. Pogrzeb odbył się 30 kwietnia w którym wzięła również udział dziatwa szkolna.

Dnia 12 maja 1935 r. o godzinie 20 minut 45 w pałacu belwederskim zmarł Pierwszy Marszałek Polski Józef Piłsudski. W całym kraju zapanowało przygnębienie na wieść o zgonie Wodza Narodu. W Krakowie na znak żałoby odezwał się Dzwon Zygmunta. Żałoba spowiła kraj cały. W poniedziałek tj. 13 maja wywieszono na

mieście flagi opuszczone do połowy masztu i spowite kirem. Wstępne uroczystości pogrzebowe po zabalsamowaniu odbyły się w Warszawie, poczym przewieziono je do Krakowa, celem złożenia na Wawelu. W dniu 18 maja 1935 r. o godzinie 8.30 przybył pociąg żałobny z Warszawy wiozący zwłoki śp. Marszałka Piłsudskiego do Krakowa. Kondukt pogrzebowy poprzedzała kawaleria i artyleria, następnie na lawecie wieziono trumnę ze zwłokami pokryta sztandarem. Za trumną postępowała rodzina zmarłego, Pan Prezydent Ignacy Mościcki, Rząd, Sejm i Senat, generalicja, przedstawiciele państw, kompania honorowa 16 p. p. rumuńskiej, bardzo liczne organizacje oraz tłumy publiczności obliczane na 300.000 osób. Po mszy żałobnej na Wawelu zwłoki w srebrnej trumnie złożono w podziemiach Wawelu obok trumny Sobieskiego, Kościuszki i księcia Poniatowskiego. W dniu 22 maja złożyła młodzież tutejszej szkoły hołd śp. Marszałkowi na Wawelu.

Rok szkolny 1935/1936

Dnia 10 października 1935 odbyło się zebranie rodzicielskie, na którym omówiono współpracę domu rodzicielskiego ze szkołą, poczym wychowawcy poszczególnych oddziałów udzielali informacji rodzicom odnośnie postępów w nauce i sprawowania ich dzieci. Dnia 19 stycznia młodzież szkolna odegrała jasełka z których dochód przeznaczono na pomoce naukowe.

W roku szkolnym 1935/36 na pierwszy plan postawiono naukę jako podstawowy czynnik wychowania. Solidność pracy, systematyczność, ugruntowanie wiedzy jako zasadnicze walory wychowawcze oparte na wychowaniu społeczno-obywatelskim, które w sumie dawać by miało nie tylko pełnego umysłowo rozwiniętego człowieka, ale ze względu na nasze wyjątkowe położenie geograficzne człowieka pełnowartościowego pod względem państwowym, świadomego celów, zadań i obowiązków obywatelskich, przystosowanego do współczesnego naszego społeczeństwa. Wychowanie wymagające nieustannej obserwacji i uzgadniania stanowiska nauczyciela względem ucznia i uczniów w sensie zbiorowym oraz stosunku do domu z konieczności spowodowało silny kontakt w gronie nauczycielskim przez comiesięczne odbywanie zebrań komisji klasowych w oddziałach wyższych, na których omawiano sprawy związane z nauką i wychowaniem oraz zebrania rodziców uczniów. Na tych zebraniach starano się wniknąć w niedomaganie wewnętrzne i w miarę możliwości braki usuwać. Zadaniem komisji klasowych było badanie przeciążenia, korelacja przedmiotów, organizacja pracy domowej uczniów w duchu właściwych wskazań, uwspółcześnianie nauczania w kierunku wymagań współczesnej pedagogiki. Komisje klasowe zajmowały się również ułożeniem zakresu domowej lektury ucznia, która by się stała czynnikiem pomocniczym w zakresie budzenia zainteresowania. Naturalnie pociągało to za sobą pewne wydatki na zakup książek, lecz te dało się pokryć z dobrowolnych datków składanych przez rodziców przy wpisach do szkoły. Z tych funduszy zakupiono 142 książki do biblioteki, nad która nadzór miała p. Kazimiera Marszałkowa. Dla zaktualizowania zagadnień społecznych wprowadzono czytanie gazetki ściennej i tygodnika „Nowiny". Pierwiastek emocjonalny był silnie uwzględniony w pracy wychowawczej, a źródłem jego była sama młodzież, której inicjatywa organizowała wszelkie uroczystości szkolne. Kółko dramatyczne pod opieką p. Jadwigi Dudkowej urządziło kilka pięknych przedstawień, które urozmaicały uroczystości szkolne. Na wniosek postawiony na posiedzeniu Gminy szkolnej kl. VI zajął się wychowawca tejże klasy p. Franciszek Marszałek Wraz z zarządem gminy szkolnej zorganizowaniem sklepiku szkolnego z przyborami piśmiennymi dla uczniów. Celem sklepiku było:

1. dostarczenie młodzieży przyborów dobrej jakości i w przystępnej cenie
2. rozbudzenie zmysłu społecznego i narodowego poprzez poczucie obowiązku popierania przemysłu krajowego
3. z uzyskanych ewentualnie szczupłych zrazu dochodów przysporzenie źródła dochodów na cele gminne i szkolne.

Prowadzenie sklepiku, według ułożonego regulaminu nie było rzeczą łatwą z powodu trudności zaprawienia uczniów do dokładności i ponoszenia odpowiedzialności na zajętym stanowisku. Tu też na tak małym odcinku pracy mającym zaprawić do większych zadań społecznych i spółdzielczych jest pole do okazania rozumnej samodzielności oraz wyrobienia obowiązkowości i ofiarności dla sprawy ogólnej. Chęć do pracy była i sklepik uzyskał popularność. Kierownikiem z ramienia gminy był Marian Kwiatkowski uczeń klasy VII, któremu z pomocą służyły w stałych obowiązkach Marja Baś, Maria Bochenek i Zofia Broś.

W roku bieżącym powstało w tutejszym zakładzie szkolne Koło Towarzystwa Popierania Budowy Publicznych Szkół Powszechnych z inicjatywy p. Marszałka. Celem tego koła było popularyzowanie idei tego towarzystwa, zbieranie składek i urządzanie imprez dochodowych. Prezesem Koła był Kazimierz Uryasz uczeń klasy VII. W pracach koła brały udział szerokie zastępy uczniów i uczennic od klas najniższych do najwyższych. Również pomyślnie rozwijało się szkolne Koło L.O.P.P. (Liga Ochrony Powietrznej i Przeciwgazowej) z panem Stanisławem Dudkiem jako opiekunem na czele.

Rok szkolny 1936/1937

Przeciętnie na jedna siłę nauczycielską wypadało 66 dzieci.

Dnia 12 maja 1937 po nabożeństwie żałobnym odprawionym w nowobudowanym prezbiterium w Czyży-

nach, odbyła się akademia z okazji rocznicy zgonu Marszałka Józefa Piłsudskiego. Dnia 18 lipca 1937 odbyło się zebranie rodzicielskie zwołane przez kierownika szkoły w sprawie założenia przedszkola, a w dniu 20 VII 1937 rozpoczęcie zajęć. Do przedszkola zapisało się 81 dzieci w wieku od 3-6 lat. Zajęcia odbywały się w domu ludowym, a prowadziła je Michalina Hatt, nauczycielka bez posady. Na czele przedszkola stał zarząd wybrany przez walne zebranie rodziców złożony z 8 osób z p. Franciszkiem Marszałkiem kierownikiem szkoły na czele jako przewodniczącym. Wszelkie wydatki pokrywano z opłat po 1 zł od dziecka miesięcznie oraz subwencji Wydziału Oświatowego w Krakowie w wysokości 500 zł rocznie.

Rok szkolny 1937/1938

Rok szkolny rozpoczął się w dniu 3 września 1937 uroczystym nabożeństwem odprawionym przez O. Roberta Ciszka w nowo budującym się kościele w Czyżynach w obecności całego Grona nauczycielskiego oraz dziatwy szkolnej. Nauki religii udzielał ks. Administrator Józef Zastawniak i p. Wanda Kołodziejczyk, która pełniła obowiązki katechetki do 21 grudnia 1937 tj. w pierwszym półroczu, zaś w drugim półroczu ks. Józef Ciszek. W dniu 20 października 1937 obchodzono uroczyście święto patrona młodzieży szkolnej św. Jana Kantego.

W dniu 11 listopada 1937 urządzono uroczystą akademię z okazji Święta Państwowego, na program złożyło się nabożeństwo, przemówienie kierownika szkoły, deklamacje uczniów oraz występ chóru szkolnego. Z okazji rocznicy powstania 1831 r. przeprowadzili wychowawcy okolicznościowe pogadanki w poszczególnych klasach. Rocznice czynu zbrojnego 1863 r. upamiętniono odpowiednio pogadankami klasowymi.

W dniu 26 maja wzięła młodzież oddziałów IV-VII w uroczystościach wręczenia przez ludność powiatu krakowskiego 20 pułkowi piechoty daru w postaci 20 karabinów maszynowych. Rok szkolny zakończono uroczystym nabożeństwem w dniu 21 czerwca poczym rozdano świadectwa roczne młodzieży. Tradycyjnym zwyczajem odbył się w przeddzień popis w sali Domu Ludowego dla rodziców i zaproszonych gości.

Rok szkolny 1938/1939

Dnia 11 listopada jako w rocznicę odzyskania niepodległości odbyło się uroczyste nabożeństwo po czym młodzież wzięła udział w poranku.

Dnia 13 listopada odbyła się wywiadówka w szkole podczas której wychowawcy poszczególnych klas informowali rodziców o postępach w nauce ich dzieci.

Dnia 29 stycznia 1939 odbyło się zebranie rodzicielskie podczas którego p. Leopold Jarmusz oddał do użytku szkolnego 4 lampowy radioodbiornik wraz z głośnikiem zakupiony z funduszu uzyskanego z zabawy. Na tym posiedzeniu założono Komitet Rodzicielski z p. Januszem Leopoldem jako przewodniczącym na czele.

Dnia 24 kwietnia 1939 r. młodzież tutejszej szkoły zebrała samorzutnie kwotę 114 zł 5 gr która przekazała na Fundusz Obrony Narodowej.

Rok szkolny 1939/1940

Nauka w roku szkolnym 1939/40 wskutek wybuchu wojny między Polską a Niemcami rozpoczęła się w tutejszej szkole dopiero 21 września i to nie we wszystkich klasach, ponieważ większa część Grona nauczycielskiego znajdowała się jeszcze poza miejscem służbowym z powodu ewakuacji, w związku z zajęciem tutejszego terenu przez wojska niemieckie już w dniu 6 września 1939 r. W wyżej wymienionym dniu rozpoczęły naukę tylko 2 nauczycielki tj. Kazimiera Maciaszek i Jadwiga Dudek ucząc w mniejszej ilości godzin w klasach II, III, IV i V. Reszta członków Grona Nauczycielskiego zgłaszała się do służby w późnych okresach czasu, a mianowicie: p. Franciszek Marszałek 26.IX.1939 r., Kazimiera Marszałkowa 26.IX.1939 r., Stanisław Dudek 28.IX.1939 r., Maria Knapikowa 3.X.1939 r., Józefa Dynowska 6.X.1939 r., Helena Hawraszkowa 3.XI.1939 r. Nadto pracowali w tutejszej szkole od dnia 2.X.1939 r. Elżbieta Sacha i Stanisław Wach. Organizacją szkolnictwa powszechnego zajęła się Tymczasowa Komisja Szkolna z profesorem Klemensiewiczem na czele. Komisja ta urzędowała w gmachu Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie i prowadziła ewidencje powracającego z ewakuacji nauczycielstwa oraz daty rozpoczęcia nauki w poszczególnych szkołach przez powracające siły nauczycielskie. Innych czynności trudno się było dopatrzeć. Panowie Inspektorzy szkolni zbierali się w biurze Inspektora Szkolnego i udzielali również potrzebującym informacji.

Praca w szkole odbywała się w bardzo trudnych warunkach z powodu braku artykułów spożywczych i wielkiej drożyzny, gdyż w pierwszym miesiącu wojny ceny artykułów spożywczych poszły w górę o przeszło 500 % oraz z braku gotówki, gdyż nauczycielstwo nie pobierało żadnych poborów aż do 25.I 1940 r. Nie chcąc przerywać nauki szkolnej z powodów materialnych Rada Pedagogiczna uchwaliła pobieranie wpłaty po 2 zł od dziecka miesięcznie począwszy od 1 października 1939 r. Z zebranych z tego tytułu kwot pieniężnych wypłacono w miesiącu październiku każdemu członkowi Grona Pedagogicznego po 64,75 zł, w listopadzie po 57, 33 zł, a w grudniu po 54 zł. W styczniu 1940 roku po 44,12 zł. W miesiącu styczniu wstrzymano pobieranie opłat. Na ogół ludność uiszczała te opłaty dość opornie, nie płaciła wcale a byli i tacy którzy nie szczędzili nauczycielom z tego powodu cierpkich wymówek. Władze niemieckie komunikowały się z kierownictwem szkół za pośrednictwem urzędów gminnych.

Pierwsze zarządzenie Landrata krakowskiego Spierbacka (? – dop. red.) otrzymała tutejsza szkoła w dniu 13.X 1939 o treści następującej: „Zależnie od położenia w danych miejscowościach zajętych przez wojska niemieckie mogą być uruchomione obecnie szkoły powszechne, miejskie i średnie, jak również szkoły przemysłowe i zawodowe. Nauka historii, geografii politycznej oraz nauk politycznych aż do dalszego zarządzenia wstrzymana. Zezwala się na zatrudnienie sił nauczycielskich, równocześnie należy udzielać języka niemieckiego. O siłach nauczycielskich niemieckich oraz systemie udzielania nauki języka niemieckiego należy mnie zawiadomić."

Drugie zarządzenie wydane w dniu 16.XII 1939 r. opiewało: „Stosownie do zarządzenia Szefa Dystryktu Krakowskiego należy natychmiast zamknąć żydowskie szkoły, jeżeli takie istnieją. Wszystkie dzieci żydowskie, które dotąd uczęszczały do szkół publicznych względnie prywatnych należy natychmiast wykluczyć z lekcji. Wszystkich nauczycieli żydowskich, także mieszańców 1 i 2 stopnia należy bezzwłocznie zwolnić. Czy i w jaki sposób w przyszłości nauczanie dzieci żydowskich zostanie zorganizowane, zdecydowane zostanie później."

Zarządzenie to dotyczy tylko 2 uczniów z tutejszej szkoły. Jednym z wcześniejszych zarządzeń było usunięcie ze szkól wszystkich podręczników będących w posiadaniu uczniów jako też nauczycieli. Dosłowna treść tego okólnika brzmi następująco: *Krakau 18.I 1940* (tu następuje tekst w języku niemieckim, adresowany do Urzędu Gminy w Mogile – dop. red.).

Na podstawie powyższego okólnika usunięto wszystkie godła i portrety z sal szkolnych, zebrano książki od młodzieży szkolnej i nauczycielstwa i wraz z książkami z biblioteki szkolnej zamknięto w szafach i opieczętowano, a nauka odbywała się bez książek. W dniu 16 marca 1940 r. przybyło do tutejszej szkoły wojsko niemieckie 1 Kol. 525 zajmując cały parter budynku szkolnego oraz jedną salę na piętrze. Ze względu na zajęcie 4 sal naukowych przez wojsko, nauka odbywała się w mniejszej ilości godzin w 3 kompletach po 3 godziny dziennie dla każdego kompletu. Redukcja godzin dotknęła przede wszystkim przedmioty techniczne.

W dniu 25 stycznia 1940 r. wypłaciły Urzędy Gmin pracującemu nauczycielstwu, na polecenie władz niemieckich zaliczkę na pobory w wysokości 200 zł, a 19 lutego drugą zaliczkę w wysokości 150 zł. W dniu 16 marca 1940 wypłacił Inspektorat szkolny zaległe nauczycielstwu pensje za styczeń, luty i marzec 1940 z potrąceniem wypłaconych zaliczek. Wypłacone pobory w wysokości przedwojennej przyczyniły się w znikomym stopniu do złagodzenia nędzy wśród licznej rzeszy nauczycielstwa, gdyż ceny niemal wszystkich artykułów codziennej potrzeby poszły do góry prawie o 100 %.

Rozporządzeniem Starostwa Powiatowego z dnia 29.III.1940 zostali wykluczeni z posiedzeń Rad Pedagogicznych wszyscy duchowni udzielający nauki religii w szkołach.

Rozporządzeniem Generalnego Gubernatorstwa z dnia 15.IV 1940 r. odbyło się zebranie wszystkich kierowników szkół powiatu krakowskiego w sali posiedzeń b. Rady Powiatowej w sprawie udziału nauczycielstwa w akcji agitacyjnej odnośnie wyjazdu ludności na roboty do Niemiec. Było to pierwsze oficjalne zetknięcie się nauczycielstwa z władzami niemieckimi ze starosta Hollerem na czele.

Dnia 14 maja 1940 r. wczesnym rankiem opuściło tutejszą szkołę kwaterujące wojsko niemieckie, udając się do Krzeszowic. Przystąpiono niezwłocznie do oczyszczania sal i sprzętów szkolnych, aby naukę poprowadzić w pełnej ilości godzin, co się wkrótce stało.

Rozporządzeniem Generalnego Gubernatorstwa dla ziem okupowanych polskich zostały zwolnione z dniem 1 czerwca ze służby w tutejszej szkole nauczycielki, których mężowie mają posadę: Elżbieta Sachowa, Helena Hawrankowa, Jadwiga Dudek. W dniu 25 lipca 1940 r. nadesłały władze niemieckie okólnik mocą którego został rozwiązany stosunek służbowy ze wszystkimi siłami nauczycielskimi na terenie obwodu krakowskiego. Siły nauczycielskie, które zamierzają pracować w r. szkolnym 1940/41 w szkolnictwie powiatu krakowskiego winne wnieść do dnia 5.VIII 1940 podanie o przyjęcie. Rozpatrzenie podań nastąpiło pod koniec sierpnia. Z grona nauczycielskiego tutejszej szkoły pozostali na starym miejscu kierownik szkoły p. Marszałek, p. Kazimiera Maciaszek, reszta grona przemianowana została, a mianowicie: p. Dudek do Pleszowa, p. Knapikowa do Mogiły, p. Załuska do Krakowa, p. Wilkówna do Bronowic, p. Żelazna do Myślenic.

Rok szkolny 1940/1941

Z początkiem roku szkolnego skład grona Nauczycielskiego był następujący: Franciszek Marszałek kierownik szkoły, Kazimiera Maciaszek, Aurelia Tomaszewska nowo przyjęta nauczycielka, Kazimiera Ziembowa nauczycielka szkół średnich na Śląsku. Ogółem do szkoły zapisało się 498 dzieci. 1.X 1940 zgłosiła się do służby p. Olga Mitana. 16.X 1940 zgłosiła się do służby p. Teresa Gorzycka, która przed wojną pełniła obowiązki nauczycielki w Wilkowie pod Gnieznem. 1.XI 1940 zgłosiła się do służby p. Irena Pollack, która przed wojna pełniła obowiązki nauczycielki w Gdyni. 8.XI 1940 zgłosił się do służby Hubert Uramowicz, który przed wojną pełnił obowiązki nauczyciela gimnazjum w Mysłowicach. Po skompletowaniu grona nauczycielskiego rozpoczęła się nauka w pełnej ilości godzin. Na budynku szkolnym wywieszono tabliczkę z następującym napisem: „Offentliche Polnische Volkschule in Czyżyny, Kreis Krakau Land", a poniżej „Publiczna Polska Szkoła Powszechna".

Na rozporządzenie szefa Dystryktu krakowskiego z dnia 11.XII 1940 wszyscy pracownicy państwowi i samorządowi musieli złożyć następującą deklarację: „Zobowiązuje się moje obowiązki służbowe w posłuszeństwie wobec niemieckiej administracji wiernie i sumiennie wypełniać, złożona wobec byłego polskiego państwa lub jego organów lub wobec którejkolwiek politycznej organizacji przysięgę wierności albo przysięgą służbową lub odpowiednim zobowiązaniem służbowym nie uważam się związanym." Nie podpisanie powyższej deklaracji pociągało za sobą automatyczne zwolnienie ze służby.

Zima roku była długa i obfita w opady śnieżne a mrozy dochodziły do -40 stopni C. wskutek czego frekwencja w szkole spadała w niektórych klasach poniżej 50% z powodu braku obuwia i odzieży. Od 16 kwietnia wojsko zajęło na kwatery część budynku szkolnego jednak lekcje mogły odbywać się jeszcze w 6 salach, zaś od 23 kwietnia przerwano zupełnie naukę, gdyż przybyły 2 nowe formacje wojska na kwaterę, które zajęły budynek szkolny, piwnice i budynki gospodarskie. Usiłowania kierownika szkoły celem uzyskania przynajmniej jednej izby we wsi, gdzie można by kontynuować naukę, chociażby w zmniejszonej ilości godzin spełzły na niczym, ponieważ większe ubikacje pozajmowało wojsko i służba pracy (Arbeitdienst), a mniejsze zostały wynajęte dawniej wysiedleńcom i Żydom.

Naukę szkolną podjęto ponownie z dniem 15 maja w 2 wynajętych izbach w byłym tartaku p. Kwadrata z których jedno stanowiło mieszkanie p. Wieczorka, który odstąpił swoją izbę bezpłatnie, zaś za druga izbę, w której mieściła się poradnia lekarska dla Żydów zwracano zapłacony czynsz Żydom w wysokości 40 zł miesięcznie. Poradnia lekarska mieściła się zatem w mieszkaniu p. Morawieckiego. Lekcje odbywały się codziennie na 3 zmiany po 3 lekcje dziennie dla każdej klasy. 20 maja wyjechała ze szkoły kolumna „Feis" zajmująca I piętro, parter nadal zajęty przez kolumnę „Fucka". Mimo opróżnienia I piętra nauka odbywa się w wynajętych salach, gdyż opróżnione sale zostały zamknięte przez pana inspektora portu lotniczego i trzymane są jako pomieszczenie dla mającego przybyć oddziału, który przybył w dniu 22.V.1941 i kwaterował do 28.VI 1941. Od 1 lipca 1941 miejscowość Czyżyny i Łęg zostały przyłączone do Krakowa.

Rok szkolny 1941/1942

Wobec przyłączenia Czyżyn do Krakowa jako dzielnicy – podlega szkoła w Czyżynach miejskim władzom szkolnym. Z powodu zajęcia całego parteru szkoły w dniu 29 VIII 1941 r. przez Oddział Pracy (Baudienst) nauka odbywała się w 4 salach na pierwszym piętrze w trzech po sobie następujących turach i trwała od godziny 8 do 17.

Od 15 stycznia do 8 lutego była przerwa w nauce z powodu silnych mrozów dochodzących do 35 stopni C. i z braku dostatecznej ilości opału.

Rok szkolny 1942/1943

Od dnia 17 września do 10 października na mocy zarządzenia Stadthauptmana, p.Marszałek i p. Uramowicz zostali chwilowo zwolnieni z obowiązków nauczycielskich, a przydzieleni do odbierania kontyngentu zboża. Od dnia 23 do 30 września zwolniono młodzież szkolną od zajęć szkolnych do kopania ziemniaków. W dniu 9 listopada podczas wywiadówki opodatkowali się dobrowolnie rodzice dzieci na kupno węgla, którego Urząd szkolny na zbliżającą się zimę nie dostarczył.

Z powodów wojenno-gospodarczych ferie Bożego Narodzenia w tym roku trwały od 12 grudnia 1942 r. do 12 stycznia 1943 r. Po feriach świątecznych zarządziły władze szkolne w dalszym ciągu przerwę w nauce, a nauczycielstwo zostało przydzielone do Urzędu statystycznego i pracowało przy spisie mieszkań i ludzi. Normalna nauka rozpoczęła się 22 marca 1943 r.

Rok szkolny 1943/1944

Wszystkie dzieci urodzone w roku 1929 na mocy zarządzenia radcy szkolnego były usunięte ze szkoły. Od 1 października pracowały w szkole wszystkie siły nauczycielskie w liczbie 8 sił. Dnia 21.X.1943 r. brała młodzież szkolna od kl. IV-VII udział w wystawie w Sukiennicach, urządzonej przez władze szkolne p.t. „Żydowska zaraza". Z powodu zajęcia całego budynku przez ukraińskich robotników, a częściowo i przez niemieckich żołnierzy nauka szkolna po świętach wielkanocnych nie rozpoczęła się.

Dnia 1 sierpnia wybuchło powstanie w Warszawie na czele którego stanął generał Bór (Komorowski). W tym miesiącu nastąpiło ustabilizowanie frontu wschodniego. Bolszewicy osiągnąwszy linię Wisły stanęli pod Warszawa, Sandomierzem i Tarnowem, nie okazywali zamiaru posuwania się naprzód.

Rok szkolny 1944/1945

W tutejszej szkole rozpoczęła się nauka 18 września w 4 salach pierwszego piętra, zaś cały parter został zajęty na magazyn zbożowy. Wszystkie sale naukowe przedstawiały okropny widok, okna bez szyb, drzwi bez klamek i zamków, a piece niezdatne do użytku. Skład grona nauczycielskiego: Marszałek Franciszek kierownik szkoły, Grzybek Witold, Knapik Maria, Klementowska Stanisława, Maciaszek Kazimiera, Stawicki Izydor, Towpasz Stefan, Uramowicz Hubert. Nauki religii udzielali ks. Kanonik Zastawniak Józef i ks. Hajdys Jan. Do szkoły zapisało się 456 dzieci. We wrześniu w szkole uczyły tylko 3 siły nauczycielskie tj. siły żeńskie, zaś wszyscy mężczyźni zatrudnieni byli w młynie w Czyżynach przy odbieraniu kontyngentu zboża.

Dnia 4 października 1944 r. zakończyło się powstanie w Warszawie po 63 dniach walki. Powstanie upadło z braku broni, amunicji, żywności i wody oraz środków opatrunkowych. Do niewoli niemieckiej dostało się 6 generałów z gen. Borem, 942 oficerów i ponad 11.000 żołnierzy. Całe miasto przedstawiało kupę gruzów, a mieszkańcy rozjechali się w różnych kierunkach bez odzieży i środków do życia. Do Czyżyn przybyło ponad 100 rodzin, które tutejsza ludność przyjęła bardzo życzliwie.

Od 17 stycznia do 30 stycznia 1945 r. nastąpiła przerwa w nauce spowodowana działaniami wojennymi. Wojska bolszewickie przełamawszy pod Baranowem nad Wisłą front niemiecki szybko zbliżały się do Krakowa. Ustawiczne bombardowanie z samolotów obiektów w Krakowie i lotniska w Czyżynach uniemożliwiło dzieciom uczęszczanie do szkoły. Pełnymi grozy były dnie 17 i 18 stycznia oraz noce, bowiem w tym czasie dokonywali Niemcy wysadzania przy pomocy min obiektów wojskowych i mostów. Kraków i okolica przedstawiała jedno wielkie morze płomieni, a ogłuszający huk eksplodujących min i bomb rzucanych przez samoloty oraz strzały artylerii dopełniały grozę położenia. Ludność przebywała w schronach. Piwnice w szkole pełne były miejscowej ludności. W piątek 19 stycznia do godziny 16 znajdowała się w szkole placówka niemiecka z kapitanem na czele, która miała za zadanie powstrzymywać posuwające się wojska radzieckie. Pierwsze oddziały wojsk rosyjskich pod dowództwem marszałka Koniewa, które zdobyły Kraków przybyły do Czyżyn około godziny 19. Na tutejszym terenie przyszło wieczorem do walki czołgów, podczas której Rosjanie stracili 2 czołgi. Po skończonej walce Niemcy wycofali się do Mogiły, a stamtąd przez most przebyli Wisłę i połączyli się ze swoimi wojskami cofającymi się spod Tarnowa. Dnia następnego doszło do walki na prawym brzegu Wisły, a następnie odgłosy walk umilkły. W kilka dni później władze polskie przystąpiły do organizowania administracji. Równocześnie odbywała się w kuratorium rejestracja nauczycieli z różnych stron Polski i różnych kategorii szkół. Po kilkudniowej przerwie spowodowanej działaniami wojennymi podjęto znowu naukę w dniu 30 stycznia 1944 r.

Na skutek zarządzenia władz szkolnych każda siła nauczycielska miała wracać na posadę zajmowaną w roku 1939. Wobec powyższego zarządzenia zgłosiły się do tutejszej szkoły następujące siły nauczycielskie: Kazimiera Marszałek, Jadwiga Dudkowa, Stanisława Dudek i Marian Krupa. Nauczyciele: Stawicki, Grzybek, Towpasz i Uramowicz po przerwie spowodowanej ofensywą zimową na posady w tutejszej szkole nie powrócili. Od czasu wypędzenia Niemców z Krakowa nauka odbywała się bez przerwy aż do 18 czerwca. Od 19 czerwca przerwano naukę szkolną z powodu zajęcia budynku szkolnego na kwatery dla wojska sowieckiego.

Rok szkolny 1945/1946

Do wszystkich oddziałów zapisanych było 422 dzieci. Spadek liczby dzieci w porównaniu z rokiem poprzednim należy tłumaczyć tym, że wiele dzieci z rodzicami przesiedliło się na Śląsk i Pomorze. Praca w szkole napotykała różne trudności z których najważniejszym były brak podręczników szkolnych i pomocy naukowych. Braki natury rzeczowej zaspokajał do pewnego stopnia Komitet Rodzicielski, który przychodził również z pomocą materialna gronu nauczycielskiemu w formie zapomóg miesięcznych w wysokości 500-800 zł gdyż uposażenie miesięczne pobierane ze Skarbu Państwa w wysokości 900- 1400 zł starczało zaledwie na tydzień lichej wegetacji. W dniu 20 grudnia 1945 r. oddano do użytku instalację światła elektrycznego w budynku szkolnym wykonaną kosztem ponad 60 000 zł Zarządu Miasta Krakowa. Sieć elektryczną uliczną wykonała firma Krawczyk z Krakowa, a koszta tejże wynoszące ponad pół miliona zapłacili mieszkańcy.

Rok szkolny 1946/1947

Realizacja programu nauczania napotykała na bardzo duże trudności z powodu braku samych programów, jakoż też i podręczników dla młodzieży szkolnej. Programy naukowe ukazały się dopiero w październiku 1946 r., zaś podręczniki dla klas niższych ukazały się w późniejszych okresach w minimalnej ilości. Wyższe klasy uczyły się bez podręczników, posługując się na lekcjach polskiego „Płomyczkiem" i „Płomykiem", czasopismami dla dzieci. Oprócz wyżej wymienionych trudności, nauczycielstwo borykało się również z trudnościami materialnymi. Uposażenie, jakie otrzymywało wystarczało zaledwie na podzelowanie jednej pary butów, a po podwyżce od 1 lutego 1947, wystarczało na kupienie jednego nowego buta. Nauczycielstwo źle odżywione i okryte zapadało często na choroby. Rząd i społeczeństwo przychylnie ustosunkowane do tej warstwy społecznej miały przeważnie słowa uznania dla pracy nauczyciela, czasem jakąś obiecankę, która nim została zrealizowana, nie miała większej wartości. Komitet Rodzicielski z zastępcą p. Jarmuszem Stanisławem przychodził z pomocą tutejszemu nauczycielstwu w formie zapomogi 500-700 zł miesięcznie.

W dniu 19 grudnia 1947 r. odbyły się wybory do sejmu. Ponad 60% mieszkańców Czyżyn i Łęgu pozbawionych zostało prawa głosu za wrogie ustosunkowanie się do demokracji.

W dniu 1 maja 1947 r. całe grono nauczycielskie wzięło udział w manifestacyjnym pochodzie z okazji Święta Pracy. W dniu 3 maja z okazji Święta Oświaty odbyła się w szkole akademia. Z okazji Święta Zwycięstwa odbył się w dniu 9 maja uroczysty poranek na którego program złożyły się deklamacje, inscenizacja i przemówienie kierownika szkoły.

Rok szkolny 1947/1948

W październiku odbyła się zbiórka na odbudowę Warszawy, która przyniosła 2300 zł. Dnia 16 listopada 1947 r. odbyło się walne zebranie Komitetu Rodzicielskiego. Przewodniczącym Komitetu wybrano mgra Józefa Salwińskiego. Dnia 11 marca wygłoszono w klasach okolicznościowe pogadanki z okazji 30-lecia powstania Armii Czerwonej. 3 kwietnia w rocznicę śmierci gen. K. Świerczewskiego (Waltera) odbyła się uroczysta akademia z przemówieniem kierownika szkoły.

Rok szkolny 1948/1949

Dnia 26 października, z okazji miesiąca przyjaźni polsko-radzieckiej, odbyły się we wszystkich klasach pogadanki oraz założono Koło Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej.

Dnia 8 października, w rocznicę rewolucji październikowej, odbył się uroczysty poranek z okolicznościowym przemówieniem kierownika szkoły. Szkoła otrzymała radioodbiornik 5-cio lampowy typu AGA, a oprócz tego zainstalowano w 8 salach naukowych głośniki dynamiczne.

Rok szkolny 1949/1950

Rok szkolny rozpoczęto uroczyście 1 września 1949 r. Stosownie do zarządzenie Ministerstwa Oświaty z dnia 12.VIII 1949 Nr III4990/49, dzień ten miał uroczysty i radosny charakter. W pięknie udekorowanej sali szkolnej zebrała się młodzież, grono nauczycielskie, przedstawiciele Komitetu rodzicielskiego, Komitetu Opiekuńczego, przedstawiciele PZPR, Wojska, Związków Zawodowych, Młodzieży, Zakładów Pracy oraz rodzice dzieci. Zgodnie z zasadą wolności sumienia nauczycielstwo nie prowadziło w tym dniu dzieci na nabożeństwo kościelne, zezwalając jednak na indywidualne pójście uczniów, którzy sobie tego życzą w godzinach poprzedzających uroczystości szkolne. Uroczystość rozpoczęła się powitaniem Gości przez kierownika szkoły, który wygłosił zarazem dłuższe przemówienie. W przemówieniu nawiązał do 10-tej rocznicy wybuchu wojny światowej, klęski wrześniowej, wykazał wielkie osiągnięcia Polski Ludowej, przedstawił młodzieży zadania z nowym rokiem szkolnym, wynikające z przebudowy programów naukowych oraz walki o lepsze wyniki w nauce. Ogółem wpisanych do szkoły było 376 dzieci.

Skład grona nauczycielskiego: Marszałek Franciszek, kierownik szkoły, Flis Władysława, Gałecka Bronisława, Knapikowa Maria, Kowalska Paulina, Krupa Marian, Krupowa Stanisława, Maciaszek Kazimiera, Marcinek Apolonia, Markiewicz Domicel (kontrakt), Marszałek Kazimiera. Nauki religii udzielali ks. kan. Zastawniak Józef, ks. Matyjkiewicz Benedykt. Opiekę lekarską nad dziatwą szkolną sprawował dr Sobaszek Jan.

21 stycznia z okazji śmierci Włodzimierza Lenina odbyły się w klasach stosowne pogadanki o roli Lenina w rewolucji światowej. 21 marca z okazji rocznicy Komuny Paryskiej odbyła się w szkole uroczysta akademia.

Rok szkolny 1951/1952

W czasie od 14 października do 15 listopada, z polecenia władz szkolnych, obchodzono w tutejszej szkole miesiąc przyjaźni polsko-radzieckiej. W tym okresie odbywały się w klasach pogadanki, dzieci układały gazetki ścienne, a w dniu 17 listopada odbyła się uroczysta akademia.

W dniach 3, 5, 6 grudnia odbyła się wizytacja szkoły przez ob. Szymańskiego Kazimierza, podinspektora szkolnego. Po wizytacji odbyła się plenarna konferencja, podczas której wizytujący wypowiedział swoje uwagi krytyczne odnośnie stanu wychowania i nauczania w szkole. W dniu 21 grudnia z okazji urodzin Generalissimusa Józefa Stalina odbyła się na polecenie władz szkolnych akademia dla młodzieży szkolnej.

Dnia 7 stycznia odbyła się Choinka Noworoczna dla młodzieży szkolnej, na którą zaproszono Zarząd Komitetu Rodzicielskiego oraz rodziców dzieci. W dniu 18 stycznia grono nauczycielskie składało drugie kolokwium ideologiczne. Z okazji 60 rocznicy urodzin prez. Bolesława Bieruta odbył się w dniu 18 kwietnia uroczysty poranek dla młodzieży szkolnej.

W dniu 4 maja odbył się państwowy egzamin ideologiczny dla kierowników szkół, a 15 maja dla wszystkich nauczycieli. W dniu 22 lipca 1952 ogłoszono nową Konstytucję Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej, uchwaloną przez Sejm.

Rok szkolny 1952/1953

Do szkoły zapisało się 377 dzieci. Dzieci klas I i II pobierały naukę w wynajętej sali w Łęgu, zaś reszta dzieci pobierała naukę w budynku szkolnym w Czyżynach.

W dniu 21 grudnia odbyła się akademia z okazji 73 rocznicy urodzin Józefa Stalina. W dniu 21 stycznia odbyła się dla młodzieży szkolnej akademia z okazji 29 rocznicy śmierci W.I. Lenina. W dniu 16 marca młodzież szkolna złożyła hołd pośmiertny Józefowi Stalinowi. Dnia 19 marca odbyła się akademia z okazji śmierci Józefa Stalina. W dniu 18 kwietnia odbyła się akademia z okazji imienin Bolesława Bieruta.

Rok szkolny 1953/1954

Z dniem 31 sierpnia 1953 r. została przeniesiona w stan spoczynku Kazimiera Marszałkowa.

W dniu 14 października otwarto świetlicę przyszkolną. Na świetlicę przeznaczyły władze szkolne dawny Dom Ludowy. Z okazji Międzynarodowego Dnia Dziecka odbyła się na placu wypoczynkowym w Lasku Mogilskim impreza dla dzieci szkół nowohuckich. Na program imprezy złożyły się liczne konkursy, zawody, śpiewy, tańce itp. Organizatorzy tej imprezy włożyli wiele pracy, która udała się w zupełności, dając młodzieży dużo przyjemnych przeżyć.

Rok szkolny 1954/1955

Dni Oświaty, Książki i Prasy od 15 do 31 maja 1955 r. Korytarze szkolne i sale naukowe udekorowano hasłami i wykresami ilustrującymi rozwój biblioteki tutejszej szkoły w czasie 10-lecia oraz czytelnictwa w poszczególnych klasach. Urządzono stoisko z kolporterem książek polskich, konkurs recytatorski z nagrodami oraz loterię fantową.

Rok szkolny 1955/1956

Z okazji rozpoczęcia roku szkolnego odbył się w dniu 1 września 1955 uroczysty poranek, w którym wzięła udział młodzież szkolna, grono nauczycielskie, przedstawiciele Komitetu Rodzicielskiego i Opiekuńczego oraz licznie zebrani rodzice dzieci. Nauki religii w tym roku nie udzielano w szkole.

W dniu 8 marca z okazji Międzynarodowego Dnia Kobiet odbyła się akademia. Dnia 12 marca 1956 r. zmarł tow. Bierut. Śmierć nastąpiła w Moskwie, dokąd pojechał na obrady XX Zjazdu Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. W związku z powyższym udekorowano budynek szkoły oraz portrety w klasach okryto kirem, a harcerze zaciągnęli wartę honorową przed portretem umieszczonym w korytarzu.

Rok szkolny 1956/1957

W dniach 19-21 października odbywało się VIII Plenum KC PZPR, na którym doszło do zmian personalnych w składzie KC oraz zmian w życiu politycznym gospodarczym i kulturalnym w kraju. Zmiany te znane pod nazwą „Polskiego Października" zostały powitane z wielkim entuzjazmem przez ludzi pracy. Pierwszym sekretarzem KC PZPR został wybrany Władysław Gomułka, powrócili do pracy działacze jak: Marian Spychalski, Ignacy Loga-Sowiński i in. Setki ludzi zostały zrehabilitowane. Październik otworzył nowy rozdział w historii socjalizmu. Hasło własnej drogi do socjalizmu nadało przewrotowi światowy rozgłos. Nastąpiła też zmiana w stosunku do Kościoła i uregulowanie szeregu spornych problemów. Podobne zmiany miały być przeprowadzone na Węgrzech. Podczas gdy u nas zostało to dokonane bezkrwawo, z wielką powagą i zrozumieniem ważności chwili, na Węgrzech doszło do bratobójczych walk i zbrojnej interwencji wojsk radzieckich. Z dniem 3 grudnia wskutek zaszłych zmian październikowych wprowadzono do szkoły naukę religii jako przedmiot nadobowiązkowy. Nauczycielem religii został mianowany ks. Józef Zastawniak.

W dniu 4 maja uległ wypadkowi uczeń klasy III A, Bębenek, który bawił się pozostałymi z czasów wojny bombami. Dzięki natychmiastowej pomocy i szybko przeprowadzonej operacji udało się mu uratować życie.

Rok szkolny 1957/1958

Z powodu epidemii grypy, która nawiedziła niemal większą część globu ziemskiego, większa część młodzieży tutejszej szkoły uległa zachorowaniu. W związku z tym zajęcia w szkole zostały zawieszone na okres 2 tygodni.

Rok szkolny 1958/1959

Do szkoły zapisanych było 466 dzieci. Grono nauczycielskie składało się z 16 nauczycieli. Nauki religii jako przedmiotu nadobowiązkowego udzielał ks. Józef Zastawniak.

W Teatrze Ludowym odbyła się uroczysta akademia, w której udział wzięli wszyscy nauczyciele z dzielnicy Nowa Huta. Nauczyciele pionierzy otrzymali premie rzeczowe, jak radia „Szarotki", zegarki itd. Wybijający się w pracy społecznej nauczyciele zostali odznaczeni odznakami Miasta Krakowa. Na zakończenie akademii nauczyciele oglądali sztukę Camusa „Stan oblężenia". Z okazji zakończenia roku szkolnego oraz 10-lecia Nowej Huty przyjechał z Warszawy minister Oświaty Władysław Bieńkowski. Przez ulice Nowej Huty przeszedł barwny peleton młodzieży w strojach ludowych.

Rok szkolny 1959/1960

Uroczyste rozpoczęcie roku szkolnego odbyło się w dniu 1. IX. w sali Domu Ludowego. Nauki religii jako przedmiotu nadobowiązkowego udzielali ks. Józef Zastawniak i ks. Władysław Paciorek.

Rok szkolny 1960/1961

Naukę w szkole rozpoczęło 524 uczniów w 16 oddziałach, w których wychowawstwo objęli następujący nauczyciele: Maria Knapik, Bronisława Gałecka, Apolonia Walaszek, Lucyna Jarocka, Stefania Jasek, Emilia Kwiatkowska, Teodora Wrona, Maria Brumirska, Maria Pasternak, Stanisław Pietruszka, Jadwiga Mildner, mgr Alicja Richter, mgr Florentyna Woźniak, mgr Stanisława Krupowa, Marian Krupa, mgr A. Monkiewicz. Bibliotekę szkolną prowadzi mgr Nyczowa Zofia.

W dniu 26 listopada kierownik szkoły ob. Franciszek Marszałek po 42 latach pracy w zawodzie nauczycielskim został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Inspektorat Oświaty w Nowej Hucie powierzył obowiązki kierownika szkoły z dniem 1 maja br. Marianowi Krupie. W listopadzie b.r. rozpoczęta została budowa nowej szkoły w Łęgu jako pomnika 1000-lecia Polski.

MIECZYSŁAW MARZEC – Wspomnienia o szkolnictwie w Czyżynach

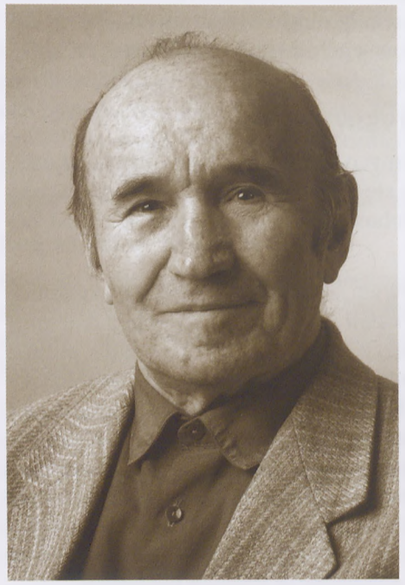

Mieczysław Marzec

Początki szkolnictwa w ówczesnej wsi Czyżyny sięgają II połowy XIX w. 2 maja 1876 r. Cesarsko-Królewska Rada Szkolna Krajowa orzeczeniem nr 4172 postanawia utworzenie szkoły w Czyżynach „jednoklasowej, pospolitej, etatowej". Zlokalizowano ją w środku wsi, u włościanina Franciszka Basia. Prawdopodobnie była ona przy obecnej ulicy Woźniców nr 14, gdzie do dziś mieszka rodzina Aleksandra Basia. Powyższe orzeczenie CK Rady ustaliło, że do tej szkoły należą dzieci z Czyżyn i przysiółka Łęgu. Zapisywanie do szkoły szło dość opornie, tak, że do 13 grudnia 1876 r. zapisało się tylko 28 chłopców z Czyżyn i 22 dziewczyny. Po 3 latach, z uwagi, że dotychczasowe pomieszczenie szkolne było bardzo małe, 29 marca 1879 r. rozpoczęto budowę nowego, większego i murowanego już budynku szkolnego na pograniczu Czyżyn i Łęgu, przy obecnej ulicy Sołtysowskiej. Budynek wybudowano bardzo szybko, bo już 7 grudnia 1879 r. został poświęcony przez ks. proboszcza Leopolda Siemińskiego z kościoła parafialnego pw. św. Bartłomieja w Mogile. Przez 22 lata szkoła ta w dalszym ciągu była szkołą jednoklasową. Reskryptem Rady Szkolnej Krajowej z 15 lipca 1901 r. przekształcono ją od dnia 1 września 1901 r. na szkołę dwuklasową.

Nauka w tym budynku szkolnym trwała aż do 1930 r., czyli przez 51 lat. 2 lipca 1929 r. rozpoczęto budowę nowej, siedmioklasowej Szkoły Powszechnej w Czyżynach, w tym miejscu, gdzie dziś się znajduje, tj. przy obecnej ulicy Centralnej. Inicjatorem budowy szkoły był Franciszek Marszałek, który objął obowiązki kierownika szkoły w starym budynku od września 1928 r. Zawiązano komitet budowy. Z prośbą o objęcie protektoratu przedstawiciele komitetu poprosili księcia arcybiskupa metropolitę Adama Stefana Sapiehę, który protektorat przyjął, oraz ofiarował na budowę nowej szkoły kwotę 10 000 zł. Była to na ówczesne czasy bardzo duża kwota. Budowa przebiegała bardzo szybko, bo już 22 września 1930 r., to jest po czternastu miesiącach odbyło się uroczyste otwarcie i poświęcenie nowej szkoły. Poświęcenia dokonał książę arcybiskup metropolita Adam Stefan Sapieha. W uroczystości tej wzięli również udział m. in. ówczesny wojewoda krakowski, Kwaśniewski, starosta powiatowy, p. Orłowski, przedstawiciele różnych organizacji, członkowie komitetu budowy, wójt gminy Czyżyny – Jan Malinowski, dzierżawca dworu i członek komitetu inż. Kazimierz Cieślewicz, bardzo licznie zgromadzeni mieszkańcy Czyżyn i Łęgu no i oczywiście dziatwa szkolna. Budynek projektował inż. architekt Morawiecki. Jak na ówczesne czasy, co widać również na fotografiach, był to budynek duży, jednopiętrowy, podpiwniczony na całej długości, z cegły, otynkowany, kryty dachówką, posiadający wodociąg. Obok był osobny budynek ustępów szkolnych z osobnym wejściem dla dziewcząt i osobnym dla chłopców (stoi nie używany do dziś). Budynek szkolny posiadał 8 wielkich klas szkolnych, bardzo jasnych, w tym największą salę gimnastyczną. Przez całą długość budynku biegły korytarze zarówno na parterze, jak i na I piętrze. W budynku oprócz wspomnianych sal szkolnych była jeszcze mniejsza sala zwana „gabinetem", kancelaria kierownika oraz jego mieszkanie służbowe i „służbówka" tercjana. Pokój zwany „gabinetem" mieścił się na parterze w ostatniej sali na prawo od głównego wejścia. Znajdowały się w nim m.in. mapy fizyczne i polityczne, globusy, obrazy o treści religijnej z Nowego Testamentu, obrazy o treści historycznej, duże cyrkle, kątomierze, wagi i wiele innych przedmiotów potrzebnych na lekcjach. W ostatnim pokoju po lewej stronie na I piętrze znajdowała się kancelaria kierownika szkoły, Franciszka Marszałka. Z tej kancelarii miał wejście do mieszkania prywatnego.

Kierownik Marszałek był bardzo dobrym nauczycielem i organizatorem. Był wysokiego wzrostu, szczupły, bardzo elokwentny, co uwidaczniało się zarówno w czasie lekcji, jak i podczas różnego rodzaju uroczystości, akademii, czy też okolicznościowych „poranków". Dbał bardzo o szkołę, o jej wyposażenie, jak już wspomniałem wyżej był inicjatorem budowy tej pięknej siedmioklasowej szkoły. Był moim nauczycielem i równocześnie wychowawcą w klasach 6-7. Kierował tą szkołą przez 32 lata, w tym przez trudne lata wojny i pierwsze 15 lat PRL.

Największą salą szkolną była sala gimnastyczna. Było w niej aż 5 dużych okien. Odbywały się w niej lekcje gimnastyki oraz zajęcia z prac ręcznych – chłopcy oprawiali książki, budowali z dykty różne przedmioty,

dziewczęta wyszywały, haftowały itp. Ponadto w tej sali odbywały się szkolne przedstawienia oraz różnego rodzaju akademie i tzw. „poranki" z okazji Święta 3 maja, Święta Niepodległości 11 listopada, Imienin Marszałka Józefa Piłsudskiego, prezydenta RP prof. Ignacego Mościckiego, a w ostatnich latach przedwojennych z okazji Imienin Marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza. W każdej sali lekcyjnej było podium, a na nim „katedra". Nad nimi znajdował się krzyż, godło państwowe, portrety: Marszałka J. Piłsudskiego i prezydenta I. Mościckiego. Tablica znajdowała się nie na ścianie, lecz na tzw. „trójnogu". W salach lekcyjnych były duże piece kaflowe w brązowym kolorze. Chłopcy i dziewczęta siedzieli w osobnych rzędach ławek. Dziewczęta siedziały w rzędzie po lewej stronie od wyjścia, a chłopcy po prawej stronie. Środek sali był pusty. W pierwszych rzędach siedzieli uczniowie najniższego wzrostu aż do najwyższych w ostatnich rzędach.

Każdy nowy rok szkolny rozpoczynał się uroczystą mszą św., do września 1936 r. w kościele parafialnym pw. św. Bartłomieja w Mogile, a od września 1937 r. już w budującym się kościele pw. św. Judy Tadeusza w Czyżynach. Rozpoczęcie nauki w każdym dniu odbywało się następująco: wszystkie te klasy, które rozpoczynały lekcje o 8 rano, zbierały się na parterze i wspólnie odmawiały modlitwę rozpoczynającą się od słów: „Duchu Święty który oświecasz serca nasze i umysły nasze...". Na koniec ostatniej lekcji w każdej klasie była odmawiana następująca modlitwa zaczynająca się słowami „Dzięki Ci Boże za świętość tej nauki...". Na lekcjach śpiewu, uroczystych akademiach i porankach śpiewano piosenki żołnierskie, przede wszystkim legionowe na cześć Marszałka J. Piłsudskiego jak np.: „My, Pierwsza Brygada", „Pierwsza Kadrowa", „Jedzie na Kasztance", „Hej strzelcy wraz", „Szara piechota", „Rozkwitały pąki białych róż", „Piosnka o Belinie", „Hej, hej ułani malowane dzieci", „Jak to na wojence ładnie", „O mój rozmarynie". W latach 1937-1939 śpiewano piosenki o marszałku Edwardzie Rydzu-Śmigłym: „My wszystkie dzieci małe i duże" oraz „Marszałek Śmigły-Rydz, nasz drogi dzielny Wódz".



Szkoła w Czyżynach

Przy budynku szkolnym było bardzo duże podwórko, od strony ulicy otoczone akacjami. Na wiosnę, w lecie i we wczesnej jesieni odbywały się na nim lekcje gimnastyki oraz wszelkiego rodzaju „zbiórki". W czasie przerw, a zwłaszcza w czasie dużej przerwy, służyło do wszelkiego rodzaju zabaw i gier. W szkole w tych latach trzydziestych funkcjonował sklepik szkolny. Obsługiwali go najlepsi uczniowie najstarszych roczników. Uczniowie kupowali w nim zeszyty, bloki szkolne, ołówki, stalówki, farbki, gumy do wycierania itp. Utarg oddawali kierownikowi szkoły. Przez 2 albo 3 lata wydawano dla najbiedniejszych dzieci ciepłe posiłki, kawę, pieczywo. Był komitet złożony z matek dzieci, które zajmowały się tymi posiłkami. Istniał samorząd klasowy z wójtem na czele. Lekcje religii w tych latach prowadzili:

- o. Józef Vraćko – cysters z Mogiły, uczył mnie w klasach 1-3 i przygotowywał do I Komunii św. w 1936 r. Z kimkolwiek o nim rozmawiam, wszyscy wspominają go jako człowieka o „głębokim sercu" i niezwykłej cierpliwości,
- ks. kanonik Józef Zastawniak – proboszcz i budowniczy kościoła pw. św. Judy Tadeusza,
- o. Robert Ciszek – również cysters z Mogiły.

Grono pedagogiczne w tych latach stanowili:

- Franciszek Marszałek – kierownik szkoły, mój wychowawca w kl. 6-7,
- Kazimiera Marszałek – żona kierownika, nauczycielka,
- Zofia Dzióbek – najstarsza stażem w szkole,
- Kazimiera Maciaszek – wspaniała polonistka, jej uwagi z nowej ortografii, wprowadzone w 1936 r., pamiętam do dziś,
- Stanisław Dudek – uczył śpiewu, robót ręcznych, gimnastyki, mój wychowawca w kl. 5,
- Jadwiga Dudek – żona Stanisława, uczyła jeszcze przed małżeństwem jako Jadwiga Wojewodzianka, moja wychowawczyni w kl. 3-4,
- Karolina Nowotarska – moja wychowawczyni w kl. 1-2, wspominam ją z rozrzewnieniem, bo była moją pierwszą nauczycielką,
- Józefa Dynowska – zwiedziła wiele krajów, o których wspominała na geografii,
- Maria Knapik – mnie nie uczyła,
- Helena Hawrankowa – również mnie nie uczyła.

W latach 1938-1939 była w szkole wypożyczalnia książek. Prowadził ją kierownik Franciszek Marszałek. W styczniu 1939 r. oddano do użytku szkoły czterolampowy radioodbiornik wraz z głośnikiem zakupionym z zysku powstałego po zabawie. Głośnik umieszczony był na półpiętrze. Dzieci gromadziły się na parterze, schodach z parteru na I piętro i na I piętrze. Chłopcy nosili na głowach czapki tzw. „rogatywki" z daszkiem.

Na górze czapki były litery SP, co oznaczało Szkołę Powszechną, oraz cyfrę od 1 do 7, w zależności od klasy, do której uczęszczał dany uczeń.

Na zakończenie pragnę jeszcze podać, że w tych latach trzydziestych urządzane były wycieczki do Krakowa, gdzie zwiedzano zamek królewski i katedrę na Wawelu, muzeum w Sukiennicach, Muzeum Czartoryskich. Wycieczki odbywano pociągiem, który jeździł obecną al. Jana Pawła II, ulicą Mogilską do rzeki Białuchy, skąd trasa pociągu prowadziła na dzielnicę Dąbie i Grzegórzki dojeżdżając do obecnego dworca głównego. Odbywały się też wycieczki kolejowe do kopalni soli w Wieliczce oraz wycieczki do Ojcowa. Jako ciekawostkę dodaję, że jedną z nich odbyto wozem drabiniastym (takim jakim woziło się zżęte zboże) oraz wózkiem konnym.

Aby ocalić od zapomnienia i dać świadectwo prawdzie, przedstawię bardzo ciężki, a może nawet najtrudniejszy rok szkolny 1939/1940. Chcę aby ludzie młodsi, młodzież i dzieci obecnie uczęszczające do tej szkoły (ale nie tylko oni) dowiedzieli się o tym jak ówczesne dzieci zdobywały wówczas naukę. W latach do 1939 r. zasadą było, że rok szkolny tak jak i obecnie rozpoczynał się 1 września (oczywiście o ile to nie była niedziela). Dzień 1 września 1939 r. przypadł w piątek, czyli powinien się rozpocząć rok szkolny. Niestety nie rozpoczął się, bowiem w tym dniu Niemcy hitlerowskie napadły zbrojnie na Polskę i rozpoczęła się straszliwa w skutkach II wojna światowa, trwająca prawie 6 lat. Większość miast polskich, w tym oczywiście i Kraków, zostało w pierwszym dniu wojny bombardowane przez lotnictwo niemieckie już we wczesnych godzinach rannych. Mieszkańcy dzielnicy Czyżyny, z uwagi na to, że wówczas w Czyżynach i Rakowicach było lotnisko, już w tym pierwszym dniu wojny ponieśli śmiertelne ofiary. Słyszę jeszcze ten straszliwy warkot lecących bardzo nisko samolotów, wybuchy zrzucanych bomb i widzę nas przerażonych skutkami bombardowań. Byli oczywiście zabici i ranni, m.in. zabity mój wujek i ranny brat, który do dziś nosi w sobie nie usunięte odłamki. Uszkodzonych zostało kilka domów. Na obecnej al. Jana Pawła II zabitych zostało kilkunastu żołnierzy. Oczywiście o rozpoczęciu nauki nie było mowy. W tych pierwszych dniach pamiętnego września część mieszkańców Krakowa i Czyżyn (jak i innych miast) opuszczało domostwa udając się na Wschód; w tym również ówcześni nauczyciele.

Wojska niemieckie wkroczyły do Krakowa 6 września 1939 r. W tym samym dniu budynek szkoły w Czyżynach został zajęty od razu przez wojsko niemieckie. Po kilkunastu dniach wojsko opuściło budynek szkoły i w międzyczasie zaczęli też powracać ci mieszkańcy Czyżyn, którzy opuścili domostwa, w tym zaczęli też stopniowo powracać i nauczyciele. W związku z tym nauka w szkole rozpoczęła się dopiero w dniu 21 września 1939 r. I to jeszcze nie we wszystkich klasach z uwagi na to, że nie wszyscy nauczyciele zdążyli powrócić. W tym dniu nauczanie rozpoczęły 2 nauczycielki, panie Jadwiga Dudek i Kazimiera Maciaszek w klasach II-V. 26 września nauczanie rozpoczął kierownik szkoły, pan Franciszek Marszałek oraz jego żona Kazimiera, 28 września rozpoczął nauczanie pan Stanisław Dudek, a 3 października Helena Hawrankowa i Maria Knapik. Pierwsze oficjalne zarządzenie niemieckich władz okupacyjnych otrzymała szkoła 13 października 1939 r. Było to zarządzenie Landrata (czyli starosty) krakowskiego, dr. Spiesbacha. Zgodnie z tym zarządzeniem władze zezwalały na uruchomienie szkół powszechnych z polskim językiem nauczania. Równocześnie zarządzenie to zabraniało nauczania historii polskiej, geografii politycznej oraz nauk politycznych. Wprowadzało obowiązkowo udzielanie lekcji języka niemieckiego. Kolejne zarządzenie Landrata z dnia 16 grudnia 1939 r. polecało usunąć ze szkoły wszystkie dzieci żydowskie. Do szkoły w Czyżynach uczęszczało wówczas 2 uczniów żydowskiego pochodzenia. Byli to bracia o nazwisku Wohlfeiler. Ojciec ich miał masarnię w nieistniejącym dziś budynku przy ul. Jutrzenki. Starszy z braci, Leopold, chodził razem ze mną do tej samej klasy przez ponad 6 lat. Został zamordowany. Był dobrym uczniem. Zarządzenie to nakazywało także usunięcie ze szkół wszystkich podręczników do nauki będących w posiadaniu zarówno uczniów, jak i nauczycieli. Przedmiotowe zarządzenie polecało usunąć też wszystkie godła i portrety dostojników polskich, znajdujące się w salach szkolnych. Książki z biblioteki szkolnej, dzieci i nauczycieli zostały zamknięte w szafach i opieczętowane. Nauka odbywała się bez książek.

16 marca 1940 r. przybyło na kwaterę do tutejszej szkoły wojsko niemieckie, zajmując wszystkie sale szkolne na parterze budynku oraz jedną salę na I piętrze. W związku z powyższym nauka odbywała się w zmniejszonej ilości w 3 kompletach po 3 godziny dziennie, tak, aby chociaż w zmniejszonej ilości mogli się uczyć uczniowie z wszystkich klas od I do VII. Rozporządzeniem Generalnego Gubernatora Hansa Franka z 18 kwietnia 1940 r. usunięto ze szkół powszechnych naukę języka niemieckiego. Pozostała ona obowiązkowa w szkołach zawodowych różnego typu. Jak wiadomo okupant niemiecki nie zezwalał na naukę w gimnazjach, liceach i szkołach wyższych.

Tymi wspomnieniami chciałem przedstawić w jakich warunkach przyszło się nam uczyć w wyjątkowo trudnym roku szkolnym 1939/1940, który był zarazem pierwszym rokiem wojny. Zakończenie tego roku szkolnego odbyło się 30 czerwca 1940 r. Po nabożeństwie w budującym się kościele pw. św. Judy Tadeusza uczniowie i uczennice otrzymali świadectwa szkolne z tekstem dwujęzycznym, tj. w języku polskim i języku niemieckim. Uczennice i uczniowie klasy VII, do której ja wówczas uczęszczałem, otrzymali świadectwo ukończenia VII-klasowej Szkoły Powszechnej. Razem ze mną ukończyła w tym dniu szkołę Maria Miechowicz, która jako mężatka Maria Pasternak przez długie lata była nauczycielką w tej szkole. Swoje wspomnienia o szkolnictwie powszechnym, czyli jak się to dzisiaj mówi podstawowym kończę na 30 czerwca 1940 r. Wtedy to zostałem absolwentem tej szkoły.

Na zakończenie jeszcze kilka ważniejszych wydarzeń z dziejów tejże szkoły:

- W czerwcu 1941 r. dotychczasowa wieś Czyżyny zostaje włączona do miasta Krakowa, szkoła staje się szkołą miejską,
- W latach powojennych szkole zostaje nadany nr 52 i jako taka istnieje przez szereg lat,
- W 90-lecie istnienia szkoły, 18 czerwca 1967 r. nadano jej imię Marii Dąbrowskiej,
- W 1973 r. tragiczna dla szkoły decyzja władz miasta i dzielnicy, następuje bowiem likwidacja szkoły. Budynek szkoły oddano Zakładowi Remontowo-Budowlanemu „Oświata". Dzieci młodszych klas mają uczęszczać do szkoły na os. Dąbie, a starszych klas do szkoły nr 103 na os. Kolorowym,
- Część mieszkańców osiedla podejmuje długo trwające starania o przywrócenie szkoły z uwagi na to, że wzrosła bardzo znacznie liczba dzieci w nowych blokach przy ul. Wężyka, Centralnej, Narciarskiej; powstają nowe domy jednorodzinne. Zawiązuje się Komitet Rozbudowy Szkoły. Szereg osób podejmuje bezinteresownie pracę fizyczną przy rozbudowie. W księdze pamiątkowej szkoły znajdują się nazwiska osób szczególnie zasłużonych przy rozbudowie i wznowieniu działalności szkoły. Do ówczesnego obiektu w następnych latach dobudowano 2 nowe segmenty i połączono z ówczesnym domem ludowym, tworząc w ten sposób całość czterosegmentową,
- Starania zostają uwieńczone sukcesem 2 marca 1991 r. Następuje ponowne przywrócenie szkoły, początkowo dla najmłodszych klas,
- 1 września 1992 r. szkoła otrzymała nr 156 i rozpoczęła normalną działalność,
- 24 października 1994 r. nadano szkole słusznie imię ks. kardynała Adama Stefana Sapiehy. Poświęcenia tablicy pamiątkowej dokonał w zastępstwie ks. kardynała Franciszka Macharskiego – ks. biskup Kazimierz Nycz.

Mimo, że od czasu mojego uczęszczania do tej szkoły upłynęło ponad 60 lat, to zawsze z wielkim rozrzewnieniem i wzruszeniem wspominam te lata. Wspominam ciepło ówczesnych nauczycieli, którzy od dawna już nie żyją, ale pozostali w mej pamięci. Ilekroć idę ul. Centralną lub jadę al. Pokoju, to zawsze kieruje wzrok do tej szkoły.

dr BARBARA SALWIŃSKA-CIEĆKIEWICZ – Działalność edukacyjna i kulturalno-oświatowa na podkrakowskich wsiach



Kobiety z Sekcji Kobiet przy Zarządzie Okręgowym Stronnictwa Ludowego na Małopolskę i Śląsk. Od prawej: Agnieszka Zbrojowa z Czyżyn, Ida Kotowa, Maria Hulewiczowa, Helena Mierzwina z Kościelnik.

W XVIII i XIX w. myśląca społeczność w Polsce zorientowała się, że dotychczas funkcjonujące szkolnictwo, organizowane przez instytucje kościelne, nie wystarcza. Należy objąć programem edukacyjnym szerokie rzesze ludności wiejskiej. Zdawano sobie sprawę, iż wykształcenie jej, nawet na elementarnym poziomie, będzie nie tylko ułatwieniem w ich życiu, ale przyczyni się do poprawy ich świadomości, tak ważnej dla wykorzystania ich dla sprawy narodowej w okresie zaborów.

W latach siedemdziesiątych XIX w. wprowadzono jako obowiązujące austriackie ustawodawstwo szkolne, które, wykorzystując autonomię, dostosowano do warunków Galicji, z pozostawieniem jego narodowego charakteru. Szkolnictwo elementarne – ludowe, zawodowe, szkolenie nauczycieli i średnie ogólnokształcące podlegało Krajowej Radzie Szkolnej, a na naszym terenie Krakowskiej Okręgowej Radzie Szkolnej. Obowiązkiem szkolnym objęto dzieci w wieku 6-12 lat. Szkolnictwo elementarne było finansowane przez Gminy i Okręgowy Fundusz Szkolny. Dzięki tej ustawie w Galicji były najlepsze warunki do rozwoju oświaty spośród ziem polskich znajdujących się pod zaborami. Wprowadzenie tych korzystnych przepisów nie było łatwe bez uprzednio przygotowanej infrastruktury – nie było budynków szkolnych, wystarczającej liczby nauczycieli, często trzeba było przekonywać rodziców o konieczności posyłania dzieci do szkoły.

Ważnym było wsparcie tego nowego programu edukacyjnego, wprowadzonego przez zaborcę, przez Polaków, którzy dobrze rozumieli ważność problemu i włączyli się czynnie do współpracy. Szybko powstawały nowe seminaria nauczycielskie, bowiem prowadzone dotychczas przez siostry prezentki kształcenie do zawodu nauczycielskiego było niewystarczające. W 1910 r. w Krakowie został wydany elementarz, opra-

cowany przez M. Falskiego pt. „Nauka czytania i pisania dla dzieci", z ilustracjami krakowskiego malarza J. Rembowskiego, będący przez długie lata podstawą w nauczaniu początkowym.

Tak też w Czyżynach, jak podaje w swojej kronice szkoły pierwszy nauczyciel, Tadeusz Holcer, na mocy orzeczenia Wysokiej C.K. Rady Szkolnej Krajowej z dnia 2 maja 1876 r. została utworzona jednoklasowa szkoła elementarna – ludowa, finansowana przez Gminę i Okręgowy Fundusz Szkolny. W tym celu wynajęto w środku wsi u Franciszka Basia wiejską chatę. Pomimo zagrożenia karami, w pierwszym roku z Czyżyn wpisało się do szkoły tylko 28 chłopców i 22 dziewczynki. Wkrótce stan ten uległ poprawie; przyszły do szkoły dzieci z Łęgu i zwiększyła się ich liczba. Życie tych dzieci nie było łatwe. Do szkoły chodziły głównie zimą, bowiem w lecie często musiały pracować w polu lub bawić młodsze rodzeństwo.

Już w marcu 1879 r. rozpoczęto budowę nowej szkoły na granicy Czyżyn i Łęgu, której fundusz budowy wspomógł cesarz Franciszek Józef kwotą 200 zł reńskich. Był to budynek drewniany, na wysokiej podmurówce, dość duży, mający kilka pomieszczeń lekcyjnych. Naukę w ukończonej szkole rozpoczęto już 4 listopada 1879 r.; systematycznie zwiększała się liczba uczniów i nauczycieli. Ze szkoły jednoklasowej powstała najpierw szkoła dwu-, a potem czteroklasowa, z językiem wykładowym polskim, a w klasach wyższych, tj. w III i IV wprowadzono naukę języka niemieckiego. Kierownikiem szkoły w latach 1910-1928 był Jan Dziubek, w szkole uczyła również jego córka, Zofia Dziubkówna, potem przywędrowała z matką do Czyżyn miła nauczycielka Kazimiera Maciaszkówna. Zwykle w tej szkole jeden nauczyciel uczył wszystkich przedmiotów. Religii uczył ksiądz z Mogiły. Do I Komunii św. dzieci przystępowały w III klasie.

Wkrótce nabrano szacunku do szkoły, która nie była tylko uciążliwością. Starszym mieszkańcom imponowało, że ich dzieci potrafią nie tylko podpisać się, ale również mogą sobie przeczytać wszystko, co podpisują. Dzieci miały też urozmaicenia w szkole; uczyły się śpiewać, brały udział w przedstawieniach, które organizowała lubiana przez nich pani Maciaszkówna.

Po odzyskaniu niepodległości w roku 1918 władze państwowe przejęły nadzór nad edukacją, kontynuując szkolenie elementarne w ramach szkół powszechnych. W 1928 r. na drodze konkursu nowym kierownikiem szkoły powszechnej w Czyżynach został Franciszek Marszałek, który stary budynek szkoły ocenił jako zniszczony i podjął inicjatywę budowy nowej szkoły na terenie Czyżyn. Nad tą budową objął patronat arcybiskup Adam Stefan Sapieha, ofiarując na ten cel 10 000 zł. Przy wsparciu finansowym i pracy ludności miejscowej wybudowano w ciągu jednego roku murowaną piętrową szkołę – służącą do dziś. Po dokonanym poświęceniu przez arcybiskupa Adama Stefana Sapiehę już 24 września 1930 r. rozpoczęto naukę w nowej szkole, która wkrótce stała się szkołą pięcioklasową, a następnie siedmioklasową, otwierającą zdolniejszym dzieciom drogę do szkół średnich w Krakowie, z czego z dobrym rezultatem dość dużo osób skorzystało. Z przybywających do Czyżyn nauczycieli na stałe zamieszkali kierownik Jan Dziubek z rodziną, pani Kazimiera Maciaszkówna i pani Maria Knapikowa – wraz z synami. Pani Knapikowa w swoim prywatnym mieszkaniu douczała dzieci z pierwszych klas, które miały trudności w czytaniu i pisaniu. Ze stypendium z funduszu gminnego mogły skorzystać zdolne dzieci z biedniejszych rodzin, wykazujące chęć dalszej edukacji, jak np. Stanisław Suder.

Bardzo ważnym okazał się właściwy dobór nauczycieli na stanowiska kierowników szkół powszechnych. Poza kierowaniem placówką i nauczaniem byli oni życzliwymi doradcami dla młodzieży w wyborze dalszego postępowania po zakończeniu szkoły. Już wtedy było wiadomym, że nie wszyscy będą mogli się utrzymać z gospodarstw rolnych. Zmieniają się czasy, trzeba ruszyć do dalszej nauki dla zdobywania nowych kwalifikacji i zawodów w zmieniającym się świecie. Ci niezapomniani, zacni przyjaciele młodzieży jak Kazimierz Łowczowski z Bieńczyc, Jan Twaróg z Pleszowa, Franciszek Twaróg z Luboczy, Franciszek Marszałek z Czyżyn, Franciszek Romański z Mogiły, Jadwiga Hausner z Ruszczy i im podobni, nauczyciele społecznicy, doradzali uzdolnionym dzieciom dalszą naukę w szkołach średnich w Krakowie, często ich nawet tam zaprowadzając. Wcześniej musieli jeszcze do tego przekonać ich rodziców i przygotować na nowe wydatki związane ze szkołą. Tak też kierownik Kazimierz Łowczowski tłumaczył matkom w Bieńczycach, żeby sprzedały nawet kawałek pola, a posłały swoje zdolne dziecko do szkoły do Krakowa. Dzięki tym matkom, które opłacały kształcenie swoich dzieci za sprzedawane płody rolne i mleko, niesione w „tobołkach" na plecach (koszyki zawiązane w białą płachtę – z przodu przywiązana bańka z mlekiem), często idących pieszo do miasta, powstała ta nowa, tzw. „tobołkowa inteligencja". To właśnie ta pierwsza inteligencja wiejska poniosła potem szerzej na wieś „kaganek oświaty".

Tym młodym ludziom ze wsi nie było też łatwo przystosować się w nowej szkole i w nowym otoczeniu. Czasem natrafiali bowiem na życzliwych im nauczycieli i kolegów w mieście, ale zdarzały im się nawet sytuacje upokarzające, jeżeli otoczenie nie było im przychylne. Chodząc do szkoły musieli pomagać w gospodarstwie lub też dorabiać sobie korepetycjami. Dzięki tej nowo wykształconej inteligencji, w Galicji wkrótce nie było problemu z obsadzaniem stanowisk w różnych urzędach, szkołach, sądownictwie, a nawet w Kościele, ze względu na dość dużą liczbę wyświęconych księży pochodzących ze wsi.

Dla młodzieży dojeżdżającej do szkół, dobrodziejstwem był pociąg z Kocmyrzowa do Krakowa z 2 wagonami szkolnymi, w których rano wszyscy się pośpiesznie uczyli, a w powrotnej drodze kwitło życie towarzyskie i było wesoło. Młodzież z Czyżyn w dość dużej liczbie uczęszczała do szkół do Krakowa. Chłopcy najczęściej chodzili do Gimnazjum Św. Jacka, dziewczęta różnie – do gimnazjów i seminariów nauczycielskich państwowych i prywatnych. Znane mi są trzy kobiety: Maria Kawulanka, Maria Malinowska i Stanisława Czopek, które w jednym roku zdały maturę w Gimnazjum im. Królowej Wandy. Maria Kawulanka dodatkowo chodziła do Szkoły Ekonomiczno-Handlowej, mieszczącej się na rogu ulic Kapucyńskiej i Straszewskiego, uzyskała świadectwo z jej ukończenia i zdania egzaminu końcowego w roku szkolnym 1926/1927. Stanisława Czopek ukończyła następnie dwuletnie Państwowe Studium Pedagogiczne im. Rowida, po którym wraz z mężem o podobnych kwalifikacjach pracowali w szkołach w Gorcach, a po zakończeniu wojny wrócili do Czyżyn. Pani Krupowa była pierwszą nauczycielką w naszej szkole pochodzącą z Czyżyn, była zarazem pierwszą kobietą z Czyżyn, która po ukończonych zaraz po wojnie wyższych studiach uzyskała tytuł magistra filologii polskiej. Uczyła języka polskiego i historii, a pan Marian Krupa po roku 1961 został dyrektorem szkoły w Czyżynach i uczył nadal matematyki i przedmiotów przyrodniczych. Pozostawili po sobie pamięć dobrych nauczycieli, życzliwych dzieciom i ich rodzicom.

Maria Malinowska-Twardy, córka wójta Jana Malinowskiego, która wyszła za mąż jeszcze przed wojna za oficera wojska polskiego, po wojnie została przeprowadzona z córeczką przez „zieloną granicę" na Zachód przez brata aktora Niemczyka, przysłanego przez jej męża. Potem zamieszkali z rodziną w Anglii (dokumentalny reportaż z tej wyprawy był emitowany w telewizji). Z mężczyzn, którzy ukończyli średnią szkołę przed 1939 r., dwaj, tj. Marian Tyrka i Anatol Boczek, po ukończeniu seminarium duchownego zostali wyświęceni na księży jeszcze w czasie okupacji. Marian Tyrka był pierwszym księdzem pochodzącym z Czyżyn. Prymicyjną mszę świętą w kościele pod wezwaniem św. Tadeusza Judy odprawił w 1943 r. Potem został skierowany do pracy duszpasterskiej w Górach Świętokrzyskich, gdzie był zaaresztowany przez Niemców, ale udało się go uwolnić. Po wojnie przez wiele lat był wikarym w kościele parafialnym w Zakopanem na Krupówkach, a następnie w kaplicy u sióstr. Zmarł w Zakopanem w roku 1965. Janina Czernek – uczennica ze szkoły prowadzonej przez siostry klaryski przy ul. Grodzkiej wspomina, że w szkole w Czyżynach uzupełniała szkolenie elementarne do VII klasy, a następnie uczęszczała u sióstr do dwuletniej zawodowej szkoły krawieckiej, dającej uprawnienia czeladnicze. Miesięczna opłata za szkołę powszechną wynosiła 15 zł, a za zawodową 25 zł.

Posyłanie dzieci do szkoły do Krakowa było kosztowne. Piotr Tynor z „Pagórka przy figurze" na kształcenie córki Kasi przeznaczał całą swoją rentę inwalidy z I wojny światowej. Chłopcy uczyli się zawodów w prywatnych zakładach: ślusarskich, wodno-kanalizacyjnych, budowlanych (murarzy, tynkarzy, stolarzy). Pracujący w Zakładach Zbożowych w „Ziarnie" uczyli się na piekarzy, u Zieleniewskiego na Grzegórzkach i u Klimka przy ul. Mogilskiej na ślusarzy, spawaczy i mechaników.

W roku 1939 nadeszły ciężkie czasy okupacji hitlerowskiej. Dzięki zdolnościom organizacyjnym Franciszka Marszałka, kierownika szkoły, udało się bez przerwy kontynuować naukę, pomimo okresowo zajmowania części budynku przez wojsko niemieckie. Niemcy z programu szkół powszechnych usunęli naukę historii, geografii, literatury. Nauczanie w języku polskim odbywało się z wprowadzonych czasopism o nazwie „Ster" i „Mały Ster", które miały zastąpić polskie czytanki dla dzieci. Niemcy jak mogli utrudniali nauczanie w szkołach, zmniejszając liczbę nauczycieli i dotacje na szkoły. W zimie rodzice składali się na zakup opału. Do szkół przychodziła czasem policja, robiąca rewizje dzieciom w tornistrach, szukająca polskich podręczników. Chodzący na tajne nauczanie nigdy nie nosili z sobą podręczników, tylko zeszyty. Najpierw zostały zlikwidowane szkoły wyższe, a potem zamknięto średnie szkoły ogólnokształcące.

Te restrykcje wprowadzone przez Niemców Polacy szybko sobie zrekompensowali, organizując tajne nauczanie. Do Czyżyn przyjeżdżał uczyć chłopców prof. Witold Grzybek z Gimnazjum Św. Jacka z Krakowa, a pomagał mu Stanisław Suder, mieszkający w Czyżynach. Dla dziewcząt zorganizowała nauczanie prof. Wanda Mirowska w domu swojej siostry, Magdaleny Ralskiej. Inni korzystali z dobrze zorganizowanego tajnego nauczania w niedalekich Bieńczycach. W akcję tajnego nauczania włączyli się wszyscy kierownicy miejscowych szkół, księża z parafii (ks. Leon Katana, ks. Stanisław Sikora, ks. Adam Biela, wikary z Raciborowic i inni). Księża nie tylko uczyli religii, ale również prowadzili wykłady z innych przedmiotów i udostępniali miejsca na spotkania z młodzieżą. Z Krakowa dojeżdżali profesorowie i studenci, czynnie włączyli się nauczyciele – przesiedleńcy z okolic Lwowa i innych miejsc, a na końcu wysiedleni po powstaniu z Warszawy, którzy zamieszkali na podkrakowskich wsiach. Zorganizowane były sprawdziany dla zaliczenia roku szkolnego, a nawet możliwość zdawania matury przed komisją w Krakowie. Pod koniec wojny tajne nauczanie na wszystkich szczeblach było tak dobrze zorganizowane, że kto tylko chciał się uczyć i był „człowiekiem zaufania", to mógł z niego skorzystać pomimo srogich kar, jakie za to groziły.

Niemcy, którzy zamknęli szkoły wyższe, bo istnienie polskiej inteligencji uważali za zagrożenie, potrzebowali jednak wykwalifikowanej siły roboczej. Dlatego zezwolili w Krakowie na jawne prowadzenie Zawodowej Szkoły Hutniczo-Górniczo-Mierniczej, mieszczącej się na Krzemionkach, Zawodowej Szkoły Chemicznej przy ul. Olszewskiego i Państwowej Szkoły Budownictwa – Wydział Wodno-Komunikacyjny przy ul. Dietla. Na Pędzichowie pod nr 13 została zorganizowana Zawodowa Szkoła Krawiecka dla dziewcząt, na bazie dawnego Gimnazjum Świętej Rodziny, z pozostawieniem nawet dawnej dyrektorki, pani Kuklewicz. Nauczycielki z tej szkoły na lekcjach wychowawczych przekazywały „zakazane informacje z historii i literatury". Uczennice w ramach zajęć szkolnych miały obowiązek naprawiania – „łatania" przywożonej z pralni bielizny niemieckich żołnierzy, być może z tego tytułu szkoła dostawała produkty do przygotowania im codziennego posiłku. Przy ul. św. Jana 22 czynne było Gimnazjum Kupieckie, gdzie wykładowcami byli Józef Marcinkowski i Jan Witaszek, którzy poza swoją legalną działalnością edukacyjną wydawali tam „Wieści Ludowe", pierwsze konspiracyjne czasopismo ruchu ludowego. W 1941 r. powstała w szkole w Mogile legalna szkoła rolnicza dla gospodarzy i gospodyń wiejskich, której kierownikiem był Franciszek Kośmider, a uczęszczało do niej około 120 osób z Mogiły i okolicznych wsi.

Wspomniane szkoły spełniały swoje zadanie nie tylko pod względem fachowym, ale także pod względem wychowawczym i politycznym, a co było również bardzo ważne, chroniły młodzież przed wywózką na roboty do Niemiec. Do tych szkół mieszczących się w Krakowie uczęszczała też starsza młodzież z okolicznych wsi, dojeżdżająca pociągiem do Krakowa. Dzięki korzystaniu ze wszystkich możliwości kształcenia się w tych trudnych czasach okupacji, wiele osób mogło rozpocząć studia wyższe zaraz po zakończeniu wojny i wkrótce je ukończyć. Z powodu praktycznej likwidacji Czyżyn w czasach PRL prawie wszystkie te osoby z uzyskanymi tytułami musiały je opuścić, a według mojego rozeznanie pozostało z nich tylko 2-3. Poza działalnością edukacyjną na wsiach, ważną też była działalność oświatowa i kulturalna, którą w latach 20. i 30. ubiegłego wieku podjął również Kościół, organizując Katolickie Stowarzyszenia Młodzieży Męskiej i Żeńskiej. W działalności tej, obok księży, aktywnie pomagali studenci uczęszczający do szkół krakowskich wspólnie z młodzieżą całej wsi. Spotkania w starym domu ludowym w Czyżynach w sąsiedztwie nowej szkoły organizowali Józef Salwiński z Marysią Tyrkówną. Na spotkaniach i w czasie przedstawień przygrywał im na harmonii Wojciech Gaweł. Na zdjęciu z około 1931 r., w jego górnej części, pod emblematem KSM (Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży) przy szkole w Czyżynach widać stojących członków stowarzyszenia, poniżej mieszkańców z księżmi z Mogiły – Augustynem Ciesielskim, Józefem Vraćko ze starszyzną wsi i dziećmi (prawdopodobnie po jakiejś większej uroczystości, połączonej z przedstawieniem, gdyż niektóre osoby są ucharakteryzowane i w strojach). W Łęgu działało Koło Sceniczno-Ludowe „Oświata", w którym aktywnie działał Stanisław Mars, a przychylnym ich działalności był Tomasz Radoszek – sołtys. Po latach okupacji, w 1947 r., wznowiło działalność KSM w diecezji krakowskiej pod patronatem arcybiskupa Adama Stefana Sapiehy i kierownictwem Jana Kotyzy z Bieńczyc. Zdjęcia Oddziału KSM w Czyżynach z 1948 r. pokazują, że do działalności tej licznie przystąpili młodzi ludzie, głównie uczęszczający do szkół w Krakowie, którzy z ojcem Benedyktem Matejkiewiczem z zakonu cystersów kontynuowali podjętą przed 1939 r. działalność stowarzyszenia. Ożywili oni życie kulturalne po tych smutnych latach okupacji, szkoda jednak, że weselej było tak krótko, ponieważ władza ludowa, nie tolerująca samodzielnie myślących ludzi, zakazała ich działalności. Stronnictwo Ludowe włączyło się również aktywnie w tę działalność, organizując Koła Młodzieży Wiejskiej „Wici", które miały na celu przygotowanie młodzieży do działalności politycznej i kulturalno-oświatowej, często we współpracy z KSM. Była to młodzież z jednej wsi, interesująca się również sportem, zorganizowanym przez amatorskie kluby sportowe jak Klub Sportowy „Tęcza" w Bieńczycach czy Amatorski Klub Sportowy w Czyżynach.

Organizacje te łączyły się we wspólnym działaniu i wypełnianiu wolnego czasu młodzieży na wsi, co było bardzo użyteczne i sprzyjało nawiązywaniu kontaktów nie tylko towarzyskich, ale również dla rozwiązywania ważnych dla wsi problemów. Sekcja kobiet Stronnictwa Ludowego prowadziła pracę, mającą na celu poprawę świadomości kobiet, ich dowartościowanie, włączenie ich w życie społeczne i poprawę ich pozycji. Organizowane były również dla kobiet kursy – gotowania, prowadzenia gospodarstwa domowego i szycia. Sekcja kobiet interesowała się również edukacją młodzieży wiejskiej, wspierając dzieci z uboższych rodzin ze zgromadzonego funduszu, pochodzącego w znacznym stopniu z ulicznych zbiórek. Te kobiety oddane słusznej sprawie „pracy od podstaw" nie zaprzestały swojej działalności w trudnym okresie okupacji niemieckiej. Należy wymienić wśród nich Helenę Ściborowską -Mierzwinę z Kościelnik, Katarzynę Gajoch-Witaszkową i Zofię Zyburę-Bochenek z Bieńczyc. Jeździły one na spotkania po wsiach, organizując dla kobiet i młodych dziewcząt pod szyldem legalnie działającej Spółdzielni Spożywców „Społem" kursy gospodarstwa. Wygłaszały im przy tym okolicznościowe pogadanki, czytały poezję lub przygotowywały z młodszymi dziewczętami program artystyczny – śpiewanie piosenek, recytacje wierszy Adama Mickiewicza – „Oda do młodości", Adama Asnyka – „Do młodzieży", Wincentego Pola – „Pieśń

o ziemi naszej" i innych[1]. Przy tej okazji dla dziewcząt z tajnej organizacji Zielony Krzyż prowadziły instruktaż z udzielania pierwszej pomocy. Podczas okupacji przydały się również znajomości i przyjaźnie nawiązane w latach wcześniejszych, podczas dojazdów pociągiem do szkoły. Ta znajomość była ułatwieniem w zorganizowaniu konspiracji – siatki podziemia. Odegrała w tym dużą rolę ta nowo powstała inteligencja, a zarazem oficerowie rezerwy wojska polskiego: Walenty Adamczyk z Luborzycy, Jan Kotyza z Bieńczyc, Józef Salwiński z Czyżyn i wielu innych czynnie działających, prowadzących szkolenia, piszących artykuły do podziemnej prasy (w Mogile wychodziło tajne czasopismo „Ziemia"). Józef Celiński – kierownik szkoły w Bieńczycach od wielu lat był związany z ruchem ludowym, a w czasie okupacji z Batalionami Chłopskimi, od 1941 r. był członkiem Powiatowej Komisji Oświaty i Kultury Delegatury Rządu na Kraj i zorganizował bardzo dobrze działające tajne nauczanie na różnych szczeblach dla wsi z gmin Mogiła i Ruszcza, którego był również wykładowcą. W grudniu 1956 r. grupa działaczy Polskiego Stronnictwa Ludowego z Janem Gajochem, Józefem Marcinkowskim, Janem Mierzwą i Józefem Salwińskim podjęła próbę dalszej działalności, tworząc Chłopskie Towarzystwo Oświaty i Kultury, którego celem było „kształtowanie samodzielnej postawy człowieka wobec otaczających go przejawów życia". Ponieważ działalność towarzystwa nie odpowiadała aktualnej polityce panującej władzy, decyzją Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z 1958 r. nakazano jego rozwiązanie.

MIECZYSŁAW MARZEC[2] – Wspomnienie o Franciszku Marszałku, kierowniku Szkoły Powszechnej w Czyżynach w latach 1928-1960

Franciszek Marszałek urodził się 27 listopada 1893 r. w Zalesiu, w powiecie rzeszowskim, jako syn Szymona i Wiktorii z domu Piekarz. Po ukończeniu szkoły ludowej chodził do C.K. Seminarium Nauczycielskiego Męskiego w Rzeszowie, gdzie 20 czerwca 1913 r. otrzymał świadectwo dojrzałości do pełnienia obowiązku tymczasowego nauczyciela w Szkołach Ludowych Pospolitych, z językiem wykładowym polskim. W latach 1913-1918 odbył wymagane praktyki szkolne w szkołach ludowych w Tyczynie, Grzegorzówce i Hucisku, a w lutym 1918 r. przed C.K. Komisją Egzaminacyjną dla nauczycieli Szkół Pospolitych w Rzeszowie zdał egzamin, uzyskując również prawo do nauczania w języku niemieckim i prawo zastępowania nauczycieli religii. W 1918 r. uzyskał prawo (Patent L.8) sprawowania samodzielnie urzędu nauczycielskiego w szkołach ludowych pospolitych z językiem wykładowym polskim[3].



Franciszek Marszałek

W okresie 5 maja 1915 do 31 października 1918 r. służył w armii austriackiej, a w okresie 1 września 1918 do 30 listopada 1918 r. w armii polskiej, uzyskując w niej stopień sierżanta. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, Franciszek Marszałek w 1919 r. przeniósł się z ziemi rzeszowskiej w okolice Krakowa, gdzie będąc już dyplomowanym, samodzielnym nauczycielem rozpoczął nauczanie w szkołach: w Bolechowicach, Olszanicy i Zabierzowie – w 1919 r., w Kryspinowie – w latach 1920-1926, a jako kierownik szkoły – w latach 1926-1928. 1 sierpnia 1928 r., po wygraniu konkursu, Franciszek Marszałek został przez Kuratorium Okręgu Szkolnego Krakowskiego mianowany kierownikiem szkoły w Czyżynach, na którym to stanowisku pozostawał nieprzerwanie przez okres 32 lat.

Zastał budynek starej, dwuklasowej szkoły, zlokalizowanej na pograniczu Czyżyn i Łęgu – jak sam napisał w kronice szkoły – w bardzo opłakanym stanie. Akta szkolne zrujnowane, pogryzione przez myszy, brak było nawet najprostszych środków do nauki, oprócz globusa i mapy. Po zbadaniu sytuacji, kierownik Marszałek doszedł do wniosku, że trzeba będzie wybudować nową szkołę, bo nie dość, że stary i mały budynek nie tylko nie nadawał się do nauczania, to jeszcze w latach po I wojnie światowej zwiększyła się znacznie liczba dzieci. Kierownik szkoły działał szybko i skutecznie – już 22 września 1930 r. dokonano uroczystego otwarcia i poświęcenia nowego obiektu szkolnego.

1. Informacje zebrane od Marii Jędrszczyk-Osiadłowej z Bieńczyc i Janiny Szymachy z Glewa, a także podczas rozmów z Agnieszką Zbrojową i Kazimierą Witaszkową.
2. Autor noty biograficznej był uczniem Szkoły Powszechnej w Czyżynach w latach: 1933-1940.
3. Dane dotyczące wykształcenia i pierwszych lat pracy zawodowej uzyskałem z prywatnego archiwum domowego synowej i wnuczki pana kierownika Franciszka Marszałka.

Pan kierownik Marszałek był wysokiego wzrostu, szczupły, pod nosem miał mały wąsik. Był bardzo dobrym nauczycielem, kierownikiem oraz organizatorem. Był moim nauczycielem, a w klasie VI i VII także wychowawcą. Uczniów oceniał sprawiedliwie, nikogo nie faworyzował. Był bardzo elokwentny, co uwidaczniało się zarówno w czasie lekcji, jak i podczas różnego rodzaju uroczystości (w szkole i poza nią), akademii, poranków etc. Świetnie dbał o szkołę i jej wyposażenie, sala na parterze zwana „gabinetem" wzbogacała się wciąż o nowe pomoce dydaktyczne, jak globusy, cyrkle, kątomierze, mapy fizyczne i polityczne, obrazy o treści religijnej i wiele innych rzeczy.

Franciszek. Marszałek był gorącym patriotą. W ciągu każdego roku szkolnego odbywały się zawsze tzw. „poranki" i akademie z okazji Święta Konstytucji 3 maja, Święta Niepodległości 11 listopada, imienin marszałka Józefa Piłsudskiego, prezydenta RP Ignacego Mościckiego, rocznicy powstania styczniowego, na których to uroczystościach zawsze wspaniale przemawiał. Na szkolnych korytarzach wisiały różne obrazy o treści historycznej, np. kompletny cykl rysunków „Lithuania" Artura Grottgera dotyczący powstania styczniowego. Marszałek ciągle podejmował nowe inicjatywy dotyczące działalności szkolnej, a mianowicie:

- 29 lipca 1937 r. zorganizował w budynku domu ludowego obok szkoły (obecnie zajmowanego przez szkołę) przedszkole dla dzieci w wieku od 3 do 6 lat, które prowadziła nauczycielka – p. Michalina Hatt. To przedszkole działało do wybuchu II wojny światowej,
- w latach 1937-1939 dla biednych dzieci organizowano ciepłe posiłki, kawę, pieczywo, a do wykonania tego zadania kierownik powołał komitet złożony z matek dzieci, które korzystały z tych posiłków,
- z inicjatywy kierownika w połowie lat 30. uruchomiono sklepik szkolny, w którym sprzedawali w czasie przerw najlepsi uczniowie z klas najstarszych. Można tam było kupić przybory szkolne, takie jak: zeszyty, bloki rysunkowe, farbki, gumki do wycierania, stalówki itp. Utarg oddawano kierownikowi szkoły, który prowadził staranne rozliczenie,
- w latach 1938-1939 była prowadzona w szkole wypożyczalnia książek, którą zajmował się osobiście,
- zainicjował oszczędzanie przez dzieci pieniędzy poprzez skarbonki S.K.O.,
- w styczniu 1939 r. zakupiono do użytku szkoły radioodbiornik sfinansowany z funduszu pochodzącego z zabawy,
- był organizatorem wycieczek połączonych ze zwiedzaniem: do Krakowa, Wieliczki i Ojcowa.

Kierownik Franciszek Marszałek za swe zasługi otrzymał wiele odznaczeń m.in.:

- Medal 10-lecia Odzyskania Niepodległości – w 1929 r.,
- Srebrny Medal Zasługi – w 1938 r.,
- Srebrny Krzyż Zasługi – w 1955 r.,
- Złotą Odznakę za pracę społeczną dla Miasta Krakowa – w 1958 r.,
- Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski za długoletnią pracę na stanowisku kierownika szkoły – w 1960 r.

Przez cały 32-letni okres swojej pracy Franciszek Marszałek cieszył się powszechnym szacunkiem i wielkim autorytetem, z tego też względu przewodniczył zawsze walnemu zgromadzeniu Amatorskiego Klubu Sportowego „Czyżyny", a w czasie procesji kościelnych prowadził i podtrzymywał księdza celebransa pod baldachimem.

Franciszek Marszałek był żonaty z panią Kazimierą Ludmiłą z domu Kontecką, z zawodu również nauczycielką, która uczyła w tej samej szkole w Czyżynach. Był ojcem dwóch synów; starszego Tadeusza (ur. w 1921 r.), ekonomisty, absolwenta Akademii Handlowej w Krakowie oraz młodszego Zbigniewa (ur. w 1924 r.), który w wieku 20 lat, jako żołnierz słynnego Batalionu „Skała", wchodzącego w skład Armii Krajowej, zginął w walce z Niemcami.

Franciszek Marszałek zmarł 5 sierpnia 1961 r., pochowany został na Cmentarzu Rakowickim w części wojskowej (przy ul. Prandoty, kwatera LXXX/IX, rząd 26, grób 4).

dr BARBARA SALWIŃSKA-CIEĆKIEWICZ – Wspomnienie o Franciszku Marszałku



Franciszek Marszałek

JERZY JAROSZ – Oświata w Czyżynach



Jerzy Jarosz i Wincenty Cieślewicz, Czyżyny 1943 r.

Pan Franciszek Marszałek, będąc kierownikiem Szkoły Powszechnej (Podstawowej) w Czyżynach w latach 1928-1960, wykazał duże zaangażowanie i zdolności organizacyjne, nie tylko przy budowie szkoły, ale i przez lata następne, w zaopatrzeniu jej w pomoce dydaktyczne oraz właściwy dobór i podnoszenie kwalifikacji nauczycieli, co skutkowało systematycznym wzrostem poziomu nauczania. Wśród nauczycieli cieszył się dużym szacunkiem. Dawni uczniowie wspominają jego częste wizytacje w klasach, kiedy przysłuchiwał się lekcjom, a także jego obecność na przerwach, kiedy czuwał nad zachowaniem spokoju i porządku. W ważnych momentach życia dzieci był razem z nimi, co potwierdzają zachowane grupowe zdjęcia. Wysoki, szczupły, godny, zawsze w garniturze, był przyjacielem dzieci i ich rodziców i służył im radą nie tylko w okresie nauki szkolnej, ale również kiedy ją opuszczali. Doradzał im bowiem wybór szkoły i zawodu. Brał żywy udział w życiu wsi, uczestnicząc we wszystkich ważnych przedsięwzięciach. Był członkiem komitetu budowy kościoła pw. św. Judy Tadeusza.

Dzięki swojej inteligencji pracę kontynuował przez 32 lata, w różnych ustrojach i warunkach. Przed 1939 r. wybudował i zorganizował szkołę powszechną, z której duża liczba młodzieży uczęszczała potem do szkół średnich w Krakowie. W okresie okupacji niemieckiej zapewnił w szkole spokój i ciągłość nauczania, pomimo iż jej część była okresowo zajmowana przez Niemców. Nie wpłynęła też na jego działalność osobista tragedia, kiedy to jego syn, Zbyszek Marszałek, zginął jako partyzant w lasach Kielecczyzny. Udział wielu mieszkańców wsi w pogrzebie syna był wyrazem ich sympatii i współczucia. Przez ostatnie 15 lat jego pracy w PRL, w latach skrytej walki o świadomość narodową, zachował swoją twarz i godność. Kontynuował swoją pedagogiczną działalność, będąc nadal przyjacielem dzieci i ich rodziców. W okresie budowy Nowej Huty, kiedy wielu mieszkańcom Czyżyn i Łęgu załamywały się dotychczasowe podstawy egzystencji, doradzał im zdobywanie niezależności przez uzyskiwanie wykształcenia i zawodów. Takim zapamiętali go żyjący jeszcze, choć mocno już starzy, ale zawsze wdzięczni jego uczniowie.

Przed II wojną światową nauczaniem dzieci i młodzieży w Czyżynach zajmowała się siedmioklasowa szkoła powszechna i ochronka. Do pierwszej klasy szkoły powszechnej zapisywane były dzieci po ukończeniu siódmego roku życia. Natomiast do ochronki chodziły dzieci od 4 do 7 roku życia. Zarówno szkoła jak i ochronka były bezpłatne. W ochronce (odpowiedniku dzisiejszego przedszkola) opiekę nad dziećmi sprawowała jedna osoba, opłacana z kasy gminnej. W ostatnich latach przed wojną była to pani Hatowa. Zajęcia odbywały się w domu ludowym koło szkoły. W ochronce uczono dzieci śpiewu, malowania kredkami i rozmaitych zabaw. W pogodne dni dzieci były wyprowadzane na wycieczki na pobliskie łąki, nad Wisłę, do Lasku Mogilskiego. Dzieci codziennie dostawały śniadanie w postaci bułki z masłem i kubka kakao, a ponadto – łyżkę stołową tranu. W czasie wojny ochronka została zamknięta.

Szkoła powszechna mieściła się w solidnym, jednopiętrowym budynku, wybudowanym staraniem mieszkańców i oddanym do użytku w 1930 r. Na każdej kondygnacji znajdowały się 4 sale szkolne. Ponadto w budynku był pokój nauczycielski, niewielka biblioteka, kancelaria i mieszkania służbowe dla kierownika szkoły i dozorcy (stróża). Bocznym wyjściem wychodziło się na duże podwórze dla dzieci, miejsce zabaw w czasie przerw i zajęć gimnastyki. Obok stał prosty budynek szaletów, osobnych dla dziewcząt i chłopców. Dyrektorem – jak się mówiło, a właściwie kierownikiem – szkoły był pan Franciszek Marszałek. Był to człowiek wykształcony, kompetentny i cieszył się wśród mieszk-

kańców ogromnym autorytetem. Nauczyciele odnosili się do niego z szacunkiem. Do szkoły uczęszczała młodzież z Czyżyn i sąsiedniej wsi – Łęgu. Nauczyciele, przeważnie kobiety, mieszkali w Czyżynach, nieliczni dojeżdżali z Krakowa. W szkole uczono następujących przedmiotów: język polski, matematyka (rachunki), historia, biologia (przyroda), śpiew, gimnastyka i religia. Ważną rolę w nauczaniu języka polskiego odgrywała szkolna biblioteka, którą prowadził kierownik szkoły. Posiadał on dar zachęcania młodzieży do czytania, dzięki czemu w niejednym uczniu rozbudził ciekawość świata i chęć dalszego uczenia się.

Młodzież trzymana była krótko. Stosowane były kary – na przykład tak zwana „łapa" (w wyciągniętą dłoń nauczyciel uderzał linijką lub specjalnym patykiem) i stanie w kącie. W trudnych sprawach wychowawczych wzywano rodziców ucznia. W czasie przerw dzieciaki wybiegały na podwórko, mogły się bawić, ale pod nadzorem nauczycieli. W tym czasie wietrzono sale szkolne. Dużą uwagę przywiązywano do wychowania patriotycznego i zaszczepiania miłości do Ojczyzny. W czasie świąt państwowych organizowane były w stojącym obok szkoły domu ludowym akademie, w czasie których młodzież szkolna deklamowała wiersze, śpiewała pieśni patriotyczne i na cześć marszałka Józefa Piłsudskiego. Imprezy te były poprzedzane uroczystościami religijnymi. W szkole działały również kółka teatralne, gdzie uczono tańców ludowych i wystawiano jasełka. W ramach poznawania kraju ojczystego i jego historii organizowano wycieczki, między innymi na Wawel, kopce Kościuszki, Piłsudskiego i Wandy, jeżdżono do Wieliczki i Ojcowa. Do transportu często używano wozów drabiniastych, nieodpłatnie użyczanych przez rodziców. Ponieważ była to szkoła wiejska, ważnym elementem nauczania był ogródek szkolny, w którym pod kierunkiem dyrektora uprawiano rozmaite warzywa, krzewy i drzewka owocowe. Szkoła pełniła również – w pewnym zakresie – funkcję opiekuńczą w stosunku do najbiedniejszej grupy dzieci i młodzieży, która w szkole otrzymywała odzież i buty. Do najbardziej zasłużonych pedagogów, obok kierownika Franciszka Marszałka, należy zaliczyć księdza Józefa Zastawniaka, panie Kazimierę Maciaszkówną, Knapikową, Ziębową i małżeństwo Krupów.

Ten korzystny okres zakończył się wraz z wybuchem wojny 1 września 1939 r. Po wkroczeniu Niemców szkoła została zajęta przez wojsko. Młodzież przeżyła szok. Zamiast nauki oglądała rozbite, leżące na podłogach godła państwowe, portrety dostojników, po których deptali pijani żołdacy hitlerowscy. Taki stan rzeczy – szczęśliwie – nie trwał długo. Po kilku tygodniach nauka wróciła do szkoły. Wprowadzono nowy przedmiot – język niemiecki. Przybyli też nowi nauczyciele z Krakowa, wyrzuceni ze zlikwidowanych szkół średnich. Do najbardziej lubianych należał mgr Witold Grzybek i pani Olga Mitana. W czasie całego okresu wojennego często następowały przerwy w nauce, szkoła była zajmowana przez wrogie wojska niemieckie, później własowców oraz NKWD. Po zakończeniu działań wojennych młodzież czyżyńska masowo zdawała egzaminy i dostawała się do szkół gimnazjalnych i zawodowych w Krakowie. Była to niewątpliwie zasługa szkoły czyżyńskiej, jej wspaniałych pedagogów i wychowawców.

Listopad 2010 r.

WINCENTY CIEŚLEWICZ – Nauka w czyżyńskim dworze w czasie okupacji

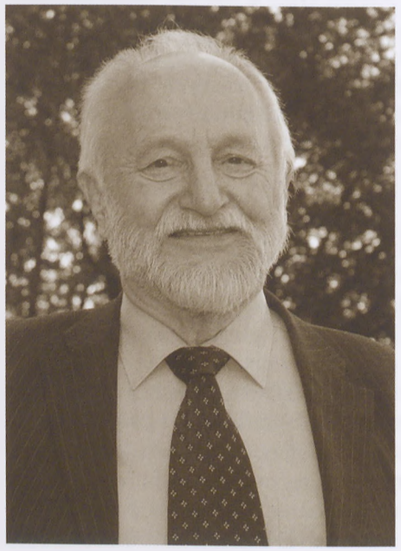

Wincenty Cieślewicz

W Czyżynach, we dworze, w okresie okupacji odbywało się tajne nauczanie. Od jesieni 1940 r. Maria i Wicek Cieślewicz odbywali lekcje z programu przedwojennego szkoły powszechnej klasy II (Wicek) i V (Maria), prowadzone najpierw przez Franciszkę Żurek-Jankowską, dochodzącą na lekcje z Bieńczyc, gdzie mieszkała wraz z mężem, który wyrzucony ze swego majątku przez Niemców był rządcą w bieńczyckim dworze. W zimie 1941/1942 została zatrudniona Leokadia Sobierajska, absolwentka seminarium nauczycielskiego w Krakowie. Zaprotegował ją jako prymuskę seminarium nauczycielskiego ksiądz Jan Mazanek, dobry znajomy rodziny, katecheta najstarszej Cieślewiczówny – Izy w krakowskim Gimnazjum im. Józefy Joteyko. Popularny w Krakowie i bardzo lubiany przez młodzież „Ksiądz Jasio" był organizatorem – wspólnie z dyrektorem Romanowiczem – tajnego nauczania na poziomie licealnym. Chodząc na zajęcia w Krakowie, uczestniczką tego nauczania, czyli „kompletów", jak się wtedy mówiło, była Iza Cieślewicz. Uwieńczeniem jej nauki była tajna

matura, zdawana w konspiracji 18 stycznia 1945 r. – w dniu wkroczenia do Krakowa armii radzieckiej.

Maria-Myszka i Wicek uczyli się w domu pod kierunkiem „pani Luli" – Leokadii Sobierajskiej, która prowadziła lekcje, starając się realizować przedwojenny program szkolny na podstawie podręczników, które były w domu od czasu uczęszczania do szkoły starszej siostry Izy, bądź były dostarczane przez nieocenionego księdza Jasia Mazanka. Nauczycielka mieszkała ze swoimi uczniami i stała się prawie członkiem rodziny. Oprócz odbywania programowych lekcji przedmiotów przewidzianych programem uczyła języka niemieckiego, a także, wykorzystując swoje doświadczenie instruktorskie, wprowadziła harcerskie metody wychowawcze. Z zielonego drelichu uszyto ubrania na wzór mundurków harcerskich – oczywiście bez odznak, ale wymagała codziennego wieczornego układania ubrania w harcerską „kostkę", obowiązywała poranna pobudka i rozkład zajęć. Odbywały się zajęcia i gry terenowe, marsze po rysowanych znakach indiańskich, nauka rozpoznawania drzew i roślin. Pomoce naukowe jak mapy fizyczne i polityczne Europy oraz podręczniki do nauki języka polskiego, historii i geografii były skrupulatnie ukrywane za drzwiami lub na zapleczu szaf.

Wicek niezbyt chętnie uczestniczył w takich „babskich" zajęciach jak przyszywanie guzików, pranie czy cerowanie skarpetek, nie mówiąc już o haftowaniu monogramów i mereżek na chusteczkach. Potem, w młodzieżowym okresie harcersko-turystycznym, a i w dorosłym życiu, chwalił sobie posiadanie tych umiejętności. Zajęcia z wychowania fizycznego to była jazda na łyżwach po tafli przydomowego stawu, na sankach i nartach na stokach starej prochowni i „Ośnego Dołu", gdzie dziś stoi budynek Nowohuckiego Centrum Kultury. Odbywała się także nauka jazdy na rowerze czy jazda konna, wspinanie na drzewa i nauka gry w siatkówkę.

Prowadzona była kronika codziennych i ważniejszych wydarzeń, wydawaliśmy w nakładzie 1 (słownie: jednego) egzemplarza pisemko „Nasze słoneczko", uczyliśmy się jak pisać pismo urzędowe, a jak list. Działała wewnątrzrodzinna poczta z własnymi znaczkami pocztowymi i kopertami, uroczyście obchodzono imieniny, święta, przygotowywaliśmy ozdoby choinkowe i pisanki, laliśmy wosk i wróżyliśmy ze źdźbeł siana wigilijnego. Długie wieczory przy świetle lampy naftowej lub karbidówki sprzyjały wymyślaniu gier i zabaw. Światło elektryczne dotarło do Czyżyn dopiero po wojnie. Ten system – nauka w domu kończona dorocznym egzaminem w szkole w Czyżynach przed groźnym obliczem kierownika Franciszka Marszałka – trwał do czerwca 1943 r. W tym roku pani Leokadia Sobierajska wyszła za mąż za pana Henryka Soczyńskiego i wyjechała z Czyżyn. Pozostała w przyjaznych stosunkach z rodziną, a po latach podjęła pracę w szkolnictwie nowohuckim (między innymi w Szkole Podstawowej nr 126 w Mistrzejowicach), gdzie przepracowała z oddaniem wiele lat, ciesząc się sympatią wychowanków i uznaniem rodziców oraz władz szkolnych.

Maria-Myszka podjęła naukę na tajnych kompletach w zakresie gimnazjum, zorganizowanych przez księdza Jana Mazanka dla młodzieży z Czyżyn i Bieńczyc. Zajęcia odbywały się w różnych domach, w tym także we dworze w Czyżynach. Nauczycielami byli przedwojenni nauczyciele szkół średnich zatrudnieni w szkole w Czyżynach jak mgr Stefan Towpasz, mgr Witold Grzybek, mgr Kazimierz Hrabal, ksiądz Jan Hojdys. Uczniami byli między innymi Maria Cieślewicz, Danuta Lgocka, Jan Pyczek z Bieńczyc, Kazimierz Królikowski i Danuta Jakubowska. Po wojnie Danuta Lgocka powróciła do Warszawy, zaś pozostali kontynuowali naukę w krakowskich szkołach średnich.

WINCENTY CIEŚLEWICZ – Kazimierz Hieronim Cieślewicz – nota biograficzna



Kazimierz Cieślewicz z dziećmi

Syn Wincentego i Izabelli z Poznańskich, urodzony 30 września 1894 r. w Rejowcu, zmarł śmiercią tragiczną w Krakowie 4 września 1939 r., spoczywa na cmenta-

rzu parafialnym w Mogile. Maturę zdał w Liceum imienia Jana III Sobieskiego w Krakowie w 1914 r., wybuch I wojny światowej zastał go u stryja na terenie Królestwa Kongresowego, gdzie – jako obywatel wrogiego mocarstwa – został zatrzymany i internowany w Moskwie. W latach 1916-1918 pracował tam jako intendent w szpitalu Komitetu Obywatelskiego Królestwa Polskiego. Po powrocie do kraju pomagał ojcu w prowadzeniu dzierżawionego od parafii w Mogile gospodarstwa rolnego i podjął studia na Wydziale Rolnym Uniwersytetu Jagiellońskiego, które ukończył w 1922 r., uzyskując stopień inżyniera rolnika. W 1924 r. objął dzierżawę majątku Czyżyny, stanowiącego własność Kapituły Kanoników Katedralnych, administrowaną przez krakowską kurię metropolitalną.

We wrześniu 1925 r. zawarł związek małżeński z Zofią Wardecką z podwarszawskiego Rakowca. Małżonkowie mieli troje dzieci: Izabellę ur. w 1926 r., Marię ur. w 1930 r. i piszącego te słowa Wincentego ur. w 1934 r. W 1928 r. Kazimierz Cieślewicz objął dzierżawę majątku Bieńczyce, należącego także do kapituły. Był jednym z inicjatorów i przewodniczącym komitetu budowy szkoły podstawowej w Czyżynach, ukończonej w 1930 r., a następnie Prezesem Rady Szkoły. W trakcie prac przygotowawczych, dzięki pomocy księdza prałata Stefana Mazanka – kanclerza kurii metropolitarnej, uzyskał zgodę księcia arcybiskupa Adama Stefana Sapiehy na oddanie z terenów dworskich parceli pod budowę szkoły, a po decyzji o jej budowie na innym miejscu dotację w kwocie 10 000 złotych. Był także jednym z inicjatorów i najaktywniejszych członków komitetu budowy kościoła pw. świętego Judy Tadeusza w Czyżynach.

Od 1931 r. był członkiem zarządu Powiatowej Komunalnej Kasy Oszczędności w Krakowie. Pełnił odpowiedzialne funkcje (między innymi prezesa i wiceprezesa) w krakowskiej spółdzielni „Jedność", zajmującej się organizacją zaopatrzenia i zbytu dla rolników. Zainicjował zaopatrzenie w nowoczesny materiał siewny i sadzeniaki oraz nawozy sztuczne, maszyny i narzędzia rolnicze. Prowadził nowoczesne formy gospodarowania, np. polową uprawę warzyw na działkach kilkuhektarowych, a wykorzystując zakupioną od wojska bocznicę kolejową do prochowni w Czyżynach organizował wagonowe dostawy warzyw na Śląsk i do Krynicy. Stosował nowoczesne formy uprawy, sztuczne nawozy i mechanizację prac poprzez nowoczesne pługi, siewniki, żniwiarki, amerykańską maszynę parową i młockarnię. Odznaczony licznymi dyplomami za działalność społeczną i charytatywną, m.in. posiadał tytuł „Ojca Chrzestnego wielkiego przyjaciela młodzieży akademickiej" (1935 r.) i Złoty Krzyż Zasługi (1936 r.). Był łowczym obwodu myśliwskiego Bieńczyce, udostępnił teren pod boisko sportowe dla tutejszych sportowców.

Od czasu utworzenia w 1934 r. gminy zbiorczej w Mogile został wybrany podwójcim, a następnie wójtem.

W okresie mobilizacji w 1939 r. był na terenie gminy pełnomocnikiem rządu do spraw zaopatrzenia wojska. Przekazał na potrzeby wojska kilkanaście krów, kilka koni z nowymi uprzężami i wozami. W pierwszych dniach wojny widok wycofujących się w nieładzie wojsk polskich, wieści o ponoszonych klęskach, a przede wszystkim przyłapanie na gorącym uczynku szpiegostwa swego najbliższego współpracownika, młodego sekretarza urzędu gminy – spowodowały szok i załamanie nerwowe. Zapadła decyzja o konieczności hospitalizacji w szpitalu psychiatrycznym. W czasie transportu, w rejonie fortu u wylotu ulicy Kopernika, powóz został zatrzymany przez oddział obrony terytorialnej. W czasie psychozy wojennej Kazimierz Cieślewicz został oskarżony o szpiegostwo i pod bramą fortu rozstrzelany. Żona, która zasłoniła go swoim ciałem, została ciężko ranna. Przeniesiono ich do budynku czerwonej chirurgii przy ulicy Kopernika, gdzie udzielono im pomocy. Kazimierz Cieślewicz po kilku godzinach zmarł. Świadomy zbliżającej się śmierci udzielał żonie ostatnich rad co do prowadzenia gospodarstwa. Mając do niej pełne zaufanie powiedział o dzieciach: *Wychowaj dzieci po katolicku*, a po chwili: *Zadbaj, aby nie miały za dużo pieniędzy*. Zofia Cieślewiczowa poświęciła się wychowaniu dzieci i prowadzeniu gospodarstwa. Zgodnie z ostatnią wolą męża i własnym przekonaniem zadbała o katolickie wychowanie dzieci. W późniejszym czasie nieraz żartowała, że „o brak pieniędzy zadbała władza ludowa". Kazimierz Cieślewicz został pochowany na Cmentarzu Rakowickim, a następnie, w 1940 r. – po wybudowaniu grobowca – przeniesiony na cmentarz w Mogile.

Listopad 2010 r.

ks. prałat JAN BIELAŃSKI[4] – Kazanie wygłoszone na pogrzebie Józefa Hajty



Pogrzeb Józefa Hajty, 24 września 2010 r.

Sługo dobry i wierny, wejdź do radości Pana swego...

Zasmucone Rodziny Danusi i Bogdana. Ukochani w Chrystusie czcigodni księża, siostry i bracia, którzy przybyliście z różnych stron Krakowa i Polski, a nawet z Węgier i Słowacji. Celebrujemy żałobną mszę świętą za zmarłego Józefa Hajtę, któremu wiele zawdzięczamy, którego wszyscy lubiliśmy. Który 78 lat przeżył na czyżyńskiej ziemi i 30 lat w naszej parafii. Wartość jego pracowitego, dynamicznego, twórczego i uporządkowanego życia uświadamiamy sobie być może w pełni dopiero teraz. Każda śmierć powoduje lukę, której żaden człowiek w identyczny sposób wypełnić nie może. I dlatego ta śmierć powoduje żal i smutek, który tak łatwo i nagle nie przeminie. Uważam, że warto przybliżyć sobie postać św. pamięci Józefa. Warto poznać tę bogatą naturę i osobowość. Na jej tle dojdziemy do bardzo ważnych życiowych następujących wniosków: rodzina, dobry przykład, atmosfera w domu zasadniczo kształtuje wnętrze młodego człowieka na całe życie, a prawdziwa religijność, wiara, łaska i przykazania boże dają siłę do wytrwania i światło w problemach życia.

Patrząc na trumnę z ciałem zmarłego Józefa jaśniej rozumiemy napis z pewnego grobowca:

Przechodniu, który o nas pamiętasz,
Nie zapomnij o sobie.
Byłem tym – kim ty jesteś,
Jestem już tym, kim ty będziesz

W tym duchu ks. Józef Tischner nawet na kazaniu po góralsku śpiewał:

Hej byli chłopcy byli,
ale się minęli.
I my się też miniemy,
Po niedługiej chwili.

Zawsze mamy takie wrażenie, jakby pieśń naszego życia dopiero się rozpoczęła, a tymczasem może ona się urwać nagle, jak hejnał mariacki, niedokończony – z urwaną melodią i to w najbardziej interesującym momencie. Czwarty wniosek jest oczywisty:

Swego życia jeszcze raz,
nie przeżyje żaden z nas.
Co kochałeś, jakiś był.
Tak cię wspomną, jakżeś żył.
Więc żyjmy jak można najpiękniej,
Czy wielkie czy szare są dni.
Bo życie to skarb w naszych rękach
I przez to ma świat lepszy być.

Moi Drodzy. Tak jeszcze niedawno śp. Józef wspominał o swojej rodzinie. Jego dziadek Jan sprzedał gospodarstwo w Czernichowie, a kupił nowe w Czyżynach. Była tu ziemia urodzajna. Wysokie plony zbóż, owoców i jarzyn. Bliskość miasta Krakowa gwarantowała zbyt płodów rolnych. *Mój dom rodzinny* – powiadał – *leżał na skraju wsi. Dziś znajduje się tam osiedle 2 Pułku Lotniczego, bloki 45 i 47. Gospodarstwo moich rodziców liczyło 14 hektarów. Część znajdowała się w rejonie późniejszego lotniska, a reszta w Mogile. To było spore gospodarstwo. Do tego dochodził hektar sadu. Sad sadził mój ojciec Władysław, kiedy wrócił z wojny 1918 r. Chciał on zaszczepić nowoczesność na wsi. U nas był pierwszy kultywator ogrodowy, maszyna szerokomłotna Cegielskiego. W niedzielne popołudnie gospodarze chętnie przychodzili „do Władka", czyli ojca, posłuchać wieści ze świata, bo i radio pięciolampowe było.*

Gdy miał iść do klasy II wybuchła II wojna światowa. Wspominał ucieczkę furmanką całej rodziny do Mogiły, a potem za Proszowice: *Tam, gdy mama mnie uśpiła, ojciec wziął rower, garnek smalcu i bochenek chleba by, jak inni mężczyźni iść za rzekę Nidę. Na Nidzie będzie opór – tak mówiono. Zostaliśmy: mama i ja, ośmioletni chłopak i moje trzy siostry. Najstarszy brat był w wojsku na froncie.* Postanowili wracać do domu. On, ośmioletni woźnica, a obok na drodze opancerzone auta i czołgi niemieckie, które parły na wschód. Z czasu wojny pamiętał, jak jeńcy wojenni – Ukraińcy, Żydzi i Francuzi rozbudowywali czyżyńskie lotnisko. Byli wymęczeni i głodni. Wynosił im chleb, kładł na trawie za płotem ogrodu i uciekał przed dozorcami. Kiedy w okresie międzywojennym budowano w Czyżynach najpierw szkołę – przy wydatnej pomocy materialnej księdza kardynała Adama Sapiehy – a potem potrzebny kościół, to ojciec śp. Józefa należał do ścisłego grona komitetu budowy. Budowniczy kościoła, ks. Józef Zastawniak, wiedział i każdy proboszcz to potwierdzi, jakim oparciem, skarbem przy budowie i w duszpasterstwie są rodziny, na które w każdej chwili można liczyć, a one nie zawiodą. Do takich rodzin należała i dalej należy rodzina Hajtów.

4. Proboszcz i budowniczy kościoła pw. św. Brata Alberta w Krakowie na os. Dywizjonu 303.

W miejscu, gdzie dziś w Czyżynach stoi kościół, była kapliczka Matki Bożej. Tam gromadzili się czyżynianie na nabożeństwa majowe, gdyż do ich kościoła parafialnego św. Bartłomieja w Mogile było daleko. W czerwcu również chcieli odmawiać litanię do Serca Pana Jezusa. Ale gdzie? Pomysłowa rodzina Hajtów w swoim ogrodzie w roku 1922 postawiła piękną figurę Najświętszego Serca Pana Jezusa, która stoi do dziś przy alei Jana Pawła II, przy osiedlu 2. Pułku Lotniczego, naprzeciw bloków 45 i 47. W czasach komunistycznych tę figurkę chciano usunąć, ale śp. Józef znalazł, spotkał życzliwych ludzi, którzy ją obronili i wpisali do ewidencji map kartograficznych. Przetrwała blisko 100 lat omodlona przez parafian. Przetrwała czas jednej i drugiej okupacji. Wprawdzie kilka razy jakieś łobuzy ułamały błogosławiącą rękę Pana Jezusa, a kilka lat temu jakiś świętokradca utrącił nawet głowę. Obecnie jest naprawiona i cała odmalowana. Byłem tam przedwczoraj, w środę. Kapliczka jest otulona wiecznie zielonymi gałęziami czterech świerków. W małym ogródeczku obok figury krzak czerwonej róży. Kwiaty i kolce. Przed bramką bukiet kwiatów i trzy zapalone lampki. Czciciele Najświętszego Serca Pana Jezusa pamiętają.

Bracia i Siostry! Do tych wspomnień można jeszcze bardzo wiele dodać. Ale o pracy śp. Józefa w „Montinie" i o bogatej, społecznej działalności prezesa w naszym, parafialnym chórze „Albertinum" powiedzą jeszcze po mszy św. przedstawiciele tych branż. Ja chcę tylko ukazać prawdę, że ludzie dobrzy, szlachetni, kulturalni, kochający Boga, ludzi i Ojczyznę nie spadają z nieba. Takimi stają się na ziemi, dzięki dobrym rodzinom, mądremu otoczeniu i własnej pracy nad swoim charakterem. Członkowie chóru „Albertinum" o swoim prezesie mówili: *To osobowość nieprzeciętna, nadzwyczajna i wyrazista. Operatywny, obdarzony wspaniałą umiejętnością rozwiązywania problemów i nawiązywania kontaktów z ludźmi. Choć nieraz trudny w prowadzeniu, lecz towarzyski, pełen humoru, romantyczny, prostolinijny i odważny. Zwariowany zapaleniec, lecz twórczy umysł, ambitny, pasjonat, rzetelny, pewny siebie. Impulsywny w działaniu, lecz odpowiedzialny, sumienny, konsekwentny i zorganizowany*. Ja do tego ze swej strony dodam: wierzący i praktykujący.

Ileż to razy na pielgrzymce z chórem w kraju i za granicą, i tu w niedziele, w pierwsze piątki i na innych mszach świętych podawałem mu komunię świętą. Lubił siedzieć w naszym kościele w środkowym rzędzie, niedaleko tego miejsca, gdzie teraz znajduje się trumna z jego ciałem. Już teraz spotkał się z Chrystusem, nie przez wiarę, ale twarzą w twarz. Na powitanie wyciągnął swe mocne i spracowane ręce rolnika, ogrodnika, pszczelarza i montera. Spracowane, ale czyste i nie puste. Pełne dobrych uczynków z całego życia. Najpiękniej umiera gałąź – łamie się pod ciężarem owoców.

Moi Drodzy! Proszę Was. Okażmy serdeczną wdzięczność, niegasnącą pamięć i modlitewną pomoc zmarłemu Józefowi, za to wszystko, co uczynił dla chwały Bożej i na pożytek ludzi. Niech razem z Matką Bożą – którą czcił różańcem i godzinkami – ze świętym Józefem, świętą Cecylią, świętym Judą Tadeuszem i świętym Bratem Albertem uwielbia Boży majestat i żyje na wieki szczęściem nieba. Amen.

24 września 2010 r., kościół pw. św. Brata Alberta, Nowa Huta, os. Dywizjonu 303.

WIESŁAW PYCZEK – Ostatnie pożegnanie śp. Józefa Hajty



Józef Hajto

Niech wolno mi będzie pożegnać zmarłego Józefa, z którym łączyło mnie tak wiele wspomnień z naszych radosnych, młodzieńczych lat. Dzisiaj powracam do nich z głębokim wzruszeniem. Sąsiedztwo Czyżyn i Bieńczyc – naszych rodzinnych wiosek utrwaliło w nas więzy szczerej przyjaźni. W latach powojennych łączyła nas dodatkowo przynależność do Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży, gdzie w ostrej, lecz jakże sympatycznej rywalizacji sportowej na wykonanych w czynie społecznym obiektach, a także podczas organizowania ambitnych – na miarę naszych możliwości – przedstawień teatralnych, krystalizowały się nasze postawy, osobowość i zainteresowania. Ze Zmarłym ponadto łączyła nas wspólna ławka w Gimnazjum i Liceum św. Jacka w Krakowie. To tutaj, przy wspólnym uczniowskim stoliku, przeżywaliśmy miłe, pełne uniesień chwile, ale i problemy, a niekiedy stresy, zwłaszcza na lekcjach łaciny, matematyki i biologii, kiedy pomagaliśmy sobie wzajemnie, bywało nawet, że przez „ściąganie" – jeden od drugiego – zadań i klasówek z tych przedmiotów.

W ostatnich kilku latach zbliżyły nas ponownie inne zadania, mianowicie pisanie wspomnień do wydawanych przez Nowohuckie Centrum Kultury opracowań „Czas zatrzymany". To była, zresztą nie tylko dla nas, sentymentalna podróż w przeszłość, która przywołując minioną rzeczywistość, a szczególnie żyjących tu kiedyś, napotkanych ludzi – pozwoliła nam sięgnąć głęboko pamięcią do czasów młodości.

Na zakończenie pragnę jeszcze z bogactwa pozytywnych cech Zmarłego przytoczyć tylko niektóre. Śp. Józef Hajto poprzez swoją bezkonfliktowość, uśmiech i optymizm posiadał niezwykły wprost dar zjednywania sobie przyjaciół w różnych środowiskach społecznych. Dla otoczenia był zawsze koleżeński i pomocny w każdej sytuacji, zawsze pełen pogody ducha i współczucia. Typowy społecznik, co wyniósł z domu rodzinnego; może niewielu dziś wie o aktywnym wsparciu rodziny Hajtów budowy kościoła pod wezwaniem św. Judy Tadeusza w Czyżynach, w którym Zmarły przez wiele lat był ministrantem.

Józiu! Twoja wrodzona skromność pewnie nie pozwoliłaby na skierowanie pod Twoim adresem tych pochwał, gdybyś żył... Dziś żegnam Cię „kaesemowskim" hasłem – „Gotów!". Serdeczna pamięć o Tobie nie pozwoliła mi milczeć podczas Twojego pogrzebu. Żegnaj nam, Drogi Druhu!

24 września 2010 r.

ADAM GRYCZYŃSKI – O Józefie Hajto...

Pan Józef Hajto był pierwszym, który w styczniu 2006 r. odpowiedział na mój apel dotyczący gromadzenia archiwaliów z terenów obecnej Nowej Huty, w ramach urzeczywistnienia pomysłu „Czas zatrzymany". Jego autorytet, intuicja, postawa wobec prawdy historycznej oraz osobisty urok i wsparcie, pozwoliły mi na zdobycie zaufania mieszkańców pochodzących z wiosek wchłoniętych przez Nowa Hutę, bez których pomocy i ofiarności moja działalność na niwie odtwarzania usuniętego w cień dziedzictwa tych terenów byłaby o wiele uboższa.

Wspominam Jego celne komentarze do niektórych fotografii, doskonałą pamięć i precyzyjne opisy, dzięki czemu nawet nieciekawe z pozoru lub zniszczone zdjęcia zaczynały zupełnie inaczej „przemawiać". Miło wspominam zarówno „robocze", jak i te prywatne, wspólne spotkania, w których uczestniczyli też Mieczysław Marzec, Wiesław Pyczek, Wincenty Cieślewicz i Antoni Łapajerski – za którego pośrednictwem poznałem śp. Józefa. Do dziś czuję niezapomniany, wykwintny smak własnoręcznie przez niego robionego „chrustu" i pączków, na które nas regularnie zapraszał w „ostatki".

Poniżej przedstawiam wybrane zdjęcia pochodzące z domowego archiwum śp. Józefa Hajto, z osobiście sporządzonymi przez Niego opisami, które dostarczył pod koniec czerwca 2010 r. To było nasze ostatnie spotkanie...



Żniwa w Czyżynach, lata 20.



Dożynki przed dworem w Czyżynach, lata 30.



Dwór w Czyżynach, lata 30.



Mieszkańcy Czyżyn, lata 30.



Kościół św. Judy Tadeusza, Czyżyny, lata 30 lub 40.



Ks. Józef Zastawniak (ur. 26 września 1893 w Gdowie, zm. 15 maja 1960 w Krakowie-Czyżynach). Ukończył studia na Wydziale Teologicznym UJ, święcenia kapłańskie przyjął z rąk kardynała Adama Stefana Sapiehy 29 czerwca 1919 r. W latach 1919-1924 był wikariuszem w parafii św. Grzegorza w Ruszczy. W latach 1924-1931 pracował jako wikariusz w parafii św. Józefa w Krakowie przy Rynku Podgórskim. Lata 1931-1934 spędził jako wikary w parafii Najświętszego Salwatora na krakowskim Zwierzyńcu. W latach 1934-1935 pracował jako wikariusz w parafii św. Szczepana w Krakowie. Po śmierci księdza prałata Wojciecha Siedleckiego 16 sierpnia 1935 r. zostaje mianowany proboszczem parafii św. Bartłomieja w Mogile. W 1936 r. dostaje zadanie wybudowania nowego kościoła w Czyżynach. Buduje świątynię św. Judy Tadeusza w latach 1936-1942. W 1938 r. otrzymuje godność kanonika. Dekretem kardynała Sapiehy 15 kwietnia 1951 r. zostaje erygowana parafia św. Judy Tadeusza w Krakowie-Czyżynach i z tym też dniem ks. Józef Zastawniak został pierwszym jej proboszczem, przenosząc się na plebanię w Czyżynach. Zmarł po krótkiej chorobie 15 maja 1960 r. Uroczystości pogrzebowe poprowadził 18 maja ówczesny biskup sufragan krakowski Karol Wojtyła. Ksiądz Zastawniak został pochowany obok swoich poprzedników na cmentarzu w Mogile.



Dzieci w strojach krakowskich podczas uroczystości kościelnych, Czyżyny, lata 30.



Ks. Józef Zastawniak podczas procesji, Czyżyny, lata 30.



Dożynki w Czyżynach, 1937 r.



Jan (1891-1957), dyplomowany ogrodnik i Marianna (1905-1991) Szklarczykowie z dziećmi, lata 30.



Julia z d. Gałczyńska 1908-1989) i Stanisław (1900-1982) Moskałowie z Czyżyn.

Julia pochodziła z Koniuszy. Stanisław ukończył 6-letnią szkołę ludową w Zebrzydowicach, otrzymując b. dobre wyniki w nauce, potem został absolwentem Szkoły Przemysłowej w Kalwarii Zebrzydowskiej, uzyskując dyplom czeladnika w zawodzie stolarza. Ich ślub odbył się w 1926 r. w kościele św. Floriana w Krakowie. W Czyżynach małżonkowie prowadzili warsztat stolarski połączony ze sklepem spożywczym, który w 1945 r. zdewastowali i okradli wraz z dużą pasieką żołnierze Armii Czerwonej.

Julia i Stanisław Moskałowie posiadali dzieci: Wandę (na zdjęciu z rodzicami, zmarła w 2017 r. w Krzeszowicach), Mieczysława, Marię, Barbarę, Stanisława i Tadeusza.

Stanisław Moskała (senior) w latach 30. był członkiem Zarządu Amatorskiego Klubu Sportowego oraz komitetu parafialnego budowy kościoła św. Judy Tadeusza w Czyżynach. Po wojnie pracował w Przedsiębiorstwie Robót Drogowych w Krakowie a także jako starszy majster w Centralnej Stolarni Huty im. Lenina. Z zamiłowania był pszczelarzem i ogrodnikiem. Julia natomiast prowadziła gospodarstwo domowe, odbywając jednocześnie praktykę krawiecką na ul. Warszawskiej w Krakowie. Ojcem chrzestnym Tadeusza Moskały (syna) był ksiądz Józef Zastawniak, proboszcz w/w parafii. Rodzina Moskałów mieszkała przy ul. Narciarskiej Dolnej w Czyżynach.



Dziewczyny z Czyżyn, lata 40.



Młodzież z Czyżyn, 1928 rok



Młodzież z Czyżyn nad Wisłą w Łęgu, schyłek lat 20.

Druga od prawej: Stanisława Czopkówna, Jan Stankowski, Marian Krupa, Józef Stankowski, Gabriela Dobosz.



Stanisława Czopkówna z Czyżyn, 1928 r.



Od lewej: Stanisław Kaszowski, Stanisława Czopkówna (Krupa), Jan Stankowski (kuzyn Mariana Krupy). Czyżyny, okolice dawnych stawów, początek lat 30.



Stanisława Czopkówna w 1928 r. ukończyła Państwowe Gimnazjum Żeńskie w Krakowie, a w 1931 r. uzyskała dyplom Pedagogium w Krakowie i została polonistką. W 1936 r. wyszła za mąż za Mariana Krupę, historyka-pedagoga. W poszukiwaniu pracy wyjechali do Chochołowa, potem do Jaworek i Kluszkowiec, gdzie pracowali jako nauczyciele. Mieli dzieci: Jadwigę i Stanisława. W czasie okupacji pracowali w 4-klasowej szkole powszechnej w Ochotnicy, skąd po wojnie wrócili do Krakowa i zamieszkali u mamy pani Stanisławy w Czyżynach przy ulicy Wężyka, gdzie przez lata uczyli w tutejszej szkole.



Fotografia wykonana na podwórku gospodarstwa Władysława i Franciszki Hajtów, w dniu pierwszej procesji Bożego Ciała w Czyżynach, w czerwcu 1937 r. Na zdjęciu uczestnicy przyjęcia (obiadu) po tej procesji. Od lewej u góry: Józef Salwiński, na dole: Józef Śliwiński, Jan Zbroja, Janina Hajto, Franciszek Hajto, z tyłu Władysław Hajto, Józio Hajto, ks. Józef Hajduga, ks. Antoni Góralik – proboszcz z Pleszowa, z tyłu Piotr Krupa, o. Robert Kuchar (ocist.) – przeor oo. Cystersów w Mogile, z tyłu Wojciech Tyrka, Jan Malinowski – b. wójt Czyżyn, Maria Hajto, Jan Szklarczyk, Maria Hajto i ks. Józef Zastawniak – proboszcz z Mogiły i budowniczy kościoła w Czyżynach.



Adam Ziemba z teściami i szwagrem na schodach domu przy ul. Jutrzenka 98 w Czyżynach, maj 1939 r.



Pani Goldfarbowa (narodowości żydowskiej) po śmierci męża przychodziła na obiady do domu Adama i Kazimiery Ziembów, luty 1943 r.



Pani Fabjańska (narodowości żydowskiej) – pracowała w Monopolu Tytoniowym w Czyżynach. Z polecenia dyrektora zakładu (Niemca), została skierowana na mieszkanie do Magdaleny Czopek-Krupowej razem z dwunastoletnią córką Helenką. Po pewnym czasie aresztowali ją Niemcy w domu (jej córka przebywała wówczas na zewnątrz). Nie widząc wyjścia z tragicznej sytuacji pani Fabjańska połknęła truciznę, którą na wypadek pojmania nosiła przy sobie. Wcześniej poprosiła Magdalenę Czopek-Krupową i jej córkę Krystynę, aby zaopiekowały się córką. Powiedziała, że po wojnie zgłosi się po nią krewna – pani Piasecka. Latem 1946 roku Helenka odwiedziła w Czyżynach swoje dawne opiekunki wraz z ciocią Piasecką, potem wyjechała do Izraela.



Fotografia wykonana w dniu pogrzebu Wincentego Witosa 5.11.1945 r. przedstawia Władysława Hajto (z lewej) i Piotra Krupę z Czyżyn, którzy w strojach krakowskich brali udział w Mszy Św. pogrzebowej Kościele Mariackim w Krakowie.



Dziewczyny z Czyżyn, od lewej: Hanna Pilzneńska, Barbara Ziembianka i Krystyna Kozłowska, 24.07.1942.



Barbara Ziembianka przed domem, Czyżyny kwiecień 1940 r.



Dom Magdaleny Czopek-Krupowej. Stoją od prawej: jej córka Krystyna, Stanisław Fliśkiewicz, Jadwiga Nowak. Lata 30. lub 40.



Rodzina Moskałów podczas zbioru tytoniu, Czyżyny, lata 30.



W pasiece Stanisława Moskały (stoi w środku), Władysław Hajto (z prawej), Czyżyny, lata 30.



Droga z Czyżyn do Bieńczyc, z prawej tor kolejowy „kocmyrzówki", lata 30. lub 40.



Zakład Uprawy Tytoniu Polskiego Monopolu Tytoniowego w Krakowie-Czyżynach, koniec lat 30.



Od lewej: Wanda Ottenbreit, Maria Tyran, Barbara Ziemianka i Sylwia Sacha w laboratorium Monopolu Tytoniowego, Czyżyny, marzec 1943 r.



Grono pedagogiczne Szkoły Powszechnej w Czyżynach, koniec lat 30., w pierwszym rzędzie siedzi ks. Józef Zastawniak, obok niego Franciszek i Kazimiera Marszałkowie i in.



Piłkarze i działacze Amatorskiego Klubu Sportowego „Czyżyny".
W górnym rzędzie stoją od lewej: Stanisław Moskała (pierwszy), Mieczysław Marzec (czwarty), Piotr Krupa (szóty), Franciszek Marszałek (siódmy), Andrzej Malinowski (dziewiąty), Marian Krupa (trzynasty) i in.



Otwarcie boiska sportowego w Czyżynach, 1946 r.



Franciszek Marszałek, kierownik szkoły w Czyżynach z żoną Kazimierą oraz synami: Zbigniewem i Tadeuszem, 10.09.1932 r.



Przed szkołą w Czyżynach, od lewej: Zbigniew Marszałek, NN, Tadeusz Marszałek, NN, ok. 1934 r.



Kazimiera Marszałek z synami: Tadeuszem (z lewej) i Zbigniewem podczas sypania kopca Józefa Piłsudskiego na Sowińcu, 1936 r.



Młodzież z Czyżyn w Łęgu nad Wisłą, od lewej: Zbigniew Marszałek, Janina i Barbara Ziembianki, Tadeusz Marszałek, sierpień 1940 r.

W y c i ą g e w i d e n c y j n y.

1/ Nazwisko i Imię ..... Marszałek Zbigniew .....

2/ Data urodzenia ..... 16. 3. 1924 r. Kryspinow pow. Krakow .....

3/ Nazwiska używane ..... " Ursus " .....

.....

4/ Wykształcenie ..... matura gimn. .....
Szkola Podchorazych w lesie
.....

5/ Data wstąpienia do organizacji ..... 1942. Z.W.Z. Czyzyny, ...

6/ Przebieg służby w konspiracji 1943. A.K. odc. 4. Krakow. .....
1944.3. Oddzial Part. Huragan , 28.7. 44. Sam. Batalion Part. .....
"Skala". .....
poległ pod Sadkami dnia 30.8.1944 r.
.....

7/ Ostatni przydział i funkca ..... 1 komp. Sam. Baonu Part. "Skała" Dca druz. ...

8/ Stopień wojskowy i starszeństwo ..... Pporucznik Starsz. 11.11.1944. .....

9/ Stopień woskowy w roku 1939 .....

10/ Odznaczenia ..... Krzyż Walecznych .....
.....
.....

11/ Odniesione rany w konspiracji .....
.....
.....

K. SZEF DYWERSJI OKRĘGU KRAKOWSKIEGO

/ Skała - Zimowit /

Kraków, dnia 15 października 1945 r.

Wyciąg ewidencyjny dotyczący Zbigniewa Marszałka, który poległ pod Sadkami 30.08.1944 r.

Rozdział V

Pleszów

KATARZYNA GAJOCH-WITASZKOWA – Dzieje szkoły w Pleszowie



Katarzyna z Gajochów Witaszkowa

W archiwach parafii pleszowskiej jest notatka pochodząca z końca XVI w. o istniejącej we wsi szkółce parafialnej[1]. Mianowicie, w aktach po wizytacji tutejszej parafii w 1595 r. zapisano, że proboszcz, ks. Adam Jastrząbski, *ma dom dla kierownika szkoły z ogrodem i małym sadem i płaci mu rocznie 4 floreny*. Notatka ta wskazuje, że szkoła parafialna musiała powstać wcześniej i była dobrze wyposażona. Z kolei w 1618 r. w aktach po wizytacji ks. Jana Foxa, dr. oboj. praw, napisano: *proboszcz ks. Stanisław Molenda ma dom z ogrodem dla kierownika szkoły, płaci mu pensję roczną a nadto z fundacji na Żupach Wielickich otrzymuje kierownik szkoły co kwartał 24 grosze.*

Z następnej notatki, podanej w wyżej wymienionej kronice dowiadujemy się, że od 1618 do 1660 r. szkoła pleszowska nie była czynna. W czasie wojen szwedzkich kościół, plebania i szkoła zniszczały – zostały spustoszone. Po tej dość długiej przerwie od 1660 r. uczył w Pleszowie bakałarz[2], a w 1782 r. organista jest zarazem kierownikiem szkoły i ma dobry dom mieszkalny[3]. W 1747 r. w inwentarzu kościoła i probostwa w Pleszowie zapisano: *Szkoła albo rezydencja dla organisty.* Z kolei w Księdze II na str. 827 znajduje się następujący opis szkoły: *Wchodząc do tey, są drzwi na zawiasach y hakach, z antabkami żelaznymi. W tej izbie jest piec kaflowy i kuminek. Okna dwa w ołów oprawne. Z tej do komnaty są drzwi na zawiasach i hakach w której yest okno yedno, drzwi na podwórzu z gontów zrobione. Naprzeciwko tych izb jest piekarniczka mała. Na tej całej szkole powała dobra, krokwy, łaty i podsuwka dobra. Dookoła zaś tey szkoły są chlewy – płoty przez teraźniejszego organistę dawane i grodzone. Przed tą iest kilka zagonów do organisty należących. Księdzu Wikaremu i organiście z własnej kieszeni płaci proboszcz bo fundacyi na nich nie masz.*

Budynek ten, zapewne drewniany, powoli niszczał i w 1768 r. zawalił się, bo w Księdze III napisano: *ten cały budynek spadł (...).* Od 1768 do 1780 r. szkoła pleszowska nie była czynna (właściciele majątku, ks. Józef Czartoryski ani ks. Jurkowski nie zadbali o nią). Po dwunastoletniej przerwie, w 1780 r., pod wpływem idei oświeceniowych, a może odczuwanej przez chłopów potrzeby, szkoła została uruchomiona: W wynajętej dużej izbie u Piotra Partyły nauka odbywała się od rana do wieczora z małą tylko przerwą obiadową – czytamy w tejże Księdze. Z dalszej notatki dowiadujemy się, że w 1780 r. jest nauczyciel Stanisław Kudalski, a ilość dzieci w wieku szkolnym wynosi ok. 100. Poprzednio nie notowano nazwisk uczących, nie wiadomo również jakie mieli przygotowanie. Prawdopodobnie wymieniony nauczyciel i jego następcy mieli już ukończone seminarium dla nauczycieli, jakie stopniowo pod koniec XVIII w. zakładano w większych miastach. Według zapisów w kronice parafialnej, w latach 1780-1867 istnieje tu szkoła w wynajętym lokalu. Od 1819 r. do 1835 r. nauczycielem był Jacek Oplec.

W 1867 r. pleban, ks. Paweł Winczowski, donosi do władzy konsystorskiej: *W parafii Pleszowskiej została uruchomiona druga szkółka parafii we wsi Lubocza wraz z Grębałowem. Do obydwu szkółek jest przeszło po 100 dzieci zapisanych, które z największą ochotą na naukę uczęszczają. Nauczycielem w szkole pleszowskiej jest niejaki Schunke młodzianin wzorowy, już drugi rok prawie darmo z wielką korzyścią dla dzieci uczący, obecnie przez gromadę utrzymywany.* Szkoła pleszowska jako parafialna przetrwała do 1874 r. Na frekwencję dzieci w szkole i zainteresowanie się chłopów szkołą wpływała nie tylko osoba nauczyciela, ale i rozwój świadomości politycznej, zwłaszcza po zniesieniu pańszczyzny.

Wolność, jaką chłopi otrzymali po zniesieniu pańszczyzny (1848 r.) i pewność uprawiania posiadanej ziemi, zmieniła ich stosunek do pracy, do życia i do zagadnień oświatowo-kulturalnych. Potwierdzeniem zrozumienia przez chłopów pleszowskich wagi nauczania dzieci były starania o kupno parceli i wybudowanie nowej, murowanej szkoły, a poprzez opodatkowanie się chłopów i dworu (w zależności od ilości posiadanej ziemi) i sprzedanie kawałka błonia, zdobyto część funduszy na budowę szkoły. Na parceli kupionej od Walczaka, znajdującej się tuż przy tutejszym kościele, rozpoczęto w kwietniu 1874 r. budowę murowanej szkoły. Pomoc chłopów

1. Archiwum Parafialne, Ks.I str. 30-31
2. Tamże, Ks.I.str. 90
3. Tamże, Ks. II str. 49

i dworu przy zwożeniu materiałów budowlanych obniżyła koszty i przyspieszyła wykończenie budynku.

10 listopada 1877 r. rozpoczęto naukę w nowej szkole. Koszta wybudowania szkoły wyniosły 4 518 złotych reńskich i 50 centów. Budynek składał się z jednej dużej sali o 3 oknach, obliczonej na 80 dzieci i mieszkania nauczycieli, złożonego z 2 pokoi i kuchni. Szkoła od strony drogi miała drewniany ganek, a od południa 2 przybudówki murowane – jak zanotowano w kronice szkolnej.

Od 1874 r. na miejscu szkół parafialnych powstają jednoklasowe szkoły ludowe. Szkoła pleszowska podlegała do 1881 r. Radzie Szkolnej w Mogile. Od tego roku istnieje Rada Szkolna w Pleszowie, składa się ona z dziedzica, księdza, wójta i 2 chłopów. W 1874 r. nauczycielem w tej szkole był Jan Wojciechowicz, uczęszczało do niej 64 dziewcząt i 55 chłopców, a oprócz nich na naukę niedzielną chodziło 6 dziewcząt i 5 chłopców. Od roku 1880 uczył w Pleszowie młody i bardzo lubiany nauczyciel Władysław Kulka, który, pomimo że był sam na 120 dzieci, organizował dla nich niedzielne majówki w Lesie Kujawskim. Dzieci przygotowywały piosenki i deklamacje, a Rada Szkolna zakupywała dla nich słodycze, czasami zamawiała grajków. Również na uroczystości zakończenia roku szkolnego przychodziła Rada Szkolna, która dla najlepszych uczniów zakupywała książki do nabożeństwa lub książki i słodycze. Dzieci cieszyły się bardzo z otrzymanych prezentów, chętnie uczęszczały do szkoły. Istniał też chór dziecięcy, który występował w kościele i na uroczystościach szkolnych.

Od 1874 r. liczba dzieci sięgała ponad 100, więc Rada Szkolna miejscowa starała się o drugą siłę nauczycielską. Jednak pomimo ciągłego przyrostu dzieci w wieku szkolnym, Rada Okręgowa przydzieliła drugą siłę nauczycielską dopiero w 1898 r. W 1900 r. została dobudowana do budynku szkolnego druga sala szkolna od wschodu oraz pokoik dla nauczycielki. Kierowniczką szkoły została Maria Zagórzańska, która przybyła do Pleszowa w 1897 r. Drugą siłą nauczycielską była Helena Ligęzianka. Chłopi pleszowscy w tym okresie bardzo interesowali się pracą i życiem szkoły. Była to zasługa obu nauczycielek, które z dużym oddaniem pracowały nie tylko z dziećmi, ale i z dorosłymi. Z inicjatywy p. Zagórzańskiej Towarzystwo Szkół Ludowych (TSL) zakłada 50 tomową bibliotekę publiczną, z której po niedzielnej mszy świętej w miesiącach zimowych korzystają dorośli i młodzież. Przez kilka lat przed I wojną światową TSL urządza w Pleszowie cieszące się dużym zainteresowaniem popularne wykłady dla ludności wiejskiej. Pani Zagórzańska zorganizowała pierwszy kurs gotowania dla dziewcząt, połączony z pogadankami o higienie osobistej, wartościach odżywczych jarzyn i owoców i zachowania się przy stole. Dzięki staraniom kierowniczki szkoły i jej zachęcie, w przeciągu 2 lat z dobrowolnych datków dokupiono 60 książek i piękną szafę biblioteczną. Z biblioteki oprócz dzieci zaczęło korzystać około 70 osób. Przed pierwszą wojną światową – jak mówił Wawrzyniec Czekaj, sąsiad Gajochów – była już pełna szafa książek, na pewno około 300 tomów.

W 1914 r. Maria Zagórzańska przestaje uczyć, idąc na zasłużony odpoczynek. Kierownikiem szkoły zostaje Kazimierz Janowski, a po nim od 1916 r. Wojciech Zawada, który w pracy swej i w stosunku do dzieci wiejskich i ludzi różnił się na niekorzyść od swej poprzedniczki; nie brał udziału w życiu wsi, do dzieci szkolnych odnosił się ostro i bił je bez powodu. Tak pięknie zaprowadzona biblioteka, niedopilnowana po wyjeździe p. Zagórzańskiej, rozproszyła się wśród ludzi, a w okresie wojennej ewakuacji całej górnej części Pleszowa (1917-1918 r.) zniknęły pozostałe resztki książek wraz z ładną szafą biblioteczną. Dalej o szkole pleszowskiej tak pisał Jan Twaróg, kierownik szkoły: *W latach I wojny światowej nauka była często przerywana z powodu ewakuacji wsi, zakwaterowania wojska, a później z braku opału. Nauka odbywała się w 2 salach szkolnych, a 3 sala znajdowała się w budynku gromadzkim. W 1918 roku podniesiono stopień organizacyjny szkoły na dwuklasową, wprowadzono siódmy rok nauki.* Po przeniesieniu się Wojciecha Zawady do powiatu chrzanowskiego, pracę w szkole pleszowskiej od 1 maja 1920 r. rozpoczął Jan Twaróg. Wraz z nim pracują: Helena Ligęzianka, Maria Józefczakowa, Waleria Figwerówna. Liczba dzieci w szkole przekracza 200. W 1924 r. przybyła w miejsce p. Figwer, przeniesionej do Luboczy, p. Genowefa Twarogowa z domu Wojnarowska.

W 1937 r. kierownik szkoły, Jan Twaróg, dzięki poparciu radnych, naczelnika gminy inż. Kazimierza Cieślewicza i jego zastępcy Stanisława Rosiewicza, rozpoczął starania o nadbudowę szkoły. Do komitetu nadbudowy szkoły należeli: Stanisław Rosiewicz, przewodniczący, Jan Twaróg, sekretarz i skarbnik, członkowie: Piotr Perlik, Franciszek Szywalski i Józef Gajoch. W latach wielkiego kryzysu ekonomicznego zdobywanie funduszy i zaciąganie pożyczek wymagało wielkiego poświęcenia oraz pracy całego zespołu. W swoich wspomnieniach Jan Twaróg pisze obszernie na temat tych trudności i wylicza instytucje, które świadczyły na ten cel. Na zakończenie podaje: *Nadbudowa kosztowała nas nie 21 tysięcy (jak obliczyli rzeczoznawcy) lecz dzięki gospodarnemu i życzliwemu podejściu wszystkich pracowników i ludności miejscowej: 16.228 zł 40 gr. W połowie był to koszt materiałów budowlanych, drugą stanowiły wynagrodzenia pracowników. Członkowie Komitetu nadbudowy pracowali bezinteresownie, nie pobierali zwrotów kosztów za przejazdy w sprawach załatwiania materiałów budowlanych. (...).* W grudniu 1938 r. odbyła się uroczystość poświęcenia szkolnej nadbudowy, którego dokonał ks. Antoni Góralik.

Radość z odzyskanej wolności po 1945 r. nie trwała długo, ponieważ życie wsi i jej rozwój zostały zakłócone, zaś społeczeństwo celowo podzielone. Prace społeczne

nie rozwijały się z takim zapałem jak w latach 1918-1939. Powstało drugie Stronnictwo Ludowe (ZSL), do którego ludzie nie mieli zaufania. Członkowie dawnego SL/PSL cieszyli się większym autorytetem. Koło Gospodyń przeciwstawiało się Kołu Ligi Kobiet, lecz Koło Młodzieży Wiejskiej „Wici" do 1948 r. rozwijało się dobrze. W następnych latach zostało jednak rozbite przez osoby wyznaczone do tego celu przez nowe władze. Kółko Rolnicze przemianowane na Gminną Spółdzielnię „Samopomoc Chłopska" po przejściu pod zarząd Państwowej Spółdzielni Spożywców (PSS), utraciło cały swój dorobek ale – jako organizacja pleszowskich rolników – podjęła ona na nowo wspólne nabywanie nawozów sztucznych, cementu, wapna, pasz i nasion siewnych. Na tle tej pracy stopniowo dochodzi do uzgodnienia przeciwstawianych sobie (pozornie) ugrupowań społecznych. Szkoła w tym czasie nie chciała „wchodzić" pomiędzy skłóconych obywateli. Pracowała u siebie nad dziećmi, pomagając jednak w prawie każdej imprezie, która służyła ogółowi społeczeństwa. Kiedy w gminie urządzono obchody dziesięciolecia partii robotniczych, to zwrócono się do szkoły w Pleszowie o wykonanie części programu. Śpiewał więc chór dzieci pleszowskich w Mogile, a po uroczystości przedstawiciel Wojewódzkiego Komitetu PZPR dziękował dzieciom za śpiew, mówiąc, że piękno ich pieśni było największą ozdobą uroczystości.

W 1958 r. Jan Twaróg, przechodząc na rentę po 38 latach ciężkiej, pełnej poświęcenia pracy w szkole i organizacjach społecznych, z żalem był żegnany przez ludność Pleszowa i swoich uczniów. Był dla nich wychowawcą i nauczycielem, ale również doradcą i przyjacielem.

MICHAŁ CYGAN – Sylwetki kierowników szkoły

Według opowiadania mojego ojca, bardzo lubianym i szanowanym był kierownik szkoły w latach 1874-1877, Jan Wojciechowski, a jeszcze większy szacunek miał Władysław Kulka sprawujący to stanowisko w latach 1877-1883. Za kierownictwa Walerii Wilgówny nauka szła kiepsko, bo była to kobieta wątła i kiepskiego zdrowia. Antonina Baczyńska była bardzo pilną w nauczaniu. Pomiędzy 1887 a 1892 r. uczy przez dwa lata Kazimierz Zimowski, który naukę popędza kijem. Od 1894 do 1897 r. kierownikiem jest Karol Kozłowski, stosujący bezwzględnie karę chłosty, sam piszący tego zaznał, bo za niego rozpoczął naukę. Z powodu rudych włosów i wąsów uzyskał przydomek „Panie złoty". W roku 1897, po przybyciu Zagórzańskiej, niewiele się zmieniło, również była to kobieta nerwowa i karę chłosty stosowała, uczyła sama do południa i po południu, szczególny nacisk kładła na historię, lubiła uczyć śpiewu, dziewcząt haftu i robótek szydełkowych. Gdy się zdenerwowała na chłopców, posyłała po ks. dz. Rychlaka, który wymierzał karę na leżąco na stołku, dając najmniej pięć kijów na zadek, jak on zwykł nazywać: „spod ciemnej gwiazdy". Rodzice ukaranego chłopaka mówili: *że sie moze teros poprawi bo poświocanom rynkom dostoł.*



Michał Cygan

Helena Ligęzianka była ogólnie lubiana i szanowana, przebywała w Pleszowie od przełomu lat 1901/1902 do 22 lutego 1933 r. Ks. Fr. Wąsik, który przybył na probostwo w 1903 r., kije i trzciny usunął z klas i zakazał dzieci bić. Karol Jankowski i Maria Burzyńska byli dość krótko i mało byli mi znani. Na niechlubne świadectwo zasłużył kier. Wojciech Zawada, który miał ze wsią wciąż jakieś zatargi i kłopoty, chciał wszędzie i wszystkim być i zaczął z powrotem karę chłosty wprowadzać i to go z Pleszowa usunęło, względnie to mu najwięcej dopomogło, że został przeniesiony na inną szkołę. 1 maja 1920 r. przybył na miejsce Zawady na stanowisko kierownika Jan Twaróg i Maria Józefczak, a nieco wcześniej Waleria Figwer. Za czasów Jana Twaroga szkoła została nadbudowana, do której to budowy on sam wiele pracy fizycznej i umysłowej włożył oraz ponad 1000 zł gotówki, mającej wtedy wielką wartość. Prócz pracy zawodowej założył i prowadził Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży, uczył śpiewu czterogłosowego, dawał początki nauki muzyki, był współzałożycielem Ochotniczej Straży Pożarnej (13 czerwca 1926 r.) i początkowo jej sekretarzem. Przez kilka lat był skarbnikiem sklepu Kółka Rolniczego, sekretarzem rady gminnej i in. Zawsze pogodny, cichy i skromny, zaskarbił sobie u miejscowej ludności szacunek i poważanie, prowadząc dalej naukę z pożytkiem dla dzieci, ku zadowoleniu ludności już ponad 35 lat. Współpracownice jego, jak Zofia Richter, Kamila Wronianka, w czasie wojny wywiązywały się ze swych obowiązków wzorowo, jak również i obecne nauczycielki cieszą się dobrą opinią.

Kończąc opis szkoły w Pleszowie składam całemu gronu nauczycielskiemu serdeczne podziękowanie, a w szczególności kier. Janowi Twarogowi, życząc im długiego zdrowia, wszelkiej pomyślności i zadowolenia w pracy zawodowej.

KATARZYNA GAJOCH-WITASZKOWA – Wspomnienia o domu rodzinnym, życiu i działalności Jana Gajocha[4]



Katarzyna z Gajochów Witaszkowa

Rodowody przodków kształtują naszą psychikę

W 1864 r. urodził się nasz ojciec, Walenty Gajoch. Pochodził ze starej chłopskiej rodziny, która od wielu pokoleń posiadała w Pleszowie łan ziemi, czyli 24 ha. Łan ten podzielony został w XVIII w. między dwóch braci: Piotra i Walentego. W Archiwum Wojewódzkim w Krakowie, w licznych zapiskach ks. Andrzeja Jurkowskiego, plebana pleszowskiego, znajduje się ciekawa notatka świadcząca o buntowniczym duchu naszych przodków: *Gaweł z Gajochem ma zatrzymaną i nie wypłaconą dziesięcinę za lata: 1778-1783. Według podanego rachunku J.W.P. Czarneckiemu Komisarzowi na tynfów 143 gr 20 wpłacili dłużnicy złotych polskich tylko 49, resztę zachowali sobie.* W roku 1771 zanotowano: *kmiecie wsi Pleszowa* (podano ich 15, m.in. Walenty Gajoch) *dziedzicznej Księcia Kazimierza Czartoryskiego Łowczego Koronnego, robią po pięć dni ciągłych, mają grunta ku Mogile, ku Ruszczy i ku Branicom.* W 1780 r. w Rejestrze dziesięciny z przymiarów kmiecych (nazwa pól pleszowskich) do plebanii pleszowskiej należących figuruje Stanisław Gajoch, który oddaje: 20 garncy jęczmienia, 3 grochu i 6 garncy owsa.

Wracając do lat dziecinnych ojca, z opowiadania jego pamiętam, że chodził do szkoły mieszczącej się w domu Piotra Partyły, że uczył się chętnie i dobrze, podobnie jak jego starszy brat Piotr: *Zawsze czytałem napotkaną gazetę i książkę, interesowały mnie sprawy naszej politycznej wolności i przeszłości.* Ojciec od 1892 r. prenumerował i czytał „Przyjaciela Ludu", „Wieniec" i „Pszczółkę", a później „Piasta". W 1898 r. kierowniczka szkoły, p. Maria Zagórzańska, wraz z drugą nauczycielką, p. Heleną Ligęzianką, założyły wspólnie z kołem TSL bibliotekę gminną i organizowały w każdą niedzielę wykłady dla dorosłych, z czego chętnie korzystali chłopi pleszowscy, a wśród nich nasz ojciec. Sam kupił kilka książek o tematyce historycznej i ozdobnie wydaną „Historię Polski". W długie zimowe wieczory przychodzili do naszego domu sąsiedzi, a najczęściej Jan Stefański, Wawrzyniec Czekaj, Józef Gębala i Wojciech Kaszowski. Ojciec albo jeden z najstarszych synów; Piotr lub Walenty, czytał na głos książkę. Podobnie było przy darciu pierza, na które przychodziły kobiety i młode dziewczęta, jak i przy łuskaniu grochu.

W 1902 r. zarząd gminy z wójtem Piotrem Gajochem na czele założył Kółko Rolnicze i sklep, likwidując żydowską karczmę, która rozpijała chłopów. Ojciec był aktywnym członkiem Kółka Rolniczego, Rady Gminnej, Rady Szkolnej, a po założeniu w 1918 r. Stronnictwa Ludowego został gorącym jego propagatorem. Utrzymywał przyjacielskie kontakty ze znanymi działaczami społeczno-politycznymi: Janem Jarzyną z Bosutowa, Franciszkiem Wójcikiem z Wyciąż, Franciszkiem Ptakiem z Bieńczyc i p. Serczykiem z Toń.

W 1910 r. ojciec z liczną grupą chłopów pleszowskich i najstarszymi synami brał udział w odsłonięciu pomnika Grunwaldzkiego w Krakowie, gdzie na pewno słuchali chłopi po raz pierwszy przemówienia Wincentego Witosa. Kiedy w 1918 r. powstała wolna Polska – cieszył się bardzo. Oceniając ciężkie położenie kraju, bez porozumienia się z mamą oddał wszystkie oszczędności na pożyczkę narodową, z czego po raz pierwszy w domu zapanowała przez jakiś czas dość niemiła atmosfera. W 1918 r., po założeniu przez Włodzimierza Tetmajera Stronnictwa Ludowego w Polsce, był jego czynnym członkiem i zwolennikiem, czytał „Piasta", brał udział w wiecach. W 1921 r. zostało założone w Pleszowie Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej, pierwszym prezesem został Jan Twaróg, a jego zastępcą Walenty Gajoch. W 1932 r. w imieniu gospodarzy pleszowskich witał we wsi Wincentego Witosa. W latach 1930-1933 był członkiem Rady Powiatowej. Oprócz ojca należało do niej kilku chłopów, ale zdecydowaną większość stanowili właściciele ziemscy. Na prośbę pleszowskiego Koła Młodzieży, w 1930 r. Rada Powiatowa przyznała subwencję w wysokości 300 zł na założenie orkiestry dętej. Następne ważniejsze wnioski wysunięte przez chłopów jak budowa szkoły rolniczej w Pleszowie, konserwacja kopca Wandy w Mogile, kursy rolnicze w Liszkach, łaźnie ludowe we wsiach – starosta powiatowy, dr Wnęk, i większość Rady wycofali jako niepotrzebne[5]. Nagromadzone dochody Rada postanowiła przeznaczyć na budowę domu mieszkalnego przy ul. Szopena 9 w Krakowie.

Ojciec nasz w okresie strajków rolnych należał do ich organizatorów, brał udział w wiecach i manifestacjach ludowych. W 1940 r. za sabotaż gospodarczy – nieoddanie kontyngentu zbożowego Niemcom, razem z 30 innymi gospodarzami i synem Janem został, pomimo swoich 76 lat, zamknięty do więzienia. W 1941 r. bardzo ciężkim przeżyciem dla ojca i całej rodziny była wiadomość o śmierci najstarszego syna w Auschwitz. Po tym wszystkim zachorował poważnie na serce. Mimo to interesował się losami kraju. Kiedy przyjeżdżałam do domu, pytał o wiadomości z frontów i pamiętam jak mówił: *Tak bym chciał jeszcze dożyć tej wolnej Polski.* Niestety, zmarł w czerwcu 1942 r., w wieku 78 lat.

Podobnie jak ojciec, tak i nasza mama Katarzyna Gajoch z domu Buczek należała do ludzi światłych. Urodzona w 1873 r. na Kujawach (przysiółek oddalony o 3 km od centrum Pleszowa), chodziła bardzo chętnie do nowej już szkoły. Mama nasza miała trudne dzieciństwo, wcześnie straciła matkę, a w 12 roku życia ojca. Niedobra macocha piła i niszczyła gospodarstwo. Mimo młodego wieku (wyszła za mąż w 17 roku życia) była wzorową i oszczędną gospodynią. Mając liczne obowiązki i 8 dzieci potrafiła utrzymać dom w czystości, prowadzić gospodarstwo hodowlane zarodowych krów rasy nizinnej, drobiu i trzody chlewnej. Z dochodów pokrywała wydatki domowe, odkładała pieniądze na dokupienie pola, a resztę oszczędności składała na książeczki w kasie powiatowej na spłaty dla dzieci. Umiała dobrze organizować swoją pracę, w zależności od wieku wymagała też pracy od dzieci, co w połączeniu z systematycznością i czystością pozwoliło jej na wygospodarowanie czasu na czytanie, przyjmowanie dość licznych gości, wyjazdy na wesela i inne rozrywki. Po założeniu Koła Młodzieżowego rodzice interesowali się jego pracami i osiągnięciami, brali udział w przedstawieniach, dożynkach i zjazdach. Miła atmosfera domu rodzinnego, solidna praca rodziców i dzieci, rozwijanie wspólnych zainteresowań wywarły silny wpływ na kształtowanie naszych charakterów i postaw życiowych.

Atmosfera domu rodzinnego Jana Gajocha

16 października 1900 r. w rodzinie Gajochów przyszło na świat piąte dziecko – Jan, trzeci syn. Na rodziców chrzestnych zostali zaproszeni Józefa Gajochowa, żona brata ojca i Jan Jarzyna, działacz ludowy. W tym czasie proboszczem w Pleszowie był ks. Franciszek Wąsik, człowiek ceniony, ale nie uznający chłopów zaangażowanych polityką. Gdy rodzice chrzestni przywieźli dziecko do kościoła, proboszcz nie chciał go ochrzcić. Jan Jarzyna kazał siadać na wóz i pojechał ochrzcić małego Jasia w Mogile u oo. Cystersów.

Janek był dzieckiem poważnym i ciekawym. Uczył się dobrze i od pierwszych klas chętnie czytał książki, które pożyczał w bibliotece szkolnej. Po ukończeniu 4 klas szkoły podstawowej w Pleszowie, Janek wraz z kolegami, Józefem Rosiewiczem i Piotrem Kotem, został zapisany do gimnazjum w Krakowie. Czytał dużo po nocach i uczył się dobrze. Po dwuletnim pobycie w gimnazjum zachorował poważnie na oczy i musiał przerwać naukę. Leczenie trwało długo, do szkoły już nie powrócił. Początek I wojny światowej i leczenie przeszkodziły w kontynuowaniu dalszej nauki. Rozbudzone zainteresowania rozwijał jednak poprzez czytanie książek historycznych i żywy udział w dyskusjach, jakie często toczyły się w rodzinnym domu z chłopami zaangażowanymi politycznie. Do tematów często tam omawianych należała pańszczyzna – na którą, podobnie jak w całym cywilizowanym świecie, buntowali się także chłopi pleszowscy. Jak głosiła tradycja ustna, buntowników zamykano na noc w ciemnicy na cmentarzu. Mówiono też sporo o powstaniach, a najstarsi opowiadali, że panowie z okolicznych dworów i brat Wincentego Kirchmajera, dziedzica pleszowskiego, organizowali oddziały z chłopów miejscowych. Po powstaniu styczniowym w niektórych domach na Kujawach-Kopaninie u Gajocha oraz w Pleszowie ukrywali się powstańcy. Również z myślą o nich, jak dyskretnie napisano w kronice parafialnej – „bezdomnych", założono w Pleszowie szpitalik, którym opiekowało się bractwo różańcowe. Najwięcej czasu poświęcano zawsze na omawianie walk kościuszkowskich. Tadeusz Kościuszko, przygotowując się do bitwy pod Racławicami, miał zatrzymać się, jak głosi ustna tradycja, u gospodarza Rosy (obecnie Rosiewicz) w Pleszowie. W ogrodzie przed domem opracowywał plan bitwy, a w kuźni dworskiej kuto kosy. Przed wsią, gdzie ludność Pleszowa i okolicznych wsi witała naczelnika, chłopi wystawili pamiątkową ławeczkę z betonu. Ławeczkę tę, zniszczoną przez okupanta niemieckiego, odnowił pod koniec wojny brat Jan Gajoch (obecnie ławeczka ta zniknęła i nie wiadomo gdzie się znajduje – dop. red.). Na tej skromnej uroczystości było nas kilkoro: Stanisław Mierzwa, Edward Kaleta, Jan Witaszek, Józef Gajoch, pow. kom. BCh Jan Kotyza i pisząca te słowa. Stół, przy którym pracował Kościuszko, jak informował mnie ks. Jan Rosiewicz, po pierwszej wojnie światowej zabrano do Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie.

4. Życiorys Jana Gajocha został opracowany na podstawie relacji ustnych i pisemnych Stanisława Mierzwy, Stanisława Kuhla, Walentego Adamczyka, Józefa Salwińskiego, p. Kulmówny, Zofii Gajochowej, Jana i Józefa Gajochów oraz własnych wspomnień piszącej. Dla ustalenia dat pełnionych przez niego funkcji w różnych organizacjach posłużono się protokołami Koła ZMW „Wici" w Pleszowie oraz rocznikami „Znicza" z lat 1935-1939.

5. Protokół z 8 lutego 1934 r.

Powracając do okresu sprzed pierwszej wojny, to wśród chłopów pleszowskich i z okolicznych wsi dało się zauważyć ogólne dążenie niepodległościowe i społeczno-państwowe. We wszystkich wsiach powstawały Drużyny Bartoszowe. Były to legalne organizacje młodzieżowe, które podobnie jak późniejsze Przysposobienie Wojskowe, miały na celu przygotowanie chłopców do służby wojskowej i wojny. Jednak oprócz ćwiczeń młodzież czytała nielegalne pisma i historię Polski.

I wojna światowa przyspieszyła wyraźnie proces rozwoju świadomości politycznej chłopów polskich. Około 60 chłopów z Pleszowa walczyło na różnych jej frontach. Pięciu, a wśród nich najstarszy nasz brat, Piotr, znalazło się aż na dalekim Sybirze. Znacznie też rozwinęło się czytelnictwo gazet. Brat Janek z ojcem i starszym rodzeństwem śledził na mapie linie przesuwającego się frontu. Czytały teraz i kobiety, chcąc się dowiedzieć o losach swych najbliższych. Matki, często dowiedziawszy się o chorobie synów, jeździły (po raz pierwszy w życiu) do szpitali znajdujących się w Czechach, na Morawach, na Węgrzech czy w Austrii. Nasza mama np. jeździła do Nowego Targu, a następnie do Krzeszowic, gdzie leżał poważnie ranny drugi brat, Waluś. W 1916 r. brat Piotr dostał się koło Kraśnika do niewoli rosyjskiej i nie było od niego żadnej wiadomości. W czasie I wojny światowej pełno było w całym Pleszowie wojsk różnych narodowości. Wojsko niszczyło dobytek, bezkarnie zabierało bydło i kury, wycinało stare i wysokie drzewa. W szkole pleszowskiej w ciągu całej wojny nauka była często przerywana z powodu braku opału, zakwaterowania się wojska, a w końcu z powodu ewakuacji całej górnej części Pleszowa. Trudności gospodarcze dawały się coraz częściej we znaki. Rola źle uprawiana, przeważnie tylko przez kobiety, źle rodziła. Ludzie marnie się odżywiali i ubierali. W 1916 r. panowała w całej wsi i okolicy szkarlatyna. W 1918 r. nawet po kilka osób z poszczególnych domów zabrała grypa „hiszpanka". Z utęsknieniem czekano końca wojny i wolnej Ojczyzny.

W wolnej Polsce

W listopadzie 1918 r. po 123 latach niewoli powstała wolna Polska. W każdym domu zapanowała radość. W szkole i urzędzie gminnym usunięto austriackie orły. W 1921 r. zostało założone Koło Młodzieży przy Małopolskim Towarzystwie Rolniczym. W Pleszowie brat Janek, razem ze starszym i młodszym bratem oraz siostrą Marysią, zapisał się i organizował Koło, do którego w pierwszym roku należało 80 członków, a w następnym 120. Młodzież odczuwała potrzebę organizacji i pracy oświatowej. Po całodziennej pracy w polu czy fabryce, chłopcy w dawnej karczmie budowali wieczorami salę i scenę, dziewczęta malowały ją i ozdabiały. W niej odbywały się zebrania z referatami i dyskusją oraz przedstawienia. W pracach tych bardzo ofiarnie pomagał młodzieży kierownik szkoły, Jan Twaróg.

W maju 1921 r. Janek Gajoch został powołany do służby wojskowej. Jako żołnierz 5 Dywizji Samochodów Pancernych, stacjonującej na Dąbiu, brał udział w III powstaniu śląskim. W 1923 r., po powrocie z wojska, włącza się do pracy w Kole. Z książek zebranych po domach, składek członkowskich oraz z dochodów osiąganych z przedstawień zakłada bibliotekę, która po kilku latach zgromadziła ok. 1 tys. tomów. W następnym roku założył drużynę piłki nożnej i przez kilka lat był jej komendantem. Po meczach w swobodnej rozmowie zachęcał młodzież do zapisywania się do Koła Młodzieży, zapraszał na przedstawienia i zabawy do naszego Koła w Pleszowie. Zarówno przedstawienia teatralne, jak i zabawy przebiegały na dobrym poziomie. Ze wszystkich okolicznych kół przychodziły koleżanki i koledzy ze swymi inscenizacjami i piosenkami, urządzaliśmy różne gry towarzyskie i zgadywanki. W latach 1925-1928 Janek pełnił funkcję sekretarza, a w latach 1929-1934 funkcję prezesa miejscowego koła i równocześnie prezesa powiatowego.

Od 1926 r. zaczęły się dla wsi coraz gorsze czasy. Początkowo zaogniły się sprawy polityczne. Sanacja stopniowo zaczęła ograniczać swobodę chłopów, nie dając pozwolenia na urządzanie świąt ludowych w miastach, nie pozwalano na zjazdy powiatowe i wojewódzkie. Masowy udział chłopów, coraz śmielsze upominanie się o swoje prawa polityczne, gospodarcze i oświatowe zaniepokoiły przywódców obozu sanacyjnego. Z każdym rokiem coraz krytyczniej patrzono i ustosunkowywano się do ruchu ludowego, do Witosa. Stopniowe przeszkody stosowano również na odcinku młodzieżowym. W nowym statucie ZMW, opracowanym przez Stanisława Miłkowskiego i Józefa Marcinkowskiego, główny nacisk położono na pracę samokształceniową, samodzielność myślenia, swobodę dyskusji, odwagę i szczerość. Koła zaczęły stopniowo przechodzić do nowego Związku. Nie otrzymywał on od państwa żadnej subwencji. Składki członkowskie i zapał młodzieży stanowiły jego kapitał zakładowy. Dobrowolne składki sympatyków Związku umożliwiły wydawanie „Znicza". Koło pleszowskie prenumerowało to pismo. Na zebraniach omawiano trudniejsze artykuły, czytano o osiągnięciach, kursach i zjazdach w całym województwie. Wiadomości te pobudzały do szlachetnej rywalizacji i twórczego zapału. Koło nasze miało w tym czasie dużo wypróbowanych koleżanek i kolegów. W Pleszowie za kadencji Janka założono orkiestrę liczącą 24 muzyków, powiększono bibliotekę, a w 1929 r. Koło ufundowało sobie sztandar, który przez całe wakacje szyły koleżanki: Janina Jaworska, Józefa Gębalanka i Katarzyna Gajochówna. Dużym powodzeniem cieszyły się przedstawienia sekcji teatralnej. Wystawiano „Zemstę", „Krowoderskie Zuchy", „Ojcowiznę", „Damy i huzary", „Kościuszko pod Racławicami" i wiele innych. Z przedstawieniami Koło pleszowskie wyjeżdżało do Wieliczki,

Zagórzyc, Bieńczyc, Czyżyn, Mogiły, Zielonek, a nawet do Krakowa. W Muzeum Przemysłowym wystawiano „Oczepiny", na tle zabytków krakowskich filmowano „Wesele krakowskie", na boisku „Jawienia" w strojach historycznych wystawiano sztukę „Kościuszko pod Racławicami", w której tytułową rolę świetnie oddał mój kuzyn Stanisław Gajoch, starościny Honorata Cyganówna, a starosty brat Jan Gajoch.

W 1932 r. wielkim przeżyciem dla Pleszowa i okolicznych wsi był wiec SL, na który przyjechał Wincenty Witos. Był mężem stanu, który z godnością bronił zawsze wolności i suwerenności państwowej i wolności osobistej każdego prawego Polaka. W szeregach ludowych znajdowali się ludzie z różnych warstw społecznych. Witos utrzymywał kontakty i był wysoko oceniany przez polityków i uczonych. Znana jest wymiana korespondencji pomiędzy Ignacym Paderewskim, Władysławem Sikorskim, Stanisławem Wojciechowskim a Witosem, który należał do ludzi pozostających do końca życia wiernych swoim ideom i własnemu środowisku. *Ludzie z całego powiatu gromadzili się od wczesnego ranka, było ich na pewno około 10 tys. Przeważna ilość ludowców znała go już dobrze ze zjazdów, kongresów czy artykułów. Nastrój pełen skupienia i powagi cechował zgromadzonych. Banderia krakusów wyjechała po niego do Czyżyn. Przed Pleszowem przy historycznej ławeczce Kościuszki powitał go poseł ziemi krakowskiej Franciszek Wójcik. We wsi w imieniu chłopów powitał go Walenty Gajoch a w imieniu młodzieży Jan Gajoch. Ostre słowa pod adresem dyktatury rządu i metod jego postępowania, odważnie wybijały się pośród innych słów Witosa.*[6]

Uświadomionej młodzieży, chłopom i robotnikom pleszowskim coraz trudniej było pogodzić się z zakłamaną polityką klasy panującej. Wieś pozbawiono wolności słowa, wolności osobistej. Walka rozpoczęła się na wszystkich frontach. W gospodarce doszło w latach 30. do jaskrawej dysproporcji cen produktów rolnych z cenami towarów przemysłowych (osławione „nożyce cen"). Zubożenie wsi doprowadziło do obniżenia kultury rolnej i stopy życiowej. Buntowali się przeciw temu chłopi w całej Polsce, czego wyrazem były strajki chłopskie i robotnicze w latach 1932 i 1937. Organizacją strajków w Pleszowie zajmowała się przeważnie młodzież „kołowa" i młodsi członkowie Stronnictwa Ludowego. W całej Polsce aresztowano licznych przywódców i członków ruchu ludowego i młodzieżowego, którzy walczyli z klasą panującą o nowy, sprawiedliwy ustrój społeczny, o równe dla wszystkich prawa polityczne, gospodarcze i oświatowe. Ze wszystkich dzienników i tygodników ludowych usuwano śmielsze wypowiedzi. „Piast" i „Chłopski Sztandar" miały często po konfiskacie trzeci nakład. Represje rodziły dalszy bunt, wpływały na podniesienie solidarności i godności osobistej chłopów polskich. Nie znając zasad filozofii marksistowskiej chłopi pleszowscy wiedzieli jednak, że od rozwoju świadomości, warunków materialnych i społecznych zależy postęp, kultura i oświata. Młodsi gospodarze i młodzież zrywali z tradycyjnymi sposobami uprawy ziemi. Zaczęto stosować nawozy sztuczne, kupować nowoczesne maszyny rolnicze, kalkulować i planować. Przysposobienie rolnicze, czytelnictwo fachowych książek, a głównie własne spostrzeżenia prowadzone na poletkach doświadczalnych, przyzwyczaiły chłopów do prowadzenia gospodarki z ołówkiem w ręku. Sprawdzianem, że cała gromada „wiciowa" obrała słuszną drogę i nie pozwoli się na niej zatrzymać, jest artykuł Jana Gajocha w „Zniczu" z lutego 1934 r., w którym napisał: *(...) mimo wszystkich prześladowań, Związek nasz z tej próby wyszedł zwycięsko, zdał egzamin dojrzałości społecznej i ani na krok nie zszedł ze swej raz obranej drogi. To, że wieś dziś jest w nędzy i upośledzeniu jest winą opiekunów wsi, którzy nieraz pracowali dla nas, ale też i za nas myśleli, a wieś pozostawała dalej w bierności, darzono ich bezkrytycznym zaufaniem, a oni w decydujących chwilach szli tam gdzie był ich interes i kariera.* Dalej rozprawia z naszymi wrogami i kończy słowami: *aby nas już nikt nie wyciągał z bagna za włosy (jak się chełpią tzw. oświatowcy) musimy nasze wiadomości wciąż poszerzać, zdobywając własny światopogląd na życie i jego przejawy. Musimy wglądnąć sami w siebie, aby walka jaką toczymy nie spaczyła naszych charakterów, byśmy w przyszłości niedalekiej nasze sprawy umieli prowadzić.*

9 grudnia 1934 r., uchwałą Rady Naczelnej Wojewódzkiego ZMW w Krakowie, został zmieniony zarząd i odtąd przedstawiał się następująco: Stanisław Mierzwa – prezes, Jan Gajoch – I wiceprezes, Władysław Rączy – II wiceprezes, Tadeusz Kozik – sekretarz, Jan Witaszek – skarbnik, kol. Baranówna – przew. sekcji koleżanek. Jan Gajoch do 1937 r. był wiceprezesem w zarządzie wojewódzkim ZMW. W tamtych latach już bez reszty Janek oddał się pracy w Związku. Wyjeżdżał prawie w każdą sobotę, a wracał dopiero w poniedziałek rano. Organizował koła, brał udział w kursach i konferencjach oświatowych w powiatach: bocheńskim, myślenickim i wadowickim. Ze względów oszczędnościowych w lecie jeździł zawsze na rowerze, a wracał tak zmęczony, że zasypiał nie tylko przy jedzeniu, ale i przy klepaniu kosy lub czytaniu. W latach 1936-1939 pełnił również funkcję prezesa powiatowego Stronnictwa Ludowego. Były to lata kryzysu ekonomicznego, lata szczególnie trudne dla chłopów i rolnictwa. Wyrazem buntu i niezadowolenia były wiece, na których upominano się o nowy, sprawiedliwy ustrój społeczny i o amnestię dla więźniów brzeskich, przebywających na tułaczce. Z jego inicjatywy, pomimo ciężkich warunków w latach 1936-1938, chłopi powiatu krakowskiego fundują sobie symboliczne „Zielone Sztandary", które mobilizują

6. Ze wspomnień J. Stefańskiego

ich do walki z dyktaturą sanacyjną. Po przemówieniu w Bibicach, za krytykę niesprawiedliwych rządów sanacji w roku 1936 brat Jan Gajoch został po raz drugi aresztowany.

W czerwcu 1937 r. ożenił się z Zofią Tynorówną z Czyżyn. W sierpniu tego roku, mimo planów budowy własnego domu, organizuje w całej okolicy drugi strajk rolny. Przez dwa tygodnie chłopcy pleszowscy prawie całymi nocami pilnowali ważniejszych szlaków komunikacyjnych. Ponownie zapełniły się chłopami wszystkie więzienia w całej Polsce. Z Pleszowa „siedziało" ok. 30 osób. Zaraz po strajku został aresztowany także Jan Gajoch i dopiero po czterech miesiącach zwolniony. W czasie półgodzinnych spacerów na podworcu więzienia św. Michała w Krakowie spotykał się brat Janek z Janem Witaszkiem i innymi działaczami wiciowymi z terenu województwa krakowskiego. Ciężkie warunki życia i walki, jakie uświadomiona wieś musiała staczać na wszystkich odcinkach, wpłynęły na scementowanie i dojrzałość polityczną ruchu młodzieżowego i ludowego. Po wyjściu z więzienia Jan Gajoch, oprócz spraw politycznych, w dalszym ciągu organizował oświatę rolniczą. Współpracował przy zakładaniu sklepów spółdzielczych, organizował wspólny transport produktów rolnych, był członkiem Związku Hodowców i Plantatorów oraz członkiem Spółdzielni Rolniczo-Handlowej „Jedność" w Krakowie.

Chłopi pleszowscy byli świadomi odpowiedzialności za losy wsi, ale i państwa. W kwietniu 1939 r. po sześcioletniej tułaczce wrócił do Polski Wincenty Witos. W Krakowie, w Domu Ludowym „Wisła" przy ul. Radziwiłłowskiej 23 (potem ul. Reja), spotkał się z działaczami ludowymi i omówił ciężkie położenie naszej Ojczyzny. Mimo krzywd własnych i Stronnictwa wzywał chłopów, aby brali udział w jej obronie. Kiedy groza wojny zawisła nad Polską, chłopi, zapomniawszy swoich krzywd, wykupują bony pożyczki narodowej. Po klęsce wrześniowej i pięciotygodniowej wędrówce na Wschód Jan Gajoch zachęcał wszystkich kolegów do schowania broni. Od początku listopada 1939 r. brał udział w konferencjach międzypartyjnych u dr. Jana Woźniakowskiego w Krakowie przy ul. Basztowej z udziałem Józefa Cyrankiewicza, płk. Bzowskiego, Cekiery, inż. Józefa Rosiewicza i innych. Była to pierwsza konspiracyjna organizacja wojskowa (Związek Walki Zbrojnej) na terenie Krakowa. Od stycznia 1940 r. Jan Gajoch należał do Ruchu Oporu Chłopskiego ("ROCh"), w którym został przewodniczącym powiatowej trójki politycznej na powiat krakowski. Wraz z innymi typował ludzi do trójek gminnych i gromadzkich oraz do Batalionów Chłopskich. Od 1941 r. organizował sekcje: tajnego nauczania, administracyjną, gospodarczo-spółdzielczą, propagandową, a w następnym roku Oddziały Specjalne, Ludowy Związek Kobiet i Młody Las. W każdym miesiącu kilkakrotnie wyjeżdżał w teren na kontrolę pracy, brał udział w licznych odprawach i kursach. Wraz z Janem Witaszkiem (członkiem Zarządu Wojewódzkiego „ROCh") organizował od początku okupacji pomoc dla rodzin uwięzionych profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego i osób poszkodowanych przez okupanta. Kiedy podziemna prasa centralna z Warszawy do Krakowa przewożona była drogą kołową, dostarczał ją na punkt kontaktowy w Krakowie. Od początku 1943 r. inicjował i należał do komitetu redakcyjnego oraz pisywał artykuły do „Ziemi" – tygodnika społeczno-politycznego, wydawanego w Mogile. W początkowym okresie okupacji za niedostarczenie kontyngentu był więziony wraz z ojcem i 30 gospodarzami z gminy Mogiła. W 1942 r. powtórnie aresztowany i wywieziony do Ruszczy, skąd, mimo pościgu, udało mu się zbiec. W czasie wojny korzystał z nasłuchu radiowego, czytał i kolportował prasę konspiracyjną. W jego gospodarstwie odbywały się zebrania i odprawy, pomagał uciekinierom, ludziom „spalonym" i żonom uwięzionych kolegów. Jego odwaga, zapał i poświęcenie stanowiły przykład godny naśladowania i mobilizowały innych do działania.

Po wyzwoleniu Krakowa Jan Gajoch pełnił w dalszym ciągu funkcję prezesa zarządu powiatowego PSL i członka Zarządu Spółdzielni „Jedność". Został również członkiem Wojewódzkiej Rady Narodowej. Dnia 2 lutego 1945 r. został aresztowany przez NKWD. Przebywał w koszarach milicji na Dąbiu, następnie w Raciborzu, Bielsku i Wadowicach, gdzie dołączony do transportu z Niemcami miał być wywieziony na Sybir. Po usilnych staraniach kolegów i Zarządu Okręgowego PSL pod koniec czerwca 1945 r. został zwolniony. W lipcu tego samego roku, w imieniu chłopów, razem z Heleną Mierzwiną i harcerzami, wręczał sztandar wojsku polskiemu na krakowskim rynku, a dnia 3 listopada na tym samym miejscu żegnał w imieniu chłopów ziemi krakowskiej przywódcę Ruchu Ludowego – Wincentego Witosa. Wkrótce potem, za przemówienie wygłoszone w Swoszowicach, krytyczne pod adresem ZSRR, został ponownie aresztowany. Po zwolnieniu wciąż organizował pracę polityczną w powiecie krakowskim. Z listy PSL był kandydatem na posła do Sejmu ale po złożeniu podpisów w komisji wyborczej znów został aresztowany. W przerwach pomiędzy okresami uwięzienia włączał się natychmiast do pracy społeczno-politycznej. Wola walki o słuszne prawa chłopów regenerowała jego siły psychiczne i fizyczne. W latach 1946-1947 należał i organizował w Pleszowie wraz z innymi prace w komitecie elektryfikacyjnym. Zawsze interesował się sprawami oświatowo-wychowawczymi młodzieży „wiciowej", brał udział w zjazdach, kursach i dożynkach.

W 1950 r., w związku z budową Nowej Huty, został – podobnie jak inni – w krzywdzący sposób wywłaszczony z ziemi, co dla chłopów było ciężkim przeżyciem. Jan Gajoch jednak do końca nie zrezygnował z rolnictwa.

Na skrawkach dzierżawionych pól, wśród dymiących kominów, nieopodal wielkich pieców i innych obiektów przemysłowych z chłopskim uporem „Drzymały" do ostatnich dni swojego życia uprawiał ziemię – o którą tak walczył i którą tak kochał. Po 1956 r. przestano go dręczyć więzieniami. W 1957 r. był współorganizatorem i prezesem miejskich Kółek Rolniczych w Krakowie oraz działaczem spółdzielczym. Od 1964 r., po wylewie krwi do mózgu i silnym osłabieniu serca, mimo podjętego leczenia, nie wrócił już do zdrowia. Nadal ciężko pracował, interesował się polityką, bywał na zebraniach i prelekcjach. W 1966 r. po kilkuletnich staraniach kolegów otrzymał rentę w wysokości tysiąca złotych, jaką przyznano wywłaszczonym. W uznaniu swoich działań został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi i Krzyżem Walecznych z Mieczami. Zmarł 17 listopada 1968 r. pośród trujących dymów Nowej Huty. Żegnała go rodzina, przyjaciele, dwanaście „Zielonych Sztandarów" i tysiące koleżanek i kolegów z kilku powiatów województwa krakowskiego.

Obecnie nie ma już śladu nie tylko po domu rodzinnym, ale i po ogrodzie, wysokich topolach i olbrzymich lipach, na które wracały co roku bociany. Nie ma też stawów i żabich koncertów, a w całej okolicy brakuje ptaków i pszczół. Przez resztki ogrodu Jana Gajocha na osiedlu pleszowskim przejeżdżają teraz tramwaje i samochody. Jedynym świadectwem i dowodem dla przyszłych archeologów, że mieszkali tu kiedyś ludzie, będą znajdujące pod jego domem i wozownią, jak również innymi domami, piwnice.

Mojemu bratu Janowi i tym wszystkim członkom Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici" oraz Stronnictwa Ludowego, którzy na tej pięknej ziemi krakowskiej wychowywali nowego człowieka i budowali nową wieś, wspomnienia te poświęcam.

maj 1977 r.

STANISŁAW GAJOCH – Pamiętnik

U początku

Urodziłem się 31 stycznia 1909 r., ale tak naprawdę to żyję dopiero od wczesnej jesieni roku 1914, a piszę tak dlatego, gdyż nie wiem ani nie pamiętam tego, co działo się przedtem. Zapamiętałem natomiast wieczór, który dzisiaj jeszcze widzę, jak gdyby to było wczoraj. A było tak: do naszej sieni, która była dość obszerna, weszło dwóch żandarmów w hełmach i dali rozkaz mojemu ojcu, że natychmiast ma spakować swój inwentarz i wraz z rodziną przeprowadzić się do przygotowanych kwater. Nasza sień akurat była wypełniona wszystkimi domownikami, bo właśnie była przygotowywana kolacja. Nie pamiętam pakowania, ale zapamiętałem moment kiedy znalazłem się już na wozie, było ciemno, słyszałem jeszcze pobekiwanie krów i widocznie zasnąłem. A więc jak się już dużo później dowiedziałem, była to I wojna światowa. Otóż wsie, które znajdowały się w zasięgu ostrzału artyleryjskiego, miały być usunięte przez rozebranie, względnie spalone. Nasze budynki były już obłożone snopkami zboża i czekano na rozkaz spalenia, zaś drzewa, że były za duże, wycięto, aby nie czyniły zasłony.



Stanisław Gajoch

Tak więc wszystko było przygotowane do obrony Krakowa przed nieprzyjacielem, czyli jak wtedy mówiono przed Moskalem. Ale Moskal nie atakował Krakowa, a był już pod Wieliczką, ludzie wtedy mówili, iż generał dowodzący został przekupiony przez Austriaków i dał rozkaz odwrotu. Kraków był twierdzą opasaną nowoczesną fortyfikacją, oddano z tych fortów tylko jeden strzał, a wiec późniejszy marszałek Koniew nie był pierwszym, który oszczędził Kraków. Po trzech miesiącach wróciliśmy do domu i to również pamiętam dobrze, w izbie została tylko jedna ławka z heblowanej deski przybitej mocno do ściany, dzięki czemu się ostała, zaś resztę mebli wyszabrowano. W tym czasie nasza biedna mama miała na głowie małe dzieci, tj. Marysię, Wiktosię, Janka, Staszka, Piotrusia, a w największy mróz, bo na św. Wincentego, dołączył do nas jeszcze jeden braciszek, któremu na imię dano Wincenty. Najstarszy brat, Józek, był wtedy przysłowiową prawa ręką tatusia, oni to właśnie posiadali przepustki na wjazd do Pleszowa, mogli więc dowozić słomę, paszę, jak również młócili zboże. W domu zostały trzy krowy, reszta bydła znajdowała się na Kujawach, u brata naszego tatusia, Walentego Gajocha.

Po powrocie z ewakuacji

Był rok 1915, wojna trwała dalej. Do naszego domu schodzili się sąsiedzi, aby o niej opowiadać, nasza mama

czytała na głos prasę „Rola" oraz „Wieniec" i „Pszczółka". Bo trzeba przyznać, że nie wszyscy sąsiedzi umieli czytać. Ludzie jednak łaknęli wiadomości z frontu. Nasz tatuś uczęszczał do Gimnazjum Św. Jacka w Krakowie, nie ukończył jednak studiów, gdyż najmłodszy brat, Stanisław, który miał odziedziczyć gospodarstwo, zachorował na gruźlicę i w krótkim czasie zmarł. Dziadek, czyli ojciec naszego tatusia, miał trzech synów i trzy córki; najstarszy syn, Walenty, ożenił się na Kujawach, jeden z jego synów, Jan Gajoch, był w rządzie Witosa i to właśnie jedna z ulic w Nowej Hucie nosi jego imię. Tatuś przez czternaście lat był wójtem gminy Pleszów, nie miał lekkiego życia, trwała przecież wojna, a Polska była pod zaborem Austriaków, a Austria zaciągała do wojska Polaków. Wójt był odpowiedzialny za pobór żołnierza, za wydzielenie kwater dla wojska, wyznaczenie podwód, czyli wozów konnych wraz z woźnicą, jak również za utrzymanie porządku w całej gminie i z tego też powodu miał wrogów, gdyż nie mógł wszystkich uchylić przed służbą wojskową czy podwodami. W naszym domu odbywały się zebrania radnych gminy, bywali często żandarmi, a także oficerowie wojskowi.

Pewnego razu przyjechał na koniu oficer i zażądał kilku stodół na kwatery dla koni. Ponieważ było to po żniwach, stodoły były wypełnione zbożem. Na nic zdały się tłumaczenia, oficer, a był to Madziar, wyciągnął szable i tak rąbnął, że gdyby tatuś nie odskoczył, to miałby rozpłataną głowę. A tak się często zdarzało – wiadomo, że wojna zawsze ma swoje prawa....

Rok 1916

Jestem uczniem pierwszej klasy, mam skórzana torbę, elementarz, książkę do liczenia, tabliczkę, rysik. Kierownikiem szkoły był bardzo niedobry pan o nazwisku Zawada, był pochodzenia czeskiego, a ludzie mówili na niego „żyd", może dlatego, że nosił gęstą i nieco przydługawą brodę. Nie zależało mu na nauczaniu dzieci, ale za to zadbał o swoje interesy, uczniowie musieli rżnąć sieczkę na ręcznej sieczkarni, jak również wykonywać inne prace w ogrodzie, takie jak plewienie i przygotowanie ziemi do sadzenia roślin. Moja wychowawczyni była wspaniała – pani pedagog z prawdziwego zdarzenia, Helena Ligęzianka, drugą nauczycielką była pani Zagórzańska.

Zawsze po przyjściu ze szkoły miałem już wyznaczoną stałą pracę: przygotowanie drzewa na podpałkę, przyniesienie węgla z piwnicy, potem odrabiałem lekcje i już mogłem pogonić, ale kiedy była młocka musiałem poganiać konie przy kieracie... Kiedy byłem w szkole, to konie poganiał starszy brat, Janek. Tato często brał ze sobą za rączkę mojego młodszego braciszka, Piotrusia, i obydwaj chodzili za końmi. Przez to stało się wielkie nieszczęście, którego do końca życia wszyscy nie mogliśmy zapomnieć, a najbardziej nasz tato. Jednego razu Piotruś dostał się w przeguby napędowe i poniósł śmierć na miejscu, ja wtedy wracałem ze szkoły i w drodze dowiedziałem się o tym nieszczęściu.

Rok 1917 i 1918, czyli jak to dzwon oznajmił wolność

Wojna trwała dalej, przyłączyły się do niej państwa ościenne, a także Ameryka. Polacy spod zaboru austriackiego walczyli na froncie przeciw Moskalom, tymczasem z frontu wracali Polacy inwalidzi z ciężkimi odmrożeniami, część dostała się do niewoli rosyjskiej, trzeba dodać, że Niemcy także brali Polaków do wojska, nieco mniej ich zaciągała Rosja. I tak to w owym czasie mocarstwa walczące, a w nich Polacy, walczyli przeciwko sobie, a więc brat przeciw bratu.

Byłem już uczniem trzeciej klasy. Po modlitwie śpiewaliśmy *Boże wspieraj, Boże chroń, nam cesarza i nasz kraj, bo z Habsburgów tronem złączon i nasz naród i nasz kraj.* Nasz kierownik szkoły widocznie bardzo lubił Austrię, bo kiedy „aniołowie" schowali dzwon kościelny przed Austriakami, to on zwołał nas do klasy i groził, że nasi rodzice będą zaaresztowani, jeżeli dzwon się nie znajdzie. Dzwon się jednak nie znalazł, a jak to się stało to dowiedziałem się dopiero wtedy, kiedy dzwon powrócił na miejsce. Pamiętam jednak tylko tyle jak dzwon leciał z wieży kościelnej. A było to tak: ludzie nanieśli pod wieżę słomy na wysokość czterech metrów, z okna wieży wystawały dwie duże belki, po których jak po torach wysunięto dzwon. Pamiętam, że dzwon, mimo że była tak gruba warstwa słomy, zarył jeszcze częściowo w ziemię. A co się później stało to dowiedziałem się od tych „aniołów", którzy go schowali, ale to wtedy, kiedy Polska była już wolna.

Pozwólcie, że opisze to piękne zdarzenie. Ówczesny ksiądz proboszcz, Jan Skarbek, człowiek szlachetnego serca, nie tylko dobry proboszcz, ale wielki patriota, nie chciał stracić dzwonu, ale także nie zależało mu na wzbogacaniu zaborcy w armaty. Kiedy dzwon już znajdował się na ziemi, zaprosił dwóch oficerów, którzy byli wyznaczeni do jego konwojowania, suto ugościł i zaproponował, aby dzwon zabrali na drugi dzień, na co oni wyrazili zgodę i odjechali w stronę Krakowa. Tymczasem proboszcz zabrał zaufanych ludzi, a oni musieli złożyć przysięgę, że to, co będą czynić tej nocy, będzie strzeżone tajemnicą. Jak postanowiono, tak też uczyniono. Jako woźnicę wyznaczono Jana Bańdurę i na jego polu, w odległości jednego kilometra od kościoła, dzwon zakopano. Po tej operacji całą trasę skropiono naftą z domieszką karboliny, ażeby psy nie mogły wytropić zakopaliska. Nasz najstarszy brat, Józek, też brał w tym udział. Dopiero w roku 1918, po uzyskaniu niepodległości, ten sam woźnica w cztery konie zaprzągnięte do pługa szukał miejsca zakopania dzwonu, wystawiono prowizoryczną wieżę i... dzwon się odezwał. Była to naprawdę piękna uroczystość. Z kościoła wyruszyła procesja z chorągwiami, ksiądz proboszcz

Jan Skarbek wygłosił piękne kazanie, a zaczął od słów: *Polska już wolna i ty, Święty Florianie, jesteś już wolny* i... dzwon się odezwał.

Rok 1918

Tego roku nie potrafię opisać tak dokładnie, ale opiszę to, co utkwiło w mojej pamięci kiedy miałem 9 lat. Ludzie schodzili się wieczorami i dużo rozprawiali o wojnie – z frontu nadchodziły rożne wiadomości, wielu zginęło z naszej wsi, drogą koło naszego domu wracało wojsko, armaty ciągnięto wołami, były też samochody, które bardzo różniły się od dzisiejszych, a mianowicie koła nie posiadały opon wypełnionych powietrzem, lecz były na pełnych gumach, w naszym domu kwaterowało 30 żołnierzy austriackich. Dokazywaliśmy z nimi, byliśmy przecież dziećmi, wspominam ich mile. Ogólnie Polacy nie narzekali na Austrię, mieli więcej wolności aniżeli pod zaborem niemieckim czy rosyjskim, w szkole co prawda dalej śpiewaliśmy „Boże wspieraj...", ale już w kościele śpiewaliśmy „Boże coś Polskę przez tak liczne wieki..." Ogólnie Austria nie gnębiła Polaków, ale i też nic dla nich nie robiła, nie budowała dróg ani przemysłu, np. w Krakowie były dwie odlewnie kieratów, ale już młocarnię musieliśmy sprowadzać z Czech.

Tymczasem na arenie światowej dokonywały się wielkie przemiany polityczne. W Rosji carskiej rządy przejmują bolszewicy, w Niemczech również rosną tendencje do rewolucji, Austria rozpada się, w Polsce coraz głośniej mówi się o wyzwoleniu spod zaborów, państwa Ententy z Ameryką na czele zmuszają Austrię i Niemcy do kapitulacji, dużo mówi się u nas o Ignacym Paderewskim, który zaprzyjaźnił się z prezydentem Wilsonem i w dużej mierze przyczynia się do utworzenia Polski niepodległej.

Polski Zmartwychwstanie

Dzień 11 listopada staje się świętem narodowym. Rozdzwoniły się dzwony z Zygmuntem na czele i trudno jest nawet opisać entuzjazm, jaki opanował naród polski. W tym czasie nie było jeszcze utrwalonej władzy, a co się z tym wiąże były trudności z utrzymaniem porządku publicznego, toteż tworzyły się bandy rabunkowe. Aby temu zapobiec powołano specjalną straż ochronną, składającą się z kilkunastu ludzi uzbrojonych w karabiny, którzy patrolowali teren od wieczora do rana, na dzień broń składano w naszym domu. Natomiast w szkole niewiele się zmieniło, pani Helena bardzo była uradowana i dużo opowiadała nam o wolnej Polsce, lecz kierownik szkoły wcale nie okazywał radości, więcej natomiast dbał o swoje gospodarstwo niż o naukę uczniów, na przykład uczniów z dwóch klas usadawiał w jednej sali, a jako ćwiczenie w klasie nakazał nam przepisywanie kilku stron z książki, po czym opuszczał salę na parę godzin. Pewnego razu tak pozostawione dzieci bez opieki zaprzestały przepisywania i poczęły hałasować, krzyczeć i skakać po ławkach. Usłyszał to kierownik, wpadł z mosiężną linijka i tych zuchwałych brał na stopień i niemiłosiernie bił, niestety ja byłem jedną z wielu ofiar tego okrutnego zajścia. Pan kierownik wszakże wypuścił część dzieci do domu, ale ja z innymi musiałem zostać, mój brat Józek dowiedziawszy się o całym zajściu czym prędzej powiadomił naszego tatusia, a ten niewiele myśląc poszedł do Stanisława Partyły, który w tym czasie był wójtem gminy i zrobili kierownikowi awanturę, a nas zwolnili z „aresztu szkolnego". Następnego dnia pojechali do kuratorium i zażądali zmiany kierownika, zaraz po tym zajściu kierownik-sadysta musiał opuścić Pleszów, a na jego miejsce przyszedł w niedługim czasie pan Jan Twaróg. Jak się później okazało, był to pedagog z powołania. Pamiętam jego słowa, jakie skierował do nas: *Chciałem swą pracą służyć ojczyźnie i narodowi i w tym celu miałem zamiar wstąpić do wojska, jednak po krótkim namyśle doszedłem do przekonania, że będąc nauczycielem będę mógł przygotować młodzież do służenia Polsce i wam będę chciał wpoić miłość do naszej Ojczyzny, bo Polska zmartwychwstała, potrzebuje synów i córek, którzy by uczciwie pracowali, a w razie potrzeby byli gotowi jej bronić.* Te słowa wbiły się nam głęboko w pamięć i w naszych umysłach rodziło się przeobrażenie świadomości – musimy się uczyć i pracować, aby służyć naszej ojczyźnie.

Nowy kierownik nie tylko uczył w szkole, ale objął opieka młodzież pozaszkolną. Organizował rożne ciekawe imprezy, przedstawienia młodzieżowe, chóry śpiewu, toteż młodzież zaczęła lgnąć do niego, widziała w nim nie tylko nauczyciela, ale i serdecznego przyjaciela. Wieś zaczęła się przeobrażać. Udział młodzieży w przedstawieniach zaczął ujawniać ich utajone talenty, kto wie, gdyby mogli się dalej kształcić, niejeden z nich mógłby zostać artystą z prawdziwego zdarzenia. Na początek wymienię trzech braci Cyganów: Michał, Jan i Stefan, którzy posiadali niesamowite zdolności aktorskie, a w dodatku byli obdarzeni pięknym głosem. Wyróżniali się także Jan Rozpondek i Piotr Stanek, a z dziewcząt to Honorata Cyganówna, Maria Nowakówna, nie sposób wymienić wszystkich, bo młodzież była naprawdę nie tylko zdolna, ale i wartościowa, przez organizacje rosła idea współpracy a także współzawodnictwa, Pleszów zaczął promieniować na całą okolicę powiatu, a nawet województwa.

Karczma

Żeby pisać o Pleszowie, muszę się cofnąć do lat, kiedy mnie jeszcze nie było na świecie, a znam je tylko z opowiadania starszych. A było tak: dwór pleszowski posiadał w rynku dom, na który mówiono „karczma". Był to duży budynek murowany – w połowie tego budynku znajdowała się zajezdnia, która posiadała dwie bramy – wjazdową i wyjazdową. W tej drugiej połowie znajdowała się duża sień i trzy duże izby, a ponieważ Pleszów znajdował się na trakcie handlowym, gdzie przejeżdżało dużo furmanek, więc karczma służyła jako gospoda,

gdzie można było się przenocować, zjeść obiad czy kolację, a nawet się zabawić. Furman, wjeżdżając do środka, mógł się przespać w swoim wozie. Kiedy granica rosyjsko-austriacka znalazła się niedaleko od Krakowa, na terenie wsi Kościelniki, powstała placówka graniczna zwana „komorą" lub „cłem" i w związku z tym przewóz towaru stał się po prostu utrudniony. Wtedy zajezdnia została zlikwidowana. W połowie zajezdni urządzono sklep oraz magazyn, a jedną bramę zamurowano. Druga połowa karczmy, którą ja już pamiętam, została w stanie poprzednim, tzn. nie posiadała sufitu i brama została nienaruszona. W takim to stanie ową karczmę dzierżawił Żyd miejscowy. Kiedy zmienił się właściciel dworu, postanowił ową karczmę wystawić na licytację

W tym czasie wójtem gminy był mój ojciec. Jako wójt gminy postanowił za wszelką cenę tę karczmę wykupić dla gminy. Opowiadał mi mój starszy brat, Józek, że kiedy Żyd się o tym dowiedział, zawitał natychmiast do ojca błagać go, ażeby odstąpił od tego kupna. Kiedy ojciec stanowczo odmówił, wtedy Żyd, wyciągnąwszy garść pieniędzy, próbował go przekupić. Wtedy ojciec wypchnął karczmarza za drzwi i jeszcze w tym samym dniu załatwił kupno u właściciela. Odtąd dom służył gminie. Znalazło się w nim miejsce na sklep prowadzony przez miejscowe Kółko Rolnicze, salkę szkolną, remizę strażacką a jeszcze później pocztę. W takim to stanie dom ten zastał nowy kierownik szkoły, pan Jan Twaróg. Początkowo nowe zajęcia i przedstawienia urządzał w szkole, jednak pomieszczenie to było niewystarczające i należało się rozglądnąć za czymś większym i wtedy zobaczył zajezdnię. Była to rudera składająca się z czterech ścian bez sufitu, bez drzwi i okien. Po uzgodnieniu z gromadą postanowiono zajezdnię przebudować na świetlicę, za zebrane pieniądze z przedstawień zakupiono deski w stanie surowym, po czym każdą z nich należało odpowiednio ociosać i dopasować, co też młodzież wykonała z wielkim entuzjazmem, a trzeba przyznać, że pracować mogła wieczorami, po codziennych zajęciach. Zanim jednak wyłożono deskami ściany i sufit, młodzież musiała wywieźć dziesiątki kubików ziemi, bo trzeba było zbudować scenę z prawdziwego zdarzenia, z przejściem podziemnym i miejscem na suflera. Kiedy podłoga była gotowa, urządzono zabawę, aby w ten sposób zdobyć pieniądze na resztę materiału. I tak to dzięki panu kierownikowi, który sam przykładnie pracował, w ciągu jednego roku powstała świetlica ze sceną, która mogła pomieścić wraz z miejscami stojącymi trzystu widzów i około trzydziestu aktorów. Obok świetlicy znajdował się magazyn, który służył w czasie przedstawień jako zaplecze teatralne, jak również w późniejszym czasie była tam umieszczona biblioteka, utworzona z książek ofiarowanych przez mieszkańców Pleszowa i przez stopniowe dokupywanie nowych. Kiedy ja byłem bibliotekarzem, stan książek liczył ponad 1500.

JAN TWARÓG – W Pleszowie



Jan Twaróg

W 1916 r. przeżył ks. administrator Jan Skarbek wraz ze swymi parafianami silne wzruszenie po otrzymaniu od władz austriackich wezwania do wydania najpiękniejszego dzwonu – zabytkowego z 1639 r., odlanego przez Szafrańca z Pieskowej Skały – na przetopienie dla celów wojskowych. Ks. Skarbek umówił się z oficerem, P. Żuławskim, a bratem szkolnego kolegi księdza z czasów studiów w Rzeszowie, że dzwon będzie w całości zrzucony z wieży na grubą warstwę słomy, aby nie uległ zniszczeniu, gdyż ks. Skarbek zapowiedział wniesienie rekursu przeciw zabraniu zabytkowego dzwonu, mając nadzieję odzyskania go z miejsca, gdzie będzie na skład złożony. Dzwon ostrożnie zrzucono, ale ponieważ nadchodziła noc, ładowanie na wóz odłożono do drugiego dnia, a żołnierze odeszli na plebanię na nocleg. W nocy dzwon znikł. Na próżno podoficer Prokaska wściekał się, straszył kobiety, że wojsko wieś spali, chciał badać dzieci szkolne, ale kierownik Wojciech Zawada stanowczo się temu sprzeciwił, odgrażał się ks. Skarbkowi, który nawzajem oświadczył, że go oskarży o odszkodowanie, bo nie postawił straży, a dzwon był zabytkowy i na pewno byłby parafii zwrócony. Śladu dzwonu nie znalazły nawet psy śledcze. Wojsko musiało się zadowolić zabraniem 30-kilogramowej sygnaturki z kościoła i podobnego dzwonka z cmentarza.

Dzwon odnaleziono 19 grudnia 1918 r., dopiero po kilku godzinach poszukiwań na polu, gdzie był zakopany. W akcji uratowania dzwonu oprócz ks. Jana Skarbka byli czynni: Piotr Kowal, podwójci, Tomasz Broś, Stanisław Bańdur, Piotr Perlik, Wincenty Kardas i Jakub Kardas. „Żadna baba nie wiedziała" – zanotował także kronikarz. I rozedrgał się głębokim swoim tonem

uratowany dzwon w pierwsze dni zmartwychwstałej po wiekowej niewoli Polski i grał odtąd co niedzielę i w święto, wzywając do modlitwy i pracy, jakby chciał przestrzec naród przed nieprzyjacielem bezwzględniejszym i sroższym, który zagrozi w 1939 r. wolnemu życiu Polski i życiu każdego jej obywatela.

1 września 1939 r. ukazały się nad cichą ziemią polską nieprzyjacielskie bombowce, niosąc śmierć, zniszczenie i rabunek dorobku narodu polskiego. 7 listopada 1939 r. słuchaliśmy z dziećmi w klasie po raz ostatni głosu naszego dzwonu ze łzami w oczach. Serce jego długo uderzało rytmicznie i mocno, jakby chciał przekazać słuchającym głęboką wiarę w nowe – mimo klęski – zmartwychwstanie. Pod ciosami młota kowalskiego zmarł dzwon pleszowski, ale ciałem swoim nie przyniósł zwycięstwa nieludzkim okupantom Polski. W miejsce straconego prastarego dzwonu sprawili ofiarami parafianie dzwon nowy, który budzi ich, jak poprzednik, do pracy i modlitwy. Inicjatorem zakupienia dzwonu był ks. Jan Kuś, wikariusz pleszowski, zaś bezpośrednie starania o zbieranie funduszy i o zawarcie umowy z firmą w Andrychowie podjęli i wykonali: Kazimierz Czernek i Wojciech Kowal, syn Piotra, tego, który w 1916 r. brał udział w ukryciu dzwonu przed rekwizycją, a w szczególności – jak mi to sam przed śmiercią opowiadał – starał się udaremnić wywęszenie dzwonu przez psa, gdyż po wywiezieniu dzwonu w pole polał pozostałą przed kościołem słomę i wszystkie okoliczne ścieżki naftą. Dzwon kosztował 180 000 zł. 22 czerwca 1952 r. odbyła się uroczystość poświęcenia. Piękne kazanie okolicznościowe wygłosił ks. kanonik Leon Katana, proboszcz z Ruszczy. Proste słowa poematu Kazimierza Tetmajera „Na Anioł Pański biją dzwony", przytoczone przez kaznodzieję, wzruszyły do głębi serca słuchaczy.

Opisane wyżej zdarzenia w małej jeszcze mierze malują szlachetną postać ks. kanonika mgr. Jana Skarbka. Obdarzony wielką pamięcią, energią, rozumem i pracowitością pokonywał trudności, zdobył serca i zaufanie parafian, którzy śpieszyli do niego z prośbą o radę i pomoc. Osobiście w domach upominał i karcił nawet dorosłą młodzież, gdy zauważył brak posłuszeństwa czy poszanowania rodziców. Jako przewodniczący Rady Szkolnej miejscowej przeprowadził restaurację zniszczonych wojną budynków szkolnych w Pleszowie i Luboczy. Dla szkoły pleszowskiej odstąpił z przyległego szkole ogródka plebańskiego pas ziemi wzdłuż południowej granicy, dla umożliwienia wjazdu na teren szkolny. Mimo rozlicznych zajęć duszpasterskich i starszego już wieku dojeżdżał do Krakowa na wykłady na Uniwersytet Jagielloński i złożył egzamin magisterski na Wydziale Prawniczym 26 czerwca 1925 r. W 1921 r. postanowił ozdobić kościół polichromią. Zachęcił parafian do ofiarności oświadczając, że cały dochód z obchodzenia parafii „po kolędzie" przeznacza na malowanie kościoła. Parafianie składali dobrowolne datki, zrobili „zsypkę zboża" dla malarzy, znosili mleko na produkowanie kazeiny potrzebnej do zaprawy farb, a ksiądz proboszcz żywił dwóch malarzy przez 7 miesięcy. Koszt ogólny malowania wynosił przeszło milion marek polskich. Wnętrze kościoła przybrało odświętną, barwną szatę. Wykonawcami byli: Adam Marian Giebułtowski, artysta malarz z Oświęcimia i Stanisław Grycner ze Szczekocin, jako pomocnik. Przed malowaniem pokryto południową część dachu na kościele nową blachą, naprawiono inne części dachu, otynkowano wieżę i ściany zewnętrzne, odnowiono północną część muru cmentarnego. Dwory i chłopi złożyli na to chętnie po 1000 marek polskich z morgi posiadanej ziemi. Cystersi z Mogiły ofiarowali przyniszczony ołtarz z XVIII w. Malarz, St. Grycner, starannie go odnowił kosztem 150 000 Mkp., a art. malarz A. M. Giebułtowski wykonał do niego wizerunek św. Józefa za 50 000 Mkp. Po 10 latach pracy w Pleszowie otrzymał ks. Jan Skarbek nominację na prepozyta kościoła parafialnego w Oświęcimiu. Z głębokim żalem żegnali odjeżdżającego parafianie pleszowscy. 22 lutego 1926 r. ruszyła z Pleszowa bryczka, otoczona przez kilkudziesięciu krakusów na koniach, ku stacji kolejowej w Krakowie, budząc powszechny podziw i uznanie krakowian dla tej ludowej formy wyrażania uczuć dla odjeżdżającego duszpasterza.

Ciężką i przykrą byłaby jego praca, gdyby była wykonywana w osamotnieniu, bez serdecznej współpracy towarzysza. Nie było w tym czasie wikariusza, ale w pobliżu było życzliwe i pomocne nauczycielstwo oraz rodziny Huczków i Rosiewiczów, w których znajdował życzliwy oddźwięk i poparcie dla swych zamierzeń. Wielką pomocą służył mu ks. kan. Jan Rosiewicz, katecheta szkoły przy ul. Topolowej w Krakowie. On to w czasie ewakuacji odprawił 24 grudnia 1915 r. pasterkę dla pozostałych wbrew rozkazom ewakuacyjnym pleszowian, kujawian i żołnierzy austriackich, mających służbę na przedpolu fortecznym Krakowa. Ks. Rosiewicz zawsze służył pomocą i następnym proboszczom w Pleszowie, ilekroć jej potrzebowali. W spisie inwentarzowym kościoła figuruje również jego nazwisko jako ofiarodawcy zielonej kapy i srebrnego kielicha, ozdobionego kilkoma starymi, srebrnymi pieniążkami. Po odjeździe ks. Jana Skarbka administrację parafii od 1 lutego do 17 kwietnia 1926 r. prowadził o. Alfons Wieczorek, zast. gwardiana kapucynów w Krakowie. W krótkim czasie polubili go wszyscy, z którymi się zetknął w swej pracy duszpasterskiej. Wykonywał ją starannie, z uśmiechem i dobrym słowem (najczęściej żartobliwym) dla każdego. 17 kwietnia 1926 r. objął z jego rąk parafię ks. Franciszek Korzonkiewicz, były proboszcz z Krzywaczki. Podobnie jak praca ks. Jana Skarbka, jego przeszło ośmioletnia posługa (do sierpnia 1934 r.) pozostawiła głęboki ślad w życiu całej parafii, a szczególnie Pleszowa. Obydwu cechowała wiel-

ka troskliwość o życie duchowe parafii i stan kościoła. Ks. Korzonkiewicz oddawał się także pracy społecznej, zwłaszcza gospodarczej w zakresie Kółka Rolniczego. Był przyjacielem szkoły. W stosunkach z parafianami okazywał wielką życzliwość i dobroć serca. Wspierał materialnie biedną, uczącą się młodzież, wiele osób zostało jego dłużnikami za posługi religijne. Z własnych funduszy zakupił szafę i około 200 książek jako zaczątek biblioteki parafialnej. Jednak praca z młodzieżą dostarczyła mu wielu przykrości i skłoniła go do przeniesienia się do Inwałdu. Ks. Skarbek takich przejść nie miał. Dopiero w czasie okupacji, kiedy w Oświęcimiu urządził dla dzieci przystępujących do I Komunii św. śniadanie, władze okupacyjne oskarżyły go o użycie do śniadania kilku kg masła i dłuższy czas trzymały go w więzieniu. Obaj księża zmarli nie dożywszy podeszłego wieku z powodu choroby.

Organizacja młodzieżowa

Pierwsza organizacja młodzieży pozaszkolnej powstała pod wpływem przygotowanego przez Jana Twaroga przedstawienia „Jasełek" L. Rydla w Boże Narodzenie 1920 r. W przedstawieniu, odegranym trzykrotnie, brało udział blisko 40 osób, przeważnie spośród starszej, pozaszkolnej młodzieży. Przedstawienia zdobyły sobie powszechne uznanie. Młodzież zwróciła się do kierownika szkoły z prośbą o zorganizowanie stałego zespołu. Ponieważ w sąsiedniej Mogile oraz w Bieńczycach istniały już Katolickie Stowarzyszenia Młodzieży, więc za ogólną zgodą założono KSM w celu wspólnej pracy na polu oświatowym, kulturalnym i gospodarczym. Naszym odchyleniem od statutu było to, że praca obejmowała młodzież męską i żeńską. Pierwszym prezesem Stowarzyszenia został wybrany Jan Twaróg. Od początku 1921 r. rozwinęła się ożywiona praca. Młodzież okazała się niezwykle chętną i uzdolnioną. Szybko przyswajała sobie teksty ról sztuk, przeważnie ludowych, odgrywanych w dużej sali szkolnej. Założono stały chór czterogłosowy, mieszany, w którym brali udział także dorośli jak np. Michał Cygan jako tenor i brat jego, sierżant WP Jan Cygan jako bas. Chór ćwiczył śpiewanie z nut pod kierunkiem Jana Twaroga oraz później pp. organistów: Jana Gumula, następnie Janika oraz Jana Rachtana. Chór występował w większe święta w kościele i upiększał często urządzane przez Stowarzyszenie uroczystości narodowe np. 3 maja, 11 listopada i in.

Kierownik szkoły zapoczątkował bibliotekę dla Stowarzyszenia i wezwał młodzież do ofiarności na rzecz jej powiększenia. Pamiętam ofiarę Jana Bańdura w postaci zakupionych „Chłopów" Wł. Reymonta, a także miłą wiosenną grę w „zielone". Kary egzekwowane za przyłapanie na braku „zielonego" przy sobie powiększały fundusz zakupu książek. Dużą przeszkodą w pracy Stowarzyszenia był brak własnej sali. Największa sala szkolna okazywała się jednak na zebrania i przedstawienia za szczupła, a zasłanianie okien, budowanie sceny i rozbieranie jej zaraz po przedstawieniu, by sala mogła być na drugi dzień gotowa do pracy szkolnej, niszczyło ją i przysparzało pracy. Na środku wsi stał gromadzki budynek, część starej karczmy zajezdnej odkupionej ze dworu, lecz bez sufitu, bez okien, bez podłogi i z surowej, nieotynkowanej cegły. W niej właśnie przyjeżdżający z dalekich stron w drodze do Krakowa znajdowali postój z wozami i końmi. Podjąłem staranie na zebraniu Rady gminnej pleszowskiej o oddanie tej „stajni" do użytku kulturalnego młodzieży, która własnymi rękami zamieni ją w salę przedstawieniową. Wśród radnych siedział były wójt, Piotr Gajoch, którego staraniem gromada Pleszów odkupiła karczmę od hr. Ponińskiego. Prośba moja w imieniu młodzieży została chętnie przyjęta. Po ukończeniu jesiennych robót gospodarczych zaczęliśmy pracę około „sali". (...) Przez zimę pracowaliśmy w wymrożonej przestrzeni, strugając belki i deski. Dopiero następnej zimy tynkowaliśmy ściany. Był to zabawny widok. Przy każdej ścianie po 2-3 tynkarzy, którzy może dopiero po raz pierwszy mieli kielnię w ręce. Nad każdym dziwne oświetlenie; zapalona świeczka zawieszona na długim drucie zatkniętym w sufit. Najwięcej energii przy tych pracach okazywał Józef Gajoch, syn wspomnianego Piotra. Józef Gajoch był najwierniejszym moim towarzyszem pracy. Kiedy wieczorem przychodziłem z lampą do „sali", stawiałem ją w otworze okiennym. Jej światło idące w ciemność nocy wzywało chłopców do dalszej, jakże przykrej w takiej zimnicy, pracy. Nic dziwnego, że w czasie mrozu często brakowało chętnych do pracy. Józef Gajoch, który zwykle przybywał pierwszy, udawał się na poszukiwanie ochotników. Najczęściej znajdował ich w zacisznym domku szewca, Farnausa, na pogaduszkach lub przy grze w „durnia" i wyciągał ich do dalszej pracy. Pewnego razu nie zastał nikogo, prócz klepiącego skórę Farnausa. *Nie ma dziś chłopaków?* – zapytał Gajoch. *Nie przyszli* – odrzekł Farnaus. *Szkoda* – zmartwił się Gajoch *ale widzę, że oprócz handlu butami zaczynasz handlować kapeluszami, bo widzę spory ich zbiór u ciebie na skrzyni* i otworzywszy drzwi do sąsiedniej izdebki, powyciągał z niej ukrytych tam chłopców i przywiódł do dalszej roboty. Innym razem spostrzegł wieczorem sporą gromadkę, która na jego widok zaczęła szybko zmierzać w stronę drogi na Kujawy. Dogoniwszy chłopców, zapytał: *Gdzie wy idziecie?. Na Kujawy – na wesele* – brzmiała odpowiedź. *A czy byliście tam proszeni?* – badał dalej Józef Gajoch. *Chodźcie tu, gdzie was proszą.* I znów w ten wieczór przybyło kilka metrów otynkowanej ściany. (...) Mróz zelżał. Zaczęły się roboty stolarskie, budowa ścianki przedniej sceny (proscenium), wykonanie drzwi i okien, wprawianie podłogi. W tych pracach z wielką bezinteresowną pomocą przyszedł nam Piotr Burdek. Potrzebne fundusze na materiały zdobyliśmy grając przedstawienia w sali szkolnej.

Ruch artystyczny wzmógł się po odmalowaniu i ozdobieniu obrazami wykończonej sali. Aktorów dobrych

i chętnych było dużo. Spośród nich wspomnę Józefa Gajocha, który wkuwał na pamięć pełne zeszyty rozpisywanych (często przez siebie) ról przy rąbaniu dla domu drzewa, młóceniu zboża w stodole itp. zajęciach gospodarskich, wspominam także Jana Gumula, miejscowego organistę rodem z Pleszowa, który z młodzieńczym zapałem podejmował role w każdym prawie przedstawieniu, a bywało i tak, że w jednej sztuce przeistaczał się nierozpoznawany w kilka postaci. Wystawialiśmy przeważnie sztuki ludowe, patriotyczne, „jasełka" w różnym opracowaniu, a po zdobyciu praktycznie doskonalszej sztuki aktorskiej młodzież porywała się na wystawianie dzieł Fredry, Bałuckiego, Rostworowskiego. Praca młodzieży przy budowie własnej sceny została sowicie wynagrodzona, gdy dźwięczne słowa naszej pięknej mowy siały w sercach prostych słuchaczy głębokie wzruszenie podczas wystawiania sztuk: „Polska już wolna", „Hanusia Krożańska" i innych sztuk ludowych jak: „Błażek opętany" Anczyca, „Wesele na Prądniku", „Wigilia św. Andrzeja" „Wesele Zosi", „Fotograf w opałach", „Zrękowiny u Druzgały", „Dziewiczy wieczór" i in. Sztuki budziły nie tylko wiele wesołości, ale i serdeczne współczucie z powodu trudności piętrzących się na drodze kochających się ludzi. Wielki sukces odniosły „Śluby panieńskie" Fredry i „Grube ryby" Bałuckiego. Na przedstawieniu „Niespodzianki" Rostworowskiego powiało po sali grozą dramatu życia.

Praca młodzieży nie polegała tylko na chórze i przedstawieniach teatralnych, ale stopniowo objęła odczyty, a także szkolenie rolnicze przez uprawę poletek doświadczalnych. Pragnąc upoglądowić pracę oświatową napisałem prośbę do Kuratorium OSKr o przydzielenie lampy projekcyjnej do wyświetlania przeźroczy. Długo nie było odpowiedzi, więc zakupiłem z własnych funduszów rzutnik do przeźroczy z oświetleniem karbidowym (nie było jeszcze w Pleszowie oświetlenia elektrycznego). Koszt rzutnika – 250 zł, nasady – 160 zł. Tej lampy używałem w szkole i w Stowarzyszeniu i pożyczałem jej ks. Korzonkiewiczowi do Solidalicji Dziewcząt w Grębałowie. Treścią przeźroczy wypożyczanych z Tow. Szkoły Ludowej, a czasem od p. Inspektora Szkolnego – Orszulskiego, była geografia, historia, astronomia, sztuka: „Królowa Jadwiga na Wawelu", Gawalewicza „Legendy o Matce Boskiej", „Obieg ziemi i księżyca" itp. Po długim czasie od wniesienia prośby przybył do Pleszowa p. kurator Kupczyński. Zobaczył salę, bibliotekę blisko 700 książek już liczącą. Nadeszła pocztą latarnia projekcyjna, ale bez źródła światła. Obie nie używane dzisiaj lampy projekcyjne znajdują się dotąd w szkole pleszowskiej, która bowiem otrzymała już za czasu Polski Ludowej epidiaskop i rzutnik na prąd elektryczny.

Miło mi podnieść, że w tych czasach początkowych prac Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży, budowy sali, gromadzenia biblioteki okazywała młodzież wielką wzajemną życzliwość bez względu na różnice majątkowe, okazywała patriotyzm, umiłowanie wsi i poważanie dla rodziców. Nieraz zdawało mi się, że członkowie Stowarzyszenia to dzieci z jednej dobrej rodziny. Podobnie i zachowanie się dzieci szkolnych było bez zarzutu. Byłem młodym nauczycielem, a nie potrzebowałem walczyć o zdobycie czy utrzymanie autorytetu wychowawczego. Było to zasługą rodziców dzieci, poważnie pojmujących swą rolę wychowawczą. Wdzięczni byli szkole za jej pracę, tak w murach szkolnych, jak również z młodzieżą dorastającą. Wspominali, jak to niedawno, kiedy nie było jeszcze Stowarzyszenia, chłopcy dorośli czy też dorastający mieli zatargi z chłopcami z sąsiednich wsi, kończące się napadami i bójkami. Wyrazem wdzięczności za prace zapoczątkowane z młodzieżą przez kierownika szkoły było zakupienie ze dworu od p. Kochanowskiego, na wniosek radnego Wojciecha Kardasa, 1 ha i 3 arów pola za cmentarzem do użytku kierownika szkoły (o które sam nie zabiegał). Grunt zaintabulowano jako własność gromady i gromada opłacała z niego podatki. Nadmieniam, że na dwóch zebraniach Rady gromadzkiej, której byłem członkiem, stawiałem wniosek o zaintabulowanie tego pola na własność szkoły, jednak większość odmówiła, motywując tym, że gdyby przybył inny „niedobry" kierownik, nie mogłaby mu gromada odebrać prawa używania gruntu szkolnego. Grunt ten został w 1955 r. zajęty na własność państwa i zabudowany przez przesiedlonych z Kępy gospodarzy. W użytkowaniu następnych kierowników szkoły pozostała tylko mała łączka po obu stronach kanału wykopanego dla odprowadzania wód gorących z koksowni. Pozostały obszar wynosi 10 do 12 arów.

W przeciągu lat pracy Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży nikomu nie przyszło na myśl oddziaływać na członków w duchu jakiejś określonej partii politycznej. Celem pracy była radosna twórczość kulturalna w niedawno odzyskanej wolnej Polsce – matce wszystkich jej obywateli. Jednak wpływy partii politycznych zaczęły przenikać na wieś. W Pleszowie miało od dawna wielu zwolenników Polskie Stronnictwo Ludowe „Piast", którego wódz ludowy, Wincenty Witos, był przez pewien czas premierem rządu. W Pleszowie powstało Koło PSL „Piast". Wpływy PSL objęły Małopolskie Towarzystwo Rolnicze i związany z nim Małopolski Związek Młodzieży Ludowej. Młodzież pleszowska, której część weszła już w tym czasie w wiek dojrzały, uchwaliła przejść na statut Związku Młodzieży Ludowej. Mimo tej secesji od sztandaru Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży, dorobek pracy Stowarzyszenia w postaci sali, biblioteki i sprzętów urządzenia sali i sceny przejęło Koło Młodzieży. Mimo to współpraca szkoły i życzliwość ze strony ks. proboszcza nie ustała. Koło Młodzieży spotkało się ze strony pana Wincentego Styrylskiego, prezesa Małopolskiego Związku Młodzieży oraz p. Marii van Wollenowej i p. inż. Józefa Rosiewicza, kolejnych prze-

wodniczących Okręgowego Związku Młodzieży Ludowej w Krakowie z wielką życzliwością.

W Kole Młodzieży powstała myśl założenia własnej orkiestry. Już przedtem kier. szkoły nauczył kilku chłopców gry na skrzypcach (Stanisław Stefański, Stefan Cygan, Józef Gajoch). Teraz zaczął uczyć zespół kilkunastu chłopców znajomości nut, na dużych arkuszach papieru pakowego pisał ćwiczenia, których takty i wartość nut wystukiwali chłopcy, nabierając tak koniecznych wiadomości nim otrzymają instrumenty, których okazji nabycia dopiero poszukiwano. Przygotowanie trwało około 3 miesiące. W tym czasie udało się nabyć: bas w stroju F, 2 waltornie, tenor, baryton, 2 trąbki Es, 1 trąbkę B, altówkę B, trzy klarnety, bęben duży i mały, talerze, a osobno dokupiono nowy, duży bas B i z początkiem września 1931 r. rozpocząłem naukę sposobu zadęcia i odczytywania nut przy pomocy palcowania. Potrzebne wiadomości czerpałem z polskich i niemieckich „szkół" na poszczególne instrumenty. Mimo szczupłych moich możliwości już na Boże Narodzenie poważyła się „orkiestra" wystąpić na chórze w kościele z kilkoma kolędami. Chłopcy, zachęceni tym występem, zabrali się do ćwiczeń z jeszcze większą ochotą, a także postarali się o płatnego instruktora w osobie plutonowego orkiestry 20 Pułku Piechoty tak, że na Wielką Niedzielę 1932 r. orkiestra wystąpiła bardzo składnie w procesji wokół kościoła. Od tego czasu orkiestra dawała koncerty marszów, walców, polek na placu przed budynkiem gromadzkim i upiększała urządzane w sali uroczystości. 15 maja 1932 r. odbyła się uroczystość poświęcenia orkiestry i zabawa w sali pałacowej, a dochód z niej posłużył na dokupienie nowych instrumentów. Do pięknego sukcesu tej imprezy przyczyniła się bardzo opieka, jaką otaczali Koło wymienieni uprzednio prezesi, a szczególnie inż. Józef Rosiewicz, który zorganizował również dla Koła występ w Krakowie, tj. ujęcie na taśmę filmową wesela krakowskiego odegranego przez członków Koła Młodzieży z Pleszowa, a także występ Koła na Wawelu z odegraniem wyjątków z „Kościuszki pod Racławicami" Anczyca.

Niestety, wkrótce po tym jakby kulminacyjnym punkcie rozwoju kulturalnej pracy Koła Młodzieży, nastąpiły wydarzenia, które doprowadziły do zahamowania działalności i upadku orkiestry. Skoro wpływy rządu sanacyjnego objęły Małopolskie Towarzystwo Rolnicze i Małopolski Związek Młodzieży, młodzież pleszowska poddała się pod wpływ akademickiej organizacji młodzieżowej „Znicz" i odrzuciła statut Kół Młodzieży przy MTR mimo, iż jej rodzice zorganizowani w Kółku Rolniczym nadal w nim pracowali, a sprawy polityczne omawiali w swoim kole PSL. Dla uniknięcia rozłamu i niezgody zwołałem w porozumieniu z ks. Korzonkiewiczem zebranie porozumiewawcze najaktywniejszej młodzieży, na którym poddano wniosek, by Stowarzyszenie objęło młodzież od 14 do 20 roku życia, a Koło Młodzieży „Znicz" starszych. Sala i inwentarz miały pozostać przy Kole. Dotąd mam w przechowaniu notatkę kto był za, a kto przeciw. Wysiłki porozumienia spełzły na niczym. Doszło do przykrych zajść z powodu inwentarza, a zwłaszcza instrumentów muzycznych. Oddano do przechowania tylko część, z której bęben duży i mały, klarnet i tenor (czy baryton) wypożyczono gminie w Mogile na jakąś uroczystość. Wybuchła wojna i te instrumenty przepadły. Przepadły również instrumenty pozostałe w rękach niektórych członków orkiestry. Jeden z nich chciał ubocznie sprzedać najdroższy wówczas bas B wartości 600 zł za 50 zł do Stowarzyszenia Młodzieży w Ruszczy. Bas ten odzyskano. Nowo zorganizowane Koło Młodzieży uzupełniło część instrumentów, orkiestra była czynna, ale wojna rozproszyła jej członków a instrumenty zaginęły.

Przykre zajścia skłoniły ks. Fr. Korzonkiewicza do rezygnacji z pracy duszpasterskiej w Pleszowie, gdyż jak się wyraził: *Nie chcę, by moja obecność stanowiła przeszkodę w zbawieniu dusz ludzkich*. Przeniósł się do Inwałdu w powiecie wadowickim, gdzie zdobył sobie dalszymi pracami serca i uznanie nowych parafian. Zmarł po kilku latach pracy na nowym stanowisku, a pogrzeb jego był wielką manifestacją serdecznych uczuć tamtejszych robotników i chłopów dla tego niestrudzonego pracownika społecznego i szlachetnego, ofiarnego, dobrego człowieka. Już w czasie pracy w Pleszowie był odznaczony za pracę społeczno-gospodarczą Złotym Krzyżem Zasługi. Niedługo pozostawała młodzież pleszowska pod wpływem organizacji „zniczowej", przechodząc wkrótce na statut Koła Młodzieży Wiejskiej „Wici". Wojna przerwała jego działalność.

O ile po 1918 r. atmosfera radości z odzyskania wolności Polski bardzo sprzyjała opisanym pracom społecznym i rozwojowi organizacji kulturalnych w Pleszowie, to w 1945 r. radość ta była jeszcze większa, bo wynikała z przeświadczenia, że naród uniknął biologicznej zagłady. Jednak życie społeczne wsi i jej rozwój uległy zakłóceniu. W atmosferze wzajemnej niechęci prace nowych organizacji społecznych nie rozwijały się z takim zapałem, jak to było w latach 1918-1939. Członkowie PSL przeciwstawiali się nowemu Stronnictwu Ludowemu, Koło Gospodyń – Kołu Ligi Kobiet. Założone po 1945 r. Koło Młodzieży Wiejskiej nie mogło sobie zjednać sympatii dawnych członków. Zdrowy jednak rozsądek stopniowo wyrównuje różnice poglądów politycznych, łagodzi antagonizmy, bo zmuszają do tego problemy nowego życia. Kółko Rolnicze, przemianowane na Gminną Spółdzielnię Samopomocy Chłopskiej, utraciło cały swój dobytek, ale jako organizacja pleszowskich rolników podjęło na nowo wspólne nabywanie nawozów, cementu, wapna, pasz i nasion siewnych. Na tle tej pracy stopniowo dochodzi do uzgodnienia i polepszenia stosunków przeciwnych sobie ugrupowań społecznych. Szkoła w tym czasie nie chciała wchodzić między

skłóconych obywateli, pracowała u siebie nad dziećmi, pomagając jednak w każdej imprezie, która służyła ogółowi społeczeństwa. Trudne było to stanowisko szkoły. Liczne zarządzenia władz skierowane do wsi, do miejscowych organizacji społecznych o wykonanie pewnych prac w miejscu opierały się zawsze o szkołę. Im trudniejsze było zadanie (w atmosferze różnicy poglądów politycznych), tym chętniej udawano się do szkoły o pomoc w organizacji i jego wykonaniu.

Z ramienia Zarządu Gminnego w Mogile odbyła się w szkole w Mogile uroczystość otwarcia Gminnej Biblioteki. Wracającemu z dziećmi Janowi Twarogowi tak opisały swoje wrażenia gospodynie z Mogiły, uczestniczki uroczystości: *Kiedy zobaczyłyśmy na scenie garstkę (36) drobnych pleszowskich dzieci, pomyślałyśmy: co też one potrafią? – tymczasem za chwilę musiałyśmy osuszać napływające do oczu łzy wzruszenia pod wpływem piękna wykonania pieśni*. W tym samym roku wykonaliśmy u siebie w Pleszowie bardzo starannie przygotowany obfity program wieczorku ku czci Fryderyka Szopena.

Wychowanie fizyczne i sport

Zawiązkiem prac w kierunku wychowania fizycznego był zespół do gry w piłkę nożną, istniejący od wiosny 1924 r. przy Katolickim Stowarzyszeniu Młodzieży w Pleszowie. Zakupiono przybory do gier oraz biało -czerwone koszulki na wzór Cracovii i grano zawody z młodzieżą z najbliższych wiosek, najczęściej na pleszowskim błoniu. W okresie członkostwa w Małopolskim Związku Młodzieży Ludowej organizowano w Pleszowie sąsiedzkie zawody lekkoatletyczne: biegi, skoki, rzuty dyskiem, kulą i oszczepem z najbliższymi Kołami Młodzieży. 28 czerwca 1931 r. urządzono w Pleszowie powiatowe zawody lekkoatletyczne. Okręgowy Związek Młodzieży przyznał zwycięzcom nagrody i dyplomy. W okresie okupacji pracownik sklepu Kółka Rolniczego, p. Stanisław Koczur, uruchomił zespół do gry w siatkówkę. Grywano przed domem gromadzkim lub na podwórzu szkolnym z zespołami z Ruszczy, Igołomii i in. W 1944 r. powstał z inicjatywy pewnego wiedeńskiego sportowca, zatrudnionego przy stadninie koni wojskowych we dworze – zespół do gry w piłkę nożną. Grano mecze z Mogiłą, Branicami, Dojazdowem i in.

Stała organizacja sportowa powstała dopiero po odzyskaniu wolności z inicjatywy studentów: Józefa Cygana, Władysława Kuhla i Juliusza Twaroga. Klub zarejestrowano jako Ludowy Zespół Sportowy i wprowadzono stałe ćwiczenia oraz liczne zawody z zespołami z Luboczy, Grębałowa, Łuczanowic, Branic, Ruszczy, Wyciąż, Głębokiej, Mogiły, Bieńczyc, Brzegów, Dojazdowa, Czyżyn oraz z drużynami 55 i 56 Brygady Służby Polsce, które kwaterowały w Pleszowie, a pracowały przy budowie Kombinatu. Najaktywniejszymi zawodnikami tego okresu byli obok poprzednio wymienionych założycieli: Kazimierz Gajoch, J. Kozub, J. Czopek, Henryk Nowak, Stanisław Suder, Stanisław Rosiewicz, Franciszek Szywalski, Ryszard Cygan (ze dworu), Ryszard Cygan (syn Jana z Pleszowa), Antoni Wosiek, Tadeusz Suder, Jan Zasada, A. Laszkiewicz, S. Adamski, J. Waliss, J. Kalisz, Fr. Zięba. Prowadzono również ćwiczenia lekkoatletyczne i grę w siatkówkę.

W 1952 r. kierownictwo Ludowego Zespołu Sportowego objęli Feliks Adamski i J. Sadlik. Zarejestrowali zespół w federacji sportowej „Kolejarz" i już w 1953 r. chłopcy grają w C-klasie okręgu krakowskiego, a wkrótce awansują do B-klasy. Niestety, w 1955 r. klub przestał istnieć z powodu kradzieży wszystkich przyborów i butów piłkarskich z niestrzeżonego magazynu przy boisku sportowym. W 1956 r. reaktywowano klub pod nazwą „Pleszowianka", który z początku z dużym powodzeniem zdobywał punkty w C-klasie, ale potem osłabł w zapale, nie zgłaszał się w komplecie na obowiązkowe zawody, tracił punkty „walkowerem" i w końcu zapadł w bezczynność.

W latach 1928-1932 czynny był w Pleszowie Oddział Przysposobienia Wojskowego i Wychowania Fizycznego. Zajęcia prowadził bardzo starannie o. Jan Wilczek, kapral rezerwy. Szkoła nie posiadała sali gimnastycznej ani odpowiedniego boiska do ćwiczeń. Do tego celu wykorzystywała szkoła boisko klubu sportowego na błoniu gromadzkim.

Kursy oświatowe i gospodarcze

Organizacje społeczne w Pleszowie przeprowadzały co pewien czas dla swoich członków kursy szkoleniowe:

- Kółko Rolnicze – prowadziło kursy i poletka upraw rolnych i hodowli zwierząt domowych.
- Koło Młodzieży – poletka doświadczalne, kurs kroju i szycia.
- Koło Gospodyń oraz Koło Ligi Kobiet – kurs szycia, gotowania i pieczenia ciast.

Szkoła przeprowadziła:

- kurs uzupełniający program szkół III stopnia przed II wojną światową. Kurs ukończyło 17 uczestników wobec komisji egzaminacyjnej w osobach wizytatora K.O.S. Kr. Białasa, Insp. Szkoln. Feliksa Sidorowicza i Insp. pracy kulturalnej Ferdynanda Gągoli.
- kursy dla analfabetów, które ukończyło z dobrym wynikiem 21 uczestników.
- kursy dla analfabetów oraz kursy dokształcające dla 55 i 56 Brygady Służby Polsce. Uczestnikami byli młodzi chłopcy z różnych stron Polski. Wieczorami szczupły budynek szkolny napełniał się ponad 200 słuchaczami. Lekcje prowadziło nauczycielstwo tut. szkoły oraz oficerowie i podoficerowie Brygad Służby Polsce.

Jednoklasowa szkoła ludowa

Od 31 sierpnia 1874 r. szkoła w Pleszowie przestała pracować jako parafialna, a rozpoczęła istnieć jako jednoklasowa szkoła ludowa w wynajętej izbie w domu Marianny Partyliny (u Gizów). Ustawa sejmu galicyjskiego z 1872 r. stworzyła w Galicji dwa typy szkół: małomiasteczkowe – wiejskie oraz miejskie, o szerszym zakresie nauki. Stanowy ten system szkolny był krzywdzący dla mas ludowych i szkodliwy dla całokształtu kultury narodowej. Powstała jak na owe czasy stosunkowo duża ilość szkół, lecz przeważnie tylko o jednym nauczycielu. Wiele dzieci nie chodziło do szkoły z powodu znacznych nieraz odległości niektórych wsi od wioski, w której była szkoła. Toteż stan oświaty był niski. W 1890 r. było 67% analfabetów, w 1900 r. – 56%. W latach wojny 1914-1918 nauka w szkole była, ale często przerywana z powodu ewakuacji wsi, zakwaterowania wojska a później z braku opału. (...)

Po przeniesieniu się p. Wojciecha Zawady do powiatu chrzanowskiego, rozpoczął pracę w szkole pleszowskiej od 1 maja 1920 r. Jan Twaróg. Wraz z nim pracują: Helena Ligęzianka, Maria Józefczakowa, Waleria Figwerówna. Liczba dzieci w szkole przekracza 200. W roku szkolnym 1923/1924 przybywa piąty nauczyciel, Henryk Flis. W roku szkolnym 1924/1925 jest w szkole tylko 170 dzieci z powodu 50% śmiertelności wśród rocznika 1917, który miał wstąpić do I klasy. Od 1 stycznia 1925 r. otrzymała szkoła organizację czteroklasowej (przyznano 4 stałe etaty nauczycielskie). Równocześnie nadano szkole imię ks. Hugona Kołłątaja, na wniosek kierownictwa szkoły. Ks. H. Kołłątaj, reformator Uniwersytetu Jagiellońskiego, współtwórca Konstytucji 3 maja, mieszkał pewien czas w pałacu w Pleszowie. W latach następnych waha się liczba dzieci w szkole od 180 do 200, a uczą 4 siły naucz, gdyż H. Flis odszedł do szkoły w Dojazdowie. W 1924 r. przybyła w miejsce p. Walerii Figwer, przeniesionej do szkoły w Luboczy, p. Genowefa Twarogowa z domu Wojnarowska. 28 lutego 1933 r. dzieci szkolne i licznie zebrani mieszkańcy Pleszowa ze łzami w oczach żegnali odchodzącą w stan spoczynku po 35 latach pracy nauczycielskiej (w tym blisko 33 latach w szkole pleszowskiej) p. Helenę Ligęziankę, składając jej podziękowanie za pełną poświęcenia pracę wychowawczą i wręczając jej pierścień pamiątkowy wraz z dyplomem honorowej obywatelki Pleszowa. W roku szkolnym 1933/1934 jest w szkole 209 dzieci. Na miejsce H. Ligęzianki przybył bezpłatny praktykant nauczycielski, p. Józef Handzlik. Przykre to jest, że w naszej niedawno odrodzonej ojczyźnie szerzy się bezrobocie i kandydat do pracy, mimo uzyskanych kwalifikacji, musi podjąć pracę bez wynagrodzenia w nadziei, że po roku otworzy się dla niego miejsce z wynagrodzeniem. Wymieniony zawdzięcza możność przetrwania tak trudnych warunków życia zacnemu proboszczowi pleszowskiemu, ks. Fr. Korzonkiewiczowi, który dał mu u siebie pomieszczenie i utrzymanie. J. Handzlik pochodził z biednej rodziny. Obowiązki szkolne wypełniał bardzo starannie, po ukończeniu rocznej praktyki otrzymał zatrudnienie w szkole w powiecie krakowskim. (...)

Pewnego dnia udałem się do Mogiły do p. inż. Kazimierza Cieślewicza, ówczesnego naczelnika gminy i przedstawiłem mu warunki życia szkolnego: dwie sale przy 5 siłach nauczycielskich i liczbie dzieci przekraczającej 200. Szczególnie podkreśliłem brak pomieszczenia, gdzie by zimą przybyłe dzieci mogły zdjąć przemoczone płaszcze i zagrzać zziębłe nogi. Wskazałem na możność polepszenia tego stanu przez wykonanie drewnianej nadbudowy szkoły, której koszt obliczył zdolny i doświadczony mistrz ciesielski, Andrzej Kardas z Pleszowa, na kwotę 10 tys. złotych. (...) P. inż. K. Cieślewicz nie odrzucił myśli o nadbudowie mówiąc: *jestem zastrzelony waszą myślą, ale ze swej strony, to jest ze strony Zarządu Gminy, dopomogę w realizacji*. Przedstawiłem następnie sprawę nadbudowy szkoły na zebraniu Rady Gromadzkiej, która odniosła się do tego bardzo przychylnie. (...) Wraz z p. Rosiewiczem udaliśmy się do p. starosty Wnęka z prośbą, by w formie pomocy ze Starostwa Powiatowego polecił Wydziałowi budowlanemu wykonanie planu budowy, a w niedługim czasie otrzymaliśmy go wraz z kosztorysem przekraczającym 21 tysięcy zł. Nie przestraszyliśmy się tej wysokiej kwoty i postanowiliśmy wykonać prace sposobem gospodarczym, we własnym zakresie. Zaczęliśmy gromadzić fundusze. Z Kółka Rolniczego otrzymaliśmy nie tylko 3 tys. pożyczki, ale i 500 zł tytułem darowizny na cele budowy. Następnie udałem się do Kuratorium O.S. Kr. Do Tow. Popierania Budowy Szk. Powsz. o udzielenie pożyczki bezprocentowej 1500 zł, pożyczkę otrzymaliśmy, ale z powodu wojny nie zdążyliśmy spłacić żadnej raty. Dalszym dochodem była suma 1100 zł – to moje wynagrodzenie za pracę w Kółku Rolniczym, uskładane za około 11 lat. Pragnąłem, aby moja praca w Kółku Rolniczym była bezinteresowna, a ofiara moja pociągnęła za sobą inne na tak bliski nam wszystkim cel: dobro dzieci. Po zakończeniu roku szkolnego 1937 rozpoczęła się rozbiórka starego, zniszczonego już dachu oraz pował. Praca postępowała szybko. (...) Zarząd Gminy w Mogile stał z pomocą w odwodzie i w sumie wypłacił 2000 zł zasiłków. Nadbudowa kosztowała nas nie 21 tys., lecz dzięki gospodarczemu i życzliwemu podejściu wszystkich pracowników 16 228 zł 49 gr. Członkowie komitetu nadbudowy pracowali bezinteresownie. Z wdzięcznością wspominam tu p. Wawrzyńca Czekaja z Kępy i Stanisława Salwińskiego z Kujaw, jako majstrów odpowiedzialnych za całość budowy, którą oddali do użytku w stanie doskonałego wykończenia. Podkreślam ofiarę p. Józefa Zięby, zast. sołtysa z Kujaw, który mimo trudnych warunków życia swojej licznej rodziny złożył na moje ręce ofiarę 10 zł i wiele pracy

przy zwózce piasku i przy budowie. W grudniu 1938 r. odbyła się uroczystość poświęcenia nadbudowy szkoły, którego dokonał ks. Antoni Góralik.

Szkoła w Pleszowie podczas okupacji

Rok 1939/1940

Naukę rozpoczęliśmy w końcu września 1939 r. Wojsko niemieckie w szkole nie zakwaterowało. Opał na zimę był zabezpieczony, więc nauka odbywała się nieprzerwanie do końca czerwca 1940 r.

Rok 1940/1941

Rok ten przepracowaliśmy w całości we wszystkich klasach. Opał na zimę uzyskaliśmy z własnej gromady Pleszów oraz od rodziców. Wojska niemieckiego również w szkole nie było.

Rok 1941/1942

Rok ten przepracowaliśmy z dwumiesięczną przerwą zimową z powodu wyczerpania a dużych trudności w uzyskaniu opału. Wojska niemieckiego w szkole nie było.

Rok 1942/1943

Przybył do szkoły oddział radiofoniczny „Pelikan", który pozostawił nam tylko mieszkania i jedną salę do prowadzenia lekcji, w której odbywały się zajęcia na zmianę aż do zmroku. W zimie niestety gmina w Mogile nie dostarczyła opału, a nauczycielstwo zatrudniła u siebie w Mogile przy zakładaniu ksiąg podatkowych.

Rok 1943/1944

Pracowaliśmy w jednej sali na zmianę aż do zimy. Przez zimę otrzymaliśmy zajęcie w gminie. Wiosną 1944 r. „Pelikan" zbierał się do wyjazdu w stronę Wiednia. Żołnierze spisali inwentarz, którego nie mogli z sobą zabrać, zamknęli w największej sali. Spis oddali mnie i sołtysowi Janowi Partyle, aby inwentarz ten oddać następnemu oddziałowi. Szybko przejrzałem spis i zauważyłem, że nie obejmuje on opału, który zamknęli w szkolnej stodole. Było to około 40 q węgla i 40 q drzewa. Pobiegłem przed gromadzki budynek, gdzie załadowywali się do odjazdu i prosiłem komendanta, by podarował pozostawiony opał dla szkoły i nauczycielstwa, które tak długo pozbawione było środków opałowych. Niby się zgodził, ale poświadczenia oddania, o które prosiłem, nie wydał. Uważałem mimo to, że opał w stodole stał się własnością szkoły. Umówiliśmy się z koleżankami, że węgiel zaraz przeniesiemy do piwnicy. Udało się nam to tylko częściowo, bo w niespełna dwie godziny po odjeździe „Pelikana" przybyła do szkoły nowa grupa: obsługa koni remontowych i zajęła poprzednio zajmowane przez „Pelikana" lokale szkolne. W pozostawionej nam jak poprzednio jednej sali uczyliśmy na zmianę do końca 1944 r. Stodoła z resztą opału była zamknięta, a przybyły oddział składał sobie opał na podwórzu przed stodołą. Przydziały opału otrzymywał bardzo skromne w porównaniu z oddziałem poprzednim i zacząłem się obawiać, że wyjdzie na jaw, że poprzednicy pozostawili sporo opału.

Rok 1944/1945

W sierpniu 1944 r. przyszedł do mnie wachmistrz kwaterującej jednostki z poleceniem od kapitana, by opróżnić ostatnią salę, w której dotąd uczyliśmy oraz mieszkanko kol. Zofii Richter. W sali miała być świetlica z ekranem do wyświetlania obrazów, a w mieszkaniu projektor z motorem. Wybito w ścianie okienko, przez które projektor rzucał obrazy do sali. Cóż było robić. Przenieśliśmy sprzęty na boisko stodoły pana Rosiewicza i tam zaczęliśmy nowy rok szkolny. Dla pani Richter wynająłem izdebkę u p. Kozubów – na wsi. Tak uczyliśmy prawie do końca października 1944 r. Zaczęło się robić bardzo chłodno. Trzeba było szukać pomieszczenia na zimę. Opał był, lecz zamknięty w szkolnej stodole. Poszedłem do p. Jana Bańdura i prosiłem, by dla umożliwienia dalszej nauki dla polskich dzieci opróżnił swoją dużą izbę, w której miał załadowane zboże. Zacny p. Bańdur bez słowa sprzeciwu przyrzekł, że za dwa dni pokój będzie opróżniony. Sporo było zboża, więc musiał poświęcić dużo sił, by wyciągnąć je na strych. Podziękowałem mu serdecznie, wprowadziliśmy szkolne sprzęty i naukę prowadziliśmy w odpowiedniejszych warunkach. Niestety, już po tygodniu dalszej pracy, gdy właśnie ja miałem kolejną lekcję, stanęli w drzwiach kapitan i wachmistrz. Oświadczyli, że ten pokój już dawno upatrzyli na kwaterę dla żołnierzy. Jednak wachmistrzowi trochę wstyd było, że nas przegania z miejsca na miejsce, zaznaczył, że naukę ceni i lokal dla nas znajdzie. Polecił, by przyjść do niego na drugi dzień do kancelarii (u Józefa Kota), to pójdzie ze mną do zakładu, w którym zakonnice wówczas miały około 130 wychowanków i wychowanek – w znacznej ilości sierot, skierowanych na wychowanie do zakładu przez Kuratorium Szkolne. Kiedy na drugi dzień zgłosiłem się w kancelarii i zaznaczyłem, że u sióstr byłem i miejsca na klasę nie znalazłem, bo nawet w kaplicy ustawione są łóżka dziecięce, wachmistrz nie chciał uwierzyć. Weszliśmy do zakładu. Siostra przełożona powitała go piękniejszą od mojej niemczyzną i prowadziła na piętro, ja zostałem na dole. Po kilkunastu minutach zszedł wachmistrz i powiedział: *Ja, wirklich, es gibt kein Platz*. Wyszliśmy przed gromadzki budynek. Wachmistrz zajrzał do remizy strażackiej i orzekł, że tu można urządzić nauczanie. Musiałem mu tłumaczyć, że w suficie jest dziura na strych, przez którą zawiesza się do suszenia węże, że za podłogę służy zimny, surowy beton, że nie ma pieca, a olbrzymie, nieszczelne wrota oziębiają pomieszczenie. Przekonałem go dopiero, gdy powiedziałem, że przyborów strażackich nie da się zbić w kupę w jakiej szopie chłopskiej. Muszą być zawsze gotowe do wyjazdu w razie pożaru. Na twarzy wachmistrza odmalowało się zniechęcenie, choć dotąd okazy-

wał tyle energii i chęci. Widocznie wstydził się, że nam dwukrotnie lokal odebrał.

Uprzednio, nim zajęliśmy lokal u p. Jana Bańdura, obejrzałem pusty domek za cmentarzem, który tylko sezonowo służył za suszarnię tytoniu. Nie podobał mi się, bo brakowało okna, szyb, brak było pieca oraz okropnie czuć było wszędzie tytoń. Teraz jednak musiałem się na ten domek zgodzić, a wachmistrz wyraził chęć zobaczenia lokalu. Poprosiłem więc Jana Partyłę, sołtysa, by wziął klucz do domku i szedł z nami. Przez rozbite okno wachmistrz zajrzał do środka i kiedy zobaczył pustkę i odrapane ściany, polecił sołtysowi oddać mi klucz, pożegnał się i odszedł. Wszedłem z sołtysem do środka, przejrzałem i pomierzyłem, co będzie potrzebne z materiałów, ile wapna do bielenia, gliny do lepienia, kilkanaście cegieł, piecyk i ile zabrać drzewa i węgla na opał. Sołtys obiecał mi kilka łat pod ławki, podał mi klucz i odszedł, a ja zostałem pozostawiony swemu losowi. Po południu zmówiłem sobie kilku starszych uczniów do bielenia i robót ciesielskich oraz 3 furmanki na godzinę szóstą rano w dniu następnym, celem przewiezienia materiałów i opału. Nasze krzątanie na podwórzu zauważył z okna na pięterku domu Rosiewiczów mieszkający tam kapitan. Przybył do nas na podwórze i zapytał: *Do kogo należy ten węgiel?* Odpowiedziałem: *To jest węgiel szkolny*. Po chwili kapitan odszedł, a ja stopniowo uspokajałem nerwy, bo nie było przyjemnie dzielić na jego oczach opał pozostawiony przez jego poprzedników, a którego coraz bardziej potrzebował. Z tym niepokojem musiałem już żyć do dnia wyzwolenia. Około nowej sali szkolnej napracowałem się z dziećmi, do których do dziś mam wielką wdzięczność za ochotę i gorliwość, jaką wykazały przy jej modernizacji. Miałem jednak i gorycz w sercu do starszych, którzy w najcięższym dla mnie czasie nie przyszli z pomocą. Kiedy po dniu pracy wracałem do domu i przechodziłem koło domu sąsiada, Jana Cygana, uderzyła mnie treść jego wypowiedzi: *Panie kierowniku, nie będzie tu panu dobrze*. Nie rozumiałem na razie tej wypowiedzi. Owszem, czułem się tu wśród pracujących ze mną dzieci bardzo dobrze, jak i później, gdy z koleżeństwem na zmianę paliliśmy w piecu i uczyli. Nauka w tym domku w swobodzie otoczenia utrwaliła się w mej pamięci jako radosne przeżycie. Wypowiedź sąsiada pojąłem dopiero po kilku dniach, skoro pewnego ranka przyszedłem wcześnie, aby rozpalić w piecyku, zobaczyłem na tablicy napis: *Panie kierowniku, niech pan nie dochodzi co tu było*. Innego dnia znalazła się nowa miotła z napisem: „do wspólnego użytku", a jedno z dzieci zapytało mnie: *Proszę pana, dlaczego tu tak czuć tytoń?* Odpowiedziałem, że ten domek służył za suszarnię tytoniu i nasze pomalowania wapnem nie zdołało usunąć tego zapachu. Z tych spostrzeżeń poznałem, że wspólnie z ruchem oporu korzystamy z wyremontowanego lokalu. Zrozumiałem również stanowisko mego kolegi, który wcześniej nie pomagał przy remoncie, bo wiedział, że szkoła weszła mimo woli w zajęty już lokal, czego ja dotąd nie byłem świadomy. W tej miłej choć małej szkółce doczekaliśmy dnia wyzwolenia.

Pewnego dnia, tuż przed wyjazdem Niemców, przybiegł do mnie sąsiad sprzed szkoły, Józef Partyła, bardzo przerażony, bo u niego w szopie mieli złożoną prasowaną w kostki paszę dla koni, mówiąc, że Niemcy chcą ją podpalić, aby pasza nie wpadła w ręce radzieckie. Jeżeli podpaliliby mu szopę, to spłonąłby również dom mieszkalny, drewniany, kryty słomą. Pobiegłem z Partyłą do jego domu i proszę w jego imieniu o zaniechanie tego zamiaru. Podoficer poczęstowany wódką przez gospodarza po dłuższej chwili zgadza się, pod warunkiem usunięcia paszy przez rozdanie jej wielkiej ilości ludziom w ciągu 2 godzin. Pobiegłem do sołtysa, by zorganizował pojazdy, a ja młodzież do wyrzucania paszy do podstawionych wózków, taczek lub worków. Opróżnianie szopy trwało nieco dłużej, ale dom został uratowany, a pasza przydała się w wielu pleszowskich gospodarstwach. Niedługo później przybiegła do mnie p. Maria Gębalowa mówiąc, że Niemcy zabierają jej ostatniego konia. Prosiła o interwencję. Mimo powstrzymywania mnie przez żonę i panią Dudkową argumentem, że Niemcy są rozgniewani klęską – poszedłem. Rzeczywiście, Niemiec odprowadzał już konia. Zbliżyłem się, tłumacząc, że gospodyni oddała już 2 konie, ten ostatni konieczny jej będzie w gospodarstwie, że gospodyni odwdzięczy się żywnością na drogę. Niemiec oddał uzdę właścicielce.

23 stycznia 1945 r. zabraliśmy się do oczyszczania naszego budynku szkolnego po kwaterunku wojsk niemieckich i przechodzących oddziałów radzieckich. Z pomocą dzieci rozebrałem ścianki działowe zbite z desek przez Niemców oraz przybudowaną do południowej ściany drewnianą, zbitą z desek kuchnię. Dzieci wyniosły z sal słomę, pozamiatały podłogi, a matki je umyły. Podjęliśmy naukę we wszystkich pięciu klasach 27 stycznia 1945 r.

Tajne nauczanie

Komplet zorganizowanego tajnego nauczania w szkole w Pleszowie rozpoczęliśmy jesienią roku 1942 w mieszkaniu nauczycielskim, co ułatwił fakt, że dotąd w gromadzie nie stacjonowało wojsko niemieckie. Program obejmował pierwszy i drugi rok gimnazjum. Uczyli: Jan Twaróg, kierownik szkoły – matematyki i nauk przyrodniczych, ks. Stanisław Sikora – historii i geografii Polski, Genowefa Twaróg, nauczycielka – języka polskiego. Łączna tygodniowa ilość godzin nauki wynosiła 18. Po przeniesieniu ks. Stanisława Sikory do Podgórza, naukę historii i geografii Polski przejęła Genowefa Twarogowa. Z biegiem czasu nauka kompletu stawała się coraz wyraźniejsza i niebezpieczna. Jesienią 1943 r. wprowadził się do szkoły oddział wojska niemieckiego, zajmujący się obsługą przeciwlotniczych aparatów podsłuchowych, pozostawiając tylko jedną salę naukową. Komplet nasz składał się z młodzieży pragnącej wykształcenia odmówionego jej przez okupantów. W jego skład wchodzili:

- Władysław Kot, syn Wojciecha,
- Władysław Kuhl, syn Stanisława,
- Anna Piekarczyk, córka Jana,
- Maria Piekarczyk, j.w.,
- Krystyna Rosiewicz, córka Stanisława (bardzo uzdolniona dziewczynka, niestety z powodu choroby serca musiała przerwać naukę, w niedługi czas po wyzwoleniu zmarła),
- Zdzisław Ryłko, syn kierownika szkoły ukrywającego się przed okupantem,
- Zofia Sroka, córka Walentego,
- Juliusz Twaróg, syn kierownika szkoły,
- Stanisław Twaróg, j.w.

Najniebezpieczniejszymi momentami pracy były wyjazdy z młodzieżą do punktów egzaminacyjnych w Krakowie. Surowe konsekwencje groziły egzaminatorom i młodzieży. Takich wyjazdów odbyliśmy trzy: na ulicę Smoleńsk i św. Marka, do mieszkań egzaminujących profesorów, na ulicę Kanoniczą, do mieszkania ks. Mazanka i na ul. Szlak, do prof. Niemca na egzamin w obecności Inspektora p. Witka

Miło mi wspomnieć zarówno dzielną postawę młodzieży; jej dobre odpowiedzi, jak i serdeczny stosunek do niej ze strony egzaminatorów. Równocześnie w szkole powszechnej (w Pleszowie – dop. red.), obejmującej około 200 dzieci, ale uczących się tylko w jednej sali, prowadzona była stale nauka przez 4 osoby z grona nauczycielskiego w duchu programu polskiego. Genowefa Twarogowa udzielała nauki w klasie I, mimo przymusowego zwolnienia przez okupantów, aż do końca roku szkolnego 1939/1940. Te dwa miesiące nauki po zwolnieniu Powiatowa Komisja Weryfikacyjna (PKW) uznała jako tajne nauczanie niezorganizowane. Uczyła również 4 dzieci kończących szkołę powszechną według polskiego planu, ze szczególnym uwzględnieniem historii i geografii Polski, co PKW uznała za pracę w tajnym nauczaniu niezorganizowanym.

Grunt szkolny

W roku 1867 postawiono w Pleszowie szkołę na parceli o powierzchni 10 arów, urządzono chodniki wokół budynku, pozostawiając niespełna 5 arów pod ogródek szkolny. W roku 1957 dokupiono 5 arów pod boisko szkolne, gdyż dzieci w czasie przerw w nauce nie miały miejsca do zabawy i ćwiczeń fizycznych. Gruntu do użytku kierownika szkoły do roku 1925 nie było. W 1925 r. gmina Pleszów zakupiła 1 ha 3 ary pola za cmentarzem do użytku Jana Twaroga, kierownika szkoły, w uznaniu za jego pracę społeczną w środowisku. Koszt zakupu wynosił 3 063 zł. Na dwu posiedzeniach rady gminnej wystąpił kierownik szkoły z prośbą-wnioskiem, by uchwaliła zaintabulowanie zakupionego pola pod tytułem „Fundusz Szkolny", „Szkoła Pleszów" lub „ Rada Szkolna Miejscowa", lecz wniosek upadł i zakupioną parcelę zaintabulowano na własność gminy Pleszów do użytkowania każdorazowego kierownika szkoły, zaznaczając, że radni czynią to tylko dlatego, by w pewnych okolicznościach mogła gmina odmówić prawa użytkowania kierownikowi, który nie zasługiwałby na to, zaznaczając również, że wszelkie podatki i świadczenia ponosić będzie gmina Pleszów[7]. Grunt ten nazywano potocznie „ szkolny". Od 1925 r. użytkował go Jan Twaróg, kierownik szkoły, a podatki opłacała ze swych dochodów gmina Pleszów. W 1951 r., z rozpoczęciem prac budowlanych około Nowej Huty i Kombinatu, grunt ten zajęła w dzierżawę Brygada Służby Polsce, wznosząc na ziemi ornej baraki mieszkalne, kuchnie i umywalnie oraz wysypując chodniki grubą warstwą żużla piecowego, udaremniając już na zawsze możliwość uprawiania zajętej przestrzeni, która dotąd była w dobrej kulturze rolniczej. Od 1953 r. przejął dzierżawę Zarząd Eksploatacji Terenu i Urządzeń Zjednoczenia Przemysłowego Budowy Nowej Huty, wypłacając kierownikowi szkoły kwotę 593 zł rocznie i zobowiązując się do opłacania podatków. W 1955 r. w/w Zarząd zrzekł się dzierżawy i po rozebraniu budynków pozostawił liczne betonowe fundamenty i ubitą przestrzeń pokrytą żużlem, a więc pole dawniej uprawne zostało obecnie zupełnie zniszczone. W tym czasie grunty gminne i gromadzkie zostały przejęte na własność państwa i na gruncie „szkolnym" wydzielono 4 parcele pod domy dla gospodarzy wysiedlonych z przysiółka Kępa, gdyż domy ich na Kępie zalewała woda z rur odprowadzających ją z Kombinatu. Całą dawniej uprawną przestrzeń zabudowano domami i budynkami gospodarczymi. Pozostała łączka, ale i z niej odcięto kilka arów pod drogę oraz całą przecięto wzdłuż szerokim rowem odprowadzającym wodę z Kombinatu. W użytkowaniu kierownika szkoły, Jana Twaroga, do roku 1958, tj. do ukończenia jego pracy w Pleszowie, pozostało tylko około 10 arów tej łączki.

Do Związku Nauczycielstwa Polskiego, Oddział Powiatowy w Krakowie

Na skutek otrzymanego pisma L. dz. 443/65 Org., przesyłam kilka szczegółów o pracy organizacyjnej Związku Nauczycielstwa Polskiego (ZNP) we wschodniej części powiatu krakowskiego.

1. Kto był założycielem ZNP i prezesem Oddziału Powiatowego dziś już nie pamiętam. W 1906 r. już istniała organizacja, gdyż na jej apel kilku kolegów

7. Z /.../ gr. 1 kat. 810/4 i 832/4 Lwh 505. na rzecz gminy Pleszów L. hip. 402/28 kontr. Z 19 VIII 1925, Sąd Pow. Cyw. W Krakowie Oddz. XIX z 11 II 1928

z naszej wschodniej okolicy uczestniczyło w manifestacyjnym zjeździe nauczycielstwa we Lwowie.

2. Tuż przed I wojną światową prezesem oddziału krakowskiego był, zdaje się, kol. Władysław Sieńko.
3. We wschodniej stronie powiatu krakowskiego powstały dwa ogniska ZNP. Ognisko w Bieńczycach, które obejmowało szkoły: Bieńczyce, Mogiła, Czyżyny, Krzesławice i Raciborowice. Prezesem i założycielem był kol. Kazimierz Łowczowski, kierownik szkoły w Bieńczycach. Tu w 1913 r. we wrześniu wpisałem się do organizacji związkowej i uczestniczyłem w zebraniach ogniska. Zebrania zawsze miały w swoim programie obrad jakiś referat pedagogiczny lub z działu kultury. W 1916 r. zmieniłem miejsce pracy i stałem się członkiem drugiego ogniska w Branicach. Założył je około 1907 r. kol. Ludwik Urbański, kierownik szkoły w Branicach. Ognisko miało duży zasięg, bo gromadziło w sobie nauczycielstwo szkół po wschodnią granicę powiatu. Objęło ono szkoły w Branicach, Pleszowie, Luboczy, Prusach, Kantorowicach, Kocmyrzowie, Czulicach, Dojazdowie, Wadowie, Kościelnikach, Wolicy, Wyciążach i Ruszczy. Ognisko Branickie było do dnia najazdu hitlerowskiego i po wojnie do 1950 r. prawdziwym „ogniskiem" życia związkowego, zawodowego a także towarzyskiego dla koleżanek i kolegów z tych odległych przestrzenią, a przecież bardzo bliskich koleżeńską sympatią szkół. Zebrania odbywały się kolejno w poszczególnych szkołach, urozmaicone były odczytami na tematy z zakresu pedagogiki, dydaktyki i kultury (sprawozdania z aktualnych dzieł literatury). Zebrania często były połączone z lekcjami pokazowymi, po których omawiano zalety i usterki w przeprowadzaniu tematów. Przez założenie dobrowolnych udziałów uruchomiono „kasę pomocy koleżeńskiej", z której (może zbyt szczupłych kwot) ale doraźnie korzystali członkowie w formie pożyczki w razie nagłej potrzeby. Za składkowe pieniądze wśród członków ogniska zakupiono aparat kinowy z oświetleniem karbidowym (w czasach, gdy szkoły nie posiadały prądu elektrycznego). Jednakże aparat (nie fabryczny, lecz ręczne dzieło amatorskie) po wyświetleniu w kilku szkołach filmów o treści przyrodniczej poważnie się zepsuł, a ponieważ wypożyczanie ich było zbyt kosztowne, więc z niego zrezygnowano). Dodatnią cechą pracy w ognisku było serdeczne współżycie członków, które zaznaczało się i tym, że każdego członka odchodzącego na emeryturę żegnano na uroczystym zebraniu, wręczając pewien choćby skromny przedmiot na pamiątkę od pozostających w pracy kolegów. Po 1950 r. i powstaniu Nowej Huty, szkoły w Branicach, Pleszowie, Luboczy, Ruszczy, Wadowie, Krzesławicach, Bieńczycach, Mogile i Czyżynach znalazły się w obrębie Nowej Huty i nauczycielstwo należy do kilku powstałych w Nowej Hucie ognisk ZNP. Inne szkoły, które należały do ogniska branickiego zbierają się w Kościelnikach lub Ruszczy prócz Wyciąż, które odłączono od powiatu krakowskiego na rzecz powiatu proszowickiego. Na zakończenie pragnę wymienić niektórych kol. prezesów ogniska ZNP w Branicach (za kolejność nie odpowiadam, bo nie pamiętam): Ludwik Urbański, założyciel, Józef Kulczyk z Kościelnik, Józef Pałosz z Wyciąż, Andrzej Rozowski z Branic, Franciszek Twaróg z Luboczy, Józef Rzepecki z Wadowa, Jadwiga Hauser z Ruszczy, Olga Chojnacka z Wyciąż.

Jan Twaróg[8]



Jan Twaróg

Urodził się 1 lipca 1893 r. w Łuczanowicach, pow. krakowski. Po ukończeniu w 1912 r. Państwowego Seminarium Nauczycielskiego w Krakowie, pracował jako nauczyciel w szkole powszechnej w Czerwonym Prądniku, następnie w Mogile i Luboczy, a od 1920 r. w Pleszowie. Tu początkowo pełnił funkcję nauczyciela kierującego, a w roku 1926 mianowany został stałym kierownikiem szkoły. W roku 1932 kończy jako ekstern Wyższy Kurs Nauczycielski. Pracuje z całym oddaniem dla szkoły i młodzieży, stale zabiegając u władz szkolnych o jak najlepsze wyposażenie szkoły w pomoce naukowe, a wiele z nich wykonuje własnoręcznie. Jest doskonałym wychowawcą. Już w okresie międzywojennym spore grono wychowanków kierowanej przez niego szkoły w Pleszowie uczęszcza do szkół średnich w Krakowie, a kilkoro podejmuje studia wyższe. W 1936 r. występuje z inicjatywą nadbudowy szkoły, która zrealizowana zostaje w latach 1937-1938.

8. Życiorys opracowała żona Genowefa z Wojnarowskich Twarogowa, z córką Anną i synem Stanisławem.

Poza nauczaniem w szkole od pierwszych lat swej pracy w Pleszowie rozwija ożywioną działalność społeczną. Pracuje ze starszą młodzieżą zorganizowaną w tutejszym Kole Młodzieży. Pod jego kierunkiem powstaje chór, występujący z okazji różnych uroczystości oraz zespół aktorski, wystawiający liczne przedstawienia, początkowo w budynku szkolnym, a następnie we własnej sali, urządzonej w tym celu w budynku gromadzkim. Z chwilą założenia orkiestry dętej Koła Młodzieży jest w niej pierwszym nauczycielem muzyki. Organizuje także różne odczyty, zarówno ogólnooświatowe jak i szkoleniowo-rolnicze, często ilustrowane przeźroczami. Dba o rozwój czytelnictwa wśród ogółu mieszkańców.

Osobną działalność Jana Twaroga stanowi jego wieloletnia, pełna zaangażowania praca w Kółku Rolniczym (KR) w charakterze sekretarza i księgowego sklepu. Odkładane przez 11 lat wynagrodzenie za pracę w Kółku przeznaczył w całości na nadbudowę szkoły. W okresie okupacji, mimo trudnych warunków, utrzymuje naukę w szkole, a po zajęciu ostatniej sali lekcyjnej przez wojsko niemieckie organizuje naukę w izbie użyczonej przez miejscowego gospodarza, następnie zaś w pomieszczeniu służącym za suszarnię tytoniu. W tym czasie prowadzi również komplet tajnego nauczania, zarówno w zakresie wyższych klas szkoły powszechnej (z przedmiotami zakazanymi przez okupanta), jak też I i II klasy gimnazjum. Na komplet ten uczęszczało kilkanaścioro uczniów, którzy po wyzwoleniu kontynuowali naukę w Krakowie.

Po wojnie, aż do chwili przejścia na emeryturę w roku 1958, Jan Twaróg kieruje nadal szkołą w Pleszowie, która w nowych warunkach przeżywa okres jeszcze większego rozwoju. Młodzieży kończącej szkołę zawsze służy radą w wyborze dalszego kierunku kształcenia i interesuje się jej dalszym losem. Włącza się również w rozliczne w tym okresie prace pozaszkolne. W latach 1946-1947 jako księgowy Kółka Rolniczego współpracuje z Komitetem Elektryfikacyjnym, którego wysiłki uwieńczone zostają zaprowadzeniem w Pleszowie i na Kujawach prądu elektrycznego. Wraz z nauczycielstwem bierze udział w zajęciach kursu dla analfabetów oraz kursu dokształcającego dla młodych chłopców z brygad Służby Polsce, pierwszych budowniczych Nowej Huty. Za swoją pracę, tak szkolną jak i społeczną, został kilkakrotnie odznaczany. Będąc już na emeryturze pamięta i myśli o Pleszowie, poświęcając mu swoje wspomnienia poszerzone o wiadomości historyczne, nad którymi pracuje niemal do ostatnich miesięcy życia. Jan Twaróg zmarł 11 maja 1969 r.

Kraków, listopad 1974 r.

Genowefa Twarogowa z d. Wojnarowska



Genowefa z Wojnarowskich Twarogowa

Urodzona 19 listopada 1898 r. Ukończyła Żeńskie Seminarium Nauczycielskie w Krakowie w 1919 r. Jako nauczycielka pracowała od 22 sierpnia 1919 r. w Tresnej, od 1 września 1920 r. w Nowej Wsi Szlacheckiej, od 1 września 1921 r. w Luboczy, a od 1 października 1924 r. w Pleszowie. W okresie od 1 września 1939 r. do 18 lutego 1945 r. miała przymusową przerwę w pracy na skutek zarządzeń niemieckiego okupanta. Po przejściu na emeryturę w 1958 r. uczyła jeszcze w niepełnym wymiarze godzin w szkole podstawowej w Nowej Hucie. Zmarła 28 marca 1976 r. Była nauczycielką bardzo gorliwą, a zarazem wielką przyjaciółką dzieci i młodzieży, do których miała serdeczne, matczyne podejście.

Mimo odsunięcia jej od pracy z dziećmi w czasie okupacji była zaangażowana w tajne nauczanie, które w rodzinnym mieszkaniu w szkole, prowadził Jan – jej mąż. Była dla niego wielką podporą i przyjaciółką, przejmując na siebie większość obowiązków domowych, a zwłaszcza tych związanych z wychowaniem trójki dzieci: Stanisława, Juliusza i Anny. Jej dzielna, pełna ofiarności postawa umożliwiła jej mężowi poświęcenie całego czasu szkole i podejmowanym przez niego niezliczonym pracom dla dobra wspólnego całej społeczności Pleszowa. Genowefa Twarogowa szczególnie dużo ciepła okazywała sierotom, które mieszkały w zakładzie wychowawczym, prowadzonym przez Siostry Bożej Miłości w Pleszowie. Pozostała na długie lata we wdzięcznej pamięci nie tylko swoich wychowanków, ale i tych wszystkich, których spotkała na drodze swego pracowitego życia.

ks. prałat Jan Rosiewicz[9]

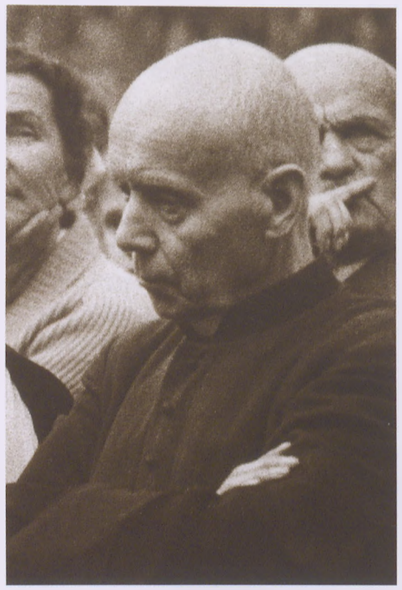

Ks. prałat Jan Rosiewicz

Urodzony w 1883 r. w Pleszowie, syn Józefa i Józefy, zmarł w 1974 r. w Krakowie. Był człowiekiem skromnym, szlachetnym, żył myślą o Bogu i bliźnich. Po ukończeniu studiów teologicznych przez kilka lat pełnił obowiązki wikariusza w Nowym Targu i okolicach. Bardziej odpowiadała mu jednak praca z młodzieżą – potem przez wiele lat był katechetą w szkole podstawowej dla chłopców przy ulicy Lubomirskich (ob. Aleksandra Lubomirskiego) w Krakowie. Po przejściu na emeryturę pracował w kurii krakowskiej. Do domu rodzinnego w Pleszowie przyjeżdżał często, interesował się kościołem, szkołą, wsią i jej przemianami. Bardzo cenił i kochał swoją matkę Józefę, która po śmierci męża w 1916 r. przekazała swoją gospodarkę synowi Stanisławowi, a po jego śmierci wnukowi Józefowi. Sama zamieszkała z synem, ks. Janem w Krakowie.

W 1941 r, wielką tragedią dla całej rodziny była bohaterska śmierć Kazimierza, najstarszego syna Stanisława, który zginął jako pilot w Anglii podczas katastrofy lotniczej nad kanałem La Manche. W tym samym roku został aresztowany i wywieziony do Auschwitz najmłodszy syn Józefy, brat ks. Jana – inż. rolnik Józef Rosiewicz. O jego śmierci w 1945 r. nie poinformowano jego matki z obawy o stan jej zdrowia. Do końca czekała na powrót syna. W 1946 r. umiera najmłodsza, piętnastoletnia córka Stanisława – Krystyna, a w dwa miesiące potem, jej ojciec, drugi syn Józefy. Po śmierci swojego brata Stanisława ks. Jan pomagał jego rodzinie. Trzech synów Stanisława Rosiewicza – Jan, Stanisław i Piotr oraz córki Zofia i Janina ukończyli studia wyższe, natomiast najstarszy syn Józef wraz z matką Franciszką z domu Kot prowadził gospodarstwo, pomagając braciom w czasie studiów. Wyemigrował w 1989 r. wraz ze swoją żoną do Australii, do swoich dzieci, mieszkających tam na stałe. Tam oboje zmarli i tam też zostali pochowani.

We wspomnieniach Jana Twaroga – kierownika szkoły w Pleszowie czytamy: *Wielką pomocą służył ks. Jan Rosiewicz każdemu proboszczowi pleszowskiemu. W 1915 r. wbrew rozkazom zaborcy odprawiał pasterkę w miejscowym kościele dla parafian z Pleszowa – Kujaw i wojska austriackiego. W spisie inwentarza w kościele parafialnym figuruje nazwisko ks. prałata i Jego matki Józefy, jako ofiarodawców zielonej kapy o wartości 150 koron i srebrnego kielicha ozdobionego monetami.* Od czerwca 1974 r. bardzo interesował się i popierał inicjatywę ufundowania tablicy pamiątkowej dla poległych w czasie II wojny światowej. Cieszył się, że nareszcie ktoś o nich pomyślał: *Oni oddali życie abyśmy mogli spokojnie żyć i pracować. Będę szczęśliwy, jeśli dożyję tej uroczystości.* Niestety, 5 września 1974 r. zakończył życie. Zgodnie z jego wolą wrócił do Pleszowa, aby spocząć na zawsze obok swoich najbliższych. W czasie uroczystego nabożeństwa pogrzebowego w tutejszym kościele parafialnym żegnał go serdecznie jeden z jego byłych wychowanków – ks. biskup Julian Groblicki. Podkreślił najważniejsze cechy jego osobowości: skromność, pobożność, pracowitość.

Józef Rosiewicz[10]



Józef Rosiewicz

Syn Józefa i Józefy, urodził się w Pleszowie 6 lutego 1900 r. Po ukończeniu gimnazjum ogólnokształcącego zapisał się na Wydział Rolniczy Uniwersytetu Jagiellońskiego. Będąc gorącym patriotą w 1920 r. ochotniczo wziął udział w obronie Warszawy, a następnie w drugim powstaniu śląskim. Po ukończeniu studiów jako inżynier rolnik pracował w kółkach rolniczych zrzeszonych przy Małopolskim Towarzystwie Rolniczym w Krakowie. Równocześnie przez kilka lat był prezesem Powiatowego Zarządu Kół Młodzieży Wiejskiej przy MTR, a po ukończeniu rocznego kursu dla hodowców w Puławach został kierownikiem miejscowego oddziału zwierząt domowych. Na tym stanowisku pomagał w załatwianiu różnych spraw i rozwiązaniu problemów hodowlanych. Propagował oświatę rolniczą, hodowlę bydła zarodowego, urządzał fachowe kursy, pokazy i wystawy. Uczuciowo i ideologicznie zawsze związany z warstwą chłopską i wsią rodzinną – należał do miejscowego koła PSL, dawał też składki na fundusz Związku Młodzieży Wiejskiej „Znicz". Mimo namowy, nie wstąpił do Bezpartyjnego Bloku Wspierania Reform i nie przyjął z ich listy kandydatury na posła. Z tego powodu miał trudności w otrzymaniu posady w Izbie Rolniczej, ale pomogła interwencja u Ignacego Mościckiego, prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, który gościł w jego rodzinnym domu w Pleszowie podczas gospodarskiej wizyty 28 lipca 1928 r. (*Po powitaniu oglądnął Pan Prezydent przygotowaną wystawę. Były tam krowy rasy nizinnej wysokomlecznej i różne gatunki drobiu. Następnie odwiedził dwa domy włościańskie: Rosiewiczów i Walczaków.* – ze wspomnień Jana Twaroga, kierownika szkoły w Pleszowie.)

W 1939 r. jako oficer artylerii brał udział w działaniach wojennych. Po rozbiciu jego pułku przez armię niemiecką, załamany psychicznie, wrócił do Krakowa. W czasie okupacji pod niemieckim kierownictwem pracował nadal w Izbie Rolniczej. Od pierwszych miesięcy okupacji brał czynny udział w konferencjach międzypartyjnych u dr. Jana Woźniakowskiego przy ulicy Basztowej. Zaprzysiężony przez płk. Bzowskiego, został mianowany I komendantem powiatowym Związku Walki Zbrojnej. W biurze Izby Rolniczej, oprócz załatwiania spraw służbowych, nawiązywał kontakty z lekarzami, pielęgniarkami i ludźmi „z terenu" w celu przygotowania punktów sanitarnych. Po rozwiązaniu Związku Walki Zbrojnej został żołnierzem Armii Krajowej i współpracował z Batalionami Chłopskimi. W nocy z 23 na 24 czerwca w 1942 r. został aresztowany i przez kilka dni przebywał w więzieniu przy ul. Montelupich w Krakowie, a następnie wywieziony do obozu koncentracyjnego w Auschwitz, skąd 8 grudnia 1944 r. przewieziono go do Buchenwaldu, a stamtąd do fabryki rakiet V2 w Dorach.

W czasie choroby dostał się do szpitala, lecz kiedy zbliżały się końcowe operacje wojenne, szpital został ewakuowany a chorych pędzono pieszo z powrotem do Buchenwaldu. Potem na stacji kolejowej załadowano ich do wagonów towarowych i, nie podając jakiegokolwiek pożywienia, wieziono w stronę Sudetów. Działo się to w okresie Wielkanocy 1945 r.; spośród 5.000 chorych więźniów do Marienschein dojechało około tysiąca. W lasach, kiedy pociąg zatrzymywał się, żywili się tylko korą drzew. Inż. Józef Rosiewicz zmarł na tyfus głodowy. Po śmierci został pochowany na przełomie kwietnia i maja 1945 r. koło stacji kolejowej w Marienschein. W jednym grypsie z Auschwitz pisał: *Jestem ostatni, mam czyste sumienie i niesplamiony honor Polaka.* Nr obozowy Józefa Rosiewicza: 55802.

Kazimierz Stefan Rosiewicz[11]



Kazimierz Stefan Rosiewicz

Syn Stanisława i Franciszki z Kotów, urodził się 19 grudnia 1917 r. w Pleszowie. Po odbyciu 4 klas Szkoły Powszechnej w Pleszowie uczęszczał do IV Gimnazjum im. Henryka Sienkiewicza, które ukończył w 1936 r., zdając maturę z b. dobrym wynikiem. Potem przyjęty zostaje do Szkoły Podchorążych Lotnictwa w Dęblinie, ale z powodu wypadku lotniczego (25 lipca 1938 r.) opuszcza szkołę i wraca do Krakowa, gdzie zostaje zaangażowany jako pracownik umysłowy w Urzędzie Wojewódzkim. Studiując równocześnie prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim opanowuje języki: niemiecki, francuski i angielski, wyrabia prawo jazdy. 20 czerwca 1939 r. Kazimierz Rosiewicz został powołany jako rezerwista na ćwiczenia w 2 Pułku Lotniczym, a 25 sierpnia 1939 r. jako kapral podchorąży pilot do czynnej służby na lotnisku w Rakowicach-Czyżynach. Z powodu

9. Na podstawie informacji pochodzących od Jana Rosiewicza, bratanka prałata ks. Jana Rosiewicza.

10. Opracował brat ks. Jan Rosiewicz razem z wdową Julią Rosiewiczową

11. Na podstawie dokumentów notkę biograficzną opracowała siostra, Janina Chmielowa

braku wystarczającej ilości samolotów przeniesiono go do jednostki artylerii przeciwlotniczej.

W celu kontynuowania walki z wrogiem 17 września przekracza granicę rumuńską, a 20 listopada 1939 r. dostaje się do Lyonu we Francji, a po jej kapitulacji, wraz z armią polską tam zorganizowaną, 13 marca 1940 r. przybywa do Anglii, gdzie zostaje przydzielony do jednostki powietrznej Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. 1 stycznia 1941 r. otrzymał awans na plutonowego podchorążego pilota w Dywizjonie Zapasowym Blackpool o numerze znaku tożsamości 782028. Według „Protokołu śmierci" 4 A.O.S. Unit Polish Air Force r.A.F. Stadion, West Freugh z 26 wrzesnia 1941 r., oraz listu L. dz. 038323/46/P/, otrzymanego z Biura Poszukiwań Polskiego Czerwonego Krzyża w Londynie z 14 października 1946 r., Kazimierz Rosiewicz wystartował 28 sierpnia 1941 r. z lotniska West Freugh na samolocie Botha do lotu nawigacyjnego, mając na pokładzie uczniów – nawigatorów. W czasie wykonywania lotu na wyznaczonej trasie, z powodu zepsucia się lewego silnika, zmuszony był do lądowania na morzu w okolicy Rhoseigner, Anglesey. Wypadek miał miejsce w czasie panującej tam burzy, w związku z czym wszelka pomoc okazała się bezskuteczna i Kazimierz Rosiewicz wraz z załogą utonął, a jego ciało zostało wyłowione po dwóch tygodniach i pochowane 15 września 1941 r. na cmentarzu w Holyhead.

Zapisek ks. proboszcza Jana Skarbka, pochodzący z „Pamiętnika czyli Liber memorabilium parafii Pleszów": *7 maja 1924 r. – Sześcioletni Kazimierz Rosiewicz, syn przewodniczącego komitetu parafialnego Stanisława Rosiewicza, kmiecia z Pleszowa, zasnął między ławkami w kościele wieczorem podczas majowego nabożeństwa. Kiedy kościół zamknięto, chłopiec obudził się, a widząc drzwi zamknięte wyszedł na wieżę, i z wysokości około 18 m. opuścił się na ziemię! Odbił się po drodze o daszek nad tzw. „Opatrznością", spadł na cmentarny chodnik, złamał rękę i nogę, wybił sobie 4 zęby na przedzie, ale dzisiaj (lipiec) już chodzi zupełnie zdrów! Stało się to około g. 8-ej wieczorem, gdy zmierzch począł iść na ziemię. Parafianie uznali to za cud Boży.*

Katarzyna Gajoch-Witaszkowa[12]



Katarzyna z Gajochów Witaszkowa

Katarzyna, przez rodzinę i znajomych nazywana Kazią, urodziła się 19 lutego 1910 r. w Pleszowie-Kujawach, jako kolejne z dzieci Walentego Gajocha i Katarzyny z Buczków. Po ukończeniu szkoły podstawowej w Pleszowie, za namową kierownika szkoły, Jana Twaroga, rozpoczęła naukę w Szkole Zawodowej Krawieckiej, a następnie w Seminarium Nauczycielskim w Krakowie. Po ukończeniu Seminarium również w Krakowie podjęła pracę jako nauczycielka, równocześnie uczestnicząc w kursach i zjazdach „wiciowych", organizowanych przez Polską Akademię Młodzieży Ludowej (PAML). W 1929 r., wspólnie z koleżankami Janiną Jaworską i Józefą Gębalanką, poświęciły całe wakacje na wyhaftowanie sztandaru dla Koła Młodzieżowego „Wici" w Pleszowie. Lata ukrywania go przed wojenną zawieruchą doprowadziły do jego częściowego zniszczenia. Dzięki inicjatywie i staraniom Kazi został odrestaurowany w 1978 r. i obecnie przechowywany jest w domu bratanicy, Anny Gajoch-Adamczyk w Pleszowie.

W latach 1933-1937 pracowała jako nauczycielka w Gimnazjum Krawieckim w Suchedniowie, a następnie w latach 1938-1939 w Warszawie. W tym czasie także dokształcała się, uczestnicząc w wykładach z psychologii w Wolnej Wszechnicy Polskiej w Warszawie. Po rozpoczęciu wojny wróciła do Krakowa, gdzie pracowała jako nauczycielka w Żeńskiej Szkole Krawieckiej przy ul. Grodzkiej 54, równocześnie angażując się w działalność konspiracyjną pod pseudonimem „Kamińska". Działała w konspiracyjnym SL „Roch", była również

12. Biografię opracowały siostrzenice Krystyna Baranowska i Maria Chacaga oraz bratanica Maria Kornas na podstawie zapisów Katarzyny Gajoch Witaszkowej oraz wspomnień własnych.

członkiem Wojewódzkiej Trójki Ludowego Związku Kobiet (LZK) pod przewodnictwem Katarzyny Balalowej. Kazi powierzono zorganizowanie trójki powiatowej oraz szkolenia oświatowego i kursów sanitarnych. Ćwiczenia sanitarne i pomocy w nagłych wypadkach odbywały się między innymi w domu siostry Marii i szwagra Stefana Cyganów, a modelkami do bandażowania często były siostrzenice Krysia i Halinka.

Po zorganizowaniu pracy w powiecie krakowskim wyjeżdżała w sprawach organizacyjnych LZK (najczęściej w niedziele i w okresie wakacji) do innych powiatów jak: Dąbrowa Tarnowska, Sanok, Krosno, Limanowa, Bochnia, Wadowice, Proszowice i Brzesko. Wyjazdy te były bardzo uciążliwe i niebezpieczne. Ponadto w czasie okupacji jej mieszkanie służyło jako punkt kontaktowy dla celów organizacyjnych „Rocha". Tam też powielano ręcznie i rozdzielano prasę (np. „Myśl i Czyn") dla powiatu krakowskiego. W powielaniu pomagał jej między innymi szwagier, Stefan Cygan. Zajmowała się kolportowaniem prasy na terenie Krakowa, w czym uczestniczyły także koleżanki: Barbara Matusowa, Zofia Leganówna, Stefania Kaletowa, Zofia Szczepańska, Michalina Komasowa i inne. Jeżeli zachodziła taka potrzeba, przewoziły również broń. Współorganizowała rozprowadzanie żywności dla rodzin inteligencji ludowej potrzebujących pomocy. Pisywała również artykuły do miesięczników „Wiadomości Kobiece" i „Jutrzenka" – organów LZK. W zarządzie wojewódzkim ZMW „Wici" pełniła funkcję skarbniczki, a następnie przewodniczącej Sekcji Koleżanek. Była współorganizatorką kursów ogólnooświatowych, spółdzielczych i zawodowych dla koleżanek z województwa krakowskiego.

Po zakończeniu wojny była więziona w Wiśniczu za swoją działalność konspiracyjną. Była również więziona w Myślenicach i Krakowie, w trakcie i na skutek poszukiwań brata, Jana Gajocha, którego NKWD aresztowało już 2 lutego 1945 r., a następnie wywiozło za posuwającym się frontem na Śląsk i nie było wówczas wiadomo gdzie się znajduje. Po wyjściu z więzienia w dalszym ciągu uczestniczyła czynnie w działalności Stronnictwa Ludowego. Należała także do Towarzystwa Opieki nad Młodzieżą Chłopską oraz Chłopskiego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci (ChTPD).

Ciocia tuż po wojnie zachorowała na anemię złośliwą i szkorbut, co było wynikiem niedożywienia w więzieniu. Choroba przedłużała się z uwagi na brak potrzebnych leków, pomogły dopiero zastrzyki przesyłane z USA przez kolegę Józefa Migałę, również działacza ludowego, któremu z obawy przed represjami władz udało się wcześniej wyemigrować. W okresie pracy nauczycielskiej w latach 1948-1952 studiowała filozofię i pedagogikę na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Jagiellońskiego, po czym obroniła pracę magisterską z zakresu pedagogiki dorosłych. Jako nauczycielka pracowała po wojnie w Gimnazjum Krawieckim Św. Andrzeja w Krakowie, gdzie oprócz nauki zawodu przekazywała młodzieży również właściwą interpretację historii i aktualnej sytuacji Polski – jak sama mówiła uczyła patriotyzmu. Było to jednak niezgodne z ówczesną ideologią partyjną i zmuszona została do zaprzestania nauczania. Konsekwencją tego były trudności z otrzymaniem pracy w szkolnictwie. Dlatego też z konieczności przez krótki okres czasu pracowała w Spółdzielni „Wisła". Do pracy w zawodzie nauczycielskim udało jej się wrócić dopiero w 1964 r. w Państwowym Zakładzie Wychowawczym dla Głuchych, z uwagi na małą ilość kandydatów do tej trudnej pracy. Pracowała tam do emerytury.

W lipcu 1958 r. w kościele parafialnym w Pleszowie wzięła ślub z Janem Witaszkiem, pedagogiem, znanym działaczem „wiciowym" oraz ludowym, członkiem Okręgowego Kierownictwa Ruchu Ludowego w Krakowie. Małżeństwo trwało siedem szczęśliwych lat, Jan niestety osłabiony dawnymi przeżyciami, zmarł w 1965 r. w wieku 60 lat. Śmierć tę bardzo przeżyła i dalsze lata poświęciła głównie na gromadzenie materiałów i wspomnień dotyczących jego życia i działalności. Zbierała również materiały i wspomnienia dotyczące działalności swojego brata, Jana Gajocha, również znanego ludowca, a także informacje związane z ruchem ludowym w okresie konspiracji i po wojnie. Zorganizowała także kilka spotkań poświęconych pamięci męża i brata Jana oraz innych zasłużonych ludowców, w których uczestniczyło liczne grono kolegów.

Oprócz działalności społeczno-politycznej dużą część życia poświęciła na pogłębianie swojej wiedzy oraz nauczanie dzieci i młodzieży uważając, że światli ludzie mogą lepiej służyć Polsce. Zależało jej także na podnoszeniu wiedzy również we własnej rodzinie. Dlatego też zaproponowała wspólne zamieszkanie bratanicy Marysi – córce Jana Gajocha, która jako bardzo młoda, bo szesnastoletnia dziewczyna rozpoczynała w 1956 r. studia na Akademii Górniczo-Hutniczej. Był to okres budowy Huty i dojazd do Pleszowa środkami komunikacji miejskiej, przepełnionymi głównie junakami, nie był zbyt bezpieczny dla tak młodej dziewczyny, zwłaszcza wieczorem. Tak więc przez pierwszy okres studiów zamieszkały razem w jednopokojowym mieszkaniu w Krakowie. Poświęcenie cioci przyczyniło się więc do uzyskania przez Marysię dyplomu magistra inżyniera, która do dzisiaj docenia jej starania i jest za to wdzięczna.

Dzięki inicjatywie i staraniom cioci w kościele pleszowskim wmurowano tablicę upamiętniającą nazwiska ofiar II wojny światowej. Angażowała się również w różne akcje, jak np. zbiórkę pieniędzy wśród rodziny i znajomych, między innymi na budowę pomnika Wincentego Witosa w Tarnowie oraz na Fundusz Daru Narodowego. Sama mając skromną rentę wspierała Hospicjum Św. Łazarza w Krakowie. Była szczerą patriot-

ką, prawym człowiekiem, kochaną Siostrą i Ciocią. Do końca żywo interesowała się przemianami niosącymi nadzieje na lepsze życie w wolnej Polsce. Zmarła 25 kwietnia 1992 r. Żegnana była przez rodzinę i przyjaciół, a nad jej trumną zaśpiewaliśmy hymn wiciowy „Do niebieskich pował...".

Kraków, 10 lutego 2010 r.

Stanisław i Feliksa Niżyńscy



Stanisław i Feliksa Niżyńscy

Stanisław, urodzony w 1914 r., pochodził z Przemyśla, Feliksa z Bochni. Przyjechali do Pleszowa z Ustupu k. Zakopanego, skąd 1 września 1958 r. Stanisław został przeniesiony – ze Szkoły Podstawowej w Olczy do Szkoły Podstawowej nr 77 w Krakowie, gdzie objął stanowisko kierownika szkoły. Uczył języka polskiego i historii, natomiast Feliksa uczyła matematyki. Równocześnie, za zgodą Inspektoratu Oświaty w Nowej Hucie, dziesięcioosobowa rodzina Niżyńskich (rodzice i ośmioro dzieci) otrzymała trzyizbowe mieszkanie służbowe w budynku szkolnym w Pleszowie, gdzie warunki nie były zbyt komfortowe i wymagały podjęcia remontu. W celu poprawy sytuacji finansowej Niżyńscy hodowali jedwabniki morwowe. Starsze ich dzieci studiowały i w czasie roku szkolnego mieszkały poza domem.

Niżyńscy poza godzinami lekcyjnymi chętnie organizowali dla dzieci i mieszkańców Pleszowa różne imprezy, które integrowały miejscowe środowisko. Urządzano przedstawienia, doroczne jasełka, zabawy karnawałowe i loterie fantowe, a z uzyskanych tą drogą dochodów kupowano pomoce dydaktyczne i różne drobne przedmioty do szkoły. Niżyńscy pomagali szyć kostiumy dla uczestników występów, robili maski, scenografię i opracowywali scenariusze. Oprócz pracy z dziećmi w szkole uczyli też dorosłych, pracowników kombinatu metalurgicznego, tych, którzy nie mając ukończonej szkoły podstawowej przyjechali tu z różnych stron kraju, a mieszkali wtedy w barakach na osiedlu zwanym potocznie „Meksyk". Stanisław Niżyński we wrześniu 1962 r. rozpoczął pracę w Szkole Podstawowej nr 104 w Nowej Hucie, gdzie został mianowany dyrektorem. Wraz z żoną angażował się w prace przywracające Polsce Ziemie Odzyskane, organizując tam m.in. kolonie dla dzieci i młodzieży. Wspomina Grażyna Stokłosa z d. Niżyńska: *Rodzice zawsze żyli skromnie, ale uczyli nas szacunku dla innych ludzi, miłości do Ojczyzny i tradycji. W zimowe wieczory śpiewaliśmy kolędy, a Tato, choć był w tej dziedzinie samoukiem, pięknie grał na harmonii lub na organkach, potrafił też ładnie śpiewać i pisał wiersze. Ojciec bardzo kochał Mamę, był człowiekiem życzliwym i często uśmiechniętym. Mama była również bardzo pracowitą, odpowiedzialną i dobrą nauczycielką. Pamiętam, że do naszego domu przychodziły dzieci, którym moi Rodzice pomagali uzupełniać wiedzę, jakiej one nie mogły opanować na lekcjach.* Stanisława Niżyńskiego wyróżniono Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi za pracę pedagogiczną, odznaką „Budowniczy Nowej Huty" i Zasłużony Działacz Towarzystwa Rozwoju Ziem Zachodnich, zaś Feliksę Niżyńską Złotym Krzyżem Zasługi. Stanisław Niżyński zmarł w 1987 r., a Feliksa Niżyńska w 1992 r. Zostali pochowani na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie.

Wiersze Stanisława Niżyńskiego:

„Polski obrazek Wielkanocny"

Święta idą... Pachnie wiosną.
Na wierzbinach kitki rosną,
Na wiklinach srebrne bazie.
Wśród gałęzi głosy ptasie.
Wielkanocka... Gospodynie
baby pieką. Już dziewczęta
jajka kraszą na te święta.
Palmy stroi się barwami
I przetyka wstążeczkami.
Do koszyczka matka daje
chleb, chrzan, sól i kilka jajek
I barwinku ruń zielona
Bielą chusty przepleciona.
A te strojne Boże dary,
Święci wodą proboszcz stary.
Rezurekcję dzwony głoszą,
Pieśń radosną w świat roznoszą.
Na odnowę, powitanie,
Chrystusowe Zmartwychwstanie.

Kraków, 1985 r.

„Najmilsi. Kochani"

Stół, biały opłatek,
choinka patrzy z kąta.
Gwar głosów, cisza, pacierz
to nasza pamiątka.
Życzenia, uniesienia,
śmiech, czasem łza w oku.
Tradycyjny obrazek,
radosny co roku.
Wy, śmiali w oddali
wezwijcie wspomnienie.
My z Wami, myślami
w Boże Narodzenie.
Weselcie się Drodzy,
bawcie jak się da.
Niech Wam towarzyszy
świąteczna kolęda.

Kraków, w grudniu 1982 r.

Małżeństwo Niżyńskich tak wspominała Halina Gajoch, córka Stanisława: (...) *jeśli mogłabym coś dodać do historii Pleszowa, to w pierwszej kolejności wspomnę z mojego okresu wspaniałych pedagogów: najpierw, bardzo krótko był nim pan Jan Twaróg i jego żona, a potem pan Stanisław Niżyński i jego żona Feliksa. On – historyk, poeta (mam zbiór jego wierszy), syn przedwojennego okręgowego kuratora szkol podstawowych i gimnazjów, ona – matematyk, należeli do odchodzącego niestety pokolenia nauczycieli, którzy zawodu nie traktowali tylko jako źródła pieniędzy, ale głęboko pojętą odpowiedzialność. Ich ofiarna praca polegała nie tylko na przekazywaniu wiedzy, ale w szczególności na kształtowaniu młodego pokolenia odpowiedzialnego nie tylko za siebie, ale i za dobro narodu i ojczyzny. Tu wypada złożyć pokłon w stronę takich jak ONI, dzięki ich postawie mogliśmy przetrwać i nie dać się całkiem zmanipulować ówczesnej ideologii (...). Dla uczniów i nauczycieli ze szkoły podstawowej na Wzgórzach Krzesławickich, Os. Wysokim, no i oczywiście z Pleszowa, którzy pamiętają dźwięk szkolnego dzwonka z tamtych lat, niech ta moja krótka refleksja będzie okazją, aby przywołać pamięcią również tamtych nieocenionych pedagogów.*

dr BARBARA SALWIŃSKA-CIEĆKIEWICZ – Ostatnie pożegnanie Józefa Gajocha[13]



Józef Gajoch

Drogi, kochany i szanowany przez nas Wujku, z żalem przychodzi nam Ciebie pożegnać. Byłeś Ty niecodziennym plonem tej pszenicznej, pleszowskiej ziemi. Już jako dziecko wybrano Cię spośród innych, byś reprezentował dzieci z podkrakowskich wsi na uroczystości odsłonięcia pomnika Grunwaldzkiego w lipcu 1910 r. Ubrany w strój krakowski mówiłeś wiersz przed wielkim Paderewskim i tłumem Polaków przybyłych z wszystkich trzech zaborów, by usłyszeć te krzepiące słowa: „praojcom na sławę – braciom na otuchę". Często wspominałeś ten dzień jako jeden z najwspanialszych w życiu. Wychowując się w patriotycznej rodzinie, przy boku starszego brata Jana, utrzymałeś się godnie jako reprezentant braci chłopskiej, której praw i interesów przyszło wam bronić przed przedstawicielami różnych władz w coraz to trudniejszych czasach. Byłeś Ty przykładem chłopa polskiego o dużej świadomości społecznej i narodowej – uzyskanej głównie dzięki samokształceniu. Byłeś obowiązkowym i przykładnym rolnikiem, kochającym pracę na roli, w której nie pozwalałeś się łatwo zastąpić aż do tej dla Ciebie nieszczęśliwej, ostatniej orki przy, której zraniłeś sobie oko.

W pracy społecznej i politycznej, która była treścią Twojego życia, okazałeś się człowiekiem odważnym, prawym, nie szczędzącym sił – wiernym do końca przechowywanym przez Ciebie starym ludowym

13. Pożegnanie Józefa Gajocha wygłoszone przez dr Barbarę Salwińską-Ciećkiewicz w dniu jego pogrzebu, 1 stycznia 1986 r. na cmentarzu w Pleszowie.

sztandarom. Potrafiłeś łączyć w sobie obok poważnego podejścia do życia młodzieńczą fantazję, radość życia i towarzyszący Ci miły uśmiech – użyczyłbyś i nam w spadku swojej pogody ducha dla przetrwania w tych nie najłatwiejszych czasach. Niosąc ten pleszowski, zielony sztandar, z serca i pięknie żegnałeś wspaniałą kobietę Helenę Mierzwinę, naszego dobrego ojca Józefa Salwińskiego i wielu innych szlachetnych działaczy Polskiego Stronnictwa Ludowego. Nam, przyszło żegnać Cię tu dziś jako jednego z ostatnich peeselowców ziemi krakowskiej.

Korzystając z tej chwili, imieniem następnego pokolenia – dzieci Twoich przyjaciół, działaczy Polskiego Stronnictwa Ludowego, pragnę Wam dziś powiedzieć, że słuchając Waszych rozmów, patrząc na Waszą działalność oczyma małych dzieci, wiedzieliśmy, że to co robiliście było ważne, jako dorośli wiemy, że to dlaczego poświęciliście trudy Waszego życia było bardzo ważne. Byliście dzielni, niestrudzeni, bezinteresowni, zdolni do poświęceń i cierpienia dla sprawy polskiej i chłopskiej. Umieracie często pobici, ale nie pokonani. Wiemy, że w tej Waszej działalności mieliście na uwadze i naszą przyszłość. I nie mamy do Was żalu, że przez swoje poczynania sprowadzaliście niepokój, cierpienie i często niedostatek w nasze rodziny, wyciskaliście łzy z oczu naszych matek. Żegnamy Was z szacunkiem i jesteśmy z Was dumni, wypełniliście bowiem chlubne karty naszej historii będąc ważnym ogniwem w wielowiekowej walce o samostanowienie narodu.

Wychowani przez Was będziemy kontynuowali Waszą pracę. Na każdym miejscu jakie zajmujemy w naszym społeczeństwie – orząc, często już w inny sposób, tę równie drogą nam polską ziemię, będziemy podkreślać rolę chłopa polskiego w stanowieniu bytu naszego narodu, będziemy uczyć nasze dzieci historii i kultury polskiej, będziemy krzewić świadomość narodową Polaków. Bowiem zgodnie z Waszymi przekonaniami wiemy, że to zdecyduje o przyszłych losach naszej Ojczyzny. Ty zaś drogi Wujku weź naszych Ojców i idźcie w posły przed tron Boga Najwyższego i przedstawcie sprawę polską i chłopską, które szczególnie w tych czasach potrzebują Jego wsparcia. Kończąc, z żalem pożegnam Cię tak, jak to Ty zwykle czyniłeś. Niech i Ciebie po trudach całego życia przyjmie na spoczynek i otuli ta droga Ci ziemia krakowska, a Matka Boża przyjmie Cię w swoją opiekę.

Cześć Twojej pamięci!

MARIA PALUCHNIAK z d. Repeć – Wspomnienie z Pleszowa



Maria Paluchniak z d. Repeć z synem Jackiem, Pleszów, 1960 r.

Wczesną wiosną 1939 r., gdy zanosiło się na wojnę z Niemcami, komornik Sądu Grodzkiego w Rzeszowie, Marcin Repeć, wspólnie ze swoją żoną Zofią z d. Mierniczek, sekretarką i stenotypistką, za oszczędności swojego życia kupili od państwa Rozmarynowiczów z Pleszowa pięć hektarów żyznej ziemi na granicy z Mogiłą. Na początku sierpnia 1939 r. państwo Repeciowie wprowadzili się do nowo wybudowanego domu o nadanym numerze 7 wraz ze swoimi dwoma córkami, Barbarą i Marią. Dom, chociaż jeszcze nie wytynkowany, był dość obszerny. Na dole znajdowały się cztery duże piwnice, na wysokim parterze cztery dość duże pomieszczenia mieszkalne z łazienką, zaś na piętrze spory salon z balkonem wychodzącym na ogród i sad oraz obszerne poddasze. Od północno-zachodniej strony do nowo wybudowanego domu przylegała stajnia i obora, zaś po przeciwnej stronie podwórza stała stodoła. Po wojnie od strony wschodniej dobudowano jeszcze suszarnię tytoniu.



Dom Marcina i Zofii Repeć, Pleszów, 1960 r.

Na początku okupacji niemieckiej Marcin Repeć na dwóch hektarach pola założył sad owocowy, z którego w latach pięćdziesiątych zabrano część ogrodu pod drogę, następnie pod budowaną do Pleszowa linię tramwajową. Na ziemi należącej do parafii Pleszów, usytuowanej po przeciwnej stronie drogi, postawiono baraki dla junaków, którzy budowali Nową Hutę. Junacy dość często przychodzili do naszego sadu, nie tylko zrywali dorodne owoce, ale i łamali gałęzie oraz niszczyli nasze drzewa. Ojciec mój nie mógł się z tym pogodzić i dość często wybuchały na tym tle konflikty.

Część Pleszowa graniczącą z polami Mogiły zwana była Kolonią i obejmowała siedem domów. Po jednej stronie drogi: Sikorów, Machaczków, Tomaszków, Tynorów i Repeciów, a po drugiej stronie Gębalów i Gajochów. Gospodarstwo Repeciów graniczyło również od strony zachodniej z polami należącymi do Zgromadzenia Sióstr Córek Bożej Miłości, które wówczas prowadziło zakład dla sierot w Pleszowie, koło kościoła. Od wschodu znajdowała się droga prowadząca do „pałacyku" państwa Rozmarynowiczów. Za drogą rozciągało się jeszcze pole, na którym stała stodoła pana Karolczyka, dalej pola pana Brody i w końcu dom i gospodarstwo Stanisława Gajocha. Wszystko to nazywane było Kolonią. Dalej przydrożny krzyż w otoczeniu czterech białych brzózek, a za krzyżem, począwszy od domu państwa Kuhlów, zaczynała się właściwa wieś Pleszów.

Warto zwrócić uwagę na postawę mieszkańców Pleszowa w czasie wojny i okupacji niemieckiej. W wielu domach znajdowały schronienie i pomoc w przeżyciu ciężkich dni całe rodziny żydowskie. I tak przed przymusowym przesiedleniem do krakowskiego getta w naszym domu znalazła schronienie ośmioosobowa żydowska rodzina Gutów. W późniejszym okresie, przez krótki czas, ojciec mój ukrywał również Jakuba Guta, któremu udało się uciec z transportu do obozu koncentracyjnego w Auschwitz. Wiele osób z Pleszowa działało w organizacjach podziemnych, za co zapłaciło najwyższą cenę życia. Np. kilku członków rodziny Rozpondków zostało za to zamordowanych przez Niemców.

Pod koniec 1944 r. w pleszowskich rodzinach znaleźli również schronienie ocaleni z rzezi wołyńskiej Polacy z Kamionki Strumiłłowej. Pamiętam, że u mnie w domu przebywali przez jakiś czas 16-letnia Weronika Dmytrasz i jej brat, 18-letni Stanisław. Po upadku powstania warszawskiego w naszym domu przez krótki czas zamieszkiwały dwie panie z Warszawy. Cały Pleszów udzielał się również charytatywnie. Na wakacje do domów pleszowskich przyjmowano niedożywione dzieci. Była to pomoc zorganizowana przez działających w strukturach AK oraz Stronnictwie Ludowym Witosa mieszkańców Pleszowa. Do najaktywniejszych społeczników należeli: Jan Gajoch – ludowiec oraz Jan Twaróg – kierownik szkoły w Pleszowie, społecznik, człowiek szlachetnego serca, wielki patriota i przyjaciel młodzieży, który całe swoje oszczędności przeznaczył na budowę i wyposażenie szkoły podstawowej w Pleszowie.



Marcin i Zofia Repeć z synem Mieczysławem, Pleszów, 1960 r.

Po wojnie ludziom w Pleszowie żyło się w miarę spokojnie i dostatnio do momentu, aż władzom komunistycznym nie wpadł do głowy pomysł budowy Huty im Lenina na terenach dawnej wsi Pleszów. Stało się to w latach 50. Zaś w roku 1960, jesienią, wywłaszczono wszystkich gospodarzy kolonii pleszowskiej, płacąc im marne grosze za nowe domy i żyzną glebę. Zdjęcie przedstawiające mnie z synem Jackiem na kopie siana w naszym sadzie z widniejącymi w tle kominami Huty im. Lenina jest ostatnim zdjęciem wykonanym przed zburzeniem mojego rodzinnego domu jesienią 1960 r. Za wywłaszczoną posiadłość w Pleszowie rodzice moi otrzymali nie na własność mieszkanie dwupokojowe kwaterunkowe w bloku na osiedlu Kolorowym w Nowej Hucie oraz gotówkę w wysokości 1/10 tego, co było warte całe gospodarstwo, ziemia i dom. Ojciec mój, Marcin Repeć, pieniędzy nie chciał jednak przyjąć, wielokrotnie pisał odwołania do ówczesnych władz, straszył nawet Trybunałem Sprawiedliwości w Hadze. Po kilku latach kazano rodzicom stawić się w Warszawie w Ministerstwie i zakomunikowano, że jeśli nie przyjmą pieniędzy, to przepadną one na rzecz państwa, a jeśli w dalszym ciągu ojciec będzie pisać odwołania i straszyć Trybunałem w Hadze, to pójdzie do więzienia jako wróg klasowy i kułak. Po wywłaszczeniu ojciec zatrudnił się jako woźny w sądzie w Nowej Hucie. Nie chciał już być komornikiem i przez jakiś czas pełnił funkcję księgowego. Zmarł nagle w roku 1973, a w parę miesięcy później odeszła również moja mama, Zofia Repeć.



Franciszek Rozpondek, nie powrócił z I wojny światowej. Swoją podobiznę wysłał do kolegi Jana Cygana w Pleszowie w październiku 1915 r.



Z lewej Piotr Gajoch (ur. 18.08.1891 r., zamordowany 29.07.1941 r. w KL Auschwitz I), syn Katarzyny i Walentego z Pleszowa – Kujaw. Okres I wojny światowej.



Stefan Cygan z Pleszowa, brat Michała, 1935 r.



Młodzież biorąca udział w przedstawieniu teatralnym, w środku siedzi Jan Twaróg, kierownik szkoły w Pleszowie, lata 20.



Dzieci i młodzież z Pleszowa na Zamku Krolewskim na Wawelu, w środku, w głębi stoi Józef Rosiewicz, ok. 1929 r.



Nad Wisłą w Pleszowie – Kujawach.
Od lewej: Wiktoria Stefańska (Bartel), Stanisława Walczak (Gębala), Janina Stefańska (Cyganik), lata 30 lub. 40.



Młodzież z Pleszowa, lata 30 lub. 40.



W Pleszowie na drodze, lata 30.



W Pleszowie zimą, lata 30.



Kapliczka murowana, z XIX w., Pleszów, ok. 1970 r.



Klasycystyczny pałac Kirchmajerów, którzy wznieśli go ok. 1830 r. w miejscu drewnianego dworku Czartoryskich, obiekt kilkukrotnie przechodził z rąk do rąk. W latach 30. XX w. przejęły go siostry zakonne tworząc tu sierociniec i ośrodek leczniczy, obecnie znajduje się w nim ośrodek MONAR-u. Pleszów, ok. 1970 r.



Rynek i boisko w Pleszowie, z prawej dom gminny, w głębi zabytkowy Kościół św. Wincentego i Narodzenia Najświętszej Marii Panny, który został zaprojektowany przez księdza Sebastiana Sierakowskiego w 1806 r. – wzniesiony z fundacji ówczesnych właścicieli Pleszowa, książąt Czartoryskich, wyposażony staraniem następnego właściciela – Wincentego Kirchmayera.



Budynki w Pleszowie, w środku dom Józefa Rozpądka, ok. 1970 r.



Budynek dawnej karczmy zbudowanej w 1806 r. przez hr. Józefa Czartoryskiego, wykupionej przez gminę w 1912 r. Potem był to dom gminny gdzie zlokalizowano; urząd pocztowy, zlewnię mleka, sklep PSS, remizę strażacką i salę Koła Młodzieży Wiejskiej „Wici". Ok. 1970 r.



Ks. Franciszek Korzonkiewicz, proboszcz w Pleszowie, lata 30.



Genowefa Twarogowa z Wojnarowskich (żona Jana, kierownika szkoły, nauczycielka) z synem Stanisławem, Pleszów, 1927 r.



Genowefa Twarogowa (nauczycielka) z uczniami ze Szkoły Powszechnej w Pleszowie, 1934 r.



Jan Twaróg (kierownik szkoły) z uczniami ze Szkoły Powszechnej w Pleszowie, ok. 1925 r.



Legitymacja służbowa Jana Twaroga, 1946 r.



Budynek Szkoły Powszechnej w Pleszowie, postawiony w latach 1874-1876, rozbudowany w 1900 i 1938 r.



Stanisław Niżyński, nauczyciel w Pleszowie, lata 60.



Marysia Gajochówna, córka Jana i Zofii Gajochów, 1947 r.



Uroczystość pożegnania Jana Twaroga, kierownika szkoły w Pleszowie, który po 38 latach pracy pedagogicznej przechodził na rentę, Pleszów, 1958 r.



Dziewczynki z Pleszowa, 10.06.1945 r.
Od lewej siedzą: Maria Gajoch, Maria Cygan, Halina Cygan, od lewej stoją: ...Piekarczyk, ...Piekarczyk, Krystyna Cygan.



Dożynki w Pleszowie, 1957 r.
Od lewej: Feliks Adamski, Zofia Świder, Ludwika Hacuś z d. Świder, Józef Zwierkowski, na jego rękach Anna Gajochówna (Adamczyk)



Od lewej: Genowefa Rusiecka, Józefa Czernek, Stanisław Kordas, Zofia Świder z koleżanką, Irena Gargaś, Józefa Kowalska, Feliks Adamski, Łucja Jurek, Maria Rusiecka, Stanisław Grzyb, Irena Maciaś (z d. Kowalska), Jan Partyła, Ludwika Hacuś (z d. Świder).

Rozdział VI

Krzesławice

MACIEJ MIEZIAN – Obraz Krzesławic w dawnych pamiętnikach

Krzesławice, Wioseczko moja ukochana,
Z rąk niecnego jurysty niedawno wyrwana!
I kiedyż cię zobaczę od więzów swobodny?
Kiedyż zacznę żyć, siebie i twych wdzięków godny?
Bawiąc się lub pracując, lub śpiąc wpośród cienia,
Wiodąc biednego życia miłe zapomnienia...

Hugo Kołłataj, „Daremne projekta"

Krzesławice, Wioseczko moja ukochana... – pisał Hugo Kołłątaj, kiedy po upadku powstania kościuszkowskiego siedział w austriackim więzieniu w Ołomuńcu. Tęsknił do tego miejsca bardziej niż do jakiegokolwiek na świecie, a przecież ani się tutaj nie urodził, bo przyszedł na świat w Dederkałach Wielkich na Wołyniu, ani też nie był to jego jedyny majątek (należały do niego na przykład również pobliskie Bieńczyce). Hugo Kołłątaj prowadził bardzo aktywne życie: pisał, podróżował, działał na niwie politycznej, reformował krajowe szkolnictwo w ramach Komisji Edukacji Narodowej. Wszystko to wymagało od niego stałej obecności w stolicy lub w którymś z wielkich ośrodków: Wilnie, Lwowie bądź Krakowie. Jednak gdy pisał te wersy, był już człowiekiem przegranym. Siedział w więzieniu, a jego przyszłość malowała się ponuro – dlatego tęsknił do miejsca, gdzie mógłby zaznać chwili słodyczy i spokoju. Mówi o tym poemat „Daremne projekta", z którego pochodzi przytoczony cytat. Dzieło to jest dla nas o tyle cenne, że zawiera opis budynków dworskich, ogrodów i zabudowań gospodarczych dziś już nieistniejących, gdy bowiem Kirchmayerowie wznieśli tu nową rezydencję w 1826 r., dawny dworek Hugona Kołłątaja przemieniono w „kuchnię letnią". Stała ona mniej więcej tam, gdzie dziś znajduje się latarnia koło parkingu. Resztki tej budowli istniały tu jeszcze w 1918 r., potem je rozebrano.

Kirchmayerowie byli wielkimi bankierami. Ich rodowa siedziba mieściła się w pobliskim Pleszowie, zakupionym od Czartoryskich. Tam też wystawili sobie okazały dom, który z czasem przemienił się w prawdziwy pałac. Krzesławice stanowiły tylko jeden z licznych folwarków, które puszczano w dzierżawę. Jakiś czas gospodarował tu jeden z rodu – galicyjski polityk Julian Kirchmayer, ale z punktu widzenia piśmiennictwa ważniejszy okazał Kazimierz Girtler, syn rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego, Sebastiana Girtlera. Był to człowiek bywały w świecie, w dodatku parający się piórem i chętnie spisujący dla potomnych opasłe pamiętniki. W 1971 r. ukazały się w dwa tomy jego wspomnień[1]. Znajdują się tam wzmianki o jego działalności w Krzesławicach, opisy życia chłopów i ich mentalności, wizyty u okolicznych dzierżawców, refleksje o polityce etc. Słowem, nakreślił Girtler barwną panoramę życia wiejskiego z pierwszej połowy XIX w. Tak na przykład opisywał zabawy chłopów: *Wesela bywały szumne. Godawiec, sołtys, którego liczą dziś na kilkanaście tysięcy gotówki, wydając córkę za mąż do Mogiły, prócz wina, miodu, araku, piwa, kupił 40 garnców okowity. Takie wesele zwykle trwało cały tydzień. Wyprawę panny młodej – pościel, skrzynię – przewożą uroczyście na wozie, na którym ona siedzi; przy strzelaniu i krzyku z domu odjeżdża. Bywają przy tym maskarady i różne wyskoki wesołości, śpiewy wdzięczne, choć wrzaskliwe, a taniec szalony. Taki taniec w porządnych krakowskich ubiorach, jaki bywał w krzesławickiej karczmie, prawdziwie że warto choć raz w życiu oglądać. Lud to, lud niezrównany do wszystkiego, gdyby jeno nie był bałamucony i narowiony. Jakiż to lud był za Jagiellonów – ten lud krakowski. Cóż on wart był dla każdego z królów polskich, cóż on wart i dziś jeszcze!*[2]

Następny właściciel majątku nie pisał zbyt wiele, lecz za to pozostawił liczne szkice i widoki tych okolic. Chodzi tu oczywiście o Jana Matejkę, który w 1876 r. nabył dwór oraz 330 morgów ziemi (około 160 ha) za 92 tys. złotych reńskich, uzyskanych ze sprzedaży obrazu „Batory pod Pskowem". Artysta był niezwykle przywiązany do tego miejsca, choć gospodarował nie najlepiej (jako malarz niewielkie miał pojęcie o pracy na roli, zaś lata nieurodzaju dodatkowo pogłębiły kryzys). Po jego śmierci rodzina sprzedała włość za jedyne 54 tys. złr., choć do tego czasu ceny ziemi znacznie wzrosły. Sporządzony na potrzeby procesu sądowego inwentarz (rodzina sądziła się o spadek) jest kolejnym ciekawym źródłem dotyczącym dziejów dworu i samych Krzesławic. Matejko często umieszczał krzesławicki pejzaż na swoich obrazach w charakterze tła. Występuje on w portretach dzieci, „Rzeczpospolitej Babińskiej" oraz w dziele „Bolesław Rogatka z Anną de Dederen". Z kolei konie z dworskiej stajni pojawiają się m.in. na płótnach: „Jan III Sobieski pod Wiedniem" oraz „Kościuszko pod Racławicami". Szczególnie ten drugi obraz mocno związany jest z Krzesławicami, bo tutejsi chłopi pozowali malarzowi do postaci kosynierów (jeden z nich, wyobrażający Bartosza Głowackiego, zmienił sobie potem nazwisko z Boligłowa na Głowacki). Poza tym widoczny na obrazie kopiec, na który wjeżdża Naczelnik, rzeczywiście znajdował się na końcu dworskiego ogrodu. Matejko umieścił też na płótnie dawnego właściciela dworu w Krzesławicach, Hugona Kołątaja, choć akurat jego pod Racławicami nie było.

Wśród zachowanych rysunków Matejki wiele dotyczy Krzesławic. Niektóre z nich zawierają objaśnienia, stąd np. wiemy, jak wyglądał Janek Krzepina – fornal czy miejscowy geniusz – Grzymek, a także jak odbywał się przyjazd na wieś rodziny Matejków (zdarzenie to

1. K. Girtler, *Opowiadania*, Kraków 1971

2. Tamże, s. 169-170.

przedstawił artysta w formie zabawnej autokarykatury). W salach watykańskich znajduje się malowidło przedstawiające wręczenie papieżowi obrazu „Jan III Sobieski pod Wiedniem". Wśród sportretowanych tam osób rozpoznać można wójta z Krzesławic, którego Matejko zabrał do Rzymu jako przedstawiciela ludu polskiego. Sam Mistrz Jan pamiętników nie zostawił, ale spisywał je jego sekretarz, Marian Gorzkowski, który przedstawiał życie malarza czasami godzina po godzinie. Poznali się akurat owego 1876 r., kiedy to artysta kupił Krzesławice. Gorzkowski tak to wspomina: *W końcu tego roku* (tj. 1876 – dop. autora) *przypada sprzedaż wielkiego obrazu, »Stefana Batorego«, który zakupił hrabia Tyszkiewicz z Litwy, oraz nabycie wsi Krzesławic, gdzie urządzona została także letnia dla artysty pracownia. Zdobycie na własność wioski jest zawsze dla każdego najulubieńszym marzeniem, toteż artysta cieszył się bardzo, że już posiada na własność kawał tej polskiej ziemi, którą z dzieciństwa ukochał.*[3] Pamiętniki Gorzkowskiego są dziełem bezcennym zarówno do poznania biografii Matejki, jak i dziejów Krzesławic. Odnotowują niezwykle dokładnie, jakie obrazy artysta tu namalował, kto mu służył za model, kto go odwiedzał itp. Zachował się z tych czasów także artykuł w „Kurierze Warszawskim" napisany przez dziennikarza, który odwiedził Matejkę w jego wiejskiej rezydencji (gospodarz malował wówczas „Rzeczpospolitą Babińską", dając jako tło jabłonie w swoim sadzie).

Obraz Krzesławic pojawia się także w pamiętnikach gen. Jerzego Kirchmayera. Ten doskonały żołnierz, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej i kampanii wrześniowej 1939 r., dowódca Okręgu Warszawskiego Armii Krajowej, a przy tym ceniony historyk wojskowości, spędzał w dzieciństwie letnie wakacje w krzesławickim młynie, który pozostał w rękach rodziny po sprzedaży dworu w 1876 r. i aż do 1913 r. stanowił ich własność. Generał tak pisał o jego znaczeniu: *Ale młyn krzesławicki był jakby jakimś rodowym dobrem rodziny Kirchmayerów. Miał go dziadek, potem stryj Kanty, teraz rodzice. W Krzesławicach wyrośli moi stryjowie i ich siostry. (...) Krzesławice były już jakby ostatnim wspomnieniem jeszcze niedawnej świetności Kirchmayerów. Pewnie tu zawiązał się mariaż Beaty, córki właściciela dworu krzesławickiego, mistrza Jana Matejki, z moim stryjem Wincentym Kirchmayerem. Z Krzesławic było niedaleko do Pleszowa, w którym grzebano – niczym na Wawelu – zmarłych członków naszego rodu.*[4]

Także w XX w. dworek był często malowany i uwieczniany na błonie fotograficznej. Na przykład w zbiorach Muzeum Dworku Matejki znajduje się scena rodzajowa zatytułowana „Poranek w Krzesławicach" pędzla bratanka Mistrza Jana, Stefana Matejki. Jest tam też widok dworku z 1942 r. namalowany przez Leszkę oraz inny, wykonany przez Stefana Rostworowskiego w latach 70. Muzeum Historyczne Miasta Krakowa posiada liczne zdjęcia Henryka Hermanowicza i Stanisława Gawlińskiego, pokazujące stan dworku z czasów, gdy mieszkała tu ostatnia dziedziczka, Maria Burzyńska. Widać tam nieistniejące już zdobienia sufitu w salonie oraz budynki spichlerza i stajni, rozebrane w latach 70. Gdy w pierwszej połowie lat 90. byłem kustoszem Muzeum Dworku Matejki, nagrano tutaj kilka przedstawień Teatru Telewizji, głównie w reżyserii Kazimierza Kutza. Ponieważ były to z reguły sztuki Czechowa albo Ostrowskiego, rezydencja Matejki na parę tygodni zmieniała się w rosyjską prowincję, zaś przez pokoje przewijała się plejada wybitnych polskich aktorów: Anna Dymna, Agnieszka Grochal, Dorota Segda, Jerzy Bińczycki, Jan Frycz czy Zbigniew Zamachowski. Reasumując, można powiedzieć, że co do ilości pisanych i malowanych przekazów, Krzesławice ustępują na terenie Nowej Huty jedynie Mogile, gdzie znajduje się słynny kopiec Wandy i klasztor Cystersów. Zapewne wiele z pejzaży Krzesławic robionych np. przez uczniów Matejki, którzy przyjeżdżali do niego na „majówki", wisi nierozpoznane w muzeach i zbiorach prywatnych.

Dom Matejki w Krzesławicach jest uważany za jeden z najcenniejszych przykładów architektury dworkowej w Polsce. Jego wizerunek umieszcza się w albumach, a nawet znalazł się na znaczku pocztowym. Także sama wieś warta jest obszernej monografii, bo szczyci się bogatą historią i wybitnymi mieszkańcami.

MACIEJ MIEZIAN – Dramat Pięknej Zośki



Malował Piotr Stachiewicz

3. M. Gorzkowski, *Jan Matejko*, Kraków 1993, s. 75-76
4. J. Kirchmayer, *Pamiętniki*, Warszawa 1965 s. 56-57.

Byłem jeszcze dzieckiem, gdy po raz pierwszy usłyszałem o Pięknej Zośce, czyli Zofii Frontczakównie z Zesławic. Jej dramatyczne dzieje, opisane w „Pitavalu krakowskim" autorstwa Stanisława Salomonowicza, Janusza Szwai i Stanisława Waltosia, opowiedziałem kiedyś mojemu dziadkowi, Janowi Małecie. Ku memu zdziwieniu okazało się, że dziadek znał ją osobiście. Urodził się bowiem w 1905 r. w Kantorowicach – wiosce graniczącej z Zesławicami, toteż razem z Frontczakówną i innymi dziećmi pasł krowy i biegał po łąkach.

Trudno mi sobie wyobrazić, co poczuł owego feralnego 22 maja 1927 r., gdy w Krakowie gruchnęła wieść, że z rzeki Dłubni wydobyto pokawałkowane zwłoki, należące do jego koleżanki z dzieciństwa, zaginionej tydzień wcześniej. Musiał to być dla niego szok, podobnie jak dla wszystkich mieszkańców Krakowa. Zofia Frontczakówna nie była bowiem osobą nieznaną. Jej wielka uroda sprawiła, że stała się wziętą modelką, uwiecznianą na obrazach przez najwybitniejszych krakowskich artystów. Już od czasów Młodej Polski, gdy pojawiła się moda na „ludowość", młode dziewczyny ze wsi pozowały w strojach ludowych profesorom i studentom krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Najczęściej po sprzedaniu jaj i serów na Rynku Kleparskim siadały pod gmachem Akademii i czekały na propozycje. Był to dla nich dodatkowy dochód, choć okupiony ciężko, bo pozowanie narażało je na ostracyzm we wsi i zazdrość mężów. Obiegowe opinie o zepsuciu w świecie artystycznym odbiły się także niekorzystnie na małżeństwie samej Zofii Frontczakówny i być może doprowadziły ją do tragicznego końca.

W 1921 r. dziewczyna wyszła za mąż za niezbyt gospodarnego, a w dodatku niezrównoważonego emocjonalnie gospodarza, Macieja Palucha. Razem osiedli na należącym do Zofii niewielkim sześciomorgowym gospodarstwie we wsi Dłubnia (obecnie wioska ta już nie istnieje, pochłonięta przez rozrastająca się Nową Hutę). Mąż wiecznie robił jej awantury i regularnie bił. Sytuacji nie poprawiały też uszczypliwe uwagi sąsiadów na temat pozowania Zofii, choć dzięki tym dochodom łatała ona jakoś domowy budżet i była w stanie wykarmić dwójkę dzieci. Nie mogła w tym względzie liczyć na swojego męża, który zaniedbywał gospodarkę i nie przynosił do domu żadnych pieniędzy. W lipcu 1926 r. pobita i posiniaczona Frontczakówna zdecydowała się porzucić Macieja Palucha i wraz z dziećmi przeniosła się do ciotki przy ul. Pasterskiej. Wkrótce wniosła pozew o rozwód.

Ponieważ mąż ciągle ją nachodził, grożąc przy okazji krewnym, że wszystkich ich pozabija, ciotka wymówiła jej mieszkanie. Wobec tego Zofia wynajęła niewielkie lokum przy Grzegórzeckiej, a w swoim domu w Dłubni pojawiała się już tylko w obecności osób trzecich. Wiosną 1927 r. Paluch przestał wypłacać zasądzone przez sąd alimenty, jednak zaklinał się, że to tylko krótka zwłoka i wszystko ureguluje w połowie maja, kiedy spodziewał się przypływu gotówki. Zofia uwierzyła. 15 maja 1927 r. sama przyjechała do Dłubni po pieniądze – i to był jej błąd. Ostatni raz widziano ją żywą o godz. 14.00, kiedy to witała się z mężem w progu domu. Co następnie stało się za tymi drzwiami, nie wiadomo do dziś. Opowieść Palucha o tym, że Zofia groziła mu siekierą, jest mało prawdopodobna. Za to fakt, iż uderzył ją w głowę od tyłu i zabił na miejscu, a potem pociął na kawałki, potwierdziły dowody zebrane w śledztwie. Jego wina była bezsporna i choć się do niej nie przyznawał, to plamy krwi na ścianie i odciski zakrwawionych dłoni świadczyły przeciwko niemu. Nawet przy ówczesnych, mocno niedoskonałych metodach badania śladów nie było trudności z wykazaniem, że miało tu miejsce morderstwo. Nic nie dały także tłumaczenia Palucha, że znalezione zwłoki należą do kogoś innego, a jego żona żyje, tylko uciekła z kochankiem. Pomimo iż nigdy nie znaleziono głowy i kończyn górnych, ustalono ponad wszelką wątpliwość, że wyławiane przez prawie cały miesiąc fragmenty kobiecego ciała należą do Zofii Paluchowej. Notabene miejscowa ludność ochrzciła potem rzekę Dłubnię mianem Paluchówki.

8 grudnia 1927 r. mordercę skazano na 15 lat ciężkiego więzienia, potem wyrok ten obniżono do 12 lat. Od wyższej kary uchronił skazanego fakt, że nie dało się mu udowodnić działania z premedytacją. Czyn uznano za zbrodnię w afekcie, pod wpływem silnych wzruszeń i to stanowiło okoliczność łagodzącą. Cztery lata później Paluch, pisząc z więzienia w Nowym Wiśniczu prośbę do Prezydenta RP o ułaskawienie, przyznał się do winy i opisał okoliczności morderstwa. Zwolniony po odsiedzeniu 10 lat, w grudniu 1937 r., był już wrakiem człowieka. Do Dłubni nie wrócił. Osiadł w Krakowie, gdzie zajmował się zbieraniem szmat i pustych butelek, sprzątał też w jakimś zakładzie fryzjerskim i był „dziadkiem kościelnym" u św. Marka przy ul. Sławkowskiej. W 1960 r. usnął z papierosem na stosie szmat, które gromadził w szopie przy ul. Zamojskiego i zmarł od zaczadzenia tlenkiem węgla. Tak zakończył się ostatni wątek „sprawy Pięknej Zośki".

Zofia Paluch z Franczaków[5]



Zofia Paluch z Franczaków, żona Macieja, mieszkająca w Zesławicach pod numerem domu 15 została pochowana w Raciborowicach 15 maja 1927 r. w wieku 29 lat. Urodzona 23 grudnia 1898 r. w Zesławicach pod numerem domu 36 z Jana Franczaka (ówcześnie pisano Francaka), rolnika, syna Antoniego i Agaty Gałczyńskiej w Zesławicach, urodzonego 10 lipca 1862 r. i Marianny Ziółko, córki Stanisława i Zofii Gontkiewicz, urodzonej w Giebułtowie w 1868 r. Rodzice Pięknej Zośki wzięli ślub w 1889 r. Chrzestnymi Zofii Franczak byli: Bartłomiej Wojdyło, rolnik z Modlnicy i Zofia Ziółko, rolniczka z Giebułtowa.

Ślub Macieja Palucha, urodzonego 31 listopada 1892 r., rolnika, syna Stefana i Rozalii Gorzkowskiej (Goszkowskiej) z Piekną Zośką odbył się w Raciborowicach 28 sierpnia 1921 r. Miał wówczas 29 lat, a panna młoda 23 lata. Świadkami byli Jakub Grela i Jan Żak.

Opis zgonu w księdze metrykalnej: (łac.) *Trucidata per visua tuum (suum?) et membris truncata. Non provisa. Proiecta in flumen Dłubnia inventa per partes.* (czyli, w niedokładnym tłumaczeniu własnym: zamordowana „per visua" i poćwiartowana. Nie zaopatrzona (sakramentami). Kawałki ciała znalezione w rzece Dłubni.

5. Informacje dodatkowe o „Pięknej Zośce" zebrał Mateusz Wyżga na podstawie: Archiwum parafialne w Raciborowicach, *Liber defunctorum*, t. XIV, *Liber natorum et baptisatorum*, t. XIII, Liber Copulatorum.

KRZYSZTOF ROSOŁEK – Ludobójstwo w forcie w Krzesławicach w latach 1939-1941[6]

Podczas opracowania cyklu artykułów o zbrodni popełnionej przez Niemców przy forcie w Krzesławicach wykorzystałem dokumenty przechowywane w Archiwum Państwowym w Krakowie i w Instytucie Pamięci Narodowej (IPN). Najbogatszy zbiór dokumentów w tej sprawie posiada krakowski oddział IPN, wśród których mieszczą się: archiwum śledztwa w sprawie zbrodni w Krzesławicach Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, a więc raporty i końcowy protokół z prac ekshumacyjnych ofiar zbrodni; opis miejsca egzekucji z mapką rozmieszczenia zbiorowych grobów, zeznania świadków zbrodni oraz inne dokumenty. Po zakończeniu wojny nie zachowały się archiwa niemieckiej administracji Generalnej Guberni dokumentujące przebieg tych rozstrzeliwań. Dlatego w toku śledztwa przeprowadzonego po zakończeniu wojny nie udało się ustalić danych personalnych funkcjonariuszy niemieckich, którzy wydawali rozkazy i kierowali akcją oraz numerów identyfikacyjnych oddziałów niemieckich, które wykonywały zbiorowe egzekucje. Wiceprokurator Prokuratury Wojewódzkiej Jan Brandys delegowany do Okręgowej Komisji Badań Zbrodni Hitlerowskich w Krakowie w sprawozdaniu z przeprowadzonego śledztwa pisze: *Wobec braku dokumentacji i innych konkretnych dowodów w tym zakresie nie zdołano ustalić osób (nazwisk i funkcji) sprawców-rozkazodawców względnie bezpośrednich wykonawców zbrodni w Krzesławicach. Na podstawie jednak ujawnionych w śledztwie okoliczności (a m. in. ogólnikowych zeznań niektórych świadków) można wnosić, że w egzekucjach tych bezpośrednio udział brali funkcjonariusze Gestapo, SS i prawdopodobnie żandarmerii względnie policji ochronnej w Krakowie.* Jednak według prokuratora, ze względu na piastowane stanowiska, o całej sprawie musieli wiedzieć i wydać zgodę wyżsi funkcjonariusze policji bezpieczeństwa i służby bezpieczeństwa (SiPO i SD) w Krakowie i między innymi oni ponoszą odpowiedzialność za tę zbrodnię, a wśród nich: SS Obergruppenführer Wilhelm Krüger, wyższy dowódca SS i Policji od października 1939 r. do listopada 1943 r., dowódcy policji bezpieczeństwa i służby bezpieczeństwa w Generalnej Guberni od października 1939 r. do stycznia 1941 r., SS Brigadeführer Bruno Streckenbach, od stycznia 1941 r. do lipca 1943 r. SS Brigadeführer Eberhart Schongart (stracony z wyroku brytyjskiego 15 maja 1948 r.).

Dziennik Polski 18 czerwca 1945 r. opublikował informację o zbrodni popełnionej w czasie okupacji w Krzesławicach przez Niemców na obywatelach polskich. 23

6. Autor dziękuje krakowskiemu oddziałowi Instytutu Pamięci Narodowej za udostępnienie dokumentów dotyczących zbrodni w Krzesławicach.

czerwca 1945 r. Powiatowy Oddział Informacji i Propagandy w Krakowie w piśmie do Starostwa Powiatowego polecił: *W ostatnich dniach podała prasa do wiadomości ogółu komunikat o odkryciu w obrębie fortu w Krzesławicach, gmina Mogiła, masowego grobu ofiar, pomordowanych przez barbarzyńskich okupantów niemieckich. Ponieważ sprawa ta domaga się nie tylko wyjaśnienia, ale wydobycia na światło dzienne, dalej przeprowadzenia ekshumacji zwłok w nowej zbiorowej mogile, proponuje niniejszym Powiatowy Oddział Informacji i Propagandy Starostwu Powiatowemu utworzenie odnośnego Komitetu (...).* Projekt składu Komitetu był już gotowy 2 lipca 1945 r. i równolegle zbierano fundusze pieniężne na sfinansowanie prac ekshumacyjnych. 21 lipca 1945 r. zawiązał się Komitet Ekshumacji zwłok ofiar pomordowanych na forcie w Krzesławicach. W zebraniu organizacyjnym Komitetu uczestniczyli m.in. wójt gminy Mogiła, Józef Celiński – kierownik szkoły w Bieńczycach, ks. Antoni Góralik – proboszcz w Pleszowie, ks. Leon Orłowski – delegat zakonu cystersów, przedstawiciele redakcji Dziennika Polskiego, Głównego Komitetu Badań Zbrodni w Polsce, Gminnej Rady Narodowej w Mogile oraz Naczelnik Powiatowego Oddziału Informacji i Propagandy w Krakowie. W ramach komitetu powołano 2 sekcje: organizacyjną, która miała na celu postawienie pomnika ku czci ofiar w Krzesławicach (weszli do niej m.in. przeor cystersów Augustyn Ciesielski i ks. Józef Zastawniak) i techniczną, odpowiedzialną za przeprowadzenie ekshumacji i identyfikacji zwłok. Prorektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, prof. dr T. Dziurzyński, delegował dr. Jana Olbrychta, prof. medycyny sądowej w UJ do komisji sądowo-lekarskiej. Przewodniczącym Komitetu Ekshumacji został starosta powiatowy.

15 października 1945 r. o godz. 9.30 Komisja, w obecności dziennikarzy, świadków tej zbrodni (m.in. mieszkańców wsi Krzesławice) oraz rodzin ofiar rozpoczęła prace ekshumacyjne przy forcie w Krzesławicach. Komisja sądowo-lekarska (3 lekarzy i 2 sędziów) przeprowadzała sekcje zwłok w jednej z izb w forcie lub na zewnątrz. Rodziny i inni świadkowie mogli obserwować prace ekshumacyjne w celu identyfikacji rozstrzelanych osób. Przed rozpoczęciem ekshumacji liczbę ofiar szacowano na 1000 lub 2000, podczas gdy prace ekshumacyjne odsłoniły 440 zwłok pomordowanych, co oczywiście nie umniejsza potworności tej zbrodni. Prace ekshumacyjne trwały od 15 października do 6 grudnia 1945 r. Protokół ekshumacji spisano 17 października 1946 r. W dalszym toku śledztwa Okręgowa Komisja przesłuchiwała świadków oraz gromadziła dalsze dowody tej zbrodni. W dniu 14 stycznia 1948 r. Główna Komisja Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce w składzie: Sędzia Okręgowy Śledczy Jan Sehn, Sędzia Sądu Grodzkiego dr St. Żmuda, wiceprokuratorzy Sądu Okręgowego Edward Pękalski i dr Wincenty Jagosiński, prof. i kierownik Zakładu Medycyny Sądowej UJ, biegły sądowy dr Jan Olbracht oraz dwóch członków Krakowskiej Komisji Okręgowej (w Krakowie) Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce podpisali końcowy protokół ze śledztwa. Podczas prac ekshumacyjnych odkryto zwłoki 440 ofiar zbrodni, w tym 18 kobiet, rozmieszczonych w 29 grobach zbiorowych wokół fortu. Najmniejszy grób mieścił 2 zwłoki a największy – 52. W wyniku przeprowadzonych badań i oględzin stwierdzono: 89 % ofiar poniosło śmierć wskutek strzału w głowę, w tym 78 w tył głowy. W wielu przypadkach nie udało się stwierdzić miejsca postrzału na wskutek daleko posuniętego rozkładu zwłok i uszkodzeń niektórych części ciała.



Prace ekshumacyjne w Forcie Krzesławice, 1945 r.

Oprawcy swoje ofiary przed egzekucją ustawiali tuż nad krawędzią wykopanego dołu tak, aby po zadaniu strzałów ich ciała bezwładnie wpadały bezpośrednio do grobów (w tym przypadku podczas ekshumacji odkryto, że ciała leżały w różnych kierunkach) lub ustawiali skazanych obok grobów i po przeprowadzonej egzekucji ciała układano w grobach, kładąc je względem siebie równolegle w pozycji grzbietowej. Ręce niektórych ofiar były splątane ze sobą, co wskazuje, że tuż po oddaniu strzału niektórzy jeszcze żyli, kiedy leżeli w grobach. Tych oprawcy prawdopodobnie dobijali

lub grzebali żywcem. W kilku przypadkach stwierdzono założone opaski na oczach. Na ogół nie krępowano kończyn przed egzekucją. Strzały oddawano z broni o jednolitym pocisku opancerzonym lub nieopancerzonym, a niektóre ofiary dobijano narzędziami tępymi, jak kolbą karabinu. Na podstawie oględzin odzieży i zachowanych przedmiotów osobistych zidentyfikowano 104 ofiary, a 78 dzięki zeznaniom świadków i innych okoliczności. 258 zwłok nie zidentyfikowano. Pierwszą egzekucję Niemcy wykonali 1 listopada 1939 r. a ostatnią ujawnioną 7 listopada 1941 r. Pod względem zawodowym rozstrzeliwano uczniów, studentów, nauczycieli, robotników, chłopów, oficerów zawodowych wojska polskiego, artystów. Około 52 % ofiar stanowiła inteligencja. Powody egzekucji były różne: za działalność konspiracyjną w strukturach Armii Krajowej; część ofiar pochodziła z łapanek ulicznych lub aresztowani za domniemaną działalność sabotażową, za posiadanie broni. Część Gestapo aresztowała omyłkowo lub jako zakładników, jak w przypadku 32 zakładników z Myślenic aresztowanych w Myślenicach 23 czerwca 1940 r. i rozstrzelanych w Krzesławicach 29 czerwca 1940 r. Sprawa zakładników z Myślenic była przedmiotem odrębnego śledztwa po wojnie. Wielu rozstrzelano za próbę przekroczenia nielegalnie granicy słowacko-węgierskiej. Tę grupę stanowili oficerowie wojska polskiego i cywile-mężczyźni. Na terenie Słowacji, po aresztowaniu ich przez słowacką straż graniczną, byli przekazywani w ręce niemieckie. Wśród rozpoznanych najwięcej było ofiar między 20 a 30 rokiem życia. Najmłodsza ofiara liczyła 15 lat, a najstarsza – 70 lat.

Egzekucje wyglądały podobnie. W przeddzień, późnym popołudniem, Niemcy przywozili samochodami ciężarowymi krytymi brezentem do fortu grupę skazanych, którzy mieli wykopać groby, po czym odwożono ich do więzienia. Następnego dnia rano z więzienia wyjeżdżała kolumna kilku samochodów ciężarowych wypełnionych skazanymi, wśród których byli ci, którzy poprzedniego dnia wykopywali groby. Eskortowały je 2 lub 3 samochody osobowe. Z tyłu każdej ciężarówki siedział strażnik. Po dotarciu na miejsce pluton egzekucyjny w sile 10 żołnierzy wykonywał wyrok. Ciała przysypywano warstwą ziemi o grubości 60 cm. Jedna z mieszkanek wsi Krzesławice tak wspominała te czasy podczas śledztwa przed prokuratorem: *W drugiej połowie czerwca 1940 r. w godzinach rannych słychać było przez szereg dni strzały na forcie krzesławickim, dokąd zwożono autami ciężarowymi ludzi. Zaciekawiona tym ludność miejscowa poczęła zaglądać na fort krzesławicki i przekonała się, że są świeże groby. Nie ulegało więc wątpliwości, że Niemcy rozstrzeliwują tam ludzi i chowają ich na miejscu. Przy niektórych grobach znaleziono części ubrania, jak szaliki, kapelusze a nawet i kawałki palców ludzkich. W dniu 29 czerwca 1940 r. słychać było strzały w forcie krzesławickim dwukrotnie. Jak ludzie z Krzesławic twierdzili, przywożono tam w jednym dniu grupę więźniów, która kopała grób, a następnego dnia strzelano do więźniów i chowano ich w tym grobie.*

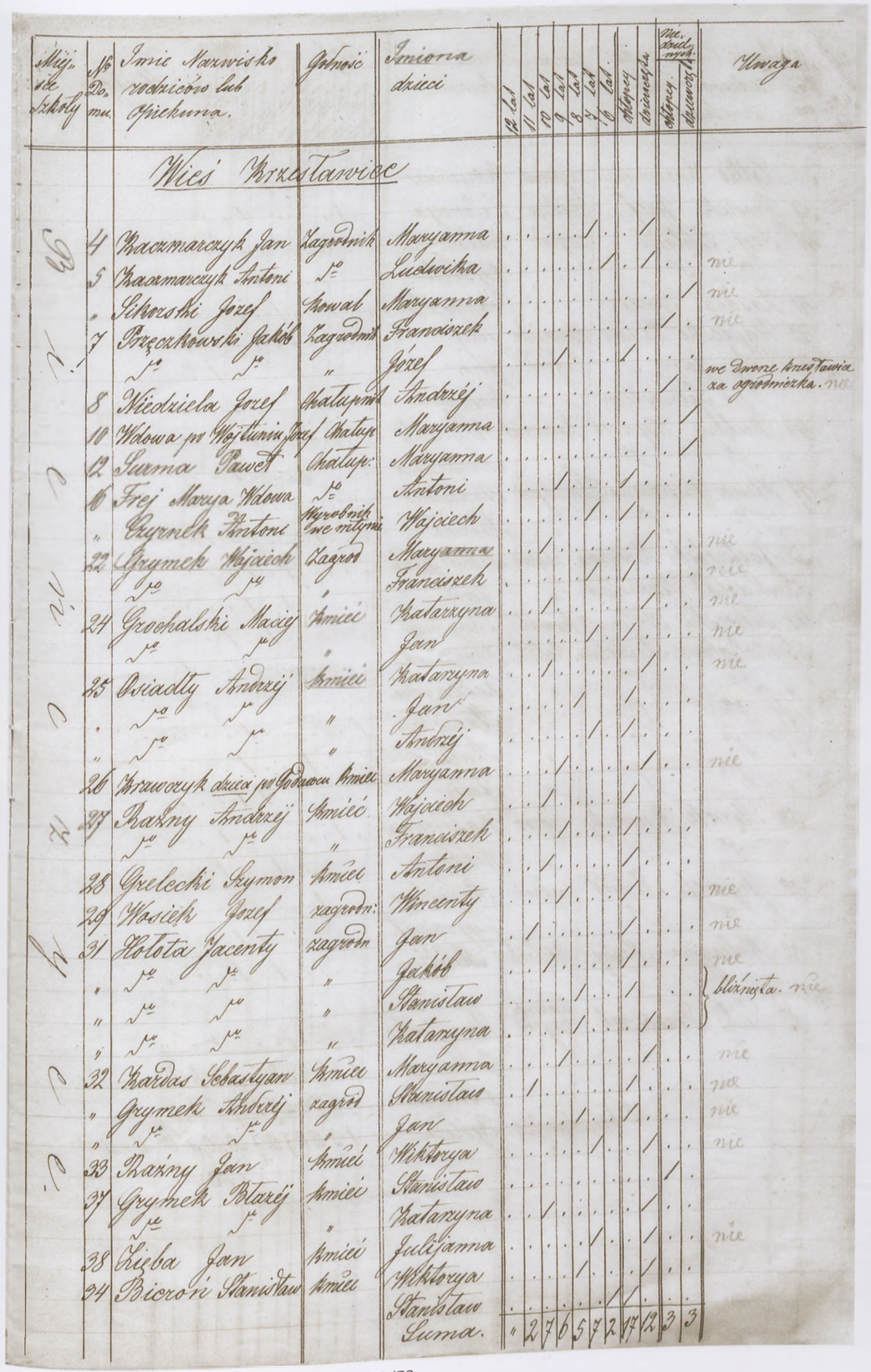

Nazwisko i imię rodziców lub opiekuna	Gdzie mieszka	Imiona dzieci	12 lat	11 lat	10 lat	9 lat	8 lat	7 lat	obcego wyznania	Nie zdolni do nauki: chłopcy	Nie zdolni do nauki: dziewczęta	Uwagi
Wieś Krzesławice												
Kaczmarczyk Jan	Zagrodnik	Maryanna					/		/			
Kaczmarczyk Antoni	"	Ludwika						/	/			nie
Sikorski Józef	Nowak	Maryanna								/		nie
Brzęczkowski Jakób	Zagrodnik	Franciszek								/		nie
" "	"	Józef				/			/			we Dworze koniuszia za agronomiczka. nie
Wiedziela Józef	Chałupnik	Andrzej								/		
Wdowa po Wojciechu	Józef Chałup	Maryanna								/		
Surma Paweł	Chałup.	Maryanna								/		
Frej Marya Wdowa	"	Antoni				/			/			
Czyrnek Antoni	Wyrobnik we młynie	Wojciech					/		/			
Grymek Wojciech	Zagrod	Maryanna			/					/		nie
" "	"	Franciszek					/		/			nie
Goochalski Maciej	Komiec	Katarzyna		/						/		nie
" "	"	Jan						/	/			nie
Osiadły Andrzej	Komiec	Katarzyna			/					/		
" "	"	Jan						/	/			
" "	"	Andrzej						/	/			
Krzywczyk dziecię po Gołaszewie	Komiec	Maryanna				/				/		nie
Rączny Andrzej	Komiec	Wojciech			/					/		
" "	"	Franciszek				/				/		
Grelecki Szymon	Komiec	Antoni				/				/		
Kosiek Józef	zagrodn:	Wincenty				/				/		nie
Kołota Jacenty	zagrodn	Jan			/					/		nie
" "	"	Jakób				/				/		nie
" "	"	Stanisław				/				/		bliźnięta. nie
" "	"	Katarzyna				/				/		
Kardas Sebastyan	Komiec	Maryanna				/				/		nie
Grymek Andrzej	zagrod	Stanisław		/						/		nie
" "	"	Jan				/				/		nie
Rączny Jan	Komiec	Wiktorya				/				/		nie
Grymek Błażej	komiec	Stanisław								/		
" "	"	Katarzyna				/				/		
Ziemba Jan	komiec	Julijanna				/				/		nie
Bieroń Stanisław	komiec	Wiktorya				/				/		
		Stanisław				/				/		
		Suma.	1	2	7	6	5	7	2	17	2	3	3	

Wyciąg z księgi spisowej szkoły w Bieńczycach, 1871/72

Miejsce Szkoły	No Domu	Imię i Nazwisko rodziców lub Opiekuna	Godność	Imiona dzieci	Rok 12 lat	11 lat	10 lat	9 lat	8 lat	7 lat	6 lat	chłopcy	dziewczęta	niedzielni chłopcy	niedzielni dziewczęta	Uwaga
Bierzyce	30	Lotko Kazimierz	zagrodnik	Kazimirz	.	.	.	.	.	.	1	1	.	.	.	nie
	39	Grosicki Józef	chałup:	Salomeja	.	.	1	.	.	.	.	.	1	.	.	
	40	Frej Antoni	zagrod:	Katarzyna	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	1	
	"	d° d°	"	Wojciech	.	.	.	1	.	.	.	1	.	.	.	
	41	Zasada Tomasz	"	Franciszka	.	.	.	.	.	.	1	.	1	.	.	nie
	42	Hajdecki Wacław	Obermüller	Józef	.	.	.	.	.	1	.	1	.	.	.	nie
	43	Luty Jan	Zagrod:	Jan	.	.	.	.	.	.	.	.	.	1	.	
		po Sadowskim	"	Katarzyna	.	.	.	1	.	.	.	.	1	.	.	nie
	44	Kulka Wojciech	komornik	Wojciech	.	.	1	.	.	.	.	1	.	.	.	
		d° d°	"	Maryanna	.	.	.	.	1	.	.	.	1	.	.	nie
	47	Wdowa Grzesiaczka Filip	zagrod	Stanisław	.	.	.	.	.	.	.	.	.	1	.	nie
		d° d°	"	Michał	.	.	.	1	.	.	.	1	.	.	.	nie
	52	Jastrzębski Wawrzeniec	zagrod	Michał Gębala	.	.	.	.	.	1	.	1	.	.	.	
	53	Musiał Stanisław	"	Jan	.	.	.	.	.	1	.	1	.	.	.	nie
	44	Sikorski Antoni	kowal	Regina	.	.	.	.	.	.	1	.	1	.	.	nie
	55	Boligłowa Stanisław	Rolnik	Franciszka	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	1	nie
	"	d° d°	"	Katarzyna	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	1	nie
	"	d° d°	"	Stanisław	1	.	.	.	.	.	.	1	.	.	.	
	"	d° d°	"	Antoni	.	.	.	1	.	.	.	1	.	.	.	
	"	d° d°	"	Jan	.	.	.	.	.	.	1	1	.	.	.	
	58	Ślęzak Wincenty	zagrod:	Katarzyna	.	1	.	.	.	.	.	.	1	.	.	nie
		d° d°	"	Wiktorya	.	.	.	.	.	1	.	.	1	.	.	nie
	60	Grymek Michał	zagrod:	Stanisław	.	.	1	.	.	.	.	1	.	.	.	nie
		d° d°		Zygmunt.	.	.	.	.	.	.	1	1	.	.	.	nie
	62	Waleryjan Maciéj	Rolnik	Maciéj	.	.	.	.	.	1	.	1	.	.	.	nie
	15	Luty Franciszek	Rzeźnik zagrod	Franciszka	.	.	.	.	1	.	.	.	1	.	.	
				2 Suma	1	1	3	4	2	5	5	13	8	2	3	
				1 Suma		2	7	6	5	7	2	17	12	3	3	
		Krzesławice:		Ogółem:	1	3	10	10	7	12	7	30	20	5	6	11 niedziel:
												50				



Piotr Raźny (siedzi) z kolegami: Antonim Walerianem i Janem Bieroniem, lata 20.



Julia Bieniek z Krzesławic, 1925 r.



Młodzież z Krzesławic, lata ?



Chłopcy w odświętnych strojach na koniach, Krzesławice, lata 30.



Dziewczyny z Krzesławic pod kopcem Wandy w Mogile, 1938 r.
Od lewej: Wiktoria Czernek, Zofia Walerian, Katarzyna Grosicka, Maria Mars



Młodzież przed dawną szkołą w Krzesławicach, 1945 r.



Młodzież z Krzesławic, 1938 r.



Młodzież z Bieńczyc i Krzesławic, 1939 r.



Młodzież z Krzesławic, lata okupacji



Katarzyna Grosicka, lata 40.

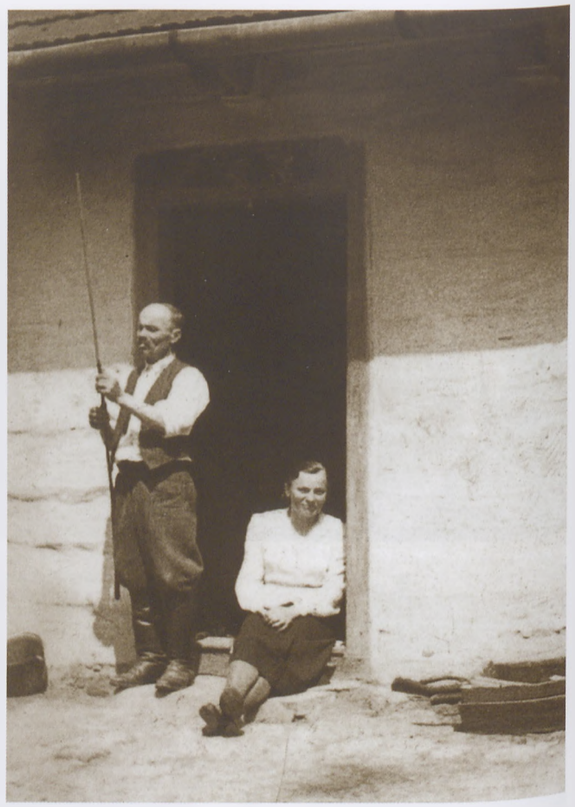

Jan Grosicki z córką Katarzyną, Krzesławice, lata 40.



Maria Drzewi i Stanisław Bieniek, Krzesławice, 1948 r.



Władysława Gajoszek (Sewerynek)



Krystyna Goda... (nazwisko nieczytelne), lata 50.



Wiktor Kofin z koleżankami, 1955 r.



Katarzyna Poznańska, Władysława Raźna, Lusia Kowalska, Krzesławice, 1955 r.



Mieszkanki Krzesławic podczas procesji Bożego Ciała w Pleszowie; Katarzyna Bochenek, Maria Salwińska, Zofia Farnaus, Bronisława Wieczorek, Katarzyna Łątka, 1966 r.





Poświęcenie chorągwi „Jezu mogilski, miej nas w swej opiece". Krzesławice, 1955 r.



Z lewej: Władysława Gajoszek (Sewerynek) z koleżanką, lata 50.



Katarzyna Kofin, Krzesławice, lata 50.



Banderia krakowska tj. grupa odświętnie ubranych krakowiaków na koniach, Krzesławice, lata 50. lub 60.



Dożynki w Krzesławicach, 17.08.1958 r.



Dożynki w Krzesławicach, 17.08.1958 r.



Przedstawienie plenerowe w Krzesławicach, lata 30.



Orkiestra z Krzesławic. Od lewej: Stanisław Gajoszek (klarnet), Piotr Grymek (skrzypce) i Józef Grymek (akordeon), lata 50.



Władysław Walerian z synem Jurkiem, Nowa Huta, 1957 r.

Rozdział VII

Lubocza

FRANCISZEK TWARÓG – Lubocza[1]



Franciszek Twaróg przed szkołą w Luboczy, 1917 r.

Początki osady

Jak informuje dr Stanisław Buratyński, dyrektor Muzeum Archeologicznego w Krakowie-Nowej Hucie, *Znalezione na terenie Luboczy wykopaliska jak młotek kamienny i siekierka pomiędzy resztkami naczyń glinianych wskazują, że istniała tu osada już w epoce kamienia gładzonego od 2500 lat przed naszą erą. Potwierdzają to przypuszczenie znalezione podczas prac na terenach zajętych pod budowę Nowej Huty i kombinatu: w Wyciążach, Pleszowie, Mogile, Zesławicach.* Najstarsza ludność rolnicza, która przybyła i osiadła na terenach Nowej Huty przed 4500 laty, przyniosła tu znajomość uprawy zbóż i hodowli zwierząt domowych, a w związku z tym zaczęła prowadzić osiadły tryb życia. Także ten lud zapoczątkował wyrób ulepszonych narzędzi kamiennych (wiercenia otworów i gładzenia). W latach od 200 do 600 n.e. znano tu już koło garncarskie i piece hutnicze. Nie można jednak ustalić dokładnie czasu powstania osady Luboczy jako jednostki społecznej. Nie można też ustalić skąd pochodzi jej nazwa. W aktach klasztoru Norbertanek na Zwierzyńcu, które przez długie wieki posiadały Luboczę istnieje zapis, że w 1254 r. książe Bolesław Wstydliwy przywilejem wydanym w Korczynie zatwierdził Luboczę temu klasztorowi. Sam klasztor istniał już od 1191 r., a w 1276 r. ustanowiono w Luboczy sołtysostwo. Sołtysi wspólnie z ławnikami rządzili całą gromadą. Sołtysostwa nadawane były mieszczanom krakowskim. W 1490 r. klasztor zaciągnął pożyczkę 660 czerwonych złotych węgierskich i zabezpieczył tę sumę częściowo i na Luboczy. Sołtysi, jak Mikołaj de Michałow, starosta krakowski w 1424 r. i Piotr Kmita z Wiśnicza w 1485 r. obciążyli majątek długiem. Piotr Kmita sprzedał sołtysostwo w Luboczy jak „własne" Myślinowskim w 1535 r., a w 1563 r. Barzi de Blozo gotował się zająć sołtysostwo lubockie. W 1673 r. klasztor dokonał pomiarów gruntów i według niego został ustalony podatek „łanowy". W 1756 r. została zniesiona przez Rzym „Almaria" (opłata na ołtarz zamkowy na Wawelu) zapisana przez Michała de Michałowa. Jan Długosz w „Liber beneficjum" t. III str. 63 (1480 r.) napisał: *Do uposażenia Klasztoru Norbertanek na Zwierzyńcu w Krakowie należy wieś Lubocza na terenie parafii Pleszów. We wsi są łany kmiece z których każdy płaci po 10 skatów* (skat = 10 jaj, 2 sery, 2 koguty – dop. aut.). *Pracę wykonuje powaba i osep. W tej wsi są 2 karczmy z rolami i należą do sołectwa. Jedna z karczem stanowi uposażenie ołtarza Trzech Króli. We wsi są również zagrodnicy, jest folwark i młyn. Kmiecie odstawiają zamiast dziesięciny maldraty, tzn. wynagrodzenie pieniężne. Sołectwo posiada 3 łany* (łan = 45 morgów – dop. aut.). *Do tego sołectwa należą 2 karczmy zajezdne. Również należy do niego 4 zagrodników i ci płacą dziesięcinę snopową do ołtarza Trzech Króli w Krakowie.*[2]. Z kroniki ks. Stanisława Stępińskiego, proboszcza pleszowskiego (kościół w Pleszowie, wg podania, konsekrowany był przez biskupa Stanisława Szczepanowskiego w 1079 r., dzisiejszy, murowany, wybudowany został w 1807 r.), można m.in. wyczytać wiadomości o charakterze miejscowej ludności, a więc i mieszkańców Luboczy: „W wojnach szwedzkich zakorzeniło się w chłopach zuchwalstwo", 1670 r.: „dziedzice rekrutują piechotę", „za niepłacenie dziesięcin umierają pod klątwą", 1787 r.: „chłopi hardzi", „W 1812 r. nie zawarto żadnych małżeństw", „W 1849 r. od wiosny panowała cholera". (Jeszcze w 1898 r. jako 8-letni, widziałem przy wsiach cmentarze choleryczne – dop. aut.) „W 1888 r. zbudowano w Luboczy kaplicę Serca Pana Jezusa", 1917 r.: „chłopi ofiarni i życzliwi dla kościoła i duchowieństwa".

Sądzę, że określenie charakteru ludności było wynikiem negatywnego jej stosunku do plebana na podłożu sporów natury materialnej. Konflikty i zadrażnienia wynikały z obowiązku płacenia dziesięcin na rzecz Kościoła, jak na przykład w 1664 r. o dziesięcinę snopową z „Ugorów i Przymiarek" między proboszczem Młodzianowskim a kmieciami i zagrodnikami przed wojewodą Stanisławem Beniowskim: *Przybył nareszcie wojewoda – chłopi przyszli tłumnie do niego ze skargą, że proboszcz ciężary nakłada, wyklina ich, świece ciska na nich z kazalnicy, wydzwania, nawet z kościoła wyganiać każe, że nie dawali dziesięciny. Wysłuchawszy wojewoda gwarek i akklamacyjej sprośnych rzeczy p. wojewoda wszystkiej gromadzie: Wyrozumiałem was ze wszystkiem i z Księdzem Plebanem o tem dostatecznie rozmówię się, ale on to przecież nie darmo się upomina. Nazajutrz był Proboszcz u Wojewody i oddał list X. Biskupa Jędrzeja Trzebickiego (Pana i dobrodzieja swego) z prośbą, by kościół i pleban nie mieli krzywdy. Zobaczywszy*

1. Do napisania tej krótkiej monografii autor wykorzystywał akta i informacje: opactwa oo. Cystersów w Mogile, Urzędu Parafialnego w Pleszowie, konwentu pp. Norbertanek na Zwierzyńcu w Krakowie i in. Korzystał też z własnej wiedzy i doświadczenia wynikającego z 44-letniej pracy w Luboczy na stanowisku kierownika szkoły i nauczyciela.

2. Jan Długosz, *Liber beneficjum*, t. III str. 63.

w dokumentach szczupłą dziesięcinę po 3 kmieciach i 8 zagrodnikach rzekł wojewoda: I to o kurwy szyny iaczyś swemu pasterzowi nie dać dziesięciny? Wojewoda nakazał urzędnikowi p. Jakubowi Przyłuskiemu by dopilnował, aby zwady nie było, by dawano proboszczowi i jego następcom dziesięcinę. Niepokojącą jest sprawa karczm dochodowych, należących do sołectwa. W wolnej już od poddaństwa wsi, jeszcze przed 50 laty, istniały po wsiach, także i w Luboczy karczmy dworskie, wybudowane w pryncypialnym miejscu, w środku wsi. Za pracę płacił dwór chłopom bonami, które można było realizować tylko w tej właśnie karczmie, nigdzie indziej. W ten sposób cała wypłata za robociznę wracała do właściciela karczmy. Pachciarze (dzierżawcy) tych karczm doprowadzali często wolnego już chłopa do nędzy. Wódka, wzmocniona wapnem, miała być pocieszycielką nędzarza, miała wytrawić z pustych trzewi głód, a z mózgów troskę. Załatwiane tu były i sprawy „społeczne". Jako ośmioletni chłopiec w 1898 r., w okresie emigracji z powodu nędzy galicyjskiej, byłem naocznym świadkiem, jak w alkierzu takiej karczmy przedstawiał agent Józef Kopeć przed oczyma chłopów miraże szczęścia za oceanem. W takiej karczmie poznałem zabobony, gusła, czary, gadki wsi naszej, krążące od wieków po ciasnych jeszcze i niskich chatach.

Dom taki, dwór, karczma i kościół to czworobok, w którym żył i pracował chłop, w którym tworzyła się jego osobowość i gdzie powstawało życie zbiorowe. Jakże silne musiały być wpływy, które na tle mroków średniowiecza i niedoli pańszczyźniano-poddańczej w trudnych warunkach wytworzyły piękno i niezaprzeczalną wartość kultury wsi. Bardzo interesującym byłoby poznanie dawnego, codziennego życia w Luboczy, wżycie się w jej radości i troski powszechne. Bardzo ciekawym byłoby poznanie stanowiska i zachowania się chłopów Luboczy w ważnych i przełomowych chwilach całego narodu. Niestety, nie znam takich źródeł mogących zobrazować to szczegółowiej. Mogę natomiast dać obraz tej wsi z okresu mojej pracy nauczycielskiej trwającej od 1917 r.

Lubocza w czasie I wojny światowej

W 1914 r. została wieś w 50% zniszczona. Zburzone zostały domy, stodoły i inne zabudowania gospodarcze, wycięto wszystkie drzewa owocowe i dzikie, zniszczono ogrodzenia ze względów strategicznych armii austriackiej „dla oczyszczenia przedpola twierdzy Krakowa dla obrony przed nadchodzącą armią rosyjską". Ludność została ewakuowana na przedmieścia Krakowa. Po odstąpieniu Rosjan od oblężenia na skutek zbliżania się pruskiej armii Mackensena, ludność wróciła do wsi, gdzie zastała pustkę, ponieważ ściany domów i drzewa zostały wywiezione i użyte do budowy schronów i rowów strzeleckich. Lata 1915-1920 to czas odbudowy i wytężonej pracy luboczan dla zdobycia dachu nad głową dla rodziny oraz pomieszczeń dla inwentarza i plonów. Zajęty usilną pracą nad remontowaniem szkoły brałem także czynny udział w odbudowie wsi. Równocześnie ruszyła praca kulturalno-oświatowa w Kole Młodzieży i Kółku Rolniczym. Katastrofa, którą wieś przeżyła, stała się impulsem do wysiłku indywidualnego i zbiorowego – dla wyrównania strat i wejścia na drogę postępu zahamowanego przez wojnę.

Lubocza w czasie II wojny światowej

Podczas okupacji hitlerowskiej w latach 1939-1945 Lubocza była zajęta przez wojska niemieckie. Zarządzenia o obowiązku dostaw kontyngentów w zbożu, żywcu, przymusowa praca w obozach, wywożenie na roboty do Niemiec – dotykały naszą wieś na równi z innymi. Jednoczył nas wszystkich opór i negowanie zarządzeń. Ofiarami terroru niemieckiego były: Irena Oliwianka, nauczycielka, zmarła w Auschwitz, Józefa Grzesiak i Julia Nowak. Na terenie wsi działały organizacje Batalionów Chłopskich i Armii Krajowej. W tych ciężkich czasach nie było tu zdrady ani kolaboracji. Niemcy opuścili Luboczę po oswobodzeniu Krakowa 19 stycznia 1945 r. W czasie krótkiej walki stoczonej we wsi rozbite zostały dwa czołgi: radziecki i niemiecki. Od strzałów artyleryjskich spaliła się stodoła Antoniego Perczaka i dom Antoniego Kwatery. Od rany postrzałowej zmarł Piotr Perczak. Następnie obrabowany został spichlerz dworski i stajnie. Zginęło kilku żołnierzy niemieckich i radzieckich. Ciała żołnierzy radzieckich zostały ekshumowane i wywiezione do Krakowa.

Wpływ Nowej Huty na kształtowanie się wsi

Upadek rządów sanacyjnych, okupacja hitlerowska, a następnie powstanie PRL zaważyły na strukturze politycznej, gospodarczej i kulturalno-oświatowej Luboczy. Wieś weszła na orbitę przemian związanych z budową na tych terenach Nowej Huty i kombinatu. Jeden z pierwszych projektów przewidywał jej lokalizację na Śląsku koło Dzierżna nad Kanałem Gliwickim. Po długich debatach Prezydium Rządu ustaliło, że Nowa Huta stanie na terenach położonych na wschód od Krakowa, co objęło także Luboczę. Jakie motywy przemawiały za tą lokalizacją? Przeludnienie wsi rolniczych, korzystne ukształtowanie terenu nie wymagającego większych prac niwelacyjnych, wytrzymałość gruntu i dobre warunki statyczne, odpowiedni poziom wód gruntowych, bliskość Wisły i przewaga wiatrów zachodnich, co miało chronić Kraków od zatrutego przez hutę powietrza. Brało się to poniekąd z tradycji, gdyż: *Brat Fornarius, cysters, hutnik klasztorny pracuje w 1389 r. W tym roku była tu huta ołowiu, w 1469 r. jest huta miedzi i srebra. Pracują w niej mistrzowie Janusz Hesse i Grzegorz Gertirz, zaś Jan Turno i olkuszanin Tessarz wytapiają metale według planu Hanusza Kolera. Surowiec sprowadzano z Węgier. Przy wytapianiu obowiązywała tajemnica. Huta upadła w XVI wieku*. Decyzję lokalizacji huty pod Krakowem wstrzymywał argument, że zajmie ona bardzo urodzajne ziemie w Polsce. Datą przełomową w historii wymienionych wsi był 24 lutego 1949 r., kiedy to nastąpiło ostateczne zatwierdzenie miejsca budowy huty na terenach podkrakowskich. 23 czerwca 1949 r. w Mogile, na terenie „Osiedla A-1" (obecnie os. Wandy), rozpoczęto budowę pierwszych domów, a 24 kwietnia 1950 r. przystąpiono do wykopów ziemnych na terenie Mogiły, Pleszowa, Krzesławic i Luboczy pod budowę kombinatu, gdzie przybyli robotnicy z całej Polski. I tak już dzień po dniu, aż do chwili obecnej, rozrasta się Nowa Huta. Powstanie tego miasta jest najważniejszym punktem zwrotnym w losach tutejszych wsi.

Celem poznania zmian, które już zaszły, przedstawmy (minione i aktualne) warunki gospodarcze, społeczne, oraz kulturalno-oświatowe, panujące w Luboczy. Druga połowa XIX w. i początek XX w. to okres ważnych przemian w gospodarce rolnej. Oznaczały one wejście na drogę postępu od gospodarki tradycyjnej (np. usunięcie ugorów czarnych, gdy część ziemi leżała odłogiem), przejście od gospodarki zagonowej do orki płaskiej, zastosowanie obok tradycyjnego obornika nawozów sztucznych, wprowadzenie racjonalnego płodozmianu, stosowanie nasion selekcyjnych, wprowadzenie lepszych narzędzi: żelaznego pługa, bron i kultywatora sprężynowego, siewnika. W swoim dzieciństwie (ok. 1898 r.) widziałem jeszcze drewniane widły i łopaty okute blachą. Sierp przy żniwach, który zastąpiła kosa, w stodole zaś cepy (dziś jest już młocarnia elektryczna). W domach ucichły żarna, szuflę i wiatr zastąpił młynek do czyszczenia zboża, podniosła się hodowla bydła nizinnego. Wzrosła też wydajność zboża z 8 kwintali do 16 kwintali z morga. Ale wciąż narastało przeludnienie wsi i bezrobocie oraz „głód ziemi". W okresie międzywojennym i po II wojnie klasztor Norbertanek sprzedał kilkadziesiąt morgów ziemi chłopom, ale to nie zaspokoiło przysłowiowego „głodu ziemi". Podziały rodzinne rozdrabniały gospodarstwa, a zaborczy rząd austriacki nie pozwalał na budowę fabryk. Pamiętam, że na terenie Krzesławic obok Luboczy przed pierwszą wojną światową miała stanąć wielka cukrownia, co jednak nie doszło do skutku z powodu negatywnego stanowiska rządu zaborczego. Fabryka rozwiązałaby sprawę bezrobocia w całej okolicy. Zmniejszenie ilości i obszaru gospodarstw chłopskich w Luboczy w latach 1949-1961 spowodowane zostało przejęciem gruntów pod budowę Huty im. Lenina. Fakt ten wpłynął na zmianę stosunków społecznych; prawie cała ludność wsi znajduje rekompensatę za oddanie ziemi w pracy w Nowej Hucie i Hucie im. Lenina. Pozostało zaledwie 8 samodzielnych gospodarstw rolnych, w których właściciele i ich rodziny znajdują swe utrzymanie. U pozostałych rozdrobniona ziemia jest tylko dodatkowym źródłem utrzymania. Lubocza, wieś rolnicza przeistacza się w robotniczą, a młodzież w szkołach podstawowych i zawodowych przygotowuje się do pracy w zakładach przemysłowych.

Bliskie położenie Nowej Huty i jej potrzeby spowodowały zamianę upraw rolnych ze zbożowo-okopowych na gospodarkę warzywniczo-hodowlaną. W tym kierunku zmierzają prace w istniejącym Kółku Rolniczym, Kole Gospodyń, Lidze Kobiet i Związku Młodzieży Socjalistycznej. Prace te pozostają pod opieką Dzielnicowej Rady Narodowej w Nowej Hucie. Dążenie do powiększenia gospodarstwa zmieniło się na pragnienie uzyskania kwalifikacji do pracy w fabryce. Wysoki zarobek robotnika kwalifikowanego przy jednoczesnym żywieniu się z kawałka posiadanej ziemi pozwala na podniesienie stopy życiowej, co przejawia się w budowie trwalszych i obszerniejszych domów jednorodzinnych z cegły i żużlu, w odpowiednim ubraniu i jedzeniu, korzystaniu z kina, radia, i telewizji. Robotnicy, przybywszy tu z różnych regionów Polski, zawierają związki małżeńskie z mieszkankami Luboczy. Odchylenie od tego stwarzają jak zwykle; choroby, starość i niezdolność do pracy, a także pijaństwo, rozbicie rodzin i kłótnie. I te wypadki nie należą w Luboczy do rzadkości. Droga wiodąca przez osiedla otrzymała w latach 1960-1961 nawierzchnię asfaltową. Od 1 kwietnia 1961 r. przechodzą przez Luboczę z Nowej Huty do Wadowa i z powrotem dwa autobusy nr 110, co ułatwia komunikację z miastem. Tę nową linię utworzyło Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacji w Krakowie. Jeszcze kilkanaście lat temu luboczanie, idąc do kościoła, nieśli dla oszczędności buty w rękach, wdziewając je dopiero pod Pleszowem, a dziś jest to zbyteczne.

Poza dwiema kuźniami (obaj kowale pracują dorywczo) nie ma w Luboczy żadnych zakładów rzemieślniczych. Dwaj stolarze, dwaj szewcy, dwaj rymarze pracują w spółdzielniach rzemieślniczych. Jest kilka krawczyń, które nie mają wykształcenia zawodowego i po kilkumiesięcznych kursach szyją w domu dorywczo, przeważnie dla siebie. Chociaż Lubocza była i pozostaje wsią rolniczą, nie było dotąd przypadku, aby młodzież kształciła się w szkole rolniczej. Jeszcze za okupacji niemieckiej były tu 2 prywatne sklepy spożywcze; Piotra Wójcika (połączony z wyszynkiem alkoholowym) i Józefa Pietruszki. W 1936 r. założona została przez mieszkańców wsi spółdzielnia, która po wojnie zamieniona została w spółdzielnię „Samopomocy Chłopskiej" z zarządem w Węgrzcach, a potem w Ruszczy. Ze sprzedaży błonia gminnego został w 1935 r. wybudowany Dom Ludowy, w którym mieściła się Spółdzielnia, remiza Ochotniczej Straży Pożarnej i świetlica ze sceną do przedstawień i zebrań. Koszt budowy wyniósł 9 500 zł. Obecnie dom ten zajmuje ośrodek zdrowia i Spółdzielnia Spożywców. Ochotnicza Straż Pożarna istniała do roku 1950. Pierwszym jej komendantem był Józef Bęben, nauczyciel, drugim Jan Cygan, potem Józef Kot. Sprzęt tej straży przejęła Nowa Huta. W 1946 r. wieś została zelektryfikowana na koszt mieszkańców Luboczy i konwentu pp. Norbertanek. Prace wykonało Spo-

łeczne Przedsiębiorstwo Budowlane kosztem ok. 500 000 zł, z czego konwent pp. Norbertanek założył 60 000 zł. Trzeba zaznaczyć, że był to duży wysiłek finansowy dla małej początkowo liczby (35) założycieli komitetu elektryfikacyjnego. Praca ta była bardzo trudna z powodu niezrozumienia i konserwatyzmu jednostek. (mówiono: „Mnie się żryć chce, nie myśleć o elektryce" albo „Nie mam za co kupić czwartego koła do wozu", albo: „Prędzej mi włosy na dłoni wyrosną, jak panowie zbudują w Luboczy elektrykę"). A jednak wieś dała w tym przypadku dodatkową pracę w postaci zwózki słupów i materiałów, kopania dołów, ustawiania słupów, wyżywienia pracowników technicznych itp. Należy tu przypomnieć zasługi komitetu elektryfikacyjnego, który z inicjatywą, uporem i poświęceniem realizował powzięte dzieło: Franciszka Twaroga, Piotra Partyłę, Piotra Walczaka, Piotra Brosia, Józefa Bętkowskiego, Józefa Pietruszkę, Joachima Przeniosło, Piotra Raźnego i in. Nagrodą za poniesiony trud była radość, gdy w momencie podłączenia sieci do transformatora zabłysło światło we wszystkich domach. Z tą chwilą uświadomiliśmy sobie, że uboga wieś nasza wchodzi głębiej w postęp gospodarczy i kulturę.

Nie mogę tu pominąć tych osób, które oddziaływały na ekonomiczny i kulturalny rozwój naszej wsi, w okresie mojej pracy nauczycielskiej w Luboczy. Wymieniam z pamięci nazwiska tych osób: Józef Broś, Wincenty Pietruszka, Wincenty Kot (Gajoch), Antoni Cecuga, Piotr Broś – byli kolejno wójtami, a ostatni sołtysem gminy Lubocza. Gdy z okolicznych wsi powstała gmina zbiorowa w Mogile, to podlegała jej także nasza wieś. Wójtami jej byli: Stanisław Rosiewicz z Pleszowa, Kazimierz Cieślewicz z Czyżyn, Jan Ciepiela z Bieńczyc, Cyganik z Mogiły. Wspominam także nazwiska inżynierów rolnych: Kazimierza Cieślewicza – prezesa Małopolskiego Towarzystwa Rolniczego w Krakowie, inż. Mieszkowskiego, Gostyńskiego, Cikowskiego, Tracza – pracujących nad podniesieniem oświaty rolnej w powiecie krakowskim. Pamiętam inż. Feliksa Beaupre z Sygneczowa – prezesa Okręgowego Związku Młodzieży, który zmarł w niemieckim obozie koncentracyjnym, Emila Zegadłowicza – prezesa Małopolskiego Związku Młodzieży, pisarza, poetę, Wincentego Styryjskiego – prezesa Małopolskiego Związku Młodzieży, oddanego jej całym sercem, i wielu może już nie żyjących, ofiarnych pracowników, którym chłopska dola nie była obojętna.

Szkoła

Początkowo szkoła mieściła się w lokalach wynajętych na wsi. W roku 1880 wybudowana została szkoła murowana, parterowa, ze składek konkurencyjnych gmin miejskich i dworów w Luboczy i Grębałowie za kwotę 7 500 złotych reńskich. Była to publiczna szkoła ludowa, podlegająca Okręgowej Radzie Szkolnej w Krakowie, zatrudniająca etatowych nauczycieli, utrzymywana ze składek konkurencyjnych, płatnych przy podatkach. Wybudowana została na parceli obejmującej 2,5 morgi gruntu na rozwidleniu dróg wiodących z Luboczy do Łuczanowic i Wadowa. Budynek szkolny obejmował jedną salę naukową i mieszkanie dla nauczyciela, składające się z 2 pokoi i kuchni. W początkach tej szkoły uczęszczało do niej około 100 dzieci z Luboczy i Grębałowa (dziś 268). Dochód z sadu i gruntu szkolnego, uprawianego przez kierownika szkoły, stanowił jego dotację. Mógł on także ten grunt wydzierżawić komuś innemu, zaś mieszkanie, które zajmował w szkole, było służbowe. Dotacje te wiązały kierownika szkoły ze środowiskiem. Z kierowników szkoły, którzy tu najdłużej pracowali, wymieniam: Karola Chlebowskiego (28 lat pracy), Jana Maciaszka (18 lat), Franciszka Twaroga (44 lata), Ryszarda Wdzięczkowskiego (5,5 roku) i ostatnio pełniącego tę funkcję mgr. Stanisława Toronia. Oprócz nich uczyli tu nauczyciele, których wymieniam z pamięci: Kazimierz Łowczowski, p. Walczak, p. Osuchowska, Kazimiera Maciaszek, Feliksa Galiszkiewicz, Aniela Jakubowska, Maria Dzierżyńska, Genowefa z Wojnarowskich Twarogowa, Waleria Figwer, Zofia Kessler, Irena Oliwianka, Henryk Flis, Józef Bęben, Maciej Nowara, Józef Rzepecki, Stanisław Niżyński, Jan Twaróg, Eugenia Gaworek, Maria Zając, Stanisława Markiewicz, Maria Krajewska, Eugenia Cichocka, Stanisława Mikulska, Kazimiera Matoga, Ludwika Kamecka, Jadwiga Jackowska, Teresa ze Starklów Twarogowa, Maria Lesiczka, Michał Charuza, Edward Hładyłowicz, Maria Najder, Maria Bania, Helena Lis, Janina Mol, Barbara Kaczmara, Aleksandra Skrzeczyńska, Zbigniew Filek, Maria Orzeł, Jadwiga Wąs, Alicja Zawiertowa, Franciszek Mrowczyk, Jan Palluch.

W chwili powstania szkoły była ona szkołą jednoklasową o jednym nauczycielu. Stopniowo, wraz ze zwiększającą się liczbą dzieci, przybywa nauczycieli. W 1917 r. są już 3 siły nauczycielskie, szkoła jest dwuklasowa. W tym czasie została dobudowana druga sala naukowa, a wynajęta trzecia (u Wośka). Nauka obowiązkowo trwała przez 6 lat: I klasa – 1 rok, II klasa – 1 rok, III klasa – 2 lata, IV klasa – 2 lata. W 1928 r. szkoła otrzymała od Norbertanek stary, drewniany budynek, w którym po koniecznej adaptacji mieściły się 2 sale naukowe. W 1959 r. budynek ten usunięto, gdyż groził zawaleniem, a wydzierżawiono na klasy 4 izby w budynku OZR. Tak więc obecnie ma szkoła 2 sale własne i 4 sale wynajęte. Uczy w nich 8 sił nauczycielskich. W roku 1914 na równi z budynkami wiejskimi uległa częściowemu zniszczeniu i szkoła. Wojska austriackie zniszczyły, oprócz wewnętrznego urządzenia jak podłogi, piece, okna, także ławki, stoły, szafy, wszystkie akta szkolne (pozostała tylko pieczątka szkolna). Stodoła i stajenka zostały całkiem zburzone, czterdziestoletni sad został wycięty, ogrodzenie zniszczone. W latach 1918-1920 dokonano remontu szkoły i odbudowy obiektów gospodarczych dzięki pomocy Urzędu Odbudowy Kraju i subwencji w kwocie 7 000 zł. Szkoła przechodziła wte-

dy najcięższe chwile. Wskutek istniejącego moratorium i zwolnienia gmin zdemolowanych od podatków szkoła funkcjonuje bez funduszy na utrzymanie. Pierwsze 10 kwintali węgla na zimowy opał szkoły w 1917 r. dał kierownik szkoły (kupił go za własny owies), dalsze pochodziły ze zbiórki w naturze. Za słupki i drut do ogrodzenia kierownik szkoły dał 50 kg pszenicy własnej; za zestawienie stodółki otrzymanej z Centrali Odbudowy dał cieśli cały omłot słomy długiej (1920 r.); 10 ławek starych, sześcio-siedzeniowych otrzymała szkoła z Magistratu Miasta Krakowa; 2 szafy, 2 stoły i stołki zrobił kierownik. On też założył nowy sad koło szkoły. Nauce szkolnej przeszkadzały prace wiosenne (siewy i sadzenia), pasanie bydła oraz jesienne prace (wykopki), dla których to robót nawet ją przerywano. Grzywny za nieposyłanie do szkoły nie były ściągane. Liczba dzieci, które nie kończyły szkoły dochodziła do 50 %.

W czasie II wojny światowej szkoła była zajęta przez wojsko niemieckie (cztery klasy, prócz mieszkania kierownika szkoły). Nauka jawna trwała od ostatnich dni września 1939 r. Nauczycielstwo przystąpiło do pracy gdy tylko zaistniała taka możliwość, mimo braku zabezpieczenia własnego bytu. Nauczycielami byli: Franciszek Twaróg, Teresa Twarogowa i Maciej Nawara. Uczyliśmy tylko w dwóch izbach budynku dworskiego. W mieszkaniu kierownika szkoły odbywało się tajne nauczanie z zakresu ostatniej klasy szkoły powszechnej i pierwszej klasy gimnazjum klasycznego. Uczęszczały dzieci z Luboczy i sąsiedniego Wadowa, które po wojnie na podstawie egzaminu wstępnego przeszły do gimnazjum w Krakowie.

Budowa Nowej Huty i wynikające z niej przemiany decydująco wpłynęły na ustosunkowanie się ludności do nauki. Dziś każdy widzi swoją przyszłość w nauce i przygotowuje się do życia w zmienionych warunkach. Chleb z rozdrobnionej ziemi nie wystarczy na utrzymanie się rodzin. Źródłem utrzymania może być tylko praca wymagająca obecnie przygotowania. Stąd młodzież w większości idzie do szkół zawodowych i znajduje potem zatrudnienie w mieście. Frekwencja dzieci w szkole dochodzi nieraz do 99 %, poprawiają się wyniki nauczania. Budynek szkolny okazuje się już za ciasny, niehigieniczny, nieodpowiedni dla realizacji planowanego ośmioletniego nauczania. W akcji zwalczania analfabetyzmu Franciszek Twaróg i Janina Mol wzięli udział w 1948 r. W roku 1961 uczyło się w szkole 270 dzieci z Luboczy i Grębałowa, pod kierownictwem Stanisława Toronia, mianowanego na to stanowisko od dn. 1 września 1960 r. Uczą: Barbara Kaczmara, Maria Orzeł, Teresa Deska, Maria Bania, Aleksandra Skrzeczyńska, Zbigniew Filek, Franciszek Twaróg (w niepełnym wymiarze godzin). Na rok szkolny 1961/1962 przydzielone zostały: Jadwiga Wąs i Alicja Zawiertowa, a Franciszek Twaróg przeniósł się do nowoutworzonej szkoły na Wzgórzach Krzesławickich.

Przedszkole

W dniu 17 października 1928 r. ksieni klasztoru zwierzynieckiego – s. Fryderyka Szeligiewicz ufundowała ochronkę w Luboczy, utrzymywaną z dotacji klasztornej. Pierwszą kierowniczką ochronki była s. Bogumiła Jędrzejowska (w latach 1928-1931), następnie s. Milona Małysiak (1931-1933), s. Waleria Klinowska (do 1934 r.). Po niej obejmuje te placówkę s. Alojza Gołaszewska, która przetrwała na tym stanowisku okupacje hitlerowską i ciężkie warunki pracy. W roku 1945 ochronka została przekształcona w przedszkole. Stowarzyszenie „Caritas" pomagało w prowadzeniu tego przedszkola poprzez dotacje i dostarczanie artykułów żywnościowych. Od 1 listopada 1958 r. funkcję kierowniczki objęła Bronisława Stanisz i wychowawczyni Janina Truszkowska. W 1959 r. budynek przedszkola został odrestaurowany kosztem ok. 34 000 zł. Sale są jasne, jest dużo nowych pomocy naukowych i zabawek, to znak pieczołowitej opieki Polski Ludowej nad dziećmi najmłodszymi. 35 dzieci robotników Huty im. Lenina spędza czas godzin lekcyjnych w przedszkolu pod opieką wychowawczyń szczerze oddanych swej pracy. 1 września 1961 r. przedszkole zostało przejęte przez Wydział Oświaty Prezydium Dzielnicowej Rady Narodowej w Nowej Hucie.

Ludność

Ludność naszej wsi cechuje fatalizm. Chłop w dawnych czasach pozostawiony sam sobie, niezaradny wobec klęsk żywiołowych jak gradobicie, deszcz, susza, pożary i epidemia, padał często ofiarą surowej, bezwzględnej siły przyrody. Nie posiadając środków do walki z nią czuł się wobec niej bezsilny, nie widział znikąd pomocy ani ratunku. Pozostało mu tylko cierpieć, zacisnąć pasa i przetrwać. Był wtedy bezwzględny dla siebie i dla drugich, tak jak twardy był dla niego los. Dziś znajduje ratunek w ubezpieczeniach, lecznictwie społecznym, ma opiekę zawodową. Jednakże kilkuwiekowe doświadczenia w psychice chłopów spowodowały, że tkwi w nich przeświadczenie, że tak się stało – bo tak miało być. Jednocześnie wyrobił się w nim tzw. „chłopski upór", wynikły z konieczności samotnej nieraz walki o byt. Naprzeciw szkoły mieszkał chłop – Stanisław Wójcik, który trzy razy stawiał swój dom: pierwszy odziedziczył po ojcu, drugi zbudował (bo ojcowski już się ze starości zniszczył), trzeci mu spłonął, w czwartym po odbudowie mieszkają jego dzieci. Jest też niedaleko dom Wincentego Brosia, który postawił nowy dom na ojcowiźnie. Ten dom został przeniesiony w inne miejsce, bo parcela budowlana została zajęta przez PKP. Lecz i tego los jest niepewny, bo parcela będzie potrzebna pod budowę kombinatu. *Miałam pięcioro dzieci, wszystkie mi pomarły, dopiero te następne mi się chowają* – mówiła do mnie w czasie epidemii szkarlatyny Regina Głowa.

Charakterystycznym rysem jest nieufność. Przez wiele lat wieś była terenem rozgrywek politycznych, które

w pewnych okresach (wybory) nabierały na sile. Obietnice dobrobytu i szczęścia pozostały mitem, jak również brak wiary w intencje i przyrzeczenia tych, którzy dziś przychodzą do ludności, aby szczerze i prawdziwie podać rękę w trudnościach. Na zebraniu milczą, dopiero po zebraniu wypowiadają swoje zdanie. Łączy się ta nieufność z dużą dozą konserwatyzmu i ostrożnym podejściem do najlepszych intencji i rad. Wieś nie znosi obietnic bez pokrycia i nieudanych eksperymentów, które przynoszą skutki nie tylko na teraz, ale podkopują kredyt zaufania na przyszłość. I na odwrót: każdy kolejny sukces w pracy, solidna realizacja zamierzeń skupia coraz więcej zwolenników i pociąga do śmielszych planów i współdziałania.

Lubocza leży oddalona zaledwie o 15 km od Krakowa, który jest przecież centrum oświaty i kultury. Dlaczego zatem bliskość miasta nie wywarła silniejszego wpływu na rozwój tejże oświaty i kultury w podkrakowskich wsiach? Przyczyną tego stanu był nie tylko szkodliwy antagonizm między miastem a wsią, jaki istniał w wyniku trudności materialnych obu stron i wzajemnych potrzeb. Wieś nie doceniała ważności nauki, pomimo kontaktów gospodarczych istniała izolacja wsi i obojętność miasta. W ciągu mojej półwiecznej pracy nauczycielskiej w Luboczy tylko dwoje uczniów poszło do szkół średnich w Krakowie. Stan ten dopiero uległ poprawie po II wojnie światowej, ale do nauki garnęły się z początku tylko dziewczęta. Ani jeden uczeń nie poszedł w kierunku wykształcenia rolniczego, co wskazanym było ze względu na rolniczy charakter naszej miejscowości. Emigracja uczniów do miasta i osiągnięcie przez nich wyższego wykształcenia nie dała wsi żadnej korzyści, bo wykształcona młodzież, przeceniając pracę w mieście, już do wsi nie powracała, lekceważąc twardy chleb ojcowski. Ze wsi odpływały i nadal odpływają najzdolniejsi jej synowie. Trwa izolacja i osamotnienie. Pod tym względem także w naszej wsi zaszła zasadnicza zmiana. Nie tylko młodzież opuszcza swoją wieś, ale wszyscy ci, którzy z tytułu swojego zawodu i miejsca pracy związani są z życiem wsi, a więc nauczyciele, agronomowie, kierownicy gospodarstw rolnych. Oni wiążą jednak swoje życie z miastem, a pracę traktują jako tymczasową. Przenoszenie tych ludzi z miejsca na miejsce powoduje szkodę. W Luboczy na ośmioro pracującego tu nauczycielstwa wszyscy dojeżdżają z Krakowa i Nowej Huty. Nie ma ścisłej więzi pracownika z terenem. Odpływ ludzi wykształconych ze wsi jest przyczyną jej osamotnienia i osłabienia w pracy rozwojowej. Hamulcem w tym rozwoju i pracach organizacyjnych jest brak osobnego domu przeznaczonego na ten cel. Zebrania i imprezy organizowane w szkole przeszkadzają spokojnej nauce. Lubocza leży nad trzema stawami, błotnistymi, nieogrodzonymi. W domach jest wilgoć i stęchlizna, a w obejściach błoto. Są jeszcze do tej pory, choć już nieliczne, gnojownie pod domami, a w izbach mieszkalnych zamiast podłogi – klepisko z gliny. Wśród dzieci trafia się krzywica. Studnie nie dokopane do źródła mają wodę zaskórną, rdzawą, nie nadającą się do picia. Należałoby obniżyć poziom wody zaskórnej, spuścić ją przez obniżenie przepływów pod mostami, a przede wszystkim należy zasypać stawy.

Koniecznym warunkiem życia człowieka, wpływającym na skuteczność jego pracy jest wypoczynek i rozrywka. Stary jej potrzebuje, a młody mieć musi. Młodzież dziś zarabia i łatwo organizuje rozrywki; zbiera się na drodze. „Gdzie idziemy? Arkadia? Stylowa?" No i wódka. Obchodzimy Międzynarodowy Dzień Kobiet, program jest naprawdę wzruszający. Koło Gospodyń czynne. Potem muzyka i taniec zespołowy: polonez, krakowiak, trojak... Atmosfera serdeczna, herbatka, ciastka. Ale skąd na stole flaszki? Może 5, może 6. Dwie „wyszły" zza pieca, a inne? A stołów było dwanaście. Młodzież piła „jabcok". „Bez humoru nie ma zabawy, bez wódki nie ma humoru".

Lubocza, tak jak inne wsie, na których terenie powstaje Nowa Huta, musi dostosować swoją gospodarkę do potrzeb miasta. Przejść z gospodarki zbożowej na warzywną. Jeżeli jednak po starannym uzyskaniu dobrego plonu nie znajdzie rolnik zbytu po cenach pokrywających jego koszta produkcji, musi on deficytowej uprawy zaniechać. Producent, gospodarujący na małym kawałku ziemi prymitywnymi narzędziami nie wytrzymuje konkurencji większych gospodarstw rolniczo-ogrodniczych. Należy więc nauczyć ludność uprawy koniunkturalnej (np. warzyw wczesnych), obniżyć koszta produkcji (np. przez użycie maszyn i narzędzi) i zabezpieczyć rynek zbytu.

Kłopotliwa jest sprawa nieuregulowanego prawa własności w poszczególnych rodzinach, gdzie np. ojciec rozdzielił majątek pomiędzy swoje dzieci, a płaci za nie wskutek progresji zwiększony podatek, bo nie dokonał hipotecznego zaintabulowania tego podziału w księgach wieczystych. Albo rozdzielił ziemię między dzieci, pracował w kombinacie i mógłby się starać z powodu niezdolności do dalszej pracy o rentę, lecz jej nie otrzyma, bo cały majątek figuruje w księgach hipotecznych pod jego nazwiskiem – i znów zmartwienie, którego przyczyną jest zaniedbanie intabulacji prawa własności. Wieś mało czyta, biblioteka publiczna mieści się w szkole, prowadzi ją nauczyciel. Po książki przychodzi jednak niewielu, dzienniki także nie idą. We wsi jest kiosk „Ruchu", stan czytelnictwa jednak się poprawia.

Folklor

Strój krakowski ginie stopniowo. Sukmany, kaftany i pasy poszły na cmentarz, do grobów z ich właścicielami, nie ma nawet krawców, którzy by je mogli i umieli uszyć. Niektóre dziewczęta mają jeszcze po swoich matkach barwne gorsety, spódnice, fartuszki kwieciste, ale mają one znaczenie jako strój obrzędowy, jak jest ślub,

procesja itp. Na dożynki musieliśmy wypożyczać stroje krakowskie z domu kultury w Nowej Hucie. Śpiewamy czasem „Szła dzieweczka do laseczka", „Czerwona róża", „Na wójtowej roli", ale już coraz więcej: „Marina", „Jarzebina", „Złoty pierścionek". Wieś się unowocześnia w zwyczajach, pieśni, tańcu i strojach. Ostatnie, prawdziwe krakowskie wesele widziałem i brałem w nim udział przed 40 laty. Nie ma już skrzyni krakowskiej z wypisaną na wewnętrznej stronie wieka kroniką rodzinną, wypełnionej poskładanymi w niej pieczołowicie i z szacunkiem strojami, wstęgami, koralami matki i koralową, srebrną spinką do koszuli ojca. Skrzynia, jako pamiątka po ojcach, sczerniała i próchniejąca stoi w komorze jako świadek czasów „Wesela" Wyspiańskiego. Nie ma też ludzi długowłosych, siwookich, barczystych i silnych a poczciwych. Nie ma aktorów tego wesela, które dziś odzywa się tylko coraz cichszym echem przeszłości. Nie ma szanownych postaci, którym śniła się umiłowana, własna Polska...

Przed wsią i ponad nią słychać dziś huk maszyn, widać dymy, łunę i błyski zwiastujące „nową erę" nie tylko naszej wsi, ale całej naszej wspólnej własności. Wierzę w znaną na całym świecie pracowitość naszego ludu. Patrzę już bez mała przez trzy pokolenia i wciąż widzę twarze zorane wichrem i spiekotą, ściskam ich twarde i czarne ręce... Z tymi ludźmi szedłem w miarę sił i możności ku lepszej doli. Wierzę, iż w zmienionych warunkach wykują te dłonie z nowohuckiej stali siłę i dobrobyt Polski Ludowej.

Lubocza, 10 marca 1962 r.

Kronika szkolna[3]

Z powodu zniszczenia akt szkolnych, któremu uległy w roku 1914 i kompletnych braków w funduszu szkolnym, akta te przywrócone zostały w roku 1919. Kronika niniejsza rozpoczyna się o 5 lat wstecz od r. 1914., od roku „brzemiennego w wypadki", by pamięć ich notowana prawie z ich biegiem przeszła na karty kroniki tradycyą niezmieniona.

Szkoła tutejsza wybudowaną została w r. 1880. W pamięci ludu zostało kilku kierowników szkoły tutejszej, lecz najwięcej i najgoręcej wspominanym przez nich jest Chlebowski Karol, który zajmował to stanowisko najdłużej i który swą pracą w szkole i pracą społeczną wykształcił obecne pokolenie rolników, odznaczających się inteligencją i wysokim stopniem oświaty. We wspomnieniach swych zachowują oni dla niego głęboką wdzięczność. Budynek szkolny, budynki gospodarskie, ogród doprowadził do stanu używalnego i wzorowego. Jan Maciaszek był kierownikiem przez przeciąg lat kilkunastu. Za jego kierownictwa zaszły w gminie wypadki, które spowodowały zupełne zniszczenie szkoły i zastój w nauce na lat 4, aż do odrestaurowania szkoły w latach 1917-1918. W maju 1917 r. przeniósł się on na własne żądanie do 4 klasowej szkoły w Dojazdowie, gdzie zmarł w r. 1918. Po nim objął kierownictwo szkoły Franciszek Twaróg, spisujący obecnie tę kronikę.

W Imię Boże!

Rok 1914

Od chwili ogłoszenia mobilizacji w sierpniu 1914 r. żyła ludność gmin pod ustawiczną grozą ewakuacji, zburzenia i poborów wojskowych. Gminy i obszary dworskie; Lubocza i Grębałów, które wchodzą w zakres szkoły, jako leżące w obrębie bliskim fortyfikacji, miały być ewakuowane i zniszczone ze względów wojskowych. Jakoż w początkach listopada przyszedł rozkaz natychmiastowego opuszczenia swych miejsc zamieszkania i wyjazdu do gmin w innych powiatach. Od czasu tego ciągnie się szereg nieszczęść, które spotykały mieszkańców jedno po drugim. Ze względu na krótki termin pozostawiony przez władze wojskowe, ludność uciekała bezładnie, zabierając ze sobą tylko najniezbędniejsze rzeczy i środki żywności. Nie mając paszy i umieszczenia dla bydła, pozbywali się tutejsi rolnicy inwentarza żywego za marne grosze. Bardzo znaczną ilość zarekwirowało wojsko. Mieszkańcy wyjechali do gmin podmiejskich: Dąbia, Grzegórzek, Czyżyn, Rakowic i innych, w sąsiedztwie nie ewakuowanych. Gdyby nie interwencja ks. biskupa Adama Sapiehy, p. delegata Fedorowicza i komisarza dla spraw wojskowych Krobfa, musiałaby ludność w czasie ewakuacji miasta i te gminy opuścić. Pozostawiono ją przez wzgląd na dobre zaopatrzenie w żywność. Równocześnie około października 1914 r. przerwano naukę szkolną. Kierownik szkoły Jan Maciaszek wyjechał i zamieszkał w Krakowie. Budynek szkolny zajęty został przez oddziały wojska i żandarmerii. Przebywające tu oddziały zniszczyły całe urządzenie wewnętrzne budynku; okna, drzwi, podłogi, ławki, szafy, wszystkie przybory naukowe i zbiory, dorobek z kilkudziesięciu (40) lat istnienia szkoły. Książki, mapy, okazy, przyrządy, których były dwie pełne szafy, walały się rozrzucone po gościńcu i ogrodzie. Ławkami palono lub użyto ich w rowach strzeleckich, również i piece żelazne tam zabrano.

Po wyewakuowaniu ludności z gmin Grębałowa i Luboczy zajęły oddziały załogi twierdzy opuszczone domy, przystępując do ich burzenia. Burzono więc stodoły, stajnie, domy, wycięto drzewa owocowe i dzikie, wszelkie ogrodzenia. Nie szczędzono też płodów pozostawionych w stodołach, strychach i piwnicach, rekwirując do użytku wojska. Tak zniszczono 47 zabudowań w gminie Lubocza i wszystkie zabudowania w Grębałowie, tak, że wieś ta prawie przestała istnieć. Przy szkole tutejszej zburzono stodołę wraz ze stajenką, wychodki, spalono całe ogrodzenie i wycięto około 90 drzew trzydiesto-

3. Autorem większości wpisów zamieszczonej tu kroniki jest Franciszek Twaróg. Zachowano pisownię oryginalną

pięcioletnich, tak owocowych, jak dzikich. Dach podziurawionym został przez kule karabinowe. Przez ogród od strony północnej i wzdłuż ściany zachodniej szedł głęboki rów strzelecki. W salach szkolnych i mieszkaniu było na pół metra słomy i nieczystości. W sali zachodniej wyrwano z ramami 5 okien, w mieszkaniu 4 okna.

Rok 1915

Przez 5 miesięcy była ludność na ewakuacji tj. od listopada 1914 r. do marca 1915 r. włącznie. Z chwilą ustąpienia armii rosyjskiej spod Krakowa wracała do swych siedzib. Przy powrocie swym, jak również i później przy jazdach do Krakowa, napotykała wiele trudności z powodu rewizji i legitymowania na posterunkach przy przejeździe przez ochrony z drutu kolczastego. Zaraz też przystąpił każdy do budowy bodaj prowizorycznego schroniska, o ile dom był zniszczony. Gdy pozostała stajnia, zamieszkali w stajni, gdy stodoła, w stodole. Specjalna komisja Dyrekcji Inżynierii zbadała i oszacowała szkody u poszczególnych rolników, jak również w szkole, dworze i publicznej własności gminnej. Każdy z rolników wniósł zgłoszenie szkód do Starostwa z pretensją o odszkodowanie za zniszczenie. W budynku szkolnym nie można było zaraz nauki rozpocząć ze względu na stan sal i całego budynku i brak sprzętów szkolnych. Dla pilnowania i oczyszczenia ubikacji zamieszkał tu rolnik z Grębałowa – Florkowski. Z 40 ławek udało się wreszcie zebrać 12 trzysiedzeniowych i rozpoczęto, po odczyszczeniu sali od strony wschodniej, naukę, którą prowadził mianowany tu prowizorycznie J. Palluch. Ten jednakże ze względu na stan zdrowia ustąpił i zmarł w Krakowie. Po nim uczyła p. Osuchowska.

Rok 1916

Na żądanie Rady szkolnej okręgowej objął w tym roku swą posadę Jan Maciaszek. Lecz i za niego z powodu braku opału i najniezbędniejszych rzeczy nauka nie mogła iść normalnym torem. Przy pomocy kwoty 900 K, uzyskanej z Rady szkolnej okręgowej na adaptacyę, poczyniono najniezbędniejsze naprawki. Jednak z powodu braku pieców w salach i opału nie było w zimie nauki.

Rok 1917

Nauka rozpoczęła się dopiero wiosną 1917 r. Skład grona był następujący: Jan Maciaszek, kierownik, Kazimiera Maciaszkówna, nauczycielka tymczasowa, Felicya Galiszkiewicz, nauczycielka tymczasowa. Uczono tylko w sali od strony wschodniej. Poprawy drugiej sali nie można było przeprowadzić, gdyż datki konkurencyjne stron nie wpływały z powodu zwolnienia od podatków, a w funduszu szkolnym miejscowym nie było żadnego dochodu. Z końcem kwietnia przeniósł się J. Maciaszek na kierownictwo do 4 klasowej szkoły w Dojazdowie. Na jego miejsce mianowała Rada szkolna Franciszka Twaroga, nauczyciela stałego w Mogile, który objął to stanowisko z dniem 1 maja 1917 r. Córka p. Maciaszka – Kazimiera uczyła jeszcze do końca tego roku szkolnego, a później przeniosła się do Dojazdowa. Namiestnictwo Centrala odbudowy Galicyi przyznało tutejszemu funduszowi szkolnemu kwotę 7.000 K w maju tego roku na restaurację budynku szkolnego. Nowomianowany kierownik szkoły zajął się natychmiast sprawą odbudowy. Rada szkolna miejscowa uchwaliła na specjalnym posiedzeniu pominąć oferty przedsiębiorców, a to ze względów oszczędnościowych, a restaurację przeprowadzić we własnym zakresie, oddając tę kwotę kierownikowi szkoły. Mimo wielu trudności wynikających z braku wszelkiego materiału i robotnika, zdołał tenże w przeciągu 7 miesięcy stopniowo restaurację przeprowadzić i tak murarze pozacierali dziury w murach, umocnili wszystkie odrzwia, poprawili schody frontowe, wprawili nowe ramy przy oknach, otynkowali wokoło budynek dołem. Cieśle wprawili podłogę w sali zachodniej i 2 sieniach, zrobili stopnie. Kaflarz postawił 4 piece kaflowe, a mianowicie: w obu salach, kuchni i mieszkaniu dla nauczycielki. Blacharz poprawił rynny narożne. Malarz wybielił cały budynek szkolny zewnątrz i wszystkie ubikacje wewnątrz. Poprawiono również dach na szkole, ganek. Mimo iż kwota ta przeznaczona była tylko na restaurację budynku, zakupiono z tego funduszu 10 ławek 4-ro siedzeniowych do sali zachodniej, zrobiono 2 tablice. Ponieważ okna były zbutwiałe i bez szyb, wprawiono 5 okien w sali zachodniej i 4 okna w mieszkaniu kierownika szkoły.

W dniu 2 czerwca dotknęła gminę klęska gradobicia, która zniszczyła w niektórych okolicach gminy do 75 % plonów, a szczególnie żyta i pszenicy. Z początkiem sierpnia tego roku nastąpił wybuch prochowni znajdującej się w Mogile, który poczynił bardzo wielkie spustoszenia w okolicznych wsiach, a pociągnął za sobą szereg ofiar w ludziach na liczbę około 50 osób, przeważnie wojskowych. Skutki detonacji dały się odczuć w tutejszej gminie, lecz większych strat nie było. Ludność poniosła straty we wzruszeniu i opadnięciu wapna ze ścian, wybiciu okien etc. Budynek szkolny stojący ku południowej stronie ucierpiał stosunkowo najwięcej. Wyleciało 16 szyb z okien. Poruszone zostały dachówki, w komórce opadł tynk z sufitu, nadwyrężone zostały drzwi prowadzące do sali wschodniej. W podaniu o odszkodowanie obliczono szkodę na sumę 70 K, co Komisja wojskowa zatwierdziła. Celem uporządkowania ogrodu musiano pozostałe pniaki wykarczować.

W miejsce przeniesionej do Dojazdowa p. Kazimiery Maciaszkówny, zamianowaną została J. Jackowska. Począwszy od września 1917 r. prowadzono więc naukę codzienną w następującym rozkładzie: Franciszek Twaróg klasę 3-cią i 4-tą, Felicja Galiszkiewicz 2-gą, J. Jackowska 1-szą. Stan ten istniał do końca 1917 r. Ze względu na zupełny brak opału musiał Zarząd szkoły zarządzić przerwę od połowy listopada. Przerwa ta jest zupełnie usprawiedliwioną, gdyż:

1. Nie było żadnych pieniędzy w funduszu miejscowym.
2. Węgiel nabyć było można tylko przeważnie drogą wymiany zboża za węgiel, a tego Zarząd nawet na własny użytek na razie nie posiadał, bo zbiory żyta i pszenicy należały się jeszcze byłemu kierownikowi szkoły p. Maciaszkowi.
3. Węgiel był bardzo drogi, a za pieniądze dostać było można w bardzo małej ilości.
4. Zamówienia wniesionego za złożeniem kwoty na 10 ctn węgla jeszcze w sierpniu 1917 r. Centrala nie wykonała.

Za uzyskaną kwotę z czynu mieszkalnego Komisji przeprowadzającej komasację gmin zdemolowanych, która zajmowała nie odrestaurowane jeszcze mieszkanie kierownika szkoły (który mieszkał tymczasem w pokoiku dla nauczycielki), udało się wreszcie zdobyć 10 q węgla, co umożliwiło rozpoczęcie nauki normalnej od lutego 1918 r.

Poziom umysłowy i stan nauki u dzieci pozostawiał wiele do życzenia, a spowodowanym było to przez ewakuację i długie przerwy w nauce wskutek ruiny budynku szkolnego, braku sprzętów, opału, opieki domowej nad dziećmi. Nauczycielstwo było jedynym, które je mogło od zupełnego zdziczenia uratować i ratowało. I na tym miejscu musi się nadmienić, że ten najbiedniejszy z biednych, najbardziej pokrzywdzonych, żyjący w czasie, gdy zarobek chłopca sprzedającego gazety przenosił kilkakrotnie 100-koronową pensję przedwojenną, która mu nie wystarczała nawet na najnędzniejsze wyżycie, szedł o głodzie nieść oświaty kaganiec z całym zaparciem samego siebie w zrozumieniu idei i tylko dla idei, której życie, zdrowie poświęcił i straszną nędzę cierpiał, co mu przed całym społeczeństwem polskim poczytanym wreszcie być musi.

Rok 1918

Przerwa w nauce z powodu braku węgla trwała do końca stycznia tego roku. W lutym zamianowana została do tutejszej szkoły Teresa ze Starklów Twarogowa w miejsce J. Jackowskiej, przeniesionej do 4 kl. szkoły w Mogile i objęła po niej prowadzenie klasy 1-szej. Przy usilnej i pilnej pracy grona nauczycielskiego wyrównano braki spowodowane przerwą. Ze względu na liczną frekwencję, poczynił Zarząd szkoły starania o uzyskanie jeszcze jednej siły nadetatowej. Uwzględniając tę potrzebę Rada szkolna krajowa przyznała i utworzyła jedną klasę nadetatową dla której mianowanym został Jan Twaróg (brat Franciszka – dop. red.), zwolniony ze służby wojskowej. Dotychczas z powodu braku ogrodzenia ogród szkolny leżał odłogiem. W czerwcu wystarał się kierownik szkoły o słupki i drut z Dyrekcji Inżynieryi wojskowej w Czyżynach (za 1 q pszenicy) i z dziećmi szkolnymi własnoręcznie ogrodził prowizorycznie całe obejście. Na skutek wniesionego podania Centrala odbudowy kraju zbadała zniszczenie stodoły i stajni i poczyniła kroki do ich odbudowy. Również studnia została przez Centralę przy subwencji 1200 K odbudowaną i odczyszczoną.

Rok 1919

Nauka w tym roku trwała już nieprzerwanie przy uzyskanym ze Starostwa w ilości 50 ctn aż do 28 czerwca. Rok szkolny zakończył się popisem, który urozmaiciły produkcje muzyczkowe dzieci wraz ze śpiewem, pod kierownictwem Jana Twaroga, który bezinteresownie wyuczył kilkoro chłopców gry na skrzypcach. Powstała również mała biblioteczka książek do czytania, z której dzieci chętnie korzystały. Po dwumiesięcznych wakacjach rok szkolny 1919/1920 rozpoczął się dn. 3 IX nabożeństwem. Rozdział klas był następujący: I klasę objęła Teresa Twarogowa, II – Feliksa Galiszkiewicz, III – Franciszek Twaróg, IV – Jan Twaróg. Nadmienić należy, że skład grona nauczycielskiego nie pozostawiał nic do życzenia. Dzięki rodzinnym stosunkom wzajemnym spełniał każdy swe zadanie nie pod przymusem kierownika, lecz z poczucia obowiązku zrozumieniem zadania na czym zyskał bardzo stopień nauki w całej szkole.

Na wiosnę i jesienią tego roku zaczęła się szerzyć choroba, zwana „hiszpanką", na którą zapadło wiele dzieci szkolnych, jednakże nie było u dzieci tutejszych wypadków śmierci, poza śmiercią kilku starszych osób, ale frekwencja szkolna znacznie się obniżyła. Zima tegoroczna zapowiadała się katastrofalną pod względem opału. W październiku szkoła nie miała żadnego opału. Ludzie palili słomą, drzewem świeżo ściętym. Zarząd szkoły zmuszony był użyć topolę rosnącą przy polu szkolnym na opał. Ferie świąteczne przedłużone były do 15 stycznia. Na szczęście z przydziału Starostwa uzyskała szkoła dwa razy po dwie fury węgla i odtąd nauka trwa już nieprzerwanie do końca. Nadmienić należy, że przy wszystkich szkołach prawie bez wyjątku funkcje Rad szkolnych miejscowych ograniczają się tylko do posiedzeń dla preliminarzy lub zamknięć rachunków, zaś wszelkie starania i wysiłki o zaopatrzenie szkół w opał i inne potrzeby szkoły zdane są na kierowników szkół. W niejednej okolicznej szkole Rady szkolne niejednokrotnie paraliżują wysiłki kierowników. Tutejsza jednak Rada szkolna miejscowa w składzie: ks. Jan Skarbek, przewodniczący, Jan Grzymek z obszaru dworskiego Lubocza, Władysław Cieślewicz z obszaru dworskiego Grębałów, St. Fraś z gminy Lubocza i W. Pazdalski z gminy Grębałów idą kierownikowi Fr. Twarogowi na rękę, widząc jego bezinteresowne starania o dobro szkoły. W szczególności zaznacza się życzliwość czcigodnego ks. Jana Skarbka i J. Grzymka,

który osobiście niejednokrotnie tut. kierownikowi dopomógł. Stosunek ludności do szkoły, a szczególnie do osoby kierownika można nazwać w porównaniu do stosunków panujących w innych gminach, dość życzliwym, ale z rezerwą i bez zobowiązań natury materialnej. Taktownym postępowaniem można jednak wyrobić współżycie z ludnością i zyskać zaufanie.

W roku tym zaznaczają się silne prądy między ludnością, skierowane przeciw większej własności, a szczególnie dworom. Prądy te tkwiące od bardzo dawna spotęgowane zostały obecnie przez agitację wyborczą i zapowiedzianą reformą rolną. Prądy te znalazły tu podatny grunt, usprawiedliwiony jedynie „głodem ziemi" naszego ludu. Prąd ten wyzyskany przez jednostki nieraz złej woli może doprowadzić do zawiści i objawów radykalnych, które później ciężko by było opanować. Rozumiejąc w tym wypadku, że szkoła powinna być poza wszelką walką, zajął kierownik szkoły stanowisko neutralne na razie, bo w przyszłości zapewne fermenty te muszą się skończyć. W roku tym zawiązało się Kółko rolnicze, do którego zapisało się z początku 50 członków a doszło do 114. Przez Kółko rolnicze ma kierownik szkoły sposobność wpływać na ludność w kierunku ogólnej zgody w myśl przysłowia „Zgoda buduje, niezgoda rujnuje."

Rok 1920

Odbudowa zburzonych budynków gospodarczych postępuje w szybszym tempie. Z asygnowanych 10 milionów koron na odbudowę wsi krakowskich rozdziela Ekspozytura budowlana w Krakowie materiały budowlane poszkodowanym. Dzięki długim zabiegom udało się kierownikowi szkoły uzyskać materiały do budowy stodółki i stajenki. Od 1 września 1920 r. zamianowała Rada szkolna powiatowa w miejsce przeniesionego na kierownictwo do Pleszowa Jana Twaroga, Marię Dzierżyńską, b. nauczycielkę w Kościelnikach. Grono jest więc w następującym składzie: I klasę uczy Maria Dzierżyńska, kl. II – Teresa Twarogowa, kl. III – Feliksa Galiszkiewicz, kl. IV – Franciszek Twaróg. Dzięki staraniom p. Konopki z Modlnicy, delegata do Rady szkolnej okręgowej zamiejscowej otrzymała szkoła tut. z Żeglugi Polskiej Wisłą 80 q węgla, wobec czego kryzys opałowy na rok szkolny został zażegnany. Fundusz szkolny miejscowy nie mając odpowiedniej kwoty na zapłacenie tego opału, zaciągnął pożyczkę w Kasie Raiffeisena w Ruszczy, w sumie 10.000 Mp.

W sali szkolnej odbywały się kilkakrotnie zebrania ludności gminy Lubocza, z których najważniejsze było w sprawie zbiórki na plebiscyt górnośląski, w rezultacie którego zebrano w gminie na ten cel kwotę 3.000 Mp. Również staraniem Grona nauczycielskiego odbyły się kilkakrotnie przedstawienia na różne cele i tak złożono: 1.000 Mp. (marek polskich) na plebiscyt górnośląski, 500 Mp. na odnowienie kościoła w Pleszowie oraz 4.000 Mp. na przelanie dzwonka na kaplicy w Luboczy, zaś 2.000 na oprawienie własnej sceny.

W roku tym zmienił się skład Rady szkolnej miejscowej a mianowicie do Rady szk. m. weszli: ks. J. Skarbek, jako przewodniczący, J. Grzymek za obszar dworski Lubocza, Wł. Cieślewicz za obsz. dworski Grębałów, W. Ślęzak za gm. Grębałów, Piotr Broś za gm. Lubocza, Franciszek Twaróg, jako kierownik szkoły i F. Frankiewicz jako delegat Rady pow.

Rok 1921

Nauka szkolna trwała bez przeszkód przez cały rok i zakończyła się dnia 28 czerwca 1921 r. Wakacje przeszły bez godnych zaznaczenia wypadków. Z nowym rokiem szkolnym, rozpoczętym w dniu 3 września rozpoczęło grono naukę w następującym składzie: zamianowana przez r. szk. pow. na 3-cią nauczycielkę nadetatową Genowefa Wojnarowska uczy rok 1., M. Dzierzyńska rok 2., Teresa Twarogowa rok 3., F. Galiszkiewicz 4. zaś 5-ty, 6-ty, 7-my Franciszek Twaróg, kierownik szkoły. Z nowym rokiem szkolnym został wprowadzony w tut. szkole program 7-mio letniej szkoły powszechnej Ministerstwa Wyznań i Oświecenia Publicznego, a to na 1-szym, 2-gim i 3-cim roku nauki. Usiłowania grona zdążają do wyczerpania programu, mimo wielu trudności, jak braku sali naukowej, poprzedniego przygotowania dzieci, braku modeli, obrazów, sprzętów jak również opieszałości rodziców w posyłaniu dzieci do szkoły, zwłaszcza dwu ostatnich lat nauki.

W miesiącach wrześniu i październiku panowała w tutejszej gminie epidemicznie czerwonka, zwłaszcza u dzieci do lat 10-ciu, wskutek tej choroby zmarło 6 dzieci, z tego 4 w wieku przedszkolnym, a 2 w wieku szkolnym. Mimo epidemii i doniesienia o niej do Starostwa nauka trwała bez przerwy, nawet gdy w samej szkole rozchorowała się córeczka kierownika szkoły. W dalszym ciągu trwa walka wsi o zdobycie przynajmniej dzierżawy gruntów dworskich. Starania te jednakże nie doprowadziły do skutku, ponieważ dzierżawa przysługuje na mocy kontraktu J. Grzymkowi do r. 1924. i chociaż jak starający się członkowie gminy dowiedzieli, czynsz dzierżawy jest na obecne stosunki niski, nie może być dzierżawny kontrakt unieważnionym. Szkoła stoi w tej sprawie na stanowisku bezstronnym. Jeszcze we wrześniu 1919 r. zmienił tut. kierownik szkoły część gruntu szkolnego od strony Łuczanowic oddając w użytkowanie Obszaru dworskiego za otrzymany tejże samej wielkości grunt od strony Wadowa a przytykający do parceli szkolnej do użytkowania. Zamiana ta była korzystną dla obu stron. Obszar dworski uzyskał przez to przejście na grunta dworskie zaś szkoła grunt zdrenowany i suchy, za oddany w lata mokre nieproduktywny. O grunt ten otrzymany z Obszaru dworskiego celem kupna starał się tut. rolnik Antoni Cecuga u przełożeństwa Obszaru dworskiego jednakże

bez rezultatu na razie. Grunt ten jako parcela budowlana na przyszłość ze względu na potrzebę rozszerzenia szkoły z powodu braku klas do nauki może być bardzo potrzebnym.

Rok szkolny 1921/1922 rozpoczął się dla wielu szkół pod horoskopem braku opału w miesiącach zimowych, a to z powodu drożyzny węgla i braku funduszów na ten cel. Dzięki pożyczce uzyskanej przez kierownika szkoły u jednego z tut. rolników Jana Partyły w wysokości 25.000 Mk, zdołał tenże sprowadzić 10 ton węgla wspólnie ze szkołą w Pleszowie. Szkoła zdobyła w ten sposób węgiel w cenie 600 Mp za 1 q metryczny, gdy w handlu i kopalniach dochodził do 2.000 marek polskich za 1 q metryczny, podczas gdy inne szkoły wcale opału nie miały. Kierownik szkoły swoimi wyłącznie zabiegami wystarał się w Powiatowym Biurze Odbudowy o 24 szyby do sal szkolnych, które sam wprawił, o 3 m. sześć. drewna i desek na ławki i szafę, o dwa zamki i gwoździe, i o asygnatę na 150 m.b. drzewa okrągłego na słupki do ogrodzenia.

Chociaż kronika powinna obejmować same uwagi obiektywne nie można pominąć faktu, że szkoła i nauka istnieje tylko staraniem kierownika szkoły, który poza dostarczeniem mu przez konkurencję szkolną funduszów i to nie wystarczających, nie znajduje żadnej innej pomocy, że od najelementarniejszych potrzeb wszystko spoczywa i polega na jego staraniach. Należy na tym miejscu zaznaczyć, że od zupełnej ruiny, jaką tenże zastał w r. 1917. do ukończenia odbudowy w 1921 r. każdy drobiazg nawet, to praca i staranie kierownika szkoły. W nagrodę za te starania nie tylko zresztą około szkoły, ale również za pracę społeczną z poświęceniem, bezinteresownością i szczerym sercem przychylnym dla ludności spotyka się z bezpodstawnymi i głupimi zarzutami kilku rozpolitykowanych członków gminy, buntujących dobrą opinię u innych. Również i poszczególne jednostki grona nauczycielskiego za swe starania około karności i nauki ustawicznie napotyka za swą pracę i właśnie z powodu tych starań na kłopot, krzyki i różne nieuzasadnione pretensje. Nadmienia się tę kwestię nie dla samolubnego chwalenia się lub innego, lecz tylko dla zaznaczenia niewdzięczności i ciężkich pod każdym względem warunków pracy nauczycielstwa między ludnością, a zwłaszcza w tutejszej gminie. Na uzasadnienie tego można podać, że stosunki te względem szkoły istniały od początku istnienia szkoły za kierownictwa K. Chlebowskiego i śp. Jana Maciaszka, który tu na tej posadzie siły własne stargał i wraz z rodziną zniszczył zdrowie. Trzeba ogromnego zaparcia siebie samego i ofiary, by na swym stanowisku wytrwać, wiedząc, że w rezultacie sumiennej pracy czeka niewdzięczność i w najlepszym razie zapomnienie. Jednakże „nie pomogą próżne żale" i trudno zresztą żądać wdzięczności od kamienia lub cegły, którą się kładzie we fundament budowli.

Rok 1922

Nauka mimo silnych mrozów trwa nieprzerwanie. Trudność sprawia brak przepisanej ilości sal naukowych; potrzebne są przynajmniej 3 sale naukowe, by każdy z oddziałów mógł mieć w dniu najkrótszym przynajmniej 4 godziny nauki. Tymczasem w jednej musi odbywać naukę kolejno 3 lata nauki co skraca jej czas planem wymagany. Dla zaradzenia temu trzeba będzie najmniej jednej sali naukowej. Frekwencja dzieci należyta z wyjątkiem najmłodszych. W czasie od 22 do końca stycznia z powodu 20-to kilku stopniowego mrozu dzieci nie przyszły na naukę, która od 1 II odbywa się regularnie.

Stan umysłowy dzieci i moralny poprawia się wciąż i gdyby nie brak klas, można by uzyskać jeszcze lepsze rezultaty i szkołę uczynić wzorową. Sprawa ta została poruszoną na posiedzeniu Rady szkolnej miejscowej. Przedstawiciele gminy Grębałów oświadczyli, iż zamiast najmu czy dobudowy sali szkolnej w Luboczy zamierzają czynić starania o budowę szkoły w Grębałowie.

Przy rozpoczęciu roku szkolnego 1922/1923 zgłosiła się nowo mianowana nauczycielka p. Jakubowska, która objęła gospodarstwo II roku nauki. Potrzeba najmu trzeciej sali naukowej stała się jeszcze bardziej piekącą, to też w październiku b.r. ma być rozstrzygnięte ostatecznie czy rozdział gmin nastąpi. W kwestii tej odbędzie się 12 X posiedzenie Rady szkolnej miejscowej. Na rzeczonym posiedzeniu postanowiono, by uniknąć rozdziału gmin, przez co poziom nauki bardzo by się obniżył. Zaniechała więc gmina Grębałów myśli o budowie szkoły, natomiast postanowiono utrzymać rozdział gmin, a później pomyśleć o trzeciej sali naukowej w budynku szkolnym w Luboczy. W lutym wyjechała Maria Dzierżyńska z Luboczy, zwolniona z posady na własne żądanie do powiatu Stanisławów, tak więc pozostało 5 sił nauczycielskich.

Rok 1923

Utrzymanie szkoły w tym czasie natrafia na ogromne przeszkody wskutek spadku waluty, przez co kwoty preliminowane z początku roku nie pokrywają wydatków do końca roku, wobec czego ktoś musi deficyt pokryć funduszem własnym, aby nauka nie uległa przerwie. Deficyty te pokrywają przeważnie kierownicy szkół. To samo czynił przez 4 lata piszący kronikę, a dzięki temu przerw w tym czasie żadnych nie było aż do wiosny b.r. I w dalszym ciągu, mimo iż nie był do tego obowiązany, że jest to rzeczą Przewodniczącego Rady szk. miejscowej, byłby się starał o szkołę jak o swój dom, gdyby nie jątrzenie jednostek, że „szkoła posiada wystarczające fundusze, którymi ma Przewodniczący zarządzać". Mimo więc pewności, że szkoła i nauka na tym ucierpi, zwrócił akta i zdał ciężar ten Przewodniczącemu, jako kompetentnemu, przez pełną r.szk.m. Jak więc będzie

z opałem na zimę w b.r., skąd będą fundusze i kto o nie się postara i opał sprowadzi? Nie wiadomo, lecz przyszłość przedstawia się smutno, o czym można wnioskować z tego, że już teraz ciężko było przywieźć szczotki do mycia sal i robotnice nająć.

20 VIII wakacje się kończą, dotąd jednak do nauki nie są sale umyte i bielone, ławki niektóre się rozlatują, nie ma ich kto naprawić, obsługa nie zabezpieczona ani też dawnej nie zapłacono. W kasie Rady szk. miejscowej pustki. Preliminarz wydatków na 1923 r. opiewający na 4.132.000 Mp. zwrócony z Rady szkolnej powiat, bo już dziś trzeba by co najmniej 20 milionów Mp. a zanim podatki wpłyną tj. około maja 1924 r. kto wie ile trzeba by preliminować. Oto skutki dewaluacji Mp. Preliminarz staje się bezcelowym. Dziś trzeba mieć całość potrzebnej kwoty na wszystkie wydatki i wszystko potrzebne zakupić natychmiast, bo w niejednym wypadku ceny zmieniają się dwa razy w 1 dniu. W tym celu widząc, że nikt o szkole nie myśli chociaż szkoła ma wielu opiekunów, a troszcząc się o przyszłą naukę zwłaszcza w zimie, zwołana została przeze mnie Rada obu gmin i Rady szk. miejsc. o złożenie funduszu w drodze opodatkowania z 1 morga gruntu, a to w dniu 19 VIII b.r. Na ogół, z wyjątkiem radnych Piotra Jędrasa i Piotra Walczaka, którzy wyszli z sali (stali przeciwnicy szkoły) pozostali radni uchwalili podatek mający przynieść 14.500.000 Mp., co wynosi po około 10.300 Mp. z 1 morga gruntu, płatnych tak przez gminy, jak i oba obszary dworskie. Sumą tą będzie można opędzić najniezbądniejsze wydatki, resztę uchwalono zabezpieczyć preliminarzem. Tego rodzaju załatwienie sprawy jest jedyną drogą do celu, lecz o ile uchwały te nie uzyskają poparcia władz politycznych, będzie to krok bezowocny, bo tylko groźba i kary znajdują posłuch i te tylko skłonią wszystkich do wypełnienia obowiązku względem Państwa i swoich własnych dzieci. Dziś można powiedzieć; Państwo bez sekwestratorów wkrótce pozostałoby bez dochodów.

Cóż więc powiedzieć o datkach na naukę? Jeszcze wiele czasu upłynie, nim chłop stanie się obywatelem, rozumiejącym i wypełniającym swoje obowiązki względem społeczeństwa. Mimo uchwały Rad gminnych i Rady szkolnej miejscowej składki nie zostały pobrane, gdyż sprzeciwiła się zatwierdzeniu jej Rada powiatowa, do tego stopnia, że p. Zborowski (sekretarz Rady pow.) wręcz powstrzymał mimo to wpłacającego datek Wł. Cieślewicza i to nie tylko w stosunku do szkoły w Luboczy, lecz także i w innych gminach przeszkodził zbiórkom na opał, a tym samym spowodował przerwę zimową w nauce. W naszej szkole nauka trwała dzięki temu tylko, że gminy: Lubocza złożyła 12 q węgla, Grębałów 10 q, obszar dworski Lubocza 10 q, obszar dworski Grębałów 5 q = razem 37 q węgla. Nauka odbywała się w zimie w 1 klasie. Od dnia 1 października zwinięta została 1 siła nadetatowa w osobie p. Jakubowskiej, która została przeniesiona do Zelkowa, bo wszelkie starania o salę zawiodły.

Z inicjatywy chłopców założonym zostało w grudniu 1923 r. Koło Młodzieży na statucie Małopolskiego Związku Młodzieży, które objęło około 100 chłopców i dziewcząt w wieku pozaszkolnym. W działalności Koła bierze ważny udział nauczycielstwo tut. w osobach kierownika szkoły, Fr. Twaroga, F.Galiszkiewicz i T. Twarogowej. W rezultacie trzymiesięcznej pracy (do kwietnia) odbyły się 4 Walne zebrania o treści oświatowej i organizacyjnej, 4 przedstawienia sztuk ludowych, założenie małej orkiestry. Z pieniędzy uzyskanych z przedstawień zbudowano scenę ruchomą i kurtynę, która przedstawia znaczną wartość, a w dalszym ciągu jest w planie zakup biblioteki.

Rok 1924

Frekwencja dziatwy w pierwszym półroczu r. szk. 1923/1924 przedstawiała się następująco: zapisanych było ogółem 176 dzieci, uczęszczających 170. Z tego zapisanych na pierwszy rok – 24, drugi rok – 37, trzeci rok – 25, czwarty rok – 32, piąty – 28, szósty – 18, siódmy – 12 dzieci. Z powodu redukcji 1 siły nauczycielskiej w osobie p. Jakubowskiej, przeniesionej do Zelkowa, rozdzielił kierownik szkoły dziatwę na 4 klasy, a to 1 rok uczy Teresa Twarogowa, 2-gi Feliksa Galiszkiewicz, 3-ci i 4-ty Genowefa Wojnarowska, 5-ty, 6-ty 7-my Franciszek Twaróg. Przed południem uczęszczał 5, 6, 7 r. oraz 3 i 4 rok, a po południu 2 i 1 rok. W miesiącu czerwcu odbyła się hospitacja ks. biskupa Nowaka, w którego powitaniu wzięła dziatwa szkolna udział. Równocześnie przystąpiła młodzież starsza do św. sakramentu bierzmowania i była egzaminowana z religii z wynikiem bardzo dodatnim. Rok szkolny skończył się dnia 28 VII, poczym nastąpiły dwumiesięczne ferie wakacyjne.

Rok szkolny 1924/1925 zaczął się 2 IX 1924 r. uroczystym nabożeństwem w kościele parafialnym w Pleszowie. Do grona nauczycielskiego przybywa Henryk Flis z Pleszowa, w miejsce Genowefy Wojnarowskiej, która wyszedłszy za tamtego kierownika szkoły, Jana Twaroga, objęła tamże posadę nauczycielską od 1 IX. Liczba dziatwy zapisanej do szkoły na 1924/1925 r. okazała się mniejszą od liczby w r. ubiegłym, a więc zapisanych na rok szk. 1924/1925 było chłopców – 99, dziewcząt – 88, razem 187 dzieci, zaś uczęszczających stale – 159. Rada szkolna miejscowa uchwaliła na rok 1925 solidarnie wszystkie kwoty proponowane przez kierownika szkoły do preliminarza szkolnego, z czego widzieć można, iż powoli zrozumie może ludność wartość oświaty.

Rok 1925

Również wniesiona została do Starostwa (Komisji pożyczkowej) prośba Rady szkolnej miejscowej o pożyczkę w kwocie 5.000 zł na dobudowę dwu sal naukowych, niezbędnych dla zreorganizowania szkoły na więcej

klasową, korzystając z przysługującego prawa z powodu zdemolowania, jakiemu uległa szkoła w czasie wypadków wojennych w 1914 r. Jest to niezbędnym, by szkoła mogła stanąć na poziomie zadania, jakie stawiają programy naukowe Min. W. i O. P. Ze smutkiem zaznaczyć należy stratę, jaką poniosła szkoła przez przeniesienie nauczyciela (z dniem 9 IV 1925 r.) Henryka Flisa do powiatu makowskiego, nauczyciela pracowitego, cichego, punktualnego. Wskutek tego klasę po nim objęła Teresa Twarogowa i uczy klasę I i II po południu. W roku tym mianowanym został do tutejszego powiatu W.P. Inspektor L. Wojnarowski w miejsce W.P. Inspektora J. Lorenza, przeniesionego do powiatu makowskiego.

Po wakacjach rozpoczyna się nauka z dniem 1 IX. Liczba dzieci zapisanych zwiększyła się do 193. Po odliczeniu jednak dzieci, które przeniosły się do szkół w mieście, liczba ich wynosi 184. Do połowy września br. uczą 3 siły nauczycielskie jak z końcem ubiegłego roku szkolnego. Z dniem jednak 18 IX przybywa czwarta, Waleria Figwerówna, przeniesiona z Pleszowa.

Rok 1926

Nauka w porze zimowej trwa nieprzerwanie. Frekwencja dziatwy na niższych rocznikach była słaba przez przeciąg 1 miesiąca z powodu epidemii odry. Poważniejszych wypadków zachorowań nie było. Z końcem stycznia przeniesionym został na własne żądanie ks. proboszcz Jan Skarbek z Pleszowa na probostwo w Oświęcimiu. Odjazd jego wywołał ogólny żal u parafian. Ks. Skarbek położył wielkie zasługi około odnowienia kościoła, uratował dzwon kościelny od rekwizycji przez zakopanie na gruntach włościańskich, postępowaniem swym przychylnym i taktownym zyskał szacunek i miłość wszystkich. Był przewodniczącym i członkiem Rady szkolnej miejscowej, odnosił się z wielką przychylnością do nauczycielstwa i szkoły, a dziatwa czciła Go i kochała jak ojca. Nadmienić należy, że przez dwa lata przyjeżdżał własnymi końmi na naukę religii, nie żądał za to wynagrodzenia. Na jego miejsce przybył Ks. Franciszek Korzonkiewicz.

Szkoła wciąż walczy z brakami. Wpływy na potrzeby szkolne są tak minimalne, że wystarczają zaledwie na opędzenie najniezbędniejszych wydatków jak opału, obsługi. Pozostają wciąż nie załatwione preliminowane kwoty na trzecią salę, studnię, ogrodzenie i wewnętrzne urządzenie szkoły. W dniu 27 czerwca odbyło się znów posiedzenie Rady szkolnej miejscowej, na którym uchwalono najem trzeciej sali naukowej. Brak tej sali utrudnia wyczerpanie materiału planem szkoły powszechnej objętym. Kierownictwo szkoły walczy o tę klasę już dwa lata, dotychczas bezskutecznie, bo stale brak funduszów na najniezbędniejsze rzeczy. Rok szkolny zakończył się uroczyście w dniu 28 czerwca.

W dniu 29 czerwca odbyły się zapisy do szkoły na rok 1926/1927. Przedstawiają się one następująco: ilość dzieci obowiązanych do uczęszczania oraz zapisanych: chłopców – 97, dziewcząt – 102, razem 199. Równocześnie z zapisami odbyło się zebranie rodziców, na którym omówiono z rodzicami sprawę posyłania do szkoły, nauczania i wychowania. Nauka w roku szkolnym 1926/1927 rozpoczęła się nabożeństwem w dniu 6 IX 1926 r. Skład grona ten sam co w roku ubiegłym. Mimo uchwały poprzednio wymienionej nauka odbywa się w dwóch salach, a to z winy tego, że nie było wcale funduszów na ławki, tablicę, stół i na najem sali. W dniu 13 IX nastąpiła wizytacja PP. Inspektorów Orszulskiego i Durka, którzy zastali grono i dziatwę przy pracy po klasach. Mimo braku funduszów, opierając się na uchwale Rady szkolnej miejscowej z dn. 24 X br. i pod naciskiem ze strony Rady szkolnej powiatowej w Krakowie, zakupił kierownik szkoły materiał na ławki i oddał do zrobienia sprzętów stolarzowi oraz najął u Jana Wośka salę naukową za czynszem 200 zł rocznie, a to od 1 XII 1926 r.

Rok 1927

Fatalnym w następstwach dla szkoły okazało się zarządzenie by wszystkie dodatki szkolne pobierał wójt, a następnie wpłacał na ręce przewodniczącego. Teraz zależało od przychylności i dobrej woli wójta, czy zechce asygnować na potrzeby szkoły, a wysokość należytości szkolnej nie pozostawała w żadnym stosunku do potrzeb szkoły. W tym roku był wójtem Antoni Cecuga, przeciwny szkole, nie wpłaca kwot według uchwały Rady szkolnej miejscowej (w stosunku 2:1, dwie trzecie pobranych dodatków od podatku gruntowego) lecz drobnymi kwotami. Wskutek tego szkole brak opału, budynek nie oczyszczony, a zaległość kasowa z 1926 r. wyniosła kwotę 676 zł 16 gr. Poważne braki w budynku i inwentarzu stwierdzone też zostały w czasie wizytacji P. Inspektora Orszulskiego w dn. 21 II 1927 r., którego uwagi zostały pisemnie gminom i Radzie szk. miejscowej pismem z dn. 23 II 1927 r. L: 1029 przedstawione. Stan ten istniał do końca kwietnia br. w którym to czasie nastąpił wybór Wincentego Pietruszki na wójta. Zaraz też po odbiorze urzędowania wpłacił on kwotę 620 zł na ręce przewodniczącego, którą użyto częściowo na pokrycie długu (ks. J. Skarbek za podwody w 1925 r. 250 zł przeznaczył na bramę cmentarną w Pleszowie), a resztę tj. 370 zł na restaurację budynku według uchwały Rady szkolnej miejscowej z dn. 21 V 1927 r.

W marcu i kwietniu zaczęła się szerzyć szkarlatyna na którą zapadło około 30 dzieci przeważnie w wieku do lat 7-miu. Zmarło do dn. 26 V pięcioro dzieci. Lekarza mimo zawiadomienia Starostwa wcale w gminie nie było. Przerwa w nauce łącznie z feriami Świąt Wielkanocnych jeden pełny miesiąc od 9 IV do 9 V. Rok szkolny zakończył się dn. 25 VI wcześniej z powodu pogrzebu Juliusza Słowackiego i uroczystości ze sprowadzeniem zwłok poety związanych, które odbyły się w dniach 27

i 28 VI. W czasie wakacyjnym został budynek częściowo odbudowanym i odczyszczonym.

Nowy rok szkolny rozpoczął się normalnie 1 września 1927 r. Skład grona nauczycielskiego jest ten sam. Ilość dzieci zapisanych na poszczególnych oddziałach wynosi: I – 32, II – 32, III – 26, IV – 31, V – 29, VI – 27, VII – 11, razem 195 dzieci. Dzieci uczą się w dwóch salach w budynku szkolnym oraz w jednej sali najętej. W listopadzie tego roku wpłynęła do kasy funduszu szkolnego kwota 1.400 zł z której wreszcie użyto część na wykopanie studni przy szkole w miejsce starej w której wody nie było. W tym też czasie była przez gminę odrestaurowana kaplica, na którą gmina przeznaczyła cały czynsz z polowania z kilku lat. Półroczna klasyfikacja dała dobre wyniki.

Rok 1928

W ciągu roku 1927/1928 istniał założony we wrześniu 1927 r. Oddział Przysposobienia Wojskowego i Wychowania Fizycznego – przetrwał do końca czerwca 1928 r. Liczył 20 chłopców stale ćwiczących. Z powodu bardzo małej frekwencji został później jednak rozwiązany. Chłopcy gromadzili się w szkole. Instruktorem był podoficer rezerw. Szymon Pszczoła z Luboczy.

W roku 1927 około 100 morgów ziemi dworskiej zostało rozprzedane między ludność gminy. Obszar dworski został odebrany z rąk dzierżawcy p. Wawrykiewicza i w 1928 r. pozostaje już we własnym zarządzie PP. Norbertanek ze Zwierzyńca. Kółko rolnicze rozwija się bardzo słabo. Udział członków w posiedzeniach bardzo nieliczny. Usiłuje zawiązać się sklep Kółka rolniczego, lecz trudności wynikają z nieufności wzajemnej i braku gotówki na początek. Koło Młodzieży w zastoju. Przeszkodą jest brak własnego lokalu. W październiku założona została przez PP. Norbertanki Ochronka, prowadzona w budynku dworskim przez Matkę Bogumiłę Jędrzejowską z pełnym poświęceniem. Również prowadzi ona kurs gotowania i szycia oraz poradnię dla chorych. Zanotować należy, że w sąsiedztwie szkoły miał powstać wielki czworak dworski, jednakże na przedstawienie szkód jakie z sąsiedztwa takiego budynku mogą wyniknąć rozpoczęto budowę w większym oddaleniu. W roku tym uczęszczało do szkoły 87 chłopców i 99 dziewcząt, razem 186 dzieci. Skład grona nauczycielskiego był następujący: Franciszek Twaróg, Teresa Twarogowa, Feliksa Galiszkiewicz, Walerja Figwerówna. Nauka odbywała się normalnie, frekwencja była dobra.

Rok 1929

W lutym tego roku przyszły wyjątkowe mrozy, dochodzące do -35 st. C, a trwały od 10 II do 17 II włącznie. Z powodu zamarzania lokomotyw komunikacja była b. utrudniona. Mrozy zniszczyły mnóstwo drzew owocowych, szczególnie grusze, orzechy, wiśnie. Przy szkole przemarzły jednak tylko 2 orzechy i 2 grusze oraz wiśnorośl, która się z wiosną opuściła. Rok szkolny skończył się dn. 27 VI. Czerwiec był burzliwy. W dniu 21 VI uderzył piorun w wieżę kościoła parafialnego w Pleszowie. Wierzch wieży spłonął, lecz kościół ocalał. Kierownik szkoły poczynił zabiegi o zakup domku (starego czworaka dworskiego) dla szkoły i o zamianę parceli i gruntu pod tym domem za parcelę szkolną tej samej wielkości. Konwent zgodził się na to. W ciągu wakacji dnia 27 VII witała ludność okoliczna w Pleszowie Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Ignacego Mościckiego. W powitaniu wzięła też udział dziatwa szkolna.

Od listopada 1929 r. przeniesiona została Waleria Figwerówna do Mogiły, a na jej miejsce mianowanym został p. Józef Bęben z Dojazdowa. Kosztem około 3.000 zł został odrestaurowany budynek drewniany, nabyty od Konwentu PP. Norbertanek za kwotę 1.000 zł (grunt został zamieniony). W dniu 5 XI 1929 r. został poświęcony i rozpoczęła się nauka w 4 salach. Dzieci uczą się przed południem. Uczęszcza ogółem 195 dzieci. Jak zwykle w czasie prac jesiennych frekwencja zmniejszona, powiększyła się dopiero od listopada. W szkole (z powodu braku własnego lokalu) zbiera się młodzież zrzeszona w Kole Młodzieży na zebrania, na których korzysta z odczytów i wykładów oraz urządza czasem przedstawienia na ruchomej scenie.

Rok 1930

Praca nad podniesieniem ekonomicznym i kulturalnym gminy ogniskuje się w Kółku rolniczym, które jednak jest w zupełnym choć chwilowym zastoju. W Kole Młodzieży pozostającym pod opieką Małopolskiego Towarzystwa Rolniczego i w założonej dn. 3 V Ochotniczej Straży Pożarnej. W kółku rolniczym istnieje Spółka hodowców bydła, obejmująca krowy w ilości kilkunastu sztuk i Spółka maszynowa, w której kilku gospodarzy sprowadziło sobie potrzebne sprzęty rolnicze. Kółko hodowców posiada buhaja licencjonowanego i knura rasy „Yorkshire". Kółko rolnicze sprowadza wspólnie nawozy sztuczne i nasiona, węgiel. Obecny zastój w tym kierunku spowodowany został przez zniżkę produktów rolnych i niewspółmiernie wyższe ceny wyrobów przemysłowo-rolniczych. Przewodniczącym Kółka rolniczego jest obecnie Piotr Matuszczyk, który jest również przewodniczącym Rady szkolnej miejscowej, człowiek o dobrej woli i dążeniu. Praca w Kole Młodzieży ma kierunek oświatowy. Młodzież zrzeszona w Kole odbywa zebrania, urządza przedstawienia, uroczystości, odczyty. W ubiegłym roku odbył się konkurs hodowców morwy. Kilku uczestników konkursu otrzymało nagrody 10-20 zł. W obecnym roku zorganizowane zostały konkursy hodowli kur, gęsi, kaczek, prosiąt i uprawy ziemniaków – w 1 zespole po 6 osób. Kilka dziewcząt wzięło udział w dziesięciodniowym kursie pielęgniarskim i jednodniowym kursie dla przodowników konkursowych, urządzonym staraniem Tymczasowego Wydziału Powiatowego i Okręgowego Towarzystwa Rolniczego w Krakowie. Istnienie i praca w Kole rozwija się przez współpracę i inicjatywę nauczycielstwa, w szczególności kierownika szkoły i nauczyciela. J. Bębna, który ukończył kurs dla pracowników społeczno-oświatowych urządzony staraniem Rady Szkolnej Powiatowej w Krakowie.

W dniu 3 V 1930 r. założona została Ochotnicza Straż Pożarna, która z funduszu wpłaconego za polowanie za 1929 r. i 1930 r. zakupiła hełmy i pasy, a z funduszów uzyskanych z festynów i z pożyczki Koła Młodzieży – mundury w ilości 14 sztuk. Zaznaczyć należy, że pracami tymi nie interesuje się i nie bierze udziału ogół starszych i młodzieży, lecz grupa kilkunastu światlejszych, którzy orientują się, że interes rolnika leży w postępie, że dawny system gospodarki już nie wystarcza i dla własnego dobra trzeba się uczyć. Wśród ogółu tego zaś mało jest takich, którzy mają dobro społeczne na celu i świadomie do niego dążą. W tym dziesięcioleciu w każdym poczynaniu dla dobra gminy znajdujemy nazwiska Piotra Walczaka (z przezwiskiem Perczak) i Józefa Kota (Hojka). Pracę swoją poświęcają z punktu widzenia dobra ogółu i nigdy nie brak ich tam, gdzie ich pomocy potrzeba. W październiku odbyła się wystawa konkursistów Kółka Rolniczego w Krakowie przy ul. Zwierzynieckiej. Wystawie tej wzięła udział młodzież z Luboczy, tak chłopcy jak i dziewczęta ze swoimi eksponatami. Na 30 osób, które brały udział w konkursie zostało nagrodzonych 15 osób.

W roku tym zaznacza się wybitna depresja gospodarcza, obniżenie cen produktów rolnych i siły płatności, powiększenie liczby bezrobotnych. Stosunki te rozgoryczają ludność i uprzedzają ujemnie do pracy obywatelsko-społecznej i ekonomicznej, jakkolwiek przyczyna leży w stosunkach wszechświatowych. Z tego powodu zahamowaną została praca Kółka Rolniczego. Pod względem zdrowotności rok ten był dobrym, chociaż wygląd dzieci i odżywienie pozostawia wiele do życzenia. Bliskość miasta powoduje łatwość zbytu produktów, a zwłaszcza mleka, jaj, tłuszczów, co nie pozostaje bez wpływu na odżywienie ludności, a szczególnie dzieci. Życzyć by należało aby w dalszej konsekwencji dzieci zagrożone i słabowite znalazły lepszą opiekę domu i stały nadzór i poradę lekarską. Lekarzem szkolnym dla Luboczy i innych okolicznych szkół jest dr Kowalski z Mogiły, który po raz pierwszy przeprowadził badanie dzieci w dn. 23 II 1930 r.

Rok 1931

Uczęszcza do szkoły 195 dzieci na ogólną ilość 227 zapisanych. Uczy grono w następującym składzie: Franciszek Twaróg, Teresa Twarogowa, Feliksa Galiszkiewicz, Józef Bęben. Szkoła nosi nazwę im. ks. Stanisława Konarskiego, zorganizowana jako czteroklasowa. Przygotowuje do szkoły „Ochronka" PP. Norbertanek, do której uczęszcza około 40 dzieci z Luboczy a nawet Grębałowa. Ochronka ta poniosła stratę przez śmierć nieodżałowanej pamięci śp. M. Bogumiły Jędrzejowskiej – przełożonej. W jej miejsce prowadzi Ochronkę M. Milona Małysiakówna – norbertanka.

W tym roku na terenie gminy przy współudziale kierownika szkoły jako przewodniczącego Komitetu miejscowego przeprowadzono akcję pomocy dla najbiedniejszych przez zebranie i rozdanie zboża i ziemniaków. Punktem w którym się ogniskują poczynania tego rodzaju jest zawsze szkoła. Inicjatywa pomocy biednym wyszła od ks. Franciszka Korzonkiewicza, proboszcza w Pleszowie. Zubożenie ludności wzrosło wskutek braku pracy. Odbiło się to na dzieciach, które nie miały odzieży, obuwia i na najważniejsze potrzeby szkolne. Małą pomoc czerpią najbiedniejsze dzieci z funduszu 600 zł przyznanego szkole w Luboczy na wsparcie przez Komunalną Kasę Powiatową w Krakowie w dn. 22 IV 1930 r. Kwota ta pozostaje w rękach ks. Fr. Korzonkiewicza w Pleszowie, który płaci corocznie procent (początkowy 12 %). Odsetki rozdziela kierownictwo szkoły między najbiedniejszych przez kupno przyborów naukowych. Ponieważ gminy Lubocza i Grębałów nie wpłaciły dodatków szkolnych, zalegając kwotą około 800 zł, nie można było inwestycji szkolnych określonych budżetem uskutecznić, pokrywając zaledwie opał, obsługę, podwody i utrzymanie czystości.

Rok 1932

Z wiosną dwór w Luboczy przystąpił do dalszej parcelacji gruntów. Sprzedany został grunt przez który wiedzie ścieżka do Pleszowa. O ścieżkę tę wywiązał się konflikt między gminą, a obszarem dworskim, który przy sprzedaży gruntów nie uznał prawa ludności nabytego przez przedawnienie. Nabywcy na razie zaprzestali wzbraniać przejścia do kościoła i konflikt ucichł. Obciążenie obowiązkiem płatności za nabyty grunt zwłaszcza w tak krytycznym czasie nie pozostanie bez wpływu na stopę życiową ludności oraz odżywienie i zaopatrzenie dzieci. Począwszy od września 1931 r. uczy w szkole w Luboczy ks. Władysław Chowaniec jako wikariusz parafii w Pleszowie. Przyjeżdża dwukrotnie (we środy i piątki) na religię, odprawiając w kaplicy dworskiej mszę św. Nauka w roku szk. 1931/1932 skończyła się normalnie nabożeństwem w dn. 27 VI. Klasyfikacja ogólna wykazała 8% repetowanych (niedostatecznych i niesklasyfikowanych).

Nowy rok szkolny rozpoczyna się pod znakiem zmiany ustroju szkolnictwa. W kl. I wprowadzoną zostaje zasada łącznego nauczania. Przyjmuje się obowiązkowo dzieci z ukończonym 7 rokiem życia. Sześcioletnich przyjmuje się w miarę rozporządzania miejsc. Ilość dzieci zapisanych w klasach poszczególnych jest następująca: I – 34, II – 35, III – 36, IV – 39, V – 34, VI – 20, VII – 31, razem 229 dzieci. I kl. uczy Feliksa Galiszkiewicz, II także, III – Teresa Twarogowa, IV – Józef Bęben, V, VI, VII – Franciszek Twaróg. Od 1 IX nauka odbywa się nor-

malnie. Odnośnie faktów ogólnych należy zaznaczyć, iż ludność dotknięta została klęską elementarną w postaci „rdzy", która zniszczyła pszenicę w 50-100%, rzucając się na słomę i plewy, powodując zmarnienie ziarna.

Rok 1933

Rok szkolny 1933/1934 jest rokiem realizacji nowych programów w kl. I, II, i V. Nauczycielstwo przeszło kilkudniowe przeszkolenie z początkiem roku szkolnego. Poszczególne klasy prowadzą: I i IV – Teresa Twarogowa, II i III Feliksa Galiszkiewicz, V – Józef Bęben, VI i VII – Franciszek Twaróg. Ogólna ilość dzieci wynosi 217. Nauki religii udziela ks. prefekt Zbigniew Puzyna, począwszy od 21 VIII 1933 r., w miejsce ks. Wł. Chowańca, przeniesionego do Andrychowa. Dodatki szkolne na utrzymanie szkoły wpływają b. skąpo, wskutek czego w uposażeniu szkoły są braki. Szkoła nie została zabezpieczona w opał zimowy. Działalność Kółka Rolniczego nie rozwija się wcale. Koło Młodzieży i straż pożarna funkcjonują. W pracy oświatowej szkoła bierze wybitny udział. W miejscowej ochronce zbiera się codziennie około 25 dzieci. Prowadzi ją s. Bogumiła, norbertanka.

W szkole istnieje samorząd szkolny dzieci, sklepik szkolny, biblioteka pod nadzorem nauczycielstwa. Ogólny stan odżywienia dzieci, higieny, zdrowotności mierny z powodu zadłużenia się ludności. W listopadzie nastąpiła śmierć Wincentego Pietruszki, wójta gminy Lubocza, życzliwie ustosunkowanego do szkoły. Następstwo w urzędowaniu objął Piotr Broś. W rocznicę 15-lecia niepodległości urządziło Koło Młodzieży przedstawienie, z którego zysk minimalny (skąpy) przeznaczono na Towarzystwo Popierania Budowy Publicznych Szkół Powszechnych, którego Koło tu założone liczy 16 członków. Z początkiem grudnia zapanowały mrozy dochodzące do -18 st. C., co jest rzadkością. Frekwencja dzieci dobra. Nawet klasa I-sza, która jest nieliczna (12 dzieci) uczęszcza w całości mimo mrozu.

Rok 1934

W dniu 6 maja 1934 r. mieliśmy w naszej szkole piękną uroczystość poświęcenia sztandaru szkolnego. Uroczystość tę urządziło grono nauczycielskie w osobach: Franciszek Twaróg, Teresa Twarogowa, Józef Bęben, Feliksa Galiszkiewicz. Po nabożeństwie w kaplicy dworskiej w Luboczy, które odprawił ks. Franciszek Korzonkiewicz, a w którym wzięła udział ludność okolicznych gmin i dziatwa 15 okolicznych szkół, przeszli uczestnicy na podwórze szkolne, gdzie odbyła się druga część uroczystości: produkcje orkiestr, przemówienia i deklamacje, śpiewy i inscenizacje pod przewodnictwem nauczycielstwa. Władzę reprezentowali: p. Chrapowicki, zastępca Starosty, p. Mikuła, instruktor oświatowy, zastępca Inspektora. Uroczystość wywarła na obecnych podniosłe wrażenie. Dzięki ofiarności gości i ludności na gwoździe, uzyskała szkoła piękny sztandarek, będący symbolem szczerych haseł.

Na wiosnę czyniono zabiegi około budowy domu gminnego i świetlicy, który miał stanąć obok szkoły, jednakże przeszkodą była bierność ogółu ludności i nastawienie przeciwne kilku jednostek. Przywieziono zaledwie kilkanaście fur piasku. W dniu 8 sierpnia wyjechał z Pleszowa ks. proboszcz Franciszek Korzonkiewicz, który przeniósł się dobrowolnie do Inwałdu. Równocześnie do Żywca wyjechał ks. prefekt Zbigniew Puzyna. Przyczyną, która skłoniła ks. Korzonkiewicza do starań o przeniesienie, była wroga agitacja polityków miejscowych w Pleszowie, którym czynny społecznik jakim był ks. Korzonkiewicz przeszkadzał.

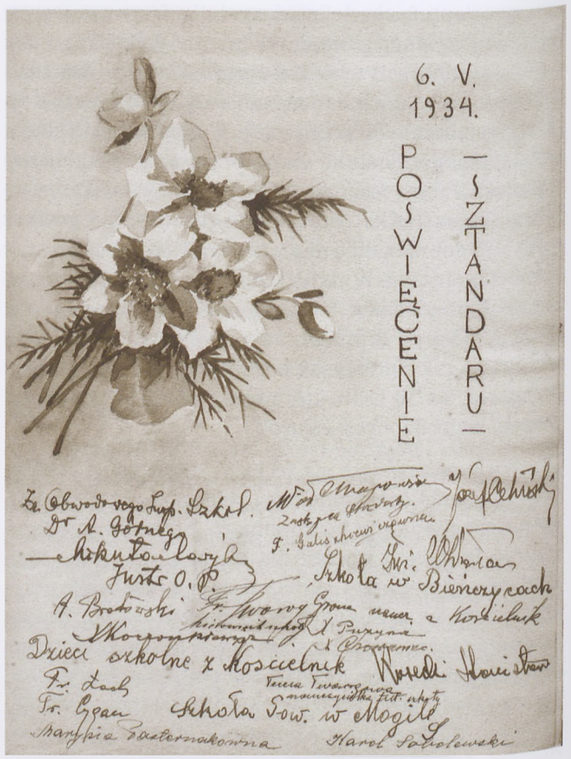

Od 20 VIII uczy u nas Irena Oliwianka, jako nauczycielka kontraktowa w zastępstwie J. Bębna, przyjętego na Wyższy Kurs Nauczycielski do Mysłowic. W gronie nauczycielskim zaznacza się współżycie i koleżeńskość. Całe grono spędza czas razem (mieszka przy szkole), radząc o sprawach dziatwy i szkoły. Harmonia ta, współżycie i współpraca są zaszczytnym rysem, wyszczególniającym naszą szkołę wśród innych. Szkoła nasza skupia również życie okolicznego nauczycielstwa, stanowiącego jedno Ognisko i jeden rejon, którego zarząd reprezentuje grono szkoły w Luboczy. Odbywają się tu częste zebrania ogniskowe i rejonowe nauczycielstwa, jak również zebrania młodzieży, gdyż godność prezesa ośrodka posiada tut. kierownik szkoły Franciszek Twaróg. Wszyscy czują się tu dobrze. Wyłania się mnóstwo kierunków pracy i trudno jej podołać tak w związku z nowym programem nauczania, jak potrzebą dokształcania się, jak z pracą pozaszkolną. Warunki egzystencji szkoły są coraz trudniejsze. Wpływy na utrzymanie szkoły maleją i brak już na najkonieczniejsze potrzeby: opał i obsługę szkoły. Dzięki temu, iż od sierpnia mieszka w tut. gminie ks. Józef Waczak, który uczy religii, nie mamy wydatku na podwodę do Pleszowa.

Rok 1935

W tym roku wprowadzono nową ustawę samorządową o samorządzie terytorialnym. W związku z tym zostały utworzone gminy zbiorowe, w skład których wchodzą gromady. Gromada w Luboczy przeszła w skład gminy Mogiła od dn. 1 IV 1935 r. W związku z tym obowiązek dostarczenia środków utrzymania szkoły przeszedł na zarząd gminy w Mogile. Z powodu redukcji etatów ze względów oszczędnościowych od 1 IX 1935 r. straciła szkoła 1 etat, pozostały więc 3 etaty zajmowane przez Franciszka Twaroga, kierownika szkoły, Teresę Twarogową, nauczycielkę stałą i Feliksę Galiszkiewicz, nauczycielkę stałą, zatem cofnęła się szkoła o 18 lat, gdy również uczyły 3 siły nauczycielskie. Stan taki przyczyni się niewątpliwie do obniżenia poziomu nauki. Józef Bęben, który zajmował etat, po skończeniu Wyższego Kursu Nauczycielskiego został przeniesiony do Pychowic k. Krakowa, zaś jego zastępczyni Irena Oliwianka do Nowego Wiśnicza k. Bochni. Wprowadzona została dawna organizacja roku szkolnego (początek roku szkolnego w dn. 1 IX, koniec – z końcem czerwca 1935 r.). W realizacji nowych programów uczestniczy klasa IV i VII. Odnośnie położenia ludności gminy zauważa się zubożenie, a przy tym zobojętnienie dla potrzeb oświaty. Przymus szkolny nie jest wykonywany, wskutek czego frekwencja dzieci, zwłaszcza w miesiącu wrześniu i październiku, była mała, tym bardziej iż między najuboższymi, najmłodszymi panowała odra. Na gruntach między gminami: Mogiłą, Krzesławicami, Luboczą, Pleszowem, Wadowem i Ruszczą urządzona została strzelnica wojskowa od wiosny 1935 r. Gromada w Luboczy czyni starania o sprzedaż placów gminnych (część błonia i tzw. „wójtówka") dla zdobycia funduszów na budowę domu, w którym będzie remiza strażacka i izba noclegowa.

Rok 1936

Zima w tym roku była lekką, bez większych mrozów, nie było przeszkód w nauce. Opału dostarczonego przez Zarząd Gminy w Mogile wystarczyło (75 cetnarów metr) w zupełności. Zaopatrzenie w inne potrzeby (poza opałem i obsługą) szwankuje. Nauka trwa normalnie bez żadnego szczególnej wagi wypadku, a rok szkolny kończy się w dniu 20 VI 1936 r. Wakacje poświęcił kierownik szkoły sprawom gospodarczym szkoły. Na przestrzeni 140 m dano ogrodzenie z siatki drucianej, ocynkowanej, a w końcu sierpnia przystąpiono do budowy ustępów szkolnych. Równocześnie odbielono szkołę na zewnątrz. Należy tu zaznaczyć nadzwyczaj serdeczny, przychylny stosunek dworu do szkoły, a mianowicie przełożonej ochronki PP. Norbertanek – Ludwiki Dutkiewicz, a także inż. Zbigniewa Więcława, który od 1 lipca 1936 r. objął dzierżawę gruntów należących do dworu w Luboczy. Do ochronki mieszczącej się w osobnym budynku dworskim prowadzonej obecnie przez s. Alojzę, norbertankę, uczęszcza z widoczną w szkole korzyścią kilkadziesiąt dzieci w wieku od 3 do 6 lat. Ochronka pozostaje na utrzymaniu klasztoru PP. Norbertanek. Rodzice nie opłacają żadnych kosztów. Istnieje też Stowarzyszenie Anioła Stróża przy ochronce, do którego należą dziewczynki klasy V i VI. Nie można jednak zanotować silniejszego ruchu którejś z organizacji starszych i młodzieży. Owszem, zaznacza się tu pewien zastój, mający źródło w trudnym położeniu materialnym rolnictwa. Natomiast od początku roku 1936 zaznacza się silne dążenie Rady gromadzkiej do wybudowania domu gromadzkiego, w którym skupiałoby się życie kulturalne i społeczne gromady w Luboczy. Dzięki usilnym namowom i staraniom Franciszka Twaroga, Piotra Walczaka, Piotra Brosia, sołtysa i innych, poczyniono konieczne zabiegi celem zrealizowania tej myśli. Rada gromadzka sprzedała kawałek błoń od strony wschodniej i klin przy domach na błoniach, a także „wójtówkę". Sprowadziła niezbędne materiały i w połowie sierpnia rozpoczęła budowę tego domu.

Dzień 15 VIII 1936 r. przyjęła Rada gromadzka jako dzień powstania budynku. W prawy frontowy węgieł budynku został wmurowany w puszce cynkowej, zalutowanej szczelnie – akt erekcyjny. Znajduje się on w rogu frontowym od strony zachodniej, w pierwszej warstwie cegły spoczywającej na betonie. Myśl, która z początku znajdowała przeciwników, znalazła uznanie wszystkich. Wielu spośród mieszkańców dało pomoc ofiarną w formie pracy konnej i pracy organizacyjnej. Życzliwie pomógł inż. Zbigniew Więcław, przyjmując kontrolę materiału. Budowę prowadzi mistrz Walenty Jamróz b. starannie.

Rok 1937

Budynek gromadzki został przed zimą przykryty dachem. Ponieważ w piwnicach pokazała się woda, trzeba zdrenować otoczenie, co zwiększy koszta. Zainteresowanie ludności zmniejszyło się, brak gotówki nie pozwala na szybszy postęp pracy. Praca i starania o ten postęp skupia się w rękach dwu ludzi; Piotra Walczaka i Franciszka Twaroga, reszta – bierna. Stwierdza się nasza wada – brak zdolności do wspólnego wysiłku i zharmonizowanej, wytrwałej dążności do wytkniętego celu, potrzeba wobec tego silnych jednostek do podjęcia i przeprowadzenia pracy kierowniczej względem biernego ogółu. Utrzymanie szkoły uzależnione jest od Zarządu gminnego w Mogile. Z przyjemnością można stwierdzić, że w miarę możności pokrywane są najkonieczniejsze potrzeby szkoły: opał, obsługa czystości,

remont budynków. Jesienią ub. r. wybudowane zostały nowe ustępy dla chłopców i dziewcząt osobno.

Frekwencja w ciągu zimy dobra, z wiosną pogorszyła się. Przyczyna leży w tym, iż dzieci używane są do robót i pasania. W związku z tym pozostaje obniżenie się poziomu nauki. W tym roku zapisano w czerwcu tylko jednego ucznia do szkoły w Krakowie, celem dalszego kształcenia się (z Grębałowa). Większość dzieci pozostaje w domu na rok lub później szuka pracy w mieście w charakterze najemników dziennych. W dniu 22 maja br. spadł grad, który zniszczył plony w kilku powiatach. W gminie Mogile dotknęła klęska gromady Grębałów, Prusy, Luboczę, Kantorowice. W Grębałowie i Luboczy padał na pole „Pod górą", niszcząc w zupełności żyto, częściowo pszenicę, truskawki, owoce w sadach itd. Mogiła dla 4 gromad rozdzieliła w pierwszej chwili sumę 13.500 zł na pomoc siewną bezzwrotną, przyznaną przez Ministerstwo Rolnictwa. Równocześnie za pośrednictwem Pow. Kom. Kasy Oszczędności udzielono pożyczek 3 %, krótkoterminowych. Nauka skończyła się dn. 21 VI.

Rok szkolny 1937/1938 rozpoczął się 3 września 1937 r. Skład grona nauczycielskiego: Feliksa Galiszkiewicz, Teresa Twarogowa, Janina Krajewska, przeniesiona z pow. krakowskiego do Luboczy, Franciszek Twaróg i ks. Edward Pyzia, wikariusz z Pleszowa jako prefekt. Nauka w szkole ma przebieg normalny. Przy końcu roku (grudzień) szerzyła się szkarlatyna z przebiegiem bardzo łagodnym, dotykając przeważnie dzieci klasy I i II. Były jednak dwa wypadki śmiertelne dzieci w wieku pozaszkolnym (Cecuga, Kudzia). Z powodu choroby Feliksy Galiszkiewicz (złamanie nogi w stawie biodrowym) połączone zostały klasy III i IV, uczyło tylko czworo sił nauczycielskich.

Rok 1938

W roku tym nie zaszło w gromadzie Lubocza nic ważniejszego, godnego zanotowania. W szkole po ks. Edwardzie Pyzi objął obowiązki katechety ks. Józef Jura, przeniesiony z Pcimia do Pleszowa w charakterze wikariusza. Od września 1938 r. pracują w szkole: Franciszek Twaróg, Teresa Twarogowa, Sabina Suchocka (kontraktowa naucz., zastępczyni Janiny Krajewskiej będącej na Wyż. Kursie Naucz.) i ks. Józef Jura, katecheta Feliksa Galiszkiewicz przebywa na urlopie przedemerytalnym. Brak jednej siły nauczycielskiej odbija się ujemnie na możliwości pracy intensywnej grona. Frekwencja w jesieni słaba, poprawia się stopniowo. Do szkoły uczęszcza od 3 września 1938 r. 210 dzieci. Stan zdrowotny dzieci dobry, natomiast całe grono kolejno zapadło na grypę (w końcu 1938 r.). Rozpatrując ten rok z punktu widzenia gospodarczego można go scharakteryzować, iż zapowiadał się jako rok urodzajny, lecz po zbiorach okazał się przeciętnym. Stan gospodarstw nie podniósł się. W życiu wsi objawia się zanik zainteresowania sprawami rozwoju rolnictwa. Przy dworze istnieje ochronka prowadzona przez s. Alojzę, norbertankę, która roztacza opiekę nad około 30 dziećmi z Luboczy. Prowadzi też ona Stowarzyszenie Anioła Stróża i Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Żeńskiej. Istniejące Koło Młodzieży nie przejawia intensywniejszej działalności.

Rok 1939

W dniu 21 czerwca 1939 r. zakończył się rok szkolny. Ruch uczniów i wynik klasyfikacji: Klasa I liczyła 39 uczniów, przeszło do II klasy 38 uczniów, II – 34, przeszło 32, III – 43, przeszło 39, IV – 33, przeszło 26, V – 30, przeszło 24, VI – 36, przeszło 13, ukończyło szkołę 19. Razem 215 uczniów, promowanych 191, nie promowanych 24. Klasę I i II uczyła Teresa Twarogowa, III i IV Sabina Suchocka, a V, VI i VII Franciszek Twaróg. Wakacje spędziła młodzież spokojnie. Budynek szkolny został przygotowany do przyjęcia dzieci.

Rok szkolny 1939/1940 nie rozpoczął się. 1 września o godz. piątej rano przeleciały nad Luboczą, Grębałowem i innymi wioskami samoloty, które zbombardowały Kraków. Ten niespodziany najazd niemiecki pociągnął za sobą wszystkie konsekwencje, które zauważymy w całej Polsce: ucieczkę ludności, zwłaszcza mężczyzn ku wschodowi. Pozostali przeważnie ludzie starsi i kobiety. Ucieczka ta była uzasadnioną obawą przed terrorem niemieckim i chęcią służby w wojsku polskim dla walki z wrogiem. W dniu 5 września wkroczyły wojska niemieckie do wsi. Przez kilka dni odbywał się przemarsz z krótkotrwałym zatrzymywaniem pojedynczych oddziałów. Następne zakwaterowane zostały w październiku 1939 r. po domach. Na kwatery została zajęta też i szkoła, która rozpoczęła była naukę w dniu 21 września 1939 r. Wszystkie sale szkolne zostały zajęte, z wyjątkiem jednej i prócz mieszkania dla kierownika szkoły. Stosunek z początku był bardzo agresywny. Zastosowano godzinę policyjną od ósmej wieczorem. Nastąpiły rekwizycje wozów, koni, paszy, słomy. Przeszukiwano domy za bronią. Na ogół żołnierze szukali zbliżenia do ludności, znaleźli jednak chłodną ostrożność i dyplomację. Butny dowódca, który zajął mieszkanie we dworze, udekorował je sobie kradzionymi meblami i obrazami, zmuszał groźbami do porządków i robocizn. Równocześnie zarządziły władze niemieckie pobór na roboty do Niemiec, co spotkało się zaraz z oporem ludności. Dalsza nauka dzieci odbywa się w jednej sali w budynku szkolnym i w sali znajdującej się w budynku dla służby dworskiej.

Rok 1940, 1941 i dalsze do 19 stycznia 1945 r.

Celem ochrony książek i pomocy naukowych od zniszczenia, kierownik szkoły musiał je usunąć z sal i schować w miejscu bezpiecznym. Na polecenie niemieckiej władzy szkolnej musiały dzieci oddać podręczniki

szkolne, z których część (książki zniszczone) wysłano, zaś część dobra została ukryta. Ukryto obrazy do historii i geografii, pieczęcie, godła, sztandar szkolny. Zabezpieczono sprzęty szkolne przed zniszczeniem. Z początku uczą: Franciszek Twaróg, Janina Krajewska, Teresa Twarogowa, następnie Helena Lis. Religii udziela ks. Józef Jura, ks. Tadeusz Czernek, który zmarł, a następnie ks. Oskar Matz-Marski. Z dniem 1 maja 1940 r. zwolniona została ze stanowiska nauczycielki Teresa Twarogowa, jako nauczycielka mężatka. Z dniem 1 września 1940 r. przeniesionym został zarządzeniem władzy szkolnej niemieckiej kierownik szkoły FranciszekTwaróg na stanowisko kierownika szkoły w Mogile, a na opuszczone miejsce zamianowany został Franciszek Szleżnik z Piasków Wielkich. Miejsce jego zajął Franciszek Romański, kierownik szkoły z Mogiły. Wszyscy trzej przywróceni zostali na swoje poprzednie stanowiska z dniem 1 listopada 1940 r. Do grona nauczycielskiego przydzielona została Maria Jaworkowa i Ludwika Kamecka.

W trudnych warunkach materialnych nauczycielstwa i szkoły rozwija się praca. Zniesioną została jednak nauka historii i geografii, ograniczona nauka języka polskiego i przyrody. Nacisk położono na zajęcia praktyczne. W ograniczonych ramach nauki znalazło się jednak miejsce i sposobność zapoznania dzieci z elementarnymi wiadomościami o Polsce. Na wypadkach historycznych przeżywały dzieci historię swojego Narodu. Dzieci stykały się bezpośrednio z cierpieniem całej Ojczyzny, a każdy wypadek prześladowania odzywał się głęboko w duszach dzieci. Bolesną była utrata i zakaz używania podręczników, utrudniła ona naukę czytania. Wydawnictwo miesięcznika „Ster" o treści obojętnej nie dało korzyści wychowawczych i dydaktycznych. Pismo to wychodziło rzadko (2-4 egzemplarze w roku szkolnym). Dzieciom brakło lektury. W niejednej szkole podręcznikiem czytania był „Katechizm". Wychodziły spisy zakazanych w szkole książek. Dzieci były zmuszane do zbiórek szkła, papieru, metali. Mimo pozornego posłuszeństwa, w rzeczywistości zbiórki istniały tylko w sprawozdaniach, składanych co miesiąc. Wyszedł też nakaz plewienia „Kok-sagiz", rośliny dającej gumę. Według rozkazu miały dzieci szkoły w Luboczy plewić w Luboczy, Grębałowie, Łuczanowicach i Krzysztoforzycach (we dworach) 4 hektary pola, jednak nie były tam ani raz, nie widziały nawet „Kok-sagiz". Zresztą ta roślina w żadnym z tych miejsc dziwnie się nie udała.

W gromadzie i szkole kwaterowały w tych latach okupacji 3 grupy wojska. Budynek i sale szkolne bardzo ucierpiały. Do nauki żołnierze się nie wtrącali. Nie wiedzieli, że tuż w mieszkaniu nauczyciela odbywają się lekcje z pełnej szkoły powszechnej, według programu sprzed 1 IX 1939 r. Od czerwca 1944 r. odbywał się też tajny komplet z zakresu I kl. gimnazjalnej, na którym uczyli: Franciszek Twaróg, Teresa Twarogowa, Maciej Nawara i Halina Kosmala, wdowa po zamordowanym przez Niemców profesorze gimnazjalnym. Dzieci z tego kompletu w liczbie siedmiu znalazły się w gimnazjum w wolnej już Polsce. Dzieci te przeszły śmiertelną trwogę, gdy podczas lekcji w klasie nadszedł patrol niemiecki. Szczęściem zwrócił on uwagi na podręczniki przyjmując, że to zwykła lekcja, patrol szukał sabotażysty. Niemcy gnębią ludność kontyngentami zbożowymi, ziemniaczanymi, mięsnymi, owocowymi, jarzynowymi. Za tajną sprzedaż tłuszczów i innych artykułów karzą więzieniem i śmiercią. Zmuszają do uprawy tytoniu. Przez łapanki urządzane w tramwajach, pociągach, ulicach, wypełniają obozy koncentracyjne. Tak wzięli do Auschwitz Małetową, Synowską, Kowalową, Grzesiakównę J., Walczakową z pociągu w Grzegórzkach. Tak zginął Piotr Pazdalski z Grębałowa, zastrzelony przez policjanta. Szczególnie ciężkim był przymus zwózki drzewa z Kłaja do tartaku. Każdy posiadacz koni zmuszony był do zwiezienia określonej ilości miesięcznie, ponieważ jednak ludność opierała się temu, sypały się grzywny pieniężne, od których można było okupić się wódką, którą Niemcy lubili. Przez premie za odstawione artykuły żywnościowe w formie wódki chcieli Niemcy rozpić Polaków i odwrócić ich uwagę od spraw politycznych, co im się jednak nie udało. Nad słabszymi czuwała policja armii podziemnej, która w razie pijaństwa i przestępstw kryminalnych, wdawanie się z Niemcami – karała chłostą, grzywną, infamią, a nawet śmiercią. W Luboczy w dwóch wypadkach zastosowaną była kara chłosty, w jednym grzywna.

Wielką radość wywołało zabranie z biura targowiska w Mogile (gdzie prowadzono ewidencję bydła i nierogacizny, wydawano nakazy odstawy kontyngentu mięsnego) wykazów dotyczących stanu bydła i nierogacizny w gminie Mogile, Ruszczy i Węgrzcach, przez oddział i spalenie ich w Luboczy (u Kryzy Jana). Wskutek tego była możliwość sprzedaży i uboju bydła bez narażenia się na karę ze strony władz niemieckich. We wsi zamarło jawne życie organizacyjne, narastała zaś nienawiść do Niemców na skutek ich brutalnego i bezwzględnego postępowania. Z początku powodzenie wojenne Niemców przerażało i osłabiało ducha, później każda nawet najdrobniejsza, nawet niesprawdzona wieść o klęsce, powtarzana z ust do ust podnosiła na duchu, dodawała nadziei. Rozchwytywane gazetki prasy podziemnej zapoznawały ludność z sytuacją. Humor dykteryjek i aktualnych żartów budził z odrętwienia i wlewał optymizm. Z biegiem lat wojny wyniszczyła się ludność z odzieży, obuwia, bielizny, pościeli. Rozdzielane skąpo przez gminę „Bezugscheiny" czyli Karty Odzieżowe, nie docierały do najbiedniejszych. Fakt ten wpłynął na zmniejszenie się frekwencji dzieci w szkole.

Tak przechodzą wolno miesiące i lata wojny. Cierpienie solidaryzuje naród. Odgłosy codziennych rannych strzałów od strony fortu w Krzesławicach, gdzie od kuli

niemieckiej ginęli polscy więźniowie z Montelupich, odbijały się bolesnym echem. Masowa egzekucja rozstrzelania 82 więźniów Polaków w Grębałowie wstrząsnęła do głębi ludność miejscową. Miała to być zemsta niemiecka za zastrzelenie dwóch „Bahnschutzów", czyli niemieckich strażników kolejowych w Grębałowie. Z ich ręki zginął trzynastoletni Józef Ślęzak z Grębałowa. Skarżyć się jednak nie wolno. Afisze niemieckie zawiadamiały raz po raz o egzekucjach i pacyfikacji. Zaś listy więźniów, męczonych w obozach karnych donoszą rodzinom w języku niemieckim o zdrowiu i powodzeniu osób tam przebywających. Wreszcie nadchodzą zawiadomienia o ich śmierci. Tak zginęła w Auschwitz była nauczycielka tutejsza Irena Oliwianka, Józefa Grzesiakówna, córka tutejszego rolnika, Małotowa Katarzyna, żona tut. rolnika, Aniela Walczak, żona rolnika z Grębałowa. Specjalna wzmianka należy się urzędowi przy „Arbeitsamt" w Krakowie. Ten wykazuje stale kontyngenty robotników mających „ochotniczo" wyjechać na roboty do Niemiec. Ileż trwogi w bezsenne noce przecierpiały matki w obawie o dzieci? Otrzymanie kartki wzywającej do stawienia się w urzędzie pracy było nieraz wyrokiem skazującym na roboty przymusowe i wywiezienie. Przez utworzenie oddziałów pracy tzw. „Baudienstu" zmusili Niemcy młodzież polską do przymusowej pracy bezpłatnej, siedmiomiesięcznej o głodzie. Należy podkreślić stanowisko lekarzy, którzy przez swoje orzeczenia niejednego od tej służby uwolnili. Do wyjazdu do Niemiec wyznaczały gminy ułomnych i chorych, którzy z tego powodu musieli być potem uwolnieni. Wprowadzenie kart przemiałowych i wyznaczenie procentu przemiału na 90% nie ograniczyło spożycia i nie wpłynęło na jakość mąki. Można było przemleć każdą ilość zboża na żądany procent. Mimo groźnych skutków przepisy nie znalazły pełnego posłuchu.

Stosunek niemieckich władz szkolnych do potrzeb szkolnictwa polskiego był obojętny. Niemcy pragnęli mieć element posłuszny i ciemny. O potrzeby szkoły nikt nie dbał. Zarząd Gminy stawiał potrzeby szkoły na końcu. Opał pochodził ze zbiórki, był niewystarczający. Duch społeczeństwa jednak rósł i tężał. Zakazy i nakazy władz niemieckich nie są respektowane, zwłaszcza w kwestiach dostarczania kontyngentów i robocizn. Sypią się kary za niedostarczenie podwód po drzewo, niedostarczenie mleka, niespełnienie robocizn itp. Rozpoczyna się i szerzy ruch organizacyjny podziemny, ogarniający młodzież. Tajne wiadomości umacniają wiarę w zwycięstwo. Koniec roku 1944 to okres wyczekiwania na wypadki – Tragedia Warszawy. Do Luboczy jak i wszystkich wiosek przybyli rozbitkowie – warszawiacy. W Luboczy w ilości 120 osób rozmieszczeni zostali po domach i utrzymywani przez mieszkańców pod opieką Komitetu Obywatelskiego. Już o kilkadziesiąt km na wschód zatrzymał się front armii niemieckiej i radzieckiej. Rozpoczęły się na gwałt roboty fortyfikacyjne. Codziennie kilkadziesiąt osób szło do kopania rowów i bunkrów. Podwody zwoziły drzewo, które wycinano w ogrodach i lasach. Zaczęto też niszczyć ogrodzenia, wycinać drzewka owocowe. Ogarnęła wszystkich troska o życie, o los wsi w razie bezpośrednich walk, obawa przed przymusowym wysiedleniem. Wzrok i słuch skierowany był na wschód, skąd dochodził huk dział.

Wreszcie około 15 I 1945 r. wyjechała z Luboczy grupa niemiecka, zakwaterowana tu od szeregu miesięcy. W nocy 17/18 stycznia zjawiła się polowa artyleria niemiecka, wycofująca się pospiesznie. O godz. 6-tej rano opuściła Luboczę. Równocześnie nadeszły wieści, że Kraków już wolny. Lecz w dniu 19 I toczyła się jeszcze walka nacierających wojsk radzieckich z niemieckimi. Pociski artylerii niemieckiej, stojącej nad Wisłą padały na pola, ogrody i zabudowania czyniąc zniszczenie od odłamków. Do wsi nadjechały czołgi i stoczyły ze sobą walkę, w której dwa (niemiecki i radziecki) zostały zniszczone i unieruchomione. W tej walce zginęło 8 żołnierzy radzieckich i 15 niemieckich. Z ludności cywilnej jeden z mieszkańców – Piotr Perczak od strzałów czołgu stracił nogę i z odniesionej rany zmarł. Spłonął dom Antoniego Kwatery i stodoła Antoniego Perczaka. Wieś zajęły wojska radzieckie. O skończonej walce świadczyły 2 rozbite czołgi, podziurawione dachy domów, połamane ogrodzenia, drzewka, podziurawione przez huk ściany, powybijane szyby, rozrzucone części karabinów, naboje. Na ogół jednak większych strat nie było, krytyczny dzień 19 I 1945 r. minął szczęśliwiej niż przypuszczano.

Jesienią roku 1944 wybudowana została linia elektryczna wysokiego napięcia, prowadząca z Mogiły do Dojazdowa, do tamtejszego młyna. Równocześnie zostały rozpoczęte starania o zelektryfikowanie gromady, na razie bez skutku, z powodu oporu ludności, wynikającego z niezrozumienia. Starania te podjęte przez Franciszka Twaroga doprowadziły do celu, gdyż jesienią 1945 r. zorganizowano komitet elektryfikacyjny, zawarto umowę ze Społecznym Przedsiębiorstwem Budowlanym, które w lutym 1946 r. rozpoczęło budowę linii w Luboczy, stawiając słupy. Całość ma kosztować około 450.000 zł. Równocześnie rozpoczyna staranie o elektryfikację Grębałów.

Rok 1946/1947

W roku szkolnym 1946/1947 (od września) uczyło grono nauczycielskie w następującym składzie: Franciszek Twaróg, jako kierownik szkoły, Teresa Twarogowa, Helena Lis, Domicela Markiewicz, ks. Edward Opyrchał, katecheta. Zofia Kessler jest na wyższym Kursie Nauczycielskim w Krakowie. Wprowadzono nowy program Ministerstwa Oświaty na 1946/1947 r. Zaznacza się spadek ilości dzieci do 175. Nauka trwa w bardzo

ciężkich warunkach kompletnego braku podręczników, braku urządzeń szkolnych, a przede wszystkim wyczerpania materialnego i niewystarczających płac nauczycielstwa. To zjawisko powojenne nie znajduje porównania w przeszłości.

W dniu 20 września 1946 r. o godzinie trzeciej po południu otrzymała Łubocza prąd elektryczny po przyjęciu sieci przez Komisję. Sieć ta składa się z 0,34 km wysokiego napięcia, 1,941 km niskiego napięcia i stacji transformatorowej. Ogólny koszt wyniósł 441.525 zł. Budowę przeprowadziło Społeczne Przedsiębiorstwo Budowlane w Krakowie. Komitet elektryfikacyjny składał się z 18 osób. Najczynniejsi członkowie komitetu: Franciszek Twaróg, jako inicjator, a również sekretarz komitetu, Piotr Partyła, przewodniczący, Joachim Przeniosło od wyżywienia majstrów elektr., Jakub Kaleta od robocizny konnej, Piotr Raźny od robocizny pieszej, Józef, Głowa, Kasper Daniel, Władysław Matuszczyk, Piotr Wójcik (nr 61) skarbnicy od zbiórki i Józef Pietruszka, skarbnik główny. Do komitetu należeli: Piotr Wójcik (nr 104), Piotr Walczak (nr 9), Karol Mrowiec, zarządca dworu, Wójcik Piotr (nr 112), Stanisław Jędras, Józef Kardas, Feliks Fraś, sołtys, Feliks Zamojski, przew. Gminnej Rady Nadzorczej. Budowa trwała (z powodu braków materiałów elektrycznych) od zawarcia umowy w dn. 3 I 1946 r. do odebrania sieci przez elektrownię w dniu 20 IX 1946 r., tj. przez 9 miesięcy. W sumie był to znaczny wysiłek zbiorowy. Projekt budowy trzy razy upadał i trzy razy został podjęty i wreszcie doprowadzony do końca. Piętrzące się przeszkody zostały stopniowo pokonane lub usunięte. Do elektryfikacji przystąpiło 80 gospodarstw z których w dn. 20 IX zaświeciło 34. Reszta przystąpi stopniowo. Szkoła i kaplica też otrzymały światło.

Zaznaczyć należy, iż Konwent PP. Norbertanek w jesieni 1946 r. rozprzedał ludności część swych gruntów „Pod górą" i przed szkołą, parcelami przeważnie morgowymi w cenie od 40.000 zł do 65.000 zł. Ochronka dworska, utrzymywana przez Konwent PP. Norbertanek ze Zwierzyńca została przemianowana na „Przedszkole". Wychowawczynią i kierowniczką jest siostra Alojza Gołaszewska, norbertanka. W tymże roku zelektryfikowaną została również gromada Grębałów, należąca do tutejszego obwodu szkolnego. Zasłużył się przy tym Andrzej Nowak, tamtejszy rolnik. W ciągu lipca 1947 r. prowadziła w Luboczy s. Alojza Gołaszewska, norbertanka, półkolonie dla dzieci przedszkola i akcję dożywiania przy subwencji Starostwa Powiatowego (Inspektoratu Szkolnego), „Caritasu" i Konwentu PP. Norbertanek.

W roku szkolnym 1947/1948 w szkole pracowali: Franciszek Twaróg, kier. szk., Teresa Twarogowa, Helena Lis i Zofia Kessler. Mianowana nauczycielką Stanisława Mikulska otrzymała urlop zdrowotny do 7 XII 1947 r. Religii nauczał ks. Edward Opyrchał. Dzieci uczęszczało 164. W roku tym zaznaczyła się dotkliwie klęska nieurodzaju pszenicy, która w bezśnieżną, mroźną wiosnę 1947 r. wymarzła. Straty wynosiły 90%, a nawet 100% zbioru. W dniu 16 XII 1947 r. rozpoczęła pracę nauczycielki w tutejszej szkole Janina Molowa w miejsce Zofii Kessler, przeniesionej do Mydlnik.

Rok 1947/1948

Rok gospodarczy 1947/1948 był urodzajnym, pogodnym, co umożliwiło dokonanie zbiorów i zasiewów. W roku szkolnym 1948/1949 uczęszcza do szkoły 163 dzieci z czego 4 dzieci z Wadowa.

Rok 1948/1949

Skład grona nauczycielskiego: Franciszek Twaróg, kier. szk., Helena Lis, Teresa Twaróg na urlopie, Maria Miechowicz, Genowefa Gaworek, Janina Mol na urlopie, ks. Edward Opyrchał, nauczyciel religii. Na 163 zapisanych dzieci 10% nie uzyskało promocji. Zaznaczył się rok urodzajny.

Na gruntach gromady Luboczy, Pleszowa, Mogiły, Krzesławic, Bieńczyc, Ruszczy rozpoczęły się prace przygotowawcze do budowy Nowej Huty (pomiary, wiercenia próbne, budowa osiedla robotniczego, dróg, kolei). W Mogile buduje się osiedle robotnicze. Powstają bloki mieszkalne na gruntach poklasztornych i chłopskich. Równocześnie odbywają się pomiary gruntów, szacowanie plonów, ogrodów, domów, podlegających wywłaszczeniu pod budowę Nowej Huty. Na gruntach Luboczy powstają tory kolejowe. Oprócz robotników z całej Polski pracują tu junacy ze „Służby Polsce", których brygady mieszczą się w Mogile, Bieńczycach, Krzesławicach, Pleszowie i Ruszczy. Wszyscy zdolni do pracy; mężczyźni i kobiety znajdują zatrudnienie przy pracach firm: Beton-Stal, P.P.R.K., Społ. Przedsiębiorstwo Robót Budowlanych, Przedsiębiorstwo Węzła Drogowego itd.

Rok 1950/1951

Zaznaczyć należy przejęcie przez Państwo majątku PP. Norbertanek jako PGR (Państwowe Gospodarstwo Rolne – dop.red.). Począwszy od Krzesławic przez Luboczę w stronę Wadowa ułożoną została droga granitową kostką po odpowiednim rozszerzeniu. W roku 1950 pracują w szkole: Franciszek Twaróg, kier. szk., Helena Lis, naucz. stała, Maria Bania, naucz. stała, Maria Najder, naucz. kontr. Długoletnia (od 1 II 1918 r.) nauczycielka tutejszej szkoły, Teresa Twarogowa, przeszła z dniem 1 IX 1950 r. w stały stan spoczynku. Zapisanych dzieci: 158. Nauczycielem religii rzym.-kat. jest ks. Edward Opyrchał z Pleszowa.

Rok 1951/1952

Z dniem 1 I 1951 r. przestała istnieć gmina Mogiła jako jednostka administracyjna powiatu krakowskiego, podobnie część gminy Ruszczy. Gromady: Mogiła, Bieńczyce, Mistrzejowice, Krzesławice, Lubocza, Grębałów, Pleszów, a z gminy Ruszczy: Wadów, Ruszcza, Branice

zostały przyłączone do miasta Krakowa pod Zarząd Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Krakowie. Zarząd nad tą dzielnicą objęła Dzielnicowa Rada Narodowa Nowej Huty, przy której powstał referat Oświaty i Kultury. W roku tym wydatki na potrzeby szkół Nowej Huty ponosi Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Krakowie. W ciągu wakacji 1951/1952 został dokonany remont budynków szkolnych kosztem 9.000 zł, otrzymanych ze Społ. Funduszu Odbudowy Szkół.

Na gruntach wywłaszczonych między Luboczą, Pleszowem, Krzesławicami, Mogiłą, Wadowem, Ruszczą i Branicami rozwijają się nadal w szybkim tempie roboty ziemne pod budowę torów kolejowych i dróg. Ludność znajduje pracę konną i pieszą przy budowie kombinatu Nowej Huty. Olbrzymia zmiana w ustroju gospodarczym i społecznym wsi wpływa na frekwencję dzieci. Na rok szkolny 1951/1952 wpisało się 170 dzieci. Nastąpiła znaczna poprawa w regularnym uczęszczaniu do szkoły. W gronie nauczycielskim nastąpiła zmiana: w miejsce przeniesionego do Wiśniowej k. Dobczyc ks. Edwarda Opyrchała czynności katechety objął ks. Jan Kuś, który tu przybył z Gaju k. Skawiny. Powstała przy szkole Drużyna Harcerska, której opiekunką jest Helena Lis. Istnieje też Szkolne Koło Odbudowy Warszawy (opiekunka Maria Bania) i P.C.K. (opiekunka Maria Najder). W kwietniu 1952 r. przeprowadzony został dla dzieci klas V, VI i VII kurs sanitarny I stopnia, i został założony punkt sanitarny. Główną troską nauczycielstwa w tym roku była walka o wyniki dydaktyczno-wychowawcze.

Rok 1953

Od 1 IX 1953 r. uczy w tutejszej szkole Franciszek Mrowczyk, młody nauczyciel po ukończeniu Pedagogium, mianowany w miejsce Marii Najder, przeniesionej do Skotnik. Do szkoły zapisało się 185 dzieci z Luboczy i Grębałowa. W tej liczbie jest 2 uczniów z Prus, pow. krakowski. W szkole działają organizacje: Koło Odbudowy Warszawy, PCK, Samorząd Szkolny, Drużyna Harcerska, istnieje biblioteka szkolna, punkt biblioteczny. W okresie wakacyjnym został przeprowadzony remont budynku drewnianego. W dniu 11 XI 1953 r. otrzymała szkoła 50 nowych ławek szkolnych, dwusiedzeniowych, ma jeszcze otrzymać z Wydziału Oświaty Prezydium Miejskiej Rady Narodowej 22 ławki. Szkoła została również (w grudniu 1953 r.) ogrodzona siatką na słupach betonowych. Komitet Rodzicielski na posiedzeniu w dniu 22 XI urządził zabawę, której dochód przeznaczono na pomoce naukowe dla szkoły. Dochód wyniósł 2.000 zł. Również sekcja wychowawczo-dydaktyczna postanowiła, ażeby członkowie Komitetu uczęszczali na naukę, celem dowiedzenia się o stanie wychowawczo-naukowym i o potrzebach szkoły. Z powodu braku mieszkań w miejscu, troje nauczycielstwa dojeżdża z Krakowa tramwajem i autobusem. Na ogół największą trudnością w pracy szkoły jest zachowanie się dzieci, niepełna frekwencja oraz fakt, że nie wszystkie dzieci uczą się w domu. Współpraca domu ze szkołą winna temu zapobiec.

Rok 1954

Do szkoły uczęszcza 182 dzieci, z czego 2 z Prus. Uczą: Helena Nawalaniec, Maria Bania, Kazimiera Gadaczowa, Franciszek Mrowczyk i Franciszek Twaróg. Religii udziela ks. dr Jan Kuś z Pleszowa. Przewodniczącym Komitetu Rodzicielskiego jest Józef Gębala, zastępcą Jan Szczupak, skarbniczką Władysława Broś. Na wiosnę br. rozszerzony został ogród szkolny przez dosadzenie około 40 drzewek owocowych. W nauce zabiega się o polepszanie wyników nauczania. Skończyło szkołę (VII kl.) 25 dzieci, które w większości skierowały się do szkół zawodowych w Krakowie i Nowej Hucie. Egzamin promocyjny niższych klas wykazał dobre wyniki pracy szkoły w roku szkolnym 1953/1954. Zaznacza się coraz większa troska i staranie rodziców o potrzeby dzieci oraz opieka higieniczna i sanitarna władz. 8 dzieci pojechało na kolonie letnie, a także dzieci robotników Nowej Huty.

Ponieważ z dniem 31 VII 1954 r. zostałem przeniesiony w stan spoczynku, pragnę zakończyć okres mojej 37-letniej pracy na stanowisku kierownika tutejszej szkoły uwagami, które mogą określić jej kierunek i znaczenie. Z uwag tych pozostaje prawda mojego życia i pracy: 37 lat na kierownictwie tej szkoły oddałem według własnego sumienia najlepszej pracy dla dobra dzieci i społeczeństwa. Z woli i zaufania Koleżeństwa przewodniczyłem Związkowi miejscowemu nauczycielskiemu przez 30 lat. Z ludnością przebyłem wszystkie niedole, 2 wojny, służąc poradą i pomocą w każdej chwili. W wyniku starań wielomiesięcznych mogłem przy współpracy chętnych wybudować dom gromadzki i zelektryfikować wieś. Nie było sprawy społecznej, w której nie brałbym udziału. Pobudką do tej pracy była chęć podniesienia życia ludności, uzasadniona własnym pochodzeniem i odczuciem. Towarzyszyła mi życzliwość i poważanie rodziców i przywiązanie dzieci. Korzyści materialnych z tej pracy żadnych nie odniosłem, szans dla uzyskania pozycji nie wykorzystałem. Nagrodą moją jest stwierdzenie z perspektywy znacznego okresu czasu, dodatnich wpływów szkoły na trzecie już pokolenie.

Rok 1955

W tym roku uczęszcza do szkoły ogółem 198 dzieci. Skład grona nauczycielskiego: Maria Lesiecka, Franciszek Mrowczyk, Helena Nawalaniec, Maria Bania, Franciszek Twaróg i Ryszard Wdzięczkowski, który objął kierownictwo szkoły od dn. 7 II 1955 r. po tymczasowej zastępczyni Helenie Nawalaniec, która pełniła tę funkcję od dn. 1 IX 1954 r. do 6 II 1955 r. Nauki religii rzymsko-kat. udzielał w godzinach nadliczbowych ks. Jan Kuś. Ukończyło szkołę 12 dzieci. Skierowały się one

do Liceum Ogólnokształcącego, Zasadniczych Szkół Zawodowych, Gospodarczych, Finansowych i Pedagogicznych. W tym roku uczyły się dzieci w 4 salach szkolnych własnych, niewystarczających. Zaznacza się dalsza poprawa frekwencji, która wynosi przeciętnie ponad 90% w ciągu roku. Zaopatrzenie szkoły w sprzęty i pomoce naukowe niedostateczne. Działalność Komitetu Rodzicielskiego bardzo słaba. Jego pomoc materialna ogranicza się do zbierania składek i finansowania najpilniejszych potrzeb dzieci i szkoły (zakup książek, prenumeraty czasopism pedagog. itp.). Opieka lekarska polega na jednorazowym w ciągu roku przebadaniu dzieci przez lekarza szkolnego oraz kontroli czystości dzieci przez higienistkę. W roku szkolnym 1955/1956 nie było przerw w nauce. Można stwierdzić poprawę wyników nauczania, repetowanych na następny rok szkolny było 8% dzieci tj. 15 dzieci wszystkich klas.

Rok 1956

W roku szkolnym 1956/1957 zapisanych do szkoły było 215 dzieci z Luboczy i Grębałowa. Spoza obwodu szkolnego nie było żadnych dzieci. Uczyło 6 osób z nauczycielstwa: Maria Lesiecka, Michał Charuza, Maria Bania, Helena Nawalaniec, Franciszek Twaróg, Ryszard Wdzięczkowski i ks. Jan Kuś, jako katecheta w lekcjach płatnych od godzin. Szkoła posiada tylko 4 sale naukowe z czego 2 sale są niedostateczne. Z powodu braku kompletu sal, nauka odbywa się na dwie zmiany od godz. 8-mej do 15-tej. Nauka przebiega regularnie. Zdrowotność dzieci dobra. W gronie nauczycielskim zaznacza się harmonijna współpraca i życzliwość koleżeńska. Z powodu braku mieszkań na miejscu część nauczycielstwa dojeżdża na naukę autobusem względnie tramwajem, a mianowicie dojeżdżają: Maria Lesiecka, Maria Bania i Michał Charuza. Franciszek Twaróg dochodzi do Luboczy z Grębałowa. Przewodniczącym Komitetu Rodzicielskiego Jan Szczupak z Grębałowa. Szkoła uzyskała z Wydziału Oświaty Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Krakowie komplet ławek dwusiedzeniowych do 4 klas. W szkole powstały i pracują: Drużyna Harcerska, Szkolne Koło PCK, Koło Odbudowy Stolicy, Samorząd Szkolny. W osiedlu Lubocza istnieje Kółko Rolnicze, które poza sprowadzaniem nawozów sztucznych nie przejawia żywszej działalności. W budynku gromadzkim mieści się Komisariat Milicji Obywatelskiej. Osiedle w Luboczy podzielonym jest na 2 Bloki. Przewodniczącymi są: Juliusz Wójcik i Józef Radosz. Przewodniczącym Bloku w Grębałowie jest Władysław Łach. W tym roku ukończyło VII klasę 18 dzieci.

Rok 1957

We wrześniu 1957 r. zapisanych zostało do szkoły 225 dzieci z Luboczy i Grębałowa. Zatrudnionych było 6 osób z nauczycielstwa: Michał Charuza, Maria Bania, Wiktoria Kudzia, Helena Nawalaniec, Franciszek Twaróg i Ryszard Wdzięczkowski jako kierownik szkoły. Ks. Jan Kuś uczy religii rzymsko-katolickiej jako przedmiotu nieobowiązkowego w 10 godzinach tygodniowo. Dzieci uczą się w 4 klasach. Nauka odbywa się bez przerw i przeszkód. 24 dzieci ukończyło VII klasę i przeszło w większości do szkół zawodowych. Spomiędzy Kół szkolnych zaznacza się wzorowe działanie Szkolnej Kasy Oszczędności pod opieką Marii Banianki. Na terenie Luboczy istnieje w dalszym ciągu Przedszkole „Caritas" pod kierownictwem s. norbertanki. Do tego przedszkola uczęszcza ponad 30 dzieci, przeważnie robotników Kombinatu Nowej Huty i instytucji państwowych. W obu Osiedlach nie ma bezrobotnych, bo wszyscy znajdują zatrudnienie w Hucie im. Lenina. Widzimy duże staranie o potrzeby dzieci, które są czysto i dobrze ubrane, posiadają wszystkie podręczniki, uczęszczają dość regularnie do szkoły. Przeciętna frekwencja roczna wynosi około 95%. Przechodzi do wyższych klas względnie kończy szkołę 92% ogólnej liczby uczęszczających. Powszechność nauczania została w pełni zrealizowana. Zwiększa się stale biblioteka szkolna. Wzrasta też czytelnictwo u dzieci. Bibliotekę prowadzi wzorowo Helena Nawalaniec. Niepokojąco przedstawia się sprawa młodzieży starszej, która już wyszła ze szkoły. Nie okazuje żadnej ochoty do pracy społeczno-kulturalnej. Nie ma też żadnego przejawu pracy starszych. Kółko Rolnicze w zastoju. Czy to na skutek braku pomieszczenia? Czy to z powodu bliskości Nowej Huty, gdzie znajdują zaspokojenie potrzeb kulturalnych? Czy wystarcza gazeta przyniesiona po pracy do domu? Czy wystarcza radio, dostępne dla każdego? Czy brak inicjatywy i pracy jednostek, które by chciały i umiały poświęcić się tej pracy? Może ten zastój jest skutkiem głębokiej przemiany społecznej wsi i chłopa, rolnika zmieniającego się w robotnika. Jedno się kończy, a drugie dopiero w początkach?

Rok 1958

W roku szkolnym 1958/1959 uczęszczało do szkoły 253 dzieci. Grono nauczycielskie powiększyło się do 8 osób. Uczyli: Maria Bania, Michał Charuza, Zbigniew Filek, Edward Hładyłowicz, Barbara Kaczmara, Franciszek Twaróg i Ryszard Wdzięczkowski jako kierownik szkoły. Religii uczy ks. Franciszek Juraszek. W maju 1958 r. uzyskała szkoła 4 sale naukowe najęte od OZR w Luboczy, a więc szkoła dysponuje teraz sześcioma salami. Drewniany budynek szkolny z dwoma salami został drogą licytacji sprzedany i rozebrany. Uzyskana kwota 13.000 zł została użyta na potrzeby szkoły. Budynek gromadzki został opróżniony przez Komisariat Milicji Obywatelskiej i oddany Prezydium Dzielnicowej Rady Narodowej w Nowej Hucie, która przeznaczyła go na Ośrodek Zdrowia i dla Spółdzielni „Samopomoc Chłopska" po gruntownie przeprowadzonym remoncie. Budynek ten był przedtem chwilowo (przez kilka tygodni) zajęty na kaplicę, na co jednak nie zgodziła się Dzielnicowa Rada Narodowa z uwagi na to, że dom

przeznaczony był od początku na świetlicę, remizę strażacką i spółdzielnię. W tym roku przeprowadzony został remont generalny budynku szkolnego i zabudowań gospodarczych. Również 4 sale, zajęte od OZR, zostały dostosowane do użytku szkolnego i tak dzieci szkolne otrzymały lepsze niż dotąd warunki do nauki. Są one dalekie jeszcze od istotnych potrzeb szkoły w Luboczy. Prezydium Dzielnicowej Rady Narodowej w Nowej Hucie planuje budowę nowej szkoły na wolnej parceli Stanisława Nowaka z wymianą na inny grunt. Szkoła stanęłaby w środku Osiedla, blisko Grębałowa. Należy przypuszczać, że będzie to jedna ze szkół na Millenium Polski. W tym roku ukończyło szkołę 21 dzieci, z których 5 przeszło do Liceum Ogólnokształcącego w Nowej Hucie, inne do szkół zawodowych.

Rok 1959

Liczba dzieci uczęszczających do szkoły stale się powiększa. W tym roku liczy szkoła 269 dzieci zapisanych i uczęszczających. W obwodzie szkolnym nie ma ani jednego dziecka w wieku szkolnym, które by nie wypełniało obowiązku uczęszczania do szkoły, co jest dodatnim skutkiem przemiany ludności rolniczej na robotniczą, która widzi w nauce jedyny sposób zabezpieczenia dzieciom pracy i egzystencji w przyszłości. W tym roku skład grona nauczycielskiego przedstawia się jak następuje: Maria Deska uczy I klasę, Maria Banianka jest wychowawczynią II kl., Aleksandra Skrzeczyńska wychowawczynią III kl., Zbigniew Filek wychowawcą IV kl., Barbara Kaczmara V kl., Franciszek Twaróg VI kl., Ryszard Wdzięczkowski VII kl., Edward Hładyłowicz uczy przedmiotów w klasach wyższych. Nauki religii rzymsko-katolickiej, jako przedmiotu nadobowiązkowego, udziela ks. Franciszek Juraszek, dojeżdżający z Pleszowa. Funkcję sekretarki szkoły pełni Katarzyna Łukaszewicz. Przewodniczącym Komitetu Rodzicielskiego w roku szkolnym 1957/1958 i 1958/1959 był Eugeniusz Zięba. Frekwencja dzieci przekracza 95% uczęszczających. Zdrowotność i higiena dzieci dobra. Zaznacza się zwiększone staranie Urzędu Zdrowia przez stałe zatrudnienie lekarza szkolnego, regularny przegląd higienistki przeprowadzany u dzieci. Również kilka razy dokonywane są szczepienia ochronne przeciw gruźlicy, durowi, ospie i Heine-Medina. Szczególny nacisk położono na zwalczanie wszawicy, które na razie zostało zakończone ze skutkiem dodatnim. W pracy grona nauczycielskiego jest wzajemna życzliwość i harmonijne współdziałanie. Nie ma rozdźwięków, jest natomiast koleżeńska pomoc. Taka atmosfera sprzyja dodatniemu oddziaływaniu wychowawczemu na dzieci.

Dla uzyskania składek ludności Osiedli: Luboczy i Grębałowa powstał Komitet Zbiórkowy na Szkołę Tysiąclecia. W Grębałowie została ukończona budowa Domu Kultury, który powstał kosztem i pracą mieszkańców Grębałowa z jednej strony i znaczną subwencją ze strony Wydziału Kultury Prezydium Dzielnicowej Rady Narodowej w Nowej Hucie. Do powstania tego Domu przyczynił się najwięcej inicjator i realizator budowy, Walenty Florkowski z Grębałowa. Dom ten, obejmujący salę ze sceną wyposażoną w kurtynę, zasłony, oświetlenie, krzesła, aparat kinowy, telewizor, pianino i bibliotekę, ma służyć potrzebom kulturalnym Grębałowa, Luboczy, Kantorowic i Prus – osiedli najbliższych. W grudniu 1959 r. wybranym został na następną kadencję Komitet Rodzicielski, a przewodniczącym Komitetu Juliusz Wójcik z Luboczy.

Rok 1960

Z wiosną br. powstał w Luboczy Ośrodek Zdrowia, który mieści się w przystosowanym do tego celu budynku gromadzkim przez Wydział Zdrowia Prez. DRN w Nowej Hucie. Kierownikiem Ośrodka jest dr St. Zieliński. Pracuje w nim lekarz chorób wewnętrznych, ginekolog, dentysta. Działaniem swoim obejmuje on pobliskie osiedla Nowej Huty: Luboczę, Grębałów, Wadów, Kantorowice i inne. Osobne pomieszczenie w tym budynku ma sklep „Samopomocy Chłopskiej" z zarządem w Ruszczy. Rok szkolny 1959/1960 skończył się w dniu 23 VI br. Uczęszczały wszystkie dzieci, będące w wieku szkolnym. Klasyfikowano 259 dzieci, niesklasyfikowano 1 (chora na Heine-Medina). Bez ocen niedostatecznych było 224, z ocenami niedostatecznymi 35. Przeciętny, roczny procent obecności wynosił 95%. Wśród niepromowanych dzieci było 50% opóźnionych w rozwoju oraz 50% zaniedbanych przez dom i źle zachowujących się na lekcjach. Najgorszymi klasami były: VI i VII, najlepszą klasa II. Było 22 przodowników w nauce (bez ocen dostatecznych) i 18 takich, które nie opuściły ani jednego dnia nauki w ciągu całego roku szkolnego. Inne dane statystyczne dotyczące pracy szkoły w roku szk. 1959/1960 mieszczą się w protokole Rady Pedagogicznej z dn. 18 VI 1960 r. (Księga Protokołów Rady Pedagogicznej w Luboczy).

W dniu 9 VII br. o godz. 3. po południu nawiedzone zostały okoliczne miejscowości klęską gradobicia: Lubocza, Grębałów, Łuczanowice, częściowo Prusy, Pleszów, Branice. W ciągu niespełna 10 minut grad zniszczył plony w zbożu, roślin okopowych, warzywach, zniszczył owoce w sadach. Burza i wicher poprzewracały drzewa z korzeniami i je połamały. Najbardziej dotkniętą została Lubocza, gdzie wicher przewrócił kilka stodół. Plony zniszczone zostały blisko w 100%.Tym gorzej dotyka ona rolników, że z powodu późnej pory (lipiec) nie można myśleć o sadzeniu ziemniaków lub sianiu zbóż. Rok ten można nazwać wyjątkowym z powodu deszczów nieprzerwanych, trwających już cały lipiec. Wielkie szkody poniosła szkoła w Luboczy. Burza wywróciła z korzeniami 40-letnie akacje, drzewa owocowe, które trzeba było usuwać przy pomocy dźwigu. Zerwana została częściowo dachówka na szkole i złamana antena telewizyjna.

Rok 1960/1961

Rok szkolny rozpoczął się w dniu 1 września. Z tym dniem nastąpiła zmiana w kierownictwie szkoły: Ryszard Wdzięczkowski, który od dn. 7 II 1955 r. do 1 IX 1960 r. był kierownikiem tutejszej szkoły został przeniesiony na własne żądanie na stanowisko równorzędne do szkoły podstawowej w Nowej Hucie. W ciągu 5,5 roku swojej pracy zdobył sobie przez sumienną pracę przychylny stosunek do dzieci i rodziców, przez koleżeńską życzliwość i takt wobec współpracowników, nauczycielstwa miejscowego, ogólne uznanie i sympatię. Słowa te umieszczone w kronice są wyrazem podziękowania dla ustępującego Kolegi. Równocześnie objął stanowisko kierownika tutejszej szkoły kol. Stanisław Toroń, który pracował przedtem jako kierownik szkoły podstawowej w Nowej Hucie. Skład grona nauczycielskiego: Maria Orzeł kl. I, Teresa Deska kl. II, Maria Bania kl. III, Aleksandra Skrzeczyńska kl. IV, Zbigniew Filek kl. V, Franciszek Twaróg kl. VII, Stanisław Toroń jako kierownik szkoły. Lekarzem szkolnym jest dr Teodor Zieliński, kierownik Ośrodka Zdrowia w Luboczy. Czynności higienistki szkolnej pełni Weronika Rożek, Przewodniczącym Komitetu Rodzicielskiego jest ob. Juliusz Wójcik.

Celem uzyskania szerszego obrazu życia kulturalnego, społecznego i oświatowego Luboczy i Grębałowa należy w kronice podać jakie organizacje w nich się znajdują. W pracy oświatowej towarzyszy nam Przedszkole. Oto jego historia powstania. W dniu 17 X 1928 r. Fryderyka Seligiewicz – ksieni Klasztoru S.S. Norbertanek na Zwierzyńcu w Krakowie zafundowała Ochronkę w Luboczy. Pierwszą kierowniczką przedszkola była s. Bogumiła Jędrzejowska, tj. od roku 1928 do 1931. Nauka była odpłatna po 3 zł miesięcznie. Następnie kierowniczką była s. Milona Małysiak w latach 1931-1933, a następnie s. Waleria Klinowska do roku 1934. W 1934 r. obejmuje tę placówkę s. Alojza Gołaszewska, która przetrwała na tym stanowisku inwazję hitlerowską i ciężkie warunki pracy przedszkola. W 1945 r. Stowarzyszenie „Caritas" pomaga w prowadzeniu przedszkola przez dotacje pewnych sum pieniężnych i artykułów żywnościowych. W 1951 r. zostały ustalone miejsca etatowe dla przedszkola i przyznano 31 miejsc dla dzieci, które mogły być do niego przyjęte. Od dn. 1 XI 1958 r. funkcję kierowniczki przedszkola objęła Bronisława Stanisz i wychowawczyni Janina Truszkowska. We wrześniu 1959 r. budynek przedszkola został odremontowany kosztem około 34.000 zł. Sale są jasne, dużo nowych pomocy i zabawek – znak pieczołowitej opieki Polski Ludowej nad dziećmi najmłodszymi. 35 dzieci robotników Huty im. Lenina z korzyścią spędza codzienne godziny lekcyjne w przedszkolu pod opieką szczerze oddanych pracy wychowawczyń.

Ośrodek Zdrowia w Luboczy został otwarty w dn. 1 I 1960 r. Swoim działaniem obejmuje osiedla: Luboczę, Grębałów, Wadów, Kantorowice i Zesławice. Ośrodek obejmuje działy leczenia: wewnętrzny, ginekologiczny, pediatryczny i dentystykę. Kierownikiem Ośrodka jest Teodor Zieliński. Pracują lekarze: Zbigniew Ptak – lekarz dziecięcy, Irena Juchowska – dentystka, Teodor Zieliński – choroby wewnętrzne i ginekologia. Personel pomocniczy: Kazimiera Borowska, Krystyna Szymońska, Józefa Nowak, pomocnik dentyst. i Maria Hołota, sprzątaczka. Ośrodek w Luboczy utrzymuje Prez. DRN w Nowej Hucie.

W Luboczy czynne jest Kółko Rolnicze. Jego Zarząd: przewodniczący – Kasper Daniel (nr domu 63), zastępca – Jan Partyła (nr 57), sekretarz – Mieczysław Cecuga (nr 155), skarbnik – Jan Krupa (nr 49). Członkami Zarządu są: Krystyna Walczak (nr 3), Józefa Pietruszka (nr 39), Franciszek Jurek (nr 94). Komisja Rewizyjna: Józef Radosz (nr 71), Piotr Wójcik (nr 86), Stanisław Kaczmarczyk (nr 47).

W dniu 10 I 1961 r. powstał Związek Młodzieży Socjalistycznej w Luboczy, który liczy 48 członków. Do Zarządu weszli: Piotr Kot – jako przewodniczący, Jan Kaczmarczyk – zastępca, Stanisław Mak – skarbnik, Mieczysław Wójcik – kolporter. ZMS nie posiada własnej siedziby i korzysta z sali szkolnej na urządzanie zebrań i imprez.

Istnieje też Koło Gospodyń Wiejskich, którego przewodniczącą jest Wiktoria Kot. Kółko Rolnicze, Koło Gospodyń Wiejskich i ZMS rozwijają na terenie Luboczy działalność społeczną, kulturalną i oświatową. Dużą trudność dla tych organizacji stanowi brak własnego lokalu w budynku, który został zajęty przez Ośrodek Zdrowia. Kółko Rolnicze stara się o dostarczanie swoim członkom nawozów, nasion, pasz dla bydła i drobiu, sadzeniaków (ziemniaków). Instruktorem jest inż. Radwan. Należy zaznaczyć dążenie mieszkańców do przejścia z gospodarki zbożowej na warzywniczą i hodowlaną, co tłumaczyć można bliskością miasta Krakowa i dzielnicy Nowej Huty. Droga wiodąca przez Osiedle otrzymała w 1960/1961 r. nawierzchnię asfaltową. Przez Luboczę przechodzą z Nowej Huty do Wadowa i z powrotem dwa autobusy oznaczone nr 110, co pół godziny (od 1 IV 1961 r.), ułatwiając komunikację z miastem. Tę nową linię utworzyło Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacji (MPK) w Krakowie-Nowej Hucie.

W Grębałowie czynne jest Kółko Rolnicze, którego Zarząd składa się z następujących członków: Walenty Florkowski jako przewodniczący, Stanisław Łach – zastępca, Kazimierz Jonkisz – sekretarz, Jan Kot – skarbnik. Skład Zarządu Koła Gospodyń: Janina Wiechnik, przewodnicząca, Maria Woźniak, zastępczyni, Zofia Curyło, skarbniczka. Przewodniczącym Ligi Przyjaciół Żołnierza jest Kazimierz Żwirek. Przy Domu Kultury w Grębałowie jest kino „Balladyna", w którym operatorem jest Antoni Florkowski. Kierowniczką Domu Kultury jest Lucyna Bernhardt, która prowadzi dziecięcy

zespół plastyczny oraz zespół sceniczny. W tych zespołach biorą również udział dzieci klas IV, V i VI ze szkoły w Luboczy. Balet dziecięcy prowadzi Maria Grabowska. W Grębałowie istnieje też Stacja Selekcji Nasion na obszarze około 50 ha gruntu.

Śladów istnienia Luboczy należy szukać w bardzo dawnych czasach. Uczniowie VII kl. szkoły w Luboczy znaleźli 2 kamienne siekierki z kamienia gładzonego (przedtem młotek kamienny), które zostały wyrzucone z ziemi przez spychacze pracujące na terenie Luboczy. Znaleźli też skorupy z garnków glinianych. Rok szkolny 1960/1961 zakończył się dla klasy VII w dniu 22 VI 1961 r., a dla klas niższych w dn. 24 VI 1961 r. Ogólny bilans klasyfikacyjny szkoły: ogólna liczba dzieci klasyfikowanych wynosi 258, postęp bardzo dobry otrzymało 39, postęp dobry i dostateczny otrzymało 199, postęp niedostateczny 20. Z ogólnej liczby dzieci klasę VII ukończyło 34. Dzieci te przenoszą się do dalszych szkół zasadniczych, techników zawodowych i liceów ogólnokształcących. Przeciętny poziom naukowo-wychowawczy ocenia się na dobry, względnie dostateczny. Biorąc pod uwagę naukę i wychowanie, wyróżnia się spośród innych klasa III, którą prowadziła wychowawczyni Maria Banianka. Jedną z najzdolniejszych klas była kl. VII, która jednak z powodu większości trudnych chłopców była najcięższą do prowadzenia. W klasie tej było 8 repetentów.

FRANCISZEK TWARÓG – Moje życie, dążenie i praca



Franciszek Twaróg

Dzieciństwo

Urodziłem się 2 kwietnia 1891 r. we wsi Łuczanowice w powiecie krakowskim. Ojciec mój, Kasper, był robotnikiem rolnym u właściciela majątku, Władysława Mycielskiego. Nasza rodzina składała się z dziesięciu osób; z dwojga rodziców i ośmiorga dzieci. Sytuacja materialna naszej rodziny była trudna. Mieszkaliśmy w starym, drewnianym, krytym strzechą domu dworskim, stojącym pomiędzy dwoma stawami, w których latem zażywaliśmy dużo kąpieli, łowiliśmy ryby i raki. A zimą – chociaż matka chowała nam z oszczędności nasze buty – urządzaliśmy tam ślizgawki, bawiliśmy się nawet boso. Kiedy miałem rok, szerzyła się czarna ospa, na którą wiele osób we wsi zmarło. Zachorowała też moja matka i pozostawała w domu. Jako malutkie dziecko sypiałem i bawiłem się przy niej, ale wyjątkowo nie zachorowałem, jednak piękna twarz mojej matki nosiła odtąd ślady tej choroby. Od siódmego roku życia chodziłem do pierwszej klasy szkoły ludowej w Dojazdowie. Miałem koleżankę w I klasie – Zosię Zakrzewską, z którą chodziłem w parze, trzymając się za ręce, razem też bawiliśmy się i uczyli. Ale naszą sielankę przerwały złe języki koleżeństwa które mówiło: „Będzie się z nią żynił" – przeląkłem się i tak zakończyła się nasza dziecinna przygoda; piękna i czysta przyjaźń.

Kiedy miałem osiem lat, przenieśliśmy się na mieszkanie do karczmy dworskiej zwanej „gospodą". Matka sprzedawała tam artykuły spożywcze. Zapamiętałem z tamtych czasów zebrania wieczorne, które w porze zimowej często odbywały się w jednej izbie. Kładłem się wówczas cichutko na kanapie za siedzącymi chłopami i słuchałem opowiadań o strachach, gusłach i czarach. Pamiętam też opowiadania agenta Kopcia o szczęściu, jakie czeka każdego, kto chce mieć wielki majątek w Ameryce. Nawet „kartę" dostanie za darmo, a tam już na niego będzie czekał ktoś, kto zaprowadzi go do „ziemi obiecanej". Jako dziecko nie wiedziałem, że to był wstęp do „Pana Balcera w Brazylii" Marii Konopnickiej i „Za chlebem" Henryka Sienkiewicza. Trzeba przyznać, że ojciec trzymał nas w karności i pamiętam do dnia dzisiejszego cięgi pasa za słuchanie pijackich śpiewów. Matka przerywała też moje przygodne lekcje wieczorne za plecami starszych, wypędzając mnie do spania.

Ponieważ moja droga do szkoły w Dojazdowie wypadała przez las, często spóźnialiśmy się na naukę, bo chcąc wybrać wronie jajka z gniazda wspinaliśmy się na najwyższe sosny, a brat mój, nieżyjący już Józef, niejedną godzinę „kozy" przesiedział w klasie za to wykroczenie przeciw regulaminowi szkolnemu. Do szkoły w Dojazdowie uczęszczały dzieci z czterech wsi. Utworzyły się dwa stronnictwa wzajemnie zwalczające się: Łuczanowice i Krzysztoforzyce kontra Kocmyrzów i Dojazdów. Powstały one na tle rywalizacji kto mocniejszy, bo przecież powodów do nienawiści nie było. Na skutek tej „rywalizacji" znikały pryzmy kamieni pod szkołą, przeznaczone do naprawy drogi, używane przez nas jako pociski przeciwko „nieprzyjacielowi". Bójki przerywała interwencja p. Wojewody – kierownika szkoły i jedynego nauczyciela. Jakże głupio postąpiłem okładając pięściami kolegę tylko za to, że był z Kocmyrzowa. Jakieś współczucie i wyrzut sumienia poczułem w sobie widząc dopiero rezygnację i ciche łzy napadniętego przeze mnie chłopaka. „Nemezis" sprawiła, że przeciw temu

co sam wtedy robiłem, występuję teraz jako nauczyciel, a do tych, co krzywdzą słabszych – czuję głęboką pogardę.

Moi rodzice

Ojciec z mamą mieli 400 zł reńskich, uskładanych i złożonych w kasie oszczędności na czarną godzinę. „Cóż my z tego damy naszym dzieciom? Jakaż będzie ich przyszłość?" – martwili się. W wyniku takich rozważań dali starszego brata i mnie „na stancję" do znajomej rodziny mieszkającej w Krakowie, skąd uczęszczaliśmy do szkoły mieszczącej się w Bursie Jerozolimskiej na Małym Rynku, a nosiła ona nazwę św. Barbary. Warunki, w których mieszkaliśmy, mogły zniszczyć nadzieje, jakie pokładali rodzice w naszym wykształceniu. Mieszkanie – to była jedna ciasna i ciemna izba. Okno tej izby wychodziło na podwórko przypominające wnętrze fabrycznego komina, przez które nie było widać nieba i nigdy nie zajrzał tam nawet promień słońca. Po wejściu do środka nie można było rozpoznać osób znajdujących się w izbie, a przy jedzeniu nie widziałem własnej łyżki. Słaby blask kopcącej lampki naftowej, świecącej się przez cały dzień, tylko rozjaśniał co nieco kąty. Nic zatem dziwnego, że po powrocie ze szkoły i po obiedzie wybiegaliśmy na ulicę Senacką (przy której mieścił się sąd i więzienia dla przestępców). Środkiem tej ulicy przebiegał ściek, po którym spływały nieczystości. Było to miejsce naszych zabaw z ulicznikami. Odwiedzający nas rodzice zrozumieli, że tego rodzaju tryb naszego życia do niczego dobrego nie doprowadzi. Zdecydowali się więc na rozłąkę dla dobra wszystkich dzieci; ojciec pozostał w Łuczanowicach na utrzymaniu dworskim, a matka przeniosła się z dziećmi do Krakowa.

Ojciec „zamieszkał" w stajni przy koniach i wozowni, pozostając na wyżywieniu otrzymywanym z kuchni dworskiej, zaś matka z nami znalazła lokum w ciasnej izbie kamienicy przy ulicy Smoleńsk 19, którą sprzątała jako stróżka. Własne poświęcenie ojca i matki zadecydowało o przyszłości sześciorga dzieci (dwoje zmarło wcześniej w Łuczanowicach). Nasi rodzice byli to ludzie prości, ale przykład ich spokojnego, zgodnego i uczciwego życia oraz ofiarność i pracowitość ukazywały nam kierunek wychowawczy. Przykład ten wzbudzał w nas wielki szacunek i miłość, skłaniał do posłuszeństwa. Pomimo ubóstwa nie zaznaliśmy głodu i braku podstawowych środków do nauki, tym bardziej więc staraliśmy się nie zawieść pokładanych w nas nadziei. Nauka szła nam dobrze. Tylko w trzeciej klasie, z powodu zmiany warunków życia, miałem trochę słabsze wyniki w nauce, ale od klasy czwartej przynosiłem do domu świadectwa z bardzo dobrymi postępami. Życie moje przebiegało między domem a szkołą, którą polubiłem, gdzie czuwał nad nami i uczył bardzo ceniony nauczyciel Hanytkiewicz, którego dziś z głęboką czcią wspominam.

Miałem wielu kolegów

Wspominam jednego z nich – Bańdułę, którego przywiodło do Krakowa pragnienie nauki, przychodził też do naszej kamienicy. Mieszkał gdzieś „kątem", obiady tanie jadał u felicjanek, był nędznie ubrany. Uczył się wieczorem na oświetlonych schodach, a odchodził, gdy światło zgasło. Nigdy nie widziałem u niego łez, nie słyszałem żadnej skargi. Na twarzy jego widniał chłopski upór i wola wytrwania. Wkrótce znikł i nie wiem co się z nim stało. Takich „żaków" miał Kraków w tym czasie... Przez nędzę, znój i wyrzeczenie dla umiłowanej nauki zdobywali później w społeczeństwie życzliwość i ogólny szacunek, mogli jak ongiś z profesorem Akademii Krakowskiej, Marcinem Wadowitą. powiedzieć: „Dziękuję ci aksamicie, kłaniają się Wadowicie." Po skończeniu najwyższej w szkole, czwartej klasy, poszedłem do Gimnazjum Św. Jacka, które mieściło się w starych dominikańskich murach kolegiaty przy ulicy Siennej. Uczęszczałem tam do I i II klasy, z dobrymi wynikami w nauce. Szczególnie polubiłem tam profesora Wincentego Styrylskiego, żyjącego jeszcze do dziś czynnego nauczyciela polonistę. Był serdecznym przyjacielem uczniów w nauce, zabawie, wycieczce, śpiewie, a potem również przewodnikiem jako prezes Małopolskiego Związku Młodzieży w Krakowie. Zetknąłem się z nim po latach we wspólnej pracy na terenie Okręgu Krakowskiego ZM.

Moją naukę w gimnazjum przerwał ojciec. Mimo dobrych postępów i mimo moich łez i próśb, zapisał mnie do Seminarium Nauczycielskiego w Krakowie. Studia w gimnazjum i na wyższej uczelni trwały zbyt długo i to było przyczyną przeniesienia mnie. Ojciec czuł, że w trudnych warunkach swego życia i pracy jako stangret dworski nie wytrwa, bo skracają mu życie. Ktoś z nas, dzieci, musiał mu jak najwcześniej w utrzymaniu rodziny dopomóc. Jako dziecko nie miałem jeszcze wizji określonego zawodu, który pragnąłbym wykonywać. Wybór zawodu często jest bardzo przypadkowy. Decyzja bym został nauczycielem była słuszna, gdyż ojciec wkrótce po uzyskaniu przeze mnie tego stanowiska zmarł i trzeba go było w opiece nad matką i rodzeństwem zastąpić. W Seminarium znalazłem się wśród kolegów pochodzących z różnego typu szkół z całej ówczesnej Małopolski. Nie było jednak tego zżycia co w gimnazjum, a zespół klasowy tworzył się wolniej; stopniowo dobierały się charaktery i sympatie, tworzyły koła współpracy. Już przy egzaminie wstępnym do I klasy Seminarium zyskałem przyjaciela, Mietka Bojarskiego, syna szczotkarza z Krakowa. Siedzieliśmy obok siebie jeszcze nieznajomi. Pomogłem mu w egzaminie piśmiennym, on zaś poczęstował mnie słodyczami, a potem zawiązała się między nami przyjaźń. Nie było dnia, żebyśmy się po nauce nie spotkali. Razem uczyliśmy się, zwierzaliśmy i podkochiwali, razem zdawaliśmy maturę i egzamin praktyczny, utrzymywaliśmy

kontakt ze sobą do ostatniej chwili. Przed wybuchem I wojny światowej wyjechał do swojej ciotki do Płocka, gdzie został internowany i wywieziony do Rosji, tam zachorował na gruźlicę i zmarł. Wiadomość o jego śmierci przywiozła mi jego narzeczona, która przyjechała do domu jako repatriantka przy wymianie jeńców. Do końca wspominał mnie i przysłał słowa pożegnania. Drugi kolega szkolny to Antoś Skibski z Buczacza, z Galicji Wschodniej. Uprawialiśmy razem sport. Zginął w 1914 r. biegnąc w szeregach 13 Pułku Piechoty z karabinem w ręku na ukryte w rowach strzeleckich karabiny maszynowe, gdzie otrzymał śmiertelny postrzał w brzuch. Austriacka armia Dankla i Auffenberga odniosła w tej bitwie pod Kraśnikiem pierwsze pyrrusowe zwycięstwo nad armią rosyjską – kosztem obfitego szafowanej krwi dzieci krakowskich. Ulubionymi moimi przedmiotami nauki w Seminarium były język polski, geografia, rysunki, zajęcia praktyczne i wychowanie fizyczne. Wspominam profesorów: Magierę od języka polskiego, Garncarczyka od geografii, Gramatykę od rysunków, Franciszka Pększyca od robót ręcznych i Zygmunta Wyrobka od gimnastyki.

Rząd zaborczy

Przez odpowiedni kierunek i metody wychowawcze – zwłaszcza w zakładach kształcenia nauczycieli jakimi były Seminaria – władza szerzyła wiernopoddańczego ducha i serwilizm dla zaborczego państwa i wiedeńskiego tronu. W okresie moich studiów seminaryjnych jeszcze przed 1910 r. znalazły te usiłowania opór i negację wśród młodzieży, która uzyskiwała wśród profesorów życzliwe, choć nieraz milczące poparcie. Wyrazem opinii i stanowiska młodzieży bywały obchody rocznic, w czasie których dla wzięcia w nich udziału opuszczała ona naukę i szkołę. Cmentarz i rynek krakowski były też miejscami manifestacji w rocznice powstań narodowych. W świetle migocących pochodni stawało widmo roku 1846 i sprawców tej tragedii, winnych przelanej krwi bratniej, z pieśnią:

Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej,
Do Ciebie, Panie, bije ten głos,
Skarga to straszna, jęk to ostatni,
Od takich modłów bieleje włos.
My już bez skargi nie znamy śpiewu,
Wieniec cierniowy wrósł w naszą skroń,
Wiecznie, jak pomnik Twojego gniewu,
Sterczy ku Tobie błagalna dłoń (...)

Przemawiały do nas echa krakowskich wypadków w powstaniu Dembowskiego i wspomnienia walk 1863 r. W okresie niewoli i kłamliwego wychowania szukaliśmy prawdy w kółkach samokształcenia, prowadzonych przez młodzież akademicką. Należałem do takiego tajnego kółka, będąc na IV kursie Seminarium. Było nas kilkunastu. Zbieraliśmy się w różnych punktach miasta, w prywatnych mieszkaniach, czytaliśmy, słuchaliśmy wykładów, dyskutowaliśmy. Dzieło Szczepańskiego „Nędza Galicyi w cyfrach" i inne książki dały nam obraz krzywdy, jaką wyrządzał rząd zaborczy, dążący z jednej strony do uległości przez zupełne zubożenie gospodarcze oraz utrzymanie zacofania i ciemnoty, a z drugiej kokietując przez zjednanie Koła Polskiego w parlamencie wiedeńskim i Sejmie Galicyjskim we Lwowie, opiewając życzliwość Habsburgów, a w szczególności „naszego, najmiłościwiej nam panującego cesarza Franciszka Józefa I". W 80 rocznicę urodzin tego cesarza 400 chłopów w krakowskich sukmanach na wojskowych koniach defilowało w Wiedniu przed nim, wznosząc okrzyk: „Niech żyje!" „Jakiż wielki to był zaszczyt dla nas" – wspominali o tym uczestnicy. Z obserwacji stosunków w trzech zaborach można było stwierdzić, że przez dopuszczenie pewnych swobód narodowych rząd austriacki był najbliższy osłabieniu dążeń wolnościowych. Hasło „Divide et impera" (Dziel i rządź) znajdowało w Królestwie Galicji i Lodomerii skuteczne zastosowanie.

Z początkiem XX wieku

Widzimy już wtedy aktywność wśród młodzieży. W latach 1908-1910 budzi się ruch sportowy. Powstają organizacje piłki nożnej: Pogoni we Lwowie, Cracovii i Wisły w Krakowie, a potem Czarni, Garbarnia, Tarnovia, Resovia – wszystkie na zasadzie sportu amatorskiego, z inicjatywy samej młodzieży. W ślad piłki nożnej poszły następnie inne sekcje sportowe. W Krakowie istniał ogród, założony przez dr. Henryka Jordana, gdzie dzieci krakowskich szkół w godzinach popołudniowych, oddziałami pod kierownictwem i opieką przewodników w tym celu przeszkolonych, bawiły się i ćwiczyły na przyrządach, które znajdowały się w specjalnym pawilonie. Przez 3 lata, będąc na II, III i IV kursie Seminarium prowadziłem jako przodownik takie zabawy w parku im. H. Jordana dla dzieci szkolnych, zaś w niedziele gimnastykę z oddziałem rękodzielników z bursy im. Kuznowicza. Po skończeniu Seminarium i objęciu pracy nauczyciela bardzo ciężko mi było z nimi się rozstać. Dr Jordan, przechodząc alejami swego parku, obserwował nasze zabawy, słuchał też pieśni dziecięcej Edmunda Wasilewskiego „Płynie Wisła, płynie". Zacna twarz lekarza radowała się na widok roześmianych dzieci.

Z oddziału najstarszych dzieci, które prowadziłem, powstała drużyna amatorska trampkarzy, która z początku grała według zasad gry krakowskiej (nogami i rękami), ale po meczu Pogoni z Cracovią szybko przeszła do gry według zasad futbolu angielskiego. Moi trampkarze zaprawieni w grze zasilili kadry Wisły. Osobiście grałem Wiśle. Znalazłem potem zapaleńców tego sportu

w Seminarium i założyłem klub pod nazwą „Wawel", którego nie trzeba jednak mylić z obecnym krakowskim klubem wojskowym o tej samej nazwie. Mieliśmy ciemno-zielone koszulki. Błonia krakowskie były naszym terenem treningów i zawodów rozgrywanych z dość dobrymi wynikami. Nawet w pewnym meczu pokonaliśmy Wisłę wynikiem 1-0 i przez parę miesięcy byliśmy mistrzowskim klubem Krakowa. Lubiłem gimnastykę i oprócz nauki w Seminarium uczęszczałem na zajęcia do Sokoła krakowskiego, którego kierownikiem był Szczęsny Ruciński. Lubiłem też naukę robót ręcznych przy warsztacie i tokarni. Prosiłem też prof. od rysunków, aby mi pozwolił na naukę w podwójnej ilości godzin. W tym okresie powstał w Krakowie skauting, wzorowany na angielskim. Opiekunem w jego początkach był prof. Zygmunt Wyrobek, późniejszy wizytator wychowania fizycznego w Krakowskim Kuratorium Szkolnym. Żyli wtedy Kazimierz i Włodzimierz Tetmajerowie, Lucjan Rydel i Stanisław Wyspiański. Podziwiałem też na scenie Ludwika Solskiego. Pamiętam słowa, zachęcające do pracy kulturalnej i społecznej, pochodzące z „Wyzwolenia" Stanisława Wyspiańskiego:

Daj nam poczucie siły
i Polskę daj nam żywą,
by słowa się spełniły
nad ziemią tą szczęśliwą.

Jest tyle sił w narodzie,
jest tyle, mnogo ludzi;
niechże w nie duch Twój wstąpi
i śpiące niech pobudzi.

Niech się królestwo stanie
nie krzyża, lecz zbawienia.
O daj nam, Jezu Panie,
Twą Polskę objawienia.

Już wtedy zdawałem sobie sprawę, że obok toczącego się życia spokojnego, mieszczańskiego Krakowa, społeczeństwo nurtuje w głębi jakaś siła, mogąca ten spokój pozorny wzruszyć i wydobyć na wierzch istotną, żywotną treść narodu i przysypane popiołem pragnienia. Na cóż był potrzebny karabin maszynowy chłopcu, na którego procesie byłem jako słuchacz? Czy manifestacje krakowskie nie były sygnałem dążeń społecznych i wolnościowych robotników? Czy obce nam były hasła pruskiego kanclerza Bismarcka: „Ausrotten?" Czy nie było tradycji walk Dembowskiego i powstania styczniowego? Czy ból katowanych we Wrześni dzieci polskich nie był bólem całego narodu? Nasze kółko samokształceniowe zostało odkryte, zelżone i nazwane organizacją „dzwońców i mlaskotów". Uczniom groziła surowa kara wyrzucenia ze szkoły. Łagodzące i życzliwe stanowisko rady pedagogicznej uratowało nas od konsekwencji policyjnej. Nas wołały już słowa Marii Konopnickiej:

Temu tylko pług, a socha,
Kto tę czarną ziemię kocha,
Kto ten zagon zna do głębi,
Kogo rosa ta nie ziębi,
Kto ojczystych niw i pól
Zna wymowę – łzy i ból.

Słowa zaś Stanisława Staszica: *Upaść może wielki naród, lecz zniszczeć tylko nikczemny*, wypowiadane przez naszych profesorów – polonistów podnosiły nas na duchu i wlewały spokój i wiarę. O jego wielkości mówiły nam pamiątki przeszłości zawarte w murach naszego kochanego Miasta i relikwiarz tych pamiątek – Wawel. Powaga jego i wieki, które przetrwał, chłodziły nasze rozpalone troską i goryczą młode skronie. Tam, jako student, pod pomnikiem Grażyny mickiewiczowskiej, na Plantach, na tle murów i wież Wawelu przygotowywaliśmy się z Mietkiem Bojarskim do matury. Z Wawelu biegł w świat potężny ton dzwonu Zygmunta, kiedy podczas wielkich uroczystości rozkołysaliśmy jego serce.

Nadeszła matura

Rok 1910, rocznica Grunwaldu. Przeżyliśmy jeszcze razem wspaniałą manifestację jedności wszystkich dzielnic Polski u stóp pomnika Grunwaldzkiego, ufundowanego przez Ignacego Paderewskiego. Kiedy otrzymałem świadectwo dojrzałości opanowała mnie radość z ukończenia wieloletniej pracy nad sobą, którą jednak wyciszała myśl, że teraz widnieje przede mną kolejna niezapisana, biała karta życia i pracy, którą muszę zapełnić własnymi rękami i samodzielnym wysiłkiem. Czy podołam tej pracy? Czy odnajdę w sobie umiejętność wyboru i postępowania, zgodnego z etyką i obowiązkami nauczyciela? Na tę nieznaną mi jeszcze przyszłość miałem zasady uczciwego życia, wszczepione przez prostych, lecz jakże swą ofiarą wielkich obojga rodziców, ponadto wiedzę, podaną przez cenionych profesorów, a nade wszystko predyspozycje wynikające z przeżyć lat młodzieńczych. W umyśle miałem wiersz, wypowiedziany przy pożegnaniu przez profesora Mendrysa:

Chociaż nie skończysz – ciągle rób. Ciebie – nie dzieło zamknie grób.

Chociaż dla czynów tu krótko nas, czas wszystko skończy, bo ma czas.

W Czulicach

1 sierpnia 1910 r. objąłem posadę nauczyciela jednoklasowej szkoły ludowej w Czulicach w powiecie krakowskim. Świat deskami zabity. Siedem kilometrów drogi pieszo od stacji kolejowej wzdłuż granicy zaborów; austriackiego i rosyjskiego. Cicha, zapadła wieś. Uczyliśmy tam we dwójkę: kierownik szkoły Edmund Zawiła i ja – dziewiętnastolatek. Jedna klasa z betonową, stale wilgotną posadzką, wilgocią spływające ściany, budynek stojący na mokrej łące. Dwie klasy połączone: pierwsza i druga, nauka cicha na przemian z głośną. Muszę się przyznać, że po pierwszej lekcji w pustej już klasie spłakałem się rzewnymi łzami. Były to moje ostanie dziecięce łzy. Kierownik szkoły przysłuchiwał się przez drzwi, jak sobie ten delikatny, prosto „spod igły" nauczyciel da radę z 60 malcami. Przyznał mi się potem, że był zbudowany moją zaradnością. Polubiliśmy się. Tu też zetknąłem się po raz pierwszy z pracą społeczną wśród młodzieży wiejskiej. Istniała tam świetlica w której gromadziła się dorastająca młodzież z Czulic i Karniowa. Wpisałem się tam. Urządzaliśmy odczyty, przedstawienia, stworzyliśmy orkiestrę smyczkową, do której należałem jako grający na skrzypcach. Na posadzie w Czulicach byłem 3 lata. Przywiązałem się do ludzi i do pracy. Na cmentarzu czulickim jest grób nieznanego powstańca, zarąbanego na polach czulickich, a na nim krzyż dębowy moją ręką zrobiony i ustawiony w rocznicę powstania. Z żalem pożegnany przez ludność odjechałem z Czulic do Branic, przeniesiony tam przez Inspektorat Szkolny w Krakowie. Kierownik tamtejszej szkoły, Andrzej Rozowski, prosił o przeniesienie mnie do Branic, ponieważ dowiedział się o moich zdolnościach do prac ręcznych, a ponadto chciał wśród grona nauczycielskiego mieć chociaż jednego mężczyznę.

W Branicach

Były tam dwa budynki szkolne; jeden z 1880 r. i drugi z czasów Rzeczypospolitej Krakowskiej, zniesionej w 1846 r. W tej drugiej szkole mieszkałem i uczyłem. Trzyletni pobyt w Branicach uzupełnił moje uzdolnienia praktyczne; zaznajomiłem się tam z prowadzeniem szkółki drzewek i szczepieniem oraz z hodowlą pszczół. Z pszczołami było tak; kierownik szkoły, właściciel pasieki, wyjechał z powodu bliskiego oblężenia Krakowa do miasta, a ule z pszczołami wstawił do piwnicy i zamurował. Honwedzi (żołnierze węgierscy) znaleźli schowek i pootwierali ule w poszukiwaniu miodu. Kierownik szkoły musiał iść na wojnę. Do szkoły wróciła jego żona i pozostali nauczyciele. Rola ratowania pasieki przypadła mnie, który z pszczołami nie miałem nigdy do czynienia – wyniosłem je do ogrodu. Lata 1914 i 1915 były bardzo miodne i rojne. Przy zbieraniu rojów zostałem dotkliwie pokłuty. Co wycierpiałem, to wycierpiałem, ale pasiekę uratowałem. Poznałem życie pszczół i zdobyłem umiejętność obchodzenia się z nimi, polubiłem je, a w dodatku otrzymałem od kol. Rozowskiej w darze jeden ul z pszczołami – zaczątek mojej pasieki. Długi czas byłem hodowcą pszczół z zamiłowania i miałem stąd także korzyść materialną.

Rok 1913, w którym przyszedłem do Branic, zaznaczył się nasileniem dążeń wolnościowych, w obliczu wybuchu spodziewanej wojny. Wśród młodzieży tworzyły się organizacje bojowe: Drużby Strzeleckie, Drużyny Polowe, Drużyny Sokole, a na wsiach, szczególnie w Małopolsce wschodniej – Drużyny Bartoszowe. Pod wpływem organizacji istniejącej w nieodległym Kłaju, tuż za Wisłą, powstała Drużyna Bartoszowa także w Branicach, należąca do chorągwi w Krakowie. Obaj z kierownikiem szkoły byliśmy jej założycielami. Posiadaliśmy mundury tej organizacji, odbywaliśmy ćwiczenia w terenie polnym i leśnym, poznaliśmy musztrę i taktykę bojową. Koncentracja naszych Drużyn po wybuchu I wojny światowej odbywała się w Mszanie Dolnej. Ale Drużyny Bartoszowe odmówiły przysięgi wojskowej na wierność Austrii i zostały rozwiązane. Wróciłem do pracy w Branicach.

Nie miałem potrzebnego zdrowia i ochoty do służby wojskowej w obcych szeregach, mogłem więc swe siły poświęcić szkole i pracy społecznej na wsi. Już wtedy Austria i Niemcy poniosły wielkie straty w ludziach i trzeba było oszczędzać zbytnich ofiar, tym bardziej, że oprócz frontów wojennych istniał też front wewnętrzny, gospodarczy, od którego także zależał wynik wojny. Z tych czasów wspominam przeżycie bardzo głębokie, kiedy maszerowaliśmy z Rynku krakowskiego w stronę Wawelu w pięknych mundurach „drużyniackich". Wśród widzów powstał nieopisany entuzjazm, z otwartych okien na ulicy Grodzkiej sypały się na nas kwiaty – oto jak wielką była tęsknota do własnego polskiego żołnierza! Za okres pracy organizacyjnej i wojskowej w Drużynie Bartoszowej posiadam odpowiednie zaświadczenie Biura Historycznego Ministerstwa Spraw Wojskowych. Nie mogę zapomnieć też chwili, kiedy w pokoiku nauczycielki, Teresy Starkel (mojej późniejszej żony), zebrana wiara „drużyniacka" otoczyła fortepian śpiewając patriotyczne pieśni, w których odzwierciedlała się tęsknota za wolnością i walką, mogącą do niej utorować drogę. Przed poborem mojego rocznika (1891) do służby wojskowej złożyłem przez starostwo powiatowe reklamację, na której powodzenie nie liczyłem. Ale, o dziwo, okazała się skuteczna! Po dwóch tygodniach pobytu w Nowym Iczynie na Morawach w charakterze „einjahriger – freiwilliger" (jednoroczny ochotnik), zostałem zwolniony ze służby wojskowej do pracy jako „nauczyciel, pisarz gminny, członek komisji aprowizacyjnej i członek straży pożarnej". Tu w Branicach otrzymałem telegram z zawiadomieniem o śmierci ojca. W szkole branickiej spędziłem trzy lata. Nauczyłem się ogrodnictwa, pszczelarstwa, doznałem życzliwej opieki. Tu także poznałem swoją żonę, Teresą Starkel, córkę powstańca z 1863 r., urzędnika kolejowego i matki Bronisławy Wesołowskiej, nauczycielki z Krakowa. 4 kwietnia 1918 r. zawarliśmy szczęśliwy związek, w którym spędziliśmy oboje 40 lat pożycia małżeńskiego.

W Mogile

Po upływie trzech lat pracy w Branicach znalazłem się na stanowisku zastępcy kierownika szkoły w Mogile. Czteroklasowa wówczas szkoła powszechna w Mogile połączona była z dopełniającym kursem rolniczym. Pamiętam wybuch I wojny światowej. Z dworca kolejowego odjeżdżały pociągi żegnane płaczem matek i dzieci. Rozegrała się wielka tragedia rozdartego narodu, który wojna postawiła w przeciwnych sobie obozach i kazała braciom ubranym w obce mundury strzelać do siebie. I jeszcze trzeba było udokumentować wolę niezależnego bytu państwowego przez utworzenie własnego wojska polskiego na podstawie mglistych obietnic rządów zaborczych. Kto wtedy żył i brał udział w ówczesnym ruchu wolnościowym stwierdzi, że narodził się on w umysłach i sercach młodzieży polskiej, co przez wiele lat tęskniła za chwilą walki o drogą jej ojczystą ziemię, jej lud, wsie i miasta, o dziedzinę szczęśliwej, wspólnej doli. Widzę dziś jeszcze maszerujące ulicą Szczepańską szeregi ochotników lwowskich i słyszę:

W dzień deszczowy i ponury
Z Cytadeli idą z góry
Szeregami lwowskie dzieci
Idą tułać się po świecie. (...)
Słychać świst lokomotywy –
Boże, powrót daj szczęśliwy!
Boże! pozwól mi
Dożyć chwili tej,
Bym do Polski wrócił swej!

Na stanowisku kierownika szkoły w Mogile byłem przez półtora roku. Do 1914 r. prowadzili ją cystersi, potem nauczyciele świeccy. Chłopcy z kursu rolniczego byli tak trudni, że żadna nauczycielka nie mogła ich uczyć, ale udało mi się ich opanować. Kiedy przyszedł na kierownictwo kol. Alfred Teper, posiadający kwalifikacje rolnicze (ukończył wyższą szkołę rolniczą w Dublanach), poprosiłem o posadę kierownika szkoły w Luboczy. Chciałem bowiem ustabilizować swoje życie i pragnąłem samodzielnej pracy na terenie wsi. Były kierownik tej szkoły, Jan Maciaszek, przeniósł się na własną prośbę do Dojazdowa. Był to człowiek schorowany, stary już, obarczony rodziną. Z powodu zniszczenia szkoły w 1914 r. nie chciał już wracać z ewakuacji do Luboczy. *To niech pan idzie do Luboczy, tam czeka pana wielka praca nad odbudową szkoły i praca społeczna. Jest pan młody* (miałem wtedy 26 lat), *pełen zapału, da pan sobie radę i będzie zadowolony* – poparł moją prośbę Józef Lorentz, inspektor szkolny.

W Luboczy

7 maja 1917 r. objąłem kierownictwo szkoły w Luboczy, w której spędziłem wszystkie najcenniejsze lata mojego życia. Przywiózł mnie tam Józef Broś, wójt. W nieogrodzonym obejściu szkolnym – pustka, widać sterczące pnie drzew i gruzy fundamentów stodółki. W jednej klasie okna zabite deskami z podłogi, brak szyb i okien, ławek i pieca. Wchodzę na schody do drugiej sieni i słyszę dochodzący szmer – odbywa się nauka. Wchodzi ksiądz Jan Skarbek i mówi: – *Czekamy już na pana. Klucze są naprzeciwko u sąsiadów*. Objąłem pustą szkołę. Nikt mi jej nie zdał, zresztą nie było w niej tak wiele. Rozejrzałem się po wsi. Była zdemolowana na rozkaz władz wojskowych. Zburzono ponad 50% budynków mieszkalnych, wszystkie zabudowania gospodarcze, wycięto wszystkie drzewa owocowe i dzikie, zniszczono ogrodzenia. Ludność została ewakuowana na przedmieścia Krakowa. Zniszczono plony, które mieściły się w zburzonych stodołach, wywieziono drzewo pozostałe z domów. Wszystko to stało się dla oczyszczenia przedpola fortu w Grębałowie, który bronił Twierdzy Kraków, zbliżała się bowiem armia rosyjska i spodziewano się oblężenia. Gdy zagrożenie miasta na skutek pomocy niemieckiej armii Mackensena ustało, ludność powracała do wsi, zastając pustkę w miejscu swoich siedzib. Od pierwszej więc chwili mojego przybycia do Luboczy miałem narzuconą sytuację i kierunek pracy: odbudowa szkoły, organizacja nauki, zagospodarowanie, a równocześnie pomoc dla ludności wsi.

Przeżywałem ciężkie chwile. Wsie Lubocza i Grębałów, tworzące obwód naszej szkoły oraz inne zdemolowane wsie podkrakowskie korzystały z moratorium zwalniającego je od płacenia podatków gruntowych, przy których pobierane były dodatki na utrzymanie szkoły. Nie było zatem środków na utrzymanie czystości, na opał, na remont budynku i na uruchomienie drugiej klasy. Nie było żadnych sprzętów: stołów, szaf, stołków, ławek ani pieców. Z akt szkolnych pozostała tylko pieczątka. Stodółka, stajenka i ustępy były zburzone. Sytuacja szkoły wymagała ofiary osobistej. Posiadając uzdolnienie do robót, wykonałem do dwóch klas stoły, szafy i stołki. Naprawiłem 12 rozbitych ławek uzyskanych z Magistratu Miasta Krakowa, dostarczyłem przedmioty do utrzymania czystości, naprawiłem schody i ganek do szkoły, ogrodziłem z konieczności drutem kolczastym ogród szkolny, podniosłem zwalony krzyż przy szkole, pamiątkę upadku powstania styczniowego i zniesienia pańszczyzny w 1864 r. Kupiłem w zamian za własny owies 10 kwintali węgla, zrąbałem przydrożną topolę na podpałkę i tak po przerwie spowodowanej brakiem opału kontynuowałem nauczanie (trzyletnia przerwa odbiła się wyraźnie na poziomie nauki).

Remont szkoły stał się wreszcie możliwy na skutek uzyskania subwencji z Krajowego Urzędu Odbudowy, wynoszącej 7 000 zł. Zaczęły też napływać dotacje na utrzymanie szkoły z podatków Grębałowa i Luboczy na skutek ustania moratorium – przeszły czasy najcięższe. Na wiosnę 1918 r. z Branic do Luboczy przeniosła się moja żona, również nauczycielka, absolwentka Seminarium Nauczycielskiego w Krakowie i uczyła w Branicach, gdzie ją poznałem. Równocześnie odbudowywała się wieś. Reaktywowaliśmy Kółko Rolnicze. Przeprowadziłem rejestrację strat wojennych ludności, pisałem setki wniosków w sprawie odbudowy. Sprowadziliśmy wspólnie mnóstwo drzewek owocowych i odbudowaliśmy zniszczone sady. W szkole odbywały się zebrania ludności celem omówienia najważniejszych zagadnień gospodarczych wsi. 10 października 1918 r. pojechałem pociągiem z Grębałowa do Krakowa. Zobaczyłem żołnierzy, którzy w miejscu austriackiego „bączka" na czapce i znaku FJI (Franciszek Józef I) mieli srebrnego orzełka polskiego. U pasa nie mieli już dwugłowego orła austriackiego. W mieście panowały entuzjazm i radość. Pod wieżą ratuszową, ubraną w biało-czerwone flagi, pełniła wartę młodzież akademicka. Komendant miasta, generał Nastupil, w budynku Magistratu oddał szpadę i zdał komendę w ręce prezydenta miasta. Koszary wojskowe zostały zajęte przez wojskowe organizacje wolnościowe. Nastał wreszcie koniec wojny i koniec niewoli. Zawsze wystrojeni i dumni oficerowie austriaccy, spacerujący zwykle po linii AB Rynku krakowskiego, oddawali szable polskim patrolom. Przeżyłem w tym dniu chwile głębokiego wzruszenia i wspólnej ze wszystkimi radości.

Moja dalsza praca dla wolnej Polski

Poza pracą zawodową w szkole lubiłem też pracę w założonym przez siebie sadzie obok szkoły. Hodowałem w ogrodzie warzywa, kwiaty i krzewy owocowe. Pasjonowałem się hodowlą pszczół, przez trzy lata hodowałem nawet jedwabniki. Odbudowałem stajenkę i stodółkę, chowałem krówkę, obsiewałem dwie morgi szkolnego gruntu. Wiodłem spokojne życie przy boku żony, miłującej swój zawód nauczycielki i matki jedynej córki Marysi – „Szkolnej" – jak ją tu wszyscy nazywali. Często znikała nam, znajdowaliśmy ją potem w domu koleżanek, a najczęściej Kasi Perczakówny, z łyżką przy wspólnym rodzinnym stole. Ogród i drzewa przy szkole były jej domeną, pokochała wieś i otoczenie, ponieważ były świadkami jej dziecięcego szczęścia i porywów młodości. Uczęszczała potem do Gimnazjum im. Królewny Wandy w Krakowie. O wyniki jej nauki nie troskałem się – były zawsze bardzo dobre. Dziś jest szczęśliwą matką dwojga moich wnucząt: Anisi i Jureczka, jako żona Romana Zderkowskiego, dobrego ojca i męża. Wziąłem potem do siebie matkę staruszkę, która zmarła mając 87 lat. Brat mój Jan był kierownikiem szkoły w Pleszowie przez około 40 lat, ceniony i szanowany przez ludność, kochany i poważany przez dzieci. Siostra Wisia, krawcowa, wyszła za Tadeusza Krzywdę, nauczyciela, zaś najmłodszy brat jest urzędnikiem pocztowym w Trzebini. Poświęcenie rodziców nie poszło na marne – dało chleb i pozycję społeczną całej rodzinie (Józef Twaróg, brat Franciszka i Jana, przed wojną stacjonował w Brześciu n. Bugiem i Unińcu. Wzięty przez Sowietów do niewoli zginął w Katyniu w 1940 r. – dop. red.)

Od samego początku służby nauczycielskiej, tj. od 1 sierpnia 1910 r., byłem nieprzerwanie czynnym członkiem Związku Nauczycielstwa Polskiego. Uczestniczyłem w ogólnym wiecu nauczycielskim w 1911 r. we Lwowie, żądającym siedmioletniej nauki w szkole powszechnej, wykształcenia wyższego dla nauczycieli i poprawy ich płac. Od 1916 r. do 1946 r. byłem członkiem Ogniska branickiego i jego przewodniczącym. Równocześnie byłem członkiem Zarządu Okręgowego Związku Nauczycielstwa Polskiego w Krakowie jako przewodniczący sekcji pedagogicznej. Ognisko branickie ZNP odznaczało się ruchliwym życiem towarzyskim, naukowym i organizacyjnym. Z okresu mojego przewodnictwa w Ognisku branickim pozostały wspomnienia solidarności i życzliwości koleżeńskiej, szczerego zapału do wspólnej pracy. Kulczyk, Pałosz, Wąs, Wiśniewscy, Twarogowie (Jan i Genowefa), Wyżgowie, Lowasowie, Chojnaccy, Hausner, Tylkowie, Galiszkiewicz – to nazwiska czynnych członków Ogniska, kolegów kierowników sąsiednich szkół, z którymi podejmowaliśmy pracę oświatową i samokształceniową na konferencjach rejonowych i tworzyliśmy Ośrodki Sąsiedzkie Kół Małopolskiego Związku Młodzieży, istniejących w każdej miejscowości, w której oni pracowali. Równocześnie z Kółkiem Rolniczym, reaktywowanym przeze mnie po zakończonej I wojnie światowej, założyłem z dorosłą młodzieżą, chłopcami i dziewczętami, Koło Młodzieży. Siedzibą i miejscem zebrań, odczytów, przedstawień, różnych imprez i zabaw była szkoła. Z dochodów uzyskanych z przedstawień i zabaw zakupiliśmy książki i założyliśmy bibliotekę Koła. Prowadziliśmy zespoły uprawowe i hodowlane w sekcjach przysposobienia rolniczego, połączone z wystawą konkursową. Urządzaliśmy także konkursy hodowli kur rasowych, prosiąt, uprawy buraków, nowych odmian ziemniaków itp. Wiele czasu spędziłem z młodzieżą, schodzącą się w moim mieszkaniu na rozmowy i planowanie pracy. Jej stosunek do mnie był serdeczny i koleżeński, a nasza praca w Kole pociągała też starszych. Zbudowałem ruchomą scenę w ten sposób, aby można było ją rozebrać zaraz po przedstawieniu i ażeby na tym nie ucierpiała nauka. Malowałem dekoracje, reżyserowałem przedstawienia, uczyłem śpiewu pieśni ludowych, kombinowałem kostiumy. Żona i koleżanka, Felicja Galiszkiewicz, prowadziły kursy gotowania, szycia, nawet kurs tańca prowadził brat kol. Galiszkiewicz.

Wspominam gorących zwolenników i współpracowników: Piotra Walczaka, kolejarza, Piotra Wójcika, spawacza u Zieleniewskiego, Józefa Kota, Piotra Raźnego, rolników, Jana Cygana, stolarza oraz wielu innych uczniów mojej szkoły, którzy w swych marzeniach widzieli wieś szczęśliwą i pragnęli przez pracę ten stan osiągnąć. Organizując zjazdy Kół w ośrodku sąsiedzkim, wspólne imprezy i zabawy pragnęliśmy skończyć z zawiścią i krwawymi niekiedy rozgrywkami pomiędzy młodzieżą poszczególnych wsi i byliśmy na dobrej drodze do tego celu. Mieliśmy za sobą powagę organizacji ojców naszych uczniów zrzeszonych w Kółku Rolniczym. Wspominam więc również w tym miejscu rolników: Wincentego Kota, Wincentego Pietruszkę, Piotra Brosia, Wojciecha Raźnego, Józefa Bętkowskiego, a z Okręgowego Związku Młodzieży: inż. Feliksa Beaupre, prof. Wincentego Styryjskiego, Marię Wollenową, inż. Tracza, a przede wszystkim Emila Zegadłowicza, poetę i pisarza, autora dzieł o wsi, przewodniczącego Zarządu Małopolskiego Związku Młodzieży.

W spokojną pracę weszła potem konkurencja Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Męskiej i Żeńskiej, Koła Młodzieży „Znicz" i Związku Walki Młodych. Rozdrobnione organizacje zwalczały się wzajemnie, co nie wyszło na korzyść w rozwoju kulturalnym i oświatowym wsi. Tak było w okresie międzywojennym. Powoływano mnie wówczas do pełnienia rozmaitych funkcji na terenie gminy Mogiła i powiatu krakowskiego. Byłem członkiem Powiatowego Komitetu Opieki nad wdowami i sierotami po poległych, członkiem Powiatowej Komisji Aprowizacyjnej, członkiem Tymczasowej Rady Powiatowej w Krakowie, członkiem Rady Kasy Komunalnej Powiatu Krakowskiego oraz członkiem Powiatowej Rady Szkolnej. Funkcje te wynikały z mojej pracy, z mojego zainteresowania i aktywności. Wyróżnienia omijały mnie, bo pracy swojej nadałem charakter i cechę bezpartyjności. Nie należałem do OZN. Z woli większości głosów nauczycielstwa otrzymałem z gminy Mogiły mandat do głosowania na posła do senatu, złożyłem głos na kandydata Związku Nauczycielstwa Polskiego. Spełniłem wzięty na siebie obowiązek, ale skreślony zostałem z listy odznaczonych. Pozostałem wierny pracy w Kółkach Rolniczych i młodzieżowych oraz w Związku Nauczycielstwa Polskiego. Wiem, że potem przez pewien czas byłem policyjnie inwigilowany.

Z tutejszą ludnością miałem też bardzo bliski kontakt. Utarł się zwyczaj, że wzywano mnie do chorych celem spisania ich ostatniej woli. Życiem rodzinnym wstrząsały kłótnie o spadek po ojcu lub matce, co było powodem wyniszczających materialnie procesów. Mogłem w ten sposób zapobiec procesom sądowym i nienawiści w rodzinach. Zdarzały się bowiem sytuacje takie jak ta, że matka jeszcze nie „wystygła", a syn, inwalida bez ręki, pobił się ze swoim szwagrem o pierzynę. Inwalida trzymał ją jedną ręką, a szwagier, ciągnąc pierzynę, rzucał nim o ściany i sprzęty. Syn wyszedł z tej bójki zbity „na kwaśne jabłko". Trwożyła mnie możliwość pożaru wsi, zabudowanej szeregowo drewnianymi budynkami, dałem więc inicjatywę do założenia miejscowego oddziału Ochotniczej Straży Pożarnej, który zaopatrzyliśmy w sprzęt i mundury, przeprowadziliśmy też szkolenie. Dotkliwym dla wszystkich tutejszych organizacji był brak własnego, wyłącznego dla ich celów budynku. Na posiedzeniu rady gminnej w Luboczy przeprowadziliśmy uchwałę o budowie domu ludowego. Byłem inicjatorem tej budowy i jej rzecznikiem, gdyż rozumiałem, że posiadanie takiego domu jest warunkiem skutecznego działania organizacji oraz że odciąży on szkołę, dotychczasową ich siedzibę. Pierwszy też byłem z taśmą na placu budowy i codziennym już na długie miesiące świadkiem i uczestnikiem prac, autorem przyjętego planu i aktu erekcyjnego zamurowanego w jego fundamencie. Czuwałem nad postępem prac, dokonywałem rozliczeń za robociznę i pilnowałem, ażeby wpływy na budowę uzyskane ze sprzedaży nieproduktywnych błoń i nieużytków wykorzystane były na pokrycie kosztów budowy, które wynosiły 9 000 zł, do czego należało doliczyć pracę społeczną ludności i rad gminnych. W budynku tym znalazły się pomieszczenia dla Kółka Rolniczego, Koła Młodzieży, straży pożarnej, sklepu spółdzielczego i sala do zebrań i przedstawień. 15 sierpnia 1936 r. nastąpiło otwarcie domu ludowego. Wspólnymi siłami doprowadziliśmy do tego, że w środku wsi, na gruzach zburzonej przez wojnę karczmy dworskiej, rozpijającej wieś, stanął budynek dla pracy oświatowej, kulturalnej i spółdzielczej.

Katastrofa wrześniowa i lata okupacji niemieckiej

W szkole kwaterowała krótko polska grupa przeciwlotnicza z ciężkim karabinem przeciwlotniczym na złamanym chłopskim wozie, a potem pojawiły się niemieckie bombowce nad Krakowem i lotniskiem rakowickim, pozostawiając zgliszcza i ruiny. Nastąpiła moja wędrówka na Wschód. Ze Stasiem Tylkiem, synem kolegi, przeszliśmy Kielecczyznę, lubelskie, Podlasie, Brześć, Dęblin i Radom. Na szczęście żonę z dzieckiem zostawiłem w domu. Wróciłem po miesięcznej tułaczce, uzasadnionej chyba tylko tym, że za swoją pracę nauczycielską i społeczną mogłem się spodziewać represji. Zastałem wszystko w porządku; nauka jawna rozpoczęta, chociaż nauczycielstwo nie miało zabezpieczonego wynagrodzenia, lecz gdy to stało się możliwe – przystąpiło do pracy. Wieś była zajęta przez Niemców. Musieliśmy opróżnić sale szkolne dla wojska, a nauka odbywała się w dwóch izbach domu dworskiego. Uczyliśmy języka polskiego. Podręcznikiem do niego był „Ster", nadto geografii „Generalgouvernementu". Tak przedstawiała się nauka „jawna". Ukryłem bibliotekę szkolną, obrazy, podręczniki, sztandar szkolny, ukryłem radio, oddaw-

szy przedtem do gminy nieużyteczne pudło z innego zniszczonego aparatu.

Nauczycielką w naszej szkole była kol. Irena Oliwiarka, siostra Jana Oliwy, zastrzelonego przez Niemców. Przytuliła się do mojej rodziny z matką i przeniosła z Krakowa wszystkie swoje rzeczy. Aresztowana wkrótce przez Niemców, po krótkim pobycie w więzieniu na ul. Montelupich została przewieziona do obozu koncentracyjnego Auschwitz, gdzie „zmarła na tyfus". Tak samo zmarła Józia Grzesiak, córka rolnika, wyróżniająca się wśród tutejszych dziewcząt wyjątkowym wdziękiem i urodą. Przeziębiła się stojąc wiele godzin w lodowatej wodzie. Tak „zmarła" p. Kołacz, matka dwojga niemowląt, aresztowana w łapance za sprzedaż mleka. Wieś cierpiała od prześladowań na równi z całym krajem. Odbywały się wywózki do Niemiec na przymusowe roboty oraz do prac w lasach niepołomickich, do budowy bunkrów i kopania rowów strzeleckich, gnębiły ludność drakońskie dostawy żywca, zboża i ziemniaków.

Pewnego dnia przyjechał do Luboczy „Trauhandler", urzędnik niemiecki od dostaw bydła, celem zakolczykowania kilkunastu prosiąt u Stanisława Walczaka, ukrywającego je. Kiedy wstawiłem się za Walczakiem u Trauhandlera, który był Polakiem, ten pokazał mi list anonimowy, informujący o nielegalnej hodowli prosiąt u Walczaka, grożący dalszym doniesieniem w razie niewykonania tego obowiązku. Człowiek, który był o donos podejrzany, dziś już nie żyje. Innym razem przyszli do mnie do szkoły w czasie nauki dwaj nieznani mi chłopcy, mający po ok. 20 lat. Nie potrzebowałem się ich pytać kim oni są, bo z kieszeni wystawały im rewolwery, na co zwróciłem im uwagę. Widać, mieli do mnie pełne zaufanie, a przyszli do mnie po poradę. Chodziło o to, że tutejszy sklepikarz pije z Niemcami, rozpija ludność, donosi, kto posiada niekolczykowaną trzodę. Pytali co z nim zrobić. Mieli bowiem rozkaz jego likwidacji. Żal mi było rodziny tego człowieka, jego żony i dzieci. Prosiłem o darowanie mu życia. Jak się później dowiedziałem zapłacił dotkliwą karę pieniężną, Dziś już nie żyje, do końca swoich dni nie wiedział, jak bliski był śmierci. Ci sami donosiciele i nieroby, o których już wspomniałem, jakich wszędzie można spotkać, wcisnęli się potem na stanowiska członków rady gminnej i szykanowali rzetelnych pracowników społecznych aż tamci zostali usunięci.

Na terenie Luboczy i okolicznych wsi funkcjonowały oddziały Batalionów Chłopskich. Partyzanci napadli na siedzibę Trauhandlera w Mogile, zabrali spisy bydła i trzody podlegających kontroli dostaw, przywieźli je do Luboczy i spalili u Kryzy w piecu chlebowym. W całej gminie trwał potem przez pewien czas swobodny ubój i handel. Nieżyjący dziś Andrzej Raźny (zmarł nagle pozostawiając żonę i syna) opowiadał mi o swoim pierwszym udziale w akcji: *Otrzymałem z kolegą rozkaz konwojowania i ubezpieczenia kolegi przewożącego w walizce broń. Byliśmy na stacji kolejowej w Kocmyrzowie. Staliśmy nieopodal mając kolegę na oku. Nagle podeszli do niego dwaj uzbrojeni Niemcy, żądając otwarcia walizki. Mimo wyjaśnień, że jest tam tylko bielizna, jeden z Niemców natarczywie żądał pokazania co jest w walizce. Trzymałem w kieszeni odbezpieczony rewolwer, nadchodziła śmiertelna dla Niemców i dla nas walka. Ale drugi Niemiec spostrzegł nas, zrozumiał sytuację, poczuł co się święci i stchórzył: „Otwórz i zamknij" – powiedział do kolegi. – „Gut". Niemcy odeszli. Odetchnąłem, śmierć była blisko, w Kocmyrzowie był posterunek niemiecki.*

Oprócz nauki jawnej dla wszystkich dzieci zorganizowałem u siebie tajne nauczanie. Nauka odbywała się w moim mieszkaniu, chociaż było to bardzo niebezpieczne, gdyż po obu stronach, w klasach przebywali Niemcy. Uczyliśmy we trójkę: moja żona, kol. Maciej Nawara, który uciekł z „Reichu" spod Poznania i ja. Przerabialiśmy ostatnią klasę szkoły podstawowej i pierwszą klasę gimnazjalną. Na naukę uczęszczały dzieci z Luboczy i z Wadowa, które po wojnie dostały się na podstawie egzaminu do szkół średnich w Krakowie.

Pewnego sierpniowego dnia w chwilowo opróżnionej klasie uczyłem ich historii. Na ławkach leżały porozkładane książki i zeszyty. Nagle przez okno spostrzegliśmy zbliżający się do wejścia niemiecki patrol. Strwożone dzieci poukrywały się pod ławkami. Wyszedłem do sieni. Naprzeciw mnie stanęło czterech Niemców z wymierzoną do mnie bronią. Pomyślałem, że przepadłem.

– *Kto ty jesteś?* – spytali.

– *Nauczyciel* – odparłem.

– *Co tu robisz?*

– *Przygotowuję klasę wraz z dziećmi do nadchodzącej nauki* (był sierpień, ale zboża nie były jeszcze skoszone).

– *Czy jest tu jeszcze ktoś więcej?*

– *Jest syn kolegi nauczyciela, to pracownik kolejowy z Kocmyrzowa.*

– *Czy wiesz co się stało?* – Na to pytanie odetchnąłem, to nie rozchodziło się o mój komplet.

– *Nie wiem, o niczym nie słyszałem.*

– *Jesteśmy z posterunku obserwacyjnego w Prusach* (sąsiednia wioska). *Widzieliśmy jakiś samolot nad polami, który dokonał zrzutu. Zrzut wpadł w zboże ale zanim zdążyliśmy dobiec jacyś ludzie go sprzątnęli. Oni muszą gdzieś tu być.*

– *Nie wiem nic o tym* – odpowiedziałem.

Niemcy odeszli, nie zajrzeli do klasy, nie byli nastawieni na poszukiwanie kompletów tajnego nauczania. Na drodze zobaczyli człowieka w kamizelce idącego w pole do żniwa. Był to pan Rojek, sąsiad z przeciwka. Na widok patrolu zaczął uciekać, ale schwytali go.

– *Dlaczego uciekałeś?* – spytali.

– *Nie mam Ausweisu* (dowodu osobistego), *zostawiłem go w domu* – tłumaczył się sąsiad, a syn kolegi w mundurze kolejowym, który był przy tym wytłumaczył im, że to spokojny człowiek, że może za niego ręczyć. Niemcy odeszli, a ja wróciłem do zlęknionych dzieci. Uratowała nas ścisłość i punktualność niemiecka w wykonywaniu rozkazów, mieli znaleźć sprawców porwania zrzutu i nic więcej.

Wkrótce po zajęciu przez Niemców wsi przyszedł do mnie jeden spośród nich z komendy zakwaterowanej we dworze. Przedstawił się jako Staedtler – profesor gimnazjalny (jak się potem dowiedziałem był wyznaczony do kontrolowania mnie). Zobaczył fortepian, powiedział, że jest muzykalny i spytał, czy może sobie zagrać. Otworzył fortepian gdzie na pulpicie znajdowały się nuty. Były to zbiory pieśni patriotycznych, które zapomniałem ukryć. Niemiec zagrał z pierwszej strony „Jeszcze Polska nie zginęła", śpiewał kalecząc słowa nic z tego nie rozumiejąc. Stałem za nim wraz z żoną. To były pierwsze dni okupacji, w naszych sercach rozpacz i zwątpienie, a tu spod rąk nieświadomego Niemca płynie do nas potężna siła melodii zwycięskiej i słowa pełne pociechy, do oczu cisną się łzy. Staedtler o nic nie pytał i zamknął instrument. Fortepian stał długo głuchy i martwy. Nie mogliśmy na nim grać z powodu żałoby narodowej i dlatego by nie zwrócić na siebie uwagi Niemców. A jednak mieliśmy kiedyś piękny koncert. Otóż koleżanka mojej córki, Halina, która z obawy przed represjami niemieckimi uciekła z Krakowa i przebywała wraz z matką w sąsiedniej wsi, w Branicach, nie posiadając tam fortepianu do ćwiczeń przyszła do nas z drugą koleżanką, Marysią Bittner. Miała wówczas może 18 lat. Zebrało się u nas w domu kilkanaście osób; młodzieży i starszych. Byliśmy spragnieni muzyki. Słuchaliśmy odtworzonych przez nią z pamięci utworów klasycznych. Największe wrażenie wywarły na nas utwory Fryderyka Chopina, a szczególnie „Polonez A-dur". Oklaskiwaliśmy młodą artystkę gorąco, ale nikt z nas nie przeczuwał, że mamy wśród siebie przyszłą sławę pianistyki: Halinę Czerny-Stefańską. Czy też przypomniałaby sobie dzisiaj ów pierwszy, zakonspirowany koncert?

Staedtler przychodził do nas na rozmowy, gdyż moja żona, była uczennica Szkoły Wydziałowej w Wiedniu, gdzie mieszkała cała jej rodzina, doskonale znała język niemiecki. Miała też niemieckie nazwisko: Starkel, lecz pochodziła z dobrej, polskiej rodziny. Ojciec żony, będąc studentem gimnazjum dworskiego uciekł z innymi z domu zostawiwszy pożegnalny list, w którym przepraszał rodziców, że idzie walczyć w powstaniu styczniowym. W 1863 r. walczył w oddziale Mariana Langiewicza. Był na zesłaniu w Rosji, a gdy go stamtąd zwolniono, w wojsku austriackim pełnił potem służbę jako nadrewident kolejowy. Później pracował w dyrekcji kolejowej w Wiedniu, gdzie był bardzo ceniony i poważany. Tam zmarł, a matka powróciła z trzema małoletnimi dziećmi do Krakowa. Znanym był także wówczas we Lwowie Romuald Starkel, autor popularnych powieści ludowych. W pewnym momencie Staedtler spytał się żony czy nie chciałaby być Niemką, ma przecież niemieckie nazwisko i świetnie mówi w tym języku. Żona odpowiedziała mu dosłownie wskazując na portret ojca na ścianie: – *Ojciec mój był Polakiem, walczył o Polskę i cierpiał za nią, i ja chcę pozostać i umrzeć Polką!* Na co Niemiec nagle się zerwał szukając przy boku broni. Nastała chwila denerwującej ciszy. Wreszcie zwróciłem mu uwagę, że sam swym pytaniem sprowokował odpowiedź: – *A cóżby Pan odpowiedział, gdybym się spytał, czy chce być Polakiem?* Wyszedł pozornie spokojny, ale później dowiedziałem się, że doniósł o tym zdarzeniu swojej komendzie. – *Dlaczego nie pokazałeś jej jak się umiera za ojczyznę?* – spytali. – *Nie miałem przy sobie broni* – odrzekł Staedtler. Śmierć była blisko nas.

Innym razem spytał mnie: – *Jak pan sądzi, czy będzie jeszcze Polska?* Odpowiedziałem mu znaną z czytanek szkolnych historyjką z okresu potopu szwedzkiego, kiedy to pan Staropolski, oprowadzając króla Karola Gustawa po katedrze wawelskiej, zatrzymał się przed sarkofagiem Władysława Łokietka i powiedział: – *Tu leży król, który trzy razy uciekał z Polski przed Czechami, a jednak przy pomocy ludu polskiego wrócił na tron.* Karol Gustaw odrzekł: – *Ale wasz Jan Kazimierz nie wróci.* Staropolski mu wówczas odpowiedział: – *Deus mirabilit, Fortuna variabilis* (Bóg jest cudowny, Fortuna jest zmienna). I ja powiedziałem to samo Niemcowi, który odparł: – *My Niemcy nie liczymy na Boga, my swoją siłą zwyciężymy*. Pozostawało nam czekać, by prawdę o zmienności losów potwierdziła za cztery lata klęska Niemiec.

Pewnego dnia rano szedłem zimową porą drogą od Bieńczyc w stronę Krzesławic. Obok przejechały niemieckie zakryte auta ciężarowe, za których zasłonami można było zobaczyć więźniów i uzbrojonych Niemców. Auta skręciły w drogę polną, w stronę krzesławickiego fortu. Były duże zaspy śnieżne. Auta zatrzymywały się, zobaczyłem więźniów brnących po śniegu, popędzanych przez konwojentów. Znikli w rowach i kazamatach fortu. A potem słychać było strzały w miejscu straceń, dokąd przewożono Polaków z więzienia przy ul. Montelupich, którzy najpierw kopali dla siebie doły, aby nazajutrz lec w nich od trafienia pociskiem w tył głowy. Na Wzgórzach Krzesławickich jest zbiorowy grób 440 poległych polskich patriotów i dziś stoi tam pomnik, a obok powstaje nowe życie, buduje się osiedle, gdzie obecnie uczę w tymczasowym baraku.

Innym razem, podczas wojny, przez otwarte okna szkoły w Luboczy dobiegł mnie seryjny odgłos strzałów z karabinu maszynowego od strony Grębałowa. Po

chwili wbiegł do klasy przerażony Jan Walczak z krzykiem:

– *Czy są tu moje dzieci Zbyszek i Franek?*

– *Są, a co się stało?* – spytałem.

– *Niemcy strzelają do ludzi w Grębałowie. Wszyscy uciekli w pola.*

Z dalszego, spokojniejszego już opowiadania wynikało, że przywieziono do Grębałowa 82 więźniów, którzy zostali rozstrzelani z karabinu maszynowego. Był to odwet niemiecki za śmierć dwóch Bahnschutzów (strażników kolejowych) zastrzelonych w pociągu w Grębałowie. *Widziałam* – opowiadała p. Morawcowa, naoczny świadek wypadków – *jak Niemcy dobijali źle trafionych więźniów. Po odjeździe poszłam na miejsce stracenia, pozbierałam odpryski kości, strzępy ciał, porzucane kneble, skrwawione ręczniki i zakopałam na miejscu stracenia. Szedłem drogą z Krakowa do domu* – mówił Stanisław Florkowski – *Niemcy zatrzymali mnie, kazali nosić poległe ciała na auta. Potem odjechali w stronę Krzesławic.* Ktoś umieścił w tym miejscu drewniany krzyż z napisem: *Miejsce straceń Polaków, ofiar hitlerowskiego okupanta.*

Nauka w naszej szkole trwała do końca wojny bez przerwy. Wreszcie nadszedł dzień wyjazdu Niemców ze wsi. Wieczorem 18 stycznia 1945 r. nadjechała niemiecka artyleria i czołgi. We wsi i wokół szkoły stały działa zwrócone na wschód. Jutro będziemy w samym centrum walki – pomyślałem. Po nieprzespanej nocy, o godzinie 6 rano usłyszałem niemiecka komendę: Vorvarts! (Naprzód!). W ciągu pół godziny szkoła i obejścia opustoszały, a na ogrodzie znalazłem zapomniany karabin i porzucone w pośpiechu pociski. 19 stycznia pojawił się w Luboczy pierwszy czołg radziecki, a z nim piechota. Niemcy cofali się w popłochu. We wsi rozgorzała walka, w wyniku której rozbite zostały dwa czołgi: radziecki i niemiecki. Zginęło kilku Niemców. Od strzałów niemieckiej artylerii spalił się jeden dom i stodoła, zginął rolnik z Luboczy. Dzięki umiejętnej taktyce dowództwa radzieckiego Kraków i powiat krakowski nie poniosły większych strat.

Po wojnie

I znów jak dawniej, po I wojnie światowej zabraliśmy się za przerwaną przez 6 lat ostatniej wojny działalność społeczną, gospodarczą i kulturalno-oświatową. Założyliśmy w istniejącym budynku spółdzielnię spożywczą, złożoną z mieszkańców wsi. Na zebraniu specjalnie na ten cel zwołanym zwróciłem uwagę ludności, że przez błonia koło Luboczy przebiegała linia wysokiego napięcia doprowadzająca „siłę" do mleczarni i młyna w Dojazdowie. Postanowiliśmy, że trzeba naszą wieś zelektryfikować, co znalazło uznanie wielu jej mieszkańców. Wyłoniliśmy komitet w celu realizacji tej uchwały, a na jego czele stanął Piotr Partyła, rolnik, ja byłem sekretarzem, Józef Pietruszka skarbnikiem i wielu innych w zarządzie. Obowiązek pracy organizacyjnej spoczywał na mnie. Nie żałowałem trudów i zawodów, nie pamiętałem o przykrościach. Koszt elektryfikacji, obliczony przez Społeczne Przedsiębiorstwo Budowlane w Krakowie wynosił pół miliona złotych. Odbyliśmy mnóstwo zebrań komitetu i ludności. Ułożyłem listę składek, aby wszyscy bez wyjątku złożyli swoje zobowiązania finansowe. Po ich odebraniu wybrałem się z Piotrem Brosiem i Janem Kryzą na obchód propagandowy po wsi. Znaczenie posiadania w domu prądu elektrycznego było ogólnie znane, lecz w niektórych domach niestety słyszeliśmy wypowiedzi typu: „strzecha się spali", „panie, mnie się zryć chce, a nie myśleć o elektryce", „ja nie mam za co kupić koła do wozu", „prędzej mi włosy na dłoni wyrosną niż pan zrobi elektrykę" itd. Moi towarzysze nie wytrzymali tego, więc obszedłem do końca całą wieś już samotnie. Liczbę udziałowców podwyższyłem do 35. Pozyskałem też pp. Norbertanki, właścicielki dworu w Luboczy, które na moje ręce wpłaciły kwotę 80 000 zł. Byłem pewien, że kiedy rozpoczniemy budowę sieci elektrycznej, to fakt ten pociągnie za sobą wszystkich pozostałych, bo korzyści z posiadania prądu widziane u sąsiada i zwykła zazdrość poskutkują najlepiej. Wskoczyliśmy na głębię. Nie mając całej sumy zawarliśmy za zgodą Społecznego Przedsiębiorstwa Budowlanego w Krakowie umowę opartą na zasadzie, że na konto kosztorysu, wynoszącego pół miliona złotych, będziemy wpłacać należność w miarę postępu robót.

Praca postępowała szybko. Było kopanie dołów, stawianie słupów, przeprowadzenie przewodów, ustawienie transformatora i przyłączanie domów do sieci wysokiego napięcia. Zgodnie z oczekiwaniem przybywało udziałowców i gotówki. Zwyciężyliśmy! Nastał radosny dzień, kiedy zgromadziliśmy się w sali szkolnej w celu dokonania otwarcia linii elektrycznej. W obecności komitetu, przedstawicieli ludności, inżynierów i robotników ze S.P.B. po podłączeniu transformatora do sieci zabłysło światło we wszystkich domach. Ta chwila była dla mnie zapłatą za wszystkie moje upokorzenia i trudności. Uświadomiłem sobie, że moja wieś wkracza z tym światłem w lepszy i szybki okres rozwoju. Radowali się wszyscy bez wyjątku. Szkoła otrzymała światło w czynie społecznym S.P.B.

Był rok 1946, pierwszy rok po uwolnieniu się od hitlerowskiej okupacji. Po latach zaniedbań pozostała jeszcze jedna z najbardziej bolących spraw, tj. zwalczanie analfabetyzmu. Do głębi nurtowała mnie pamięć o tym, że mój ojciec był analfabetą – nie ze swej winy, lecz dlatego, że był pozbawiony prawdziwego dzieciństwa, bo zamiast zabawy i nauki musiał ciężko pracować aby żyć. Jako przewodniczący gminnego komitetu do zwalczania analfabetyzmu w Mogile organizowałem kursy po wszystkich wsiach należących do gminy. Również

u siebie w Luboczy prowadziliśmy z kol. Janiną Mól taki kurs. Pamiątką z tej pracy pozostał mi dyplom uznania.

Przed wojną w moim domu często miewałem gości: nauczycielstwo, młodzież związkową i miejscową ludność. Przychodziła też kształcąca się w mieście młodzież, będąca w wieku mojej córki. Urządzała zabawy towarzyskie przy patefonie i mecze siatkówki. Pod naszym okiem czuła się swobodnie i dobrze. Młodzież ta pochodziła z okolicznych wsi: z Pleszowa, Krzesławic i Sulechowa. Gdzie ona dzisiaj jest? Kaziu Rosiewicz zginął jako lotnik nad kanałem La Manche, dwie Kanarkówny, Żydówki, córki młynarza z Krzesławic zginęły razem z rodzinami w Auschwitz. Kazek Chmiel, Bittner i jego siostra Marysia to sędziowie z palestry krakowskiej, Staszek Partyła jest doradcą prawnym Przedsiębiorstwa Budownictwa Miejskiego, Kasia Witkówna została szczęśliwą matką czterech synów, a moja córka Marysia żoną Romana Zderkowskiego, kierownika Spółdzielni „Las", zacnego i kochającego męża i ojca moich wnucząt: Anisi i Jureczka.

W Luboczy byli wprawdzie ludzie chętni do pracy społecznej, jednak brakowało im wykształcenia, miasto z kolei „wchłaniało" ludzi wykształconych, posiadających konkretne umiejętności. W ciągu całej mojej pracy w Luboczy nie znalazłem chętnych do zdobycia wykształcenia rolniczego, chociaż wieś była całkowicie rolnicza. Młodzież wiejska winna się kształcić w szkołach rolniczych, uniwersytetach ludowych i na kursach. Dzisiaj, kiedy na terenie wszystkich okolicznych wsi wraz z Luboczą powstaje Nowa Huta i największy w Polsce kombinat przemysłowy – Huta im. Lenina, uczą się wszystkie dzieci i młodzież, aby uzyskać odpowiednie przygotowanie zawodowe. Zmienia się charakter wsi, jej potrzeby i dążenia. Wieś ulega stopniowo wpływowi pobliskiej Nowej Huty, miasta posiadającego wiele ośrodków przemysłowych i kulturalno-oświatowych. Nie oznacza to, ażeby takie sąsiedztwo unicestwiło pracę wsi – ono ją wspiera, ponieważ ze względu na swoje położenie blisko miasta zmienia się system gospodarki zbożowo-uprawowej na warzywniczo-hodowlaną. Młodzież kształcąca się zawodowo i pracująca nie musi stąd wyjeżdżać, bo dom jest blisko „warsztatu pracy". Miasto zbliżając się do wsi dało jej lepsze warunki komunikacyjne, mieszkaniowe, higieniczne i kulturalne.

Refleksje osobiste

Całe moje dorosłe życie upływało wśród pracy dla Luboczy, ale nadszedł czas, aby pomyśleć o sobie. Nie pragnąłem spokojnego życia emeryta w mieście, nie chciałem też całkowicie zrywać z dotychczasowym zawodem i postawą nauczyciela oraz praca społeczną. Chciałem jednak pozostać pomiędzy swoimi uczniami. Prowadziłem oszczędny tryb życia. Oboje z żoną potrafiliśmy z naszych pensji pokryć swoje potrzeby i zaoszczędzić trochę „grosza". Nie piłem, paliłem (ale od wieku 30 lat przestałem), zajmowałem się oprócz nauczania skromnym gospodarstwem i hodowlą pszczół. Przy pomocy córki zakupiłem parcelę budowlaną w Grębałowie (dzieci stamtąd chodziły do szkoły w Luboczy) i w 1946 r. postawiłem tu drewniany, jednorodzinny domek, aby mieć spokojny dach nad głową i w dalszym ciągu żyć i pracować wśród swoich. W tym roku przeszedłem na rentę, lecz nadal uczę w skróconej ilości godzin, kierownictwo szkoły w Luboczy oddałem dobrowolnie w inne ręce. Znajdując bliską łączność z Grębałowem nie straciłem także kontaktu z Luboczą. W 1954 r. przeniosłem się do nowego domu w Grębałowie. Miałem nadzieję, że stworzę tam spokojną „przystań" życiową dla żony i siebie, Ona jednak przykuta do łóżka całkowitą niemocą (paraliż) chorowała do 1959 r. Przeżyliśmy ze sobą 41 lat. Była wzorową żoną, matką i nauczycielką z powołania. Bardzo kochała swój zawód i dzieci, poświęcając im niemal całe swoje pracowite życie. Jeśli mogłem zrobić cokolwiek dobrego dla społeczeństwa, to była także Jej zasługa, ponieważ opieką, życzliwością i cichą pracą domową stworzyła mi spokojną atmosferę i możliwości oddania się pracy publicznej. Ileż to razy zastawałem ją wieczorem, stojącą pod figurą przy drodze, zaniepokojoną moim późnym powrotem, ileż razy stała na progu wczas rano, czekając na gwizd lokomotywy pociągu w Grębałowie – sygnał, że nasza córka jest już na stacji i odjeżdża do szkoły.

Nasz domek w Grębałowie otoczyłem sadem (jest to już drugi sad po tym w Luboczy). Nasadziłem drzew owocowych, krzewów, przewiozłem pasiekę i posadziłem morwy. Próbuję także uprawy poziomek, owocujących od maja do października. Ta ulubiona przeze mnie praca uzupełnia się i łączy z pracą wychowawczą w szkole i społeczną, której nadal się poświęcam. Z początku, od chwili zamieszkania w Grębałowie, chodziłem stąd codziennie przez 7 lat do szkoły w Luboczy, po 2 km – tam i z powrotem. Po wodzie i błocie, czy był wicher, mróz, zadymka, w deszczu i w skwarze. Nigdy nie opuściłem dnia nauki ani też nie spóźniłem się na lekcję. Nie wiem, czy było to bohaterstwo pracy, czy zwykła obowiązkowość, ale przyznam, że nieraz trzeba było mocno zacisnąć zęby, aby nie cofnąć się sprzed progu... Kiedy w sierpniu 1961 r. na pobliskich Wzgórzach Krzesławickich powstawała prowizoryczna szkółka w baraku tymczasowym dla dzieci I-IV klasy, poprosiłem pana inspektora Tadeusza Brasia o przeniesienie mnie do tej szkoły. Tu, na Wzgórzach, uczę jako rencista w skróconym czasie po 16 godzin tygodniowo i sprawuję nad nią opiekę. Jest to prawdopodobnie najmniejsza i najbiedniejsza szkoła w Nowej Hucie, ale od 1 września 1962 r. powstanie tu nowoczesna szkoła – „szklany dom" jak ze Stefana Żeromskiego. Budzi to we mnie z jednej strony radość, a z drugiej jakże bolesne wspomnienia i refleksje. Przecież tu, na Wzgórzach Krzesławickich, przed laty gasło życie najlepszych synów naszej Ojczy-

zny. Stąd właśnie rozlegały się słyszane przeze mnie strzały egzekucji. Teraz powstaje tu wielkie osiedle Nowej Huty, a pośród niego stoją dwa pomniki poległych, będące dowodem męczeństwa, a zarazem twórczej i niezniszczalnej siły narodu polskiego. Byłem bezpośrednim świadkiem martyrologii w Krzesławicach, lecz obecnie dane mi jest współtworzyć nowego życie poprzez wychowanie dzieci oddanych mi pod opiekę. Widnokrąg otaczający mnie stopniowo się zamyka, ale ja pracy swojej jeszcze nie ukończyłem...

W Grębałowie

Jest tam dom kultury wybudowany przez mieszkańców wsi przy pomocy Dzielnicowej Rady Narodowej w Nowej Hucie z inicjatywy miejscowego społecznika – Walentego Florkowskiego. Powstaje tu wspólna cieplarnia dla wczesnej uprawy warzyw. Zwracano się do mnie (np. w 1961 r.) o pomoc w zorganizowaniu uroczystości dożynkowych. Trzeba było komponować treść imprezy i przeprowadzać próby. Dzieci szkolne (te moje dawne z Luboczy) proszą o ułożenie tekstu i melodii na uroczystości szkolne, a ja nie odmawiam. Starsi i dzieci w miarę potrzeb przychodzą do mojego domu. Onegdaj zbierałem po wsi składki na budowę szkół, obecnie nadal piszę prośby i podania, utrzymuję ze wsią kontakt. Znam tu wszystkich, bo przecież to moi dawni uczniowie, ich dzieci, wnuki i prawnuki – uczę już trzecie pokolenie. Pragnę doprowadzić dzieci ze szkoły w Krzesławicach do nowej szkoły powstającej na Wzgórzach i dalej z nimi pracować, ponieważ daje mi to spokój i zadowolenie, wypełnia moją samotność życiem twórczym.

Działacz społeczny i oświatowy

Powinien on posiadać umiejętność rozpoznania słusznej drogi do celu, który przez niego i ogół został uznany za dobro wspólne. Winna go cechować determinacja i nieustępliwość, nawet wówczas, gdy jest w tym dziele osamotniony, ma być przez to nawet jeszcze silniejszy. Tak było i ze mną. Kiedy po powstaniu warszawskim mieszkańcy stolicy zostali przez okupanta wydaleni z miasta, szukali schronienia w całej Polsce. Pewnego dnia stanęło przed szkołą kilkanaście furmanek, na których było około sto osób, siedzieli w nich nieszczęśliwi wygnańcy: starcy, kobiety i dzieci. Przy wozach nie było z Luboczy nikogo. Każdy chciał uniknąć kłopotu związanego z koniecznością opieki nad nimi. Przykra to sprawa, ale tak było. Wygnańcy warszawscy byli wynędzniali, strudzeni i głodni, z apatią i rezygnacją czekali oto przed szkołą na dalszy swój los. Nie wahałem się ani chwili, przecież to byli nieszczęśliwi mieszkańcy ze zniszczonej, lecz drogiej nam Stolicy. Puściłem dzieci ze szkoły do domu, aby udzielić warszawiakom natychmiastowej pomocy; zapewnić dach nad głową, którego byli tak spragnieni i dać ciepłą strawę. Bez pytania, czy kto chce czy nie, samodzielnie rozdzieliłem wygnańców po domach. Trzeba było pomyśleć o ich leczeniu, łagodzić konflikty. Dodatkową trudnością było i to, że oni nie znali wsi, niejedna z tych rodzin po raz pierwszy znalazła się poza swoim miastem. Uważam, że spełniłem wtedy swój obowiązek. Ale wówczas byłem sam, bo inni przewidując spory i kłopoty wycofali się. Przed wojną bywałem nieraz autorem, reżyserem a nawet aktorem, a w końcu musiałem sam rozebrać scenę zaraz po przedstawieniu, bo było już późno, wszyscy rozeszli się do domów, a nazajutrz odbywała się w klasie nauka, podobnie było z elektryfikacją wsi...

W pracy społecznej i kulturalnej, a przede wszystkim gospodarczej, trudności materialne nie odgrywają decydującej roli. Głównym elementem jest człowiek świadomy potrzeb wsi, oddany jej sprawom, zamiłowany i chętny do pracy. Jeżeli ma przekazać innym wartości – musi je sam posiadać. Pracownik ten nie idzie w bój szykiem ubezpieczonym; jego droga jest odkryta i jasna, uderzają w niego czasem fale nienawiści, zazdrości i niezrozumienia. Lecz jego tarczą jest świadomość, że *(...) i ten szczęśliwy, co padł wśród zawodu, jeśli poległ ciałem, dał innym szczebel do sławy grodu*. Dla dobra sprawy koniecznym jest, aby siły i wartości moralne tych bezbronnych wobec ludzi złej woli nie spalały się w bezwartościowej i osłabiającej walce w obronie własnej. Tę rolę musi jednak ktoś spełnić. Pracownik społeczny łatwiej ją wykona, jeżeli ma kwalifikacje i jest mocno związany ze swoim środowiskiem – nie wolno go przerzucać z miejsca na miejsce.

Kiedy z dystansu pięćdziesięciu lat zastanawiam się nad swoim życiem i staram się je ocenić, przychodzą mi na myśl takie oto refleksje; przyszedłem na świat w okresie niewoli Polski, pamiętam uzyskanie przez nią niepodległości, przeżyłem dwie wojny światowe i związane z tym wypadki. Pochodzę z ludu i mam wrodzony nakaz życia dla niego – jestem nauczycielem ludowym. Z moich dyspozycji wewnętrznych wynikał imperatyw: „trzeba – muszę, chcę – działam". Narzucając sobie pytanie czy nie pracowałem dla uzyskania jakich korzyści osobistych i pozycji społecznej, lepszej sytuacji materialnej, pochwał, odznaczeń i sławy, szczerze odpowiadam: po stokroć nie! W głębi serca pragnąłem tylko potwierdzenia słuszności wybranej drogi życiowej poprzez uzyskanie dodatnich rezultatów pracy. Już sam fakt ich osiągnięcia stanowił dla mnie nagrodę. Czy spotkało mnie to uznanie? Tak. Słyszałem je bowiem wypowiadane ze łzami przez starsze osoby: *Pan kierownik jest naszym prawdziwym ojcem!* albo stwierdzenie dorosłego już człowieka: *Panu zawdzięczam to, kim jestem*. Albo słowa Krysi, uczennicy z Krzesławic, wypowiedziane do mnie szeptem: *Ja pana kierownika kocham jak własnego tatusia*.

Słowa te trafiały w głąb mego serca i duszy, a wdzięczność przebijała też z gasnących już oczu, kiedym żegnał odchodzących na zawsze. Nagrodą dla mnie była myśl,

że nie zmarnowałem swojej misji, nadając sens i treść życiu innych ludzi, spłacając dług względem najuboższych. Uznanie przyszło też od Polski Ludowej, otrzymałem m.in. odznakę za pracę społeczną dla miasta Krakowa, Odznakę Budowniczego Nowej Huty, Złotą Odznakę Związku Nauczycielstwa Polskiego, Nagrodę Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski. Co myślę o pracy społecznika na wsi? Jak słodko i chlubnie żyć dla Ojczyzny!

Mojej córce, Marysi, wspomnienia te poświęcam

Grębałów, 24 kwietnia 1962 r.

Epilog

Franciszek Twaróg należał do Ludzi Dobrej Woli. Pochodził z ludu i miał wrodzony imperatyw życia dla niego. Rozumiał, że tożsamość narodowa wyraża się i spełnia w kulturze. Był w swojej dziedzinie Mistrzem – nauczycielem ludowym i patriotą. Dzieło Jego życia – heroiczna praca na rzecz Dobra Wspólnego i Ojczyzny, zwłaszcza w dobie totalitaryzmu hitlerowskiego i komunistycznego, była dla Niego w istocie czymś normalnym, a dla wielu źródłem mądrości, siły i odwagi oraz cennym przykładem konstrukcji i doskonalenia losu ludzkiego poprzez oświatę i wychowanie. Była też wyrazem i symbolem Wiary, Nadziei, Miłości oraz nieustannej walki z przeciwnością losu. W podjętych zmaganiach o wyższy pułap człowieczeństwa lokalnej społeczności stawiał sobie najwyższe wymagania, często kosztem zdrowia, wyrzeczeń i poniesionych wydatków. Był tytanem wszelkiej pracy jakiej się podjął, a swoją prometejską działalnością udowadniał, że pomimo biedy, zacofania, złych nawyków, marazmu i nihilizmu – możliwa jest więź i współpraca jednostki z innym człowiekiem i zbiorowością, a przez to wyjście z zaklętego kręgu „chocholego tańca". Zmarł 26 maja 1968 r. w Nowej Hucie. Został pochowany w grobowcu rodzinnym na Cmentarzu Rakowickim.

ADAM GRYCZYŃSKI – Wspomnienie o Marii Zderkowskiej



Maria Zderkowska z domu Twaróg

Panią Marię Zderkowską poznałem 17 lutego 2006 r. w Grębałowie. Pierwsze nasze spotkanie odbyło się w domu zbudowanym na początku lat 50. ubiegłego wieku przez jej ojca, Franciszka Twaroga (1891-1968), kierownika szkoły w pobliskiej Luboczy. Celem mojej wizyty było uzyskanie informacji o jej ojcu, bo pisząc wtedy opracowanie chciałem się czegoś więcej o nim dowiedzieć, ale także o przeszłości Luboczy, małej podkrakowskiej wioski, w której p. Maria spędziła szczęśliwe lata swojego dzieciństwa i młodości. Interesowały mnie również stare fotografie, których poszukiwałem w ramach nieco wcześniej podjętej akcji „Czas zatrzymany".

Tamtego mroźnego, zimowego wieczoru udałem się do niej w towarzystwie pana Franciszka Nowaka, zastając tę 86-letnią panią w znakomitej – jak na swój wiek – kondycji. Zaskakiwała nas przez kilka godzin żywotnością, elokwencją i świetną pamięcią, wydobywając z życia wzięte szczegóły sprzed kilkudziesięciu lat. Spotkanie miało nastrój radosny, choć w rzece nostalgicznych wspomnień najczęściej odbijały się postaci, które już dawno od nas odeszły. Pojawiały się też pełne powagi refleksje, ale dla przeciwwagi – anegdoty i różne zabawne historyjki. Wskrzeszając je w wyobraźni p. Maria robiła to w sposób na tyle wyrazisty, że atmosfera tak przywołanego, minionego świata zaczęła się stopniowo udzielać słuchaczom. Z nieukrywaną dumą pokazywała fotografie z początku XX w. z rodzinnych albumów, jak i te zrobione całkiem niedawno, na których uwieczniono najmłodsze pokolenie. Odnosiłem wrażenie, że chce się podzielić w tak krótkim czasie możliwie największą porcją opowieści. Chwilami ta sytuacja wprowadzała ją zresztą w stan lekkiej euforii, zwłaszcza wtedy, gdy wspominała z szacunkiem i wzruszeniem swoich wspaniałych rodziców, matkę chrzestną i przyjaciół lub pokazywała strój krakowski, w którym wystąpiła w 1929 r. przed prezydentem RP Ignacym Mościckim w Pleszowie.

Z tym większym smutkiem i niepokojem pół roku potem odebrałem wiadomość, że odniesiony przez nią groźny uraz głowy i ręki (spowodowany upadkiem pod ciężarem chcącego się z nią przywitać psa) już nie pozwolił jej odzyskać pełni sił i zdrowia. Jednak dane mi było jeszcze kilka razy spotkać się z p. Marią i przeprowadzić z nią krótkie rozmowy. Okazało się to tym łatwiejsze, że bezpośrednie kontakty, mimo dzielącej nas różnicy wieku, doprowadziły w bardzo krótkim czasie do wytworzenia psychicznej więzi, wzmocnionej dodatkowo przez szczerość i romantyczną zadumę nad fenomenem życia. Gorących – choć czasem i gorzkich – tematów do rozmów dostarczały nam także meandry i zagrożenia egzystencji zdominowanej przez politykę, interesy i bezmierną ludzką chciwość, dla której ogromny świat jest i tak zbyt mały. Wspólne emocje i przeżycia, które towarzyszyły nam od chwili pierwszego spotkania utrzymywały się zaledwie przez 15 miesięcy, ale wydawało się, że ta nasza znajomość trwała od dawna.

20 kwietnia 2007 r. pani Maria zadzwoniła do mnie do pracy o godzinie 19 i rozmawialiśmy przez prawie pół godziny. Odniosłem przygnębiające wrażenie, że jest w silnej depresji z powodu powtórnie złamanej ręki, w tym samym zresztą miejscu co poprzednio. Przychodziły jej do głowy „czarne myśli", ponieważ wielokrotnie powtarzała, że musi się już zbierać na „tamten świat". Dziękowała jednak za to, że dobry Pan Bóg pozwolił jej dożyć chwili, kiedy współcześni, po latach przemilczenia tematu, zainteresowali się wreszcie historią wsi wchłoniętych przez Nową Hutę, a to dzięki wystawom, książkom i spotkaniom. Uświadamiałem jej, że te wszystkie działania, to przede wszystkim zasługa i sukces ludzi, którzy nareszcie poradzili sobie ze swoją, często ukrywaną latami boleścią i odważyli się pokazać stare fotografie i opowiedzieć o swoim życiu i o tym co ich spotkało. Tych wszystkich, których młodość przypadła na piękne czasy wolnej Polski i których potem tak bardzo skrzywdzono. Pocieszałem ją, że właśnie dzięki takim jak ona, przedwojenna historia ludzi z tutejszych wiosek, będąca przez ponad pół wieku tematem tabu, nareszcie mogła do nas przemówić, a dzięki zdjęciom, w zaufaniu udostępnionym z domowych archiwów, wyraźniej unaocznić kształty minionego świata. Starałem się ją pocieszać, dodawać otuchy. Mówiłem, że musimy jeszcze wydać drugą, a może nawet trzecią część „Czasu zatrzymanego" i że ona koniecznie musi mi w tym pomóc, że jest bardzo potrzebna, że nikt poza nią nie jest już w stanie rozpoznać wielu postaci na wyblakłych fotografiach. Ale chyba to wszystko na niewiele się zdało, bo ona już w głębi duszy przeczuwała, że to jest jej pożegnanie, że powolutku odchodzi... Jednak potrzebowała tego kontaktu i rozmowy, co być może przyniosło jej odrobinę ukojenia w tym smutku i rozterce. Ubolewała, że radość oczekiwania związana z bliskim przyjazdem jej syna – prof. Jerzego Zderkowskiego z USA, została zmącona jej powtórnym wypadkiem. Miała jednak nadzieję i snuła plany, że kiedy syn tutaj przyjedzie, to cała rodzina będzie bardzo szczęśliwa.

Nazajutrz rano miałem wyjechać z wystawą „Czas zatrzymany" do Miejskiej Biblioteki Publicznej w Końskich k. Kielc. Na pożegnanie zapewniłem jeszcze panią Marię, że stare zdjęcia z Luboczy oraz jej ojca zostaną tam pokazane, a jego postać i wychowawczą działalność przybliżę podczas majowego spotkania z uczestnikami międzynarodowego pleneru fotograficznego „Art-Eko". Kiedy zatelefonowałem do niej po powrocie, zaledwie po kilku dniach, dowiedziałem się, że przebywa już ciężko chora w szpitalu. A gdy stamtąd powróciła do domu – na krótko tylko odzyskując przytomność – nie miałem już więcej okazji, aby się z nią zobaczyć, ani usłyszeć jej miłego głosu w słuchawce telefonu...

Brakuje tylko... konfesjonału!

Bardzo ciepło wspominam te chwile, które spędziłem u p. Marii w domu lub w ogrodzie, gdzie całe godziny upływały nam jak kwadranse, na oglądaniu starych fotografii i odkrywaniu rozmaitych śladów przeszłości za pomocą książek, zeszytów, czasopism, obrazków, kart pocztowych i bibelotów. Najważniejsze były oczywiście reminiscencje, ale muszę przyznać, że bywałem czasami – na pożegnanie – obdarowany przez nią kwiatami dla mojej żony Oli, a w maju także przepięknie pachnącym bzem, wyhodowanym niegdyś przez jej ojca z jednej gałązki przywiezionej z Luboczy, nie mówiąc już o konsumpcji tak finezyjnych łakoci jak strudel wiedeński, wymagający przecież nie lada umiejętności kulinarnych, w czym wyspecjalizowała się jej córka – pani Hanna Pociecha. Wspominam także wizytę w towarzystwie mojego syna Kamilka, który z zaciekawieniem przysłuchiwał się dykteryjkom pani Marii, podziwiając przy okazji różne archiwalia i przedmioty, a zwłaszcza duży, zabytkowy fortepian, który jednak przegrywał z małym kotkiem w rywalizacji o dostęp do świata dziecięcych fascynacji.

Pani Maria zaprosiła mnie kiedyś na spotkanie i, siedząc w chłodnym cieniu drzew, przy stoliku w ogrodzie, zaczęła snuć opowiadania z młodości, kreśląc słowem i gestem barwny, sugestywny obraz dawnego życia. Niektóre wspomnienia miały bardzo kameralny, niemal intymny charakter. Byliśmy sami, gdy w pewnej chwili pani Maria nagle przerywając jakiś wątek zwróciła się do mnie: – *A wie pan, że ja tak się teraz tu czuję jak u księdza na spowiedzi? Brakuje tylko... konfesjonału*! Speszony nieco tym zaskakującym wyznaniem lekko uśmiechnąłem się do niej w oczekiwaniu na kontynuowanie rozpoczętego tematu, lecz prędko zauważyłem, że zrobiona dygresja przestawiła jej myśli na inny tor. Teraz już wiem, że będąc u schyłku życia chciała podzielić się z kimś okruszkami tych wspomnień, jakie pozostawiły po sobie trwalszy ślad. Lecz nagle pani

Maria w pół zdania zamilkła, a moje kolejne, jeszcze większe zdumienie wywołało stopniowe oddalanie się tej kobiety, siedzącej jak dotąd spokojnie na krześle. Zanim zorientowałem się o co chodzi, moja rozmówczyni o mało nie runęła do tyłu na ziemię, wskutek – jak się potem okazało – osunięcia się jednej z nóg siedziska wprost do niewielkiej, ziemnej dziurki, wygrzebanej zapewne przez jakąś myszkę mieszkającą w ogrodzie. Na szczęście udało się wtedy w ostatniej chwili zapobiec upadkowi...

Najbliższa rodzina

Babcia pani Marii Zderkowskiej pochodziła z Wesołowskich z Rdzawy, gdzie posiadali dworek, natomiast dziadek; Kacper Twaróg, był góralem przybyłym za chlebem spod Rabki (przez długie lata był stangretem u hrabiego Mycielskiego w Łuczanowicach), a ożenił się z Marią z domu Wójcik, pochodzącą z Węgrzynowic. Mama pani Marii Zderkowskiej – Teresa z domu Starkel, mimo, że z pochodzenia hrabianka, po ukończeniu w Wiedniu austriackiej szkoły powszechnej, a później seminarium nauczycielskiego, została z przekonania nauczycielką i wyszła w 1918 r. za kierownika szkoły w Luboczy – Franciszka Twaroga. Na stawiane jej przez niektórych członków rodziny zarzuty popełnienia mezaliansu bez chwili wahania odpowiadała: *Moja sfera teraz to dzieci, które uczę*. Jej dwie siostry, młodsza Jadwiga i najmłodsza Zofia, także zostały absolwentkami tego seminarium, ale poza krótkim okresem pracy nauczycielskiej podjętej przez Jadwigę, obie panie powychodziły dość bogato za mąż, bez wymogu podejmowania jakiejkolwiek pracy. Jadwiga jednak została w latach 20. szefową kadr w filii zakładów „Fitzner-Gamper i Zieleniewski" w Sosnowcu. Mówiono o niej, że jest tam „wielką figurą", ponieważ będąc szefową kadr przyjmowała do pracy ludzi oczekujących nieraz przed jej biurem w długiej kolejce. Była na tym odpowiedzialnym stanowisku bardzo lubiana i ceniona za sumienność i łagodne usposobienie. Posiadała przy tym szczególny dar: intuicję „wychwytywania" najlepszych spośród oczekujących na pracę. Obie ciocie pani Marii były bardzo zamożne, stać je było na wczasy w dowolnym miejscu w Europie, najchętniej przyjeżdżały jednak na wakacje, nawet na cały miesiąc, do Luboczy, którą wprost uwielbiały. Z Katowic przyjeżdżała Zofia z mężem, Franciszkiem Karpińskim, poznaniakiem, który był jednym z dyrektorów w katowickiej filii holenderskiego Philipsa oraz z synkiem Jędrkiem, a druga z sióstr – Jadwiga także nie opuściła żadnej nadarzającej się okazji, aby odwiedzić swą siostrę Teresę i szwagra, tym bardziej, że była matką chrzestną ich córki Marysi. Na urlopy całe to towarzystwo przyjeżdżało właśnie do szkoły w Luboczy, gdzie rozlokowywali się w dużym pokoju, w którym stał stół z krzesłami, kredens, szafa, kwietnik i fortepian. Pani Teresa Twarogowa, mama Marysi, układała tam zazwyczaj na podłodze nie pogiętą słomę i przykrywała pościelą, której było tam pod dostatkiem, a wówczas „ nikomu już nic więcej, do szczęścia nie brakowało". Mówiono: „gdzie nam wyjeżdżać, skoro tu jest tak dobrze!" Pomagała jej w tych przygotowaniach Barbara Ciesielska – pomoc domowa, traktowana zresztą jak członek rodziny, siostra późniejszego opata Cystersów w Mogile – Augustyna Ciesielskiego.

Jadwiga Modlińska z domu Starkel

Po pewnym czasie do Luboczy zawitał niedoszły narzeczony Jadwigi – Kurt Frank (mówiono na niego Kazimierz lub Kurt), pół-Polak, pół-Niemiec. Jego postać wiąże się z nieszczęśliwą historią życia Jadwigi, godną zapewne odrębnej opowieści. Otóż Jadwiga z domu Starkel (1893-1932), kiedy już dorosła, najpierw pokochała z wzajemnością swego dalekiego kuzyna, Tadeusza B., był on jednak niewierzący, a na dodatek wyśmiewał się z religii nie chcąc przystąpić do sakramentu małżeństwa, co Jadwiga traktowała jako niezbędny warunek zamążpójścia. Miłość ich, pomimo że wzajemna i płomienna, napotkała na przeszkodę nie do przebycia, co dodatkowo utrudniało pochodzenie z wyższych sfer i ostentacyjne manifestowanie tego przy każdej okazji ze strony rodziny jej narzeczonego. Tu mała dygresja: gdy na pewien ślub tamta rodzina zapraszała gości, zwrócono się do jej siostry, Teresy Twarogowej, w te słowa: *Telesiu, ty jesteś biedna, bo wyszłaś za nauczyciela, nie miałabyś nawet odpowiedniej sukienki aby się porządnie ubrać* – wówczas Teresa obraziła się i „wszystko się z nimi skończyło". Jadwidze także nie spodobał się ten przytyk skierowany do jej siostry. Jednak gdy w czasie wojny panowała u nich potworna bieda (w sześcioosobowej rodzinie był biolog i architekt, lecz nie mieli żadnej pracy) i przymierali głodem, Franciszek Twaróg na wieść o tym, podejmując duże ryzyko, wynajął w Luboczy furmankę z koniem, załadował ziemniaki, mąkę, jabłka, miód i posłał to wszystko dla nich, do Krakowa, do tego wielopokojowego mieszkania, gdzie wcześniej był wraz z żoną tak źle widziany. Od tamtej chwili został już „kochanym Franusiem".

Po śmierci swoich rodziców Jadwiga, dysponująca pewnym majątkiem, była jednak zależna od swych prawnych opiekunów, którymi zostali właśnie opisani rodzice Tadeusza B. Ten jednak wciąż nie dopuszczał do głowy myśli, że nie zdobędzie ręki Jadwigi, „bo kochał się w niej straszliwie" i w czasie rozłąki, każdego bez wyjątku dnia, słał jej najpiękniejsze kartki pocztowe, jakie tylko można było zdobyć. Zebrały się ich setki, co świadczy o dość długim okresie ich znajomości. Gdy kończyła się inwencja albo czasu brakowało, Tadeusz słał do narzeczonej kartkę za kartką, choćby tylko z datą i adresem, ale wysyłał je codziennie. Jadwiga pozostała mimo to w swym postanowieniu niewzruszona i do jej małżeństwa z Tadeuszem nigdy nie doszło, a „miłość akademicka" – z czasem wypaliła się. Jego rodzice, chcąc się wywiązać z nałożonego układem

rodzinnym zobowiązania, wydali Jadwigę w 1920 r. za mąż, za człowieka szlachetnego, religijnego, a zarazem bardzo majętnego – niejakiego Modlińskiego. Nieszczęście nie opuszczało jednak Jadwigi nadal, bo Modliński na drugi dzień po ślubie dostał częściowego wylewu krwi do mózgu i został sparaliżowany od nóg do pasa, nie mógł się w ogóle poruszać, o obowiązkach małżeńskich nie wspominając. Przeleżał tak biedak, będąc pod troskliwą opieką żony i personelu zakładu opiekuńczego u Helclów w Krakowie, przez 12 długich lat, nie podnosząc się wcale z łóżka, z postępującym w górę ciała paraliżem. Pobyt w tym zakładzie kosztował go krocie, ale dzięki temu przedłużył sobie życie o wiele lat. Odziedziczył po swych przodkach z Francji tytuł barona i znaczny majątek. Zanim zmarł na nadciśnienie w 1930 r., udzielił zgody na rozwód i powtórne małżeństwo swej żony ze wspomnianym wcześniej Kurtem Frankiem, nieprzytomnie zakochanym w Jadwidze zastępcą dyrektora fabryki, w której pracowała i gdzie się poznali. Modliński nie podnosił się wcale z łóżka, ale był całkiem świadomy. Często odwiedzany przez żonę mówił do niej: *Słuchaj Jadziu, to przecież jest niemożliwe, abyś ty zmarnowała przy mnie całe swoje życie. Zwalniam cię z przysięgi wierności małżeńskiej – daję ci wolność.* Jadwiga z czasem obdarzyła uczuciem Kurta Franka, lecz będąc osobą wierzącą i wrażliwą nie chciała pozostawiać męża na łasce losu, w życiowej samotności i jego propozycję za każdym razem odrzucała, tym bardziej, że jakaś jej ciotka przypominała: *Nie, nie opuścisz go, przecież przysięgałaś aż do śmierci!.*

Nie było to jednak potrzebne, bo Jadwiga i tak nie chciała wyjść za Kurta Franka. Mawiała: *Dopóki mąż mój żyje, możemy być tylko przyjaciółmi, ale o „tym" nie ma mowy.* Była autentycznie zrozpaczona chorobą męża, najbardziej w początkowym okresie ich związku. Z czasem, jako kobieta bezdzietna i pozbawiona naturalnych obowiązków wypływających z roli matki, próbowała sobie znaleźć jakieś dodatkowe zajęcia, tym bardziej, że była bardzo ciekawa świata, zaradna i aktywna. Pani Maria, opowiadając o niej, mówiła, że *była łagodna i miała złote serce, ale i nieszczęśliwe życie, bo zaraz gdy kogoś pokochała, to pojawiały się i piętrzyły nie do pokonania przeszkody.* Jadwiga od dziecka uwielbiała muzykę, więc przywoziła ze sobą do Luboczy patefon i kolekcję płyt, których wieczorami słuchano przy otwartym oknie, ku uciesze wiejskiej gawiedzi zbierającej się nieopodal na drodze. Drugim jej hobby była fotografia, którą uprawiała z prawdziwą przyjemnością, robiąc przede wszystkim zdjęcia rodzinne. Po wywołaniu klisz naświetlała później papiery w tzw. kopioramce w dziennym świetle i samodzielnie obrabiała je w domu. Na zachowanych zdjęciach Modlińskiej, oprócz członków najbliższej familii, znajdują się także postacie, które pani Maria Zderkowska po około siedemdziesięciu latach identyfikowała i wymieniała bez trudu: Kurt Frank, ksiądz Jan Skarbek i ksiądz Franciszek Korzonkiewicz z Pleszowa, ojciec z zakonu oo. kapucynów, wuj Wesołowski, pani Antecka z córką, Józef Wiśniewski – nauczyciel z Prus (*przychodził do nas grać w karty z tatusiem, sportowiec, narciarz*), Felicja Galiszkiewicz – nauczycielka, pan Józef Bęben – nauczyciel, pani Łukaszewicz – żona dyrektora, Barbara Ciesielska – pomoc domowa, Rogowski – syn kierownika szkoły w Branicach, bratanek pani Oliwianki, która zginęła w Auschwitz za przechowywanie Żydów, pani Sikorska... Na zdjęciach często pojawiały się także dziewczynki: Władzia Krupianka z Luboczy, Jagusia Ciesielska z Pleszowa-Kujaw, Wikta Błachówna z Grębałowa i wiele innych, które odwiedzając Marysię Twarożankę stawały się przy okazji wdzięcznym obiektem zainteresowań fotograficznych jej cioci.

Jadwiga Modlińska, będąc matką chrzestną Marysi Twarożanki, zawsze przywoziła jej jakieś sukienki, trzewiki, lalki, wózeczki i wiele innych zabawek. Jadwiga mieszkała w Sosnowcu – i jak się po latach okazało – dokładnie na tym samym, niewielkim osiedlu, co rodzice przyszłego męża Marii – Romana Zderkowskiego, z którym prawdopodobnie w czasie odwiedzin swej cioci bawiła się nawet na podwórku, nie wiedząc, że kiedyś zostaną małżeństwem. Znacznie częściej niż ona w Sosnowcu, pojawiała się jednak w Luboczy jej ciocia, wraz z pozostałymi gośćmi... *To były niezwykle urocze tygodnie, gdy oni do nas przyjeżdżali, było cudownie!* powtarzała z błogim uśmiechem na twarzy pani Maria. Opowiadała: *Tatuś wynajmował dość często konie, bryczkę i odwiedzaliśmy w Pleszowie rodzinę jego brata Jana, który był kierownikiem tamtejszej szkoły albo składaliśmy wizytę u zaprzyjaźnionego z nami księdza proboszcza Jana Skarbka, a gdy odszedł, to księdza Franciszka Korzonkiewicza. Urządzaliśmy także wycieczki do Ruszczy, Dojazdowa i wielu jeszcze innych miejsc, gdzie robiono fajne zabawy i ogniska, a w zimie kuligi.* Po powrocie z wycieczek i kolacji niedoszły narzeczony Jadwigi Modlińskiej, Kurt, zazwyczaj wspaniale koncertował na fortepianie (na przemian z Teresą Twarogową) lub namiętnie grywał ze wszystkimi w szachy, a nawet uczył tej królewskiej gry dzieci wiejskie.

Mieliśmy wtedy dwa psy – opowiadała pani Maria – *jeden był wielkim dogiem i nazywał się „Reks", a drugi, zupełnie maleńki wabił się „Pypciu". Dzieciom przychodzącym do szkoły nie robiły żadnej krzywdy, były od małego dobrze ustawione i nie było mowy, aby kogoś „szarpnęły" i zaatakowały. Gdy tylko Kurt zaczynał grać na fortepianie, to te psy gdziekolwiek by się nie znajdowały, bo się je spuszczało z łańcucha, za chwilkę wchodziły pod fortepian i słuchały muzyki razem z domownikami, a dopóki on grał, dopóty one tam leżały.* Pod fortepianem stały zazwyczaj olbrzymie dymiony z winem agrestowym, porzeczkowym, śliwkowym i jabłecznik, więc czasem musiały między sobą te psy dyskretnie powalczyć o miejsce. Kurt przyjeżdżał wraz z Jadwigą z Sosnowca do Luboczy nie tylko na urlopy, ale także na każde większe święta i kiedy się tu znalazł, bardzo lubił – od czasu do czasu – pojechać „kocmyrzówką", koleją łączącą Kraków z Kocmyrzowem, do dawnej stolicy Polski, by tam pozwiedzać zabytki i pospacerować po Rynku i Plantach. Na te wycieczki udawał się najczęściej samotnie, nie licząc towarzyszących mu w drodze na stację znajomych psów: Reksa i Pypcia, które idąc w parze, z racji znacznej różnicy swej wielkości, wyglądały „szalenie zabawnie". Ale zanim Kurt dotarł na pociąg, musiał pokonać drogę na piechotę z Luboczy przez Błonia do Grębałowa, którą bardzo uwielbiał, bo dookoła była wspaniała przyroda i rozciągał ciekawy krajobraz, którym był nieustannie zachwycony. *Po co mi jechać do Ameryki na Florydę?* – mawiał i nie były to tylko puste słowa, bo był bardzo zamożny i bez problemu mógł pojechać tam, gdzie tylko by zechciał. Kurt wracał z Krakowa pociągiem o godzinie 15, ale już pół godziny wcześniej oba znajome psy wybiegały z domu na stację, gdzie go cierpliwie oczekiwały. Miały jakiś niesamowity instynkt i wyczucie czasu, a tym zachowaniem udowadniały, że były z nim bardzo zaprzyjaźnione.

Kurt Frank przyjeżdżał wspólnie z Jadwigą do Luboczy przez wiele lat, ale kiedy po 12 latach pobytu w zakładzie u Helclów zmarł na skutek nadciśnienia, na wylew krwi do mózgu, jej mąż – pan Modliński, postanowili się wreszcie pobrać. Po okresie rocznej żałoby była już nawet wyznaczona data ich ślubu: 12 marca 1932 r. Jednak Jadwiga odczuwając pewne dolegliwości (guz) postanowiła poddać się jeszcze przed zamążpójściem operacji w prywatnej klinice dra Gasińskiego. Operacja była bardzo kosztowna (2,5 tys. złotych plus opłaty za przedłużony pobyt w szpitalu), jednak dla jej narzeczonego nie stanowiło to żadnego problemu, a po zabiegu, gdy Jadwiga zamierzała się z nim udać do domu, przyjechał po nią rozradowany, z bukietem pięknych kwiatów. Samochód z szoferem stał przed kliniką, a Kurt długo oczekiwał na swą wybrankę, którą jeszcze przed wypisem miał powtórnie przebadać właściciel kliniki, chirurg Gasiński. Pobyt Modlińskiej był jednak przedłużony, bo coś budziło niepokój lekarzy. Dr Gasiński badał ją jeszcze tuż przed wyjściem, dotykał nogi, która była lekko opuchnięta, sprawdzał ciśnienie. Ale w końcu powiedział: *Może Pani opuścić klinikę, jest pani zdrowa.* Jadwiga słysząc to ucieszyła się, a w chwilę potem, chcąc się przebrać do wyjścia, usiadła na skraju łóżka aby zdjąć przez głowę koszulę, uniosła ręce do góry i... w tej samej chwili osunęła się, upadając na podłogę. Natychmiastowa pomoc nie przyniosła żadnego efektu i pacjentka zmarła w obecności lekarza i swojego narzeczonego, którego trzeba było ratować, bo na zmianę to szalał z rozpaczy, to znów tracił przytomność. Potem okazało się, że Jadwiga dostała udaru mózgu na skutek powstania zakrzepu krwi. Zmarła mając zaledwie 39 lat. Po jej śmierci Kurt Frank nie odzyskał równowagi psychicznej i do swojej dyrektorskiej pracy już nie powrócił. Wciąż rozpaczał, żyć mu się nie chciało i zmarł w trzy miesiące po ukochanej.

Zofia i Franciszek Karpińscy

Druga ciocia pani Marii – Zofia Karpińska, była bardzo wesoła, śpiewała frywolne piosenki i opowiadała pikantne kawały, co jej się czasami zdarzało nawet w poważnym towarzystwie. Pani Maria uważała, że człowiek musi się czasem pośmiać i opowiedziała taki zasłyszany dowcip: *Siedzą sobie trzy żony u jednej z nich w pokoju i opowiadają o swych mężach. Pierwsza mówi: Mój mąż nie byłby taki zły, gdyby nie to, że jest alkoholikiem. Druga na to: Z moim gorsze mam kłopoty, bo lubi kobiety, straszny z niego babiarz i wciąż mnie zdradza. A trzecia mówi: Mój mąż jest bardzo dobry, ale niestety jest syfilitykiem. A z drugiego pokoju dobiega głos: Tyle razy ci mówiłem, że nie syfilitykiem tylko filatelistą!* Z wujkiem Franciszkiem Karpińskim, mężem Zofii, także wiązały się śmieszne historie. Był człowiekiem ze wszech miar solidnym, a w pracy poważanym za fachowość i nienaganne obyczaje. Jednak kiedy przebywał na urlopie w Luboczy prawdopodobnie chciał odreagowywać to wszystko, co było dla niego sztywnym kanonem zachowań w miejscu pracy, gdzie był jak już wspomniano – dyrektorem. Wynajdował sobie i innym rozmaite zajęcia: zabawy z dziećmi, psami, gry na podwórku i w domu, zabawy na huśtawce, bliższe spacery i dalsze wędrówki etc. Bardzo chętnie pomagał też przy pracach polowych np. zbieraniu siana na łące przed burzą czy zbiorze owoców, których w sadzie nigdy nie brakowało. Niecodziennym jednak zajęciem, któremu się oddawał co roku, było pogłębianie rowu odprowadzającego wodę przed domem. Od stojącej na podwórku studni, ze świetną – jak mawiano – wodą, zawsze ciekła jej malutka strużka, która niosąc piasek, a w czasie deszczu drobne kamyczki, zamulała pobliski rów z wodą. Franciszek bardzo lubił czyścić ten rów. Robił to zawsze „na bosaka", podwijając jednocześnie spodnie do kolan i ubierając na siebie dość mocno sfatygowaną odzież, używaną zazwyczaj „do ogrodu". Pewnego razu, gdy tak kopał z wielkim zapałem, ubrudzony wielce, nieoczekiwanie podjechał ekskluzywny samochód i wyszedł z niego elegancki kierowca i pyta: *Gospodarzu, czy nie wiecie gdzie tu jest z Katowic, taki pewien dyrektor? – A to właśnie ja jestem* – odpowiada Franciszek. Kierowca niemal się załamał, popatrzył na niego z niedowierzaniem, ale mówi: – *Panie dyrektorze, przyjechali do firmy szefowie z Holandii, proszę natychmiast jechać ze mną do Katowic.* Franciszek ledwo zdążył się przebrać i umyć. Łazienki co prawda wtedy nie było, ale na szczęście na piecu kaflowym stał olbrzymi gar cynowy, w którym zawsze było pod dostatkiem gorącej wody, więc z porządną kąpielą w balii nie było problemu. Robiło się odpowiednią mieszankę, dolewając w razie potrzeby zimnej wody konewką służącą

zazwyczaj do podlewania kwiatów i jeden drugiego polewał przy myciu.

W następnym roku ten sam człowiek, który wówczas przyjechał do Luboczy, został osobistym kierowcą Franciszka Karpińskiego i przyjeżdżał odtąd razem z nim, jego rodziną i niańką synka Jędrka. Nazywał się Gazda, a okoliczne dzieci, które czasami dla frajdy woził za przyzwoleniem Franciszka, uradowane wołały: *Gazu panie Gazda, gazu panie Gazda!* Samochód był obszerny, mieściła się w nim niemal cała przybyła na urlop rodzina, która robiła wycieczki do pobliskich wiosek, ale też dalej: do Proszowic, Krakowa lub Puszczy Niepołomickiej. To było przed II wojną światową, a gdy ona wybuchła, Franciszek Karpiński został zmobilizowany do wojska, gdzie poszedł natychmiast, zostawiając w domu żonę wraz z 10-letnim synkiem i zaledwie 2-tygodniową córeczką. Wkrótce jednak dostał się do niewoli, ale udało mu się uciec z oflagu, skąd wrócił do Katowic, a potem bojąc się, że będą kłopoty (w międzyczasie jego syn, mimo polskiego pochodzenia, dostał nakaz wstąpienia do organizacji „Hitlerjugend"), przeniósł się, dzięki pomocy znajomych Holendrów, wraz z całą rodziną do Warszawy. *Poszedł z deszczu pod rynnę* – jak rzekła pani Maria. Po upadku powstania warszawskiego czteroosobowa rodzina Karpińskich przyjechała do Twarogów do Luboczy, gdzie mieszkali przez wiele miesięcy, póki Franciszek nie dostał posady. Po wojnie pracował w stołówce „U Literatów", u p. Kwiatkowskiego, przy ulicy Krupniczej w Krakowie.

Coś wyniosła i ma to do dziś

Pani Maria jeszcze przed wojną ukończyła w Krakowie X Liceum o profilu humanistycznym, z którego – jak z przekonaniem twierdziła – „coś wyniosła i ma to do dziś". Uważała, że było świetnie prowadzone, wręcz „genialnie". Wspominała też: *W naszej klasie były trzy Żydówki i jeżeli ktoś będzie mówił, że Polacy są antysemitami, to ja widzę jedną możliwość: odwinąć rękę i trzepnąć w mordę! – przepraszam za wyrażenie. Nie było między nami żadnej różnicy! Ja byłam proszona do nich na szabas. Ojciec jednej z nich był adwokatem, matka lekarką – szalenie bogaci ludzie. No i ta Fela mówi: – Słuchaj, mamusia z tatusiem zapraszają cię na jutro, na szabas. I szłam na ten szabas, siedziałam przy tych świecach i nie czułam się w żadnym wypadku inna w czymkolwiek.*

Ksiądz, który zniósł jajko

Przed wojną przychodził na piechotę z Pleszowa uczyć dzieci religii do szkoły w Luboczy młody wikary, ksiądz Zbigniew Puzyna, krewny Jana Puzyny – kardynała. Był bardzo gorliwy, ale nie bardzo jeszcze umiał sobie z dziećmi radzić na lekcjach, prosił więc nieraz o pomoc Teresę Twarogową, która choć kochała dzieci, to jako nauczycielka potrafiła być czasem bardzo „ostra". Wpadała wtedy do klasy, tłukła mocno linijką o blat stołu i uniesionym głosem, prawie z krzykiem karciła i upominała dzieci, które już do końca lekcji siedziały cicho w ławkach, bojąc się nawet pisnąć, a wikary mógł bez przeszkód prowadzić dalej zajęcia. Kiedyś zdarzyło się, że po przyjściu z Pleszowa, w pośpiechu nie zdążył zjeść w całości drugiego śniadania, przygotowanego mu przez panią Teresę. Udając się na lekcję religii schował do kieszeni w sutannie ugotowane na twardo jajko, które w pewnym momencie wypadło mu wprost spod sutanny na podłogę, na sam środek szkolnej sali wprawiając małe dzieci w zupełne osłupienie, które po chwili, gdy ochłonęły, zaczęły wołać gremialnie: *Ksiądz zniósł jajko! Ksiądz zniósł jajko!*

Idź sobie

Pani Maria, wiedząc, że interesują mnie anegdoty i opowieści, telefonowała niekiedy i próbowała opowiadać dawne epizody z jej życia. Ale one rwały się i przenikały z innymi, w przeciwieństwie do tych wysłuchanych niegdyś w ogrodzie w Grębałowie w maju 2006 r., kiedy opowiedziała mi pewną niebezpieczną przygodę, której – jak mnie zapewniła – oprócz dwóch przyjaciółek z młodości nie wyjawiła nawet swoim rodzicom. Wydarzenie to miało miejsce późną wiosną 1940 r. na polnej drodze do Prus – wioski sąsiadującej z Luboczą.

W związku z nabożeństwami majowymi przystępowało się do spowiedzi i komunii św., a do Luboczy przyjeżdżał z posługą duszpasterską pewien ksiądz z Pleszowa, którego dobrze znała, nie tylko z racji udziału w życiu religijnym, ale i spotkań w ich domu, gdzie był częstym gościem na świątecznych obiadach, podczas których omawiano różne sprawy. Bywało, że często odwiedzał ich także dla relaksu, jako partner jej ojca do gry w szachy lub karty. Słowem, był człowiekiem dobrze Marysi znanym, a nawet „zbyt dobrze" – jak się wyraziła, aby akurat u niego się wyspowiadać. Może dlatego, a może trochę z przekory, dziewczyna postanowiła, dowiedziawszy się wcześniej o przybyciu innego księdza do kaplicy w Prusach, uczestniczyć tam, wraz z najbliższymi koleżankami, w nabożeństwach. Feralnego dnia była już po uprzedniej spowiedzi, ale wybierała się ponownie do Prus, aby wziąć tym razem udział we mszy i przystąpić do komunii św. Takie wyjścia były też okazją do spotkań towarzyskich, postanowiła na tę uroczystą okazję po raz pierwszy założyć piękną, niedawno uszytą białą sukienkę. Suknia była z jedwabiu, otrzymanego jeszcze przed wojną przez jej ojca z fabryki w Milanówku, w zamian za kontraktowane dostawy surowca, pochodzącego z hodowli jedwabnika morwowego, w której się od lat specjalizował. Przygotowanie nowej kreacji i różnych dodatków przeciągało się jednak i oczekujące dotąd na podwórku koleżanki udały się w drogę do kaplicy w Prusach. „Dogonię was!", krzyknęła za nimi Marysia przez okno czesząc włosy, dodatkowo nie mogąc w pośpiechu odnaleźć swojej torebki.

Kiedy mniej więcej po dwu kwadransach znalazła się, idąc na skróty, pośród rozległych pól w połowie drogi, ujrzała w oddali mężczyznę, który szedł w jej kierunku z górki, mało używaną ścieżką. Opowiadając mi o tym zdarzeniu sprzed lat, pani Maria zaznaczyła, iż mimo to nie bała się wcale, *no bo cóż mi się mogło przydarzyć, skoro we wsi najwyżej złodziej ukradł poduszkę lub kurę*. Poza tym, jako dziewczyna zaprawiona w codziennym, szybkim chodzeniu na stację kolejową w Grebałowie, czuła się dość pewnie i sądziła, że „w razie czego" ucieknie. Zatem niczego złego się nie spodziewając uprzejmie ustąpiła starszemu nieznajomemu drogi, robiąc krok na bok. Skromnie spuściła wzrok i nie zdążyła mu się nawet dobrze przyjrzeć, gdy nagle poczuła zniewalająco silny uścisk jego szorstkich dłoni na swojej delikatnej szyi. Nie zdołała nawet głośniej krzyknąć, ale ponieważ dawno straciła z oczu swoje przyjaciółki, a w pobliżu nikogo nie było, więc i tak nie miałby kto przyjść jej z pomocą. Zrozumiała z przerażeniem, że w tej sytuacji może liczyć tylko i wyłącznie na siebie. Zaczęła się wyrywać, walczyć i drapać pazurami zwalistego napastnika, który przewrócił ją w rosnące wokół zielonkawe jeszcze zboże, zaciskając coraz mocniej palce na jej krtani i przygniatając do ziemi swoim ciężarem. Broniąc się rozpaczliwie czuła, że gwałtownie zaczyna brakować jej oddechu. Złoczyńca jedną ręką nadal ją dusił, drugą zaś usiłował zerwać z niej sukienkę. Marysi przed oczyma zawirowały czarne plamy, zaczęła tracić przytomność lecz ostatnim wysiłkiem wypowiedziała w myślach te słowa: *Dziękuję Ci Boże za to, że jestem choć po spowiedzi, a gdy stanę dziś przed Twym tronem, to bądź dla mnie łaskaw!* I w tej samej niemal chwili poczuła, że ucisk słabnie, mężczyzna powoli zsuwa się z niej, w końcu puszcza ją całkiem, powstaje i po chwili mówi: *Idź sobie*. Dziewczyna, będąc w wielkim szoku, po zaczerpnięciu kilku łyków powietrza także powstaje z ziemi i zamiast rzucić się do ucieczki, zaczyna się wkoło rozglądać; gdzie tu jest jej zgubiona podczas szamotaniny torebka. Po chwili, nie zwracając uwagi na bandziora, odnajduje nieopodal w zbożu otwartą torebkę, lecz bez zawartości. Szuka więc nadal: lusterka, puderniczki, chusteczek... W pewnej chwili uświadamia sobie, że pomaga jej zbierać te przedmioty do torebki jej niedoszły zabójca. Sprawiał wrażenie, że był tym zdarzeniem także oszołomiony, a Maria, po znalezieniu wszystkich (sic!) pogubionych wcześniej rzeczy, udała się w mocno zazielenionej młodym zbożem i ubrudzonej ziemią sukience wprost na mszę św. do kaplicy, gdzie w przytłumionym świetle zdążyła jeszcze w ostatnim momencie przystąpić do komunii. W drodze powrotnej opowiedziała zaniepokojonym najbliższym przyjaciółkom o tym, co ją w drodze spotkało. Gdy przybyli do Luboczy, zmierzchało już, a Maria chcąc ukryć przed rodzicami niedbały wygląd, a zwłaszcza pobrudzoną suknię, weszła ukradkiem do domu i już nigdy, aż do tej chwili, nikomu nie wyjawiła tego sekretu. Wkrótce po tamtym napadzie przeczytała notatkę w gazecie, że granatowi policjanci złapali w okolicy Prus mężczyznę, który popełnił tam jakieś morderstwo. Rysopis jednoznacznie wskazywał na tego samego człowieka, który skrzywdził naszą bohaterkę. Okazało się, że zabójca ten wyszedł na wolność wypuszczony przed kilkoma dniami przez Niemców z więzienia w Wiśniczu, gdzie odsiadywał wieloletni wyrok za gwałt i morderstwo.

Wypadek dziecka, który ocalił ludzi

Z późniejszym okresem okupacji wiązał się jeszcze inny dramatyczny epizod, świadczący jednak o tym, że czasami „nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło". Zdarzenie opowiada o tym, jak wypadek niemowlęcia przyczynił się prawdopodobnie do uratowania życia wielu osób. Nadmieńmy, że pani Maria po wyjściu za mąż i urodzeniu syna Jerzego, mieszkając nadal wraz z mężem i swoimi rodzicami w szkole w Luboczy, była zatrudniona w krakowskiej filii przedsiębiorstwa „Las". Otóż w kwietniu 1943 r. przed wyjazdem do pracy, podczas robienia śniadania jej dziewięciomiesięczny synek Jerzy doznał poważnych oparzeń od wylanej na jego nóżki herbaty. Poparzone dziecko wymagało natychmiastowej pomocy lekarskiej, bo ściągnięte rajtuzy schodziły wraz ze skórą. Wypadek dziecka niesamowicie komplikował fakt zapowiedzianej przez Niemców poprzedniego dnia kontroli w księgowości przedsiębiorstwa, którą prowadziła właśnie pani Maria. Doprawdy trudno jest sobie wyobrazić rozterkę kobiety, która obowiązkowo musi pojawić się w pracy na określoną godzinę, a z drugiej strony chce uratować swoje poparzone dziecko. Najbliższy lekarz był aż w Kocmyrzowie – to było za daleko, by tam pojechać, a jednocześnie zdążyć na czas do pracy. Jej ojciec – Franciszek decyduje się jechać po doktora wynajętą z dworu bryczką wraz z końmi, a Maria z trwogą pozostawia płaczące z bólu i strachu dziecko w domu pod opieką swej matki. Nie wiedząc, czy zobaczy jeszcze przy życiu swe dziecko, udaje się wraz z mężem Romanem na stację kolejową w Grębałowie, by dojechać stamtąd do Krakowa. Na skutek przeciwności losu, które spotkały ich z rana, spóźniają się jednak na „kocmyrzówkę" i zamiast o godzinie 7 wyjeżdżają o 9.

Później okazuje się, że to uchroniło ich od wywózki do obozu w Auschwitz, gdyż na pośredniej stacji, na Grzegórzkach, była łapanka, którą Niemcy urządzili tego dnia o świcie. Pierwszy pociąg pojechał z ludźmi wprost do Auschwitz, a oni dotarli do miasta szczęśliwie, już tym następnym. Gdy pani Maria weszła w pracy do swego pokoju, z przerażeniem stwierdziła, że oprócz jej zwierzchnika czeka już na nią dwóch Niemców, niecierpliwie siedząc przy biurku i popijając herbatę. Rozpoczęła się dokładna kontrola dokumentów, pogłębiona ciężką atmosferą strachu, ponieważ

w przedsiębiorstwie „Las" było wtedy wielu fikcyjnie zatrudnionych uciekinierów ze spalonej po powstaniu warszawskim stolicy, tzw. „martwych dusz", w tym kilku profesorów wyższych uczelni. Rewizję ułatwiał znacznie fakt jej znajomości języka niemieckiego, odpowiadając bowiem na ich pytania, zręcznie kamuflowała te kartoteki i wykazy, które w żadnym wypadku nie mogły się stać przedmiotem kontroli, gdyż skutkiem tego byłoby niechybne uwięzienie lub nawet śmierć ukrywających się osób. Gdy nadszedł najgorszy moment i pani Maria pomyślała, że Niemcy odkryją tajemnice prawdziwej ewidencji – zadzwonił telefon. Odebrała go wystraszona. W słuchawce odezwał się głos jej ojca Franciszka Twaroga, a Maria płacząc do słuchawki zapytała: *Czy żyje?. Ależ tak!* – odpowiedział ojciec – *Nawet się uśmiecha* – dodał. Jej ojciec telefonował z poczty w Pleszowie, gdzie dotarł na piechotę z Luboczy pokonując – już po udzieleniu dziecku pomocy przez lekarza i jego zabandażowaniu – wiele kilometrów. Donosił jej uradowanym głosem, że po przyjeździe do domu lekarz stwierdził u jej synka Jureczka niezbyt groźne, powierzchowne obrażenia, które znacznie gorzej wyglądały niż były. Pani Maria doznała prawdziwej ulgi: oto jej ukochany synek będzie żył, a rany zabliźnią się, nie pozostawiając większych śladów na jego ciałku. O jakże czekała na tak dobre wieści. Dziękowała za to wszystko Panu Bogu i nie potrafiła w żaden sposób ukryć swoich głębokich emocji, pomimo tego, że w zawieszeniu pozostawała jeszcze sprawa kontroli fikcyjnych kartotek, których wykrycie mogło skutkować aresztowaniem, a nawet śmiercią wielu niewinnych osób.

Po odłożeniu słuchawki na widełki telefonu usłyszała skierowane przez dowodzącego Niemca pytanie: *Co się stało?* Wówczas Maria drżącym jeszcze z przejęcia głosem i ocierając łzy spływające po policzku opowiedziała całe poranne zdarzenie i to, że dzwonił właśnie w tej sprawie jej ojciec informując ją, że synek przeżyje. *A ile lat ma twój syn?* – spytał Niemiec. *Dopiero dziewięć miesięcy* – odpowiedziała Maria. *To prawie tyle, ile ma mój syn...* – zamyślił się na chwilę, a po chwili wydał jej polecenie: *Niech pani weźmie kartkę papieru, wkręci w maszynę i pisze co podyktuję. Wysyła mnie do Oświęcimia!* – przemknęło jej natychmiast przez myśl, *na pewno coś wykrył* – pomyślała. Ale on podyktował jej treść: *Po wnikliwym i obszernym zbadaniu dokumentacji księgowej w tutejszej firmie stwierdzam, iż żadnych uchybień nie ma*. Maria z niewysłowioną ulgą odetchnęła, a Niemiec, najwyraźniej wzruszony, zawyrokował dodając: *Powinna pani udać się zaraz do domu. Tam jest dziś pani miejsce – przy dziecku. Właśnie skończyliśmy kontrolę. Wszystko jest w porządku. Niech pani już jedzie.*

Po rosie, po rosie

Franciszek Twaróg ogromnie kochał swojego wnuka Jureczka. Często śpiewał mu do snu piosenkę rozpoczynającą się od słów: „Leć głosie po rosie, prosto ku lasowi, powiedz Jureczkowi..." itd. Lecz miał kiedyś naradę w klasie z innymi nauczycielami, a tu za drzwiami wnuczek płacze w niebogłosy i wrzeszczy w kółko: *po losie, po losie, po losie...* W pewnej chwili babcia Jureczka – pani Teresa Twarogowa, nie mogąc sobie już dłużej z nim poradzić, zmęczona i zdesperowana weszła do klasy, gdzie odbywało się zebranie i poprosiła męża: Franek – *zrób coś! Zaśpiewaj mu wreszcie tę ulubioną piosenkę!,* na co on przeprosił zgromadzonych nauczycieli i zaśpiewał w drugim pokoju do ucha wnukowi kołysankę, po której maluch natychmiast się uspokoił, i można było spotkanie bez przeszkód kontynuować.

W okresie okupacji Jureczkiem opiekowała się, zwłaszcza wtedy gdy jego rodzice byli w pracy – 15-letnia dziewczyna, wysiedlona, jak wiele innych osób, z poznańskiego, która zamieszkała razem z nimi w szkole w Luboczy. Pani Maria wspominała: *Przyjechała biedna, dosłownie bez niczego. Daliśmy jej zrobić ze skóry buty, bo żadnych nawet nie miała*. Tamta panienka, aby jakoś zabawić powierzone jej opiece dziecko, pokazywała mu często różne zabawki, przedmioty i obrazki, ale gdy już się nimi ewidentnie znudziło, to także znaczki z Hitlerem w mundurze wojskowym, mówiąc przy tym szyderczo: Świnia, świnia..., a maluch za nią bezwiednie powtarzał to słowo. W tym samym czasie, przez pół roku w jednej z sal lekcyjnych zakwaterowanych było kilku Niemców. Pewnego dnia, gdy mały Jureczek, bawiąc się na podwórku zobaczył jednego z nich wychodzącego z domu w podobnym mundurze, który znał ze znaczka z Hitlerem, wskazał nań rączką i głośno zawołał: Świnia, świnia, świnia! Rodziców Jureczka, Marię i Romana, niemal sparaliżowało ze strachu, bo bali się, że któryś z Niemców może znaczenie słowa zrozumieć i do końca ich pobytu nie wypuszczali już chłopca na zewnątrz budynku, chyba, że Niemcy wyjeżdżali gdzieś na dłużej.

Nudzi mi się

Z okresu, gdy stacjonowało tam wojsko niemieckie, pani Maria zapamiętała dwóch oficerów, z których jeden był porywczy i zły, a drugi spokojny i dobry. Ten pierwszy o mało raz nie zastrzelił jej mamy podczas sprzeczki (początkowo wychowywała się w Wiedniu, gdzie ukończyła szkołę i doskonale mówiła w tym języku), drugi natomiast, jak się okazało, był lekarzem i poprosił Teresę Twarogową o pomoc w wyszukaniu domu, gdzie mógłby leczyć miejscową ludność, bo jak mówił: „Nudzi mi się". Poprosił, aby pani Teresa współpracowała z nim jako tłumacz, na co ona dość chętnie przystała, chcąc nieść ludziom pomoc. Oficer – lekarz powiedział, że wybierze sobie dom, w którym – gdy będzie miał wolny czas – to zajmie się leczeniem za darmo, a nawet może dać ludziom trochę lekarstw. Po starannych oględzinach wybrał sobie dość biedną chałupkę pani Krupowej, stojącą naprzeciwko szkoły. Mieszkała w niej wraz z matką szkolna koleżanka Marysi – Włady, na którą mówiła od dzieciństwa „Baka". Chałupa, choć z ubitym, glinianym klepiskiem zamiast porządnej podłogi, okazała się niezwykle czysta i schludna – i o to właśnie Niemcowi chodziło. Zaczął w niej przyjmować i dobrze leczyć chorych, głównie tych najbiedniejszych. Nie brał za to pieniędzy, ale czasem, gdy ktoś przyniósł mu za ofiarowane lekarstwa trochę jajek lub kurę, to takie prezenty przyjmował. Po wojnie okazało się, że był Austriakiem, bo przyszedł od niego list z prośbą o zaświadczenie, że nie robił Polakom w czasie wojny krzywdy i że ich leczył. Teresa i Franciszek Twarogowie odpisali mu po niemiecku, dziękując w imieniu mieszkańców za pomoc udzielaną Polakom, której byli na co dzień świadkami, a ludzie zachowali go także we wdzięcznej pamięci jako porządnego człowieka.

Okłamywali nas

Gdy po wojnie nastały czasy Bieruta, to początkowo komunizm nie był taki ostry – mówiła pani Maria. *Okłamywali nas, że to tak dalej będzie. Bierut prowadził na procesji Bożego Ciała kardynała Wyszyńskiego pod rękę, pod baldachimem – tak się zaczaili komuniści na początku! I myśmy w to uwierzyli, i ci ludzie zdobyli stanowiska, a za chwilę...*

Za kogo pan mnie uważa?

W latach 50. do Franciszka Twaroga przyjechał pewien bogaty „badylarz" – hodowca kwiatów spod Kazimierzy Wielkiej, który niegdyś mieszkał gdzieś w pobliżu i chodził do szkoły w Luboczy, ale jej nie ukończył, a teraz koniecznie chciał uzyskać świadectwo 7 klasy, które było mu do czegoś bardzo potrzebne, a prawdopodobnie chodziło o prowadzoną przez niego działalność handlową. Pani Maria była świadkiem, jak natarczywie domagał się wypisania tego świadectwa, oferując jej ojcu sporą sumę pieniędzy, mówiąc, że ma ich teraz naprawdę bardzo dużo, a nauczycielowi także mogą przydać. Mówiąc to, wyciągnął z kieszeni zwitek banknotów i trzymając go w wyciągniętej ręce pewnie oczekiwał, że kierownik szkoły je przyjmie. Twaróg najpierw grzecznie, lecz stanowczo odmówił, ale kiedy po raz kolejny to nie skutkowało, zmierzył delikwenta wzrokiem od stóp do głów, po czym spokojnie lecz dosadnie rzekł: *Za kogo pan mnie uważa?* i odwrócił się na pięcie, zamykając drzwi przed nosem przybysza, który pozostał na schodach z głupią miną.

Epilog

Krótki, bo niespełna dwuletni okres, jaki upłynął od chwili pierwszego spotkania z Marią Zderkowską, przyniósł niestety smutne zakończenia tych opowieści. Jedno takie – o czym już wspomniałem – że pani Maria, latem 2006 r. uległa poważnemu wypadkowi, drugie natomiast, że starą szkołę w Luboczy zburzono, lekceważąc zgłaszane tu i ówdzie postulaty zaadoptowania jej na świetlicę czy klub. Konsekwencje tej pierwszej okoliczności, na którą nałożyła się potem jeszcze inna choroba pani Marii, nie pozwoliły jej już więcej odzyskać dawnych sił i zdrowia. Mimo to była naprawdę szczęśliwa, że mogła 7 marca 2007 r. uczestniczyć w ważnym i radosnym spotkaniu oraz promocji książek: „Franciszek Twaróg – nauczyciel z Luboczy" i „Czas zatrzymany" w Urzędzie Miasta Krakowa, z udziałem Prezydenta Miasta Krakowa, prof. Jacka Majchrowskiego, licznie przybyłych gości i przedstawicieli wiosek z terenu obecnej Nowej Huty. Zmarła przeżywszy 88 lat, 8 października 2007 r., a po uroczystym nabożeństwie żałobnym przy Zmarłej, odprawionym w piątek, 12 października 2007 r. przez proboszcza z Luboczy, ks. Stanisława Dolasińskiego, została odprowadzona na miejsce wiecznego spoczynku na Cmentarzu Rakowickim.

20 marca 2008 r.

JERZY ZDERKOWSKI – Wspomnienie

Urodziłem się w Luboczy 9 lipca 1943 r., w czasie wojny. Moi rodzice – Maria i Roman Zderkowscy zostali wyrzuceni przez Gestapo z ich mieszkania na ul. Bronowickiej 5 w Krakowie, więc zamieszkaliśmy u Dziadków Twarogów w Luboczy. Od tego momentu (jeśli pamięć dziecka, a teraz dorosłego już człowieka jest ciągle aktualna), moje życie u Dziadków Twarogów było prawdziwym Domem. Nie tylko mieszkaniem, ale Domem, w którym było ciepło, serdecznie i opiekuńczo. Nie było komfortowo (choć nie mogłem wtedy tego rozróżnić), ale miałem swoje łóżko w „dużym pokoju" (już nie istniejącym, tak samo jak cała szkoła, w której znajdowało się mieszkanie). Pamiętam stałą obecność moich Dziadziów, troskliwych i kochających. Dom był także centrum dla zgromadzeń gospodarzy z Luboczy (i nie tylko), którzy wieczorami schodzili się na „porady" o podatkach, ziemi, a nawet w sprawach medycznych. Dziadzio Franciszek Twaróg był w pełni gospodarzem tego miejsca. Oprócz stałej opieki nad szkołą, zajmował się także gospodarstwem, które ją wspierało i tysięcznymi sprawami sąsiadów. Babcia Teresa (ciągle była w cieniu) uczyła wiejskie dzieci (będąc hrabianką z Wiednia), wspaniale grała na fortepianie utwory Chopina i Paderewskiego dla wszystkich chętnych. Dziadzio Franciszek organizował przeróżne formy działalności społecznej, a nawet „klub" siatkarzy, gdzie młodzi schodzili się popołudniami żeby pograć, zamiast iść do karczmy, co moi dawni koledzy (może jeszcze żyją?) to potwierdzą.

Dziadzio Franciszek był opiekuńczy, ale nie tylko On. Kiedyś, gdy mały Jurek Zderkowski zagonił się w zbożach, to cala wieś go szukała. Czasami skończyło się tylko na kilku klapsach. Ostatnie wspomnienie o Dziadziu mam z ul. Bronowickiej w Krakowie, kiedy już ciężko chorował. I tak smutno spojrzał na mnie, kiedy odjeżdżałem na konferencję... (a nie powinienem był).

Człowiek, którego tu wspominamy, przerasta dzisiejszą beznadziejność. W Grębałowie nazwano ulicę Jego imieniem, bo jeszcze setki ludzi pamiętają Franciszka Twaroga. Tak jak ja – z wdzięcznością, sercem i pamięcią do końca życia.

List

Szanowny Panie Adamie,

Piszę z serdecznym podziękowaniem i głębokim uznaniem za wszystko, co Pan stworzył dla nas związanych z Luboczą i ludźmi którzy żyli (i nadal żyją) w tych starych osiedlach otaczających Kraków; być może nawet starszych (jak Mogiła) niż miasto. I także dla Nowej Huty, dla której Pan robi tak wiele. A szczególnie, dziękuję za zainteresowanie moją rodziną; moim kochanym Dziadziem, Babcią i moją Matką, którzy skromnie wpisali się w historię tych miejsc, o których Pan tak wspaniale, serdecznie pisał i fotografował. Pana publikacje (a zwłaszcza moja ulubiona: „Franciszek Twaróg – nauczyciel z Luboczy") są ze mną zawsze kiedy wspominam swoje dzieciństwo. Dziękuję serdecznie!

Moje środowisko w Ameryce zostało natychmiast poinformowane o Pana pracach, a zdjęcia oraz komentarze zostały przesłane moim przyjaciołom w Pennsylvanii, Nowym Jorku, New Jersey, Illinois, Californii, Arizonie, Florydzie, a także w Anglii (UK-Cambridge), w Niemczech, Włoszech, Francji i w Australii. Zrobił Pan bardzo wiele dla ludzi trochę już zapomnianych, w wioskach w których życie było może bardzo proste i twarde, a jednak dobre, życzliwe i ciepłe. Ja i moja rodzina wyszliśmy z tego środowiska i jesteśmy z tego bardzo dumni. Żyliśmy wśród dobrych ludzi, których teraz, dzięki Pana talentowi, nikt już dzisiaj ani w przyszłości nie zapomni. Choćby przez Pana piękne zdjęcia i komentarze...

Z całego serca dziękuję. I mam nadzieje na spotkanie w Polsce; w Krakowie, Nowej Hucie, Luboczy, Grębałowie, Pleszowie i może wielu innych miejscach, gdzie „Czas" – dzięki Pana wyjątkowej pracy i talentowi – został zatrzymany.

Prof. Jerzy S. Zderkowski

Lead Faculty, Marketing & Global Management,
University of Phoenix



Przed szkołą w Luboczy, ok. 1917 r. Od lewej: Franciszek Twaróg, w głębi siedzi na schodach Teresa Starkel, późniejsza żona Franciszka, nauczycielka z Branic wraz z dwoma koleżankami.



Wincenty Broś pasie gęsi, Lubocza, lata 30.



Nad stawem w Luboczy, ok. 1917 r. Z lewej Franciszek Twaróg, przed nim Teresa Starkel z koleżankami oraz dwie miejscowe dziewczyny, widok w kierunku Prus.



Franciszek Twaróg wraz z Teresą z d. Starkel w dniu ich ślubu, Lubocza, 1918 r.



Franciszek Twaróg w otoczeniu rodziny i znajomych. Obok niego w ciemnej sukni siedzi żona Teresa, za nim z prawej matka – Maria Twarogowa, zaś w ostatnim rzędzie w środku stoi Jan, jego brat, później wieloletni kierownik szkoły w Pleszowie, Lubocza, ok. 1918 r.



Franciszek i Teresa Twarogowie na podwórku szkolnym, pomiędzy nimi w wózeczku siedzi córka Marysia, na leżaku odpoczywa p. Antecka, koleżanka Teresy. Z prawej strony widać stodołę szkolną a w głębi dworską oraz spichlerz należący do Sióstr Norbertanek ze Zwierzyńca, Lubocza, 1920 r.



Dzieci z ochronki prowadzonej przez siostry Norbertanki ze Zwierzyńca (dawne właścicielki wsi). W 1928 roku za namową księcia metropolity Adama Stefana Sapiehy siostry przybyły do Luboczy aby zapewnić dzieciom bezpłatne, katolickie wychowanie. Do tego celu przeznaczono dom dawnego rządcy. Lubocza, ok. 1930 r.



Gimnastyka na szkolnym podwórku, w środku Marysia Twarożanka (w białej sukience i w bucikach), obok z prawej Wikta (Wiktoria) Błachówna z Grębałowa i Władzia Krupianka z Luboczy. W głębi stoi Franciszek Twaróg, 1929 r.



Klasa III w Szkole Powszechnej w Luboczy.

Stoją od lewej: ...Ślęzak, Władysław Kot, Antoni Walczak, Józef Kwatera, Małgorzata Kotówna, Kazimiera Jurkówna,...Dończówna,... Grzesiakówna, Wiktoria Pastylanka, Józef Walczak, Jerzy Wich.

Siedzą od lewej: Zofia Zyburzanka, Olga Żwirkówna, ...Kwietniówna, Maria Twarożanka, Katarzyna Perczakówna, Wiktoria Błachówna, Stanisław Daniel, Franciszek Głowa, ...Kwiecień, Jacek Partyła, Antoni Partyła,. Z tyłu pod oknem stoi Teresa Twarogowa z d. Starkel, nauczycielka, żona Franciszka Twaroga, kierownika szkoły, 1929 r.



Na szkolnym podwórku, Lubocza, 1927 r.

Od lewej: Jagna Ciesielska, Stanisław Twaróg (syn Jana), Maria Twarożanka, Władysława Krupianka.



Katarzyna Witek i Maria Twarożanka, Lubocza, koniec lat 30.



Katarzyna Witek i Maria Twarożanka przed szkołą w Luboczy, koniec lat 30.



Od lewej: Franciszek Twaróg, Maria Twarożanka (córka), Felicja Galiszkiewicz (nauczycielka), Teresa Twarogowa, Lubocza, koniec lat 30.



Rodzina Cyganów z Luboczy, 1936 r.



Przed domem rodzinnym Partyłów, lata 30.



Wesela Partyły z Łaptasiem, Lubocza, 1926 r. Szósta od lewej: Franciszka, Partyła, dalej: Bańdur, Maria Partyła, NN, Partyła, Łaptaś, Zofia Raźna, Józef Walczak, Katarzyna Partyła, Antoni Grzesiak, Stanisław Partyła, NN, Jan Partyła.



Klasa II ze Szkoły Podstawowej Nr 76 w Luboczy podczas Pierwszej Komunii Św., 1956 r.
Z przodu siedzą: Maria Bania (wychowawczyni), obok niej ks. Antoni Góralik, proboszcz z Pleszowa oraz ks. Jan Kuś
I rząd: Danka Jagła, Jasia Król, Adam Głowa, ...Florkowska, Gienia Kowal
II rząd: NN, Stasia Jurek, Wladzia Broś, Ania Szczupak,
III rząd: Zosia Walczak, Ola Florkowska, Maria Łach, NN Stasia Mytnik, Władzia Ziabka, Gienia Wosiek, NN



Klasa II ze Szkoły Podstawowej Nr 76 w Luboczy podczas Pierwszej Komunii Św., 1955 r.
Helena Lis (wychowawczyni), ks. Jan Kuś
I rząd: Władzia Wojtusik, Henryka Walczak, Krystyna Jurek, Krystyna Witas, Anna Piotrowska, Anna Król
II rząd: Zosia Kowal, Ania Partyła, Stasia Łach, Ala Wójcik, Zdzisława Łukasik, Halina Krzek, ...Grochalska, Janina Kot, Halina Krupa, Krystyna Gumul. Chłopcy: Piotr Daniel, Staszek Wójcik, Staszek Sajka, Staszek Zajma, Władek Cygan, Krzysiek Stefański, Henryk Nowak, Krzysiek Pazdalski, Józek Kot, Władek Król, Rysiek Cygan, Staszek Mars



Klasa V w Szkole Podstawowej Nr 76 w Luboczy, 1957 r.

Michał Haruza (wychowawca)

Od lewej: Władek Nowak, Staszek Wosiek, Staszek Kowal, Józek Kot,

w tle: Halina Krupa, Ala Wojcik, Krysia Jurek, Władzia Wojtusik

Od prawej: Karol Walczak, Edek Ślęzak, Jasia Kot, Anna Partyła, Anna Piotrowska, Anna Walczak, Halina Krzek, stoją: Anna Król, Krysia Witas



Dawna kaplica i przedszkole. Lubocza, ok. 1962 r.

W 1985 roku ks. kardynał Franciszek Macharski erygował tu parafię Najświętszego Serca Pana Jezusa w Krakowie, a kaplica ss. Norbertanek stała się kościołem parafialnym.



Kaplica Najświętszego Serca Pana Jezusa z 1882 r. Lubocza, ok. 1962 r.



Krzyż przydrożny, fund. Jan Nowak i Stanisław Fraś. Lubocza, ok. 1962 r.



Krzyż przydrożny z 1864 r., fund. Jan Kowal po zniesieniu pańszczyzny i upadku Powstania Styczniowego. Lubocza, ok. 1962 r.



Przed szkołą w Luboczy, ok. 1960 r.



Stary dom p. Zająca z dymnikami. Lubocza, ok. 1962 r.



Dawne stajnie dworskie. Lubocza, ok. 1962 r.



Przysiółek Bugaj w Grębałowie należący dawniej do obwodu Szkoły Podstawowej nr 76 w Luboczy, ok. 1962 r.



Antoni Kowal (z Luboczy) zatrudniony jako wozak w czasie budowy Nowej Huty, lata 50.

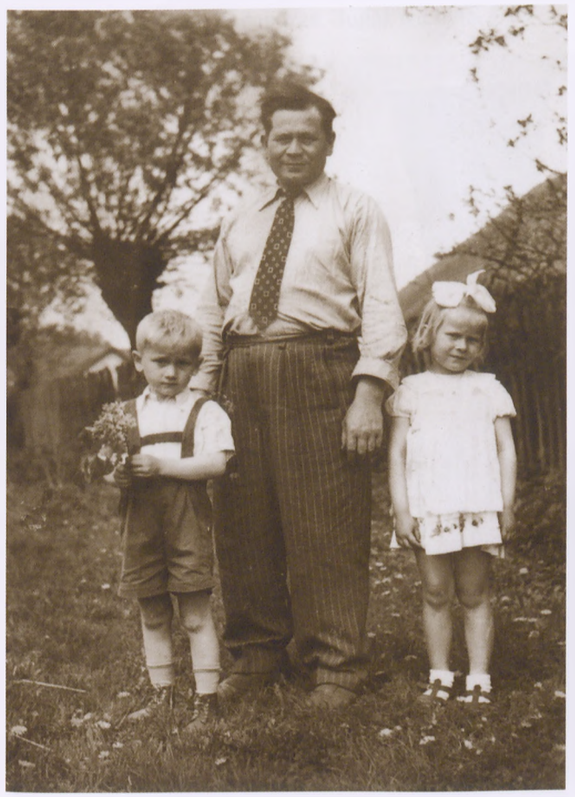

Piotr Partyła (z Luboczy) z dziećmi: Andrzejem i Hanią, w ogrodzie p. Grzesiaków, 1950 r.



Piotr Partyła z dziećmi: Andrzejem, Olkiem i Hanią oraz misiem w wesołym miasteczku na os. Szklane Domy, Nowa Huta, lata 50.

Rozdział VIII

Grębałów

FRANCISZEK TWARÓG – Grębałów

W odległości 10 km na północny wschód od Krakowa leży dawna wieś Grębałów, dzisiaj osiedle należące do Nowej Huty. W 1260 r. istniała tu już osada licząca 260 mieszkańców. Z początku należała do klasztoru Cystersów w Mogile, potem do dekanatu rusieckiego, a następnie do kapituły katedralnej w Krakowie. Wieś składała się wówczas z ról kmiecych i dworu. W 1860 r. wieś spłonęła. Pamiątką po tym pożarze jest figura przydrożna. Pochodzenia nazwy „Grębałów" nie znamy. Wieś przechodziła zarazy – cholerę w 1846 r. i szkarlatynę u dzieci w 1907 r. Po zniesieniu pańszczyzny i uwłaszczeniu w 1864 r. część Grębałowa, należąca do kapituły, pozostawała w dzierżawie rodzin, ostatnio Orłowskich, Cebulskich i Cieślewiczów. Gospodarstwa wiejskie obejmowały z początku około 110 ha powierzchni Grębałowa, posiadłość kapituły 100 ha gruntu. Obecnie wieś posiada 136 ha, a centrala nasienna (dwór) 74 ha. Przed I wojną światową było we wsi 38 domów mieszkalnych, obecnie jest ich 146, a budowanych jest 20 kolejnych. Grębałów zamieszkuje około 900 osób. Przed pierwszą wojną światową było 136 osób liczących ponad 20 lat, obecnie mamy takich osób 527. Dotychczasowa ludność to przeważnie rolnicy. W przemyśle pracuje już ponad 227 osób. Wskutek bliskości Nowej Huty przybyło do Grębałowa około 140 mieszkańców. Okoliczne grunta noszą nazwy: Wicha, Półłanek, Przymiarki, Zagórze, Bugaj, Niebyła.

Ziemia składa się z bardzo urodzajnego lessu o podglebiu gliniastym. Przeciętny zbiór z 1 ha gruntu oblicza się na 22 kwintale. Wieś przecina kolej, która biegnąc do Kocmyrzowa łączy Kraków z urodzajnym powiatem miechowskim. Obecnie z powodu wielkiego rozdrobnienia gospodarstw i potrzeb miasta wieś przechodzi z upraw kłosowych na uprawy warzywnicze i hodowlę drobiu i krów. Na wzgórzu grębałowskim jest fort zbudowany przez Austriaków. W 1914 r. wieś została zniszczona na rozkaz dowództwa wojsk austriackich, celem oczyszczenia przedpola dla fortu i obrony Krakowa przed nadciągającą armią rosyjską. Mieszkańcy byli ewakuowani na przedmieścia Krakowa, skąd po ustaniu walk powrócili. Wieś została odbudowana przez Krajowy Urząd Odbudowy. W latach 1911-1912 została przeprowadzona drenarka dla osuszenia pól, przez co przybyło gruntu pod uprawę.

Oświata

Dzieci z Grębałowa uczęszczają do szkoły podstawowej w Luboczy. Drogę mają utrudnioną, ponieważ wiedzie przez moczar i grząskie błoto. Na ogół dzieci z Grębałowa są zdolniejsze, pilniejsze i wykazują lepsze postępy w nauce. Bliskie położenie osiedla w Krzesławicach łączy Grębałów z Nową Hutą i jej życiem. Bliskość ta wpływa więc na rozwój gospodarczy i kulturalno-oświatowy wsi. Wszystkie dzieci już teraz kształcą się w szkołach zawodowych i ogólnokształcących w Nowej Hucie. Gre-



Procesja z Grębałowa do Pleszowa, lata 30.

bałów ma też swoje organizacje oświatowe i społeczne. Kółko Rolnicze liczące 113 członków istnieje od 1923 r. W skład Zarządu Kółka Rolniczego wchodzą: Walenty Florkowski jako przewodniczący, Władysław Łach jako sekretarz, Zdzisław Wojtusik jako skarbnik. W skład Zarządu Koła Gospodyń, liczącego 29 członkiń, wchodzą: Janina Piechnik – przewodnicząca, Maria Woźniak – sekretarz, Zofia Florkowska – skarbnik. Komitet Osiedlowy: Wojciech Broś – przewodniczący, Jan Pszczoła – sekretarz, Franciszek Podobiński – skarbnik. W 1946 r. przeprowadzono elektryfikację wsi. Zasługę przy tym ma komitet elektryfikacyjny: Andrzej Nowak, Stanisław Florkowski, Karol Nowak, Jakub Kot i in.

Dom Ludowy

Dzięki posiadaniu odpowiedniej parceli wieś mogła przystąpić do budowy Domu Ludowego w Grębałowie. Ogólny koszt budowy wyniósł 960 000 zł. Ludność dała 99 000 godzin pracy osobistej i 8 100 godzin pracy konnej. Przy budowie zasłużyli się: Walenty Florkowski, inicjator budowy, Władysław Łach, Karol Nowak, Janina Nowak, Stanisław Florkowski, Andrzej Pituch i Karol Curyło. Budowę poparł Wydział Kultury Prezydium Dzielnicowej Rady Narodowej, a w szczególności p. Siatkowska i p. Wątroba oraz Miejski Wydział Kultury w osobach p. Kuszy, p. Koreckiej i p. Kamińskiego. W Domu Ludowym działają zespoły: baletowy, plastyczny dla dzieci i artystyczny dla młodzieży. Mieści się tam także biblioteka publiczna dla ludności Grębałowa oraz stałe kino „Balladyna". Kierownikiem pracy kulturalnej jest inż. Zdzisław Kulczyński, zaś kierownikiem kina Antoni Florkowski.

Lubocza, 1 maja 1962 r.

Wspomnienia Franciszka Nowaka z Grębałowa[1]

Historie związane z kapliczkami, ważniejsze wydarzenia

W 1811 r. doszczętnie spłonęło gospodarstwo pani Raczyńskiej Małgorzaty. W roku 1868 pani Marianna Miklewska, posesorka wsi Grębałów, na pamiątkę tego tragicznego wydarzenia ufundowała kapliczkę Serca Pana Jezusa z inskrypcją, która istnieje w oryginale do dnia dzisiejszego: *Boże, chroń nas od podobnego pożaru, jaki nawiedził Małgorzętę Raczyńską w roku 1811. Na tę pamiątkę Maryanna Miklewska pomnik ten ufundowała.* Na przełomie XIX i XX w. zbudowano krzyż i ufundowano figurę Pana Jezusa. Dzisiaj to jest na skrzyżowaniu ulicy Kantorowickiej i Gustawa Morcinka. Pani Bausowa, gospodyni, w piękne, słoneczne popołudnie, obierając ziemniaki siedziała na progu, a tu nagle wpada ognista kula do domu – piorun kulisty. Oblatuje wszystkie izby, nie wyrządzając szkody, wleciał na strych opalając dzieżę do wyrabiania ciasta i z hukiem wyleciał przez okno w ścianie. Na zwieńczeniu, pod kalenicą, jest taki otwór którędy wyleciał. I na pamiątkę tego wydarzenia i w podzięce Panu Bogu za to, że wówczas nikomu nic się nie stało, ufundowano właśnie ten krzyż Pana Jezusa. W książeczce „Szlakiem grębałowskich kapliczek" są zawarte historie wszystkich. Ja od dziecka interesowałem się historią naszego osiedla, jak i w ogóle mam sentyment do historii...

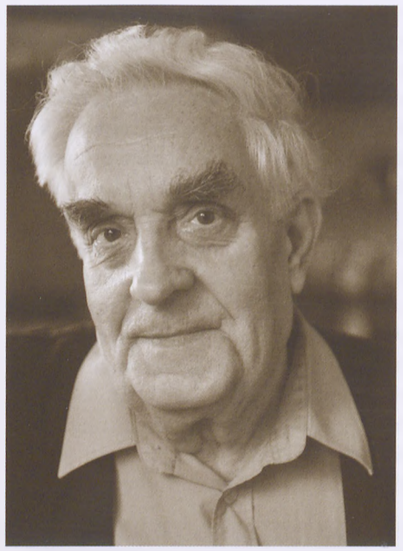

Franciszek Nowak

W końcu XIX w. miało tu miejsce ważne wydarzenie – budowa kolei z Krakowa przez Grębałów do Kocmyrzowa. Natomiast w 1908 r. niejaki Jan Cebulski funduje kapliczkę Matce Boskiej w dowód wdzięczności, że małżonka urodziła mu syna. A Cebulski był tutaj ziemianinem, dzierżawcą – chyba Krzesławic. Nadmienię, że Grębałów słynie z wielu kapliczek, w większości poświęconych właśnie Matce Bożej.

W 1911 r. założona została Spółka Wodna w Grębałowie. Wraz z zaangażowaniem się wielu rolników, m.in. z Luboczy, w 1912 r. zostały posunięte daleko idące przygotowania. Ale wtedy też była biurokracja i trzeba było jeździć w związku z tą rejestracją, żeby mogła funkjonować Spółka Wodna. Chodziło o melioracje terenu, ale wraz z wybuchem I wojny światowej wstrzymano wszelkie działania w tej sprawie.

Znamiennym faktem – wszędzie to mówiłem, mówię i mówić będę, bo to nie tylko ustny przekaz, ale i udokumentowany historycznie – w 1914 r. było rozebranie Grębałowa i wielu innych wiosek (Kantorowic, Dłubni, Zesławic – dop. red.), znajdujących się w obrębie trzeciego pierścienia Twierdzy Kraków. Grębałów został dokumentnie rozebrany. Mieszkańców wysiedlono do

1. Wspomnienia notowała Magdalena Maciejewska 31 lipca 2007 r.

okolicznych wsi: Czyżyn, Łęgu, na Dąbie, Grzegórzki i do Krakowa – gdzie kto trafił. Tutaj nie było nic i nikogo! Dlatego z dużym naciskiem o tym mówię bo to, że znowu mamy Grębałów, jest dowodem twórczej pracy ludzi, którzy tutaj żyli. To nie jest tak, że ludzie tylko mieszkali sobie, bo tu życie wcześniej tętniło. I potem wrócili. Zaczęli wracać już w 1916 r., nawet pod karą śmierci. Zaborca – gnębiciel, jeśli chodzi o ówczesny stosunek wojska austriackiego i w ogóle Austrii do Polski i do nas, Polaków, groził nam utratą życia. Tu nie ma tłumaczenia i żadnej ulgi w stosunku do innych zaborców. I ludzie pod groźbą tak wielkiej kary wracali. Przysłowie mówi: „Gdzie się kto ulągnie, tam jego ciągnie" – i tu ludzie wracali. Kopali doły, przykrywali deskami, robili takie ziemianki-lepianki i tak mieszkali.

Ja i ojciec mój pochodzimy z Prus. Mama jest rdzenną grębałowianką ze strony Zyburów. Prusy to już jest parafia Raciborowice. Po I wojnie światowej zaczęli się ludzie organizować, z pomocą przyszło tu państwo polskie. Pod kierownictwem architekta znanego w Polsce – Wacława Krzyżanowskiego, wiele wsi zaczęto odbudowywać, w tym także Grębałów, a wraz z nim mój stary dom, i wiele innych, których dziś już nie ma (z tego okresu pozostały może tylko 3-4 domy). Nie ma dowodu pisanego, że postawioną tu w 1923 r. kapliczkę ufundowano w dowód wdzięczności za szczęśliwy powrót mieszkańców po wojnie do swoich gniazd, ale z przekazu ustnego wiemy, że tak być mogło i w dowód wdzięczności postawiono tutaj kapliczkę Matce Bożej. W 1925 r. reaktywowana została Spółka Wodna, między innymi z inicjatywy Walentego Florkowskiego.

W 1934 r. były dwa znaczące wydarzenia w dziejach Grębałowa i Luboczy (a trzeba jeszcze dodać, że te wioski były integralnie związane ze sobą poprzez wspólną parafię i szkołę). Otóż w 1934 r. ufundowany został sztandar szkoły powszechnej, gdzie chorążymi byli właśnie uczniowie z Grębałowa i z Luboczy – do dziś dnia jedna pani jeszcze żyje. Równie ważnym wydarzeniem, świadczącym o aktywności ludzi, którzy potrafili zjednać wokół siebie na jakiś wspólny cel mieszkańców, było ufundowanie feretronu świętej Teresy od Krzyża, znajdującego się do dziś w kościele w Pleszowie, dawniej naszym parafialnym. Feretron to jest figura, różnej wielkości, ale może to być także obraz noszony przy różnych uroczystościach kościelnych jak Boże Ciało, rezurekcja, jakieś lokalne święto kościelne. Na nosidłach noszą dziewczyny, a chłopaki, ci młodzi, noszą go na ramionach. Nasza ceramiczna figura jest wysoka na metr trzydzieści i jest pokryta glazurą, w większości współfinansowała ją pani Helena Cieślewicz – dzierżawca przedwojennego majątku w Grębałowie.

Okres wojenny, no to różnie bywało... Najbardziej dramatycznym wydarzeniem było rozstrzelanie 80 Polaków. Myśmy się zorganizowali, żeby kontynuować pamięć tej tragedii, a szczególną uwagę przywiązywał do tego, bo był naocznym świadkiem, śp. Stanisław Florkowski. I on twierdził, że było to 28, a wszyscy mówili, że 29. Umieli się ludzie zorganizować. Tutaj zawsze ludzie przejawiali inicjatywę, żeby sobie w życiu pomóc. Wypadałoby tu przytoczyć całą plejadę nazwisk, ale dominowały rody Florkowskich, Łachów i takie nazwiska jak Masier, Błach, Nowak, Grzesiak i cały szereg innych.

Elektryfikacja wsi – przełom lat 40. i 50., lata 50. – założony został Klub Sportowy „Grębałowianka", zbudowano świetlicę, Dom Ludowy, lata 60. – woda, wodociąg, drogi i tutaj było zaangażowanych wielu mieszkańców pod wodzą aktywistów. Lata 70. – gazyfikacja (ukończona w latach 80.) i równoczesna telefonizacja.

Mimo istniejących różnic między niektórymi osiedlami w zasobności majątku ziemskiego, ludzie jednoczyli się, organizowali się w sprawach dotyczących ich wszystkich. W wielu wsiach były orkiestry, chóry. W Luboczy była orkiestra, wybudowano Dom Ludowy, remizę, szkołę – to się nie wzięło znikąd, to ludzie się organizowali. Aczkolwiek polityczne sprawy też były. Nie lubili – mówię to z zapisów kroniki pleszowskiej – komunistów tu nigdy nie lubili.

Życie na wsi, stosunki międzyludzkie, miejsca spotkań, czas wolny

Było życie twarde – to mi powiedział człowiek, który miał majątek; gospodarz. Mówił mi: *Franiu, życie było twarde, a w wielu przypadkach bezlitosne.* Człowiek bogaty był traktowany z respektem – bo bogaty, ale w wielu przypadkach biedny człowiek to był „dziod". Nie miał szacunku żadnego. Przymierał też głodem ale była również współpraca i pomoc drugiemu człowiekowi. Ludzie byli z sobą zżyci. Ale były też przypadki, że jak biedny, no to „dziod". Stosunek jednego do drugiego wynikał między innymi z tego, czy ktoś był zamożny. Ale byli też ludzie bogaci, zamożni, którzy oddziaływali pozytywnie, emanowali swoim postępowaniem na innych, byli lubiani i szanowani. To nie tak, że jak był bogaty kmieć, hrabia czy ktoś taki, to już był niedobry – nie. Ludzie pamiętają i chwalą do dnia dzisiejszego wielu z tego okresu. Wielu osób spośród starszych już nie ma bo poumierali, ale tutaj Cieślewiczów – jako dzierżawców i zarządzających majątkiem ludzie zawsze chwalili i dobrze mówili o nich. I o wielu innych. Tak samo mówili w Łuczanowicach bodajże o hrabim Mycielskim.

Życie było. Ludzie się odwiedzali i co było charakterystyczne, to co ja pamiętam – nie zamykało się domów. Do dnia dzisiejszego we mnie to tkwi. Nie mam psa, nie mam zamka, znaczy mam taką zapadkę, ale nie mam w naturze zamykania. Nie zamykało się w Grębałowie domów jeden przed drugim ani nie trzeba się było zapowiadać: czy państwo jesteście, czy mnie przyjmiecie... Przyszło się: – *Dzień dobry, co słychać? – A siadojcież, no, pogodamy sobie.*

Ludzie bardzo często się spotykali, przychodzili do siebie. To znaczy nie tak: wszyscy do wszystkich, tylko było takie ulubione miejsce spotkań powstałe samorzutnie, że tam, a nie gdzie indziej spotykali się. Było to w Grębałowie na skrzyżowaniu obecnej ulicy Geodetów i Kantorowickiej, a wtedy „pod Nowokiem" się spotykali. „Pod Morawcową koło babki" – takie było określenie, a to jest teraz skrzyżowanie ulicy Kocmyrzowskiej i Kantorowickiej tam, gdzie się znajduje kapliczka Matki Bożej ufundowana przez tego Cebulskiego w 1908 r. Później spotykaliśmy się pod stodołą „u Zięcioka" – obecnie jest tam nasz klub „Dukat". No i „na Błoniu", dzisiaj się mówi – klub sportowy, boisko, ale dawniej: „na Błoniu". „Pod Masierem", o – „pod Masierem na Błoniu", często my się tam spotykali. Grało się w karty, grało się w „odbitkę", w pieniądze... Podobnie w „rzucankę", w „zośkę" no i w „dubla". Robiliśmy zdjęcia...

Zabawy były piękne! Zwykłe, zwyczajne – takie wiejskie zabawy. Oczywiście ogłoszenia były rozklejane po okolicznych wioskach, ludzie przychodzili, no i były piękne zabawy do pewnego momentu. A jak się tam poszturchali, to o dziewczynę, to ten na nogę, na odcisk komuś nadepnął, no i przeganiali się potem, ale za chwilę przyszli razem, wypili. Nie było bandytyzmu takiego. Ale też było nieźle – tłukli się...

Co było charakterystyczne, to dużo się grało (przynajmniej tu w Grębałowie na pewno, ale i w Krzesławicach też), śpiewaliśmy. Ja mogę zaśpiewać tysiące, tysiące piosenek z tamtego okresu – i wojskowych, i ludowych, i ballady takie... Nawet kiedyś mi koleżanka, Basia Brzezińska, pisała nuty do takiej ballady wiejskiej „Wieczorem w niedzielę przy wiejskim kościele". Piękna ballada, 24 zwrotki, mówiąca o życiu pewnej rodziny kmiecej. Mieli syna, wysłali go na nauki do miasta, że pójdzie na księdza, a on przepił te pieniądze, przepił majątek rodziców, rodzice z głodu umarli, a on... Ale to jest taka ballada, rozpoczyna się od słów:

Wieczorem w niedzielę przy wiejskim kościele,
Dziad stoi i bije we dzwony.
Wtem młodzian nieznany podchodzi i słucha zdziwiony,
I pyta nieśmiało, co się we wsi stało,

Komuż to dzwonicie mój panie?
Oj smutne to sprawy, jeżeliś ciekawy
Posłuchaj opowiem ci panie.
Przed wielu latami....

I na gitarach tutaj pobrzdąkiwali, co niektórzy grali, śpiewali, ale grali też na harmonijkach ustnych. Tam była taka typowa koleżeńska amatorszczyzna. To było w kawalerce. Ja pamiętam od lat 50. do początku lat 70., że na harmonijkach grali, pięknie grali! Także mieli – a to już kogoś nobilitowało – „Piccolo", z takim rożkiem. To on na takiej harmonijce wszystko wygrał, a jeszcze jak sobie szklankę wziął, no to... śpiewaliśmy! Bo to była taka niepisana rywalizacja między kawalerami z Grębałowa i Krzesławic.

Jeździło się do Huty, do restauracji „Teatralnej", do „Krasnoludka", do „Ludowej", ale wtedy trzeba było być ubranym. Jak chłopak wyszedł, to była rywalizacja: kto miał ładniejsze buty, mokasyny, warszawskie, węgierki... I chłopak jak wyszedł, to pachniał. Tak, chłopaki pachniały! Elegancki, czyściutki, mimo że różne były warunki, jeśli chodzi o utrzymanie higieny, bo to jak na wsi. No, ja się pod studnią często myłem. Ale nie było tłumaczenia, żeby pod wieczór wyjść, w spodniach (nie dżinsach czy tych farmerskich), wyjść na randkę czy na spotkanie. Absolutnie! W takich to się chodziło do roboty, ale pod wieczór wyjść to trzeba było elegancko. To było charakterystyczne tak dla chłopaków z Grębałowa, tak i z Luboczy, i z Krzesławic i nie tylko – czystość i elegancja. Wielka elegancja. To mówię z pełną odpowiedzialnością.

Taka była rozrywka czasu kawalerskiego, dziecinnego, wypełnienie wolnego czasu. Ten kto miał gospodarkę, ten nie miał czasu, bo wszystko na gospodarce trzeba było robić. Ja i mnie podobni no to różnie, też trzeba było wypełnić wolny czas pozalekcyjny – jak nie było roboty. Między innymi był „dubel". Tak to się nazywa. Czasem grało się i w ośmiu chłopaków – mieliśmy wszyscy zajęcie. Grało się również w „króla" albo w „dwa ognie". Chciałbym to przywrócić, bo to jest piękna gra. Nawet na boisku do siatki można grać. To było w okresie letnim. Na boisku, na błoniu spędzaliśmy czas. Gdy wychodziliśmy do szkoły przed ósmą, tośmy wracali, jak już było ciemno. Nie było czasu jeść ani pić... to znaczy wodę żeśmy pili z różnych studzienek i jak były owoce jakieś, no tośmy się podzielili, ale nie szliśmy od razu po szkole do domu, bo to było wcześnie.

Natomiast w okresie jesienno-zimowym były przygotowania do świąt Bożego Narodzenia, do kolędy, robiliśmy szopki: większe, mniejsze; szkielet... Forma praktycznie nie u każdej się radykalnie zmieniała, bo mogła być na przykład bez półkul, tylko prosta. Ale były też takie formy szopek, że posiadały 3 piętra i dopiero nad nimi znajdowała się wieżyczka, kopuła. I myśmy wieczorami właśnie spotykali się u kogoś w trzeciej izbie. To wynikało z układu budynku, gdzie była kuchnia, sień, kumora (nie komora!), sypialnia i (nie we wszystkich domach, ale w wielu) tzw. „trzecia izba" – wolna izba, niezamieszkana przez domowników. Z reguły co roku spotykaliśmy się u kogo innego, to zależało od tego, co kto miał w domu. Nie było światła publicznego, nie było asfaltowych dróg, a gdy nadeszła jesień słotna, to chodziło się po kolana w wodzie, błocie i w śniegu zarazem i nie przeziębiło się jakoś. I spotykaliśmy się. Jeden kupił żylatynę (tak się nazywa różnokolorowa folia do witrażyków), drugi papier. I jak kto potrafił – wycinał. Była rywalizacja między różnymi grupami, ponieważ tworzyły się grupy kolędnicze (było ich kilka), nie tylko u nas, ale dominował pod tym względem Grębałów. To był sposób na wypełnienie wolnego czasu, jesienno-zimowego, ale i możliwość zarobienia paru złotych. Bywało, żeśmy uzbierali w czterech sześćdziesiąt złotych, to po 15 złotych na każdego wypadało. Chałupy były niskie, nie było elektryki, bramę otwierało się czy pies był puszczony czy nie, ale jak się z szopką szło – to psy uciekały. Kolędowało się. Było też – jak z okna tak zapukali – to trzeba było odejść. To było przykre, ale czasem się zdarzało. Więc szło się, kolędowało, wychodzili gospodarze, tu czy tam parę złotych dali, podziękowaliśmy. A było też tak, że gdzie dali dobrze, to my za jakąś chwilę drugi raz podeszli. Wynieśli ciasta, poczęstunek. W latach 50. ciasto to był rarytas. Rosół z makaronem był w niedzielę i to z kury. Poza tym, cóż: ziemniaki z barszczem, barszcz z ziemniakami i tak na przemian różne zupy. Takie były czasy. Z szopką chodziliśmy od Bożego Narodzenia do Trzech Króli – to było piękne. Na koniec kolędy, jak żeśmy tak pochodzili, spotykaliśmy się właśnie w tej trzeciej izbie u tego, gdzieśmy tam przygotowywali się i ćwiczyli. Zapraszaliśmy dziewczyny. Butelka wódki to była na całą noc, na dwudziestu ludzi starczyło, jeszcze zostało. Była natomiast harmoszka, klarnet, skrzypce, trąbka, to do dziś człowiek to miło wspomina. A i starsi ode mnie także wspominają te czasy z rozrzewnieniem...

Była rywalizacja, ja z kolegą Edkiem Ślęzakiem (dwa domy dalej), nieskromnie powiem – tańczyliśmy. Inny kolega, Stasiu Broś, grał na akordeonie, a my polkę i oberka – ale bez przerwy. *–No, Edek! Kto kogo przetrzyma? – Ech, Franeczku, ty nie masz szans!* – Ja mówię: *– Edek, kto kogo przetrzyma?* Dwadzieścia jeden minut tańczyliśmy polkę na przemian z oberkiem (to jest taniec jak polka, tylko, że jeszcze szybszy). To już później kolega Stasiu, ten co na akordeonie grał, mówi: *–Dajcie mi już spokój, bo mnie ręka boli!* I zostawił to granie więc rywalizacja nierozstrzygnięta została do dnia dzisiejszego. Tylko dziewczyny, jak tańczyliśmy, to się zmieniały: *–Dziękuję, Stefciu, –Proszę, Marysiu*. A cośmy się ośpiewali, mój Boże kochany!

To były czasy... Aczkolwiek trudne. Nie chciałbym, żeby wróciły, natomiast forma i stosunki międzyludzkie – to bym chciał. W kawalerce na przykład to nie było różnicy, że ja nie mam pieniędzy, ty masz pieniądze, czy coś – szliśmy razem. Było też tak, że na czekoladę czasem nie miałem dla dziewczyny (bo w Nowej Hucie była moda na walce czekoladowe), to z kolegą popatrzyliśmy na siebie, zrozumieliśmy o co chodzi i dziewczyna moja miała czekoladę, jego dziewczyna miała czekoladę. Dzisiaj jest brak takiego romantyzmu, bezinteresowności, tej zwyczajności takiej. Brakuje mi tego. Z kolegami, z którymi się tam trzymaliśmy, lubimy się dalej, ale już tego kontaktu nie ma. Zresztą to rzeczą naturalną jest, bo przecież oni mają już swoje rodziny: dzieci, wnuków, no i nie da się już tak jak dawniej...

Dawniej Grębałów był osiedlem typowo rolniczym, chociaż przed wojną dużo ludzi stąd pracowało na poczcie i na kolei. Generalnie jednak miało bardziej rolniczy niż robotniczy charakter. Po rozpoczęciu budowy Nowej Huty zaczęło się przekształcać w osiedle robotnicze, zachowując przez długie lata charakter wiejski, ze wszystkimi jego tradycjami, obrzędami itd. Wiara tu jest niekwestionowana, bo tak było, jest i tak pozostanie. Byli i tacy, którzy nie pracowali w Kombinacie lecz na roli, byli pracujący i na roli, i w Kombinacie, ale większość – mogę to powiedzieć z pełną odpowiedzialnością, bo mnie i moją rodzinę to dotyczy – większość pracowała w Kombinacie. Tutaj są takie różne poglądy, światopoglądy, że jakby nie Huta to by inaczej było. To wszystko jest prawda. Na pewno tak. Tylko, że jest też zakłamanie, fałsz i obłuda, bo ludzie zostali tutaj w brutalny sposób wyrugowani z ziemi ojczystej.

Tych z Grębałowa wysiedlenia nie dotknęły tak bardzo. Granica była tu nieopodal. Lubocza już wchodziła w ten zakres zmian, Grębałów nie. Natomiast Grębałów ma silny związek z Nową Hutą poprzez wysiedlonych ludzi z Luboczy, Krzesławic, Bieńczyc, Ruszczy, Wadowa itd. i osiedlonych tu na północnych częściach Grębałowa. I to jest ten związek. Natomiast niektórzy ponieśli także straty materialnie: rodziny Łachów, Florkowskich, Bębnów, z tej racji, że zbudowano osiedle na Wzgórzach i na Stoku, a oni tam mieli swoje ogrody, sady, pola. To były pola grębałowskie, również do Kantorowic należały – i to zostało zabrane. Takie były u nas straty na rzecz budowy nie tyle Kombinatu, co miasta. Przede wszystkim jednak ludziom zabrano ziemię w Luboczy, Wadowie, Ruszczy, Branicach, Pleszowie, Mogile, Bieńczycach, Mistrzejowicach i w Czyżynach, natomiast Grębałów większych strat związanych z utratą areału nie miał. Istnieje natomiast ścisły związek – jak powiedziałem – z przesiedleniem ludzi stamtąd do Grębałowa. Ale oni zasymilowali się i włączyli w tutejszy nurt życia, w działalność. Twórczy ludzie! Do dnia dzisiejszego tu mieszkają, a teraz także już ich synowie, córki, wnukowie, wnuczki i prawnuki. I tak to wszystko się toczy...

ADAM GRYCZYŃSKI – Franciszek Nowak, ostatni szopkarz z Grębałowa

Było szopkarzy w Grębałowie wielu, ale żaden z nich nie buduje już szopek. Oprócz pana Franciszka Nowaka. Jedni twórcy ludowi, tacy jak Jan Bęben, Franciszek „Gienek" Bęben, Marian Masier, Edward Ślęzak, Karol Walczak przestali je robić, a inni odeszli z tego świata: śp. śp. Stanisław Nowak, Stanisław Walczak, Bronisław Podobiński, Jan Krupa, Marian Krupa, Tadeusz Krupa, Marian Zybura, Władysław Zybura i in. Pozostał tylko pan Franciszek, który w tym roku miał wyjątkowo dużo pracy, gdyż chciał zbudować „szopkę z kapliczkami", a dwie starsze konstrukcje wyklеić całkowicie od nowa. Jak postanowił – tak zrobił i dziś możemy oglądać je w pełnej krasie na podeście pomnika Adama Mickiewicza na Rynku Głównym w Krakowie, a potem jeszcze gdzie indziej: w Ośrodku Kultury Kraków-Nowa Huta, w kościele na Wzgórzach, Luboczy... Dzieła pana Franciszka nie biorą jednak udziału w konkursie szopek krakowskich, ponieważ są to tradycyjne szopki grębałowskie.

Na zdjęciu ogólnym pierwsza z lewej pochodzi z przełomu lat 50. i 60. i wykonał ją pan Karol Walczak, natomiast jej tegoroczna konserwacja i wyklejenie to już zasługa pana Franciszka. Największa z nich stanowi przykład typowej grębałowskiej szopki, która służyła tam co roku przez wiele pokoleń, jeszcze od przedwojennych czasów. Kilka okienek z witrażykami do tej szopki zrobiła pani Małgorzata Walczak z os. II Pułku Lotniczego, a pomagała w tym Julia, jej 10-letnia córka. U góry tej szopki znajduje się kopuła z gwiazdą betlejemską, nawiązująca do kopuł budynków z rejonu narodzenia Chrystusa, zaś wieże po bokach, to miniaturowe, stylizowane minarety. W centralnym miejscu ponad żłóbkiem z dzieciątkiem Jezus są umieszczone fotografie współczesnych postaci związanych z Krakowem; kardynała Stanisława Dziwisza, prezydenta Jacka Majchrowskiego, jest też Bogusław Kośmider, przewodniczący Rady Miasta. Są także pary lalek ubranych po krakowsku i wiele innych elementów, które sprawne oko wyłowi z całości, jak flaga maryjna (niebiesko-biała) czy miasta Krakowa (biało-niebieska). Proszę też zwrócić uwagę na oklejone podpórki, których używano po to, by podtrzymać szopkę w czasie kolędowania i odgrywania jasełek.

Pierwsza z prawej to „szopka z kapliczkami". Jest bardzo oryginalna, gdyż pokazano w niej wszystkie, czyli aż dziewięć grębałowskich kapliczek. Przy ich wykonaniu pomagał pan Ryszard Turek, rzeźbiarz-amator, a w innych pracach pani Małgorzata Kot z Grębałowa. Ponad stajenką betlejemską widoczna jest miniaturka obelisku upamiętniającego huczne obchody 750-lecia Grębałowa z 1997 r., a powyżej maleńka, lecz precyzyjna kopia ołtarza z kościoła pw. Miłosierdzia Bożego na Wzgórzach Krzesławickich w Nowej Hucie. Pan Franciszek Nowak robił tę szopkę przez wiele miesięcy, ale zdążył na czas.



Franciszek Nowak

Dawniej chodziło się po wsi z szopką od świąt Bożego Narodzenia do Nowego Roku włącznie, potem w święto Trzech Króli (koniecznie z gwiazdą), a na zakończenie, w święto Matki Boskiej Gromnicznej tylko do domów tych kobiet, które miały na imię Maria, ale wtedy już nie odgrywano jasełek, tylko śpiewano i składano życzenia. Kolędowanie odbywało się z reguły pod oknem, rzadziej zapraszano do domu. W każdej wiosce było kilka grup kolędniczych, które ze sobą mocno rywalizowały, a wśród nich były postaci takie jak: Herod, Marszałek, Żyd, Hetman, Pastuszek, Anioł, Diabeł i Śmierć. Turonia w Grębałowie nie było. Za to była duża gwiazda betlejemska ze świeczkami w środku, którą niesiono z przodu korowodu. Kolędnicy śpiewali na powitanie: *Zawitamy do Wielmożnego Pana Gospodarza po kolędzie, czy mu za przykro nie będzie? Ale wiemy, że nie będzie, bo sam Pan Jezus chodzi po kolędzie. Za Stary Rok dziękujemy, i na Nowy Rok winszujemy. O! schodźcie się bracia mili, byście wokoło stanęli, wesoło krzyknęli: Hej Nam Kolęda! Mości Gospodarzu raczcie się przebudzić, nam za kolędę dać. Przyjmijcie nas po kolędzie, Bóg Wam Błogosławił będzie, na ten Nowy Rok*, a potem na tę samą nutę: *Mości Gospodyni...* Następnie śpiewano kolędy, a kiedy grupę zapraszano do środka, to odgrywano wówczas jasełka czyli widowisko o Bożym Narodzeniu wzorowane na średniowiecznych misteriach franciszkańskich. Ich treścią była historia narodzenia Jezusa w Betlejem i spisku Heroda. W pierwszej połowie XVIII w. biskupi polscy zakazali wystawiania jasełek w kościołach. Przyczyną było coraz szersze przenikanie do treści przedstawień scen i postaci o charakterze ludycznym. Z szopkami zaczęto wówczas kolędować poza murami świątyń. Teksty jasełkowe, najczęściej gwarowe, były w większości anonimowe. Przerabiano je wielokrotnie, między innymi ze względu na fakt, że zawierały wątki odwołujące się do aktualnych wydarzeń. Za kolędowanie w Grębałowie zwykle płacono pieniędzmi, a przed wojną tym „co tam było i czym kto miał". Z grupami chodziły także dziewczęta, wspierające swoich kolegów w kolędowaniu, pomagały one także w przystrajaniu szopek.

Pan Franciszek Nowak chlubnie kontynuuje ludową tradycję budowania i wyklejania szopek i sprawi mu wielką radość, jeśli ktoś zechce obejrzeć te jego grębałowskie „cudeńka".

6 grudnia 2012 r.

PS.

Franciszek Nowak urodził się 4 października 1942 r., zmarł 25 sierpnia 2015 r. Przez całe swoje życie zawodowe związany był z Kombinatem, zaś społecznie z ukochanym Grębałowem, a także Nową Hutą i Krakowem. Był działaczem wielkiego formatu; radnym dzielnicowym i miejskim.



Dożynki w Grębałowie, w środku, na stopniach modrzewiowego dworu Władysław Cieślewicz z żoną, ok. 1930 r.



Procesja z Grębałowa do kościoła w Pleszowie z feretronem św. Teresy, pierwsza niosąca go z lewej: Wiktoria Krawczyk, trzecia: Julia Podobińska, 1935 r.



Prace polowe, Grębałów, lata okupacji



Prace polowe, Grębałów, lata okupacji



Prace polowe, Grębałów, lata okupacji



Kartka dla syna od ojca – Franciszka Florkowskiego z Grębałowa, 14.06.1943 r.



Jakub Bęben, Grębałów, lata 40.



Rozalia Cygan i Wiktoria Pszczoła, Grębałów, lata 30.



Julia Kot z córką Ireną, obok kapliczki N.M.P. w Grębałowie, 3.10.1954 r.



Dziewczyny przy pracy w polu w gospodarstwie rolnym im. E. Freegiego, Grębałów, lata okupacji



Irena Kot z mamą Julią, Grębałów, 1955 r.



Młodzież z Grębałowa, lata 40.



Dziewczyny z Grębałowa w przerwie niesienia obrazu podczas procesji, ok. 1938 r.





Młodzież z Grębałowa nad Dłubnią w Kantorowicach: z lewej Irena Kot, w środku, w jasnej sukni Janina Walczak (z d. Bęben), ok. 1960 r.



Zofia Walczak i Irena Kot, Grębałów, 1956 r.



Małgorzata Walczak z córką Janiną i Julia Kot z córką Ireną, Grębałów, 15.09.1944 r.



Widok w kierunku Prus od strony Grębałowa. Obok droga kolejowa zwana potocznie „kocmyrzówką" o długości ok. 19 km, która była jednotorowa, niezelektryfikowana, obecnie zlikwidowana.



Dzieci z Grębałowa, z prawej Grażynka Florkowska, lata 50.



Dzieci z Grębałowa, Józefa, Zofia i Jerzy Łach, lata 50.



Działacze sportowi z Grębałowa, lata 50. Od lewej stoją: Stefan Łach, Stanisław Łach, Jan Woźniak, Tadeusz Krupa, Władysław Łach, Marian Łach. Siedzą: Stanisław Nowak (o. Franeczka), Stefan Kot, i Marian Pszczoła (s. Jana)



Opis na odwrocie zdjęcia: pierwsza z prawej Wiktoria Łach (ok. 18 lat), obok Maria, żona Franka Pszczoły, w sukienkach córki: Halina i Stasia, obok jej siostry (Cygan).



Rodzina Łachów z Grębałowa, początek lat 20.
Opis na odwrocie zdjęcia: Od lewej u góry – Władysław Łach, Ania (żona Antoniego) Wiktoria i Stefan, Maria Raźna (z d. Łachówna), Maria i Stanisław Łach z Marianem, w środku dziadkowie Wiktoria (z d. Adamska) z Marysią Raźną i Franciszek Łach (zm. 1944 r.) z Frankiem Łachem (synem Marii i Stanisława). Dwaj chłopcy po lewej – Antoni Łach i Karol Raźny.



Orkiestra z Grębałowa, ok. 1930 r.





Dożynki w Grębałowie, ok. 1965 r.



Irena Kot i Jan Krupa. Dożynki w Grębałowie, 1958 r.



Dożynki w Grębałowie, 25.08.1957 r.

BIBLIOTEKA KRAKÓW
13
FILIA

PODZIĘKOWANIA

Oddając w ręce czytelników tę publikację, pragnę wyrazić serdeczne podziękowania dla wszystkich osób, które udostępniły do niej zbiory swoich fotografii i wspomnienia, dla autorów zawartych w niej artykułów oraz moich współpracowników i sympatyków podjętej w 2006 roku inicjatywy „Czas zatrzymany". Dziękuję za to, że kolejne edycje książek z tej serii mogły w ogóle zaistnieć, ponieważ bez Waszej pomocy i zbiorowego zaangażowania nie byłoby to możliwe. Ciepłe przyjęcie przez odbiorców wcześniejszych wystaw i wydawnictw Nowohuckiego Centrum Kultury o tutejszej tematyce regionalnej dowiodło, że te propozycje były komuś potrzebne. W okresie największego natężenia kontaktów i badań terenowych, czyli od stycznia 2006 r. do lipca 2008 r., pozyskane uwagi, opinie i komentarze stanowiły dla mnie wskazówki w dotarciu do rdzennych mieszkańców i materiałów źródłowych, bez których książka byłaby o wiele uboższa. Praca nad tym przedsięwzięciem była dla mnie ciekawą lekcją życia, a zdobyte wówczas doświadczenie uważam za bezcenne. Zdołano bowiem ocalić pamięć o ludziach, ich losach, o dziełach, wydarzeniach i miejscach sprzed okresu budowy Nowej Huty i kombinatu metalurgicznego. Mam cichą nadzieję, że to świadectwo uzupełni naszą wiedzę o minionej epoce i tutejszym regionie, że pogłębi uniwersalną refleksję na temat naszej Ojczyzny, a być może każdemu pozwoli odnaleźć część samego siebie.

Pragnę zatem gorąco podziękować wszystkim, którzy przyczynili się do realizacji projektu „Czas zatrzymany" i powstania tej książki, a w szczególności:

Prezydentowi Krakowa prof. Jackowi Majchrowskiemu, Sławomirowi Pietrzykowi – wiceprzewodniczącemu Rady Miasta, Katarzynie Olesiak – Dyrektorowi Wydziału Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Magdalenie Doksie-Tverberg – Zastępcy Dyrektora Wydziału Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Zbigniewowi Grzybowi – Dyrektorowi Nowohuckiego Centrum Kultury

oraz:

Annie Adamczyk
Renacie Adamczyk
Annie Adamskiej
Barbarze Andrzejewskiej
Annie Arciszewskiej
Glorii Bach-Koch
rodzinie Leo Bacha (Leona Silberbacha) w USA i Australii
red. Magdalenie Bajer
Marii Bajołek
Justynie Balawender
prof. Marii Bała
red. Marcinowi Baniakowi
rodzinie Bańdurów
Barbarze Barbackiej
Kazimierzowi Bartelowi
Tomaszowi Bartosikowi
Eugeniuszowi Bartoszkowi
Annie Bartys
Henrykowi Bątkiewiczowi
dr Maciejowi Beiersdorfowi
Aleksandrze Bętkowskiej
Marii Bętkowskiej
ks. prałatowi Janowi Bielańskiemu
Wandzie Biernacik
Bronisławowi Biernacikowi
Władysławowi Bochenkowi
Grzegorzowi Boniowskiemu
Irenie Borowiec
rodzinie Brosiów
Jadwidze Broszkiewicz
Emilii Brożek
Annie Bubuli
Robertowi Buchcie
Adamowi Bujakowi
Henrykowi Bugajskiemu
Czesławie Cabaj
Zofii Cecudze
Wiesławowi Celińskiemu
dr Piotrowi Chojnackiemu OCist.
Alfredowi Chromniakowi
Marii, Andrzejowi i Piotrowi Cichocińskim
Marcinowi Cichońskiemu
dr. med. Janowi Ciećkiewiczowi
Irenie i Zbigniewowi Ciepielom
rodzinie Ciepielów
Barbarze Ciesielskiej
Alicji i Wincentemu Cieślewiczom
Emilii Cuber
red. Magdalenie Curzydło
Eugenii Cygan
Stanisławowi Cyganowi
rodzinie Michała Cygana
Antoniemu Cyganikowi
Waldemarowi Cyganikowi
rodzinie Czernków
Marii Czyż
Elżbiecie i Władysławowi Ćmikiewiczom

Danucie Damian
Andrzejowi Dawidowiczowi
ks. Stanisławowi Dolasińskiemu
Katarzynie Domalik-Łukaszczyk
Janowi Domańskiemu
Katarzynie Dominik
Romanowi Dończowi
Stefanii Drewnowskiej
Nusi Drożdż
Ewie Dróżdż
Grażynie Dubiel
Renacie Dudek
Jadwidze Dudzie
Pawłowi Dysowi
Franciszkowi Dziadoniowi
Leszkowi Dziedzicowi
Stanisławowi Dziedzicowi
Elżbiecie i Marianowi Dzikowskim oraz ich dzieciom: Marcie i Jankowi
Bronisławowi Dżule
Aleksandrze Erbert
Jerzemu Fedorowiczowi
dr. med. Jackowi Feretowi
Stefanowi Figlarowiczowi
prof. dr hab Alinie Fitowej
prof. Halinie Florkowskiej-Franćić
red. Marzenie Florkowskiej
dr. Janowi Franczykowi
Marii Frankiewicz
red. Monice Frenkiel
rodzinie Witolda Gajdzińskiego
Łucji Gajoch
dzieciom Stanisława Gajocha: Tadeuszowi, Bolesławowi, Halinie i Joannie
Romanowi Garbacikowi
Halinie Gawin
Stanisławowi Gawędzie
Wiesławowi Gawlikowi
Stanisławowi Gawlińskiemu
Anecie Gąsiorek
Zofii Gerhardt
rodzinie Gębalów
Jolancie Gębickiej
Kornelii Gnat
dr hab. Monice Golonce-Czajkowskiej
Ewie Goras
Tadeuszowi Góralikowi
dr. Jackowi Górskiemu
Sławomirowi Górze
Leszkowi Grabowskiemu
Katarzynie Grażewicz
Zofii i Józefowi Grymkom
Alicji Grzesiak
Ludwice Hacuś
Józefowi Hajto
Marii Herzog-Majewskiej
ks. Józefowi Hojnowskiemu
red. Aleksandrze Hudymie
ks. Janowi Hycowi
Stanisławie i Małgorzacie Hyli
Władysławowi Ideć
Józefie Jacaszek
o. Korneliuszowi Jackiewiczowi OCist.
Grażynie Janawie
o. Krzysztofowi Jankoszowi OCist
dr. Mieczysławowi Jarosławskiemu
Jerzemu Jaroszowi
prof. hab. Piotrowi Jaroszyńskiemu
Marii Jarząbek
Lidii Jazgar
Małgorzacie Jezutek
Januszowi Jędruskiemu
Dariuszowi Jucha
Anecie Jungiewicz
Aleksandrze Kaczmarczyk
Dorocie Kaduli
Józefie Kalembie
Agacie Kamińskiej
Renacie Kamodzie
Czesławie Kapeli
Dorocie Karyś
Joannie Karyś-Róg
dr. Remigiuszowi Kasprzyckiemu
red. Stefanowi Kasprzyckiemu
red. Annie Kaszewskiej
Joannie Kasznik
rodzinie Kaszników
Stefanowi Kaszy
Zenonie Katarzyńskiej
Barbarze Kawie
Antoniemu Kawałko
Anieli Kawuli
rodzinie Kawulów
Henrykowi Kazimierskiemu
Grażynie Kęsce-Kasprzak
dr. Zygmuntowi Kiszce
Jarosławowi Klasiowi
Władysławowi Klimczakowi
red. Katarzynie Kobylarczyk
Katarzynie Kofin
rodzinie Kołodziejczyków
Jolancie Koper
Zofii Kopras
Marii Kornas
Ryszardowi Kosibie
Marii i Weronice Kosieradzkiej
Marii Kościelniak
Teresie Kot
Helenie Kotarskiej
Andrzejowi Kotyzie i rodzinie Jana Kotyzy
Piotrowi Kowalcowi
red. Beacie Kowalik
red. Ewie Kozakiewicz
red. Ryszardowi Kozikowi
red. Andrzejowi Koziołowi
Miłoszowi Koziołowi
Annie Kozłowskiej
Monice Kozub
Marii Kozuli
Joannie Krajewskiej
Piotrowi Krasnowolskiemu
Henrykowi Krawczykowi
Witoldowi Krawczykowi
rodzinie Krawczyków
Stanisławowi Królowi
Agnieszce Krupnik
Romie Krzemień
Justynie Krzywickiej
Julianowi Kubali
Annie i Stanisławowi Kubarkom
Piotrowi Kowalcowi
Jerzemu St. Kozikowi
rodzinie Kucharczyków
Jurkowi Kujawskiemu „Szpinakowi"
Teresie Kuładze
Marii Kurek
Janinie Kurzeji
Marianowi Kwaterowi
Helenie Lasek
Annie i Kazimierzowi Lassakom
Marii Lempart
red. Krystynie Lenczowskiej
Małgorzacie Lewczuk-Kot

Mieczysławowi Librontowi
Januszowi Lirskiemu
Antoninie Ludwig
rodzinie Zdzisława Łabędzia
Barbarze Łach
Antoniemu Łapajerskiemu
red. Monice Łąckiej
Marii i Józefowi Łobodom
red. Agnieszce Łoś
Tomaszowi Machowskiemu
Magdalenie Maciejewskiej
Annie Maciąg
Kazimierze Maćkowskiej
Stanisławowi Madejowi
o. Maciejowi Majdakowi OCist
Annie Majewskiej
Katarzynie Majzerowicz
Stanisławowi Makarewiczowi
Kazimierzowi Malcowi
Stanisławowi Malikowi
Zofii Malinie
Aleksandrze Malinowskiej
rodzinie Malinowskich
Katarzynie Maniak
Mieczysławowi Marcowi
Stanisławie Marczak
Stanisławowi Markowskiemu
ks. Piotrowi Maroszkowi
Tadeuszowi Maroszkowi
Annie Mars
Janowi Marsowi
Aleksandrze Marszałek
Magdalenie Marzoch
red. Stanisławowi Matule
Janinie Matusik
Barbarze Matuszczyk
Jackowi Mierzwie
Maciejowi Miezianowi
ks. Stanisławowi Migasowi
Marcinowi J. Mikulskiemu
Halinie Miłek
Barbarze i Stanisławowi Misiakom
rodzinie Molów
Barbarze Morawskiej-Nowak
Annie Moryc
Stanisławowi Morycowi
Tadeuszowi Moskale
Czesławowi Odo Mostowskiemu
Jadwidze Jurczyk-Motyl i Bogdanowi Motylowi
Annie Mroczkowskiej
Aleksandrze Mroczkowskiej
red. Robertowi Musiałkowi
prof. Elżbiecie Mycielskiej-Dowgiałło
rodzinie Natkańców
rodzinie Nawarów
Ferdynandowi Nawratilowi
Zofii i dr Kazimierzowi Niemierkom
dr. Michałowi Niezabitowskiemu
Markowi Norkowi
Aleksandrze i Mieczysławowi Nowakom
Elżbiecie Nowak
Izabeli Nowak
Marii i Ewie Nowak
Franciszkowi Nowakowi
Janowi Oberbekowi
Teresie Obrzut
Lucynie Olejniczak
Ewie Osuchowicz
o. Norbertowi Paciora OCist.
Marii Paluchniak
Januszowi Paluchowi
rodzinie Partyłów
Łukaszowi Pawlikowskiemu
Wiktorowi Pentalowi
Edwardowi Petrosky
Justynie i Andrzejowi Pieczarom
Pawłowi Pierścińskiemu
red. Janowi Pieszczachowiczowi
Władysławowi Pietrzakowi
Grażynie Piotrowicz
Janinie Pilch
Paulinie Pitek
Antoniemu Pituchowi
Marii Płatek
Annie i prof. Józefowi Pociechom
Izabeli Podgórskiej
Zbigniewowi Podsiadło
Elżbiecie Polak
red. Paulinie Polak
Władysławowi Polesińskiemu
Jerzemu Połomskiemu
Dorocie Prążyskiej
Janinie i Andrzejowi Ptakom
Wiesławowi Pyczkowi
rodzinie Pyrlików
red. Renacie Radłowskiej
Marii Radoszek
Zbigniewowi Rajskiemu
prof. dr hab. Annie Raźny
Jadwidze Raźny
Janinie Raźny
Krystynie Raźny
Marii Raźny
Zofii Rączce
Krystynie Reinfuss-Janusz
Jerzemu Ridanowi
Krzysztofowi Ridanowi
Zofii Rojek
Hannie Romańskiej-Tusiewicz
Janowi Rosiewiczowi
Halinie Rosołek
Antoniemu Rosołkowi
Krzysztofowi Rosołkowi
Władysławowi Rospondkowi
Michałowi Rozmarynowiczowi
prof. Michałowi Rożkowi
rodzinie Stanisławy i Józefa Rzepeckich
red. Andrzejowi Ruchałowskiemu
Władysławowi Rudzkiemu
Kazimierze Rumian
Wojciechowi Ruśniakowi
Mieczysławowi Rutce
rodzinie Rybkowskich
Jarosławowi Sadowskiemu
dr med. Barbarze Salwińskiej-Ciećkiewicz
Marii Salwińskiej
Jackowi Salwińskiemu
Władysławie i Janowi Salwińskim
Jolancie Samek
Janinie Satale
prof. Teresie Sawickiej
Stanisławowi Sawickiemu
Anecie Sendor
Julianowi Sendorowi
Marii Sendorek
Irenie Senisson
Władysławie Sewerynek
Hieronimowi Sieńskiemu
Piotrowi Sieprawskiemu

Konradowi i Aleksandrowi Siermontowskim
red. Marcie Sinior
Maciejowi Siudmakowi
Jadwidze Skibie
Andrzejowi Skibińskiemu
Januszowi Skórskiemu
Piotrowi Strzetelskiemu z małżonką
Helenie Słabońskiej
Stanisławie Słowik
Zofii Sołtys
Andrzejowi i Dawidowi Sośnickim
Danucie Spaczyńskiej
Markowi Stalmachowskiemu
Józefie Stankiewicz
red. Matyldzie Stanowskiej
Wacławowi Stańczykowskiemu
Elżbiecie Stefańskiej
Krzysztofowi Stefańskiemu
rodzinie Stefańskich
Zofii Stelmachowskiej
Piotrowi Stelmachowskiemu
Janinie Stępniowskiej
Teresie Stochel
Grażynie Stokłosie
Krystynie Suberlak
Marii Suder
ks. infułatowi Kazimierzowi Suderowi
Zofii Suśniak-Skoczek
Ryszardowi Style
Leszkowi Sybilli
pani Synowskiej
Halinie Szarkowskiej
Annie Szeląg
Katarzynie Szeląg z d. Gajoch
red. Ewie Szkurłat
red. Annie Szmuc
Marii Szopie
Leszkowi Szotowi
Mirosławowi Szponarowi
Józefowi Szubie
Marcinowi Szycowi
Janinie Szydłowskiej
Dorocie Ślęczek
Adamowi Śliwie
Andrzejowi Świerczewskiemu
o. Cyprianowi Świerszczyńskiemu OCist.
Teresie i Stefanowi Tejkowskim
Zbigniewowi Terleckiemu
ks. prof. Józefowi Tischnerowi
Eugeniuszowi Tora
Tadeuszowi Traczowi
Kazimierzowi Tratkiewiczowi
ks. Adamowi Trzasce
Tomaszowi Turajowi
Józefowi, Jerzemu i Dorocie Turbasom
Iwonie Tutaj-Niklińskiej
Urszuli Twardowskiej
Annie Twaróg
Maciejowi Twarogowi
Stanisławowi Twarogowi
Krzysztofowi Tynorowi
Zofii Tyrce
ks. Stanisławowi Wajdziakowi
Elżbiecie Waktor
Beacie Walczak
Genowefie Walczak
Marcie Walczak
rodzinie Władysława Walerjana
Stanisławowi Walczakowi
Edwardowi Wąsikowskiemu
Jolancie Wcisło
Aldonie Widłak
dr. Wojciechowi A. Wierzewskiemu
Barbarze Wikierze
Markowi Wilkowi
Marii Wandzie Wolak
Monice Wołek
red. Krzysztofowi Wołodźko
Jerzemu Woźniakiewiczowi
Henrykowi Woźniakowi
Annie i Wojciechowi Wójcikom
Marianowi Wójcikowi
Halinie Wójcik-Kaczmarczyk
Andrzejowi Wróblowi
Janowi Wydro
Wiesławie Wykurz
dr. Mateuszowi Wyżdze
Jadwidze Zabłockiej
Ewie Zajączkowskiej
Andrzejowi Zakrzewskiemu
o. Wincentemu Zakrzewskiemu OCist.
Jerzemu Zatońskiemu
Grażynie Zawiszy
Wiesławie Zboroch
prof. Jerzemu Zderkowskiemu
Marii Zderkowskiej
Aleksandrowi Zdziebko
red. Tomaszowi Zieji
Adamowi Ziemianinowi
Magdalenie Ziomek
Marianowi Ziomkowi
Stanisławowi Ziębie
Eugenii Zięciak
Zofii Zyburze
Janowi Zychowi
Dorocie Żabie
Karolinie Żabie
Stefanowi Żabie
Lidii Żak
Stefanowi Żelichowskiemu
Justynie Żurek
Zofii Żurek i in.

Pragnę także gorąco podziękować mojej żonie Aleksandrze i dzieciom – Ewelinie i Kamilowi za to, że dzieląc się ze mną swoimi uwagami na temat wystaw i książek z serii „Czas zatrzymany", byli pierwszymi, wdzięcznymi obserwatorami mojej pracy nad tym projektem zwłaszcza, że tak często odbywała się ona w miejscu i czasie przeznaczonym właśnie dla nich.

Dziękuję im również za to, że uczestniczyli w spotkaniach, wernisażach i prelekcjach, że tak cierpliwie znosili moje nieobecności w domu podczas niezliczonych zmagań (sukcesów i porażek) z podjętym tematem, i że byli przy mnie wówczas, kiedy ich potrzebowałem, co miało ogromny wpływ na realizację projektu „Czas zatrzymany" i ostateczny kształt albumu.

Adam Gryczyński
Kraków, 4 października 2019 r.

Nowohuckie Centrum Kultury
Czas zatrzymany 3, tom I „Nie tylko o szkole…”

redakcja:
Adam Gryczyński

przepisywanie rękopisów:
Anna Adamska
Anna Bubula
Grzegorz Boniowski
Elżbieta Dzikowska
Adam Gryczyński
Jadwiga Jurczyk-Motyl
Karolina Żaba

korekta:
Tomasz Machowski

projekt okładki:
Katarzyna Manecka

skład:
Piotr Sieprawski

druk:
Drukarnia Legra

wydawca:
Nowohuckie Centrum Kultury
al. Jana Pawła II 232, Kraków
www.nck.krakow.pl

ISBN:
978-83-955663-0-1

Kraków 2019

Fotografia na okładce:
Kazimierz Łowczowski, kierownik szkoły w Bieńczycach, pocz. XX w.

Wykorzystywanie tekstów oraz fotografii zamieszczonych w książce możliwe jedynie za zgodą wydawcy.

Publikację wydano w ramach obchodów 70. rocznicy powstania Nowej Huty, dzięki wsparciu finansowemu Urzędu Miasta Krakowa.

Kraków

nowohuckie centrum kultury

Foto-Galeria

70 lat NOWEJ HUTY

Biblioteka Kraków
6000767067



ADAM GRYCZYŃSKI

Pedagog, fotograf,
redaktor, animator kultury
i dokumentalista.

W 1981 r. ukończył pedagogikę i wyższy
na Uniwersytecie Jagiellońskim. Członek
Fotografików (Okręg Świętokrzyski), Krakowskiego Klubu
Fotograficznego i Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Krakowa.

Od 1983 r. jest kierownikiem działu fotograficzno-filmowego w Nowohuckim Centrum Kultury. Pod jego redakcją ukazały się wydawnictwa: „Franciszek Twaróg – nauczyciel z Luboczy" (2006), „Czas zatrzymany" (2006), „Nowa Huta – najmłodsza siostra Krakowa" (2007), „Czas zatrzymany 2" III tomy (2008), „Nowa Huta – nowa ewangelizacja" (2009), „Okolice Nowej Huty" (2018), „Czas zatrzymany 3. Nie tylko o szkole" (2019), „Czas zatrzymany 4. Z kart historii Pleszowa" (2019) oraz katalogi.

W dorobku ma kilkadziesiąt wystaw indywidualnych w kraju i za granicą oraz udział w wystawach zbiorowych i plenerach fotograficznych.

Ważniejsze wystawy: „Remuh" (1986), „Krajobrazy z Nowej Huty" (1993), „Migawki z Turcji" (1993), „Poranek w Krakowie" (1994), „W duchu świętego Franciszka" (1996), „Foto-grafizacje" (1997), „Obrazki na koniec wieku" (1999), „Wenecja od rana do wieczora" (2000), „Już nie idą w cerkiew gromady" (2002), „Powroty do przeszłości" (2002), „Okolice Nowej Huty" (2018).

Jest autorem etiud dokumentalnych powstałych w Amatorskim Klubie Filmowym „Nowa Huta": „Remuh", „Exodus", „Apage Satana!", „Nostalgia tatrzańska" i współrealizatorem paradokumentalnego filmu „Pamiętnik Leo".

Posiada: Medal 150-lecia Fotografii, Nagrodę Honorową im. Fryderyka Kremsera, tytuł Nowohucianina Roku 2008, Medal 70 lat Nowej Huty, odznaki; Zasłużony Działacz Kultury i Honoris Gratia oraz Nagrodę Polonia Minor.

W 2013 roku otrzymał Nagrodę Województwa Małopolskiego im. Romana Reinfussa za wybitne i szczególne osiągnięcia w dziedzinie zachowania lokalnej tożsamości kulturowej w Małopolsce w kategorii: wydarzenia upowszechniające wiedzę o wartości i znaczeniu lokalnego dziedzictwa kulturowego za podjętą inicjatywę i realizację cyklu wydawniczego pn. „Czas zatrzymany", popularyzującego wiedzę o rdzennych mieszkańcach terenów dzisiejszej Nowej Huty.

ISBN 978-83-955663-0-1
9 788395 566301